Bibljoteka Sejmu Śląskiego
4620
1906 | 2

498

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Warszawa. Druk A. Ginsa. Nowozielna 47.

Ogólnego zbioru Tom 262.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.

Rok 1906.—Tom II.

WARSZAWA.
Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1906.

4620. 1906. 2
II
30,000,
X-14363
4620, II 2.
/1906

DWIE ROZMOWY W BELWEDERZE.

(R. 1827).

Działo się w Warszawie, w połowie czerwca 1827 r. Miasto było w gorączkowem oczekiwaniu. Zbierał się Sąd Sejmowy.

Od dłuższego już czasu zaciążyła nad krajem zmora nieustającego przesilenia. Nie odegnało jej objęcie rządów przez nowego władcę, Mikołaja I; przeciwnie, wniosło nowe fermenty, samo będąc wypływem onego przesilenia, sięgającego daleko wstecz w dobę poprzedniego panowania Aleksandra I. Ostatnie, smutne i mętne lata Aleksandra były przesłonione jakgdyby mgłą, coraz bardziej gęstniejącą. Nietylko bieżące życie polityczne Rosyi i Polski, lecz przyszłe nawet losy Cesarstwa i Królestwa topiły się w tej mgle ponurej i zdradnej. Na jej tle odrzynało się widmo reakcyi wszechwładnej stojącej u steru i majaczących gdzieś w ciemności młodych sił rewolucyjnych: dokąd się szło — nikt nie wiedział. Zakwestyonowaną została sama sprawa sukcesyi tronu. Aleksander nosił się z myślą abdykacyi a zarazem — przelania następstwa z drugiego brata, Konstantego, na trzeciego, Mikołaja. Na żądanie cesarza doręczył mu Konstanty osobiście w Petersburgu formalne pismo abdykacyjne (26 stycznia 1822 r.). Zdaje się jednak, że uczynił to jedynie pod warunkiem, iż rzecz cała pozostanie w ścisłej tajemnicy między nim a cesarzem, i że wogóle przypisywał temu pismu charakter czysto ewentualny; istnieją nawet pewne poszlaki, że to zrzeczenie się swoje wydał on głównie na wypadek abdykacyi samego Aleksandra. W rzeczy samej, jest jasnem, iż gdyby tu chodziło o akt nieodwołalny, w takim razie byłaby bezwarunkowo konieczną natychmiastowa jego publikacya oraz oficyalne objawienie obu narodom, rosyjskiemu i polskiemu, o prze-

niesieniu sukcesyi na Mikołaja. Tymczasem Aleksander *bez wiedzy Konstantego*, polecił sporządzić wiarogodne kopie tego aktu, sam tajemnie podpisał manifest (28 sierpnia 1823 r.) o abdykacyi Konstantego i przejściu korony na Mikołaja, i obadwa te dokumenty w czterech zapieczętowanych swoją pieczęcią pakietach złożył: w oryginale w Soborze Uspieńskim w Moskwie oraz w kopiach w Synodzie, Senacie i Radzie Państwa w Petersburgu. Konstanty aż do zgonu Aleksandra nie domyślał się niczego, wierzył w sekret swego listu abdykacyjnego, nie wiedział o istnieniu tajnego manifestu, zatem drogi do tronu nie uważał jeszcze sobie za nieodwołalnie zamkniętą.

Po nagłej śmierci Aleksandra I w dalekim Taganrogu (1 grudnia 1825 r.) nastąpiło, skutkiem tak dziwnego stanu rzeczy, trzytygodniowe bezkrólewie w Cesarstwie Rosyjskiem a czterotygodniowe w Królestwie Polskiem. Wyjawienie tajemnych dokumentów, złożonych w Radzie Państwa, ostatecznie skłoniło, a poniekąd nawet zmusiło Konstantego do pozostania przy akcie abdykacyjnym i ustąpienia korony Mikołajowi I. Odtąd jednak stanął on względem Mikołaja w stosunku anormalnym, niekiedy nadzwyczaj drażliwym, w pewnych zaś sprawach, zwłaszcza w polskich, wręcz opozycyjnym. Komplikacye rozpoczęły się natychmiast, skutkiem zamachu Dekabrystów (26 grudnia 1825 r.), dokonanego pod hasłem przysięgi na rzecz Konstantego. Wysadzona natychmiast (29 grudnia) Komisya śledcza petersburska w swoim raporcie (11 czerwca 1826 r.) wykazała istnienie tajnych związków polskich, mających styczność z ruchem rosyjskim; obrady i wyroki Sądu Najwyższego petersburskiego (15 czerwca—23 lipca 1826 r.) w sprawie Dekabrystów stwierdziły tę okoliczność. Na żądanie Mikołaja zarządzone zostało w Warszawie najsurowsze śledztwo w przedmiocie owych związków polskich. Istnienie ich nie było sekretem. Były one wykryte przed kilku jeszcze laty skutkiem śledztwa, wytoczonego w Wielkiem Księstwie Poznańskiem (w 1821 r.) oraz skutkiem zdrady w samem Królestwie (w 1822 r.), co doprowadziło wtedy do sprawy Waleryana Łukasińskiego i towarzyszy i do wyroku (14 czerwca 1824 r.) wydanego na nich przez Sąd Wojenny w Warszawie. Jednak, dzięki wielkiej mocy charakteru i głębokiej wytrawności Łukasińskiego, część tylko tajemnicy związkowej wówczas się wydała; zresztą dalsze jej zgłębienie i rozleglejsza represya nie leżały w intencyach Aleksandra, którego milcząca aprobata była pokrywała pierwsze zaczątki tej organizacyi. W. Ks. Konstanty w gruncie rzeczy byłby wołał uważać tę sprawę za umorzoną i obecnemu dalszemu jej odnowieniu

nie sprzyjał. Wyparowany z tronu i imperyum, poczynał on zatrzymywać się na myśli (będącej poniekąd echem dawnych widoków, kierowanych niegdyś, w dzieciństwie, na jego osobę przez Sejm Wielki) stworzenia sobie punktu oparcia w Królestwie. Nie uśmiechało mu się bynajmniej rozjątrzenie kraju, zatrucie swego względem niego stosunku, przez wielką sprawę polityczną nieobliczonej doniosłości. Ale skoro mu ona teraz została narzucona przez Mikołaja, z tem większą bezwzględnością ją prowadził w Warszawie, im bardziej sam siebie czuł obserwowanym z Petersburga. Zarazem przecie, jaknajniemiłosierniej prowadząc śledztwo warszawskie przy szpiegowskiej pomocy, a także sam pod szpiegowskim nadzorem Nowosilcowa, równocześnie w poufnej korespondencyi z Mikołajem z nadzwyczajną siłą i otwartością brał obronę Polaków i ich dążeń. Tymczasem, po licznych aresztowaniach, dokonanych w Królestwie w styczniu 1826 r., i ustanowieniu w Warszawie Komisyi Śledczej, na podstawie jej raportu (3 stycznia 1827 r.) oddano pod sąd 8 obwinionych o udział w Towarzystwie Patryotycznem. Dla osądzenia ich, na mocy trzech aktów monarszych, dekretu instrukcyjnego (18 kwietnia 1827 r.), rozkazu nominacyjnego i postanowienia zwołującego (19 kwietnia), wyznaczony został Sąd Sejmowy. Pierwsze posiedzenie Sądu odbyło się 15 czerwca 1827 r. w Sali Senatorskiej na Zamku Królewskim, poczem Sąd, wysadziwszy z siebie Delegacyę Śledczą, odroczył się na czas dłuższy (do 9 stycznia 1828 r.).

Na otwarcie Sądu Sejmowego, razem z innymi członkami, zjechał do Warszawy ks. Adam Czartoryski. Unikał on ostatniemi czasy stolicy, unikał zetknięcia się z rządem, przesiadywał na ustroniu u siebie w Puławach, czujnie jednak nasłuchując stamtąd gorączkowego tętna spraw publicznych. Pod sam koniec rządów Aleksandra bolesna sprawa Uniwersytetu wileńskiego, niegodziwe śledztwo Nowosilcowa, zatruły do reszty jego stosunek do zmarłego monarchy i spowodowały jego dymisyę z kuratorstwa wileńskiego w 1823 r. Wtedy też miał on z tego powodu przykrą rozprawę osobistą z W. Ks. Konstantym. Nie lubili się zresztą obadwaj oddawna. Było aż nadto do tego powodów. Stosunki wzajemne przybrały formę nader ostrą od pierwszej chwili pojawienia się Konstantego w Warszawie jeszcze w 1814 r. Od tamtego już czasu Czartoryski, w poufnych listach do Aleksandra, z właściwą sobie śmiałą szczerością oskarżał wrogie zachowanie się W. Księcia względem kraju, gdzie tak wybitne stanowisko przeznaczonem mu było; wystawiał gwałtownego i arbitralnego Cesarzewicza jako główną przeszkodę do utrwalenia normalnego życia publicznego

w Królestwie i do uregulowania stosunków polsko-rosyjskich; wprost doradzał i dopraszał się odwołania go z Warszawy. Czynił to zresztą w zupełnem do Aleksandra zaufaniu, wiedząc, że nie będzie ono nadużytem, t. j. że cesarz nie wyda go przed bratem, przed przyszłym, jak wtedy nigdzie nie wątpiono, monarchą. Nie wiedział tylko tego, że, jeśli Aleksander istotnie dotrzyma dyskrecyi, nie dotrzyma jej następnie Mikołaj. Obecnie, po dłuższej nieobecności, przybywał Czartoryski do Warszawy na Sąd Sejmowy, mając na siebie zwrócone oczy całego kraju, świadom ciążącej na sobie wielkiej odpowiedzialności. W sam dzień zgromadzenia się Sądu, 15 czerwca 1827 r., przed pierwszą, tak doniosłą sesyą, udał się zrana do Belwederu dla złożenia powinnego respektu W. Ks. Konstantemu*).

*) Cała poniższa relacya według własnoręcznego tekstu francuskiego, spisanego przez ks. Adama Czartoryskiego natychmiast po rozmowie:

„Le 15 juin 1827. Le Grand Duc m'a reçu d'un accueil froid. Après des questions insignifiantes il est tombé sur Wilno et l'affaire des étudiants. „A cette place—me dit-il—je vous ai bien prédit ce que c'était; vous voyez bien à présent que j'avais raison. Ces écoles étaient détestables, c'était un repaire des plus mauvaises choses.“ Il se mit à citer toutes les écoles: „Wilno la pire, Swisłocz, Kieydany etc.; Krzemieniec seul doit être excepté, il ne s'est trouve là un seul écolier coupable. Beaucoup de ces jeunes gens ne savaient pas ce qu'ils faisaient et où ils allaient.“ L'on aurait pu lui dire, qu'ils ne méritaient donc pas d'être traités comme des coupables et que partout c'eût été comme à Krzemieniec si l'on avait laissé faire, car Krzemieniec était réputée longtemps la plus dangereuse école.

Mais je me hâtais de détourner une conversation si désagréable pour moi, et j'observai que le buste de l'Empereur Alexandre était bien ressemblant. „Le petit l'est davantage.“ Je remarquai, combien Monseigneur avait dû être douloureusement affecté de la perte d'un tel frère, que je m'étais figuré toute sa douleur, que personne ne l'avait regretté tant que lui. Cela l'engagea à raconter ce qu'il avait souffert. Qu'en revenant de Dresde il avait déjà eu de mauvais pressentiments, qu'il avait oublié ensuite; et que quand il y pensait le moins, il avait reçu une estaffette de Diebitch qui lui apprenait que l'Empereur était incommodé. Qu'il n'en avait rien dit à personne. Que ces estaffettes s'étaient suivies. Ses inquiétudes, ses tourments à la réception de chacune, qu'il cachait même à son frère Michel et à sa femme. Arrivée d'un feldjeger. „Kakoff Hosudar?“ „Sława Bohu, zdoroff.“ „Smatry, szto ty goworisz, u menia pismo w rukach. Gowory prawdu. Kakoff Hosudar?“ „Oczen bolen.“ Dernier feldjeger avec une lettre à Sa Majesté Impériale l'Empereur Constantin; bord noir ect. Il fait lever le Grand Duc Michel: „levez-vous, habillez-vous, apprêtez-vous à apprendre de très mauvaises nouvelles de Taganrog.“

„W. Książę przyjął mnie chłodno. Po paru obojętnych zapytaniach, poruszył sprawę wileńską i studencką. „Tutaj, w tym pokoju—rzekł—przepowiedziałem Panu, co to znaczy; widzi Pan teraz, że miałem słuszność; te szkoły były haniebne, to było gniazdo najgorszych rzeczy.“ Zaczął wymieniać wszystkie szkoły: „Wileńska najgorsza. Swisłocz, Kieydany i t. d.; jeden tylko Krzemieniec stanowi wyjątek, nie było tam ani jednego winnego ucznia. Wielu z tych młodych ludzi nie wiedziało, co czynią i dokąd dą-

„L'Impératrice est morte?“ „Non, mais c'est lui.“ „Comment lui?“ „Oui“—et Michel resta appuyé au mur sans pouvoir donner un signe ou un son quelconque. Il fait venir sa femme qui à la première parole devine le reste et se met à sangloter et se retire chez elle. Il fait venir Kriwzoff, Fanshave et Nowosiltzoff. „J'étais décidé à tenir ma parole et à exécuter la volonté de mon frère; elle était pour moi sacrée; parcequ'il était mort, elle était devenue encore plus sacrée; il me verra à mon poste, quoique sans lui, exécutant ses désirs et ce dont nous étions convenus. Mais je ne savais absolument rien des lettres déposées au Synode, au Sénat, au Conseil. J'avais la réponse de mon frère et mon brouillon.“

„Je demandais au feldjeger, un ancien et un Polonais, de ceux qui allèrent vite: quand la nouvelle pourrait être sue à Pétersbourg? Il me répondit: „le 9 pendant la messe.“ Il n'y avait pas un instant à perdre. Je fis venir ces messieurs, je leurs appris la mort de l'Empereur et ma situation. Mais à la première connaissance ils tombèrent tous sur des chaises, en pleurant, hors d'état de m'entendre.“

Tout ce récit jusque là était infiniment touchant, et le Grand Duc le faisait avec une telle vivacité de couleur, que j'eus les yeux continuellement remplis des larmes qui ne voulaient pas s'en aller.

„Enfin il fallut que ce soit moi encore—dit-il—qui consolât ces messieurs: „Ah, ça, trève à la douleur, il faut agir ici, il faut marcher.“ Avec les deux pièces, qui étaient dans mes mains, il fallait rédiger les expéditions nécessaires. Mon frère Michel les portera, c'est lui qui s'en charge. Jugez, combien les expressions devaient être bien pesées. Je donnai des ordres pour que tout restât *in statu quo* jusqu'à nouvel ordre. Je renvoyai ma femme et nous restâmes avec mon frère Michel à cette table à fumer pendant toute la nuit, à attendre les papiers. Ils n'arrivaient que le matin en brouillon; il fallut les corriger, les transcrire. Mon frère partit enfin. Cette abominable bagarre du 26 arriva. On prétendit me prêter serment.“ Sur cette partie des incidents le Grand Duc ne me dit rien, parcequ'il sauta au contentement, qu'il avait eu qu'ici il n'y avait rien de semblable; combien c'eût été heureux pour ce pays, s'il ne s'était rien montré dans le Royaume et que cette malheureuse affaire n'eût pas été la suite du mauvais esprit de plusieurs brouillons. J'abondais bien dans ce voeu. Je ne me rappelle plus, par quelle transition nous en vinmes à la conversation suivante:

żą.“ Możnaby było powiedzieć mu, że w takim razie nie należało traktować ich jak winowajców i że wszędzie byłoby jak w Krzemieńcu, gdyby zostawiono swobodę działania, gdyż Krzemieniec był wszak przez długi czas uważany za szkołę najniebezpieczniejszą. Ale śpieszno mi było przerwać rozmowę tak nieprzyjemną; zwróciłem tedy uwagę na biust cesarza Aleksandra, że jest bardzo podobny. „Mały biust jest jeszcze podobniejszy,“ zauważył W. Książę. Wyraziłem wtedy, jak boleśnie Jego Wysokość musiał odczuć

„J'ai en ma possession toutes les lettres que vous avez écrites à feu l'Empereur. Il s'y trouve de belles choses contre moi. Vous avez voulu me faire déguerpir d'ici. Vous avez voulu me mettre un pied entre les jambes pour me faire tomber. Il nous faut aller à Bielany pour combattre.“ Il visait de la main comme du pistolet. „Pourquoi avez-vous écrit tout cela contre moi? Pourquoi avez-vous voulu me chasser d'ici? me mettre un bâton entre les jambes?“

Je ne puis pas dire que je fûs fort consterné par ces paroles. Mais d'une part j'étais indigné ou étonné que l'on ait été capable de livrer ainsi toute une correspondance; et de l'autre j'étais embarrassé sur ce qu'il fallait dire. Il n'y avait rien à nier; et vouloir expliquer ou réparer, c'était pire. Je ne sais, quelle impression produisit l'air impassible que je me sentais avoir; mais il ajouta de lui-même:

„Je sais que vous aviez une autre manière de voir, d'autres opinions, selon lesquelles vous agissiez.“

„Oui—dis-je—j'ai agi selon mon opinion et ma conscience. Je croyais que la conduite et la présence de Votre Altesse Impériale faisait tort au pays et à l'Empereur et j'ai écrit en conséquence ce qui me paraissait la vérité.“

„Eh bien! vous vous êtes trompé. Ce n'est pas moi qui ai fait tort à ce pays; c'est les Niemojowski et consorts; l'Impératrice Catherine, si elle revenait au monde, ne pourrait pas avoir de meilleurs suppôts; ils ont tout gâté. Je sais qu'on a fait une grande injustice à la Pologne. Mais comment la réparer? Il fallait attendre les effets des intentions de l'Empereur et non prétendre les prevenir. Si l'on s'était conduit autrement, vous auriez déjà obtenu à présent le but de tous vos désirs. Je suis Russe. Mon plus grand bonheur a été de servir l'Empereur Paul; j'aurais voulu le servir toute ma vie. Jamais je n'ai su aussi, combien j'aimais l'Empereur mon frère, que depuis que je l'ai perdu. Je suis Russe; je pouvais avoir des opinions opposées aux siennes. Mais, après les lui avoir exposées, lorsqu'il avait donné des contraires à ma façon de penser, je les exécutais avec un zèle, une ponctualité égale ou plus grande. Maintenant aussi je veux remplir ses ordres et ses intentions, comme s'il était encore vivant. Je veux qu'encore à présent il me voyo à mon poste où il m'a placé... J'ai toutes vos lettres. J'en ai de petites.“

„L'Empereur a fait de grandes sottises. Vous en avez fait de grandes. Mais on est jeune. A présent, à cinquante ans passés, vous ne le feriez (plus).

stratę takiego brata; że wyobrażałem sobie jego boleść; że niezawodnie nikt bardziej od niego nie opłakiwał zmarłego. Dało to pobudkę W. Księciu do opowiedzenia, wiele przecierpiał. Już wracając z Drezna, miał złe przeczucia, ale o nich później zapomniał. Nagle, kiedy najmniej tego oczekiwał, odbiera sztafetę od Dybicza [1]) o niedyspozycyi cesarza. Nie mówi o tem nikomu. Sztafety następują jedna po drugiej. Trawi go niepokój i troska, ale ukrywa wszystko przed bratem Michałem i żoną [2]). Przybywa znów feldjeger. „Kakow Hosudar?“ „Sława Bohu, zdorow.“ „Smotri, czto ty goworisz, u menia pismo w rukach. Gowori prawdu. Kakow Hosudar?“ „Oczeń bolen.“ Przybywa wreszcie ostatni feldjeger [3]) z pismem w czarnej obwódce, zaadresowanem do Jego Cesarskiej Mości Cesarza Konstantego. Konstanty budzi W. Ks. Michała: „Wstawaj, ubieraj się, są bardzo złe wiadomości z Taganrogu.“ „Czy cesarzowa umarła?“ [4]) „Nie, ale on.“ „Jakto, on?“ „Tak.“ Michał oparł się o ścianę bez ruchu i głosu. Sprowadzono księżnę Łowicką, która od pierwszego słowa domyśliła się reszty, wybuchła płaczem i wróciła do swoich apartamentów. Sprowadzono generała Kriwcowa, Fanshave i Nowosilcowa. „Byłem zdecydowany — rzekł Konstanty — dotrzymać mego słowa i wypełnić wolę brata; była ona dla mnie świętą, tem świętszą, że on już nie żył; ujrzy mnie on na mojem stanowisku, jak bez niego wykonywam jego życzenia i nasze umowy. Ale nie wie-

---

J'ai aussi fait de grandes sottises. Qui n'en fait pas? J'ai mis de côté de certaines lettres, pour qu'elles soient brûlées s'il m'arrive quelque chose. Pourquoi avez-vous voulu me chasser? Touchez-là... je ne vous en veux pas. Vous aviez des opinions opposées, mais en les suivant, je vois cependant que vous étiez réellement attaché à mon frère. C'est pourquoi je ne vous en veux pas. Embrassez-moi... Mais je vous avoue, que je vous tourmenterai souvent... Embrassez-moi... Il faudra nous battre... Embrassez-moi et allez-vous en. Encore un mot. Faites-y attention dans la besogne, pour laquelle vous êtes arrivé. Rappelez-vous, que plus vous serez sevère, plus vous servirez votre patrie.“

[1]) Wtedy szef sztabu armii południowej, przy boku Aleksandra w Taganrogu.

[2]) Joanna z Grudzińskich ks. Łowicka. W. Ks. Michał Pawłowicz, najmłodszy z czterech braci, bawił wtedy w Warszawie w gościnie u Konstantego.

[3]) 7 grudnia 1825 r. wieczorem (Aleksander umarł 1 grudnia o 11 przed południem).

[4]) Elżbieta Aleksiejówna, małżonka Aleksandra, była już wtedy poważnie chorą piersiowo i dla jej to właśnie kuracyi na skutek zalecenia lekarzy Aleksander udał się z nią do Taganrogu.

działem nic zgoła o pismach, złożonych w Synodzie, w Senacie, w Radzie Państwa. Miałem odpowiedź brata i mój brulion.“

Zwracamy w tem miejscu uwagę na doniosłość tego oświadczenia. Miał Konstanty przy sobie brulion swego listu abdykacyjnego (z 26 stycznia 1822 r.) i akceptującą, ściśle poufną odpowiedź Aleksandra. Natomiast o krokach, poczynionych przez cesarza poza jego plecami, celem ujawnienia tej abdykacyi w chwili swego zgonu, choćby wbrew woli Konstantego — W. Książe nie miał pojęcia. Można się było tego domyślać z pewnych wskazówek; obecnie, wobec powyższego oświadczenia, zapisanego przez Czartoryskiego, ten domysł zamienia się w pewność.

„Zapytałem się feldjegra, — kontynuował W. Książę — a był to Polak, starej daty, z tych co to sprawiają się żwawo, kiedy wieść o zgonie mogłaby dojść do Petersburga; odpowiedział: „9-go, podczas mszy.“[1]) Nie było chwili do stracenia, kazałem zawołać tamtych trzech panów, uwiadomiłem ich o śmierci cesarza i o mojem położeniu. Ale na pierwszą wiadomość padli oni z płaczem na krzesła, niezdolni mnie zrozumieć.“ [2]) Cała ta opowieść aż do tej chwili była bardzo wzruszająca; W. Książę mówił z taką żywością, że mimowoli miałem ciągle łzy w oczach. „Ostatecznie—rzekł—mnie wypadło pocieszać tych panów. „Dość tych żalów, trzeba działać.“ Na podstawie dwóch dokumentów, jakie miałem w ręku, należało zredagować niezbędne ekspedycye do Petersburga. Mój brat, Michał, podjął się je zawieźć. Osądź Pan, jak starannie wypadało ważyć każde wyrażenie. Wydałem rozkazy, aby narazie wszystko pozostało *in statu quo* aż do nowej dyspozycyi. Odesłałem żonę i pozostaliśmy sami z Michałem przy tym stole, paląc przez noc całą i czekając na wygotowanie papierów dla Petersburga. Przyniesiono je dopiero nad ranem w brulionie; trzeba było je poprawić, przepisać. Nareszcie mój brat wyjechał z niemi do Petersburga. Tymczasem nadeszła owa haniebna awantura petersburska 26 grudnia. Udano, że składa się przysięgę dla mnie.“[3]) O tej części wypadków petersburgskich W. Książę nic nie mówił, lecz przeskoczył od tego tematu do wyrażenia swego ukontento-

[1]) W rzeczy samej kuryer z Taganrogu z depeszą o śmierci cesarza stanął w Petersburgu 9 grudnia zrana; Mikołaj otrzymał wiadomość podczas mszy.

[2]) Jest w tem niezły dowcip: ci dworacy nie chcieli „zrozumieć,“ czy Konstanty jest cesarzem, czy nie.

[3]) Do kogo odnosi się ten zarzut o „udawaniu,“ czy do Dekabrystów, czy też do samego Mikołaja, który wszak poprzednio był złożył przysięgę wiernopoddańczą Konstantemu? — pozostanie sekretem W. Księcia.

wania, że nic podobnego nie zaszło w Warszawie; dodał zarazem, o ile lepiej byłoby dla tego kraju, gdyby w wypadkach petersburgskich nie wydało się żadnych śladów dotyczących Królestwa i gdyby obecna nieszczęsna sprawa warszawska o zbrodnię stanu okazała się jedynie skutkiem złej woli ludzi, pragnących zamącenia stosunków. Wyraziłem od siebie to samo życzenie. Naraz, nie przypominam sobie, jakim właściwie sposobem, przeszliśmy do następującego toku rozmowy:

„Mam w ręku — rzekł W. Książe — wszystkie listy, pisane przez Pana do nieboszczyka cesarza. Są tam piękne rzeczy przeciw mnie. Chciałeś mi Pan kazać stąd zmykać, chciałeś podstawić mi nogę i spowodować mój upadek. Powinniśmy pójść na Bielany strzelać się.“ Tu wycelował do mnie ręką, jakgdyby z pistoletu. „Czemuż pisałeś Pan to wszystko przeciw mnie? czemuż chciałeś mnie wygnać stąd, wstawić mi kij między nogi?“

„Nie mogę powiedzieć, — zapisuje w tem miejscu Czartoryski — aby mnie te wyrazy bardzo skonsternowały. Ale z jednej strony byłem oburzony i zdziwiony, że można było zdobyć się na wydanie w ten sposób całej korespondencyi, z drugiej zaś strony byłem w zakłopotaniu, co odpowiedzieć. Niepodobna było niczego zaprzeczać, a chcieć tłómaczyć się lub łagodzić, byłoby jeszcze gorzej. Nie wiem, jakie wrażenie uczyniła postawa nieporuszona, którą zachowałem. Ale W. Książe dodał sam z siebie:

„Wiem, że miałeś Pan inny sposób myślenia niż ja, inne przekonania, według których działałeś.“

„Tak jest — odparłem — działałem według swego przekonania i swego sumienia. Byłem zdania, że postępowanie i obecność Waszej Cesarzewiczowskiej Mości wyrządzała krzywdę krajowi i cesarzowi; pisałem tedy to, co uważałem za prawdę.“

„Otóż myliłeś się — zawołał W. Książę — to nie ja szkodziłem temu krajowi, ale Niemojowski [1]) i towarzysze; cesarzowa Katarzyna [2]), gdyby wróciła na ziemię, miałaby z nich najlepszą podporę; oni wszystko zepsuli. Wiem, że na Polsce popełniono wielką niesprawiedliwość. Ale jak ją naprawić? Należało czekać skutków intencyi cesarza, lecz ich nie uprzedzać. Gdyby inaczej się zachowano, bylibyście już dziś osiągnęli celu pragnień waszych. Jestem Rosyaninem. Najszczęśliwszy byłem, kiedym służył cesarzowi Pawłowi; byłbym pragnął służyć mu całe życie. Nigdy też

[1]) Poseł kaliski i przywódca opozycyi sejmowej.

[2]) Wiadomo, że Konstanty miał w szczególnej nienawiści pamięć babki.

nie wiedziałem, jak bardzo kochałem brata Aleksandra, aż odkąd go straciłem. Jestem Rosyaninem; mogłem mieć poglądy przeciwne niż Aleksander. Ale skoro mu wyłuszczyłem te swoje poglądy, on zaś wyraził opinie przeciwne memu sposobowi myślenia,—odtąd ja jego wolę wypełniałem z gorliwością, ze ścisłością zupełną, lub nawet ściślej jeszcze niż on sam. Obecnie pragnę również wypełnić jego rozkazy i intencye, jakgdyby on żył jeszcze; pragnę, aby on i nadal widział mnie na moim posterunku, tam, gdzie mnie umieścił. Mam wszystkie listy Pańskie, mam też małe liściki."

Jeśli poprzednio, wobec odkrycia swojej korespondencyi politycznej ze zmarłym cesarzem, opanował „konsternacyę" Czartoryski, — tutaj drgnąć musiał. Tu już nie chodziło o politykę. A więc te pamiątki dawnej przeszłości, młodości, ona zachowała aż do końca, nie rozstała się z niemi nigdy? Dopiero co zgasła, jak kwiat uwiędły, a już do świeżego jej grobu nielitościwe sięgnęły ręce? [1]) Bolesne zadziwienie swego słuchacza odczuł zapewne W. Książę, gdyż mówił dalej, jakgdyby przyciszając, łagodząc:

„Aleksander popełnił wielkie głupstwa. Pan również popełnił wielkie głupstwa. Ale było się młodym. Nie zrobiłby Pan tego dziś, po piątym krzyżyku. Ja również popełniłem wielkie głupstwa. Któż ich nie robił? Odłożyłem na stronę pewne z tych listów, aby zostały spalone, jeśli przytrafi mi się jaki przypadek. Ale czemuż chciał mnie Pan stąd wygnać? Połóż mi tu rękę na sercu (tu zapewne wziął dłoń Czartoryskiego i przyłożył do swej piersi), nie mam do Pana urazy. Miał Pan przekonania przeciwne moim, ale ja widzę, że postępując według tych przekonań, byłeś rzeczywiście przywiązanym do mego nieboszczyka brata. Oto dlaczego nie mam do Ciebie urazy. Uściskaj mnie... Ale uprzedzam Pana, że jeszcze nieraz będę Cię męczył... Uściskaj mnie... Powinniśmy się strzelać... Uściskaj mnie i idź sobie. Jeszcze jedno słowo. Zwracaj Pan baczną uwagę na sprawę, dla której przybyłeś do Warszawy. Pamiętaj Pan, że im będziecie surowsi, tem większą przysługę oddacie swemu krajowi."

---

[1]) W tej sprawie niezmiernie drażliwej istnieją skazówki pisemne w niewydanych w oryginale Pamiętnikach pani Golowin (własność p. Karola Lanckorońskiego w Wiedniu), w ogł. w Russ. Star. memoryale Rosenzweiga, Pamiętnikach Barauta, Listach Branickiego do Gagarina i t. d. Istnieje też tradycya ustna.

Na tem skończyła się ta dziwna rozmowa. Czartoryski był w niej stroną bierną. Ale były tu w grze rzeczy nazbyt ważne, aby mógł poprzestać na tym monologu wielkoksiążęcym, aby nie czuł się w obowiązku udzielić ze swej strony odpowiedzi. Po dniach dziesięciu, opuszczając Warszawę na czas przerwy w działaniach Sądu Sejmowego aż do ukończenia czynności delegacyjnych, stawił się ponownie w Belwederze z wizytą pożegnalną u W. Księcia, 25 czerwca 1827 r. Po zwykłych wstępach powitalnych, Czartoryski nawrócił do poprzedniej rozmowy i prawie jednym tchem, nieprzerywany przez słuchającego go uważnie Konstantego, wypowiedział następujące, z góry starannie przygotowane i rozważone uwagi: **)

**) „Conversation du 25 juin 1827... „C'est une grande consolation pour moi d'apprendre que Votre Altesse Impériale ne doute pas de mes intentions et de mon dévouement pour l'Empereur, à la mémoire duquel la plus vive, reconnaissance m'attachera jusqu' à la mort. Je suis heureux d'apprendre que si j'ai le malheur de différer avec Votre Altesse Impériale dans certaines opinions, j'ai le bonheur du moins de me rencontrer dans le but. Je ne diffère que dans les moyens à employer pour arriver à ce but, qui est celui de l'Empereur et le vôtre. Mais l'a-t-il toujours été? Il me semble que Votre Altesse Impériale longtemps ne l'avait pas adopté; au moins Ses discours et Sa manière d'agir semblaient l'annoncer; et c'est ce qui m'a fait croire qu'Elle faisait tort au pays et au service de Sa Majesté. L'Empereur semblait le penser aussi. L'Empereur ne le niait pas qu'il paraissait partager cet avis, mais disait alors: „Je ne suis pas éternel; je puis manquer; voilà mon successeur; il faut l'habituer à vos formes, l'intéresser, lui faire prendre goût à mon ouvrage, afin qu'il ne le détruise pas. C'est le seul moyen, et s'il est accompagné d'inconvénients, il faut les souffrir."

„Assurément pourtant votre manière de faire n'était pas la même que celle de l'Empereur. Je pensais, que celle—là était la véritable et je croyais qu'il devait vous l'inspirer. Je ne pouvais juger que selon les apparences. Vos discours et vos actions ne nous étaient pas favorables. C'est avec la plus grande douleur que je voyais en vous un ennemi de mon pays. Cela me décida à écrire. Je ne vous faisais aucun mal. Il ne pouvait vous en arriver aucun. Si même vous étiez rappelé d'ici, — ce qu'en vérité je n'ai jamais cru, — vous n'en étiez pas moins le Césarevitch, le frère chéri et le successeur du Souverain. Quel mal cela vous faisait-il? Et dans mon opinion le pays était tranquille et sauvé. Je bénirai le Ciel que je me sois trompé et que mes craintes ne soient pas fondées."

„Cependant, que peut-on faire sans confiance réciproque? L'Empereur la voulait. Mais on ne peut pas diriger une nation comme un individu et en prétendre la même chose. D'ailleurs, il n'y a que la confiance qui puisse l'inspirer. Un appareil continuel de force, une police secrète, police et contre-

„Jestto wielka dla mnie pociecha, że Wasza Cesarzewiczowska Mość nie powątpiewasz o moich intencyach, ani o mojem przywiązaniu do zmarłego cesarza, z którego pamięcią łączyć mnie aż do zgonu nie przestanie uczucie najżywszej wdzięczności. Szczęśliwy byłem, gdym usłyszał, że, jakkolwiek niestety różnię się od Waszej Wysokości w niektórych poglądach, schodzę się z Nim jednak co do samego celu. Różnię się jedynie pod względem środków, jakich wypadałoby użyć dla osiągnięcia tego mianowicie celu, który wszak i cesarz nieboszczyk i Wasza Wysokość masz na widoku. Ale czyliż miałeś go na widoku zawsze? Zdaje mi się, że Wasza Cesarzewiczowska Mość długo nie godziłeś się z tym celem; tak przynajmniej zdawały się wskazywać Jego odezwania się i sposób postępowania; i to jest powód, dla którego mniemałem, że Wasza Cesarzewiczowska Mość wyrządzałeś szkodę krajowi i służbie cesarskiej. Cesarz Aleksander zdawał się żywić podobne zdanie. Nie zaprzeczał on bynajmniej, że podziela moje zapatrywanie w tym względzie, ale mówił mi wtedy: „Nie jestem wieczny; może mnie zabraknąć; oto mój następca; należy przyzwyczaić go do waszych instytucyi, zainteresować go, kazać mu zasmakować w mojem dziele, aby go nie zniweczył. Jestto jedyny sposób, i jeśli jest połączony z niedogodnościami, należy je znosić.“

---

police, des espions, des dénonciations, des prisons, etc., tuent la confiance et font naître tous les soupçons. Tout semble remis en question. Cette situation des choses nécessite des actes arbitraires continuels. La Constitution est violée. Tout est remis en question. Ceux qui, pour se rendre nécessaires et avoir de l'influence et des pensions, infusent dans votre oreille du poison, de la méfiance; qui profitent de chaque chose pour faire naître des soupçons, pour rendre et les individus et la nation suspects, — sont assurément les plus grands ennemis de leur pays et de leur Prince. Ils ont fait plus de mal que les Niemojowski. Il est impossible, que l'injustice puisse faire du bien aux nations. Il y a eu injustice. Il faut la réparer, autant et plus pour la Russie, que pour nous. Cela ne se peut, qu'en réunissant les provinces au Royaume. (Sans cela) l'existence de celui-ci serait tout-à-fait fantasque; une lubie politique, contraire à la morale et au bon sens; un tourment de Tantale, présenté aux Polonais en Russie pour les induire éternellement en tentation; un piège tendu pour les faire broncher et pécher, et les punir et les martyriser ensuite; état de choses, au dessus duquel l'on ne peut imaginer rien de plus cruel et de plus criminel. La réunion rendrait ce pays heureux, de manière qu'il n'aurait raisonnablement rien à désirer de plus; jouissant d'une existence séparée sous le même sceptre, il aurait l'avantage d'une existence plus tranquille et plus sûre. Mais dans ce moment notre existence est l'opposé du calme et de la sûreté.“

Niezawodną jest rzeczą, iż sposób postępowania Waszej Cesarzewiczowskiej Mości nie był ten sam, co cesarza Aleksandra. Ja sądziłem, że tylko sposób cesarza był trafny, że zatem winien był natchnąć Waszą Wysokość. Nie mogłem sądzić inaczej, jak tylko według pozorów; mowy zaś i czyny Waszej Wysokości były dla nas nieprzychylne; z największą tedy boleścią widziałem w Nim wroga mego kraju. To mi kazało pisać do cesarza. Nie wyrządzałem Waszej Cesarzewiczowskiej Mości krzywdy żadnej. Nie mogła Mu zresztą wydarzyć się żadna krzywda z tego powodu. Nawet gdyby Go stąd odwołano — w co zresztą nigdy naprawdę nie wierzyłem — pozostałbyś zawsze Cesarzewiczem, ukochanym bratem i następcą Panującego. Cóż to byłaby za krzywda dla Waszej Cesarzewiczowskiej Mości? — a według mego przekonania kraj byłby spokojny i ocalony. Będę błogosławił Nieba, żem się omylił i że moje obawy były płonne."

„Jednakowoż — tak prowadził rzecz dalej Czartoryski, przechodząc od tego śmiałego tłómaczenia osobistego do otwartego wytoczenia przeciw W. Księciu zasadniczych grawaminów publicznych — cóż można uczynić bez wzajemnego zaufania? Cesarz Aleksander takiego zaufania pragnął. Ale niepodobna kierować narodem jak osobnikiem ludzkim i wymagać od niego tych samych rzeczy[1]). Zresztą, tylko zaufanie zdolne jest rodzić zaufanie. Ciągły aparat przemocy, policya tajna, kontrpolicya, szpiegowie, denuncyacye, więzienia, te wszystkie rzeczy zabijają zaufanie i są źródłem wszelakich podejrzeń. Wszystko zdaje się być zakwestyonowanem. Takie położenie pociąga znów koniecznie za sobą nieustanne czyny arbitralne. Konstytucya jest pogwałcona. Wszystko zostało podane w wątpliwość. Ci ludzie, którzy, chcąc uczynić się niezbędnymi i zachować wpływy i pensye, sączą truciznę do ucha Waszej Cesarzewiczowskiej Mości, sączą nieufność; którzy wyzyskują każdą sprawę, aby zbudzić podejrzenia, aby uczynić podejrzanemi i osoby oddzielne i cały naród — ci ludzie są niewątpliwie największymi wrogami swego kraju i swego monarchy. Oni to więcej od Niemojowskich sprawili szkody. Jest niepodobieństwem, aby niesprawiedliwość mogła wyjść na dobre narodom. Tu zaś stała się niesprawiedliwość. Należy ją naprawić, tyleż i bardziej jeszcze dla dobra Rosyi, ile dla naszego. A niepodobna tego uczynić inaczej, jak przez przyłączenie prowincyi zachodnich do Kró-

[1]) Oczywiście pod owym „individu" dorozumiewał się Czartoryski samego siebie i miał na myśli swój własny trudny stosunek do Aleksandra.

lestwa. Bez tego istnienie Królestwa byłoby fantasmagoryą; byłoby kaprysem politycznym, przeciwnym moralności i zdrowemu rozsądkowi; byłoby męką Tantalową, podsuwaną Polakom Cesarstwa, aby ich wiecznie wodzić na pokuszenie; byłoby wystawioną na nich pułapką, aby się ruszyli, aby zgrzeszyli, i ażeby następnie można było ich karać i męczyć; słowem, byłby to stan rzeczy, ponad który nic bardziej nielitościwego i zbrodniczego zgoła wymyśleć niepodobna. Przyłączenie natomiast uczyniłoby ten kraj szczęśliwym; niczego więcej niemiałby on do życzenia; ciesząc się istnością oddzielną pod tem samem berłem, miałby on sobie zapewniony byt spokojny i bezpieczny. Ale w chwili obecnej nasz byt jest zaprzeczeniem zarówno spokojności jak bezpieczeństwa.“

Silne te słowa przed paru jeszcze laty byłyby niezawodnie spotkały się z gwałtownym protestem W. Ks. Konstantego. Teraz jednak, główna przynajmniej myśl, w nich zawarta, znajdowała zupełną jego aprobatę. Zapewne: środków niekonstytucyjnych, represyjnych, policyjnych, on się nie wyrzekał bynajmniej, a nawet w tej samej właśnie porze, w sprawie Sądu Sejmowego, jaknajobfitszy z nich czynił użytek. Ale w kwestyi zasadniczej, polsko-litewsko-rosyjskiej, w tym samym czasie, w ciągu 1826 - 1827 r., w prywatnej korespondencyi swojej z Mikołajem, wychodził on—rzecz zadziwiająca—niemal dosłownie z tych samych przesłanek, jakie obecnie w jego gabinecie belwederskim wygłaszał mu na cztery oczy Czartoryski. To też nie tylko nie protestował W. Książę przeciw tym prostym i mocnym wywodom, lecz przeciwnie, sam się tłómaczył. Starał się mianowicie przekonać Czartoryskiego, że jeśli sam tak często i gwałtownie zbaczał z drogi konstytucyjnej, a tem samem z drogi, wiodącej do owego ostatecznego, głównego „celu,“ nie była w tem tylko własna jego wina, lecz również wina chwiejności samego Aleksandra. Na poparcie tego twierdzenia przytoczył W. Książę jeden nadzwyczaj charakterystyczny epizod z przed lat kilku. Działo się to w czasie pobytu Aleksandra w Warszawie na drugim Sejmie Królestwa w 1820 r. Monarcha znajdował się już wtedy w początku swojej fazy reakcyjnej a był też mocno rozgoryczony pierwszem energicznem wystąpieniem opozycyi na tym Sejmie.

Wyjeżdżając nazajutrz po Sejmie z Warszawy (14 października 1820 r.)—tak opowiadał teraz W. Książę ten epizod Czartoryskiemu — Aleksander kazał Konstantemu towarzyszyć sobie do Błonia i tutaj na pożegnanie powiedział mu krótko: „*Carte blanche.*“ „Jakto, Najjaśniejszy Panie, *carte blanche*?—zapytał Konstanty—a konstytucya?“ „Konstytucyę ja biorę na siebie — odparł Ale-

ksander — działaj swobodnie i nie troszcz się o resztę, masz *carte blanche*. Działaj i *carte blanche*," powtórzył kilkakrotnie [1]).

Te poufne swoje wynurzenia apologetyczne zakończył W. Książę wylewem serdeczności pod adresem Czartoryskiego. „Masz Pan — temi słowy zamknął rozmowę — dozgonne prawo do mojej wdzięczności i nieograniczonego zaufania. Pan jeden powiedziałeś mi prawdę, Pan jeden nie zmieniłeś nigdy swoich przekonań i nie pomyliłeś się" [2]).

Przyczynki powyższe rzucają poniekąd nowe światło na osobę W. Ks. Konstantego. Rzecz prosta, należy je brać *cum grano salis*, nie dosłownie, lecz z uwzględnieniem dziwacznego, dzikiego, a zmiennego temperamentu Konstantego oraz ówczesnej niezmiernie zawiłej konjunktury politycznej. Zresztą, nie chodziło ostatecznie o samą osobę W. Księcia. Jakiekolwiek były jego winy, był on, koniec końcem, tylko jednem z kół całej machiny, jedną z części składowych całego systematu: fatalny duch bezlitosny, rządzący w tym wrogim systemacie, obracający tryby tej machiny zniszczenia, był istotnym winowajcą.

Szymon Askenazy.

---

[1]) „Avant l'adieu ... l'Empereur ... l'a fait aller à Błonie et lui a dit: „Carte blanche." „Comment, Sire, carte blanche? et la Constitution?" „Je la prends sur moi; agissez toujours et ne vous embarrassez pas du reste, et carte blanche. Agissez, et carte blanche" fut répété à plusieurs reprises."

[2]) „Vous avez un droit éternel à ma reconnaissance et ma confiance la plus entière. Vous seul m'avez dit la vérité et vous seul n'avez pas varié d'opinion et ne vous êtes pas trompé. Novosiltzoff et Sobolewski avaient écrit le contraire."—Śród ułamkowych zapisek własnoręcznych Czartoryskiego z tej drugiej rozmowy, znajduje się też ustęp następujący, z powodu owych listów Czartoryskiego do Aleksandra, będących w ręku Konstantego: „A présent Votre Altesse Impériale me connait mieux que je ne me connaisse, avantage que peu de personnes auront vis-à-vis d'Elle. Dans un conte de fée il est question d'un palais, où chacun borgne; si nous entrions dans ce palais, je n'aurais plus qu'à gagner." Była to bardzo dowcipna aluzya do owych licznych „jednookich," t. j. denuncyantów, otaczających W. Księcia, a w innym zupełnie, nierównie szkodliwszym sposobie oskarżających go obecnie przed Petersburgiem, aniżeli to swego czasu czynił Czartoryski; aluzya przedewszystkiem do osoby najniebezpieczniejszego „jednookiego" — Nowosilcowa.

NAD GŁĘBIAMI.

Na balu doktor Sobica czuł się sam.

Przyczepił się najbliższego i najbardziej obojętnego mu kółka znajomych, aby uniknąć bystrych oczu pani Koleckiej. Bał się, że może go zaprządz do rozmowy z kimś, kogo będzie przeklinał w duszy. A tak był panem swoich słów i swego czasu.

Kamie nie pokazywał się na oczy. Widział ją często przelotnie. To było dla niego dosyć. Próbowała go mieć blisko siebie, bo drażniło ją to, że nie jest pod wpływem jej uroku, jej oczu i temperamentu i że za bardzo jest sędzią jej zachowania się, siedząc zdaleka. Ale doktor umiał zawsze wycofać się w porę z jej otoczenia.

Kiedy tańce rozpoczęły się w wielkim salonie, usiadł we framudze okna pod olbrzymią palmą, która zwykle rozścielała swoje rozkapryszone liście nad fortepianem. Ukrył się dobrze. Był niewidzialnym, choć sam widział wszystko, co się działo na sali.

Nie zapisał się Kamie do żadnego tańca. Było mu to zupełnie obojętną rzeczą, że w ten sposób ściągał na siebie jej gniew. Zresztą nie lubił tańczyć.

Kiedy po lustrze podłogi sunęły pary za parami, kiedy oddech tańczących podnosił ciepłotę sali, kiedy wonność kwiatów i perfum odurzała zmysły i wdzierała się do duszy razem z pieszczotliwymi, namiętnymi frazami muzyki — Sobica był ponury.

— Ojciec Kamy — rozmyślał — wodząc oczami po ścianach — zaczął karyerę od trzydziestu rubli na miesiąc, jako pomocnik adwokacki. Mniej miał niż ja teraz. Mieszkał gorzej niż ja. Nikt go nie znał. A dziś?

Rozkołysana muzyka buchała dźwiękami, które to cichły, to nabierały niezmiernej mocy i natężenia, jak człowiek dyszący w ekstazie. — W czarnych ramionach mężczyzn słaniały się złote kibicie kobiet — oczy płonęły — usta szeptały — i po dyamentach iskrzącej się posadzki płynęły już nie pojedyńcze pary, ale fale ciał za falami, fale namiętności za falami niewinnych pragnień, dusze białe, jak lilie, za duszami czerwonemi od grającej krwi...

Sobica zmrużył oczy. Nozdrzami wciągał w siebie ten ciepły, rozgrzany, narkotyczny zapach, który szedł od powiewu sukien, od mdlejących we włosach kwiatów i od rozchylonych ust...

Duszę napełniała mu gorycz bezbrzeżna.

— Dziś pan Kolecki—szeptał do siebie — zapomniał o mieszkaniu na poddaszu. Śni mu się, że tak, jak teraz, całe życie było.

— I dlatego ja jestem niczem, choć mój mózg stwarza miliony...

— I dlatego namyślam się, ile razy próg jego domu przechodzę...

— I dlatego Kamie zdaje się, że jej świat inny, a mój inny.

Z poczerwieniałemi z bezsenności oczami, powiódł po tej powodzi świateł, błyskawic drogich kamieni, wirujących par, które zdały się płynąć po falach muzyki... Wbił spojrzenie w Kamę, która wzdłuż ogromnych okien i ścian zieleni płynęła ku niemu oparta na ramieniu mężczyzny.

— Gandorf sybaryta przyciska ją do siebie — szepnął przez zaciśnięte zęby — Pochylają głowy ku sobie... mają sobie wiele do powiedzenia... więcej niż ja z nią...

Podniósł się z siedzenia. Rozchylił liście palmy, aby lepiej śledzić ich ruchy. Krew biła mu w skroniach. Wszystko bolało go dzisiaj.

Kama z Gandorfem zbliżała się ku niemu, jak rusałka kusząca po wodnej topieli...

— Satyr pochłania ją oczami... Satyr głodny jest... pasie wzrok na jej szyi różowej, na jej białych, wypieszczonych ramionach, na jej pełnych, jędrnych piersiach... hahaha... a ona dumna jest z tego... a ona bez tego żyć nie może, jak ptak bez powietrza.

Puścił nagięty liść palmy, który z szelestem uderzył o swe siostry. Zacisnął zęby. Dłońmi ścisnął skronie...

— Tak dokąd ma być?

Kama usłyszała trzepot liści... a za niemi dojrzała skurczoną, pociemniałą twarz Sobicy.

Doktor siedział w swojem ukryciu, twarz ukrywszy w dłoniach. Zjadał w sobie wściekły ból. Duma skręcała mu serce, jak powrósło.

— Mogę tu być albo nie być – jęczał mu głos w gardle — a ten szał będzie hulał po salonach bez pamięci.

— Panu Koleckiemu mógłbym powiedzieć w oczy, że zostawiłem duszę na progu jego domu, tu pod tą palmą, w tej spiekocie opiłą opium, a on rozśmiałby mi się w nos, i kazałby mi podać palto.

— Ha!—młot buchającej krwi uderzył go po skroniach. Wyprężył ramiona, jakby się z kim mocował.

— To nie ze mną gra — wyszeptał przez zęby.

Obok niego zaszeleściła suknia, szum wachlarza poruszył mu włosy na głowie. Obejrzał się. Za krzesłem stała Kama uśmiechnięta i wabiąca.

— Doktor poetycznie spędza czas — rzekła do niego pochylając się nad nim i dotykając go wachlarzem.

— Tak, poetycznie — odparł — wstając powoli.

— Czekałam na doktora.

— Tak, pewnie.

Bawił ją gniew Sobicy.

— Zazdrość go zjada — pomyślała.

— Pani traci złote chwile.

— Chciałam doktorowi przerwać rozmyślania, które dobre są w prosektoryum, tu my, żywi, bawimy się i doktor musi także.

— Zmęczony jestem. Muszę wkrótce iść.

— Ach! zawsze wymówka.

— Aby żywi mogli bawić się, trzeba robić majątek. Ja robię majątek na gorączkach. Pójdę stąd do jednej chorej kobiety.

— Chorej?

— Tyfus.

— Ach! tak? Dlatego doktor mnie unika?

— Nie dlatego. Dobrze mi płacą, mógłbym się bawić. Ale przy pani tyle pająków, motyli, świerszczy, że ja wśród nich byłbym tylko pajacem. To rola nie dla mnie... dla Gandorfów owszem.

Kama pobladła.

— Doktor musi mieć gorączkę — szepnęła.

Ukłoniła się chłodno i odeszła na salę.

— Pokażę mu—przysięgała sobie w duszy—że jest dla mnie tylko pajacem. Patrz, patrz, z poza liści... pień się, prostaku, ze złości.

— Nareszcie – odetchnął Sobica — wojna między nami. Teraz zupełnie inaczej się czuję.

Spojrzał na nią wzrokiem rozradowanym. Ogień palił się na dnie jego źrenic.

— Po co miałem się oświadczyć? — pomyślał – kiedy między nami tylko źle może się wszystko skończyć.

— Jutro otrzymam bilet od jej ojca, że wyjeżdżają z Warszawy, czyli, że zamykają przedemną drzwi...

— W takim razie...

Sposępniał.

— A jeśli mimo to nie otrzymam takiego biletu? jeżeli ona przełknie tę pigułkę i znów będzie taką dla mnie, jak była?

— W takim razie...

Zrobiło mu się dziwnie słabo.

— Zatem nie byłbym w jej oczach jednym z tych świerszczy i motyli, tylko czemś więcej?

Oczy zaświeciły mu się do tego morza blasku, który płynął ze sali. W takt rozkołysanej, upajającej muzyki grały mu myśli uszczęśliwione w duszy. Miękkie dłonie nieznanego dobra obejmowały go za głowę i szeptały do ucha przecudowne słowa.

— Kamo, Kamo — szeptał i modlił się do jej postaci — jaką ja bym ciebie szczęśliwą uczynił...

Rozrzewnienie podpływało mu do gardła drżącemi słowy, podpływało mu do oczu łzami serdecznemi. Gotów był rzucić się najbliższemu znajomemu na szyję.

— Idę za Tobą mój dobry duchu — mówił, posyłając za Kamą spojrzenie gorące.

Krążył po sali—chciał być blisko niej—chciał ją prosić o taniec - chciał patrzeć na jej usta i całować jej ręce wzrokiem.

Przesuwał się przez tłumy osób, które zalegały kąty sali tanecznej. Nieuważnie zaczepił guzikiem surduta o koronki hrabiny Sewerskiej. Omal, że nie wybuchnął. Ukłonił się niezgrabnie. W pobliżu stojące osoby patrzyły na niego ze zdumieniem.

Hrabina odezwała się do córki ironicznie:

— Comme à la guerre...

Sobica w tonie jej głosu dosłyszał obelgę.

Pchnął nieuważnie łokciem kłaniającego się paniom bankiera Menkloka.

Przysadkowata figura potentata finansowego wlepiła w doktora płowe oczy i rzuciła za nim wzgardliwy uśmiech.

— Temu zdaje się, że jest Kochem berlińskim — zrobił głośną uwagę.

Panie parsknęły dyskretnym śmiechem.

Sobica miał ochotę nieprzepartą wrócić i wymierzyć policzek bankierowi, ale rozum szeptał mu, że w takim razie nie ujrzy już więcej Kamy.

Nareszcie zbliżył się do niej. Po wargach tłukło mu się jakieś słowo, zaklinające ją na wszystko, aby była dobra dla niego,

aby nie zepchnęła go w nicość dla jednej sekundy złej woli, aby nie budziła w nim tych strasznych podszeptów, które jak czarne kruki, krążyły nad jego mózgiem.

— Kamo—mówił oczami - jestem twoim niewolnikiem...

Dostrzegła go. Mściwy błysk przeleciał po jej twarzy. Z czarującym uśmiechem przysłuchiwała się temu, co jej szeptał Gandorf. Nie spuszczała oczu z Sobicy, ale wzrok jej był zimny, obojętny, jakby go po raz pierwszy widziała.

Doktor minął ostatnią osobę, która oddzielała go od Kamy. Był w tej chwili jak dziecko, które gotowe zadowolić się jednem dobrem słowem. Pustka stanęła miedzy nim a nią. Lśniąca szyba posadzki oddzielała ich.

— Widzi mnie — szepnął sam do siebie — i nie widzi.

Podszedł do niej z pokorą w oczach.

Kama podniosła się z siedzenia. Szepnęła coś do sąsiada. Gandorf objął ją w pół.

— Doktor już tu? — zapytała chłodno.

Gandorf uśmiechnął się ironicznie, patrząc na doktora i uniósł ją w kłąb wirujących par. Tęskliwe upajające tony muzyki złączyły ich w jedną linię ruchu.

Sobica stanął w miejscu, jak wryty. Powoli, ale nieustannie, krew napływała mu do twarzy, do oczu, przepełniała mu skronie. W oczach poczęły mu latać czerwone plamy, w sercu zaskomlał ból i zniewaga.

— Doktor już tu? — huczało mu w uszach i biło po twarzy.

Zrobił kilka kroków niepewnych, bez celu.

— Co doktorowi? - zapytała pani Kolecka ujmująco, widząc, że samotny i zmieniony na twarzy.

Sobica nie pojmował pytania, nie słyszał słów... Patrzał na nią błędnie.

— Doktor słaby?

Zrozumiał.

— Wyczerpanie... — szepnął — nocny dyżur w szpitalu... nie spałem...

— Doktorze, proszę do bufetu.

Machinalnie poszedł za nią. Znalazł się przy stolikach pełnych win, koniaków i przekąsek. Widział, że mu ktoś nalewał wino, że mu podał kieliszek, który on przytknął do płonących warg i że ten ktoś zniknął potem tak cicho, jak cień.

Wchłaniał w siebie napój zimny, ożywczy... było mu zupełnie przez chwilę dobrze... żar przestał palić mu piersi. Przetarł czoło.

Bał się, że upadnie z nóg. Pił dużo. Ani przez chwilę nie czuł, aby go wino odurzało. Był silniejszy, bardziej obojętny. Pamięć tylko stępiała, tak, że z trudem zdawał sobie sprawę z tego, co zaszło.

Wiedział, że trzeba coś zrobić.

— Kama tańczy z Gandorfem...—rozmyślał leniwie—to dobrze, zupełnie w porządku. Haha. Zawsze z nim tańczyła... ja nie lubię tańczyć...

— Powiedziała mi... doktor już tu? aha, tak mi powiedziała. Bardzo dobrze powiedziała. Zupełnie w porządku.

— Zatem o co mi chodzi? może mam gorączkę? może ta chora obdarzyła mnie tyfoidalną gorączką?.. Kama nie ma gorączki... o, z pewnością.

— Wszystko w porządku.

Gwizdnął głośno, przeciągle. Mężczyźni obejrzeli się na niego w bufecie. Nie zważał na to.

Nalał sobie jeszcze wina.

— A więc tak będzie—rozważał—wrócę na salę. Wrócić trzeba. Powiedziałaby inaczej, żem tchórz. Wrócę więc na salę. Będę ziewał dyskretnie. Potem, kiedy zmęczona usiądzie, zbliżę się szybko do niej i powiem: Życzę wesołej zabawy, idę do chorej na tyfus...

— Wybornie... ukłonię się i wyjdę. Wybornie. Zupełnie w porządku.

Z uśmiechem ironicznym wszedł na salę. Orkiestra grała coraz ciszej... Walc dogorywał w ostatnich, namiętnych akordach... Na sali krążyło kilkanaście par. W ruchach ich było omdlenie kwiatów w czas lipcowego wieczoru.

Szukał Kamy oczami. Zdawało mu się, że ją widział wszędzie, lecz nigdzie jej nie było.

— Nie tańczy...

Wzrokiem natężonym, niespokojnym obiegł wszystkie siedzące osoby...

— Nie ma jej, wyszła...

W sercu zakołatał lęk.

— Dlaczego wyszła?

Oparł się o ścianę, myślał. Głos wewnętrzny krzyczał mu w duszy coraz wyraźniej:

— Idź, poszukaj. Może ojciec ją zawołał. Może matka ma jej coś do powiedzenia. Może poszła poprawić włosy... Idź szukaj...

Błąkał się po pokojach. Minął gabinet, gdzie grano w karty... minął salę, w której jakiś artysta deklamował... przeszedł kom-

naty w których pito herbatę, bawiono się rozmową... zajrzał do pokoju pań... pustka... Nie było jej także w sali jadalnej...

Męczące przeczucie kłuło go. Wyobraźnia poczęła pracować z wysiłkiem rozpaczliwym.

Znalazł się przy drzwiach, za którymi było zacisze z palm w sali balowej.

— Tam cię dojrzała — coś w nim szeptało — otwórz drzwi szybko, zajrzyj...

Wahał się. Z sali tanecznej wszyscy musieli już wyjść — rozważał.

— Po co tam wejdę? — pytał sam siebie.

— Idź, otwórz, zajrzyj — ten sam głos znowu wołał.

Wziął za klamkę, nacisnął ją, uchylił lekko drzwi. Sala pusta była, ale uchem pochwycił jakiś cichy śmiech.

Wszedł do sali ostrożnie. Dlaczego ostrożnie nie wiedział. Szept dochodził od strony palm.

— Tam cię dojrzała — przenikliwy głos powtarzał mu w mózgu nieustannie.

Włożył głowę między pnie. Rozchylił powoli kilka olbrzymich liści. Spojrzał pod światło i zadrżał.

Kama siedziała obok Gandorfa na tem samem miejscu, gdzie on przed godziną. Zasłoniła się wachlarzem, ale oczy i czoło wychylało się nad strusie pióra. Gandorf trzymał ją za rękę i pochylony mówił jej coś, przed czem co chwila oczy sobie zasłaniała.

Sobicy dech zamarł w piersi. Zwierzę rozszalałej zazdrości skurczyło mu szczęki, ściskało orbity ócz... Liście drżały w jego rękach.

Gandorf pochylił się jeszcze bardziej ku Kamie. Coś szepnął jej do ucha, za co otrzymał uderzenie wachlarzem, ale cichy śmiech jej przebaczył mu równocześnie. Wówczas Gandorf w mgnieniu oka objął ją w pół, przyciągnął do siebie, i utopił usta w jej szyi.

Sobica usłyszał:

— Idź pan! — a potem jej chichot.

Puścił gałęzie, obszedł palmy, i znalazł się oko w oko z nimi. Nie przemówił ani słowa. Szedł prosto na Gandorfa. Rzucił się na niego, jak dziki zwierz. Złapał go za włosy i począł wlec za sobą tą samą drogą.

— Doktorze! — krzyknęła Kama.

Nie zważał na nic. Charczącego mężczyznę dociągnął do drzwi, otworzył je i wyrzucił go na korytarz. Drzwi zamknął za nim.

Kama patrzyła przerażona na niego.

— Jakiem prawem? — wyszeptała.

On posiniały wbił w nią wzrok straszny.

— Prawem pierwszeństwa — rzekł świszczącym głosem.

— Ojciec dowie się o wszystkiem.

— Ojciec dowie się — odparł — że ma mi oddać rękę Kamy.

Zbladła jak płótno. Chciała wybuchnąć płaczem.

— Bez łez—rzekł.

Po chwili dodał:

— To między nami zostanie. On będzie milczał. Ja także. Chyba, że Kama chce się wyspowiadać z tego, co tu było... Za miesiąc, za dwa będę mianowany zastępcą dyrektora szpitala. Wtenczas będę prosił ojca o rękę Kamy.

Słowa Sobicy padały jej w serce, jak zimne kule gradu i zlatywały po ścianach w głąb bezdenną, płaczącą. Zrozumiała, że jakaś przemoc nieubłagana, straszliwa, brała ją za włosy, jak Gandorfa i ciągnęła za sobą... a ona nie mogła się bronić, ani myśleć o ratunku.

Sobica mówił jej po imieniu. On uważał ją już za swoją własność. Nie umiała mu nic odpowiedzieć. Wargi zwinęły jej się z przerażenia. Miała uczucie, że ściany sali, rozstąpią się i ludzie zbiegną się zewsząd, a wtenczas?

Oczy zamknęła, nie chcąc widzieć tego, co nastąpi.

Doktor rzekł:

— Dobranoc Kamo.

Wyszedł. Drzwi zamknęły się za nim cicho. Kama nie dowierzała swoim oczom. Długo zdawało jej się jeszcze, że Gandorf rzęży za drzwami, a na białym kolorze podwoi stoi cień Sobicy.

Na drugi dzień dostała lekkiej gorączki. Nie chciała nikogo przyjąć w swoim sypialnym pokoju. Wszystko ją drażniło. Co chwila wybuchała płaczem.

Ojcu ani matce nie chciała się przyznać do niczego.

— Przemęczyłam się — mówiła — bale mi nie służą. Mówiłam to nieraz papie.

— Nie męczcie mnie pytaniami, bo wam już więcej nie wstanę z łóżka.

Tego samego dnia pan Kolecki podał żonie dziennik. W wiadomościach osobistych było doniesienie, że August Tarowicz redaktor Gazety Krakowskiej ożenił się...

— Jak myślisz? pokazać to Kamie?—pytała pani Marya.

— Czy ja wiem, jak tam z jej sercem. To babska rzecz. Wspomina kiedy Augusta? wybiła go sobie z głowy?

— Mnie się zdaje — odpowiedziała mężowi — że to był tylko jej kaprys. Wiesz dobrze, ile ich już było.

— Niestety.

— Pokażę jej gazety. A najlepiej dam jej samej czytać.

— Dobrze moje dziecko — rzekł pan Kolecki — to może zwróci jej myśli w innym kierunku. Do licha, powinna sobie raz powiedzieć, że jak tak wszyscy jej wielbiciele pożenią się, to ostatecznie zostanie jej tylko spokojne staropanieństwo.

Pani Marya cicho wsunęła się do pokoju córki. Podniosła storę, aby więcej światła wpadło do sypialni.

— Po co mamo? — niecierpliwie odezwała się Kama.

— Przyniosłam ci dziennik, dobrze szukaj, a znajdziesz w nim ciekawą rzecz....

— Nie chcę...

— Wiadomość z Krakowa. Ojciec pisał do niego... widać poskutkowało.

Wyszła, ucałowawszy wpierw córkę.

Kama chwyciła za dziennik z pośpiechem gorączkowym.

— Wiadomość... z Krakowa—mówiła do siebie—może o nim...

Znalazła to, czego szukała. Gazetę upuściła na podłogę. Głowę przytuliła do poduszki. Czuła najwyraźniej, że jakiś zimny stalowy nóż wnika w jej skurczone serce. W krtani jęczał krzyk nieludzki, który bała się wydać. Mogłaby matka usłyszeć i przyjść ją pocieszać.

Zeskoczyła z łóżka. Drzwi na klucz zamknęła. Na pukania nie odpowiadała ani słowa.

— Pewnie chce spać — szepnęła pani Kolecka do miss Terry, nadsłuchując pod drzwiami — ona zawsze taka sama... egoistka...

Odeszła rozgniewana.

Kama padła bezwiednie na pościel. Łzy płynęły jej same z siebie. Piekły ją oczy.

— Zapomniał o mnie? — powtarzała uporczywie. W gardle czuła oschłość i spiekotę.

— Porzucił mnie jak coś, co mu się naprzykrzyło... jak zepsutą zabawkę...

— A ja myślałam, że on...

Wybuchła płaczem. Wszystkie tłumione, pogardzone uczucia podniosły blade liście ku górze i trącały w jej serce. Utajone pragnienia, marzenia zepchnięte w niepewność rzeczywistością codzienną, podnosiły się jak wicher gorący i przelatywały po polach duszy...

— Nie mój... nigdy już nie mój...

— W ramionach miał mnie swoich i nie mój... nigdy już nie mój...

Jęk dusił ją. Brak powietrza podnosił gorączkę. Wszystko krępowało ją—bielizna, pościel... pokój. Usiadła przerażona na łóżku.

— Co się ze mną dzieje? czy ja taka chora jestem?

Dłoniami dotykała się twarzy, czoła, skroni, jakby nie poznawała samej siebie.

— Nie, nie... przecież rozumiem wszystko... Tylko tu mało powietrza. Ojciec dał mi najmniejszy pokój ze wszystkich. Umyślnie. Chce mi pokazać, że jestem zależna od niego.

— Ojciec go odpędził... ojciec... przez nich to się stało... byli dla niego zimni, obojętni. Zaglądali mu w kieszeń. Przez znajomych dopytywali się o wartość jego majątku. To go zraziło. Szukał sposobności pierwszej lepszej i uciekł.

— Od nich uciekł, od nich, nie odemnie.

— Mówił mi po tysiąc razy, że bezemnie nie może żyć... a czy ja nie mówiłam mu tego samego?

Żal, ból jęły wyć w niej, jak dzwony bite młotem na pogrzeb umarłych. Stawała się sina i drżąca. Rósł w niej płacz obrabowanej kobiety, której porwano wszelkie mienie.

— Nie mój... nigdy już nie mój.

Szloch wydarł się jej z gardła głośny, rozpaczliwy. Zapomniała o całym świecie. Zapomniała, że może usłyszeć ją służba albo matka.

Płacz ponosił ją w kraje przeraźliwej pustki i osamotnienia. Cały świat skurczył się w jej oczach do wązkiego strzępa ziemi, na którym ona stała, sama bez nikogo, bez żadnej pomocnej ręki, bez niczyjego ciepłego spojrzenia, sama, jak na wysepce wezbranej rzeki gałęź oddarta od dalekiego drzewa i rzucona na dygoczące od rozszalałej wody kamienie.

Pierwsze prawdziwe uczucie miłości, które wjadło się w jej serce mimo woli i mimo protestu, pierwsze, które nie było grą ani błyskotaniem zmysłów lub fantazyi, pierwsze, które żyło na dnie serca biczowane pogardą, wyszydzane bezlitosną ironią, zohydzane codziennym flirtem i codzienną bezdusznością życia, wołało o prawo do bytu. Przyuczona do despotyzmu jej natura łamała się pod tym nieodwołalnym faktem, jak młoda wiśnia ścięta rozszalałym wichrem. Ból targanych nerwów i targanego ciała przyprowadzał ją do nieprzytomności.

— Dlaczego nie mój? — wołała w spazmatycznym szlochu, obie dłonie zanurzając w gęstych, rozrzuconych włosach — dlaczego tej innej, a nie mój?

Wodziła poczerwieniałemi oczami po szybach, na których mróz wyrzynał kwiaty prześliczne i tajemnicze jakieś znaki. Szukała odpowiedzi na ten jęk dzikiej, młodej miłości, która nie mogła zgodzić się bez walki z dokonaną rzeczą.

— Dlaczego?

Irysy, bielejące na szybach, poczęły tańczyć w dół, to do góry. Hieroglificzne znaki układały się w liście coraz bardziej wydłużone, aż stały się zupełnie podobne do wystraszonej twarzy, która się śmiała spazmatycznie z Kamy.

— Pyta się dlaczego? hahaha — hahaha.

Wlepiła ogromne niebieskie oczy w tę twarz chichoczącą, na szybach... uchem łowiła ten śmiech waryacki, który nie umilkł nawet na chwilę... lecz rósł i przechodził w życie. Ramy okien poczęły drżeć. Białe płaty śniegu, jak miliony drobnych duchów, przelatywały z błyskawiczną szybkością za taflami szyb, wołając:

— Nie wiemy, nie wiemy...

Kama usiadła w koszuli na łóżku i krzyknęła całem gardłem do przerażonej twarzy, która się poważyła śmiać z niej.

— Dlaczego? Ty podła! dlaczego?! mów!!

Twarz zniknęła. Pociemniało na polu. Śnieg przewalał się za oknem zbitymi tumanami.

Kama uspokoiła się. Skulona, pracowała całym wysiłkiem mózgu nad rozwiązaniem pytania.

Nagle błyskawice zaświeciły w jej oczach. Wyprężyła się, jak rażona drętwem. Usta jej wykrzywiły się, jak w konwulsyach.

— Wiem — szeptała do siebie — matka mówiła, że ojciec pisał do Krakowa. Matka mówiła, że to poskutkowało.

— To był list do niego. To był list taki, że August natychmiast ożenił się potem.

Dygot febryczny począł trząść nią całą. W pobladłych oczach rodziła się okropna nienawiść, zajadłość i wściekłość.

— Ojciec umyślnie napisał, aby zerwać wszystko między nami.

— Teraz trzeba się tylko dowiedzieć, czy tak było na pewno, bo to trzeba wiedzieć, aby coś uczynić!!

— Hahaha!! ojciec napisał!!

Podbiegła do drzwi zamkniętych na klucz. Biła w nie pięściami. Kiedy nikt nie zjawił się natychmiast, biła całą sobą o dębowe podwoje, aż jęk szedł po kurytarzu.

— Żyjecie, czyście pomarli?—krzyczała na cały głos—gdzie jest mama? gdzie jest ojciec?

Kilka rąk chwyciło za klamkę i szarpnęło drzwiami.

— Zamknięte—wołała—nie puszczę nikogo, bo jestem w negliżu! Czy jest za drzwiami papa?!!

— Jestem dziecko — rzekł przestraszony — co robisz? czego chcesz — zaziębisz się!!

— Boją się tego, że się zaziębię — przeleciała jej sina, jak trup myśl przez głowę — boją się tego.

— Kamo, czego chcesz? — prosił pan Kolecki — wstydź się, chora jesteś, takie krzyki.

— Bo umieram ze śmiechu. Niech ojciec pomyśli, że ten narwany August ożenił się. Mama mówiła, że ojciec pisał do niego. Jestem ciekawa, co ojciec napisał? Co ojciec napisał? hahahaha!!

— A niech cię Bozia kocha z twoimi napadami — wołał pan Kolecki rozradowany — myślałem, że dostałaś ataku nerwowego. Co ja napisałem? Napisałem mu moja złota, że jest bezwstydny, że postępowanie jego jest niehonorowe, i jeszcze coś, ale tego tu przy wszystkich nie mogę powtórzyć, ani nawet tobie. Hahaha. Rozumiesz. Hahaha. Poszedł po rozum do głowy i łap cap, ożenił się... hahaha...

— Dziękuje ojcu — rzekła Kama cicho.

— Tylko nie zazięb się — wołała pani Marya — idź natychmiast do łóżka.

Kama już nic nie odpowiedziała. Stała przed drzwiami długo, nadsłuchując, czy wszyscy poszli. Twarz jej skamieniała zupełnie—nabierając zielonych odcieni. Tajemnicze kwiaty na szybach poczerniały. Śnieg i noc hulały na ulicy.

Szybko podeszła do okna, dygocząc we febrze gorączki. Oczy jej śmiały się okrutnie. Bez namysłu odsunęła rygle i otwarła na oścież okno.

Jęk wyjącego wichru runął na nią, razem z przeraźliwem zimnem i masą śniegu.

— Tak dobrze, tak dobrze — powtarzała zsiniałemi ustami — teraz już nie jest gorąco... teraz nikt śmiać się nie będzie.

Rękami zbierała śnieg, który płachtami białemi obsiał jej nogi, i połykała go chciwie. Zimny napój ściekał jej w głąb, zamieniając krew w lód.

— Nie zaziębię się mamo ani papo — mamrotały usta.

Po chwili padła bez zmysłów na podłogę.

. . . . . .

Przywołany lekarz zażądał zwołania konsylium.

VII.

Zawrzało we dworze Zaniesinek, dokąd August z żoną przeniósł się po ślubie. W starym pałacu, z którego pan Henryk wyniósł się po śmierci swej żony, było znowu gwarno, po kilkunastu latach milczenia. Stara, nieliczna służba, sprawująca dotychczas pieczę nad gniazdem rodziny Tarowiczów, pokryła się po kątach, oszołomiona nagłą zmianą.

Pan August był wesół i dziwnie podniecony. Palił się w nim ogień. Nikt nie widział go bezczynnym. Zaledwie wstał, dosiadał konia i ruszał w pole na objazd folwarków, albo włóczył się z leśnym po borze z fuzyą na plecach i psem Kantusiem przy nodze.

Dla każdego miał zapytanie na ustach, albo pozdrowienie. Chętnie wdawał się w pogawędki z chłopami, którzy po stodołach młócili zboże, zaglądał na plebanię i wypytywał się księdza o potrzeby parafii, albo zjawiał się niespodziewanie na lekcyach w szkole ku przerażeniu nauczyciela i nauczycielek.

Bywało, że w rozmowie nagle zapomniał o co go pytano i o czem wogóle rozmawiał. Oczy jego wpijały się wtenczas w bezprzestrzeń i ciemniały — ale trwało to bardzo krótko. Znowu uśmiech, nieraz prawie że cyniczny, zjawiał się na jego wargach i słowa odpowiedzi płynęły z nerwowem ożywieniem.

Ktoby dłużej go obserwował, dostrzegłby, że z jego zachowania wynurzały się jakieś smutne cienie przymusu, że w śmiechu, niekiedy bardzo serdecznym i otwartym, często grały tony szyderstwa.

Unikał samotności z chorobliwą obawą. Jeżeli nie miał zajęcia, godzinami całemi przesiadywał przy żonie. Nie brał żadnej książki do ręki, ani nie pisywał listów.

— Zanik zmysłu myślenia — mawiał wesoło, ile razy pani Natalia zwracała mu na to uwagę.

— Czy dlatego, że ożeniłeś się ze mną? — robiła mu wymówkę.

— O nie — odpowiadał — przeciwnie, dlatego ożeniłem się, ponieważ czułem, że katastrofa zbliża się szybkim krokiem. Chciałem mieć takie żonisko, któreby za mnie myślało.

A jako dalszy ciąg rozumowania wygwizdywał aryę z jakiejś, już dawno przebrzmiałej operetki.

— Przyznam ci się — bronił się nieraz, kiedy sam na sam zostawali ze sobą wieczorem — że jest pewien urok w tem życiu drobiazgowem, codziennem. Człowiek tak żyjąc, przypomina pszczołę, która o nic się nie troszczy, tylko miód znosi wytrwale do ula. Istotnie, myśl każda, o ile nie da się wyrazić na zewnątrz i o ile w niczem nie wpływa na bieg życia potocznego, jest wysiłkiem straconym, a ja właśnie w ten sposób żyłem wysiłkami straconymi...

Pani Natalia uśmiechała się do obejmującego ją za szyję męża, ale tłómaczenie jego nie bardzo jej się podobało.

— Coś mi kręcisz — odpowiadała smutnie.

Pocałunek przecinał dalsze wymówki. Uciecha młodego życia zasuwała im na oczy mgłę rozmarzenia — uściski mówiły więcej, niż usta — wypowiadały się w silniejszych wzruszeniach, niż wszystko inne. Dwoje młodych ludzi, oddanych sobie, znajdywało czar we wspólności życia, które na każdym kroku rzucało im się w oczy w ognistych barwach zmysłów i w słodkich dotykach wygody, jaka ich otaczała.

— Nie przypuszczałem nigdy — twierdził August — aby kobieta mogła tak dalece być nieodzowną towarzyszką mężczyzny, jak sam obecnie przekonywam się o tem. Sen nasz wspólny, rozkosze wspólne, wzruszenia wspólne... łańcuch nieustającej wspólnoty... tego mi właśnie brakowało... Brak tego bywał pewnie przyczyną chwilowej mojej niepoczytalności i chorobliwych rojeń. Z tobą mi dobrze. Szukałem, czembym mógł wypełnić życie i wypełniam je kobietą...

Pani Natalia odwracała oczy od blasku płonącego jego wzroku.

— Jesteś brzydak.

— Co mam począć — odpowiadał — kiedy istotnie tak jest. Mam kłamać, że nie przepadam za powabami twoich wdzięków, kiedy właśnie pełen jestem twego obrazu?

Do Krakowa wracać nie chciał. Prowadzenie dziennika powierzył sekretarzowi redakcyi, dając mu zupełną swobodę postępowania. Instynktownie czuł, że ta słodka beztroska, która rozsiadła się około niego w Zaniesinkach, pryśnie pod pierwszem zetknięciem się z przykrościami życia. Tam, w Krakowie, zostawił pamięć o sobie dawnym, tam miał swoich nieprzyjaciół, tam przeżył wszystko to, co go bolało.

Wegetacya na wsi, pełna spokojnego przeżywania uciech życia, rozkoszna gnuśność przy boku żony, która stwarzała z nim razem mały świat zamknięty w sobie, niedostępny dla obcych, a wystarczający aż do zbytku dla obojga, przykuwały go tem sil-

niej do domu, im bardziej przykre i bolesne były wspomnienia z niedawnej przeszłości.

— Mam wszystko, czego mi potrzeba — zapewniał August Natalię — dlaczego nie mam z tego korzystać? po co mam koniecznie w Krakowie prowadzić życie niespokojne, szarpany przez byle głupstwo, kiedy tu mam sen dobry i śmieję się z siebie dawnego? Dziwiłem się przedtem ludziom, którzy, porastając w dostatki, jak w pierze, zasklepiają się we własnym domu i niechętnie wychylają na zewnątrz. Teraz wiem, dlaczego tak robią. Dusza ich śpi spokojnie i czynna jest o tyle, o ile tego potrzebuje ciało...

Upłynęło tak kilka tygodni. Młoda para zawiązywała liczne znajomości w okolicy. Krzywiono się trochę na byłą guwernantkę, która nagle przez mezalians weszła do nieswojej sfery, ale majątek Augusta i uprzejmość, jaką okazywał żonie, zmuszały wielu do oględności. Nie chciano narażać się bogaczowi, który miał do rozporządzenia dziennik...

A gdyby zechciał odpłacić się pięknem za nadobne? a gdyby w jakiej zjadliwej korespondencyi przypięto na jego rozkaz łatkę niewygodnemu sąsiadowi?

Pani Natalia niechętnie wyjeżdżała z domu. Sama nie miała jeszcze czasu oswoić się ze swojem nowem położeniem. Przyjęła rękę Augusta, wzięła z nim ślub, żyła z nim, ale stało się to tak niespodziewanie prędko, że chwilami brała rzeczywistość za sen. Tem bardziej bolesnem przypomnieniem były dla niej wyjazdy z mężem w okolicę, do domów, w których niedawno bywała jeszcze, jako nauczycielka Jasia.

— Dlaczego Nałko jesteś taka smutna? — pytał ją August, kiedy raz jechali do Pruszkowa. Czy nie lubisz Offerów? mili ludzie, a zwłaszcza baronowa...

— Wiesz — odpowiedziała — że dawniej prowadziłam inne życie, więcej zamknięte i ciche... przyzwyczaiłam się do tego... ale mniejsza o to, nie zważaj na mnie—muszę się z tego wyleczyć.

— To dziwne... z Michasią często wpadałaś do Pruszkowa, mogłaś się już była przyzwyczaić do Offerów.

Pani Natalia zarumieniła się.

— Dla mnie wszystko jedno, Offerowie, Kaniewicze czy Sanieccy — broniła się — ale mój drogi, wtenczas, jako nauczycielka Jasia bywałam u nich, mogłam siedzieć cicho w kącie, a teraz nie mogę... trzeba mówić, mówić i mówić...

Wracali już do domu późno w noc, kiedy August, zapalając cygaro, dostrzegł przy blasku zapałki, że łzy płyną z ócz jego żony.

— Natalko, co tobie? — zapytał niespokojny.

Nie odpowiedziała ani słowa.

— Może kazać stanąć? może jesteś chora? czy ci kto jaką przykrość zrobił? Nalko, powiedz.

Wzięła go za rękę, przycisnęła do ust i choć chciał się bronić, całowała ją długo.

Nalko, co ci się stało?

— Nie bierz mnie ze sobą. Ja nie umiem się znaleźć — prosiła.

— Co tobie do głowy przychodzi? ty nie umiesz się znaleźć?? Nalko, mów mi całą prawdę. Wiesz, że niema rzeczy, której nie zrobiłbym dla ciebie... Nie ukrywam się z niczem przed tobą, dlaczego ty postępujesz inaczej?

Pani Natalia zapłakała cicho, nie mogąc opanować łez.

Mówiła:

— Byłam przedtem biedną nauczycielką — weź to pod uwagę. Nie należę do ich sfery.

— Czy dają ci to uczuć? — zawołał wzburzony.

Milczała.

— Nie mam do nich żalu — rzekła po chwili — są w swojem prawie. Nie obrażaj się na nich za mnie. Dla ciebie oddani są całem sercem. Ale mnie uwolń od tych wizyt... dla mnie to tortury...

August nie odezwał się ani słowa. Siedział chmurny obok Natalii. Ostry cierń usadowił mu się pod sercem. Rozważał głębię krzywdy, jaką wyrządzono jego żonie.

— Wszystko jedno — myślał — moja żona, czy nie moja żona, ale dlaczego ta podłość z ich strony? dlaczego w tych ludziach biją takie robaczywe serca?

Otwierała się przed jego oczami otchłań bezdenna przesądów, uprzedzeń kastowych, głupoty towarzyskiej. Bezsilna, wściekła złość podnosiła mu piersi. Zęby zaciskał, bo obok siebie miał kobietę, której mimo wszystko nie oszczędzano.

— Dlaczego te psy — krzyknął na cały głos — wynoszą się nad drugich!!

Pani Natalia chwyciła go za rękę. Konie zerwały się niespokojnie i zaczęły ich ponosić.

Z ciemnej, bezświetlnej nocy lutowej nie przyszła żadna odpowiedź. Tułający się wicher po polach obrzucił ich błotem, zerwanem z kopyt końskich, i poleciał dalej z nienawistnem wyciem.

W świeżą ranę Augusta wsiąkały wszystkie ostre soki, które ironia, rozum i gniew, wydzielały z siebie. Począł go trawić ogień wewnętrzny, zły i okrutny.

— Jakże mały i lichy ten świat — rzekł do żony, kiedy dojeżdżali już do domu — wierz mi, droga, że pierwszy raz w życiu uczucie pogardy zrodziło się we mnie dla ludzi. Jakaż nikczemna małość musi się w nich gnieździć, kiedy nie mogą tobie przebaczyć, że byłaś kiedyś nauczycielką.

— Jeszcze o tem myślisz? — rzekła do niego, biorąc go za rękę — ja już dawno zapomniałam.

— Tak, myślę, bo zastanawiam się nad tem, co można ukuć z takiego podłego metalu, jakim jest człowiek. Powiedz mi, co?

— Choćby ciebie, mój drogi — odpowiedziała wesoło. Czy to mało?

— Nalko, przestań o mnie mówić. Prosiłem cię o to tyle razy. Chcesz przecież, abym był szczęśliwym, tak czy nie?

— O tak.

— A moje szczęście tkwi w tem, aby nie myśleć o tem, coby mogło być. Jestem tem, czem jestem, to mi wystarcza na dziś. Za podły świat, aby warto było żyć inaczej.

Tej nocy, kiedy August usnął, pani Natalia długo płakała. Sama nie wiedziała dlaczego, ale nerwowy lęk ogarniał ją o tego człowieka, któremu stawała się bliższą z każdym dniem. Nie umiała zdać sobie sprawy, skąd płynie jej niepokój, rozumiała tylko, że August chce być szczęśliwym i że wmawia to w siebie, ale nim nie jest.

Uklękła przy jego łóżku i całowała jego rękę. Jakiś strach brał ją za włosy, że oto pod jej opieką śpi jej mąż, a za chwilę, kiedy ona zaśnie, może wicher przyjść przemocny, który go porwie... Gdybyż na pomyślne drogi, gdybyż do stóp prawdziwego szczęścia...

Ale jeśli to będzie ów parów głęboki, bezdenny, który jej śnił się po pierwszem poznaniu Augusta w Mięckowicach, parów, do którego widziała jak leciał na zgubę — i ona będzie napróżno wołała: „ratujcie?!!“

Dreszcz ją przechodził. Los szarpał strunami jej duszy i wyrywał z nich lęk bólu. Błyskawicą przemknęły jej w oczach suchotnicza twarz siostry, potem twarz matki z okropnemi, otwartemi źrenicami, potem małej Elki i pierwszego męża... same cienie przeraźliwie bolesne, przeraźliwie wyraźne...

— Nie myśl o tem! nie myśl o tem — powtarzała wciąż sama sobie, głowę kryjąc łzami w zroszonych dłoniach...

— A gdyby i on poszedł za nimi? — nagle jakiś zimny szept rozległ się w pustce jej duszy.

— Jezus Marya! — krzyknęła i wybuchnęła płaczem.

August obudził się. Ujrzał żonę klęczącą przy sobie i zanoszącą się od łkania.

— Nałko, co tobie? ty jeszcze nie śpisz?

Przyciągnął ją do siebie. Ukryła mu głowę na piersiach, dusząc łzy w sobie.

— Nic mi, nic mi — szeptała — zdrzemnęłam się przy twoim łóżku i śniło mi się, że nas konie ponoszą.

— A, dlatego. Śpij spokojnie. Nie poniosą nas konie, ani też nie jest to rzecz taka straszna. Ile mnie już razy ponosiły, jestem jednak żywy.

Od tego czasu August spochmurniał. Jak nagle przedtem począł zawiązywać znajomości, tak nagle przestał bywać w sąsiedztwie. Offerowie, spostrzegłszy swój błąd, starali się na wszelki sposób ująć sobie Natalię, sądząc, że ona jest przyczyną zerwania przyjaznych stosunków. Wszystko napróżno. August nie ukrywał pogardy, jaką miał dla nich, a drobne grzeczności, okazywane przez nich Natalii, drażniły go jeszcze bardziej.

— Błoto, błoto — mawiał do żony, ilekroć pachnący liścik, pisany ręką baronowej, przywoził umyślny posłaniec dla Natalii.

Teraz już rzadko kiedy wychylał się z domu. Gniewał się, jeśli Natalia wychodziła do ogrodu bez niego — lub brała książkę do ręki. Lubiał nadewszystko opowiadać o podróżach swoich po Europie i Egipcie. Wtenczas ożywiał się. Rozkoszował się wspomnieniami widoków natury i niebezpieczeństw, jakie dzielił z przewodnikami, drapiąc się na śnieżne, karkołomne szczyty Alp.

Układał z nią razem plany na przyszłość, gdzie pojadą i co zwiedzą, ale nie chciał zaraz ruszyć do Włoch, choć pora była najlepsza. Zasłaniał się tem, że mu lepiej w domu i że w drodze trzeba znosić dużo niewygód, od których odwykł.

Na każdą pocztę czekał niecierpliwie. Przerzucał dziennik gorączkowo, szukając jakiejś wiadomości, której nigdzie nie mógł znaleźć. Powtarzało się to codzień.

— Dlaczego nie pobrali się jeszcze? — rzekł raz do żony niespodziewanie, odkładając dziennik z wyrazem bezbrzeżnej nudy.

Pani Natalia spojrzała na niego zdziwiona.

— A tak — rzekła mimowoli, nie wiedziała jednak kogo August miał na myśli.

— Najlepiej tak, jak my — mówił dalej, patrząc w okno, zalane deszczem zmięszanym ze śniegiem — chwila dokonała wszystkiego... przeżyliśmy wszelką niepewność... i los nasz już jest wspólny. Ani ty, ani ja nikomu już nie wejdziemy w drogę... mamy swoją własną, jedną.

Zwiesił głowę, zamyślił się. Potem dodał rozdrażnionym głosem:

— A oni męczą się.

Podniósł oczy na Natalię bezdennie smutne. Zawiesił na niej długie, bardzo długie spojrzenie. Spostrzegł się.

— Prawda, nie wiesz o kim mówię. Całkiem nieznani dla ciebie młodzi ludzie. Powiem ci kto to, jak się to już raz stanie. O, bo to będzie bardzo ciekawa karta wyrwana z życia.

Pani Natalia nie nastawała na niego, aby wyjawił jej, kogo ma na myśli. Więcej zabolało ją jego spojrzenie dziwne, długie, pytające, które w niej utkwił. Powtarzało się to coraz częściej. Za każdym razem jej wrażliwa natura kurczyła się ze strachu. Czuła instynktownie, że August może mimowoli, może bezświadomie ocenia jej wartość, ale coraz częściej i coraz bardziej natarczywie.

— Czy żałuje tego, że ze mną się ożenił? — pytała się nieraz przestraszona w duchu — może zamknęłam mu świat? może wyobrażał sobie, że będę inną?

Na takiem rozmyślaniu spędziła raz bezsenną noc. Rozgorączkowane myśli pchały się jedne po drugich do jej umęczonego mózgu, uciekając dalej z trzepotem ostrych skrzydeł.

— Nie dla niego jesteś! nie dla niego jesteś! — huczał nad jej głową puszczyk ironii — jego duch błąka się po szczytach, na które ty nigdy nie wejdziesz, bo zawrót głowy zwali cię z nóg.

— Wszystkiem go darzysz, czem darzyć może kobieta — krzyczał przeraźliwie inny głos z pośród gromady lękliwych cieni, które otoczyły jej łóżko — a dlaczegóż nie poprzestaje na tem? dlaczego smutny jest, jeżeli nie pragnie czegoś więcej, niż ty dać z siebie możesz?

— Jest twój, a nie twój — zaśmiało się echo w kącie sypialni i wpijało w nią oczy strachu — leży obok ciebie po ostatnim twoim uścisku, a dlaczego marszczy brwi we śnie? czy taką gorzką mu byłaś?

Pani Natalia podniosła się i spojrzała na Augusta. Niebieskie błyski płonącej lampy w pokoju rzucały mu na zamknięte oczy i usta fioletowe, głębokie cienie. Zdawał się leżeć nieru-

chomo, tylko od czasu do czasu skurcz nagły mięśni ocznych mówił o tem, że mózg śpiącego roi sny niespokojne.

Usiłowała zasnąć, ale już blady poranek wciskał się po pod story i zaglądał na podłogę anemicznem światłem, a ona jeszcze nie zmrużyła oczu. Rozpalona głowa ciężyła jej, jak kamień. Męka wytarła z jej twarzy rumieńce i pociągnęła jej policzki bladością chorobliwą.

Kiedy August przetarł oczy i począł się zbierać po cichu, Natalia spytała go:

— Czy wyjeżdżasz gdzie?

— Nie — odparł — pójdę do lasu. Albo, jak myślisz, byłoby może dobrze, żebym wpadł do Krakowa?

— Jedź mój drogi. Rozerwiesz się trochę. Dla ciebie życie na wsi jest zbyt monotonne.

— Pojedziemy razem.

— Nie, lepiej sam — prosiła.

— Jak chcesz — odpowiedział — ale będzie mi się zdawało, że nie mam prawej ręki.

Natalia uśmiechnęła się do niego. Ucałował ją serdecznie.

— Pani żona wypuszcza mnie z pod swojej opieki — rzekł wesoło — widocznie za dużo broję, sprzykrzyłem się, dostaję kosza...

— Nie! nie! — zawołała, zarzucając mu ręce na szyję — nigdy! zawsze, zawsze pozostanę dla ciebie tą samą! żebyś popełnił nie wiem jaką zbrodnię zawsze mi będziesz tak samo drogi!

— Kochasz mnie? — zapytał.

— Czy ja wiem, jak się to nazywa — odpowiedziała gorączkowo — ale kiedy tak się już raz stało, że jestem twoją żoną, przywiązałam się do ciebie, jak jaki ptak. Przecież taki byłeś dobry dla mnie. Przecież takie mi życie stworzyłeś piękne. Przy tobie zapomniałam o wszystkiem, co przeżyłam, mam już swój nowy dom... nowy świat... i swojego pana...

August całował jej ręce, oczy i do ust jej przywarł się pocałunkiem tak, że z bólu krew do nich napłynęła obficie, ale w duszy słyszał głosy, jak zgrzyty żelaza po gładkiem szkle:

— Czem jest kobieta?

— Liche drzewo, które potrzebuje podpory.

— Przywiązała się do ciebie, przywiązałaby się tak samo do innego.

— To się nazywa człowiek, bo ma instynkty niewolnika.

— Jedna z tych, które są subtelniejsze, a jaka w swej prostocie płaska.

— Hahaha, twoja żona.

— Myślisz, że inaczej kochałaby Kama?

— Ta sama rozkosz, bo to samo głupstwo.

— Niewolnice... hahaha...

August zacisnął zęby. W przepastnych głębiach duszy huczał gdzieś głos ogromny:

— Nigdy taką nie byłaby Kama!

— Nie jadę — zawołał, tuląc twarz do rozpłomienionych policzków Natalii—przy tobie mi najlepiej. Przyciśnij mocniej moją głowę. Nie żałuj ramion. O tak. Niech zapomnę, że cały świat istnieje. Daj mi ból, jeżeli rozkoszy mało, bo w bólu zapomnę, jeżeli rozkosz bezsilna!

A w niej krzyczały myśli, jedna przez drugą:

— Przysiągł ci, że twoim jest do śmierci.

— Przysiągł ci, że cię nie opuści.

— Przysiągł ci, że ci wiernym będzie.

— Broń swoich praw!

Śmiała się ze swoich nocnych obaw. Dzień wiosenny kłócił się ze światłem niebieskiej lampy i zdzierał ze wszystkiego złudę, ale ona nigdy jeszcze tak bardzo nie była miłością przepojona do Augusta, jak w tej chwili. W płomieniach uścisków— topiła swoją i jego świadomość. Upojenie miłości spłoszyło precz chychotliwe myśli. Bezpamięć wzięła ich głowy w swe słodkie dłonie.

*

* *

August niechętnie przeglądał notatki do zamierzonego dawniej studyum „O wartościach życia współczesnego.“ Krzywił się na rozlewny idealizm, który przesiąkał wszystkie myśli, rzucone przez niego w pośpiechu na papier.

— To ja dawniejszy — mówił do siebie — ocean wybujałych abstrakcyj, z których każda krzyczy o prawo do życia... milion prerafaelistycznych twarzy, z których każda wyraża ideał i mówi „służ mi.“

— Czyli ja dawniejszy to dążność rozbieżna, rozrywająca duszę na tysiąc kawałków, a każdy z tych kawałków bez siły do działania.

— Ja dawniejszy, to łudzenie samego siebie o przepięknej idylli ludzkiej, w której każdy człowiek jest małym Panem Bogiem.

— W ludziach kochałem siebie... zdawało mi się, że wszyscy nogami trzymają się ziemi a głową bujają po gwieździstym wszechbycie tak, jak ja.

— A ludzie, to nędza, to mózgi pełzające po ziemi, ciasne, zazdrosne, chciwe, małostkowe...

— A zatem, na czem opierał się mój idealizm, jeżeli pojęcie o zbiorowym człowieku było fałszywe?

Zamyślił się, patrząc długo w czerwony ogień, który buchał w piecu. Szukał myśli, którąby mogła dokładnie wyrazić odpowiedź. Od czasu do czasu trzaskająca iskra wypadała przez drzwiczki na pokój i umierała, sycząc, pod jego nogami.

— Mój idealizm płynął z ognia, który palił się we mnie — rzekł po chwili — a z tego ognia wypadały porywy, jak te iskry... aby skonać...

— To jedno było we mnie, co było coś warte.

Wstał, zmiął stos papierów rozrzuconych na biurku i z uśmiechem szyderczym podszedł do pieca.

— Idź ogniu do ognia — szepnął i zapisane świstki rzucił w buchającą masę płomieni.

W objęciach czerwono-złotych języków z hukiem spalały się papiery.

— Jestem inny — rozważał — różny od nich. Inny, jak innym jest ogień, inną woda, innym wicher i zachód słońca.

— Nie oni, ale ja mam prawo być dumnym, bo wyrastam nad ten stan, w którym oni tkwią. A oni tkwią w prostem, mechanicznem przeżuwaniu życia i nic nie może ich oderwać od tego i nic nie może ich zmienić.

— Zaczem kto jest ten, kto jest inny, różny od nich?

Na twarz padał mu jaskrawy, ognisty pęk światła z otwartej czeluści paleniska i grzał mu twarz piekącymi dotykami.

— Jest to człowiek silny... silny sam przez się i dla siebie...

*

* *

Zdziwił się August, kiedy pewnego dnia baron Offer i pan Zaniecki zajechali do niego mimo oziębienia wzajemnych stosunków.

— Co ich sprowadza? — pytał sam siebie — dwór Zanieckich jest kuźnią bajek na całą okolicę. Jeszcze im tego mało?

Natalię prosił, aby nie pokazywała się im na oczy.

— Przyjmę ich, jak obcych — rzekł do żony.

— Zrobisz sobie więcej nieprzyjaciół.

— Tem lepiej... będę ich miał więcej.

— Mój drogi, żyjesz w tej samej okolicy, nie możesz zrywać wszelkich stosunków.

— Wystarczymy sami sobie.

Wszedł do salonu.

Baron Offer i pan Zaniecki przywitali się z nim niezwykle serdecznie. Nie zwracali zupełnie uwagi na sztywność Augusta.

— Żyje pan jak odludek — odezwał się baron, gładząc bródkę jasną, strzyżoną — ślicznie pan mieszka, to prawda, młody z pana żonkoś, to także prawda, ale i nam należy się cząstka z pańskiej osoby.

— Młody obywatel — zauważył pan Zaniecki — choć jeszcze luzem nie odczuwa swej przynależności do gromady.

— Czas byłby wielki — twierdził baron — żyjemy właśnie w dobie budzenia się życia obywatelskiego... zainteresowanie się sprawami publicznemi rośnie u nas, jak na drożdżach.

— A pan August — rzekł jego towarzysz — jak prędko zaczął ujmować sobie sąsiadów swoimi przymiotami towarzyskimi, tak prędko nawrócił i galopem czmychnął do swojej kobietki.

August odpowiedział leniwie:

— Za to poeci i poetki miejscowe mają temat do tworzenia pięknych bajeczek.

— Hahahaha — śmiechem odpowiedzieli obydwaj panowie.

— Zazdrość ludzka — mówił baron — zazdrość kochany panie Auguście. Ludzie zawsze ostrzą sobie języki tam, gdzie dwoje młodych nazbyt się kocha.

Pan Zaniecki błysnął oczami i pytał wesoło:

— A może bocian krąży już nad Zaniesinkami i młoda para czuwa, póki pisklę nie wykluje się?

— Hahaha — wybuchnął baron serdecznym śmiechem — czuwają, póki pisklę nie wykluje się! Hahaha! wybornie powiedziane. Ani mi to do głowy nie przyszło. Żonkoś rumieni się! Hahaha — trafiłeś panie Zaniecki w sedno. Trzebaby wypić zdrowie młodego dziedzica.

— Może być dziedziczka... albo coś jeszcze więcej — dowodził pan Zaniecki.

August chłodno patrzał na nich, a kiedy obaj uspokoili się, widząc, że pan domu milczy, zapytał:

— Czem mogę panom służyć?

Baron Offer spojrzał na pana Zanieckiego chmurnym wzrokiem i począł rozczesywać palcami jasną brodę.

Pan Zaniecki zakręcił się niespokojnie na krześle i odezwał się przyciszonym głosem:

— Przyjechaliśmy w najlepszej intencyi do naszego młodego sąsiada. Wypadałoby nam obrazić się na takie przyjęcie lodowate. Dotychczas bywało w modzie, że młodzi byli radzi starym, którzy podawali im rękę i chcieli wprowadzić ich na szersze pola życia publicznego. Tak kochany panie Auguście... jeżeli przyjechaliśmy tutaj, to w każdym razie pro publico bono.

— Słucham panów.

— Pan jest młody, energiczny, ma pan bardzo znaczne wzięcie w okolicy, zatem wypadałoby z tego korzystać póki czas i sposobność się zdarza.

— Nic wielkiego — wtrącił baron — nic wielkiego na początek, ale zawsze plus que rien.

— I jeszcze jedna uwaga — rzekł pan Zaniecki — wszystkim nam wiadomo, jak pan wybornie postawił taki interes, jak wydawanie dziennika w Krakowie. To świadczy, że ma pan głowę finansową, że pan utrzymuje czucie z rachunkami i z przezornością. A my, Polacy, właśnie na tym punkcie kulejemy...

August w duszy pytał sam siebie:

— Co oni mają na myśli? czy chcą mnie ubrać w jaką godność, aby mnie pozyskać? po co? na co?

— Kwestya tak się przedstawia — szepnął baron, oglądając się na drzwi — ale panie Auguście, rzecz cała pozostanie jako sekret entre nous trois.

— Inaczej narazilibyśmy się silnej partyi... — dokończył na ucho pan Zaniecki, poczem znacząco mrugnął oczami.

— Psst — upomniał baron swego towarzysza.

Obaj panowie zamienili ze sobą filuterne spojrzenia.

August obojętnie patrzył w ziemię, puszczając kłęby dymu.

— A więc co — rzekł, po długiej chwili, kiedy właśnie oczekiwano z jego strony wybuchu ciekawości.

Baron wstał, dotknął się spinki w krawacie, popatrzył przez moment w oczy Augusta zagadkowo i zimno, poczem pochylił się nad nim i rzekł ciepło:

— Panie Auguście... my, starzy, na walkę nie możemy się porywać... mamy już sterane zdrowie, ale pan młody... Oglądamy się za kimś, ktoby przyjął posadę dyrektora naszej kasy powiatowej...

— Stanowisko drażliwe — poparł swego sąsiada pan Zaniecki — nasza kasa powiatowa, to kredyt obywatelstwa i włościan, a czem jest kredyt dla nas — nie potrzebujemy panu mówić.

— Partya księcia Wielogłowskiego pcha na tę godność swego pupila, zbankrutowanego szlachcica... chcemy ratować instytucyę, od której zdrowia wiele zawisło...

— Zatem dobrze — rzekł August — proponują mi panowie, abym objął posadę dyrektora kasy powiatowej?

— Tak — brzmiała odpowiedź.

— Kto jest obecnie dyrektorem?

— Pan Przewólski.

— Wiem, ale kim on jest dla panów? dlaczego niewygodnym?

— Sam ustępuje.

— Dlaczego?

— Bo zniechęcił się intrygami księcia — tłómaczył baron.

— A to podkopuje kredyt naszej instytucyi — mówił pan Zaniecki — zwłaszcza, jeśli kto rozszerza umyślnie uwłaczające wieści o stanie finansowym kasy, jak to robi książe.

August podniósł się, podszedł do nich i zapytał stanowczym głosem:

— A panowie przekonani są że wszystko w porządku?

— Pan Przewólski przysiągł nam na wszystkie świętości, że wszystko w porządku.

— Znacie go panowie dobrze?

— To nasz krewny bliski, najpoczciwsza dusza na świecie.

— Jeżeli sam ustępuje — rzekł August — dlaczego panowie nie chcecie dopuścić na stanowisko kandydata księcia?

Baron uśmiechnął się złośliwie.

— Książe jest w opresyach finansowych — rzekł — dużo kosztuje go żona, dużo metresa w Wiedniu, dużo karty, rzecz całkiem naturalna, że potrzebuje kredytu wydatnego i każdej chwili... hahaha...

— Słyszałem — odezwał się August — że panowie byli wczoraj na polowaniu u księcia.

— Towarzyska konieczność — rzekł pan Zaniecki.

August otoczył się kłębami dymu. Długo myślał, co począć.

— Jeszcze jedno pytanie — odezwał się nakoniec — ale proszę mi odpowiedzieć bez zastrzeżeń, wprost, otwarcie, to jedno może mnie przekonać. Dlaczego panowie do mnie zwróciliście się z tą propozycyą?

— Pan Zaniecki spoważniał, zamienił spojrzenie z baronem, wreszcie rzekł spokojnie:

— Dobrze. Otwartość za otwartość. Pan ma wielki majątek, hypotekę czystą, jak kryształ, i dziennik, który może oddać nieocenione usługi naszej kasie.

— Ostatnie pytanie — przerwał mu August — czy obaj panowie poważnie jesteście zadłużeni w kasie?

Nastało milczenie długie, przykre.

Baron zatarł ręce. Popatrzył w oczy panu Zanieckiemu. Ten zmięszany lekko skinął głową.

— Tak panie Auguście — powiedział baron z silną affektacyą w głosie.

Pan Zaniecki wziął za rękę pana domu, uścisnął go mocno.

— Mówimy, jak do swego rodzonego brata — tłómaczył się wzburzony — jesteśmy poważnie zadłużeni, ale procenta płacimy, raty również. Boimy się jednak, że pupil księcia może nas przydusić i do ruiny doprowadzić, jeżeli nam podwyższy raty lub wypowie całą pożyczkę.

— Lecz po za tem, wszystko w porządku? — pytał natarczywie August.

— Pan Przewólski przysiągł nam... mamy jego słowo honoru... to szlachcic.

— Dobrze, przyjmuję posadę, o ile rzecz naturalna walne zgromadzenie powierzy mi tę godność.

— To już rzecz nasza. Takiego kontrkandydata nie spodziewa się książe.

Pożegnali się z nim z czułością wylaną.

— Kto jest uczciwy, książe czy oni? — postawił sobie pytanie August, kiedy się drzwi zamknęły za nimi.

— Trzeba dojść do źródła. Trzeba zmierzyć się z niewiadomem, które nastręcza mi życie. Może zyskam jeszcze jeden rozdział do studyum „O wartościach życia.“

Z niezwykłem u niego ożywieniem zabrał się do działania. Sam za sobą począł agitować. Odwiedzał krewnych, przynaglał obojętnych, aby zjawili się w dniu walnego zgromadzenia. Rzucił na szalę wszystkie swoje wpływy, aby zdobyć placówkę na którą pchał go baron i pan Zaniecki.

Pani Natalia była w siódmem niebie. Czuła instynktownie, że przez tę pracę August stanie się jej bliższym, bo dom będzie odtąd dla niego wypoczynkiem i nagrodą po trudach.

Nie zwracała na to uwagi, że mąż pracował z jakąś dziwną zaciętością. Tłómaczyła to podrażnioną ambicyą.

A August myślał:

— Muszę tym dwom zbankrutowanym szlachcicom pokazać, że nie lękam się służby publicznej, ale jeżeli myślą, że będę parawanem dla nich wygodnym, to się mylą. Jeżeli trzeba będzie oczyścić stajnię Augiasza, oczyszczę ją z takim pośpiechem, że nie będą mieli czasu do namysłu.

— Mam możność na żyjącym fakcie stwierdzić, jaką jest uczciwość tych, co są zjadaczami chleba... jaką jest ich etyka... do jakiego stopnia jest elastyczną... dowiem się czem różni się człowiek od... człowieka... czem różni się człowiek silny od człowieka słabego.

Wszystko zeszło w jego oczach na plan dalszy. Rozbudziła się w nim namiętność myśliwego, który czeka w ukryciu na mającego wyjść na niego niedźwiedzia.

Gorączkowo czekał rozstrzygnięcia swego wyboru. Wszelkie zabiegi księcia, aby odwieść go od kandydowania, paraliżował na miejscu.

— Szkoda pana na to — dowodził książe — zjedzą pana nie wcześniej, to później. Tam potrzeba człowieka żelaznego, który przestanie sprawować familijne rządy i będzie póty skrobał w papierach, aż się doskrobie całej prawdy.

— O to mnie właśnie proszono — mówił August.

— Kto? Baron Offer, albo pan Zaniecki? — śmiał się Wielogłowski — hahaha, dowcipni ludzie.

— Dlaczego dowcipni?

Książe utopił w nim oczy przenikliwe i rzekł ostrożnie:

— Dowcip na tem polega, aby był trafny.

Nareszcie konny posłaniec przyniósł do Zaniesinek upragnioną wiadomość, że pan Tarowicz został wybrany dyrektorem Kasy. Augustowi drżały ręce, gdy czytał te słowa. W oczach tańczyły mu potworne cienie, które chychotały, kryjąc się za każdą literę.

Po cichu zawezwał na własny koszt swego znajomego z Wiednia, wybitnego finansistę. Korzystając ze świąt Wielkanocnych zamknął się z nim w biurach Towarzystwa. Do Zasinek wpadał na krótko. Ogniste wypieki na twarzach mówiły o ich szalonej pracy umysłowej. Sprawdzali wszystkie pozycye, porównywali salda, ściśle przejrzeli rachunki bieżące i główną księgę. Z masy cyfer zaczęła wyłaniać się pokurczona twarz występku... która biła ich w oczy coraz ohydniejszą nagością, im zacięciej szli za jej śladami.

— Tu początek—wskazał towarzysz jego pracy, na pozycyę zawartą w jednej z dawniejszych ksiąg, badając ją przez lupę — odtąd ciągnie się zbrodnia...

August zmartwiał. Opadły mu ręce. W sercu zakłuł go jakiś ból nieznany, straszny. Lęk go zdjął, że przeczucie jego sprawdziło się tak okropnie.

Wysłał rozstawne konie po barona Offera i pana Zanieckiego, prosząc ich, aby bez zwłoki zjawili się u niego. A kiedy obaj zdumieni przekroczyli próg gabinetu, oświadczył im chłodno:

— Zażądaliście panowie odemnie, abym służył pro publico bono. Pojąłem to dosłownie. Przez dwa dni i dwie noce sprawdzał księgi mój znajomy pan Dolecki, fachowiec pierwszorzędny w tej gałęzi, i doszedł do przekonania, że w kasie działy się od szeregu lat nadużycia tak poważne, iż byt kasy jest zachwiany.

— Raczcie mi odpowiedzieć teraz po raz wtóry — ciągnął dalej—dlaczego chcieliście postawić mnie na czele kasy? jaki w tem mieliście cel? jaką ja rolę miałem waszem zdaniem odegrać?

Obaj przybyli stali, jak rażeni gromem.

— Czyżby to było możliwe — szepnął baron — czyżby nasz krewny mógł posunąć się do takich czynów?

Spojrzał przerażonym wzrokiem na Zanieckiego. Ten nie mógł ani słowa wymówić. Zatrząsł się i łzy zaczęły mu padać z ócz, jak grad — okropne.

August patrzał na nich obu z bolesną ironią. Ale na widok łez Zanieckiego, pobladł jak płótno.

— Panowie nic nie wiedzieliście? — spytał cicho.

Baron szarpnął brodę trzęsącą się ręką, do szyi i twarzy napływała mu krew nadmiernie.

Zaniecki otarł łzy, które mu zawisły na policzku i zapytał złamanym głosem:

— Czy na to wyglądamy?

— Co mam zatem robić? — odezwał się po chwili August.

Zanieckiemu oczy zaświeciły białkiem, wyszły na wierzch straszne, jak u duszonego człowieka. Jakiś wyraz pchał mu się na usta, ale nie mógł go wypowiedzieć, tylko ręką sięgnął do gardła i zacharczał, w tej samej chwili zaniósł się i zapiał. Atak astmy powalił go na krzesło. Wszyscy rzucili się do ratunku. Tylko August siedział bezsilny przy biurku. W ostatniej chwili nerwy wypowiedziały mu posłuszeństwo.

Zaniecki przyszedł do siebie. Oczami szukał Augusta. Kiedy go dostrzegł, rzekł słabym głosem:

— Nie gub go.

Baron zachęcony jego odwagą poszedł dalej.

— Może nie wiedział o niczem—dowodził głosem, w którym nie było ani przekonania, ani wiary.

— A gdyby nawet stała się ta rzecz okropna — mówił dalej — powtarzam, gdyby się stała, gdyby on był tym, który... jest winowajcą, co zyska społeczeństwo, ścigając go?...

— Wstyd, wstyd, jeden wstyd — jęczał Zaniecki.

— Przewolski nie pokryje strat — przedkładał dalej baron — pójdzie do więzienia, jeśli sobie życia nie odbierze. A on odbierze sobie życie—wołał podniesionym głosem—my go do tego zmusimy, niechby kto tylko palcem chciał ruszyć przeciw kasie. W każdym razie — dokończył hardo — my krewni pokryjemy całą stratę, ale powtarzam pod warunkiem milczenia.

— Z czego?—zapytał August bezbarwnym, wysilonym głosem.

Baron stracił natychmiast odwagę całą. Cofnął się niespokojnie. Byłby dowodził dłużej, ale zrozumiał, że August zna już dokładnie ich stan majątkowy.

Tymczasem Zaniecki podszedł na chwiejących się nogach do Augusta i runął przy nim na kolana. Chwycił go za rękę i rzęził okropnie:

— Nie gub go, zlituj się nie gub go! co z nami się stanie? jesteś młody! Bóg ci odpłaci za ten dobry uczynek. My niewinni, ale przy nim nas zgubisz! dlaczego nasze dzieci mają iść żebrać pod kościół? Dlaczego chcesz nas wlec na hańbę? nie gub go człowieku, jeśli w Tobie jeszcze serce nie umarło. Widzisz przecież, że prawie konam... ulituj się.

Augusta zdjął strach przed tym mężczyzną, który zgiął się przed nim mimo siwych włosów — strach przed tą ohydą poniżenia, które łasiło mu się koło ręki — przed tą nędzą etyki, która miała łzy i twarz uczciwą.

— Bezdeń sromoty—szeptał sam do siebie — uczciwość w łachmanach zbrodni... Aż tu doszedłem...?

Cofnął się, przejęty wstrętem, rozpaczą, złamany litością, mającą smak piołunu, przerażony rzeczywistością. Odepchnął krzesło w tył i zakrzyczał:

— Nie chcę! nie chcę!

Wypadł na kurytarz.

Siwa głowa Zanieckiego trzęsła się od ryku, który huczał mu w piersiach. Baron gryzł wargi do krwi, tulił głowę do ściany. Upłynęło kilka minut strasznych, długich, jak wieczność.

August wrócił prawie siny z bezsenności i nadmiernego wrażenia. Stanął w progu i wpił w nich oczy, palące gorączką wewnętrzną.

— Słuchajcie — rzekł głosem przeraźliwie bezdusznym — te księgi wasze... to hańba wasza... wszystko wasze... ja nic nie

wiem... na wasze sumienie wszystko... ja nic nie wiem... wyprułem z pamięci was i to, co widziałem... idźcie... nie znamy się...

Zaniecki począł czołgać się ku niemu na kolanach, bo wstać nie mógł:

August krzyknął:

— Nie chcę!

Wskazał im drzwi.

Baron pochylił się ku Zanieckiemu, podparł mu ramię. Zaniecki wstał. Trząsł się na nogach, a potem bez ukłonu, chwiejąc się, jak zbutwiały dąb, sunął ku wyjściu. Od drzwi krzyknął:

— Wszystko pokryjemy!

August oparty o framugę drzwi patrzył na nich. Pot wystąpił mu na czoło. Na usta wzgarda bezbrzeżna. Kiedy już baron i Zaniecki mieli odjechać, kazał czekać. Napisał rezygnacyę. Powodu nie wymienił żadnego. Przez służącego wręczył im pismo.

W tydzień potem dowiedział się, że walne zgromadzenie wybrało nadal dyrektorem Przewolskiego.

*

* *

Pani Natalia spodziewała się potomka za kilka miesięcy. Nieznana radość poczęła brać ją w swoje posiadanie. Po raz pierwszy miała zostać matką. Dreszcz dumy przebiegał ją całą, ile razy uświadamiała sobie ten fakt. Straciła dotychczasową trwożliwość i nieśmiałość. Nabrała pewności siebie i stanowczości.

Z uśmiechem współczucia, ale częściej z uśmiechem politowania patrzyła na ludzi, którzy czuli się nieszczęśliwymi lub kłopotali się lada drobnostką. W jej oczach ginęła wszelka różnica między wielkim niedostatkiem a wielkiem bogactwem, między powodzeniem a niepowodzeniem. Nabrała głębokiego przekonania, że w jakichkolwiekbądź warunkach znalazłaby się, wydałaby na świat tajemnicę swego życia, swej natury, dziecko, którego już pierwsze ruchy w łonie napawały ją rozkoszą.

Płomienny dzień czerwcowy roztoczył nad Zaniesinkami ocean blasków ciepłych, oddychając milionami zdrowych, młodych, zielonych liści, marząc w kryształowych objęciach górskich zimnych potoków i dzwoniąc po niebie krzykiem ptaków.

Pani Natalia patrzyła przez okno na ogrom tej rozbujałej, kipiącej świeżem życiem przyrody. Uśmiech zadowolenia zawisł na jej ustach. Miała uczucie, że nie mówiąc, jest zrozumianą przez

sad pełen zawiązków owocowych i przez łany zbóż, które nieprzebytym lasem źdźbeł unosiły się po nad ziemią i w słońcu grzały swe kłosy.

— Deszcze przejdą nad wami — szeptała w duszy — burze przejdą i grady przejdą, a wy owoc wydacie.

— A ja?

— Silniejszam od was, bo deszczów i burz i gradów mogę uniknąć. W głąb domu schowam się przed ludźmi i przed złem wszelkiem, jeżeli tak trzeba będzie, i dam życie panu waszemu...

— Lalalalala, la la la...

Przestała trapić się chmurnością Augusta. Czuła się wyższą od niego, lepszą.

Dociekania, którym on oddawał się, wydały się jej po raz pierwszy niezrozumiałemi, dziwacznemi i przesadnemi. W jej umyśle układało się wszystko w linie proste i jasne. Całokształt świata był w jej wyobrażeniu bezwarunkowo dobrym i naturalnym. Religia, zdrowie, dostatek i macierzyństwo ujęły widnokrąg jej umysłowości w granice ścisłe i logiczne.

— Wszystko mam — powtarzała często — czegobym pragnąć mogła. Czyż trzeba mi czegoś więcej?

Pewnego popołudnia zaszła do altany z pękiem kwiatów zerwanych z grządek ogrodowych. August siedział pochylony nad notatkami. Dumał nad kartką zapisaną do połowy.

— Nad czem pracujesz? — zapytała.

— Analizuję.

— Kogo?

— Człowieka...

Natalia uśmiechnęła się.

— Czy i mnie także? — rzekła wesoło.

— Tak.

— I co napiszesz o mnie?

— Jeszcze nie wiem.

— W takim razie napisz: szczęśliwa, szczęśliwa, szczęśliwa i jeszcze po raz dziesiąty i setny szczęśliwa, po tysiąc razy szczęśliwa. Napisz także, że kocha swojego męża, ale najwięcej kocha... — przycisnęła głowę jego do swoich ust i dokończyła szeptem.

Zarumieniona mówiła dalej:

— Gdybym była na twojem miejscu, przestałabym się smucić. Po co rozmyślać i męczyć głowę? To bardzo a bardzo rzecz niewesoła. Szczerze ci powiem, że dawniej miałam wielki szacunek dla chmurnych mędrców... zdawało mi się, że mogą dużo powiedzieć i straszne rzeczy... doprawdy bałam się przedtem ciebie.

Ale teraz trochę mi żal ciebie. Bo bierz przykład ze mnie. Czy najgłębsze rozmyślanie mogłoby mi dać choć w setnej części tyle szczęścia, ile mam go teraz, dlatego, że zostałam matką?

August wsłuchiwał się w jej słowa z naprężoną uwagą. Malował mu się w oczach ostremi liniami proces wewnętrzny, który przekształcił Natalię.

— Czekaj—zawołał — ja ci to jasno, bardzo jasno wytłómaczę. Widzisz, patrz. Teraz tą laską narysuję na piasku kółko. Hahaha, nie bardzo równe, ale to nic. Tu na obwodzie zrobię punkt jeden, duży, o taki, to ty jesteś. Teraz tu dalej na obwodzie zrobię punkt drugi, o taki, malutki, prawie go nie widać, to ja. A tu w środku narysują małe kółko... zgadnij, co to?... po co zgadywać?.. Gotowa jesteś pomyśleć coś brzydkiego, albo coś bardzo filozoficznego... To małe kółko oznacza nasze dziecię, a my oboje obracamy się dokoła niego, tak, o tak, coraz prędzej, prędzej, wciąż, wciąż, wciąż do końca życia.

August zapytał ją:

— A to, co jest poza obwodem naszego kółka, jak to nazwać? co to jest?

Natalia zamyśliła się.

— To są — rzekła z uśmiechem — takie same kółka jak nasze, a w środku każdego kółka, jest dziecko jedno, albo dwa, albo więcej... i taki jest cały świat.

— I nic więcej?

— Owszem, dużo innych rzeczy, ale, prawdę mówiąc, bardzo dalekich i bardzo obcych.

August oparł głowę o jej ramię, zamknął oczy i myślał błyskawicznie szybko.

— Czem jest rodzina?

— Powrotem człowieka z rozbieżności do skupienia... wycofaniem się z egoizmu wielkiego i ukochaniem egoizmu małego, kopnięciem bezprzestrzeni i bezczasu na rzecz punktu i chwili... wyrzeczeniem się nieznanego i nieokreślonego na rzecz wiadomego i skończonego...

W oczach zamigotało mu milion kółek małych, każde w ruchu dokoła swego obwodu, każde w rozpędzie szukające najlepszych warunków dla siebie. Tysiące z nich pękało i rozsypywało się, zaczepiwszy o inne, ale miliony nowe wynurzały się i szły w taniec grawitacyi dokoła swoich środków... zgiełk, wycie, ryk miał w uszach...

Podstawiał szybko wartości: Michasia z Wickiem i Jasiem... kółko obraca się, zbierają zboże, sprzedają mleko, wycinają las...

są dobrzy, mili, kochani... obracają się wciąż do koła, wciąż do koła, wciąż około swoich interesów. Najczęściej patrzą ku środkowi ruchu... niechętnie patrzą w kierunku odśrodkowym... tacy mili, kochani, ale tak zakochani w tej kołowaciźnie ruchu...

— Potem kto? — uśmiechnął się — starzy Koleccy... kółko obraca się... w środku Kama i Rela... zbierają majątek, jak zbierają! hahaha... odcinają kupony, liczą czynsze—honorarya adwokackie... złoto na kupkę... wciąż na kupkę... zakochani w Kamie, w Reli i w tem poczciwem złocie... jacy zakochani...

— Rela wypadła... nowe kółko... pękło... to nic...

— Ale baron. Prawda baron. Rozczesuje bródkę... w środku dochowek... dalej w kółko... w kółko... w kółko... wydatki, za dużo wydatków... koło za prędko się obraca... ratunek w Kasie... długi... i to poniżenie ohydne... prośba o ratunek...

— I trzęsąca się głowa Zanieckiego... „nie gub nas“... koło obraca się ze zgrzytem... ale obraca się... nie gub nas, to znaczy, nie zatrzymuj kółka, bo pęknie...

— Hahaha... milion kółek różnych... milion egoizmów małych, drobniuchnych...

Otworzył oczy. Natalia patrzyła na niego z politowaniem.

— Mój biedny zajączek — mówiła — smutny i smutny. Wysila główkę i ma w czuprynce jeden włosek siwy. A może zajączek myśli o tem, że nie jestem taką, jaką być powinnam, co?

— Może, może—odpowiedział.

— Poprawię się — rzekła poważnie — zajączek może dumać, a ja zajmę się rachunkami. Nie będzie miał kłopotu mój kochany król. Wszytko wezmę w swoje ręce. Nasze dziecię nie poskarży się na nas, że nie pamiętaliśmy o niem. O nie.

Miała łzy w oczach. Do ust przycisnęła kwiaty.

— Ja wiem, że mi wielu rzeczy brakuje — mówiła — za mało umiem być oszczędną, za bardzo jestem jeszcze lekkomyślna. Lubiłam zawsze poprzestawać na tem, co miałam, ale widzę teraz jasno, że to było lenistwo. Och wierz mi Auguście, że gdybym była biedną i zostałabym matką, potrafiłabym nawet duszę sprzedać w niewolę, byle módz dziecko wychować i nie dać mu zaznać tego, co to jest zły los...

— Potrafiłaby duszę sprzedać w niewolę — szept jakiś przenikliwy powtarzał jej słowa, wgryzając się w mózg — potrafiłaby to ona i tysiąc innych i miliony innych — ojców i matek...

Przetarł czoło. Chciał odpędzić ten zgrzyt piekący, który mu żarł serce i nerwy.

A pani Natalia mówiła dalej z serdecznem wzruszeniem:

O ja źle dotychczas żyłam. Patrzyłam z pogardą na matki, które dla swoich dzieci pragnęły posiąść, jak największy majątek... dziwiłam się ojcom, że zazdroszczą drugim powodzenia, że na przebój starają się zająć lepsze stanowiska... Teraz wiem, że to wszystko było dla dzieci... że to wszystko robiła miłość, poświęcenie się, rodzicielskie zaparcie... że to byli męczennicy, ale jacy wielcy!... i szlachetni!

W duszy Augusta zaskomlały bolesne głosy:

— To męczennicy, którzy jako proch grubą warstwą zalegają wszystkie drogi... To męczennicy, którzy ławą nieprzebytą, namulną kładą się w poprzek każdej wielkiej nowej idei, bo to wstrząśnie podstawami ich bytu. To męczennicy, którzy gaszą płomienie swoich młodych myśli, aby módz bielszy chleb wypiec dla swoich dzieci przy płomieniach zysku, którzy oczy duszy wlepiają w pług, za jakim chodzą, a nie mają czasu na to, aby je zwrócić choć na chwilę we wszechświat...

— Męczennicy! hahaha — wyły w nim widma przyczajone za progiem świadomości — zamiast w dziecku ukochać ciąg dalszy swojej walki o wyzwolenie ducha, zabijają w niem pragnienie walki! uczą go, jak tej walki trzeba unikać! uczą go, jak żyć trzeba marnie z dnia na dzień z uciułanego złota! hahaha! męczennicy! nie żołnierzy rodzą na bój z wrogiem ducha, ale eunuchów do strzeżenia własnych hurysek, którym na imię: wygoda, lenistwo, chciwość, upodlenie! męczennicy! hahaha!

Pani Natalia rozrzewniła się na dobre.

— Nasze dziecię — mówiła — będzie odtąd celem naszego życia. I ty staniesz się weselszym. Zejdziesz z chmur i będziesz słał ze mną gniazdko na przyszłość dla naszej pociechy, żeby nie zaznała tego, co to jest borykanie się z losem.

— Nigdy! — krzyknął August — nigdy!! nigdy!!

Oskarżenie ciężkie, miażdżące, drżało mu na wargach... tysiąc słów świszczących, jak bat, huczało mu w mózgu, ale milczał.

Przeczuwał, że go Natalia nie pojmie.

Ona patrzyła na niego z bolesnem zdziwieniem.

Począł ją płacz ogromny dusić. Trzęsącemi się palcami obrywała korony kwiatów świeżych. Płatki za płatkami, barwne, pachnące, padały do jej nóg na ziemię. W ręku pozostała jej kiść odartych badyli...

— Takie odtąd będzie twoje życie — szeptał jej żal do ucha.

Zeszła mu z oczu bez słowa.

D-r T. Konczyński.

Konstytucya rosyjska.

Odwróciła się znowu jedna karta w naszem życiu, nastąpiła reforma ustroju Rosyi, państwa, dzierżącego najznaczniejszą część ziem polskich.

Przeobrażenie się ustroju Austryi i Niemiec wywarło znaczny wpływ na losy zaborów pruskiego i austryackiego. Okres kryzysu państwowego Prus od 1830—48 r. był okresem najbardziej natężonego rozwoju w Księstwie Poznańskiem, które się stawało przytułkiem myśli narodowej polskiej. A jednak Prusy bardziej wyssały, pozbawiły indywidualności narodowej Poznańskie w dobie konstytucyjnej, niż w okresie kryzysu państwowego. Szczodrzy byli demokraci niemieccy w 1847 r., radzi byli ofiarować prawno-państwową odrębność Poznańskiego, jako zarodek państwa polskiego.

Inną drogą poszły losy Galicyi. Tam r. 1848 zadał cios dawnemu absolutyzmowi austryackiemu, ściśle związanemu z germanizacyą i centralizmem. Sprawa odrębności prawno-państwowej Galicyi zarysowała się dosyć jasno w 1848 r. nastąpiła jednak tylko częściowa polonizacya szkół, niemczyzna nie znikła z urzędów, jakkolwiek wzrosła ilość urzędników Polaków. Centralizm i germanizacya organicznie związane z absolutyzmem austryackim, nie usunięte z widowni dziejowej, były czynnikiem odtworzenia się absolutyzmu austryackiego, chociaż nie mógł się on już odtworzyć w dawnej formie. Osłonięty jakby listkiem figowym Radą stanu, wegetowałby absolutyzm austryacki dziesięciolecia może, gdyby nie wojna włoska, ruina finansowa Austryi; ona to była operacyą, umożliwiającą poród konstytucyjnego ustroju Austryi. Operacyą, której Węgry zawdzięczają odrębność prawno-państwową, a Galicya koncesye narodowe, była wojna

1866 r., wyłączająca Austryę ze związku niemieckiego. Karta życia galicyjskiego od r. 1867 była szczęśliwszą treścią wypełniona niż uprzednia od 1848—67, lub jeszcze dawniejsza od 1773—1848.

Przekształcenie ustroju państwa, dzierżącego te lub owe nasze dzielnice, wywiera niezaprzeczenie wpływ na nie, jakkolwiek nie jest jedynym czynnikiem, decydującym o ich położeniu.

Nie przesądzając dziś jeszcze, jaki wpływ wywrze na nasze położenie reforma ustroju Rosyi, musimy ją poznawać, analizować, gdyż jest to ważny czynnik oddziaływujący na nasz byt i rozwój narodowy.

Samowładztwo i konstytucya.

Używaliśmy terminu: reforma ustroju państwowego Rosyi, nie zaś konstytucya rosyjska. Myśl nasza odsuwa wyraz konstytucya, jako nomenklaturę ustroju obecnego. Pojęcie konstytucyi kojarzy się u nas z zagwarantowaniem nietykalności osobistej, wolności słowa i zebrań. Całkiem coś innego widzimy w obecnej chwili: od lat kilkudziesięciu nie stosowano tyle chłosty, co obecnie; od lat niepamiętnych nie tracono tylu osób bez wszelkich gwarancyj sądowych, wyrokiem sądu polowego; w drodze administracyjnej więzi się dziś i zsyła więcej osób, niż w latach największego tryumfu absolutyzmu za czasów Aleksandra III. Nie, nie żyjemy jeszcze w okresie gwarancyj konstytucyjnych. Jest to jakaś forma przejściowa, przejściową wydaje się i z tego względu, że gdyby była trwałą, wywołałaby rozkład państwowy. Nie z objawów konkretnych chwili obecnej, włożonych nam w uszy i oczy, ale z aktów prawodawczych doby ostatniej, owych zobowiązań się rządu, co do przyszłości, postaramy się uprzytomnić sobie kontury nowego ustroju politycznego Rosyi. Są one produktem oddziaływania wzajemnego sił realnych, które jeszcze nie wyszły ze sfery szamotania się, ale są już szańcami, z których korzystać będą walczące siły polityczne Rosyi w najbliższej przyszłości, z których częściowo już nawet korzystają.

Tu znów wyłania się pytanie, czy Rosya de jure ma konstytucyę, czy pozostała państwem absolutystycznem?

W tytule cesarza zachowany jest tytuł samowładcy, „samodzierżca;“ jest on użyty nietylko przy podpisie aktu 17/30 października, ale figuruje pod wszystkiemi innemi aktami. Podpis samowładca pod aktem 17/30 października daje się łatwo wyjaśnić.

Władza zwierzchnicza monarchy samowładnego, oktrojująca konstytucyę, czyni to na mocy swego samowładztwa, które istnieje w chwili podpisu aktu konstytucyjnego.

Wszystkie oktrojowane konstytucye zawierają ustępy, w których zaznaczona jest nieograniczoność władzy monarchy, nadającego konstytucyę. Trudniej da się usprawiedliwić zachowanie tytułu samowładcy w późniejszych aktach. Prof. Nieczajew w organie partyi konstytucyjno-demokratycznej „Polarnaja zwiezda“ dowodzi, że pojęcie „samowładny“ posiada w rosyjskim zbiorze praw podwójne znaczenie: oznacza bowiem niezależność polityczną względem innych państw, udzielność, oraz nieograniczoność woli monarszej na wewnątrz; w art. pierwszym praw zasadniczych, zdaniem prof. Nieczajewa, wyraz samowładny użyty był w znaczeniu udzielności. Manifest 17/30 października 1905 roku znosi „nieograniczoność“ władzy monarchy, ale to nie uchyla art. I.

Jest to tłómaczenie bardzo popularne w sferach biurokratycznych. „Nowoje Wremia“ przypisywało hr. Wittemu twierdzenie, że tytułowi samowładcy niesłusznie przypisują znaczenie absolutności władzy monarchy, gdyż historycznie tytuł ów oznacza niezależność monarchy od jarzma Tatarów oraz „polskiego jarzma.“

Jeden z najbardziej wybitnych historyków Rosyi prof. Milukow, przed kilkoma laty, podając historyczną genezę tytułu *samowładcy*, przyjętego przez Joanna III, wskazywał, że tytuł ów oznaczał wówczas udzielność wielkiego księcia, niezależność od chana tatarskiego.

Prowadząc dziś polemikę z prof. Nabokowym prof. W. Hessen twierdzi, że tytuł cara przyjął Iwan III dla zaznaczenia swej udzielności, co się tyczy tytułu samowładcy, to został on wprowadzony przez pisarzy duchownych, którzy tak przełożyli na język rosyjski wyraz grecki o bardzo określonem znaczeniu *autokrata*.

Nie będziemy wchodzili w szczegóły polemiki o wyraz „samodzierżca.“ Przypuśćmy, że jeszcze w XVIII w. nosił on znaczenie udzielności, niezawisłości na zewnątrz, w każdym razie już od szeregu pokoleń oznacza w pojęciu tak sfer inteligentnych, jak i warstw ludowych—absolutyzm, autokratyzm, nieograniczoność władzy monarchicznej.

Gdy przepisy o Izbie poselskiej z 6/19 sierpnia mówiły o deklaracyi posłów wierności dla samowładcy, było to zrozumiałem; doradczy głos Izby poselskiej Dumy bułyginowskiej nie ograniczał władzy monarchy i trzeba to było posłom przypominać u progu Izby, poddawać ich jeszcze raz suggestyi samowładztwa monarchy.

Zachowanie tytułu samowładcy wobec ograniczenia władzy monarchicznej aktem 17/30 października jest dziś czemś innem. Wyraz „samowładztwo,“ będący hasłem bojowem partyj skrajnej prawicy, zachowany w tytule monarszym, ułatwia tym partyom akcyę zmierzającą do restytucyi dawnego ustroju.

O zachowaniu tytułu samowładcy ze względu na udzielność Rosyi, dziś mowy być nie może, gdyż ani Tatarzy, ani Polacy, ani żaden naród lub państwo na jej udzielność nie nastaje.

W Rosyi według aktów prawodawczych ostatniej daty istnieje samowładztwo bez swej treści pierwszej, gdyż treści tej jest ono pozbawionem przez akt 17/30 października. Punkt trzeci tego manifestu głosi: „ustanowić, jako niewzruszony przepis, że żadne prawo nie może otrzymać mocy bez zgody Izby państwowej, i ustanowić, aby wybranym, przez rząd była zabezpieczona możność udziału rzeczywistego w dozorze nad legalnością ustanowionych przez nią władz.“

Na mocy aktu 30/17 października nastąpiło przejście władzy zwierzchniczej od jednego subjekta — monarchy absolutnego, do drugiego — „monarchy z izbą poselską.“

Niektórzy prawnicy, jak W. Kistiakowskij, uznają, że manifest 30/17 października nie był jeszcze aktem konstytucyjnym, ale zapowiedzią tego aktu, zaznaczeniem zasad ustawy konstytucyjnej, nie zaś sformułowaniem norm konstytucyjnych.

Stajemy wobec pytania, czy i o ile rząd w myśl zapowiedzi manifestu z 30/17 października wypracował normy konstytucyjne i jakie znaczenie polityczne one posiadają.

Prawa przelane na reprezentacyę i prawa monarchy.

W państwach konstytucyjnych prawo wydawania ustaw należy do monarchy przy udziale przedstawicielstwa narodowego. Rozróżniają zwykle konstytucye dwóch typów: belgijskiej i karty francuskiej z 1814 r. oraz konstytucyi państw niemieckich. W pierwszej mamy do czynienia z monarchą: „Z łaski Bożej i woli narodu.“ „Władza zwierzchnicza należy w całości do narodu, żadna osoba fizyczna lub prawna nie może zrealizować innej władzy, prócz tej, która pochodzi od narodu; do króla nie należy żadna inna władza, oprócz tej, którą mu przyznano przez prawo na mocy konstytucyi.“ Ten charakter konstytucyi belgijskiej wyjaśnić się daje jej historyczną genezą. Pierwszy król Belgów,

Leopold Sasko-Koburski, powołany w czerwcu 1831 r., wstąpił na tron w lipcu tegoż roku po złożeniu przysięgi na konstytucyę, ustanowioną przez konstytuantę belgijską.

Całkiem inaczej rzecz się ma z oktrojowanemi konstytucyami. Tam monarcha przelewa część swych praw na ciała ustawodawcze, przyczem wszystko to, co nie zostało drogą ustaw oddane kompetencyi tych ciał prawodawczych, musi być uznawanem za należące do kompetencyi monarchy. Ma to częstokroć doniosłe znaczenie polityczne.

Ustawa konstytucyjna rosyjska należy do drugiego typu. Jest to konstytucya oktrojowana, w której monarcha zawarował sobie znaczne prawa i przywileje, nie przez ich wyliczenie, ale przez nienadanie ich ciałom reprezentacyjnym.

Gdy ustawa o kompetencyi Izby państwowej nie zezwala Izbie na stawianie projektów o zmianie praw zasadniczych, tem samem zmiany te pozostawia w sferze kompetencyi władzy monarchicznej. Ponieważ jednak manifest z 30/17 października zawiera zobowiązania władzy monarchicznej nie wydawania praw bez udziału przedstawicielstwa narodowego, wypływa stąd, że zmiany ustaw zasadniczych nie mogą być poczynione przez monarchę bez zgody reprezentantów narodowych. Bezwarunkowo mamy tu na myśli stronę prawną, nie zaś różne możliwości historyczne w przyszłości, co do których nie prawo, ale kwestya stosunku sił politycznych rozstrzyga.

Wszystkie luki w prawach reprezentacyi narodowej w Rosyi są szańcami legalnymi władzy monarchicznej w Rosyi, mogącymi osłabić praktyczną wartość zobowiązań z 17/30 października. Spotykamy też wiele przepisów, mogących wzbudzić pewien niepokój: „Izba państwowa może być przed upływem pięcioletniego terminu pełnomocnictwa jej członków rozwiązana przez ukaz Jego Cesarskiej Mości. Tenże ukaz wyznacza nowe wybory do Izby i termin jej zwołania. Czas trwania corocznych sesyi Izby państwowej i terminy przerw pomiędzy niemi w ciągu roku, obmyślane są przez Ukaz J. C. M.“

Tu zachodzić może obawa, że działalność Izby państwowej łatwo ograniczyć przez zbyt krótkie sesye doroczne, zbyt długie przerwy, oddzielające jedną kadencyę Izby od drugiej. Ponieważ w okresie, w którym nie obraduje Izba, rząd jest uprawniony do wydawania przepisów tymczasowych, ustaw, zatwierdzanych następnie przez zgromadzoną Izbę, nasuwa się wątpliwość, czy nie nastąpi faktyczne rządzenie Rosyą za pomocą „przepisów tymczasowych“ zamiast ustaw konstytucyjnych.

Precedens Austryi z jej § 14, umożliwiającym drogą postanowień tymczasowych, rządzenie bez parlamentu, nie daje pojęcia, jakie konsekwencye miałoby rządzenie za pomocą tymczasowych przepisów w Rosyi. Austrya bowiem w klasycznym okresie rządów na mocy § 14, w okresie Körbera posiadała już trzydziestoletnią tradycyę rządów konstytucyjnych, znaczną kulturę polityczną swych obywateli. Tradycye polityczne, kultura polityczna Rosyi jest nie znaczną. Byłoby więc rzeczą nader pożądaną, aby wprowadzony został w sprawie rozwiązania Izby przepis, wzorujący się na konstytucyi pruskiej, którego mocą od chwili rozwiązania Izby w ciągu dni 60 muszą odbyć się nowe wybory, a w ciągu dni 90 od chwili rozwiązania dawnej, musi rozpocząć swe obrady nowa Izba.

Wobec zepsucia biurokracyi rosyjskiej, jednym z najważniejszych zadań Izby poselskiej, mogących też spopularyzować ją wśród szerokich warstw społecznych, musi być walka z nadużyciami biurokracyi. Wobec tego, że nadużycia biurokracyi rosyjskiej prowadzą państwo do ruiny i dezorganizacyi, sprawa umożliwienia sobie walki z nadużyciami biurokracyi jest koniecznością państwową Rosyi. Tymczasem najdzielniejszy oręż takiej walki — interpelacya w parlamencie, został sprowadzony do nikłych rozmiarów.

W sprawie interpelacyi spotykamy §§ 58, 59 i 60.

§ 58. „W sprawie składania wiadomości i wyjaśnień, z powodu czynności niezgodnych z prawem, popełnionych przez ministrów lub naczelników wydziałów samodzielnych, jak również przez podwładne im osoby i instytucye, członkowie Izby składają piśmienny wniosek prezesowi Izby. Jeżeli wniosek taki jest podpisany nie mniej, jak przez 30 członków, to prezes wnosi go na rozpatrzenie Izby.“

§ 59. „Wniosek (art. 56) przyjęty przez większość członków Izby, doręcza się właściwemu ministrowi lub naczelnikowi samodzielnego wydziału, którzy, nie dłużej jak w ciągu miesiąca, od dnia doręczenia im wniosku, albo składają Izbie odnośne informacye i wyjaśnienia, albo zawiadamiają Izbę o powodach, dla których pozbawieni są możności przedstawienia żądanych wyjaśnień.

§ 60. „Jeżeli Izba Państwowa większością dwóch trzecich głosów jej członków nie uzna za możliwe zadowolnić się oświadczeniem ministra lub naczelnika wydziału (art. 59), natenczas interpelacya przedstawianą jest przez prezesa Rady Państwa do Najwyższego uznania.“

Ustawa rosyjska nie dorównywa pod względem prawa interpelacyi ustawie austryackiej, dziś obowiązującej. O interpelacyach mówi § 60 Regulaminu Izby państwa, uchwalonego w 1861 r.

„Interpelacye, które członek Izby chce skierować do jednego z ministrów lub naczelnika jednej z władz centralnych, należy oddać prezesowi na piśmie co najmniej z 20 podpisami, następnie wręcza się je natychmiast interpelowanemu i odczytuje się na posiedzeniu.

Interpelowany może dać natychmiast odpowiedź, zapowiadając ją na późniejsze posiedzenie, albo z podaniem przyczyn odmówić odpowiedzi.“

Gdy podług ustawy austryackiej interpelacya podpisana przez 20 członków Izby musi już wywołać pewną akcyę ministra i sfer urzędniczych wogóle, podług ustawy rosyjskiej potrzeba na to oświadczenia się przeszło połowy Izby.

Przedstawienie do uznania monarchy wypadków, w których dwie trzecie Izby nie zadawalnia się odpowiedzią ministra, jest jednym z dowodów, że podług ustaw rosyjskich ministrowie mają być odpowiedzialni tylko przed monarchą, nie zaś przed parlamentem.

Prawa budżetowe.

Podstawą ustroju parlamentarnego, czynnikiem władzy przedstawicielstwa narodowego jest prawo budżetowe.

Wpływ na politykę państwa, na jego administracyę uzyskiwały sejmy stanowe średniowieczne dzięki temu, że przyzwalały na uchwałę podatków.

Ważniejszemi momentami zdobyczy politycznych parlamentu angielskiego było uzyskiwanie wpływu na budżet państwa. Już wielka karta swobód z 1215 r. ograniczała prawo króla opodatkowania poddanych do trzech wypadków: 1) wykup króla z niewoli, 2) pasowanie starszego syna na rycerza, 3) wydanie starszej córki zamąż. Prawo to po szeregu starć, wywołanych przez naruszenie go ze strony króla, zostało potwierdzone w 1297 roku w t. zw. confirmatio chartarum 1297 r.

Uchwalając królowi te lub owe zapomogi, parlamenty korzystały ze sposobności, aby przedstawić swe potrzeby oraz projekty praw odpowiednich. Potrzebując pieniędzy, królowie angielscy zniewoleni byli zaspakajać żądania parlamentu. W ten sposób

wytworzyło się prawo inicyatywy prawodawczej parlamentu i jego udział w prawodawstwie.

Dla zwiększenia swego wpływu na rząd, parlamenty angielskie uchwalały subsydya królowi tylko na rok. Subsydyami tymi rozporządzał rząd bez kontroli parlamentu aż do drugiej połowy XVIII w. Korzystając ze wzrostu długów państwowych i ze zwiększających się wydatków na rząd, za czasów Jerzego III, parlament uzyskał zgodę króla na przekazanie zawiadywania swymi dochodami państwowymi i wyznaczenie do rozporządzenia króla pewnej sumy na jego potrzeby, t. zw. listy cywilnej. Wszystkie uprzednie zwykłe dochody korony, oraz podatki, noszą faktycznie charakter stały, stanowią t. zw. fundusz konsolidowany; pobierane są one nie na mocy corocznych uchwał parlamentu, ale na mocy stałych praw. Wszelkie inne dochody państwowe pobierane są na mocy aktów parlamentu, który dla zabezpieczenia swojej władzy nad ministeryum uchwala je tylko na jeden rok.

Jeżeli w dawnej Anglii parlament odmawiał nieraz królowi podatków t. zw. subsydyów, to z ustaleniem się władzy parlamentu, z nastaniem rządów z większością parlamentarną związanych, Anglia nie zna wypadków odrzucania całkowitego budżetu; parlament, a zwłaszcza jego opozycya, omawia, krytykuje, częstokroć odrzuca lub zmienia poszczególne pozycye budżetowe. Ponieważ każdy akt rządu jest połączony z odpowiednimi wydatkami, szczegółowa kontrola budżetu jest szczegółową kontrolą zarządzeń władzy. Przytem dodajmy, że w Anglii ustalił się zwyczaj, że nie posłowie poszczególni lub parlament przedstawia projekty nowych wydatków, ale rząd. Na mocy zwyczaju, pochodzącego z tych czasów, kiedy podatki nosiły charakter subwencyj, udzielanych królowi, parlament angielski nie posiada inicyatywy nowych wydatków.

Ważną cechą praw finansowych w Anglii jest to, że załatwiają się one w Izbie gmin. Ustaliła się zasada, że lordowie, którzy nie mogą być uznawani za przedstawicieli podatników, nie powinni mięszać się do opodatkowania i wydatkowania sum z podatków powstałych. W rezolucyi 1860 r. Izba gmin wyraziła stanowczo tę opinię, rozpowszechniając ją nietylko na wypadki, zmiany i poprawy billów finansowych, ale na samo ich zatwierdzenie lub odrzucenie, w ten sposób przejście owych billów w Izbie lordów jest tylko formalnością. Mocy prawodawczej owa rezolucya niema, jej moc polega na tem, że odpowiada ona opinii publicznej w Anglii.

Już urobiony historycznie system angielski z pewnemi zmianami został przeniesiony do różnych państw konstytucyjnych Europy.

Wzorowo pełne prawa budżetowe parlamentu zaznacza konstytucya belgijska: żaden podatek nie może być pobierany, jeżeli specyalnie dla danego przedmiotu podczas rozpatrywania budżetu nie udzielono nam przyzwolenia (III art.).

Konstytucya francuska, węgierska należą pod danym względem do belgijskiego typu. Odmiennego typu przedstawicielką jest konstytucya pruska. Nie zawiera ona postanowienia, że wszystkie podatki uchwalane są na rok. Stąd się uznaje, że w Prusach uchwalenie przez sejm budżetu, jest podstawą tylko tych podatków i wydatków, które nie są ustanowione przez jakieś inne prawo. Otóż, gdyby sejm pruski nie uchwalił budżetu, rząd miałby prawo pobierać te podatki i czynić te wydatki, które już były ustanowione przez różne uchwały sejmowe, nie mógłby zaś pobierać tych podatków i czynić tych wydatków, którym nie nadano charakteru stałości. System pruski czyni rząd mniej zależnym finansowo od parlamentu, on też w znacznej mierze umożliwia niezależność ministrów od przedstawicielstwa narodowego w Prusach.

Od 1862—66 przeżywały Prusy konflikt z parlamentem. Sejm pruski był niezadowolony z nadmiernych wydatków na armię i z nieprzyjęcia przez rząd projektu dwuletniej służby wojskowej, której domagało się przedstawicielstwo narodowe, jako rekompensaty za zwiększone wydatki na cele wojskowe. Otóż sejm pruski w ciągu czterech lat nie uchwalał budżetu, ministeryum Bismarka pozostawało przy władzy, opierając się na zaufaniu i poparciu Wilhelma I. Bismark, po zwycięstwach nad Danią i Austryą, z niepopularnego ministra przeobrażony w opinii niemieckiej w bohatera narodowego, wyznał przed parlamentem, że w ciągu ubiegłych lat 4-ch był równie blizko tronu, jak i szubienicy, i uzyskał zatwierdzenie budżetów z lat bezbudżetowych. Wobec popularności monarchy wśród sfer urzędniczych, wojskowych i drobnomieszczańskich, sejm pruski w okresie bezbudżetowym nie mógł nawet myśleć o ogłodzeniu rządu przez bojkot podatkowy.

Rzecz charakterystyczna, iż Wilhelm I, sądząc w 1870 r., że Rosyi nadana zostanie konstytucya i udzielając w liście poufnym do cesarza Aleksandra II rad,[1]) w jaki sposób uniknąć podwod-

[1]) Konstytucya Loris-Melikowa i prywatne jego listy (po rosyjsku), str. 60.

nych kamieni w ustroju konstytucyjnym, radził między innemi ustanowienie budżetu trzyletniego i pozostawienie w mocy prawnej ostatniego budżetu, dopóki nowy nie będzie uchwalony w ciągu sesyi parlamentarnej, oraz radził nieprzyjmować listy cywilnej, lecz zachować apanaże dworu.

Narodziny konstytucyi nie odbyły się w Rosyi w 1870 r., lecz zostały odroczone na lat trzydzieści kilka.

Czy i jakie dziś odbierała Rosya rady pruskie — niewiadomo. Tylko widoczną jest chęć rządów Wittego-Durnowo urobić ustrój Rosyi w ten sposób, aby zwiększonem tu było wszystko to, co umożliwia niezależność ministeryum od parlamentu w Prusach. To się objawia jaskrawo w rosyjskiem prawie budżetowem 8/21 marca 1906 r.

Przedewszystkiem pierwsze trzy paragrafy rosyjskiego prawa budżetowego zaznaczają zupełną równoznaczność obu ciał prawodawczych: Rady państwa i Izby poselskiej (Dumy), a więc ciała przez pół monarszego i ciała reprezentującego podatników. Tę samą tendencyę okazują paragrafy 11 i 12: „Jeżeli Rada państwa nie przystanie na uchwałę Dumy co do wysokości zaciągniętych kredytów, natenczas sprawa wywołująca różnicę zdań może być przekazana komisyi specyalnej, utworzonej z jednakowej liczby członków Rady państwa i Dumy państwowej, osobno przez Radę i Dumę wybranych. Komisyi przewodniczy jeden z jej członków przez nią samą obrany. Sprawa za wnioskiem pojednawczym komisyi jest następnie wnoszoną do Dumy i otrzymuje bieg dalszy w porządku przepisanym.

„Kredyty na wydatki ministeryum dworu cesarskiego oraz będących w jego zawiadywaniach instytucyj, o ile żądane kwoty nie przewyższają oznaczonych w budżecie, Najwyżej zatwierdzonym d. 29-go grudnia 1905 r. (11 stycznia 1906 r.) — nie podlegają roztrząsaniu.“ Paragraf powyższy jest wzorowany na pruskiem prawie budżetowem, ustalającem listy cywilne, z tą tylko różnicą, że z ustaleniem listy cywilnej w Prusach król zrzekał się wszelkich praw do apanaży, czego nie spotykamy w ustawie rosyjskiej.

„Kwoty, przeznaczone na spłatę długów państwa oraz innych zobowiązań przez państwo na siebie przyjętych, nie mogą być obcinane“ (6). Paragraf ten z pozoru może się wydawać jako gwarantujący interes kredytorów Rosyi, gdyż pozbawia Izby prawa niespełniania zobowiązań kredytowych, przyjętych przez państwo. Lecz w swej konsekwencyi nie odpowiada on interesom kredytorów Rosyi, prowadzi bowiem do usunięcia z pod kontroli

reprezentacyi długów państwowych. Długi państwowe figurują w preliminarzu budżetowym Rosyi oraz w sprawozdaniach kontroli, jako *wolna gotówka*. Krytykując budżet, mówcy Izby poselskiej będą mogli upatrywać genezę tej gotówki, przejść przez to do sprawy długów państwowych, poddać swej krytyce chronicznie nieprawidłową gospodarkę rossyjskiego *banku państwa*. Ale o uzależnieniu pożyczek państwowych oraz banku państwa od Izby poselskiej lub Rady państwa, przepisy nic nie mówią. Parlament, nie mający prawa odrzucić zobowiązania rządu względem wierzycieli, niema faktycznie żadnej władzy nad zawarciem lub odrzuceniem pożyczek państwowych. Nawet wzmocniona Rada państwa w Austryi z 1860 r., będąca tylko preludyum do konstytucyjnego życia, posiadała prawo kontroli długów państwowych.

„W toku roztrząsania preliminarza budżetowego, nie mogą być wykreślane lub zmieniane dochody i wydatki, wciągnięte do preliminarzów na mocy praw obowiązujących, ustaw, etatów, rozkładów, tudzież rozkazów Najwyższych w drodze zarządu zwierzchniczego zapadłych (8).“ Paragraf powyższy umożliwia Izbie odrzucenie budżetu dla obalenia nie odpowiadającego jej dążeniom ministeryum. Ma on poniekąd precedens w ustawie pruskiej.

Co się zaś tyczy następnego 9 punktu, brzmi on, jak następuje:

„Wnioski, powzięte przez Radę państwa lub Dumę podczas roztrząsania preliminarza budżetu, a dotyczące zmiany praw obowiązujących, ustaw, etatów i rozkładów, tudzież rozkazów Najwyższych, na mocy których wciągnięto do preliminarza rozchody i wydatki, oraz dotyczących nowych, niepokrytych przedtem potrzeb — otrzymują bieg dalszy w porządku prawodawczym przepisanym.“

Ustawa ta uniemożliwia parlamentowi prostowanie działalności rządu przy uchwaleniu budżetu, t. j. wykorzystania okoliczności najbardziej nadających się dla usuwania przez parlament nieprzyjaznych objawów polityki rządowej.

Rząd będzie mógł w razie potrzeby obywać się bez uchwalonego przez Izby preliminarza budżetowego, gdyż punkt 13 głosi:

13) „Jeżeli preliminarz nie będzie zatwierdzony przed rozpoczęciem się okresu budżetowego, natenczas pozostaje w swej mocy poprzedni zatwierdzony w przepisanym porządku preliminarz z temi jedynie zmianami, jakie wypływają z zastosowania praw, po jego zatwierdzeniu zapadłych. Do czasu ogłoszenia nowego budżetu, z decyzyi rady ministrów, otwiera się dla ministeryów i naczelnych zarządów stopniowy kredyt do wysokości rzeczywi-

stej potrzeby, nie przekraczającej atoli w ciągu miesiąca, łącznie, jednej dwunastej części ogółu wydatków.“

W Rosyi istniała, jako organ rządu, kontrola państwowa, sprawdzająca wydatki poszczególnych ministeryów. Obecnie dodaje się, jako organ kontroli finansowej, Izbę poselską, ale nie uposaża się jej rozleglejszą kompetencyą budżetową od tej, jaką uprzednio posiadał wytworzony biurokratyczny organ rządu. Niema w świecie parlamentu, uposażonego tak małą kompetencyą finansową, jak Izba poselska i Rada państwa w Rosyi.

Już rozpatrując kwestyę interpelacyi zaznaczaliśmy, że ministeryum jest odpowiedzialnem nie przed parlamentem, lecz przed monarchą: (§ 60) „Jeżeli Izba państwowa większością dwóch trzecich głosów jej członków nie uzna za możliwe zadowolnić się oświadczeniem ministra lub naczelnika oddzielnego wydziału, natenczas interpelacya przedstawianą jest przez prezesa Rady państwa do Najwyższego uznania.“

W całem prawodawstwie o Izbie poselskiej i Radzie państwa nie spotykamy ustaw, uzależniających ministeryum od Izby, przeciwnie, równoznaczność obu ciał prawodawczych Rosyi czyni niemożliwem ministeryum parlamentarne, oparte na większości poselskiej, gdyż inną barwę polityczną zazwyczaj nosić będzie większość Izby, a inną większość Rady państwa.

Ze względu na stosunek ministeryum do parlamentu, państwa konstytucyjne dzielą się na dwa typy: parlamentarny i dualistyczny.

Parlamentarne ministeryum, to ministeryum z większości parlamentarnej, podające się do dymisyi z chwilą utraty tej większości. W państwach tego typu czasem przypadkowy (skutkiem nieobecności pewnej liczby posłów na sali) wynik głosowania, niezgodny z projektem rządowym, wywołuje ustąpienie ministeryum.

Odpowiedzialność ministrów.

Panujący lub prezydent (w republice francuskiej) nie ma możności poruczenia ministeryum członkom dowolnej partyi, ale musi poruczyć to partyi, posiadającej większość w parlamencie lub koalicyi, stanowiącej większość parlamentarną.

Ojczyzną ministeryum parlamentarnego jest Anglia. Ten fakt, że posiadała ona przez długi czas dwie partye, wigów i torysów, ułatwiał w niej utrwalenie się ministeryów parlamentarnych.

Na czele gabinetu stawał przywódca partyi, która dochodziła do władzy, tak że osoba ministra w razie zwycięstwa torysów lub wigów była znana opinii publicznej; wiedziano, że z wigami przyjdzie ministeryum Gladstona, z torysami — Disrael'ego, następnie Salisbury'ego.

W dobie przewagi Izby lordów, ministrowie byli członkami tej Izby, gdy zaś punkt ciężkości politycznej przeniósł się do Izby gmin, większość ministrów, a zwłaszcza premier, wybierani są z członków Izby niższej.

Dwuizbowość nie była w Anglii przeszkodą do utrwalenia się ministeryum parlamentarnego, gdyż przed reformą 1832 roku w Izbie gmin przeważał ten sam społeczny pierwiastek — wielka własność ziemska, co i w Izbie lordów. Następnie środek ciężkości politycznej tak stanowczo przeniósł się do Izby gmin, że ministeryum musi przystosowywać się do większości tej Izby, ma możność przez nominacyę w imieniu monarchy członków Izby lordów, wytwarzać tam odpowiednią większość.

W 1895 r. z powodu projektu Gladstona irlandzkiego *Homorule* w partyi liberalnej powstała secesya (liberałów-unionistów). Otóż gabinet Salisburego z 1895 r. był już gabinetem koalicyjnym: liberalnych unionistów i torysów.

Gabinety koalicyjne bezwarunkowo są mniej stateczne niż gabinety jednopartyjne, gdyż upadają wskutek koalicyi sprzymierzonych partyj. W Anglii za czasów Wiktoryi był wypadek, że gabinet wigów upadł wobec koalicyi torysów, radykałów i Irlandczyków. Królowa na mocy zasady parlamentaryzmu poruczyła sformowanie ministeryum przywódcy torysów. Lecz torysi, widząc że nie będą mogli mieć stałego poparcia radykałów i Irlandczyków, zrzekli się utworzenia ministeryum i królowa musiała znów je poruczyć wigom.

We Francyi przy istnieniu znacznej ilości partyj politycznych i znacznego ich antagonizmu, parlamentarne ministerya za trzeciej Rzeczypospolitej upadają bardzo często; trwalszemi były ministerya parlamentarne we Francyi podczas monarchii orleańskiej, t. zw. lipcowej, gdyż większa jednolitość cechowała ówczesny parlament francuski, oparty na znacznym cenzusie wyborczym.

Wobec rozbicia partyj we Włoszech ministerya parlamentarne są tam zawsze koalicyjne i natrafiają na wielkie trudności.

Belgię, Holandyę, Hiszpanię i Węgry zaliczają do monarchij o ministeryach parlamentarnych, Austryę Esmain zalicza do tegoż typu, Borhak do dualistycznego, o ministeryach niezależnych od parlamentu.

W Austryi spotykamy ministerya parlamentarne, oparte na większości i urzędnicze. Te ostatnie, jakkolwiek czasami są względnie długotrwałe, np. ministeryum Koerbera, noszą jednak zawsze charakter ministeryów przejściowych, aż do utworzenia z różnych partyj politycznych większości parlamentarnej. Rozbicie Niemców austryackich na szereg stronnictw oraz ten fakt, że siedem narodów reprezentowanych jest w wiedeńskiej Radzie państwa, że większość niemiecka lub słowiańska zależała od stanowiska Koła polskiego i była zawsze względnie nieznaczną, utrudnia wytworzenie się rządów parlamentarnych w Austryi i przyczynia się tam do zwiększenia wpływu monarchy na ministerya. Inicyatywa korony w zaprowadzeniu powszechnego prawa wyborczego na Węgrzech ma na celu rozbicie decydującej przewagi Węgrów, żywiołu, na którym opierał się parlamentaryzm węgierski, a zaprowadzenie rządów bardziej zależnych od korony.

Typem państwa o ministeryum nieparlamentarnem są Prusy. System ten nazywają dualistycznym. Obie władze, prawodawcza i wykonawcza, występują tu, jako czynniki niezależne. Monarcha lub prezydent rzeczypospolitej (Stany Zjednoczone) mogą dowolnie wybierać ministerya. W konstytucyi Stanów Zjednoczonych pochodzi to stąd, że utworzona ona została na mocy zasady Montesquieu o podziale władz: prawodawczej, wykonawczej i sądowej. Stany Zjednoczone posiadają szereg instytucyj, hamujących dowolność władzy wykonawczej, stąd brak parlamentarnego ministeryum nie wywołuje tam narzucenia społeczeństwu amerykańskiemu obcej mu woli prezydenta, obranego na lat 4. Zresztą dziedzictwo wolnościowe, otrzymane od Anglii przez pierwszych kolonistów, decyduje tu o praktyce instytucyi amerykańskiej. Całkiem co innego Prusy, wyrosłe, jako państwo militarne, zasłużone w sprawie zjednoczenia Niemiec, w pewnej przynajmniej mierze dzięki domowi Hohenzollernów.

Od stu kilkudziesięciu lat szkoła pruska wbija w głowy podrastającego pokolenia pojęcie o zasługach Hohenzollernów; od stu kilkudziesięciu lat koszary pruskie uprawiają kult króla pruskiego. To też monarchizm w Prusach jest do dziś dnia olbrzymią siłą polityczną.

„W adresie waszym — mówił Bismark podczas rozpraw parlamentarnych 1863 r. — oddzielacie całkiem mylnie ministrów od korony. W Prusach gabinet znajduje się w innej pozycyi, niż w Anglii, gdzie on, pochodząc z łona większości parlamentarnej, posiada charakter parlamentarny; gabinet pruski jest rządowym, nie zaś parlamentarnym. Ministrowie pruscy, mianowani i usu-

wani podług uznania króla, podlegli bezpośrednio jemu, działają w jego imieniu i z jego rozkazu i znajdują się w zależności od jego władzy i woli. My—ministrowie J. W. Króla, nie zaś wasi.“

W 1863 r. z powodu konfliktu budżetowego, pruska izba deputowanych uchwaliła adres do tronu, w którym były wyrażone skargi przeciw królewskim ministrom i oskarżenie ich o pogwałcenie konstytucyi i utraty zaufania narodu. W adresie wskazywano na potrzebę zmiany osób i systemu ministeryalnego dla wyrównania przepaści między doradcami korony i krajem. Na adres była dana następująca odpowiedź: „Wbrew konstytucyi Izba pragnie mnie zmusić do otoczenia siebie takimi ministrami, którzy jej są po myśli, torując sobie w ten sposób drogę do wszechwładzy przeciwkonstytucyjnej. Odrzucam te pretensye. Ministrowie moi korzystają z mego zaufania, ich akty oficyalnie są przeze mnie aprobowane. Wyrażam im wdzięczność za to, że przeciwdziałają antykonstytucyjnym dążnościom Izby, skierowanym ku wzmożeniu jej władzy.“

Rządy parlamentarne w Prusach jak się wyraża trafnie Z. Durier, doznały porażki skutkiem zwycięstwa wojsk pruskich nad Austryą w 1866 r.

Bismark opierał się o króla, zginąłby i zdepopularyzował dynastyę, gdyby armia, pomnożona dzięki niekonstytucyjnie ustanowionemu budżetowi, uległa klęskom. Tryumfy zwycięstw, prowadzących do zjednoczenia Niemiec, uczyniły dyktatorem Prus i Niemiec Bismarka, który dla uniezależnienia się od przedstawicielstwa narodowego głosił wobec niego o swej zależności od monarchy. Te oświadczenia jednak na długi czas umocniły władzę korony w sprawie doboru ministrów. Charakteryzując stosunek króla pruskiego do swych ministrów, ks. Bismark w 1882 r. mówił w parlamencie: „Sam tylko król podług swego uznania wskazuje to, co ma być dokonanem, np. jakie instrukcye dać należy w Radzie związkowej; ministrowie winni tylko sformułować i spełnić jego wskazania. Rozumie się, mogą oni nie zgadzać się ze zdaniem korony i wówczas na scenę zjawia się kompromis — całe życie konstytucyjne składa się z kompromisów i jeżeli król nie chce rozstać się ze swym ministrem, czyni jakieś ustępstwa w tem, co wolałby odrzucić.

Ustrój konstytucyjny daje panującemu możność wiedzieć, czy i o ile minister ma mir w narodzie, oczywiście panujący nie zechce psuć swego stosunku do narodu przez udzielenie dymisyi popularnemu ministrowi. Przy absolutyzmie monarcha może wiedzieć tylko, o ile jest minister popularny w sferach dworskich,

więc liczy się z ministrem, jako gorszem lub lepszem narzędziem w jego rękach. Gdy hr. Palen, znany zwolennik pańszczyzny, został mianowany przewodniczącym komitetu do reformy włościańskiej w 1869 r., obudziło to niepokój, iż położy on kres zamierzonej reformie; hr. Palen rzekł: „Prawda, że sprawa reformy sprzeciwia się moim przekonaniom, ale skoro mi cesarz kazał, wbrew moim przekonaniom będę działał z jeszcze większą gorliwością, niż działałbym w myśl moich przekonań.“

Taka psychologia rosyjskich mężów stanu, a raczej biurokratów wyższych szczebli, jest wynikiem tego, że wydźwigani byli z niższych na wyższe szczeble przez umiejętne przystosowanie się do wymagań władz, podtrzymywani na wyższych szczeblach życzliwością tych, co są u góry, zawsze obcy społeczeństwu i jego poparciu. Samo istnienie ciał reprezentacyjnych musi być tu czynnikiem zmiany. Przełamanie jednak zastarzałych tradycyjnych nawyknień organizmu państwowego jest rzeczą trudną. Im bardziej zasadniczym zmianom uległ ustrój państwowy, tem łatwiej jest zerwać z dawnymi nałogami i tradycyami.

Funkcye akuszera przy porodzie ciała reprezentacyjnego w Rosyi poruczono Bułyginowi, który tak niedawno przed tem był w charakterze vice-ministra, prawą ręką bezwzględnego szermierza autokratyzmu, Plewego. W rezultacie *Duma państwowa*, zrodzona przy pomocy Bułygina, okazała się martwo-urodzonem dziecięciem.

Pierwszym ministrem spraw wewnętrznych po ogłoszeniu zasad konstytucyjnych 30/17 października został Durnowo, który za czasów Aleksandra III w ciągu wielu lat w charakterze dyrektora departamentu policyi zsyłał i więził zwolenników ustroju konstytucyjnego.

W rezultacie między praktyką rządu, a głoszonemi przez niego zasadami, nawet za czasów Katarzyny II i Aleksandra I nie było takiej rozterki i takiego, jak dzisiaj, chaosu, mogącego zniweczyć w zarodku porządek konstytucyjny.

Najważniejszem zadaniem Izby poselskiej w Rosyi jest zdobyć sobie wpływ na wybór ministrów, co daje wpływ na obsadzenie wszystkich posterunków administracyjnych.

Błędem politycznym ziemców i przedstawicieli liberalizmu w Rosyi było, że nie przyjęli proponowanych im 30-go października portfeli ministeryalnych. Gmach biurokracyi nie byłby jeszcze przez to opanowany i, napotkawszy znaczne przeszkody, działacze społeczni Rosyi może zniewoleni byliby złożyć teki ministeryalne,

niezawodnie jednak mogliby wyłamać znaczne szczerby w tym gmachu.

Kwestya odpowiedzialności ministeryalnej, to podstawowa kwestya polityczna rządów. Rosya staje wobec dylematu: przytarcie rogów biurokracyi przez ciała prawodawcze lub wytworzenie z ciał tych jakiejś komisyi przy radzie ministrów.

Warunkiem pierwszego jest odpowiedzialność ministrów, szefów biurokracyi przed izbą poselską.

Walka parlamentu z ministrami była naturalnym ogniwem w rozwoju parlamentaryzmu wielu krajów.

W Anglii, klasycznym kraju parlamentaryzmu, spotykamy przed osiągnięciem odpowiedzialności parlamentarnej ministrów, odpowiedzialność sądową; parlament angielski pociągał ministrów niejednokrotnie do odpowiedzialności za *zdradę stanu* (high treason), przyjmując to pojęcie tak rozciągle, że obejmowało ono wszystkie błędy i szkodliwe czyny ministra dla państwa, przyczem skazywaniem na śmierć parlament pozbawiał się niedogodnego mu ministra. Z ustaleniem się rządów parlamentarnych te akty okrucieństwa, jako zbyteczne, wyszły z użycia.

Karta francuska z 1814 r. znała odpowiedzialność ministra za zdradę stanu i przekupstwo, pomimo to po rewolucyi 1830 r. izby pociągnęły do odpowiedzialności ministrów Karola X za kontrasygnowanie niekonstytucyjnych ordynansów królewskich, ograniczających wolność prasy. Konstytucya francuska trzeciej Rzeczypospolitej daje prawo pociągania ministrów do odpowiedzialności za przestępstwa służbowe, przyczem, jak widać z praktyki parlamentarnej Francyi, do przestępstw służbowych parlament zalicza wszelkie czyny, szkodliwe dla interesów państwa.

W Prusach na podstawie art. 61 ustaw zasadniczych, w Würtembergu § 195, w Hesyi art. 109 parlament ma prawo pociągnąć ministrów do odpowiedzialności za naruszenie konstytucyi.

Prawodawstwo rosyjskie znało pociąganie ministrów do odpowiedzialności przez cesarza, wobec którego tylko ministrowie byli odpowiedzialni. Otóż naturalną konsekwencyą stworzenia ciał reprezentacyjnych musi być wydanie prawa o odpowiedzialności ministra wobec Izb, nadanie Izbie poselskiej prawa pociągania ministrów do odpowiedzialności. Korona zobowiązała się w Rosyi do szeregu gwarancyj konstytucyjnych. Kto ma być odpowiedzialnym w razie ich pogwałcenia?

Wszystkie akty monarchy konstytucyjnego kontrasygnuje minister, który jest za nie odpowiedzialny. Kontrasygnatura aktów korony przez ministra powstała w dobie przedkonstytucyj-

nej; podpis ministra uwierzytelniał podpis króla. W epoce absolutyzmu podpis monarchy znosił odpowiedzialność ministra za akt przezeń podpisany. W dobie konstytucyjnej minister kontrasygnujący podpis monarchy, ponosi zań odpowiedzialność. Lecz minister musi być odpowiedzialnym przed parlamentem.

Sankcya uchwał.

Uchwały ciał prawodawczych ulegają sankcyi monarchy. Monarcha lub głowa państwa mogą sankcyonować lub nie sankcyonować uchwały ciał prawodawczych. Prawo odmówienia sankcyi nazywa się prawem veta.

We wszystkich monarchiach, z wyjątkiem Norwegii, monarcha posiada nieograniczone prawo veta. W Norwegii veto królewskie traci moc, jeżeli sejm po raz trzeci uchwali bez zmian niesankcyonowane swe wnioski.

W Anglii veto królewskie nie było stosowane od 1707 r.; w 1758 r. ministeryum groziło izbom, iż uchwała parlamentu nie uzyska sankcyi, jeżeli parlament nie przyjmie żądanej przez ministeryum poprawki. Veto królewskie w Anglii uznają za wyszłe z użycia. Parlamentarne ministeryum w Anglii uniemożliwia rządzenie państwem wbrew większości parlamentarnej. Ministerya parlamentarne stały się czynnikiem politycznym, gwarantującym sankcyę monarszą.

Dualistyczny system władz w Ameryce wywołuje tam dosyć częste veto prezydyalne, ograniczone podaniem kwestyi pod powtórne przyjęcie przez kwalifikowaną większość, $^2/_3$ kongresu.

Parlamentarne ministerya bardziej niż wszelkie ograniczenia prawa veto przez głowę państwa, wywołują sankcyę uchwał ciała prawodawczego.

Uchwały sejmu galicyjskiego częstokroć nie otrzymują sankcyi; pochodzi to stąd, że sankcya monarsza tych uchwał jest kontrasygnowana przez ministeryum odpowiedzialne nie przed sejmem galicyjskim, lecz przed parlamentem wiedeńskim.

Wobec braku odpowiedzialności ministrów przed Izbą poselską w Rosyi, możnaby przewidywać niesankcyonowanie wielu uchwał Izby. Korona w Rosyi posiadła czynnik bardzo ważny dla uchylenia uchwał Izby poselskiej, niezgodnych z widokami rządu, a nienarażający ministrów na bezpośredni konflikt z ludnością. Czynnikiem tym jest Rada państwa.

Rada państwa.

Rada Państwa w Rosyi, jakkolwiek uległa reformie na mocy manifestu z dn. 7 marca, jednak musi pozostać piastunką biurokratycznych tradycyj Rosyi.

Instytucya ta została powołana do życia w 1810 r., jako jedno z ogniw zamierzonych reform ustroju politycznego Rosyi. Obok Rady państwa miała, podług projektu Sperańskiego, powstać Duma państwowa, dzieląca się na komisye ustaw politycznych, cywilnych, administracyjnych, komisyę rewizyi sprawozdań ministeryalnych, funduszów i potrzeb państwowych. Komisye miały być kierowane przez przewodniczących i sekretarzy, obranych przez Dumę państwową. Duma miała zbierać się corocznie.

Duma państwowa, Duma gubernialna, okręgowa i gminna miały być obieralne.

Nie przyszły one do skutku.

Otóż Dumy miały być organami społecznemi, ich zaś najwyższym szczeblem Duma państwowa.

Jako organ bezpośredni władzy monarchicznej utworzono Radę państwa. Sądzono, że akta, przechodzące przez Radę państwa, będą wzbudzały większe zaufanie, niż akta osobiste.

„Podatki wydają się tak uciążliwemi głównie przez to, że wydają się dowolnemi“ — pisał Sperański. Rada państwa miała rozpoznawać budżet na rok przyszły i zamknięcie rachunkowe z ubiegłego roku, oraz sprawy finansowe państwa. Formułka prawna nowych ustaw w Rosyi rozpoczynała się od słów: „Przyjąwszy pod uwagę zdanie Rady państwa... postanowiliśmy...“

Formułka owa raziła instynkty monarchiczne ówczesnych Rosyan; przeciwko niej występował między innymi Karamzin, jako przeciw niezgodnej z samowładztwem cesarskiem. Otóż od r. 1834 nie spotykamy jej w aktach prawodawczych.

Monarcha mógł dowolnie nadać moc prawną opinii większości lub mniejszości Rady państwa. Była to instytucya doradcza, nie ograniczająca władzy cesarskiej w treści wydawanych praw; miała ograniczać ją tylko w sposobie wydawania praw. Zdawać się mogło w 1810 r., że odtąd wszelkie prawa rozważane będą przez Radę państwa, że ta instytucya posiadać będzie monopol doradczo-prawny.

Tymczasem opinie komitetu ministrów, oraz poszczególnych ministeryów, ilekroć otrzymywały sankcyę cesarską, miały moc obowiązującą, moc prawną.

Był to naturalny wynik absolutyzmu, uznającego wolę cesarza za źródło władzy.

Wzmocnienie Rady państwa, postawienie jej na naczelnem miejscu było zadaniem przed laty 25 prof. Gradowskiego, jednego z najwybitniejszych przedstawicieli prawa państwowego w Rosyi.

Od 1810 do 1905 r. Rada państwa nie ulegała żadnym znaczniejszym zmianom. Była zbiornikiem dymisyonowanych dygnitarzy cywilnych i wojskowych; zasiadało tam także po kilkunastu wielkich książąt, ale nie z urodzenia, lecz z nominacyi zostawali oni członkami Rady państwa; przedstawicieli duchowieństwa, nawet prawosławnego, w Radzie państwa nie było wcale.

Przy otwarciu jej w 1810 r. mianowano do Rady państwa 35 członków, dziś liczy około 90 razem z ministrami i naczelnikami poszczególnych wydziałów w ilości 13. W r. 1898 Rada państwa liczyła 47 cywilnych, 19 wojskowych i 4 wielkich książąt. Z wyjątkiem wielkich książąt, wszyscy inni członkowie Rady państwa są to ludzie w wieku podeszłym, przesiąknięci nałogami biurokratycznemi. Rada państwa była zawsze przybytkiem nawpół umarłych, jej członkowie żyli tylko cząstką życia innych członków rad prawodawczych, wszyscy bowiem byli pozbawieni prawa inicyatywy prawodawczej, t. j. prawa stawiania wniosków.

Dla izolowania Rady państwa od wpływu opinii publicznej protokóły posiedzeń Rady państwa stanowiły tajemnicę państwową.

Ten przybytek wpół umarłych, którego głos do żywych nigdy nie dochodził, obecnie otrzymał rozkaz żyć pełnem życiem, otrzymał prawo parlamentów europejskich, jawność interpelacyi, inicyatywy prawodawczej.

Otrzymał poza tem około setki członków wybieralnych na mocy wysokiego cenzusu, dwu i trzystopniowych wyborów. Zachodzą obawy, że półumarli siać będą martwotę wśród żywych. Zachodzi obawa, że znajomość machiny państwowej da znaczną przewagę dawnym członkom Rady państwa nad ich nowymi kolegami.

Zachodzi obawa, że usamodzielnienie Królestwa, likwidacya dawnego systemu oraz wiele nowych reform, jeżeli przejdą przez Izbę poselską, natrafią na silny opór w Radzie państwa.

W Radzie państwa upatrujemy ważne niebezpieczeństwo dla wytworzenia się życia konstytucyjnego w Rosyi.

Może ona stać się nietylko organem, tamującym wszelką akcyę reformatorską *Izby poselskiej*, na co wystarcza to, iż posiada ona równe prawa z Izbą we wszelkich zakresach, może stać się surogatem Izby poselskiej w rodzaju austryackiej Rady państwa, któ-

ra powstała w 1851 r. w okresie restauracyjnym po rewolucyi 1848 r., po szeregu efemeryd konstytucyjnych. Rada państwa austryacka była instytucyą doradczą.

Utworzoną została ona 13 kwietnia 1851 r. 20 sierpnia razem z reskryptem, znoszącym wszelką odpowiedzialność ministra, oprócz odpowiedzialności wobec korony, wydane były pisma, uznające Radę państwa za wyłączną Radę korony. Wskutek tego postanowienia ministeryum nie może na przyszłość przesyłać projektów ustaw lub rozporządzeń do zaopiniowania Radzie państwa, lecz musi się zwracać z niemi zawsze do mnie" — czytamy w reskrypcie cesarza z d. 20 sierpnia 1851 r. na imię barona Kubecka.

Po wojnie włoskiej z 1859 r., 5 marca 1860 r. wydany został patent cesarski, zarządzający wzmocnienie Rady państwa przez nadzwyczajnych Radców państwa.

§ 1. Nadzwyczajnymi Radcami państwa, którzy mają w tych peryodycznych obradach uczestniczyć, mianowano:

1. Arcyksiążąt cesarskiego domu.

2. Kilku najwyższych dostojników kościelnych.

3. Kilku mężów, którzy się odznaczyli w Naszej cywilnej i wojskowej służbie lub w inny jaki sposób.

4. Trzydziestu ośmiu członków reprezentacyi krajowych.

Pod obrady wzmocnionej Rady państwa miały być poddawane:

1) Ustanowienie budżetu państwowego, roztrząsanie państwowych zamknięć rachunkowych, przedłożenie komisyi długów państwowych.

2) Wszystkie ważniejsze projekty w sprawach ogólnego ustawodawstwa.

3) Wnioski reprezentacyi krajowych (przedłożenie).

Zastrzegamy sobie przydzielenie także i innych spraw pod obrady wzmocnionej Rady państwa.

Ta wzmocniona Rada państwa była pieśnią łabędzią absolutyzmu austryackiego, ona to zainicyowała patent październikowy z 1860 r., który, przeobrażony następnie latem 1861 r. jest podstawą współczesnej konstytucyi austryackiej.

Rosyjska Rada państwa przeobrażona i wzmocniona ustawą 5 marca (20 lutego) 1906 r., analogiczna z wielu względów do austryackiej z 1860 r., może być punktem wyjścia do zniesienia zapoczątkowanej konstytucyi. To niebezpieczeństwo, jakie zapowiada rosyjska wzmocniona Rada państwa, czyni ją od razu niepopularną, nawet wśród bardzo umiarkowanych partyj w Rosyi. Zniesienie jej stałoby się hasłem bojowem Izby poselskiej.

Tu wyłania się sprawa jedno lub dwuizbowości ciał prawodawczych.

Jednoizbowe przedstawicielstwo spotykamy tylko w Grecyi, Bułgaryi, Serbii i w niektórych drobniejszych państwach niemieckich. Brak rozwiniętego zróżniczkowania społecznego i stosunkowo nieznaczny rozmiar państwa, umożliwiające centralizacyę, oto okoliczności, sprzyjające jednoizbowości ciał prawodawczych.

Istnienie dwóch Izb bywa wywołane częstokroć przez to, że warstwa silna ekonomicznie i posiadająca znaczne wpływy nieraz nietylko przez swą przewagę gospodarczą, ale i tradycye dziejowe, zachowuje wytworzoną oddawna historycznie lub wytwarza odrębną Izbę prawodawczą, której zadaniem jest stanie na straży interesów owej warstwy. Do kategoryi tej należą Izby, będące organami arystokracyi rodowej, lub plutokracyi przemysłowej, oraz Izby, o członkach mianowanych przez koronę, Izby, będące cytadelami, wznoszonemi ku obronie interesów monarchizmu w okresie wytwarzania się konstytucyi.

Niekiedy dwie Izby są rezultatem związkowego państwa; jedna Izba reprezentuje naród, druga — składowe części państwa, prowincye, federalistycznie ze sobą związane.

Do pierwszego typu należą dziedziczne, arystokratyczne, będące organami większej własności ziemskiej: Izby wyższe Anglii i Węgier. Dla nadania plutokratycznego charakteru Izbie wyższej, cenzus wyborczy czynny do Izby wyższej w Szwecyi, Danii i Rumunii, jest bardzo znaczny. W Belgii istnieje wysoki cenzus wyborczy bierny do Izby wyższej, z wyjątkiem cenzusu senatorów, obieranych przez rady prowincyonalne.

Znaczna przewaga mianowanych członków Izby panów w Prusach, ma na celu nadanie tej instytucyi charakteru monarchicznego. Ośmiu „panów“ wybranych przez wielkich właścicieli ziemskich innych prowincyj, nie zmienia charakteru tej Izby. Pośród mianowanych przez króla, przeważa też arystokratyczno-ziemiański pierwiastek. Pierwiastkiem monarchicznym Izby są zwykle zasiadający tam na mocy urodzenia po dojściu do pewnego wieku arcyksiążęta.

Do drugiego typu należą dwie Izby Szwajcaryi i Stanów Zjednoczonych: Rada kantonów i Senat, są one przedstawicielami składowych części związkowego państwa. Izba wyższa w Holandyi, składająca się z delegatów Rad prowincyonalnych, ma swą genezę w dawnym federalnym ustroju tego państwa.

Senat francuski, wybieralny przez przedstawicieli Rad kantonalnych i municypalnych, miał reprezentować podstawę komórki samorządu gminy. Nosi charakter konserwatywny wskutek sztu-

cznej przewagi, jaka nadaną została gminom wiejskim przed miejskiemi. Wobec tego, że gmina jest zbyt szczupłą jednostką terytoryalną, wobec tradycyjnego centralizmu Francyi, Senat francuski nie stał się reprezentacyą właściwości prowincyonalnych Francyi— jest najbardziej niepopularnym ze wszystkich Izb wyższych. Wogóle Izby wyższe w krajach, gdzie noszą arystokratyczny, plutokratyczny lub monarchiczny charakter, nie są popularne. Jeżeli kwestya ich zniesienia nie staje często lub stale na porządku dziennym, jeśli nie zwraca się przeciw nim agitacya ludowa z taką siłą, jak za zaprowadzeniem powszechnego i równego prawa wyborczego w krajach, posiadających cenzus wyborczy, pochodzi to stąd, że Izby wyższe przestają być przeszkodami dla Izb niższych, pomnąc, że nie reprezentują narodu. Gdy w 1885 r. Izba wyższa Węgier stanęła na przeszkodzie zaprowadzenia małżeństw cywilnych na Węgrzech, minister Tisza, opierając się na liberalnej większości Izby niższej, zmienił skład Izby wyższej. Uzyskał mianowanie przez króla 50 członków dożywotnich według rekomendacyi prezesa ministrów. W ten sposób złamanym został opór Izby wyższej.

Całkiem analogiczne środki były stosowane wielokrotnie i w Anglii. Ale stosowanie ich wymaga parlamentarnego ministeryum, wdrożenia się korony do solidarności z większością Izby niższej. Stąd o przystosowaniu składu Rady państwa w Rosyi do większości Izby poselskiej, w razie gdyby ta większość była liberalną, nie może być mowy bez znacznych zmian w państwie, zmian, które z pewnością uniosłyby w przeszłość dziejową niepopularną instytucyę, Radę państwa. Ten więc fakt, że rosyjska Rada państwa składa się w połowie z mianowych na jeden rok członków, że więc wola rządu łatwo będzie mogła uzyskać potrzebną sobie większość w Radzie państwa, nie jest plusem.

Jako objaw przewagi Izby niższej nad wyższą musimy zaznaczyć, że podług utartego zwyczaju w Anglii ministeryum nie upada przy votum nieufności Izby lordów, na to potrzebnem jest votum nieufności Izby gmin. We Francyi, w której tak często upadają ministerya wskutek niezgodnego z ich opinią votum Izby poselskiej, w ciągu 30 lat upadło tylko raz ministeryum, mianowicie Bourgeois, po odrzuceniu przez senat jego projektu postępowego podatku dochodowego, przyczem znaczna część przedstawicieli nauki prawa publicznego we Francyi uznała to podanie się do dymisyi Bourgeois za niezgodne z zasadą parlamentaryzmu francuskiego. Izba lordów w Anglii od lat przeszło 40 nie czyni żadnych zmian w budżecie, uchwalonym przez Izbę gmin. W 1895

r. Izba gmin w Anglii uchwaliła rezolucyę, pozbawiającą Izbę wyższą prawa odrzucania lub zmieniania votum uchwalonego przez Izbę gmin. Otóż rezolucya ta, o ileby jej nie zaniechała Izba gmin, prowadziłaby do faktycznego unicestwienia Izby lordów.

Pomimo zmniejszającego się wpływu Izby lordów, nie jest to instytucya całkiem pozbawiona wpływu na bieg prawodawstwa. W 1888 roku odrzuciła ona przyjęty przez Izbę gmin, bill Gladstona, irlandskie, home rul" autonomii Irlandyi. W następnie zebranej Izbie gmin sprawa ta nie uzyskała większości i do dziś dnia nie jest załatwioną. Odroczenie tej lub owej reformy jest częstokroć jej pogrzebaniem na wieki, gdyż mogą nie wrócić konjunktury polityczne, niezbędne do jej realizacyi.

Wszelka Izba wyższa o charakterze konserwatywnym, hamującym, jest w Rosyi dla naszych narodowych interesów niepożądaną.

Izba wyższa w Rosyi o charakterze arystokratycznym jest niemożliwa. Rosya ma stare rody, wywodzące się od Rurykowiczów i Gedyminowiczów, ma historyczne nazwiska, których przedstawiciele posiadają magnackie fortuny, ale arystokracya rosyjska niema żadnego łącznika, skupiającego te siły; znane rosyjskie *miestniczestwo*, oraz hierarchia rodów służbowych nie dały wytworzyć się duchowi korporacyjnemu wśród możnych rodów w Rosyi; zresztą knut hulał tak samo po plecach bojarzyna, jak i chłopa. Potem przyszedł wpływ demokratycznych idei XIX wieku. Zagrożone w swym bycie gospodarczym przez ruchy agrarne bogate ziemiaństwo rosyjskie, nie jest też tą potęgą ekonomiczną, na której rzecz musiałyby wypaść jakieś ważne zdobycze polityczne, jakaś odrębna Izba; ono ani chce, ani może uzyskać owej instytucyi.

Cenzus wyborczy bierny, równający się potrójnemu cenzusowi do wyborów w ziemstwie, który został ustanowiony przez ustawę 5 marca (20 lutego) dla członków Rady państwa z wyboru, nie może przyczyniać się do spopularyzowania tej instytucyi w żadnej warstwie społeczeństwa rosyjskiego.

Izba druga była stawiana w niektórych projektach reform państwowych partyi konstytucyjno-demokratycznej, jako organ, reprezentujący ciała samorządne, ziemstwa gubernialne oraz kraje posiadające autonomię. Byłoby to stworzenie systemu dwuizbowego w Rosyi na wzór typu federacyjnego. Tu zauważyć winniśmy, że jakkolwiek szeroki samorząd prowincyonalny, wobec różnorodności części państwa rosyjskiego, jest czemś niezbędnem dla prawidłowego funkcyonowania ustroju konstytucyjnego; jakkol-

wiek niezbędne są sejmy prowincyonalne w Rosyi, jako organy polityki ekonomicznej różnych prowincyj — polityki tak różnej, jak różną jest struktura gospodarcza tych prowincyj — jednak nic tak nie sprzeciwia się tradycyom państwowym w Rosyi, jak decentralizacya i federalizm. Izba więc druga, jako organ samorządu prowincyi, wydaje się w Rosyi rzeczą nader problematyczną.

Izba poselska (Duma państwowa).

Zwykłą opinię, która daje się słyszeć tak u nas, jak i w Rosyi, gdy chodzi o ordynacyę wyborczą do Dumy państwowej petersburskiej, jest wypowiedzenie o niej sądu, że jest zła, gdyż nie opiera się na równem, tajnem, bezpośredniem i powszechnem prawie wyborczem.

Czterowyrazową formułę wyborczą uznajemy za dogmat całkiem nieuzasadniony, gdyż niema formułki państwowej bezwzględnie dobrej. Formy państwowe nie powinny być brane bezwzględnie, lecz w stosunku do celów narodowych, kulturalnych i gospodarczych, które zrealizować mają.

Rosya cierpi na niedorozwój swych sił produkcyjnych. Podług zestawień znanego statystyka pruskiego Martina rolnictwo centralnej Rosyi znajduje się dziś na tym poziomie wytwórczości, co rolnictwo niemieckie na początku XIX w. Nizka produkcyjność rolnictwa w gospodarstwie chłopskiem w rdzennej Rosyi może być podźwignięta przez szereg reform kulturalnych, wymagających dziesiątków lat; uzupełniający nadział, tak popularny wśród chłopów rosyjskich i figurujący w programach szeregu partyj politycznych Rosyi, miałby, jako swą konsekwencyę, obniżenie jej wytwórczości, co zwiększyłoby tylko istniejącą dysproporcyę między potrzebami finansowemi państwa a jego siłami produkcyjnemi, co dalej uniemożliwiłoby inwestycye na szerszą skalę, niezbędne dla podniesienia kultury kraju. Znakomity badacz stosunków gospodarczych Rosyi, prof. Schulze-Gevaervitz, skonstatował drożyznę pracy rosyjskiego robotnika, pomimo nizkiej płacy, drożyznę, będącą wynikiem małej intensywności pracy rosyjskiego robotnika w porównaniu chociażby z polskim. Nasi technicy, którzy pracowali w charakterze dyrektorów fabryk w Rosyi, opowiadają, że częstokroć musieli zaniechać używania maszyny lub narzędzia nowszego systemu, przyjętego wszędzie w Europie, gdyż okazywał się robotnik rosyjski wcale nie przystosowanym do ich obsłu-

giwania; wracano więc do dawnych mniej złożonych metod wytwarzania, z któremi pierwotny robotnik rosyjski dawał sobie radę.

Rozwój prawodawstwa społecznego, owa konsekwencya polityko-ekonomiczna demokratycznej ordynacyi wyborczej, nie może iść w Rosyi w kierunku zachodnio-europejskim wobec zbyt wschodnich jej warunków gospodarczych.

Powszechne a równe prawo wyborcze w Rosyi nie stanie się środkiem do usunięcia jej niedomagań gospodarczych.

Królestwo znajduje się w całkiem innych warunkach, posiada całkiem inną, inaczej urobioną historycznie strukturę gospodarczą. Bardziej rozwinięte siły produkcyjne i bardziej natężone rolnictwo, znacznie lepsza gospodarka chłopska, znaczniejsze obszary wielkiej własności — wysuwają kwestyę agrarną, potrzebę polityki ekonomicznej, pobudzającej do parcelacyi latyfundyów, ułatwiającej nabywanie gruntów chłopom. Bardziej rozwinięty o charakterze europejskim przemysł wymaga urządzeń społecznych, któreby chroniły ludność od degeneracyi fizycznej i duchowej. Prawodawstwo społeczne, zwiększające udział warstw robotniczych w dochodzie narodowym, ma dla kraju nietylko kulturalne znaczenie, ale wpływa dodatnio na jego bilans płatniczy i handlowy, zmniejsza bowiem udział obcych kapitalistów oraz konsumcyę zbytkownych, zwykle zagranicznych wyrobów, podnosząc natomiast konsumcyę wyrobów ogólnego użytku, z większą łatwością wytwarzanych przez przemysł krajowy.

Formułka: równe, tajne, bezpośrednie, powszechne prawo wyborcze będzie zrealizowana, gdyż olbrzymia większość ludów, zbudzonych do zajmowania się polityką, wierzy w cudowną moc leczniczą na wszelkie dolegliwości społeczne powszechnego i równego prawa wyborczego. Prusy, Austrya i Rosya znajdują się dziś pod znakiem walki o równe i powszechne prawo wyborcze. Ordynacya Prus i Austryi może nawet dalej odstępuje od tej formuły, niż ordynacya wyborcza rosyjska; robotnik pruski i austryacki pod względem wyrobienia politycznego o kilkadziesiąt lat uprzedził robotnika rosyjskiego, ale pomimo to Rosya właśnie wskutek swej wiary w powszechne i równe prawo wyborcze, musi je otrzymać. Pierwszą czynnością Izby poselskiej, jeżeli się ta zbierze na wiosnę, będzie uchwalenie powszechnego a równego prawa wyborczego, chociażby mogło to wywołać większość reakcyjną. Możliwe, iż będzie to czynność jedyna, gdyż najczęściej po dokonaniu reformy Izba się rozwiązuje, aby dać miejsce nowej, opartej na zasadzie wyborczej za słuszną uznanej.

Ordynacya wyborcza 24 (12) grudnia 1905 r. do Izby poselskiej była zapowiedziana przez manifest 30 października, mówiący o udzieleniu praw wyborczych grupom pozbawionym tych praw przez ordynacyę sierpniową bułyginowską.

Inteligencya miejska i robotnicy — dwie siły społeczne najbardziej czynne w walce o konstytucyę—zostały pominięte przez ordynacyę Bułygina. Nic dziwnego, że ten akt rządu musiał tylko rozżarzyć walkę o dalej idące reformy państwowe. Walka toczyła się pod hasłem powszechnego a równego prawa wyborczego. Bez względu na skutki realizacyi postulatu powszechnego a równego prawa wyborczego, grupy konstytucyjne trzymać go się muszą ze względów taktycznych, aby pociągnąć ku sobie masy, oprzeć się na ich sile fizycznej. Momentem częściowego zwycięstwa był manifest 30 października i konsekwencya jego: ustawa wyborcza Wittego 24 (12) grudnia.

Jeżeli Izba bułyginowska była ze względu na wysoki cenzus wyborczy najmniej demokratyczna w Europie, to Izba wittowska ma ordynacyę demokratyczniejszą, niż Prusy z ich trzyklasowemi wyborami, dającemi kilku wyborcom pierwszej klasy taką siłę wyborczą, jaką posiadają dziesiątki tysięcy wyborców trzeciej klasy. Do czasu zaprowadzenia piątej kuryi powszechnego prawa wyborczego w 1897 r. w Austryi, mniejsza liczba osób uprawniona tam była do głosowania, niż obecnie w Rosyi. Dziś trudno określić czy austryacka, czy rosyjska ordynacya są bardziej zbliżone do równego i powszechnego prawa wyborczego. Ze względu na cenzus mieszkaniowy, rosyjska ordynacya wyborcza przypomina angielską. Niewielka liczba osób: służba osobista, czeladnicy, parobcy, mieszkańcy chambres-garnies i kilka jeszcze całkiem przypadkowych kategoryj — są pozbawione prawa wyborczego.

Ustawa wyborcza rosyjskiej Dumy państwowej jest zbliżona do powszechnego prawa wyborczego. Rzecz dziwna, jakkolwiek jest nowotworem, przypomina instytucye drogą historycznych uwarstwowień powstałe i brakuje jej wszelkiej logicznej zasady, na której mocy nadaje się prawo lub usuwa się te lub owe grupy z pod prawa wyborczego. Będąc bliską powszechnego, jest jednocześnie bardzo daleka od równego prawa wyborczego; różne kategorye ludności posiadają całkiem nieodpowiednią do ich liczebności siłę wyborczą.

Prawodawca rządził się tu niby siłą podatkową ludności, ale obliczenie dochodów podatkowych różnych miejscowości jednego terytoryum celnego, jest rzeczą bardzo trudną, gdyż wypada ustanowić bilans handlowy tych miejscowości. Bilans handlowy Kró-

lestwa obliczył p. Żukowski; bilans handlowy poszczególnych miejscowości Cesarstwa, nie został dotychczas opracowany. Siły podatkowe ani poszczególnych miejscowości, ani warstw społeczeństwa nie były rzetelną podstawą do określenia siły wyborczej grup poszczególnych.

Ustawa bułyginowska opierała się na zasadach wysokiego cenzusu majątkowego; ustawa Wittego jest ustawą Bułygina plus flirt z powszechnem prawem wyborczem.

Zwiększając przeszło dziesięćkrotnie liczbę wyborców wiejskich, nie zwiększa liczby przedstawicieli miast, przez co zmniejsza siłę polityczną klasy przemysłowców i kapitalistów. Siła zaś klasy właścicieli ziemskich została zwiększona, bo jakkolwiek zmniejszając cenzus majątkowy na wsi, zwiększa liczbę prawyborców, ale nie wprowadza przez to kategoryi ludzi o odmiennych interesach gospodarczych. Wprowadzenie do grupy drobnych właścicieli, dzierżawców i rządców, zależnych od wielkiej własności, może prowadzić do spotęgowania tej klasy, dziś w Rosyi zagrożonej w swym bycie, wobec rozruchów rolnych.

Pozostaje jeszcze zwrócić uwagę, jaki udział został nadany klasie robotniczej przez ustawę wyborczą z d. 24-go grudnia. Otóż u nas robotnicy żonaci, z wyjątkiem najuboższych, mieszkających gdzieś kątem, posiadają samodzielne mieszkania. Z tego względu znaczna ich część posiada prawo wyborcze. W Rosyi rozpowszechnione jest mieszkanie koszarowe klasy robotniczej, i cenzus mieszkaniowy nie daje prawa wyborczego ogromnej liczbie robotników. Wobec jednak tego, iż ta warstwa tam wyszła z bierności politycznej, udzielono prawa zakładom fabrycznym, posiadającym ponad 50 robotników wybierać prawyborców w stosunku 1 do 50. Ci prawyborcy głosują na wyborców. Warszawa ma 7 wyborców robotników. W ten sposób wybory dla robotników fabrycznych są trzystopniowe. Dla innej kategoryi obywateli miasta dwustopniowe. Uprawnieni do głosowania wybierają wyborców, ci zaś posłów. Wobec olbrzymich wiejskich okręgów Rosyi, wobec tego, że chłopi łatwiej mogą wybrać wybitniejszych z pomiędzy siebie, niż posłów—dla wsi rosyjskiej dwustopniowość wyborów może być usprawiedliwiona.

Całkiem jednak co innego dla miast, zwłaszcza wielkich. Mieszkańcy Warszawy łatwiej zoryentują się co do kilku wybitnych osób jako kandydata na posła, niż co do kilkunastu wyborców każdego cyrkułu. Przy pierwszych wyborach, gdy jeszcze nie rozpoczęło się nawet życie polityczne, a jego za-

rodki na razie przygłuszone zostały, będzie to jeszcze nieudolne szukanie po omacku, które nie da pomyślnych rezultatów.

System dwustopniowych wyborów prowadzi u nas do politycznej nieszczerości. Nie zgłaszają się jawni kandydaci, aż nie będą wybrani wyborcy. W krajach o rozwiniętem życiu politycznem, nawet przy dwustopniowych wyborach wyborcy są obierani pod znakami kandydatów. U nas odbywa się jakaś gra w ślepą babkę. Odbywają się zgromadzenia wyborcze, lecz na nich nie są omawiane kandydatury, osoby domniemanych kandydatów nie są poddawane krytyce, obywatele nie interpelują kandydatów o ich stanowisko w najważniejszych sprawach politycznych. Zgromadzenia wyborcze przy pośrednich wyborach wobec małego wyrobienia politycznego w naszym kraju, przeobraziły się w turnieje tanich poetycznych frazesów.

Bezpośredniość wyborów, zwłaszcza dla miast, jest u nas jednym z warunków dojścia do bardziej prawidłowego życia politycznego.

Izba bułyginowska zaprowadziła obszerne okręgi wyborcze gubernialne: gubernia wybiera kilku posłów na zjeździe swych wyborców, obranych dwustopniowo. System ich odziedzicza Izba wittowska. Celem jego jest zmajoryzowanie wyborców miejskich przez wiejskich. Otóż niezbędna jest emancypacya miast przez wytworzenie mniejszych okręgów terytoryalnych, wybierających jednego posła. Miasto, gdy nie jest dostatecznie duże, może być połączone ze swym powiatem, ale nie powinni jego wyborcy tonąć w morzu wyborców gubernialnych.

Najsłabszą jednak stroną Izby poselskiej w Rosyi jest lokalne bierne prawo wyborcze. Na całym świecie konstytucyjnym, kto ma prawo wyborcze bierne, t. j. obieralność, ten może być obrany w każdym okręgu wyborczym państwa. To też wielkie miasta, siedliska życia umysłowego, koncentrujące w sobie najwybitniejszych ludzi w kraju, dają znaczną liczbę posłów głuchej prowincyi.

Izba bułyginowska miała posiadać tylko głos doradczy, biurokracya chciała zachować swe samowładztwo. Jeszcze Iwanowi IV jakiś „święty starzec“ powiedział: „Chcesz być samowładnym, nie miej doradców rozumniejszych od siebie.“ Otóż i biurokracya rosyjska nie chciała mieć doradców rozumniejszych od siebie. Stąd ustanowiono, iż każdy może być wybrany w tym okręgu, w którym jest wyborcą.

Pomimo to, że rząd już był zrezygnował z zasady samowładztwa biurokracyi, pomimo, że Izbie nadano nietylko głos doradczy,

lecz i decydujący, zachowano jednak zasadę cenzusów lokalnych, aby napełnić Izbę wielkościami powiatowemi.

Szkodzi to nam znacznie więcej niż Rosyanom. Posłowie rosyjscy mogą pozostawać jeszcze w charakterze jury, rozstrzygającego, czy projekt rządowy odpowiada potrzebom lokalnym, myślom i uczuciom przeciętnych ludzi. Nasi muszą dla obrony naszych interesów krajowych i narodowych być bardziej aktywni, do obrony i ataku zdolni, a więc lepiej uzbrojeni w wiedzę państwową. Powszechne prawo wyborcze bierne bez ograniczeń lokalnych leży w naszych interesach.

Prawa polityczne.

Reprezentacya narodowa jest podstawowym organem konstytucyi. Bez niej państwo to rząd, obywatele to poddani. Ona czyni ich organem rządu, ograniczającym, kontrolującym, wpływającym na inne organy. Żadna mównica nie jest tak donośna na państwo całe, na cały świat cywilizowany, jak trybuna parlamentarna. Z tem musi liczyć się rząd. Praktyka parlamentarna w Europie dowodzi, że wszelkie środki, mające na celu uczynienie obrad parlamentu tajnemi, nie są w stanie zapobiedz, by głos mówcy parlamentarnego nie dolatywał do ogółu, chociażby w postaci sprawozdań nielegalnych.

Wpływ i popularność człowieka, który został posłem, zwiększa się, gdyż wyborcy widzą w nim upostaciowanie swej woli, często swojego ja.

Reprezentacya narodowa jest ową siłą, zdolną przy bardzo uciążliwych warunkach walczyć o nietykalność osobistą, o wolność słowa i zebrań obywatelskich.

Mamy tu na myśli stosunek obywateli do własnego państwa, stosunek nie oparty tylko na sile, ale na pewnych więzach moralnych. W stosunku do obcego państwa, udział reprezentacyi przedstawicieli podbitego narodu nie daje jeszcze gwarancyi praw narodowych. Gwarancye praw obywatelskich, jako prawa jednostki, kojarzą się tak ze sprawami narodu, że albo pierwsze nie osiągają w praktyce całej pełni, albo służą do stworzenia warunków odrębnego bytu narodowego, szczególniej, gdy podbity naród posiada terytoryum odrębne.

Im znaczniejszą sferę praw jednostki uznaje państwo, tem intensywniejsze i samodzielniejsze życie narodowe może ona uzy-

skać. Konstytucya pruska dlatego tak bardzo wyssała zabór pruski, że przez swą połowiczność nie daje rozwijać się narodowi, któremu rząd nie sprzyja, gdyż korzystanie faktyczne i całkiem pełne z praw politycznych jest tam uzależnione od sprzyjania rządu. Stąd zrozumiałem było zwiększanie się intensywności rozwoju Niemców w okresie konstytucyjnym i coraz to większa zmiana na naszą niekorzyść stosunku sił cywilizacyjnych niemieckich do polskich.

Jasnem jest, że szańce praw politycznych, wznoszone obecnie w Rosyi, są dla nas pod względem narodowym nieobojętne.

Rządy reprezentacyjne są funkcyonalnie związane z gwarancyą praw politycznych. Są one nietylko organem, ochraniającym prawa polityczne, ale dla samego bytu prawidłowego tego organu niezbędne są: wolność druku, słowa, zebrań i stowarzyszeń.

Bez wolności druku kandydat na posła nie zdoła częstokroć zaznajomić wyborców ze swym programem politycznym, ani ów program nie może być poddany wszechstronnej krytyce przeciwników.

Bez wolności zebrań niemożliwem jest osobiste zetknięcie się kandydata z wyborcami: zbadanie jego przekonań politycznych przez zadawanie mu szeregu pytań w najważniejszych sprawach politycznych, będących na porządku dziennym. Przez wolność zebrań i słowa rozumieć należy taką wolność, która nie kończy się dla przemawiającego osadzeniem go drogą administracyjną w więzieniu lub wygnaniem z kraju.

Otóż kary administracyjne i przestępstwa polityczne kojarzą się historycznie i logicznie z absolutyzmem, nie idą zaś w parze z rządami reprezentacyjnymi.

W Austryi zebrań politycznych niema otwartych dla wszystkich bez asysty policyi w zwykłych warunkach, podczas jednak okresu wyborczego odbywają się zgromadzenia wyborcze, na które wstęp urzędnikom policyi jest wzbroniony.

Gdy absolutyzm dążył do rozproszkowania społeczeństwa, zakazując wszelkich zrzeszeń, organizacyj, dopuszczając od tej zasady wyjątki za odpowiedniem pozwoleniem władz najwyższych, z nastaniem rządów reprezentacyjnych następują inne stosunki. Tu wolność stowarzyszania się jest niezbędną ze względu na to, że dla celowego i świadomego oddziaływania na rząd, naród nie może występować, jako zbiór jednostek, ale jako zorganizowane rzesze.

Podstawą przedstawicielstwa średniowiecznego była przymusowa organizacya stanowa; podstawą nowożytnego są dobro-

wolne organizacye partyjne. Polityka rządu, widoki rządu muszą być wypadkową owych różnych sił społecznych, występujących na arenie politycznej, jako partye polityczne. Stąd rozwiązywanie lub wzbranianie organizacyi tych lub owych partyj, niezgodnych z widokami rządu, np. rozwiązanie partyi konstytucyjno-katolickiej na Litwie z rozporządzenia generał-gubernatora, jest aktem wbrew sprzecznym z elementarną zasadą rządów reprezentacyjnych.

Pomimo niekonstytucyjnej w ciągu ostatnich miesięcy praktyki rządu, rząd dla częściowego wypełnienia zobowiązań z 30 (17) października 1905 r. musiał wydać nowe przepisy prasowe, prawo zebrań i stowarzyszeń.

Zakaz wolności prasy był naturalną konsekwencyą absolutyzmu. Nie zależąc od opinii publicznej, ale od władzy monarchy, nie z opinii narodu, ale ze sfer dworskich biorąc dyrektywę, rząd nie mógł tolerować rozszerzania się poglądów „niezgodnych z jego widokami," gdyż one wytworzyłyby tylko rozterkę między rządem a społeczeństwem. Stąd cenzura zaaklimatyzowała się mocno w epoce absolutyzmu.

Gdy wskutek rządów reprezentacyjnych społeczeństwo zlewa się z rządem, staje się jego organem, i to w znacznej mierze kierowniczym; nie opinię publiczną rząd musi przystosowywać do swej polityki, ale politykę swoją do opinii publicznej. Rosyjskie prawo prasowe, nawet zreformowane w ostatnich czasach, nie odpowiada normalnym warunkom rządów reprezentacyjnych. Rząd rosyjski zniósł prewencyjną cenzurę dla prasy peryodycznej, ale pozostawił ją dla książek i broszur. Przyczem prawo prasowe rosyjskie czyni nas obywatelami drugiej klasy. Gdy bowiem w Rosyi można drukować książki powyżej 10 arkuszy druku bez cenzury, u nas wszystkie książki przechodzą kwarantanę cenzuralną w stanie rękopiśmiennym. Długość owej kwarantany zależy od dowolności cenzora. Gdy w Petersburgu we dwa tygodnie od złożenia deklaracyi na pismo rosyjskie można je wydawać, my w Warszawie mamy dwumiesięczny termin od chwili deklaracyi do uzyskania prawa wypuszczenia numeru. Pisma miały podlegać tylko karom sądowym, oddano je istotnie pod represyę sądów koronnych, ale zaprowadziwszy w znacznej części państwa stan wojenny uzależniono prócz tego los pisma, jego wydawców i redaktorów od generałów, pełniących obowiązki dyktatorów kraju. Przypuśćmy, że okoliczność ostatnia jest tymczasową, że wojenna dyktatura, to ostatnia faza patologicznego procesu państwa. W każdym razie prasa w Rosyi nie uzyska wolności aż jej przestępstwa nie zaczną podlegać sądom przysięgłych.

Nie na deklaracyi praw, nie na ustawie konstytucyjnej, gwarantującej wolność druku, opiera się wolność prasy w Anglii, lecz na tem, że Anglik może śmiało napisać każdą rzecz, którą chociażby jeden z 12 jego współobywateli (dla skazania w Anglii potrzebna jednomyślność przysięgłych), zasiadających na ławie przysięgłych, nie uzna za występną. W Austryi nie wytacza prokuratorya spraw przeciw autorom, gdyż sądy przysięgłych w sprawach prasowych najczęściej ich uniewinniają. Prokuratorya ma tam prawo konfiskaty artykułów, numerów i broszur. Konfiskata ulega zatwierdzeniu sądu koronnego, który z reguły zwyczajowej ją zatwierdza, gdyż składa się zwykle z ex-prokuratorów; wobec tego poszkodowani nie stają niemal nigdy, jako strony w tym procesie.

Absolutyzm wybierał swoich agentów; dla wzniesienia się po drabinie biurokratycznej, czy to w administracyi, czy to w sądownictwie, urzędnik musiał częstokroć przelicytować innych swych współzawodników uległością względem polityki rządu, gorliwością w służeniu interesom absolutyzmu. Stąd, o ile sądy koronne w Rosyi oraz organy administracyjne, ustawowo będą miały władzę zawieszania pism, rozwiązywania stowarzyszeń i zebrań, karania za „nadużycie wolności słowa,“ władzę analogiczną do tej, jaką posiadają urzędy w Austryi lub w innych niezbyt ze względu na swe urządzenia liberalnych państwach — prawa polityczne mieszkańców Rosyi będą o wiele szczuplejsze od praw politycznych mieszkańców najmniej liberalnych państw Europy Zachodniej.

Prawo zgromadzeń w Rosyi nader przypomina austryackie, które zna deklaracyę zgromadzenia na trzy dni przed jego odbyciem się, rosyjskie wymaga dni siedmiu. Następnie, rosyjskie prawo zapowiada takią inowacyę, jak zakaz zgromadzeń w restauracyach, kawiarniach i t. p. lokalach. Jest to zakaz bardzo niedemokratyczny, będzie on uniemożliwiał zgromadzenia organizacyj uboższych. W Niemczech i Austryi dziewięć dziesiątych zgromadzeń, zwłaszcza robotniczych, odbywa się w restauracyach i kawiarniach, które dają swój lokal bezpłatnie, korzystając tylko z konsumcyi zgromadzonych.

Prawo rosyjskie o stowarzyszeniach mieści w sobie poważne szkopuły, pochodzące głównie z charakteru tej administracyi, której dano władzę rozwiązywania stowarzyszeń.

W Radzie państwa wyłoniły się dwie opinie w sprawie stowarzyszeń: jedni pragnęli rozwiązanie zaregestrowanych sądownie towarzystw, korzystających z praw osoby prawnej, uczynić zależnem od wyroków sądu; inni sprawę zatwierdzania i rozwiązywania stowarzyszeń pragnęli oddać do rąk administracyi.

Ta ostatnia opinia przemogła w Radzie państwa. Spotykamy tam w motywach prawa bardzo charakterystyczny ustęp: „Nie może być ściśle określone przez prawo, co należy rozumieć przez cele polityczne, a tem bardziej przez cele i działalność zagrażającą spokojowi i bezpieczeństwu publicznemu. Próżno rachować na to, że drogą uzupełnienia kodeksu karnego można uprzednio wyczerpać i zawczasu określić wszystkie takie cele i działalność. Równie mylnem jest przypuszczenie, że groźną dla spokoju i bezpieczeństwa społecznego może być tylko taka działalność stowarzyszenia, która narusza przepisy jego ustawy, gdyż w pewnych warunkach działalność towarzystwa, nie odstępującego od ustawy, może okazać się szkodliwą, np. działalność poświęcona wzmocnieniu odrębności narodowej tego lub owego narodu, chociażby nie wyrażała się ona w rozruchach, strejkach i t. p. nadzwyczajnych okolicznościach, przewidzianych przez art. 38 projektu.“

Montesquieu twierdził, że wolność polega na możności czynienia wszystkiego, co nie jest przez prawo zakazane. Wolność, podług twórców ustawy o stowarzyszeniach, ma polegać na czynieniu wszystkiego, co nie wydaje się niebezpiecznem administracyi. Przytoczony przykład o towarzystwach, mających na celu wzmocnienie odrębności narodowych, jest znamienny. Mogą one być rozwiązane przez administracyę w okolicznościach, które ona uzna za wrzenie narodowe, chociażby nie istniały żadne objektywne cechy wrzenia. Aby to osiągnąć, wyjęto stowarzyszenia z pod kompetencyi sądów, z pod gwarancyi procedury sądowej i objektywnego prawa, poddano je wyrokom administracyi.

Towarzystwa i stowarzyszenia mogą być organami samopomocy nierosyjskich narodowości w Rosyi, rząd więc zredukował do minimum prawo o stowarzyszeniach dla zachowania sobie pomyślniejszych warunków walki z niemi.

Pamiętać jednak należy, iż prawa te są tymczasowe, że walka o ich przeobrażenie będzie musiała być jednym z pierwszych zadań Izby poselskiej, jeżeli ma być ona siłą realną, nie zaś dekoracyą, przykrywającą zdepopularyzowany absolutyzm.

Wł. Studnicki.

HENRYK HEINE

(Z okazyi 50-cio letniej rocznicy zgonu).

Ich bin das Schwert, ich bin die Flamme. Ich habe euch erleuchtet in der Dunkelheit, und als die Schlacht begann, focht ich voran in der ersten Reihe...

(Z utworów pośmiertnych *Heinego.*)

Henryk Heine... Nazywano go w dzieciństwie Harry, gdy jako blady, wysmukły chłopiec biegał po ulicach Düsseldorfu, lub słuchał bajek starej Sybilli Zippel, wdowy po kacie, znanej w mieście pod nazwą czarownicy, której rudowłosa córka, „marmurowo piękna“ Józefa, wywierała czar niezwykły na wrażliwego młodzieńca. Zapewne w willi hamburskiej bogatego stryja-milionera, Salomona Heine, piękne kuzynki Amalia i Teresa też go tak nazywały...

Imię Henryk, przyjął dopiero na chrzcie w Heiligenstadt pod Getyngą, gdy po ukończeniu uniwersytetu i uzyskaniu dyplomu doktorskiego (dr. juris) trzeba było myśleć o przyszłości...

Dla potomności pozostanie — Henri Heine, jak go podczas 25-cio letniego pobytu w Paryżu nazywano. Imię to jest symbolem!

Już to samo zestawienie francuskiego imienia i żydowsko-niemieckiego nazwiska, działa symbolicznie.

Żyd-Niemiec, stojący między dwiema kulturami: niemiecką i francuską, tłómacz uczuć narodowych w imię praw ludzkości, pośrednik, stapiający drogocenne kruszce zdobyczy wiekowych ludów germańskich i romańskich w tyglu „nowej Europy,“ sam zwiastun i bojownik tej nowej Europy, — sam wielce typowy jej przedstawiciel...

Idee — rasy, nacyonalizmu, kosmopolityzmu w najbardziej charakterystycznym wcieleniu, połączone w jedną imponującą całość — i to w przededniu hipokryzyj europejskich, dokonywanych pod płaszczem nacyonalizmu, w imię wielkości narodowej!... Żyd, którego życie jest ognistą przestrogą dla młodej Europy, krwawem memento, abyśmy wcielając w nowy kształt wierzenia nowe, nie zapominali o plemieniu, które przez wieki tuła się z piętnem Kaina na bladem czole śród ludów europejskich.

Henri Heine... Symbol ostrych nowożytnych kontrastów! Dotychczas mowa była tylko o formalnych. Pozatem istnieją jednakże wewnętrzne: uczucie i fantazya w zapasach z rozumem, marzenie w splotach wężowych materyalizmu, pessymizm filozoficzno-religijny obok socyalno-politycznego optymizmu, walka przeciwko świętoszkostwu i hipokryzyi i bezwzględność posunięta do świętokradztwa, pogoń za harmonią i dyssonanse sarkazmów krwawych, entuzyazm bojownika wolności i „Weltschmerz," kult ciała i ...nerwopatya... a pośród tych kurczowych szamotań się i konwulsyj — pierwsze bełkotanie nowych prawd!...

To wszystko zamyka się w symbolu: — „Henri Heine."

Bełkotanie nowych prawd, powiedziałem... To co współcześni zarzucali Heinemu jako słabość, zdradę — owe szukanie wiary na łożu boleści podczas ośmioletnich okropności nieustannej agonii, było pierwszem kwileniem duszy nowożytnej, z której potrzeb nie umiano sobie jednakże wówczas jeszcze zdać sprawy w Europie.

Wilhelm Boelsche, jeden z najlepszych współczesnych znawców poezyi Heinego, słusznie podkreśla ten fakt, nazywając okres Romanzer'a i Ostatnich pieśni — „okresem uświadomienia braków filozoficznych w dotychczasowym światopoglądzie poety."

Rzeczywiście, weźmy naprzykład następujące zakończenie jednej pieśni z cyklu „Łazarz:"

Also fragen wir beständig
Bis man uns mit einem Handvoll
Erde endlich stopft die Mäuler.
Aber ist das eine Antwort?

(Tak pytamy bezustanie. Aż nam w końcu
garścią ziemi usta zatkną. Ale cóż to za odpowiedź?)

„Aber ist das eine Antwort?" Pytanie to wkracza w dziedzinę filozofii. Heine wierzył w rozwój ludzkości, dla której walczył przez całe życie. Ludzkość idzie naprzód; ale co się ze mną stanie? czemżeż jestem ja?... czy tylko jednym z tych liści na

drzewie ludzkości, które wiatr jesienny zmiata? Pytanie stare, jak świat;—materyaliści wieku XIX nie mogli na nie odpowiedzieć!

Myśli te zajmowały wprawdzie poetę już znacznie wcześniej. Dnia 30 października 1836 r., pisze z Aix do swej przyjaciółki, księżny Belgiojoso: „J'ai soif d'unité morale, de faire harmoniser mes opinions avec mes sentiments; il faut que j'arrache toutes les feuilles roses de mon chapelet, afin qu'il ne reste plus qu'une couronne d'épines, ou que j'anéantisse toutes les souffrances de mon coeur et que je les remplace par de nouvelles joies.“ (Pragnę osiągnąć jedność moralną, znaleźć harmonię pomiędzy przekonaniami memi a uczuciem. Muszę więc albo zerwać z różańca mego wszystkie listki różane, aby został wieniec cierniowy, albo unicestwić wszystkie bóle serca i zamienić je nowemi rozkoszami.) Wówczas obrał poeta ową ostatnią alternatywę, szukając urzeczywistnienia swych tęsknot w nauce Saint-Simona.

Przebłyski głębszego zrozumienia w rodzaju powyżej cytowanego: „Aber ist das eine Antwort?“ spostrzegamy dopiero na łożu cierpienia, śród 8-mio letnich mąk „grobowca z materaców,“ jak sam Heine swe łoże boleści nazywał.

Ecce europeensis novus!

Dodajmy do tego delikatną, gibką postać niezwykle wrażliwego entuzyasty-nerwowca, zapamiętałego bojownika wolności, którego bronią jest sarkazm i śmiech; dodajmy tęskne, smutne oczy marzyciela i szlachetny, pański gest trybuna ludu, który jest zarazem przedstawicielem nowej arystokracyi ducha.

Heine-poeta, Heine-dziennikarz, Heine-tułacz po wszystkich oceanach tęsknot miłosnych, po wszystkich morzach nadziei socyalnych, męczennik w imię idei wszechludzkiej, jedna z ofiar strasznych wysubtelniania się naszego systemu nerwowego...

Cóż dziwnego, że ocena tej niezwykle skomplikowanej indywidualności nie była rzeczą łatwą!

Przypominam dwukrotny protest Fryderyka Nietzschego przeciwko niesprawiedliwościom krytyki niemieckiej względem Heinego. W 8-ym tomie dzieł „Nietzsche contra Wagner“ na str. 195/6 czytamy:

„Er (Schopenhauer) war ein Zufall unter den Deutschen, wie ich ein solcher Zufall bin — die Deutschen haben keine Finger für uns, sie haben überhaupt keine Finger, sie haben bloss Tatzen. Gar nicht zu reden von Heinrich Heine — „l'adorable Heine,“ sagt man in Paris, — der den tieferen und seelenvolleren Lyrikern Frankreichs längst in Fleisch und Blut übergegangen ist. Was wüsste deutsches Hornvieh mit den délicatesses einer solchen Natur anzu-

fangen!“ (Szopenhauer był przypadkiem śród Niemców, tak jak ja jestem przypadkiem. Niemcy nie mają rąk dla nas. Nie mają wogóle rąk... tylko łapy. A cóż dopiero wobec Henryka Heinego— w Paryżu nazywają go l'adorable Heine—Heinego, który oddawna już przeszedł głębszym francuskim poetom lirycznym w krew!... Czy bydło niemieckie wie, co począć z subtelnościami tak wyjątkowej odrębności!)

W tymże tomie na str. 132 133 „Streifzüge eines Unzeitmässigen,“ pisze Nietzsche co następuje:

„Schopenhauer, der letzte Deutsche, der in Betracht kommt — (der ein europäisches Ereigniss gleich Goethe, gleich Hegel, gleich Heinrich Heine ist, und nicht blos ein lokales, ein „nationales...“) (Szopenhauer, ostatni Niemiec godny uwagi, który jak Goethe, Hegel, Henryk Heine, ma znaczenie nie tylko miejscowe, narodowe, ale europejskie!...)

*

* *

Powiedzieć cośkolwiek na pochwałę poety, który napisał najpiękniejsze utwory erotyczne XIX stulecia, którego ballady i pieśni są perłami poezyi międzynarodowej, który jest twórcą nowego stylu w prozie, ojcem dziennikarstwa nowoczesnego w Niemczech, największym dotychczas poetą politycznym i najbardziej ciętym satyrykiem—byłoby rzeczą zbyteczną. Cały świat wie o tem! Wpływ Heinego na twórczość ludów romańskich i anglosaksońskich jest olbrzymi.

I w naszej literaturze dałaby się niejedna analogia odszukać. Wartoby z tego punktu widzenia przyjrzeć się twórczości Tetmajera, satyrom Neuwerta-Nowaczyńskiego, i nawet... tak nawet niektórym utworom Przybyszewskiego, pomimo tak zupełnie odrębnej indywidualności obu poetów. (Weźmy, jako przykład „Memoiren des Herrn von Schnabelewopski.“)

Powtarzam jeszcze raz: Pochwały są zbyteczne! Zato dziś, ku uczczeniu 50-cio letniej rocznicy zgonu poety, byłoby bardziej pożądanem i pożytecznem rzucić trochę światła na obecny stan literatury krytycznej o Heinem. Literatura ta jest, pomimo swej obfitości, dość uboga. Jeżeli pominiemy dwutomową biografię A. Strodtmana, która jest niewyczerpaną kopalnią dla każdego badacza poezyi Heinego, to pozostanie bardzo niewiele. Czy warto

mówić o ciasnocie poglądów G. Karpelesa, o niesprawiedliwościach Treitschkego, Wiktora Hehna, o śmieszności Sandvossów, Goedkich, Rossegerów, albo o pobieżności Scherera i Jerzego Brandesa?

Z dzieł o Heinem znane mi są tylka dwa, które zasługują na uwagę i uznanie. Studym Wilhelma Boelschego: „Heinrich Heine, Versuch einer aesthetisch-kritischen Analise seiner Werke“ (Lipsk 1888 roku) i znakomite dzieło Francuza, Jules Legras: „Henri Heine, poète“ (Paryż, 1897 r.)

Dla większości pozostaje Heine do dziś dnia donżuanem, opiewającym w mniej lub bardziej nieprzyzwoity sposób swe przygody miłosne; dowcipnisiem, dla którego nie ma nic świętego. Otwórzmy Brockhausa — ową biblię pauperum... Poeta... żyd... wychrzczony... umiejętne posługiwanie się motywami ludowemi... zaniedbana forma... szkodliwy wpływ na literaturę niemiecką... na utrzymaniu u bogatego stryja-milionera... przez całe życie... chybiona walka polityczna... zatracenie poezyi... przygody miłosne... stosunek miłosny z gryzetką... poślubienie jej... schnięcie mlecza pacierzowego... Cóż u licha!

Czas byłoby doprawdy w innem świetle widzieć twórczość Heinego. Wilhelm Boelsche bardzo trafnie scharakteryzował twórczość poety w następujących słowach:

„W młodości swej był Heine pessymistą-romantykiem, o przed-„wcześnie-starych, niedojrzale-starych rysach. Na wyżynach twór-„czości — socyalno-etycznym optymistą, na dumnym grzbiecie fali „oceanu, którą zawładnął, z wzrokiem utkwionym w olbrzymie „socyalne i etyczne dale... Podczas choroby, która była zarazem „rzeczywistą starością jego krótkiego żywota—odczuwać zaczyna „filozoficzne braki dwóch poprzednich okresów życia.“

Podział ten zbliżony jest poniekąd do podziału Juliusza Legras, który daje nam nieocenioną analizę okresu pierwszego twórczości poety, a więc utworów: Traumbilder, Pieśni, Romansów i Sonetów, Lyrisches Intermezzo, Heimkehr, Harzreise i Nordsee... Legras nazywa okres ten, okresem stopniowego wyjaśnienia się duszy poety. Analiza tego crescenda światła zasługuje na uwagę.

W sonetach widzimy Heinego składającego hołdy i daniny; są one albo wyrazem zwierzeń przyjacielskich, jak ów cykl znakomitych „Fresco Sonette," poświęcony przyjacielowi Krystyanowi Sethemu, albo objawem wdzięczności, jak sonet do A. W. Schlegla, do matki... W romansach i balladach ukazuje się już poeta w całej pełni swego niezwykłego talentu. Znakomita akcya, świetny dyalog, jędrność, dramatyczność... poezya, zamiast rozwlekłości drewnianych ballad Szyllera. Jerzy Brandes porównywa tutaj słusznie Heinego z Rembrandtem.

Główny materyał do analizy dostarczają jednakże przedewszystkiem pierwsze erotyki Heinego: Traumbilder, Lyrisches Intermezzo, Heimkehr. Utwory te są dziećmi nieszczęśliwej miłości poety.

Musimy sobie uprzytomnić historyę tej miłości.

Po nieudanych próbach zawodu kupieckiego we Frankfurcie nad Menem, przybywa Heine do Hamburga. Bogaty i w gruncie rzeczy uczynny stryj-milioner, przyjmuje go w poczet urzędników swego banku, i daje mu później środki do rozpoczęcia na własną rękę interesu, który n. b. po krótkim czasie poeta był zmuszony zlikwidować.

W tym okresie poznaje Heine swe kuzynki i zakochuje się na zabój w pięknej Amalii. Jakiego rodzaju był stosunek wzajemny obojga — niewiadomo. Z poezyi Heinego daje się jednakże wyciągnąć wniosek, że musiano mu robić pewne nadzieje. Rozpacz i zarzuty poety, nie byłyby w przeciwnym razie tak silne. Bądź co bądź niezwykle wrażliwa natura młodego poety otrzymała cios śmiertelny.

„Traumbilder" są wybuchem tej olbrzymiej boleści. Wybuchem tak silnym, że pomimo wad kardynalnych utworu, niepoprawnego języka, przeciążenia akcesoryami romantycznemi i braku oryginalności w stylu—trudno się oprzeć urokowi. Trzeba tylko w zupełności poddać się szalonemu tempu tych dzikich wizyj, które goniąc, tłocząc, popychając się, dosięgają w końcu granic obłędu.

Temperatura tego utworu jest niezwykła.

Czemżeż są w stosunku do owej dzikiej przegrywki miłosnej, następne dwa utwory: Intermezzo i Heimkehr? Czy opiewają one bezczelność poety, igrającego z najświętszemi uczuciami, jak większa część krytyków utrzymuje? A może dają nam opis przygód miłosnych młodego donżuana? (Tego zdania jest zazwyczaj większa część powierzchownych czytelników „Heimkehr.")

Rozwiązanie tej zagadki zawdzięczamy Juliuszowi Legras, wyżej wspomnianemu krytykowi francuskiemu, który na podstawie materyału dostarczonego przez Ernesta Elstera (wyśmienite wy-

danie krytyczne dzieł Heinego. Lipsk. Bibliographisches Institut) z zadziwiającą bystrością tłómaczy nam labirynty duszy poety.

Postrzał, który poetę w samo serce ugodził, musiał być niezwykle silny. „Ich bin ein wahnsinniger Schachspieler, — pisze w liście do przyjaciela, Sethego,—schon beim ersten Stein habe ich die Königin verloren und doch spiel ich noch, und spiele um die Königin. Soll ich weiter spielen?... (Jestem graczem-szaleńcem. Przy pierwszych posunięciach straciłem królowę, i pomimo tego gram jeszcze, i to o królowę. Czy mam grać dalej?)

Łagodząco na ten ból duszy musiał wpłynąć pobyt w uniwersytecie, w Bonn, Getyndze, Berlinie, dokąd dzięki uczynności bogatego stryja, młody poeta był w możności udać się dla uzupełnienia studyów i przygotowania się do karyery prawniczej, — pozatem powodzenie w świecie literackim, liczne głosy uznania i pochwały, które musiały w znacznym stopniu przywrócić młodzieńcowi wiarę w siebie i napełnić serce jego otuchą. Że pomimo tego wiadomość o zamążpójściu ukochanej, wywarła nań wrażenie piorunujące, dowodzi, jak głęboka była miłość poety. Czyż w salonach Varnhagena i pięknej, mądrej Racheli Lewin, w towarzystwie tak świetnych umysłów, jak Aleksander i Wilhelm Humboldt, Fichte, August Wilhelm i Fryderyk Schlegel, Tieck, Schleiermacher, Bopp, Gentz, Chamisso, Fouqué, Gans, Dorota Mendelson, Henryetta Hey, Paulina Wiesel, albo w wesołem kółku w winiarni Luttera i Wegnera, gdzie pod prezydyum genialnego C. T. A. Hofmana, zbierała się co noc fantastyczna rzesza wielbicieli kielicha, nie było dość okazyi do rozerwania się, zapomnienia?...

Heine jednakże nie zapomniał, i pod wpływem fatalnej wiadomości pisze swoje „Intermezzo.“ Mamy tutaj tę samą historyę miłości co w „Traumbilder,“ ale w jak zupełnie odmienny sposób opowiedzianą... Ręka mistrza!—którą po tem poznać można, że wszystko, czego się dotknie, napełnia nowem życiem.

„Intermezzo“ jest historyą pierwszej miłości Heinego, opowiedzianą bezpośrednio, bez akcesoryj romantyzmu. „Il se présente tout seul, avec son coeur,“ powiada Legras. Uderzającą nową cechą tego utworu, jest ironia — wynik walki wewnętrznej pomiędzy groźną potęgą zranionego uczucia i siłą życiową w duszy poety. Analiza tego utworu, dokonana przez Juliusza Legras, tak jest wyśmienita, że uważam za rzecz niezmiernie pouczającą przytoczyć ją w streszczeniu.

W pierwszych 12-tu pieśniach przeżywa poeta swe dawne szczęście: „Im wunderschönen Monat Mai...“ Cóż pozostało?—Rezygnacya, pragnienie zapomnienia (pieśni 12 — 17-ej). Pomiędzy

17-tą a 21-szą opisuje obecny stosunek swój do ukochanej — „Ich grolle nicht!... (18 pieśń) ...Ja, du bist elend, und ich grolle nicht... (19). Pomiędzy 21—25 żal swój przenosi na całą naturę:

Warum sind denn die Rosen so blass,
O sprich, mein Lieb, warum?...

(Czemu tak pobladły listki róży, powiedz, o skarbie mój?)

Przeciwko temu żalowi buntuje się rozum, refleksya... Poeta zaczyna z ironią analizować swój stosunek do niewiernej kochanki (pieśni 25—30-ej):

„Wir haben uns so zu verstecken gewusst,
„Das wir uns nimmermehr wiederfinden..."

(Takeśmy się przed sobą schowali, że nigdy się już nie znajdziemy).

Dwoma akordami smutku, rozpaczy (pieśni 31 i 32-a) śpiew zostaje nagle przerwany.

Ale to mu nie wystarcza. Poeta jeszcze nie wyśpiewał wszystkich swych bólów.

Za temat obiera teraz obraz bezsilnej tęsknoty, wizyę niedoścignionej miłości. — Pieśń 33-cia.

Ein Fichtenbaum steht einsam
Im Norden . . . . . .
. . . . . .
Er träumt von einer Palme
die fern . . . . . .
. . . . . .

(Świerk samotny rośnie w północnej krainie.....
Marzy o palmie dalekiej.....)

Że pieśń ta jest tematem zasadniczym, dowodzi motto cyklu późniejszej daty „Neuer Frühling," który Heine pisał już nie jako wyznanie, ale na obstalunek, jako błyskotliwą waryacyę na stary temat.

Od 33-ej do 58-ej pieśni mamy cykl wspaniałych waryacyj na powyższy temat. Na szczególną uwagę zasługuje 39-ta pieśń, w której poeta opowiada dosłownie historyę swej miłości.

Ein Jüngling liebt ein Mädchen,
Die hat einen Andern erwählt;
Der Andere liebt eine Andre,
Und hat sich mit dieser vermählt.

Das Mädchen heiratet aus Aerger
Den ersten, besten Mann,
Der ihr in den Weg gelaufen;
Der Jüngling ist übel dran....

(Młodzieniec kocha dziewczynę. Ta kocha innego. Ten inny znów inną kocha i za żonę ją pojmuje. Dziewczyna w gniewie bierze pierwszego lepszego, który się jej nawinął. Młodzieniec ciężkie ma potem życie!)

Waryacye te przerywają od czasu do czasu sny męczące (pieśni 38, 41, 54, 58, 60). Czasami stara się poeta wyrwać z tego zaklętego koła żalu i tęsknoty. Natura jego buntuje się. W takich chwilach pojawia się zawsze ironia (patrz pieśni 47, 50, 53). W końcu ogarnia go zmęczenie. „Gwiazda spadła z nieba“ (59) Pieśni 60 — 64-ej są wizyami wiecznego bólu i żalu, 60-ta — epilogiem. Trumna, w której zamknął owe „alte böse Lieder,“ pogrążona zostaje w głębie morza.

Nie mniej trafna jest charakterystyka i analiza cyklu „Heimkehr.“

Heine, wyśpiewawszy wszystkie swe bóle, zaczyna powoli przychodzić do równowagi. Na ten czas przypada podróż do Lüneburga, dokąd tymczasem przenieśli się rodzice poety. Z Lüneburga udaje się później do poblizkiego Hamburga w celu porozumienia się z stryjem Salomonem, z którym cała rzesza niechętnych i zawistnych starała się go poróżnić. Po kilkotygodniowym pobycie w Cuxhaven, nad morzem północnem — poeta po raz pierwszy ogląda to morze, które później w tak wspaniały sposób opiewa — widzi w przejeździe kuzynkę Teresę, młodszą córkę Salomona Heine, która z młodego dziewczęcia dorosła tymczasem na piękną pannę. Podobieństwo Teresy do Amalii taki nań wpływ wywiera, że stara miłość, na wieki już jak się zdawało pogrzebana, odżywa ponownie.

Zupełnie fałszywe jest mniemanie G. Karpelesa, jakoby pieśni „Heimkehr“ owego ostatniego cyklu erotycznego pierwszego okresu twórczości Heinego, były jedynie wesołym (!) epilogiem Intermezza.

Juliusz Legras sięga głębiej. Rozwiązanie, które nam daje, tłómaczy wszystkie sprzeczności tego utworu.

Cykl „Heimkehr“ należy przedewszystkiem podzielić na dwie części. Pierwsza część do pieśni 46-ej, poświęcona jest Amalii Heine, pierwszej miłości poety. (Wyjątek stanowią pieśni: 6 — 16, które według słów krytyka opiewają „les aventures aux bains de mer.“) Druga połowa od 46—90-ej pieśni, poświęcona jest Teresie Heine.

Widok Teresy obudził w sercu poety żywsze uczucia, coś jakby nową miłość. Uczucie to nie posiada jednakże dawnej siły. Poeta stracił wiarę w miłość.

Wer zum ersten Male liebt
Sei's auch glücklos, ist ein Gott,
Aber wer zum zweiten Male
Glücklos liebt, der ist ein Narr... (Pieśń 65).

(Kto po raz pierwszy kocha, chociażby nieszczęśliwie, jest bogiem. Ale kto po raz drugi nieszczęśliwie kocha, głupcem jest!)

Pieśni drugiej połowy „Heimkehr" gęsto są przeplatane sarkazmami, a nawet miłostka nowa (pieśni 71—80) zakrada się pomiędzy nie na dowód, że poeta przebolał, przezwyciężył. Ostatnie pieśni tego cyklu, ukazują go nam już, jako zupełnie wyzwolonego, opiewającego z zapałem piękno natury Znamiennym objawem tej przemiany jest np. pieśń 88, która odznacza się iście getowską jasnością, i daje już przedsmak nieśmiertelnych Hymnów morskich.

Nacht liegt auf den fremden Wegen,
Krankes Herz und müde Glieder;
Ach da fliesst, wie stiller Segen,
Süsser Mond, dein Licht hernieder.

Süsser Mond, mit deinen Strahlen
Scheuchest du das nächt'ge Grauen;
Es zerrinnen meine Qualen,
Und die Augen übertauen.

(Na obce drogi legła noc. Chore serce, ciało zmęczone. Wtem spływa ciche błogosławieństwo twego światła, o księżycu drogi. Księżycu drogi, promieniami swemi przepędziłeś trwogi nocy, rozpełzły się męki moje, oczy zrosiły łzy).

Und die Augen übertauen! — Tak pisał Goethe.

Wyzwolony, uzdrowiony, zachwycony poeta rzuca się w objęcia natury. „Harzreise" jest pierwszym objawem tego zmartwychwstania.

Auf die Berge will ich steigen,
Lachend auf euch niederschauen.

(Hej na szczyty! Stamtąd ze śmiechem na was spoglądać będę).

W „Nordsee," tych wspaniałych, niezrównanych hymnach morza, uderza poeta w złote struny najwyższego natchnienia.

Cykl „Nordsee“ należy obok niektórych poezyj Goethego, obok Hymnów Novalisa „An die Nacht,“ obok Dytyrambów Dyonizyjskich Nietzschego do najpotężniejszych utworów lirycznych poezyi niemieckiej.

Znakomicie udało się poecie połączyć w nich czułość poezyi niemieckiej z majestatem fantazyi wschodniej.

Nie zapominajmy przytem, że Heine jest pierwszym poetą niemieckim opiewającym morze. Tego mu wrogowie jego też zapomnieć nie mogli. „Bo i jakżeż można przebaczyć Żydowi, pisze ze słuszną ironią Legras, że odkrył dla poezyi niemieckiej nowe źródło natchnień, o którem najlepsi poeci niemieccy, a nawet sam Goethe — zapomnieli.“

Dzieło Juliusza Legras, dając nam możność wniknięcia głębiej niż zazwyczaj w tajniki duszy Heinego, powinnoby nareszcie zniweczyć rozsiane ręką niechętnych, kłamliwe i uwłaczające pamięci tak wielkiego poety legendy.

Mówiąc o jego sarkazmie, nie zapominajmy, że młodość jego była wspaniałem crescendem światła.

*

* *

Ten młody Heine, którego poezye witano z ogólnym zachwytem i podziwem, twórca znakomitych utworów prozą (Reisebilder) — i jaką prozą! — autor wyśmienitych, klasycznych felietonów „O Anglii,“ młodzieniec ten, którego wszyscy bezstronni jednogłośnie witali jako prawego następcę Goethego, tuła się po całych Niemczech, nie mogąc nigdzie znaleźć punktu oparcia. Z Monachium wygryza go partya hrabiego Platena, karyerę w Prusach zamyka obskurantyzm cenzury pruskiej. Do tego przyłącza się naturalnie niechęć i zawiść, prześladująca zazwyczaj chrzczonych i niechrzczonych Żydów w Europie.

„Die jüdische Religion ist gar keine Religion, sondern ein Unglück,“ powiedział raz Heine. Pod tym żartem ukrywa się smutna prawda, z którą, niestety, do dziś dnia liczyć się trzeba. Cóż dziwnego, że serce jego na odgłos rewolucyi lipcowej w Paryżu odezwało się pełnym entuzyastycznego zachwytu echem, że w głowie jego powstała myśl przeniesienia się do Paryża, gdzie

zasady wolności, równości i braterskości—miały zostać nareszcie wprowadzone w czyn.

Przypuśćmy nawet, że głównym motywem działania były osobiste względy poety, że Paryż był dlań nie tylko ziemią obiecaną tęsknot socyalnych, ale zarazem obiecującem polem działalności prywatnej, jak niektórzy utrzymują. Bądź co bądź przyznać trzeba, że poeta, jak prawdziwy bojownik, walczył w imię ideałów wszechludzkich do ostatniej kropli krwi i, jak prawdziwy bohater, wytrwał na swej placówce do końca.

Rola, którą Heine przez 25 lat w Paryżu odgrywał, jest czynem doniosłym w dziejach nowożytnych.

Być tłómaczem niestrudzonym obcych sobie cywilizacyj, szukać spójni i łączników pomiędzy narodami i rasami w imię wszechludzkich praw, jest objawem nie tylko wyższego człowieczeństwa, ale zarazem głębszego pojęcia potrzeb czasu i tendencyi wszelkiej cywilizacyi. Każdy umysł niepospolity jest zarazem pośrednikiem i tłómaczem, po przez wieki minione sięgającym w skarbnice najodleglejszych czasów i po przez słupy graniczne po dłonie i serca swych współbraci — ludzi.

Pomimo tego dadzą się ustanowić pewne różnice zasadnicze. Heine należy do tych niewielu, którzy z rzadkiem zaparciem się całe życie swoje i wszystkie swoje zdolności poświęcili sprawie międzynarodowego zbliżenia. Fakt ten jest głównym fundamentem jego przyszłej sławy.

Przez 25 lat oczy jego utkwione były na arenę niemiecko-francuską, przez 25 lat pióro, serce i myśl jego pracowały bez wytchnienia nad zbliżeniem obu narodów.

Politykiem Heine nigdy nie był. Brak mu wszystkich niemal zdolności ku temu, a słynne jego korespondencye do gazety Augsburskiej zgoła inne znaczenie posiadają. Zbyt szczerym był poetą, ażeby zarazem módz być dobrym politykiem, za to można go nazwać „dobrym europejczykiem.“

Przeciw rozrastającej się wówczas coraz bardziej reakcyi w Niemczech prowadził długoletnią walkę partyzancką, piętnując każdy objaw obskurantyzmu, złej woli i nieprawości. Puszczał nieustannie stada z płonącemi ogonami w obóz nieprzyjacielski, raził ognistemi strzałami wszystko, co pełza i jadem dyszy. A broń, którą się posługuje, trafia niechybnie i dotkliwie. Bronią tą są przedewszystkiem: „Zeitgedichte“—krótkie satyry w formie epigramatów. Siła ich leży w śmiechu. Kogo śmiech ten dotknie, ten raz na zawsze już jest napiętnowany. Śmiech, jak wiadomo, łatwiej trafia niż przekleństwo.

Utwory te do dziś dnia są aktualne, pomimo, że właściwą swą aktualność oddawna już utraciły. Osoby i instytucye przez poetę napiętnowane już nie istnieją, ale duch ich żyje po dziś dzień.

— Jesteśmy na zebraniu robotniczem w Berlinie — opowiada Wilhelm Boelsche. Debaty gorące, ożywiona wymiana myśli, przemowy... Wtem pada cytata z Heinego! Urzędnik policyjny podnosi się natychmiast, nakrywa głowę pikelhaubą i rozwiązuje posiedzenie... Taką siłę posiadają dotychczas poezye polityczne Heinego, które pozatem są utworami nawskroś artystycznemi.

Drugą bronią poety w jego walce z „filistynami“ jest felieton. Większa część tych felietonów wyszła w zbiorowem wydaniu dzieł pod tytułem „Französische Zustände“ ze znakomitą przedmową autora. Heine jest ojcem niemieckiego felietonu. Wszyscy wybitni dziennikarze niemieccy nowszych czasów od Maxa Hardena, do Alfreda Kerra są jego uczniami. Styl jego felietonistyczny, jednoczący bardzo szczęśliwie elementy francuskie i niemieckie, cieszy się powszechnem uznaniem w Niemczech. Architektonika tego felietonu mniej więcej następująca:

Najprzód spokojna, rzeczowa ekspozycya, przeplatana gdzie niegdzie błyskiem ironii lub dowcipu. Usiłowanie symbolizowania. Dalej wszystko się zaostrza: sarkazmy, bezwzględna krytyka, oskarżenia, obrachunki, wyzywający śmiech, zjadliwe szyderstwa... Tu i tam umiejętną ręką rozrzucone kwiaty poezyi, — wspaniałe nastroje. Wszystko to nb. w ramach ściśle odpowiadających potrzebom i charakterowi felietonu. Prawdziwe arcydzieła felietonowe, jak np. opis cholery w Paryżu, albo owo dumne: „j'accuse!“ przeciw rządowi pruskiemu, w którem Prusacy nazwani zostali jezuitami północy. „Ich klage an! Ich klage sie an!“ Nie spuszczając z oka stanu politycznego i umysłowego swej ojczyzny, piętnując winnych i głosząc z entuzyazmem nową ewangelię socyalną, której ojczyzną była wówczas Francya, poeta stara się równocześnie wszelkiemi sposobami zaznajomić naród francuski z duchem twórczości niemieckiej w obszernych traktatach, które pisze jako współpracownik „Europe littéraire.“

Pozatem robią swoje jego własne utwory poetyczne, pomiędzy któremi szczególnie Harzreise, Le Grand i Bäder von Lucca cieszyły się niebywałem powodzeniem w Paryżu.

Stosunek Heinego do obu narodów: niemieckiego i francuskiego jest bardzo odmienny. Dla Francuzów ma uśmiechy, pochwały, rzadko kiedy żądło ironii, dla Niemców gromy i sarkazmy. Wynik naturalny ówczesnej sytuacyi polityczno-socyalnej. Że Heine jednakże, gdzie i jak może, stara się ukazać Francuzom

wszystkie zalety swych rodaków, że niestrudzenie pracuje nad zaznajomieniem narodu francuskiego z filozofią i poezyą niemiecką — o tem była już wyżej mowa.

Sarkazmy jego i gromy względem ojczyzny—były bronią miłości. Winić za to należy nie poetę, ale czasy, które leków podobnych potrzebują.

Pomnikami poetycznymi tej epoki są poza wspomnianemi „Zeitgedichte“ dwie satyry: literacka „Atta Troll“ i polityczna „Deutschland.“

Satyra „Atta Troll,“ skierowana przeciw owym fikcyjnym piewcom wolności, którzy znani są w literaturze niemieckiej pod nazwą „poetów tendencyi,“ posiada przedewszystkiem wartość poetyczną: — cudne opisy gór pirenejskich, które należą do najpiękniejszych klejnotów poezyi Heinego. Żądło tej satyry nie posiada jednakże tej siły, co „Deutschland,“ utwór, który można śmiało nazwać najlepszą satyrą polityczną nowożytnej Europy.

Myśl przewodnia „Deutschland“ jest następująca:

„Niemcy nie są wolne, śpią pod butem żołnierskim Prus, ale dzień przebudzenia się nastąpić musi!“ Główna siła leży jednak w sposobie wyrażenia tej myśli.

Umierając, miał Heine zupełne prawo stanowisko swe nazwać placówką przednią w wojnie o wolność. Głos jego — to głos umierającego bohatera, który w chwili śmierci nawet nie traci wiary w piękne ideały, w imię których wyruszył na wojnę.

Doch fall' ich unbesiegt und meine Waffen
Sind nicht gebrochen — Nur mein Herze brach!

(Jednakże padam niezwyciężony i oręż mój pozostał niewyszczerbiony — Serce tylko pękło!).

*

* *

Bojownicy w imię idei wszechludzkiej, apostołowie kosmopolityzmu spotykają się częstokroć z zarzutem braku uczuć patryotycznych. Jak gdyby uczucie patryotyczne było czemś nie dającem się w żaden sposób połączyć z miłością wszechludzką! Polega to na częstokroć fałszywem i ciasnem pojęciu patryotyzmu.

Miłość ziemi ojczystej, uczucie przynależności rasowej—jest czemś tak potężnem, że niema siły, któraby była w stanie je wykorzenić. Wynarodowić dadzą się tylko jednostki nędzne, słabe, zwyrodniałe! Każdy człowiek głębszy duchem musi kochać swą ojczyznę, zupełnie niezależnie od granic politycznych, w których go urodzenie lub życie zamknęło, musi sobie zdawać jasno sprawę ze stosunku swego do niej, który jest stosunkiem zupełnej przynależności. Nie dość na tem; on sam, jego odrębność, instynkta, rytm jego myśli i uczuć, cała jego indywidualność składa się przeważnie z elementów narodowych. Wyrzec się ich, byłoby równoznaczne ze zniweczeniem własnego „ja!“

Patryotyzm ten, jako rzecz niepodlegająca żadnej dyskusyi, absolutnie pozytywna, rozumiejąca się sama przez się, częściej w czynach, niż w słowach się objawia.

Nikomu nie przyjdzie na myśl dziwić się nieustannie, że niebo jest niebieskie, a drzewa zielone.

Krzykacze-patryoci mają zawsze coś podejrzanego. Łatwo dadzą się do nich zastosować słowa Heinego:

Fatal ist mir das Lumpenpack,
Das um die Herzen zu rühren
Den Patriotismus trägt zur Schau
Mit allen seinen Geschwüren!

(Wstrętna mi jest ta hołota, która pragnie wzruszać serca swym patryotyzmem na pokaz, wszystkiemi swemi wrzodami patryotyzmu).

Większość narodu — to pogrążony w śnie olbrzym, który się tylko budzi w chwilach stanowczych.

„Dziwna to rzecz ten patryotyzm, prawdziwa miłość ojczyzny, powiada Heine. Można kochać ojczyznę i dożyć lat 80-ciu nawet nic nie wiedząc o tem; ale tylko wówczas, gdy się przez ten cały czas siedziało w domu.“

W rozłące i w chwilach grożącego niebezpieczeństwa budzi się pogrążony w śnie olbrzym.

Miłość ojczyzny to rzecz święta, to modlitwa bez słów, to sakrament połączenia z życiem!

Czy Żydzi mogą być patryotami?

Pytanie to, dla każdego obeznanego z historyą naszego narodu, wydawaćby się mogło zbytecznem. Czyż nie dość mamy dowodów polskości polskich Żydów? Pocci nasi od Mickiewicza do Wyspiańskiego nadają tej charakterystycznej polskości polskich Żydów—widomy, poetyczny kształt.

Nie tak rzecz się ma u naszych zachodnich sąsiadów. Jakżeż często zarzucano Heinemu brak patryotyzmu, na zasadzie jego przynależności do rasy żydowskiej!

Heine był zawsze Żydem; podczas pobytu w Berlinie w uniwersytecie zajmuje się żywo sprawą żydowską, której rzecznikami byli podówczas Moses Moser, Edward Gans i Leopold Zunz: w dramacie swym „Almanzor“ ujmuje się gorąco za swych współbraci-żydów; poezya jego bogato przeplatana jest pierwiastkami hebrajskiemi, które częstokroć, jak to np. w hymnach do morza północnego miałem sposobność powyżej zaznaczyć, stanowią jedną z jej największych zalet. Nawet wady żydowskie błyskotliwość, brak wytwornego gustu i skłonność do przesady, będące wynikiem nazbyt silnej wrażliwości tej niezwykle nerwowej rasy tułaczów, dadzą się częstokroć dostrzegać w twórczości Heinego. A ostatni okres twórczości poety: — cudny fragment „Rabi von Bacharach,“ pieśni: „Melodye hebrajskie,“... pomiędzy niemi przedewszystkiem „Prinzessin Sabbat,“ owa wstrząsająca skarga narodu żydowskiego — czyż to nie wymowne świadectwa na to, że Heine czuł się Żydem i że słowa jego „ich bin jetzt nur ein armer, todtkranker Jude,“ nie były pozą?

Jeszcze dobitniej wyraził chory Heine uczucia swoje w rozmowie z jednym z przyjaciół: „Bynajmniej nie kryję się z tem, że jestem Żydem. Nie potrzebowałem też nawracać się, gdyż nigdy nie przestałem być Żydem. Ochrzciłem się nie z nienawiści dla Żydów.

Pomimo tego Heine był gorącym patryotą, kochającym całem sercem swoją ojczyznę niemiecką.

Być Żydem, snuć tradycye prastare i sny swej rasy, odczuwać bóle i cierpienia tego narodu tułaczów, pamiętać o jego upokorzeniach, a po przez te mgły i chmury, dale i głębie uczuć rasowych promieniować nową miłość ku nowej ojczyźnie — w problemacie tym duchowym leży jedno z wielkich zagadnień naszego wieku!—Pytanie, którego całą doniosłość my, „dobrzy europejczycy,“ jesteśmy dopiero w stanie zrozumieć;—my, którzy znamy tajemnice podwójnego łamania się promieni miłosnych: miłości ojczyzny i miłości ludzkości, patryotyzmu i kosmopolityzmu!

W Heinem podwójne to łamanie się promieni miłosnych daje się po raz pierwszy z taką dokładnością skonstatować.

Ecce europeensis novus!

Poezya Heinego, pomimo całej skali tonów wszechludzkiego i międzynarodowego zabarwienia, bogata jest w tony miłości ziemi ojczystej. „Duch mój czuje się we Francyi banitą, zesłanym na

obczyznę cudzego języka!“ żali się poeta, już w pierwszych latach swego pobytu w Paryżu, gdy wszystko jeszcze zdawało mu się uśmiechać, gdy opiewał swe wesołe, nie zawsze bardzo wybredne, przygody miłosne (patrz: „Verschiedene“), owe Serafiny, Aniele, Diany, Hortensye, Klaryssy, Maryc, Jolanty, Emmy, Jenny, Katarzyny...

Pomiędzy arabeskami tej „poésie galante“ ukazują się nagle ciernie tęsknoty za ziemią ojczystą.

Manchmal ist mir als fühlt ich wehen
Ueber dem Haupt die deutschen Eichen...

(Czasami zdaje mi się, że słyszę szum niemieckich dębów nad głową moją).

W innem miejscu prawie identycznie brzmiąca skarga, jak nieustannie powracający Leitmotiv:

Manchmal ist mir als hört ich singen
Die alten deutschen Nachtigallen...

(Czasami zdaje mi się, że słyszę śpiew kochanych słowików niemieckich).

Albo owa piękna piosnka:

„Ich hatte einst ein schönes Vaterland...“
. . . . . .
Es war ein Traum...
. . . . . .

(Miałem niegdyś ojczyznę cudną... — Ach, był to sen!...)

Najbardziej charakterystyczne pod tym względem są oba cykle: „In der Fremde“ i „Tragödie,“ szczególniej pierwsza pieśń z cyklu „In der Fremde.“

Wzruszające tony miłości ziemi ojczystej zawiera także satyra polityczna: „Deutschland.“

Zobaczywszy po wielu latach niebytności kraj swój, poeta wita go okrzykiem radosnym:

Der Riese hat die Mutter berührt
Und es wachsen neu die Kräfte!

(Olbrzym matki swej się dotknął i nowe siły mu urosły).

Dość zresztą spojrzeć na działalność Heinego przez cały ciąg jego 25-cio letniego pobytu w Paryżu. Wszystko, co myślał, pisał, tworzył stoi w ścisłym związku z losami i życiem duchowem

Niemiec. Czyż nie-patryota byłby się w podobny sposób narażał rządom państw i państewek niemieckich, cenzurze, potentatom dnia, czyż byłyby go tak dotkliwie bolały wszystkie grzechy, przestępstwa, kompromisy i tchórzostwa współziomków?

Zarzucano Heinemu, że pobierał przez lata całe od rządu francuskiego pensyę. Trudno jednakże czyn ten uważać za niepatryotyczny. Podobną pensyę pobierało pozatem mnóstwo innych emigrantów, ludzi w ten lub inny sposób skompromitowanych u siebie w kraju z powodu rewolucyi.

*

* *

I otóż widzimy go na schyłku życia, — znękanego, wijącego się przez lat 8 w najstraszniejszych cierpieniach ciągłej agonii, przykutego do łoża boleści, obezwładnionego, ze sparaliżowanemi powiekami, które musi podnosić ręką, jeżeli chce coś zobaczyć, opuszczonego przez przyjaciół i znajomych, w kłopotach finansowych, zdala od ojczyzny, zdradzonego przez rodzinę, która po śmierci Salomona Heinego wzdraga się płacić mu nadal wyznaczoną przez umarłego pensyę, zawiedzionego w swych najgorętszych nadziejach politycznych, przy boku kobiety bezdusznej, która nie jest w stanie go zrozumieć... Smutny zaiste obraz!

Podziwiać należy odwagę Heinego, że w tem stadyum miał jeszcze siłę analizować stan swego ducha. A przecież temu właśnie okresowi zawdzięczamy cały szereg pierwszorzędnych utworów: Romanzero, Melodye Hebrajskie, Ballady, Letzte Gedichte, Łazarza. — Utworów, w których pośród łkań, krzyków boleści, rozpaczy beznadziejnej, żalów, przekleństw, smutku nad życiem chybionem, obaw o przyszłość głupiej Matyldy, to znów bolesnej pogardy dla niej, wyrzutów dla rodziny, szamotań się nieludzkich i strasznych sarkazmów, widać pierwsze przebłyski nowej świadomości, pierwsze brzaski nowego dnia, pierwszą trafną krytykę materyalizmu XIX wieku i pierwsze „uświadomienie braków filozoficznych swego czasu.“

Dziwna ironia losu! — Równocześnie poznaje stojący już nad grobem poeta kobietę zupełnie odmienną od tych wszystkich, które dotychczas przeważnie widywał i kochał, kobietę, która jest w stanie go zrozumieć—i która go zrozumiała.

I to bolesne doświadczenie nie zostało mu oszczędzone; po życiu bogatem w zgrzyty trywialnych, płytkich miłostek, poznać inną miłość... w chwili, gdy już było za późno.

Nazwisko tej kobiety, o której tutaj mowa—Kamilla Selden. Heine nazywał ją zazwyczaj „Mouche.“ Jej to poświęcona jest większa część ostatnich poezyj miłosnych poety, bez względu na imię, które miało służyć dla ukrycia przed światem prawdy.

Umarł, nie znalazłszy ukojenia, w rozterce z życiem, z bolesnym spazmem na ustach.

... Was gut und gross
und schön, Das nimmt ein schlechtes Ende!...

(Wszystko wielkie, dobre, piękne — źle się kończy tutaj na ziemi!)

*

* *

Pięćdziesiąt lat minęło od dnia zgonu poety. Wpływ jego jednakże tak jest żywotny, że do dziś dnia nie można było otrzymać w żadnem z niemieckich państw pozwolenia na wzniesienie mu pomnika. Nienawiść zbyt jest żywa. Heine tak jest potężny, że do dziś dnia stoi na przeszkodzie swemu pomnikowi, pisze Boelsche.

Ale niedość na tem; nawet o obchodzie, w prawdziwem tego słowa znaczeniu, mowy być dziś jeszcze nie może. Teatry i instytucye sztuki oficyalnej, które z wielką okazałością obchodziły niedawno srebrne wesele pary cesarskiej, nie znalazły ani jednego słowa pochwały, wspomnienia dla wielkiego poety. Zaledwie kilka pism zrobiło mimochodem wzmiankę. Przeciw tej ogólnej ospałości dusz, podniósł się jednak niedawno protest silny, dźwięczny i dobitny. Alfred Kerr, znany krytyk berliński, niezwykle oryginalna, ruchliwa i namiętna postać w zastępie młodych Niemiec, jeden z synów poety po piórze, napisał odezwę do narodu niemieckiego, która zrobiła duże wrażenie. Kerr domaga się pomnika dla Heinego.

„Przykład dać chcemy! Winę zmazać, spełnić czyn!...

„Oddać pokłon wielkich miast umarłemu poecie; uczcić bojownika!...

„Uwieńczyć znienawidzonego!“

Wszyscy ci, dla których śpiewał, młodzi ludzie wielkich miast, artyści i robotnicy, urzędnicy, kupcy, studenci i młode dziewczęta, wszyscy ci, którzy czują w sercu młodość i zapał, dla których słowo ideał nie jest jeszcze czczą formułką, zawezwani są pod sztandary.

„Niechaj pomnik nasz będzie pomnikiem oporu; pomnikiem spłacającym dług umarłemu i napełniającym serca żyjących wesołą otuchą!...“ powiada Kerr.

Idea ta napotka niezawodnie na duże trudności ze strony rządu niemieckiego, przedewszystkiem zaś rządu pruskiego, którego Heine nie oszczędzał zbytnio. — Przed kilkoma laty podobny projekt rozbił się, tym razem zdaje się jednakże, jakoby wola narodu była po stronie tych, którzy pragną oddać przynależny hołd największemu niemieckiemu piewcy wolności.

Wzniesienie pomnika Heinego w Berlinie, jak to autor odezwy do narodu niemieckiego planuje, byłoby objawem znamiennym...

Kto wie?...

Czyż wizya Ryszarda Dehmela przybierze kiedyś dotykalne kształty?

Dort auf dem Platze, vor der Kathedrale
möcht' ich das Denkmal aufgerichtet sehn,
mitten im Kranz der Linden.
Da soll er sitzen, wie er innerst war,
der kranke Jude, und der grosse Künstler,
der unsre Muttersprache mächtiger sprach,
als alle deutschen Müller's oder Schulze's.

(Tam na tym placu przed katedrą dumną niechaj mu pomnik wspaniały wystawią; tam, w wieńcu lip! Niechaj tam siedzi, jakim był w swej duszy ten chory Żyd, ten wielki artysta, który potężniej władał naszą mową, niż wszyscy Müllerzy i Szulcowie wszyscy!)

Dzieło, jak z pod dłuta Maksa Klingera!...

Na cokole granitowym, śród gwaru wielkomiejskiego — fotel bogato wyzłacany... ciemne kolory bronzów, syenitów, porfirów, bazaltów, lawy!... Śród tych stłumionych refleksów marmurowo-jasna twarz i blade ręce poety. Na twarzy uśmiech...

„dies müde Lächeln des getauften Juden,
mit dem er sich nach neuer Liebe sehnt...“

(Ten uśmiech smutny Żyda wychrzczonego, w którym tęsknoty drzemią nowych kochań!)

U stóp poety, po lewej stronie, tłusta świnia z żelaza reńskiego, „das echte deutsche Hausschwein,“ obwąchująca zuchwałym ryjem łaskę jego, zakończoną grzechotką błazeńską, po prawej dumny gryf, gotujący się do skoku... Biała ręka poety głaszcze skrzydła jego stalowe, mieniące się barwami morza Północnego.

W tyle, za fotelem chorego poety, po prawej — sterany życiem, pracą starzec, który kładzie marmurowo-nagiemu młodzieńcowi-wnukowi koronę na głowę (koronę moją weź, jako model! — woła dumnie Dehmel); — po lewej, tuż ponad świnią na wywyższeniu dziewica w wianku mirtowym i srebrzystym welonie

„so bräutlich, wie es nur der Deutsche träumt...“

Dziewica odpycha z łaskawym uśmiechem lubieżną małpę, która usadowiła się bezczelnie na poręczy fotelu poety... A niebieskie oczy poety, w których drzemią sine wizye Morza Północnego, tęsknoty Ahasvera i „długa niewola Izraela“ zdają się wołać:

„O Venus, alte Frau Sünderin
verneige dich der Reinen,
o könnt ich noch mit Kindessinn
zu ihren Füssen weinen!“

(O, Afrodyte, stara grzesznico! schyl czoło przed tą czystą. Ach, gdybyż módz z dziecięcą prostotą, z płaczem paść jej do nóg!)

Wszystko okolone pięknem ogrodzeniem z kutego żelaza. — Wysokie lilie, połączone girlandą cierniową!...

Wkoło gwar i turkot wielkomiejski...

Kto wie?...

. . . . . .

*

* *

W „Romanzero“ znajduje się wierszyk zatytułowany „Dwaj rycerze.“ W wierszu tym, opisując dwóch emigrantów polskich... „Krapülinski und Waschlapski, Polen aus der Polakei...“ Heine w bardzo niewłaściwy, uwłaczający sposób odzywa się o naszym narodzie. Każdy Polak, czytając ten wiersz, musi się czuć urażony i dotknięty trywialnemi żartami poety.

Dlaczego taki obrońca wolności, bojownik w imię praw wszechludzkich pozwolił sobie na podobnego rodzaju niesprawiedliwość?

Zupełnie zadwalniającej odpowiedzi dać nie mogę. Wziąwszy jednakże pod uwagę rozdrażnienie chorego poety w ostatnim okresie twórczości, które częstokroć popychało go do najniesłuszniejszych w świecie napaści na rzeczy, najświętsze nawet, musimy wiersz powyższy zaliczyć do utworów napisanych pod wływem chwili. Kto wie, czy powodem nie była jaka osobista uraza do jednego z bawiących podówczas w Paryżu emigrantów polskich, który w ten lub inny sposób zadrasnął poetę.

Mamy tyle dowodów sympatyi poety dla naszego narodu, że chętnie mu tę jednorazową obrazę w niepamięć puścić powinniśmy.

Kto tak, jak on, ujmował się za nas? Przypominam pamiętne słowa poety w słynnej przedmowie do „Französische Zustände...“

„Polacy! Krew burzy mi się w żyłach, gdy piszę to słowo, gdy myślę o tem, jak Prusacy względem tych najszlachetniejszych dzieci nieszczęścia postąpili... jak podle, po tchórzowsku, po zbójecku!... Historyk nie znajdzie słów ze wstrętu, gdy będzie musiał opisywać wydarzenia, które działy się w Fischau; temat to raczej dla kata. Słyszę już rozpalone żelazo, skwierczące na chudym grzbiecie Prus...“

Do dziś dnia traktakt jego o Polsce „Ueber Polen“ (pisany w r. 1822) należy do najlepszych prac napisanych przez cudzoziemca o naszym narodzie. O wieleż głębiej i jaśniej patrzy Heine niż Jerzy Brandes.

To co Heine pisze o naszej szlachcie, o naszym chłopie, o naszych kobietach, o naszym Żydzie — jest zwykle trafne i słuszne.

Wprost uderzające są takie ustępy, jak następujący (str. 200, tom 5-ty): „I pierś nie-Polaka przenika współczucie przy wyliczaniu cierpień politycznych, które w ciągu niewielu zaledwie lat ostatnich dotknęły Polskę. Większa część naszych dziennikarzy wyzbywa się powoli tego uczucia, tłómacząc się z lekceważeniem: Polacy przez własną niezgodę sami zgotowali sobie swój los, nie ma co ich żałować.— Bezsensowne wymówki! Żaden naród, jako całość, nie popełnia win; działalność jego powodowana jest wewnętrzną koniecznością, a losy jego są jej rezultatami. Badaczowi objawia się wzniosła myśl: że historya (natura, Bóg, Opatrzność i t. d.) posiada swe własne wielkie plany nie tylko względem pojedyńczych ludzi, ale względem narodów całych, i że niejeden naród cierpieć musi dla rozwoju całości. Polacy, jako pograniczny naród słowiański u wrót świata germańskiego, przez samo swe położenie geograficzne zdają się przeznaczeni do odegrania określonej roli w historyi świata. Walka ich o niepodległość wywoływała dotychczas zawsze objawy, nadające całemu narodowi spe-

cyalny charakter i wywierające wpływ na charakter narodów pogranicznych.“

Słowa takie, jak o naszej literaturze, mają w sobie coś proroczego:

„Wspaniale zakwitnąć musi literatura, która jest sprawą narodową!...“ albo dalszy ciąg na str. 202-ej.

Warto dziś, w dobie tak obiecującego rozkwitu naszej literatury, po 80-ciu przeszło latach, gdy Heine słowa powyższe pisał, zastanowić się głęboko nad ich doniosłością, nad tem, co nam przez ten długi okres walk i cierpień danem było osiągnąć i co pozostaje do zdobycia. Darowując urazy, uczcijmy pamięć poety, który nie będąc naszym rodakiem, potrafił jednakże, przejęty uczuciem miłości wszechludzkiej, odczuć nasze bóle, nadzieje, tęsknoty i niepokoje.

Że wady miał, jest rzeczą ludzką — oddajmy mu cześć za jego zalety.

ARDENS.

Między Starym a Nowym Kursem.

I.

W ogniskach kultury europejskiej, definicya teatru jako odtwórcy duszy człowieka we wszechświecie iści się zwykle na scenie, gdzie ją urzeczywistnia literatura i sztuka. Teatry warszawskie mają inną osobliwszą właściwość: kierunki prądów, przygotowujących w naszych oczach historyę, odbija w sobie... administracya. Przyglądaliśmy się wraz z czytelnikami „Biblioteki“ różnym charakterystycznym fazom tej zabawnej reprodukcyi; nietrzeba też pomijać i ostatniej, która wytworzyła się jak gdyby dla tego, żeby żadnej nuty nie brakowało w tym politycznym gramofonie.

Więc zgoła niespodziewana inicyatywa z góry wywołała przed oczy zdumionego teatru majaki autonomicznych w nim rządów, pod patronatem miasta. Zapytana urzędownie czy zechce podjąć się tego patronatu, którego zrzeka się rząd, municypalność z całą gotowością zarządziła przygotowania do rzeczowej, solidnej na to pytanie odpowiedzi. Kilka komisyj, złożonych z obywateli Warszawy, nie szczędząc bezinteresownego trudu, wtajemniczało się mozolnie w arkana gospodarki dewastacyjnej, przedzierało się wytrwale przez gąszcze nieprzeniknionych rachunków, wydobywało z nich zadziwiające bilanse. Praca niezmordowana trwała kilka tygodni: sprawdzano księgi, rewidowano magazyny, rozglądano się w inwentarzu dekoracyj, kostiumów i rekwizytów; obejrzano techniczne urządzenia i szczegóły budowlane; członek jednej z komisyj, wytrawny i doświadczony znawca literacko-artystycznej strony teatru, p. Józef Kotarbiński, wydrukował cały szereg

uwag i poglądów na stosunek obecny sceny warszawskiej do sztuki, domagając się gruntownej w nim reformy. Zdawało się, że sprawa stoi jasno; że ani jeden punkt nie pozostał w niej niewyświetlonym; że zatem, po zasadniczo wyrażonej przez władze miejskie zgodzie na objęcie teatrów pod pewnemi, bardzo rozsądnemi i zupełnie naturalnemi warunkami, nie może być wątpliwości co do załatwienia kwestyi tam, gdzie ją zapoczątkowano. Ale stamtąd właśnie nadejść miała dla wszystkich siurpryza. Wtedy bowiem, gdy teatr widział się już umiastowionym, wszystko naraz utknęło. Czy cofnięto inicyatywę? Nie — tylko odroczono jej urzeczywistnienie aż do chwili wprowadzenia samorządu miejskiego; że zaś samorząd jest w taki sam sposób zapowiedziany, a wejście w życie tej reformy zależy również od rozmaitych, podobnie przyrzeczonych przekształceń, więc *fata morgana* umiastowienia teatru podobne są do owej malowanej głębi teatralnej, którą przesłaniają rozsnuwające się, jedna po drugiej, chmurne opony. Na scenie robi się niby to coraz jaśniej; każda unosząca się w górę warstwa obłoków uplastycznia w perspektywie coraz wyraźniejsze kontury, spowite jednak w nową mgłę,—może przezroczystszą od poprzednich, ale mgłę zawsze — a tymczasem widz nie może się doczekać ostatecznej zmiany dekoracyi, o której decyduje ukryty za kulisami maszynista. Nic więc dziwnego, że i w sprawie umiastowienia teatrów publiczność zagląda za kulisy.

Inaczej być nie może. Kiedy na proste zapytanie „dla czego?“ sformułowane wobec niezrozumiałej sytuacyi, logika najobiektywniejszego człowieka nie daje mu odpowiedzi, każdy mimowoli doznaje wrażenia, jak gdyby wyczuł utajoną gdzieś sprężynę. Jedną zwłaszcza wszyscy mają pod ręką: interes tych, dla których każda u nas reforma jest groźbą. Takich oczywiście nie brak i w teatrze rządowym, gdzie nienawiść do wszelkich odstępstw od starego porządku ma swoją odrębną psychologię, skombinowaną, jak wszędzie, z finansowych apetytów i, jak nigdzie może, z pożądań władzy, pieszczącej się namiętnie fikcyą panowania, bodaj nad przedrzeźnianym światem. Pożegnać się z dostatniem uposażeniem, — to już rzecz nieprzyjemna. Ale wypuścić z rąk berło, pod którem drżeli o swój los choćby teatralni królowie i sceniczne królowe, kiedy się miało moc rozdawania bohaterom tekturowych tronów i blaszanych koron a bohaterkom królewskich naprawdę apanażów; kiedy głowę zawracało, niby upajający nektar, rozkoszne złudzenie, że się sprawuje rządy nad duszami na scenie i w widowni—to jeszcze bolesniejsza konieczność. *Inde irae.* A w tym gniewie klucz do sytuacyi.

Sytuacya to zresztą typowa nietylko w teatrze. Żyjemy w dobie zawieszonych w powietrzu obietnic. Wolno wszystkim utkwić w nie oczy, zmęczone od patrzenia w górę, byle tylko nie probować wspinania się ku niedostępnym wyżynom. Drabina, prowadząca na szczyt nowej budowy, opiera się zawsze o stare fundamenty, a biurokracya starannie podpiłowuje każdy jej szczebel. Kto zatem nie chce karku skręcić chodzi rad nie rad po ziemi i czyta komunikaty urzędowe, postanowienia obowiązujące. Dokumenty w tym duchu krążyły naturalnie i w państwie dramatu i komedyi, sprawiając najczęściej wrażenie operetki. Probowano naprzykład,—nie mając już, jak za dawnych, dobrych czasów cenzury na swoje usługi,—poskromić opozycyę w prasie śmiesznemi rozporządzeniami, ograniczającemi korzystanie z bezpłatnych biletów; wydawano terrorystyczne dekrety, zapowiadające ryczałtową redukcyę płacy artystom, których praca, zdeprecyonowana została z zamiarem zaspokojenia z ich kieszeni długów, nagromadzonych podczas niedołężnych, trwonicielskich rządów obecnej administracyi. I to wszystko robili *dzisiaj* ci, którzy według oficyalnych zapowiedzi mieli ustąpić *jutro*, jak gdyby dla zaakcentowania, nawet na deskach teatralnych, nieprzerywalności tego *dzisiaj* i nieziszczalności tego *jutra*.

Był jednak w tych stosunkach rys, który je stanowczo odróżniał od ogólnego w kraju położenia i sytuacyi nadawał jedyną w swoim rodzaju fizyognomię: — to kapitalizowanie w sferach kierowniczych polskiego patryotyzmu na benefis biurokracyi teatralnej. Tego jeszcze nikt nie widział; na to jednak patrzyliśmy przez kilka tygodni z okazyi przedstawień „Obrony Częstochowy."

Obrazy sceniczne Juliana z Poradowa zapoczątkowały nową erę w finansach teatrów warszawskich; widownia teatru Wielkiego nie może do dziś dnia pomieścić tłoczących się do niej widzów, którzy z biciem serca na samą myśl, że zobaczą przeora Paulinów w całej jego cudownej glorYi, śpieszyli składać w kasie zamawiań daninę, płynącą z najdalszych zakątków miasta, z najgłębszych pokładów ludności, z najchudszych sakiewek biedaków, z rąk najciężej spracowanych. Skromny, pseudonimowy ilustrator swojskich motywów historycznych, napełnił teatr nową publicznością, która dotąd ze słyszenia zaledwie wiedziała o istnieniu sceny w Warszawie; oblicze sali zmieniło się do niepoznania; wrażenia silne, widocznie porywające, odbijały się na niem bezpośrednim wyrazem zachwytu żywiołowego, ujawniającego wnętrze dusz ze szczerością i prostotą, dawno w tych miejscach nie-

widzianą. „Obrona Częstochowy“ stała się dla tej dziewiczej publiczności nietylko plastycznem objawieniem uczuć, wrosłych w najistotniejszą treść jej duszy, ale rewelacyą teatru, na której możnaby może dalszą jego przyszłość budować.

Znaleźli się też odrazu urzędowi majstrowie i zaczęli zaraz budować, naturalnie „sposobem administracyjnym.“

— Niema jak literatura narodowa! mówiła sobie biurokracya, zacierając ręce. Więcej takich sztuk jak „Obrona Częstochowy“ a rachunki się uporządkują; wytłómaczymy komu należy, że niema żadnej potrzeby oddawać teatru miastu; że wszystko może zostać po dawnemu i że my jedni potrafimy uratować teatr od bankructwa. Na stanowiskach utrzymają nas polscy aktorzy i polska publiczność. W tem właśnie tkwi cała „pikantność“ sytuacyi!

I w myśl tej „pikanteryi,“ robota szła na dwa fronty; z jednej strony targowano się o obrzynki pensyi z tymi samymi aktorami, którzy niedawno jeszcze miesiącami całemi czekali na zaległą gażę, teraz zaś własną pracą oczyszczają zaszargane przez kogo innego finanse teatru; z drugiej — bito gorliwie z patryotyzmu publiczności brzęczącą monetę, zamykając oczy z wyrozumiałością *bon enfant* na „nieprawomyślny“ jej stempel.

A w tem wszystkiem „Obrona Częstochowy“ odegrać miała, *mutatis mutandis*, rolę owej historycznej podniety, która trzydzieści pięć lat temu dźwiękami pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła“ zelektryzowała Poznańczyków pod Gravelotte.

II.

Czy istotnie publiczność warszawska składała się w tej osobliwszej dobie z samych Bartków Zwycięzców, którzy bezwiednie i bezmyślnie dopomagali administracyi teatralnej do wygrania kampanii biurokratycznej? Pytanie delikatne, ale postawić je trzeba, bo najprzód odzywało się dyskretnie, lękliwie lub ironicznie w omówieniach albo niedomówieniach krytyki,—co, nadając kwestyi samej charakter niewyraźny, prawie nieprzyjemny, nie przyczyniło się w niczem do jej rozwiązania;—a powtóre nasuwało w odpowiedzi mnóstwo zasadniczych refleksyj na temat o zadaniach teatru, o wpływie sceny na publiczność, o różniczkowaniu literatury dramatycznej według wymagań celowości lub „czystej sztuki,“ o specyalnych w teatrze kierunkach, o potrzebie sceny ludowej, o teatrze „dla wszystkich“ i o scenie „dla

literatów.“ Słowem fakt niebywałej istotnie frekwencyi na sztuce, mniej niż średniej wartości literackiej, poruszył cały świat pojęć, poglądów, aspiracyj i obaw, haseł i zastrzeżeń, w których z dziwną wyrazistością odzywały się tony panującego wokoło nastroju. I ta właśnie ostatnia okoliczność, „panujący nastrój,“ jest poniekąd syntezą wszystkich owych zagadnień i pozwala rozważanie ich poprzedzić innem, zasadniczem do pewnego stopnia, pytaniem: czy „Obrona Częstochowy“ w innych warunkach, cieszyłaby się tak fenomenalnem powodzeniem?

Jedna tylko może być na to odpowiedź, ale stanowcza, kategoryczna — nie. Daliśmy ją już, zastanawiając się nad sukcesami „Powrotu posła,“ „Bogusławskiego i jego sceny;“ powtórzyć ją wypadnie z powodu przedstawienia „Braci Lerche“ Asnyka i zaakcentować dobitnie przy okazyi „Obrony Częstochowy.“ Ale ustalając w ten sposób stosunek podobnych sztuk do czasu, w którym się ukazują, tem wyraźniej należy określić związek między chwilą obecną a psychologią dzisiejszej publiczności. Jest on tak ścisły, że śledzić go można w stopniowem podnoszeniu się temperatury uczuciowej widzów, występującem — rzecz charakterystyczna — w stosunku odwrotnym do chronologii wskrzeszanych na scenie dziejów. Konanie ojczyzny i świetny, przedzgonny błysk sejmu czteroletniego wytworzył nastrój skupionej powagi w publiczności, patrzącej na „Powrót“ i na „Bogusławskiego.“ Żeby wybuchnąć zapałem, żeby wyładować nagromadzony przez dziesiątki lat zasób entuzyazmu dla wielkich idei i czynów, trzeba było cofnąć się jeszcze o lat sto kilkadziesiąt i skąpać duszę w krynicy najczystszego bohaterstwa, w której przeglądała się już była, czytając „Potop“ Sienkiewicza. I tu może tkwi naprawdę tajemnica powodzenia „Obrony.“ Na dramat Juliana z Poradowa publiczność nie przyszła nieprzygotowana. Stopnie uświadomienia były oczywiście różne wśród różnych jej warstw, ale od najciemniejszych, które z „Trylogii“ dopiero uczyły się kochać dzieje swego narodu, aż do oświeceńszych, których wrażliwość na motywy historyczne subtylizowała się powoli w zetknięciu ze sztuką — wszyscy, dzięki Sienkiewiczowi, podatni byli do przyjęcia suggestyi scenicznej. Z tego też tylko stanowiska oceniać wypadnie oddziaływanie na publiczność „Obrony Częstochowy.“ Nigdy może powieść nie utorowała tak szczęśliwie drogi utworowi teatralnemu; nigdy dramat nie odegrał się przed oczami widzów w wyroczniejszą chwilę; nigdy psychologia książki i teatru nie znalazła się w tak ścisłym stosunku do momentu dziejowego, w którym jedna i drugi przemówiły do czytelnika i widza. Kie-

dy onego czasu czytano „trylogię,“ czytelnika otaczał spokój szpitala paralityków; można było tylko w odosobnieniu, sam na sam z książką „myśleć obrazami;“ że zaś malarzem tych obrazów był największy pisarz polski, więc niezatartemi konturami i barwami uwieczniły się w wyobraźni narodu, a przenikająca je miłość zapaliła wszystkie serca—i tylko zaślepione nienawiścią sekciarstwo może nie widzieć lub udawać że nie widzi olbrzymiego wpływu Sienkiewicza na społeczeństwo, które od dołu do góry drgnęło wtedy pierwszym odżywczym dreszczem, wyrywającym je z chorobliwego odrętwienia. Po uczuciu, napawającem się pięknością epickich malowideł, długo trzeba było czekać na czyn; gdy zaś niesłychana nawała wypadków wszech-dziejowego znaczenia wytworzyła naokoło nas tragiczną atmosferę, przyszła w dziedzinie literatury i sztuki kolej na arenę czynów, na teatr, i wtedy wystarczyło jedno, bodaj słabe, bodaj najlżejsze potrącenie, żeby w oczach widza odżyły na deskach scenicznych w drgającej plastyce obrazy, które nosił w duszy. Naprawdę w teatrze tryumfuje od kilku tygodni Sienkiewicz — Julian z Poradowa pełni funkcyę suggestyonisty.

Nie mam tu na myśli żadnych porównań, jeszcze dalszą jest odemnie intencya obniżania rzeczywistych zalet utworu Juliana z Poradowa. Autorka kilku książkowych dramatów ujawnia poczucie efektów scenicznych, wyzyskiwane z jednakową zręcznością zarówno na gruncie antagonizmów Słowian i Rossów, ścierających się w „Księżnej Gorysławie“ przed dziewięciu wiekami, jak na tle polskich stosunków XVII stulecia w atmosferze Jasnej Góry, przepojonej ekstazą religijną. Nie mogłoby też być mowy o jakiemkolwiek zestawianiu w inwencyi postaci fikcyjnych, lub sytuacyj dramatycznych i nie w tem tkwi zależność Juliana z Poradowa od Sienkiewicza, nawet nie w identyczności tematu, tylko w nastrojeniu przez Trylogię duszy paru pokoleń na takie tony, którym odpowiedziały odrazu potrzebne dla autora „Obrony“ oddźwięki. A ten nastrój ogarnia nietylko scenę — wychodzi daleko poza teatr; ten nastrój wywołuje w myśli i uczuciu jakby przypływ ku wybrzeżom XX wieku „potopu,“ zalewającego Polskę przed dwustu laty i widz doznaje wrażenia, że wrogie fale otaczają go ze wszystkich stron i grożą pochłonięciem, jak wtedy; że morze nienawiści spiętrzone od północy, wschodu i zachodu hakatystycznym uraganem wdziera się wszędzie żywiołowo; że zbudzone przeraźliwym rykiem burzy zwierzę w człowieku coraz głośniej wśród nas samych wyć zaczyna. Istny „potop,“ a od ostatecznego zalania broni się na jakiejś odosobnionej wysepce —

Ojczyzna! Trzebaż się dziwić, że nawiedzana taką wizyą publiczność wyczuwa w dramacie Juliana z Poradowa więcej aniżeli jej tam dał autor; że w Kordeckim wciela się dla jednych majestat religii, dla innych piękno rycerstwa, moc bohaterskiego poświęcenia i miłości, dla wszystkich potęga idei, rozleglejsza niż świat, objęty murami forteczki częstochowskiej. Trzebaż się dziwić, że najwyższą dla tej publiczności sztuką, jest może własna jej współtwórczość, którą bezwiednie ratuje niedomagania poety?

I zdaje mi się, że na tę współtwórczość widza, na której prawdopodobnie w przyszłości oprze się wszędzie najtrwalszy jego do teatru stosunek, wypadało co najmniej tyleż zwrócić uwagi, ile jej spotrzebowano ku wykazywaniu owych niedomagań dramaturga; i mam wątpliwości czy była w krytyce podstawa do akcentowania niepełnoletności artystycznej spektatorów, własną myślą pogłębiających rysunek, własnem uczuciem dobarwiających koloryt przedstawianych obrazów?

Ostatecznie podobnego aktu domagają się dziś bardzo kulturalni twórcy od bardzo kulturalnej publiczności, stawiając przed nią sfinksowe zagadki modernistycznego symbolizmu, których piękno tkwić ma nie w zewnętrznych, materyalnych formach dzieła, nie w brudnych, bezkształtnych plamach, rzucanych na płótno, ani w robionej naiwności niedomodelowanych z gliny kształtów, ani wreszcie w arlekińskiej pstrociznie słowa, igrającego pod nieprzeniknioną maską tajemnicami nieskończoności — tylko w potędze suggestyi, jaką dziełu przeznaczono wywrzeć. Oczywiście, że chodzi tu o suggestyę artystyczną, że o artyzmie jej decydują stanowczo głębie, z których i na które wywiera swoje działanie; i jakkolwiek nie wynaleziono dotąd ołowianki, dającej miarę tych głębi w duszy, ogarniętej bezgraniczną miłością ojczyzny, albo w duszy, szukającej naprzykład absolutu w dreszczach erotycznych— to jednak jakiś sprawdzian dla sztuki dałby się może sformułować z tych sondowań, gdyby nie pewna ich, zawzięcie uprawiana jednostronność. Zdawałoby się, że wszystkie symbole, zrodzone z poezyi, powinnyby z równych praw korzystać i w sztuce i w literaturze. Tymczasem jest wśród nich jeden, który z wielkim trudem zaledwie tolerancyę zdobywa sobie w krytyce — symbol historyczny. Coś w nim pokutuje, co budzi niechęć, lęk, czy też nieufność; może zbyt ostre kontury rzeczy dokonanych, urągające chaotycznej bezkształtności naszych czasów; może nienawistne dla zadufanej w sobie teraźniejszości dziejowe *memento*, wołające: „wszystko to już było, wszystko to jeszcze będzie, wszystko to przeminie;“ dość, że do historycznych motywów w sztuce przy-

stępuje się stale z uprzedzeniem, zwłaszcza jeżeli im sądzono wpływać świadomie lub nawet bezwiednie na szerokie tłumy. Odzywa się wtedy okrzyk zgrozy: „tendencya patryotyczna!“ — i wyrok potępiający wydany.

Piszący te słowa zaznaczył niedawno na tem miejscu, co trzyma wogóle o tendencyi, kiedy uważa ją za koronę dzieła, jako myśl, przetopioną w ogniu twórczości na wartość artystyczną, kiedy zaś widzi w niej, jako w zewnętrznej tylko etykiecie, skazę utworu. Ale niechże w warunkach, które ją skazą czynią, będzie nią wszędzie; niech żadna tendencya, z góry narzucona, nie cieszy się wyłącznym przywilejem; niech interdykt nałożony w imię sztuki na tendencyę historyczną, obciąży wszystkie inne, grzeszące przeciwko sztuce. Że tak się nie dzieje, wiemy aż nadto dobrze; wiemy, jak dyskretnie stosuje się cenzus artystyczny naprzykład do motywów społecznych, wtedy nawet, gdy wbrew Pięknu wyrasta z nich obcy ustrojowi dzieła nowotwór — teza; wiemy między innemi, że te same głosy, które protestowały zagranicą przeciwko zainstalowaniu na scenie trybuny, skąd poeta rzucałby tłumom hasła patryotyzmu, milczały dyplomatycznie, gdy teatr blizkim był przekształcenia się na katedrę profesorską, gdzie w akcyi rozwijać się miała rzecz o... chorobach sekretnych. Tuż obok apoteozy „czystej sztuki,“ teza coraz zuchwalej dąży do panowania w literaturze, utrzymując z pięknem etykietalne zaledwie stosunki.

Znak czasu! Może. Życie zdaje się odwracać od „historyzmu“ i podążać w nieznaną dal z falą społeczną. Wszak i u nas — że jeden tylko zacytujemy przykład — „przebaczono“ pisarzowi wielkiego talentu temat historyczny tylko dla tego, że oblicze dziejowe niedalekiej od nas przeszłości wykrzywił nowożytnym grymasem społecznego liryzmu. I nie dostrzeżono nawet grymasu, lub, co gorzej, udano niedopatrzenie.

Znak czasu! Zapewne. Ale jeżeli tak jest, jeżeli nastała doba, w której nić przewodnią do wędrówki po dziejach literatury wysnuwa się ze splotów życia społecznego; jeżeli twórczość w państwie Piękna rozważać mamy pod kątem, wykreślonym przez p. Salomona Lublińskiego w jego książkach „Literatura i społeczeństwo“ i „Bilans modernizmu;“ jeżeli zastanowić się nam wypadnie wraz z p. Maksem Martersteigem nad zadaniami „dramaturgii socyologicznej“ — w takim razie i krytyka powinnaby pomyśleć o wciągnięciu do swoich wartości estetycznych wszystkich bez wyjątku czynników społecznych i stworzyć jakąś syntezę na temat: „Krytyka literacko-artystyczna i społeczeństwo.“

Wtedy ironizowany „historyzm“ wystąpiłby może w tej syntezie jako jeden z potężnych czynników życia, objawiającego się w sztuce *sub specie aeternitatis*, a miłość ojczyzny okazałaby się zapewne najistotniejszą więzią społeczną, zasługującą na uwagę krytyków-socyologów.

Takiej syntezy dotąd niema. Spór między „Pięknem oderwanem“ a „Pięknem socyologicznem“ nierozstrzygnięty. Nie miałem bynajmniej zamiaru kusić się o pośredniczenie w tej waśni; chodziło mi raczej o rozjaśnienie wątpliwości: czy, oceniając sztuki w rodzaju „Obrony Częstochowy,“ w związku z daną sytuacyą społeczeństwa, nie byłoby odpowiedniejszem określać *znaczenie* takiego utworu zamiast zajmować się jego *wartością* i czy publiczność, która to znaczenie stwierdza nadzwyczajną frekwencyą, ma być już przez to samo mniej kulturalną od tej, która zapewniła powodzenie *Candidzie* Bernarda Shawa?

III.

Bo „Candida“ miała powodzenie i uśmiechały się do niej te same usta, które na „Obronie“ spazm płaczu zaciskał; błyszczały pogodnem zadowoleniem te same oczy, z których Julian z Poradowa łzy gorące wyciskał. Cóż tedy dla publiczności, oddanej przez parę miesięcy ascetycznym prawie wrażeniom, mogło w tej sztuce zapełnić przestrzeń wiekową i ideową między celą jasnogórskiego zakonnika a plebanią anglikańskiego pastora? Znowu tylko stan moralny widza i psychologia sytuacyi, w jakiej się znajduje, odpowiedzieć na to mogą. Wyobraźmy sobie duszę zbiorową, która przez dziesiątki lat łaknęła napróżno wzruszeń historycznego Piękna swego narodu i której, gdy wśród nieustannych męczarni powtarza polską parafrazę Danta: *nessun maggior piacere, che ricordarsi del tempo felice nella miseria*, niespodzianie głód ten jeżeli nie zaspokojono to przynajmniej uśmierzono. Pokrzepiona idealną strawą, upojona nektarem uczuć, których dopływ był przed nią dotychczas zamknięty, czuje wyrastające skrzydła do górnego lotu i wyfrunąwszy z widowni sztuki ponad widownię życia, spada z obezwładnionemi skrzydły na ziemię, gdzie w katowni dantejskiego piekła pierzcha wizya dantejskiego *tempo felice*. To, co przeżywa, wygląda jak urągowisko tego co prześniła. Warownia wolności srożej niż kiedykolwiek oblegana: a w warowni nie epickie boje wyswobodzenia, tylko krwawe har-

ce Anarchii. Zamiast Jasnej Góry — Okopy Świętej Trójcy; zamiast Kordeckiego — Pankracy, zamiast *Galilee vicisti!... nascetur Antichristus.*

Uciekać, uciekać coprędzej, uciekać od widoku zapadania się w wieczność tej zagasłej apoteozy przeszłości; uciekać od tego proroczego widzenia przyszłości, która stała się teraźniejszością; uciec myślą i czuciem od tej Nieboskiej Komedyi, gdzieś daleko, gdzieś za góry, za morza...

I za morzem istotnie ocknęła się pewnego razu zbiorowa dusza pod pogodnem niebem, którego dawno nie widziała. Świeci tam słońce nad domostwem, gdzie dziwni jacyś uwijają się ludzie. Wszyscy zdają się być zadowoleni z życia, choć każdemu z nich coś niby dolega. Ale to, czego im brakuje, sztukują sobie bezwiednie trochą jakiejś pozy. Jedno u drugiego widzi nadsztukowanie, nawet mu je z przyjemnością pokazuje; tylko własnej pozy nikt nie jest świadomy.

Pozuje Jakób Mavor Morell, chrześcijańsko-socyalny kapłan, silny, dobrze zbudowany mąż, pierwszorzędny mówca, tak o potędze swej elokwencyi przekonany, że się z lubością wsłuchuje w metaliczne brzmienia własnego głosu kiedy z namaszczeniem uczy, z oburzeniem protestuje, z impozycyą upokarza, z naturczywością wdziera się do cudzych egzystencyi. Nie wątpiąc nigdy, że kogoś nauczył, coś protestem obalił, że komuś zaimponował lub na czyjeś życie wywarł wpływ decydujący, w poczuciu urojonej władzy nad wszystkiem i nad wszystkimi, jest z siebie bardzo kontent. W przeciwstawieniu do starego dzieciaka, pozuje niedojrzały młodzieniaszek, zmodernizowany paź Cherubinek, który naczytał się Ibsena i stara się chłopięcą tchórzliwość w zetknięciu z grubymi realizmami życiowymi wynagrodzić sobie teoretyczną odwagą prawdomówcy, brzydzącego się obłudą codziennych między ludźmi stosunków. Nieświadomość tej pozy na „całego człowieka“ w ośmnastoletnim Marchbanksie ma swój odrębny wdzięk, nie słabnący nawet w oświetleniu humoru satyryka: jest w niej twórczy pierwiastek młodości, ufnej w swoją moc rzeźbienia w życiu, jak w marmurze, samych posągów. Chłopiec cieszy się cięciami dłuta, podnieca go odgłos uderzeń młota, a my widzimy rozsypujący się materyał. Poza rzeźbiarza wygląda tragikomicznie, jednak z kontrastów wynurza się poeta. Czy pozuje także pani Pastorowa, piękna Candida? Nie wszyscy godzą się na to; i są tacy, którzy w niej widzą jedyną wśród otaczających skrystalizowaną duszę, olśniewającą brylantowemi błyskami. Kto wie jednak, czy nie bliższym jest psychologi bohaterki Adolf

Nowaczyński, kiedy w „konferencyi“ o Candidzie, tak określa panią pastorową, oraz jej stosunek do męża i do rozkochanego w niej wielbiciela: „Candida, ta piękna samka o Rubensowskiem ciele a oczach prerafaelitycznych *girls*, jakichś tęsknych dziewic wśród ruin, Candida oczyma temi może i kocha młode chłopię zamorskie, ale reszta ciała domaga się legalnego męża, dojrzałego mężczyzny, i ta reszta, bardzo ciekawa i nęcąca, wybiera w tem *tour des mains* powtórnie swego męża.“ Jest w tem określeniu gotowe *podium* do pozy. Kobieta Rubensa „rosła, dobrze odżywiona,“ jak o niej sam twórca mówi, przybiera fizycznie i moralnie układ i wyraz przedrafaelowskiej Madonny, przybiera, nie zdając sobie z tego sprawy, nawet w chwili, kiedy ją przyrodzone instynkty przechylają w stronę flamandzkich ideałów małżeńskich. Mniejsza o innych; mniejsza o ojca Candidy, Burgessa, pozującego na kupiecki geniusz aferzystę; mniejsza o sekretarkę pastora, Prozerpinę, wystukującą z godnością na klawiszach Remingtona muzykę przyszłości nowej kobiety; mniejsza wreszcie o młodego kaznodzieję Milla, kopiującego u pryncypała pozy chrześcijańsko-socyalne. Na trojgu z nich tylko skupić nam wypadnie szczególną uwagę. Dla czego? Toż to „syci burżuje“ cieszący się życiem; co w nich może być zajmującego? Zapewne. Postawmy wobec nich autora „Walca barona Molskiego,“ a przy zapuszczonych w całym domu pessymistycznych zasłonach, wszystkich ze skóry obedrze i będzie się czuł najszczęśliwszym z dokonania tego skalpu. Tymczasem puścił tam promień słońca Bernard Shaw i jakieś w ludziach mignęły ciekawe punkty świetlne. Zrobił więcej,—bo pastor uroczysty, sympatyczna pastorowa i młody, romantyzujący lord-poeta, znaleźli się pod wspólnym dachem, jako mąż, żona i kochanek i żadna stąd nie wynikła mieszczańsko-dramatyczna katastrofa. Francuz, dajmy na to Donnay albo Porto-Riche, zamknąłby oczywiście tych troje w typowym trójkącie małżeńskim i zdusił tam kogoś koniecznie fatalną pętlą wiarołomstwa. Niemiec, przypuśćmy Engel, nie darowałby pastorowi i szarpałby duszę jego tragodyą buntującej się myśli; Skandynaw, rozumie się Ibsen, oddawna już z pośród tej trójcy dźwignął na wyżyny swoją „Panią Morza.“ A Irlandczyk? Irlandczyk Shaw, postawiwszy swoich bohaterów niby na krawędzi dramatycznej, tam właśnie najszczerzej się z nich rozśmiał. I to nie śmiechem kuglarza Wiktoryna Sardou, który najprzód widzów prowadzi nad brzeg tragicznej przepaści, pozwala im tam zajrzeć i wstrząsnąć się rozkosznym dreszczem teatralnej trwogi, a potem jednym koziołkiem akrobaty scenicznego stawia wszystkich swoich bohaterów

na równej drodze, pewny nagrody za ratowanie tonących. Nie. Bernard Shaw nie chce ani na chwilę wyprowadzać widza w pole. Sam nie wierzy i nikomu nie pozwala wierzyć, żeby ktokolwiek z jego trójki wpadł w jakąś otchłań, bo przedewszystkiem to, coby się mogło komuś z nich wydawać otchłanią, jest naprawdę prostym, gładkim gościńcem, po którym każde z nich stąpa silnemi, zdrowemi nogami. Nikt tam przepastnego zawrotu głowy nie doświadcza — wszyscy natomiast pozują na takich co po wysokościach chadzać przywykli.

Jest-że ta poza obłudą czy aspiracyą? Należałoby się co do tego porozumieć, bo tylko w ten sposób da się może określić stosunek Shawa do światów, które tworzy. Znany jest sceptycyzm uśmiechniętego wytwornie Irlandczyka wobec różnych gatunków bohaterstwa, znana szyderska ironia, z jaką zwykł odsłaniać pozę w rozmaitych posągach. Przy głębszem jednak wniknięciu w psychologię tego sceptycyzmu, tej ironii, pokazuje się, że jeden i druga dotykają nietylko heroizmu, lecz wogóle ogarniają indywidua „z jednej sztuki.“ Nic przeciwniejszego ludziom uczuciom, namiętnościom, sytuacyom „z jednej sztuki,“ jak ludzie, uczucia, namiętności, sytuacye w dramatach Bernarda Shawa. Nazwał go ktoś „glossatorem chwil,“ „komentatorem mgnień oka“ z racyi reżyserskich uwag, któremi autor „Candidy“ zwykł nawiasowo dopełniać psychologię duszy ludzkiej. Bystra ta obserwacya, charakteryzująca technikę pisarza, określa jednak i samą istotę twórczości Shawa. Technika tworzenia odbija się na tworzywie. Postacie Shawa, trzymane jaknajdalej od prostolinijności i jednobarwności teatralnego bohaterstwa, mienią się w kolorach, wymykają się z giętkich, niepochwytnych konturów i mają widoczny wstręt do psychologicznego więzienia, zwanego pospolicie *charakterem*. „Co to jest charakter?“—zdaje się pytać Shaw—i sam sobie odpowiada: „najczęściej odwrotna strona medalu,“ powtarzając przy tem zdanie Balzac'a „wszyscy umieramy niepoznani.“ Na takim koniu samowola dramatyczna może daleko zajechać; gdy jednak dosiada go Bernard Shaw warto za nim podążać — bo można mimo niespodziewaniej znaleźć się w krainie poezyi. Którędy tam dotarł? Nikt tego nie wie, prawdopodobnie nie wie i sam nieubłagany ironista; ale my, cośmy mu towarzyszyli, odczuwamy to, mniejsza o to czy z nim razem, czy bez niego; odczuwamy wtedy nawet, kiedy nam pokazuje spód wywróconego na nice życia. Wtedy może najsilniej. Ta arlekińska pstrocizna podszewki życiowej tak nam boleśnie przylega do ciała; a pawiąc się w różnokolorowych jaskrawiznach wierzchu, tak jesteśmy z tym stro-

jem podobni do wędrownych komedyantów, którzy trawią krótki, marny żywot na ubieganiu się o efektowne role! Bernard Shaw umie te role na pamięć. Wyczuwa kabotyna w każdym aktorze i śmieje się, a co najdziwniejsza, w tym właśnie śmiechu dźwięczy dyskretnie nuta poezyi, nie tej, robionej z literackiego „śmiechu“ przez literackie „łzy“ – Shaw ani myśli płakać — tylko tej, która nawet za kulisami życia umie odnaleźć między porzuconemi rekwizytami strzępy duszy człowieka. Trafiamy w charakterach Shawa na takie tej duszy momenty, że niepodobna wobec nich wstrzymać się od zastrzeżenia *in petto:* „A jednak tu mogłoby nastąpić zupełnie co innego.“ Ale natychmiast przychodzi na myśl poprawka: „Tak, zapewne — ale czy i w życiu nie mogłoby również nastąpić co chwila co innego?“ I zaledwie zetknęły się te dwie uwagi, trysnęło z zetknięcia światło, wydobywające dziwną plastykę z postaci, którą mamy przed oczyma. Znaleźliśmy się wobec figury żywej, wcielonej w kształty życia, *które jest*, ale z duszą, wziętą z życia, które *mogłoby być*. Zaakcentujmy to jednak wyraźnie: ta dusza nie jest bynajmniej wytworem życia, które *powinnoby być*, nie iści się w niej żaden „nakaz kategoryczny“ — Shaw nienawidzi imperatywów — migoce tam raczej drgającemi światłocieniami gra życiowych możliwości, a w kombinowaniu właśnie tych możliwości jest Bernard Shaw skończonym artystą. Artystą, grającym zawsze na realnych tylko wartościach. Bo to, co w życiu *mogłoby być*, nie ma u Shawa nic niedostępnie idealnego; owszem — wszystko jest rzeczywistością *in potentia*, rozproszoną po niezmierzonych przestworach życia, z których przypadek układa codzień pospolite stosunki, a Bernard Shaw twórczo kojarzy artystyczne proporcye. Jest oczywiście w tem kojarzeniu dowolność; ale tu znów zapytaćby wypadło czy niema jej w życiu, a jeżeli ją tam widzimy, dla czego nie moglibyśmy zgodzić się na nią wogóle; zwłaszcza, gdy postawione jedna wobec drugiej, nie kłócą się te dwie dowolności, lecz przeciwnie, czynią sobie w dziele poety wspólne ustępstwa? Takich ustępstw nieznała nieprzyjemnej pamięci *comédie rosse*, na którą Shaw wyraźnie wzrusza ramionami. Dla niego „burżuje“ wyciosani z jednej sztuki cynicznego samolubstwa, poprostu nie istnieją, byłby to rodzaj odwróconego bohaterstwa, jakiś gatunek skonsolidowanych w błocie charakterów. Dla niego egzystują natomiast natury mozajkowe z interesującym deseniem, który go zajmuje wtedy szczególniej, kiedy jego *subjekty* same siebie mimo wiedzy rysują. Rozgląda się wówczas z rozkoszą *dans le monde où l'on pose* i — nie oburza się. Owszem możnaby przypuścić, że ma pewną słabość

do tych chwiejących się dusz, potrzebujących w pozie podpórki — może ku czemuś lepszemu, wyższemu.

Tyle o ludziach w anglikańskiej plebanii. A chwila dramatycznego między nimi napięcia? Tej chwili nie można nawet nazwać kolizyą, choć teatralnie ujęta jest w formy tak zwanej „sytuacyi“ i nieboszczyk Sarcey domagałby się dla niej *une scène à faire*. Już z pacholęcą swadą oświadczył był Marchbanks pastorowi, że kocha jego żonę i że ją kocha lepiej, prawdziwiej, aniżeli ten, komu się zdaje, iż miłość w sercu kobiety obudzić i utrzymać można tylko retorycznemi, bez życiowej treści, kazaniami. Już pastor, przekonawszy się ze słów żony, że ona również żadnych niema złudzeń co do jego apostolstwa w społeczeństwie, z przerażeniem słyszy w tych słowach echa apostrofy poety, tem dotkliwsze, że łagodny, rozpogodzony sceptycyzm Candidy nie oszczędza i jego mężowskiej pewności siebie. Już urocza pani pastorowa zdążyła wysłuchać, myśląc o czem innem, całych foliałów poezyi, odczytanych przez poetę podczas sam na sam, które wykombinował mąż, wspinając się wobec obojga na szczudła bohaterskie. Wszystko zdaje się być gotowem do nieuniknionej sceny we troje — i w decydującym momencie pokazuje się, że nigdzie niema materyału do dramatu. Na tem właśnie polegało zastosowanie przez Shawa — oczywiście w jego stylu — dumasowskiego *l'art des préparations*. Dramat niema się poprostu o co zaczepić: żadnej niespodzianki sytuacyjnej, żadnego starcia charakterowego; wszyscy wiedzą w jakim są do siebie stosunku i co o sobie wzajemnie trzymać mają. Shaw przygotował wszystko naodwrót, usunąwszy starannie możność wszelkiego zderzenia czy nawet zetknięcia, które mogłoby wywołać jakiś wybuch. Ze sceny odzywają się same słodkie tony; rozprawa ludzi, którym może naprawdę chodzi w tej chwili o życie, układa się w muzykalny prawie trójdźwięk i sytuacya rozwiązuje się jak dysonansowy akord.

Nutę rozwiązującą daje Candida. Przepiękna, cudna nuta, nawet przy swem lekko-paradoksalnem brzmieniu. Nienadarmo Shaw tak długo, tak namiętnie studyował Wagnera!

Postawiona przez męża w konieczności wybrania między nim a poetycznem chłopięciem, odpowiada Candida z czarownym uśmiechem, że oddaje się „słabszemu“ — i posągowych kształtów ramiona zarzuca na szyję... mężowi. Pod jakim bodźcem złożyły się te ramiona do uścisku? Czy je zamknęła kobieta Rubensa czy dziewica Burne-Jonsa? Co głośniej odzywa się w tej ledwie odczuwalnej ironii, akcentującej słabość w mocarzu fizycz-

nym: krew czy duch? Komu więcej ufać gdy tuli w objęciach zdrowego, tęgiego i społecznie energicznego mieszczucha, czy żonie, siostrze i matce, sprzymierzonym w jednem sercu Candidy opiekunkom nad pieszczącym się sakramentalnie filistrem, czy też utajonej kochance, która nic nie mówi, ale w takiem przymierzu dla siebie przedewszystkiem czerpie uroki i siłę? Nad tem wszystkiem niema czasu zastanowić się widz, najgłębiej nawet wczytany w doktora Ottona Weiningera. Odejmuje mu swobodę refleksyi czar jakiś, który trudno poddaje się analizie. Od arcywzoru dobrej, skrzętnej, dbałej o ład domowy gospodyni, po holendersku prawie uplastycznionej, wieją jakieś idealne tchnienia. Proste, szczere, praktycznie zabarwione myśli kobiety silnie czującej, głęboko sięgają w sam rdzeń, w samą istotę życia. Miłość ze swemi odruchami moralnej mimozy dyktuje żonie takie mniej więcej słowa w rozstrzygającej z mężem rozmowie:

— Wszystko zależy od kobiety, która Marchbanksa nauczy czem jest właściwie miłość. Jeżeli to uświadomienie przyjdzie od kobiety dobrej, reszta pięknie się złoży i Eugeniusz przebaczy mi. Jeżeli inicyatorką będzie kobieta zła, która mu w kochaniu da poznać poniżenie, nie wiem czy mi on wtedy przebaczy, żem go sama w miłość nie wtajemniczyła, żem go rzuciła na pastwę złym kobietom, strzegąc tego, co ty moją czystością nazywasz. Ach Jakóbie — jakże ty mię mało rozumiesz, kiedy mówisz zawsze o swej ufności w moją dobroć i czystość! Ależ ja jedną i drugą oddałabym Eugeniuszowi tak chętnie jak się oddaje szal marznącemu żebrakowi, gdyby mię co innego od tego nie powstrzymywało. Ufaj mojej miłości dla ciebie; bo gdyby nie ona, kazania twoje na nicby się nie zdały. To tylko puste frazesy, któremi codzień innych i siebie okłamujesz.

To mówi kobieta z duszą o gronostajowej bieli; i te słowa, wśród których odzywają się niekiedy jakby echa katechizmu wolnej miłości, padają w atmosferze tak czystej, że w niej piękno artystyczne przeniknione pięknem etycznem zdaje się wchłaniać bez śladu szkarady życiowe. Na tych burżujów można patrzeć, tym filistrom można współczuć; Candidę trzeba kochać jak się kocha każde wcielenie „wiecznej kobiecości," *des Ewig-Weiblichen*, jak się rozkoszuje kwiatem, wystrojonym we wszystkie barwy, nęcącym wszystkiemi woniami życia.

Kwiat osobliwy — powiadają. Niech i tak będzie. A czy słyszeliście o owych hodowcach w Harlemie, nadających tulipanom najfantastyczniejsze kolory? Dziwnie te kwiaty wyglądają — ale wyrosły z tej samej co zwyczajne ziemi, ta sama wydała je

natura i jej też zawdzięczają osobliwe barwy — tylko wdał się w to ogrodnik-poeta i wydobył z natury poezyę. Takim ogrodnikiem jest twórca „Candidy.“ Widzieliśmy jak, tworząc, operuje samemi realnemi możliwościami nawet wtedy, kiedy kreacye jego zdają się być oderwanemi od rzeczywistości. „Duchowe oko moje jest równie normalne jak moje oko cielesne,“ mówi sam o sobie Bernard Shaw, broniąc się od paradoksalności — „dla tego widzę rzeczy inaczej niż moi współcześni.“ Candida jest „inną“ dla oczów, które Shaw za nienormalne uważa; jest kwiatem życia, który „innej“ potrzebuje kultury. Grunt pod tę kulturę istnieje; pierwiastki skombinował hodowca. Może to kultura przyszłości, kiedy Piękno stanie się syntezą życia. Dziś kwiat wygląda jak egzotyczny storczyk, zawieszony w atmosferze chrześcijańsko-socyalnej, światłością przepojonej; do ziemi nie dotyka, w słońcu zdaje się bujać, zapachy roztacza odurzające; możnaż się oprzeć jego krasie?

Na różnych ziemiach różne rosną kwiaty. Maksym Gorkij napisał dramat p. t. „Dzieci słońca.“ Poeta proletaryatu, psycholog cierpień i niedoli najgłębiej upadłych istot, epik rewolucyi wydaje się tam jakby olśnionym blaskami europejskiej kultury. Czuć w całem dziele dreszcz jakiejś nieznanej u niego dotąd trwogi przed grozą i brzydotą nieobliczalnych w ciemnym motłochu żywiołów; widać na każdym kroku ziejącą przepaść między szczytami duchowemi, gdzie ludzie wyciągają ręce ku słonecznym życia jasnościom a nizinami społecznemi, gdzie w mrokach kłębią się zezwierzęcone ciżby; a jedyna przedstawicielka wszechsympatyi i wszechlitości, histeryczna dziewczyna, szukająca naokoło kogoś, ktoby z równą jak ona męką odczuwał „tragizm życia,“ wpada wkońcu w obłęd. Ten grobowy kwiat asfodelu, podobnie jak tamten w powietrzu zawieszony — bo nie dosięga ani do szczytów ani do nizin — rozsiał i u nas na skrzydłach dziejowej nawałnicy plenne swoje nasiona; ta histeryczka o roziskrzonych gorączką oczach, o wykrzywionem konwulsyjnie obliczu, przemknęła się i między nami, podniecając społeczną newrozę. Na dur od jednego kwiatu, znalazło się lekarstwo w innym kwiecie: Bernard Shaw dał nam w towarzystwie „Candidy“ chwilę kojącego wypoczynku.

Bernard Shaw jest twórcą nietylko „Candidy,“ o czem, jak już wspomniałem, konferował z publicznością Adolf Nowaczyński. Satyryk przedstawił słuchaczom w dramatopisarzu satyryka; i spełnił to z całym rozmachem pokrewnego ze znakomitym Irlandczykiem temperamentu. Prelegent stał na wysokości zadania, rozwinąwszy konferencyę prawie do rozmiarów literackiego szki-

cu. Może ryzykownem było to wydłużenie na pierwszej próbie takiej introdukcyi do przedstawienia, ale zyskała na tem niewątpliwie plastyka wizerunku, w którym ostre rysy najgłębiej zaryły się tam, gdzie trzeba było uprzytomnić niewtajemniczonemu audytoryum walkę zawziętą Bernarda Shawa z purytanizmem angielskim, jego szturmy nieubłagane do tej „wielkiej twierdzy z plumpuddingu, w jakiej rezyduje stara poczwara — obłuda purytańska Anglików, rodzona siostra rozbójniczego imperyalizmu brytańskiego, jego zgrzybiała pomocnica i podpora.“ Postać bojownika za ideały *Fabian Society* stanęła przed słuchaczami w śmiało rzuconych konturach i w mieniących się barwach; szkoda że p. Nowaczyński, jak to mu się często zdarza w pracach na tematy współczesne, przecenia wartość barw, z obcej branych palety. Szukanie silniejszej ekspresyi, lub wytworniejszej giętkości stylowej w różnojęzycznych przetworach jest grubą omyłką, która ani nic nie pogłębia ani nic nie wysubtelnia, ale natomiast zamazuje czystość rysunku i zaciera żywość kolorytu; przytoczony zaś przez p. Nowaczyńskiego polemiczny argument o potrzebie „europeizowania“ języka polskiego może tylko dziwić pod piórem pisarza, który tak głęboko wniknął w duszę tego języka, wskrzeszając go z całą czcią w swoim „Reju,“ w „Smoczem gnieździe“ i w „Starościcu ukaranym.“ Europeizowanie języka polskiego dokonywa się nie wchłanianiem pierwiastków obcej mowy, tylko taką własnej mowy kulturą, żeby stała się materyałem do tworzenia dzieł, które narzuciłyby się same Europie wewnętrzną, oryginalną, swoistą wartością. Tak Europa narzuciła swoje arcydzieła całemu światu, tak dostała się już do Europy nasza literatura; tak zapewne dostanie się z nią i p. Nowaczyński, o ile sam przeszkadzać sobie nie będzie metodą, zgoła niepotrzebną Europie i niczem nie bogacącą polskiej literatury.

IV.

„Obrona Częstochowy“ była punktem wrzenia na termometrze uczuciowym publiczności warszawskiej; późniejsze próby repertuarowe w tym kierunku zaznaczyły się już widocznem obniżaniem tej temperatury. Dziwić się temu trudno. Najprzód taki nastrój w masach nie może zatrzymać się stale w punkcie wrzenia, i gdyby to nawet było możliwem, literatura i sztuka prędzej czy później odwetu szukaćby sobie musiały; a potem, utwory prze-

znaczone do podtrzymania maksymalnej temperatury nie miały w sobie odpowiednich warunków. Chłodnymi zatem zostali widzowie wobec „Braci Lerche“ Asnyka; nie rozgrzała ich też, mimo swe cenzuralne anteryora, komedya Kazimierza Zalewskiego „Górą nasi!“ Wogóle te anteryora cenzuralne nieszczególnie przysłużyły się i utworom niegdyś inkryminowanym, zaostrzając apetyty publiczności na „zakazane owoce,“ w smaku dziś prawie obojętne, i samej cenzurze, oświetlając zabawnie psychologię jej strachu przed „polskiem niebezpieczeństwem.“ O tę psychologię na teraz mniejsza — kiedyś zająć się nią powinien poważnie i gruntownie historyk myśli polskiej — ale charakteryzując utwory zaznaczyć wypadnie, że oddaliła je od nas do pewnego stopnia nie tyle przestrzeń między intencyą autora a poglądem na nią cenzury, ile przedział, jaki wytworzyło życie samo w ideowej treści utworu między dobą dzisiejszą a chwilą narodzin dzieła.

Patrząc naprzykład na „Braci Lerche“ nietylko trzeba postawić sobie pytanie „na czem tu oparto zakaz przedstawienia,“—co zresztą rozwiązuje dostatecznie proste wzruszenie ramionami—ale niepodobna opędzić się myśli, że „dziś trzebaby to samo zupełnie już inaczej napisać.“ Prawda, że autor nie może odpowiadać za taką lub inną ewolucyę swego tematu w przyszłości; prawda, że kształtując życie współczesne, dramatopisarz silną stopą oprzeć się musi na gruncie teraźniejszości. Ale nie zapominajmy, że mamy do czynienia z poetą, który niegdyś wołał: „trzeba z żywymi naprzód iść,“ a ten poeta nadchodzących czasów, obciążywszy swą ideą martwe figury, osadziwszy wszystkich i wszystko na mieliźnie w konwencyonalnej sytuacyi, nie tylko nic nie posunął naprzód ku jakimś życiowym wylotom, ale ideę samą odgrodził zamkniętą „chwilą“ od dalszych widnokręgów. W walce o ziemię w W. Księstwie Poznańskiem kręży sztuczne życie bieżącej publicystyki. Ścierają się tam inscenizowane artykuły wstępne bezsilnemi frazesami polskiego patryotyzmu, wcielonego w kapitanie Radwanie i w jego córce, z brutalstwem niemieckiej bezwzględności, którem popisuje się hakatyzm *avant la lettre* w osobie Ottona Lerche. Gdyby w komedyi Asnyka chodziło tylko o ułatwienie wnuczce kapitana dostępu do ołtarza z drugim Niemcem przy pomocy okoliczności łagodzącej, że Stefan Lerche, przyrodni brat Ottona, urodzony jest z Polki, że zatem odtrącony najprzód przez patryotyzm może zdobyć potem polską pannę, sprzyjającą mu w skrytości serca — „Bracia Lerche“ byliby jedną ze sztuk jakich wiele, ach! jakich zawiele. Co innego jednak w niej zamierzono. Komedya odegrać się miała na podłożu dramatycznem ger-

manizacyi Poznańskiego przez wywłaszczanie Polaków. Jeżeli tak, to zapytać trzeba: czy piękne tyrady, wygłaszane przez podagrycznego staruszka, pozostać miały całym arsenałem, jakim w obronie swojej rozporządzać będą wywłaszczani? Czy po drugiej stronie ciosy padać miały zawsze tylko z rąk cynicznych parobków Bismarcka? Czy cały ratunek zagrożonych spocznie stale w rękach bohaterów półkrwi, którzy zamiast nabywać majątki pieniędzmi, kupować będą żony sentymentem i rozwiązywać szczęśliwym kompromisem narodowe węzły gordyjskie? Jak przy takiej sceneryi wyglądać może ów dramat, gdzie w charakterach niema materyału ani na Komisyę Kolonizacyjną, ani na bank Poznański, ani na odporność rodzin polskich, okładających klątwą najbliższych sobie „sprzedawczyków," ani na fanatyzm germanizatorów, ogłaszających za zdradę „ojczyzny niemieckiej" kupczenie „ziemią niemiecką;" gdzie wśrod połowicznych ludzi, uczuć, sytuacyj, idea choruje na nieuleczalną anemię, jeszcze widoczniejszą dziś, gdy jej się przygląda obecna doba, ożywiona rumieńcem innej trochę niż w „Braciach Lerche" walki! Asnyk nie miał temperamentu dramatycznego. To prawda; ale w takim razie czyż rachuba na sensacyjność tematu powinna była wyłącznie rozstrzygać o wprowadzeniu do repertuaru słabej próby scenicznej znakomitego liryka? Rachuba zawiodła; pozostały tylko wrażenia bardzo dobrej gry panów: Frenkla, Nowickiego i Bednarczyka, pań: Barszczewskiej i Trapszo-Chodowieckiej. To zapewne coś — ale to chyba nie dosyć.

O panu Kazimierzu Zalewskim mówią, że zawcześnie napisał swoją komedyę „Górą nasi!", a zapóźno ją wystawił. Co do daty wystawienia trzeba go rozgrzeszyć — nie zależała od autora; rozstrzygały o niej te same potencye, którym „Bracia Lerche" zawdzięczali niedawno krótkotrwały żywot, i które w podobny sposób zaciekawiły dzisiejszą publiczność. Co do chwili narodzin, nie sądzę żeby ją ściśle, jako przedwczesną, określić było można. Pan Kazimierz Zalewski lubił zawsze teraźniejszość, nawet bardzo aktualną, lubił tak dalece, że nie było prawie takiej jego sztuki, z powodu której nie szeptanoby sobie do ucha jakichś znanych w Warszawie nazwisk. Ta Arystofanesowska żyłka drgała i w „Górą nasi;" że zaś nie zadrgała przed publicznością w danej chwili, temu znów nie winien Arystofanes tylko... Archontowie. Oni to sprawili, że ponęta prywatnej aktualności, straciła zupełnie swój urok z biegiem czasu, który tak się rozpędził, że wyprzedził p. Zalewskiego i w jego wycieczce w przyszłość.

Bo oprócz teraźniejszości p. Zalewski lubi także przyszłość, a raczej, żeby dokładniej się wyrazić, chętnie kombinuje takie nieokreślone warunki czasu, któreby mogły dać pewien upust jego fantazyi. Rozmaite ku temu służą mu sposoby literackie. W dramacie, naprzykład, p. t. „Sen“ postawił był autor etyczną tezę w dwojakiem oświetleniu: rzeczywistości i marzenia sennego; w komedyi „Górą nasi!“ na podkładzie aktualnym, buduje p. Zalewski akcyę, która się kiedyś dziać będzie. Jestto wogóle poetyka posługująca się zagadką: „coby to było, gdyby...“ Otóż życie inaczej tę zagadkę niż w sztuce p. Zalewskiego, nie powiem rozwiązało, lecz dotąd rozwiązuje. Przyszłość, wciągnięta do działania przez autora „Górą nasi!“ stała się poniekąd aktualnością, nie przestawszy jednak być do pewnego stopnia przyszłością — co powinnoby zagładzić w sztuce zmarszczki przeżycia — ale zmienił się układ stosunków społecznych, z których p. Zalewski snuł w wyobraźni przędzę domniemanych rozwiązań. Stąd najniekorzystniejszy dla autora rodzaj wrażenia w widowni: niezdecydowanie, niepewność wobec zawieszonego w powietrzu splotu z czasu przeszłego dokonanego z czasem przyszłym niedokonanym.

Idzie o wybory na prezydenta miata Warszawy; to czas przyszły, który, podobnie jak w sztuce, w życiu teraz się ma dokonywać — i to jest *plus* komedyi p. Zalewskiego; ale chodzi także o to, jak się te wybory odbywają — i tu czas postawił autorowi kategoryczne *minus*; takie bowiem wybory odbyć się już w ten sposób nie mogą. Wizya prorocza spóźniła się o całą ewolucyjną dobę, a spóźnienie dotyka przedewszystkiem kapitalnego motywu społecznego: kwestyi żydowskiej. Jestto trzecia rzecz, którą lubi p. Zalewski; zajmował się nią gorliwie w „Małżeństwie Apfel“ traktuje ją też z niemniejszą werwą w „Górą nasi!“ Czemże się to dzieje, że ta werwa nie oddziaływa tak silnie na publiczność, jak się tego zapewne autor spodziewał i jakby się to zapewne stało w momencie życiowym, z którego czerpała swoją energię? Jest tam scena, właściwiej mówiąc rozprawa, między wszechwładnym pieniężnie finansistą, a wszechmocnym ideowo dziennikarzem, gdzie padają z obu stron ważkie i zdawałoby się decydujące słowa; autor usiłował widocznie i w dużej mierze potrafił „wejść w skórę“ dysputujących i wypowiedzieć za każdego argumenty *pro* i *contra*, jakie niewątpliwie starłyby się z sobą, gdyby podobna dysputa mogła być w życiu w podobnych warunkach prowadzoną. Ale to wszystko nie sięga poza scenę, przemija prawie bez wrażenia. Może przed dwudziestu laty zerwałaby się wobec tej szermierki haseł społecznych burza oklasków z piorunami go-

dzącemi w obu przeciwników. Ale życie przytępiło naszą wrażliwość na te zapasy; nie podniecają jej obecnie nawet grube cięcia antysemickie lub syonistyczne. Dziś fakty przemawiają do nas nierównie wymowniej niż wywody najnamiętniejszej elokwencyi; i fakty sprawiają, że dziennikarz Dolski nie potrzebowałby uciekać się aż do przymierza z piękną kobietą dla obalenia nieprawdopodobnej kandydatury Pompera. Czy przeprowadziłby natomiast kandydaturę szlachetnego Bolesława Kuryatowicza? Przez wzgląd na dobro miasta, zdaje mi się, że nie. Niedość powrócić z Syberyi rozbitkiem 1863 roku, nawet z niezachwianemi w mękach wygnania ideałami, żeby zająć odpowiedzialne w swej ojczyźnie stanowisko. Trzeba dać krajowi coś więcej prócz jęczącej melancholii; trzeba mu służyć energią, zahartowaną w ciężkich próbach i rozumem zdobytym w twardem doświadczeniu, a Bolesław Kuryatowicz umie tylko narzekać na swoją „obcość“ w społeczeństwie, któremu się nawet dobrze nie przypatrzył i kochać się w młodziutkiej dziewczynie, której mógłby być ojcem. To może wystarczało w 1881 — to nie wystarcza w 1906 roku.

Gdy zaś to i różne inne rzeczy nie wystarczają — za co, jak już zauważyłem, nie można mieć pretensyi do p. Zalewskiego, zdystansowanego w wyścigach z życiem — gdy nadto chwilowa aktualność takich figur, jak hrabina Zamińska jednocześnie wdająca się w spekulacye giełdowe z Pomperem i zwalczająca jego kandydaturę na korzyść swego dawnego „ideału“ Kuryatowicza, staje się obecnie wprost niezrozumiałą bez komentarza ówczesnych plotek miejskich;—gdy wreszcie szlachcic w rodzaju Koziatyńskiego (widocznie blizko spokrewniony z Klapkiewiczem, grasującym w „Przed ślubem“) spóźnił się tak dalece, że zaczyna budzić poważne wątpliwości czy wogóle istniał kiedykolwiek — cóż tedy właściwie pozostało na dziś z komedyi „Górą nasi!“?

Pozostała „sztuka“ teatralna, dobrze zrobiona w nauce u dobrych majstrów francuskich, którzy wprawdzie przeżyli się już sami, ale wykwalifikowali niewątpliwie bardzo zręcznego w panu Kazimierzu Zalewskim ucznia. Pozostało coś więcej: urywek rozmowy, kończący sztukę, dla którego warto wysłuchać cierpliwie całego utworu. Kiedy zwycięstwo Kuryatowicza stało się już jawnem, przychodzą winszować mu tryumfu ci, co przeciw niemu najzajadlej występowali, a wśród nich Schwindelman najgłośniej krzyczy „górą nasi!“

— Dla czego to pan wołasz „górą nasi!“ pyta naiwnie zdumiony szlachcic.

— Bo, proszę pana, odpowiada Szwindelman, kto jest górą, ten jest nasz!

Głęboki sens moralny, jedyny, który jest po wszystkie czasy hasłem życia i zawsze wydobędzie się z piersi Szwindelmana.

Świetna gra artystów w sztukach p. Kazimierza Zalewskiego należy do tradycyi teatru Rozmaitości. W tym repertuarze wszyscy zawsze mają role, najczęściej role obmyślane wśród tworzenia dla danego aktora lub upatrzonej aktorki—a w takich warunkach, choć niekiedy życie wyprzedzi sztukę, role pozostają rolami, szczególniej w teatrze warszawskim, gdzie tak niewielu artystów odczuwa ewolucyę w życiu i stara się za nią podążać w sztuce. Do tej wydatnej garstki należą zawsze pani Ludowa, p. Frenkiel, do pewnego też stopnia pani Irena Trapszo. Zawdzięcza im wiele p. Zalewski, zwłaszcza, gdy znajdują dzielną pomoc w panach Ładnowskim, Wolskim, Nowickim i Siemaszce.

Przypadkiem czy też rozmyślnie — mniejsza o to — w repertuarze z minionych trzech miesięcy, potrącono obok narodowych strunę społeczną. Jeżeli rozmyślnie, może w tem była intencya wywołania pełnego akordu oddźwiękami sytuacyi życiowej. Nie wiem; ale to tylko pewna, że się ta nuta silniej odezwała na scenie niż wśród publiczności. W „Gorączce złota“ Emila Fabre'a tętni niezaprzeczenie talent o wiele głębszy aniżeli w „Górą nasi!“ lub w „Braciach Lerche,“ a jednak widzowie słabo reagowali na ten utwór namiętnego temperamentu dramatycznego. Jest w tem jednocześnie charakterystyka i objaw. Pierwsza stwierdza jeszcze raz ustalony już pewnik ogólnej natury, że twórcom, którym brak prawdziwego geniuszu, daleko łatwiej przychodzi operować motywami ujemnemi niż dodatniemi, wojować negacyą aniżeli zdobywać się na afirmacyę; drugi wskazuje, jak publiczność teatralna, popchnięta raz jakiemś potrąceniem kierowniczem po danej drodze, szuka dziś wszędzie chwilowych zestawień, przystosowań, alluzyj i z tego poszukiwania pomyślnego czy też chybionego, wytwarza sobie kryteryum literacko-artystyczne. Ten prowincyonalny sprawdzian, posługujący się gotową, *ad hoc* przez tuzinkowy optymizm ukutą formułą „u nas tego niema,“ grasował już przedtem nietylko między publicznością ale do pewnego stopnia i w krytyce. Spoważnieliśmy i pogłębiliśmy nasz sąd o sobie samych dopiero od niedawna; ale zaostrzony samokrytycyzm, powściągnąwszy z jednej strony naszą manię ustawicznego wołania „tego u nas niema!“, z drugiej, pod działaniem wyjątkowych okoliczności, przykuł wyłącznie naszą uwagę do tego, co u nas specyalnie jest i zobojętnił na wszystko inne, co się nie da na-

giąć do przeżywanej obecnie chwili, w czem nie tkwi materyał do jakichkolwiek z nią analogij.

Zapewne, że nie sroży się jak we Francyi i srożyć się nie może „gorączka złota“ w społeczeństwie, które przez tak długi czas i w takich cierpieniach o co innego dobijało się w życiu; zapewne, że śmiesznem byłoby szukać owych *ventres dorés* „pozłacanych brzuchów,“ (jak autor w tytule swoich „sytych burżujów“ nazywa), tam gdzie przemysł zachwiał się a może runąć doszczętnie w przepaść, wykopaną kapitałom słynnem „przewartościowaniem pracy.“ Nie idzie jednak za tem, żeby w chorobie, której ostry paroksyzm przedstawił Fabre na scenie, nie miały zaciekawić publiczności mikroby, właściwe całej materyalnej na Zachodzie cywilizacyi, choćby na zasadzie przysłowia *hodie mihi cras tibi*, zwłaszcza, że to jutro, przy zmieniających się warunkach naszej egzystencyi, przy koniecznym w tych warunkach rozwoju dobrobytu, może być bliższem aniżeli się wydaje.

Mimo jednak, że znaleźli się oczywiście tacy, którzy usiłowali temat sztuki w celach agitacyjnych wyzyskać; mimo, że z tej strony palcem wskazywano przedewszystkiem na kapitalną scenę „Gorączki złotej,“ kiedy do biur bankrutującego oszukańczo towarzystwa akcyjnego wdziera się z rozpaczą i wściekłością tłum pokrzywdzonych akcyonaryuszów, którzy drobne, ubożuchne swoje oszczędności rzucili w paszczę molochowi spekulacyi giełdowej — publiczność tak dobrze widocznie zapamiętała ów milion, rzucony u nas bez namysłu, w chwili najkrytyczniejszej, przez jedno z najpotężniejszych towarzystw akcyjnych na polepszenie bytu pracowników, że wobec francuskich „pozłacanych brzuchów“ zachowała się spokojnie, jeżeli nie obojętnie.

Społecznie może miała racyę; literacko i artystycznie była niesprawiedliwą, bo oprócz owej zbiorowej sceny, traktowanej z doskonałą znajomością duszy tłumów i z niezwykłem odczuciem rytmów scenicznych, są tam takie figury, jak baron de Thau, pozbawiony wszelkich „przesądów,“ aferzysta w wielkim stylu, grany świetnie przez p. Frenkla; jak baron d'Urth, sylwetka awanturnika spekulacyi, naszkicowana przez wychowańca „wolnej sceny“ paryskiej, którą wyśmienicie reprodukował p. Siemaszko; jest na usługach bandy nieoceniony dziennikarz Carrières, kondotier ze zbrodniczemi instynktami, uplastyczniony z temperamentem przez p. Wolskiego; jest wreszcie arcydzieło charakterystyki, pamiętającej świetne czasy *comédie rosse*, patryarcha podstępnych bankrutów, rodzaj giełdowego Ben Akiby, dla którego w historyi kolosalnych oszustw „wszystko to już było“ i który znalazł w p.

Rapackim nieporównanego przedstawiciela. W najbledszych barwach przedstawiają się uczciwi ludzie: członek rady nadzorczej Vernières, przypłacający śmiercią obronę mienia biedaków (p. Ładnowski) i margrabia d'Angerville, nieunikniony, arystokratyczny „słomiany człowiek," którego wielkopańska naiwność, nieświadoma odgrywanej roli, zatarła się w bezbarwnej grze p. Leszczyńskiego. Ale takie ustosunkowanie rysunku i kolorytu między dwiema grupami postaci było odrazu do przewidzenia pod ręką malarza, zbyt niegdyś nasiąkniętego doktryną *de l'observation cruelle*, żeby się z niej całkowicie mógł wyzbyć. Obraz mimo to drga życiem, które zasługiwało aby mu się dłużej i uważniej przypatrzyć, zwłaszcza, że jasne w nim barwy kładły takie artystki jak panie Marcello i Ludowa.

*

* *

Gdy teraz sprobujemy podkreślić bilans wrażeń, jakich doznała publiczność w rozpatrywanym okresie, okaże się, że te wrażenia skupiły się prawie wyłącznie około dwóch, krańcowo przeciwległych biegunów: około „Obrony Częstochowy" i „Candidy," utworów, rozdzielonych co do wartości całą przepaścią, którą pod względem artystycznym wyrównywać mogła do pewnego stopnia tylko gra artystów, odpowiednio dekoracyjna w „Obronie" (pp. Ładnowski, Żelazowski, Rapacki, Frenkiel, Wostrowski, Roland), a subtelna i wykończona w „Candidzie" (pani Przybyłko-Potocka, pp. Nowicki i Wostrowski). Tu oczywiście nastręcza się sangwinicznym wróżbitom najrozleglejsze pole do wniosków: kto na przyszłość rozstrzygać będzie o kierunku repertuaru w naszych teatrach, wielbiciele Juliana z Poradowa czy też stronnicy Bernarda Shawa, albo, jak się tu i owdzie pogardliwie na obie strony wyrażano, Mob czy Snob?

Jest, jak widzimy, jaskrawa przesada w takiem krzyczącem przeciwstawieniu ostateczności; ale kiedy probuje się zwracać uwagę antagonistów na całą między temi dwoma biegunami skalę repertuarową, występuje kwestya „teatru dla wszystkich" i niepodobieństwo w dzisiejszych warunkach pogodzenia w nim aspiracyj, zrodzonych na różnych stopniach wykształcenia umysłowego i kultury artystycznej. Niedość bowiem powiedzieć, że publi-

czność, oklaskująca „Candidę,“ może doznawać wzruszeń na „Obronie Częstochowy,“ kiedy tymczasem większość widzów z „Obrony Częstochowy“ nie pójdzie oklaskiwać „Candidy; trzeba jeszcze dodać, że niewiadomo czy owa większość entuzyazmująca się „Obroną Częstochowy“ z równym zapałem tłoczyć się będzie naprzykład na „Mazepę“ Słowackiego, że nie wspomnę już o projektowanej „Nowej Dejanirze“ lub „Lilii Wenedzie.“ Stopnie więc uwydatnić się muszą nietylko między utworem „patryotycznym“ a cudzoziemskim, ale między „patryotycznym“ a bezetendencyjnie historycznym, między historycznym i społecznym, między społecznym a artystycznym; słowem w ostatniej instancyi zawsze rozstrzygać musi, w górze czy na dole, — literatura: na dole hamująca, w górze podniecająca zapały.

Czy i jak prędko te stopnie wyrównywać się będą; w jakim kierunku szczyty z nizinami zbliżać się mają: z dołu ku górze, czy też z góry ku dołowi — w tem właściwie tkwi rdzeń całej kwestyi i tu szukać wypadnie rozwiązania trudnego zadania „teatru dla wszystkich.“ Bałamutny frazes o „demokratyzacyi sztuki,“ która jest najstarszą z arystokracyj i z natury rzeczy musi nią zostać nazawsze, dorzucił jeszcze do tej kwestyi czynnik zupełnego zamętu, mięszając pojęcia materyalnej dostępności sztuki dla tłumów z jej dostępnością duchową. Obniżone dla „najszerszej publiczności“ ceny na przedstawienia Szekspira, nie wyjaśnią jej jeszcze piękności „Hamleta,“ a powoływanie się na starożytność, kiedy Eschylos, Sofokles, Eurypides przed oczami zachwyconego ludu rozwijali na teatrze Dyonizosa wielkie akcye bohaterskie, czy też legendowe dziejów narodowych, nie jest argumentem, bo najprzód Grecya miała Eschylosa, Sofoklesa, Eurypidesa, potem lud grecki wyrósł w atmosferze Piękna.

Kultura zatem stanowi tu wszystko, że zaś w stosunku do mas nie łatwo ją osiągnąć, na to zgadzają się najzagorzalsi nawet propagatorowie „uludowienia“ teatru. U nas trudniej niż gdziekolwiekindziej. Na Zachodzie kultura tak już zdołała zwęzić przedziały umysłowe między warstwami społecznemi, że w Wiedniu naprzykład czy w Berlinie, nazwa *Volkstheater*, stała się bardzo rozciągliwą i zatacza coraz szersze kręgi wśród publiczności, zdolnej obcować z największymi potentatami literatury. Nam straszne warunki bytu nie pozwoliły wyrównać tych odległości społecznych, teatr zatem „ludowy“ inne u nas musi mieć znaczenie i mógłby się urzeczywistnić jedynie w charakterze szkoły przygotowawczej, poprzedzającej wyższą kulturę artystyczną. Takie wychowanie odbywałoby się naturalnie nie pod patronatem

policyi, jak się to dotychczas działo, lecz pod rozumnem, obywatelskiem, artystycznie uzdolnionem kierownictwem, któreby stosownemi obok przedstawień odczytami, konferencyami, komentarzami, illustracyami, rzucało światło w umysły, ciepło w serca.

Wobec tak wychowanych mas, teatr dzisiejszy musiałby zmienić dotychczasową postawę. Bo i Sztuka, świadoma swego pochodzenia, pamiętałaby, że mając pierwsze źródło we wzruszeniu wobec życia, winna to wzruszenie wydać z siebie w falach tak żywo drgających i tak rozlewnych, ażby dosięgły i pociągnęły za sobą wszystkie serca; że musi być dość bogatą, ażeby potrafiła zdobyć każdego, do kogo się zwraca, dając mu to właśnie, co ujarzmiony chciałby w niej spotkać; że teatr jest polem ludzkości, gdzie też cała ludzkość znaleźć winna wszelkie swoje duchowe dobro; że wreszcie sztuka dla „wybranych“ lub dla kasty, jest sztuką znikomą, bo kasty giną, warstwy „najprzedniejszych“ zmieniają się, pozostaje jedynie — życie.

Taki ideał „teatru dla wszystkich“ urzeczywistni się może kiedyś i w naszym kraju; ale ta przyszłość nie zależy bynajmniej od ziszczenia mrzonki: żeby naród stał się ludem, tylko od zwycięstwa kultury, która lud przekształci na naród. Wtedy też ów „teatr dla wszystkich“ zwać się będzie „teatrem narodowym.“

V.

Bankructwo finansowe naszych teatrów powstrzymane dzięki dotychczasowemu Kopciuszkowi Dyrekcyi, dramatowi polskiemu, wysunęło też na pierwszy plan i operę polską. Przymusowa nieobecność Włochów nie daje się jakoś uczuwać kasie, a słuchacze, nawet z pośród owych „tysiąca wybranych,“ przekonali się, że można zainteresować się polskim kompozytorem i polskimi śpiewakami, jeżeli twórcą jest naprzykład p. Roman Statkowski, a wykonania jego dzieła podjęli się pani Zboińska, pp. Dygas, Chodakowski i Tarnawski.

Dzieło rozsnuwające w muzyce poemat Malczewskiego „Maryę“ — wyszło z konkursu i mimo takie zdyskredytowane pochodzenie podobało się, a co najważniejsza podobało się słusznie. Gdy dodamy do tego, że autor „Maryi“ jest dawniejszym jeszcze laureatem zagranicznym, jako symfonista, co u nas bywa decydującem (nie ze względu na symfonię tylko z uwagi na obcą markę); gdy wreszcie nadmienimy, że ma za sobą niepowodzenie

pierwszej bardzo pięknej opery „Filenis,“ które było przedewszystkiem niepowodzeniem naszego krytycyzmu, więc kompozytorowi zaszczyt przynosi, wypadnie przyznać, że p. Statkowski ma, jak się zwykle mówi... szczęście.

To szczęście nazywa się talentem, a talent p. Statkowskiego był już na tem miejscu przedmiotem obszernej charakterystyki. Poznaliśmy w nim wtedy samorzutną, świeżą siłę twórczą, która, pozostawiwszy poza sobą szablony, nie wysila się jednak na wynaturzanie muzyki w gonitwie za Niewyrażalnem i szuka w wymowie dźwięku tego tylko, co dźwięk wypowiedzieć potrafi. Poznaliśmy prawdziwego artystę, broniącego od upośledzenia, ze szlachetną odwagą, duszy muzyki — melodyi. Poznaliśmy poważnego muzyka, który, postawiwszy na naturalnym gruncie stosunek symfonisty do liryka, przywrócił głosowi ludzkiemu nieprzedawnione prawo ujawniania duszy człowieka, orkiestrę zaś uczynił jakby temperamentowem podłożem, z którego czerpią utajoną energię wydobywające się na zewnątrz uczucia i namiętności. Z tym szczerym talentem zaznajomił nas wtedy dramat, odgrywający się w świecie klasycznym, gdzie kompozytor, mając do czynienia z bohaterami o posągowych kształtach, o typowo uogólnionej fizyognomii, bez indywidualnego wyrazu, skorzystał z przyrodzonego charakteru muzyki, która najswobodniej właśnie faluje w przestworzach nieokreślonych, nieujętych w ściśle zarysowane kontury i taką elementarną ekspresyą nacechował zarówno akcyę samą, jak i działaczów dramatu.

Inaczej trzeba było poczynać sobie z romantycznymi bohaterami, w których najsilniej zwykł występować indywidualizm; wypadło pokusić się o charakterystykę psychologiczną ze wszystkiemi jej zawikłaniami, rzeźbiąc ją w materyale tak niepochwytnym, jak muzyka, zdolna charakteryzować raczej uczucia ludzkie, aniżeli fizyognomie ludzi. Na szczęście, uratował wszystko jeden rys psychologii romantycznej, zbliżający ją do klasycznej — fatalność. Unosi się ona nad poematem Malczewskiego, przenika go, jako dusza tajemniczego pachołęcia i piętnem swojem znaczy uczucia i namiętności, popychające bohaterów ku tragicznej katastrofie. Marya i Wacław — to para kochanków przeznaczonych na zagładę, co im z konieczności daje podobieństwo oblicza; muzyczne kontury tych postaci rozpływają się w żywiołowej ekspresyi miłości nieosobistej, miłości fatalnej i to wystarcza — bo to płynie wprost z poezyi Malczewskiego. Że zaś fatalność symbolicznie wcielona w postać ukraińskiego chłopięcia wyrosła na gruncie bezbrzeżnej melancholii stepowej, więc piosen-

ka jego błąka się po orkiestrze i po scenie niby dusza pokutująca Ukrainy. I to jest, że się tak wyrażę, etnografia muzyczna dramatu a zarazem i jego więź psychologiczna.

Złożywszy tę konieczną daninę poezyi polskiej, p. Statkowski puścił tem swobodniej wodze owemu bezimiennemu tragizmowi, który, istny „Weltschmerz“ w muzyce owładnął u nas wszystkimi młodymi kompozytorami. Panuje despotycznie w świetnej fantazyi L. Różyckiego, mimo tytuł „Bolesław Śmiały“ i zaakcentowaną pod nim suggestyę Wyspiańskiego; słychać go w uwerturze K. Szymanowskiego, pełnej patetycznych uniesień; odzywa się superlatywnie w „Pieśni o sokole“ G. Fitelberga, wyśpiewanej w orkiestrze pod natchnieniem Gorkiego; syntetyzuje też wszystko — ludzi, rzeczy i wypadki w operze p. Statkowskiego. Źródła tego „wszechbólu“ nie dochodźmy; mniejsza o to, czy szukaćby go wypadło we wpływach tragicznego patosu Czajkowskiego, czy też w namiętnych suggestyach Ryszarda Strausa, który nawet erotyzm swego „Don Juana“ tragicznie nastroił; dość, że w „Maryi“ tętni on w orkiestrze, pulsuje nawet w rozlewnej melodyi dwuśpiewu kochanków i wstrząsa całe dzieło, jednym wielkim dreszczem, udzielającym się słuchaczom w szeregu silnych, artystycznych wrażeń.

Wspomniałem o wykonawcach; czas dodać, że zarówno pani Zboińska, Marya, pełna słodkiego liryzmu, jak p. Dygas, sympatyczny Wacław, jak p. Chodakowski, wybornie w śpiewie i w grze charakteryzujący Miecznika, jak wreszcie p. Tarnawski, demoniczny Wojewoda — stoją na wysokości niełatwego zadania. Nie zapominajmy też o chórach, zwłaszcza męzkich, które dzielnie intonują w akcie drugim autentyczny hymn Bogarodzicy.

Powodzenie opery nie ulega wątpliwości—i tę właśnie chwilę, podobnie jak dla dramatu dobę sukcesów „Obrony,“ administracya wybrała do zapowiadania ryczałtowych dymisyj śpiewakom, chórom i orkiestrze. Co jej bynajmniej nie przeszkadza jednocześnie ogłaszać plany repertuarowe na dalszą metę i od czasu do czasu przebąkiwać o umiastowieniu teatrów, jak gdyby dla tego, żebyśmy ani na chwilę nie zapomnieli, że opera podobnie jak dramat, jak teatr, jak cały kraj, jak całe państwo słania się zawrotnie między starym a nowym kursem.

W. Bogusławski.

TRAGEDYA MYŚLICIELA

(Fryderyk Nietzsche i jego ideał humanitarny).

VI.

„To ukryte, władcze *Coś*, czego przez czas długi nazwać nie umiemy, zanim nie objawi się nam jako nasze *zadanie* życiowe — ten tyran, w nas samych przemieszkujący, straszliwie mści się nad nami za wszelką próbę ujścia przed nim, wyzwolenia się z pod jego przemocy, za wszelką działalność, zbaczającą z istotnej naszej drogi, za wszelką nawet cnotę, mogącą nas ochronić od jak najsurowszej, jak najosobistszej za czyny nasze odpowiedzialności.“

Tak się wyraża Nietzsche w późniejszej (z 1886 r.) przedmowie do jednego z najpierwszych swych dzieł, jakie napisał bezpośrednio po zerwaniu z Wagnerem, ze sztuką wagnerowską i z filozofią Schopenhauera. I w innych miejscach nieraz mówi z żalem i goryczą o epoce, w której ulegał ich wpływom, poczytuje ją za czas choroby swego ducha, zboczenia z drogi swych przeznaczeń.

Jakież były te przeznaczenia, te tkwiące w wewnętrznej jego istocie władcze zadania, którym czasowo bezwiednie się przeniewierzył?

Wynikały one z odrębnej organizacyi psychicznej tego poety-myśliciela, w którego umyśle idee najbardziej oderwane stawały się żywymi tworami wyobraźni i z nieprzepartą siłą dążyły do wcielenia się w kształty rzeczywistości życiowej.

Widzieliśmy, jak poprzednio, unoszony porywami bezwiednej twórczości, stawał on w podziwie i zachwycie przed postaciami Wagnera i Schopenhauera, uznając w nich najzupełniejsze wcielenie nowoczesnych ideałów artysty — mędrca. Skoro następnie

przekonał się, że obaj mistrze nie są wcale takimi, jakimi ich sobie wymarzył, wpadł we wprost przeciwną ostateczność i wytworzył sobie z nich jakieś ucieleśnienia ideałów ujemnych, typów zwyrodniałej kultury współczesnej, której najbardziej krańcowe objawy widział w sztuce romantycznej i w spowinowaconej z nią filozofii pesymistycznej. Wagner ze swą wybujałą uczuciowością, ze swym nastrojem mistycznym i mglisto-germańskim symbolizmem, Wagner, przypadający do stóp krzyża w ostatniem swem dziele, Parsifalu—wydał mu się teraz najromantyczniejszym z romantyków, a Schopenhauer ze swą ideą litości, jako najwyższej cnoty wszechludzkiej — najbardziej zwyrodniałym i chorobliwym myślicielem-pesymistą. Czyż obaj nie byli istnem przeciwieństwem tej potęgi żywiołowego człowieczeństwa, której dopatrywał się ongi w bohaterze-artyście Wagnerze i w mędrcu-wychowawcy Schopenhauerze? A jeśli nie ma jej w tych mocarzach ducha współczesnego, to gdzież jej szukać? Jeśli oni ulegli chorobie zwyrodniałej kultury, to gdzież zdrowie prawdziwe?...

Oczywiście, nie chodzi tu o zdrowie nasyconych filistrów kulturalnych, ani funkcyonujących z mechaniczną prawidłowością pracowników zawodowych i uczonych szperaczów. Chodzi o zdrowy rozwój jestestwa ludzkiego w całej pełni i w najwyższem natężeniu sił jego żywotnych, jak ono się ujawniło niegdyś, przed wiekami, w „tragicznej“ kulturze greckiej. Odkrywca i wielbiciel tej kultury daremnie poszukiwał jej pierwiastków w otaczającym świecie społecznym. Nie znalazł ich w duszach ogółu, nie znalazł w duszach wybranych, najwyżej nawet wzniesionych ponad zwykłe poziomy życiowe. A jednak wierzył w ich istnienie, wierzył, że one tylko mogą się stać czynnikami zdrowego, ku szczytom swym dążącego rozwoju ludzkości; przekonany był, że pozbawiona ich natura ludzka nieuchronnie wpaść musi w zwyrodnienie i znikczemnienie zupełne. Nie należał zaś do owych, tak licznych za dni naszych sceptyków, którzy żyją sobie spokojni i zadowoleni, choć utracili wszelką wiarę w ludzkość i w jej przyszłość. Duch jego bez tej wiary nie mógł zgoła istnieć: utraciwszy ją w sferze religijno-moralnej, musiał dążyć do odzyskania jej w bezreligijnej sferze humanitarnej, którą wytworzył sobie w kulcie owego dyonizejskiego żywiołowego człowieczeństwa, wysławianego już przedtem w rozprawie o narodzinach tragedyi greckiej. Teraz, zamiast zwracać się w odległą przeszłość ku narodzinom artystycznego ideału sztuki staroheleńskiej, całą mocą swych myśli i pragnień zwrócił się ku przyszłym narodzinom ideału humanitarnego, t. j. doskonałego typu natury ludzkiej w pełnym rozwoju przyrodzo-

nych, żywiołowych jej sił. Typ ten, w miarę jak się zarysowywał coraz wyraźniej w jego wyobraźni, stawał się coraz bardziej obcym współczesnej rzeczywistości życiowej. Wszelkie pozorne zbliżenia do realizacyi upragnionego ideału okazały się podmiotowemi złudzeniami wyobraźni twórczej, które jedne po drugich padały pod ciosami bezwzględnej, nielitościwej myśli krytycznej.

Takim sposobem runęły i dwa ostatnie bożyszcza, którym Nietzsche wznosił w swej duszy ołtarze czci. Schopenhauer i Wagner wydali mu się teraz ideałami nie rozwoju, lecz zwyrodnienia ducha ludzkiego, wybujałościami nie zdrowia jego, lecz choroby. Ale wiary w zdrowe, żywotne pierwiastki człowieczeństwa nie utracił i teraz, tylko postanowił szukać ich nadal nie po za sobą, lecz w sobie samym. Jeśli ulegał dawniej złudzeniom, jeśli postacie wielbionych mistrzów (jedyne postacie, jakie w świecie współczesnym wydały mu się godnemi uwielbienia) przekształcił w swej wyobraźni na ideały człowieczeństwa przyszłości — to jedynie dlatego, że wlał w nie treść własnej swej duszy, że je napełnił i ożywił pierwiastkami własnego swego życia wewnętrznego. A zatem on sam nosił w sobie ten ideał przyszłości, sam sobie mistrzem stać się powinien, z siebie samego wyśnuć siłę dalszego rozwoju.

Oto w jaki sposób przemówiło w duszy Nietzschego „to ukryte, władcze *coś*," czego przedtem nazwać nie umiał, a co uświadomił sobie teraz, jako swe istotne zadanie życiowe. Przeniewierzał mu się, skoro cudze idee i doktryny sobie przyswajał, na swój sposób je tylko przetwarzając, pozostanie mu wierny, gdy z własnego ducha wyłącznie snuć będzie wątek ideowy, choćby ten miał się rozwijać w jaknajzupełniejszem przeciwieństwie z całem życiem duchowem epoki współczesnej, choćby pociągał za sobą konieczność burzenia wszystkich uświęconych w niej tradycyj, zasad i powag.

Mamy tedy zawsze do czynienia z myślicielem „nie na czasie." Ale teraz nierównie śmielej i stanowczej idzie on własną swą drogą, po za obrębem współczesności, ku dalekim przyszłym ideałom, z większą bezwzględnością porzuca wszelkie utarte, lub choćby jakkolwiek oznaczone ścieżki ducha ludzkiego. Idzie wciąż naprzód, zupełnie samotny, mając za jedyną towarzyszkę wędrówki ciężką chorobę z orszakiem okropnych cierpień. A jednak nie ustaje w drodze, wierzy w cel i kres jej daleki, obcy jest wszelkiemu pesymizmowi, z którym właśnie w tej epoce swego życia stanowczy wziął rozbrat.

„Kto cierpi, ten nie ma prawa być pesymistą,“ powiedział w jednem z ówczesnych swych pism. Słowa te wyrażają szlachetny objektywizm jego światopoglądu, który, daleki od wszelkich osobistych względów, powodowany był jedynie szczerem umiłowaniem idei, wydających mu się wiernem odbiciem istotnej prawdy bytu. Ani domyślał się, ani przypuszczał Nietzsche, że ta prawda, rzekomo przedmiotowa, była w istocie rzeczy podmiotową prawdą jego własnej istoty wewnętrznej, jego rozwoju osobistego i własnej jego twórczej fantazyi. A jednak tak jest niewątpliwie. Przekonany, że zgłębia i odtwarza rzeczywistość obecną lub przyszłą, bezwiednie tworzył idealne postacie i obrazy, które w tę lub w tamtą przenosił siłą swej fantazyi. Przedtem tworzył z materyałów, dostarczonych przez współczesność — teraz za materyał posłużą mu wewnętrzne wizye ideowe, które poczytywał za wieszcze przeczucia przyszłości.

Wizye owe rozwijają się w długim szeregu dzieł, w których coraz wyraźniej w coraz zupełniejszej jedności organicznej zarysowuje się postać śmiałego myśliciela-mędrca, burzącego zuchwale cały istniejący świat wartości etyczno-życiowych, aby na jego miejsce z pierwiastków własnego jestestwa odbudować nowy, doskonalszy świat, mający się stać przyrodzoną dziedziną przyszłej, odrodzonej ludzkości.

Krytyczne burzenie poprzedzać musiało reformatorsko-odradzającą twórczość; stanowi też ono zadanie pierwszych prac Nietzschego po jego wyzwoleniu się z pod wpływu mistrzów młodości. Prawda, i w poprzednich jego pismach występowała wybitna dążność krytyczna, ale zwracała się tam przeciw niektórym tylko objawom kultury współczesnej, jak poziome filisterstwo, ciasnogłowa uczoność, płytki, bezduszny artyzm — teraz uderzyła na jej całokształt, jęła podkopywać i burzyć zasadnicze jej podstawy. Była to praca „podziemnego podkopywacza,“ jak się wyraża sam Nietzsche[1]), praca w osamotnieniu i mroku tajemnych głębin bytu. Ruiny na powierzchni musiały być nieodzownym jej skutkiem. Ruiny czego?...

Wszystkiego, co „ludzkie, aż nadto ludzkie“ (Menschliches Allzumenschliches) odpowiada Nietzsche w książce pod tym tytułem, t. j. wszystkich wytworów człowieczeństwa współczesnego, które zbyt jest słabe, zbyt nizkie, aby mogło się wznieść samo ponad siebie, aby mogło przezwyciężyć obecną, tak niedoskonałą

[1]) Werke. 1898. IV. 3.

swą naturę. Krytyczna ta książka przeznaczona jest dla „duchów wolnych.“ „Ale takich duchów wolnych nie było nigdy i niema obecnie, dodaje autor; sam ich sobie wynalazłem.“ Czy nie znaczy to, że sobie ich stworzył, wymarzył, jako wyzwolonych z wszelkich więzów teraźniejszości, swobodnych, odrodzonych wewnętrznie ludzi przyszłości, do których po przez wieki przemawia, gdy u współczesnych nieznajduje posłuchu? Widzieliśmy, że przedtem, dopóki sam był uczniem, stwarzał sobie mistrzów, t. j. idealizował w swej wyobraźni twórczej realne ich postacie — obecnie, skoro sam uznał się za mistrza, jął sobie tworzyć uczniów, jako idealne, symboliczne upostaciowania swego reformatorskiego posłannictwa.

Na mocy tegoż posłannictwa, które określał, jako owo nieznane „coś,“ z takim despotyzmem wewnętrznie nim rządzące, chciał on też tworzyć niejako siebie samego, t. j. na drodze samoistnego rozwoju podnieść swą indywidualność do znaczenia typu duchowego, jakiego dotąd niewidziano w naszym świecie kulturalnym, typu mędrca-wychowawcy natury ludzkiej, wiodącego ją do wyższych, nadludzkich przeznaczeń. Powziąwszy tę dumną myśl, nią tylko żył, dla niej działał i pracował w trudzie i poświęceniu bezgranicznem, z heroizmem męczennika, z zapałem natchnionego artysty. Jego dzieła dalsze, to różne objawy tej samotwórczości w stopniowym jej rozwoju. Oryginalne, jedyne w swoim rodzaju jej zadanie warunkuje niezwykle oryginalną jej formę: formę aforyzmów filozoficzno-poetyckich, w których najcudaczniejsze nieraz paradoksy i sofizmaty, wyrażone są w formie, nacechowanej niezrównanym artyzmem słowa.

Tę aforystyczną formę pism Nietzschego przypisywano często jego chorobie, wskutek której, pracując zawsze z przerwami w chwilach wolnych od cierpień, nie mógł się rzekomo zdobyć na dzieła jednolite i skończone. Być może, że choroba miała tu istotnie jakieś znaczenie; były wszakże i inne, głębsze przyczyny, tkwiące w samej naturze i w wewnętrznych warunkach tworzenia. Urywkowość jego wyrazu zewnętrznego jest wiernem odbiciem porozrywanej osnowy jego wewnętrznego wątku, zamętu mniemań i sądów, z których, niby świat z pierwotnego chaosu, kształtuje się stopniowo potężna umysłowość, będąca, jak wiemy, streszczeniem całej istoty psychicznej genialnego myśliciela-artysty. Czyni on niejako w swych dziełach spowiedź powszechną ze swych myśli, odzwierciadlających całe jego życie duchowe, czyni ją w urywanych, rozproszonych, niekiedy wprost sprzecznych z sobą, zdaniach i obrazach z bezpośrednią siłą rwących się z myśli

i z serca, przemawiających do nas żywą prawdą twórczych idei, pragnień i zamiarów, nadziei i zawodów, cierpień i radości.

Podnoszono nieraz liczne i jaskrawe przeciwieństwa w dziełach Nietzschego. Świadczą one tem wymowniej o jego szczerości. Kiedyż brakło przeciwieństw w duszy ludzkiej? Muszą być przeto i tam, gdzie ona się w pełni wypowiada, gdzie mamy do czynienia nie z oderwanym systematem filozofa, ani z uprzedmiotowioną kreacyą artysty, lecz z duszą samokształtującą się w myśli filozoficznej i w słowie artystycznem, dążącą do skupienia się w tem i tamtej, jako w pobudkach twórczego czynu życiowego.

W przedmowach, które Nietzsche zwykł dodawać do późniejszych wydań swych dzieł, zaznaczył główne fazy tego samokształtowania się wewnętrznego. W przedmowie do książki aforyzmów o rzeczach „ludzkich, aż nadto ludzkich“ mówi o „wielkiem wyzwoleniu się“ z pod przemożnego wpływu tych rzeczy. „A gdyby je odwrócić i zobaczyć, jak wyglądają z drugiej strony... Gdyby odwrócić wszelkie uznane wartości... Może przekonamy się wtedy, że dobro jest złem, że Bóg jest chytrym wynalazkiem dyabła? Może w gruncie rzeczy wszystko fałszem się okaże? A jeśli sami oszukani jesteśmy, czyż nie stajemy się przez to oszustami?... Czyż koniecznie oszustami być musimy?...“ Odpowiedzi na te pytania zawierają się w długim szeregu aforyzmów, ukazujących w świetle najbezwzględniejszej krytyki różnorodne strony i przejawy, począwszy od najbardziej zasadniczych („Von den ersten und letzten Dingen“) aż do codziennych i powszednich („Der Mensch im Verkehr“). Przemawia tu rzecznik bardzo pesymistycznego na świat poglądu, ale zarazem przyszły zwycięzca pesymizmu. Jak wiemy, Nietzsche poczytywał go za chorobę ducha, chorobę, której sam podlegał wśród zwyrodniałych objawów życia współczesnego, widząc w nich za przykładem Schopenhauera wiekuistą nędzę, wiekuiste zło wszechbytu, mogącego osiągnąć swe wybawienie li tylko w unicestwieniu powszechnem. Obecnie, wyzwoliwszy się z pod wpływu doktryny pesymistycznej, począł uważać głoszone w niej wiekuiste zło życia za zło czasowego zwyrodnienia, a środek zbawczy widział nie w zalecanem przez Schopenhauera odwróceniu woli życia ku nicości, lecz w zwrocie woli do samowyzwolenia i uzdrowienia („Wille zum freien Willen,“ „Wille zur Gesundheit“). Ostatecznym kresem tego zwrotu ma być pogodzenie uzdrowionego i uszlachetnionego człowieczeństwa z życiem ziemskiem i z wszelkiemi jego sprawami — w myśl wzniosłych słów, które chrześcijaństwo nadaremnie i bezcelowo zawiesiło nad cho-

rą, niezdolną do przyjęcia ich ludzkością: „pokój na ziemi ludziom dobrej woli.“

Pokój ten ma być zakończeniem wojny, którą Nietzsche wypowiada wszystkim chorobom ducha ludzkiego, t. j. wszelkim zjawiskom życiowym, które słusznie lub bezzasadnie poczytuje za objawy jego słabości, za przeszkody tamujące swobodny rozwój jego sił przyrodzonych. Do takiej wojny wzywa pokrewne sobie „duchy wolne,“ ale nadaremnie, bo wie, że owe duchy to tylko twory własnej jego wyobraźni, twory wróżebne, jak mniemał, zwiastujące przyszłość odległą, ale nieznane obecnej rzeczywistości.

Świadom swego realnego osamotnienia, w orszaku tych mar idealnych, postępuje wciąż naprzód ku ostatecznemu wyzwoleniu i uzdrowieniu swej indywidualnej natury duchowej, ku ideałowi mędrca-wychowawcy, który z własnego pragnął wysnuć jestestwa.

„Jutrzenka“ (Morgenröthe) i „Wesoła wiedza“ (Die fröhliche Wissenschaft) tak się zowią dwa główne tego pochodu drogowskazy, dwa w aforyzmach również ułożone dzieła, zwiastujące blizki rozkwit mądrości życiowej Nietzschego w słowach i naukach symbolicznego Zaratustry.

W pierwszem z tych dzieł podziemny pracownik, krytyk-podkopywacz gruntu kultury współczesnej, z większem jeszcze aniżeli przedtem zuchwalstwem prowadzi niszczycielskie swe dzieło, podważając moralne jej podwaliny, ale pracuje teraz w mroku negacyi, z nadzieją rychłego wydobycia się na światło pozytywnych czynów i dążeń, świtające mu już na dalekim widnokręgu różowemi blaskami „jutrzenki.“

Drugie dzieło „zdaje się być napisane w mowie wiatru wiosennego; jest w niem zuchwalstwo, niepokój, przeciwieństwo pogody kwietniowej, przypominającej tak blizkość zimy, jak i zwycięstwo nad zimą, które nadchodzi, musi nadejść, może już nadeszło... *Wesoła wiedza*: to znaczy saturnalie ducha, który cierpliwie zwalczał okrutny, długi ucisk, z cierpliwą, chłodną mocą, bez poddania się, ale i bez nadziei—a teraz nagle owładnięty jest nadzieją, nadzieją zdrowia, upojeniem wyzdrowienia.“ [1])

Słowa te (w przedmowie do późniejszego wydania „Wesołej wiedzy“) napisał Nietzsche jesienią 1886 r., a na schyłku r. 1888 wpadł w nieuleczalną chorobę umysłową. Jakaż tragedya w zbliżeniu tych dat! Odczuwając tak żywo radosną nadzieję, przenikającą nietylko prozę, lecz i przedziwnie artystyczne wiersze na-

[1]) Werke, V. 3.

pisanej przed paru laty „Wesołej wiedzy,“ ani przypuszczał, jak straszliwy niebawem czeka go zawód. Nadzieja owa była bezpośrednim wynikiem olbrzymiego spotęgowania siły twórczej, które objawiało się w nim w ostatniem pięcioleciu (1883—1888) jego działalności pisarskiej poczuciem jakiejś mocy nadludzkiej. Wierzył, że zbliża się do celu swych dążeń, że na skrzydłach swego geniuszu wznosi się do sfer bytu, w których kończy się obecne ułomne człowieczeństwo i ustępuje miejsca doskonalszemu typowi nadczłowieka. Przeczuwał go oddawna, burząc w zapędach swej krytyki zaprzecznej wszelkie dotychczasowe twory i objawy ludzkiego bytu—teraz przeczuwany i upragniony ideał zjawił się w jego wyobraźni, jako pozytywna wizya przyszłości. Sądził, że teraz staje się naprawdę mędrcem-zwiastunem przyszłych losów świata, że wkracza w okres uzdrowienia z odwiecznych słabości ludzkich, z wszelkich fałszywych mniemań i wierzeń, z wszelkich wahań, zwątpień i zaprzeczeń. Sądził, że może teraz twierdzić, tworzyć, działać pozytywnie, przyspasabiać grunt idei dla mającego przyjść realnego nadczłowieka.

Owocem tych wierzeń i złudzeń Nietzschego jest główne jego arcydzieło, słynna na świat cały, osobliwa tak w treści swej, jak i w formie, książka p. t. „Tak rzekł Zaratustra“ („Also sprach Zarathustra“).

VII.

Możnaby nazwać ten dziwny utwór poematem filozoficznym w najściślejszem znaczeniu, odróżniając go tem bliższem określeniem od płodów poezyi tak samo mianowanych, dlatego, że jakieś zjawiska życiowe ukazują się w nich ogarnięte rozległą myślą oderwaną. W Zaratustrze odwrotnie: myśl bardzo oderwana i bardzo rozległa skupia się i wciela w danem zjawisku życiowem: w życiu duchowem realnej osobistości ludzkiej, w jej dążeniach, walkach i bólach, przedstawionych z głęboką prawdą treści i z nieporównanym artyzmem formy. Myśl może być bezzasadna, paradoksalna, zgoła fałszywa, ale dusza, która nią żyła, która w niej zadanie swego bytu widziała, była niewątpliwie bardzo prawdziwą i jedną z najszlachetniejszych w naszej epoce. Filozofia nie wiele może warta, ale filozof sam, jak się w swem dziele z taką siłą i prawdą odmalował, posiadał olbrzymią wartość wspaniałej i potężnej idywidualności ludzkiej.

Zjawia się on i przemawia w swem arcydziele pod postacią starożytnego mędrca perskiego, Zaratustry. Dlaczego taką właśnie postać i takie przybrał miano?

Odpowiedź na to pytanie znajdujemy w ogólnym charakterze i w treści głoszonej przezeń nauki. Z natury rzeczy raczej poeta-myśliciel aniżeli myśliciel-badacz, całkowicie pochłonięty przez dążność do rozwiązania zasadniczego problematu bytu, który nie był dlań li tylko oderwanem teoretycznem zagadnieniem, lecz najrealniejszem zadaniem, stanowiącem jedyny i najwyższy cel jego życia — czyż w tym charakterze swoim nieprzypominał on istotnie pradawnych mędrców tej kolebki myśli ludzkiej, Wschodu starożytnego, zarazem myślicieli i wieszczów-proroków, w których duchowa natura ludzka objawiała się jeszcze niezróżniczkowaną i jednolitą w pierwotnej jedności myśli, czucia i wyobraźni twórczej?

Już w dawniejszych swych pismach Nietzsche zjawia się jako taka odrębna, wyjątkowa za dni naszych indywidualność duchowa, której pojawienie się należy może uważać za objaw reakcyi przeciw nadmiernemu zróżniczkowaniu i rozdrobnieniu umysłowości współczesnej, tracącej w różnych zawodach i specyalnościach charakter żywej osobistej jednostki i zamienianej na jakiś martwy ułomek mechaniczny, na jakieś kółko bezduszne wielkiej machiny kulturalnej. Nikt też dobitniej i wymowniej od Nietzschego nie wykazał ujemnych skutków i całej ohydy tego postępującego wciąż zmechanizowania naszej kultury, która od dawna już przestała być żywym wytworem życia, a zamieniła się na wielką fabrykę, przerabiającą wszelką żywą siłę bytu ludzkiego na przygniatającą go martwą potęgę cywilizacyi współczesnej.

Autor rozprawy o szkodliwości historyi naukowej dla życia uderzony był szczególnie stanowiskiem, jakie w tej fabryce cywilizacyjnej zajęła wiedza wraz z urzędowymi swymi przedstawicielami. W przeciwieństwie do przeróżnych martwych zawodowych jej gałęzi wysławiał zielone jej drzewo, zakwitające całą pełnią życia prawdziwej mądrości nie w mrówczej pracy bezdusznego zawodowca, lecz w śmiałych natchnionych wzlotach myśliciela-wieszcza. Przez swój geniusz poetycki do górnych lotów wciąż pobudzany, a unoszony w nich przenikającą go na wskroś myślą o wielkiej zagadce bytu, natchnienia swoje twórcze uznał w końcu za jej rozwiązanie, za przeczucia przyszłych dróg ludzkości i ogłosił je światu w uroczystych, namaszczonych przemówieniach symbolicznego zwiastuna-wieszcza, Zaratustry. Treścią ich i zadaniem głównem było przedewszystkiem rozwiązanie problematu dobra i zła ze względu na wzajemny ich stosunek i znaczenie

wśród ogółu warunków życiowych. Nie dziw, że wobec tego nasunęło się filozofowi-poecie imię staroperskiego mędrca i proroka, twórcy słynnej księgi Zend-Awesty, której zasadnicze idee religijne z przeciwieństwa i walki pierwiastków dobra i zła wysnute zostały.

Treści myślowej, oraz nieodłącznemu od niej nastrojowi przemówień Zaratustry odpowiada ściśle zewnętrzna ich forma słowna, najzupełniej samodzielna, oryginalna, z żadnymi obcymi wzorami niedająca się porównać, a z przedziwnym wystylizowana artyzmem. Zasadniczym jej czynnikiem—zwięzły, dosadny aforyzm, rozwinięty często w symbolicznem obrazowaniu, czasem w zwrotkach hymnów i pieśni lirycznych. Aforystyczna forma dawniejszych pism Nietzschego święci w Zaratustrze najwyższe swe tryumfy, jako wyraz zewnętrzny myśli górnych i natchnionych, które niby błyski nagłych oświeceń zjawiają się w duchu wieszcza wyrzucane z żywiołową siłą entuzyazmu lub drżące wewnętrznem wzruszeniem, czasem pełne światła i barwy o wyrazistym rysunku i metalicznem brzmieniu, czasem znów tonące w jakichś mgłach mistycznych, pełne cieniów i mroków, rozśpiewane w skargach żalu, huczące głuchym odgłosem tragicznych walk i cierpień duszy.

Incipit tragoedia—zaczyna się tragedya. Taki napis daje Nietzsche jednemu ustępowi „Wesołej wiedzy," w którym po raz pierwszy wyrażona została wstępna myśl Zaratustry. Istotnie, w dziele tem tragedya jego myśli, będąca zarazem tragedyą jego życia, rozwinięta została w całej potędze i grozie swej treści wewnętrznej i w całej wzniosłej piękności przyoblekającej ją formy artystycznej. Nie należy tu wszakże szukać wyraźnie zarysowanych postaci i obrazów. Poszczególne ustępy bardzo są nieraz wyraziste i plastyczne — w całości postać samego Zaratustry, jako też inne otaczające ją postacie i służące jej za tło obrazy życiowe, ukazują się nam w symbolicznie nieokreślonych, często zagadkowych zgoła zarysach, mają nieruchomość i prostolinijność starodawnych rzeźb i posągów hieratycznych. Są to nader charakterystyczne znamiona stylu Nietzschego, które w swej wybitnej typowości i w konsekwentnem swem rozwinięciu stanowią tajemnicę samorodnego jego artyzmu, tak bezpośrednio wykwitającego z odrębnej treści jego natchnień. Zaratustra jest uosobionym symbolem wieszczej myśli Nietzschego, wysnutej z intuicyjnego przeczucia przyszłych dróg człowieczeństwa i wznoszącej się stopniowo do proroczej pewności w określeniu ostatecznych najwyższych jego zadań. Można, i owszem należy zaprzeczać tym uroszczeniom niepowołanego proroka, ale zgodzić się trzeba, że skoro raz w tym cha-

rakterze on przemawia, niemógł przemówić potężniej i wspanialej, w słowach doskonalej przystosowanych do treści, w tonie lepiej oddającym uroczysty, wzniosły jej nastrój. A ta treść, choć przedmiotowo bezpodstawna, paradoksalna, fałszywa, zawiera w sobie ogromną podmiotową prawdę duszy współczesnej, której dążenia myślowe w ostatecznych wynikach swych zboczeń duchowych prowadzić muszą nieodzownie do tragedyi Zaratustry.

*

* *

W bardzo ogólnym tylko zarysie mogę tu przedstawić osnowę tej tragedyi.

Całość składa się z czterech części. Część pierwsza poprzedzona jest ustępem, przedmową Zaratustry; poczem następują w długim szeregu rozdziałów przemówienia mędrca, w których myśl jego w przepysznych przenośniach i obrazach symbolicznych coraz zupełniej się rozwija na tle różnorodnych, z ogromną żywością oddanych poruszeń serca i duszy. Ale zewnętrznych pobudek tej myśli, oraz oddziaływania jej na zewnątrz wcale prawie nie dostrzegamy; stosunek do niej słuchaczów i uczniów Zaratustry zrzadka tylko się zarysowuje w mglistych symbolicznych obrazach.

Inaczej być nie mogło. Nietzsche tworzył swój poemat filozoficzny w zupełnem prawie osamotnieniu. Żył wyłącznie swoją myślą, spędzając większą część roku w ustronnej wsi szwajcarskiej (Sili Maria w Engadynie) na wysokości 6000 stóp ponad poziomem morza, a nierównie wyżej jeszcze (jak się sam wyraża) ponad poziomem wszelkich spraw ludzkich. Zaratustra powstał przeważnie wśród samotnych w góry przechadzek. Tchnienie samotności i tchnienie gór przewiewać zdaje się jego karty jakimś rzeźwym, surowym chłodem bezwzględnej myśli krytycznej. Wśród tej mroźnej atmosfery górskiej paradoksalne idee strzelają ostrymi szczytami ku podniebnym wyżynom, niby dziko poszarpane turnie i fantastyczne iglice skalne, istne paradoksy przyrody, urągające normalnym jej zjawiskom.

I w symbolicznem obrazowaniu poematu przyroda górska przeważne ma znaczenie, służy za tło myślom Zaratustry, dostarcza przeważnie porównań i przenośni dla ich uplastycznienia.

W połowie dni swego żywota udał się Zaratustra w góry i tam w dzikiej jaskini spędził lat dziesięć na samotnych rozmyślaniach, mając za jedynych towarzyszy orła i węża, symbole wysokiego polotu i przezornej rozwagi swych dążeń duchowych. Skoro wreszcie poczuł w sobie nadmiar przepełniającej go mądrości, zapragnął podzielić się nią z ludźmi, jak dzieli się pszczoła nadmiarem swego miodu i oświecić nią niziny ludzkie, jak słońce oświeca swym blaskiem niziny ziemi. Ale jakąż mylną zrazu obrał drogę! Na rynku jął głosić swą naukę wśród pospólstwa, przyglądającego się popisom linoskoka. Nauczał o *nadczłowieku*, który, niby gwiazda powstająca z chaosu, powstać ma z zamętu świata ludzkiego; nauczał o ostatnim człowieku, czyli o skarleniu ostatecznem natury ludzkiej wśród pospolitości życia. W tem niema chaosu, z którego gwiazda mogłaby się narodzić i niema tęsknoty do gwiazd.

Co to jest tęsknota? co to jest miłość? co to jest gwiazda? pyta ostatni człowiek i mruży oczy.

A ziemia zmalała wtedy i skacze po niej ostatni człowiek, co wszystko małem czyni. Rodzaj jego trudny do wytępienia, jak pchła ziemi; ostatni człowiek żyje najdłużej.

Wynaleźliśmy szczęście, mówią ostatni ludzie i mrużą oczy.

Opuścili strefy, gdzie życie było twarde, bo potrzebują wygody. Kochają jeszcze sąsiada, bo im cieplej, gdy się o niego otrą.

Nie ma już pasterza, jest tylko stado. Wszyscy są jednacy, wszyscy jednakie mają chęci; kto inaczej czuje, idzie dobrowolnie do domu waryatów.

Taki obraz skarlałego człowieczeństwa kreśli Zaratustra. A otaczający go tłum woła: Daj nam, o Zaratustro, tych ostatnich ludzi, uczyń nas takimi, a darujemy ci nadczłowieka. Oto, jak tłum zrozumiał naukę mędrca... Wtem nagle stała się rzecz straszna. Linoskok szedł po linie, rozciągniętej pomiędzy dwoma wieżami. A gdy już był w połowie swej niebezpiecznej drogi, wyszedł za nim drugi linoskok w ubiorze trefnisia i, obrzucając go obelgami, przeskoczył przezeń ku uciesze tłumu. A wtedy zwyciężony spadł na ziemię u stóp Zaratustry i wnet skonał. Widzowie rozbiegli się na wszystkie strony; mędrzec ujrzał się sam na sam z trupem akrobaty, który pozostał mu, jako jedyna zdobycz dnia.

Oto przykład symboliki Nietzschego. Małoż na świecie akrobatów ducha, którzy pociągają lud, odwracający się od mędrca, a sami bywają zwyciężeni przez akrobatę-trefnisia, zjednywającego sobie zawsze najpewniejsze powodzenie u tłumu.

Na tem się kończy „Przedmowa“ Zaratustry, w której w najprostszej swej postaci występuje temat całego dzieła, złożony z dwóch zasadniczych pierwiastków: pogardy dla obecnego skarlenia człowieka, miłości dla jego wyolbrzymienia, a raczej przezwyciężenia w mającym powstać nadczłowieku. Zaratustra stracił wiarę w człowieczeństwo. Nie wierzy w rozwój jego wyższy, ani w przyszłe odrodzenie. Człowiek jest wedle niego przejściem do istoty wyższego typu, jest liną rozciągniętą pomiędzy zwierzęciem a nadczłowiekiem. Odzywa się tu teorya rozwoju gatunków. Nienależy jednak sądzić, aby ona była źródłem niczejowskiej idei nadczłowieka, aby Nietzsche był tylko dalszym ciągiem Darwina. Hypoteza ewolucyjna stanowi odnogę wielkiego prądu myślowego, w którym poczęła się idea nadczłowieka. Jest to prąd humanitaryzmu nowoczesnego, który w człowieku uznaje jedyny cel bytu, a w potrzebach jego doczesnych, jedyną normę wszelkich wartości życiowych. Taki światopogląd panuje dziś powszechnie, uznany jawnie lub milcząco przez ogół ludzi współczesnych i przenikający na wskroś całą naszą kulturę. Stanowi on oczywiste i krańcowe przeciwieństwo światopoglądu chrześcijańskiego i wypiera go wciąż jako zasadę i jako praktykę życiową, wypiera nie tylko w świadomości otwartych wrogów chrześcijaństwa, lecz także w tonie i nastroju duchowym (nie mówiąc już o czynach) ogromnej większości tych, co obecnie w słowach jeszcze niby je wyznają. Ale i ów zwycięski antychrześcijański ideał humanitarny, czyż wielu ma szczerych wyznawców? — Garstka fanatyków i ideologów naprawdę weń wierzy, jako w przyszły złoty wiek ludzkości. Ogół wierzy tylko w złoty wiek własnego dobrobytu, a o przyszłość ludzkości tyle się troszczy, co o przeszłoroczny śnieg.

Jakież stanowisko wobec tych kierunków zajął autor Zaratustry? Był on stanowczym wrogiem pozytywnego historycznego chrześcijaństwa, które poczytywał za zupełnie przeżyte, a następnie uznał je w najgłębszej nawet istocie za jedno wielkie zboczenie w rozwoju człowieczeństwa. Ale nie stał się przez to zwolennikiem antychrześcijańskiej kultury współczesnej. Zbyt bystro ją przejrzał, zbyt głęboko wniknął w wewnętrzne jej tajniki, aby mógł wierzyć w głoszone przez nią ideały. To też odrzucił je z całą bezwzględnością, wyszydził wszelkie frazesy na nich osnute, gromił z szaloną werwą nowoczesnych filistrów kulturalnych, obłudników, wolnomyślnych i ideologów postępu. A odrzuciwszy to wszystko, co słusznie czy niesłusznie poczytywał za maskę tylko i zewnętrzne ubarwienie ideału humanitarnego naszej epoki, z odrazą najwyższą ujrzał w jego obliczu rysy charakterystyczne,

przypominające typ ostatniego człowieka, typ skarłowaciałego i znikczemniałego człowieczeństwa przyszłości, stanowiącego istotny ideał naszej obecnej kultury.

Takim sposobem powstała w duszy Nitzschego-Zaratustry ta „wielka pogarda," która nie pozwoliła mu zatrzymać się ani nad istniejącą rzeczywistością życiową, ani nad wykwitającym z niej pustym lub obłudnym ideałem przyszłości. Pobudzony przez to uczucie pogardy geniusz twórczy poety-myśliciela wysnuł sobie własny swój ideał nadczłowieka, który ożywił całą potęgą swych pragnień i opromienił najwspanialszymi blaskami swej fantazyi. Czemże był ten ideał, jeśli nie upostaciowanym absolutem nadziemskim w jego przeciwieństwie do względnych zjawisk i wyobrażeń ziemskiego bytu? — A czemże jest uczucie uwielbienia, z jakim zwraca się ku niemu entuzyastyczny jego rzecznik, jeśli nie objawem religijnej potrzeby duszy, niezdolnej powrócić do wiary chrześcijańskiej, którą zabił w niej znikczemniały duch czasu, a niemogącej wyżyć w martwocie indyferentyzmu, stanowiącej przyrodzony żywioł ogółu zmartwiałych dusz współczesnych.

Niedarmo Zaratustra zowie się „najpobożniejszym z bezbożników." Możnaby go też nazwać najbardziej chrześcijańskim z wrogów chrześcijaństwa. Zaiste, jeśli idea Chrystusowa była, jest i będzie najwznioślejszym i jedynym nieśmiertelnie żywotnym objawem dążeń ku szczytom ducha, to ten oszalały jej prześladowca myślowy, ten przeklinający ją bluźnierca bliższym jej jest, bardziej pokrewny duchowo, aniżeli niejeden z płaszczących się przed nią nikczemnie, a obcych jej sercem obłudników religijnych.

Nietzsche należał do tych ptaków wielkiego lotu, które nie mogą oddychać na dusznych poziomach zwątpienia i całą mocą swego jestestwa rwą się ku wyżynom wiary. Pozbawione gwiazd przewodnich w tym obłędnym szalonym locie zginąć one mogą, ale nie powrócą na poziomy. Takim lotem wznosi się ku swemu ideałowi Zaratustra, ożywiony wielką miłością dla szczytów i wielką pogardą dla nizin. Z tych dwóch motywów snuje się wątek jego myśli wieszczej, z ich rozdźwięku wewnętrznego wynika okropna jego tragedya myślowa.

Motyw pogardy panuje przemożnie w pierwszej części poematu.

Zaratustra, przekonawszy się dowodnie, że nauka jego przez tłum zrozumiana nie będzie, postanowił ją głosić tylko uczniom i przyjaciołom, wybranym w pośród masy zbytecznych, tych, których „o wiele — za wielu" („die Viel-zu-Vielen"), jak się wyraża.

Znajduje tych wybranych w mieście, noszącem symboliczną nazwę „pstrej krowy," z powodu panującej w nim, jak w większości miast naszych, pstrocizny duchowej, połączonej z monotonią krowiego przeżuwania codziennej powszedniości życia. Mędrzec przemawia tu o najrozmaitszych objawach tej bydlęco-pstrej jednostajności życiowej, które przedstawia w żywem, choć niekiedy dość zagadkowem oświetleniu, ze stanowiska swego ideału. Zbyt wiele potrzebowałbym miejsca, gdybym tu i w następstwie podnosić chciał najważniejsze choćby z tych przedziwnych oświetleń satyry Nietzschego; poprzestanę na zaznaczeniu, że utrzymana jest zawsze w tem samem zasadniczem przeciwstawianiu szczytów i nizin i w tym samym oryginalnym na wskróś i niezmiernie charakterystycznym stylu.

Kończy się część I-sza powrotem Zaratustry do samotnej, górskiej ustroni. Opuszcza on swych uczniów, aby tembardziej ich pozyskać. „Źle się odpłaca nauczycielowi ten, kto zawsze pozostaje uczniem," mówi do żegnających się z nim uczniów. — „Zaiste, radzę wam, uciekajcie przedemną, brońcie się przeciwko Zaratustrze. Lepiej jeszcze: wstydźcie się go. A może was oszukał... Proszę was, miejcie mię za straconego, abyście samych siebie znaleźli. A skoro wszyscy mnie się zaprzecie, wtedy do was powrócę. Innemi oczami, o bracia, utraconych wtedy szukać będę i inną ukocham was miłością."

Czyż nie wspaniałe stwierdzenie samodzielności i swobody ducha ludzkiego? — Czyż nie wspaniała w nim konsekwencya bezwzględnego tej swobody rzecznika, który, wbrew sobie samemu, innym to przyznaje, czego sam dla siebie najwięcej się domaga?

W drugiej części Zaratustra, po latach samotnych rozmyślań znowu pomiędzy ludzi powraca. Tym razem głosi swą naukę na „wyspach szczęśliwych," gdzie ona podatniejszy w umysłach uczniów grunt znajduje i bujniejsze wydać może plony. To też głębiej teraz w istotę rzeczy wnika. Z ukrytych w sercu mędrca zdrojów uczucia tryska kryształowymi strumieniami liryzmu, z najtajniejszych otchłani jego świadomości błyska krwawa zorza wszechświatowej myśli tragicznej.

Ale satyra przemaga. Przed oczami, nietylko czytającego, lecz i widzącego czytelnika, przesuwają się symboliczne obrazy typowych zjawisk życia. Płaska ich pospolitość pełza u stóp górnych idei, które wyniosłymi szczytami coraz wyżej i wyżej wznoszą się w nadziemne strefy. Bezduszna ich martwota zalega poziomy, gdy na wyżynach ducha coraz bujniejsze budzi się życie.

Duch ciężkości, przyrodzony wróg orlich lotów, tłoczy ramiona tych, którym wieszcz-myśliciel pragnąłby przypiąć skrzydła swych natchnień. Ale oto wśród tych satyrycznych zgrzytów i rozdźwięków życia, jakież to przedziwne odzywają się harmonie?... Pieśń nocy, pieśń taneczna, pieśń grobów: trzy kryształowe strumienie liryki Nietzschego. Pierwszy, to śpiewna skarga jego tęsknoty; w drugim, wśród cyprysowych cieniów jego duszy, jakże dziwnie i uroczo przebłyskują promyki radości; a w trzecim, najwymowniej i najgłębiej dźwięczą głuche tony żalu.

„O wy, mej młodości widma i zjawy! O wy, spojrzenia i boskie chwile mej miłości! Wy, śpiewne ptaki mej nadziei: — takżeście prędko mi pomarły! Oto wspomnieniem myśl moja do grobów waszych ulata."

Żałobna pieśń wspomnień młodzieńczych kończy się spiżowym akordem męskiej woli:

„W tobie żyje nierozwiązana zagadka mej młodości! Na ruinach jej grobów pozdrawiam cię, zwycięska ma wolo! Tam tylko, gdzie są groby—są zmartwychpowstania."

Zbierać musi Zaratustra całą moc swej woli, bo oto najcięższa oczekuje go walka.

W głębi i w mroku jego duszy jakaś myśl ciemna się porusza, która dreszczem trwogi go przejmuje. Daremnie się broni przed nią. Najcichsza jego godzina skrada się do łoża jego spoczynku i mową bez głosu myśl straszliwą mu podszeptuje.

„Wszak wiesz, Zaratustro. — Wiem, wiem, ale mówić nie mogę. To jedno mi daruj. To jest nad siły moje."

„I znów słyszałem mowę bez głosu: Nie o ciebie chodzi— o Zaratustro. Powiedz swe słowo i giń!"

Ale mędrzec jeszcze się broni. — „O, Zaratustro, mówi mu znów szept tajemniczy, owoce twe dojrzały, ale ty niedojrzałeś do swych owoców. Idź do swej samotni, abyś osiągnął dojrzałość."

I Zaratustra z bezdennym żalem w sercu opuszcza wyspy szczęśliwe i podąża ku pustyni górskiej, aby przygotować się na swe ostatnie, najcięższe posłannictwo.

I jakież to jest tak trudne posłannictwo? Jakaż to myśl straszliwa, którą ma głosić, a przed którą wzdryga się cała jego natura?

Jest to myśl wiekuistego powrotu, myśl wiekuiście obracającego się koła bytu, z całą jego dolą i niedolą, z całym bezmiarem jego zjawisk wielkich i małych, wzniosłych i nikczemnych, radosnych i bolesnych, pięknych i potwornych. Myśl nie nowa.

Głosili ją prastarzy mędrcy indyjscy, opiewał ją rzymski Wirgiliusz, dziwnym zbiegiem okoliczności równocześnie prawie z Nietzschem wypowiedzieli ją dwaj współcześni myśliciele francuscy: Le Bon i Blanqui. — Cóż więc w niej tak tajemniczo wielkiego i straszliwego?

Głęboki jej tragizm nie tyle z treści jej wynika, ile z jej stosunku do całokształtu idei Nietzschego. Porywany pragnieniem absolutu, przez uczucie i fantazyę ku niemu unoszony, wymarzył on sobie nadczłowieka. Ale nadczłowiek, to tylko względny absolut. Wszak doczesną, skończoną musi być on istotą. A twórca jego nieskończoności, wieczności pożąda. Ale gdzież ma być wieczność i nieskończoność, gdy wszelkie zaświaty odrzucone, potępione zostały i przeklęte przez zuchwałego piewcę chwały bytu ziemskiego. Więc w nim, w tym bycie, wieczność i nieskończoność — więc wiekuisty powrót, wiekuiście nieskończone krążenie koła bytu. Nietzsche niecofnął się przed tą konsekwencyą, niecofnął się przed tą myślą, przedstawiającą mu się, jako jedyne możliwe rozwiązanie pod kątem wieczności zagadki istnienia, rozwiązanie, bez którego żyć niemogła wierząca, spragniona absolutu, jego dusza.

A trzeba sobie wyobrazić całą okropność tej myśli dla człowieka, który orlimi zwykł latać szlakami ku wyżynom najwyższym, ku słońcu słońc wszelkich. Jakto, z tych wyżyn słonecznych znów powrót na mroczne niziny, a na nich powrót tych wszystkich rzeczy marnych, płaskich i wstrętnych, które się już tak nizko pod sobą zostawiło?—Więc powrócą i filistrzy kulturalni, i ostatni ludzie, i duch ciężkości znów siądzie na zgiętych karkach ludzkich?...

Pamiętajmy, że Nietzsche nie tylko przemyśliwał, lecz w całem znaczeniu tego słowa *przeżywał* swoje myśli, że one napełniały mu nietylko głowę, lecz także duszę, serce i całe jestestwo. Jak rozpacznie wobec tego musiał walczyć z tą okropną myślą wiekuistego powrotu, jak straszliwie musiał przez nią cierpieć, zanim, uznając jej prawdę niezłomną, zwyciężył nie ją, lecz siebie! I czy zwyciężył?...

Odgłosy tej walki dźwięczą w dwóch ostatnich częściach Zaratustry. Część trzecia rozpoczyna się niewymownie smutnym opisem wędrówki mędrca przez góry i żeglugi jego przez morze w powrocie do samotnej ustroni. Stronice te należą niewątpliwie do najsmutniejszych, jakie kiedykolwiek wyszły z pod pióra ludzkiego. Jest wszakże coś smutniejszego jeszcze od smutku Zaratustry: jego radość, radość z powodu przezwyciężenia się i uzna-

nia myśli wiekuistego powrotu, w której byt ziemski uwielbiony ma być i wysławiony w nieśmiertelnem swem trwaniu po wszystkie wieki wieków. Jaka głębia tragicznej rezygnacyi przeziera pod śpiewnemi falami radosnych dytyrambicznych hymnów na cześć zwycięskiej myśli wiekuistego powrotu!

Pełnym tonem brzmią te hymny w końcowych ustępach poematu. W przedostatniej jego części słychać przeważnie odgłosy walki, jaką mędrzec toczy jeszcze ze swą myślą i za swą myśl ze światem otaczającym. W drodze do swej samotnej w górach ustroni, krąży pomiędzy ludźmi, i jakby umyślnie rozdrapując rany własnej duszy, przygląda się tak wstrętnym mu, marnym i małym ich sprawom, o których wie, że są wieczne i wciąż powracać będą w nieskończonych koła bytu obrotach. Odwiedza miasta wielkie i bogate, zamieszkałe przez ludzi o duszach zdrobniałych i ubogich. Spotyka krzykacza-frazeologa, przez lud „małpą Zaratustry“ zwanego, który, pochwyciwszy jego idee, posługuje się niemi, jako narzędziem swych zawiści i nienawiści. Spotyka odstępców, co dla miłego spokoju naukę mistrza porzucili. A przedewszystkiem wszędzie, na każdym kroku spotyka tłumy „dobrych“ i „cnotliwych,“ których cnota jest środkiem zdobycia snu spokojnego, równym monotonnym tik-tak zegara domowego, regulującego porządek spraw powszednich, których dobroć jest ciepłem pierzem dla ducha, zabezpieczającem go od zbyt ostrych powiewów życia, jakie zło ze sobą często przynosi.

Problemat dobra i zła, zajmujący nieustannie Nietzschego i związany jak najściślej z zasadniczą myślą Zaratustry, w trzeciej części poematu najsilniej został uwydatniony w duchu bezwzględnego i krańcowego zaprzeczenia uznanych powszechnie wartości moralnych. Przyczynę główną zaprzecznego względem nich stanowiska Zaratustry wyjaśniają następujące jego słowa:

„O bracia moi! Gdzie jest największe niebezpieczeństwo dla przyszłości człowieczeństwa? Czyż nie jest ono u dobrych i sprawiedliwych, jako u tych, którzy mówią i czują w sercach swoich: wiemy co jest dobre i sprawiedliwe i to posiadamy. Biada tym, którzy tu jeszcze szukają!“

Jakże dobitnie zaznaczone zostało w tych słowach płaskie samozadowolenie dusz małych, po brzegi swym dobrobytem moralnym napełnionych, w przeciwieństwie do ciągłego niepokoju wielkich bezdennych duchów, które, nigdy nie syte, wiecznie na wyżynach nowej dla siebie szukają strawy.

„Ach, że też to, co w was najlepsze i to, co najgorsze, tak małe jest zarówno,“ mówi w innem miejscu Zaratustra.

Miłość tak cnoty, jak występku, we współczesnym świecie społecznym, oraz ciasnota obejmującej je dziedziny moralnej: oto powody główne, które nakłoniły Nietzschego do zajęcia stanowiska po za jej obrębem — „po za kresem dobra i zła.“ Podobnie, jak stracił wiarę w człowieka, przestał też wierzyć w uznane przez niego od wieków wartości moralne; dążył do „przewartościowania“ ich, jak się wyrażał, do zastąpienia dawnych ich miar i tablic nowemi, odpowiadającemi lepiej wysokiemu ponad światem ludzkim stanowisku przyszłego nadczłowieka. Główną zasadą tej przemiany wartości ma być żywiołowa siła bytu nadludzkiego, która na wysokościach tego bytu nie będzie ograniczona normami moralnemi obecnych poziomów życiowych, lecz sama w sobie znajdzie własne normy, stanowiące jedyną jej miarę i granicę.

Ale jaki cel ostateczny całej tej wielkiej przemiany? jaki cel nadczłowieka w całej jego potędze i chwale? Odpowiedź zawiera się w idei wiekuistego powrotu. I nadczłowiek nie czem innym ma być, jak tylko jednym z punktów obracającego się wiekuiście kręgu istnienia. To krążenie zjawisk samo sobie jest celem: ono jest jedyną wiecznością, jedynym absolutem, jedynym żywotem wiecznym. I cały stek rzeczy odrażających, które Zaratustra ogarnia swą „wielką pogardą,“ nieodzowną część tego absolutu stanowi i wiecznie... wiecznie powracać będzie. Myśl ta, oddawna nurtująca w duszy mędrca, wybucha wreszcie pełnią swych potwornych konsekwencyj w straszliwem przesileniu jego choroby wewnętrznej. Wychodzi z niego, jako uzdrowiony zwycięzca własnego wstrętu, przemożonego przez wrodzone mu entuzyastyczne umiłowanie rzeczy wiecznych, choćby w tak okropnej ich postaci, ale jedynej, jaka mu się możliwą wydała.

„O, jakże niemam pożądać wieczności i wszechczasowego kręgu kręgów — kręgu powrotu. Albowiem miłuję cię, o wieczności!“

Tak brzmi zwrotka zasadnicza tryumfalnego hymnu, kończącego trzecią część poematu. Ale czy śpiewak tego hymnu istotnym był tryumfatorem, uzdrowionym ostatecznie z wszelkich pragnień pozaziemskich miłośnikiem ziemskiego życia w kręgu wiekuistych jego powrotów?

Czwarta i ostatnia część poematu nie daje na to pytanie stanowczej odpowiedzi, a z całego rozwoju duchowego poety przeczącą należałoby wysnuć odpowiedź.

Ta ostatnia część Zaratustry nie jest właściwem zakończeniem całości. Nietzsche snuł plany dalszych części, podane w urywkach w XII tomie jego dzieł zbiorowych. Zakończenie obecne w pier-

wotnym planie (jak podaje sam autor w liście do Brandesa) miało nosić tytuł: „Pokusy Zaratustry.“

Pokusy te polegają na ogarniającem serce mędrca współczuciu dla najszlachetniejszych i najwyższych przedstawicieli zwyrodniałej ludzkości. Posłannictwem tryumfującego w swej myśli nad światem i nad sobą samym Zaratustry: dążyć do wyżyn nadczłowieka; zniżenie się, choćby do szczytów zapadającego w otchłań zwyrodniałego człowieczeństwa, jest zboczeniem na drodze wyrocznych dążeń.

Pokusy zwiastowane są Zaratustrze przez wróżbitę, który światu oddawna głosi blizkość „powszechnego utrudzenia“ próżną, bezcelową męką bytu. Niebawem Zaratustra słyszy okropny jęk z nizin. To utrudzeni, zrozpaczeni istnieniem „ludzie wyżsi“ wzywają jego pomocy. Mędrzec zstępuje ze swej góry i u jej stóp napotyka kolejno utrudzonych, którzy przybywają ze świata ludzkiego, unosząc ze sobą pogardę dla faktycznej jego rzeczywistości i żal po rozwianych, zgasłych jego ideałach. Zgasł blask sławy i świetności, bijący niegdyś od tronów: Dwaj ostatni królowie schorzałym wloką się krokiem, prowadząc osła, symbolicznego przedstawiciela zwyrodniałych tłumów ludzkich. Wiedza w swym rozwoju konsekwentnym doszła do absurdu wyspecyalizowania zawodowego: oto Zaratustra spotyka najsumienniejszego jej pracownika, który ogromny trud całego życia poświęcił badaniom nad mózgiem pijawki, przekonany, że i tego przedmiotu dokładnie poznać nie zdoła. Rozwiały się marzenia o potęgach i zjawach nadziemskich: ten, co zaklęciem swem wywołać je jeszcze usiłuje, to przez pół „Komedyant-czarownik,“ przez pół szczery „pokutnik ducha,“ udręczony męką nieziszczalnych pragnień.

Ale okropniejsze jeszcze klęski i straty ponosi zwyrodniała ludzkość: umarł Bóg w jej sercu i myśli. Zaratustra, oddawna świadom tej wielkiej katastrofy duchowej, widzi teraz najszlachetniejszą jej ofiarę: wierny do końca sługa zmarłego Boga, ostatni papież, szuka w pustyni człowieka, coby o śmierci jego jeszcze nie wiedział, a nieznalazłszy go, udaje się do „najpobożniejszego z bezbożników,“ zwiastuna religii wiekuistego powrotu. Widzimy też wnet i zabójcę Boga. Jest to „najszpetniejszy człowiek,“ symboliczny przedstawiciel wewnętrznej nędzy ludzkiej w całej jej ohydzie i szkaradzie. Zaratustra spotyka go w dzikiej ustronnej dolinie skalnej, do której przypełzają tylko wstrętne zielonkawe węże, aby w niej umierać. Najszpetniejszy człowiek schronił się tu przed dręczącą go natrętną litością ludzi, ale niemógł się schronić przed bezmierną litością wszystko widzącego Boga, więc zabił

go widokiem swej ohydy. Bóg umarł od nadmiaru zmiłowania swego nad znędzniałem człowieczeństwem.

Jest to jedna z zasadniczych myśli Nietzschego, tak w Zaratustrze, jak i w innych jego pismach, wielokrotnie powtarzana. Litość wydała mu się obrazą godności ludzkiej; a ideę wszechlitościwego Boga poczytywał za wytwór małoduszne słabości zgnębionego ogromem męki życiowej człowieczeństwa. Wyższe człowieczeństwo z dumą szlachetną odtrąca wszelką litość tak poziomów, jak i wyżyn bytu, samo z siebie czerpie siłę do zniesienia straszliwej swej doli. Czy ta myśl nie jest wynikiem towarzyszących ciągle Nietzschemu uczuć odrazy i wstrętu do skarłowacenia i upodlenia życia moralnego naszej epoki? Zaślepiony jej niewiarą a niezdolny żyć jej obojętnością, ani małą wiarą, duch jego potępił bezwzględnie nieodłączne od tej ostatniej małe skarłowaciałe cnoty chrześcijańskie, a nie mógł dojrzeć tego, co nadludzko wielkie w prawdziwej cnocie i litości chrześcijaństwa, tego, co wiekuiście boże w jego ideale prawdy i dobra.

Tacy, jak Nietzsche, w epoce wielkiej wiary i wielkiej miłości, są najbardziej wierzącymi i miłującymi najgoręcej—w epoce małej wiary i małej miłości stają się zawziętymi wrogami tej i tamtej, a przez wstręt do nich bywają niekiedy rzecznikami absolutnej niewiary i pogardliwej nienawiści dla wszystkiego, co ludzkie aż nadto ludzkie, w rzeczach i sprawach boskich.

Ostateczny stopień wątpiącej i zrozpaczonej w swem zwątpieniu wyższej myśli ludzkiej widzimy w dwóch ostatnich przybyszach, podążających z nizin życia na wyżyny Zaratustry. Jeden z nich, to „dobrowolny żebrak," który, pełen wstrętu i wzgardy dla zwyrodniałej kultury współczesnej, ucieka z pośród ludzi, aby żyć pomiędzy zwierzętami. Drugi to człowiek, zwany cieniem Zaratustry, bo, jak cień, szedł za duchem mistrza, za burzącymi wszystkie bożyszcza, wszystkie powagi jego ideami aż w końcu ujrzał się bez ojczyzny, bez portu zbawczego w beznadziejnej dziedzinie „wiekuistego wszędzie i nigdzie i wiekuistego napróżno."

Cały ten symboliczny zastęp błędnych, udręczonych, chorych na wielką odrazę i na wielką tęsknotę „ludzi wyższych" przyjmuje pełen współczucia mędrzec do swej górnej pustelni, aby ich uzdrowić, podnieść na duchu, wskazać im cel wieczny, który utracili i wieczną, żywą ideę, zmrożoną w ich duszach przez martwy powiew świata.

Ale jakaż to jest idea, mająca być ich uzdrowieniem, jakiż cel, mający im przyświecać?

Po dniu, spędzonym przy uczcie duchowej, zastawionej dla nich na wyżynach wieszczej myśli Zaratustry—wśród tajemniczej, głuchej ciszy północnej godziny, gdzieś w bezkresach przestworza słyszą oni uroczysty, dzwonny głos wróżebnego zegara, a w głosie tym słyszą pieśń wróżebną, wieszczącą im najgłębszą tajemnicę bytu:

Człowiecze, bacz
Na mowę głuchej północy.
Morzył mię sen,
Budzę się z marzeń otchłani:
Głębią jest świat
Głębszą, niż sądzi dnia jawa.
Głąb jego ból,
Lecz rozkosz głębsza od bólu.
Ból mówi: giń!
Lecz rozkosz pragnie wieczności
— Głębokiej, głębokiej wieczności. [1])

Pieśń ta, mająca w oryginale przedziwny czar tajemniczej, nastrojowej poezyi, to uroczysty akt wiary w ideę wiekuistego powrotu, a zarazem hymn zwycięstwa nad bolem bytu przez większą od niego potęgę rozkoszy bytu, pragnącej jego wieczności w nieskończonych obrotach wszechczasowego kręgu zjawisk.

Jakże dziwnie brzmi ta zwycięska pieśń rozkoszy życiowej, dobywająca się z piersi tak straszliwie udręczonej nieprzerwanym prawie pasmem fizycznych i duchowych bolów życia!

Nietzsche z przedziwnym znosił je heroizmem. Powodowany czystą i szlachetną przedmiotowością sądu, z nich pono brał pobudkę do tego potężnego, wbrew własnemu interesowi, stwierdzenia wieczności ziemskiego bytu, do tego rozgłośnego *tak*, którym

[1]) O Mensch! Gieb Acht!
Was spricht die tiefe Mitternacht?
Ich schlief, ich schlief —
Aus tiefen Traum bin ich erwacht: —
Die Welt ist tief
Und tiefer als der Tag gedacht.
Tief ist ihr Weh —
Lust tiefer noch als Herzeleid:
Weh spricht: Vergeh!
Doch alle Lust will Ewigkeit —
— Will tiefe, tiefe Ewigkeit.

odpowiadał na wszelkie przeczące mu wierzenia i teorye. Przezwyciężywszy pesymizm własnych, tak srogich cierpień, czyż nie miał prawa wyzwać do walki pesymizmu cierpień wszechświatowych? Nikt od niego nie wniknął głębiej w ich istotę, nikt nie wysnuł z nich potężniejszej myśli przeczenia i burzenia, ale nikt też nie podjął śmielszej myśli twórczej, stwierdzającej byt wszechświata, wbrew wszelkim czynnym w jego łonie potęgom zniszczenia.

Jak widzieliśmy, była to twórcza myśl filozofa-artysty, niesłychanie daleka od współczesnej rzeczywistości życiowej, unosząca się w najgórniejszych strefach abstrakcyi, a jednak ożywiona potężnem tchnieniem uczucia, przyodziana w przecudne kształty i barwy prawdziwie poetyckiej wyobraźni. Uosabiająca ją postać Zaratustry, zwiastuna nadczłowieka jest niewątpliwie najwspanialszą kreacyą Nietzschego. Rozproszone fragmentarycznie w poprzednich dziełach pierwiastki jego ducha zlały się tu w kształt przedziwnie jednolity, wystylizowany z nieporównanym artyzmem. Sam Nietzsche poczytywał księgę nauk Zaratustry za główne swe arcydzieło. Mówił, że wszystko, co przedtem napisał, wstęp do niej stanowi; wszystko, co po niej utworzył, za uzupełnienie jej ma służyć.

Jakkolwiek jednak nazwał ją dumnie „najgłębszą książką literatury niemieckiej," daleki był od uznawania w niej istotnego kresu swych dążeń. Wszakże nie laury pisarza-poety, ani tryumfy myśliciela, lecz zwycięzką chwałę reformatora miał on na widoku. Całą swą twórczość poczytywał (podobnie jak Krasiński) za „połowę tylko arcydzieła swego życia;" drugą jego połową miały być czyny, wymarzone czyny wielkiego odrodzenia i wielkiej przemiany, zdolne „świat rzeczywisty wokół siebie stworzyć równy pięknością światom ideału." Zapowiedzią ich słowa, stanowiące zakończenie wróżebnego poematu:

„Oto mój poranek, dzień mój się poczyna i *wielkie południe* niebawem nadejdzie."

„Tak rzekł Zaratustra i opuścił swą jaskinię, pełen żaru i siły, jak słońce poranne, gdy z pośród gór ciemnych się wznosi."

Ani przypuszczał nieszczęsny zwiastun nadczłowieka, że południe jego już minęło, że wkrótce nadejdzie ciemna, beznadziejna noc, po której nigdy już nowy nie zaświta poranek.

VIII.

Ostatni, przypadający po Zaratustrze, niespełna trzyletni okres działalności Nitzschego jest jakby ostatnim aktem tragedyi jego myśli i życia, zakończonej okropną katastrofą obłędu.

Dużo rozprawiano o istotnych jej przyczynach. Jedni widzieli tu tylko przypadkowość czysto fizyczną, następstwo nadmiernej pracy mózgowej — inni skłonni byli widzieć raczej ostateczną konsekwencyę wszystkich uprzednich z gruntu fałszywych dążeń duchowych. Najbliższem prawdy wydaje mi się zdanie głębokomyślnego filozofa-mistyka, Włodzimierza Sołowiewa.

„Nietzsche, mówi on [1]), dążył do nadczłowieka, a wzniósł się tylko do nadfilologa. Chciał stworzyć ideał życiowy, a stworzył ideał literacki z wiedzy książkowej wysnuty. Tego tryumfu filologii nad głębszemi nierównie dążeniami swego ducha, znieść nie mógł i wpadł w obłęd. Tem udowodnił szczerość i szlachetność swej natury i napewno zbawił swą duszę. Nie wierzę w czysto fizyczne przyczyny chorób umysłowych; wkrótce nikt wierzyć w nie nie będzie. Rozstrój psychiczny w podobnych wypadkach jest ostatecznym sposobem samowybawienia się wewnętrznej istoty człowieka przez poświęcenie widzialnej mózgowej jego jaźni, która okazała się niezdolną do rozwiązania moralnych zadań naszego bytu.“

Sąd ten słusznym mi się wydaje, z tem zastrzeżeniem wszakże, że należałoby tu mówić raczej o artystycznym aniżeli o filologicznym ideale Nietzschego. Ale taki czy owaki, był to szczerzy, głęboko umiłowany ideał wiary w wyższe cele i zadania ludzkości. W wierze, która go natchnęła, w miłości, która go ożywiała, była prawda duszy wzniosłej i szlachetnej, w jego treści myślowej był ogromny błąd umysłu, owładniętego szałem pychy, unoszonego po za najdalsze granice możliwości niepohamowanym lotem genialnej wyobraźni twórczej. Umysł całkiem opanowany fantastycznym tworem swej myśli w tym obłędnym, szalonym locie, ale wiara i miłość, które lot ten z taką mocą pobudzały, jakże wymownie świadczą o potędze i wzniosłości, przejawiającej się w nich duszy!

Sam Nietzsche uświadamiał sobie i określił w zwięzłym wierszu tę pożerającą go wewnętrznie siłę dążeń wybujałych.

---

[1]) Tri razgowora. Petersb. 1901. Str. 239.

Wiem ja dobrze, skąd pochodzę:
Jako płomień światem chodzę,
W żarach własnych trawię się.
Światło wszędy, gdzie się zwrócę,
Węglem wszystko, co porzucę,
Tak, płomieniem życie me!

W ostatnim okresie działalności zuchwałego myśliciela, zanim na zawsze pogrążył się w tragicznym mroku, płomień ten coraz jaskrawszym żarzył się blaskiem. Jak widzieliśmy z zakończenia Zaratustry, Nietzsche miał teraz na widoku jakąś dodatnią twórczą pracę, mającą zbliżyć przyjście „wielkiego południa," t. j. pełny rozbłysk i realizacyę wśród ludzkości idei nadczłowieczeństwa. Nie mógł wszakże nie dostrzedz, jak daleką od niej była rzeczywistość współczesna. To też, wbrew swym chęciom pozytywnego tworzenia, musiał prowadzić dalej poprzednią negatywną pracę krytyki burzycielskiej, i z tem większą bezwzględnością teraz ją rozwijał, im goręcej pragnął wznosić nowe konstrukcye życiowe na miejsce tych, które tak zawzięcie burzył.

Pisma polemiczne Nietzschego z ostatniej epoki odznaczają się niezmierną gwałtownością tonu, myśli w nich rozwinięte co chwila wpadają w dziką paradoksalność lub nawet wykrętną sofistykę, nawet forma stylowa traci nieraz dawną miarę artystyczną: wpada w samowolną fantastykę i przeładowanie barokowe. Oczywiście spotkać w nich można nieraz prawdziwe klejnoty artyzmu oraz porozrzucane tu i owdzie bogate skarby myśli głębokich i oryginalnych, ale ciągłości i jednolitości mniej w nich, niż kiedykolwiek.

Są to aforyzmy i fragmenty uderzające z szaloną werwą i niemniejszą zaciekłością na instytucye, stosunki, niekiedy i na osoby współczesne. „Po za kresem dobra i zła" i „Genealogia moralności" zwalczają podstawowe zasady moralne ustroju społecznego. Nietzsche rozwija tu swą arcyparadoksalną i bardzo słabo uzasadnioną naukę o podwójnej etyce panów i niewolników. Pierwsza ma być etyką zdrowego egoizmu, uznającą za główny czynnik życia siłę i dzielność, jako najwyższe miary wszelkich wartości moralnych i społecznych — druga, to etyka zniedołężniałej w chorobliwem zwyrodnieniu natury ludzkiej, usiłującej zapewnić sobie byt, a nawet przewagę nad zdrową energią życiową przez sztuczne wynoszenie miłosierdzia, litości i miłości bliźniego, jako najwyższych cnót człowieczeństwa. Tamta ma być właściwa wielkim społeczeństwom silnym i żywotnym, przed któremi otwiera się szeroki przestwór rozwoju, jak to widzimy u ludów pierwotnych,

znajdujących się w zaraniu kultury, a także u ludów klasycznej starożytności w pełnym ich rozkwicie — ta ma osiągać przewagę w epokach wyczerpania i zwyrodnienia społecznego, jaką była epoka początków chrześcijaństwa, a także epoka opartej na nim kultury nowożytnej. Chrześcijaństwo — oto, wedle Nietzschego, najistotniejsza przyczyna wszelkich zboczeń i zwyrodnień ludzkości europejskiej, wszelkich trapiących ją niedomagań i chorób społecznych — chrześcijaństwo, które poczęło się wśród najniższych i najsłabszych klas społeczeństwa starożytnego, które następnie sprzyjającą ich interesom etykę niewolników zdołało zaszczepić silnym i dzielnym, a przez to sparaliżować ich energię, uczynić ich pokornymi służkami niedołężnej słabości. Stąd cała kultura europejska zarażona jest chorobliwem niedołęstwem zwyrodnienia, objawiającem się we wszystkich jej prądach rozwojowych aż do rewolucyi francuskiej XVIII-go wieku z jej hasłem równości, wolności i braterstwa, aż do demokratycznych i socyalistycznych dążeń XIX wieku, mających na celu niwelacyę powszechną, zrównanie szczytów ludzkości z najniższemi jej płaszczyznami, pomieszanie jej orłów i lwów z jej stadami bydlęcemi, pasącemi się na soczystych niwach dobrobytu kulturalnego.

Widoczne jest powinowactwo tych teoryj z krytyką i satyrą poprzednich pism Nietzschego. Odnaleźliśmy poprzednio w owych satyrycznych wycieczkach niemało uzasadnionych protestów przeciw skarleniu ideałów życiowych naszej epoki, przeciw właściwemu jej zmaterya lizowaniu uczuć, obniżeniu pragnień Cóż jednak powiedzieć o tem zaprzeczeniu całego jej rozwoju kulturalnego wraz z całą jego przeszłością i przyszłością? Cóż powiedzieć o zaprzeczeniu tego wszystkiego, co ludzkość poczytywała dotąd za najświętszy swój skarb, za najwyższą zdobycz?—Jakichże przekonywających trzebaby dowodów, jak rozległej, wszechstronnej i głębokiej krytyki istniejących stosunków, aby wykazać zupełną ich bezpodstawność i konieczność przeobrażenia ich w duchu nauki o nadczłowieku.

Owóż ani takich dowodów, ani takiej krytyki w ostatnich pismach Nietzschego nie znajdujemy wcale. Pełno w nich genialnych rzutów myśli i przedziwnych oświetleń satyryczno-krytycznych, wspaniały w nich polot idei i przedziwny artyzm formy— ale wszystko to tylko dowody geniuszu myśliciela-artysty, nie przemawiające nic za prawdą jego teoryj. Te na bardzo kruchych wspierają się podstawach, ze stanowiska racyonalnego i naukowego nader łatwo mogą być i były istotnie zbijane. Ale bo też wiemy, co sądzić o rzekomej naukowości i racyonalnem uzasadnieniu

doktryn Nietzschego; wiemy, że są to nie przedmiotowe konstrukcye myślowe, lecz czysto podmiotowe kreacye artystyczne, napełnione bogatą, ale wcale nie umotywowaną treścią ideową.

Sam Nietzsche wszakże daleki był od poczytywania ich li tylko za twory wyobraźni; widział w nich wprawdzie nie dzieła uczonych badań i ślęczeń (któremi zresztą gruntownie pogardzał), lecz płody samorzutnych natchnień; miały to być wszakże natchnienia tworzące nie w sztuce tylko, lecz i w życiu, nagłe przebłyski myśli wieszczej, intuicyjne odczucia i widzenia przyszłych dróg ludzkości. Chodziło teraz o to, aby te ulotne iskry ducha widzącego rozpalić w płomień wiedzy i mądrości, zdolnej oświecić umysły ludzkie, rozjaśnić im szerokie widnokręgi przyszłości, rozpłomienić je ogniem nowych nadziei i nowych pragnień.

Oto zadanie, jakie postawił sobie teraz Nietzsche, usiłując je rozwiązać w ostatnim okresie swej działalności z najwyższem wszystkich sił swoich wytężeniem. Zadanie z natury swej nierozwiązalne, bo pozbawione wszelkiej realnej podstawy w życiu, nie zostało nawet rozwinięte należycie przez podejmującego je tak śmiało myśliciela, udaremnione całkiem przez rychłą i nagłą katastrofę obłędu. Znane nam ono jest tylko z ogólnych, urywkowych zarysów, które znajdujemy w ostatnich, a po części w pośmiertnych pismach Nietzschego.

Jeden z nich obejmuje plan szeroko zakreślonego dzieła p. t. „Przewartościowanie wszelkich wartości“ („Umwerthung aller Werthe“). Miało ono zawierać wyczerpującą krytykę wszystkich podstaw nowożytnej kultury i nowożytnego rozwoju duchowego. Religia, filozofia, nauka, moralność naszej epoki, miały w nim być z całą dokładnością rozpatrzone i ocenione ze stanowiska przewodniej myśli autora i w przeciwieństwie do zwyrodniałych rzekomo ich wytworów miał być rozwinięty ideał przyszłości z wyobrażeniem nadczłowieka i z doktryny wiekuistego powrotu wysnuty.

Z całego planu tego wykonany został w ostatnich miesiącach przed obłędem (ukończony jesienią 1888 r.) jeden tylko rozdział p. t. „Antychryst,“ zjadliwa krytyka chrześcijaństwa, będąca rozwinięciem wspomnianego powyżej poglądu, w którym religia i etyka chrześcijańska, jako główne podwaliny całej kultury nowożytnej, uznane zostały za istotne przyczyny zwyrodnienia współczesnego. I tutaj ten sam sposób obchodzenia się z przedmiotem, tenże sam dogmatyczny ton mędrca w roztrzyganiu najzawilszych i najwyższych zagadnień ducha, taż sama jaskrawość satyry, będącej wyrazem czysto podmiotowych, a najzupełniej bezzasadnych wstrętów i uprzedzeń.

Obok tej zaprzecznej, satyryczno-krytycznej działalności, Nietzsche pragnął zawsze rozwijać dodatnią, twórczą działalność. I w tym zakresie intuicyjne błyski natchnienia, które poczytywał za niemylne przeczucia i widzenia rzeczy przyszłych, chciał rozszerzyć i uzasadnić w rozległym systemie wiedzy o tych rzeczach, zdolnej odkryć i unaocznić ludziom najgłębsze tajniki bytu.

Głównym z nich miała być idea „wiekuistego powrotu.“ Widzieliśmy jak wielkie znaczenie przywiązywał do niej Zaratustra, w pośród jakich walk i wstrząśnień ducha zabłysła ona i uświadomiła się w sercu jego i w myśli, jakimi wspaniałymi hymnami wielbił chwałę tego rzekomego objawienia najgłębszej prawdy bytu. Owóż w następstwie Nietzsche zamierzał podjąć cały szereg prac i badań dla filozoficznego ugruntowania tej idei. W tym celu postanowił zapoznać się z mało znanemi mu dotąd naukami przyrodniczemi. Na silnej ich podstawie spodziewał się oprzeć swą doktrynę, jako niewzruszony pewnik wiedzy, zdolny raz na zawsze rozświetlić widnokręgi życia światłem trzeźwej pozytywnej prawdy, wypłoszyć z serc i umysłów ludzkich wszelkie pozaziemskie ułudy, ku ziemskim celom zwrócić wszelkie ludzkie dążenia i wykazać, że w ich obrębie zawiera się istotne przeznaczenie człowieka.

„Zaklinam was, mówi do swych uczniów Zaratustra, pozostańcie wierni ziemi. Nie odlatujcie od rzeczy ziemskich, nie bijcie skrzydłami waszemi o wiekuisty mur graniczny. Ach, tyle było zawsze dzielności odlatującej! Przywróćcie ją ziemi. Nazad do ciała, do życia: aby ziemi treść jej była oddana, szczero-ludzka treść!“

W wezwaniu tem zawiera się istotne znaczenie idei wiekuistego powrotu, głębokie, wysoce szlachetne jej znaczenie. Nietzsche mówi tu jakby do ludzi współczesnych: „Jeśli nie wierzycie w rzeczy pozaziemskie — a większość was tę wiarę utraciła, bądź całkowicie wraz ze mną, bądź częściowo wraz z ogółem dusz połowicznych, chwiejnych, obłudnych—wierzcież przynajmniej prawdziwie i szczerze w ziemskie rzeczy, wierzcie w trwałą, wiekuistą ich wartość. Nie rozpraszajcie sił waszych w pogoni za ułudnemi marami waszej wyobraźni często za bezduszną formułą, za pustym frazesem, do których w głębi duszy żadnej nie przywiązujecie wagi. Na ziemi skupiajcie swe siły i ku realnym jej celom i zadaniom je zwróćcie.—Zwróćcie ku nim całą potęgę wiary, nadziei i miłości, abyście nie byli, jako zwierzęta bezrozumne, jako maszyny bezduszne, aby skupiona w ziemskim zakresie działalność waszego ducha wróciła ziemi całą jej treść szczero-ludzką (*dass sie der Erde ihren Sinn gebe, einen Menschen-Sinn!*). Wierzcie tedy

w dostojność i trwałość nieśmiertelną życia ziemskiego, spodziewajcie się urzeczywistnienia jego ideałów wiekuistych, miłujcie je całą mocą najszlachetniejszych popędów waszej duszy."

Taki mniej więcej sens, wyrażony rozmaicie w różnych pismach Nietzschego, daje się odnaleźć w idei „wiekuistego powrotu." Jest w nim dążność do udostojnienia życia ziemskiego, dążność do wzniesienia go z nizin znikomej doczesności, na wyżyny niezniszczalnej wieczności. Utraciwszy wiarę w wiekuisty byt pozaziemski, Nietzsche zachował całą żarliwość związanych z nią uczuć czci i uwielbienia, całą moc pragnień, ku nieskończoności zwróconych. Te uczucia, te pragnienia zwrócił teraz ku człowiekowi, ku ziemskiemu jego istnieniu. Człowieka chciał wznieść ponad przyrodzoną jego ułomność, byt jego doczesny, ponad przyrodzoną jego znikomość. Na tej chęci swojej zbudował swą etykę, jedną z najsurowszych i najwznioślejszych, jakie kiedykolwiek powstały. Żądał w niej nadludzkich wysiłków, nadludzkiej mocy w przezwyciężaniu ludzkich aż nadto ludzkich ułomności — żądał dla życia czci, miłości, uwielbienia, nie jako dla kwiecistej niwy przemijających uciech używania, lecz jako dla dziedziny wiekuistych czynów i dążeń, które w trudzie i walce mają uczynić zeń coś nieskończenie wzniosłego, godnego czci najszlachetniejszych istot. Te chęci, pragnienia, porywy, wrzące w jego duszy z całą potęgą nieprzepartych namiętności, dążyły do ujawnienia się na zewnątrz, stały się pobudką twórczej pracy umysłu i wyobraźni, której wynikiem i uprzedmiotowieniem stał się ideał nadczłowieka, stała się doktryna wiekuistego powrotu.

Ale występowała tu inna jeszcze zaznaczona poprzednio pobudka: pragnienie, umiłowanie wieczności.

Są ludzie, co wcale takich pragnień nie doznają, którym obce są zupełnie podobne umiłowania. Ale nie tej miary ludzie, co twórca Zaratustry. Wszakże są krety i inne zwierzęta podziemne, które doskonale sobie żyją bez słońca, upędzając się za żerem w swoich norach i kryjówkach. I w świecie ludzkim bywają takie krety bez słońca idei wyższej, uwijające się w mrokach powszedniości ziemskiej przy kagankach własnego interesu, przy ogniach własnych namiętności, przy znikomych błyskach codziennych uciech życia. Są inni, którzy lubują się owszem promieniami słonecznymi, ale widzą w nich tylko użyteczną życiodajną siłę lub ciekawy przedmiot badań.

Zdarzają się wszakże na tym naszym padole ludzkie orły, co rwą się do słońca wiecznych idei, duchowem powinowactwem ku nim pociągani.

Czy nasza gwiazda dzienna wraz z całym światem widzialnym, przez nią oświecanym, ma być taką ideą?

Nietzsche, utraciwszy wiarę w najwyższe, duchowe słońce słońc, uwierzył w jej wieczność i w wieczność rojącego się w jej promieniach życia.

Pytam tych, co podzielają jego niewiarę, czy mogą niepodzielać jego wiary?

Oto wielka zagadka niewierzącej myśli współczesnej!

Nie chodzi tu oczywiście o teoryę wiekuistego powrotu w jej przedmiotowej treści. Widziana ze stanowiska, jakie tu zajęliśmy, jest ona twórczym wyrazem podmiotowego nastroju duszy, duszy niewierzącej w wieczność pozaziemską.

Czy nie musi ona uwierzyć w wieczność ziemską?

Wiem, co mi na to odpowiedzieć można. Można odpowiedzieć słowami zgrzybiałego, pogrążonego w pozytywizmie swej utylitarnej pracy Fausta:

> Dzielnemu świat ten nie jest zakryty,
> Pocóż mu w wieczność spozierać?

Zgrzybiały już w swej młodości, wystudzony w swem samolubstwie, przeżyty w swem używaniu wiek pozytywnej, utylitarnej pracy rozwinął tę odpowiedź sędziwego poety w cały system pojęć, wierzeń, przekonań. Mędrcy jego mówią nam: Zamykamy przed myślą ludzką, przed sercem ludzkiem dziedzinę „niepoznawalnego," doczesność naszą ojczyzną, „pocóż nam w wieczność spozierać?"

Lecz oto najgenialniejszy uczeń i wychowaniec tych mędrców, na wskroś przepojony ich ideami i doktrynami, pomimo zakazów, spojrzał we wieczność, we wieczność z tych idei i doktryn jedynie wysnuć się dającą. I cóż w niej ujrzał? Ujrzał przejmujący go zgrozą obraz wirującego bezcelowo kręgu istnienia z bezmiarem zjawisk, których ludzka, aż nadto ludzka, niedoskonałość i nędza wstrętem i odrazą napełniły widzącego myśliciela-poetę. Daremnie chciał podnieść obrót tego kręgu w jakieś górne strefy nadczłowieczeństwa, ozłocić je promieniami swych pragnień i nadziei. Zajaśniały one tylko jako odblysk szlachetnej duszy poety, ale w świetle ich tem ciemniejszym okazał się wiekuisty krąg istnienia, światłem wiary nadziemskiej, światłem słońca słońc nierozjaśniony.

Cała twórczość Nietzschego, a osobliwie główny jego twór Zaratustra, to jedna wielka satyra; tragiczna satyra, krwią serde-

czną pisana i rzucona w twarz naszej epoce, jako wierne jej odbicie i doprowadzenie do absurdu przewodnich jej dążności.

Antychrześcijański nasz humanitaryzm uwielbił człowieczeństwo jako ostateczny, najwyższy cel bytu; nasze racyonalistyczne doktryny kazały nam wierzyć w bezgraniczny postęp ziemski, a nie troszczyć się zgoła o wieczność i nieskończoność nadziemską. A oto zjawił się myśliciel-poeta, który nietylko w całej rozciągłości przemyślał i pojął obie te idee, ale także odczuł je i przeżył całą pełnią swego jestestwa i uwidocznił je nam w ostatecznych ich wynikach w chimerycznym ideale nadczłowieka i w ponurej jak zmora wizyi wiekuistego powrotu.

Łatwo wykazać bezpodstawność naukową obu tych pomysłów Nietzschego, ale nie łatwo zaiste zastąpić je innymi, które w czysto ziemskim zakresie mogłyby zaspokoić pragnienia dusz, żądnych wieczności a w niej doskonałości nieskończonej. Dobrze tym, co w materyalnem używaniu nowożytnej kultury, lub w zupełnem podporządkowaniu się bezdusznym jej dążeniom zdołali stłumić w sobie ten wrodzony naturze ludzkiej popęd duchowy. Ale co mają począć ci, w których on żyje zawsze pod gniotącą nas masą powszechnego zmateryalizowania w zabójczej dla ducha atmosferze powszechnej niewiary?

Oto wielka zagadka myśli współczesnej z twórczości autora Zaratustry wynikająca — oto przejawiająca się w niej wielka tragedya jednego z najszlachetniejszych i najnieszczęśliwszych duchów współczesnych.

Walery Gostomski.

PIŚMIENNICTWO.

Z dziejów odrodzenia politycznego Galicyi 1859—1873, przez Michała Bobrzyńskiego, Władysława Leopolda Jaworskiego i Józefa Milewskiego 1905.

W przedmowie autorowie zaznaczają, że jeden epizod z historyi Galicyi w XIX w. pozostał przez dziejopisarzów nieuwzględniony, a jest nim czas od 1859 r. do 1873. Epizod ten jest jednakże nadzwyczaj ciekawy i charakterystyczny. W latach tych jedna z dzielnic polskich wzięła czynny udział w przeobrażeniu wewnętrznem wielkiego państwa, w którego skład wchodzi, w przejściu z rządów absolutnych w konstytucyjne, w przejściu z zasady centralizacyi państwowej w zasadę samorządu i autonomii krajów, w przejściu z systemu bezwzględnej germanizacyi w system równouprawnienia narodowości. Biorąc udział w tem przeobrażeniu, zbaczała czasem pod wpływem wypadków z drogi jasno wytkniętej, opóźniała chwilowo swój rozwój, ale ostatecznie, poraz pierwszy w historyi naszej porozbiorowej, nie zmarnowała warunków korzystnych, które otwarły się dla społeczeństwa polskiego. Wśród różnych dramatycznych przewrotów i przesileń, w których od r. 1859 do 1873 dokonywał się przełom wewnętrzny Austryi, Galicya zdobyła sobie ostatecznie stanowisko i urządzenia, na których mogła oprzeć cały swój dzisiejszy, niedość dotychczas oceniony, rozwój wewnętrzny. Epizod ten z dziejów wewnętrznych Galicyi przedstawia nam nadto rzecz nadzwyczaj ciekawą i ważną, proces dojrzewania politycznego, jaki się wówczas dokonał w społeczeństwie polskiem w Galicyi, przejście z polityki podyktowanej wyobraźnią i uczuciem na politykę podyktowaną rozwagą i zrozumieniem realnych zadań społeczeństwa.

W ogniu namiętnej, politycznej dyskusyi dokonywał się ten przełom uczuć i wyobrażeń, a do zwycięstwa nowego kierunku politycznego przyczynił się nie mało nowy kierunek prac historycznych, podjętych wówczas pod hasłem nagiej prawdy dziejowej.

Ktokolwiek też zdaje sobie sprawę ze znaczenia i wagi historyi owych lat, w których Galicya dokonała odrodzenia swego politycznego, ten rozumie, jaką doniosłość historya ta mogłaby mieć dla całego naszego społeczeństwa w chwili obecnej, gdyby była należycie zbadaną, w szczegółach swych skreśloną i wszystkim dostępną—ten odczuwa, jaką obecnie mogłaby być magistra vitae. Pracy takiej historycznej, niestety, niemożna w krótkim czasie zaimprowizować. Brak do niej studyów przedwstępnych, brak nawet zebranych razem źródłowych materyałów. Materyały te nawet drukowane, jak Sprawozdania stenograficzne Sejmu i Dzienniki praw, tak się rozproszyły i po zbiorach publicznych zdekompletowały, że odszukanie ich w całości jest przedsięwzięciem niemal trudniejszem, niż nabycie drukowanych już średniowiecznych źródeł. Nie mogąc też dostarczyć obecnie społeczeństwu polskiemu pełnej historyi Galicyi z 1859—1873, postanowiliśmy (piszą autorowie) zastąpić jej brak wydaniem niniejszej książki, która w krótkim czasie ułożyć się dała, a do historyi tej doby najważniejsze podaje wskazówki część pierwsza książki, opracowana przez Michała Bobrzyńskiego. Kreśli on krótką i przedmiotową kronikę ówczesnego rozwoju politycznego Galicyi, a jako objaśnienie jej i rozwinięcie podaje wybór aktów prawno-politycznych, w których odzwierciadlają się usiłowania polityczne i osiągnięte przez nich wyniki. Część druga książki opracowana przez Władysława Leopolda Jaworskiego przedstawia wykaz literatury politycznej, która rozwijała się na tle ówczesnych wypadków, objaśniała je, uzasadniała a niejednokrotnie nawet je wyprzedzała; następnie zaś podaje obszerne wyciągi z tych rozpraw, które ówcześnie na umysły społeczeństwa największy wpływ wywarły, a dziś nie pozbawione są żywej aktualności. Inteligentny czytelnik, który nie ulęknie się pewnego trudu połączonego z odczytaniem dostarczonych mu w ten sposób materyałów, odtworzy sobie żywo całą treść ówczesnego życia politycznego i wypadków, a będzie miał to zadowolenie, że sąd o nich wytworzy sobie sam, z pierwszej ręki. W celu uczynienia sądu sprawiedliwym, wydało się autorom potrzebnem stawienie czytelnikowi przed oczy także wyników, jakie w Galicyi osiągnęła praca organiczna, która się oparła na urządzeniach zdobytych w epoce walk konstytucyjnych. Część trzecia książki opracowana przez Józefa Milewskie-

go, podaje w tym celu zestawienie porównawcze najważniejszych dat statystycznych.

Po treściwej przemowie, w której jasno i wyraźnie wskazano zadanie, jakie autorowie podjęli wydając powyższą książkę, spotykamy się z kroniką polityczną Galicyi począwszy od r. 1859, t. j. od chwili, gdy manifest cesarski oznajmił ludom austryackim wojnę włoską z Piemontem i Francyą, aż do czasu, gdy rząd na podstawie nowej ustawy patentem z d. 7 września 1873 r. zarządził bezpośrednie wybory do Rady państwa, a wybrani przez ludność posłowie polscy z Galicyi postanowili w Radzie państwa wziąć udział. Kronika polityczna Galicyi napisana treściwie może służyć za dobrą informacyę poza Galicyą, ale z powodu skromnego kronikarskiego materyału za mistrzynię życia — magistra vitae, w żaden sposób uchodzić nie jest w możności. W dziale obejmującym wybór aktów prawno-politycznych odnoszących się do historyi Galicyi w latach 1859—1873, spotykamy istotnie najważniejsze dokumenty przedrukowane z dzienników praw a nawet z książek, które w ten sposób przedstawiają wyborną prawodawczą i polityczną informacyę. W każdym razie nawet dla inteligentnego czytelnika, podany w tej formie obraz organizacyi polityczno-administracyjnej Galicyi nie jest zachęcającym. Zoryentować się w nim będzie mógł ten tylko, kto przejrzy przedewszystkiem dokładnie dzieło Ulbricha prawu państwowemu austryackiemu poświęcone, z którego w systematycznym wykładzie pozna cały ustrój polityczny Galicyi. W dalszym ciągu książki spotykamy „Spis ważniejszych rozpraw politycznych (1859—1873),“ na których czele zamieszczono, niewiem czy zupełnie słusznie, Wiadomości polskie, tygodnik wychodzący w Paryżu w latach 1857 do 1861, pod redakcyą Klaczki, Kalinki i Wrotnowskiego. Annektując niepotrzebnie paryskie wydawnictwo, opuszczono zarazem wydawnictwa galicyjskie następujące: 1) w r. 1871 wydany został w Krakowie „Projekt ustawy sądów gminnych wiejskich z przejściem do powiększonej administracyi gminy;“ 2) we Lwowie ukazał się w 1868 r. „Podręcznik dla zarządów gminnych“ (trzecie wydanie), a 3) w Wadowicach w r. 1867 Langego, „Komentarz dla ustawy gminnej, wyłącznie dla urzędów gminnych wiejskich,“ pouczający o ich zakresie działania. W tymże czasie zaczęto wydawać czasopismo „Gmina“ w celu nieustannego śledzenia rozwoju życia gminnego i wykazywania niedostatków nowej ustawy.

Następnie autorowie przytoczyli wyjątki z rozpraw politycznych. Spotykamy się w tej części książki z rozumnemi i roz-

ważnymi artykułami Pawła Popiela, Józefa Szujskiego, Stanisława Tarnowskiego i Stanisława Koźmiana. Żal jednak, że autorowie ograniczyli publikacye w ciasnem, jakby stronniczem kole, i że wyłączyli ze swej książki cenniejsze rozprawy sejmowe. Ostatni, i bodaj czy nie najważniejszy, rozdział książki zatytułowany został: „Rezultaty.“ Zaznaczono w nim, że Galicya nie osiągnęła w epoce wzmiankowanej tego, czego pragnęła i o co walczyła— zupełnego samorządu i autonomii, musiała się zadowolić częściowym w tych kierunkach wynikiem. Zdobyła sobie ustawodawstwo w pewnych tylko działach administracyi, w innych ustawodawstwo zależne od ustaw państwa, w innych wreszcie podległa wyłącznie ustawom państwowym. Zdobyła sobie zarząd w pewnych tylko działach zupełny, w innych ograniczony, w innych (mianowicie szkolnym) podzielony z rządem. Po bezskutecznych próbach rozszerzenia tego samorządu i autonomii, Galicya w roku 1873 pogodziła się z położeniem i zaniechawszy dalszych walk politycznych, w pozostawionych sobie granicach przystąpiła do usilnej pracy nad podźwignięciem kraju kulturalnem i ekonomicznem. Czy miała w tem rację, czy dobrze uczyniła, o tem można sądzić wedle następstw i skutków. Sąd ten pragnęli autorowie ułatwić czytelnikowi i dlatego w rozdziale ostatnim podali niektóre cyfry stwierdzające, co, w jakim stopniu i w jakim kierunku zrobiono.

W pracy podźwignięcia Galicyi był szereg trudności niepospolitych. Pierwszą był sam ogrom zadania, spotęgowany przez zaniedbanie na wszystkich polach. Brak było krajowi życzliwej, opiekuńczej ręki rządu, a wciągnięty od r. 1796 w jeden okrąg celny z dużo wyżej rozwiniętymi i przez rząd protegowanymi krajami, jak Śląsk, Morawy, Czechy, Niższa Austrya, był skazany na ciężką walkę ekonomiczną, niemal zdegradowany na poziom prowincyi przeznaczonej wyłącznie na eksploatacyę, na wzór kolonii dawnego systemu kolonialnego. W braku możności rozwoju kraju pod ochroną ceł własnych ochronnych, byłoby potrzeba wielkich, olbrzymich poprostu zasobów materyalnych, aby w szybkim czasie zwrot na lepsze uzyskać. Ale o zasoby te materyalne było i jest bardzo trudno. Galicya jest wogóle krajem ubogim, odepchniętym górami i granicami celnemi i od dobrych komunikacyj i od korzystnych rynków zbytu czy nabycia. Stąd nie można się łudzić, aby kraj był w stanie tak wysokie ciężary podatkowe ponosić, jak kraje bogate, zdolne przez to i absolutnie i relatywnie wyższe podatki uiszczać, a możność podatkowa kraju była w pierwszym rzędzie zużyta na państwowe podatki, wy-

sokie zdawna i peryodycznie wzrastające, niezostawiające nietkniętem żadnego źródła, skazujące kraj i całą autonomię przeważnie tylko na resztki możności podatkowej, na okruchy dodatków do podatków, z których miały żyć i działać i kraj, i powiat, i gmina.

A i te okruchy były obarczone pierwotnie kolosalnym ciężarem: indemnizacyą, t. j. spłatą i oprocentowaniem pożyczki, zaciągniętej na przeprowadzenie uwłaszczenia i zniesienia pańszczyzny. W r. 1866 wyniosły dodatki na rzecz kraju t. j. całej jego działalności 12 centów, na rzecz indemnizacyi 51 centów od 100 centów podatków państwowych. I tak trwało przez długi szereg lat, aż do r. 1878, indemnizacya zabierała 51%, kraj mógł na wszystko inne brać tylko 30—34%. Dopiero od r. 1878 stopniowo zniża się dodatek indemnizacyjny, aż ustępuje jako taki przy konwersyi z r. 1894. Dalej musiał się kraj liczyć z ciężarem, jaki mu sprowadzi wykup średniowiecznej pozostałości: propinacyi, jako prywatnego prawa. Istnienie propinacyi, nie wchodząc tu w jej ocenę z innego niż finansowego tylko punktu widzenia, było redukcyą możności podatkowej kraju, wykup tego prawa na rzecz kraju związał dochody z tego źródła na rzecz specyalnego celu, oprocentowania i amortyzacyi obligacyj propinacyjnych. Może w przyszłości rezerwy funduszu propinacyjnego i samo to prawo krajowe w tej czy innej formie, służyć będą na rzecz skarbu krajowego, ale dotąd nie służyły, miały w całej przeszłości negatywne, uszczuplające możność podatkową znaczenie. Wśród tych trudności rozwijał się budżet: gospodarstwo kraju. Pierwszy budżet przedstawiony sejmowi do uchwały, przygotowany jeszcze przez namiestnictwo, a przez sejm uchwalony był na rok 1866. Łączna suma rzeczywistych wydatków krajowych wyniosła 1866 r. 1,158,062 korony, a budżet uchwalony na r. 1906 wyniósł 27,211,151 koron. Różnica w cyfrach olbrzymia, a niemniej wielką i znaczną jest w kierunkach i w zakresie wydatków. Dla porównania zestawiono je obok siebie. Z zestawienia powyższego pokazuje się, że wydatki na oświatę czyniły w r. 1865 15,2% a w r. 1905 38,2%, drogi krajowe w pierwszym budżecie 5% w ostatnim 13,8%, wydatki zdrowotne w pierwszym 4,1% w ostatnim 11,8%, budowy wodne i melioracye, rolnictwo, górnictwo, przemysł i rękodzieła nie miały w r. 1866 żadnej dotacyi, obecnie wydatki te czynią 16%; natomiast długi obciążają dorocznym ciężarem w wysokości 10,8%, a wtedy zabierały przeszło cztery razy tyle (51:12), jak dodatki podatkowe na rzecz budżetu, które wówczas 93% dochodów budżetu stanowiły.

Czterdziestoletnia gospodarka finansowa kraju stwierdziła, że wyleczyliśmy się z wady tradycyjnego złego gospodarstwa. Racyonalna polityka finansowa, licząca się z środkami, cierpliwa a wytrwała, stała się programem wszystkich poważnych stronnictw sejmu. Prócz finansowej zasługi, ma ten fakt moralną i polityczną doniosłość. Moralną, bo stwierdza, że umiemy wyzbywać się dawnych błędów i wad, a teorya ewolucyi społeczeństw uczy, że tylko te narody utrzymują się wśród międzynarodowego współzawodnictwa w narodowej walce o byt, które umieją wykorzenić swe błędy i wady, nabywać moralne siły. Polityczna doniosłość znów na tem polega, że stwierdziliśmy, iż umiemy rządzić się sami, pomimo szczupłości pozostawionych nam publicznych źródeł dochodu, że nam nie potrzeba kurateli, a umiejąc prowadzić gospodarkę kraju, bez obcej pomocy, stworzył kraj warunki dla zyskania coraz poważniejszego politycznego stanowiska. I w tym artykule, przedstawiającym rezultaty czterdziestoletniej gospodarki finansowej, radzibyśmy byli dowiedzieć się nieco więcej szczegółów o gospodarstwie publicznem niższych organów samorządu, jak gmina i powiat, z tem wszystkiem przyznać należy, że cyfry i uwagi, zamieszczone w „Rezultatach“ są interesujące i przekonywujące, tak, że w tym rozdziale spotykamy się z najwymowniejszymi i najdonioślejszymi dowodami odrodzenia Galicyi.

W ogóle pochwalić należy przedewszystkiem zacną myśl, która przewodniczyła autorom przy wydaniu niniejszej książki. Rzeczywiście bowiem polityka Galicyi z tej doby może służyć za przykład całemu społeczeństwu polskiemu, jak należy postępować, aby niezmarnować korzyści, jakie ze stosunków bieżącej polityki wypływają. Nie dzielę wprawdzie zdania autorów, że jedynie Galicya od czasu rozbioru Polski wyzyskała należycie sytuacyę polityczną, gdyż sądzę, że uczyniła to jeszcze lepiej Wielkopolska w r. 1806 i Księstwo Warszawskie w r. 1809, ale przyznaję, że na polu pokojowej pracy rekonstrukcyjnej, należy się Galicyi całkowite uznanie i powinno ono służyć całemu społeczeństwu polskiemu jako przykład ze wszech miar godny naśladowania. Myśl zatem autorów, aby podać społeczeństwu obraz odrodzenia się Galicyi, była myślą zdrową i polityczną. Wykonanie tylko skutkiem niepotrzebnego pośpiechu, nie jest zupełnie udatnem i grzeszy miejscami zbyteczną pobieżnością. Literatura polityczna galicyjska jest dość bogatą, tak, że bez wielkich zachodów możnaby było kronikę polityczną rozszerzyć i pogłębić. Zamiast też przytaczania aktów prawnopaństwowych, dotyczących Galicyi, które odstraszają nawet inteligentnego czytelnika, można było dać syste-

matyczny obraz autonomii galicyjskiej, zrozumiały dla każdego. Nie należało przytem pomijać odrodzenia się Galicyi i na polu szkolnictwa. Choćbyśmy jednak powiększyli znacznie szereg zarzutów, przyznać musiemy, że praca odrodzeniu Galicyi poświęcona, zawiera wiele spostrzeżeń trafnych i doniosłych, świadczących w dodatni sposób o nauce i doświadczeniu autorów. Niewątpliwie książka powyższa zainteresuje szczerze społeczeństwo nasze, bo jest to praca w całem znaczeniu tego słowa na dobie.

A. R.

PIOTR GÓRSKI. *Z naszego sejmowania.* 1-o Potrzeba zmian i reform. 2-o Materyały. Kraków, 1905.

Zastanawiając się nad regulaminem Sejmu galicyjskiego, autor przychodzi do przekonania, że wykwintny, poważny ton, wytworna przystojność obrad Sejmu świadczą o utrzymaniu w Galicyi form i obyczajów parlamentaryzmu, a nadmierna, niezrównana pracowitość Sejmu daje dowód, że nie tylko co do formy Sejm galicyjski utrzymuje się na wyżynie ciała prawodawczego z najlepszych czasów. Kiedy machina parlamentu centralnego w Austryi od wielu lat stanęła, kiedy za przykładem rady państwa coraz częściej w innych krajach koronnych zdarzają się skandaliczne sceny i zajścia, kiedy wiele sejmów koronnych uległo ogólnej epidemii obstrukcyi i budżetu nawet krajowego uchwalić nie może, kiedy w innych ciałach parlamentarnych za granicą coraz częściej zdarzają się gorszące wybryki, świadczące o pewnem zwyrodnieniu parlamentaryzmu, galicyjska większość sejmowa stoi na straży, aby tę najsilniejszą podstawę krajowego samorządu nie tylko ustrzedz od wszelkich tego rodzaju zgubnych objawów, i doprowadzić do tego, żeby był wzorem tradycyi i obyczajów parlamentarnych, był przykładem poczucia obowiązku w spełnianiu zadań ciała prawodawczego.

A kiedy to wszystko z radością i chlubą stwierdzić możemy, pisze autor, nie wolno nam poprzestać na tem co jest, ale potrzeba wytężyć wszelkie starania, ażeby było jeszcze lepiej. To jest jedyny warunek rozwoju i postępu. Nie można zaniedbywać ulepszeń w najdrobniejszych nawet szczegółach, a należy przedewszystkiem starać się o naprawę stosunków w najważniejszych rzeczach. W tym celu potrzeba, aby sesye sejmowe były dłuższe.

Galicyjskie ciało prawodawcze obarczone jest ogromnym ciężarem mnóstwa czynności administracyjnych, które powtarzają się co roku. Kiedy Sejm się zbierze, komisye zarzucane bywają stosami referatów natury przeważnie administracyjnej. Załatwianie ich wymaga co najmniej kilku tygodni czasu a wśród nawału tego rodzaju referatów zaledwo znaleźć można miejsce na przeprowadzenie kilku ważniejszych lub mniej ważnych ustaw. Posłowie, zjechawszy się na Sejm, porwani są od razu wirem pracy, prowadzonej w tak przyspieszonem tempie, tak nieustannie zajęci są posiedzeniami komisyj i klubów, że nie mają czasu rozejrzeć się spokojniej w stosunkach, zastanowić głębiej nad stanem ogólnych urządzeń kraju. Jeżeli w ostatnich tygodniach Sejmu pięć drukarni we Lwowie nie może nastarczyć, ażeby wydrukować wszystkie przełożenia i sprawozdania Sejmowe, jak można żądać od pojedyńczego posła, aby nadążył tej pracy i siłami swemi fizycznemi sprostał temu, czemu pięć machin parowych sprostać nie może?

Posiedzenia Izby odbywają się stanowczo za często i trwają za długo; zaczynają się bowiem o 10 rano i przeciągają się często do późna w nocy. W czasie posiedzeń Izby, odbywają się jeszcze ciągle posiedzenia różnych komisyj. Posłowie, którzy mają do załatwienia większe referaty lub chcą studyować wszystkie przełożenia, mają jedną tylko alternatywę: albo poświęcić temu noce, albo opuszczać posiedzenia i być w komisyi. Dopiero kiedy większa część materyału pracy w komisyach przewalomą została, kiedy posłowie pokończyli swe referaty, komisye nie obradują już w takiem przyspieszonem tempie i w kołach poselskich zaczyna się przejawiać jakieś głębsze zastanowienie nad całością pracy sejmowej. Tak samo, kiedy Sejm załatwił mnóstwo administracyjnych drobiazgów i wniosków samoistnych, zaczyna się wytwarzać w Izbie atmosfera inna, nowa, wyższa, ale zwykle wówczas bywa koniec, zamknięcie sesyi. Projekty, dobre zamiary, chęci odkłada się na rok przyszły, posłowie rozjeżdżają się, aby na przyszły rok rozpocząć na powrót robotę ab ovo. I to się powtarza co roku. Dlatego trzeba, aby sesye sejmowe trwały dłużej, aby wtedy właśnie, kiedy Sejm upora się z większą częścią spraw natury administracyjnej, była daną możność podjęcia poważniejszej pracy prawodawczej w spokojniejszem tempie.

Oprócz tego potrzeba pewnych zmian w sposobie prowadzenia obrad i prac Sejmu. Należy dążyć do tego, aby Sejm nie przybierał charakteru jakiejś większej rady powiatowej i w tym celu pewne zmiany w prowadzeniu obrad Sejmu dałyby pożądane rezultaty. Każdego dzisiaj uderza porządek dzienny, który obej-

muje kilkanaście albo kilkadziesiąt punktów, czego w żadnem innem ciele prawodawczem nie ma. Następnie zadziwia sam przebieg posiedzenia. Po załatwieniu zwykłych, wszędzie przyjętych i znanych formalności, następuje coś, co w galicyjskim Sejmie zabiera więcej czasu a nosi utartą nazwę t. zw. cichej mszy. Trwa to na pierwszych posiedzeniach dłużej, ale zdarza się i do końca, a odbywa się w ten sposób, że referenci Wydziału Krajowego wstępują jeden po drugim na trybunę i czytają coś cicho, czego nikt w izbie nie słyszy. W ten sposób Wydział Krajowy wnosi różne przełożenia do izby krajowej. Po takiej cichej mszy następuje znowu coś zupełnie nowego, t. zw. monologi, t. j. mowy posłów, którzy postawili samoistne wnioski i zabierają głos do uzasadnienia. Te monologi trwają zwykle bardzo długo i mają tę właściwość, że zazwyczaj nikt ich nie słucha i nikogo nie interesują. Mowy te dla tego są monologami, że nie ma nad niemi dyskusyi, mówcy nikt nie oponuje. Po skończonej cichej mszy i po monologach rozpoczynają się dopiero właściwe rozprawy Sejmu. Ale tu spotykamy się z rzeczą gdzieindziej nie bywałą, albowiem rozprawy w Sejmie niema. Izba uchwala jedną sprawę po drugiej, bez dyskusyi, albo co najwyżej na podstawie tak zwanego dyalogu. Dyalogi te tworzą specyalność Sejmu, ale dopiero od kilku ostatnich lat. Dyalogami są wystąpienia dwóch opozycyjnych posłów, którzy przy każdej sposobności głos zabierają, wypełniają posiedzenia Sejmu swemi długiemi kilkogodzinnemi przemówieniami, po kilka razy na dzień mówią i ze sobą tylko najczęściej polemizują.

W tych warunkach wytwarza się w izbie atmosfera przeciwna dyskusyi. W każdym klubie sejmowym, na każdem zebraniu i w kole sejmowem jest dążność do dyskusyi, a tymczasem w Sejmie jest dążność odwrotna. Z wyjątkiem niektórych ważniejszych ustaw albo takich jak sprawy szkolne, które zawsze wywołują długą dyskusyę, rozpraw sejmowych w ogólności jest bardzo mało. Pewne uproszczenia dałyby się osiągnąć i bez zmiany regulaminu, tylko za pomocą innego uporządkowania i prowadzenia spraw sejmowych. Gdyby stworzono główne referaty w sprawach rolniczych, przemysłowych, sanitarnych etc. a te sprawozdania obejmowały i łączyły kilka dotyczących sprawozdań wydziału krajowego i wszystkie odnośne samoistne wnioski poselskie, natenczas wytworzyłaby się w Sejmie dłuższa, może kilka dni trwająca dyskusya, po kolei wyłącznie o sprawach rolniczych, potem o sprawach kolejowych, przemysłowych, sanitarnych etc. Taka dyskusya byłaby systematyczna i gruntowniejsza a przedewszystkiem refe-

rat i dyskusya przedstawiałyby pewną całość. Taka rzeczowa dyskusya przedstawiałaby dla wydziału krajowego i organów wykonawczych, dla kierowników różnych zakładów krajowych i dla kół interesowanych bezporównania więcej materyalnych korzyści i wskazówek, w jakim kierunku działalność rozwinąć należy. Dzisiaj to wszystko jest rozbite, rozproszone, zatomizowane między najrozmaitsze referaty. Zadaniem i właściwością ciała prawodawczego nie jest referat, ale wyczerpująca, a zwłaszcza gruntowna rozprawa. Sprawozdanie komisyjne nie zawiera najczęściej tego, co jest najważniejszą rzeczą w pracy sejmowej, t. j. krytyki. Jeżeli zatem w Sejmie dyskusyi niema, to odpada to wszystko, co było główną rzeczą, co miało pracę sejmową uczynić płodniejszą i wydatniejszą. Tymczasem gruntowna i krytyczna rozprawa sprowadziłaby od razu więcej zespolenia i łączności między Sejmem a krajem, niż dzisiejsze monologi i dyalogi.

Następnie Wydział Krajowy nie powinien się ograniczać do tego, aby był tylko wykonawcą poleceń Sejmu; Wydział Krajowy powinien być inicyatorem wobec Sejmu tych wszystkich reform, których przeprowadzenie uważa dla dobra kraju za konieczne, Wydział Krajowy powinien być raczej rodzajem rady stanu, niż dążyć do tego, aby rozrastać się w wielką machinę biurową, która stara się o powiększenie swych agentur i stara się o powiększenie wpływu środkami biurokracyi i centralizacyi. Wydział Krajowy oddziaływa na Sejm więcej niż sobie z tego posłowie i opinia publiczna sprawę zdają. Jaki jest Wydział Krajowy i jego praca, taki jest Sejm i jego czynności, a nie odwrotnie. Dla tego też koniecznie potrzebną jest krytyka czynności i działania Wydziału Krajowego, krytyka przedmiotowa, podyktowana względem na to, czego dobro kraju wymaga. Wydział Krajowy stoi zawsze na tem zasadniczo prawidłowem stanowisku, że wszystkie polecenia Sejmu wykonywa co do joty i na najbliższej sesyi sejmowej o sposobie wykonania zdaje sprawę. To stanowisko Wydziału jest niewątpliwie poprawnem, ale tylko formalnie. Wydział Krajowy rozwija się na wewnątrz i rozwija na zewnątrz swą działalność niejako mechanicznie, automatycznie. Wydział Krajowy programu ani ogólniejszego, ani ściślejszego właściwie niema. Wydział Krajowy czeka na inicyatywę posłów, ta inicyatywa jest przypadkową, pochodzi z najrozmaitszych stron Izby, rezolucye wychodzą z przeróżnych komisyi, których skład i większość bywa różnorodną. Przytem niema krytyki Wydziału Krajowego w Sejmie. To jest fakt w istocie nieznany gdzieindziej i zadziwiający. W Sejmie bowiem krytykuje się wszystko: rząd, radę szkolną, krajową, wła-

dze skarbowe, krytykują się wszelkie możliwe rzeczy, stosunki i instytucye publiczne, słowem wszystko, prócz Wydziału Krajowego.

Główną przyczyną tego jest konwencyonalizm. Utarło się na początku istnienia autonomii, że naszej autonomii krytykować nie wolno. Jeżeli się ktoś o tej autonomii albo o Wydziale Krajowym gdziekolwiek po za Sejmem krytycznie odezwie, to jeszcze nie razi tak dalece, ale odezwanie się z trybuny krajowej staje się karygodnym występkiem przeciw wszechwładnemu konwencyonalizmowi. Tymczasem pod wpływem krytyki wszystkie instytucye kształcą się, rozwijają i doskonalą. Najwięcej zaś krytyki i kontroli potrzebuje administracya. Bez krytyki jest powierzchowność i jałowość wszędzie. Przy braku krytyki bierze górę forma, szablon nad meritum sprawy. W Wydziale Krajowym jest w porównaniu do dawniejszych lat znaczny postęp na lepsze. Jest wielka praca, jest porządek, precyzya w funkcyach administracyjnych. Wszyscy wiedzą, że obecny marszałek krajowy daje przykład wyjątkowej pracy, energii, zdolności obserwowania wszystkiego. To jednak właśnie budzi obawę, bo nie zawsze można liczyć na tak wyjątkowe zdolności i tak wyjątkową energię. Zachodzić może bardzo poważna obawa, że gdyby stanął kiedy na czele wielkiej machiny autonomicznej człowiek mniej zdolny, lub mniej energiczny, wyjdą wkrótce na jaw wady i ujemne strony, które się aż nazbyt często po magistratach, biurach, wydziałach powiatowych widuje. Pracowitość Sejmu, biur, komisyj, ta dążność, aby wszystko przeprowadzone było, żeby wszystkie biura komisyj swoje sprawy załatwiły, żeby Wydział Krajowy przedłożył sprawozdania o wszystkich poleceniach Sejmu—to wszystko niewątpliwy postęp. A jednak to wszystko postęp formalny. Wszystkie najważniejsze rzeczy, wszystkie zadania i reformy i naprawy stosunków w wyższym stylu Sejm odkłada na bok, bo w tym względzie nie ma żadnych przedłożeń ani Wydziału Krajowego, ani rządu, a jeśli czasami Sejm zwróci uwagę na ważniejsze zagadnienia, to wskutek wniosku, pochodzącego z inicyatywy poselskiej, który wywołuje tylko chwilową dyskusyę. O ujemnych stosunkach zwykle niema wzmianki. Tymczasem obraz rzeczywistego stanu jest nad wyraz smutny, jest nieporządek, jakiego gdzieindziej niema, administracya ciężka, nieudolna i wadliwa, ustawy nie są wykonywane.

Rząd ma tę wymówkę, że naprawa stosunków do autonomii należy. Wydział Krajowy stanął na wygodnem stanowisku, że póki mu Sejm nie da wyraźnego polecenia, póty on nie czuje się powołanym do podjęcia inicyatywy. Tymczasem kraj potrzebuje programu nietylko stronnictw, ale i rządu. Trzeba przyznać, że

zamiast podjęcia wielkiego zadania reformy, były próby małych środków. Takim półśrodkiem była myśl propagowana przed kilku laty wprowadzenia w życie lustratorów powiatowych, gminnych, przeprowadzenia jak największej liczby lustracyi w gminach, miasteczkach i wizytacyi po powiatach przez delegatów Wydziału Krajowego. Lustracye jednak złego usunąć nie mogły, gdyż wady i błędy tkwiły w nieodpowiedniej konstrukcyi machiny administracyjnej. Kiedy ten środek zawiódł, obiecywano sobie wiele z zaprowadzenia w Wydziale Krajowym kursów dla pisarzy gminnych. Pisarz jest jednak tylko od pisania aktów, od wystylizowania odpowiedzi na „kawałki," które przyjęto ze starostwa i wydziału powiatowego. Osiągniętym jest ten wielki postęp, że kawałki będą bardziej czytelne, bardziej zrozumiałe. Jest to więc tylko wielki postęp z punktu widzenia biurokracyi w naszej autonomii.

Zachowanie się Wydziału Krajowego w sprawie reformy gminnej i administracyjnej jest wynikiem biurowego oportunizmu unikania rzeczy trudniejszych. Drobne, łatwe rzeczy przedkłada, gorliwie popiera, większej akcyi i reformy nie podejmuje. Wydział Krajowy może przytoczyć jedną okoliczność na swoją obronę a mianowicie, że Sejm, załatwiając w r. 1890 wnioski Dunajewskiego, wezwał rząd a nie Wydział Krajowy, aby projekty ustaw wygotował. Po biurokracyi wiedeńskiej nie można się jednak spodziewać należytego poparcia potrzeb krajowych. Biurokracya wiedeńska, nawet gdyby nie miała niechęci i uprzedzeń dla Galicyi, jest zanadto krótkowidzącą. Czyż jednak dla tego, że biurokracya wiedeńska jest krótkowidzącą, galicyjskie władze rządowe i autonomiczne mają iść za tej biurokracyi przykładem? Wszystkie wydziały krajowe w austryackich krajach koronnych, rozwinęły się mniej więcej na wzór dyskasteryj rządowych, bo innych wzorów przed sobą nie miały, a dualizm w administracyi całą autonomię wszędzie stawiał na z gruntu fałszywych podstawach. Nigdzie jednak Wydział Krajowy nie doszedł do takiego zenitu biurowego rozwoju, jak w Galicyi. Administracya autonomiczna wydaje coraz mniej talentów administracyjnych, coraz mniej ludzi do niej się garnie. Tymczasem wszyscy w tem mają wielki interes, aby w Galicyi był ład, porządek i należyty rozkwit, aby samorząd galicyjski nie stawał się machiną biurową, ciężką, powolną i kosztowną, ale żeby był dowodem, że Galicya dobrze się rządzić potrafi i idzie ku lepszej przyszłości. W końcu pracy dr. Górskiego została zamieszczona bardzo interesująca „Kartka z kroniki sejmowej" dyskusya o Zakopanem.

Dr. Piotr Górski nie jest pierwszym pisarzem, który pokusił się o reformę sejmowania galicyjskiego. W r. 1885 Antoni Wrotnowski wystąpił z programem reform, a przed nim ukazał się projekt reformy w r. 1871, w którym nakreślono plan zorganizowania administracyi Galicyi. Kiedy dwie powyższe prace dążyły do szeroko zamierzonego planu reform, Dr. Górski ograniczył się na proponowaniu drobnych zmian w regulaminie sejmowym, któreby wszakże pogłębiły dyskusyę i stworzyły pragnienie reform w wyższym stylu, choć nie tak rozległych, jakiemi były dawne projekta. Zmiany regulaminu, proponowane przez autora, noszą ślady dojrzałego przemyślenia będącego rezultatem doświadczenia nabytego w praktyce, oraz wykształcenia naukowego. Rozumowanie autora przekonywa też czytelnika gruntownością wniosków i spokojem przedmiotowego i sprawiedliwego traktowania sprawy. Można też mieć nadzieję, że cenne i ciekawe studyum autora będzie miało większy wpływ na poprawę regulaminu sejmowego w Galicyi, aniżeli poprzednie prace i projekta na zmianę ustroju administracyjnego w Galicyi.

A. R.

Kronika miesięczna.

Bandytyzm i zdziczenie moralne.—Co mówi Ochorowicz w pracy, nagrodzonej na konkursie „Przeglądu filozoficznego?“ — List otwarty Sienkiewicza do Polaków w Ameryce i sprawa szkolnictwa ludowego u nas. — Pierwsze pismo codzienne dla ludu. — Wspomnienie pozgonne: ś. p. Józef Czekalski.

Stoimy wobec faktów znamiennych i smutnych. Posiew anarchii wschodzi bujnie i wydaje swoje zatrute owoce na całym obszarze kraju. Od kilku tygodni dzienniki przepełnione są wiadomościami o zbrodniach, napadach, rozbojach. Terminologia kuryerkowa określa to wyrazem „bandytyzm“ i nie ma dnia, żeby w tej rubryce nie ukazywały się coraz to nowe fakty, jedne od drugich ohydniejsze, jedne od drugich bardziej wstrząsające.

W Warszawie t. zw. „anarchiści-komuniści,“ lub działający pod ich firmą zwyczajni łotrzy, w biały dzień wpadają do kantorów fabrycznych, do sklepów, nawet do mieszkań prywatnych i pod groźbą śmierci, żądają pieniędzy. Panika w mieście rośnie. Bezbronna ludność ustępuje przed terrorem, i pozwala się ograbiać z mienia. To samo, co działo się w wiekach średnich na traktach handlowych, dzieje się teraz w jednem z ludniejszych miast Europy, w Warszawie, pod bokiem władz, czuwających nad porządkiem i wobec stanu wojennego, którego ciężar całkowicie spada na spokojnych mieszkańców, w niczem nie ograniczając samowoli żywiołów anarchistycznych. Bezpieczeństwo osoby i bezpieczeństwo majątku — to właśnie, co każde państwo przedewszystkiem gwarantuje swoim obywatelom, stało się u nas od pewnego czasu fikcyą. Nikt nie jest pewny, czy jutro nie zostanie obdarty ze wszystkiego, co posiada, czy mu na ulicy lub w domu nie wyciągną pugilaresu, czy kula rewolwerowa nie zrani go śmiertelnie.

Nie lepiej dzieje się i na prowincyi. I stamtąd nadchodzą wieści pokrewne.

Niedawno w Chlewiskach, w gub. radomskiej, zgraja łotrów wpadła do domu nadleśnego i położyła go trupem na miejscu. Był to podobno wyrok, wykonany z ramienia jakiejś partyi na osobie człowieka, którego jedyną zbrodnią było to, że pełnił swoje obowiązki, to znaczy, że mając pieczy swojej powierzony las chlewiski, nie pozwalał go rąbać i kraść drzewa. Pozatem zabity ś. p. Szymanowski, cieszył się jakoby całkowitą sympatyą włościan, z którymi liczne spory serwitutowe załatwiał od szeregu lat zgodnie i polubownie, powodując się raczej sercem, niż prawem.

Podobnie ohydną zbrodnię popełniono w ostatnich czasach w Częstochowie, gdzie z ręki zbójców padł dyrektor tamtejszej fabryki p. f. Motte & Co, ś. p. inżynier Jacout, obywatel francuski. Społeczeństwo wobec tego jest bezsilne, bo nie może się organizować, nie może się bronić, nie może zapobiegać takim zbrodniom.

Bezsilne, jak się okazuje, są również władze wojskowe.

Tymczasem taki stan, jaki trwa obecnie i to od dłuższego już czasu, grozi bardzo poważnemi następstwami dla kultury kraju wogóle i dla jego kultury moralnej w szczególności.

Idziemy bardzo wyraźnie ku jakiemuś zdziczeniu i wyuzdaniu. Życie ludzkie straciło zupełnie cenę, zbrodnia nie zna żadnych hamulców. Z jednej strony zabija się na chłodno, z drugiej—woła o zniesienie kary śmierci. Z jednej strony potępia się zbrodnię, jako zbrodnię, z drugiej — patrzy się na nią obojętnie. Żadnych kryteryów moralnych, żadnych zasad etycznych w ocenie faktów. Chaos na całej linii. Klasy oświecone stoją jakby w osłupieniu wobec zdarzeń chwili, warstwy ciemne nie zdają sobie zupełnie sprawy z tego, dokąd to wszystko prowadzi, dokąd zdąża. A dzień za dniem przynosi tymczasem nowe gwałty, nowe bezprawia.

Wszystko to są typowe objawy czasów rewolucyjnych, i jeżeli pani Rolland, stojąc na szafocie mogła zawołać: „Wolności! Ileż zbrodni dokonano w twojem imieniu“ — to z górą sto lat, jakie ubiegły od owej chwili, niewielką przyniosły ludzkości zmianę. I dziś, tak samo, jak wówczas, wolność kąpie się w potokach krwi, niewinnie przelewanej.

Przyszły dziejopis naszej doby, sięgnąwszy do bogatej registratury faktów życia bieżącego, zamkniętych w rocznikach prasy, spostrzeże z przerażeniem, jak długi był łańcuch najpospolitszych zbrodni, dokonywanych pod płaszczem idei „sprawiedliwości,“ jak mało było „człowieka“ w tych, którzy najgłośniej wywoływali ha-

sła „ludzkości," jak ciężkie i liczne były pomyłki w odnajdywaniu dróg, prowadzących do wyzwolenia, jak często za to chwiał się nad Warszawą i nad krajem całym sztandar samowoli.

Przykładów tej ostatniej mamy bez liku. Oto np. znana historya zburzenia drukarni Niemiry, do której zgłosili się socyaldemokraci z propozycyą drukowania ich pism i odezw. Właściciel odmówił, bo odmówić musiał, już nie ze względu na przekonania odmienne, ale dla tego, że groziło mu zamknięcie drukarni. Mszcząc się za to, w kilka dni potem do drukarni wtargnęła garść wyrostków socyalistycznych, zepsuła maszyny, powywracała kaszty, rozrzuciła czcionki, powodując tem straty, sięgające kilkunastu tysięcy rubli. Tak socyaldemokraci pojmują „wolność." Rzecz naturalna, że przez to kilkudziesięciu zecerów pozbawionych zostało zarobku na czas dłuższy. Ale „obrońców sprawy robotniczej" takie rzeczy nie obchodzą.

Przyjrzawszy się tego rodzaju faktom bliżej, zobaczymy łatwo, że źródłem ich jest *zdziczenie*, nie wiele co różne od tego zdziczenia, jakie zarysowuje się na tle ruchów fanatycznych, prowadzonych przez Maryawitów. W Strykowie i w Lesznie przyczyną zbrodni był *fanatyzm sekciarski*, w Warszawie przyczyną takich zbrodni bywa najczęściej *fanatyzm partyjny*, nie uznający żadnej tolerancyi, żadnego prawa do zapatrywań odmiennych.

Nie trzeba dowodzić, że dłuższe trwanie takiego zamętu moralnego może nas cofnąć w rozwoju o całe lat dziesiątki.

Dusza współczesna, która przejdzie przez taki wicher, obalający wszystko i obalający wniwecz wszystkie jej wierzenia—długiego będzie potrzebowała czasu na to, ażeby się odbudować, ażeby oczyścić się z tych naleciałości, które teraz wejdą do niej.

Znieczulona i znieprawiona zatraci ona zupełnie sąd o tem, co wolno, a co niewolno, i nie rychło spostrzeże, gdzie jest granica, której przekraczać nie można.

Wicher ślepej nienawiści zagnał ją już na manowce i wielkich trzeba będzie wysiłków, ażeby zbłąkaną znów na dobre wprowadzić drogi.

Na światlejsze, rozumniejsze i naprawdę po obywatelsku i po ludzku czujące warstwy społeczeństwa, wkłada to obowiązek pomyślenia zawczasu o jakiejś akcyi uzdrawiającej.

Wszystkie lepsze i wszystkie zdrowsze siły w narodzie powinny się skupić celem obmyślenia takiej akcyi, i z chwilą kiedy tylko jakakolwiek działalność okaże się możliwą, a więc natychmiast po zniesieniu stanu wojennego, rozpocząć w Warsza-

wie i na prowincyi pracę etyczną, — nienawiści przeciwstawić miłość, rozkładowi — ład i porządek, rozprzężeniu moralnemu — karność i poddanie się nakazom sumienia, samowoli—prawdziwą wolność, polegającą na poszanowaniu praw i przekonań drugiego.

*

* *

Uwieńczona na konkursie „Przeglądu filozoficznego“ rozprawa D-ra J. Ochorowicza o „Metodzie w etyce,“ ukazała się świeżo w druku.

Zarówno ze względu na to, że jest ona plonem pierwszego u nas konkursu filozoficznego, jak i ze względu na jej temat, w tak blizkim stojący stosunku do tylko co poruszonych najpoważniejszych zagadnień doby obecnej, warto przyjrzeć się bliżej niektórym, dotkniętym lub omówionym szerzej przez autora kwestyom.

Rzecz naturalna — ani krytyka, ani rozbiór naukowy dzieła nie są naszem zadaniem. Możemy tu podkreślić tylko te momenty w pracy Ochorowicza, które mogą być przeniesione na teren publicystyczny. Zresztą, Ochorowicz do pewnego stopnia upoważnia nas do tego, odwołując się wyraźnie w kilku miejscach do prasy.

Najciekawszy dla nas, ze stanowiska publicystycznego, jest rozdział poświęcony *etoplastyi*, czyli nauce wprowadzania etyki w życie.

Głównym czynnikiem *etoplastyi* są, według Ochorowicza, wpływy wychowawcze, ale to, co my dziś wychowaniem nazywamy, nie jest bynajmniej wychowaniem, lecz tylko *nauką*, połączoną z pewnym rodzajem oglądy. Nauce i oglądzie poświęcamy wszystko, wychowanie zostawiając na łasce Opatrzności.

Przyczynia się do tego przedewszystkiem przesadne pojęcie wartości oświaty, przekazane nam jeszcze przez rewolucyę francuską twierdzi Ochorowicz i przesadne pojęcie wartości postępu, podtrzymywane głównie gorączkowym wpływem kultury amerykańskiej, a także militaryzm panujący w Europie, dzięki przewadze najmniej etycznej z kultur—kultury niemieckiej.

Wyobrażamy sobie, że wszelkie wyższe zadania ludzkości, streszczają się w „postępie“ i staramy się ten postęp uczynić coraz to szybszym. Poganiamy się wzajemnie. A ponieważ brak

głębszych i silniejszych potrzeb pokojowych, etycznych, sprzyja żądzy szybkiego wzbogacenia się, a ta kształtuje wszystkie stosunki ludzkie, więc też i okoliczności życiowe poganiają nas do coraz szybszego postępu, do coraz to bardziej intensywnej pracy, albo co gorsza, zastępujących istotną pracę, a bardziej jeszcze wyczerpujących nerwy, spekulacyj — i tym sposobem wytworzyliśmy sobie prąd życia, choćby dla tego obcy etyce, że czasu na nią nie pozostawia. Warunkiem bowiem działania etycznego jest t. zw. *zastanawianie się*, które dopuszcza do pierwszego popędu inne, sprzeczne i przez to sprzyja wytworzeniu się rozsądnej, opatrznej, powściągliwej woli, bez czego będzie miejsce tylko na odruchy, namiętności, dążenia impulsywne, bez nadzoru i kontroli wewnętrznej.

Wprawdzie czas sam przez się człowiekowi, żyjącemu w apatyi, nic nie przyniesie, ale człowiek usilnie pracujący, bez czasu na dostateczny wypoczynek, musi się stać *maszyną*, niedostępną dla większości wyższych celów, poza jej funkcyą mechaniczną.

Jak tu żądać — pyta Ochorowicz — „życia dla drugich“ od biedaka, który na życie „dla siebie“ niema czasu.

Rozwijając dalej myśli swoje, autor dochodzi do wniosku, że urzeczywistnienie etyki w życiu nie jest rzeczą łatwą, gdyż musi ono ześrodkować w sobie wszystkie usiłowania moralnej poprawy ludzkości, a więc nietylko w wychowaniu domowem i publicznem, w rozroście literatury, etyki trzeźwej i praktycznej, w odrodzeniu duchowieństwa przez skierowanie jego działalności raczej w stronę etyki niż dogmatów, w krzewieniu idei moralnego doskonalenia się przy pomocy różnych stowarzyszeń, prasy, teatru i sztuki, ale nadto musi przeobrazić zasadniczo, najrozmaitsze instytucye społeczne, dzisiejszy egoistyczny parlamentaryzm i same formy rządów.

Niech cel etyczny, jako najwyższe kryteryum życia, uprzytomni się jak największej liczbie jednostek, niech się połączy z każdem egoistycznem, uprawnionem dążeniem — a wtedy przeobrażenie dokona się stopniowo, i zwolna otrząśniemy się z darwinistycznych postulatów „walki o byt,“ sprowadzając ją do granic właściwych.

Oczywiście kształcenie charakteru dzieci i kształcenie własnego charakteru, pozostanie głównem zadaniem *etoplastyi*. Drogi jednakże do tego celu prowadzące, muszą być pojmowane różnie.

Ci, którzy dla miłości liberalizmu zamykają szkoły duchowne—mówi Ochorowicz—pracują nie dla postępu moralnego, lecz dla niwelacyi państwowej. Odbierać ludziom religię, która ma etykę ustaloną, nie mogąc im dać wzamian etyki naukowej,

jako jeszcze nie ustalonej, znaczy: pozbywać się narzędzia posiadanego dla upragnionego.

Równym też błędem byłoby narzucanie społeczeństwu szkoły religijnej. Postęp wogóle, a więc i postęp moralny, nie znosi niwelacyi. Bez walki przekonań, bez ścierania się opinii etycznej, nie będzie życia etycznego. Bez swobody rozwoju nie będzie, rozwoju moralnego.

Po za szkołą drugim niezwykłej wagi czynnikiem *etoplastyi*, jest *opinia publiczna*.

Rzecz jasna, że żadna z reform wskazanych nie mogłaby być przeprowadzoną bez gruntownego przygotowania i zjednania dla nich opinii publicznej. To zatem jest pierwszem zadaniem, od któregoby zacząć należało, co zresztą da się połączyć z opracowywaniem i propagandą wielu przeobrażeń społecznych.

Jako główny przedstawiciel opinii i główny czynnik na nią działający—dziennikarstwo, powinno wziąć tę sprawę w ręce, zaczynając reformę od siebie.

I tu Ochorowicz skarży się, że dotychczas nic się w tym kierunku nie robi — literalnie nic. Oto jego własne słowa:

„Oprócz moralizatorskich, specyalnych wydawnictw dla dzieci i „dla ludu," z których te ostatnie zwłaszcza chybiają zwykle celu właśnie dla tego, że wytworzyły sobie jakieś swoiste, a nie odpowiadające żadnej rzeczywistości pojęcie „ludu — dziecka" — oprócz tych — czytamy — brak nam zupełnie dzieł, któreby kwestyę stosunków ludzkich traktowały poważnie ze stanowiska *etoplastyi*, — poważnie, to znaczy nie felietonowo, nie sarkastycznie, ale też i nie w tonie deklamacyjno-kaznodziejskim. Prasa zaś peryodyczna zupełnie nie zdaje sobie sprawy z ogromnego, chociaż nieznacznego na razie wpływu, jaki mogłaby wywierać dodatnio, a jaki wywiera ujemnie. Lekkomyślne, osłabiające powagę dziennikarstwa sądy etyczne, zwłaszcza o zagranicznych mężach stanu — bo to odpowiedzialności za sobą nie pociąga—łokciowe sprawozdania z tłustych a bezbrzeżnie głupich operetek, obok głuchego milczenia o najużyteczniejszych książkach poważnych, oswajanie ze zbrodnią, jako z czemś zdumiewająco sprytnem i wesołem, z rozpustą, jako z czemś ponętnem i popłatnem — oto stały posiew przeciętnej prasy. A mówiąc to, nie mam na myśli ani rewolwerowych lub pornograficznych tygodników, które jednak opinia publiczna toleruje, ani pochwalnych artykułów za pieniądze, które się, chwała Bogu, jeszcze w naszem dziennikarstwie nie przyjęły. Mówię o prasie przeciętnej, uczciwej i nie żądam rzeczy

nadzwyczajnych. Żądam tylko, żeby myśl etoplastyczna nie była obcą ich pracy, żeby ton odpowiedni dobierano do treści i myślano o skutkach mimowolnych suggestyj i mimowolnych oswojeń."

Nie znaczy to jednak bynajmniej — zastrzega się autor — że swoboda poruszanych tematów, czy to w dziennikarstwie, czy w teatrze, czy na mównicy, ma być ograniczoną. Niektórzy są tego zdania, skarżąc się na demoralizujący wpływ dawniej „naturalistycznej" a dziś „modernistycznej" literatury, trafiającej tak łatwo do rąk niedorostków. Tak rzeczywiście jest, ale na to rady nie ma, albo raczej jest tylko w równoczesnem rozbudzeniu się żywszego ruchu etycznego.

Literatura „błota dla błota" nie może być trwałą. Gdyby miała być trwałą, należałoby zwątpić nietylko o smaku estetycznym, ale i o dojrzałości społeczeństwa. Tak jednak źle nie jest i — zdaniem Ochorowicza — o utrzymaniu się takiej literatury przez czas dłuższy na poziomie popularności — nie może być mowy. Z drugiej zaś strony — nie należy prześlepiać i tego faktu, że większa jasność w treści i większa szczerość literacka w formie, jest tendencyą etyczną i że zarówno naturalizm, jak i modernizm mają pod tym względem duże zasługi. Literatura „błota dla błota" odpadnie, a większa śmiałość i szczerość literacka pozostaną, swoboda bowiem ma ten piękny przywilej, że sama naprawiła to, co zepsuła.

We wszelkich stowarzyszeniach najspecyalniejszych cele etyczne — według Ochorowicza — powinny być dodane do specyalnych, jako rozumiejąca się sama przez się przyprawa — i pilnowane przy każdej odpowiedniej okazyi, z rozwagą, ale i stanowczością. Służalstwo prywatne i polityczne, prowadzące do zaszczytów, powinno być piętnowane na równi z nieścisłością w rachunkach, brak odwagi cywilnej w sprawach ogólnych — na równi z obłudą towarzyską, zaniedbanie honorowych obowiązków publicznych — na równi z podrabianiem podpisów . . .

A byłoby również na miejscu, ażeby powstały specyalne stowarzyszenia etyczne, jeszcze w sobie wyspecyalizowane, do celów wyrobienia pewnej jednej lub kilku zalet moralnych, a zwłaszcza wytępienia pewnych wad moralnych rozpowszechnionych.

W ten sposób osiągnęłoby się zwolna poprawę charakterów narodowych, które wprawdzie w swych cechach plemiennych zmieniają się tylko dziejowo, ale w swych cechach moralnych dostępne są dla przemian pod wpływem wychowania i samokształcenia. Potrzeba tylko, żeby niezbędność takiego kształcenia była odczu-

ta, a nie tylko uznana, żeby stała się gorącą, patryotyczną tendencyą — pierwszym punktem narodowego programu.

W zastosowaniu do naszych warunków najpotrzebniejszem byłoby kształcenie punktualności, przezorności i wytrwałości, tępienie mówienia na wiatr, braku łączności solidarnej i różnych wad małomiasteczkowych z apatyą włącznie.

Wszystkie te kwestye dostarczą tematu publicystom, którzy bez innych pretensyj naukowych mogą się przysłużyć *etoplastyi*. To jest dział, w którym najgłębsza, najowocniejsza praca może się stać udziałem całych tłumów—i ta jest przyczyna, dla której zajęliśmy uwagę czytelnika tak długo rozprawą dra Ochorowicza.

*

* *

Henryk Sienkiewicz ogłosił następujący list otwarty do Polaków ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej:

Rodacy!

„Komitet Warszawski Pomocy dla pozbawionych możności zarobkowania,“ który powstał z połączenia się wszystkich poprzednich Komitetów ratunkowych, ogłasza i będzie w dalszym ciągu ogłaszał listy ofiar, nadesłanych przez was ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Ale oprócz obrachunków należy się wam coś więcej, a mianowicie należy się wam od całego społeczeństwa gorąca, bratnia podzięka za waszą ofiarność, za wasz patryotyzm i za ów ratunek, który usiłujecie nieść ludności, pozbawionej wskutek strejków chleba w ojczystym kraju.

Wiemy, że i za oceanem niewielu z was dochodzi do dostatków i że musicie ciężko i wytrwale pracować na chleb powszedni, ale właśnie dla tego tem lepiej rozumiemy, że to, co przysyłacie, jest istotną ofiarą, jest może nieraz groszem wdowim.

Fala życiowa zaniosła was na dalekie brzegi, ale myśli wasze przelatują, jakby ptactwo morskie, ocean i krążą nad starym krajem, a serca w waszych piersiach płoną jednakową zawsze miłością dla wspólnej nam *Matki-Rodzicielki*.

Więc błogosławią was za to w ojczyźnie nieszczęśliwi i dzięki wam czyni kraj cały. Wiedzcie, że błogą, doniosłą i skuteczną jest wasza pomoc i że były już chwile, w których, gdyby nie wy — ratunek doraźny musiałby uledz przerwie.

Cześć wam za to, Rodacy i Rodaczki, którzy w tak gorących słowach odpowiedzieliście mi na odezwę, zamieszczoną w dziennikach warszawskich. Cześć tem większa, iż, oświadczacie, że ofiarność wasza nie jest dotychczas wyczerpana i że zasiłki w dalszym ciągu z waszych pracowitych rąk płynąć będą.

Kraj ich potrzebuje, albowiem nie jedna, ale dwie klęski gniotą go ciężkiem brzemieniem: doraźna klęska głodu i druga, sroższa jeszcze, od lat całych umyślnie podtrzymywana, klęska ciemnoty. Nie wolno nam było mieć szkół naszych, i za przestępcę jeszcze do niedawna poczytywany był każdy obywatel, któremu leżała na sercu oświata ludu. Chciano ten lud mieć powolnem narzędziem i rozumiano to dobrze, że tylko ciemny da się prowadzić na złowrogie bezdroża i że posiew nienawiści tylko w ciemności wzrastać może.

Dziś, ciężkie czasy nie przeszły jeszcze, ale jednakże świta nam lepsza nadzieja i zwolna spiętrza się przed nami olbrzymie zadanie, którego bezpośrednim celem jest oświata i nauka ludu.

Albowiem tylko przez naukę i oświatę stać się możemy z czasem silnym, prawym, rozumnym i rozumnie miłującym ojczyznę narodem.

Więc pomóżcie nam i w tem, drodzy Rodacy! Nie chcę was wzywać do nowych wysiłków, bo wiem, że i tak czynicie wszystko, co możecie, ale skoro sami zapowiadacie dalszą pomoc, to pozwólcie, aby część tych waszych groszów ofiarnych szła na głodnych duchowo t. j. na nasze przyszłe ludowe szkolnictwo polskie.

Za wasz patryotyzm, za waszą miłość braterską, za waszą niezrównaną, serdeczną ofiarność będą wam wdzięczne nietylko dzisiejsze, ale i przyszłe, da Bóg, szczęśliwsze od nas polskie pokolenia.

Raz jeszcze — dzięki Wam z całego serca! i cześć także temu szlachetnemu, wolnemu krajowi, który daje wam chleb, a nie odbiera pamięci.

Henryk Sienkiewicz.

Piękny ten list Sienkiewicza przytoczyliśmy w całej rozciągłości ze względu na to, że głębokie słowa jego powinny znaleźć i u nas oddźwięk jaknajszerszy.

Sprawa jest ważna, pilna i wielka. Społeczeństwo niewątpliwie rozumie to, i dla tego ofiarność jego na cele oświaty płynie szerokim strumieniem, ale nie wszyscy jeszcze spostrzegli, w jakim stopniu ofiarność ta jest obowiązkiem narodowym, jak nie wolno wyłączać się od niej nikomu — ani tym, którzy stoją na najwyższych szczeblach dobrobytu materyalnego, ani tym, którzy mogą tylko „grosz wdowi“ ofiarować.

W ten sposób tworzy się fundament do przyszłej działalności najpiękniejszej instytucyi *narodowej*. A działalność ta musi być bardzo rozległa, nie smutny bowiem, ale rozpaczliwy jest stan naszego szkolnictwa i gdyby nawet ziściły się wszystkie, najśmielsze marzenia chwili obecnej, gdyby Królestwo Polskie w rychłym czasie uzyskać miało samorząd krajowy w najdoskonalszej jego formie, gdyby władze autonomiczne wytężyły wszystkie swoje siły w kierunku dźwignięcia oświaty — to przez długie lata nie będą one mogły zaspokoić jeszcze wszystkich potrzeb, i nie obejdą się bez pomocy społeczeństwa, bez inicyatywy prywatnej bez dobrej woli ogółu.

Znaczną część tej pracy, która nas czeka, wykonać musi naród sam dla siebie, z wolnej i nieprzymuszonej woli, idąc za głosem odczucia i zrozumienia własnych potrzeb i zdążając ku lepszej przyszłości.

Potrzeba na to będzie środków znacznych—i nie doraźnych, ale ciągłych, dopływających stale i zasilanych nieustannie przez ofiarność publiczną.

I dziś nie ulega już żadnej wątpliwości, że lud polski najgłośniej odzywa się na hasło *oświaty*. Zrozumiał on jej potrzebę, odczuł jej brak, zapragnął jej całą siłą swojej mocnej woli, przyzwyczajonej do borykania się z przeciwnościami i trudnemi warunkami bytu.

„Chcemy dobrej szkoły *polskiej*“ — oto głos, który dochodzi nas zewsząd, z najdalszych okolic kraju, z zakątków, które, zdawało się, pogrążone są jeszcze w śnie najgłębszym.

„Chcemy dobrej szkoły polskiej“ — mówią włościanie na całym obszarze Królestwa, — „chcemy uczyć dzieci swoje, chcemy przez światło iść do odrodzenia.“

I ten świadomy siebie głos włościaństwa polskiego bić powinien, jak dzwon, i rozlegać się tak szeroko, aby go usłyszeli wszyscy, aby nie było nikogo, kto nie zdawałby sobie sprawy z tej najpilniejszej potrzeby ludu.

Zapewne oświata elementarna to jeszcze nie wszystko, ale— jest to klucz, otwierający bramę nowej epoki i u tej bramy stoimy obecnie, pomni na słowa Chrystusa: „Kołaczcie, a będzie wam otworzono.“

*

* *

Godzi się zanotować na tem miejscu, że od dnia 16 marca r. b. zaczął wychodzić w Warszawie pierwszy w naszej dzielnicy dziennik ludowy p. t. „Naród.“

Dotychczasowa prasa ludowa u nas nie była codzienną i właściwie redukowała się do dwóch szeroko rozpowszechnionych i doskonale prowadzonych czasopism: *Zorzy* i *Gazety Świątecznej*. Dzienników ludowych, takich, jakie oddawna wychodzą w Poznańskiem i na Ślązku, dotąd nie mieliśmy. Wprost niemożliwą było rzeczą otrzymać na takie wydawnictwo koncesyę. Ale czasy zmieniły się i oto pierwsze numery „Narodu“ poszły już w świat, poszły pomiędzy lud wiejski i małomiejski nieść im światło, zagrzewać go do pracy, informować o szerokiem życiu na świecie.

Zobaczmy, jak redakcya dziennika ludowego sama zadanie swoje określa.

„Przystępujemy do dzieła w trudnych niezmiernie warunkach— czytamy w artykule, zamieszczonym na czele I-go numeru „Narodu“ — bo w chwili poważnych zmian zewnętrznych i przełomów wewnętrznych. Długoletnia zła gospodarka w kraju, przyprawiła nas o nędzę i, co gorsza jeszcze, nie pozwoliła na stworzenie z różnych warstw silnego i zwartego narodu. To też dzisiaj przekonywamy się, że gruntowna naprawa stosunków wymaga wiele pracy i ofiar. Pewną część tej pracy zamierzamy wykonać w „Narodzie.“ Pomimo tylu oznak, świadczących o zerwaniu licznych więzów, łączących jednostki i warstwy różne w jedną całość, wierzymy jednak mocno, że posiadamy siły niespożyte, że są w umysłach polskich myśli wspólne, a w sercach wspólne uczucia, że miłość dobra ogólnego weźmie w końcu górę nad interesami osobistemi i klasowemi, że zrozumienie wspólnych wszystkim warstwom interesów będzie coraz silniejsze i trwalsze. W chwili takiej, jak obecna, w chwili, kiedy postępowanie każdego z nas rozstrzyga o całej naszej działalności, ważniejszem jest niż kiedykolwiek skupianie wszystkich sił i wzmożenie mocy wewnętrznej. Dla tego też

przy ocenie wszelkich zjawisk i wypadków, zarówno u nas, jak i na świecie całym, będziemy rozpatrywali ich znaczenie, będziemy badali, czy one przynoszą korzyść, czy też krzywdę narodowi naszemu. *Narodem* zaś są obecnie nietylko ludzie zamożni—właściciele folwarków, fabrykanci, kupcy bogaci, lecz przedewszystkiem te szerokie warstwy ludu wiejskiego i miejskiego, mieszkańcy wsi i miasteczek i robotnicy po wielkich miastach."

W końcu redakcya zaznacza, że „nie zamierza pouczać, ani prawić kazań, lecz chce dawać wiarogodne i dokładne wiadomości, które posłużą każdemu za materyał do wyrobienia sobie *własnego* zdania."

*

* *

W Łodzi zmarł dn. 15 marca r. b. ś. p. Józef Czekalski, dyrektor tamtejszego Towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowego.

Ś. p. Czekalski urodził się w Tomaszowie Rawskim. Ukończywszy gimnazyum i uniwersytet w Warszawie, rozpoczął praktykę adwokacką w Piotrkowie, gdzie w krótkim czasie zwrócił na siebie uwagę nietylko, jako dobry prawnik, ale, jako wybitny działacz społeczny.

Działalność ta jednak rozwijana była w czasie największego skrępowania wszelkich dążności obywatelskich w kraju naszym. Jakoż władze administracyjne zwróciły rychło uwagę na popularność ś. p. Czekalskiego. Aresztowany w r. 1896, Czekalski zesłany został do gub. Wiackiej, a następnie, wskutek rozwijającej się w nim choroby piersiowej, przeniesiony na Besarabię.

Równocześnie z dochodzeniem administracyjnem wytoczono Czekalskiemu proces dyscyplinarny, jako adwokatowi. Izba Sądowa warszawska wydała wyrok, skazujący go na pozbawienie prawa zajmowania się adwokaturą. Odjęto mu więc sposób zarobkowania w zawodzie, do którego miał wszechstronne i latami pracy zdobyte przygotowanie. Wskutek tego po powrocie z wygnania musiał Czekalski przyjąć posadę Dyrektora Towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowego w Łodzi. Choroba jednak, której zarodek rozwinął się na obczyźnie, postępowała szybko naprzód i spowodowała przedwczesny zgon. Ś. p. Czekalski zmarł w sile wieku, pozostawiając po sobie szczery żal, wśród wszystkich, którzy znali go bliżej.

Nazwisko jego nie jest także obojętne dla piśmiennictwa polskiego.

Jako student jeszcze, Czekalski drukował po pismach wiele utworów poetyckich, a przed laty kilkunastu dużem powodzeniem cieszył się litografowany zbiorek jego poezyj p. t. „W kajdanach,“ złożony z utworów, porywających siłą młodzieńczej wiary i ekspresyi. Był to jeden z nielicznych w naszej poezyi współczesnej protestów przeciw bezprawiu.

Później, w latach dojrzałych, pracował Czekalski z powodzeniem na niwie publicystycznej.

Nadto na wygnaniu jął się żmudnej pracy tłómaczenia z języków obcych i w tym zakresie pozostawił po sobie wyborny, zupełnie stojący na wyżynach oryginału, przekład „Księgi puszczy“ Rudgarda Kipplinga.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMIJ I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Z prac ostatniemi czasy złożonych w Akademii Umiejętności w Krakowie, w wydziale historyczno-filozoficznym zwraca na siebie uwagę ze względu na swoją aktualność i pierwszorzędną wartość naukową, rozprawa p. *Stanisława Grabskiego*, zatytułowana „*Polityka agrarna w ogólności — w stosunku specyalnie do potrzeb społeczeństwa Polskiego.*“ Oto w kilku słowach treść opracowanych w niej myśli.

Polityka ekonomiczna nie jest tylko sztuką, ani praktyczną tylko umiejętnością, lecz stanowi szczegółowy dział badań zjawisk społeczno-gospodarczych, treścią nauki o społeczno-gospodarczych zjawiskach będących. Zjawiska polityki ekonomicznej muszą więc być nasamprzód skonstatowane i rozklasyfikowane (badanie historyczno-opisowe), następnie ich przyczynowe połączenia wyjaśnione (badanie teoretyczne). Gdy jednak są to zjawiska świadomej działalności społecznej, zrozumienie ich możliwem jest tylko przez wyjaśnienie celów tej działalności, a cele te wynikają z oceny naszych form społecznego współżycia, oceny według pewnych etycznych kryteryów przeprowadzonej. Wszelkie zatem b a d a n i e z j a w i s k p o l i t y k i e k o n o m i c z n e j m u s i p r z y j ą ć j a k o z g ó r y d a n e p o j ę c i e g r a n i c z n e s w y c h d e d u k c y j — i d e a ł y e t y c z n e d a n e g o c z a s u i d a n e j g r u p y s p o ł e c z n e j.

Zjawiska polityki ekonomicznej, tak jak i wszelkie inne wogóle zjawiska, możemy klasyfikować dowolnie, stosownie do celów klasyfikacyi. Wśród grup i działów, na jakie klasyfikujemy politykę ekonomiczną, jest również dział polityki agrarnej. Na jakiej podstawie wydzielamy go z reszty zjawisk polityki ekonomicznej? Czy tylko na tej, że dane zjawiska dotyczą społecznych stosunków ludności rolniczej? Nie, bo nie da się postawić granicy między zjawiskami dotyczącemi ludności rolniczej, a nie dotyczącemi jej! Polityka agrarna nie jest pomocniczem tylko pojęciem ułatwiającem nam opis

i przegląd zjawisk polityki ekonomicznej, lecz stanowi dział polityki ekonomicznej, wyróżniający się z jej całokształtu, tak jak polityka robotnicza, jednym swym odrębnym naczelnym celem.

Zarządzenia prawno-społeczne dotyczące robotników istniały zawsze, ale osobna polityka zjawia się wtedy i tam dopiero, gdy i gdzie zjawia się kwestya robotnicza, jako osobna kwestya, z oceny całokształtu stosunków robotniczych, jako nieodpowiadających naszym etycznym ideałom, wynikająca. Tak samo zarządzenia polityczno-ekonomiczne, dotyczące ludności rolniczej, istniały zawsze. Ale nie każde społeczeństwo prowadziło politykę agrarną. Polityka agrarna jest tam, g d z i e j e s t ś w i a d o m o ś ć k w e s t y i a g r a r n e j, gdzie więc jest świadomość, że stosunki społeczne między ludźmi, ze stosunku ich do ziemi wypływające, nie mogą być wynikowemi tylko prywatno-gospodarczych dążeń, lecz zastosowane być muszą do zgodnego z interesem całego społeczeństwa (mniejsza jak rozumianego i przez pryzmat jakich cząstkowych interesów widzianego) układu stosunku ludzi do ziemi.

Na czem świadomość ta może się opierać? Oto na poznawaniu, 1) że władanie ziemią jest niezbędnym warunkiem istnienia narodu, jako odrębnej całości, że własność i posiadanie ziemi jest monopolem społecznym, od układu więc własności i posiadania ziemi zależy socyologiczny układ narodu (analogiczny moment do leżącego w podstawie kwestyi robotniczej stosunku pracy do kapitału), 2) że w społeczeństwach, nie panujących handlowo nad innemi, rozmiar produkcyi społeczeństwa, a więc środków zaspokojenia jego potrzeb, jest z góry ograniczony przez rozmiar wyprodukowanych dóbr przyrodniczych.

Oczywiście wszystkie te momenty kwestyi agrarnej, a więc i cała wogóle kwestya agrarna, tem więcej mają dla społeczeństwa znaczenia, im więcej jest ono społeczeństwem rolniczem. Znaczenie jej może schodzić niemal do zera, lub, przechodząc przez cały szereg stopni, zależnie od tego, który z powyższych momentów wysuwa się na plan pierwszy, stać się główną, o całej przyszłości narodu decydującą kwestyą.

P o l s k a j e s t s p o ł e c z e ń s t w e m a g r a r n e m. O j e j u k ł a d z i e s p o ł e c z n y m d e c y d u j e u k ł a d p o s i a d ł o ś c i z i e m s k i e j. A w u k ł a d z i e t y m j e j s p o ł e c z n y m j e s t l u k a n i e z b ę d n i e d o m a g a j ą c a s i ę z a p e ł n i e n i a. B r a k n a m m i a n o w i c i e ś r e d n i e g o s t a n u. Stworzenie go musi więc być naczelnym celem naszej polityki agrarnej. Gdy jednak polityka państwa praworządnego nie może iść drogą przymusowego wywłaszczenia, cel ten da się osiągnąć tylko na drodze pośredniej: a) uregulowanie obrotu ziemi (uregulowanie parcelacyi), b) uregulowanie działów spadkowych (reforma prawa spadkowego), c) wzmocnienie wewnętrznej struktury średnich przedsiębiorstw rolniczych (komasacya i spółki kredytowe, asekuracya bydła, organizacya handlu jajami i t. d.). Osiągnięta tą drogą reforma układu własności ziemskiej, nie stworzy u nas jednak przewagi „grossbauera“ na wzór niemiecki. „Dworostwa“ 20 do 100 hektarowe będą u nas zawsze w mniejszej ilości. Nasz „stan średni“ musi być o wiele więcej zróżniczkowany socyalnie i ekonomicznie, aniżeli włościaństwo małe i wielkie niemieckie. Ale mimo to może on nabyć jednolitą świadomość społeczną — pod tym wszakże warunkiem, że elementy te złączy dobrowolnie współdziałanie

ekonomiczne na organizacyach spółkowych oparte. Spółki muszą być głównym narzędziem naszej polityki agrarnej.

Z tymi względami na socyologiczną strukturę narodu łączą się ściśle i względy na wyższą produkcyę rolniczą kraju, oraz na stan narodowego posiadania.

Drukująca się obecnie w Bibliotece Warszawskiej praca prof. Smolki o Lubeckim, jest tylko częścią wielkiego dzieła, które zostało już przedstawione wydziałowi Historyczno-Filozoficznemu Akademii.

Dzieło to, owoc kilkuletnich badań znakomitego historyka, obejmuje następujące rozdziały: Wstęp. Ród książąt Druckich-Lubeckich. Dzieciństwo i młodość Lubeckiego. Korpus kadetów. Kampania włoska i szwajcarska 1799—1800. Litwa. Rok 1811 i 1812. Rada najwyższa Księstwa Warszawskiego i Rząd Tymczasowy Królestwa Polskiego. Gubernatorstwo grodzieńskie i wileńskie. Komisya likwidacyjna. Akwizgran, Berlin i Wiedeń. Ministerstwo Przychodów i Skarbu. System polityczny Lubeckiego.

I. Wilia św. Andrzeja. Wybuch listopadowego powstania.

II. W pałacu Branickich. Wzmocnienie rady administracyjnej.

III. Dzieło Nowosilcowa. Komisarz cesarski w Warszawie i jego rządy jenerał-gubernatorskie w konstytucyjnem Królestwie.

IV. Walka z Nowosilcowem. Lubeckiego plan reformy administracyjnej. Nowosilcow w Wilnie; jego gra i wygrana.

V. Wzmocniony Rząd. Dzień 30 listopada.

VI. Przeobrażenie Rządu. Dzień 1 grudnia. Utworzenie Wydziału wykonawczego i przybranie drugiej seryi członków z opozycyi sejmowej.

VII. Układy z W. Ks. Konstantym. Plan Lubeckiego.

VIII. Obalenie Rządu. 2 i 3 grudnia. Lubecki i Mochnacki.

IX. Dyktatura. Misya Lubeckiego do Petersburga.

X. W drodze do Petersburga. Włodawa—Wilno—Narwa.

XI. Petersburska Oligarchia.

XII. „Król królów.“ Polityka zewnętrzna Mikołaja 1826—1830.

XIII. Audyencya 26 grudnia.

XIV. Po audyencyi. Wielożyński — Memoryały — Jezierski.

XV. Przegrana. Styczeń 1831.

XVI. Czcze wysiłki. Podczas wojny i po kapitulacyi Warszawy.

Zakończenie. Projekt zamieszkania na Litwie. Nominacya na członka Rady Państwa. Rada Państwa pod prezydencyą Nowosilcowa: Misya do Paryża 1834—1837. Ostatnie lata. Rada Państwa pod prezydencyą Wasilczykowa.

Z niecierpliwością światły nasz ogół oczekiwać będzie ukazania się całości tak ważnej dla Historyi Powstania Listopadowego pracy i tem cenniejszej, że wytrawny nasz badacz dziejowy, rozporządzał tu pierwszorzędnym, a zgoła nieznanym dotąd, materyałem.

NOWE KSIĄŻKI.

Wśród szeregu książek, wiernie naśladujących wydania XVI wieku, które w roku zeszłym opuściły tłocznię drukarni Jagiellońskiej, nie poślednie zajmuje miejsce świeżo ogłoszony przez prof. *Stanisława Ptaszyckiego*: *Modlitewnik dla kobiet XVI wieku.* Nie jest to tak jak Zwierciadło Reja, lub jego Figliki, powtórzenie dawnego wydania XVI wieku, ale pierwszy przedruk z rękopisu znajdującego się u Senatora Konstantego Małkowskiego. Wydanie jednak nosi charakter swego wieku. Marginesy wypełnione pięknym złotym ornamentem, inicyały do złudzenia naśladujące ręczne malowanie, tytuły barwą czerwoną, podkreślania złote i czerwone, wszystko to nadaje zewnętrzny wygląd właściwy rękopisom i drukom XVI w. Przerzucając nienawykłem do odczytywania ortografii XVI w. okiem, modlitwy pełne prostoty i serdecznej pobożności, czytelnik dzisiejszego wieku, ujrzy przed sobą cały świat inny, dawno zapomniany, świat naszych kobiet XVI w. Stają niemal przed oczyma postacie naszych kobiet ówczesnych w rzewnem rozmodleniu wołające: „O Panno dostojna, matuchno boża, królowo niebieska, święta Maria... racz mię jusz wspomocz stego uczisnienia i cięskoszczi. Święta Mario panno uliczko niebieska thajemnicz boskich skarbniczko... wibaw nas.“

Jest tu i rozmyślanie żywota Matki Boskiej, gdzie autor daje napomnienia kobietom swego wieku, każe im naśladować M. Boskę. Tu wykazane są główne przywary, niestety nietylko XVI w. właściwe, ale i do dziś dnia noszące charakter świeżości.

Są więc „młode panny, które dla czudności a młodoszczy swej harde, gardzą swemi oblubienczy. Są panie matrony, które czasem mężom swoim possag wymiatają na oczy, czasem i zdomów męże wypędzają. Są, które swarliwością swą i dom przewracają.“

Daje nauki pedagogiczne jak wychowywać dzieci, jak je trzeba pilnować, „albowiem w tich leciech krewkie są i ku grzechowi każdemu skłonne,“ gromi te, które „pieczyliwości nie mają, jakoby to dosyć było wodzicz...“ Występuje przeciw strojom, bo nie jest to potrzebne do zamążpójścia, „bo nie masz dziewosłęba jako sromiecliwoszcz, jako milczenie, jako nieprziprawna w ubiorze chędogoszcz.“

Nie ulega wątpliwości, że wydany tak starannie przez prof. Ptaszyckiego Modlitewnik, jest bardzo ważnym pomnikiem dla kultury i obyczajowości XVI w., ale... (nie bez ale). Dziwi nas brak króciusieńkiej, choćby najmniejszej przedmowy, z której czytelnikby się dowiedział o pochodzeniu rękopisu, o jego zewnętrznym wyglądzie, czy jest na pergaminie, czy na papierze, ewentualnie o wodnych znakach, czy jedną czy kilkoma rękami pisany, czy jednocześnie, czy w odstępach czasu, czy jest w oprawie z jakiego wieku, czy z monogramami lub herbami? Wszystko to jest bardzo ważne, należało to uwzględnić, należało nawet dać jedną kartę facsimilowaną, co przy tak kosztownem wydaniu nie stanowiłoby różnicy dla wydawcy.

Bez takiego opisu rękopisu z którego wydawca korzystał, nasuwa się także przypuszczenie, czy w oryginale nie było braków. Bez takiej wiado-

mości powątpiewamy n. p. czy opisanie żywota M. B. i naśladowanie jej, rozpoczęte na k. 20 jest d. c. drugiej modlitwy, o dar św. Ducha, jakby to się zdawać mogło z układu typograficznego.

Ze wszystkich wyrobionych przez czas wymogów wydawniczych, uwzględniono tylko bardzo skrzętnie ortografię, co jest pierwszorzędnego znaczenia dla językoznawcy i wartość wydawnictwa podnosi nad inne.

Pozatem nie możemy zrozumieć dlaczego wydawnictwu nie dano żadnej paginacyi, nawet kustoszów. Przecie w ten sposób nie wie czytelnik czy ma przed sobą cały egzemplarz, czy też defektowy. Jeżeli wydawcy chodziło o naśladowanie w tym względzie oryginału, to należało w brakującej tu przedmowie, lub na końcowej karcie podać ilość nieliczbowanych stron wydawnictwa, było by to dla czytelnika ważniejsze niż notatka, pod czyim zarządem w drukarni Uniwersytetu Modlitewnik składano. Skutkiem braku tego, introligator może się znaleźć w trudnem położeniu, a dopóki bibliografie nie oznaczą ilości kart w wydawnictwie prof. Ptaszyckiego, to czytelnicy nie będą wiedzieli, czy mają do czynienia z całością, czy z fragmentem jego wydania.

F. P.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— Architekt. Luty. „Wyżymą sztuki;“ „Sposób zakopiański w architekturze“ (c. d.); „Architektura w poglądach estetyków“ (c. d.); „Objaśnienia tablic i rysunków, 11, 12 i 17 oraz tablicy V i VI;“ Karol Schmaase, „Złote myśli;“ Henryk Gay, „Widok przedni „Morgi“ (czyli domu przedpogrzebowego dla bezdomnych) w Warszawie i widok boczny Morgi;“ Edw. Goldberg, „Siedmioklasowa szkoła handlowa w Warszawie;“ Odrzywolski Stan., „Widok przedni kościoła w Rabce;“ Jan Matejko, „Ołtarzyk domowy w kształcie dyptyku.“

— Chimera. Zesz. 25. Stan. Wyspiański, „Pociecho moja Ty;“ St. Żeromski, „Powieść o udałym Walgierzu;“ G. d'Annunzio, „Franczeska z Rimini;“ H. Kwiatkowska, „Chambres garnies;“ M. Komornicka, „Ze szlaków ducha, nowe cykle;“ W. Berent, „Źródła i ujścia Nietzscheanizmu;“ E. Verhaeren, „Przewoźnik;“ St. Mallarmé, „Fenomen przyszłości;“ J. Lemański, „Bajka o rybaku i rybaczce.“

— Czasopismo prawnicze i ekonomiczne. Zeszyt 4. Michał Rostworowski, „Prawno-Polityczna strona budżetów Królestwa Kongresowego“ (1816—1830); Stanisław Madeyski, „Z praktyki trybunału państwa;“ dr. Kazimierz Władysław Kamieniecki, „Szkolnictwo ludowe w Galicyi wobec analfabetyzmu;“ prof. dr. Fryderyk Zoll (młodszy), „O zadawnieniu § 1485 k. c. na podstawie opinii prawnej;“ prof. dr. Edmund Krzymuski, „Profesorowie wydziału prawa a urzędnicy państwowi w rozumieniu § 39 in fine ust. austryac. postęp. k. 23 maja 1873 roku;“ dr. Julian Gertler, „Z kroniki krakowskiego Towarzystwa prawniczego i ekonomicznego.“

— Ekonomista. Zesz. IV, rok 1905. B. Wasiutyński, „Najbliższe zadania ekonomiczno-społeczne;“ A. R. Szczepański, „Pomoc prawodawcza, jej zadania, główne postacie i znaczenie“ (c. d.); J. Lutosławski, „Idea kooperacyi;“

F. Sokal, „Ubezpieczenie pracujących;“ J. Szyc, „Historya ruchu współdzielczego w Belgii;“ Wł Piechocki, „Wisła jako droga komunikacyjna i handlowa“ (cz. I); W. Szukiewicz, „Miasto przyszłości“ (zagadnienie kulturalne) (dok.).

— Kosmos. Rocz. XXX, zesz. VIII—XII, za r. 1905. Dr. Tadeusz Godlewski, „O budowie i rozpadaniu się atomów z tablicą litograficzną i 2 rycinami cynkograficznemi;“ dr. Julian Tokarski, „O dyamentach marmoroskich (z instytutu mineralogii Uniwersytetu lwowskiego) z tablicą litograficzną i 2 rycinami cynkograficznemi;“ dr. Józef Siemiradzki, „O utworach górnokredowych w Polsce;“ Kazimierz Sławiński, „O budowie produktów otrzymanych przez działanie kwasu podchlorawego na kamfen;“ dr. B. Dybowski, „Zęby zwierząt ssących, część I z 10 rycinami;“ prof. dr. Józef Nusbaum, „Choroba w świetle teoryi ewolucyi;“ dr. Wilhelm Friedberg, „Rewizya fauny miocenu w Rzegocinie;“ Karolina Reisowa, „O kalectwie dobrowolnem u zwierząt;“ Eugeniusz Romer, „O niezwykłym ruchu temperatury górskich źródeł i potoków;“ dr. J. Tokarski, „Melanteryt i Keramohalit w karpackich łupkach menilitowych;“ Sprawozdania z literatury przyrodniczej podali: Dzięddzielewicz J., Łomnicki M., Tokarski J. i Opolski S.

— Krytyka. Luty. (f) „Dyalog;“ Leopold Staff, „Gniew sprawiedliwy, Wiosna ludów“ poezye; Prof. J. Baudouin de Courtenay, „Ze zjazdu autonomistów czyli przedstawicieli narodowości nierosyjskich w Petersburgu;“ dr. Wacław Moraczewski, „Współczesna literatura francuska (z powodu książki Comtesse de Noailles: Domination);“ Iza Moszczeńska, „Podwójna moralność, Panowie stworzenia“ (dok.); Bolesław Goszczyński, „Długie krwawe noce;“ dr. Władysław Gumplowicz, „Socyalizm a kwestya polska;“ Stanisław Przybyszewski, „Śluby;“ M. Römer, „Stosunki etnograficzno-kulturalne na Litwie;“ (c. d.); Iza Moszczeńska, „Karnawał warszawski;“ M. Olszewski, „Praeludyum capricioso;“ F-G-H., Przegląd sztuk plastycznych.“

— Muzeum. Luty. „W sprawach szkoły i młodzieży (z poufnych obrad nauczycieli lwowskich);“ A. Chudziński, „O obecnym kierunku studyów klasycznych w Niemczech“ (dok.); dr. Leon Kulczycki, „Praktyczny kurs kształcenia nauczycieli szkół średnich;“ Władysław Koch, „Kolonia wakacyjna w Porębie Wielkiej;“ Oceny i sprawozdania przez St. Gajczaka, dr. M. Janellego, St. Bielawskiego, dr. W. Hahna, dr. W. Barcewicza, dr. W. Lozińskiego i Br. Duchowicza.

— Pamiętnik literacki. Rocz. IV, zesz. IV. „Pamięci Mikołaja Reja z Nagłowic 1505—1569 Tow literackie Adama Mickiewicza r. 1905;“ Stanisław Dobrzycki, „Rej;“ Bronisław Chlebowski, „Najdawniejsze kancyonały protestanckie z połowy XVI wieku;“ Józef M. Ujejski, „Pojęcia Reja dotyczące Polaka i Polski;“ Franciszek Krcek, „W sprawie oryginalności „Warwasa“ Rejowego;“ Tenże, „Okruchy mitologiczne I. O tak zwanym „Hejnale“ Rejowym;“ Stanisław Dobrzycki, „Psałterz“ Kochanowskiego w stosunku do innych jego dzieł;“ ks. K. Miaskowski, „Sześć listów Andrzeja Frycza Modrzewskiego;“ Tenże, „Dwa nieznane listy Jana Zamoyskiego do Pawła Manucyusza;“ „Bibliografia o Mikołaju Reju za rok 1905 zestawił Wiktor Hahn.“

— Przegląd filozoficzny. Zeszyt I, r. 1906. D. J. Ochorowicz, „Metoda w etyce;“ dr. Br. Bandrowski, „O analizie mowy i jej znaczenie dla filozofii;“ Sprawozdania.

— Przegląd historyczny. Styczeń—luty. „Borys Kolomanowic, królewicz węgierski,“ Z teki pozgonnej M. Gumplowicza; Wł. Smoleński, „Szkice z dziejów szlachty mazowieckiej (I. Ubóstwo i rozrodzenie);“ Stan. Kutrzeba, „Skład sejmu polskiego;“ St. Smolka, „W drodze do Petersburga“ (z życia Lubeckiego); Al. Kraushar, „Z tajnego archiwum senatora Nowosilcowa, uwagi nad konstytucyą Królestwa z roku 1815.“

— Przegląd Powszechny. Luty. Od redakcyi w sprawie ankiety (o obecnych zadaniach katolicyzmu w Polsce); „Kwestyonaryusz ankiety;“ „Odpowiedzi ks. Florjana Stablewskiego, ks. Edwarda Likowskiego, ks. A. Andrzejewicza, ks. J. Teodorowicza, ks. Józefa Sebastyana Pelczera, ks. T. Kulińskiego, ks. Stanisława Zdzitowieckiego, ks. K. Ruszkiewicza, ks. Stanisława Krzyżanowskiego, dr. Michała Żmigrodzkiego, dr. Leopolda Cara, Leonarda Lepszego, dr. Henryka Jordana, Kazimierza Szeptyckiego, Józefa Jakóba Michałowskiego, Aleksandra Mańkowskiego, ks. F. Fulmana, dr. Rudolfa Sikorskiego, dr. Franciszka Chłapowskiego, Franciszka Morawskiego, dr. Kazimierza Krotowskiego, dr. Antoniego Mazanowskiego, dr. Adama Krzyżanowskiego, dr. Bronisława Dembińskiego, dr. Jerzego Michalskiego, Jana Trzecieskiego, ks. Kujota, Krzysztofa hr. Mieroszewskiego, Stanisława Tomkowicza, Kraińskiego, ks. L. Zbyszewskiego, dr. Józefa Tretiaka, dr. Karola Potkańskiego, dr. Karola Kleckiego, dr. Maryana Zdziechowskiego, dr. Józefa Milewskiego, dr. Włodzimierza Czerkawskiego, Walerego Gostomskiego“ (c. d.).

— Świat Słowiański. Styczeń. F. K., „Czego chce rząd rosyjski?;“ A. Grzymała Siedlecki, „Klasztor suzdalski i sołowiecki;“ dr. Henryk Glück, „Gundulić w Polsce;“ Franciszek Morawski, „Echa kresowe;“ Feliks Koneczny, „Z powodu artykułu dra Iwana Franki, „Posiedzenie klubu słowiańskiego;“ Zygmunt Balicki, „O drugim zjeździe Niemców;“ Aleksander Lednicki, „Grudniowe dni w Moskwie;“ Walery Gostomski, „O trylogii Mereżkowskiego.“

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA.

Huysman. Życie św. Ludwiny z Sziedam, tłómaczenie. Poznań, 1905. Nakł. i druk. księgarni św. Wojciecha. 8-o, str. 214.

Komu wierzyć: czy św. Ojcom Kościoła, czy też mnichowi poczajowskiemu. Odpowiedzi katolickie, nr. 3. Kraków, 1906. Nakł. OO. Jezuitów. 8-o, str. 4.

Prawdzic ks. Lud a duchowieństwo. Warszawa, 1906. Skład główny w księgarni G. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 136.

Szydelski ks. dr. Słów kilka o obrazie Najśw. Maryi Panny Łaskawej w katedrze lwowskiej, w 250 rocznicę ślubów królewskich. Lwów, 1906. Gubrynow. i Schmidt. 8-o, str. 91.

Teodorowicz ks. arcyb. Z audyencyi dnia 27 grudnia. List publiczny. Kraków, 1906. Nakład autora. 8-o, str. 18.

HISTORYA. — SOCYOLOGIA.

Borzemski Antoni. Archiwa w Sanoku, Jaśliskach. Króliku włoskim, Hłomczy, Ładzinie i Klimkówce. Sanok, 1906. Nakł. miasta. 8-o, str. 168 i IX.

Gumowski Maryan. Wykopaliska monet polskich z w. X i XI. Odbitka z t. XLVIII „Rozpr. Wydz. hist.-filozof.“ Kraków, 1905. Nakł. Akademii Umiej., Spółka wydawnicza polska. 8-o, str. 83 z 3 tabl.

Gumplowicz L. La sociologia e Gustavo Ratzenhofer. Estratto della Rivista italiana di sociologia, anno IX, fasc. III, IV. Magio—Agosto, 1905. Roma, 1905. 8-o, str. 31.

Sokołowski August dr. Polska, obrazy i opisy, zeszyt VI, polityczna historya Polski (c. d.). Wyd. „Macierzy polskiej“ nr. 83 z fundacyi imienia T. Kościuszki nr. 4. Lwów, 1905. Nakład i skład główny Macierzy Polskiej, H. Altenberg. 4-o, str. 617—714 z 48 ilustr.

Szalay Walerya. Za kraj i braci, opowiadanie historyczne. Katowice, 1905. Nakładem i drukiem „Górnoślązaka,“ Maniszewski i Kędzierski we Lwowie. 16-o, str. 119.

Tokarz Wacław. Ostatnie lata Hugona Kołłątaja (1794—1812). Tom I i II. Kraków, 1905. Nakł. Akademii Umiejętności, Gebethner i Wolff w Warszawie. 8-o, str. 347 + 269, z portretem Kołłątaja.

HISTORYA LITERATURY.—BIBLIOGRAFIA JĘZYKOZNAWSTWA.

Bersohn Mathias. Słownik biograficzny uczonych żydów polskich XVI, XVII i XVIII wieku. Zebrał i treściwie opisał... Warszawa, 1906. Skł. główny w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 81.

Góral Bolesław E. ks. Zasady interpunkcyi polskiej. Milwaukee, Wisconsin. Nakł. Orędownika językowego, 1905. 8-o, str. 32.

Kętrzyński Wojciech dr. Pisma 1865—1905. Lwów, 1906. Nakładem i drukiem Ossolineum. 8-o, str. 19, z portretem autora.

Kronika Uniwersytetu Jagiellońskiego 1904/5 za rektoratu prof. d-ra Napoleona Cybulskiego i otwarcie roku szkolnego w d. 9 października 1905 r. przez nowego rektora X. d-ra Stefana Pawlickiego. Kraków, 1906. 8-o, str. 36.

Kurpiel Antoni M. dr. Pamiętniki ks. Stanisława Jundziłła, prof. uniw. wileńskiego. Odb. z „Archiwum dla historyi, oświaty i liter. w Polsce“ t. XIII. Nakł. Akad. Umiej.; Spółka wyd. polska. 8-o, str. 147.

Tenner Juliusz. Technika żywego słowa. Lwów, 1906. Nakł. H. Altenberga, E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o, str. 329 i 4 nl. z 20 ryc. w tekście.

PRAWO. NAUKI SPOŁECZNE I EKONOMICZNE.

Bücher K. dr. Szkice ekonomiczne w przekładzie M. Gomólińskiej. Powstanie gospodarstwa narodowego. Systemy przetwórczo-przemysłowe w swym rozwoju dziejowym. Warszawa, 1906. Nakł. Księg. Naukowej. Bibl. społeczno-ekonomiczna. 8-o, str. 123.

Juszkiewicz P. Prawo wyborcze. Tłómaczył Stefan Pogorzelski. Łódź-Warszawa, 1906. Wydaw. „Gońca Łódzkiego.“ Skład główny w księgarni L. Fiszera w Warszawie. 8-ka mała, str. 72.

Kronenblech-Krośki Aleksander. Prawo handlowe. Podręcznik. Wyd. drugie z dołączeniem Kodeksu Handlowego i wyjaśnień Senatu. Warszawa, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. VI + 210 + IV.

Lafargue P. Religia kapitału. Warszawa, 1906. Nakładem księgarni Popularnej. 8-o, str. 52.

Popowski Józef. Polityczne położenie świata na początku XX wieku. Warszawa-Kraków, 1906. Gebethner i Wolff. 8-o, str. 84.

Rozbiór niektórych z danych w r. 1904 odpowiedzi dyrekcyi głównej Tow. kredytowego ziemskiego na wnioski stowarzyszonych, złożone w zebraniach okręgowych w 1902 r. Warszawa, 1906. E. Wende i Sp. 8-o, str. 129.

Trzeciak St. X. dr. Oświata a dobrobyt, studyum ekonomiczno-socyalne. Wydanie 2 poprawione. Poznań, 1905. Nakł. autora, księg. św. Wojciecha. 8-o, str. 62 i II.

Zdziarski Bolesław. Jaki samorząd czyli autonomia jest potrzebna dla Królestwa Polskiego B. m. i r. w. 8-o, str. 17.

Zieliński Zygmunt. Nasza kwestya społeczna (socyalna) napisał w formie odczytu... Jasło, 1905. G. Gebethner i Sp. w Krakowie. 8-o, str. 28.

PEDAGOGIA.—SZKOLNICTWO.—PODRĘCZNIKI SZKOLNE.

Bohuszewicz J. St. Zbiór zadań arytmetycznych dla szkół średnich męskich i żeńskich. Podług M. A. Baranieckiego, S. Dicksteina, I. Wereszczagina i innych. Zebrał i ułożył... Część I. Warszawa, 1906. Nakł. księgarni K. Idzikowskiego. 8-o, st. 143 + 8.

Dobrowolska Benoni Julia. Szkoła angielska nowego typu, czy szkoła przyszłości Ellen Key? Referat na zebraniu Tow. nauczycieli szkół wyższych w Krakowie 25 listopada 1905 r. Kraków, 1906. K. Wojnar. 8-o, str. 24.

Hancock Irving. Fizyczne wychowanie w Japonii „Dżiu-itsu.“ Przełożył J. Modzelewski. Z 18 rycinami. Warszawa, 1906. Nakład. Gebethnera i Wolffa. Wydanie popularne. 8-o podł., str. 86.

Hoch K. A. Wypisy niemieckie dla szkół jedno i kilkoklasowych z uwzględnieniem nowej ortografii. Ułożył... Zalecone w pierwszym wydaniu przez Ministeryum Oświaty. Warszawa, 1906. Nakład. księgarni L. Fiszera. 8-o, str. 176 + XXVIII.

Jurewicz. Zbiór zadań arytmetycznych dla szkół początkowych ludowych i prywatnych. Ułożony stosownie do wymagań programów przedmiotów wykładanych w początkowych szkołach Ministeryum Oświaty. Przełożył i uzupełnił miarami metrycznemi i polskiemi R. Jankowski. Rok I. Rosyjskie wydanie dopuszczone przez Uczony Komitet Ministeryum Oświaty do użytku w szkołach ludowych i klasach przygotowawczych średnich zakładów naukowych. Warszawa, 1906. Skład główny w księg. Gebethnera i Wolffa. Nakł. księg. H. Jankowskiej w Jędrzejowie. 8-o, str. 31.

Kozenn B. Atlas geograficzny dla szkół średnich (gimnazyalnych, realnych i handlowych). Wydanie 2 zupełnie przerobione i opracowane przez H. Haardta, W. Schmidta i Br. Gustawicza. Wiedeń, 1906. Nakł. Edw. Hölzla, Gubrynowicz i Schmidt. 4-o, 93 mapek w 53 tablicach.

Popliński A. Przykłady do tłómaczenia z łacińskiego na polskie i z polskiego na łacińskie. Cz. I, zawierająca formy regularne. Wydanie 7 przejrzał i poprawił dr. A Drygas. Poznań, 1906. Nakładem księgarni J. Jolowicza. 8-o, str. 2, nl. 135.

Stanisław J. Geografia początkowa. Warszawa-Łódź, 1905. Nakład. J. Fiszera. 8-o, str. 57 z 2 mapami i liczn. rysunkami.

Szeliga Wacław. Szymon Askenazy i bezrobocie szkolne. Myśli i uwagi. Lwów, 1905. 8-o, str. 15.

Żeleński Zygmunt inż. Odezwa do młodzieży w Krakowie. Jasło, 1905. 8-o, str. 4.

— Przedmowa do młodzieży. Wydanie 2. Jasło, 1905. Nakład. autora. Gebethner i Sp. 8-o, str. 12.

NAUKI PRZYRODNICZE. — MEDYCYNA.

Baczyński Włodzimierz i Niementowski Stefan. Dwuoksyakrydon i jego pochodzenie. Odbitka z „Rozpr. wydz. matem.-przyr." t. XLV, ser. A. Kraków, 1906. Nakł. Akad. Umiej. Spółka wydawnicza polska. 8-o, str. 17.

Chlumsky W. dr. Cukrzyca i boczne skrzywienie kręgosłupa po urazie, czy też od rażenia piorunem. Odbitka z „Przeglądu lekarskiego." Kraków, 1906. 8-o, str. 6.

Comby Jules. Podręcznik chorób dzieci. Tom I. Choroby zakaźne. Choroby odżywiania. Zatrucia. Z IV przejrzanego i uzupełnionego wydania spolszczył dr. Józef Zawadzki. Warszawa, 1906. Nakł. „Biblioteki lekarskiej." Rok III. Tom XII. 8-ka duża, str. 316.

Jesner S. dr. (z Królewca). Krótki podręcznik chorób skóry z opisem wysypek przymiotowych i krótką kosmetyką dla studentów i lekarzy. Spolszczyli z drugiego wydania niemieckiego W. Dobrowolski i W. Łuniewski. Pod redakcyą d-ra J. Wojciechowskiego. Warszawa, 1906. Nakład. „Biblioteki lekarskiej." Rok III. Tom XII. 8-ka duża, str. IV + 465.

Kossakowski Stanisław hr. Praktyczny poradnik lekarski, zawierający parę uwag o przyczynach chorób odnośnie do ich leczenia oraz zbiór recept popularnych. Przekład Ireny Pepłowskiej. Warszawa, 1905. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 146.

Kulczycki W. und Nusbaum J. Zur Kenntnis der Drüsenzellen in der Epidermis der Knochenfische. Extr. du Bull. de l'acad. des sciences. Cracovie de l'univ., 1906. 8-o, str. 785 — 787.

Sabat B. dr. Wpływ promieni radu na przewodnictwo elektryczne elektrolitów. Odb. z „Rozpraw Wydz. matem.-przyr." t. XLVI, ser. A. Kraków, 1906. Nakł. Akad. Umiej. Spółka wydawnicza polska. 8-o, str. 5.

POWIEŚĆ. — POEZYA.

Bulwer Lytton Edward. Zanoni. Powieść z czasów rewolucyi francuskiej. Przekład Maryi Komornickiej. Warszawa, 1906. „Bibl. dzieł wyborow." Nr. 417, 418. 8-o, t. I str. 148, t. II str. 167.

Gorkij M. Dzieci słońca, dramat w 4-ech aktach. Tłómaczyła z rosyjskiego Helena Radlińska-Boguszewska. Warszawa, 1906. Nakład. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 168.

Konopnicka Marya. Głos ciszy. Warszawa-Kraków, 1906. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 153.

Przybyszewski Stanisław. Odwieczna baśń, poemat dramatyczny. Lwów, 1906. Nakładem H. Altenberga. 8-o, str. 230.

Reymont Wł. St. Chłopi, powieść współczesna. Tom I. Jesień. Wyd. 2. Warszawa-Kraków, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 347.

— Toż. Tom II. Zima. Tamże, 1906. 8-o, str. 348.

Słowacki Juliusz. Zawisza Czarny, dramat z autografu wydał Artur Górski. Warszawa-Kraków, 1906. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 199. (Książkę zdobił Jan Bukowski).

Stodor Adam. Con dolore, poezye. Stanisławów, 1906. Albin Staudacher Jan Fiszer w Warszawie. 16-o, str. 138.

Turczyński Juliusz. Powieści huculskie. Tom II. Straszna drużyna. — Skarb w borze. — Roman z Porohów. Lwów, 1906. Nakładem autora. 8-o, str. VIII i 214.

Wojciechowska Wanda. Ojcze nasz, opowieść z życia. Wyd. tygodn. „Ojczyzna“ nr. 19—20. Lwów, 1904. Nakł. Związku wydawn. Maniszewski i Kędzierski. 8-o, str. 32.

Wyspiański Stanisław. Warszawianka, pieśń z 1831. Wyd. 5. Kraków, 1906. Nakł. autora, G. Gebethner i Sp. kor. 15. 8-o, str. 54.

— Wyzwolenie, dramat w trzech aktach. Wydanie 2. Kraków, 1906. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 193.

Żeromski Stefan. Ludzie bezdomni, powieść Tom I i II. Wydanie 4-e. Warszawa-Kraków, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 305 + 250.

Żuławski Jerzy. Gra, tryptyk sceniczny. Lwów, 1905. Nakład. Księgarni Narodowej. 8-o, str. 153.

PUBLICYSTYKA I RÓŻNE.

Co powinniśmy wiedzieć o wyborach do Dumy państwowej? Zebrał jeden z gminiaków. Lublin, 1906. 8-o, str. 16.

Kowieński M. Nasza taktyka i hasła programowe w chwili obecnej. Odpowiedź na „List otwarty“ tow. Ignacego Daszyńskiego do C. K. R. P. P. S. Polska partya socyalist. Warszawa, H. Altenberg we Lwowie. 8-o, str. 24.

Kuczalska-Reinschmit P. Młodzież żeńska a sprawa kobieca. Warszawa, 1906. Wydana staraniem koła pracy kobiet. Skład główny w Księgarni Naukowej. 8-ka podł., str. 38.

Moszyński Jerzy. Kilka myśli o położeniu obecnem. Kraków, 1906. Nakładem autora. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 68.

Nowina H. Upadek Rosyi. Odbitka z „Krytyki.“ Kraków, 1906. Spółka nakładowa „Książka,“ H. Altenberg we Lwowie. 8-o, str. 48.

Sclavus Wiesław. Anarchiści. Lwów, 1906. Księg. polska B. Połonieckiego. 8-o, str. 304.

Socyalizm a wieś, napisał Ziemianin. Kraków, 1906. Spółka wydawn. polska. 8-o, str. 25.

Starowiejski Franciszek. W sprawie wiecu duchowieństwa w Warszawie. Kraków, 1906. Nakładem autora. 8-o, str. 15.

Szyszłło Wincenty Okwietko dr. Program polityki narodowej. Warszawa, 1906. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 14.

Warchałowski Jerzy. O muzeum przemysłowem w Krakowie. Odbitka z „Czasu." Nakł. Tow. Polska Sztuka stosowana. 8-o, str. 37.

W. I. O reformie wyborczej. Wydaw. Stronnictwa Demokratyczno-narodowego II. Lwów, 1906. Towarzystwo wydawnicze. 8-o, str. 46.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

Mickiewicz i Domejko.

Do czasów drezdeńskich.

Po Ignacym Domejce zostały obszerne wspomnienia, w różnych czasach, przeważnie w ostatnich latach życia pisane, a obejmujące jego sprawy, przygody i czynności na obu półkulach świata. Niektóre urywki tych wspomnień były już tu i owdzie drukowane; całość ich zapewne niezadługo zostanie wydaną przez autora niniejszego studyum. Zanim to nastąpi, chce on na ich podstawie, a także na podstawie innych, ogłoszonych już materyałów, nakreślić wzajemny stosunek, jaki wiązał Domejkę z Mickiewiczem. Niewątpliwie czcigodna postać Domejki sama przez się zasługuje na szczegółowe studyum; ale to, co jej nadaje największe w oczach naszych znaczenie, co ją czyni najbardziej dla nas interesującą, to jest właśnie ów ścisły węzeł, który wiązał tych dwóch ludzi o bardzo odmiennych naturach, o różnem uzdolnieniu, ale o jednakowej szlachetności ducha.

I.

Mickiewicz miał wielu przyjaciół, począwszy od czasów studenckich aż do ostatnich chwil życia, ale żaden jego stosunek przyjacielski nie był tak serdeczny zarazem i trwały, jak stosunek z Domejką. Niewątpliwie w koleżeńskiem życiu wileńskiem Zan i Czeczot byli bliżsi jego sercu, lepiej wtajemniczeni w jego

uczucia, bardziej nachyleni ku niemu poetyckim nastrojem i upodobaniami, ale stosunek z nimi nie trwał długo. Już od chwili rozproszenia Filaretów, z przyczyn czysto zewnętrznych, zaczął słabnąć, po rewolucyi 1831 r. zupełnie ustał, zostawiając tylko po sobie w sercu poety żywe wspomnienie. Stosunek z Domejką, jakkolwiek przerywany, ciągnął się od czasów studenckich aż do śmierci poety, a nie zdołało go nic zerwać, ani przeniesienie się Żegoty do kraju antypodów, ani większe od tamtego oddalenie duchowe, które ujawniło się między nimi wtedy, gdy Mickiewicz ogłosił się prorokiem i apostołem Towiańskiego. Że ten stosunek przetrwał najcięższe próby, pod któremi pękały najściślejsze stosunki przyjacielskie poety, więcej w tem było zasługi Domejki, niż Mickiewicza.

Obaj pochodzili z powiatu nowogródzkiego, i wychowanie na tle tej samej przyrody, tego samego ludu wiejskiego i tych samych tradycyj i stosunków stanowiło już silny węzeł między nimi, szczególnie wtedy, gdy się znaleźli daleko za granicami kraju. Wiekiem różnili się niewiele. Żegota, urodzony w r. 1801 (22 sierpnia) był o trzy lata niespełna młodszy od Adama. Niezbyt wielka, ale zawsze większa była różnica sfer społecznych, z których pochodzili. Mickiewicz, syn ubogiego rejenta nowogródzkiego, pochodził z drobnej, zaściankowej szlachty; Domejko, syn prezesa sądów ziemskich nowogródzkich, należał do sfery średnio zamożnej szlachty wiejskiej.

Ta ostatnia różnica prędko się zatarła w koleżeńskiem, uniwersyteckiem życiu. Mickiewicz zapisuje się na uniwersytet wileński w r. 1815, Domejko przybywa do Wilna w rok potem. „Kraj lat dziecinnych“ Mickiewicza, jego „dzieciństwo sielskie, anielskie“ jest nam jako tako znane; o Domejce i tego powiedzieć nie możemy. Człowiek, który zostawił bardzo obfite i szczegółowe pamiętniki, który pod koniec życia miał szczególne zamiłowanie w odtwarzaniu piórem świeżej i dawnej przeszłości własnej, nie przekroczył w różnego rodzaju wspomnieniach swoich po za czasy uniwersyteckie, nie sięgnął nigdzie — chyba tylko ubocznie, nawiasowo — w głąb lat dziecinnych. Stąd stosunki jego rodzinne przedstawiają się nam dość niejasno; z wyjątkiem paru ulotnych wzmianek we wspomnieniach z późniejszych czasów, nie wiemy nic bliższego o rodzicach Żegoty i jego do nich stosunku.

Z dziecinnych czasów swoich jeden tylko ładny obrazek przekazał nam Domejko, w niewydanem dotąd wspomnieniu p. t. „Dwie godziny przy grobie brata.“ Przypomina on sobie tutaj, jak naokoło kościołka wsi rodzinnej, we dni świąteczne, Zesłanie

Ducha Św. czy w dzień Najśw. Panny Zielnej, szła ludna procesya — przodem młodsza dziatwa z krzyżem, za nią starsi gospodarze; dworna służba ze świecami śpiewała: „Boże w dobroci nigdy nieprzebrany;“ bliżej księdza, zakrystyan w komży z kadzielnicą i chłop z dzwonkiem; „księdza pod rękę prowadził ojciec mój w kontuszu i żupanie, za nim szła matka i pięcioro nas małych, panny, goście, a za nami mnogi lud świątecznie ubrany.“

Ojciec, jak się zdaje, wcześnie go odumarł, opieka nad małoletnim przeszła w ręce stryja, który miał także imię Ignacy, i ten bardzo gorliwie zajął się losem synowca. Wnosić tak trzeba stąd, że Żegota oddany do szkoły pijarskiej w Szczuczynie, nie do matki, ale do stryja jeździł zwykle na wakacye, że wreszcie, gdy ukończył studya uniwersyteckie, pod jego okiem i w jego majątku kształcił się na gospodarza rolnego.

Co się tyczy matki, Karoliny z domu Ancutówny, prawie nic o jej życiu, charakterze, wykształceniu i stosunku do syna nie wiemy. Domyślamy się tylko, z drobnych wzmianek pamiętnikowych, że jej to przedewszystkiem zawdzięczał ów pogodny nastrój religijny, którym się odznaczał przez całe życie; wiemy też, że choć w późniejszych latach młodzieńczych zdaleka się od niej chował, miał ją jednak w pamięci głęboką czcią otoczoną, a jej przypomnienie w ważnych chwilach życia przynosiło mu jakąś przestrogę lub wskazówkę.

Przybywszy do Wilna w r. 1816, Żegota zapisuje się na wydział fizyczno-matematyczny. Czy odrazu zawarł znajomość z Mickiewiczem? Nie wiemy, ale łatwiej przypuścić, że nie, zwłaszcza, że Mickiewicz, który przez pierwszy rok nauki uniwersyteckiej słuchał nauk fizyczno-matematycznych, na drugi rok 1816/17 był już wyłącznie na wydziale literackim. To zaś napewno wiemy, że nie należał do tego grona najbliższych przyjaciół poety, wśród którego urodziła się natchniona świeżymi obchodami kościuszkowskimi myśl zawiązania tajnego towarzystwa Filomatów, do grona, do którego należeli Zan, Czeczot, Malewski i Jeżowski. Był od nich — jak sam powiada — nie tylko „młodszy wiekiem i nauką,“ ale i „niższy usposobieniem umysłowem i uczuciowem.“ [1])

Pierwszy zawiązek towarzystwa Filomatów przypada na koniec roku 1817, Domejko zaś, o ile można wywnioskować z dat

[1]) Porówn. *Filomaci i Filarecі*, list Ignacego Domejki. Poznań, 1872, str. 9 i tegoż Domejki *O młodości Mickiewicza*, Przegląd Lwowski, 1872, II, str. 36.

niedość określonych, które podał w swoich wspomnieniach, dopiero w r. 1819 wciągnięty został do niego i zamknął listę jego członków. W każdym razie był to nie mały zaszczyt dla 18-letniego chłopaka, że wprowadzony był przez starszych kolegów do nielicznego szeregu wybranych, którzy mieli oddziaływać na ogół młodzieży polskiej w Wilnie, rozbudzić w niej nowego ducha i w ten sposób dążyć do odrodzenia narodu, a nawet, jak to z wiersza programowego Mickiewicza: „Już się z pogodnych niebios...“ możnaby wnosić — do odrodzenia całej ludzkości:

Oby kiedyś świat cały zgodnie wiążąc dłonie,
Nasze wziął godło, naszym bóstwom sypał wonie.

Jakie względy zjednały Domejce ten zaszczyt? Kto go mógł zalecać do przyjęcia? W gronie Filomatów przed wstąpieniem do niego Domejki był jeden jego znajomy jeszcze z czasów szkolnych, ze Szczuczyna, ówczesny jego guwerner, Onufry Pietraszkiewicz, *vulgo* zwany Nufrem, który się wyróżniał w gronie towarzyszy jakąś staropolską, sarmacką zamaszystością i więcej niż inni przykładał wagi do form religijnych. Podług wspomnień Domejki, był to „najrubaszniejszy z całego grona, najruchawszy, istny zapaleniec;“ na niego spadała głównie materyalna praca w towarzystwie, np. pisanie protokółów z posiedzeń, urządzanie małych, okolicznościowych uczt i t. p. „Jedynym jego żywiołem i warunkiem bytu była narodowość, dobro kraju, przeszłość i przyszłość Polski...“

Otóż bardzo być może, że to Pietraszkiewiczowi przedewszystkiem zawdzięczał Domejko zaszczyt, który go spotkał, że to sekretarz towarzystwa Filomatów zwrócił uwagę towarzyszy na swego byłego ucznia i pomimo młodszego wieku uznał go godnym należenia do grona, które miało tworzyć „nowe gmachy na nowej posadzie.“ Ale nie można przemilczeć innej jeszcze okoliczności, która musiała wpłynąć na chętne przyjęcie nowego członka do grona. W r. 1819 już Maryla była panią myśli Mickiewicza, a dobrą znajomą Zana i Czeczota, wszyscy trzej zaś wiedzieli, że jej matka, pani marszałkowa Wereszczakowa, była rodzoną siostrą matki Domejki, że zatem bardzo ścisły węzeł krwi łączył nowego kandydata z tą gwiazdą wschodzącą na tle romantycznej zorzy.

W tym samym roku, w którym Domejko wstąpił w szeregi Filomatów, Mickiewicz ukończył uniwersytet i wysłany został do Kowna, jako nauczyciel tamtejszej szkoły. Ale oddalenie ani tro-

chę nie osłabiło stosunku wiążącego poetę z Filomatami; i owszem, zdawało się go potęgować. Świadczył o tem każdy przyjazd Mickiewicza do Wilna, wywołujący zawsze niezmierną radość wśród kolegów, uświetniany nieraz wesołemi ucztami na cześć przybywającego, który przywoził z sobą wykończone w ciszy kowieńskiej utwory poetyckie. Świadczą o tem, te słowa Domejki: „Mogę powiedzieć, że choć oddalony na wiele mil od nas, Mickiewicz był duszą Towarzystwa.“ [1])

Jakie wogóle wrażenie ten najświetniejszy, najznakomitszy z grona Filomatów wywierał wówczas na najmłodszym i najmniej wysuwającym się naprzód, jakim był Domejko, wiemy o tem również od tego ostatniego z bardzo żywego obrazu, jaki tkwił jeszcze w pamięci jego w pięćdziesiąt lat po czasach filareckich. „Nie był on tak posępny i melancholiczny, jakby się z jego utworów (ballad, II i IV-tej części Dziadów) zdawało; lubił być wesołym, kiedy się znajdował ze swoimi, mianowicie z Zanem, Czeczotem, Malewskim, i dziwnie przyjemnym był natenczas. Jego piękna twarz, koralowe usta, namiętne oczy, gęsty hebanowy włos, przyjemny dźwięk mowy, pewność siebie i niepospolita bystrość, — wszystko to dziś sobie przypominam i staje mi na oku jego obraz w najżywszych kolorach. Nie zajmował się on wprawdzie urządzaniem towarzystw tajnych, ani pisaniem ustaw dla nich, ani ich zawiązywaniem między młodzieżą; ale się radzono go w rzeczach tyczących się kierunku, zasad i celów i słuchano go, bo jego sokole oko widziało dobrze i daleko. Powołany zbyt wcześnie na nauczyciela do Kowna, od czasu do czasu widywał się z nami, a każdy jego przyjazd do Wilna był uroczystością dla nas. On pisał pieśni dla nas, jego tylko pieśni śpiewano, a temi pieśniami panował, ożywiał, utrzymywał ducha między młodzieżą...“ [2])

Z tego ustępu widać jasno, z jaką czcią i uwielbieniem spoglądał najmłodszy z Filomatów na tego, który nad całem gronem górował geniuszem poetyckim. Cóż Domejko przynosił temu gronu? Ani doświadczenia, ani zdolności poetyckich, ani głębszej nauki, której nie miał czasu jeszcze nabrać; ale przynosił to, bez czego najlepsze chęci i najwspanialsze pomysły marnieją: wytrwałość, charakter, silną i gorącą wolę. Starsi, doświadczeńsi układali plany, on był jednym z tych, którzy je gorliwie wykonywali.

[1]) Filareci i Filomaci str. 11.

[2]) Tamże str. 3—4.

Co prawda od niego samego wiemy o tem niewiele, ale tak każe przypuszczać i to, co on podał o sobie z czasów filareckich i całe późniejsze życie jego.

Filomaci byli towarzystwem pedagogicznem w całem znaczeniu tego słowa. Nie było nic rewolucyjnego w ich zadaniach; chodziło im o to, aby przykładem, wpływem swoim, uszlachetniającymi i kształcącymi zajęciami i rozrywkami wychować kolegów swoich, niższych nietyle wiekiem, ile usposobieniem i ukształceniem, na prawych i rozumnych ludzi i gorących patryotów. W tym celu urządzane były za wiedzą władzy uniwersyteckiej majówki *Promienistych;* w tym celu potem zawiązane było towarzystwo *Filaretów*, które objęło liczny zastęp młodzieży wileńskiej, a było tajnem nie dlatego, aby miało rewolucyjne cele, ale dlatego, że ówczesny rząd żadnych nie chciał tolerować stowarzyszeń. Do tego celu wreszcie zmierzały wszystkie urządzenia filareckie.[1])

A nie dość, że Filomaci nie byli towarzystwem rewolucyjnem, to jest takiem, któreby chciało wywołać jakiś gwałtowny przewrót zewnętrzny, ale przeciwnie, starali się oni uchronić młodzież uniwersytecką od sieci różnych spisków, jakie zaczęto wówczas zastawiać na nią, czynili zaś to w przekonaniu, że takie spiski nie prowadziły do niczego innego, jak do zmarnowania sił młodzieży. W tym celu używali rozmaitych dowcipnych sposobów, których próbę podał w swoich wspomnieniach Domejko.

Do przeciwdziałania spiskom był i on sam użyty, jako dodany do pomocy jednemu ze starszych i wytrawnych Filomatów, Teodorowi Łozińskiemu, z powodu szerokiej twarzy i barczystej postawy vulgo zwanemu Szerokiem. Oto, jak tę swoją akcyę podziemną w służbie filomackiej opisał w cytowanem już kilkakrotnie wspomnieniu o Filomatach i Filaretach:

„Pierwszej zaraz zimy po zawiązaniu towarzystwa Filaretów, dowiedzieliśmy się, że niektórzy z tych, co byli uczestnikami pierwszych majówek, a nie byli jeszcze weszli do Filaretów, dali się wciągnąć pod zaklęciem jakichś wichrzycieli do tajemnego klubu, którego mistrze sami jeszcze nie wiedzieli czego chcą,

[1]) Najlepiej tę dążność Filomatów wypowiada Józef Jeżowski, jeden z głównych założycieli tego związku, w zeznaniu, złożonem przed wileńską komisyą śledczą d. 19 kwietnia (1 maja) 1824 r., w zeznaniu wprawdzie urzędowem i oględnie pisanem, ale mimo to tchnącem wielką szczerością w przedstawieniu celów Towarzystwa. Zeznanie to wydrukowane w artykule p. Henryka Mościckiego „Ze stosunków wileńskich.“ Bibl. Warsz., II, 506—511.

ale już mieli na pogotowiu czarną izbę, przysięgi, ceremonie, trupie głowy, sztylety, znaki do poznania się i tym podobne ceregiele, któremi jak dzieci z ogniem bawili się i straszyli, a policya już była ich zwietrzyła. Nie tracąc tedy czasu delegowali Filomaci Łozińskiego i mnie, abyśmy się starali wejść jaknajprędzej do tego klubu i usiłowali zaradzić złemu. Rzecz nie była trudna do wykonania. Na trzeciem czy czwartem posiedzeniu tego klubu, który już zakrawał na karbonarstwo, rozsądniejsi obrali prezesem Łozińskiego, który z urzędu swego zręcznie manewrując, przekonawszy się, że trudno było reformować, puścił w przewłokę czynności zagorzalszych, wstrzymywał od częstego zbierania się bojaźliwszych i przed końcem jeszcze zimy, za wejściem dwóch czy trzech z tego klubu do Filaretów, rozwiązał się sam przez się klub bez oporu.“ [1])

Był to więc mały a niewinny wallenrodyzm, uwieńczony zupełnym skutkiem, a nie zostawiający zgryzot sumienia. Przedstawiłem go tu szczegółowo, ponieważ pokazuje rolę, jaką odgrywał Domejko w gronie starszych od siebie Filomatów: była to rola wiernego pomocnika, na którego takt, dyskrecyę, charakter spuścić się było można. Podobną rolę odgrywał on i w związku Promienistych, jako adjutant Zana (szambelan do roznoszenia życzeń Arcego) i w tak zwanej Izbie pożyczkowej, gdzie wraz z Czeczotem użyty był do obliczania długów i wybierania zaległości. [2])

Ale przytoczone świadectwa pokazują tylko zewnętrzną różnicę, jaka zachodziła między Mickiewiczem a Domejką, jako Filomatami. Tamten był jedną z najwyższych powag, zajmował uprzywilejowane stanowisko, ten był skromnym, pokornym wykonawcą. Tymczasem głębiej wnikając w stosunek obu młodzieńców do Towarzystwa, znajdujemy między nimi w tym względzie różnicę nierównie godniejszą uwagi, nierównie ciekawszą i ważniejszą dla charakterystyki ich obu, a w szczególności Mickiewicza. Jest to różnica, która zarysowywać się będzie między nimi przez całe życie.

Kto z nich był wierniejszym przedstawicielem ducha filomackiego, czy filareckiego, co tym razem na jedno wychodzi?

[1]) Filareci i Filomaci str. 18.

[2]) Ob. Żywot Ad. Mickiewicza przez Wład. Mick. T. I, dodatek IV i Proces Filaretów w Wilnie, Archiwum do dziejów literatury i oświaty, t. VI, str. 308.

Sądzę, że każdy bez wahania, ale też i bez głębszego namysłu, powie: Mickiewicz, jako ten, który pieśniami swojemi „panował, ożywiał, utrzymywał ducha“ między młodzieżą filarecką. A jednak tak nie było; wierniejszym wyrazem filaretyzmu, pomimo biernej swojej roli, był Domejko. Napojony zasadami i dążeniami filareckiemi, jakie się wytworzyły w pierwszem gronie Filomatów, gdzie uczucie (koleżeństwa, miłości ojczyzny, cześć dla przeszłości i t. d.) płonęło rzeźwym płomieniem, ale przy sobie miało rozum praktyczny na straży, Domejko ponad te zasady i dążenia nie wybiegał; był on Filomatą i Filaretą i niczem więcej. Czuł, wierzył i pragnął, jak Zan, jak Czeczot, Malewski, jak większa część Filaretów — i jak sam Mickiewicz, dopóki ten nie był zmuszony oddalić się od kolegów i osiąść w Kownie.

Ten wyjazd do Kowna jest ważnym momentem w historyi ducha Mickiewicza. Dopóki był w ciągłem zetknięciu, w ciągłej wymianie wrażeń i uczuć z kolegami, dopóty duch jego nie miał śmiałości wypowiadać się bezwzględnie, wypowiadać coś więcej nad to, co było wspólnem dobrem Filomatów, a co się streszczało w hasłach „ojczyzna, nauka, cnota i braterstwo.“ Znalazłszy się w samotności kowieńskiej, karmił się bez wszelkiego przeciwdziałania zewnętrznego marzeniami młodzieńczemi, w których jego własny, osobisty pierwiastek rozwijał się bez przeszkody i wystrzelał ponad to, co było wspólną własnością sfery koleżeńskiej.

Jeżeli jeszcze w Wilnie pierwsze promienie romantyzmu potrąciły budzącą się duszę młodego poety, jeżeli tam jeszcze zaczął pisać wraz z kolegami ballady i ciekawie przysłuchiwać się wszczynającemu się sporowi o romantyczność, nazwaną przez Jana Śniadeckiego „szkołą zdrady i zarazy,“ to dopiero w Kownie, w dwu następnych latach, w ciszy małomiejskiego życia, przejmował się do głębi tchnieniami nowszej poezyi niemieckiej, swobodnie puszczał uczucie i wyobraźnię w jej ślady i w tej swobodzie uczuwał nieznaną przedtem sobie moc uczucia i rozkosz jej wypowiadania, jedyną osłodę ciężkiego „łbów żmudzkich obuczania,“ jakie mu wówczas przypadło w udziale. Im cięższą była dla młodej duszy poetyckiej praca pedagogiczna, tem większą rozkosz przynosiła mu potem samotność, poświęcona romantycznej lekturze i wywołanym przez nią marzeniom. Tymi marzeniami nie miał się z kim dzielić poeta w Kownie, więc żaden wpływ koleżeński nie studził ich, nie płoszył, nie zmieniał ich kierunku. Wybiegały one swobodnie poza granice filaretyzmu.

Współcześnie z wpływem literackim i po części w związku z nim, na ówczesne marzycielstwo poety i budzenie się jego in-

dywidualizmu działała inna siła, wewnętrzna — miłość dla Maryli, z początku unosząca się w obłoku nieokreślonych nadziei, potem wśród gromów i błyskawic zawiedzionego i cierpiącego serca.

Niedługo zatem po usunięciu się Mickiewicza ze sfery wileńskiej pomiędzy nim a kolegami-Filomatami zaczęła się zarysowywać różnica w nastroju uczuć i wyobrażeniach, różnica, która dotychczas prawie uchodziła uwagi biografów i krytyków, a której przecież ślady widoczne znajdujemy we wspomnieniach i listach z czasów filareckich.

Jakie były dążenia Filomatów, w najogólniejszych rysach już wyżej wskazałem. Bliżej kierunek ich można poznać z prawideł, które ułożyli dla Promienistych [1]) i z niektórych przedsięwzięć, które, dzięki śledztwu Nowosilcowa, wyszły na jaw. Oto, jak brzmiało drugie, trzecie i szóste prawidło:

II. Chcesz posiadać naukę? *popracuj naprzód nad odkryciem twoich niewiadomości.* Gdy zaś poznasz czego i jak wiele nie umiesz, czego i jak chciałbyś się nauczyć i czego nieuchronnie do twojej nauki potrzebujesz, natenczas bądź przekonany, że uczyniłeś pierwszy, lecz wielki krok na drodze doskonalenia twojego umysłu.

III. Staraj się nabywać nauki z gruntownością *stosowną do sił twoich i powołania.* W tym zamiarze ułóż sobie plan doskonalenia się twojego, abyś wiedział, gdzie jest początek, gdzie środek, gdzie granica twojej nauki. *Bez takiego planu nie nadasz pracy twojej porządku tak nieuchronnie w całem życiu potrzebnego,* bez porządku nie nabędziesz w nauce gruntowności, a bez tej bądź przekonany, że nauka twoja stać się może szkodliwą.

VI. *Im skromniejszym* coraz będziesz się stawał w twoich rozmowach, zdaniach, opiniach, tem większego coraz postępu w doskonaleniu się twojem będziesz miał dowody. Jeśliby zaś w jakiej twojej sprawie przebiła się pycha lub wysokie o sobie rozumienie, natenczas uderz się w piersi i zawołaj: Zgubiony jestem. Bież co rychlej *do umiarkowańszego od ciebie,* użyj jego rady albo innych sposobów do odkrycia twoich niedoskonałości.“

Wyjąłem te trzy prawidła i podałem je w całości z podkreśleniem pewnych wyrazów, ażeby pokazać, jak młodym pedago-

[1]) Piętnaście prawideł postępowania dla młodzi należącej do zgromadzenia Przyjaciół pożytecznej zabawy, nakreślonych na majówce dnia 17 maja 1820 roku w Wilnie, przedrukowane u Wł. Mickiewicza, Żywot Adama Mickiewicza, t. I, dodatek III.

gom Filomatom chodziło o utrzymanie trzeźwości myśli i umiarkowania w młodzieży przy zapale młodzieńczym, jak widocznie przyświecał im ideał, wypowiedziany w pierwszym chórze *Odprawy posłów greckich* Kochanowskiego, dramatu, który miał także cele wychowawcze na oku:

By rozum był przy młodości:
Nigdy takiej obfitości
Pereł morze i ziemia złota nie urodzi,
Żeby tego nie mieli tym dostawać młodzi.
Mniejby na świecie trosk było,
By się to dwoje łączyło...

Ideał trudny do osiągnięcia, jak to już Kochanowski zaznacza:

O Boże na wielkiem niebie,
Drogo to, widzę, u Ciebie,
Dać młodość i baczenie zaraz; jedno płacić
Drugiem trzeba; to dobre a tego żal stracić.

A jednak do osiągnięcia takiego ideału dążyli młodzi pedagodzy, może dlatego, że nad ich dążeniami i pomysłami czuwał starszy i dojrzalszy umysł dzielnego przyjaciela młodzieży, szczególnego opiekuna Zana, Kontryma.

A więc nie ufać zbytecznie siłom własnym, młodzieńczym, nie przeceniać ich, nie róść w szkodliwą zarozumiałość, nie działać bez namysłu, bez planu, bez zbadania potrzeb i sił swoich. Do tych trzeźwych poglądów zastosowaną była i owa ostrożność w przybieraniu nowych członków, która znalazła wyraz w programowym wierszu Mickiewicza z r. 1818, owa ostrożność, która nakazywała nie wszystkim „wolne robić do nas wstępy“

Bo niedługo postoi gmach wolny od skazy,
Jeśli doń budowniczy kładł bez braku głazy.
. . . . . .
Żeby tak pożyteczne dokonać zamysły,
Najpewniejszym sposobem będzie wybór ścisły i t. d.

Z tych poglądów wypłynęło uorganizowanie kursu hodegetyki, nauki o metodycznem kształceniu się naukowem, którą z wielkiem powodzeniem wykładał Jeżowski (w r. 1821—1822). Stosownie też do tych poglądów Filomaci pracę swoją dla dobra kraju chcieli oprzeć na gruntownej znajomości jego potrzeb, jego stanu, jego zasobów i w tym celu ułożyli (według zeznań Jan-

kowskiego: Zan przy pomocy Czeczota) i wydrukowali przed wakacyami r. 1821 Instrukcyę do statystycznego opisania kraju. „W myśl tej Instrukcyi — świadczy Jankowski — każdy członek wyjechawszy na wakacye, obowiązanym był wypracować dokładny opis swej okolicy lub kiedy można powiatu, lub nawet gubernii... Mniemałbym, że rozpoznanie kraju polskiego wydawało się dla nich najwalniejszą potrzebą, bo roili w głowach swoich, że kiedykolwiek do dawnej świetności może go uda się przywrócić.“ [1])

A więc statystyka, to jest cyfra, miara, waga, a więc plan, porządek i to wszystko, co rozum zaleca dla skuteczności pracy społecznej, miało być stosowane przez Filomatów. To wszystko nie sprzeciwiało się hasłom: ojczyzna, nauka, cnota, braterstwo ani miłości promienkowej Zana i owszem miało kojarzyć się z niemi, miało być realną i praktyczną podstawą dla nich. Tymczasem cóż znajdujemy w pierwszej pieśni Filareckiej, którą Mickiewicz przywozi z Kowna?

Cyrkla, wagi i miary
Do martwych użyj brył;
Mierz siłę na zamiary.
Nie zamiar podług sił!
Bo gdzie się serca palą
Cyrklem uniesień duch,
Dobro powszechne skalą,
Jedność większa od dwóch.

---

1) Z. Wasilewski. Promieniści, Filareci i Zorzanie. Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce. T. IX, Kraków 1897, str. 177 i 178. Tekst instrukcyi nie jest nam znany, ale wyjątek z niej w przekładzie rosyjskim podał Szołkowicz w swojej tendencyjnej rozprawie: „Polskaja propaganda w uczebnych zawiedienijach S.-Z. kraja“ (Sbornik statiej razjasniajuszczych polskoje dieło i t. d., Wilno, 1885). W części zatytułowanej: *Zwyczaje i obyczaje* są następujące pytania (tłómaczę je napowrót z rosyjskiego na polskie): „Gdzie się odbywają wybory urzędników? Czy są między nimi stronnictwa i intrygi? Czy urzędnicy są gorliwi w pełnieniu swoich obowiązków? Czy bezstronnie wymierzają sprawiedliwość? Co ma więcej wpływu na zajęcie posad: zasługa czy intryga? Czy narodowość utrzymuje się i pod jakim względem najwięcej? Jaka jest dobroczynność? Jakie pojęcia o własności? Jakie obyczaje wojskowych i jak się oni obchodzą z cywilnymi? Czy cywilni są dla nich dobrze usposobieni? Ile szlachta ma sreber i innych kosztowności? Jaki duch panuje wśród szlachty? Czy jest patryotyczna? Duch narodowy w innych warstwach społecznych“ i t. d.

Mamy tu kierunek odwrotny, pogardę dla cyfr, statystyki, miary, oddanie się zupełne natchnieniu, uczuciu, zapałowi. Cóż znaczyło to przeciwieństwo? Oto Mickiewicz, dzięki samotności kowieńskiej, dzięki wezbraniu uczucia, dzięki wpływom lektury romantycznej, wyrywał się z ram filomatyzmu, z pod wpływu wychowawczego sfery wileńskiej, romantyzm literacki przenosił do sfery społecznej, rzucał hasła, nieznane dotychczas młodym kolegom wileńskim, stawał niejako w poprzek ich dążeniom.

Jakże koledzy tę pieśń przyjęli? Jaknajlepiej. Przemawia ją za tem wszelkie wspomnienia z tamtych czasów, przemawia znana jej popularność. Chwyciwszy rytm i wstępną przegrywkę z burszowskiej pieśni niemieckiej, Mickiewicz tyle życia, humoru, tyle porywającej werwy wlał do swej pieśni, że podnosiła ona o całą skalę nastrój młodzieńczej ochoty, czarowała uczestników filareckich uczt i majówek i nie dawała się analizować na zimno. To też ogół jej nie analizował, nie dostrzegał ukrytego w niej przeciwieństwa z zasadami filareckiemi, które wyżej wskazałem, a Odyniec, jeden z tych, co ją z takim zapałem śpiewali, jeszcze w pięćdziesiąt kilka lat potem opacznie tłómaczył rzucone w niej hasło: „Mierz siłę na zamiary.“ — „Ktoś powziął wielki zamiar, ale nie ufa swym siłom, zaczyna więc naprzód od poznania i zgłębienia jego, aby mógł podnieść i zastosować siły swoje do jego wagi i miary.“ [1]) I do tego objaśnienia dodaje Odyniec uwagę: „Takie to a nie inne znaczenie przywiązywali do słów tej piosenki owi koledzy i przyjaciele autora, którzy ją razem z nim śpiewali.“

Czy wszyscy? Tacy, jak Odyniec, z lekka i po wierzchu rzeczy biorący, niewątpliwie. Józef Chodźko w zeznaniach śledczych utrzymywał, że „zawierała wiele wysokich nawet i niezrozumiałych myśli.“ [2]) Jankowski również oświadczył w śledztwie, że treści jej nie mógł pojąć, a to dla tego, że raz ją tylko słyszał śpiewaną.[3]) Ale są powody do przypuszczenia, że tacy, jak Zan i Czeczot, starsi i naczelni kierownicy młodzieży, nie zostawiali tej pieśni bez ściślejszej analizy. A przedewszystkiem zaznaczyć potrzeba, że nie dali się porwać hasłu w niej rzuconemu. Nie protestowali przeciw niemu, przynajmniej nic o tem nie wie-

[1]) Porówn. ustęp w mojej książce: *Młodość Mickiewicza, życie i poezya.* T. I., str. 241—244.

[2]) Dr. Szeliga. Proces Filaretów w Wilnie. Dokumenta urzędowe z Teki Twardowskiego. Archiwum do dziejów lit. i ośw. T. VI, str. 313.

[3]) Z. Wasilewski l. c., str. 179.

my, (a nie protestowali prawdopodobnie dla tego, że nie brali go na seryo, że pieśń uważali za utwór nawpół humorystyczny, jakim ona była wistocie); ale z toru swego nie zeszli, cyrkla, wagi i miary nie odrzucili i w rok po ukazaniu się tej pieśni, lub nawet może nieco później, układali wspomnianą już wyżej Instrukcyę dla opisania statystycznego kraju.[1])

A teraz skąd przypuszczenie, że Zan, Czeczot i starsi Filomaci nie zostawiali tej pieśni bez głębszej analizy? Stąd mianowicie, że już dobrze po ukazaniu się owej pieśni — było to w roku 1821 lub może nawet 1822, data nie jest pewną — ogłosili konkurs na napisanie pieśni, któraby wypowiadała cele Filaretów. Jako ludzie myślący, nie mogli przed ogłoszeniem konkursu nie zastanowić się nad tem, czy istniejące już pieśni filareckie—a było ich kilka — nie odpowiadają temu zadaniu, musieli je zatem poddawać analizie. Musieli więc i pieśń „Hej użyjmy żywota“ analizować i nie uznawali jej widocznie za najlepszy wyraz filaretyzmu.

Ale to, co się tu powiedziało o tej pieśni w stosunku do filomatyzmu, polega tylko na na domysłach. Domysły są uzasadnione, ale zawsze są tylko domysłami. Inaczej rzecz się ma z *Odą do młodości*. Kiedy Oda została napisaną, tego z całą dokładnością oznaczyć nie można. To tylko wiemy z pewnością, że była napisana w samotności kowieńskiej, w ciągu pierwszych dwóch lat nauczycielskiego zawodu Mickiewicza. Czy była już znana Filomatom, kiedy ogłaszali konkurs? czy stała się może pobudką do jego ogłoszenia? czy też odwrotnie wywołana była konkursem? na te pytania, bardzo zajmujące, niestety, nic odpowiedzieć nie możemy. Ale wiemy, jak była przyjętą przez głównych Filomatów i to nas tu najwięcej obchodzi.

Oto, co sam Mickiewicz mówił o tem przed Aleksandrem Chodźką, mniej więcej w ćwierć wieku po opowiadanych wypadkach. „Odę do młodości napisałem przed wydaniem poezyj. Posłałem ją z Kowna do przyjaciół w Wilnie. Zan i Czeczot znaleźli ją arcy-głupią, a ten ostatni pisał mi, pytając, czym nie zwaryował i posyłając do Malewskiego po radę. Jeden Jeżowski nie podzielał ich zdania. Znał on uprzednio poetów niemieckich.

---

[1]) Pieśń filarecka według świadectwa Domejki przywiezioną była przez Mickiewicza z Kowna na Boże Narodzenie 1819 r. Instrukcya, według świadectwa Jankowskiego, wyszła na świat przed wakacyami letniemi 1821 r.

Napisał więc bardzo długi komentarz, gdzie rozbiera pojedyńczo każdy wiersz i wtedy ledwie uznają Odę za dobrą.“ [1])

Jakże rozumieć to opowiadanie Mickiewicza? Mieliżby najbliżsi, najściślej z nim duchowo zespoleni towarzysze młodości, nie ocenić artystycznej wartości utworu, w którym po raz pierwszy w całej potędze objawiał się geniusz poety? Mieliżby protestować przeciw apoteozie miłości i poświęcenia a potępieniu egoizmu, to jest przeciw temu, co było najzupełniej w duchu filaretyzmu, a co się w Odzie zawierało? Niewątpliwie nie. Ale Oda nie poprzestawała na tej apoteozie i na tem potępieniu; we wspaniałym polocie swoim wyrywała się daleko za granice filaretyzmu, rozbijała pedagogię filomacką, zamiast do rzeczywistości, prowadziła „w rajską dziedzinę ułudy,“ wzywała do przeceniania sił młodzieńczych, do zastąpienia rozumu szaleństwem (Rozumni szałem, Łam czego rozum nie złamie!). To nie mogło podobać się Filomatom, było wręcz niezgodne z ich dążeniami i dlatego to Czeczot, widocznie na tę niezgodność oburzony, pytał listownie Mickiewicza, czy nie zwaryował przypadkiem, pisząc swoją Odę.

W tem nieporozumieniu koleżeńskiem, któraż strona miała słuszność za sobą? Miały obie, o ile wychodziły z różnych stanowisk. Miał ją Mickiewicz ze stanowiska poezyi; mieli ją Filomaci ze stanowiska społecznego, ze stanowiska pedagogii narodowej. Mickiewicz wyśpiewał w tym utworze zapał i zachwyt młodości, jej pragnienia, nadzieje i złudzenia z potęgą słowa, która Odę do młodości czyni unikatem w dziejach poezyi świata. Liryka Schillerowska, która nastroiła Mickiewicza do wylania z siebie Ody młodości, wydaje się bladą przy tym płomiennym utworze. Ale nad pedagogicznem znaczeniem swojej pieśni zapewne nie zastanawiał się; nie zastanawiał się, do jakich szaleństw politycznych ta pieśń, wielbiąca szaleństwo, może w ustach szczerych szaleńców, lub obłudnych demagogów, pobudzać i zapalać młodzież.

Filomatom takim, jak Zan i Czeczot, którzy dążyli do ideału Kochanowskiego „by rozum był przy młodości“ i na stronę wychowawczą pieśni szczególną zwracali uwagę, zastępowanie rozumu szaleństwem musiało się wydać czemś niesłychanie rażącem i dzikiem. Jako pośrednik, jak wiemy, wystąpił Jeżowski, ale niestety, argumentów jego w obronie *Ody do młodości* nie podała nam notatka Chodźki. Cóżbyśmy dali za to, aby mieć ów „bardzo długi komentarz,“ który napisał dla zgorszonych Odą kolegów.

[1]) Z notatek Aleksandra Chodźki. Rozmowa spisana 18 czerwca 1846. Wł. Mickiewicz. Żywot Ad. Mick. T. I, str. 53—54.

Jakkolwiekbądź, czy Oda była napisana na konkurs, czy też jeszcze przed ogłoszeniem konkursu, to tylko pewna, że przez komitet konkursowy nie była uznana za taką, która określa dobrze cele Filaretów. Jeżeli przed ogłoszeniem konkursu powstała, nie mogła być uznana za taką, bo w przeciwnym razie konkursu by nie było; jeżeli na konkurs była podana, a była uznana za taką, otrzymałaby nagrodę, a tymczasem z procesu Filaretów wiemy, że nikomu nagrody nie przyznano. Oto jak świadczy Józef Chodźko: „Co się tyczy nowej pieśni, ogłoszono do niej konkurs bezemnie i czy przyszła do skutku, prawdziwie nie wiem, słyszałem tylko z powieści, że za napisanie najlepszej pieśni nagroda w książkach naznaczoną była i że kilku pisało ją rzeczywiście, *ale nikt nie otrzymał nagrody*, bo podług zdania Izby dozorczej Filaretów, *nikt ich celu dobrze nie umiał określić*.“ [1])

Jankowski, którego konkurs mógł więcej obchodzić niż Chodźkę, ponieważ sam współubiegał się o nagrodę i napisał był w tym celu Odę na cześć Filaretów, zeznał podobnie: „Naznaczona była przez Łozińskiego Teodora nagroda: dwa tomy dzieł Juliana Niemcewicza dla tego, ktoby najlepszą pieśń filarecką napisał. Na konkurs kilka ich przysłanych było, lecz przez kogo układane były, nie wiem. Wiem tylko, że członkowie do osądzenia wyznaczeni, podobno Czeczot, Kowalewski i Malinowski, *wszystkie odrzucili i nikomu nagrody nie przyznali*.“ [2])

Ten cały stosunkowo obszerny ustęp o poezyi filareckiej Mickiewicza potrzebny był na to, aby okazać, że Mickiewicz w tej poezyi nie był zupełnie wiernym przedstawicielem filaretyzmu takiego, jakim go chcieli mieć pierwsi twórcy i główni kierownicy jego, że romantyczny pegaz unosił go z drogi przez nich zakreślonej, i że wskutek tego Domejko, który szedł zgodnie ze starszymi braćmi Filomatami i od ich dążeń nie zbaczał, był wierniejszym,

[1]) Dr. Szeliga. Proces Filaretów w Wilnie. Archiwum VII 313—314.

[2]) Z. Wasilewski. Promieniści, Filareci i Zorzanie. Archiwum IX str. 179. O swojej Odzie na cześć Filaretów Jankowski napisał w zeznaniu, co następuje: „Wyznając wszystkie szczegóły, (jakie tylko sobie przypomnieć mogę) z najszczerszą otwartością i pokorą, nie mogę taić jeszcze bluźnierczego mojego przestępstwa. Z okoliczności konkursu napisałem Odę na cześć Filaretów (znajdującą się między mojemi papierami). Na żadnem jej posiedzeniu nie czytałem, lecz tylko posłałem do takowego konkursu, skąd mi więcej powróconą nie została. Jak wszystkie moje wierszowe pisemka napełnione są samemi najniegodziwszego rodzaju zawsze przeciw Rządowi wyrzutami i bluźnierstwami, tak też i Ody tej treść jest podobna. Płocha imaginacya moja unosi

niż Mickiewicz, wyrazem tego prądu, który się zbudził wśród młodzieży wileńskiej w czasach uniwersyteckich Mickiewicza, a któremu ta młodzież tyle dobrego zawdzięczała.

Czy ta różnica w pojęciach, w dążeniach, wywarła choć cokolwiek ostudzający wpływ na stosunek Zana i Czeczota z Mickiewiczem? Z tego, co wiemy, sądząc, ani trochę. Z koleżeńską otwartością wypowiadali mu to, co ich raziło, co się nie zgadzało z ich pojęciami, ale można powiedzieć, że jeszcze więcej byli mu oddani, jeszcze czulszą i troskliwszą opieką otaczali jego geniusz poetycki, który coraz potężniej się objawiał. Ślady tej czułej troskliwości najlepiej się uwydatniły w listach Zana i Czeczota do Franciszka Malewskiego, bawiącego podówczas w Berlinie. Były to złote, szlachetne serca i jasne głowy; ideał Kochanowskiego znajdował w nich swoje wcielenie. Domejko nie umiał może tak, jak tamci, oceniać geniuszu poetyckiego Mickiewicza, ale w uwielbieniu dla niego szedł za swymi przewodnikami.

II.

Jak spoglądał Mickiewicz na swego kolegę w czasach filareckich przedwięziennych, nie mamy o tem żadnych wskazówek, ani od niego, z jego poezyj i listów, ani od Domejki, ani od kogokolwiek innego z Filaretów. Domyślać się tylko musimy, że interesował go nie tylko, jako kolega Filomata, ale i jako brat cioteczny Maryli. Ale pośrednikiem między kochankami, powiernikiem miłości, ani z jego, ani z jej strony w czasach wileńskich nie był; rola ta prawie wyłącznie należała do Zana. Domejko naprzód był za młody do tej roli, a przytem, jak wiemy od niego samego, ni-

się w niej do przyszłej urojonej sobie w głowie słodkiej błogości, jaka wyniknie z oswobodzenia Polski. Stąd najnierozsądniej wyzionąwszy wiele (smutnem obłąkaniem) bluźnierstw przeciw Rządowi, że jakoby pod nim w najsroższych nieszczęśliwościach Polska była pogrążoną,“ dalej „się pocieszam: że z czasem błogość zabłyśnie dla nas, w orszaki albowiem kupią się młodzi, dłoń się z bratnią ściska dłonią, a pod pogonią przyjaźni każdy ojczyźnie oddany, może więc uczynić się powstanie i Polska może zostać oswobodzoną.“ U Szolkowicza (l. c. 266 — 267) podany jest w przekładzie prozaicznym rosyjskim wiersz Jankowskiego, mocno patryotyczny, do Józefa Masalskiego, a właściwie, jak z zeznań późniejszych wiemy, do Józefa Kowalewskiego, przewodnika grona błękitnego, z okazyi jego imienin.

gdy się nie spotykał z Adamem u pani Marszałkowej w Tuhanowiczach, bo zostając pod opieką stryja, do niego, jak już wspomniałem, jeździł zwykle na wakacye. [1])

Do zawiązania ściślejszych, serdeczniejszych węzłów między kochankiem Maryli a jej bratem ciotecznym przyczyniło się wiele prześladowanie, jakie spadło z ręki Nowosilcowa na Filomatów i Filaretów. Aresztowanych było tak wielu, że nie można ich było w jednym jakimś gmachu, obróconym na więzienie, pomieścić; rozmieszczano więc ich po różnych gmachach, przeważnie klasztorach. Przypadek zrządził, że Domejko, którego aresztowano o parę tygodni później, niż Mickiewicza, osadzony został w tem samem więzieniu, co autor *Dziadów*, t. j. w klasztorze Bazylianów, i przez kilka miesięcy był uczestnikiem tajemnych, nocnych schadzek koleżeńskich, które uwiecznione zostały w trzeciej części *Dziadów*, ale w których nie wszyscy brali udział, wprowadzeni w tym poemacie na scenę. Tak np. Zan, główny organizator Filaretów, zatem główny winowajca, trzymany był w zupełnem odosobnieniu od innych; również Jankowski, który wyznał w śledztwie wszystko, co wiedział o związku. Te dwie postacie, które tak ważną odegrały rolę w procesie Filaretów, były Mickiewiczowi potrzebne dla pełności obrazu. Ale Domejko, Freyend, Jagiełło, Sobolewski, Suzin, X. Lwowicz, ci nietylko w poezyi, lecz i w rzeczywistości byli wraz z Mickiewiczem osadzeni pod jednym dachem więziennym w klasztorze Bazylianów.

Domejko we wspomnieniu swojem o Filaretach i Filomatach zostawił żywy obraz tych chwil, spędzonych razem z Mickiewiczem, tajemnego życia koleżeńskiego pod kluczem więziennym, obraz, który jest najlepszym komentarzem do III Części *Dziadów* i pozwala zrozumieć, jaki jest stosunek rzeczywistości do fantazyi w tym poemacie. Czy poemat nie wpływał trochę na kształtowanie się wspomnień Domejki, spisywanych w czterdzieści kilka lat po wypadkach owych? Może, ale sądzę, że nie inaczej, jak właśnie w ten sposób, że z tła pamięci wywoływał to, co było w poemacie echem rzeczywistości.

---

[1]) Domejko powiada: „Nie zdarzyło mi się nigdy widzieć Adama w Tuhanowiczach, bo ja w tym czasie byłem po śmierci ojca mego na opiece u stryja i jakem mipommął, chodziłem do szkół w Szczuczynie, daleko od matki i ciotki mojej.“ (O młodości Mickiewicza, Przegląd Lwowski 1872, II, str. 41). W tem wspomnieniu jest jeden tylko widoczny błąd pamięci: Domejko chodził do szkół w Szczuczynie o wiele wcześniej przed zawiązaniem się stosunku miłosnego między Mickiewiczem a Marylą.

„Północ — powiada Domejko—była dla nas wschodem słońca; zbieraliśmy się w celi Adama i aż do świtu przepędzaliśmy noce na rozmowie cichej, ale nie smutnej. Freyend przyrządzał herbatę i nas rozśmieszał. Kto dniem pierwej był zawołany na śledztwo, przynosił nowiny, jakie uzbierał w sali i na ulicy. Ksiądz Lwowicz, na drugi dzień po uwięzieniu go, spadł, przechodząc nocą korytarzem, ze schodów i był przez miesiąc niebezpiecznie chory; dlatego później od innych począł należeć do naszych nocnych schadzek i pamiętam, kiedy pierwszy raz o północy wszedł do nas, jak nas zabawił i rozczulił, mówiąc z wyciągniętemi rękami poważnie: „kozy, ucieszne kozy, ma trzodo jedyna.“ W tejże celi na Nowy Rok czytał nam Adam swój piękny wiersz: *„Skonał rok stary,“* a z jutrzni, w noc Bożego Narodzenia, dochodziła nas, przy wtórowaniu dalekiego organu, pieśń: *Przybieżeli pastuszkowie* — która to pieśń przenosiła nas w progi domowe, gdzie po nas matki i siostry płakały. Zdarzyło się też, że jednej nocy o pierwszej godzinie przyszło policmajstrowi zwiedzić nasze więzienie; szyldwachy spały, my skupieni w izbie Adama, piliśmy spokojnie herbatę; wtem rozruch na korytarzu, szczęk kluczy i karabinów; przestraszony podoficer zdobył się na koncept, że odrazu nie mógł trafić na klucz do drzwi, które wiodły do naszego korytarza; policmajster pękał ze złości, ale zyskaliśmy minutę czasu, i w momencie, kiedy wysadził drzwi, już każdy z nas był w swojem łóżku i zagasił świecę, a przy każdego drzwiach stał szyldwach z karabinem, wyprostowany, jak przed cesarzem. Pamiętam też, jak nas bolało, kiedyśmy się dowiedzieli o wywiezieniu studentów: spędziliśmy tę noc, jakby oniemieli, smutnie, nie uważając nawet na żarty Freyenda i pocieszne uwagi Jagiełły.“

W tem opowiadaniu prawie każdy szczegół znajduje jakiś odpowiedni motyw w trzeciej części *Dziadów*. Co się tyczy ówczesnego usposobienia Mickiewicza i jego stosunku do kolegów współ-więźniów, to o tem Domejko tak mówi: „Przez cały czas więzienia Adam, wyjąwszy wspomniany wiersz, nic nie pisał, ale czytał wiele i był bardzo towarzyski z nami, przyjemny w rozmowie; niekiedy się zamyślał i milczał, ale był spokojny.“

W poetyckim obrazie koleżeńskiego życia więziennego w *Dziadach*, Domejce dostała się wybitna rola. Ale na tym obrazie leży piętno o dziewięć lat późniejszego nastroju poety i rola Domejki zostaje w związku z tym nastrojem; więc o tem później.

W jesieni 1824 r. rozstawali się z sobą na długi czas koledzy. Domejko, dzięki stosunkom stryja opiekuna wcześniej wypuszczony z więzienia i choć Filomata skazany nie na wygnanie,

tylko na wykluczenie ze służby publicznej i ścisły dozór policyjny, zostawał na wsi, zajęty gospodarstwem, gdy nadeszła chwila wywiezienia z Wilna Mickiewicza i kilku innych Filomatów. Pośpieszył, ażeby pożegnać się z nimi i przepędził w ich towarzystwie ostatnią noc przed ich wyjazdem, całą aż do świtu, noc, która była jakby streszczeniem i zapieczętowaniem dotychczasowego ich życia koleżeńskiego, a w której nad smutnemi wspomnieniami świeżej przeszłości, nad mglistemi przeczuciami niejasnej przyszłości, nad wzruszeniami chwili rozstania, górowała wesołość, podsycana męskiem postanowieniem nie poddawania się smutkowi.

Koledzy rozstali się. Mickiewicz pojechał na północ, do Petersburga, ażeby stamtąd niedługo potem przerzucić się na drugi, południowy koniec Rosyi, zwiedzić Krym, potem osiąść na jakiś czas w Moskwie, wrócić do Petersburga i stamtąd, dzięki przyjacielskim stosunkom, wydostać się na szeroki świat, poznać Niemcy, Szwajcaryę, Włochy i to wszystko, co te kraje miały znakomitszego i piękniejszego. Domejko wracał na rolę, do wioski swego stryja, Zapola, do przymusowego gospodarstwa, które, według słów Odyńca, nie odpowiadało bynajmniej ani upodobaniom, ani aspiracyom jego. [1])

Jakież były te aspiracye? Był to umysł, rwący się do poznania świata, żądny wrażeń, jakie daje zmiana miejsc, widoków, ludzi, krajów, turysta z urodzenia. Tę żądzę rozbudziło w nim, jak sam świadczy w niewydanym dotąd pamiętniku, czytanie podróży i opowiadania podróżników tak, że nie tylko na jawie, ale i we śnie marzyły mu się podróże. „Kto wie, co to jest w młodości chęć do wojażowania po obcych krajach, chęć zapalona czytaniem podróży i opowiadaniem wojażerów; kto nadto przypomni sobie, że za moich czasów rząd nie dawał paszportów zagranicę, albo ich danie utrudniał, zaostrzając tem bardziej żądzę w zapalonej głowie do widzenia obcych krajów, ten pojmie, jak się to za młodu malowały we snach moich domowych miasta francuskie, włoskie, niemieckie i góry szwajcarskie.“ A tu konieczność trzymała go na jednem miejscu, stosunki zaś rodzinne tak się ułożyły, że nie miał przy sobie najbliższego otoczenia rodzinnego i nie miał czem osładzać jednostajności życia wśród zajęć gospodarskich. Więc nie mogąc podróżować po świecie, tylko marzył o tem, ja-

[1]) Wspomnienia z przeszłości, opowiadane Deotymie. Warszawa. 1884, strona 308.

ko o najwyższej rozkoszy, a kiedy odbierając listy od Mickiewicza i Odyńca z Włoch, znajdował w nich westchnienia pełne tęsknoty do Litwy, nie mógł zrozumieć, jak mogli jego przyjaciele, w szczególności, jak mógł Mickiewicz doznawać przesytu w obec skarbu wrażeń, których on był tak głodny.

Odpowiadając na to jego zdziwienie, Mickiewicz pisał z Rzymu: „Musisz tam bardzo się nudzić, kiedy masz nam za złe, że tak czule wspominamy Litwę.“ I objaśniał, jak należy rozumieć tę tęsknotę. „Uważ, że kiedy marzę o Litwie, myślę tylko w szczególności o kilku miejscach i o kilku osobach i dla tych nigdy serca nie zmienię, resztę kocham tylko miłością chrześcijańską i cywilną, jak kraj ojczysty. Gdybym kiedy wrócił do Litwy, nie chciałbym ani jednej nowej zrobić znajomości, przestałbym wiesz na jak małej liczbie osób.“ [1])

Do kogo się odnosiły te słowa? Niewątpliwie w pierwszym rzędzie do Maryli, która od ośmiu lat już była panią Puttkamerową i mieszkała w Bołciennikach niedaleko od Zapola. Mickiewicz wiedział zapewne, jeżeli nie od kogo innego, to od Odyńca, jak częstym gościem bywał Zegota Domejko u Puttkamerów i jak często wtedy wspominano tam o nim. Odyniec we *Wspomnieniach z przeszłości* powiada: „Po wyjeździe Zana i Czeczota, Domejko i jako krewny i jako przyjaciel, był już jedynym powiernikiem dawnych wspomnień i uczuć Maryli, a razem i serdecznym druhem jej męża,“ a sam Domejko w liście do Bohdana Zaleskiego (O młodości Mickiewicza) tak mówi o tych czasach: „Bawiłem często w jej domu i bardzo często rozmawialiśmy z nią i z Puttkamerem o Adamie, jak o wspólnym przyjacielu i chwale narodowej. Mała jej córeczka umiała na pamięć ballady Adama i śpiewała jego piosenki przy akompaniamencie matki na fortepianie.“ Przy tej sposobności powiada Domejko: „Widziałem jednak w Maryi zawsze jakąś tęsknotę, która się okazywała szczególnie, kiedy byliśmy na osobności. Dochowała w obejściu się słodycz i ujęcie matki swojej, ale na zawsze straciła jej wesołość i towarzyskość.“ [2])

Z tej i innych wskazówek wnioskować możemy, że na horyzoncie uczuć Maryli — pomimo oddalenia w czasie i przestrzeni — ciągle płonęło wspomnienie miłości filareckiego poety i świecąc łagodnym blaskiem rezygnacyi, służyło do ozdobienia bieżącej prozy życia wdziękiem poetyckim. Maryla oddała rękę Puttkamero-

[1]) Korrespondencya Mickiewicza, T. I, str. 60.

[2]) Przegląd lwowski, 1872, t. II, str. 43.

wi, jak senna, pod moralnym naciskiem rodziny, ale ten sen marzycielski, który jej nie przeszkadzał poddawać się woli rodziny, a który potem mąż umiał z nadzwyczajną delikatnością uszanować, przeciągał się długo, podsycany poezyą dawnego wielbiciela, w której widziała siebie, ustawioną na ołtarzu miłości. Z czasem poezya Mickiewicza zmieniła swój przedmiot i kierunek, oddalenie i po jednej i po drugiej stronie przyczyniło się do uspokojenia uczuć, do odzyskania równowagi umysłowej, ale i tu i tam w dalekiej perspektywie przeszłości świeciło błogie wspomnienie pierwszych złudzeń i cierpień miłosnych.

Poeta, pogodziwszy się z losem, już w Odesie pozwalał się nęcić zalotnym syrenom salonowym, ale w stosunkach z niemi nie było nic, prócz igraszki zmysłów, która jemu samemu prędko wydała się godną pogardy. O wiele poważniejszem było uczucie jego dla Karoliny Jaenisch w Moskwie, w której mógł widzieć jakby wcielenie ideału zarysowanego w Aldonie. Ale i to uczucie było przelotne, nie zostawiło po sobie głębszych śladów i zdawało się świadczyć tylko o niezaspokojonej potrzebie miłości kobiecej w duszy poety. Gdy niebawem w drodze ze Szwajcaryi do Włoch znalazł się na szczytach alpejskich, ta potrzeba tak silnie zakołatała do jego serca, obraz pierwszej kochanki na tle wrażeń alpejskich tak żywo stanął mu przed oczami, że jeszcze raz zwrócił się do tej, którą pożegnał na zawsze przed pięciu, sześciu laty wierszem *Nowy Rok* i wołał w słowach, przypominających marzenia Gustawa o „tajemniczej córce samotności.“

Nigdy, więc nigdy z tobą rozstać się nie mogę!
Morzem płyniesz i lądem idziesz za mną w drogę,
Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady,
I głos twój słyszę w szumie alpejskiej kaskady,
I włosy mi się jeżą, kiedy się oglądam,
I postać twoją widzieć—lękam się i żądam.

Ta mocna potrzeba miłości podsunęła niebawem Mickiewiczowi kopię Maryli, bladą trochę, ale za to na tle obcem tem milej wyglądającą—w osobie Henryety Ankwiczówny. Zaczął się kleić nowy romans, w którym dalekiem echem powtórzyły się dawne stosunki: wzajemność panny, przeszkody zewnętrzne, t. j. ojcowskie „serce z głazu.“ Ale i wtedy nie zapomniał o tej, której kopią chciał zastąpić oryginał i posłał jej i matce po różańcu, poświęconym przez samego papieża. Było to, jakby drugie pożegnanie, łagodzące wszelką ostrość pierwszego:

Marzyłem boską różę, bliski jej zerwania
Zbudziłem się, sen zniknął, róży nie posiadam,
Kolce w piersiach zostały — nie żądam kochania.

Kolce róży, wyjęte z piersi, wracały w owym poświęconym przez papieża różańcu.

Prawie cały ten list Mickiewicza, w którym była wiadomość o posłaniu różańców i zapewnienie poety, że „dla kilku osób i kilku miejsc“ na Litwie nigdy serca nie zmieni, Domejko przepisał w liście swoim do Maryli [1]), wiedząc, że to dla niej było przeznaczone i że to jej wielką przyjemność sprawi. [2])

Ale on sam, jakże i pod tym względem był jeżeli nie upośledzony, to przynajmniej różny od przyjaciela! Na horyzoncie jego życia ówczesnego nie było żadnej Maryli, ani nawet nic, coby się z jej kopiami, jak Karolina i Henryeta mierzyć mogło. Gdyby było inaczej, wiedzielibyśmy coś, jeżeli nie od niego samego, to z pewnością od tak gadatliwego przyjaciela, jakim był Odyniec. Ale Domejko był dziwnie męską, twardą, żołnierską naturą; poczucie obowiązku społecznego, a zarazem żądza zwiedzania i poznawania świata, napełniały serce jego tak szczelnie, że nie było tam miejsca na miłość w stylu romantycznym. Jak dziwnie nieśmiały musiał być pan Żegota wobec kobiet, wskazuje to drobny, ale charakterystyczny szczegół: w jedynym, jaki znamy, liście swoim do cioteczno-rodzonej siostry, Maryli, i to w czasach, kiedy bywał częstym u niej gościem i powiernikiem dawnych jej wspomnień miłosnych, nazywa ją nie inaczej, jak „Panią“ albo „Szanowną kuzynką.“ Że w towarzystwie męskiem był mny, wesoły i swobodny, świadczy o tem Odyniec. Mówiąc o polowaniach bołciennickich i o kłótniach myśliwskich w Bołciennikach, które przypomi-

[1]) Z d. 23 sierpnia 1830 r. Korr. A. Mickiewicza, T. IV, str. 64—66.

[2]) Że Maryla wiedziała coś o stosunku Mickiewicza z Ankwiczówną i że się tem żywo interesowała, świadczy pewien ustęp listu Czeczota do niej, pisanego z wygnania w październiku 1830 r.: „Co Marya powiada o ożenieniu pewnego Jegomości z pewną panną, to pierwszy raz o tem słyszę i z niektórych względów poczytuję to za rzecz bajeczną i wreszcie, gdyby tak było, może byłoby i dobrze, bo trzeba na świecie pewnego uspokojenia, i kiedy żyć mamy, trzeba go szukać. W ciągłej boleści człowiek do niczego nie zdatny i życie jego wisi często na włosku, lada okoliczność może je o zgubę przyprawić.“ A w dalszym ciągu: „Ale proszę Maryi nie robić żarcików z gieniuszów połączenia; dla kogo mogą to być gieniusze, a dla nas proste głowy, które bardzo dobrze można zakręcić.“ Wład. Mick. Żywot Ad. Mick. T. II, Dodat. IV.

nały Soplicowskie spory o Kusego i Sokoła, dodaje, że „pojednawczą powagą nakształt Pana Wojskiego bywał zwykle w tych razach Żegota (Ignacy Domejko), nie z wieku ani ze sławy myśliwskiej, ale wprost z wesołego humoru i prawdziwie staropolskiego dowcipu, który jak niegdyś w gronach Filareckich, tak i tu, czynił go duszą przyjacielsko-myśliwskich rozmów, a bezstronnym rozjemcą sporów.“ [1])

Co się tyczy owej żądzy zwiedzania i poznawania świata, która mu zastępowała w sercu potrzebę miłości romantycznej, to najlepszy jej wyraz znalazł się także we wspomnianym liście do Maryli. Mówiąc o tem, jak się jego przyjaciele filareccy „dobrze i pożytecznie“ bawią we Włoszech, dodawał z żalem: „używają na świecie takiego szczęścia, *do jakiego z pierwszej młodości mojej wzdycham i nad które nic sobie nie wyobrażam wyższem i godniejszem.* Dlatego dotąd mnie ani Zapolski domek, ani poważna w nim spokojność, ani cała wiejska natura zająć nie potrafiły i zawsze przez szczeble mojej klatki do jakiejś wolności nie przestaję tęsknić“ [2]).

Cóż przeszkadzało Domejce do częściowego przynajmniej zaspokojenia tych swoich najgorętszych pragnień? Położenie jego finansowe, o ile wiemy, nie było świetne, ale znów nie było takie, aby mu wzbraniało wszelkiej dalszej podróży. Ale od czasu procesu Filaretów zostawał on pod ścisłym dozorem policyi i jeżeli wogóle trudno było w owych czasach uzyskać paszport zagranicę, to trudność ta zwiększała się niepomiernie i stawała się nieraz niepokonaną, gdy chodziło o ludzi, zostających pod dozorem policyi.

Nareszcie po sześciu latach tego dozoru udało się Domejce przy pomocy stosunków stryja uzyskać pozwolenie na wyjazd, wprawdzie nie do dalekiej Europy, ale przynajmniej do Królestwa Polskiego, ale i tu zbieg wypadków zmusił go do okrojenia sobie tej przyjemności. „Zamierzałem sobie — pisał w cytowanym liście do Maryi Puttkamerowej — ze trzy miesiące podróżować po Królestwie Polskiem, miałem zwiedzić Krakowskie i Sandomierskie; teraz ledwo mi pięć tygodni zostaje czasu na obejrzenie samej tylko Warszawy; a pierwszych dni października (list pisany w końcu sierpnia 1830 r.) muszę już być napowrót, w domu matki mojej, pośpieszyć na wesele siostry mojej, rojącej sobie, żem

[1]) Wspomnienia z przeszłości, str. 307.

[2]) Korr. A. Mickiewicza IV, 66.

nie rad jej wyborowi i dlatego stąd odjeżdżam, abym się nie znajdował na dniu jej ślubu. *Jak dotąd mało mnie jeszcze znają w rodzinnym domu!* Dla pocieszenia mię nasz domowy wieszcz Juljan Korsak mianował tę krótką moją podróż „preludium do dalszych wojażów“: oby się jego proroctwo spełniło“ [1]).

Tak, widocznie mało znano Domejkę w rodzinnym domu, po za którym przepędził on prawie całą młodość, widocznie nie rozumiano tam dobrze jego namiętności podróżowania, która górowała w nim nadewszystkiem, tylko nie nad obowiązkiem rodzinnym lub społecznym.

Jakie wrażenie przyniosła mu ta pierwsza wycieczka w świat dalszy, dowiadujemy się o tem z pisanego wkrótce potem jego listu do Odyńca. „Podróż moja do Warszawy, jako pierwsza w życiu, była dla mnie przyjemną, rozkoszną i odżyłem był nieco. Miasto samo wpośród drogich zabytków narodowej wielkości, miało dla mnie wejrzenie militarno-rękodzielniczej osady: samych koszar na 12,000, a co tych fabryk, parowych machin etc.! Nie wstydzę się tego wykrzykniku, bo wiecie, że mało świata widziałem.“ Miasto go tedy olśniło swoim materyalnym rozwojem, choć uważał, że posągom Janów i Zygmuntów „nie do twarzy dzisiejsza Warszawa.“ Ale w zetknięciu z ludźmi doznał zupełnego rozczarowania; szczerego i surowego Litwina niemile raziła lekkość, płytkość i ucinkowość warszawskiej inteligencyi. „Dostrzegłem w ogólności jakąś kostyczność w rozmowie, a skłonność do tego tylko, co jest świetnem, choć na pozór, choć znikome.“ Jego nieśmiałość wobec płci pięknej doskonale charakteryzuje fakt, że, mając sposobność poznania salonowych syren warszawskich, nie chciał z niej korzystać. „Krasiński (Waleryan, kolega z Wilna) chciał mnie w świat piękny wprowadzić, ale na ten raz, bawiąc trzy tygodnie tylko, wolałem z temże uprzedzeniem o salonach wyjechać, jakie z Zapola przywiozłem.“

Ale jeżeli towarzystwo stołeczne nie przypadło mu do smaku, to podróż po kraju polskim przyniosła mu wiele przyjemnych wrażeń. „Akcent naszych Mazurów, ich wesołość, dobrobyt, widok Łomży, Ostrołęki, Pułtuska, Serock, Jabłonna etc. wiele mi przyjemnych obudzało myśli i uczuć, a mniej roztargniony byłem, niżeli w zgiełku miejskim, do którego nie jestem nawykły.“

Powróciwszy z Warszawy, może pod wpływem pouczających wrażeń z podróży, Domejko zajęty był sadzeniem drzew i popra-

[1]) Tamże, str. 64 — 65.

wą mieszkań włościanom. O nowych podróżach nie myślał; uwaga jego skierowana była całkowicie w stronę wielkiego niebezpieczeństwa, które groziło Litwie: co chwila spodziewano się „przyjścia morowej zarazy, nazwanej cholerą,“ która od Moskwy się przybliżała. „Ta obawa — pisał do Odyńca — jaką widzę na przelęknionych mieszkańcach, ma i na mnie wpływ, którego ci nie umiem opisać. Niczem innem dotąd nie zajęty, jak żądzą wojażowania, dziśbym nie miał śmiałości opuszczać stron rodzinnych. Smutne dziś pożegnanie, a niespokojność wzrastałaby z oddaleniem od kraju: nie myślę o żadnej podróży.“

Wkrótce po powrocie pana Żegoty z Warszawy zjechała do niego „Szanowna kuzynka,“ p. Marya Putkamerowa. Przyjechała, ażeby otrzymać z rąk cioteczncgo brata przeznaczony dla siebie od Mickiewicza różaniec, który długą odbywał przez Petersburg wędrówkę, zanim trafił pod właściwym adresem na Litwę. Przyjechała w wigilię wigilii Wszystkich Świętych, to jest w tym czasie, kiedy na Litwie odprawiane bywały Dziady. Czy umyślnie, to jest czy z myślą o Dziadach, obrała sobie ten czas do otrzymania różańca? Niewiadomo, to tylko pewna, że nazajutrz po jej przyjeździe Domejko urządził w Zapolu Dziady i że dopiero tego dnia wręczył jej różaniec. „Wczora do mnie przyjechała Marya — pisał do Mickiewicza pod datą 31 października 1830 r. — dziś uroczystość Dziadów była w Zapolu; dziś też oddałem Maryi przesłany od ciebie różaniec. Mało tak przyjemnych, jak dzisiejsze, doznałem godzin w Zapolu: rozniecono ogień większy, jak dnia poprzedniego; zasiedliśmy przy nim; rozmowa była o tobie i o przyjacielach naszych. Przybyła do nas i matka Jana (Czeczota), smutna staruszka, w żałobie po mężu swoim. Cieszyliśmy ją i siebie nadzieją przyszłości, nadzieją powrotu naszej familii.“

Już sam ten obrazek Dziadów z udziałem Maryli, z myślą o rozproszonych Filaretach na posępnem tle zbliżającej się zarazy, mógł do głębi poruszyć duszę poety, tak często myślą z Rzymu sięgającego do Litwy i dawnych czasów litewskich. Ale było tam w liście Domejki coś, co to wzruszenie niezmiernie potęgowało, był dopisek Maryli.

„Od naszego rozstania się nigdym nie odważyła się pisać do ciebie. Otóż zachęcona przez Żegotę, ośmielam się dołączyć słów kilka do jego listu i podziękować ci za różaniec, który byłeś tak łaskaw mi przysłać. Myślałam, że wielki świat zatarł w twojej pamięci dawną twoją znajomą, podczas gdy twoja postać zawsze obecną jest mojemu duchowi, każde słowo słyszane z ust twoich brzmi dotąd w mojem sercu, często zdaje mi się, że cię

widzę i słyszę, ale są to tylko sny wyobraźni. Ach! gdybym raz jeszcze mogła zobaczyć cię sama, będąc sama niewidzialną—więcej niczego nie żądam. Może za twoim powrotem nie znajdziesz mnie już w liczbie żyjących, wyryj wówczas krzyż na kamieniu pokrywającym mój grób, każę się pochować z różańcem, z którym się nigdy nie rozstaję. Z Bogiem. Napisałam do ciebie więcej, niż wypadało mi pisać. Niech cię te słowa znajdą w najlepszem zdrowiu i tak zadowolnionego i szczęśliwego, jak tego tobie życzy

Marya."

O wzruszeniu jakiego doznał Mickiewicz, otrzymując ten przypisek Maryli, dowiadujemy się z listu jego do Domejki, pisanego więcej niż w rok potem:

„Twój list dawny, smutny, odebrałem w Rzymie. Było tam kilka słów Maryi. Widok jej ręki tak mnie upoił, że płakałem, jak dziecko. Pierwszy to był płacz od pożegnania się z Czeczotem i Zanem. Nie będziemy już nigdy widzieć się ze sobą. Ale powiedz jej, że ona zawsze ma w sercu mojem miejsce, z którego nikt jej nigdy nie usunął i gdzie jej nikt nie zastąpi" [1]).

Jak płacz przy rozstaniu się z Zanem i Czeczotem był pożegnaniem z młodością filarecką, z jej najdroższemi chwilami, tak płacz przy otrzymaniu kilku słów Maryli w sześć lat potem był ostatecznem pożegnaniem z miłością romantyczną, której ona była najlepszą przedstawicielką. A że wyznanie o tym płaczu, jako ostatni dar dla tej, której tyle natchnień zawdzięczał, składał w ręce Żegoty, świadczyło to, że go obdarzał ufnością, jakiej nikt z jego strony, z wyjątkiem dalekiego Zana i Czeczota, nie doznał był nigdy.

III.

Pomiędzy płaczem a tem wyznaniem Mickiewicza upłynął cały rok i to jaki! Ten co się zaczynał od najróżowszych nadziei narodowych a kończył zupełną klęską i zupełnym upadkiem ducha, rok 1831! Koleje życia dwu przyjaciół-filomatów w tym roku były bardzo różne i stosunek ich do powstania odmienny.

Mickiewicz, którego wiadomość o wybuchu powstania zaskoczyła w Rzymie, przyjął ją z niepokojem, bo, znając potęgę mili-

[1]) Korr. II, 151.

tarną wroga, nie wierzył w powodzenie oręża polskiego. Dziesięć lat mijało od czasu stworzenia *Ody do młodości;* pod wpływem tylu doświadczeń, tylu nowych horyzontów i nauk, które mu życie i podróż przyniosły, mgły złudzeń rozpierzchły się, „rozumni szałem“ przestało być hasłem poety. Ale poeta czuł na sobie odpowiedzialność za to hasło, za wpływ swojej poezyi patryotycznej, i to było dlań przyczyną wielkich utrapień.

Pomiędzy nim a społeczeństwem zachodziło wtedy *głębokie nieporozumienie.* Naród wielbił twórcę *Konrada Wallenroda*, przejmował się do głębi jego liryzmem patryotycznym, ale znaczenia jego nie rozumiał, dewizy położonej na poemacie: *bisogna essere volpe e leone*, nie przesylabizował, a raczej nie zwrócił na nią uwagi i wręcz mylnie uważał *Wallenroda* za wezwanie do walki orężnej [1]). A tymczasem *Wallenrod* był tylko wezwaniem do pracy patryotycznej, nie tej, co to wybucha chwilowym zapałem, ale tej, która powoli, tajemnie, cierpliwie, z całem zaparciem się gromadzi zasoby do przyszłego, dalekiego wyzwolenia, takiem wezwaniem, a przynajmniej pokrewnem takiemu wezwaniu, jakie zawierał w sobie na niedługo przed powstaniem napisany wiersz *Do matki Polki* i jakie miał rzucić w kilka lat potem Krasiński w *Irydyonie.* Chwilę wyzwolenia odsuwał Mickiewicz w daleką przyszłość, której współczesne pokolenie nie miało doczekać, do czasów, kiedy „wiatr zachodni“ ogrzeje i roztopi „kaskadę tyrańskwa“ i przepowiednia jego, rzucona w wierszu *Do Matki Polki*, o ile dotyczyła prześladowania patryotycznej pracy, miała się spełnić z całą bolesną dokładnością w ciągu następujących trzech ćwierci wieku. Tylko orężnej walki nie przewidział w niej, nie przeczuł Mickiewicz, pomimo iż naród stał już u progu tej walki.

[1]) Jednym z najjaskrawszych dowodów na to jest wiersz Maurycego Gosławskiego: *Do Mickiewicza bawiącego w Rzymie podczas wojny narodowej*; pisany 13 czerwca 1831 r. w Warszawie a wydany w *Poezyach ułana polskiego*, Paryż, 1833. Są tam takie wołania:

Spiesz! my dumni naszym rodem,
Tutaj każdy Wallenrodem.

. . . . . .

Wieszczu czczony! coś umiał ognistemi słowy
Do serc braci swoich strzelać,
Coś umiał własne ognie w bratnie piersi przelać,
Wieszczu, świat twojej myśli, jak błysk piorunowy
Zajaśniał ci przed oczyma—
Czemuż na nim ciebie niéma? i t. d.

Stąd to pochodziło, że wieść o wybuchu wywołała w Mickiewiczu raczej przestrach, niż radość. A z obawą o przyszłość narodu łączyło się dręczące pytanie: jak on sam ma postąpić wobec zbrojnego porywu, który uważał za zgubny? Przeciwdziałać mu, powstrzymać go, było niepodobieństwem; pozostawało albo lecieć ku swoim, aby razem z nimi spłonąć w nierozważnie roznieconem ognisku, albo w dręczącym niepokoju przysłuchiwać się z daleka odgłosom walki beznadziejnej? Nie przeszkody pieniężne, bo te niewątpliwie dałyby się łatwo usunąć, ale to pasowanie się wewnętrzne było przyczyną, że poeta dopiero w kilka miesięcy po wybuchu wybrał się z Rzymu i to nie wprost do Polski, ale naprzód do Paryża, aby tam przekonać się, czy pomoc jego nie przyda się na co walczącemu narodowi. Dopiero przekonawszy się, że tam jest niepotrzebny, wyruszył w Poznańskie, aby być bliżej teatru wojny i wziąć w niej jakiś udział, ale gdy przyjechał, powstanie już dogasało, niektóre korpusy już wyszły były zagranicę i broń złożyły.

Prawda, żeby zginąć w jakiejś potyczce, na to był czas jeszcze i tego żądał od niego jego przyjaciel rosyjski, Szymon Chlustin, prototyp rosyjskiego nihilisty. „Umrzeć tam było pięknym losem, godnym ciebie. Życie dla takich jak my (nous autres) jest właściwie tylko wyborem śmierci. Miałeś piękną śmierć pod ręką, nie mogąc jej osiągnąć. To smutne“ [1]). I Chlustin zapewniał, że nie jest frazeologiem Ale dla Mickiewicza życie było nie wyborem śmierci, ale wielkim obowiązkiem do spłacenia. Ten obowiązek swój sam był niedawno nakreślił w *Wallenrodzie*, w pamiętnych słowach Halbana, które pomimo nieporozumienia, jakie zaszło między wieszczem a narodem, nabierały dziwnej aktualności:

Nie, ja przeżyję... i ciebie, mój synu!
Chcę jeszcze zostać, zamknąć twe powieki,
I żyć — ażebym sławę twego czynu
Zachował światu, rozgłosił na wieki.
Obiegę Litwy wsi, zamki i miasta,
Gdzie nie dobiegę, pieśń moja doleci...
. . . . . .
Z tej pieśni wstanie mściciel naszych kości.

Oto jakie zadanie miał teraz przed sobą Mickiewicz i zabrał się do niego zaraz, gdy znalazł trochę potrzebnego do tworzenia

[1]) Korr. IV. 144.

spokoju w Dreźnie. Materyalne miecze pochowano, on miał dobyć z pochwy i błysnąć archanielskim mieczem idei, i z tego zadania wypłynęła trzecia część *Dziadów*.

Zupełnie inny był stosunek Domejki do powstania. Zamknięty w swoim zapolskim zakątku, nie znający świata i jego stosunków politycznych, nie czujący na sobie żadnej odpowiedzialności, Domejko z radością przyjął wieść o wybuchu powstania, a przejęty głęboko chęcią służenia sprawie narodowej, z upragnieniem czekał tej chwili, kiedy i na Litwie padnie hasło powstania i on powołany zostanie pod broń. Tymczasem pochłaniał z daleka nadpływające, więc przesadne wieści o pomyślnym obrocie rzeczy i trzymał się w gotowości do wyruszenia na dany znak w każdej chwili: koń był gotów w stajni, strzelby i pistolety pod pomostem w śpichrzu, proch w pustym ulu.

Nadeszło hasło, ale nie zaraz miał stanąć Domejko w szeregu. Poruczono mu rolę gońca z ważnemi rozkazami i wiadomościami do dowódców powstania w Królestwie Polskiem. Jego przekradanie się w tę stronę, opisane przezeń szczegółowo w rok potem w osobnym pamiętniku[1]), pełne było najdziwniejszych i najgroźniejszych przygód, a choć nie zostało uwieńczone zamierzonym skutkiem, dowiodło, jak niewyczerpany zapas energii i odwagi posiadał Domejko. Najgroźniejszą bezwątpienia była chwila kiedy wzięty przez podpitych partyzantów za szpiega-Prusaka dlatego, że na pytanie niemieckie po niemiecku odpowiedział, przywiązany został przez nich do drzewa i widział skierowane przeciw sobie lufy tych, z którymi tak gorąco pragnął się połączyć. Ocalony od śmierci przez jakiegoś księdza, który mu kazał uciekać, błąkał się jakiś czas w puszczy, unikając spotkania z partyzantami i z wojskiem rosyjskiem, które ich szukało, bo z jednej i z drugiej strony groziło mu niebezpieczeństwo. A jednak w najgorszych tarapatach nie stracił odwagi i przytomności umysłu, a jego zapał patryotyczny po powrocie do domu z tej pierwszej niefortunnej wyprawy, nie doznał najmniejszego szwanku.

Niebawem gorącej jego chęci wzięcia udziału w powstaniu stało się zadość: w stronę Zapola zbliżył się oddział Chłapowskiego i Domejko mógł bez przeszkody z nim się połączyć. Przedtem jeszcze odprawił u stryja ostatnią wielkanoc, jaką miał w kraju obchodzić i pojechał pożegnać rodzeństwo i matkę, która mu dała

[1]) Pierwsze dni kwietnia 1831 w Litwie. Urywek z współczesnego pamiętnika. Odbitka z Kuryera Poznańskiego. Poznań, Leitgeber, 1880, str. 70.

na drogę wojenną łzami pokropione błogosławieństwo. Znamienne też było jego pożegnanie z domkiem zapolskim; maluje ono lepiej, niż cokolwiek innego, religijny nastrój duszy, który Domejko wynosił z sobą z Litwy na wojnę a potem w świat daleki i dla tego przytaczam tu krótki ustęp o tem pożegnaniu z innego niewydanego dotąd pamiętnika jego:

„O wschodzie słońca były już konie osiodłane; stała czeladź przy ganku na pożegnanie. Jakoś mi było niedobrze; na wyjściu, nieznana mi dotąd trwoga ogarniała; zatrzymałem się i do pokoju wróciłem, myśląc, żem czego zapomniał. Spojrzałem na zegarek— już czas. Idę, i znowu na progu, jak gdyby mię kto za poły przytrzymał. Stanęła mi na myśli matka moja, jakby z ostrzeżeniem, że źle poczynam, nie poradziwszy się Boga, nie wezwawszy Go na pomoc. Odszedłem do izby sypialnej, zawarłem drzwi za sobą i uklęknąwszy zmówiłem Ojcze Nasz i modlitwy, które za dziecinnych lat mnie nauczono; w końcu przyszły mi do duszy te słowa, które wyrzekłem: *Panie Boże Wszechmogący, w Trójcy Świętej Jedyny, spraw, aby myśli moje, słowa i uczynki ku Twojej Służbie i Chwale były obrócone i nigdy się Woli Twojej Świętej nie przeciwiły.*“

„Od tego momentu przez lat pięćdziesiąt, gdziem nie był i aż do dziś dnia była dla mnie tarczą ta modlitwa, dodaje mi siły; odmawiam ją dziennie i w każdej przygodzie.“

„Ucałowałem ziemię ukochaną, wstałem rzeźwo i ochoczo, przypasałem szablę, wsiadłem lekko na mego kasztana, i—z Panem Bogiem!—Za mną Łukasz i Grzegorz.“

W oddziale Chłapowskiego dostała się dawnemu filomacie rola organizatora wojskowego. Chłapowski formował nowy (25-ty) pułk piechoty i dwa szwadrony jazdy z samych Litwinów. Komendantem formującego się pułku mianowany został Macewicz, Żmudzin, wyćwiczony służbista i gorliwy patryota, adjutantem przy nim — Domejko. Do tego pułku przydzieloną była sławna Emilia Plater z tytułem honorowego szefa jednej kompanii, co dało sposobność Domejce bliżej ją poznać i niewątpliwie z przędzy jego opowiadań o tej rycerskiej pannie osnuł Mickiewicz potem (przynajmniej po części) swój wiersz: „Śmierć pułkownika.“

W tej postaci, otoczonej aureolą poetycką, dziwnie się poezya Mickiewiczowska wiązała z życiem. Dziewica na koniu, z pałaszem w ręku uderzająca na wroga, to było zjawisko nieznane do tego czasu w dziejach Polski; ani powstanie Kościuszkowskie, ani konfederacya barska nic podobnego nie przekazały; tem mniej czasy dawniejsze mogły to uczynić. Wprawdzie czasom tym ze zmierzchu dziejów przyświecała legenda o Wandzie, ale trzeba było do-

piero romantycznego prądu i geniuszu Mickiewicza, aby ta legenda, odrodziwszy się w *Grażynie*, znalazła oddźwięk w życiu. Bo Emilia Plater chciała być wcieleniem Mickiewiczowskiej *Grażyny*, stąd najpewniej zaczerpnęła natchnienia do udziału w orężnej walce.

I tu nasuwa się pod uwagę jeszcze jedno dziwne splątanie poezyi Mickiewiczowskiej z życiem. Organizacya pułku litewskiego, do którego należała Platerówna, odbywała się w Kownie i tu na jej cześć polskim zwyczajem wyprawiano zabawy taneczne, a jedną z tych, w których domu bawiono się ochoczo, była pani Kowalska, dawna znajoma i przyjaciółka Mickiewicza, ta sama, która według świadectwa Odyńca służyła mu za model przy tworzeniu postaci Grażyny. Stały więc obok siebie i to wiekiem niemal do jednego pokolenia należące i ta, której rysy przenosił Mickiewicz do odmalowania Grażyny, i ta, która Grażynę starała się naśladować w życiu, a postać tej drugiej miała niebawem przejść także do poezyi Mickiewiczowskiej.

Domejko zajęty służbą, przedewszystkiem zaopatrzeniem formującego się pułku we wszelkie potrzeby, nie brał udziału w tych zabawach kowieńskich. Tymczasem zaczęły niedobre wieści nadchodzić od strony Wilna. Generał Giełgud, naczelny dowódca dywizyi, do której i oddział Chłapowskiego należał, został pobity pod Wilnem i zaczął się cofać. Niebawem wojsko rosyjskie dotarło do Kowna i zmusiło formujący się pułk do ustąpienia za Wilię, przyczem panna Plater omal nie wpadła w ręce ścigających kozaków [1]).

[1]) Tę chwilę tak opisuje Domejko w swoim pamiętniku: „Ledwieśmy przeszli z Macewiczem i połową może naszych żołnierzy za most nad Wilię, poczęły za nami przelatywać kule i pękać granaty, a okrążać sotnie kozaków. Niezbyt rozległa równina ciągnie się od Wilii do przyległego lasu, do którego zdążyć potrzeba było przed nacierającą za nami jazdą nieprzyjacielską. Tu się zdarzyło, że panna Plater, którą przed chwilą widziałem nieustraszoną, pełną odwagi pod kartaczowym ogniem, spada z konia; i w tym momencie dopędza jej konia Macewicz, sam zsiada, wsadza ją na koń i uprowadza ją z jej przyjaciółką przed bieżącymi za nią kozakami do lasu.“

„Tej nocy, przez kręte dróżki i błotniste manowce zdołaliśmy zdążyć do (niepamiętam, jak się nazywa) folwarku, gdzie przestraszoną znaleźliśmy rodzinę, wiele pań i dzieci. Przyjęto nas najgościnniej, litowano się nad panną Plater; opowiadała ona spokojnie o bitwie, o przegranej, o przypadku, jaki się jej zdarzył i o wyratowaniu przez dzielnego Macewicza. Przypominaliśmy, że ostatniego wieczora przy obozowym ognisku, kiedy w poufnej rozmowie

Od tej klęski pod Wilnem wszystko już na Litwie potoczyło się ku upadkowi. Nowa klęska pod Szawlami, w której to bitwie Domejko omal nie został wraz z Macewiczem wzięty do niewoli, wywołała jeszcze większe przygnębienie w wojsku. W Kurszanach zebrały się resztki armii litewskiej, w liczbie siedmiu do ośmiu tysięcy, i odbyła się narada wodzów, na której zapadło, aby się rozdzielić i rozejść w trzy różne strony: najznaczniejszy oddział z Rolandem i Szymanowskim na czele miał udać się na północ ku Libawie, w nadziei otrzymania tam broni i amunicyi z Anglii, drugi oddział, złożony z jazdy i artyleryi, pod dowództwem Dębińskiego miał przedzierać się do głównej armii pod Warszawą, reszta z Giełgudem i Chłapowskim, pod którego rozkazami zostawał wraz z Macewiczem Domejko, miała się cofać ku granicy pruskiej.

W pół wieku przeszło po owych czasach tak opisywał Domejko nastrój, jaki panował wśród jego towarzyszy broni podczas pamiętnej nocnej narady w Kurszanach. „Około rozniecionego na polu ogniska siedziało wielu nas Litwinów w towarzystwie Platerówny i nieodstępnej od niej przyjaciółki; był też z nami Macewicz, ponury, smutny, milczący. Nie weselsi też byli nasi instruktorowie, z których już ledwie trzech czy czterech zostało; i przychodziło do nas wielu z innych pułków i szwadronów towarzyszy. Przez całą noc ciągnęła się na przemian smutna i niepocieszająca, naprzemian weselsza, ożywiająca nadzieję rozmowa. Pytano się wzajemnie: dokąd idziemy? wszak ci już niedaleko brzegi Baltyku: tu się rozprawić musimy z Moskalem. Mamy siedm do ośmiu tysięcy żołnierza i artyleryę i dobrych generałów—a choćby i nam wszystkim wyginąć przyszło, toć nasi tam pod Warszawą pobili już tylokrotnie.—A interwencya Francyi!—Wszak i Anglicy posyłają nam do Połągi broń i amunicyę. — Prusacy też nie są nam nieprzychylni—wszakże w Memlu, w Królewcu kupcy nam sprzyjają; od nich mamy proch i kule. — Takie były rozmowy, do których mało się mieszała Platerówna, blada, spokojna; a kiedy widziała weselszych: „cieszcie się, rzekła, wprowadzą was do Prus na hańbę narodu.“

---

toczyła się rzecz, czy kobiety mogą brać udział czynny na placu boju, w bataliach, a wielu oficerów i ja, może przez grzeczność, potwierdzaliśmy opinię walecznej hrabianki, że kobiety powinny mieć udział w niebezpieczeństwach, a nawet w boju za ojczyznę, Macewicz tylko był przeciwnego zdania; — a jednak, gdy przyszedł moment, on się sprawił po kawalersku, a myśmy na to patrzyli.“

Złowróżbne słowa Platerówny miały się spełnić bardzo prędko. W kilka dni potem oddział Chłapowskiego i Giełguda przekraczał granicę pruską. Platerówny już w tym oddziale nie było. „Na trzeci dzień po wyjściu z Kurszan, powiada Domejko, pożegnała się ze mną i z Macewiczem Platerówna, z wejrzeniem pełnem dumy szlachetnej i wyrzucając nam gorzko, dla czego dajemy się prowadzić do Prus, chociaż jeszcze dobrze nie wiedziano, co nas czeka“ [1]).

Domejko przeszedł razem z innymi do Prus, wezwania Platerówny nie usłuchał. Czy zabrakło mu męstwa i gotowości do dalszej walki? Sam on nic nie mówi o tem, ale ze wszystkiego, co wiemy o nim, wnioskując, trzebaby odpowiedzieć: nie. Ale zostać po tej stronie granicy, kiedy całe wojsko wychodziło, znaczyło to: chcieć zginąć bezowocnie albo wpaść w ręce zbliżającego się nieprzyjaciela. Przedzierać się w drobnej jakiejś garstce przez linie nieprzyjacielskie do Królestwa nie rokowało także prawie żadnej nadziei [2]). A tymczasem z Prus—łudzono się tą nadzieją—można będzie choć bez broni dostać się do Królestwa. Więc Domejko „trzymał się swego generała i towarzyszy niedoli“ i razem z nimi znalazł się na ziemi pruskiej, razem z nimi przechodził udręczenia, których echo przelało się potem w Mickiewiczowską *Pieśń żołnierza*.

Ja w tej izbie spać nie mogę,
Inną izbę daj sąsiedzie!...

Rozpoczęło się kilkomiesięczne „próżniacze koczownictwo“ pod strażą pruską, bardzo uprzejmą, ale ściśle wykonywającą nadesłane od władz rozkazy. Od chwili, kiedy nadeszła wiadomość o wzięciu Warszawy, internowani mogli używać większej swobody; oświadczono im nawet, że każdy kto podpisze zaręczenie, że nie będzie wracał do Polski, może zupełną odzyskać wolność. Ale

[1]) Domejko w dalszym ciągu powiada o Platerównie: „Została we wsi ze swoją nadobną towarzyszką i odtąd nikt z pewnością nie wiedział, co się z nią stało i dotąd niewiadomo.“ Jest w tem zapewne błąd pamięci. Podług Straszewicza (Les Polonais et les polonaises de la révolution du 29 novembre 1831 par Joseph Straszewicz Paris 1836) Emilia Plater z krewnym swoim Cezarym i panną Raszanowicz puściła się w przebraniu chłopskiem do Warszawy, ale wkrótce zachorowała w drodze i schroniła się do chaty leśnika, potem Cezary przeniósł ją do sąsiedniego dworu, gdzie umarła 23 grudnia 1831.

[2]) Domejko jednak przyznaje w swoim pamiętniku, że jeden z ochotników z pod samej granicy dotarł we 20 koni do Warszawy.

o tym warunku, jak świadczy Domejko, nikt nie chciał słyszeć, więc rząd pruski postanowił internować powstańców w jednej z najbliższych twierdz pruskich. Wtedy to Domejko, odprawiwszy swego wiernego Łukasza na Litwę z kartką do stryja, w której go prosił o uwolnienie z poddaństwa i zaopatrzenie wiernego sługi i towarzysza, próbował uciec morzem do Anglii, ażeby stamtąd znaleźć jeszcze możność dostania się na plac boju i już był się puścił na łodzi ku statkowi angielskiemu, który go miał zabrać z sobą, kiedy niespodziewana burza udaremniła tę wyprawę, musiał więc razem z innymi jechać do Piławy. Przeniesiono go potem do Gerdauen, gdzie przebył do końca roku i skąd pierwszych dni stycznia 1832 roku mógł już swobodnie wyjechać do Drezna.

Gdyby się był dni kilka z tym wyjazdem spóźnił, dalsze losy jego potoczyłyby się prawdopodobnie w zupełnie innym kierunku. Oto co pisze sam o tem w swoim pamiętniku: „Gdybym był kilka dni zaczekał, nadjechałaby moja stryjenka, która już była w drodze i wiozła żądanie od mego stryja Ignacego Domejki, mego od śmierci ojca opiekuna i któregom, jak ojca, kochał, abym się starał powrócić do kraju. Nie miałbym serca ni odwagi odmówić na prośbę stryjenki, czego sobie na starość zapragnął ten dobry opiekun i odrazu stałby się koniec mojej podróży, która się od tego dnia na pięćdziesiąt trzy lata przeciągnęła.“

Dla objaśnienia tego ustępu trzeba dodać, że powrót w strony rodzinne był wtedy łatwy i że król pruski kazał oświadczyć oficerom-emigrantom, którzyby chcieli wracać do kraju, że im wyjedna amnestyę u cesarza Mikołaja.

Domejko wraz z wielu innymi zawahał się. Powstanie upadło, kilkumiesięczne życie próżniacze na obczyźnie dokuczyło mu, tęsknota do rodziny ciągnęła; ale z drugiej strony wiara w świętość sprawy, koleżeństwo i złudna nadzieja jakiejś wojny, jakichś nowych legionów nad Renem i Sekwaną, powstrzymywały od szukania amnestyi. W tej niepewności napisał list do Mickiewicza, o którym wiedział, że bawi w Poznańskiem, wynurzał przed nim swoje wątpliwości i prosił o radę.

Na ten list odpowiedział Mickiewicz z Poznania pod datą 2 stycznia 1832 r., choć prawie pewny był, że jego odpowiedź nie zastanie już Domejki w Gerdauen. Nie przeczuwając, że tak prędko połączą się ze sobą, wyrażał naprzód żal, że będąc tak blizko siebie, nie mogli się z sobą obaczyć. „Jak mi smutno, bardzo smutno, że tak blizki nie mogłem cię uścisnąć, z tobą się nagadać o tylu rzeczach. Mój Boże! któżby mi więcej mógł naopowiadać.“ A następnie pisał: „Twojej chęci powrotu nie bardzo

rozumiem, ale nie umiem ganić ani radzić. Przez tyle lat włóczęga, przywykłem już do cygańskiego życia, które pojmuję, jak może być ciężkie nowicyuszom. Ale powrócić, widzieć, co się tam dzieje! zresztą rób, jak Bóg cię natchnie.“ O sobie zaś niżej dodawał: „Ja zdrów.—Smutny, że mi się nie udało, choć na chwilę być z wami i wiecznie wam zazdroszczę.“

Tak więc Mickiewicz nie dawał żadnej wyraźnej rady, ale ton listu był wyraźnie odradzający i świadczył, że nasz poeta już wówczas nie myślał o powrocie do kraju. Między nim a Domejką zachodziła wtedy godna uwagi różnica w usposobieniu wewnętrznem. Mickiewicz czuł pewien niepokój w swojem sumieniu narodowem: wprawdzie przewidywał odrazu niepowodzenie powstania, wprawdzie był przekonany, że pomoc jego ramienia ani na włos nie odsunęłaby klęski, ale ciężko mu było pamiętać, że nie dzielił razem z narodem jego niebezpieczeństw, walk i trudów—chociaż bezowocnych. Jedyną jego pociechą w tem usposobieniu była myśl, że swój oręż poetycki odda teraz na usługi pokonanego narodu i w zwierciedle swojej poezyi pokaże szlachetność jego a barbarzyństwo wrogów. Ażeby to uczynić, trzeba mieć głos zupełnie wolny, więc już dla tego samego nie chciał wracać do kraju. Nie miał też rodziców, którzyby wyglądali jego powrotu, nie zostawiał w kraju nikogo, któryby potrzebował szczególnej jego opieki. A przytem „widzieć, co się tam dzieje!“ Ten ostatni wzgląd był naturalnie innej, egoistycznej natury.

Domejko nie uczuwał w sumieniu swojem tego niepokoju, co Mickiewicz. On ochoczo spełnił swój obowiązek narodowy w tej samej mierze, co wszyscy jego towarzysze i byłby walczył dalej, gdyby jego wodzowie nie stracili wiary w powodzenie i nie wprowadzili wojska do Prus. W kraju zostawiał rodzinę, matkę, ukochanego stryja, dla których miał obowiązki. Jego gorąca chęć zwiedzania obcego świata, która mu nie tak dawno kazała dziwić się tęsknocie Mickiewicza do Litwy, musiała znacznie ostygnąć wśród przymusowego pobytu na ziemi pruskiej i tylko owe niejasne nadzieje jakichś legionów polskich, ciągnęły go teraz na Zachód.

Mickiewicz w liście swoim donosił mu, że wkrótce jedzie do Drezna i to było zapewne główną pobudką dla Domejki, że opuszczając Prusy tam się udał. Zjawili się tam niebawem Mickiewicz, Garczyński i Odyniec, i Domejko znalazł wśród nich tę ciepłą sferę koleżeństwa, która przypomniała poniekąd dawne czasy filareckie. „Codzień—powiada on w swoim pamiętniku—z Odyńcem i Garczyńskim schodziliśmy się z rana i nad wieczór do Adama

i u niego spędzaliśmy godziny przyjemne. Adam pospolicie był smutny; widać na nim było boleść i wzruszenie na widok przechodzących przez Drezno, ciągnących do Francyi żołnierzy naszych i powstańców; smuciły go odwiedziny bardzo częste obywateli i ochotników z powstania, którzy pozostawiali żony i dzieci w kraju, jako też wielu bogatszych, byłych dostojników z Królestwa, którzy się wahali, nie wiedzieli, co z sobą robić. Rozpogadzało się jednak mu czoło, kiedy sami we czterech zostawaliśmy na pogadance. Odyniec był wesoły i mnie nie opuszczał humor; rozweselaliśmy Adama i posępniejszego częstokroć od niego, Stefana. Adam niekiedy czytywał ustępy z tego, co pisał; czasem zanucił Filona, jaki ułamek z Mozarta, palił bezustannie fajkę, często zamyślał się."

Mieszkańcy stolicy saskiej, jak zresztą prawie wszystkich miast niemieckich, wiele współczucia okazywali wychodźcom polskim i ci ostatni, zwłaszcza, że dawniejsze i świeże tradycye wiązały dwór saski z Polską, że tu i owdzie z fasad pałaców i kościołów spoglądały ku nim polskie orły i litewskie pogonie, czuli się potroszę—przynajmniej z początku—jak u siebie.

Drezno przytem dostarczało wielu estetycznych rozrywek trzem młodym poetom i czwartemu ich towarzyszowi, który nosił niewyśpiewaną poezyę młodości w duszy. Bywali często na operze włoskiej, gdzie wtedy poraz pierwszy przedstawiano opery Belliniego, niemało też chwil przyjemnych przepędzali razem w Galeryi obrazów „przed boską Madonną Rafaela, przy Nocy Correggia, przy Chrystusie Tycyana." „Nadewszystko główną pociechę i ożywienie, rozkosz wewnętrzną—powiada Domejko w pamiętniku—znajdowaliśmy na niedzielnych mszach w katedrze, uposażonej wyborną muzyką religijną." Wtedy to zapewne, podczas jednej z mszy takich „jakby bania z poezyą rozbiła się" nad Mickiewiczem [1]). Zaczął pisać trzecią część *Dziadów*.

Jeżeli do tego poematu przymierzymy postacie trzech przyjaciół poety, w których ciągłem towarzystwie przebywał w czasie owego twórczego sezonu, to łatwo możemy ocenić, jaką rolę pobudzającą każdy z nich odgrywał w procesie twórczym, którego rezultatem były drezdeńskie *Dziady*. Garczyński różnił się od dwu innych przyjaciół Mickiewicza niezmiernie bogato rozwiniętem życiem wewnętrznem, marzycielstwem i wyższem wykształceniem filozoficznem, które marzycielstwu temu nadawało odrębną

[1]) Wspomnienia z przeszłości Odyńca, str. 401.

cechę. Już na rok przedtem, jak wiemy od Odyńca, zaczął był pisać swojego *Wacława*, który miał mieć wtedy tytuł *Apostata*, a który chociaż potem pod wpływem Mickiewicza przez wiele przeszedł przeobrażeń, przecież tematem swoim, subjektywizmem swego bohatera, już wtedy zbliżał się do Mickiewiczowskiego Konrada. Wiadomo, jak wysoko cenił potem Mickiewicz ten poemat przyjaciela, ale i w początkach tworzenia trzeciej części *Dziadów* pisał do Lelewela o Garczyńskim: „Talent wielki i daleko pójdzie; już teraz jest na stanowisku, na którem ostatnie dzieła moje spoczęły.“ [1]) Dlatego w genezie scen podmiotowych trzeciej części *Dziadów*, jeżeli nie wszystkich, to przynajmniej niektórych, musiał odegrać znaczną rolę pobudzającą ówczesny ścisły stosunek Mickiewicza z Garczyńskim.

W scenach przedmiotowych, odtwarzających życie zewnętrzne, można się domyślać wpływu obcowania z dwoma innymi przyjaciołmi: Odyńcem i Domejką. Salonów warszawskich nie znał Mickiewicz i to, co wiedział o nich, na podstawie czego utworzył sobie wyobrażenie o nich, pochodziło przedewszystkiem od Odyńca, który miał sposobność dobrze je poznać. I bal u pana senatora, jeżeli miał jakie szczegóły wzięte z rzeczywistości, zawdzięczać je mógł tylko Odyńcowi, który więcej niż rok bawił w Wilnie podczas urzędowania tam Nowosilcowa, a i potem, mieszkając w Warszawie, miewał szczegółowe relacye o tem, co się działo w Wilnie. Co się tyczy Domejki, ten mógł mu wiele rysów przypomnieć i nasunąć z czasów wspólnego pobytu w więzieniu u Bazylianów, i w ten sposób oddziałać na genezę wielkiej sceny więziennej w III części *Dziadów*.

Ale nie tylko taką rolę odegrał Domejko w genezie tego utworu. Wiadomo, że Mickiewicz do owej sceny więziennej wprowadził i Domejkę we własnej jego osobie, a niedość, że wprowadził, ale i dał mu tam znaczącą rolę. Naprzód warto zwrócić uwagę na to, że moment obrany dla sceny więziennej jest dniem przybycia Żegoty do więzienia, dniem jego „inkrutowin,“ jak się wyraża X. Lwowicz, to jest zaciągnięcia się do koleżeńskiego szeregu więźniów bazyliańskich. Ponieważ jest to także dzień wigilii Bożego Narodzenia, więc zachodzi tu nieścisłość chronologiczna, bo Domejko, jak sam podaje, jeszcze w połowie listopada dostał się do Bazylianów. Naturalnie, Mickiewicz pozwolił sobie na tę drobną licencyę poetycką, podobnie jak i na wiele innych

[1]) Korr. I 94.

ważniejszych, z całą świadomością swego prawa, jako poety, ale właśnie licencya ta dowodzi, że Mickiewicz już rozpoczynając scenę więzienną (która w pierwotnym układzie miała być początkiem poematu) chciał wysunąć naprzód kolegę filomackiego, z którym dawne teraz odświeżał wspomnienia. Postać Żegoty, dokoła którego z początku wszyscy się grupują, którego wszyscy witają ma tu służyć poecie naprzód do dania tego, co się nazywa ekspozycyą w dramacie, do przedstawienia stosunków, które poprzedzają tę scenę. Żegota wprawdzie „od dawna słyszał o jakiemś w Wilnie śledztwie," ale sądził, że jest to jedno ze zwyczajnych śledztw, wymyślonych dla zysku, „że się więźniowie nasi porządnie opłacą— i powrócą do domu," bo nikt w nich winy istotnej znaleźć nie może i dopiero Tomasz Zan wyjaśnia mu prawdziwy stan rzeczy i wskazuje źródło złego — Nowosilcowa, który wypadłszy z łaski imperatora, a chcąc się na nowo w nią „wkręcić," „musi z towarzystw naszych wielką rzecz wysnować." W tej ekspozycyi podana jest pokrótce i charakterystyka samego Żegoty, jako gospodarza wiejskiego, jedynego wśród grona kolegów. Na zapytanie X. Lwowicza, znajomego Domejki jeszcze ze szkół Szczuczyńskich, kiedy i skąd się tu wziął, powiada on, że wzięto go dzisiaj wprost ze stodoły, a kiedy X. Lwowicz dziwi się, że tak wcześnie został gospodarzem, Żegota woła:

Jaki! zawołany.
Żebyś ty widział moje merynosy, woły!
Ja co pierwej nie znałem, co owies, co słoma,
Mam sławę najlepszego w Litwie ekonoma.

Ta charakterystyka Domejki, jako dobrego gospodarza, potrzebna była do ważniejszej roli, jaką przyjacielowi wyznaczył Mickiewicz w dalszym ciągu tej sceny. Jan Sobolewski opowiada, co widział dzisiaj, prowadzony do śledztwa, a wzruszające jego opowiadanie, zakończone obrazem kibitki z ukrytym więźniem, pędzącej przed otwartym kościołem w chwili Podniesienia, wywołuje głębokie wrażenie na słuchaczach.

Po dłuższem powszechnem milczeniu Józef (Kowalewski) robi uwagę, że obecny wróg srożej postępuje, niż jak postępowano podczas wojen w dzikich czasach, kiedy „z drzewami na pniu zasiewy palono," bo „on nawet ziarno zboża zabiera i dławi;" a X. Lwowicz wzywa przyjaciół do modlitwy za męczennikiem.

To wezwanie nie znajduje echa, zaledwie jeden (Adolf Januszkiewicz) zdaje się mu przytakiwać. W gronie Filaretów nie-

wielu było przejętych duchem głębokiej pobożności, jakiej wzór dawał X. Lwowicz i jaka się w postaci jego malowała [1]). „Za świeży jeszcze był natenczas — powiada Domejko — wpływ rewolucyi francuskiej i zagranicznych idei, które owładały młodzieżą na początku wieku; za silny wpływ powszechnie sekularyzowanej oświaty szkolnej, mianowicie tej, którą nam przekazała komisya edukacyjna...; zbyt też żywy był jeszcze urok Napoleonizmu, żeby w tym czasie tak ci, co dali początek owemu ruchowi między młodzieżą, jak ci, co nim owładnięci zostali, mogli się od początku przejąć gorącą wiarą i pobożnością przodków swoich.“ Na ten brak religijności wśród patryotycznie nastrojonej młodzieży, składało się jeszcze i to, że rząd rosyjski „zdawał się na pozór wyzyskiwać katolicyzm na korzyść swoją;“ wreszcie „i między duchowieństwem naszem świeckiem, mianowicie wyższem, było wiele fałszywego liberalizmu.“ [2])

Tę obojętność religijną, ten słaby puls wiary w gronie młodzieży więziennej starał się poeta zaznaczyć w tej scenie; sam Konrad przecież powiada tu o sobie: „nie wiem, gdzie moja podziała się wiara.“ Ale gdy ogół zachowuje się tylko obojętnie, jest ktoś, kto ośmiela się odpowiedzieć na wezwanie X. Lwowicza do modlitwy bluźnierstwem. Tę rolę wyznaczył Mickiewicz Jankowskiemu, który, jak wspomniałem, nie siedział wcale u Bazylianów, a na którym, jak wiadomo, cięży wina wydania związku Filaretów.

Ta rola była jakby karą poetycką za zdradzenie kolegów. Poeta winy istotnej Jankowskiego nie dotknął wcale, można powiedzieć, że zakrył ją zupełnie, może dla tego, że widział w niej tylko nieszczęsny upadek ducha, właściwy naturom łatwo zapalnym; ale wkładając mu w usta bluźnierstwo, chciał jakby wskazać, że tylko ludzie tak pozbawieni, jak on, uczucia religijnego, zdolni są takiego czynu, jaki on popełnił.

Powód do bluźnierstwa podaje Jankowskiemu zagadka, od wieków trapiąca ludzkość, od wieków w różny rozwiązywana spo-

---

[1]) Domejko (Filareci i Filomaci 19) tak go opisuje: „Był bardzo wysoki... podługowatej twarzy, blady i pięknych oczu, bardzo poważny i łagodnego obejścia się ze wszystkimi; lubili go Filareci i miał wielką u nich wziętość i znaczenie; najupartszych nawet ciągnął mimo ich woli ku wierze i pobożności. Prości nawet żołnierze, którzy nas strzegli w więzieniu, bali się go i byli dla niego z wielką czcią i uszanowaniem.“

[2]) Tamże str. 19—20.

sób: jak pogodzić istnienie dobrego Boga z tryumfem zła na świecie? Jankowski rozwiązuje ją w najprostszy sposób: on drwi z wiary w sprawiedliwość boską.

Cóż stąd, choćbym był gorszym, niż Turki, Tatary,
Choćbym został złodziejem, szpiegiem, rozbójnikiem,
Austryakiem, Prusakiem, carskim urzędnikiem,
Jeszcze tak prędko bożej nie lękam się kary...

Dla czego? bo oto niewinni giną i cierpią, a tyran żyje i tryumfuje.

Ta myśl dręcząca, wywołana opowiadaniem Sobolewskiego, pokutuje i w duszach innych Filaretów, ale nikt z nich swego wątpienia nie śmie ubrać w formę bluźnierstwa. Chcą oni w inny sposób otrząsnąć się z przygnębienia, jakie ich chwilowo ogarnęło. Wino i pieśni! One mają rozpędzić smutek, rozbudzić energię duchową. Dwaj mistrze wesołości filareckiej ze *Wspomnień* Odyńca, improwizatorowie humorystycznych jambów, Feliks Kołakowski i Frejend, wezwani są do przewodniczenia na tej drodze.

Zgoda, zgoda, Feliksie, musisz gadać, śpiewać,
Feliks ma głos, hej Frejend, hej wina nalewać.

I oto w tej chwili, nieproszony i niewzywany zabiera głos Żegota:

Stójcie na chwilę—ja też szlachcic sejmikowy,
Choć ostatni przybyłem, nie chcę cicho siedzieć;
Józef nam coś o ziarnkach mówił;—na te mowy
Gospodarz winien z miejsca swego odpowiedzieć.

Odwołanie się do Józefa potrzebne jest na to, aby Domejko mógł zaakcentować swój charakter gospodarza-rolnika i jako przedstawiciel tej warstwy społecznej, której się tradycyjna wiara najsilniej trzyma, przeciwko obojętności religijnej kolegów i urąganiu sprawiedliwości boskiej ze strony Jankowskiego podnosi on głos otuchy i wiary w tę sprawiedliwość. Choć wróg chce „wszystkie ziarna naszego ogrodu zabrać i zakopać w ziemię," niema obawy, aby mu się udało je zniszczyć. I tu na poparcie tej tezy podaje Żegota przystrojoną w wiersz mickiewiczowski bajkę Goreckiego o dyable[1]), który chcąc szkodę wyrządzić pierwszemu człowiekowi,

[1]) Bajka Antoniego Goreckiego, przerobiona przez Mickiewicza, ma tytuł: „Dyabeł i zboże" i wydaną została poraz pierwszy w r. 1834 w „Poezyach Litwina." Że ją Mickiewicz znał, pisząc trzecią część *Dziadów*, objaśnia się to tem, że właśnie wtedy bawił także w Dreznie i Gorecki.

zakopał do ziemi ziarna, rozsypane na jego drodze z rozkazu Boga i ani się domyślał, że wyświadcza tem wielką przysługę ludzkości.

Dumny i rad, że boże zamiary przeniknął,
Całem gardłem się roześmiał i ryknął, i zniknął.
Aż tu wiosną, na wielkie dyabła zadziwienie,
Wyrasta trawa, kwiecie, kłosy i nasienie.

A więc bajka, przytoczona przez Żegotę, była przezroczystą allegoryą i wyraźnym protestem przeciw bluźnierczej tezie Jankowskiego, bo uczyła, że tryumf złego jest tylko pozorny i nie zaprzecza dobroci Boskiej. Nie powstrzymuje to, jak wiadomo, Jankowskiego od dalszego bluźnienia, od śpiewania piosnki: „Mówcie, jeśli wola czyja, Jezus, Marya“ i t. d. i tu z protestem występuje sam Konrad, przedstawiciel tego nastroju duszy poety, z którego wypłynął Konrad Wallenrod.

Słuchaj ty! — tych mnie imion przy kielichach wara.
Dawno nie wiem, gdzie moja podziała się wiara,
Nie mieszam się do wszystkich świętych z litanii,
Lecz nie dozwolę bluźnić imienia Maryi.

Otóż różnica między jednym a drugim protestem jest bardzo znamienna i wybornie uwydatnia różnicę w nastroju dwu przyjaciół, których wzajemny stosunek stanowi przedmiot tego studyum. W duszy Domejki jasnej, przezroczystej, gdzie nie ma ciemnych dołów i przepaści, w których się tają demony namiętności, wychodzi on z wiary pogodnej, takiej, jakiej wyrazem była modlitwa jego przy pożegnaniu progów domu zapolskiego. Spokój duszy jego objawia się i w spokojnym tonie, w spokojnej formie protestu. W duszy Mickiewicza takiej, jak ją sam poeta odmalował w Konradzie, przepaścistej, poruszonej do głębi i zamąconej cierpieniem, płynącem z miłości narodu, jakiego tylko takie dusze doznawać mogą, w duszy, gdzie demony zemsty i dumy w tem jej zmąceniu biorą górę nad innemi uczuciami, protest wybucha nagle i gwałtownie i jest tylko odruchem resztek tradycyjnej wiary, które do ścian duszy przyległy i oderwać się od niej nie dają.

Po tym proteście rola Domejki skończona i w scenie więziennej i w całym poemacie. Nie jemu przypadło w udziale wypędzać złego ducha z Konrada; na to były siły jego za słabe, do tego trzeba było tak potężnego, tak mistycznie nastrojonego a miłością i ascezą tak z wszelkiej ziemskości oczyszczonego ducha, jakim przedstawił poeta księdza Piotra.

Józef Tretiak.

NAD GŁĘBIAMI.

VIII.

Jesienny wieczór zapadał nad Krakowem.

Ulicą świętej Anny szła gromadka mężczyzn i kobiet. Z rozmowy ich gwarnej dobiegały do uszów przechodniów pojedyńcze słowa i wykrzykniki. Mimowoli każdego musiała uderzyć pewna niedbałość ekscentryczna w ubraniach tych ludzi. Szli, jak fala obca przez miasto, nie zwracając uwagi na to, co ich otaczało, zajęci sobą i własnemi myślami. Z niektórych twarzy biła gorączka duchowa, gesta ich szukały w powietrzu linii na podkreślenie wyrazów wyrzucanych z namiętnym akcentem.

Inni wyróżniali się chłodną wyniosłością, z jaką patrzyli po ludziach. Wszyscy zaś zwracali często spojrzenia i zapytania ku mężczyźnie, który szedł pośród nich zadumany.

— Kto to jest?—dobiegały do ich uszu pytania przechodniów.

— Przejezdni jacyś — objaśniała pewna staruszka młodą kobietę, która szła z nią razem i nie spuszczała oczu z idącej gromadki.

— Mówią po polsku — zauważyła jej towarzyszka.

— Tak? po polsku? — upewniała się starowina — to z za kordonu rodacy. Zwiedzają pamiątki krakowskie.

— Oni na nic nie zwracają uwagi—zaprzeczyła młoda kobieta.

— Tak? nie zwracają na nic uwagi? — dziwni przejezdni.

— Chodźmy za nimi.

— Jakże ty jesteś ciekawa!

Obie przyspieszyły kroku.

Pod uniwersytetem tłum młodzieży akademickiej przypatrywał się przechodzącej gromadce z niemniejszem zainteresowaniem. Posypały się uwagi, żarty i objaśnienia.

Staruszka ścisnęła za rękę swoją młodą towarzyszkę, dając jej znak, aby z nią razem przystanęła.

— Uważacie koledzy — rzekł za niemi jakiś starszy akademik — jak oni idą! niczem patrycyusze rzymscy.

— Dziewięć fletów i dwie pozytywki, na których Pan Bóg gra — ktoś inny zrobił uwagę złośliwą.

— Ogień boży kurzy się im z czupryn.

— Zamknijcie buzię, moi panowie — odezwał się nagle brodaty student.

— To idzie August Tarowicz ze swoimi uczniami — objaśniał inny kolegów.

— Zacz on jeden?

— Spadłeś widać z nieba.

— Gadaj zdrów, póki słucham.

— Chojnicki bywa u Tarowicza. Pono to jegomość piekielnie inteligentny, indywidualista krańcowy. Grek w skórze Nietzschego. Na śniadanie zjada dziesięciu takich społeczników, jak ty, i twierdzi że społecznicy nie mają kości tylko żyły.

— Hahaha.

— Filozof paradoksalny. Chojnicki mówił, że z każdym wdaje się w dyskusyę, ale po dyskusyi z oponenta jego pozostaje tylko ślepa kiszka, resztę dyabli biorą na mocy logiki.

— Hahaha.

— A panny co tam robią w tej gromadzie?

— Sumują takich kapitalnych osłów jak ty.

— Hahaha.

— Tego zawsze panny intrygują.

— Bo ma zamiar ożenić się, jak mu głowę przyprawią.

— Hahaha.

— Cives Romani! — odezwał się młody chłopak, który stał przed bramą na najwyższym stopniu. — Gdzie bogowie wiodą Tarowicza z jego plebsem? czy idzie do parku Jordana grać w piłkę?

— Nie, szlachetny gołowąsie. On gra w piłkę tylko z cudzą duszą. Teraz zaś kroczy na Wolę, aby pożegnać się osobiście z zachodem słońca.

— Cives Romani! czy to jego stały zwyczaj?

— Rzekłeś.

— Cives Romani! zatem ten Tarowicz bałwochwalcą jest.

— O szlachetny żółtodzióbie! nie bałwochwalcą on jest, lecz bałwanobójcą.

Ryk śmiechu rozległ się głośnem echem po plantacyach.

— Złote chłopaki — szepnęła staruszka i poszła dalej ze swoją towarzyszką.

— Wie ciocia co? — odezwała się młoda kobieta — temu Tarowiczowi ciekawie patrzy z oczu. Jeżeli on tak z każdym chętnie rozmawia, to możebym i ja mogła się z nim zapoznać.

— Już lecisz na niego?

— Ciociu!

— Źle ci, że ciebie nie znają w Krakowie? Chcesz, aby cię zaczęto nosić na językach?

— Mało to mnie noszą w Warszawie—odpowiedziała jej towarzyszka – dziwna mi to rzecz?

— Ale bolesna...

— Nie mówmy o tem...

— Takie młode stworzenie, jak ty Rolo i takie już złamane! Nie pomoże ci na to Tarowicz, o nie. Kto ucieka od męża i dziecka...

— Ciociu! ja nie uciekłam! wypędziła mnie Kama.

— Wypędziła! to ty powinnaś była ją wypędzić. A nie pozwolić jej romansować z twoim mężem.

— Chciałam przekonać się...

— I o czem przekonałaś się? o niczem, a sobie zepsułaś całe życie.

— Nie mówmy o tem.

— A, nie mówmy.

— Do Tarowicza pójdę.

— A idź uparciuchu. Strzelisz znowu jakie głupstwo, stracisz te lekcye, z których żyjesz, i już nie wiem, co potem będziesz robiła.

— W każdym razie nie wrócę, ani do męża, ani do rodziców, ani do Kamy!

Staruszka westchnęła. Obie w milczeniu wracały do domu.

*

* *

Ognisty, czerwony wał światła legł na granicy widnokręgu. Z szerokich ust nieba przywartych do ziemi buchała powódź płomieni. Zachodząca lampa dnia dyszała żądzą namiętności do kochanka, który czekał na nią za olbrzymią pochyłością ziemi.

Dzień umierał w tęsknocie i na rozpiętych powietrznych skrzydłach zawieszał ciemne fiolety na znak nieukojonego żalu.

Jesienny wieczór szedł na spotkanie nocy, owijając się w ciemne kolorowe szaty — a drogę oświecało mu rozgorzałe, purpurowe słońce...

August stanął na błoniach z otaczającą go młodzieżą. Wszyscy utopili wzrok w orgii barw, która konała powoli w krwawych ponsach.

— Godzina zachodu słońca — odezwał się głosem spokojnym, ale pełnym dźwięków dziwnie brzmiących i przejmujących. — Byliście już tutaj wielekroć razy ze mną. Zawsze wiedliśmy podonczas rozmowę o sobie, o waszych i moich troskach. Zawsze przeżuwaliśmy zwir, który nam życie w usta rzuca i w serca. Dziś zapytam was po raz pierwszy o rzecz inną.

— Pytaj — zabrzmiały chórem głosy.

— Patrząc tak — mówił — w ten oddech ognisty płuc słonecznych, czy nie czujecie, iż myśl krąży po nad wami? Jaką ona jest? czy wiecie?

Upłynęła chwila milczenia.

— Wiem — rzekł młody człowiek o suchotniczym ostrym zarysie głowy — mówi mi ona, że dusza jest refleksem światła, bo moja psycha najjaśniejszą jest za dnia a pod noc zaczyna ciemnieć i zgrzytać.

— A ty Antoni co powiesz? — zwrócił się August z zapytaniem do mężczyzny niskiego, który stał obok niego z nasuniętym kapeluszem na czoło i usta wiecznie miał zaciśnięte, jakby gniew w sobie tłumił.

Zapytany zawiesił na nim błyskawicę spojrzenia, oczy utopił w ziemi i mruknął dobitnie:

— „Hyeny“ słyszę głos w powietrzu.

— Co chcesz przez to powiedzieć Antoni?

— To, że hyeny ciągną za karawaną, bo liczą na porzucone odpadki i na ewentualnego trupa, a my wyszliśmy za zjawiskiem przyrody, licząc także na porzucone odpadki i na ewentualnego trupa vulgo w zęby chwytamy wrażenie...

Wszyscy spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się. Antoni gwizdnął przez zęby, jak na psa, nasunął jeszcze silniej kapelusz na czoło i umilkł.

— A ty co nam powiesz Mefistofelesie — zagadnął August szczupłego, wygolonego młodzieńca, który niespokojnie strzelał oczami i rozdrapywał do krwi rankę na palcu.

— Daj mi pokój mistrzu — odparł tenże — bo palnę jakie głupstwo. Wiesz, że jestem nieprzytomny wtenczas, kiedy mnie kto bierze na egzamin.

— Hahaha — wszyscy się zaśmiali.

— Mefistofeles zwyrodniały — zauważyła jedna z panien.

— Kobieto! nie zaglądaj w czeluście piekielne — odciął się napastowany — mistrzu! pytaj innych. Moje myśli siedzą na ogonie cudzych myśli, muszę zatem wpierw poznać, co to za ogony, aby rzec, co myśl moja waży i czy ujedzie daleko na takich rumakach...

— Hahaha.

August przeniósł oczy na pannę, która nie zwracając uwagi na toczącą się rozmowę, napawała oczy pięknościami gorejącego słońca.

— A ty Maryo, co nam powiesz? — zapytał ją podszedłszy ku niej.

Mefistofeles szepnął głośno:

— Nie słyszała cię mistrzu, bo dusza jej kołysze się w objęciach słońca.

— Owszem, słyszałam o coś pytał, mistrzu Auguście — odparła Marya melodyjnym głosem.

— Mów zatem.

Ona zaś nie odwracając oczu od pożaru, dogorywającego na zachodzie, oblana ostatnim blaskiem purpurowej łuny, mówiła cicho:

— Lat temu trzy o takiej godzinie utraciłam ojca. Umarł na moich rękach w ogrodzie. Słońce było wtenczas podobne do tego, co dziś. Duch mojego ojca odszedł razem z ostatnim blaskiem dnia... Myślę, że każdy człowiek powinien umrzeć o zachodzie słońca. Jakby to było pięknie... jakaby to była rzecz naturalna... umierać w takiej chwili...

Widmo ciszy położyło wszystkim swoje miękkie palce na ustach. Jak krzewy nietknięte wichrem stali nieruchomi. Słup ognia wahał się jeszcze chwilę, strzelił piorunami barw po szafirze bezdennej atmosfery, a potem wpadł pod oponę ciężkiej, wąskiej chmury, która nad widnokręgiem wyciągała się jak skrwawiona przepaska nad zranionem czołem ziemi. Noc szła na zachód i gasiła wszystkie kolory.

Brat Wojciech rzekł wówczas:

— Teraz na ciebie kolej mistrzu. Nasze języki są nieudolne jeszcze. Nie umieją wyrażać jasno myśli, która rodzi się w tajemnicach duszy. Myśmy wszyscy żyli dotychczas z dnia na dzień, jak pospolity populus cracoviensis. Temu z nas i owemu roiły

się może niesforne idee w głowie, ale w życiu pozostaliśmy pionkami biernymi. I bylibyśmy może przepadli zupełnie, bylibyśmy się rozcieńczyli w tej wodzie codzienności, która nas otacza, gdyby nie Twoje zjawienie się wśród nas. Tyś inny od nas. Tyś lata całe strawił na myśleniu.

— Ale przebudzenie moje — odezwał się August — dopiero niedawno nastąpiło. Jeszcze przed kilku miesiącami byłem biednym kaleką, który szukał wiatru w polu. Dopiero rozczarowanie i pesymizm podziałały na mnie, jak zdrój ożywczy. Skąpałem się w nich i odtąd jestem takim, jakim jestem. Szukam duchów pokrewnych mi siłą i pokrewnych mi wichrem myśli. I tak was znalazłem moje siostry i moi bracia. Odtąd życie stało się nam źródłem głębokich i pięknych rozkoszy. Hodujemy w sobie to, co nas ocali od znikczemnienia, hodujemy w sobie ducha-siłę, ducha-lot, ducha wiecznego rewolucyonistę.

— Pospólstwo krakowskie śmieje się z nas — zauważył brat zwany Scipionem — nie rozumieją nas, a krytykują.

— Zacz Pan dał im zęby — wtrącił uwagę Mefistofeles — ku gryzieniu rogatych bestyi.

August uśmiechnął się i rzekł:

— Kłujemy ich w oczy naszem wzięciem, naszą rozmową, naszem postępowaniem. W ich wyobrażeniu tworzymy waryacką sektę. Razi ich słowo brat i siostra, bo nie wiedzą, że między nami pokrewieństwo ducha stworzyło silniejsze więzy, niż je tworzy pokrewieństwo krwi.

— Prawdę powiedziałeś mistrzu — szepnął młodzieniec o suchotniczem obliczu — wśród was czuję się swój, jakbym od kolebki rósł z wami, w domu moim własnym obcymi wydają mi się być wszyscy moi krewni, i ojciec, i matka, i rodzeństwo. Przez co to się stało mistrzu? czy umiesz mi to wytłómaczyć?

— Tak jest i ze mną — odezwał się Antoni.

— Tak i ze mną—rzekł August. —Pomiędzy mną a żoną moją wyrosła ściana niewypowiedzianych różnic, a ta największą jest, że ona należy do tych, którzy tkwią w materyalnym bycie, jak dąb wrywający się korzeniami w pokłady ziemi i które ścierają się na bezosobowy, nieindywidualny, bezduszny pył, a my chcemy być, jak ludzie, którzy wpadli w toń i nie wiedzą gdzie płynąć, zatem całym wysiłkiem ramion unoszą głowy nad głębiny, byle dojrzeć gdzie brzeg.

— Drodzy moi — mówił dalej rozpłomieniając się wewnętrzną ideą, która go posiadła całego — ani naiwnym nie jestem, ani osobnikiem, którego umysł jest zamącony. Ta różnica między na-

mi, którzy stoimy tu pod tym niezmiernym baldachimem nocy a tymi tam, którzy w blaskach swoich mieszkań poruszają się teraz i zapalają tysięce czerwonych świateł przeświecających przez szyby, że my płyniemy ku Nieznanemu, a oni, jak szkapy, idą w uprzężach, utraciwszy je z oczu.

— Czem jest człowiek? — rzucił stłumionym głosem natarczywe pytanie.

Wszyscy skupili się koło niego, jak stado ptaków, zbudzonych ze snu... Noc szła obok nich wielka, niepojęta... skrzydła swe czarne, wypijające światło, wsparła o brzegi ziemi i stanęła obok nich zadumana...

— Czem jest człowiek, a czem są oni? — powtórzył August pytanie głosem nabrzmiałym od ognia wewnętrznej mocy.

Milczenie legło u ich nóg, jak pies, czuwające i nieme.

— Drodzy moi — mówił dalej — ja nie pytam się o to, co jest naród, co jest religia, co jest byt, ale pytam się tylko o to, co jest człowiek? Nie pytam się o to, kto was chował, co kochacie, czemu hołdujecie, jak pojmujecie miłość a jak śmierć i narodziny, nie pytam, czy szukacie szczęścia w życiu, czy walki albo pracy, czy błogosławicie dzień, w którym ojciec i matka wasza dali wam życie, czy dzień ten przeklinacie, nie pytam was o waszą kulturę, ideały, namiętności, pytam was o to jedno, co jest człowiek?

Słowa jego szły, jak krzyk wielki na nich i biły młotami o serca. W oczach ich przyczaiły się niespokojne widma zbudzonych dusz i zawieszały się na jego ustach błyskawicami trwogi i osłupienia. W piersiach kołatały im tętnice głośno i z natężeniem.

— Mów — szeptały wargi.

August w milczeniu zapalił latarkę nocną. Światło wątłe błysnęło i rzuciło przed się snop promieni. Noc cofnęła się wstecz przed niem, aby jeszcze wyższym płotem mroków nieprzebitych zawrzeć ich dokoła.

— Powiedz mistrzu coś rzec miał—przemówiła do niego Marya.

On zaś odparł:

— Życie ludzkie, ciągnące się w łańcuchu nieskończoności, byt i ta cała geologia ducha, którą nam historya przekazuje, jest jak ta noc, która nas teraz otacza. W tej nocy pracuje wiedza, nauka, pocą się plemiona, państwa i narody, giną i powstają rodziny, podleje i uszlachetnia się miłość, tryumfuje i pod gilotyną ginie zbrodnia, padają sobie w objęcia lub na nożach podstawionych giną ludzie, w kołtunach i dziurawej koszuli przewala się

nędza lub rozszalałe bogactwo nurza się w kąpielach z pereł, rubinów i dyamentów — ale to jeszcze nie jest człowiek.

— Człowiek, to jest to światło idące przez tę noc... inne od zbrodni, od nauki, od religii, od bogactwa i bankructwa.

— Człowiek, to jest ten migot ducha, który pada na mroki i krzyczy:

— Jestem silny! nie w chwili, ani w miejscu spełnia się moje dzieło, ale na bezkresach i w bezczasie, jestem ogniwem słońc, wichrów i bezdeni, jestem wiecznie żyjącą cudowną tajemnicą, która leci przed się w wieczność i przez wstrząśnienia wulkanów, przez bóle narodzin ziemi, przez ociekające krwią losy deptanych i tryumfujących państw, przez tortury duchów niezależnych, przez śmierć gwałtowną czy cichą, starca czy dziecka, ojca w pełni sił czy matki rodzącej nowe życie... lecę w wieczność, aż uderzę kędyś łomem o złoty słup, który podpiera budowę wszechświata i wówczas wytryśnie ze mnie cudny kwiat i będzie mu na imię: „wiem.“

— To ja człowiek.

Podniósł latarkę do góry i rzucił błyski światła na mroki, które klęczały dokoła nich, jak sarkofagi ciche.

— Kto myśli tak, to człowiek silny. Kto czuje tak i to czucie budzi w głębiach swego istnienia, ten jest człowiek silny.

— A oni tam, z pochylonemi karkami, biją się o miedzę ziemi i o świstek banknotów. To pył i żwir i kamienie na drodze człowieka.

— Oni, rozpleniający się, jak czeredy much — to muł, który dusi silnych...

— Idąc przed się omijajcie pył i żwir i ten gnijący muł z pogardą bezbrzeżną.

Umilkł.

Marya przycisnęła jego rękę do ust swoich. On pocałował ją w czoło. Mieli łzy w oczach, jako inni.

Białe światełko latarki oświecało im drogę. Wracali do miasta niemi i cisi, jak duchy, które idą odwiedzić żywych, nic do nich nie mówiąc.

*

* *

Rela prowadziła nieraz długie rozmowy z Augustem. Lubił ją. Jej niespokojny duch zdawał mu się być, jak ptak, który z dalekich krajów przyleciał i nie może znaleźć dla siebie miejsca na nowej glebie. Jej uczuciowość odzywała się czasem takimi głębokimi akcentami palącego się na dnie jej serca bólu, że będąc sam, myślał nieraz o niej.

— Przez jakie tortury przeszła ta kobieta w życiu?

— Dlaczego między nią a wspomnieniami jej wyrosła taka długa bez końca mogiła, że zawsze musi natknąć na nią, dokądkolwiek myślą podąża?

— Kto ona? i jakich ludzi spotkała na swej drodze?

Nie pytał jej jednak nigdy o nic. Dla niego była jednym duchem więcej, który odrywał się od podłoża pospolitego życia i szedł za nim w krainę tajemniczego absolutu.

— Im mniej myślą będzie wracała ku przeszłości — rozumował — tembardziej ukocha swoje nowe życie.

— A ja?

— Czyż mógłbym spokojnie oddawać się umiłowanym przezemnie zajęciom, gdybym począł grzebać w popiołach mego serca?

— Nicość to wszystko. Nicość jak każda inna, a kto w niej tkwi, zżywa się z nią i sam staje się nicością.

Raz wpadła do jego mieszkania o późnej godzinie wieczornej. Nikogo nie zastała prócz Augusta. Pani Natalia, która czasem zaglądała do Krakowa, nie chcąc aby utwierdzało się przekonanie, że rozstała się z mężem, wyjechała właśnie do Zaniesinek, gdzie wychowywała syna. August pracował nad odczytem, który miał zamiar wygłosić publicznie. Nie słyszał dzwonka, ani jej kroków. Dopiero, kiedy usłyszał jej oddech za sobą, zerwał się z krzesła.

Była pomieszana. Rozchylonemi, blademi ustami chwytała powietrze. Ciemne włosy spadły jej bujną falą na oczy. Poprawiła je ręką, ale bezskutecznie. Na dnie jej źrenic jakieś złe widmo chichotało. Ubrana w czarną suknię, blada stała przed nim jak dręczące zjawisko.

— Rela! Co się stało? — zapytał.

Zaśmiała się jakimś drewnianym głosem. Zatrzepotała ręką, jakby chciała odegnać kogoś, kto ją gnał po ulicach.

— Nic, nic... takie tam coś... wrażenie.

— Usiądź — prosił ją.

— Nie, nie, nie mogę. Po to właśnie biegłam, bo potrzeba mi było ruchu, dużo ruchu, dużo przestrzeni. U ciebie mistrzu za mało powietrza. Ściany, ściany... same ściany...

Stanęła w otwartem oknie. Śmiała się na cały głos, jak nieprzytomna.

— Taka wiadomość! — mówiła sama do siebie — taka wiadomość! ktoby się mógł spodziewać! Okropnie rzecz wesoła! okropnie! okropnie! hahaha!

Odwróciła się do niego. Mściwy skurcz wykrzywiał jej usta. W oczach jej paliły się płomienie złości.

— Co tak patrzysz na mnie mistrzu, jakbym utraciła rozum?

— Bo pierwszy raz widzę cię taką.

— Ahaha! pierwszy raz! prawdę powiedziałeś. Dostałam wiadomości! i złote wiadomości.

— Od kogo? od brata Antoniego?

Rela spochmurniała.

— Nie — rzekła sucho — ze świata, z mojego po tysiąc razy podłego świata.

Patrzyła się na niego długo... zdawało mu się, że bez końca. Wahała się. Ważyła słowa. Na twarzy jej migotały cienie sprzecznych uczuć.

— Biegłam do ciebie — odezwała się po chwili — bo miałam ci tyle rzeczy do powiedzenia. Nie znasz mnie. Trzeba, żebyś mnie znał. Chciałam ci to wszystko jednym tchem wyrazić. Ale to się nie da. Będziesz się gniewał na mnie. Widzę to. Nie lubisz takich rzeczy.

Zniechęcona oparła się o szafę szklaną, na której półkach stały szeregi starych foliałów. Nad jej głową wisiał rozpięty na ścianie Prometeusz przykuty do ziemi obok rozszalałego pożaru, a sęp o głowie ludzkiej wygryzał mu oczy.

August nie odezwał się do niej ani jednem słowem. Jakby jej nie było w pokoju, usiadł przy biurku i przeglądał powoli zapisane kartki papieru. Czasem dłużej zatrzymywał się nad jakiemś zdaniem i powtarzał je w myśli. Ogień szedł na niego od tych czarnych, powiązanych liter.

— Zamknął oczy. Dreszcz rozkoszy przeszedł po nim. Zdawało mu się, że obce duchy słysząc go, gną się i padają.

Kiedy podniósł oczy, dostrzegł, że po twarzy Reli łzy spływały świecące, jak grad. Patrzyła na niego szeroko otwartemi źrenicami. Przygryzła usta, aby nie wydać jęku.

— Wiem, wiem—szeptała—nie potrzebujesz mi tego mówić. Jestem zła, jestem marna. Sama to teraz widzę. Jeszcze do nich należę całą duszą, do nich — do tych, których nienawidzę.

— Nienawidzisz? — zapytał.

— Tak, nienawidzę ludzi, bo mi czynili źle! ty chcesz, aby się od nich odciąć murem obojętności i wzgardy, ale ja ich mogę tylko nienawidzieć! To nawet więcej, niż ty żądasz.

— Tak, to zadużo, i to jest źle — odparł.

Rela pasowała się ze sobą.

On zaś wziął w rękę zapisane karty, stanął przed nią i patrzył jej mocno w oczy:

— Patrz, tu spowiedź moja — mówił — dam jej nazwę... „Ucieczka po za życie...“ Gdy będziesz ją czytała, pamiętaj o tem, że ten kto to pisał, dawniej cierpiał, kochał, nienawidził, myślał, nawet o samobójstwie... zatem był tobie podobny... tobie dziś...

— A teraz mówię ci—snuł dalej myśli, zasłuchany w siebie — twoja droga, to nie droga, która wiedzie przed się człowieka. Cierpieć, kochać, nienawidzieć można rzeczy, które nie mają nic wspólnego z wiecznością. Cierpieć, kochać i nienawidzieć to znaczy, codzień łaknąć małych zadowoleń, małych uciech, codzień potykać się o małe skorupy i rozkrwawiać sobie duszę małemi podłościami, codzień pożądać albo kochanka, albo bogactwa, albo wywyższenia, albo rozkoszy, lub codzień mścić się na innych, że oni to mają, czego ty nie masz, lub codzień bać się, że cię spotka to złe, które spotkało innych... i tak od pierwszego zbudzenia się instynktu do ostatniego zachłyśnięcia się powietrzem, które nazywa się końcem człowieka...

— Znasz to? — zapytał — znasz i dlatego mówię ci, człowieka jedno tylko wyrwać może z tego błędnego wiru... ucieczka po za życie... ucieczka od podłych, poziomych, małych, robaczywych, lśniących a pustych prawd codziennych, ucieczka po za obręb morderczej walki o byt, ucieczka od siebie samego a odnalezienie się w tem, co żyje w człowieku mimo niego.

— I mówię ci:

— Otoczcie wszystko to, co nazywacie ludźmi, płotem wzgardy i wyjdźcie po za ten płot... pozostawcie mrowisko samo sobie, niech rozpładnia się, jak szarańcza niech depce i zjada swoje ciała, niech przeklina i w uniesieniach miłości obejmuje swój własny kadłub... to mierzwa, na której wyrasta człowiek nowy, silny.

— Silni stworzą nowy świat ludzi — wyrzucał z siebie słowa poczęte w najtajniejszych głębiach duszy—silni stworzą nowe prawa, nowe dogmaty, popiołem wzgardy zasypią to rojowisko szarańczy, po za którego mur wyszli... na murze położą napis: „cmentarz,“ a zwrócą się do czystej krynicy życia... nie walka o nędzę bytu rwać będzie im serca i mózgi, ale iść będą obok bytu, jako wyzwolone duchy...

— O tamtych mówmy... mortui sunt.

Przez okno wpadał oddalony huk, jakby szedł z pod ziemi. Przeciągły jęk gwaru ulicznego marł na szybach.

Rela oddychała ciężko...

Przeciągnęła ręką po czole. Usta jej wykrzywiły się nagle skurczem gorzkiego śmiechu. Oderwała się od ściany szafy, jak kora od pnia i podeszła ku niemu.

Chciała mówić wiele, bez końca. Ale myśli plątały jej się jedne z drugimi... chaos słów konał na wargach bełkotem.

— Nie mogę, nie mogę — wyrzuciła wreszcie potargane słowa - nie zrozumiesz... daleki jesteś... budujesz gmach z lodu i cudu... a ja cierpię za bardzo... Ja jeszcze do nich należę... daruj...

Rzuciła się ku drzwiom, chciała wybiedz, do krwi zagryzłszy wargi. Bała się, że wybuchnie strasznym rykiem szlochu.

Zdumiał się.

— Stój—zawołał i ujął ją za rękę—po co odchodzisz? Mów wszystko, to ci ulgę da. Ze mną tak samo niegdyś było. Mów. Czy są tajemnice między tymi, którzy bardzo cierpieli?

Broniła się, błagając go wzrokiem o litość. Ale on trzymał ją silnie za rękę. Bał się, że w rozdrażnieniu może popełnić jakieś szaleństwo.

— Zostań Relo, zostań... wiem, że jesteś biedna... rozumiem to...

Przestała się wyrywać. Cicho płacząc, wtuliła się w kąt najciemniejszy jego pokoju, gdzie najmniejsze światło lampy padało.

Usprawiedliwiała się przed nim:

— To niedorzeczność z mojej strony. Nie powinnam płakać. Powinnam śmiać się, śmiać się bez końca. Ale mam taką głupią naturę. Wszystko we mnie odżyło to, co przecierpiałam.

— Ach moja przeszłość — skarżyła się dalej — ścigano mię wszędzie, jak psa zarażonego. Ja się ich jeszcze dziś boję! Mogą wejść każdej chwili! ja wiem, że mogą!! Wszędzie mogą wejść, bo mają pieniądze, bo przepłacą stróża, twojego służącego, wszystkich!

Zasłoniła się rękami, drżała jak w febrze.

— Uspokój się Relu. Tu nikt nie wejdzie.

— Ty ich nie znasz. Mój mąż ścigał mię po całym kraju. Chciał, żebym wróciła do niego. Ale ja nigdy nie wrócę. Matka i ojciec ścigali mnie. Wstyd im było, że uciekłam z domu męża... wstyd im było, że kompromituję ich i siostrę kochaną! ojciec odgrażał się, że mnie publicznie znieważy, jeżeli nie ugnę się, ale ja mu powiedziałam, że swojego męża zostawiam mojej siostrze... a ja mam dla siebie Anglika!! Hahaha...

August spojrzał nagle na nią wzrokiem człowieka, któremu w zagasłej pamięci jakiś biały punkt zamajaczy...

Podszedł do niej bliżej, jakby chciał słyszeć lepiej te dźwięki rozdarte, które padały z jej ust zbite, tłumne, oszalałe...

Zerwała się z siedzenia.

— Idą! — krzyknęła.

— Nikt nie idzie! — zapewniał ją.

— Są za drzwiami! podsłuchują! ja wiem!

— Panuj Relo nad sobą. Patrz, niema nikogo — to mówiąc, otwarł drzwi do sąsiedniego pokoju...

— Niema nikogo — szeptała — to dobrze.

Utkwiła w nim oczy ogromne, rozszerzone przestrachem, świecące gorączką.

Mówiła, a dziki świst śmiechu wrzał w każdym jej słowie:

— Czy wiesz, że zły czas i na nich przyszedł? czy wiesz, że ta podła Kama ciężko chora?!!

— Kto? — zawołał — Kama?!! jaka Kama? z Warszawy??

Ale ona nie słyszała, o co pytał. Upajała się własnemi słowami.

— Mówią po Warszawie, że chciała popełnić samobójstwo... bo ten, którego kochała, ożenił się!... hahaha!! i na nią przyszedł zły czas!! za moją krzywdę, za moją poniewierkę, za mój chleb opłakany w nędzy i zgryzocie!!

August zbladł, jak płótno. Wytężył przed siebie wzrok, jakby widział wyraźnie w przerażającej dali rzeczy, które słyszał... powiódł ręką po skroniach.

— Samobójstwo — szeptał — ciężko chora...

— Ale to wszystko mało!! — padał mu w uszy zgrzyt skarżącej się Reli — mało!! okropnie mało!! nie uwierzę, że ona cierpiała, póki będzie się jeszcze włóczyła po świecie! Samobójstwo nie takie straszne... wiem jak ono wygląda... jak nie uda się, to człowiek żyje...

— Kiedy to było? — zapytał z wysiłkiem.

— O, już dawno, w zimie. Ale ja tak dużo wiem, co się dzieje w mojej rodzinie, że rok prawie minął zanim się dowiedziałam o tak pięknej rzeczy.

— Gdzie jest teraz Kama?!

— Niech będzie gdzie chce, ale żyje!! ta podła jeszcze żyje!! i może wróci do zdrowia...

— Gdzie jest teraz? — krzyknął strasznym głosem, topiąc w niej oczy rozszalałe gniewem i ściskając jej ramię.

Rela cofnęła się, oprzytomniała.

— Czego chcesz odemnie?

W mózgu Augusta zatańczył chaos okrutnej męki. Obrazy za obrazami napęczniałe nieprzytomnym bólem, krwią, łzami gnały jedne za drugiemi i wyły, jak szakale... Jakieś zwierzę ryczące pięło się na łapach w jego piersiach i wdzierało mu się do gardła i do mózgu.

— Gdzie jest teraz?!! — wyła w nim rozszalała sfora psów, które zerwały się z obroży i skowytem napełniały mu całą duszę.

Ale przerażone oczy Reli wepchnęły mu napowrót w gardło ten krzyk który szedł z niego. Umilkł. Szkarłat krwi zalał mu twarz i oczy... piekł go wstyd, jak zbielałe w ogniu żelazo.

On powiedział o tamtych „mortui sunt.“

On nawoływał do ucieczki po za życie, po za cmentarz małych ludzi i małych podłostek.

A uległ sam namiętności.

Przez co to się stało?

Odwrócił od niej wzrok i stanął w oknie, do którego pchała się z pola wilgotna noc.

Strach łomotał w sercu Reli. Takim nie widziała jeszcze nigdy Augusta.

— Czy zna Kamę—błysk silny myśli wybuchnął w jej świadomości.

August czuł, że wzrok Reli wpija się w niego, obejmuje go całego i wjada się w jego tajemnicę.

Cień grozy cichej, jak bezdeń zamarzłego morza, wsunął się między nich dwoje i kładł swoje skrzydła zimne, mokre na ich ramionach.

Pokrwawiony ptak trwogi zatrzepotał w jej duszy i zerwał się do lotu z ostrym świstem.

— Mistrzu — szepnęła.

August odwrócił się.

— Ty znasz Kamę?

Przez chwilę stał nieruchomy, jak słup z kamienia kuty, a potem powoli skinął głową.

— List, który otrzymałam — mówiła przerażonym głosem — wspomniał, że ten, którego Kama pokochała, — był z nią w Blanckenbergu? Czy ty...???

August zadrżał.

— Tak — rzekł po chwili.

Rela patrzyła na niego przeraźliwie długo. Widział, jak z jej oczu, twarzy i szyi krew uciekała w głąb i że stawała się, jak opłatek, sina i wiotka.

Wiem, co znaczył krzyk twój — szepnęła.

Skinęła mu bojaźliwie głową, rękę do ust podniosła, jakby miała jeszcze co do powiedzenia, ale przez zdławioną krtań żaden głos nie przeszedł.

Wyszła z jego pokoju cicho, jak powiew wiatru.

August stał. Słyszał jej kroki w sąsiednim pokoju, słyszał, jak drzwi zamykały się za nią, słyszał, jak schodziła ciężko po stopniach klatki schodowej, słyszał jej kroki po kamiennym bruku ulicy...

Miał wrażenie, że zabrała ze sobą coś, co było jego tylko własnością.

— Co?

Zrobił krok za nią.

Usłyszał wyraźny szept z kąta, gdzie przed chwilą stała Rela.

— Gdzie jest teraz Kama?

Krew ponownie zalała mu głowę, rozsadzała mu skronie.

Po co ta myśl obca we mnie? — jęknął.

Stanął przy biurku, na którym bielały w świetle lampy kartki rękopisu.

— „Ucieczka po za życie“ — czytał.

Wzrokiem beznadziejnym, umęczonym patrzał długo na martwe pismo.

IX.

Sobica zdobywał sobie uznanie w Warszawie. Gorliwość z jaką oddawał się praktyce i zaufanie, jakie umiał wzbudzić do siebie w pacyentach, wyrabiały mu liczną klientelę.

Od nieszczęśliwego wypadku z Kamą stał się nawet modnym. Opinia publiczna łączyła jego nazwisko z tem tragicznem zdarzeniem. Głuche wieści o tem, co zaszło między nim a mecenasem Gandorfem, w niewytłómaczony sposób szerzyły się po Warszawie. Milczenie zaś, jakie on zachowywał w tej sprawie, jeszcze bardziej utwierdzało wszystkich, że istotnie musiało przyjść do jakiegoś tragicznego konfliktu między nim a Kamą.

Państwo Koleccy nie zwracali uwagi na to, co mówiono w mieście. Wiedzieli dobrze, a raczej domyślali się, że na Kamę podziałała tak piorunująco wiadomość o ślubie Tarowicza. Nie przyznawali się jednak z tem nikomu, tylko miss Terry, jako powierniczka pani Koleckiej, wiedziała o wszystkiem dokładnie.

Z porady lekarzy rodzice postanowili wysłać Kamę, po ciężkiem zapaleniu płuc, do Zakopanego w towarzystwie Angielki. Nie chciano jej bowiem puszczać bez ścisłej opieki. Według zaś niemej umowy, która stanęła między Kamą a rodzicami, ani ojciec, ani matka nie chcieli się narzucać córce. Niechętnie rozmawiała z nimi, a już pobyt przez całą zimę w Zakopanem ze sprawcami swego nieszczęścia, za jakich Kama uważała rodziców, byłby dla niej torturą.

Najlepiej jeszcze nadawała się do tego miss Terry. Dla Kamy była jej osoba więcej niż obojętną, zatem zupełnie wygodną.

Tak też stało się. Pod koniec października Kama miała przejechać wprost z Warszawy do Zakopanego, nie zatrzymując się ani na chwilę w Krakowie, na wyraźne zlecenie, dane Angielce przez pana Koleckiego. Ze łzami w oczach żegnała pani Marya z mężem swoją drugą córkę, która jakby nie widziała ich wzruszenia, nagliła do wyjazdu, zagasłym wzrokiem włócząc po służbie.

Doktor Sobica zjawił się na dworcu. Przyniósł bukiet prześlicznych kwiatów, ale nie wręczył go wprost Kamie. Zdobywszy dla niej i jej towarzyszki osobny przedział do Granicy, kazał położyć bukiet na półce, a miss Terry szepnął, aby go później oddała Kamie.

Pożegnali się bez słów. Kama uśmiechnęła się do Sobicy. Dostrzegła właśnie, jak na peron wpadł Gandorf i jak cofnął się spiesznie, ujrzawszy doktora.

Przypomniało jej się, jak Sobica ciągnął za włosy swego rywala i wyrzucał go za drzwi.

— Gandorf milczał wtenczas, jak zaśnięta ryba — pomyślała nie bez żywszej radości.

Podała Sobicy rękę na pożegnanie. Na krótką chwilę zawiesiła na nim wzrok zakłopotany, niepewny.

On mówił jej oczami:

— Zostaję złamany, biedny.

Przypomniała sobie, że miesiącami całemi badał jej puls i pochylał stroskaną twarz nad jej ustami. Żal jej było tego człowieka...

— On tylko jeden był dobry dla mnie — pomyślała.

Powiedziała mu wzrokiem:

— Wrócę...

Czarny pociąg ruszył. Ale długo jeszcze widziała jego sylwetkę zwróconą w jej stronę.

Miss Terry dała jej bukiet.

— From Mr. Sobica — rzekła.

Kama pochwyciła kwiaty ze wzruszeniem... Przycisnęła do nich usta...

Pierwsze kwiaty po tylu dniach gorączki i męki! Łzy zakręciły się jej w oczach.

— Tylko on jeden pamiętał o mnie — snuła myśli — jaki jest, dobry jest człowiek... milczy i jest dobry.

Oparła głowę o szybę, zamknęła oczy, rozkoszując się barwą kwiatów, które chciała zatrzymać w pamięci.

Sobica wrócił do szpitala z głową ciężką, rozbolałą.

— Tyle nocy, tyle dni spędziłem przy niej — powtarzał sam sobie — i wszystko minęło, jak sen... ona sama zniknęła, jak sen...

Poczuł pustkę bezgraniczną dokoła siebie.

Czem wypełnić czas? czem wypełnić myśli? Zżył się niemal z chorobą Kamy. Chwilami czuł radość, że mógł stać przy łóżku chorej i bez oporu i protestu z jej strony mógł trzymać jej rękę w swoich dłoniach, patrzeć jej w oczy... podziwiać wracające zdrowie.

Czas przeleciał, jak zły demon, i porwał ją w świat od niego. Uniósł ją wtenczas, kiedy na jej ustach czerwony pąs zaczął kwitnąć na nowo, a oczy jej zaczęły siać żywe, złote promienie.

— Pustka...

— Wrócę — szeptały mu oczy Kamy, które widział wszędzie, gdzie spojrzał — wrócę, nie zapomnę...

*

* *

W Zakopanem spadły śniegi.

Głuche białe dywany legły na Gubałówce i schodziły na nizinę pomiędzy strumienie i czarniawe świerki, grzejąc pnie ociekłe żywicą, aby nie przemarzły.

Bastyony i wieżyce tatrzańskie otoczyły swoje grube rozsiadłe podnóża czarnymi, niedźwiedzimi kożuchami borów, które pod łopotem wichrów jeżyły sierść iglastą na sobie i otrząsały bieluchne, srebrne gwiazdki, wypłukane w nocy przez bose widma hal, skąd mróz ojczym wygnał je bez litości.

A zaś do szparkich bar skalistych, pnących się ku zbłękitniałej powietrznej roztoczy do kamiennych obelisków, koronkowych futryn i toczonych przyczółków kutych w granicie, przypadł rozradowany śnieg, walący z brunatnych wierzei chmur i wgryzał się

do każdej rozpadliny, po której tłukł się rozzłoszczony potok, do każdego zasionka, upatrzonego przez orły na leże małżeńskie, rzucał nieumęczone wały na wały, które kładły się na poprzek strumieniom, aby je zdusić lub przynajmniej umęczyć tak, że oparzeliskami musiały skarżyć się niebom—siadał czapkami muślinowymi na zrozpaczonych limbach i wdziewał grube koszule, wybielone słońcem, aż oczy raziły, na nagie kościste kadłuby szczytów.

I tak jaśniała ta topiel biała, świecąca w dzień błyskami polerowanej stali, jakby w górach stało wojsko olbrzymów i zasłaniało się tarczami od złotego słońca — to znowu w nocy aż przezroczysta, srebrno szafirowa, widniejąca niby fantastyczne zamarzłe szyby, które król Karpat postawił pomiędzy Lachy a Węgry. Z za szyb wychylał się czasem księżyc okrutnie siwy, mleczny, rozkochany w białości napełniającej świat i idący od gwiazd do gwiazd, aby im mówić o cudownej krainie świecących lodów, śnieżnych, aksamitnych puchów i zastygłych wilkołaków, które w zęby chwytały wicher, hulający po turniach.

Nad Zakopanem stała cisza ogromna, jakby każde uderzenie traciło swój huk, natknąwszy się na miekką osłonę śniegu. Cienie gór, padające na doliny od wstawającego lunatyka nocnego lub od kładącej się spać powieki słonecznej, stąpały po polach, po zboczach i zachodziły znienacka między ludzi, wiejąc na nich zimnym oddechem i szczypiąc im oczy.

A kiedy w jaką błękitną noc wyszedł góral na przyzbę chaty i popatrzył przed się, czuł, że nie inaczejby było, gdyby wszystko wymarło, co znał żywego, a on tylko sam pozostał na morzu bieli ze sklepieniem czarno-szafirowem nad głową, do którego przymarzł ciekawy, srebrnolity księżyc i czeredy złotych gwiazd i dokoła z tem powietrzem, przepojonem wonią wilgotnych śniegów i drobinami światła, które wnikało w głąb piersi, jak balsam kojący.

Kama spędzała po kilka godzin dziennie na werandzie. Otulona futrem, wyciągnięta na leżaku, piła oczami to niezmącone, przeczyste piękno, które, wniknąwszy w przecudne barwy i cudowne linie, słało się u jej nóg przeogromne i niepojęte.

Nigdy jeszcze w życiu tak zbliska nie przestawała z naturą. Nigdy jej umysł nie mógł zapatrzeć się w tajemnice przyrody i trwać dniami całymi w tym stanie. Dopiero teraz powoli w jej zranioną duszę wsiąkały te blaski o niesłychanem natężeniu i najbardziej subtelnych tonach, te kolory palące się tęczowym korowodem, te kształty o niepokalanej czystości to zarysowane koronkową robotą iglastych gałęzi, to rozlewające się w nieobjęte okiem

pola zamarzłej bieli, to z rozmachem mocarza wybuchające w górę złomami szczytów górskich.

Rozdrażniona jej wyobraźnia kurczyła się i zasypiała zdrowym snem. Przeczulone zmartwieniem i chorobą zmysły traciły swoją zaczepliwość i poddawały się kojącym wpływom z dziecinną ochotą.

— Miss Terry—rzekła raz do Angielki, która przyniosła jej gazety — tu dobrze, prawda?

— O yes.

Wzięła dzienniki do ręki, popatrzyła na nie z uśmiechem i odłożyła je na bok.

— Miss Terry, nie będę czytała. Lepiej patrzeć... prawda?

— O yes.

Angielka usiadła obok niej.

— Miss Terry, you look out very well... masz inną cerę, jak w Warszawie, młodą i świeżą.

— I thank you... — podziękowała jej córka Albionu i zarumieniła się jak szesnastoletnia panienka.

Obie uśmiechnęły się do siebie.

Kama szybko wracała do zdrowia. Na bladych jej policzkach zaczęły kwitnąć zdrowe rumieńce... usta nabierały purpury. Oczy coraz częściej ciskały zdroje świetlistych błysków i wysyłały pieszczące, aksamitne spojrzenia.

— Żyję — mówiła nieraz sama do siebie.

— Żyję, a mogłam już nigdy nie podnieść się z łóżka, a mogłam nigdy pamięcią nie wrócić do życia.

— I nie pokochałabym tych cudów białych...

— I z czemżebym poszła tak wcześnie pod ciężki kamień w czterech deskach? z jakiemi wspomnieniami?

Łzy stanęły jej w oczach.

— Jestem uratowana.

— Jestem inna.

— Czyż to być może??

Lekki powiew wiatru otrząsnął z ciemnozielonego smreku srebrne girlandy. Świecące kryształy upadły jej na nogi, wplatały się we włosy, całowały ją w usta i siadały na jej rękach...

— Moje dobre, drogie... — szeptała, podnosząc je pod światło—moje zamarznięte świętojańskie robaczki... nie zapomnę o was nigdy... nie opuszczę was nigdy...

Zamknęła oczy. Słodkie szczęście musnęło delikatnie jej powieki i czoło. Pierś jej podnosiła się równo, spokojnie.

Miss Terry weszła żywo na werendę.

— He has come! — wykrzyknęła.

— Kto? — zapytała zdziwiona.

— Mr. Sobica from Warsaw...

— Nie może być! przyjechał?

— He did.

Chciała wstać, zejść na dół. Ale w tej samej chwili doktor Sobica zjawił się na werandzie. Oczy płonęły mu, jak dwa ognie. Uchwycił ją za rękę... dłoń jego drżała.

— Rodzice kazali—tłómaczył się—prosili... rzuciłem wszystko i jestem tutaj...

Patrzyła mu z radością w oczy. Nie wyjmowała ręki z jego uścisku.

— Mój zbawca — szepnęła i w uśmiechu pokazała mu rząd równych, białych zębów, błyszczących, jak śniegowe kryształki.

Łuna oblała mu twarz. Topił w niej oczy, jak w cudownem zjawisku.

Angielka zniknęła. Byli sami.

— Może mi wolno wstać—pytała, podnosząc głowę na leżaku.

— Nie, nie – zaprzeczył—proszę myśleć, że mnie nie ma. Ja tylko na kilka godzin wpadłem.

— Dlaczego?

— Chcieliśmy dowiedzieć się, czy pani zdrowa.

— Dlaczego?

— W nocy odjadę.

— Dlaczego?

Ustami modlił się do niej... oczami osnuwał koło jej twarzy złotą siatkę rozkoszy i całował jej rumieńce.

Zrozumiała go. Odwróciła od niego głowę zakłopotana, uśmiechnięta. Widział jej rzeźbiony profil, który rysował się na białem tle pola śnieżnego wytwornym wdziękiem—widział jej usta rozchylone, całe w wilgotnych ponsach. Nie mógł oczu od niej oderwać.

— Codzień — mówiła — kąpię się w tym oceanie światła i śniegu. Patrz pan, jak tu widno, jakie przezroczyste powietrze... daje się krajać powietrze.

— O tak – rzekł, ale tylko na nią patrzał.

— Ile tu świeżego piękna — spowiadała mu się dalej — ile bajecznych farb. Czy widział doktor kiedy coś równie królewskiego i równie ukochanego, jak tu?

— Nie, nie — przeczył.

Ona zwróciła nagle głowę ku niemu, spojrzała mu wesoło w oczy i rzekła bez namysłu:

— Doktor, jak widzę tylko wierzy mi na słowo. Coś wzrok doktora bardzo osłabiony... dostrzega tylko bliskie przedmioty.

— Zmartwychwstałą boginkę — szepnął.

— Wiem — rzekła — i wiem, komu to zawdzięczam.

Podała mu rękę.

Przycisnął ją do ust i długo, długo trzymał przy rozpalonych wargach, a ona obejmowała wzrokiem jego pochyloną głowę, jego włosy spadające w gęstych kępach na czoło, na brwi zarysowane silnym łukiem i bruzdę, która je rozdzielała.

— Dlaczego—mówiła w myśli do siebie—on nie miałby być tym, który będzie mógł tak zawsze przy mnie siadać i tak zawsze ustami pieścić moją rękę? Był dobry dla mnie... był wtenczas dobry, kiedy byłam dla niego tylko chorem ciałem, a takich on widział w szpitalach tysiące... Czy jest kto, ktoby mi był teraz bliższym na świecie? Czy jest kto, ktoby mi taki spokój przynosił ze sobą, jak on?

Potrząsnęła głową.

— Niema — odpowiedziała sama sobie — August roztopił się, jak mgły, co ciągną zboczami gór, aż kędyś przepadają—tak i on przepadł.

Sobica szeptał do niej:

— Jesteś dziś dobra dla mnie. Nie byłaś nigdy taką. Tworzysz nowe światy w mojej duszy. Jechałem tutaj przerażony..., jak ptak do gniazda, które mu obcy ludzie rozbili — a wrócę silny, jak olbrzym, słoneczny, jak te twoje góry... rozkochany w twoich oczach, jak niebo rozkochane jest w błękitach jeziora. Moja droga... mój śnie rozkoszny...

Uśmiechnęła się. Słowa jego wnikały w nią, nie jak burza, nie jak ogień, ale jak to powietrze górskie, jędrne, zdrowe, balsamiczne.

— Tak, tak — odpowiedziała—za wszystko, co wycierpiałeś, za twoje i moje także długie, okropne milczenie... dzisiaj jestem szczęśliwa... przy tobie...

— A kiedy wrócę do Warszawy, powiem ci to—głos jej załamał się, oczy bezbrzeżnie ufne zawiesiła na jego twarzy.

— Powiem ci to, na co czekasz — dokończyła cichym, metalicznym głosem.

Sobica ukrył głowę w rękach. Pulsa biły mu silnie w skroniach.

Blask szczęścia palił mu powieki.

Rzekłby jej wiele. Rzekłby jej słowa mocne, jak uścisk, gorące, jak usta... ale pamiętał o tem, że wracała dopiero do zdrowia.

— Trzeba czekać — powtarzał sobie w duszy.

Czas biegł im na rozmowie poufnej i serdecznej.

— Czy wiesz — zapytała go niespodzianie — jaka jest różnica między mną dawniejszą a mną teraz?

— Wiem — odpowiedział — miałaś pazurki, które drapały do krwi, a dziś nie piecze mnie jeszcze żadna ranka.

— O i na to czas przyjdzie — przeczyła wesoło — ale to nie to, co miałam na myśli.

— Jestem dziś bardzo nieporadny.

— Nie trzeba się do tego przyznawać, bo to już Giewont powtarza na cały głos swoim towarzyszom.

Wybuchnęli oboje śmiechem.

— Otóż—mówiła—między mną dawniejszą a mną teraz, jest ta różnica, że dawniej zawsze nęciła mnie nowość, jakakolwiek ona była, wszystko jedno, byle nowość: dziwaczna, kapryśna, wyrafinowana, brutalna, wszystko jedno! Dziś... wolę spokój. I zdaje mi się nawet, że nie ma właściwie rzeczy, któreby mi mogły rozdrażnić wyobraźnię. Wielu z tych, którzy kochali się we mnie lub udawali, że się kochają, pożenili się, mają pewnie dzieci... stali się już oldfashioned... Gdybym ich spotkała kiedy, pomyślałabym pewnie, jaka ruina...

Z wysiłkiem wyobraziła sobie Augusta. Lekki, ironiczny śmiech zjawił się na jej twarzy.

— Idzie pod rękę z żoną — pomyślała — kupuje jej kapelusze... pomaga jej piastować dzieci... zastanawia się głęboko nad tem, dlaczego kotlety spalone...

Głośno rzekła:

— Prawda, jaka ruina?

— Kto? — zapytał.

— Ci wszyscy...

— Aa.

Mróz brał. Od czasu do czasu gont trzaskał na dachu. Zielonawy księżyc wychylał się nad gigantycznemi kryształami gór i sunął cicho, jak gacek, po morzu ciemnobłękitnem.

Po wieczerzy Kama zabrała Sobicę do swego pokoju. Nie chciała nim dzielić się z nikim. Przyjechał dla niej na kilka godzin, tylko dla niej. Złe spojrzenia zawiedzionych kobiet, które gotowały się do ataku na doktora wieczorną godziną, były jej zupełnie obojętne.

— Doktor skróci moje wygnanie, prawda? — mówiła, gdy znowu zostali sami.

— Wygnanie?

— Mnie cały świat już nic nie obchodzi! a miss Terry... to przecież taki mały dodatek do wygnania.

— Twoje zdrowie Kamo...

— Dobrze już, dobrze, ale pamiętaj doktorze, że na karnawał muszę być zdrową. Będziemy hulali na zabój... a potem porwiesz mnie i wywieziesz na jaką samotną wyspę... gdzie będą takie same śniegi... dobrze?

— Wywiozę — szeptał rozpromieniony.

Padła mu w ramiona. Pozwoliła ucałować swoje czoło i włosy. Figlarny uśmiech tańczył na jej wargach.

— Pamiętaj — szeptała — na samotną wyspę...

Kiedy sanie wiozły go na dworzec, w piersi huczał mu jakiś ogromny, potężny dzwon. W rozkochanych oczach uwoził jej obraz wyraźny, prawie dotykalny. Na twarzy czuł delikatne musnięcie jej ciepłych włosów...

Pociąg unosił go do dalekiego piekła—a za nim pozostawała zaczarowana kraina bajki... śnieżne bogi w skalistych hełmach na czaszkach czuwały nad jego skarbem... przez sklepienie fioletowe nieba patrzył strażnik wszechświata okiem księżycowem na białe królestwo śniegów, i na dach srebrny, pod którym spała Kama. Świerki stanęły pod jej oknem ciche, zadumane. Biel... biel bez końca... biały anioł marzy w śnie o samotnej wyspie, gdzie są śniegi...

D-r T. Konczyński.

ALEKSANDER I

I

Pierwszy Sejm Królestwa Kongresowego

(1818).

Najważniejszym dokumentem, rzucającym dużo światła na wzajemny stosunek monarchy do reprezentacyi Królestwa, jest niewątpliwie drukowany w języku polskim i francuskim Dyaryusz Sejmu Królestwa Polskiego. Z tem wszystkiem, zarówno w przemówieniach monarchy, jak i członków Sejmu, przebija się i wyraźnie występuje pewien uroczysty i odświętny nastrój, przeznaczony dla zagranicy, a mający stwierdzać niedwuznacznie, że porządek konstytucyjny w Królestwie Polskiem rozwija się prawidłowo, w zupełnem porozumieniu z monarchą i wbrew przepowiedniom wypowiadanym otwarcie przez mężów stanu Austryi i Prus. Temu stosunkowi monarchy do Sejmu w r. 1818 przypatrywałem się szczegółowo w jednej z dawniejszych moich prac [1]), gdy mi był tylko z wyjątków znanym ważny dokument, w którym Aleksander I komunikuje Namiestnikowi w Radzie Stanu swą najwyższą wolę, rozbierającą szczegółowo wszelkie przełożenia Sejmowe, uczynione z powodu zakomunikowania Sejmowi raportu Rady Stanu, składanego monarsze z dwóch lat rządów w Królestwie.

Najwyższa wola królewska z d. 23 sierpnia (4 września) przesłana Namiestnikowi przez ministra sekretarza Stanu Sobolew-

[1]) Nasze poglądy polityczne w r. 1818, „Biblioteka Warszawska," 1897.

skiego, znana była Barzykowskiemu i Morawskiemu[1]) a nawet pierwszy z nich cytował w swem dziele wyjątki z owego doniosłego dokumentu, aby go jednostronnie oświetlić i przyjść do niezupełnie sprawiedliwych wniosków. Zdaniem Barzykowskiego, najwyższa wola, zwana przezeń niesłusznie „prostym reskryptem ministra," zmieniała konstytucyę w głównych jej zasadach. Czem się stawała liberalna konstytucya po takich wyjaśnieniach i ograniczeniach? Chciano widocznie, aby była tylko cackiem, mamidłem, żeby Polskę bawić i łudzić mogła. Reprezentanci narodu zaś nie mogli jej brać inaczej, jak na seryo, a więc najprzód spór a potem niezadowolenie i gniew nastąpić musiały. Taka jest historya pierwszego Sejmu. Zaczął się świetnie, wśród zadowolenia i harmonii, a zakończył się chmurą i groźbą, złowrogą zapowiedzią nieszczęsnych dalszych wypadków." [2]) Prócz tego zestawił Barzykowski kilka wyrwanych z najwyższej woli wyrażeń tak tendencyjnie, że czytelnik nabiera przekonania, że monarchą owładnęła zaraz po Sejmie nieufność do rządów reprezentacyjnych i że czuł się słabą opozycyą parlamentarną głęboko dotkniętym.

Najwyższa wola z d. 23 sierpnia (4 września) 1818 r. nietylko, że o ile się zdaje, nie była nigdy drukowaną, ale nawet ci, co dłuższy czas pracowali w warszawskich archiwach, nie byli w możności jej się doszukać. Przypadek podał mi w ręce kopię owego dokumentu[3]); mniemam, że należy mi go przedewszystkiem przedrukować całkowicie, gdyż daje nam najgruntowniejsze wyobrażenie stosunku króla do Sejmu, który w najwyższej woli „przemawiał bezpośrednio i z zaufaniem do reprezentacyi Królestwa, do Rady Stanu, przemawiał otwarcie i lojalnie, aby przywrócić porozumienie i zachęcić do wspólnej pracy. Najwyższa wola d. 23 sierpnia (4 września) 1818 r. nie jest też głosem obliczonym na przekonanie Metternicha et consortes, że cesarz nie jest marzycielem uganiającym się za nieziszczalnymi widmami wyobraźni[4]), ale głosem troskliwym o prawidłowy rozwój porządku konstytucyjnego i ufnym w to, że zapobieży rozwojowi nieprzejednanej opozycyi, która prędzej czy później doprowadzi do rozłamu, do katastrofy.

[1]) *Barzykowski.* Historya powstania listop. T. I, str. 124. *Morawski.* Dzieje narodu polskiego. T. 6, str. 240.

[2]) *Barzykowski,* Historya i t. d. T. I, str. 136.

[3]) Kopia powyższa znajdowała się w papierach po ś. p. Rudolfie Mieszkowskim.

[4]) Pamiętnik hr. Andrzeja Zamoyskiego, tom I, str. 86 (wyd. Krausha-ra). Metternich zawsze się tak wyrażał o Aleksandrze. Zamoyskiemu zaś powiedział, że cesarz Aleksander tworzył tylko romanse.

Oto treść rzeczonego dokumentu.

MINISTER SEKRETARZ STANU

ma honor udzielić Namiestnikowi Królewskiemu wolę N. Pana wypisaną, jak następuje:

Art. 107 Ustawy Konst. nadaje obu Izbom sejmowym prawo roztrząsania ogólnego raportu, któren Rada Stanu co lat dwa składać winna w oświadczeniu prosto Królowi zdania swego w tej mierze. Lecz uważał N. Pan, iż chcąc, aby to źródło wiadomości nieskażoną swą zachowało czystość, aby te promienie światła, które oświecać jedynie powinny przedmioty istotne, nie ginęły w urojonej przestrzeni, należało przedewszystkiem, ażeby się Izby ściśle ograniczyły w obrębie władzy, jaką im pod tym względem art. 154 statutu organicznego o Reprezentacyi narodowej naznacza. Artykuł ten nie upoważnia je do strofowania postępków Rządu, nie upoważnia do czynienia mu wyrzutów, lecz jedynie do wynurzenia zdania swego z powodu udzieleń uczynionych Sejmowi. Ażeby zaś to zdanie istotny mogło przynieść pożytek, powinno być wynurzeniem jakiego wyraźnego życzenia, objawieniem jakoby potrzeby koniecznej, a nie wyłuszczeniem zasad ogólnych nowych teoretycznych badań, których wytyczne zastosowanie w tak zgubne wprawiło świat błędy, nie powinno się ono składać z ogólnych zarzutów czynionych Rządowi, iż z nadto wielkim czynił pośpiechem, iż nadto wiele razem przedsiębierał robót, iż nie zawsze wybierał przedmioty, które istotnie pierwszych jego wymagały starań, iż mnóstwem szczególnych urządzeń, częstokroć jednych z drugiemi sprzecznych, mieszkańców zarzucił i utworzył tym sposobem odmęt, w którym napróżno błąkają się rządzeni i t. p. zarzutów, które równie łatwo jest miotać, jak trudno byłoby dowieść użyteczności i przyzwoitości. Wtedy dopiero, kiedy pomienione zdanie zawierać jedynie będzie wyrażenie życzeń i wniosków, wynikających prosto z udziałem Sejmowi uczynionych, kiedy będzie oświadczeniem z wszelkiem umiarkowaniem i z wszelkiemi względami, jakie sobie nawzajem władze publiczne są winne, będzie ono mogło dostarczyć Rządowi wskazań, zdolnych pomnożyć szczęśliwość praktyczną, ów wspólny cel tak życzeń narodu, jak usiłowań Rządu, lecz także przyczynić się do ustanowienia między pierwszemi i drugiemi zupełnej uczuć i zamiarów zgodności, do utrzymania owej sforności i jednostajnego trybu machiny rządowej poruszania, bez której zniweczoną bydźby musiała koniecznie równowaga, która działaniami jej kierując, łagodnemi je czynić

może—wyrażając zdanie swe z prostotą, z prawością, zrzekając się ułudzeń, towarzyszących zręcznemu mowy ułożeniu, jak N. Pan ostrzegł o tem Izby w mowie swej przy otwarciu Sejmu, mogą też Izby uniknąć ..... na które częstokroć osobiste namiętności naprowadzają pomimowolnie słabość ludzką, a przeciw którym największa nawet zamiarów czystość nie zawsze uzbroić jest zdolną, jeżeli najczynniejsza rozwaga nie ostrzega bez ustanku o grożącem niebezpieczeństwie.

Tym jedynie sposobem będą mogły Izby sprawowaniem wszystkich swych attrybucyi przyczynić się do spełnienia najdroższych sercu J. Ces. Król. Mości ojcowskiemu życzeń, do utwierdzenia za pomocą doświadczenia pomyślnego skutku opiekuńczych ustaw, które Polska miłościwemu swemu winna monarsze, do rozkrzewienia dobroczynnego onych wpływu, do skłonienia nakoniec Rządu, ku wyprzedzeniu zbawiennych życzeń przez opinię publiczną objawionych. Zbyt wiele na tem J. C.-K. Mości zależy, aby te ustawy w pierwszem ich rozwinięciu nie zostały przekształcone, jako też aby i władze konstytucyjne, temiż ustawami utworzone, stosowały się do przepisanych sobie prawideł i szły bez żadnego zboczenia przepisaną sobie drogą, z której schodząc, w przepaść wpadałyby nieomylnie, ażeby N. Pan nie zalecił Radzie, iżby *dotchęła* (!) to przestąpienie, jakiego sobie Izby w sprawowaniu swych attrybucyi pozwoliły i tę mnogość niewłaściwie przez się użytych wyrazów.

Prócz tego oświadcza N. Pan Radzie, iż tego rodzaju twierdzenia natrafiać się mogące w uwagach Izb, a nieopierające się na żadnej szczegółowej okoliczności w udzieleniach Sejmowi uczynionych, niezawierające przeto żadnego wyraźnego życzenia, nie mają być do żadnej odpowiedzi, ani też wniosku ze strony Rady powodem. Przedmiot zaś ten jest tyle ważnym, że J. C.-K. Mość mniema, że winien też pod wszelkiemi względami objaśnić własne uwagi, jakich N. Panu najrozważniejsze dwóch tych pism odczytanie nastręczyło, zachowując sobie oznajmienie po tem ogólnej swej w tym względzie woli. Uwagi Izb, tyczące się najprzód zdania rachunków ze znacznych wpływów w latach 1812 i 1813, lubo zakres ten poprzedza zaprowadzenia konstytucyjnego w Królestwie Polskiem rządu, lubo art. 53 statutu org. Rady Stanu zdaje się obowiązywać Rząd do zdawania mu tylko corocznie sprawy o stanie wpływów i ogólnem użyciu funduszów publicznych w ciągu upłynionego roku, miłoby było N. Panu, gdyby, o ile naglejsze prace dozwolą, Komisya Przychodów i Skarbu zajęła się oczyszczeniem rachunków z lat, na które uwagę J. C.-K. Mości zwróciły.

Senat w zakończeniu przełożenia swego, Izba w przedwstępnych uwagach wzmiankują równie niedopełnienie art. 47 ustawy konstytucyjnej, który przepisuje, iż każde postanowienie powinno bydź poświadczone podpisem Ministra Naczelnika Wydziału. Z upodobaniem uznał Naj. Pan trafność tej uwagi zgodną z Izbami, upatruje J. C.-K. Mość konieczność w dopełnieniu art. 47 konstytucyi tyczącego się zaświadczenia królewskich postanowień najściślejszą rękojmię odpowiedzialności ministra.

Jest przeto wyraźną J. C.-K. Mości wolą, iżby odtąd żadne N. Pana lub Namiestnika postanowienie niezostało ogłoszonem bez poprzedniczego zaświadczenia onegoż podpisem Ministra Naczelnika Wydziału. To poświadczenie, którego nigdy zastąpić nie może podpis ministra sekretarza stanu, bo ten zaświadcza jedynie rzetelność podpisu Panującego, zaspokoi niewątpliwie troskliwość Senatu względem praw administracyjnych.— Skoroby bowiem minister zaświadczył swym podpisem postanowienie jakie, którym przez to urządzenie administracyjne przez samą władzę wykonawczą wydane, wyrzekłoby względnie przedmiotu, wymagającego udziału władzy prawodawczej, ta ostatnia łatwo znalazłaby sposób zaradzenia temu nadużyciu w przywołaniu naprzeciwko temu ministrowi skutku odpowiedzialności, do których nieodbicie zobowiązywało onegoż wspomniane zaświadczenie.

Lecz uwaga Senatu, tycząca się praw administracyjnych, o których art. 90 konstytucyi wspomina, daje jeszcze powód do innych nie mniej ważnych zapytań: czy podział zakreślony przez Senat, między prawami administracyjnemi a urządzeniami administracyi publicznej jest dość dokładnie ustanowiony? czy zawsze statuta organiczne stanowić mają w przedmiotach, które Senat praw administracyjnych mieni bydź udziałem, albo też czy te prawa bez różnicy przez Sejm roztrząsane bydź powinny? czyli jest zawsze nieodzowną prawdą, iż wszystko co się tyczy wspólnych między sobą stosunków, ogółu obywateli, wszystko co może wywierać jakikolwiek wpływ na wewnętrzną jego administracyę, kiedy się wyrazu tego w całej swej rozciągłości używa, wszystko co się do publicznego ściąga porządku, nie w szczegółach, które zostawić można władz miejscowych czynności, lecz w układzie środków, które onego zasadę mają stanowić, ma być przedmiotem praw administracyjnych. Byłożby to z dobrem ogólnem zgodne, gdyby stosownie do takowej definicyej, rozporządzenia tyczące się zdrowia, których ważność dla wszystkich kraju mieszkańców jest niezaprzeczoną, urządzenia policyjne, chwilową powodowane potrzebą, lecz na całej rozciągłości Królestwa rozciągające się, urzą-

dzenia ciągle odmienne według czasu i okoliczności, a które przecież obcemi nie byłyby ogólnym obywateli stosunkom i którychby wykonywanie ściągało się nawet do codziennych wypadków, jako to urządzenia tyczące się spławu, jarmarczne, tyczące się wywozu płodów na jakowy czas z powodu niedostatku wzbranianych, nakoniec postanowienia tyczące się rzemieślników, służących i t. d., które wszystkie ogólny wpływ mają na cały kraj i według tejże samej definicyi powinnyby się mieścić w rzędzie praw administracyjnych, nie mogły być wykonane bez uczestnictwa reprezentacyi narodowej, która częstokroć nie jest w stanie znać się na szczegółach powodów onych a częściej jeszcze byłaby zapóźno zwołana, nie tylko do zapobieżenia, lecz nawet do wstrzymania złego, które czyn administracyjny w samym byłby zawiązku przytłumił, lecz czy z drugiej strony nie jest równie pewną, iż wyszedłszy nawet z obrębu praw cywilnych, kryminalnych i finansowych są przedmiotami jedynie prawodawstwa porządkowego i administracyjnego, jako to kodexa: wiejski, leśniczy, górniczy, drogowy, względem których dobrze jest czasem znać życzenia obywateli narodu, nim się wydaje urządzenia, które może nieosiągnęłyby zupełnie zamiaru swojego, nie będąc zawczasu poparte przekonaniem przez obywateli o ich użyteczności i o trafności użytych ku onych spełnieniu środków nabytem?

Przypuściwszy raz tę dwoistą różnicę nie należałoby w każdym razie i ponieważ równie prawie niedogodnie byłoby zamienić wszystkie prawa administracyjne w statuta organiczne, jak wszystkie pod roztrzygnięcia Sejmu podciągać, czy nie należałoby tedy, aby Rada starała się dokładnie określić znaczenie wyrazu rozróżniając o ile da się na teraz przewidzieć środki administracyjne, względem których zdawałoby się, iż koniecznie należy do władzy prawodawczej poradzić się, od tych, któreby zostawić wypadało działaniu władzy wykonawczej? czyby podobnież niewypadało określić ile możności ten nieco ogólny wyraz pomieścić w kodexie praw cywilnych i kryminalnych i w prawa finansowe, wszystkie te przedmioty, któreby ściśle biorąc można nazwać jedynie administracyjnemi lub porządkowemi, lecz któreby się dały podciągnąć pod stalsze i poniekąd bardziej narodowe prawodawstwa? Czyliby takowe postępowanie, skoroby onego pobudki zostały Reprezentantom narodu pojawione, niezdołałoby umniejszyć ich powaby względem dwojakiej rozciągłości powagi władzy wykonawczej w przedmiocie prawodawstwa i czyby nie zaspokoiło ich całkowicie, skoroby prawnie zaręczona odpowiedzialność urzędników tę władzę sprawujących zapobiegała wszelkiemu z ich strony przywłaszcze-

niu lub nadużyciu zaufania. Takie są wątpliwości, jakie w umyśle N. Cesarza i Króla J. M. wznieciła część uwagi Senatu, i do których najrozważniejszego roztrząśnienia wzywa N. Pan Radę—wyraźnem jest N. Pana żądaniem, aby raport, o którym później zachowuje sobie J. C.-K. Mość mówić, wystawiał szczegółowe odpowiedzi i wszelkie jakie życzyć można objaśnienia, względem tej tak niedościgłej i trudnej do oznaczenia różnych pomiędzy prawem administracyjnem a urządzeniem administracyi publicznej, chcąc nieścieśniać nadto ani rządowych, ani władzy prawodawczej atrybucyi.

N. Pan pragnąłby nawet, gdy ta Rada uznała za rzecz pożyteczną ażeby się zajęła, obrawszy czas wolny po temu, ułożeniem projektów do kodexu wiejskiego, do kodexu leśniczego i górniczego, jako też tyczącego się dróg, któreby w przyzwoitym czasie mogły być przedmiotem narad sejmowych. Oprócz ogólnych uwag już przez N. Pana roztrząsanych, czynią jeszcze Izby niektóre inne, a mianowicie względem rozwinięcia art. 16 konstytucyi, tyczącego się wolności druku; art. 27 względem ustąpienia własności z powodu użyteczności publicznej; art. 18 zachowującego dawne prawo: Neminem captivari etc; art. 20 oznaczającego urzędy publiczne przez krajowców tylko sprawować się mające.

Odstąpienie własności z powodu użyteczności publicznej już dało powód do uchwały Namiestnika z daty 24 sierpnia 1816 r. Lecz ponieważ prawo, dozwalające zmusić obywatela do uczynienia ku dobru powszechnemu ofiary z osobistej własności swej, jest Prawem, w którego przystosowaniu nie można nigdy nadto przykładać starania w dowodzeniu, iż wywłaszczenie z powodu użyteczności publicznej jest wyjątkiem z pod ogólnej zasady, lecz nie naruszeniem niezłomnego prawa i pierwszych rękojmi dobrodziejstw związku towarzyskiego, przeto nie może J. C.-K. Mość, jak dzielić w tym względzie życzenia Izb, jakoż N. Pan pragnie, iżby uchwała z d. 24 sierpnia 1816 roku rozwinięta była w tem wszystkiem, czego potrzebę wskazywałoby wywłaszczenie lub istotna konieczność opisania i dokładnego oznaczenia przypadków użyteczności publicznej, w których wywłaszczenie jest dozwolonem. Skoro zaś w mowie będąca uchwała, jak z samego wstępu jej widać, jest tylko tymczasowym porządkiem, musi Rada osądzić potrzebę, iżby dla wzbudzenia większej ufności nowe prawo względem odstąpienia własności z powodu użyteczności publicznej uzyskało pozwolenie Sejmu, albo przynajmniej stało się przedmiotem statutu organicznego, któren trwałością swoją nowe wystawiałby zabezpieczenie. Co się tycze zasady wolności druku, to jest uroczyście ustawą konstytucyjną poświęconą i co się teoryi tycze,

zdaje się, że hołd użyteczności jej oddany jest dostatecznym, co zaś do praktyki, nadużycia wolności druku podlegają dawnemu prawodawstwu polskiemu, które zamiast się przeciwić, sprzyjać zdaje się wolnemu myśli wynurzeniu. Nieupatruje zatem N. Pan ani żadnej niedogodności, ani niebezpieczeństwa, status quo w tym względzie, iż póki doświadczenie nie wykryje nadużyciów, którym by mogło zaradzić, lub póki życzenie narodu jaśniej wyrażone nie wskaże potrzeby zmiany w teraźniejszem prawodawstwie. Może wreszcie nowy kodex postępowania kryminalnego mógłby zapobiedz wykorzenieniu wolności druku .... się za pomocą wszelkich zaręczeń, jakie czas w innych uświęcił krajach, i jakich z jednej strony prawne używanie rozsądnej wolności, równie literaturze jak i rządowi korzystny, a z drugej strony zapewnienie powściągnięcia nadużycia, równie łatwego, jak niebezpiecznego wymagają.

Podobna uwaga stosować się ma co do dawnego prawa kardynalnego: neminem captivari etc. W organizacyi Rady Stanu art. 39 stoi, iż każdy urzędnik mianowany przez króla, któremby się stał winnym samowolnego uwięzienia lub uwięzionemu nie dozwolił zanieść skargę, lub poszukiwać sprawiedliwości, powinien być pod sąd oddany. Nowy kodeks karny również zawiera przepisy do ukarania urzędników, którzyby naruszyli wolność osobistą, lecz kodeksowi postępowania kryminalnego zostawione jest oznaczenie formy karania obwinionych i oznaczenie przypadków dokładniejsze, gdy zaś przyszłemu Sejmowi podany być ma tego kodexu projekt, będzie mógł zatem ziścić swe w tej mierze życzenia.

Co się nakoniec tycze ostatniego artykułu przez Izby wzmiankowanego, niewidać jakiegoby on nowego potrzebował rozwinięcia, byle się porównało art. 32, 33, 34 i 46 ustawy konstytucyjnej z art. 3 i 4 i t. d. statutu o Reprezentacyi narodowej, tembardziej, że Izby nie przywodzą żadnego przykładu ubliżenia art. 29 konstytucyi, w uwagach ich przytoczonemu. Izba poselska uważa być duchowi art. 137 konst. przeciwna uchwałę Namiestnika, z mocy której urzędnicy publiczni ogłoszeni są kandydatami z prawa do urzędów administracyjnych. Lecz zdało się Jego C.-K. Mości, iż wynurzone z tego powodu przez Izbę poselską zdanie, fałszywą co do teoryi wystawia zasadę a razem szkodliwą, w jej przystosowaniu, stanowiąc, iż do rad wojewódzkich należy formowanie listy kandydatów na urzędy administracyjne; widoczną jest rzeczą, że ów 137 art. konst. chciał dostarczyć rządowi pewniejszego sposobu sądzenia zawczasu o użyteczności urzędników i poznania przed ich mianowaniem, jak dalece będą wzbudzać ufność w rządzonych. Tym sposobem chroni ustawa konstytucyjna Rząd i naród od nie-

bezpieczeństw, z niebezpiecznego wynikających wyboru. Ale kiedy nienaganne urzędowanie wybór ten usprawiedliwia, kiedy urzędnik z zaszczytem urzędu dopełnił, jakiemżeby prawem można go zmuszać do ubiegania się za kreskami, które obranemu kandydatowi służą tylko, jako wróżba przymiotów, których urzędnik już dał dowody? Jak pożytecznem jest bezwątpienia dla rządu, iżby oczyścić liczny poczet ubiegających się o urzędy publiczne, nie dawszy jeszcze żadnego dowodu swej zdolności, tak byłoby niesprawiedliwą rzeczą podciągać pod powtórną próbę urzędników, o których zalecie samo urzędu sprawowanie świadczyłoby. Jakież byłoby postępowanie Rządu, jeżeli będąc przymuszeni starać się być obranemi, wszyscy teraźniejsi urzędnicy wracali się, z powodów aż nadto często mających wpływ na wyborach publicznych, usuniętemi z listy i następnie znaglonemi razem porzucić rozmaite swe urzędy? Czyliż sami obierający mogliby się cieszyć z takowego wypadku, zawierającego obrazę działania Rządu i pracę jego wstrzymującego? Nie osądził przeto N. Król J. M. iżby wspomniona uchwała była przeciwną przepisom ustawy konstytucyjnej, z powodu, iż ogłasza kandydatami z prawa wszystkich urzędników, znajdujących się w sprawowaniu jakiego urzędu administracyjnego, czy pragnie J. C.-K. Mość, iżby niniejsze uwagi rozwiniętemi zostały przez Radę w celu przekonania Izb, za pierwszem zebraniem się, że jeżeli życzenia ich co do list kandydatów na urzędy publiczne nie zostały spełnione, to jedynie z powodu, iż one nie dość konstytucyjnemi były, ani też zgodnemi były z prawdziwym duchem kraju.

Od ogólnych uwag, których zasady, ducha i ważność może J. C.-K. Mość ocenić, przechodzą Izby do uwag szczegółowych tyczących się rozmaitych administracyi publicznej oddziałów. Mówiąc o wydziale wyznań religijnych, wynurzają Izby myśli, na które N. Pan sądzi powinnością swoją zwrócić całą uwagę Rady. Izba poselska czyni najprzód uwagę, iż urządzenia cywilne z wielu względów usuwają xięży z pod władzy biskupiej, gdy wnosić można, iż uwaga ta ściąga się do art. 23 postanowienia względem organizacyi duchowieństwa katolickiego. Już się stało zadosyć życzeniom Izby poselskiej za pomocą zmiany, nad jaką Rada w tej mierze pracowała, w celu upoważnienia Biskupów do zawieszania kapłanów przekraczających. Obie Izby ubolewają nad zmniejszeniem liczby xięży, lecz nieprzytaczają w szczególności żadnych tegoż przyczyn, zdaje się jednak, że warto zastanowić się nad temi przyczynami. Jego C.-K. Mość poleca tę okoliczność badaniu Komisyi wyznań religijnych i oświecenia publicznego, lecz wraz

spodziewa się N. Pan, iż liczba sama xięży przez to powiększa się, skoro wyszukiwanie i nowy rozkład funduszów duchownych dozwoliły polepszyć byt plebanów. To wyszukiwanie, jak i urządzenia dziesięcin, doznają według twierdzenia Izb zwłoki, którą wypada uchylić. Jego C.-K. Mość spodziewa się przeto, iż Komisya w. relig. nowych chwyci się w tej mierze środków ku skróceniu wszelkich zawad i N. Pan pragnie, aby na przyszłym Sejmie zdana była szczegółowa sprawa o przedsięwziętych w tym celu pracach.

Reforma klasztorów, zwrócenie ich do pierwiastkowego przeznaczenia, to jest do nauczania ludzi, wspierania cierpiącej ludzkości, poprawiania obyczajów w więźniach, ustanowienie ogólnego seminaryum do uniwersytetu warszawskiego przyłączonego, zaprowadzenie szkoły świątłych rabinów i przepisanie stałych prawideł względem ich mianowania, ustanowienie sprawiedliwej proporcyi między liczbą szkół wyższych a liczbą szkół niższych, która w porównaniu jest daleko za małą, rozkrzewienie systematu pożytecznego wzajemnego nauczania, ustanowienie szkół niedzielnych, nauka umiejętności moralnych, ściślejszy dozór na obyczajność młodzieży, są jeszcze przedmiotami życzeń wyrażonych przez Izby w tem co się Komisyi wyznań relig. i ośw. publ. dotycze. J. C.-K. Mość pochlebia sobie, iż Rada uzna niewątpliwie roztropność zamiarów, które też życzenia natchnęły ważność, jaką przywiązywać należy do zadosyć uczynienia owym i potrzebę poświęcenia ku ich spełnieniu najszczerszych i najtrwalszych starań. Izba poselska życzyłaby nawet widzieć ustanowioną nową składkę na zaprowadzenie szkół różnych, na które według jej twierdzenia sami po dziś dzień włościanie ponoszą wydatek, zostawując staraniu Komisyi wyznań rel. objaśnienie tych okoliczności; nie może N. Pan zgodzić się na ustanowienie ogólnej składki przed ułożeniem I-go ogólnego budżetu, byłoby to bowiem niebezpieczne wprowadzać skutki onegoż, lecz jeśliby okazać się miało, że oświecenie nie dość jest uposażonem, i że wistocie możnaby z czasem udoskonalić urządzenie szkół początkowych, tedy N. Pan pragnąłby, iżby potrzeba zwiększenia tego uposażenia objęta została w rachunkach do I-go ściągających się budżetu, oraz iżby nie udawano się do Sejmu o fundusze dodatku, jakie okazałyby się być potrzebnemi, jak po zaprowadzeniu nowego prawa finansowego. Izby kończą tę część swych uwag na żądaniu, aby wyposażenie oświecenia publicznego całkiem na dobrach gruntowych zabezpieczonem zostało. Myśl ta sama w sobie zważona, istotne zdaje się wystawiać korzyści. Podział własności gruntowych zawsze prawie po-

mnoży ich dochód, bo ułatwia ich uprawę i dozór nad niemi, a zatem dobra narodowe, któreby składały to wyposażenie, zostałyby niezawodnie polepszonemi przez nowych administratorów, którzyby upatrywali w nich jedyny utrzymania swego fundusz, a samo oświecenie nowąby miało rękojmię trwałości, gdyż nigdyby nie mogło cierpieć na zamiarach, których bogactwo publiczne tak łatwo doznawać może. Mniema jednak N. Pan, iż wniosek wyposażenia wydziału nauczycielskiego w dobrach ziemskich, zawisnąć powinien od ogólnego urządzenia dóbr narodowych, i że z pożytkiem byłoby nie przepominać o nim, gdy rzecz będzie szła o toż urządzenie. Izby żądają naostatek ostatecznego urządzenia Żydów i życzą sobie, aby w tej mierze wyniesiony był projekt na przyszłym Sejmie, i ażeby stosownie do dawniejszych postanowień, Żydzi zostali usunięci z szynków tak w miastach, jako i w wsiach, oraz aby zaciągowi do wojska podlegali. Sam Rząd Xięstwa Warszawskiego uznał, zdaje się, iż ostateczne urządzenie Żydów powinno być raczej przedmiotem postanowienia administracyjnego, niż czynnością władzy prawodawczej i stosownie do tej to zasady, wydał N. Król Saski dekret, zakazujący Żydom fabrykacyi, handlu i szynku trunków. Ustawa konst. więcej jeszcze zdaje się zostawiać Rządowi wolności, warując, iż tylko różność wyznań chrześcijańskich nie będzie stanowić żadnej w używaniu praw cywilnych i obywatelskich różnicy. Lecz urządzenie Żydów jest dziełem z wielu połączonem trudnościami, któremu przewodniczyć powinna największa przezorność i która wymaga bardziej, niż jakiebądź inne, pomocy czasu i doświadczenia. Zbieraniem tej to pomocy powinien się jeszcze Rząd zatrudniać, lecz zanim dogodniejsza pora pozwoli wydać postanowienie urządzające lud Izraelski w Król. Polskiem zamieszkały—radby był N. Pan, gdyby ustopniowane zwiększenie opłaty przez starozakonnych, składane ku uzyskaniu pozwolenia szynkowania po karczmach, coraz bardziej zmniejszało liczbę onych, poświęcających się temu rodzajowi zysku i zmuszało ich do oddawania się innym przemysłu rodzajom. Jakowy środek sam przez się spełniałby nieznacznie życzenia Sejmu i sami nawet Żydzi nie mogliby narzekać na żądanie N. Pana podwyższenia opłat, kiedy one służyłyby im za nieodzowny warunek uzyskania przewłoki w wykonywaniu zupełnem już wydanego przeciw nim, a do dnia dzisiejszego w całej swej mocy zostającego, postanowienia. Co się tycze zaciągu Żydów do wojska, jeśli oni uwolnieni od osobistej służby za opłatą pieniężną, to jedynie z powodu uznanej trudności równego ich z innemi mieszkańcami dotchnienia w wybieraniu rekruta, jakoteż i z powodów nie-

podobieństwa, w jakim się skarb znajdował, zrzeczenia się tego zasiłku. Skoro lepsze Żydów urządzenie nastąpi, da lepiej poznać klasę popisową między niemi, a wzrastająca pomyślność Skarbu dozwoli zaniechać tego dochodu, nic się nie będzie przeciwiło zadość uczynieniu żądaniu Izb co do tego punktu.

Co do Wydziału sprawiedliwości żądają Izby konstytucyjnego urządzenia sądów i rozwinięcia art. 142—146 i 149—150 i 152 konstytucyi, przepisujących zasady jego wydziału administracyi, na którym tyle swobód polega, który jest tylu dobrodziejstw rękojmią. Ale Izby wzmiankują w tem miejscu ścisły związek między nową organizacyą sądownictwa, a nowemi kodexami postępowania cywil. i krym., których układanie już N. Pan Radzie polecił. Izby rozwijające w tej mierze postrzeżenia, kładą ogólne prawidła istotne mądrości i pożyteczności, jak jednej tak drugiej mające cechę i które niewątpliwie przyłożą się do udoskonalenia prawodawstwa polskiego w niektórych, najważniejszych onego częściach. Izba poselska użala się następnie na sześć uchwał Namiestnika, uważając one jako ubliżające niepodległości sądów i zasadom, zaręczonym art. 138 i 139 konstytucyi. Te użalania pochodzą widocznie z niedostateczności teraźniejszych urządzeń organicznych we względzie sporów administracyjnych. Statut konstyt. X. Warszawskiego przyznawał Radzie Stanu rozpoznawanie podobnych sporów, a przepisy kodexu cyw. art. 1712 również poddają te spory w niektórych przypadkach ogólnym prawidłom. Ustawa konstyt. Król. Pol. nie nadała wprawdzie teraźniejszej Radzie Stanu władzy rozpoznawania pomienionych sporów, lecz taż ustawa te tylko znosi z pomiędzy dawniejszych urządzeń, które jej są przeciwnemi i tenże sam kodex cywilny zachował moc prawa w Król. Pol. a zatem osobna jurisdykcya, której dotąd podlegały spory administracyjne, nie jest prawu przeciwną, bo kodex ją przepisuje, a zatem toż zwrócenie do Rady Stanu rozpoznawania sporów administracyjnych nie byłoby konstytucyi przeciwnem, ponieważ nie przeciwiłoby się innym tejże Rady atrybucyom w konstytucyi oznaczonym. Co więcej Rada Stanu ma moc w rzeczy samej stanowienia istotnej tych sporów części, gdyż ona wyrzeka względem przypadków sporów o jurisdykcyę. Tem więcej przeto upatrywałby N. Pan korzyści w przywróceniu w tej mierze porządku za czasów X. Warszawskiego trwającego, iżby tym sposobem więcej jeszcze nabrał trwałości ten porządek, który wówczas do żadnego sporu nie dał powodu. Wzywa więc J. C.-K. Mość Radę do uważnego roztrząśnienia, czyliby nie należało uzupełnić atrybucyi Rady Stanu, nadając jej w nowym sta-

tucie organicznym lub postanowieniem królewskiem, moc osądzenia sporów administracyjnych i czyliby środek ten nie większą wskazał bezstronność, jak uchwała z d. 18 lipca b. r. wydana i poruczająca też władzę sądownictwa Komisyom rządowym w obrębach ich urzędowania. Ile, że ta uchwała mogłaby osądzić, że wspomnione Komisye byłyby sędziami w sprawach, gdzieby zarazem i stronami były lub narazić czasem interesa skarbu wyłącznie one wyrokom sądów cywilnych zwyczajnych oddając. Kończą Izby ten oddział, żądając, iżby został przepisany przedział pomiędzy prawami a postanowieniami i urządzeniami, życząc iżby pierwsze w dzienniku praw były umieszczone a drugie w innym kształcie ogłoszonemi. Przedmiot ten sam z siebie wynika, ponieważ prawa przez Sejm są ustanowione, Sejm one jedynie mocen jest zmieniać. Co się tycze sposobu ogłaszania, ustawa konstytucyjna w art. 154 jeden tylko przypuszcza, a ten zdaje się wszelkie łączyć korzyści, gdyż jest najprędszym, najdogodniejszym i najmniej kosztownym.

Rozbierając Rapport Rady Stanu w części tyczącej się spraw wewnętrznych, następujące czynią Izby uwagi: 1-o, iż wynagrodzenia za dostarczenie wojsku rosyjskiemu poczynione, jeszcze skutku niewzięły. Lubo N. Pan żadnych nie odebrał wiadomości względem postępku likwidacyi tychże dostarczeń i lubo minister Sekretarz stanu żadnego nie miał w tej mierze szczególnego przełożenia do przedstawienia J. C.-K. Mości, oświadcza jednak, iż najpierwszym jest dla władz trudniących się tą likwidacyą sposobem pozyskania pochwały J. C.-K. M., starać się ile możności przyśpieszyć ukończenie tej pracy i zbliżyć tym sposobem zaspokojenie pretensyi likwidujących się; 2-o, iż rozkład dostarczania rekrutów i ich przeprowadzenia do miast stołecznych województw są uciążliwe, zadanie odziewania ich niesłuszne, że mieszkańcy powinniby dostarczać rekrutów do miast powiatowych. N. Pan poleca Komisyom spraw wewnętrznych, ażeby ściśle to zażalenie wyegzaminowały i ażeby nieodłączne od zaciągu wojska ciężary nigdy nie mogły być nieprawnie powiększanemi przez władz miejscowych nadużycie; 3-o, iż samowolne urządzenie szarwarków cios zadaje śmiertelny rolnictwu i ciężar stąd wynikający, któren Izby do 8 milionów szacują, Sejm tylko był mocen uchwalić; w decyzyi swej z d. 25 grudnia 1817 r. już N. Pan okazał, że ciężar szarwarków na robienie i utrzymanie dróg publicznych istniał za dawnego Rządu polskiego i za rządów, które po nim nastąpiły, przekonał się zaś o tem J. C.-K. Mość z samych protokułów posiedzeń Rady, na których naradzano się względem urządzenia

szarwarków do dróg publicznych. Wspomniony ciężar nie może przeto być uważany w żadnym przypadku za nowy, ale należało go urządzić, wyśledzić ilość, jaką powinien był wynosić, oznaczyć oraz użycie onego, odwołuje się w tej mierze J. C.-K. Mość do powyżej wzmiankowanej decyzyi swojej; jednak uważa N. Pan, iż jednozgodne narzekania z obu Izb się podnoszące przeciwko rozkładowi i teraźniejszemu użyciu tego ciężaru, iż ten dla osiągnięcia przeznaczenia swego nie powinien być nigdy dla mieszkańców uciążliwym i że równie nie zgadza się z interesem rządu, jak z dobrem rolnictwa, aby rolnictwo odrywać od ich pożytecznych robót w czasach, gdzie one są nagłemi, iż więc jednym z najnieodbitszych w dobrej administracyi urządzeń jest zawieszenie robienia szarwarków dróg w czasie sianożęcia, sprzętu zboża, iż dla uporządkowania ciężaru szarwarków należy koniecznie zebrać za pośrednictwem władz sejmowych dokładne wiadomości, względem liczby i ceny dni roboczych przez każde województwo za poprzednich rządów w tym celu dostarczonych, że ten jest jedyny sposób sprawiedliwego oszacowania i słusznego rozkładu całego tego ciężaru, iż chcąc aby się on stał ściśle prawnym, nie należy przestępować dni wymaganych za zeszłych rządów, bo zagubiać podatek, znaczy powiększyć przychód jego, ale nie miarę, iż chcąc upożytecznić użycie szarwarków, należy koniecznie wyrzec nieodzownie, które drogi mają być najpierwej robione i jakie onych części co rok ukończonemi być powinny? gdyż drogi razem przedsiębrane, z pośpiechem robione, nie zdolne są wytrzymać zmienności powietrza i bynajmniej nie odpowiadają swą użytecznością trudom, jakie rolnicy ponieśli i stratom koni i bydła, o jakie z tego powodu właściciele przyprawieni zostali, iż nakoniecby najwięcej życzyć wypadało, iżby do roboty dróg publicznych używano stopniami i w miarę możności skarbu coraz większej liczby robotników płatnych lub też ochotnych włościan, którymby zatrudnienia ich gospodarcze nie stały na przeszkodzie do oddania się tego rodzajowi przemysłu, a to za miernią zapłatą lub też jakowem zachęceniem teraźniejszą im wynadgradzającem pracę, a na przyszłość do tem lepszej wzbudzającem ich pracowitości. Te dorywczo wyłuszczone przyczyny są tylko krótką treścią prawideł postanowionych w decyzyi J. C.-K. Mości z d. 25 grudnia 1817 r., są one zupełnie zgodne z życzeniami od Izb wynurzonemi. Pragnie N. Pan aby ich Rada nigdy z oczu niespuszczała i mieć chce iżby za dwa lata Sejmowi, ale teraz zaraz zdany był J. C.-K. M. dokładny rapport względem dopełnienia już wydanych przez N. Pana rozkazów, przeznaczonych do dróg pu-

blicznych zakładania; 4-o, Izby reklamują przeciwko zamianie na pieniężną opłatę dostarczeń w naturze na sejmie 1811 r. uchwalonych, uważając tęż opłatę jako stały podatek, bez udziału sejmu postanowiony, teraźniejszą ilość wojska przechodzący i ciążący wyłącznie klasę rolniczą. Prawda, że w chwili, kiedy sejm w r. 1811 uchwalił dostawienie w naturze, wojsko X. Warszawskiego 60,000 ludzi wynosiło, a teraz wojsko Król. polsk. nie jest tak liczne, lecz z drugiej strony Sejm 1811 r. nieinaczej postanowił względem trwania tego ciężaru, jak względem innych praw, które uchwalił, a co się tycze zamiany dostarczeń produktów w naturze na pieniężną opłatę, korzyści tego już Izbom wyłuszczone zostały tak w raporcie Rady Stanu, jak Ministra S. W. Zdaje się, iż dobrodziejstwa tego trudno zaprzeczyć i N. Pan starał się, ciągle starać się będzie takowe rozszerzyć. Wzywa przeto J. C.-K. Mość Radę, iżby cenę produktów stanowiła zawsze niższą niż średnia targowa cena, starając się ulżyć tego nakładu ciężar. Nie może N. Pan zataić, iż takowy prawie na rolników spada, lecz wyznać oraz J. C.-K. M. musi, że nowe tylko finansowe prawa, obfitsze zasiłki dozwolą jedynie, aby ten ciężar zniknął z budżetu publicznych dochodów.

5-o. Podobnież Izby sejmowe twierdzą, iż system egzekucyi wywieranych przeciwko zalegającym kontrybuentom jest uciążliwym ciężarem, którego koszta zysk przewyższają. Do Komisyi Przychodów i Skarbu należy wyexaminowanie tego zażalenia i podanie zaradczego środka, jeśli jest ugruntowanem, lub też odpowiedzenie na nie, jeśli nie tak rzecz się ma, jak Izby twierdzą. 6-o. Życzeniem także jest od Izby oświadczonem, iżby wieczysty fundusz dla niektórych miast przeznaczony, rozciągniętym został do miast drugiego rzędu, oraz aby się zajęto stawianiem koszar. Te przedmioty tak są w użyteczności swojej oczewiste, iż jedynie szczupłość skarbu może im być na przeszkodzie. 7-o. Mniemają jeszcze Izby, iż rozciągnięcie korzyści Towarzystwa ogniowego jest potrzebnem, lecz że nie powinno być przymusowem oraz i konsensowe od szynków, jako też opłata kopytkowego i mostowego są przeciwnemi konstytucyi. Nowe urządzenia Towarzystwa ogniowego nie są obowiązującemi tylko dla miast, dla dóbr narodowych, gminnych i instytutów publicznych, są one oraz zgodne z urządzeniami zarządu pruskiego zaprowadzonemi, lecz mieszkańcom wsiów zupełną zostawują wolność. Co się ma do podniesienia szynkowego, nakład ten nie jest antikonstytucyjnym, bo nie na zysk skarbu pobieranym, ale na korzyć miast, bo nie jest nawet ciężarem publicznym, ale opłatą municypalną i nareszcie cel

onego zupełnie dopiętym został, gdyż powiększając dochody miejskie liczba szynków zupełnie zmniejszoną a niewstrzemięźliwość pospólstwa powściągniętą została. Opłata kopytkowego zwana jako też i mostowe niesprzeciwiają się konstytucyi i kopytkowe exystowało w niektórych miastach przed zaprowadzeniem nowego Rządu, równie jak opłata szynkowego do rzędu ciężarów municypalnych należy. Zastąpiła nawet w Warszawie, na żądanie miasta, dawniej trwający obowiązek dla każdego przez rogatkę przejeżdżającego złożenia *kamienia*, w czem nowego nakładu korzyści trudno zaprzeczyć, mostowe do tej samej liczyć się powinno kategoryi, utrzymując ten rodzaj opłaty, szedł rząd teraźniejszy za śladem dawniejszych rządów, którym oddać winien sprawiedliwość za starania, jakich przykładały w zamiarze urządzenia tej opłaty podług stopy jednostajniejszej, umiarkowańszej i mniej samowolnej. Jednakże zaprzeczyć nie można, że wybór opłaty kopytkowego wystawia istotnie niedogodność, choćby tylko ze względu na niepodobieństwo kontrolowania onejże, jakoż pragnąłby J. C.-K. M. aby wypłatę pomienioną jakowa inna zamieniła w odbieraniu łatwiejszem, a nadewszystko mniej dla publiczności mitrężnem. Co się policyi tycze, żądają Izby więcej dozoru przeciwko złodziejom, jako też lepszego przestrzegania szczepienia ospy. Dwa te żądania w tak ogólnych wyrazach są wymienione, iż trudnoby było J. C.-K. M. stanowcze w tej mierze oświadczyć zdanie, pragnie atoli N. Pan iżby Komisya S. We. i Policyi takowe uważnie rozstrząsnęła. Pod względem Poczt życzą Izby umiarkowania opłaty od Listów, jako też i ceny koni pocztowych, uważając oraz, iż należałoby życzyć, ażeby większa ilość koni znajdować się mogła po stacyach, gdyż urządzenie dozwalające pocztmajstrom wyciągania koni obywatelskich do wszelkich nadużyć dać może miejsce. W swem osobistem przekonaniu sądzi N. Pan, iż taż uwaga z wielu miar jest słuszną, mniema zatem J. C.-K. Mość, iż życzenia Izb co do administracyi poczt mogłaby Rada przyjąć i ziścić, jeśli ważniejsze powody nie sprzeciwiają się ich spełnieniu. Wreszcie wyłuszczenie Izb w rozbiorze raportu o wewnętrznej Królestwa administracyi, nader pożyteczne zasady względem rękodzieł i handlu wyrażają, zawierają przytem w ogólności uczucia filantropiczne, zgodne z uczuciami, jakich J. C.-K. M. nieraz starał się dać dowody. Ale zdawało się N. Panu, iż zadane prawa przeciwko zbytkom i inne niektóre w tymże rodzaju, a tamże połączone, dałyby jedynie powód do długich roztrząsań, których skutki trudne do przewidzenia, trudniejsze jeszcze może okazałyby się w rozwinięciu.

Miło J. C.-K. M. było wyczytać złożony od obu Izb jednomyślny hołd uszanowania i pochwały dla dostojnego wodza wojska polskiego, równie i N. Panu jest przyjemnie wyrazić tu swoje ukontentowanie za oddane pochwały karności wojskowej, świetnej tego wojska postawie, porządkowi w rachunkowości wydziału wojennego, utrzymywaniu lazaretów codzień oszczędniejszemu i porządniejszemu, słowem wszelkim ulepszeniom winnym staraniom J. Cesarzewiczowskiej Mości. Przywodząc art. 91 ustawy konst. oświadczają Izby życzenia, by te zmiany ustawiczne były prawami trwałemi, wyliczając przedmioty, jakie zależeć będzie od monarchy kazać wnieść do narad sejmowych, artykuł wspomniony mieści w tym rzędzie, co się wydziału wojennego tycze, w wybieraniu jednak rekrutów uważać należy, iż przepisy tego artykułu całkowicie podległe są woli monarchy, to jest, że nań niewkładają obowiązku, lecz mu dają wolność przyzwania uczestnictwa władzy prawodawczej, jeśli tego uzna potrzebę lub pożytek względem wskazanych mu przedmiotów. Możnaby więc wnosić przez podobieństwo, iż jako systemat menniczny urządzonym został postanowieniem królewskiem, zanim mógł być sejm zwołanym, jak pierwszy Budżet tymże samym sposobem urządzonym zostanie na mocy art. 162 konsty., jako postanowienie względem zaciągu do wojska zbliża się co do zasad do konstytucyi X. Warsz., lubo nawet zawiera liczniejsze i dla powiększenia ludności korzystniejsze wyjątki. J. C.-K. M. zachowuje sobie na przyszłość rozwiązanie, jak dalece byłoby przyzwoicie nadać temu postanowieniu trwałości cechę.

Kończąc postrzeżenia swe nad wydziałem wojennym, czynią Izby uwagę, iż kodex karny wojskowy, jako też i kodexa postępowania kryminalnego dla wojska służyć mogące, nie mogły być dotąd ułożonemi z powodu związku ich ogólnego z prawem karzącem, lecz kiedy to prawo zostało uchwalonem, należy się spodziewać, że wojskowi niebawem wzywać będą tego dobrodziejstwa. W rzeczy samej wspomniany związek jest wskazanym w art. 14 nowego kodexu karzącego i N. Pan sam uznaje chętnie potrzebę uzupełnienie przepisów tego art., postanawiając kodex karzący wojskowy. Ta część prawodawstwa powinna, ile rodzaj jej dozwala, zgadzać się z prawami karzącemi krajowemi, jest nawet potrzebną dla oznaczenia granic własności sądów cywilnych i zapobieżenia kolizyi władz, lecz zanim J. C.-K. M. wyda wyraźne rozkazy względem ułożenia prawa karzącego wojskowego, zamiarem jest N. Pana znieść się w tej mierze bezpośrednio z Naj. swym bratem W. Ks. Konstantym.

Ogólne dwóch Izb uwagi nad podatkami niestałemi, nad podatkiem gruntowym i nad nowem prawem finansowem, zdały się J. C.-K. Mości zasługujące na całą uwagę Rady, kiedy zatrudniać się będzie 1-go ogólnego Budżetu. Co do uwag, tyczących się etatu przychodów i wydatków, zdawały się J. C.-K. M. jedne godnemi przyjęcia, drugie łatwemi do zbicia. Żądając wykazów dochodów i wydatków więcej obejmujących szczegółów i uważając, że te co są dołączone do raportu Rady Stanu i nie obejmują ani rozmaitych rodzajów wydatków każdego ministerium, ani też innych wydatków, ile że takim sposobem nie można osądzić, jaki jest stosunek między wydatkami publiczny mający użytek, a wydatkami bezkorzystnemi, wynurzają Izby życzenia, które N. Pan z niemi dzieli, bo w rzeczy samej, porównywając jedynie przez długi przeciąg lat główniejsze przedmioty wydatków rozmaitych ministeryi, z wpływów rozmaitych części przychodów kraju; można sądzić o oszczędności Rządu i postępie pomyślności publicznej. Zgadzałoby się to więc z zamiarami J. C.-K. M. ażeby wykazy dochodów i wydatków obejmowały wszelkie szczegóły od Izb żądane. Lecz chcąc aby tak, jak Izba poselska wnosi, rachunki skarbowe były składane ze wszystkiemi dowodami, jestto chcieć tworzyć z nich niezmierne volumina i odjąć podobieństwo ministrowi skarbu onych wygotowania z powodu długiego czasu, jakiegoby tak obszerna wymagała praca, Sejmowi zaś podobieństwo ich wyegzaminowania z względu na samo trwanie zgromadzenia Izb i na krótkość chwili, którą mogą poświęcić temu przedmiotowi. Chcieć znowu aby wszelkie rachunki publiczne zanim Sejmowi złożone będą, bywały przez Izbę Obrachunkową oczyszczane z dołączeniem mniemania tejże względem nich, jest to niewiedzieć jak jest powolnym sposób postępowania, jakiego się koniecznie trzymać powinna w sprawowaniu swych obowiązków taż magistratura i jak jej łatwo czynić z wydatków znacznych rachunki za pomocą oznaczeń budżetowych, a jakiej częstokroć wymaga korrespondencyi między nią a składającemi rachunki, oczyszczenie prawie nic nieznacznych co do ilości wydatków, jest to słowem chcieć położyć przeciąg czasu trudny do wyrachowania między składaniem rachunków a latami etatowemi, które też obejmują. Izby powinny były z ukontentowaniem uważać, iż we dwa miesiące po zakończeniu roku etatowego, rachunki mogły im być zdanemi i że ministerya miasto przytępienia kredytu prawie ciągle mniej potrzebowały niż im Budżet naznacza. Jeżeli jaka okoliczność winna wzbudzić troskliwość Izb to ta, iż w r. 1817 oprócz funduszów wydatków nadzwyczajnych, zaasygnowaną zo-

stała pod tytułem wydatków nieprzewidzianych i bez osobnego przeznaczenia osobniczego, summa złp. 2,603,207, ale rozkazy N. Pana tyczące się budżetu na r. 1819 już zapobiegły podobnej na przyszłość nieregularności. Łatwo tedy będzie Komisyi przychodów i skarbu zbić te dwojakie uwagi Izb, jedne przez niepodobieństwo fizyczne zadosyć onym uczynienia, drugie przez wyłuszczenia atrybucyi i postępowania Izb obrachunkowych. To, co Izby mówią względem zaległości, było wzmiankowanem w Rapporcie Rady Stanu, któren zarazem zdawał sprawę o już przedsięwziętych środkach ku ściągnieniu podatków zaległych i osiągniętym tych środków skutku. Tenże rapport objawił również Izbom, iż koszta na administracyę stanowione zostały według szczególnych i dojrzale w rządzie roztrząsanych wykazów, a dopóki Izby przestawać będą na ogólnych uwagach względem zbytecznych tych kosztów wysokości, niewyszczególniając artykułów, przeciwko którym się oświadczają, niepodobieństwem będzie na zarzuty ich odpowiedzieć. Izby także ściągają uwagę Rządu na lepszy systemat administracyi dóbr narodowych. Zmiana tego systematu i Radę zajmuje, lecz odkładając do chwil ogólnego urządzenia wszelkie środki, jakie Izby podają względem udoskonalenia tej odnogi administracyi krajowej, miło jest J. C.-K. Mości oświadczyć, iż N. Pan żywo dzieli troskliwość Izb względem losu włościan w dobrach narodowych. Bytu ich polepszenie jest jedynem z najgorętszych życzeń J. C.-K. Mości i którego spełnienie jaknajrychlejsze N. Pan Radzie zaleca. Zmiana systematu urządzenia dóbr narodowych nie może jednak w żadnym przypadku zrządzić zniesienia prokuratoryi generalnej, ponieważ magistratura ta nietylko sobie ma polecone obronę dóbr rządowych, ale oraz i własności gminnych i instytutów publicznych.

Pod artykułem soli użalają się Izby, że pomimo traktatu wiedeńskiego dawniejszy kontrakt o kupno 500,000 cetnarów soli aż do r. 1820, zawartym został później z rządem austryackim kontrakt do 11 złp. cenę cetnara wyrażający, co połączywszy z zyskiem monopolnika, do zbytniej wysokości podniosło cenę przedmiotu pierwszej potrzeby. Wolą jest N. Pana, ażeby Rada objaśniła pobudki, które niedozwoliły korzystania z obwarowań traktatu wiedeńskiego w tem znaczeniu, jakie biorą Izby, oraz jakie były okoliczności wymagające zawarcia nowego kontraktu. Trudno zataić, iż cena soli bardzo jest wysoka i gdyby, czyniąc małą ze strony skarbu ofiarę, Rada mogła wynaleźć sposób jakowy zniżenia tejże ceny, spełnioneby zostało tym sposobem z ukontentowaniem J. C.-K. M. dobrodziejstwo, będące przedmiotem życzeń

N. Pana, z któregoby mocno korzystała klassa najmniej majętna mieszkańców Królestwa. Monopolium tabaki wzbudza również reklamacyą. Izby mienią ten środek nawet niekonstytucyjnym, przywodząc art. 261—92 konstytucyi. Lecz jedyny artykuł, któren zdaje się, iż możnaby zastosować do tego źródła dochodu publicznego, jest art. 162, który dość przytoczyć, żeby odpowiedzieć na zarzuty Izb i dość przypomnieć już tyle razy uczynioną różnicę między attrybucyami cząstkowo nowemi. Przedmiotem tego nowego prawa wolność, z której J. C.-K. M. mógłby osobno korzystać, lecz której N. Pan zachował sobie ogólne i zbiorowe użycie. Dość zważyć nakoniec, iż monopolium tabaczne od czasu istnienia X. Warszawskiego i że rząd polski zmniejszył onego ciężar a powiększył dochód.

Izba obrachunkowa jest ostatnim wydziałem rządowym, nad którym się Izby zastanawiają. Jeżeli prawda, jak twierdzą też Izby, iż pomiędzy urzędnikami magistraturę tę składającemi, znajdują się niektórzy, co własnych niezdawszy rachunków, mogą być w przypadku sami je oczyszczenia, tedy J. C.-K. M. jest przekonanym, iż Rada uzna całą tej uwagi ważność i... członków teraźniejszych od władzy prawodawczej wskazanych podać je J. C.-K. M. środki zaradcze... nigdy członki Izby obrachunkowej nie były własnych sędziami, nie odbywały przezierania rachunków, do których oczyszczenia byłyby interesowane. Co się tycze przydania Izbie obrachunkowej członków Rad wojewódzkich, taż Izba sama łącznie z Radą Stanu będą umiały ocenić skutki, jakie podobne urządzenie w X. Warszawskiem sprawiło i pożyteczność, jakąby przynieść mogło pod dzisiejszym Rządem. Jedynie tu więc poradzić się należy powagi doświadczenia, którego przestrogi najlepszą zaiste składają odpowiedź na podanie zgromadzenia prawodawczego.

Kończą się uwagi sejmu na żądaniu rozwinięcia Ustawy konstytucyjnej w całej jej rozciągłości. Całkowite uzupełnienie tej ustawy i sumienne onej wykonanie są najcelniejszym zamiarem i najpierwszem J. C.-K. M. życzeniem. O tem nie można powątpiewać, że będą zawsze równie celniejszem prawidłem administracyi i najpierwszym celem usiłowań rządu polskiego, tego się N. Pan spodziewa. Takie są szczególne uwagi, jakie N. Pan sądzi potrzebnem udzielać Radzie względem mniemań Senatu i Izby poselskiej. Dalekim jednak jest N. Pan od przepisywania mocy obowiązującej zdaniu swojemu, pragnie J. C.-K. M., iżby wziąwszy materyę zaświadczenia przez ministra postanowień królewskich, względem której sam N. Pan wyrzekł, bo spełnienie tego życze-

nia było jedynie od N. Pana zawisłem. Rada Stanu roztrząsnęła, zważyła i z największą uwagą wyexaminowała oba podania reprezentantów Królestwa, ażeby prawdę od błędów rozróżniła i na prawdziwej zasadzie mylne mniemania z umiarkowaniem odparła, ażeby pożyteczne żądania przyjęła i podała najskuteczniejsze ku zadośćuczynieniu środki, a odsunęła wnioski szkodliwe, wykazując ich niebezpieczne skutki lub też mylność wiadomości, na jakiej się one zasadzają, ażeby słowem dała wyszczególniający w tej mierze J. C.-K. M. Rapport, któren byłby z woli N. Pana komunikowanym sejmowi przyszłemu i mógł służyć za dostateczną odpowiedź uwagom tegoż zgromadzenia. Pierwszy raz przystępując do używania najważniejszych swych swobód, mogły czasem Izby przestąpić granice, jakie im art. 107 konst. i art. 154 statutu organicznego o reprezentacyi narodowej przepisuje, lecz Rada nie powinna powątpiewać o ważności, jaką N. Pan przywiązuje do sprawowania tej pożytecznej prerogatywy. Nie tajnem jest także Radzie, jak jest ważnem dla Rządu ustanowienie, za pomocą którego zasięga opinii publicznej względem przeszłości i dowiaduje się o jej na przyszłość życzeniach. Zastanawiać się będę nad waszemi żądaniami, powiedział N. Pan do reprezentantów Kr. Polskiego na przeszłym posiedzeniu, mam nadzieję, dowiecie się, iż takowym zadosyć uczyniono o ile dozwoliły okoliczności. Te słowa Naj. Ces. i Króla są razem najogólniejszem i najdokładniejszem woli Jego Pańskiej wyrażeniem, którą minister Sek. Stanu ma honor udzielić i zwrócić obu Izb sejmowych przełożenia.

W Carskiem Siele d. $\frac{23\ \text{Sierpnia}}{4\ \text{Września}}$ 1818 r.

Podp. *Ignacy Sobolewski.*

Do namiestnika
w Radzie Stanu.

Barzykowskiemu całe „wyrażenie Najwyższej woli“ wydało się być objawem niechęci monarszej spowodowanej zbyt śmiałemi przełożeniami sejmowemi. Przedewszystkiem zaś w następującym ustępie dojrzał on znamię niezadowolenia, czy też królewskiego nieukontentowania: „Ustawa nie upoważnia Izby do *strofowania* postęp-

ków rządu, nie upoważnia do czynienia mu wyrzutów, lecz jedynie do wyrażenia zdania swojego z powodu uczynionych sejmowi poleceń. Ażeby zaś zdanie przez sejm objawione mogło przynieść istotny użytek, powinno być wynurzeniem jakiego wyraźnego życzenia, objawieniem koniecznej jakiej potrzeby a nie wyłuszczeniem zasad ogólnych i owych teoretycznych badań, których mylne zastosowanie w tak zgubne wprawiło świat błędy. Nie powinno ono składać się z ogólnych zarzutów rządowi czynionych, że z nadto wielkim pośpiechem postępował, że nadto wiele razem przedsiębrał robót, że nie zawsze wybierał przedmioty, które istotnie wymagały pierwszych jego starań, że mnóstwem urządzeń szczegółowych, częstokroć jednych z drugiemi sprzecznych, zarzucił mieszkańców i utworzył tym sposobem odmęt, w którym napróżno się błąkają. Rządowi łatwo czynić zarzuty, ale trudniej byłoby dowieść ich przyzwoitości."

Ustęp powyższy jedynie w oderwaniu od uwag poprzednich i następnych wydaje się być zbyt kategorycznym i przemawiać w sposób nieco za surowy. Już jednak naczelna wzmianka żądająca, aby się Izby ściśle ograniczyły w obrębie władzy, jako im pod tym względem art. 154 statutu organicznego o Reprezentacyi narodowej oznacza, uspakaja zupełnie czytelnika. Co się zaś tycze następujących uwag, zakończających ów inkryminowany ustęp, to wypływają one z ducha i treści porządku konstytucyjnego oraz są wymownym dowodem troskliwości monarszej o to, żeby ów porządek nie zwyrodniał, ale stał się serdecznym węzłem łączącym monarchę z Reprezentacyą narodową. Niepodobna też odmówić wysokiego rozumu stanu woli monarszej, kiedy pragnie, aby przełożenia sejmowe „były oświadczeniem z wielkiem umiarkowaniem i z wszelkiemi względami, jakie sobie nawzajem władze publiczne są winne, gdy będzie ono mogło dostarczyć rządowi wskazań, zdolną pomnożyć szczęśliwość praktyczną, ów wspólny cel ‚tak życzeń narodu, jak usiłowań Rządu. Podobne oświadczenia powinny się przyczynić do ustanowienia między pierwszemi i drugiemi zupełnej uczuć i zamiarów zgodności, do utrzymania owej sforności i jednostajnego trybu machiny rządowej poruszania, bez której zniweczona byćby musiała koniecznie równowaga, która działaniami jej kierując, łagodnemi je czynić może, wyrażając zdanie swe z prostotą, z prawością, zrzekając się ułudzeń towarzyszących zręcznemu mowy ułożeniu... na które częstokroć osobiste namiętności naprowadzają pomimowolnie słabość ludzką, a przeciwko którym największa nawet zamiarów czystość nie zawsze

uzbroić jest zdolną, jeżeli najczynniejsza rozwaga nie ostrzega bez ustanku o grożącem niebezpieczeństwie. Zaraz potem „najwyższa wola“ wskazuje polityczny cel, do jakiego dążą wszelkie poprzednie, krytyczne uwagi: „zbyt wiele na tem J. C.-K. Mości zależy, aby te ustawy w pierwszem ich rozwinięciu nie zostały przekształcone, jako też, aby i władze konstytucyjne temiż ustawami stosowały się do przepisanych sobie prawideł i szły bez żadnego zboczenia przepisaną sobie drogą, z której schodząc w przepaść wpadałyby nieomylnie.“

Jeżeli monarsze w ustępie powyżej przytoczonym chodziło o normalny i harmonijny stosunek reprezentacyi narodowej do rządu, jeżeli pragnął oprzeć powyższy stosunek na wzajemnem poważaniu i wyrozumiałości, usuwającej podejrzewania, że rząd, a poza nim ukrywający się monarcha dążą do podkopania rządów konstytucyjnych samowolą administracyjną i do wytworzenia systemu, który w ówczesnej Francyi nazwany został „Constitutionnalisme bâtard,“ to w końcu swej Najwyższej woli wyraźnie oświadczył, że całkowite uzupełnienie ustawy konstytucyjnej i sumienne jej wykonanie są najcelniejszym zamiarem i najpierwszem J. C.-K. M. życzeniem. O tem zaś nie można powątpiewać, że będą zawsze celniejszem prawidłem administracyi i najpierwszym celem rządu polskiego. Monarcha dalekim jest od przypisywania mocy obowiązującej zdaniu swojemu, pragnąc jedynie, aby Rada Stanu roztrząsnęła, zważyła i z największą uwagą wyegzaminowała oba podania reprezentantów Królestwa, aby prawdę od błędów rozróżniła i na prawdziwej zasadzie mylne mniemania z umiarkowaniem odparła, ażeby pożyteczne żądania przyjęła i podała najskuteczniejsze ku zadośćuczynieniu środki, a odsunęła wnioski szkodliwe, wykazując ich niebezpieczne skutki lub mylność wiadomości, na jakiej się one zasadzają, słowem: ażeby dała wyszczególniający w tej mierze J. C.-K. Mości raport, który byłby z woli N. Pana komunikowanym sejmowi przyszłemu i mógł służyć za dostateczną odpowiedź uwagom tegoż zgromadzenia.

Niezwykłej wagi jest końcowy ustęp „Najwyższej woli,“ który wzbudził w społeczeństwie nieuzasadnione zupełnie niepokoje. Brzmi on jak następuje: „Pierwszy raz przystępując do używania najważniejszych swych swobód, mogły czasem Izby przestąpić granice, jakie im art. 107 konstytucyi i art. 154 statutu organicznego o organizacyi narodowej przepisuje, lecz rada nie powinna powątpiewać o ważności, jaką N. Pan przywiązuje do sprawowania tej pożytecznej prerogatywy. Nie tajnem jest także radzie,

jak jest ważnem dla Rządu ustanowienie, za pomocą którego zasięga opinii publicznej względem przeszłości i dowiaduje się o jej na przyszłość życzeniach. Barzykowski utrzymuje, że „najwyższa wola“ rozpoczynała polemikę z sejmem i zmieniała ducha konstytucyi. Słuszność i sprawiedliwość były, jego zdaniem, po stronie sejmu i przyznaje jedynie, że do uwag sejmowych wcisnęły się za ostre nagany. Na owe zbyt ostre nagany monarcha odpowiedział ze spokojem, że Izby przekroczyły atrybucye zapewnione im konstytucyą i statutem o reprezentacyi, ale przypisuje to owej zrozumiałej okoliczności, że Izby przystąpiły po raz pierwszy do wykonywania najważniejszych praw konstytucyjnych, a więc nie miały jeszcze w tej dziedzinie należytego doświadczenia. Ażeby jednak zatrzeć wszelkie drażniące skutki łagodnego przypomnienia, monarcha wyraźnie zaznacza, że jest dalekim od przypisywania mocy obowiązującej zdaniu swojemu, że pragnie, aby Rada Stanu zajęła się gruntownem rozpatrzeniem „przełożeń sejmowych,“ w celu zakomunikowania swych uwag przyszłemu sejmowi, a co najważniejsza, że zapewnia Radę, iż przypisuje wielką wagę do prerogatywy sejmowej czynienia monarsze przełożeń.

W zasadzie więc o zmianie ducha konstytucyi nie mogło być mowy. Najwyższa wola bowiem uznawała całą doniosłość przełożeń sejmowych dla porządku konstytucyjnego i pragnęła jedynie uchronić je od doktrynerskich, nieujętych wycieczek i zawrzeć w obrębie obowiązującego prawa. Pragnienia monarsze ochroniłyby niewątpliwie Izby od wielu jałowych a przedewszystkiem drażniących dyskusyi, od szczepienia nieufności między reprezentacyą narodową i monarchą, a przedewszystkiem od drażnienia monarchy nieustającemi podejrzeniami. W czemże wreszcie Najwyższa wola miała zmieniać ducha konstytucyi, gdy wogóle w zasadniczych kwestyach nic zmieniać nie pragnęła. Zalecając Radzie Stanu wiele spraw szczególnych do uwzględnienia, monarcha w innych donioślejszych wymagał cierpliwości, dopóki rozwój konstytucyi za pośrednictwem wprowadzenia prawa finansowego nie zostanie uzupełnionym. Zarówno jednak w kwestyach zasadniczych, jak i poszczególnych drobniejszej natury Najwyższa wola starała się wniknąć w ducha konstytucyi i statutów, wyrozumieć dokładnie, unikając wszelkiej rabulistyki, przepis obowiązujący, aby otwarcie i lojalnie przedstawić przyszłemu sejmowi pogląd monarchy na rozwój porządku konstytucyjnego. Mogły niektóre zapewnienia Najwyższej woli (np. o wolności druku) wydać się Izbom niezupełnie zadawalniającemi, albo też odsuwającemi zbytnio na przyszłość ową ważną gwarancyę życia konstytu-

cyjnego, ale rozum stanu nakazywał Izbom wierzyć zapewnieniom monarszym, że całkowite uzupełnienie ustawy konstytucyjnej i sumienne jej wykonanie są najcelniejszym zamiarem i najpierwszem J. C.-K. M. życzeniem. Tego zaufania i tej cierpliwości Izb oczekiwał monarcha tem bardziej, iż nie chwytał się środków wpływania na wybory i stworzenia sobie sztucznemi sposobami powolnej reprezentacyi narodowej, jak to w innych państwach konstytucyjnych miewało miejsce.

Zresztą doktrynerskie, bezwzględne usposobienie opozycyi sejmowej było dla Aleksandra I niewygodnem jeszcze z innego, ważnego powodu. Urządzenia konstytucyjne w Królestwie Polskiem od samego początku swego istnienia dawały społeczeństwu rosyjskiemu i światowi jego dygnitarsko-urzędniczemu powód do wysokiego niezadowolenia i wyraźnej podejrzliwości. Obietnica Aleksandra I wprowadzenia porządku konstytucyjnego do prowincyj litewsko-ruskich, dawniej do Rzeczypospolitej polskiej należących, musiała społeczeństwo rosyjskie ogarniać śmiertelną trwogą. Każde, choćby najdrobniejsze nieporozumienie monarchy z Reprezentacyą narodową, każde domaganie się, czy prośba o przyśpieszenie rozwoju konstytucyjnego było dla społeczeństwa rosyjskiego jawnym dowodem niewdzięczności, zapowiedzią krańcowego uporu, po za którym ukazuje się złowróżbne widmo rewolucyi. Dla owego stronnictwa patryotycznego, rosyjskiego, porządek konstytucyjny w Królestwie Polskiem był wyraźnem złudzeniem monarchy, rozszerzenie go zaś na prowincye litewsko-ruskie wywoływało podejrzenie, że monarcha stracił z oczu dobro Rosyi, a poddał się zupełnie niezrozumiałym polskim mrzonkom. Każde więc bezwzględne, doktrynerskie wystąpienie opozycyi, odsuwało na przyszłość urzeczywistnienie obietnic monarszych, każde bowiem takie wystąpienie stawiało monarchę w trudniejszem położeniu wobec narodu rosyjskiego, a tem samem odraczało w jego umyśle urzeczywistnienie przyobiecanych powiększeń Królestwa.

Najwyższa wola nie wpłynęła wcale na rozdrażnienie społeczeństwa polskiego, ani na zaszczepienie niechęci w reprezentacyi narodowej na sejmie w r. 1820. Na drugim sejmie Królestwa senator-wojewoda Wybicki, nie mógł się nachwalić, jak nieocenione są korzyści Polaków pod słodkiem panowaniem Aleksandra będących i jak święte stąd dla nich wypływają obowiązki nigdy niezmiennej wdzięczności i nieograniczonego poświęcenia się. W tym duchu przemówił także w krótkości senator, kasztelan Kochanowski, tłómacząc uczucia narodu dla całej Najjaśniejszej

rodziny.[1]) Izba poselska równie jak starsi jej bracia, na pierwszym planie miała nieograniczoną miłość dla N. Pana, dostojnej jego rodziny i swojej ojczyzny.[2]) „Z tronu polskiego, z ust ukochanego monarchy mieli szczęście reprezentanci słyszeć najwyższe zadowolenie, które N. Pan oświadczyć raczył, znajdując się wśród posłanników narodu, a spełniając najdroższe życzenia swoje powołaniem go do uczestnictwa w utrzymaniu i rozwinięciu ustaw narodowych, a oznajmując już ogłoszone przez siebie zasady chrześcijańskiej moralności i jej Boskich prawideł, zastosowaniem których byt Polaków i ich swobody przywrócone zostały, wyrzekł, iż używanie tych swobód temiż samemi zasadami kierowane w gruntowności rzeczy a nie w próżnych zaciekaniach czerpane, z uwagą jedynie zwrócone na ważne sprawy, jakie sejmowi są poruczone, zdoła podnieść posłanników narodu do wysokości dostojnego powołania.“ [3])

Z Dziennika posiedzeń Izby poselskiej w czasie sejmu Królestwa Polskiego w roku 1820 odbytego, nie możemy nabyć należytego wyobrażenia o tonie obrad i bezwzględności opozycyi sejmowej. Dziennik bowiem posiedzeń uległ ostrzejszej cenzurze niż Dyaryusz sejmu 1818 r., a uzupełnień Dziennika nigdzie mi się odnaleźć nie udało. Barzykowski i Morawski podają jednak gwałtowniejsze ustępy mów opozycyjnych, które w Dzienniku posiedzeń miejsca nie znalazły[4]) i z nich przekonać się można, że prócz oratorskich frazesów obliczanych na efekt, nic obrażającego dla monarchy nie zawierały. W każdym razie ton przemówień opozycyjnych w r. 1820 jest namiętniejszym i uporczywszym niż w r. 1818, a poseł powiatu kaliskiego Niemojowski złożył u laski wyraźne zaskarżenie przeciw ministrowi religii i oświecenia publicznego, Potockiemu i Radcy Stanu Staszicowi o zakontrasygnowanie postanowień administracyjnych z d. 22 maja i 16 lipca 1819 roku, podciągających pod cenzurę najprzód pisma peryodyczne, a następnie wszystkie inne bez wyjątku dzieła. Jakimkolwiek był jednak ton opozycyi na sejmie w r. 1820 nie sprowadził on jednak na manowce Izby poselskiej, która ustami swego marszałka (Rembieliński) zapewniła monarchę przy pożegnaniu, że

[1]) Dziennik posiedzeń Izby poselskiej w czasie sejmu Królestwa Polskiego w r. 1820. Str. 9—10.

[2]) Dziennik posiedzeń i t. d., str. 10.

[3]) Dziennik posiedzeń i t. d., str. 11—12.

[4]) Barzykowski, t. 1, str. 142. Morawski, t. 6, str. 142.

oddaje cześć rzadkim przymiotom prawodawcy i przewodnika narodu. Nadawszy W. C.-K. Mość Królestwu Polskiemu konstytucyę na równowadze władz przez nią działanych opartą, mieć zarazem chciałeś abyśmy tego znakomitego dobrodziejstwa z chwałą dla jego twórcy, z pożytkiem dla nas samych w całej rozciągłości używali. Silny rzetelnością swej własnej chęci i zamiarów zrobienia nas istotnie szczęśliwemi, sam, miłościwy Panie, ukształcenie ducha publicznego w narodzie polskim przedsięwziąłeś. Któż tej świetnej prawdzie zaprzeczyć zdoła: że ani do wyboru reprezentantów, ani do ich na dwóch już sejmach zdania, najmniejszego W. C.-K. Mość nie chciałaś mieć wpływu i z rzadką ufnością w czasie zaburzeń południa, po drugi raz ich zwołałeś, aby nad rozwinięciem konstytucyjnych zasad i uporządkowaniem instytucyj z nich wypływających, pracowali. [1])

W odpowiedzi od tronu, monarcha zazwyczaj tak wyrozumiały, uwzględniający a nawet przebaczający, nie mógł się powstrzymać od wypominań, przestróg i niechęci. Zapytajcie się sumienia waszego, brzmiały monarsze słowa, a dowiecie się, czyli w ciągu obrad waszych położyliście dla Polski wszystkie usługi, których ona po waszej oczekiwała mądrości, lub też czy przeciwnie, ulegając ułudzeniom nader po dziś dzień pospolitym i poświęcając nadzieję, którą przezorna ufność byłaby ziściła, nie opóźniliście w jego postępach dzieła przywrócenia ojczyzny waszej. Ta ciężka odpowiedzialność na was spadać będzie. Jest ona koniecznym skutkiem niepodległości zdań waszych, zdań wolnych, lecz którym chęć czysta zawsze przewodniczyć winna. Moja chęć jest wam znajoma. Otrzymaliście dobre za złe, a Polska znów się podniosła do rzędu mocarstw. Trwać będę w moich względem niej zamiarach, pomimo mniemania, któreby powziąść można o sposobie jakim waszych swobód używaliście. [2]) Jako odpowiedź na przemowę Rembielińskiego można uważać słowa monarsze nawet za surowe i odpychające. Ale co najważniejsza, że od chwili owej odpowiedzi ogarniała Aleksandra coraz większa niechęć do uzupełniania konstytucyi i do przewodników opozycyi sejmowej. W. Ks. Konstanty opowiedział to w r. 1827 Czartoryskiemu, że Aleksander I, wyjeżdżając po sejmie w r. 1820 z Warszawy, powtórzył mu kilkakrotnie z naciskiem, że konstytucyę bierze na siebie,

[1]) Dziennik posiedzeń i t. d., str. 78.
[2]) Dziennik posiedzeń i t. d., str. 83—84.

a co do dalszego postępowania pozostawia mu „carte blanche.“ [1]) Być bardzo może, że W. Ks. Konstanty przesadził nieco słowa monarsze wyrzeczone ab irato, ale w każdym razie lekceważenie konstytucyi osłaniał odtąd W. Książe powagą monarchy i w roku 1830 nieomieszkał zapewnić posłów kaliskich na audyencyi im danej, „że konstytucya i wszelkie prawa, o tyle i tak długo obowiązują, o ile się zgadzają z wolą monarchy. Władza nie od dołu pochodzi, lecz pochodzi od Boga, który postanowił królów, aby rządzili państwami, jak im się podoba.“ [2])

Niechęć monarchy do przywódców opozycyi była prawie jeszcze większa aniżeli do teoryi konstytucyjnej, jaką wyznawali. Zwłaszcza Wincenty Niemojowski, doktryner w dobrej wierze i obywatel przejęty uczuciem żywej wdzięczności dla monarchy za wskrzeszenie ojczyzny i nadanie jej konstytucyi, stał się przedmiotem ścisłego i niechętnego nadzoru policyi. Gdy w r. 1821 oświadczył publicznie w Kaliszu, iż na przyszłym sejmie ujmie się za majorem Radońskim, W. Ks. Konstanty wezwał go do Warszawy w r. 1822 i oświadczył, że cesarz i król zakazuje mu pokazywać się w jego obecności. Niemojowski podpisał odpowiednią deklaracyę, ale zastrzegł ustnie, iż na sejm, jako poseł przybędzie i tylko pominie otwarcie i zamknięcie sejmu, ażeby się monarsze nie pokazywać na oczy. Pomimo, że Niemojowski prosił ministrów i Namiestnika królewskiego o wstawienie się za nim do monarchy, upewniając o swej lojalności i przywiązaniu do tronu, odepchnięty został od rogatek warszawskich i odstawiony pod konwojem żandarmów do swego majątku Przystani, pod Kaliszem. [3]) Prócz tego W. Ks. Konstanty, któremu były znanemi uprzedzenia skryte Aleksandra, oświadczył w r. 1827 Czartoryskiemu, który zarzucał mu, że szkodził krajowi: „Otóż myliłeś się, tó nie ja szkodziłem temu krajowi, ale Niemojowski i towarzysze. Cesarzowa Katarzyna, gdyby wróciła na ziemię, miałaby z nich najlepszą podporę, oni wszystko zepsuli.“ Jakkolwiek Czartoryski z nieubłaganą logiką odparł, że aparat przemocy, policya tajna, kontrpolicya, szpiegowie, denuncyacye, więzienia sprawiły

[1]) Prof. Szymon Askenazy. Dwie rozmowy w Belwederze (1827). Str. 18—19 (Bibl. War. 1906, Kwiecień).

[2]) List Wincentego Niemojowskiego do generała Umińskiego z d. 5 lipca 1830 r. (Manuskrypt Biblioteki Ord. Kras.).

[3]) Krótki opis przyjazdu mego do Warszawy na sejm 1825 roku i mojego przyaresztowania. (Winc. Niem. Manuskrypt Biblioteki Ord. Kras.).

więcej szkody od Niemojowskich,[1]) W. Ks. Konstanty nie został tem przekonany i w r. 1830 na audyencyi danej posłom kaliskim łaskawie oświadczył między innemi: „Po co te krzyki na sejmach 1818, 1820 roku i teraz? Spytajcie się pana Bonawentury Niemojowskiego co mu w tej mierze mówiłem. On i brat jego Wincenty, wstrzymali rozszerzenie waszej ojczyzny. Niechaj jej nieprzyjaciele stawiają im pomniki. Gdyby nie ci dwaj panowie, Litwa i Wołyń już byłyby Polską.“ Wspominając o cesarzowej Katarzynie, nadmienił jeszcze W. Książe: „że jak obrońcy konstytucyi 3 maja, tak teraz pp. Niemojowscy zaszkodzili ojczyźnie. Nie tym sposobem zdołacie ustalić swobody narodowe, na nic się zdadzą wasze spory, te hałasy, odstępowanie od materyi, ustawiczne deklamacye przeciw artykułowi dodatkowemu i t. d.[2])

Byłem zniewolony wkroczyć w nieco późniejszy okres sejmowy roku 1820-go, aby stwierdzić ów fakt, że wola Najwyższa z 23 sierpnia (4 września) nie wszczepiła nieufności między tronem a reprezentacyą narodową i społeczeństwem polskiem. Owszem Najwyższą wolę można i należy uważać za różczkę oliwną, dążącą do zgody, porozumienia i pragnącą jawnej i lojalnej polemiki, któraby objaśniła rząd o nadziejach reprezentacyi narodowej. Dopóki Najwyższa wola była zwiastunem porozumienia się monarchy z reprezentacyą, nadzieja rozwoju konstytucyjnego była uprawnioną. Z chwilą, gdy jej zabrakło, wystąpiło tajone zniechęcenie, które od czasu do czasu ujawniało się w gwałtownych i obraźliwych występach W. Ks. Konstantego, wykazujących coraz to większą przepaść między monarchą a reprezentacyą narodową.

Poświęcając dawniej uwagę naszym poglądom politycznym z r. 1818, gdy mi nie była znaną pełna treść Najwyższej woli z d. 23 sierpnia (4 września) 1818 r., przyszedłem do przekonania, że płynęły one z poczucia zgody, wyrozumiałości, sprawiedliwości i miłości publicznego dobra i zapowiadały rządom reprezentacyjnym Królestwa Polskiego żywot trwały i krzepki. Po zapoznaniu się z treścią Najwyższej woli, nie mogę zmienić w niczem mego zdania. Owszem, w Najwyższej woli z r. 1818 znajduję potwierdzenie domniemania, że monarcha dążył do nieustannego rozwoju porządku konstytucyjnego, choć w powolniejszem

[1]) Sz. Askenazy. Dwie rozmowy w Belwederze (1827), str. 17.

[2]) List Wincentego Niemojowskiego do generała Umińskiego z d. 5 lipca 1830 r.

tempie, aniżeli tego pragnęła reprezentacya narodowa; dalej, że pragnął oprzeć swój stosunek do reprezentacyi na zasadach otwartości i lojalności, które miały utrwalić wzajemną ufność, a wyłączyć wszelkie podejrzenia o złą, grecką wiarę. Otwarcie sejmu 1820 r. jest najlepszym dowodem, jak należycie pojęły Izby Najwyższą wolę z 1818 r. i że reprezentacya narodowa była tak jak dawniej przejęta żywą wdzięcznością i przywiązaniem dla swego „ukochanego króla,“ dla swego „monarchy wskrzesiciela.“

A. Rembowski.

Wizye malarskie.

I.

(*Alma Tadema*).

Mieni się fiolet modrej fali,
Złocą się winnic wzgórza,
Korynckі brzeg w pogodnej dali
W błękit się nurza.

O marmur, kędy spływa woda
Z paszczęki lwa, źródlana,
Greczynka ramię wspiera młoda,
W pieśń zasłuchana.

Ciemny, w panterzej skórze, Stary
Uderza w tympan głucho,
Włos mu oplotły nenufary,
Perłą lśni ucho.

A śniade dwa pustynne syny,
W drapieżnej Ojca władzy,
Dzwonią palcami w tamburyny...
Wysmukli, nadzy.

Płynie pieśń smutna, pieśń gorąca,
Pieśń żądzy, pieśń cierpienia,

Stary Numida w drumlę trąca
I rytmy zmienia.

A chłopcy smukli—rozśpiewani,
Zwierzęcy i uroczy,
Rzucają kwiaty do stóp Pani
I patrzą w oczy.

II.

(*Jacek Malczewski*).

Na poddaszu bieda święta,
Dzień wiośniany i zaklęta
Dusza, co się zwie: Świtanie.

Cztery ściany wapnem siwe,
A młodości życiem żywe,
Żywe życiem malowanie.

Na poddaszu oknem świta
Dzień promienny i umyta
Deszczem młodym przestrzeń nieba.

Dom to malowanej myśli,
Z którą ludzie w światy wyszli,
Jasnej sztuki to koleba.

Stoi w izbie grat-drabina,
Na drabinie cud-chłopczyna,
Który nie wie nic o świecie.

Patrzy na świat w koło ściany,
To w swój kubrak wyszarzany—
Ściska palce na palecie...

. . . . . .

I widzą mu się przedziwne czary,
Płynie w powietrzu postaci rój,
Więc najprzód z brodą rozwianą stary,
Niosący w oczach zsiniały znój.

I jakiś młody o krwawem czole
Sponiewieraną podnosi dłoń,
I jeszcze trzeci—prawie pacholę—
Szklane spojrzenie wbił w pustą toń.

A w koło dalej śmiechliwe dziewki
I krętorogich satyrów chór,
Rychło na trzcinach ozwą się śpiewki,
Rychło zatańczy wapniany mur.

Zejdą figury, te malowane,
Wezmą pod rękę, chwycą za stan,
Spłyną ze ściany na drugą ścianę,
Wprzędą się razem w obłędny tan.

Już płyną wieńcem—twarze za twarzą
W okół drabiny, dziwaczny lud,
Rychło zagrają, rychło zagwarzą,
Rychło uniosą chłopczynę w cud.

III.

(*W. Riepin*).

...I pójdą dalej, wolności tchem upici,
Jak szumi wiatr, jak płyną wody rzek,
I pójdą dalej, płomienne niosąc wici,
Na łany zbóż, na ciemnych lasów brzeg;

I pójdą dalej płonący i pożarni
Na ziemię skib, nad którą wschodzi nów,
Na pola mar, na siny step męczarni
Zawieją skier, — szalonych wichrem słów.

I pójdą dalej przez mrok zapamiętały,
Szukając zórz, by z nocy powstał dzień,
I pójdą dalej przez gniew, przez ból, przez szały,
Przez nienawiści żar, przez burze chceń...

I pójdą dalej—przez winy i rozpacze,
W skardze poczęty wznosząc ludu śpiew:
Straszliwą pieśń, co nędzą wieków płacze...
I pójdą dalej — przez krew, przez krew,
przez krew...
I pójdą dalej...

Jan Przysiecki.

Z życia ministra Lubeckiego.

VIII.

Rząd Tymczasowy.

Krysiński znowu umaczał pióro i zapisał na świeżym arkuszu papieru:

„3-go grudnia o 1-ej z południa.“

„Wojsko wchodzi. Rada zaprasza jenerałów na sesyę.“

„Rada zaprasza“ — a więc o pierwszej popołudniu istniała jeszcze Rada Administracyjna i ona zapraszała jenerałów na posiedzenie — tak sobie to przynajmniej wyobrażał Krysiński, nie marny jakiś protokólant bez inteligencyi, ale sprytny, bystry urzędnik, który w tym nieopisanym chaosie sam sobie nie zdawał sprawy, jaka to właściwie w tej chwili ma się odbywać „sesya?“ Dziewięciu jenerałów stawiło się w sali obrad; prócz obu ocalonych, Wincentego Krasińskiego i Kurnatowskiego, prócz ich wybawców, Chłopickiego, Szembeka i Sierawskiego, wszyscy, których można było na prędce zwołać, polscy jenerałowie, obecni w tym dniu w Warszawie, wszyscy niemal, których w stolicy zastał wybuch powstania, a którzy nie poginęli w nocy 29 listopada: sędziwy jenerał piechoty Izydor Krasiński, dwaj dyrektorowie w ministerstwie Wojny, Rautenstrauch i Darewski, wreszcie Żymirski, dzielny komendant grenadyerów gwardyi, który okazał tyle taktu i przytomności w pierwszych chwilach powstania. Ra-

zem było, prócz Chłopickiego, dwóch jenerałów broni, dwóch jenerałów dywizyi i czterech brygadyerów, czwarta część właśnie całej ówczesnej polskiej generalicyi, po śmierci sześciu poległych w nocy belwederskiej.

Dziwna rzecz, że ich wszystkich dziewięciu udało się na prędce zgromadzić, gdy sąsiednie ulice nabite były tłumem, a wskutek tego nawet komunikacya z miastem niemałe natrafiała przeszkody. Trudne zadanie mieli do spełnienia „galopeny“ Księcia-Ministra, gotowi do takich usług na każde zawołanie, cywilny sztab Lubeckiego, o ścianę, w jego apartamentach czekających jego rozkazów. Ten lub ów z jenerałów znalazł się wprawdzie tuż pod Bankiem, przybywszy tu w pochodzie wojskowym z oddziałami, które na placu św. Aleksandra połączyły się z wojskiem, z pod Wierzbna wracającem. Trzech czy czterech niepodobna było odszukać; trzeba było obejść się bez nich, choć na tem niezmiernie wiele zależało, żeby jenerałowie polscy, obecni wówczas w stolicy, ile możności w komplecie stawili się na tem zebraniu.

Nim wszyscy zdołali się zgromadzić, czekając na nieobecnych, Czartoryski zagaił sesyę. W sali byli w tej chwili trzej dopiero jenerałowie, Żymirski, Krasiński i Kurnatowski; trzej inni, „wybawcy“ dwóch ostatnich, znajdowali się zapewne w pobliżu, zajęci uspokajaniem tumultu ludowego na placu. Czartoryski, obejmując przewodnictwo w zebraniu, zawezwał Lubeckiego, według słów protokółu, by zdał sprawę „z tego, co się stało i z położenia naszego.“

„Lubecki — tak zapisano dalej w protokóle — powtarza to, co już wiemy o początku tej rewolucyi... Szembek wchodzi i donosi, że tłumy ludu żądały wydania im lub przynajmniej oddalenia się jenerałów: Wincentego Krasińskiego i Kurnatowskiego; że zaledwie zdołał ich uspokoić; ale że jenerałowie ci, dogadzając życzeniom ludu, na chorągwie złożyć powinni przysięgę, że przeciwko nim (sic) walczyć nie będą. Jenerałowie oświadczają gotowość zrobienia tego.“

W protokóle pominięto tu jeden nieobojętny szczegół. Na zapytania Lubeckiego, wszyscy trzej obecni jenerałowie złożyli to oświadczenie, każdy zosobna: najpierw dwaj „ocaleni,“ po nich Żymirski. Pierwszy Kurnatowski przemówił: „Jestem Polakiem, kocham ojczyznę, lecz okoliczności w tem położeniu mnie postawiły, że jeżeliby przyszło do wojny przeciw Cesarzowi, czynnego udziału w niej wziąć nie mogę.“ Krasiński rzekł: „Ja podzielam zdanie jenerała Kurnatowskiego.“ Tylko Żymirski oświadczył

bez zastrzeżeń: „Jestem Polakiem i tam pójdę, gdzie naród i wojsko będzie, i jeżeli przyjdzie do wojny, czynem dowiodę, ile ojczyznie wiernym być umiem“ [1]).

Czy „przyjdzie do wojny“ — to było wówczas jeszcze zupełnie niepewne; i Żymirski liczył się tylko z tą *możebnością*. Zastrzeżenia, złożone przez dwóch jenerałów, nie zniewalały ich więc bynajmniej na razie do opuszczenia narodowych szeregów; była w nich jedynie zapowiedź wyjścia ze służby, g d y b y przyszło do walczenia przeciw monarsze, któremu już przysięgli na wierność. Czegoż jednak domagał się Szembek: przysięgi, że nie będą walczyli przeciw narodowym sztandarom, uroczystego, przysięgą stwierdzonego zobowiązania, które w tej chwili miało sens i prak-

[1]) Obecność t r z e c h tylko jenerałów: Krasińskiego, Kurnatowskiego i Żymirskiego, przy zagajeniu sesyi, stwierdzona wyraźną wzmianką w protokóle. Krysiński pomylił się tylko widocznie — *lapsus calami* — wpisując „Izydor“ zamiast „Wincenty“ Krasiński, gdy Izydora oczekiwano, może o tem właśnie mówiono, czy uda się go sprowadzić, a Wincenty już się znajdował na sali. Dembowski, delegowany do przyprowadzenia Wincentego Krasińskiego i Kurnatowskiego (Wspomnienia II. 58) mówi wyraźnie, że po ocaleniu obu jenerałów: „Krasińskiego przyprowadzono z a r a z do sali posiedzeń Rządu; jednocześnie ukazał się Kurnatowski... Krasiński był czerwony, rozogniony, lecz przytomny i tej przytomności winien był zachowanie życia; Kurnatowski zbladł i stracił zupełnie przytomność.“ Psychologia Krasińskiego w tym momencie godna baczniejszej uwagi, jako charakterystyczna illustracya stanu uczuć i umysłów w tym krytycznym momencie, a zarazem, jako przyczynek do charakterystyki wydarzeń tego dnia. Połączywszy się z Chłopickim i Szembekiem, Krasiński był niezawodnie zdecydowany szczerze przystąpić do powstania. Inna rzecz, ile go ta decyzya mogła kosztować, wobec jego przekonań, które stwierdził swem stanowiskiem w Sądzie Sejmowym i wobec stosunków jego z dworem. Niezliczona była rzesza podobnych jemu, na równie jak on wybitnych lub niższych stanowiskach, którzy z ciężkiem sercem przystępowali do powstania. Odkąd jednak ujrzał autograf W. X. Konstantego, swojego wodza, pozwalający wojskom polskim połączyć się ze swoimi, mógł i musiał mieć to przekonanie, że honor wojskowy nie wzbrania mu oddać się na usługi sprawie, dla której wybuchło powstanie. Według protokółu posiedzenia, na którem ukonstytuował się Rząd Tymczasowy, bezpośrednio przed ukonstytuowaniem nowego Rządu, złożył piśmienne podanie się do dymisyi, czem nie uwłaczał przysiędze, złożonej *według roty*, której text podaje ten protokół. K i e d y, w którym momencie dojrzała w nim ta decyzya — niewiadomo. Z zestawienia dwóch sprawozdań, które mamy o tym fakcie (Bronikowskiego Kronika emigracyi V. 314 i Barzykowskiego Hist. powst. I. 388) oraz urzędowego protokółu, zdaje się wynikać, że Krasiński *długo się wahał*, podczas całego po-

tyczną doniosłość. Jak się oświadczy przeważna liczba polskiego wojska, stojąca po województwach, co uczynią dwie trzecie kolegów Krasińskiego i Żymirskiego, jenerałowie nieobecni w Warszawie, pełniący służbę przy swych komendach: o tem różne czyniono przypuszczenia — pewności nie było żadnej. Do takich samych *możliwości*, jak w ogólności „wojna z Cesarzem," należała ta sama wojna, pojęta tylko jako „wojna z królem," wojna, w której różne pułki polskiego wojska mogły się znaleźć po tej albo tamtej stronie. Tego zatem domagano się od jenerałów, by przysięgli, że w razie takiej „wojny domowej" nie będą walczyli przeciw sztandarom, na których tę przysięgę składali. Taką przysięgę można było, albo nie można, złożyć, wobec zastrzeżeń, które

siedzenia, i w końcu napisał podanie o dymisyę. Świadectwa Bronikowskiego, naocznego świadka, i Barzykowskiego, który z Bronikowskiego korzysta, ale niektóre podane przezeń szczegóły przedstawia odmiennie, dwa te pozornie sprzeczne świadectwa uzupełniają się wzajemnie. Szczegóły, podane odmiennie przez Barzykowskiego, polegają niezawodnie na wiarygodnej informacyi Czartoryskiego, odnoszą się zaś do *innego momentu* niż to, co inaczej podaje Bronikowski. U Barzykowskiego *trzej jenerałowie* po kolei składają oświadczenia: Kurnatowski, Krasiński i Żymirski; musiało to być więc na samym początku posiedzenia, gdy według protokółu *tylko ci trzej jenerałowie* byli obecni. Kurnatowski wręcz oświadczył, że w razie wojny z Cesarzem, udziału w niej wziąć nie może; Krasiński przyłączył się do tego oświadczenia; Żymirski oddał się na usługi bez żadnych zastrzeżeń. Ponieważ „wojna z Cesarzem" bynajmniej nie była wówczas rzeczą zdecydowaną, a ukonstytuowany na tej samej sesyi Rząd Tymczasowy bardzo wyraźnie nawet to zaznaczył w pierwszej zaraz swojej odezwie, zastrzeżenie Kurnatowskiego i Krasińskiego nie wymagało jeszcze bynajmniej natychmiastowej dymisyi. Po takiem oświadczeniu nastąpiła scena na balkonie, podczas której przemówienie Krasińskiego i odosobnione zapewne, w protokóle zapisane okrzyki: „Vivat Krasiński" zagłuszyły wybuch obelg, zanotowany tamże w wyrazach: „A Sąd Sejmowy?" w rzeczywistości jednak okropny, jak wnosić można z opisu N. Sierawskiego (Przewodnik nauk i liter. 1905, str. 805). Skutkiem tej sceny było podanie się o dymisyę. Tu należy wersya Bronikowskiego, według której Krasiński przyparty ostatecznie do muru przez Lubeckiego, „odpowiedział zmięszany: *Po tem, co się stało*... wziął pióro i napisał prośbę o dymisyę." Za takiem pojmowaniem przebiegu rzeczy przemawia i to, co Lubecki wyrzekł po oddaleniu się Krasińskiego i Kurnatowskiego, według świadectwa Bronikowskiego; znaczenie tych słów było: lepiej pozbyć się tych jenerałów, niż przyjmować usługi, ofiarowane z zastrzeżeniami. Ostateczną decyzyę powziął zatem Krasiński po scenie balkonowej, która go więcej rozgoryczyła, niż przebyte poprzednio niebezpieczeństwa, podczas pochodu i przed Bankiem. To był ów moment

wypowiedzieli Krasiński i Kurnatowski: to od nich zależało. Oni obaj gotowi byli przysiądz. Rota przysięgi brzmiała: „Ja, ten a ten, przysięgam na tę narodową i akademicką chorągiew, że przeciwko narodowi polskiemu, ani otwarcie, ani skrycie działać nie będę i honorem to zapewniam.“

Dwie te chorągwie znalazły się w mgnieniu oka; takiej przysięgi nie można było składać na żadnym z tych pułkowych sztandarów, przed którymi zaprzysięgano żołnierzy na wierność panującemu monarsze. Tych pułkowych sztandarów nie brak było w pobliżu, powiewały na placu i w przyległych ulicach. Symbolem powstania mógł być sztandar akademicki legionu, który profesor Szyrma zorganizował nazajutrz rano po wybuchu powstania. On z akademikami dzielnie też przyłożył się pod Bankiem do ocalenia Kurnatowskiego i Krasińskiego. Był na placu z akademickim sztandarem. Szyrma jednak, o drugi jeszcze poważniejszy postarał się sztandar, czcigodny symbol walki o niepodległość: sztandar Kościuszki, przechowywany w Towarzystwie Przyjaciół Nauk. Czy go zawczasu z góry przygotowano, czy też przynie-

psychologiczny, od którego datowała się jego niezaprzeczona zawziętość na powstanie listopadowe. Czytając niedawno ogłoszony list jen. Krasińskiego do syna (Kallenbach, Zygmunt Krasiński I. 263 — 266) znajduje się klucz do zrozumienia psychologii tego wojskowego, który ostro krytykuje powstanie, widząc w niem z daleka lub chcąc widzieć jedynie niecną robotę klubistów, apostołów społecznego przewrotu. Ten stary żołnierz, zelżony przez warszawską ulicę 3-go grudnia, widział całe powstanie w świetle scen tak barwnie opisanych przez Napoleona Sierawskiego; im boleśniej mu było siedzieć w Petersburgu, gdy jego towarzysze broni bili się za Polskę, tem silniej ulegał autosuggestyi, mającej źródło we wspomnieniach 3-go grudnia, wspomnieniach dla niego bezwarunkowo najokropniejszych. Zrozumieć można, że stary żołnierz tylko w tej autosuggestyi znajdował usprawiedliwienie siebie samego przed sobą samym; to doprowadziło go do pewnego rodzaju manii, której jaskrawym wyrazem jest ów przytoczony list do syna. Ta zaś sytuacya jenerała i ów list, tą sytuacyą wywołany, stały się niezmiernie doniosłym czynnikiem twórczości Zygmunta Krasińskiego, czy nie doniosłejszym, niż to dotychczas spostrzeżono; wzgląd, dla którego również psychologia jenerała Krasińskiego warta głębszego zastanowienia. Syn nie dał się ojcu przekonać; tak straszny jednak ciężar byłby mu spadł z serca, gdyby był mógł dać się przekonać, że mimowoli list ojca większe na nim wywarł wrażenie, niż on sam sobie z tego zdawał sprawę; list ten stał się też dla Zygmunta Krasińskiego źródłem swojego znów rodzaju autosuggestyi, źródłem, z którego wypłynęła nietylko Nieboska Komedya, ale i cały właściwy mu sposób patrzenia na sprawy narodowe, w związku ze sprawą rewolucji społecznej.

siono na prędce z Krakowskiego Przedmieścia, niewiadomo. Szkoda, że niewiadomo. Wogóle nie wiadomo, ile w tem wszystkiem było improwizacyi bez żadnego przygotowania, ile rozmysłu, jeśli nie długiego rozmysłu, to przynajmniej choćby od chwili, gdy do Banku nadeszły doniesienia o pochodzie wojskowym, dążącym na plac Bankowy. Bądź co bądź, są niejakie wskazówki, że członkowie Rządu porozumieli się z Chłopickim podczas tego pochodu przez ulice Warszawy; już może wówczas posłano po jenerałów i — po sztandar Kościuszki, po relikwię, której stróżem był przecież obecny w Banku prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, stary Julian Ursyn Niemcewicz...

Uroczyste zaprzysiężenie odbyło się w obliczu zgromadzonego ludu, na balkonie bankowym; jak jednak ten akt uważano za integralną część posiedzenia, odbywającego się na sali, świadczy urzędowy protokół w następujących słowach:

„Wychodzą na ganek. Jenerałowie koleją wykonywają taką przysięgę“ — tu wpisano text powyżej przytoczonej roty — „Jen. Krasiński do ludu: Służę 50 lat Ojczyźnie; honor imienia polskiego za granicą roznosiłem; powróciwszy, starałem się, ile możności, zawsze dobrze robić. Z początku: Vivat Krasiński! Po tych ostatnich słowach zewsząd okrzyki: A Sąd Sejmowy, a Sąd Sejmowy! Kiedy nie mam ufności, mówi dalej Krasiński, zaświadczam, iż żadnego dowództwa nie przyjmę, dopóki teraz osobiście na tę ufność nie zasłużę. Szembek przemawia i z trudnością przywraca spokojność. Kurnatowski przysięgę wykonywa. Potem mówi: Całe życie byłem i będę dobrym Polakiem; wpierw umrzeć niż przestać nim być. Powiedziano mi z 50 osób, abym nie wchodził do Warszawy, bo mnie zabiją. Gardzę śmiercią, stanąłem na czele wojska i dopełniłem powinności mojej. Po przysiędze“ — wszystko to słowa urzędowego protokółu — „każdy z jenerałów uściskał Szyrmę, który przysięgę odbierał, i obydwóch chorągiew trzymających. Szembek potem zachęcił do porządku, a głośne okrzyki ludu przywiązanie do Szembeka wyraziły.“

Jak na urzędowy protokół, scena balkonowa barwnie opisana i z życiem. Więcej szczegółów w opisie Sierawskiego: „Pułk stał w miejscu, bo dalsza droga do koszar była mu przez pospólstwo zamknięta. Zwróciło się ono znów z tysiącznymi okrzykami do Banku, wołając: Krasiński, Kurnatowski! I po chwili otworzyły się podwoje od balkonu pod zegarem. Wyszli obaj, stając przed Sądem ludu. Padły dwa strzały z tłumu, lecz chybiły. Krasiński dał znak ręką, że chce mówić; uciszono się. I mówił długo, przypominając zasługi swych przodków krajowi położone, przy-

pominał wojnę hiszpańską, Samosierrę, wojnę roku 1812, Berezynę, Lipsk i kampanię roku 1813 i 1814, przyprowadzenie resztek wojsk polskich do Warszawy z Francyi, lecz przerywano mu ciągle wołając: A potem!... A później!... Jakim byłeś synem Ojczyzny?!.. Zaprzedałeś nas Moskalom!... A Sąd Sejmowy!... Sam jeden wotowałeś karę śmierci na naszych patryotów!... Tak to ten człowiek, tyle niegdyś ukochany, tyle popularny w kraju i w stolicy, stał złamany pod tym nieubłaganym sądem. Potem przemówił śmiało i energicznie Kurnatowski. Wołał: Niczem nie zawiniłem Ojczyźnie... nic nie mam sobie do wyrzucenia... Temu już nie przerywano, głuchem milczeniem to usprawiedliwienie przyjęto. Ustąpili nakoniec obydwaj. Ktoś w naszych szeregach zawołał: Niech żyje Ojczyzna! Żołnierze powtórzyli. A ten lud dopiero tyle groźny, zapalczywy i mściwy, znów rzucił się na nas powtarzając ten okrzyk tysiącami głosów, rozerwał nam szeregi, ściskał ręce żołnierzy i oficerów, całował konie, odpinał swe białe kokardy i nam je rozdawał...“

Drastyczniejsze jeszcze, może przesadzone szczegóły, podaje o kuzynie Józef Krasiński: „jenerał na klęczkach usprawiedliwiać się począł... dopraszał się, by mu dozwolono rozpocząć służbę na nowo od prostego żołnierza z karabinem w ręku... Jenerał Szembek przyczynił się, że Wicuś dnia dzisiejszego na sucho od pospólstwa rozszarpanym nie został...“

Szembek istotnie po raz drugi ocalił Krasińskiego. Nikt w tym dniu nie miał takiej władzy nad tem ludzkiem mrówiskiem, zalegającem plac Bankowy i sąsiednie ulice; ci sami bowiem, których dziełem było takie roznamiętnienie ulicznych tłumów, uczynili ich bożyszczem Szembeka: wodza, który w nocy wszedł do Warszawy a rano bratał się z Klubem—nowe, na dziś i jutro bożyszcze popularności, dające się spożytkować przeciwko Chłopickiemu, który musiał runąć niechybnie, jeśli Klub miał utrzymać zdobytą już pozycyę. Klub zawiódł się na Szembeku. Gdy jenerałów wprowadzono do Banku, żądano zaprzysiężenia ich na balkonie: nie dano za wygraną. Po mowie Krasińskiego nastał moment krytyczny. Ten dziwny dyalog jenerała z ludem zaostrzył tylko groźną już sytuacyę; ta mowa, przerywana złorzeczeniami, stłumiona obelgami i zniewagami, dolała jeszcze oliwy do jarzącego ognia. Padły strzały — chybiły. Wtedy przemówił Szembek—i „przywrócił spokojność, z trudnością,“ jak zapisano w protokóle, ale przywrócił. Jedna chwila uspokojenia — i uniesienie patryotyczne wzięło górę nad namiętnością, nad żądzą krwi i stryczka. Na marne poszła cała dwudniowa praca Mochnackie-

go; tłumy ludu, zbratane z wojskiem, rozeszły się świątkować po ulicach Warszawy.

I dalej trwało, przez resztę dnia i wieczór, to bratanie się wojska z ludem; otwierały się serca, wznosiły w górę, w takt bijąc z dźwiękiem narodowych pieśni; szumowiny złych żądz rozpienione przed chwilą, opadły na dno.

Tymczasem dowódcy tego wojska, serdecznie bratającego się z ludem, zasiedli dokoła wielkiego stołu w sali rządowej i przerwane posiedzenie zaczęło się na nowo. Wejście Szembeka i Szyrmy ze sztandarami przerwało Lubeckiemu rozpoczętą mowę; znów zabrał głos i mówił już obecnie do wszystkich dziewięciu jenerałów. Mówił długo; jednemu z obecnych zdawało się, że ta mowa trwała „z godzinę;“ może z umysłu tak długo mówił, może oczekiwano, czy tymczasem nie przyjdzie ten albo ów jenerał, po którego posłano. Krysiński nie podał w protokóle streszczenia tak długiej mowy; w paru słowach określił przedmiot przemówienia. „*Rada* potem *przez usta Lubeckiego* opowiedziała dalej stan rzeczy dzisiejszy jenerałom, a to: obudwom Krasińskim, Rautenstrauchowi, Żymirskiemu, Kurnatowskiemu, Szembekowi, Sierawskiemu, Darowskiemu, Chłopickiemu.“

Krótka i małomowna zapiska, cenna jednak i bardzo cenna, bo urzędowa. Trudno o wyrażenie dosadniejsze jak: „*Rada przez usta Lubeckiego*...;“ minister mówił w imieniu i z polecenia Rządu, tego Rządu, co właśnie miał z placu ustępować; mówił wezwany do tego z urzędu przez księcia Czartoryskiego, członka Rady królewskiej nominacyi, który po tyle razy w ostatnich dniach zastępował prezesa Rady, także z nominacyi królewskiej, za jego zgodą i z jego upoważnienia.

Co mówił? w jakiem świetle „dzisiejszy stan rzeczy jenerałom przedstawił?“ Mamy o tem dwie wersye, obie z pod pióra naocznych świadków, wersye wręcz z sobą sprzeczne i—na pierwszy rzut oka — nie dające się ze sobą pogodzić.

Według Bronikowskiego, którego wersya przeszła do literatury powstania i ustaliła sąd potomności o „chytrej, podstępnej grze Lubeckiego,“ była to mowa w duchu skrajnie rewolucyjnym: „Czy dobrze, czy źle będzie dla Polski, że rewolucya wybuchnęła, to skutek pokaże; ale kiedy już tego, co się stało, cofnąć nie można, powinniśmy, jako Polacy, starać się, aby rewolucya zwyciężyła. Mamy wojsko, pieniądze, gubernie Polskie (Litwa, Wołyń, Podole) sprzyjające powstaniu, mamy za sobą wiele nadziei zagranicznej pomocy; nie powinniśmy więc rąk opuszczać, ale działać. W rewolucyi nadewszystko potrzeba działać szybko; zatrzy-

mywać się w niej, jest to samo, co się cofać. Powinniśmy iść naprzód; Litwa, Wołyń, Podole, Ukraina, powinny być teatrem naszych działań; Królestwo Polskie powinno być naszą rezerwą i dostarczać innym prowincyom broni, instruktorów, pieniędzy, ludzi. Jedna bitwa wygrana, może nas zaprowadzić dalej, niż się dziś spodziewać możemy, *ale nadewszystko potrzeba nam rządu energicznego* i szczerych chęci.“

Inne wrażenie odniósł z tej długiej mowy kasztelan Dembowski: „Osądzono za rzecz przyzwoitą wyprowadzić obydwóch (jenerałów) na balkon, z którego Niemcewicz“ — to nieznany skąd inąd szczegół — „i parę innych osób przemawiało do pospólstwa w obronie tych dwóch dowódców, którzy wykonali przysięgę na wierność sztandarowi i sprawie powstania (?). Poczem nastąpiła prawdziwa komedya. Ks. Lubecki, zaprosiwszy tych dwóch jenerałów, aby zasiedli, rozpoczął długą relacyę, jakim sposobem powstał lud Warszawy, przypisując to zajście nieporozumieniu. Zdawało się, słysząc nagromadzone przez niego sofizmata, iż *nic w zwykłym porządku się nie zmieniło, że wszystko wróciło do zwykłego stanu.* Może z godzinę te tłómaczenia się ks. Lubeckiego trwały...“

Jeden słuchacz rozumiał, że mówca, przemawiając w imieniu Rządu, stał się zdecydowanym rzecznikiem rewolucyi, zapowiadał jej rozszerzenie na Litwę, Wołyń, Podole, Ukrainę, ufał w zwycięstwo, liczył na zasoby i środki, którymi powstanie może rozporządzać. W uszach drugiego słuchacza brzmiała natomiast tak „komicznie“ lojalna nuta długiego przemówienia, jakby Książe-Minister, faworyt Mikołaja, wziął sobie za zadanie sofistycznie dowodzić, że noc listopadowa była tylko wynikiem nieporozumienia, że obecnie wszystko wróciło w zwyczajne karby należnej lojalności. A na domiar tego tak szczególnego nieporozumienia, pierwszy słuchacz był przecież zagorzałym rewolucyonistą, wiceprezesem Klubu; drugi był członkiem Rządu, tego samego schodzącego z widowni Rządu, który według słów protokółu, mówił *przez usta Lubeckiego.*

Żaden z nich nie miał pewno na celu fałszowania historyi. Bronikowski tylko, który z pewnością wysłuchał *całej* mowy, może przecież niejedno sam sobie w duszy dośpiewał, dosłuchał się tak silnych akcentów, jakich przecież w mowie nie było. Bądź co bądź, uległ silnemu wrażeniu tej przemowy; pod jej wrażeniem — sam to przyznaje — złożył na posiedzeniu Klubu stanowcze oświadczenie, że Rządowi można zaufać, bo „działa rewolucyjnie.“ Artykuł, w którym podał powyższe streszczenie tej przemowy, pisał po czterech latach, na emigracyi, w odpowiedzi na zjadliwe zarzuty,

że oszukał Klubowców, że, conajmniej, sam dał się wywieść w pole „chytrej“ — jak ją nazywa — „polityce Lubeckiego.“ Mógł zatem mimowoli to lub owo przesadzić, mógł w swem streszczeniu dać nadto ostre kontury myślom nie tak stanowczo, jaskrawo wyrażonym; sensu mowy jednak bez wątpienia nie chciał, ani nie mógł fałszować, choćby tylko dla tego, że to pisał w czasopiśmie emigracyjnem i każdy mógł mu kłam zadać, kto z nim razem był na tem posiedzeniu.

Dembowski zaś — to pewna — słyszał tylko początek mowy, nie zasmakował w tem, co usłyszał, i — znużony, jak sam się żali — wyszedł niezawodnie ze sali. Słyszał to tylko, co Bronikowski streszcza na wstępie w kilku wyrazach, umyślnie krótko, bo to znów nie nadawało się bardzo do celu jego artykułu: *„czy dobrze czy źle będzie dla Polski, że rewolucya wybuchnęła, to skutek pokaże.“* Tego zaś, co usłyszał, z roztargnieniem widocznie słuchał; utkwiły mu w pamięci niektóre wyrażenia, z których wyrobił sobie wyobrażenie o całej tej „komedyi,“ nie uprzedzony niezawodnie o celu przemówienia. Było zaś tam bez wątpienia na wstępie jasne i wyraźne stwierdzenie tego samego stanowiska politycznego, które Lubecki tak dokładnie określił, tego samego dnia nad ranem, w dyktowanym projekcie raportu Rady do Cesarza: stanowiska, opartego, dopóki można, o zasadę wierności, zaprzysiężonej konstytucyjnemu królowi; stanowiska, które Bronikowski nie bez przyczyny zamazał w swem streszczeniu, Dembowski zaś wziął za sofizmat, „iż nic w zwykłym porządku się nie zmieniło.“ Ze stwierdzeniem tego stanowiska zasadniczego szedł niezawodnie w parze - jak w drugim punkcie konkluzyi projektowanego raportu — równie silny, jak w tym raporcie, wyraz przekonania, że z tem wszystkiem trzeba być w danym razie przygotowanym do wojny, że jeźli jej się nie uda zażegnać, to zawre „krwawa walka, walka exterminacyjna, po której ukończeniu zwycięzca nic nie znajdzie w Królestwie, prócz trupów i popiołów.“ Jeźli Lubecki użył takich silnych wyrazów w raporcie Rady do Monarchy, łatwo odgadnąć, jak się wyrażał o tym samym przedmiocie w 12 godzin później, mówiąc w imieniu tej samej Rady do jenerałów: z pewnością nie łagodniej, z niemniej silnym naciskiem na nieubłaganą konieczność wojny, którą jedynie Cesarz może aktem swojej woli zażegnać. *Tem pewniej* jednak, tem niezawodniej *musiał* Lubecki w swojej mowie do jenerałów jedną myśl jeszcze rozwinąć i uzasadnić, myśl, którą omijają obydwaj sprawozdawcy. Była to jednak bez wątpienia główna myśl polityczna całego przemówienia, przedmiot trzeciego punktu w konkluzyach raportu Rady do Mikołaja,

myśl „kompromisu“ i negocyacyj, ten kompromis mających na celu. Pod znakiem tej właśnie myśli, ukonstytuował się za chwilę Rząd Tymczasowy i na pierwszem swem posiedzeniu zajął się obradami nad wykonaniem tego a nie innego programu—ten sam Rząd, którego utworzenie *w obliczu dowódców polskiego wojska* było jedynym celem całej tej długiej mowy Księcia-Ministra. Pominięcie tak ważnej rzeczy w obydwu sprawozdaniach zupełnie zrozumiałe. Dembowskiego nie było w sali, Bronikowski zaś nie miał zamiaru pisać historyi tego posiedzenia, wyjaśniał tylko braciom emigrantom w polemicznym artykule dziennikarskim, dlaczego z tej mowy Lubeckiego powziął wyobrażenie o „rewolucyjnem działaniu Rządu.“ „Układy“ zaś, „negocyacye“—to było wówczas, na emigracyi, po upadku powstania, coś tak niepopularnego, coś tak wprost zbrodniczego, że tego przemilczenia nie można poczytać Bronikowskiemu, w artykule takiej treści, za jakieś zdrożne *peccatum ommissionis.*

Tem mniej, że istotnie w tej mowie zabrzmiały z taką siłą akcenta rewolucyjne, jak tego dotąd nigdy jeszcze nie było w enuncyacyach rządowych; w ustach Księcia-Ministra brzmiały one taką odurzającą prawdziwie niespodzianką, że wiceprezes Klubu mógł łatwo pod tem wrażeniem nie zwrócić należytej uwagi na program zasadniczy: na program negocyacyj, wówczas jeszcze bynajmniej nie tak niepopularny. Jeżeli bowiem długa mowa Ministra musiała być mniej więcej dość dokładną reprodukcyą tych samych myśli, które już wyraził był jasno w raporcie Rady, było w niej po za tem niezawodnie coś więcej jeszcze: *był ten ustęp o Litwie i o Rusi*, którego Bronikowski z pewnością nie wymyślił; stwierdza to także świadectwo Lelewela, który był również wówczas w sali rządowej i słuchał z naprężoną uwagą. Tak zatem to hasło, które dało powstaniu prawdziwą narodową cechę, hasło rzucone dość nieśmiało przez posłów opozycyjnych na posiedzeniu Rządu 1-go grudnia, odzywające się w rokowaniach z W. X. Konstantym, nie zaszczycone najlżejszą choćby wzmianką w klubowych „żądaniach ludu“ z 2-go grudnia, sponiewierane nazajutrz rano na zgromadzeniu Klubu splątaniem z hasłem stryczka i szubienicy — to hasło wypowiedziała głośno ustępująca Rada Administracyjna przez usta Lubeckiego i przekazała go następcom w swym testamencie...

Lubecki zakończył mowę pytaniem zwróconem do jenerałów, „czy *w tym duchu chcą działać*“ — „*z nami działać*,“ powiedział, z tem gronem osób, co razem z jenerałami zasiedli przy tym stole; w ich imieniu bowiem przemawiał, oni milczeli, co Bronikow-

ski poczytywał słusznie za „milczące potwierdzenie opinii Lubeckiego.“ Byli to: Czartoryski, Niemcewicz, Pac i Lelewel; tych przynajmniej Bronikowski wymienia.

„Krasiński — tak brzmi dalej świadectwo Bronikowskiego — ciągle zmięszany odpowiedział: *Po tem, co się stało...* wziął pióro i napisał prośbę o dymisyę. Lubecki przeczytał ją i Krasiński wyszedł. Po tem zapytał Lubecki Kurnatowskiego; ten uczynił to samo, co Krasiński.“ Inni zostali, nawet Rautenstrauch. „Po oddaleniu się tych oficerów — kończy Bronikowski — członkowie Rządu zaczęli z miejsc powstawać; Lubecki prosił, aby pozostali, winszował Rządowi, że się pozbył dwóch nieprzyjaciół, gdyż lepiej będzie, że będą otwarcie przeciw nam, niż żeby szkodzili potajemnie...“ To zrozumiałe wobec zastrzeżeń obydwu jenerałów, że w razie wojny nie mogą walczyć przeciw Cesarzowi; inni jenerałowie, wysłuchawszy programu, który im obwieszczono w imieniu Rządu, przyjąwszy go w milczeniu, tem samem z nim się wiązali bez jakichkolwiek zastrzeżeń.“

Był zatem program Rządu — Lubecki składał temu Rządowi powinszowania — Rządu jednak nie było; była tylko w tem gronie zgoda na utworzenie Rządu Tymczasowego, skład Rządu był — niewiadomy. I na to pewno była zgoda poprzednio; wybór członków jednak odłożono aż do tej chwili. Dziwna rzecz, niepojęta — a przecież pewna, stwierdzona protokółem urzędowym; po zapisie o dymisyi Krasińskiego, protokół posiedzenia kończy się na wyrazach: „Rada wybiera, kto do Rządu Tymczasowego należeć ma. Lubecki: Ja nie będę.“

Łatwo pojąć, w jakim to stało się celu. Najważniejszą, decydującą dotychczas kwestyą było pytanie: jak zachowa się wojsko, na czyją przechyli się stronę? Od paru godzin przy W. X. Konstantym nie było już polskiego żołnierza; po piśmie W. Księcia, pozwalającem polskiemu wojsku „połączyć się ze swoimi,“ było wiele otuchy, niemal pewność, że również żaden z pułków po za Warszawą teraz przy nim nie stanie. W tej samej jednak chwili przestał istnieć także ten Rząd, który daremnie wczoraj żądał od W. Księcia, by pod jego rozkazy oddał polskie wojsko. Rządu nie było; wojsko było bez wodza, bo naczelne dowództwo Chłopickiego — logicznie biorąc — gasło razem z tą władzą, która go mianowała naczelnym wodzem. Lada chwila mógł powstać nowy Rząd — gdziekolwiek, na ulicy lub w salach redutowych z ramienia Klubu; za przykładem Szembeka mogli pójść inni jenerałowie, choćby niektórzy, choćby tylko z instynktu karności narodowej. Utworzenie nowego Rządu w obliczu jenerałów, po

wysłuchaniu przemowy Lubeckiego, obwieszczającej program władzy rządowej: to była w ówczesnem położeniu wielka wygrana; Rząd Tymczasowy rodził się z siłą, której brakło jego poprzednikowi: miał wojsko na zawołanie. Nikły obawy, w którą stronę zwrócą się komendanci dywizyi, stojących po za Warszawą; Chłopicki miał komendę nad całem polskiem wojskiem z ramienia Tymczasowego Rządu.

Charakter nowego rządu uwydatniono jasno w proklamacyi, którą obwieścił objęcie władzy:

„Rząd Tymczasowy Królestwa Polskiego.“

„Rada Administracyjna w powiększonym, wskutek postanowienia z dnia 30 listopada, składzie swoim, nie mogąc z jednozgodnych ze wszech stron doniesień, ciągle jeszcze nadchodzących, powątpiewać, iż zaufania narodu nie posiada i przekonawszy się, że w dzisiejszych okolicznościach steru Królestwa prowadzić nie może, uznała za rzecz nieodzowną, dla ogólnego dobra konieczną, oświadczyć, iż zarząd nadal przy niej pozostać nie może.“

„Gdy zaś wszelkiego rodzaju i najprzeróżniejsze pobudki, czy to w interesie narodu, czy *w interesie Króla, nie mogącego dla odległości rezydencyi zaradzić dzisiejszym tego kraju potrzebom* natychmiastowego ustanowienia magistratury, władzę najwyższą sprawować mającej, wymagają, dla tego *członkowie, przez Radę Administracyjną do składu jej wezwani*, istotną potrzebą znagleni, w zamiarze zapobieżenia opłakanym bezrządu skutkom, stanowią, co następuje:

„Art. I. Ustanawia się Rząd Tymczasowy; wszystkie postanowienia i czynności rządowe pod tem imieniem mają wychodzić.

„Art. II. Rząd Tymczasowy składać się będzie z następujących osób: 1) Wojewoda ks. Czartoryski, 2) Senator kasztelan Kochanowski, 3) Senator kasztelan Pac, 4) Senator kasztelan Dembowski, 5) J. U. Niemcewicz, 6) Joachim Lelewel, 7) Władysław hr. Ostrowski.

„Art. III. Oprócz wyżej wymienionych osób, Rząd może wezwać do grona swego członków, których do tego w razie potrzeby osobnem wezwaniem powoła.

„Art. IV. Dalsze istnienie Rządu i warunki jego istnienia po zebraniu się Izby Senatorskiej i Izby Poselskiej zależeć będą od uchwały, jaką Sejm wyda w tej mierze.

Był to więc bez wątpienia rząd samozwańczy i nielegalny, jak samozwańczym i nielegalnym musiał być każdy rząd w owej chwili; legalnym rządem przestała być ostatecznie i sama Rada Administracyjna, nawet pod prezydencyą Sobolewskiego, od pół-

nocy 29-go listopada, odkąd wbrew prawu przybrała do swego składu nowych członków bez nominacyi królewskiej; słusznie to akcentował na każdym kroku Konstanty i sam Mikołaj. Był jednak ten *tymczasowy rząd* — ile możności—jak najmniej samozwańczym; był bowiem niczem innem, jak emanacyą poprzedniego, już również nielegalnego rządu, z którego wyeliminowano naraz dwa elementa, na dwu przeciwnych biegunach stojące elementa: członków Rady z nominacyi królewskiej i — czterech reprezentantów Klubu, od rana członków Rady. Za tę eliminacyę ofiarowano im podobno „assystencyę z głosem doradczym," zapewne za pośrednictwem Bronikowskiego, jedynego klubowca, co był obecny przy urodzinach Rządu Tymczasowego. Musiało to stać się około trzeciej popołudniu; jeszcze wówczas wydało się rodzicom nowonarodzonego rządu rzeczą stosowną, nie drażnić Klubu, pomimo zapewnionej przez wojsko siły; wieczorem sytuacya tak się zmieniła, że w proklamacyi, ogłoszonej nazajutrz, — o „assystencyi" reprezentantów Klubu nie ma już żadnej wzmianki. To była druga wygrana—bezpośrednie następstwo pierwszej, urodzin Rządu w assystencyi dowódców wojska.

Samozwańczym nie był zatem o tyle Rząd Tymczasowy, że władzy nie chwycił jakiś zastęp pnących się do niej ludzi, jak Klub do tego zmierzał, ale ujęli ją w swoje ręce w imię pewnej zasady „przybrani członkowie" dawnego rządu, przybrani dobrowolnie, nie pod naciskiem. Brali ją na dziś i jutro, do zebrania i do decyzyi Sejmu, „w zamiarze zapobieżenia opłakanym bezrządu skutkom" — „w interesie narodu i króla." To wyraźne wspomnienie króla, to szczere czy nieszczere wyznanie, że nielegalne ujęcie władzy stało się koniecznością, gdy w danej chwili „król nie może, dla odległości rezydencyi, zaradzić dzisiejszym kraju potrzebom," to jasne przyznanie się do monarchy wobec rewolucyjnego kierunku Klubu i podżeganej przez Klub ulicy — to było równie ostrożnem, jak stanowczem stwierdzeniem programu, który Lubecki zarysował w swej mowie przed samem utworzeniem Rządu Tymczasowego.

W składzie Rządu Tymczasowego jedna była—niekonsekwencya: Chłopicki do niego nie wszedł, jakkolwiek i on był „członkiem przybranym" Rady. Czy uważano, że wódz naczelny nie powinien należeć do jego składu? może zaś tylko ten wzgląd posłużył za pretekst do usunięcia „Jenerała"—przez tego, kto w ukonstytuowaniu nowego rządu najczynniejszą miał rękę, sam nie wchodząc do składu?

Nalegano — zdaje się — na Lubeckiego, żeby się nie usuwał; on był tak czynny, tak wszystko robił w Rządzie od początku powstania, że trudno było sobie wyobrazić, jak się bez niego obejść. Rano jeszcze oświadczał, że nie można sobie wystawić ministra Skarbu, któryby nie należał do składu Rządu; jako minister zatem i jako członek Rządu domagał się dymisyi. Popołudniu zatrzymał tekę ministeryalną, uchylił się jednak od udziału w składzie Rządu Tymczasowego. To samo było z Mostowskim; inni ministrowie już poprzednio przestali bywać na posiedzeniach „wzmocnionej“ Rady, Rząd Tymczasowy zatem stał ponad ministrami; w ministrach Skarbu i Spraw Wewnętrznych miał—w zasadzie—jedynie wykonawców swych postanowień, inne wydziały przyszło mu oddać pod tymczasowe kierownictwo zastępców.

Różne być mogły pobudki, dla których Książe-Minister nie wszedł do Rządu Tymczasowego, chociaż go zapraszano. To jednak pewne, że konsekwencya tego wymagała; bez niego. Rząd Tymczasowy utworzył się, bądź co bądź, *w imię pewnej zasady*, z „przybranych“ jedynie członków Rady Administracyjnej; jego udział, otwarty udział, byłby tej zasady złamaniem i uwydatniałby tem jaskrawiej nieobecność innych członków dawnego Rządu z nominacyi królewskiej. Jak w sprawie niepodpisania owego listu do Konstantego, rano w tym samym dniu, i teraz mógł Lubecki kierować się podobnie względami oportunizmu. I tu rzecz miała również dwie strony: czuł nadto dobrze, po doświadczeniach dwu dni ostatnich, że udział jego w Rządzie Tymczasowym mógł tylko utrudnić położenie władzy, którą miał wszelkie prawo uważać za swoje dzieło; jako minister króla byłby się zaś sprzeniewierzył w sposób jaskrawy obowiązkom swego urzędu, gdyby po rozwiązaniu Rady wstąpił do nowej władzy. Co innego, choćby pod zwierzchnictwem Rządu Tymczasowego, nie zrywającego jeszcze bynajmniej z królem—pełnić czynności ministra Skarbu, obowiązki, które mu król powierzył. Różnica, subtelna może, lecz zasadnicza; nie omieszkał też jej uwydatnić wobec Monarchy, gdy przed nim niebawem stanął z misyą Rządu Tymczasowego. Przezorność nie na dziś tylko obrachowana, którą się powodował w tej samej chwili, gdy mówił jenerałom o programie nowego Rządu — przezorność ta w każdym razie nietylko osobistymi względami była podyktowana. Wierzył bowiem w skutek układów, *jeżeli weźmie je we własne ręce*—inaczej nie; gdyby zamknął sobie drogę do króla, nie mógłby się podejmować misyi do Mikołaja.

IX.

Dyktatura.

Co innego należeć do Rządu Tymczasowego, co innego tym rządem—kierować. Od tego Lubecki się nie uchylał. Nie wszedł do składu nowego rządu, był z nim jednak — jako minister Skarbu — w nieustającej styczności, i to w bardzo blizkiej styczności, bo Rząd Tymczasowy nie wyniósł się z tymczasowej siedziby Rządu i obradował dalej w gmachu Bankowym, o ścianę od mieszkania Ministra Skarbu. Przychodził zatem po dawnemu na posiedzenia, o ile było warto; po dawnemu na nich najczęściej głos zabierał i po dawnemu jego zdanie zwykle o wszystkiem decydowało. Zyskał tylko większą swobodę ruchów, nie potrzebując ciągle przesiadywać na sesyach, i czasu mu przybyło, którego nie marnował. Przerobił raport do króla, stosownie do zmienionych okoliczności, skreśliwszy na samym końcu owe śmiałe żądania w pięciu punktach sformułowane; na ich zaś miejsce wstawił lakoniczne zawiadomienie o ustąpieniu i rozwiązaniu tej najwyższej magistratury. Dyktował w wolnych chwilach inne akta, ważniejsze obecnie od raportu nieboszczki Rady Administracyjnej, pismo Rządu Tymczasowego do Jego Królewskiej Mości, projekt instrukcyi dla Deputacyi do Petersburga, projekta odezw, proklamacyj itp.

W wolnych chwilach jednak tylko zajmował się tą biurową robotą. Zresztą zaprzątnięty był czemś ważniejszem od pisaniny. Miał wprawdzie zaufanie do osób, składających Rząd Tymczasowy, do większości przynajmniej, do ich dobrej woli i charakteru. Nie wiele sobie jednak obiecywał po odwadze cywilnej członków nowego Rządu i po jego energii, sprężystości w działaniu. Lada silniejszy zapęd rewolucyi mógł łatwo obalić taką władzę, albo co najmniej dać w niej przewagę mniejszości, polującej na popularność, Dembowskiemu, Ostrowskiemu, Lelewelowi. Ciekawe też i niezmiernie charakterystyczne było zachowanie się Lubeckiego w sprawie jego misyi do Petersburga, gdy tę rzecz poruszono i uchwalono na posiedzeniu Rządu 4 grudnia, nie bez jego ukrytej inicyatywy. Oto dosłowny tekst protokółu: „Wchodzi Lubecki i mówi, aby drugi z nim był Władysław Ostrowski i aby było na pismie upoważnienie Rządu i instrukcya do negocyacyj; rozwija zasady do tej instrukcyi. *Bo powiedzą, że to moje dzieło, aby zrobić to, co ja zawsze chciałem dla Polski, i co ja zawsze mó-*

wiłem. Chcę wziąć z sobą Bouqueta i Łęskiego. Rada dobrze na wszystko.“ Na końcu zaś protokółu z tego samego posiedzenia zapisano, co następuje: „Lubecki wchodzi. Jeszcze mam jedno żądanie i proszę, aby pan Krysiński dosłownie je w protokóle zamieścił. Pojadę do króla, ale pod tym jedynie warunkiem, że każdy z dzisiejszych członków Rządu, którzy mnie do tego wybrali, da mi słowo, iż *nie porzuci Rządu, chybaby go gwałtem wypędzono.* Na zastępcę Ministra Skarbu: Platera. Wojsko przez jenerałów swoich wie o przyczynach, dla których istnieje Rząd Tymczasowy. Wezwać więc i jenerałów, aby wiedzieli, kto i dla czego jedzie do króla i czy się zgodzą na to.“ Jasny cel pierwszego żądania; po ustąpieniu Radziwiłła i Gustawa Małachowskiego lękał się dezercyi umiarkowanych żywiołów z Rządu Tymczasowego, w nowej, odmiennej sytuacyi, której urzeczywistnienia wyglądał; drugie żądanie, mniej zrozumiałe, było widocznie kokietowaniem z armią, z jenerałami, w przededniu blizkiego urzeczywistnienia tej nowej sytuacyi.

To bowiem pewne, że Lubecki już wówczas 4-go grudnia, chciał Dyktatury i liczył na to, że Chłopicki się Dyktatorem ogłosi. Obok Dyktatury było w planie Księcia Ministra miejsce i dla Rządu Tymczasowego, w jego obecnym składzie, jak nazajutrz istotnie się stało. W Chłopickiego, jako męża stanu, nie bardzo wierzył i rad był w swojej nieobecności widzieć przy nim poważne, popularne ciało doradcze, pod przewodnictwem Adama Czartoryskiego. Miał zaś słuszne — zdaje się — wątpliwości, czy Czartoryski pogodzi się z Dyktaturą i nie usunie się od wszystkiego, a za sobą i drugich nie pociągnie.

Czyż więc Lubecki rzeczywiście wymyślił Dyktaturę? Wymyślił? — nie. On miał w ogólności tak mało wykształcenia historycznego, tak mało zwłaszcza wiedział z historyi Rzymu, że do 2-go, 3-go grudnia może sobie nawet jasno nie zdawał sprawy, co znaczy właściwie Dyktatura. Nie wymyśliła jej też pani Wąsowiczowa, jak to mówili polityczni plotkarze. „Dyktatura nie była improwizowana“ — powiada słusznie Barzykowski — „owszem wypłynęła i była następstwem poprzedzających zjawisk i wypadków. Upadliśmy nierządem, anarchią; i wszystkim, całemu narodowi, ta prawda po naszym rozbiorze stała się jawną i wydatną... Naród chciał się otrząść z tych wad, które i sam czuł i zagranica aż nadto mu je szczodrze wyrzucała. Właśnie skutkiem tej poprawy, przy każdej myśli odrodzenia ojczyzny, o silnym rządzie, o władzy jednego myślano i ją ustanowić zamierzano... Nie była więc ona ani dziełem Czartoryskiego, ani Lubeckiego, ani, jak nie-

którzy twierdzą, szczebiotliwej Wąsowiczowej, ale skutkiem usposobienia narodowego. Kto pierwszy słowo *Dyktatura* wyrzekł, przyznajemy się, że z pewnością nie wiemy, ale znów powiedzieć możemy, iż słowo to wyszło najprzód od wojskowych, którzy Chłopickiego wtenczas otaczali. Oni mu ją podsunęli, przedstawili jako konieczność do uratowania bezpieczeństwa, porządku i sprawy narodowej nieuniknioną. Anarchia więc wywołała Dyktaturę, ten jest jej początek, nie inny."

Wszystko prawda; i temu można wierzyć, że „słowo to najprzód wyszło od wojskowych, którzy Chłopickiego wtenczas otaczali." Tylko z gruntu mylne byłoby mniemanie, jakoby Dyktatura Chłopickiego była czemś w rodzaju wojskowego *pronunciamento*, jakoby wojskowe otoczenie skłoniło Chłopickiego do wzięcia Dyktatury. On na kolegów wcale się nie oglądał, chyba o tyle, że ich przychylne dla Dyktatury usposobienie mogło drugim ułatwić skłonienie jenerała do tak śmiałego kroku; przychylność ta dawała rękojmię, że w wojsku nie będzie opozycyi. Z wojskowych jeden Wąsowicz miał wpływ na Chłopickiego, jako osobisty przyjaciel, tak samo jak Łubieńscy, ci sami, którzy go nakłonili i do objęcia komendy i do ogłoszenia się Dyktatorem. Przez Łubieńskich jednak i Wąsowiczów działał Lubecki, zarówno nazajutrz po wybuchu powstania, jak i 4-go grudnia.

Dyktatura była w powietrzu; od napadu Klubu na Radę, od jej rozbicia przez klubowców, pragnienie silnej władzy rosło coraz bardziej, lub przynajmniej wytwarzał się nastrój coraz przychylniejszy temu pragnieniu, nawet u najczerwieńszych, jeżeli tylko polskie biło w nich serce. I Mochnacki rozumiał, że to konieczne, i on chciał silnej władzy, chciał jej tylko dla siebie. Trzeba było chwycić tę władzę, bujającą w powietrzu. Mochnacki łudził się, że potrafi ją chwycić, wspiął się po nią i runął. W Warszawie zanadto było i sumienia i zdrowego rozsądku, żeby na to pozwolono młokosowi bez zasług, a o wątpliwej w każdym razie przeszłości. Dwóch było ludzi tylko, którzy mogli sięgać po Dyktaturę: Chłopicki i książe Adam; żaden nie chciał, i nie dziw; zbyt wielka była odpowiedzialność. Czartoryski miał słuszność najzupełniejszą. Dyktator, a nie żołnierz; Dyktator, rosyjski przed 25 laty minister; Dyktator wreszcie, Książe — to byłby od pierwszej chwili cel najzjadliwszych pocisków szowinizmu i społecznego radykalizmu, bez poparcia u wojska, nietylko bez poparcia ale ze zrozumiałą niechęcią armii do cywilnego uzurpatora. Lubecki więcej niźli ktokolwiek inny czuł i rozumiał nieodzowną potrzebę silnej, nieograniczonej, naczelnej władzy i najzupełniej się zgadzał,

że książe Adam nie może być Dyktatorem. Odkąd zwłaszcza podjął się misyi do Petersburga, mógł pod tym tylko warunkiem wierzyć w jej powodzenie, jeźli będzie traktować w imieniu jakiejś władzy, dającej pewną, ile możności rękojmię siły, trwałości i posłuchu. Chłopicki mógł i wziąć Dyktaturę i utrzymać w swych rękach, o ile gwałtowny, popędliwy charakter jenerała nie wprowadzi go w kolizye bez wyjścia, nie zniecierpliwi i nie zmusi do rzucenia władzy na bruk warszawski. Trzeba było jakiegoś wentylu bezpieczeństwa, hamulca na popędliwy charakter Chłopickiego. Tę rolę przeznaczył Minister Skarbu najbliższym przyjaciołom swoim i Dyktatora, tym samym, co przed kilkoma dniami z nieczynności wyrwali jenerała i wyciągnęli go z bezpiecznej kryjówki w pałacu Komisyi Wojny. I Rząd Tymczasowy mógł posłużyć do tego; niezbędne ciało doradcze dla żołnierza bez doświadczenia w rzeczach polityki i cywilnej administracyi; że zawadą nie będzie Dyktatorowi, o to nie było troski, kto znał i Chłopickiego i członków tego Rządu. Ważne, niezmiernie w tym składzie rzeczy ważne, mogło być stanowisko Jeneralnego Sekretarza przy Dyktatorze. Gdyby dostało się w ręce niepowołane, łatwo mógł jakiś zręczny człowiek wiele popsuć, jak znów wiele usług oddać sprawie publicznej. Lubecki miał na to gotowego człowieka, jednego ze swoich ludzi; był to zdolny jurysta, urzędnik prokuratoryi, później adwokat, Krysiński; jego *per nefas* narzucił na sekretarza „wzmocnionej“ Radzie i Rządowi Tymczasowemu. I rzeczywiście, jednym z pierwszych kroków Dyktatora, było powierzenie sekretarstwa jeneralnego Alexandrowi Krysińskiemu; on w każdej chwili czuwał nad Dyktatorem, a gdy była potrzeba, mógł bezzwłocznie wezwać Łubieńskiego, Piotra, Henryka czy Tomasza.

Nie łatwo było nakłonić „jenerała.“ Gdy drudzy spełniali to zadanie, Lubecki nad czem innem pracował, nad wytworzeniem odpowiedniego nastroju, by Dyktatura była w mieście dobrze przyjęta, a nie spotkała się z możliwym zawsze, terrorystycznym oporem Klubu, który przecież głośno narzekał na bezczynność, niezdarność Chłopickiego.

Lelewela, prezesa Klubu, spotykał codzień na posiedzeniach Rządu. I często z nim rozmawiał. Rychło jednak zapewne się przekonał, że w takich chwilach szkoda było drogiego czasu na rozmowy z tak znakomitym badaczem dziejów. Wielkie nieszczęście narodowe, powstanie 1831-go roku, było dziwnym zbiegiem okoliczności, ogromnem także nieszczęściem dla historyi narodu. Wyciągnęło z zacisznej pracowni naukowej niepospolitego badacza, jakiego wówczas podobno nie było w Europie; Niebuhr umarł 2

stycznia 1831. Cały właściwie drogocenny dorobek Lelewela dla dziejów Polski datuje z czasów przed powstaniem listopadowem; był w sile wieku, miał lat 44, a umarł, od lat trzydziestu wykolejony, w r. 1861. Na męża stanu tyle miał zdolności, temperamentu, przygotowania, co Lubecki do pisania historyi. Najlepiej przejrzał go Maurycy Mochnacki, w złośliwem opowiadaniu, które boleśnie dotknęło Lelewela, że „w czasie rewolucyi w starych księgach gmerał, nad wytartemi monetami ślepił.“ Tak nie było, to zgryźliwa przesada; wśród rękopisów jednak i monet było jedyne miejsce, z którego profesor powinien był się wcale nie ruszać. W pyle starych ksiąg nie nabył ni znajomości ludzi, ani sprawy publicznej; ni tego hartu, tego stopnia odwagi, bez którego w życiu publicznem ciągle tylko się ślizgał. Chwalebna oględność w krytyce naukowej wyrobiła w nim brak decyzyi, gdy życie dziś się jej domagało, nie dawało jej odkładać do jutra. Popularność, słusznie i zacnie zdobyta w Wilnie, utwierdzona w Warszawie, dała mu w przededniu powstania mandat poselski, który wyprowadził znakomitego erudyta na widownię życia politycznego bez innego przygotowania, prócz wyniesionej z badań historycznych nienawiści do oligarchii, prócz płynących stąd doktrynerskich uprzedzeń i upodobania w środkach rewolucyjnych, o ile na nie—patrzeć było można zdaleka. Dotknąwszy się ich zbliska, erudyt bladł i truchlał. Słaby charakter plątał go w tysiące kolizyj, z których nie umiał wybrnąć. Fala popularności wyniosła Lelewela na stanowisko przewodnie, dała mu równocześnie krzesło prezesa w rewolucyjnym klubie i miejsce w Rządzie, gdy ten Rząd „działał w imieniu króla.“ Brak odwagi cywilnej, nie zaś nawet jakaś wrodzona do intryg skłonność—pchała go z fatalnością nieubłaganą—do zdradzania jednej strony i drugiej.

Z Lelewelem nie warto było mówić. Lubecki, spotkawszy się po raz pierwszy z Mochnackim, wołał jego „wziąć na bok.“ Warto posłuchać słów naocznego świadka; było to—twierdzi Dembowski—w nocy po powrocie z Wierzbna. „Tej nocy, Mochnacki zasiadłszy na kanapie z ks. Lubeckim, kilka godzin rozmawiali, a kiedy mieliśmy się na spoczynek udawać i gdy już (Mochnacki) opuścił Radę, ks. Adam spytał się Lubeckiego: „„Nad czem tak długo radziliście?““ Na co ks. Lubecki odpowiedział: „„Z tego wszystkiego, com od Mochnackiego usłyszał, powziąłem przekonanie, iż ma zamiar mnie powiesić.““

Tylko co do środka egzekucyi pomylił się Minister. Obaj bowiem skorzystali niemało z tej konferencyi. Bystry Mochnacki przekonał się dowodnie, jak „niebezpiecznym“ człowiekiem był

Lubecki. Nazajutrz nie miał czasu na egzekucyę, na trzeci dzień jednak udał się do szkoły podchorążych i poprowadził „tę dzielną młodzież“ do gmachu Bankowego. „Podchorążowie“ — sam opowiada—„usłuchali mnie; zaczęli nabijać karabiny. Zamiarem moim było pójść z nimi natychmiast do Banku — po co? Na to odpowiadam szczerze, jak natenczas myślałem: żeby mózg finansowy prysnął, jeżeli nie pod same gwiazdy, według wyrażenia Heinego, to przynajmniej pod sklepienie bankowe i tym sposobem zreflektował inne mózgi mniej zatwardziałe. Umarli bowiem nie tylko nie mówią, ale mają tę zaletę, że się nie mylą i pomyłkami swemi kraju w przepaść nie ciskają.“ Cóż kiedy wszystko popsuł — twórca powstania, Piotr Wysocki. Spotkawszy podchorążych na Lesznie, nie tylko nie chciał objąć komendy nad egzekucyą, ale, mówi Mochnacki: „klękając na bruku przed szeregiem, powiedział: „„Nie inaczej, jak po moim trupie pójdziecie do Banku.““ Szkoła wróciła zaraz na swoje stanowisko.“

Mimo to, nie brakło Lubeckiemu sposobności, jeszcze tego samego dnia, do długich i ciekawych konferencyj z Mochnackim. Wkrótce po tej scenie na Lesznie, straszny trybun sam się znalazł w niebezpieczeństwie życia; obudziła się reakcya przeciw terroryzmowi; do Rządu przyszła wiadomość, że akademicy chcą Mochnackiego powiesić. Dembowski sam jeden był wtedy na sali rządowej. „Wysłałem natychmiast“—opowiada—„oficera i kilku żołnierzy z rozkazami, ażeby Mochnackiego zaaresztował i przyprowadził do sali posiedzeń; Bronikowski (wiceprezes Klubu) poprowadził oficera do miejsca, w którem się Mochnacki schronił, a gdy go przyprowadzono, kazałem, ażeby go ukryto w bocznych pokojach Banku, gdzie już tylu podobnych znajdowało schronienie.“ Innym starczyło to azylum; Mochnackiego przytulił Książe Minister Skarbu w swojem mieszkaniu. Oto, co Mochnacki sam opowiada: „Opuszczony od przyjaciół, w Klubie zawiedziony przez Bronikowskiego, w Rządzie przez Lelewela, w szkole podchorążych przez Wysockiego, uległem pod ciężarem publicznej niechęci i o mało co nie spłonąłem pierwszy w tym ogniu, który rozniecić było mojem usiłowaniem. Jako jeniec rewolucyi działającej wbrew własnemu interesowi, miałem sposobność poznać bliżej księcia Lubeckiego, w którego domu się ukrywam. Postępował on sobie ze mną najuprzejmiej i rozmawiał po kilka godzin. Przekonałem się, że nie było nadeń zręczniejszego człowieka w Polsce, ale zarazem więcej upartego w swoim systemie, który zależał na tem, żeby dobro kraju naszego *całego* opierać na najściślejszym związku z Cesarstwem. Starałem się go przekonać, że powstaliśmy w chwili

wielkiego osłabienia Rosyi; temu wierzyć nie chciał. Mówiłem mu, że potęga nasza, gdyby razem powstały ziemie zabrane, jest tak wielka, że Rosya zostałaby wyrzucona przez to samo z Europy. Zwracałem szczególniej uwagę jego na rolę, jaką gra zabór Polski w systemie politycznym państwa rosyjskiego. Na to milczał. Gdy mu wspomniałem, że powinniśmy byli Konstantego zatrzymać, ogłosić go Cesarzem w Warszawie, i z jego odezwami ruszyć do Litwy — natenczas odstąpił o kilka kroków odemnie. Byłto zawsze minister i tylko minister Mikołaja, człowiek niepospolity, ale nie Polak.“

Tyle Mochnacki. Lelewel zaś tak o tem mówi: „Mochnacki szukał schronienia w pokojach tego samego ministra, który na niego całą oburzył stolicę. Tam, długo i długo w noc, z tymże ministrem w szklanym pokoiku rozmawiał, a minister, całą gębą minister, mając myszkę w łapce, po tej długiej rozmowie, wyszedł na salę rządową w najwyższej dla niego admiracyi. „„To, to człowiek! jakie zdanie, jakie przenikliwe widzenie! jak głębokie pojęcie! nie znałem go!““ Kłęby dymu z tureckiego cybucha przydusiły resztę myśli i podziwu Lubeckiego.“

Szczególny rzeczywiście wzajemny podziw—rozumu naturalnie, inteligencyi, nie charakteru — tych dwóch ludzi na tak przeciwległych biegunach, którzy sobie wzajemnie, w tym samym właśnie dniu, tyle złego wyrządzili albo wyrządzić chcieli. Mochnacki bowiem szedł Lubeckiego rozstrzelać. Lubecki zaś zabił Mochnackiego moralnie i ukrył moralnego trupa w własnem mieszkaniu, zasłaniając genialnego młodzieńca przed groźnymi skutkami swojej własnej, misternej a zupełnym tryumfem uwieńczonej roboty. Jego to było dzieło, że straszny wczoraj trybun, sam sięgający po Dyktaturę, krył się w jego mieszkaniu, był niczem i niczem już pozostał aż do końca powstania. Teraz bezpieczna była droga do Dyktatury: Chłopicki mógł jutro wziąć ją i trzymać bez obawy jakichkolwiek zaburzeń.

Klub miał jedną głowę w Mochnackim, Lubecki urwał hydrze ten łeb. Po pierwszej długiej konferencyi z Mochnackim, wziął się do dzieła. Przygotowania zajęły następny dzień, 3 grudnia, dzień powszechnej radości po ustąpieniu W. Księcia i wojsk rosyjskich, po powrocie polskiego wojska z Wierzbna. „Galopeny“ Księcia Ministra nie zasypiali sprawy, żywo krzątało się, jak mówi Leon Dembowski, całe „stronnictwo Łubieńskich,“ t. j. liczna grupa ludzi rozmaitych zawodów, związanych z tą rodziną szeroką siecią różnorodnych stosunków i interesów. Po mieście rozeszła się tajemnica, nikomu nie wiadoma. Wiedziano, że Mochna-

cki był niegdyś przez tajną policyę pochwycony na spiskowych robotach; że był pod śledztwem w więzieniu u Karmelitów, w roku 1822 czy 1823; nie wiedziano, jak się stamtąd wydostał. Nie wiedziano, że obiecał poprawę i napisał memoryał, „jakim sposobem postępować należy do przytłumienia ducha narodowego;“ że to pismo, jak wszystko, co wyszło z pod jego pióra, dzieło niezwykłego talentu, wywarło na wtajemniczonych wielkie wrażenie i wyjednało młodemu autorowi nietylko uwolnienie z pod śledztwa, ale i płatne miejsce w osławionym komitecie cenzury[1]) Broń ta dla trybuna zabójcza, puszczona w obieg, nie mogła chybić. A wypaliła w stanowczej chwili, kiedy Mochnacki przybył na posiedzenie Klubu, by, jak sam powiada, „spróbować, czy się nie uda wyprowadzić władzy wprost z Klubu, właściwiej ze *sprzysiężenia*, jeszcze mającego broń w ręku.“ Słowem szedł śmiało do obalenia Rządu Tymczasowego i do objęcia władzy z pomocą Klubu. Oto, co on sam opowiada z boleścią o składzie i fizyognomii tak pamiętnego sobie posiedzenia. Klub—„nie było to ciało porządnie zorganizowane. Kto chciał, zapisywał się w poczet członków Klubu; wejść tam i wyjść nikomu nie wzbraniano. W to też ugodził Lubecki. ...Posiedzenie było niezmiernie liczne i jak ciągle zbrojne. Oficyaliści Lubeckiego, którzy bardziej hojnego Ministra Finansów, jak Polskę Zygmuntów kochali; przyjaciele, domownicy, asystenci i kuzyni wielkich panów, którzy rozprzężonej rewolucyi bardziej jeszcze niżeli obcego despotę nienawidzili; uczniowie Uni-

---

1) Niech mi będzie wolno wyraźnie zaznaczyć, że—co do mnie—daleki jestem od tego, y by w owym tajnym memoryale, który Mochnacki napisał w więzieniu r. 1822 czy 1823, dopatrywać się przeniewierstwa i zdrady narodowej. Wierzę, że *był to fortel* 18-letniego młodzieńca, nic innego nie mający na celu, jak wydostanie się z więzienia, z którego w inny sposób nie mógł się wydobyć. Tak sam Mochnacki zapewnia w liście do Michała Hubego z 18 sierpnia 1832 (Dzieła M. Mochnackiego, Poznań 1863, I. 328 nn.), zbyt może przesadzając w obronie własnej, jakoby ten memoryał, gdyby wszedł w wykonanie, mógł z g u b i ć każdy rząd, któryby się wziął do jego wykonania (tamże str. 340). Nie można się jednak dziwić, że komisya delegowana do rozpatrzenia papierów tajnej policyi, potępiła Mochnackiego i uznała go za niezdolnego do sprawowania publicznych urzędów w Polsce; komisya musiała sądzić według faktów, fakta zaś potępiały Mochnackiego bezwarunkowo, zwłaszcza na początku powstania, zanim zmył ciężące na nim zarzuty dzielnem zachowaniem się na polu bitwy. Tem mniej zasługuje na zarzut postępek Lubeckiego, który 3-go grudnia zdemaskował autora osławionego memoryału a tak niebezpiecznego, co najmniej tak niesłychanie przedsiębiorczego wówczas demagoga.

wersytetu, których poczciwe serca, ale za staraniem Szaniawskiego“ (to Mochnackiego szef w komitecie cenzury) „dobrze przyćmione głowy, profesor Szyrma, osobistą ku mnie niechęcią powodowany obłąkiwał, których imaginacyę podburzał wystawianiem skutków domowej niezgody, którym kazał wierzyć w Lubeckiego i Chłopickiego, jak w ewangelię; dalej poczet episycerów i obywateli Łubieńskiego; dalej wielu jeszcze nieodkrytych członków policyi tajnej“ (byli to marni wykonawcy rad zawartych w tajnym memoryale pana Mochnackiego) „co o własne drżeli życie, a w klubie szubienicę dla siebie przeczuwali; dalej nakoniec adyutanci, cały dobry ton sztabu i członkowie pewnej kongregacyi, założonej przez Alexandra Wielopolskiego w celach paraliżowania Klubu: wszystko, to jakby za umówionym znakiem podało sobie ręce i zeszło się razem w salach redutowych. Rewolucyoniści, radykaliści, spiskowi — byli w liczbie daleko mniejszej.

Istotnie, armia Lubeckiego i sprzymierzone zastępy stawiły się w komplecie na posiedzeniu Klubu; mobilizacya udała się znakomicie. Ale nietylko liczebnie słabsi byli „spiskowi;“ uczciwym otworzyły się oczy, inni struchleli. Sam Bronikowski, jeden z liczby tych pierwszych, wyzwany do złożenia świadectwa, złożył je za Rządem, a przeciw Mochnackiemu, serdecznemu przyjacielowi, towarzyszowi wspólnych robót spiskowych. „Był to“ — mówi lapidarnie Mochnacki — „dekret śmierci dla Klubu. Ale w tym nastroju umysłów, jaki panował na zgromadzeniu, sam Mochnacki

---

Wszakże wiedziano dobrze, że Nowosilcow miał na usługach swoich podobnych *agents provocateurs*; co zaś było rzeczywiście *fałszywą grą* Mochnackiego: jego radykalizm patryotyczny w grudniu 1830, czy też jego „poprawa“ w r. 1823 — to w owej chwili trudno było osądzić. Faktem jest, że najbliżsi przyjaciele Mochnackiego nie uwierzyli na razie w *fortel* i widzieli w jego postępku z r. 1822 czy 1823 co najmniej dowód słabości młodego chłopca, wystraszonego więzieniem i śledztwem. Że zaś nie brak było przykładów takiego „nawrócenia“ pod groźbą śledztw i okropności więzienia u Karmelitów, „nawrócenia,“ które niejednego z „gorących“ uczyniły narzędziem Nowosilcowa i zwróciły na drogę karyery — odwrócono się od Mochnackiego, który nie mógł udowodnić, jakie miał intencye w pisaniu wiadomego memoryału. To pewna — i to było niezawodnie okolicznością obciążającą — że ten tajny memoryał pozostał tajemnicą, dopóki się nie stał głośnym w celu zdemaskowania autora; Mochnacki nigdy nie odwołuje się do świadectwa towarzyszy więzienia i spisków, a mógł przecież znaleźć pomiędzy nimi godnych zaufania, przed którymiby się kiedykolwiek zwierzył ze swego *fortelu*. Por. Kraushar, Poglądy polityczne Maurycego Mochnackiego w r. 1826 (Kraj, 1903, Nr. 52).

zabił rodzone dziecię, odważywszy się zawołać z emfazą: „Mości Panowie, Chłopicki zdradza rewolucyę. Dokończmy to, cośmy zaczęli, idźmy znowu, idźmy stąd wszyscy razem z bronią i postanówmy rząd rewolucyjny!“ Po przemówieniu Bronikowskiego oburzenie przeciw Mochnackiemu rozszalało do tego stopnia, że przyjaciele ledwie zdołali go osłonić i z sali wyprowadzić a ocalić od śmierci. Posiedzenie skończyło się powszechnym okrzykiem: „Precz z klubistami — Klub niepotrzebny — Niech żyją książe Adam i Chłopicki!“ Nazajutrz, opowiada Mochnacki: „Pospólstwo w kilku punktach stolicy zaczęło stawiać szubienicę dla mnie; żołnierze rozsiekać mnie chcieli, a Lach Szyrma, komendant akademików, rozstrzelać; ten profesor rzeczywiście złożył na mnie sąd doraźny, otoczył strażą dom, gdzie mieszkałem, kazał zabrać papiery, i ogniste w imieniu gwardyi akademickiej rozpisywał adresy, do księcia Czartoryskiego, do Chłopickiego, do Lubeckiego, do Niemcewicza, zaręczając, że Akademia swój sztylet utopi w piersiach zapaleńca, który tych znakomitych mężów śmiał obrazić.“

U „zapaleńca“ Szyrma nie miał zgoła powodu rewidować papierów, profesor szukał dowodów, kompromitujących nie „zapaleńca,“ lecz „zaprzedańca“ — jak mniemano — autora memoryału o sposobach tłumienia ducha narodowego. Łatwo jednak zrozumieć, że właśnie w tem oświetleniu wczorajsza napaść trybuna na Chłopickiego w tem większy szał wprowadziła patryotyczną młodzież, od dawna spoglądającą na dzisiejszego wodza, jak na zbawcę narodu. Przypadek zresztą zdarzył, że popędliwy wódz miał jakieś gwałtowne zajście z jenerałem dywizyi Krukowieckim, po którym doznał lekkiego apoplektycznego ataku. Po mieście rozeszła się pogłoska, jakoby tknięty był apopleksyą pod wrażeniem haniebnego zarzutu zdrady, rzuconej przez Mochnackiego na posiedzeniu Klubu. To dopełniło miary świętego oburzenia, Mochnacki zgubiony był na zawsze, Klub ubezwładniony na długo.

Chłopicki tymczasem rychło wyszedł z niebezpieczeństwa; za spuszczonemi storami jego mieszkania, na które lud warszawski spoglądał z obawą o życie wodza, nikt go nie niepokoił, nikt nie przeszkadzał Łubieńskim, Wąsowiczowi, przekonywać go o konieczności objęcia Dyktatury. Wieczorem uspokajające już wieści o zdrowiu wodza, krążyły na dwóch większych towarzyskich zebraniach, w gościnnych zawsze salonach pani Wąsowiczowej i nie zawsze otwartym dla większej liczby gości — apartamencie Ministra Skarbu. U Wąsowiczów głośno mówiono o Dyktaturze; wówczas to właśnie pani Annetta odezwała się z częstopotem cytowaną opinią, że „Dyktatura należy do tych rzeczy, *które się bierze*,

lecz których się nie daje.“ To też nazajutrz zrobił pojętny uczeń w jeneralskim mundurze; gdy mu rano Rząd Tymczasowy przysłał pismo z powierzeniem *nieograniczonej* władzy nad całem wojskiem, Chłopicki wpadł znowu w pasyę, klął, włożył paradny mundur ze wszystkimi orderami, pośpieszył ze świetnym sztabem i całym szwadronem jazdy do gmachu Bankowego, rzucił Rządowi w oczy kilka impertynencyj, pojechał na Plac Broni i przed zebraną tam załogą stolicy ogłosił się Dyktatorem.

„Niech żyje Ojczyzna i Dyktator!“ — odpowiedziało wojsko, powtórzyła z entuzyazmem Warszawa.

*

* *

Wyłajany przez Dyktatora Rząd Tymczasowy, gdy ocknął się z osłupienia, przyjął wyznaczoną mu rolę ciała doradczego, czy biura prezydyalnego przy Dyktatorze, nie ustąpił, nikt z jego członków, nie podał się do dymisyi. Czy może wpłynęło na to słowo dane nie dalej jak wczoraj, którego domagał się od członków Rządu Minister Skarbu, pod tym tylko warunkiem podejmując się misyi do Petersburga? Niewiadomo. I Lubecki udał zdziwienie. „Chłopicki ogłosił się Dyktatorem“ — powiedział do Ludwika Platera — „krok to śmiały i, być może, że potrzebny; lecz oby chciał się przynajmniej na szczeblu tym zatrzymać i wyżej nie sięgał. A nieszczęściem nie jest on bez ambicyi, bez własnych widoków. Gdym raz z nim rozmawiał o Monku, rzekł do mnie te słowa, które mi w pamięci utkwiły: „„Zbłądził Monk, bo władzę powinien był wziąć dla siebie.““ Kto tak innych sądzi, ten sam tego błędu popełnić nie zechce i Dyktatura może stać się nieszczęściem dla Polski.“ Tym razem niezawodnie gadatliwy Minister użył mowy za środek ukrycia myśli; wobec Platera, znanego w całej Warszawie konfidenta, wobec zaufanego swego zastępcy w funkcyach ministra, środek tem skuteczniejszy, jeźli był obliczony na efekt po za ścianami ministeryalnego pałacu. Lubeckiemu o nic teraz tak nie chodziło, jak o utrzymanie jaknajściślejszego sekretu, że on, minister, „faworyt“ Mikołaja, miał cokolwiek wspólnego z powstaniem Dyktatury. W walce z Mochnackim wprawdzie zdruzgotał przeciwnika, sam jednak niejedno otrzymał cięcie, którego przez długie nawet lata czas nie zabliźnił. Trybun

nie cofał się przed żadnem oszczerstwem, mogącem u publiczności zaszczepić przekonanie o „moskiewskim“ duchu Księcia Ministra; od niego wyszła przecież potwarz, że Lubecki szturmował i rżnął Pragę pod Suworowem i medalem za to był ozdobiony. On zaś miał przecież jechać do Petersburga, prowadzić negocyacye w imieniu Dyktatora. Gdyby się domyślano, że on był także ojcem duchowym Dyktatury, wietrzonoby „kabałę;“ i jego misya mogła być zagrożona i pozycya samego Chłopickiego, mimo radosnego zapału, z jakim go powitano na Placu Broni.

Lubecki był tak ostrożnym, że przed wyjazdem do Petersburga trzy razy tylko widział się z Dyktatorem; tak twierdzi Barzykowski, jakby ich spotkania liczono. Być może; więcej pewno nie potrzebował. Za to sam zredagował i listy Dyktatora do Cesarza, do Konstantego i instrukcyę dla Delegacyi do Jego Cesarsko-Królewskiej Mości. Instrukcya wyraża w pięciu punktach następujące „życzenia narodu, mające służyć za podstawę rokowań“ *(les voeux de la Nation pour servir de bases aux négotiations à ouvrir):*

„1) Szczere i najściślejsze wykonanie konstytucyi nadanej Królestwu Polskiemu r. 1815 w moc międzynarodowych traktatów.

„2) Rozszerzenie, w myśl tychże samych traktatów, tej konstytucyi na Litwę, Wołyń, Podolę i Ukrainę.

„3) Zwołanie, z terminem 1-go maja 1831, Sejmu Walnego, do którego zostaną powołani nietylko posłowie i deputowani z Królestwa, ale także posłowie i deputowani powyżej wyrażonych prowincyj, połączonych z Królestwem.

„4) Upewnienie, że wojska Cesarstwa nie będą wkraczały w granice Królestwa.

„5) Amnestya zupełna i powszechna, obejmująca wszelkie fakta i wszelakie przekonania polityczne *(pour tous les faits ou opinions politiques quelquonques).*

„Wspaniałomyślne te postanowienia, jeżeli wysoka mądrość Jego C. i Kr. Mości raczy się na nie zgodzić, mogłyby być ujęte w formę królewskiego rozporządzenia (*d'une Ordonnance Royale*), które zabliźniłoby wszelkie rany.

„Należy zresztą pamiętać, że połączenie polskich prowincyj z Królestwem, pod temi samemi prawami, będzie tylko wypełnieniem przyrzeczeń, uświęconych traktatami roku 1815; że uważać je należy za nieodzowną rękojmię przeciw powrotowi nadużyć, które wywołały powstanie; że zapewniając Monarsze entuzyastyczną i wieczną wdzięczność narodu, uczyni z państwa, w ten sposób utworzonego, najsilniejsze przedmurze przeciwko demagogii;

nakoniec, że ono również dałoby możność odroczenia obrad sejmowych do czasu spokojniejszego.“

Obok listu Dyktatora do Mikołaja, Lubecki powiózł do Petersburga takie samo pismo Rządu Tymczasowego; oba dokumenta były przez niego zredagowane, z pomocą stylistyczną nieocenionego Bouqueta. [1]) Na obu pismach położono tę samą datę, dzień ogłoszenia Dyktatury 5-go grudnia. Pismo Rządu nic jednak nie wspomina o Dyktaturze; Chłopicki zaś zaznacza jak najdobitniej swą solidarność z Rządem, tłómacząc czasowe objęcie najwyższej władzy względami praktycznymi, potrzebą uspokojenia i stolicy i kraju, które już przedstawia, jako fakt dokonany. Ani Rząd, ani Dyktator nie wchodzą w żadne szczegóły żądań, czy też życzeń narodu, odwołując się do ustnych wyjaśnień Deputacyi, dla której oba te pisma stanowią w całem tego słowa znaczeniu dyplomatyczną akredytywę, z cechą pełnomocnictwa bez żadnych ograniczeń. I Dyktator i Rząd kładą szczególny nacisk na niewzruszoną ufność w uczucie sprawiedliwości króla, przeciw którego monarszym prawom nie dopuszczono się żadnego wykroczenia. „Delegaci — oświadcza Rząd Tymczasowy — „mają zanieść do stóp Tronu wyraz życzeń całego narodu; tych życzeń, których wybuch objawił się może w niedość umiarkowanej postaci, które jednak nigdy nie

---

1) Felix Bouquet, urodzony r. 1792, przybył do Warszawy w roku 1817 i znalazł zrazu miejsce „do redakcyi francuskich pism“ w kancelaryi Nowosilcowa. W następującym już jednak roku, 1 października 1818, Lubecki umieścił go przy sobie, wyjeżdżając do Akwizgranu, podczas kongresu, jako pełnomocnik do rokowań o likwidacyę z Prusami. Szczegóły zaczerpnięte ze stanu służby (formularnyj spisok) Bouqueta w papierach po ministrze Lubeckim. Od tego czasu nie rozstawał się z Lubeckim, jeździł z nim zawsze do Petersburga; podejmując się misyi do Cesarza Mikołaja, Lubecki zażądał, żeby mu towarzyszyli z urzędników Ministerstwa Radca Stanu Łęski i Bouquet. Ręką Bouqueta pisane są wszystkie francuskie bruliony Lubeckiego, między innemi bruliony niezmiernie cennej korespondencyi z Ministrami Sekretarzami Stanu. W jaki sposób Bouquet pracował, widać z notat ołówkiem pisanych, które zachowały się przypadkiem w niektórych z tych brulionów, włożone do środka arkusza. Lubecki dyktował, a raczej mówił, podczas tego Bouquet notował ołówkiem szkielet elaboratu i na podstawie takich notat wypracowywał następnie całą rzecz stylistycznie. Umiał doskonale pochwycić myśl Ministra. Gdy mu się to jednak nie udało, kreślił i przerabiał po odczytaniu gotowego elaboratu, według ustnych wskazówek Ministra. Te poprawki są szczególnie nieraz ciekawe i zawierają do charakterystyki Lubeckiego niezmiernie cenny materyał.

przekroczyły granic najgłębszego uszanowania dla Waszej Cesarskiej Królewskiej Mości.“

Oba pisma mówią o życzeniach narodu; toż samo i instrukcya. Unikano słowa „żądania;“ nie ma mowy o czemkolwiek w rodzaju ultimatum. Z tem wszystkiem ultimatum przegląda w gruncie rzeczy z ostatniego ustępu w jędrnym, podniosłym liście Dyktatora:

„Gdy spełniać się będzie ta misya pokojowa“ — Lubeckiego i jego towarzysza — „po której wielkość duszy W. C. K. Mości każe nam się spodziewać jak najdrogocenniejszych owoców, Rząd Tymczasowy nie będzie ustawał w pracy nad wewnętrzną organizacyą, ja zaś potrafię zapewnić posłuch jego i moim własnym rozporządzeniom, aż do tej chwili, kiedy współdziałanie Senatu i Reprezentacyi Narodowej jej tok uregulują.

„Stary to żołnierz, Najjaśniejszy Panie, *un loyal Polonais*, poważa odezwać się do Ciebie temi słowami prawdy, bo wie, że mówi do Monarchy, który tego jest godzien. W rękach Twych, Najjaśniejszy Panie, spoczął los całego narodu; jedno Twe słowo może go stawić u szczytu szczęścia; bez tego jednego słowa naród będzie pchnięty w przepaść nieszczęść i klęsk. Pełen ufności w szlachetną wielkoduszność serca W. C. K. Mości, śmiem nadziei nie tracić, że krew się nie poleje, i będę najszczęśliwszym z ludzi, jeżeli skupiając elementa ładu i rzeczywistej siły, przyczynię się do osiągnięcia tego upragnionego celu.“

Lubecki to obmyślił i ułożył, Bouquet wygładził, stylistycznie okrasił — Krysiński zaś przepisał i przedstawił Dyktatorowi do aprobaty. Chłopicki zapewne się nie domyślał, z czyjej pracowni wyszedł ten ważny elaborat; nie miał nic do zmienienia; przepisane na czysto i Dyktator podpisał. [1])

Dyktator zatem a raczej jego poseł do Mikołaja „śmiał nadziei nie tracić, że krew się nie poleje;“ równocześnie jednak i właśnie dla tego celu uważał za konieczne: „skupiać z jak naj-

[1]) W papierach po ministrze Lubeckim zachowały się najważniejsze akta, odnoszące się do misyi petersburskiej, a mianowicie te pisma, które Deputacya miała doręczyć Cesarzowi Mikołajowi *w dwóch egzemplarzach*. Osobny fascykuł z napisem, ręką Bouqueta, *Copies ou net*, zawiera 23 sztuk kaligraficznych kopij rozmaitych aktów; pierwszy z nich, to raport Rady Administracyjnej do Mikołaja I, z datą 4 grudnia 1830; dwa ostatnie, to listy Lubeckiego do Chłopickiego i Czartoryskiego z datą 5 stycznia 1831 (n. s.), z ostatecznem zawiadomieniem o niepomyślnym rezultacie misyi. Kopie były widocznie sporządzone na rozkaz Lubeckiego, w Petersburgu i podczas podróży do Peters-

większą energią — elementa ładu i rzeczywistej siły," utrzymać porządek w kraju i *zbroić się* na zewnątrz. Pod tym kątem łatwo zrozumieć całą zagadkę „tajemniczego męża" jak Lubeckiego nazywa Bronikowski. Ten petersburski niegdyś kadet nie umiał po łacinie, nie powtarzał starej sentencyi: *Si vis pacem...* Tak jednak myślał i często mówił; gadatliwy Sfinx nigdy słów nie żałował. Czasem zaś ten słuchacz podchwycił jedną, inny drugą stronę „gadaniny" Ministra, czem się tłómaczą dziwne nieraz sprzeczności w sprawozdaniach naocznych świadków, jak np. o słynnej przemowie do jenerałów po powrocie wojsk polskich z Wierzbna.

Czy „faworyt" Cesarza liczył się rzeczywiście z koniecznością wojny, gdyby na niczem spełzła jego misya do Petersburga? To pytanie, na które trudno dać zupełnie zadowalniającą odpowiedź. Podobno jednak więcej liczył się z tą koniecznością od Dyktatora, choć niezawodnie i nadziei miał więcej, że do wojny nie przyjdzie, że *on* wojnę zażegna. Tem pewniejszy jednak widniał mu przed oczyma skutek rokowań, których brzemię śmiało, prawie zuchwale, wkładał na własne barki: im zbrojniej będzie Polska wyglądać, gdy on stanie przed Mikołajem. I żołnierzom i nie żołnierzom musiał mówić o wojnie — zawsze i jedynie w razie rozbicia się układów. Inaczej psułby ogólny nastrój, gorący, podniecony, nieodzowny warunek szybkiego uzbrojenia, dość poważnego, by skutecznie poparło tę Syzyfową pracę, która go czekała w Petersburgu.

I w tem było całe ryzyko niebezpiecznej gry Lubeckiego... Podniecenie patryotyczne rosło w Warszawie, szerzyło się w całym kraju. A jeżeli Mikołaj odepchnie buntowników? Nie trzeba tego; jeźli z pięciu punktów instrukcyi, da jedynie amnestyę, lub tę czy ową nieznaczącą koncesyę, a tymczasem w Warszawie podniesie się gorączka i zdrajcą stanie w jej oczach — choćby Chłopicki lub Czartoryski, gdy „zaprzeda Litwę za misę soczewicy?"...

„Nikt więcej odemnie od Cesarza nie wytarguje i mam nadzieję, że na Nowy Rok przyniosę wam prowincye polskie (Cesarstwa) w podarunku." Tak mówił ten trzeźwy polityk na wyjezd-

---

burga, *ad perpetuam rei memoriam*. Że Lubecki pamiętał o kopiowaniu tych aktów nawet *podczas drogi* do Petersburga, na to są najoczywistsze dowody; w Petersburgu kazał ten zbiór dopełnić. Obok tego fascykułu zachowały się jednak szczęśliwym trafem *bruliony* znacznej części tych aktów. Postać ich zupełnie ta sama, co wszystkich brulionów korespondencyi Lubeckiego z Ministrami Sekretarzami Stanu; ręka Bouqueta, liczne kreślenia i poprawki.

nem, a do Nowego Roku brakowało już tylko trzech tygodni. Czy był tak zaślepiony, i powodzeniem i wiarą w siebie, czy też na wiatr tak mówił, igrając z uczuciami, świętemi dla każdego Polaka? I nie maż odpowiedzi na to pytanie, rozstrzygające o człowieku, nie zaś o mężu stanu? Jest odpowiedź w zachowaniu się Lubeckiego po przybyciu do Petersburga. A nikt jej nie zna, kto nie czytał papierów Lubeckiego.[1])

W nocy z 10 na 11 grudnia, przez rogatki petersburskie na Pradze, przejechała kareta z Lubeckim, Jezierskim, którego mu w miejsce Ostrowskiego dano za towarzysza, i powóz z całym sztabem Księcia Ministra. On tak był pewny powrotu, i to rychłego, że nie zrobił nawet porządku z najważniejszymi papierami w swym gabinecie, których nie powinien był bezwarunkowo zostawić na los szczęścia. Równo we dwa miesiące po wyjeździe Ministra, Rząd Narodowy skonfiskował jego papiery i najważniejsze z nich odczytał na posiedzeniu Sejmu.

Stanisław Smolka.

[1]) Rzecz o misyi Lubeckiego do Petersburga i o następnych latach (1831—1846) jest już w części także do druku przygotowana.

INGRES i MANET.

„Pour tout ce qui touche à la beauté, il y a des recommencements sans fin."

(*Eug. Guillaume*).

Kto na spółczesnej sztuce francuskiej najsilniej zaciężył? Czyje pojęcia Piękna i poczucie najmocniej się odbiło na twórczości doby ostatniej? Skąd idą te dwa prądy: syntetyzowanie linii i zestawienie plam barwnych w uzupełniających się a śmiałych harmoniach?

Dwie wielkie indywidualności, dwie wielkie *wole* naprzód się wysuwają, dwa nazwiska, które niejako programem są i hasłem: *Ingres i Manet.*

Dziwnem się wydaje to zestawienie. Zwykliśmy widzieć w Ingres'ie klasyka, skostniałego w tradycyi, wroga nowatorstwa wszelkiego, wizyonera, zapatrzonego w przeszłość uparcie, artystę, na którym — jak na wyschłym lubo potężnym pałubie — nic już zaszczepić się nie da. Na przeciwległym biegunie—jako wykwit rozkiełzanego indywidualizmu – mieścimy Manet'a, rewolucyonistę, odrzucającego, jakoby wszystkie prawa, wszystkie nakazy, z rąk do rąk, z ust do ust podawane; i z tej to racyi niezdolnego zarówno do strzeżenia szkoły, wywarcia wpływu, nadania innym kierunku.

Pojęcie nasze i sąd stąd się wyłoniły, iż przytomny jest nam, prawie że współczesny, hałaśliwy rozgłos, który otaczał apostoła pleneru, rozgłos bufona i szaleńca, podzwaniającego swą oryginalnością, by na się uwagę tłumu zwrócić; — Ingres'a zaś widzimy zimnym i suchym, prawem kontrastu, na tle epoki romantycznej, już zbyt zgiełkliwej, jaskrawej, bombastycznej, epoki kiedy się to biło homerycznie na Burgrawach, przysięgało na przedmowę Crom-

wella, jak na Ewangelię, kiedy się gwałtownie a wrzaskliwie rozganiało zmurszałe formuły i przeżytki.

Otóż, wyrwani z otoczenia i czasu — i Ingres i Manet, innymi się nam dziś ukazują.

Więcej jest bodaj buntu i odskoku w dziele Ingres'a, niż w Manet'a początkowym okresie tworzenia; więcej też w tym ostatnim tradycyi, niźli się na pierwszy rzut oka zdaje; — a z jednego i z drugiego wywodzi się szereg cały kreatorów, rodzi prawie cała sztuka dzisiejsza. Ingres wniósł do ogólnej skarbnicy umiłowanie linii, arabeski, uproszczenie subtelne kształtu, treściwość w obrysie, naiwność wizyi czarowną; Manet—genialne zrozumienie, iż bryła ubarwiona, jest kombinacyą zjawisk świetlnych, iż promienie nie są pasmami białemi, ni cienie — czarnemi, ale że się one— i cienie i światła—rozkładają, mają refleksy od okolenia zależne, i że całą tą dziedziną objawień rządzi teorya przeciwstawień jednoczesnych koloru.

Znamiennem też było i ani krztynę nie anachronicznem zjawienie się w owym zborze nowatorów, jakim jest „Salon Jesienny," pomiędzy żywymi, młodymi, w pełnej formacyi artystami dwu zmarłych Mistrzów.

I tam dopiero po tej konfrontacyi zmarłych z żywymi na jaw wyszło, ile się dwom tym w plastyce jest winno. Na jaw też wyszła rzecz inna: Ingres, chronologicznie bardziej oddalony od dzisiejszego pokolenia, bliższym się nam jeszcze wydał od Manet'a, bardziej „aktualnym," więcej w bezpośrednim z nami stosunku.

Spójnia ta duchowa stąd może płynie, że istnieje powinowactwo niejakie między okresem obecnym sztuki, a okresem poprzedzającym Ingres'a. Jak dziś przeciw realizmowi i fajerwerkom impresyonistycznej szkoły, tak ongi reakcya się tworzyła przeciw wymanierowaniu, pieszczotliwości i zniewieściałemu wdziękowi XVIII stulecia; jak dziś — tak ongi sztuka stała na rozstajach, wyczerpana, w oczekiwaniu przerodzenia i odnowy.

Kiedy Ingres przyszedł i tworzyć zaczął, zwrot się już był uczynił. Wyuzdana, kapryśna, kokieteryjnie w meandry wijąca się, rozigrana i uśmiechnięta figlarnie linia — zesztywniała i przerodziła się w nudną, oschłą, jakby z geometryi wykreślnej wyszłą figurę. Uszminkowane piękno, pachnące i wykrygowane ideały, buduarowe tematy, rozwydrzone markizetki i rozmadrygałowani labusie, wyprawy na Cytere, muszki, puder, wyfiokowane fryzury i napęczniałe robrony — znikły także, wymiecione zawieruchą dziejową; a na ich miejsce pojawił się dostojny, prostolinijny, bakałarsko-monotonny świat, nowemi tendencyami wywołany. Win-

ckelmann, Quatremère de Quincy „odkryli“ znowu piękno klasycyzmu; pod ich znamieniem David we Francyi, Rafael Mengs i Asmus Carstens w Niemczech zwrócili się, jako do wszech-źródła Urody, do poważnej koncepcyi rzymsko-greckiej, do helleńskiego ideału. Jedyną estetyką uznaną stała się „Die Geschichte der Kunst des Altertums“ Winckelmann'a, jedyną prawdą w grafice, malarstwie i rzeźbie – kanon, na wzór kanonu antycznego Polykleta. Obrazy tworzyły się według pojęcia snycerskiego i raczej płaskorzeźbami, ugrupowaniem posągów były, niżeli dziełami malarskiemi „par excellence.“ Sformował się typ słaby, jedynie godny do przedstawienia plastycznego: typ—koń, typ – człowiek, typ—powab kobiecy. Była to jakby algebra form i kolorów.

I tu znów kierunek kunsztów się zmienia a rozszczepia niejako na dwa koryta: wybucha pożoga barw, surma dźwięków Romantyzmu, Klasycyzm zaś zachowuje się w dziele Ingres'a, ale klasycyzm inny, niż te pseudo-helleńskie skamieniałości, różny od poprzedniego wibrującą w nim prawdziwością i życiem. Bo Ingres duszą własną wionął w owo antyczne marzenie i okrasił je swoją myślą, osobistą obserwacyą ubarwił.

Oto co sam Mistrz mówi o swej idei twórczej: *„mniemać sobie pozwalam, iżem otwarł drogę nową, dorzucając do miłowania świata starożytnego, jakie wzniósł David, dążenia moje do przyrody żywej, poszukiwanie nieustanne tradycyi wielkiej Szkoły Włoskiej i kult mój dla dzieł Rafaela.“*

I zdawało się Ingres'owi istotnie, że od Rafaela pochodzi, nie widział, jak mimo owego namiętnego ferworu dla tradycyi klasycznej, dla szkoły rzymskiej, jest głęboko swoistym i różnym. Prawda, że Ingres żył wspomnieniem i marzył pod rostrami, myślą koło Akropolu błądził, że tu chciał elementy swe piękna czerpać, prawda, że go czarował wdzięk mistrza z Urbino,—ale sam nie czuł może, jaka w nim gra ostra nuta modernizmu, ile rozmaitych pierwiastków na jego wizyę się składa; i jak ona wizya, świeża i osędziała razem, ponad głowami Praksytelesów, Fidiaszów, Skopasów, ponad „Szkołą Ateńską,“ „Najświętszą Rodziną“ aż do surowych a pięknych terrakot etruskich i aż do Gotyku i Byzancyum sięga.

Bo czyż np. linie proste, geometryczne prawie, symetrya rytmicza w *Apoteozie Homera* nie mają charakteru niejako byzantyjskiego; a Ulysses (w *Achillesie*), Edyp (w *Edypie i Sfinksie*) szczerotą swą i zwięzłością form, modelacyą płaską, a nawet kolorem, figurom z waz etruskich czyż nie są pobratymcami? A w *Odaliskach* w *Baigneuses*—jak pogodzić Ingres umiał naturę, drgającą żywotnymi sokami z klasycznemi prawami piękna!

Wszędzie zaś, we wszystkich obrazach Mistrza—finezya konturów, sentyment rysu zdobnego, modelowanie w jasnocie, sposób oświetlania rozpierzchły, nieześrodkowany a silny, są właściwościami jego własnego geniuszu i tworzą akcenty niezaznane i oryginalne w sztuce.

*

* *

Działalność Jana Augusta Ingres'a [1]) podzielić można na sześć okresów.

Pierwszy od roku 1801 do 1806, okres rozwoju, w którym wyczuwasz jeszcze przewagę mistrza David'a, zapełniają dzieła z modeli, płaskorzeźb i kamei natchnione. Z owych czasów datuje: *Filemon i Baucis*, *Wenera Zraniona*, allegorya: *Napoleon na moście Kehl'u*. Mimo pewnego niezrównoważenia, naturalnego w zaraniu, znać tu już mistrza: figury zamknięte konturem ścisłym, obrys kompozycyjny – przeczysty, logiczny i piękny; postaci o spokoju i harmonii wielkiej, zbliżone poważną krasą do tych „Statuae iconicae," które rzeźbiarze greccy wystawiali zwycięzcom Olimijskich Igrzysk.

Drugi okres przypada na lata 1806—1820. Te lat czternaście Ingres we Włoszech spędził. Tu poznaje Rafaela i odtąd ślubuje mu uwielbienie, które go do śmierci już nie opuści; widzi w nim jedynego Mistrza, malarza w apogeum najwyższem, obdarzonego niecielesnymi jakoby narządami, patrzącego na wszechświat i objawienia jego, zazierającego w głąb' psychy ludzkiej, obejmującego krainę niebiańską piękności — oczami duszy.

Pod wpływem „boskiego Sanzio" (tak go nazywa) tworzy szereg kreacyj, gdzie połączyć usiłuje powagę archaiczną z powabem Rafaelowskim.

Tetyda błagająca Jowisza, *Romulus*, *Wergiliusz czytający Eneidę* dają jeszcze lekki posmak pierwszych inspiracyj Ingres'a, — więc i David'a w nich nieco i Guérin'a i Girodet'a. Ale rychło myśl się pogłębia i, chociaż kształt jest zawsze głównym objektem i istotą dzieła Ingres'a, pojawia się wyraz i znaczy na obliczu do niedawna jeszcze bezosobowem i zimnem. Jaka ekspresya

[1]) Urodził się w Montauban 29 sierpnia 1780 r., umarł 14 stycznia 1867.

skupionej zadumy jest np. w głowie Edypa, stojącego przed Wieczną Zagadką! Albo w wyżej wspomnianym obrazie — *Wergiliusz czytający Eneidę* — jaka myśl osiadła na masce Wergiliusza, jaki ból w omdlewającej imperatorowej, której piewca Eneidy ustęp z VI księgi ...„Tu Marcellus eris“... czyta.

Z owego okresu datują *Odaliski* Ingres'a, o formach smukłych, o wdziękach delikatnych, jak kwiat i jak klejnot, i zmysłowe i czyste razem, piękne zdrowiem jarem i jakąś pogańską iście, spokojną a ufną zwierzęcością. Dziwnemi się one wydały po kantarydowych dekoltażach Fragonard'a, Van Loo, Boucher'a, po otulonych w chlamidy purytankach Dawid'a — wstydliwe a dumne nagością swą bez skazy. Ingres dał im kształty pełne, giętkie, wabne, ale je osłonił majestatem doskonałego piękna, oczyścił ze wszystkiego, co sprośnem wydać się mogło, „odziewiczył“ je niejako.

Nawet w takiej kompozycyi, jak to z ostatniej epoki płótno *Bain Turc*, gdzie zmysłowość aż do głowy wonią silną bucha, miara i takt wykwintny tak się zachowuje, iż nikogo razić nie może ów bukiet kwiecia ludzkiego, girlanda ta piękności niewieścich, tu rozsypanych jak blade lilie, róże ledwie różowe, jak anemony złociste, ówdzie skupionych w grona rozkoszne, leżących pokotem ciało przy ciele, ofiarowanych, zda się, w dani i na całopalenie miłości.

Zobaczymy później, jak ocenili dzieło to współcześni, kiedy je w aureoli chwały, na schyłku już życia Mistrz wystawił. Teraz (w r. 1820) — Ingres jeszcze nieznany i nieuznany, obrazami jego nikt się nie zajmuje. Jedzie on do Florencyi po nowe wrażenia i tu przebywa lat cztery (1820 — 1824).

Od pobytu we Florencyi rozpoczyna się trzeci etap twórczości Mistrza. Stąd wysyła *Śluby Ludwika XIII*, *Wjazd Karola I do Paryża*, i naraz staje się sławnym. Od tej pory poczynają się owe spory gwałtowne między zwolennikami Ingres'a a wielbicielami Eugeniusza Delacroix, spory, których dziś, gdy lata ponad nimi przeszły a gdy się i dwaj artyści i bojownicy za ich ideały do snu wiecznego układli, doprawdy nie pojmujemy. Od owejże pory poczęły się napaści i sądy ostre i niesprawiedliwe krytyków-romantyków, radych widzieć w Ingres'ie archeologa raczej o spojrzeniu utkwionem w to, co było i zamarło, niż malarza, sztukmistrza bez temperamentu, akademika nieczułego na życia tętno i rzeczywistość.

Dekret ten i nam w spuściźnie został; do niedawna jeszcze nie docenialiśmy dorobku Mistrza, nie widzieliśmy tej płomiennej miłości Piękna, która każde jego płótno krasi, nie rozumieliśmy szczerego, pełnego passyi i poezyi wielkiej a *nowego* widzenia, jakie on nam w arcydziełach swych przyniósł. Jakże paradoksalnie

brzmieć ongi musiało zdanie Baudelaire'a: ...„*Ingres à l'idéal antique a ajouté les curiosités et les minuties de l'art moderne*...," gdzie poeta wrażliwy na wszystko, co niezwykłe a kunsztowne, pojął i zaznaczył nowoczesność wizyi, tak ignorowanej przez Klasyków i Romantyków w dziele Ingres'a. Zaślepieni nie spostrzegli także, czyniąc mu zarzut „obecności" w stosunku do czasu swego i otoczenia, iż Mistrz bardziej niż którykolwiek inny dał obraz jasny i zupełny epoki w swych portretach i grupach portretowych, i że wyczuł on puls i piętno dziejowego momentu.

Klasycy, planowo zresztą, odrzucali tę część twórczości Ingres'a, która tradycyi akademickiej wyrazem nie była. Uważali go oni bowiem za ostatnią ich ostoję w zapasach z Romantyzmem, za rodzaj tabernaculum, gdzie ideał helleński, zwietrzały już nieco, uchronić się potrafi od powiewów owoczesnych i nowinek.

Sam zaś Ingres takie ma pojęcie o posłannictwie własnem w krzewieniu piękna Rafaelowskiego i kultu dla antyków, że w ciągu czteroletniego pobytu we Florencyi, by wiernym miłości dawnej i wierzeniom pozostać, zamyka oczy swe, umysł i serce na cuda florenckiej szkoły. Chciałb nie widzieć, nie czuć, nie podziwiać ni Giotta, Cimabuego solennych postaci, ani niebiańskich widzeń Fra-Angelico, ni nadludzkich Buonarottiego kreacyj. Ale ot, co się dzieje: zbyt wrażliwym na urok arcy-tworów jest jego duch artysty, za czułą źrenica, żeby przejść koło nich obojętnie, i wszystkie te cuda ujrzane, niepostrzeżenie wsiąkają mu w duszę. A kiedy wraca do Paryża (w r. 1824) i kiedy swój *plafon* (Homera), swego *Swiętego Symforyana* tworzy — kiełkuje już w Ingresie coś, co go z Michałem-Aniołem, z Sebastyanem del Piombo brata.

Właśnie w *Apoteozie* Homera widać, jak Ingres mimo czci wyłącznej i tak zazdrośnie strzeżonej, mimo wasalstwa mniemanego dla Rafaela—osobistą wolę twórczą posiadał. Nie masz w płótnie Ingres'a nic, coby przypomnieć mogło stylem, harmonią, układem „Szkołę Ateńską" Sanzia. Jakże różnym jest od wszystkiego, cośmy dotąd znali ten Pieśniarz nad Pieśniarzami pośrodku na piedestale spokojny, uroczysty, jak Jowisz. Pół-bogiem już on prawie; u stóp mu przysiadły Odyssea i Iliada, skrzydlata Muza go wieńczy, a tłumem okalają ci, co z jego wieczystej pieśni uczucie wieszcze pili.

„*Les hommes qui cultivent les lettres et les arts sont tous les enfants d'Homer*,"—mówi gdzieś Ingres;—to też w apoteozie Wielkiego Ślepca wszystkie kraje i wieki wszystkie dały mu za orszak Panteon cały aëdów i artystów nieśmiertelnych. Łączą się owe postacie z obrazu w masy i grupy prostokreślne, równoległe, czwo-

roboczne; a ustrój ten służy Ingres'owi za środek do wywołania wrażenia surowego, olimpijskiego iście piękna. *Apoteoza Homera* zbudowana jest, jak zagadnienie logiczne, jak figura krasomówcza, a wszystko: osoby, architektura i tło wiązadłami się spaja w monumentalną całość.

Inaczej się przedstawia propozycya artystyczna w *S-ym Symforyanie*, do którego natchnienie Ingres z mszału gockiego zaczerpnął. Tu Mistrz wykazał, jaką moc tragiczną dać umie, jak potrafi dobyć na jaw muskulaturę, do jakiej siły dojść może w modelowaniu i światłocieniu, jak podkreślić mu łatwo charakter. Kompozycya ta ma napięcie dramatyczne olbrzymie, straszna tragedya w niej się czyni bez patosu, bez deklamacyi teatralnej, tragedya ogromnie święta: zaparcie się i poświęcenie Człowieka, Świętego, który wierzy i umrzeć się nie boi. Ś-ty Symforyan, prawi legenda, wyrosły w chrześcijańskiej religii nie chciał się wierzeń swych zaprzeć i skłonić przed procesyą bogini Berecyntyi; czereda ludzka, liktorowie mu grożą, tylko zza murów twierdzy, matka go w zbożnej samoofierze utwierdza — niebaczna, że syn jej w mękach okrutnych skona.

Na okres paryski (r. 1824—1834) przypada także serya *portretów*, które nietylko są rzadkimi arcydziełami, ale także i cennymi nader dokumentami dla latopisa czasów Monarchii Lipcowej. Widzisz w nich typy kramarza „Dix-Huit-Cent-Trente," rozpanoszonego powodzeniem i władzą, widzisz rzeszę imci panów Prud' homme'ów w „Vatermörderach" i cnych małżonek o krótkich stanach, kiełbaskowatych anglezach na skroni, w mantylach „à la Paméla."

Między owymi „konterfektami" odznacza się jedno z największych dzieł, jakie sztuka posiada: *Portret p. Bertin*, dyrektora „Journal des Débats." O pięknej, regularnej, ale ciężkiej masce, osadzonej na grubych ramionach, ręce rozczapierzonymi palcami wsparłszy na wałkowatych kolanach, rozparł się w fotelu, klocowaty, zebrany w kupę, masywny. Cała synteza ducha mieszczańskiego mieści się w tem płótnie, jest ono ściągiem jakoby i skrótem epoki całej, epopeją jej dążności i jej gruboskórnych ideałów.

Okres paryski bogaty jest nietylko w arcydzieła — w tymże czasie rozpoczyna się część edukacyjna działalności Ingres'a. Otwiera on Akademię malarską i szerzy pośród nielicznych zresztą uczniów teorye, zaszczepić usiłuje wierzenia swe estetyczne. Uważa się za apostoła i kapłana, bo — jak rzecze: *„l'art n'est pas seulement une profession, c'est aussi un apostolat."*

Ten mały, opasły, zapalczywy człowieczek ma w istocie coś z lewity; entuzyazm i wiara niezłomna i energia płomienieją na

jego dumnej, niepodległej, przepysznej twarzy. ...„Podobny on, powiada Teodor de Banville, do Tytana groźnego, któregoby postać Michał-Anioł wyrzeźbił. I zda się, iż tworząc go Buonarotti, swoim zwyczajem, rozpoczął był marmur od góry, bez uprzedniego wymiaru, wielkimi razami dłuta, a od głowy zaczął, ale że złom marmurowy krótkim i niedostatecznym się okazał — kadłub wypadł jeszcze w proporcyach, lecz golenie zgoła za drobne uczynił...“

A jak walczy ten gnomiczny tytan, jak siew dobrej myśli sieje w swej Akademii! Garściami rzuca sentencye, napuszone czasem w stylu, trochę śmieszne w formie, przypominające zlekka maksymy i aforyzmy prototypów mieszczaństwa p.p. Prudhomme i Brid'oison, ile wszakże prawdy zawierające, ile poczucia i namiętnej, głębokiej cześci dla Sztuki i Piękna.

...„*Le dessin c'est la probité de l'art...*“

...„*Il faut donner de la santé à la forme...*“

...„*Le calme est la première beauté du corps.*“

Jakie to ostatnie zdanie ciekawe! i jakże osobliwem jest, że w niem się Mistrz spotkał z tak różnym sobie umysłem, jak Baudelaire! Bo czyż to nie identyczne wyznanie wiary z Baudelairowskiem! „Je hais le mouvement, qui déplace les lignes?!“

Czasami wszakże usposobienie gwałtowne Ingres'a prowadzi go do jednostronności i uprzedzenia. Wrogiem mu się staje wszystko, co nie z jego parafii jest rodem; — i tak Rubensa uważa za malarza szlachtuzów, za rodzaj artysty-rzeźnika w jusze lubującego się kraśnej, ...„*chez Rubens il y a avant tout de la chair fraîche dans la pensée, et de l'étal dans sa mise-en-scène...*“

Kiedyindziej znów, prawiąc o ideałach w Sztuce, wykrzykuje: „Panowie! należy powodować się rozumem, żeby módz odróżnić prawdę od fałszu. A dochodzi się do tego przez *jednostronność;* należy wszystko wyłączyć, co nie jest pięknością i z Pięknem żyć ustawicznie. O jak zabawną i potworną jest miłość, która jednocześnie się zwraca do Murilla i Rafaela!“

I człowieka o takiej furyi, o tak gorących umiłowaniach, o tak płomiennej duszy, zowią „zimnym bez temperamentu artystą,“ a to tyle przeciwnicy, co i wielbiciele; jedni i drudzy zamknąć go skorzy w ciasnych formułkach klasycyzmu, zbyć go etykietką akademika.

To też zniechęcony ostremi krytykami owoczesnych Zoilów, jak Landon, Kératry, a może i odstręczony niezrozumieniem, nieodczuciem klanu pseudo-klasyków, w roku 1834 porzuca Paryż raz jeszcze i obejmuje dyrekcyę Akademii Malarskiej w Rzymie (Académie de France).

Tu krzewi dalej między młodzią kult Piękna, stąd wysyła do ojczyzny swą cudną *Stratonikę*. *N. Pannę z Hostyą Rafaela i Fornarynę*, *Papieża Piusa VIII*. *Franceskę di Rimini*. *Rogera wybawiającego Angelikę*, *Odaliskę* zwaną Pourtalès, *Portret Cherubiniego* i t. d.

Utwory te przyjmuje publiczność, znawcy i artyści nie jak doskonałe arcydzieła, jakiemi są one istotnie, ale jako argumenty „pro et contra“ w walce ze szkołą Delacroix'a. A kiedy po latach znów (w r. 1841) „ingresiści“ skłaniają Mistrza do powrotu, czynią to, by mieć w jego osobie sztandar i sygnum, by pod jego skrzydła niedobitki klasycyzmu schronić.

Stary już, bardzo stary Ingres, kiedy się znów na stałe osiedla w Paryżu (w r. 1861). Otoczony chwałą jednych, nienawiścią innych, maluje, apostołuje, gniewa się, jak ongi. Ani wiek podeszły, ani sława nie uspokoiły tej kipiącej natury. Bojownik to równie stanowczy, krzewiciel to równie żarliwy; — nie obumarła w nim żadna z jego nienawiści, nie osłabł żaden z kultów jego. Płacze w Operze z rozczulenia i zachwytu na „Alcescie“ Glück'a, chadza do muzeów i antyki kopjuje, „by się nauczyć rysować.“ A dumny i nieugięty w późnej swej starości wyrzec jeszcze potrafi: „Aż po dzień dzisiejszy obawa opinii nie zdołała mnie skłonić do cofnięcia się o piędź jedną wstecz, albowiem za punkt honoru uważam wiernym pozostać przekonaniom mym starym, których nigdy nie porzucę, nigdy, nawet w ostatniej godzinie.“ Miał lat 82, kiedy to „etiamsi omnes, ego non“ wypowiedział.

Ale lata go się nie imają; w niepożytej żywotności tworzy wciąż dzieła, i to dzieła nieustępujące ni siłą, ni artyzmem, ni świeżością uczucia, kreacyom młodości i wieku dojrzałego.

Wonczas właśnie, w późny odwieczór życia, maluje swe cudnej urody *Źródło* — to wcielenie czaru dziewiczego; swą *Wenerę* — podobny, lecz pełniejszy wzór krasy niewieściej, i wspomnianą już *Łaźnię turecką*. Mamy w tych obrazach przed oczyma trzy rodzaje uzmysłowienia „Kobiecości Wiecznej,“ trzy jakby jej okresy i lica: dziewiczość nieświadomą potęgi swej i powabu; rozkwitłą, niby owoc rajski, boską a niedostępną piękność Afrodyty, i erotyzm nętny hurys z siódmego nieba miłości. Jakże tu dalecy jesteśmy od kobiety, którą poeta „l'enfant malade et douze fois impur“ nazwał, jak dalecy od samicy „totae in utero.“ Krzepkie są i poezyą młodzieńczą owiane typy kobiece Ingres'a. W takiem nawet płótnie — gdzie siła zmysłowa jest wielka — jak *le Bain Turc* sprośności nie masz za szeląg, bo tutaj również majestat piękna i harmonii przeważa, i wizya unaja się jakąś iście dziecinną niiw-

nością, która wyklucza lubieżność bezsromną. Mylnym też był sąd kwakierski moralistów, że dzieło starczą chucią pachnie,—mylnem zdanie krytyków, jakoby tam kolor szpetnym był i rozbielonym.

Ingres kolorystą, w ścisłem tego słowa znaczeniu, oczywiście nie jest—o ile przez koloryt rozumieć będziemy nie zestrój barw, lecz raczej grę odblasków wzajemną. Mistrz-bo z zasady refleksu nie uznawał i z amfiguryczności prawdziwie romantyczną mawiał: *„le reflet est indigne de la majesté de l'histoire;“* co śmiesznie brzmi, zgoda, (już duch taki emfatyczny wiał onczas); ale i ta sentencya z pozoru komiczna — słuszną się okazuje w gruncie. Główną bowiem zaletą koloru jest jego moc, pewność, zdrowie, tak jak cechą jego jakości — ustosunkowanie półcieni do świateł i stonowanie ich delikatne; wszystkie zaś te przymioty znajdujemy w obrazach Ingres'a, a nawet coś ponadto. Bo paleta Mistrza lśni czasami rzadką wielobarwnością, niejakie jej kombinacye przypominają wschodnie makaty wypełzłe, lub te illuminacye psałterzy, które, nakształt pieni kościelnych, strzelistemi akordami w majorze i minorze biją.

To też, gdy współczesny Ingres'owi estetyk Teofil Silvestre nazywa go „un Chinois égaré dans les rues d'Athènes“ — chcąc dać karykaturę—mimowolnie daje trafne nader określenie pewnych stron malarstwa Ingresowskiego. Może w malowaniach tych na razie, na pierwsze spojrzenie, razić ukolorowanie egzotyczne, lub niejednokrotnie odstręczać oschłość w nich kształtu zbytnia—kiedy wszakże patrzeć umiesz, zniewolony jesteś pokochać je, jak się kocha to, co piękne a szczere. Zżyć się z dziełem Ingres'a trzeba, wejrzeć w nie usilnie, bo (jak sam Mistrz mówi) *„les chefs-d'oeuvre ne sont pas pour éblouir. Ils sont pour convaincre, pour entrer en nous par les pores.“*

Tak się też dzieje z arcydziełami, które wyobraźnia a wola Ingres'a zrodziły.

*

* *

Krótko przed śmiercią Ingres spotkał się w pracowni jakiejś malarskiej—gdzie na krucyatę może poszedł za ideały swe i umiłowania—z Manet'em. Nie znał go zupełnie: młody wówczas był Manet i nieznany. Zapewne ani też myślał nad grobem stojący Mistrz, że ten wykwintny, wysmukły, nieznany młodzieniec zawa-

ży kiedyś potężnie w ewolucyi sztuki francuskiej i że on także borykać się będzie całe życie za swe postulaty i myśli. Postulaty, ideały i myśli dwu tych artystów inne były, odmienne. W rozwoju ewolucyjnym — w tych przypływach i odpływach idei — przedstawiają one, że tak powiem, prawą i lewą stronę zagadnień sztuki. Ingres skłania się w stronę *Piękna*, stylizowanego nawet, piękna „quand même;“ Manet ku *Prawdzie*, prawdzie brutalnej czasem i niemiłej podąża.

I jeden i drugi konieczną byli reakcyą, nieodzownym stopniem w przekształceniach estetycznych pojęć.

Po Ingres'ie plastyka francuska na dobre grzęznąć poczęła to w aryngach akademickich, to w quasi-tradycyach Odrodzenia. Romantyzm burzliwy przerodził się w jakąś ckliwą gitarę sentymentalną i płaczliwie-poetycką, a poważny i piękny świat przez Ingres'a wskrzeszony w muzeum figur woskowych.

Nastała hierarchia w tematach, sztuka cała podzieliła się na klasy i kategorye. Na najwyższym szczeblu—malarstwo historyczne i religijne, simili-religijne należałoby powiedzieć, nie zdobiły go bowiem ni wiara naiwna Primitywów, ni słodycz i wabność Renesansu — przedmioty biblijne i mitologiczne także były mile widziane. Uczyniło się istne najście bogiń Olympu i Świątobliwych niewiast z Historyi Świętej w negliżach, tu udo, tam piersi, ówdzie inny jakiś szczegół nagości odsłaniających. Pejzaż zaś o tyle tylko miał obywatelstwa prawo—o ile przedstawiał zamorską jakąś krainę o florze antypodów, piachach Samumem gnanych, o wodach, w których nielitościwie bezobłoczne niebo, smukłe, wiechciowate, koroną liści blaszanych ustrojone palmy się przeglądały. A nadewszystko zabraniało się, jako występku „lese artis,“ mieścić w obrazach powietrze i światło.

W takiem to zrozumieniu tworzył swe dzieła pierwszy mistrz Manet'a — Tomasz Couture.

Był on twórcą obrazów banalnych, aż do mdłości, klasyczno-renesansowych, aż do ziewania. Tyle życia istniało i prawdy we wszystkich tych pompach królewskich, maskaradowych godach, w tych „Rzymiankach Dekadencyi“ Couture'a, co żywota a ruchu w osteolicie.

I on to—Tomasz Couture—nauczyć miał Maneta patrzeć na sztukę, na piękno, na naturę. A Manet już wówczas pojmował i czuł, że wyjść należy na szlaki szerokie, na słońce, na bytu wielki gościniec.

Jasnem jest, iż pomiędzy dwoma tak różnymi temperamentami zderzenie stało się nieuniknionem. Czem silniej Couture nagiąć

usiłował myśl twórczą Manet'a ku własnym ideałom, ideałom „Wielkiej Sztuki“ — tem się większą okazywała odporność elewa, a „eo ipso,“ i tem większym odskok od nakazywanych modeł w jego dziełach. Z nieugiętą stałością Manet burzyć począł rytuały owej „Wielkiej Sztuki,“ zasady jej i przepisy, a porać się z tymi, co, jak Couture, wyznawcami i zaszczepcami jej byli.

Ot jak się narodził, jako reakcya przeciw taniemu Idealizmowi i zatęchłym jego prawom — Realizm.

Nie w duszy wreszcie tylko Manet'a prąd ten wschodzi, — widzimy bowiem pojawienie się jego synchroniczne w literaturze, gdzie na czele nowych tendencyj Zola — inny Erostrates świątyni Najświętszych Komunałów — bojuje i zwycięża.

Pod wezwaniem natury, pod prawdy dewizą w atmosferze rokoszu i odnowienia, tworzyć poczyna Edward Manet.

Już w pierwszych jego płótnach, choć mniej wytycznych dla historyografa, słabiej charakteryzujących dążenia i wysiłki nowe, bo mniej oryginalnych, niż późniejsze—znać pierwszorzędne zalety: technika malarska jest bujna, solidna, rysunek pewny a zwięzły. Widoczne tu są wprawdzie wpływy Goi, il Greco, reminiscencye lekkie Courbet'a, Raëburn'a, Fransa Hals'a, niekiedy nawet Couture'a, — ale są one wpływy i reminiscensye, nieznaczne zresztą, następstwem koniecznem wrażliwości młodej i młodzieńczego zapału. Każdy artysta, idąc w drogę po własne wrażenia i odczucia, zabiera ze sobą pewien bagaż upodobań, z cudzego poczerpniętych widzenia.

Taki np. *Buveur d'absinthe* (r. 1859) jest dziełem silnem, technicznie nieledwie doskonałem, malowanie w niem szczere i farbiste, psychologia niezmiernie subtelna. Jakąż kwintessencyą, okazem jakim skończonym cyganeryi owoczesnej, jest ten z fantazyą w opończę owinięty, wynędzniały pijaczyna i hołysz. To jeden z owych kawiarnianych Manfredów Dzielnicy Łacińskiej w poszukiwaniu na dnie czarki absolutu, jeden z tych wykolejonych, którzy „zalewając robaka“ i topiąc z nim razem zdrowie, talent, ba! wielokrotnie i źdźbło istotnego geniuszu — tak często w ataku hamletowskiego „być albo nie być“ wychodzą z życia, pogardliwie trzasnąwszy drzwiami.

Manet prostymi środkami, bez gadulstwa zbytniego, dał pełnię patetyczności takiego zwichniętego istnienia, o tragicznym finale gdzieś za węgłem zaułka, finale kuli, lub samobójczego postronka. W obrzękłej twarzy, w postaci całej, okrytej zmurszałym odziewkiem, widzisz i dumę ironiczną, i spryt, i beznadziejny upadek, i noce tułacze, kędyś pod mostami Sekwany spędzone,

i nędzę, co żre i przetrawia. A obok, jako widoma przyczyna porażki życiowej i poniżenia, zieleni się *Absynt — La Fée Verte*, która nietylko szaty wystrzępiła i zmięła, nietylko wypaliła bladością ołowianą oblicze, ale w tryumfie ostatecznym skurczyła drgawką „Delirii trementis“ nogę wychudzoną bohema.

Guitarero (rok 1860) ma te same malarskie zalety, ale w większem bodaj jeszcze napięciu. Tu technika jeszcze bardziej się upraszcza, a stosunki barw i śmiałe harmonie czynią to płótno arcydziełem nieledwie. Na ławce zielonej o metalicznych odblyskach siedzi gitarzysta hiszpański; popod szeroko-skrzydłym „Sombrero“ różowi się chusta, którą głowę owinął i odcina się delikatnie od śniadej twarzy; czarny kolor spencerka, biel koszuli i ciżem krajkowych, szaro-perłowe szarawarki — składają się na całość kolorową, niezwykle wabną; wyraz zaś twarzy rozgardłowanego śpiewaka-gitarzysty, miąższość materyi, modelowanie sute, przejrzystość atmosfery są takie, że obraz zdaje się być realnym skrawem życia. Nie masz w płótnie tem cieni (jakie się widzi w jednoczesnem dziele Manet'a: *Portrecie Rodziców*), nie masz przeciwieństwa szukanego w światłocieniu, mroków tych, echem będących ostatniem i wspomnieniem malarstwa przed-realistycznego. Tu części przyćmione mają natężenie i wartość walorów a łączą się ze światłami w rześki i żywy zespół.

I w innych obrazach w pracownianem oświetleniu malowanych, jak to *Ballet espagnol*, *Lola de Valence*, *Olympia*, w licznych portretach widnieje już podniesienie silne skali kolorów i bezpośrednie ich zestawienie bez przejść w półtony i bez złagodzeń. Ale właśnie z tej przyczyny, iż są owe kreacye w zimnem świetle pracowni poczęte — nie dają one w pełni potęgi kolorystycznej Manet'a.

W Plenerze dopiero występuje on jako nowator, mający własne objawienie. I choć *Lola z Walencyi*, w swej sukience oprószonej różnobarwnymi floresami kwiatuszków, w białym zawoju i krzyżówce modrej, ma, jak mówi Baudelaire, „le charme inattendu d'un bijou rose et noire;“ choć *Olympia* jest pierwowzorem wszystkich „aktów“ późniejszych, nutą świetlną i junacką, protestem przeciw szematowi mydełkowych ciał kobiecych o fałszywym wdzięku a wykaligrafowanych formach; choć *portrety Zoli*, *Rochefort'a*, *Ewy Gonzalès;* obrazy takie, jak: *La Dame aux éventails*, *Un café*, *Bar aux Folies Bergères*, *Le Vieux Mendiant* — ten typ Murillowski, *Le Liseur* i wiele innych, starczą, aby hołd mu złożyć i sławić go słowami, nad mogiłą jego wyrzeczonemi: „ce génie sans cesse en quête d'un effort nouveau;“ choć

we wszystkich tych płótnach zaznacza się już własne rozumienie i poczucie, dalekie od umówionek przyjętych — talent wszakże Manet'a tryska w całej mocy, wykwita w całej swej oryginalności tam, gdzie słońcem upieszczone wonieją i błyszczą kwiaty, liść i darń się papuzi, niebo swe lazury roztacza. Do tej kategoryi dzieł należą: *Déjeuner sur l'herbe, Le Jardin, Le Linge, Chez le père Lathuille, Argenteuil, Les travailleurs de la mer, Le port de Bordeaux, La Maison de Rueil* i t. p. Te utwory są Manet'a głównymi tytułami i głównem prawem do chluby.

Chronologicznie pierwsze *Śniadanie na trawie* było ewenementem przełomowym w malarstwie.

„W obrazie tym — mówi p. Teodor Duret w znakomitem swem studyum o Manecie — objawił się rodzaj malowania, po za obrębem zwykłego leżący, a z własnej wizyi i oryginalnej wynikły. Tu widz się zetknął z nowicyuszem-artystą, który wbrew uznanym zasadom kładł bez przejścia różnorodne tony jedne przy drugich, artystą niweczącym kombinacyę powszechnie uwzględnioną świateł i cieni w stałem ich przeciwstawieniu, a zastępującem ją kontrastami tonów zmiennych...“

Łatwo zrozumieć, jak oczy ogółu, przywykłe do mrocznych harmonij, złagodzonych w przejściach od jednej barwy do drugiej cieniami neutralnymi, uderzone brutalnie zostały tem połączeniem zuchwałem kolorów szczerych w całem ich rozwinięciu i mocy. Krytyka ówczesna nazwała to srokaciznę (bariolage). Zawrzała walka koło obrazu, który wprost wyzwaniem ludziom się wydał, i to nietylko z racyi kolorytu i techniki, ale także skutkiem kompozycyi i osnowy. Na płótnie wielkich rozmiarów, na jakiem do tej pory tylko alegorye, sceny historyczne lub batalie zwykło się widzieć—rostasowało się pod drzewami na polance dwóch panów w najzwyklejszych, najbardziej naturalnych pozach, nic z heroizmem wspólnego nie mających, odzianych prozaicznie w kubraki, które zdaleka nawet za chlamidy ni żupany ujść nie mogły. Przy nich na pierwszym planie — przykucnięta na murawie naga kobieta; w głębi inna pół-ciałem wychyla się z wody; a naokół porozrzucane w nieładzie odzienie i fatałaszki niewieście, kosz pełen owoców, bułeczki rumiane wesołą plamą ożywiają widownię. Biel pieszczotliwa ciała na tle bujnej zieleni i w przeciwstawieniu z czarnymi spencerami dała motyw barwny, który winienby, zda się, swem pięknem zyskać uznanie i podziw i nie razić śmiałością pomysłu; — tem ci bardziej, że już w sztuce istniał przykład takiego zestawienia: w przecudnym „Koncercie“ Giorgiona. Cóż kiedy krytycy, artyści, a naturalnie i publiczność nie chcieli ujrzeć

ani logiki jego założenia, ani świeżej krasy, bijącej łuną z obrazu!

Kto pamięta epizod z „l'Oeuvre“ Zoli, kiedy tłumy kupią się przed dziełem Klaudyusza i drwią sobie i znęcają nad nim, epizod całkowicie odtworzony z natury — ten uzmysłowić sobie potrafi, jakimi gromami, jaką klątwą, a co gorzej, jakim gremialnym śmiechem przyjętem zostało malowidło, z którego cały Plain-Air się rodzi.

Z dnia na dzień Manet stawał się sławnym, ale sławą „sui generis.“ Jedni go za trefnisia, inni za piekielnego jakiegoś antychrysta-burzyciela, inni poprostu za szaleńca, megalomana uważali. A ten rozgłos towarzyszył mu aż do śmierci nieledwie. Prawdą jest bowiem, iż czasem taka nas przestrzeń dzieli od dzieł zwiastunów, że po latach dopiero je zmysłami i umysłem objąć jesteśmy w stanie, podobnie jak po wiekach, długich wiekach blask nas dochodzi z sideralnych światów wysłany.

Takiż sam los tragi-komiczny, los *Śniadania na trawie* czeka i następne plenery: *U ojca Lathuille*, *Argenteuil*, *Bieliznę*, *Epizod Walki byków* etc. Pisma humorystyczne z owej epoki „Tintamarre“ i „Charivari“ zgodnie z nazwami swemi gwałt i harmider wszczęły; poważne zaś — albo milczeniem zbywały Manet'a, albo „ex cathedra“ nawoływały go do upamiętania, do wejścia na drogę ulizanej cnoty i obowiązków malowania cykoryą. Tylko Baudelaire przebąknął coś od czasu do czasu, tylko Zola z właściwem mu rozhukaniem bronił Mistrza w „l'Événement“ i w „Revue du XIX Siècle.“ Pasował się Manet z jury Salonów, które go stale prawie odrzucały, pasował z publicznością, kiedy jej „malgré tout et malgré tous“ w wystawach, specyalnie przez siebie urządzanych, dzieło swe na osądzenie oddawał, borykał się z krytyką, z niechęcią kolegów.

Po latach walki, zrzadka jaśnieje mu, jak marcowe słońce, niestałe, względne powodzenie, kiedy np. wystawia (w r. 1873) *Portret rytownika Belot* — ten mistrzowski płat malarstwa, godny portretów najpiękniejszych Fransa Hals'a. Ale i wtedy sukces zaprawia się dla Manet'a goryczą, bo mu wypowiadają właśnie pokrewieństwo z hollenderskim mistrzem.

Płótno to, zwane *„Le Bon Bock“* przedstawia brzuchatego, krwistego jegomości przy kuflu piwa, z fajką w zębach, zadowolonego z życia, ze siebie, z trunku, co przed nim stoi. Istotnie ma się między nim a piwoszami Hals'a swojactwo dalekie, ale w typie jedynie; obraz jest najzupełniej samoistnym i stanowi jeden ze skarbów nowoczesnej sztuki.

Po tym poklasku, w rok później, kiedy wystawia Manet swą *Kolej Żelazną* (*le Chemin de fer*) — te same drwiny, to samo niezrozumienie intencyj autora. I widać, że się on ani na krok do publiczności nie zbliżył, powiedziećby raczej należało, iż publiczność na krok nie postąpiła w odczuciu i pojmowaniu Manet'a.

Rok 1881 przyniósł wielkiemu artyście jeszcze jedną, tak rzadką w jego karyerze, wygraną: dwa portrety, wystawione w Salonie — *Pertuiset, tueur de lions* i *Rochefort* zostały nagrodzone medalem drugiej klasy, dającym tytuł i prerogatywy „hors concours.“ Teraz przynajmniej Manet może posyłać płótna swe do Salonu bez obawy odrzucenia, nie jest już na jury łasce i niełasce. Otrzymuje order Legii Honorowej.

Dzięki owym odznaczeniom, a nadewszystko z tej racyi, że tężyzna a talent zwyciężyć w końcu muszą—następuje lekki zwrot w gustach i pojęciach ogólnych. Osobliwie między krytykami i malarzami coraz to więcej widzisz stronników hożego, usamowolnionego malarstwa Manet'a. Już od lat kilku przy boku Mistrza kupić się poczęły zwolna talenty młode, umysły hardo, pragnące we własny a nowotny sposób myśli swe wyrzec. Do kółka szczupłego w zaczątku druhów Manet'a: Legros'a, Whistler'a, Fantin-Latour'a, Babou, Duret'a, Vignaux'a, Duranty'ego, Zoli, Cladel'a, rytowników Belot'a i Desboutin'a, pejzażysty Guillemet'a, oryentalisty Tabar'a, poety-rzeźbiarza Zacharyasza Astruc'a — przyłącza się falanga „Najmłodszych,“ a na ich czele: Sézanne, Renoir, Claude-Monet, Degas, Sisley, Pissarro, Berta Morisot, Ewa Gonzalès. Ci ostatni już w r. 1874 (który jest datą niejako historyczną w rozwoju Sztuki) zaznaczyli istnienie swe i tendencye; od nich to wyszła ciągłość pleneru i następstwo jego logiczne — Impressyonizm.

Teraz w walce za „credo“ swoje estetyczne, w poszukiwaniu nowych widnokręgów, Manet bojuje już nie samotny, ma wokół siebie ludzi, którzy podzielają ideały jego, a temi samemi drogami iść pragną naprzód. Ba! zwykłą koleją rzeczy, wyprzedzają go już nawet, dochodzą konsekwentnie, niechybnie do dalszych przemian teoryj Manetowskich, rozszerzają jeszcze bardziej myśl Mistrza.

Jeszcze subtelniej się obecnie różniczkują efekty świetlne, jeszcze silniejsze w natężeniu, intensywniejsze w kolorze są płótna nowozaciężnych, jeszcze realistyczniejsze w wyborze tematów. Pejzaż, uważany dotychczas za rodzaj dekoracyi teatralnej, za tło do przedstawionej anegdoty staje się bohaterem głównym, śmieje się rozigranem słońcem, płacze łzami rzęsistemi w pluskotę,

marzy opatulony sinemi mgłami. Stóg siana, kamień przydrożny, grusza sieroca w polu, wyszczerbiony opłotek— stają się narówni z katedrą ruańską przedmiotem obserwacyi drobiazgowej, notującej najmniejszą zmianę, którą moment dnia przynosi, najlżejszy w oświetleniu odcień.

I płyną lata, nowa estetyka i wizya nowa biorą górę, — ale Manet umiera [1]) na pół-uznany i zrozumiany na poły. W rok po śmierci Szkoła Sztuk Pięknych w Paryżu wystawia jego dzieło; ale i wtedy wartownicy i protektorowie Świętej Arki Rutyny: Prezydent Grévy, Minister Spr. Wewn. Férry, Dyrektor Szt. Pięknych Kaempfen niechętnie, pod przymusem, przyzwalają na to uczczenie Mistrza. A snadź nie pora jeszcze była na apoteozę, bo rozgłos jej nie wielki i rezultat żaden zgoła.

Dopiero na Wielkiej Wystawie Powszechnej (1900 r.), dopiero na dwu późniejszych ekspozycyach: w Salonie Jesiennym (1905) i u Durand-Ruel'a (w marcu 1906) ukazuje się w całokształcie dobytek bogaty Manet'a i widomem staje się piętno, jakie talent jego na nowoczesnem malarstwie położył.

Na „Jesiennej“ właściwie przemówił po raz pierwszy z całą wymową do nas Manet; w ciżbie bowiem „Wielkiego Targowiska,“ zbyt poligraficznego, o zgiełku jarmarcznym międzynarodowych zbiegowisk — znaczył się z mniejszą wyrazistością dorobek jego i charakter. Trzeba było ciszy i spokoju ustronnej sali w „Grand Palais,“ a może także i sąsiedztwa z innem centrum impulsu, innem ogniskiem współczesnej idei estetycznej — z płótnami Mistrza Ingres'a, aby ujrzeć filiacyę bezpośrednią „Młodej Francyi.“ Obadwaj oni w zestawieniu, jeden obok drugiego, objawili się naczelnymi Magistrami „ès arts“ doby ostatniej: Manet dzięki swemu zmysłowi Życia, Ingres dzięki zrozumieniu Piękna. Raz jeszcze zoczyliśmy tu, jak się dzierzgają w ogniwa spoiste rozmaite fazy i stany Sztuki. Twórca „Olympii“ okazał się dalszym jakby ciągiem autora „Odalisek“ i jego uzupełnieniem niejako; a obaj w sumie usiłowań i dążności tegoczesnych—pierwotnymi dodajnikami dwoma. Z Plenéru i Impressyonizmu wykluł się Neo-Impressyonizm, z Klasycyzmu Ingresowskiego — Neo-Tradycyonalizm. To zasię główne kierunki, łącząc się i zapładniając wzajemnie, górują w nowożytnem malarstwie.

Ze starszych—w Puvis'ie de Chavannes, w Degas'ie, w Gauguin'ie nawet, tym barbarzyńcu wierutnym, odnaleźć łacno donio-

[1]) Urodził się 23 stycznia 1832 r.; umarł 30 kwietnia 1883 r.

sły wpływ obu Mistrzów. Bo czyż nie od nich biorą ci trzej artyści — tak sobie różni — dążność do syntezy, prostoty, uporczywe poszukiwanie ustrojów zdobniczych plamy i ornamentu. I oni na wzór Indres'a stylizują formę, i oni, jak Manet, kolorom swym całą swobodę i świetność dają.

A najmłodsi dnia dzisiejszego malarze: Maurycy Denis, Valloton, Maurycy Guérin, d'Espagnat, Paterne Berrichon, Boutet de Monvel — ci, którzy gromadzą się w „Niezależnych," bądź na „Jesiennej," czyż nie na Ingres'a się powołują w zapasach swych z Realizmem i Impressyonizmem, z którego wszakże wyszli?! I bez wątpienia, mimo oryginalność i świeżość sentymentu a wrażeń, mimo fizyognomię i widzenie osobiste — nić natchnienia, synostwo myśli, duch pewien wspólny ich łączy z jednym i drugim Mistrzem.

Tak to Dusze twórców po wsze wieki grupują się w systemy jakoby planetarne siłą przedziwnej atrakcyi; po przez czas i przestrzenie wpływają na się, poszukują wzajem, i jakkolwiek ulotnym, dostrzegalnym ledwie jest często punkt ich zetknięcia — wyczuwasz wszelako węzeł mistyczny, który je razem splata.

Jan Topass.

Ruch literacki w Niemczech.

Dlaczego życie Wasze tak ubogie w piękno? — Tyle szarzyzny... zmroku!... Kto z was zna cuda ekstazy i wielkie dreszcze objawień? Płyniecie szarą falą dnia pełni znoju, pochyleni pod brzemieniem trosk, szarpani niepokojem walki, gnani przez furye żądz i pożądliwości... Płyniecie szarą, brudną, spienioną falą ku cichym wybrzeżom śmierci... Współcześni, o współcześni!... Wzrok wasz nie widzi wysp błogosławionych, gdzie poważne rytmy oceanu życia łączą się z łagodnym szmerem gajów świętych w cudnie harmonijną pieśń...

. . . . . .

Bezdeń nieba i nieskończoność morza, jakby konchą lśniącą przyoblekły perłę Waszych żeglug — Waszą wyspę, Waszą oazę piękności śród przepaści nieba i morza — Waszą ziemię! Tony wieczne dziwnie kojarzą się ze znikomym poszumem Waszych gajów, ze znikomym rytmem Waszych serc, ze znikomą pieśnią Waszych nadziei. Chwila i wieczność w uścisku weselnym! Z ust chwili wieczność pić!... pić!... pić!... pić!... być niczem i Bogiem zarazem!...

. . . . . .

„Tłem wiedzy jest piękno“ mówi Hoene-Wroński, w piękno przyobleka tęsknota swe sny prorocze, w pięknie widzimy pierwsze brzaski jutrzenek, które kiedyś będą...

Dlaczego życie Wasze tak ubogie w piękno?!

A wkoło Was szumią oceany piękna! Napróżno liże fala łakoma leniwe kadłuby Waszych okrętów. Smołą piekielną za-

tkaliście wszystkie szpary, zatarasowaliście wszystkie okna, a jeżeli zuchwała bryźnie Wam dyamentami stu tysięcy kropel na pokład — uciekacie! Nowoczesna sztuka stosowana, owe najmłodsze, najskromniejsze dziecko piękna, które śmiało wdarło się w Wasze mieszkania, nie poruszyła Waszych serc, nie obudziła w Was tęsknoty za pięknem. Każdy Chińczyk ma w swych skośnych oczach więcej poczucia kolorów i linij, niż Wy! Wyroby jego, które za kilkadziesiąt kopiejek możecie wszędzie nabyć, odznaczają się większym artyzmem, niż Wasze wykombinowane, salonowe, szablonowe „dzieła sztuki.“

Podziwiacie piękność rzeźb greckich, a sami szpecicie się, przecinając zuchwale łagodną linię ciała brutalnem wklęśnięciem gorsetu; śmiejecie się z Chińczyków, którzy w żelazne trzewiki wtłaczają nogi, a sami macie odciski... nietylko na nogach!... A domy Wasze — budy czworograniaste, a miasta Wasze — chaos kamienny! Trzebaby całe ulice burzyć i setki gajów stworzyć, ażeby chaos ten zamienić w rytm. W szkołach Waszych i w kołyskach szaro, Wasze życie prywatne tonie w szarzyźnie! Ubiór Wasz, Wasze mieszkania, Wasze teatry!...

. . . . . .

Z mgieł dalekich wyłaniają się zarysy potężnych budowli. Świątynie Sztuki!... Ławy marmurowe amfiteatralnie spiętrzone... Teatry, w których tłumy nabożne wsłuchują się w słowa wieszczów... Wielka sztuka zmartwychwstała! Na wierzchołkach gór płoną ognie świąteczne. Święto narodowe... jakby wielkie dożynki. Tłumy w strojach odświętnych, jak potoki barwne płyną... Już sam nastrój chwili wabi jasne stada gołębich myśli. A Duch Święty przemawia do ludu przez błogosławione usta wieszczów.

. . . . . .

Dziś sztuka potrzebuje komentarzów.

I za szczęście jeszcze poczytać należy, jeżeli komentatorami tymi są tacy ludzie, jak Taine lub Ruskin, którzy ponad przepaściami olbrzymiemi potrafią budować mosty. Przepaście bowiem dzielą życie od sztuki. Otrzymujemy ją zazwyczaj z drugiej ręki — z ręki krytyka. Straszne to słowo dla tych, którzy znają różnicę. Odarte ze skóry, poćwiartowane, pokaleczone dzieci muzy... ochłapy zamiast całości... destrukcya zamiast konstrukcyi!— Iluż pisze dziś krytyki twórcze? Łatwiej ganić, nicować, ośmie-

szać, dowcipkować, zrzędzić, wyniośle ponad sztuką, ponad artystą stać — jak Bóg-krytyk.

A owe zastępy komentarotów, bibliografów, grafomanów, które każde ziarno na proch szary mielą?

Tysiąc słów — i ani jednej myśli! — Biedne dzieła sztuki!...

*

* *

Niedawno miał Berlin sposobność poznać nowe dzieło Hauptmana. (Smutne, opłakane widowisko).

Publiczność premier berlińskich nie ma osobistego zdania. Każdy jest pod obawą skompromitowania się przedwczesnym objawem uczuć; tylko gwiżdżący na kluczach mają odwagę... nienawiści. Premiery hauptmanowskie są bowiem od dawien dawna polem utarczek dwóch wrogich sobie partyj. A w pierwszych rzędach siedzi areopag znawców. Od nich zależy, ile razy dana sztuka zostanie jeszcze wystawiona. Przez cały tydzień czyta się potem po kurjerkach i pismach... baniałuki. Tem większe, im głębsze jest dzieło, tem zuchwalsze, im uczciwszy autor.

Najlepiej na tem wychodzą Blumenthale.

Że wyjątki istnieją jest rzeczą naturalną — nienaturalną jednakże, że ich tak niewiele.

W roku przeszłym powtórnie złożono do grobu „Floryana Geyera," najpotężniejszy utwór dramatyczny nowej poezyi niemieckiej.

„Michael Kramer," „Der arme Heinrich," dzieła pełne bethowenowskich dźwięków... pogrążono!...

C'est la vie, c'est la vie!

Tyle jednakże zamętu, co bajka z szląskich hut szklanych: „A Pippa tańczy," żaden utwór Hauptmana chyba nie wywołał.

Zadałem sobie trud przeczytania kilkunastu krytyk. (Świetny materyał dla satyryka!) Z wyjątkiem Alfreda Kerra, pani Lou Andréas-Salomé (jedynej uczenicy Nietzschego)... i jeszcze kilku mniej znanych autorów — niezdarność nie do uwierzenia.

Zobaczmy np. co pisze taka „wyrocznia," jak Maksymilian Harden, znany wydawca „Zukunft."

Niegdyś na skrzydłach St. Beuvea bujał ptak ten śmiało po lazurach poezyi. Na dalszy dystans wydawał się krogulcem, później okazało się, że to... sroka!

W 17-tym zeszycie „Zukunft“ czytamy:

„W najnowszej bajce Hauptmana brutalna siła nie pożąda i nie zwycięża piękności. Ta jednakże umiera, a geniusz niemiecki ślepnie i staje się pastwą mamideł. Na tej drodze nie zajdziemy daleko. Poeta zastrzega się przeciw „zimnej refleksyi“... Dobrze, ale co raz było pomyślane, trzeba przecież módz odtworzyć w myśli... Ja nie mogę. Dla mnie baśń ta ze szklanych hut ciemna jest, jak atrament, a najsubtelniejsze cuda tej ars vitraria experimentalis nie dadzą się nawet uchwycić okiem, uzbrojonem w dyafanoskop. Gniewa mnie ta gra nie przetrawionych, nie zrozumianych przez mózg słów i pojęć, to przeżuwanie wytwornych głupstw i mania potęgowania sztucznie zdolności myślenia i kształtowania... C'est la rage de vouloir penser et sentir au delà de sa force! Czyż zamki, które nam pan Hauptman buduje, muszą koniecznie sięgać od najgłębszych głębi ziemskich do najwyższych chmurnych szczytów?...“

W rzeczywistości utwór Hauptmana „A Pippa tańczy“ da się zgłębić i objaśnić. Na dnie pozostanie może kilka pytań nierozwiązanych, ale czyż dzieła o wiele większe — Faust, Komedya Boska, Dziady, Pierścień Niebelungów Wagnera, symfonie Betowena, zaraz na pierwszy rzut oka dadzą się rozwiązać, zgłębić?...

*

* *

Pippa przypomina nam dwa dawniejsze utwory Hauptmana: Hanusię i Dzwon Zatopiony. Z Hanusią łączą ją pewne techniczne, czysto hauptmanowskie odrębności. Toż samo umiejętne połączenie rzeczywistości i marzenia — ale w Pippie marzenie odgrywa rolę znamienną. Z „Dzwonem Zatopionym“ posiada Pippa kilka rysów wspólnych: symbolizm, upostaciowanie sił, mających wpływ na nasz byt, poezya Gór Olbrzymich.

Akt pierwszy odgrywa się w Górach Olbrzymich, w karczmie na granicy czeskiej, w jasną, mroźną noc zimową. Szynkarz, kelnerka, drwale, pijący piwo i wódkę, kilku majstrów z poblizkiej huty szklanej, grający z Włochem Tagliazonim w karty dyrektor huty szklanej, który przed kilkoma dniami dopiero powrócił z Paryża, zajadający pstrągi i spijający szampana — wszystko to stworzone z realizmem iście hauptmanowskim.

Wchodzi Huhn, postać przejmująca dziwnym, nieokreślonym lękiem. Olbrzym porosły rudym włosem, rude, nastrzępione brwi, ruda broda, wodniste oczy z czerwonemi obwódkami, mięsiste, wilgotne wargi... Cały w łachmanach.

„Jeżeli spojrzeć na starego Huhna i pomyśleć o Paryżu, to Paryż wydaje się niepodobieństwem," powiada dyrektor. „A płuco to mo, jak dwo miechy..." dodaje jeden z drwali. Huhn był dawniej robotnikiem w starej hucie szklanej, która została zamknięta, ponieważ się nieopłacała.

Dyrektor się nudzi. Co sprowadza tego, do wygód przyzwyczajonego pana, w mroźną noc zimową do samotnej, brudnej karczmy pogranicznej?

— Maestro Tagliazoni, a gdzież, u licha, córka wasza?... Śpi?... Dyrektor chce, aby Pippę zbudzić. Sto marek, jeżeli Pippa tańczyć będzie! Pippa się zjawia, jak jasny promień słońca, który naraz oświeca ciemności i serca radością napełnia.

— „Siamo parenti del divino Tiziano, signore!" — powiada Tagliazoni. Na złoto-rudych włosach dziewczyny leży jakby odblask tego szlachetnego pokrewieństwa.

— Niechaj Pippa tańczy!... Pippa ma tańczyć!

Ale dyrektor sprzeciwia się, przywołuje do siebie, częstuje szampanem,... sam widok jej mu wystarcza.

Jeszcze jeden gość. Młody, nawpół zmarznięty, wędrowny czeladnik Michał Hellriegel, który dąży na południe, w krainę „gdzie wodę przejrzystą w kule szklane przemieniać potrafią."

Młody człowiek staje się przedmiotem żartów i uwag złośliwych. Przez łzy spostrzega Pippę, która się doń uśmiecha. Wzrok jego tonie w jej oczach.

Tymczasem stary Huhn podniósł się pomrukując, wysunął z poza swego stołu, zbliżył do Hellriegela i zmusza go, aby usiadł, zapraszając równocześnie swą włochatą ręką Pippę do tańca.

Pippa ma tańczyć! Wprowadzają muzykanta grającego na okarynie. Pippa tańczy! Taniec ten ma w sobie coś symbolicznego. Olbrzymi, potworny Huhn napoły goryl, napoły orzeł stara się uchwycić piękną, zwinną Pippę, która w takt muzyki z tamburynem w ręku uwija się wkoło niego.

Z ogólnego zainteresowania korzysta Tagliazoni, ażeby podsunąć kilka kart fałszywych do talii leżącej na stole. Jeden z graczów przyłapuje go nagle. Taniec zostaje przerwany.

Pomiędzy włochem a oszukanymi rozpoczyna się dzikie szamotanie. Tagliazoni dobywa noża i zrozumiawszy grozę sytuacyi ucieka do lasu. Drwale i gracze z nożami i kijami za nim!...

Krzyk śmiertelnie zranionego człowieka. Pozostali wybiegają z wyjątkiem starego Huhna i Pippy wciśniętej w kąt. Przez naoścież otwarte drzwi podmuch zimny zgasił nagle lampę. Stary Huhn zapala ją, spostrzega Pippę i omdlałą wywleka do lasu.

Drugi akt. Nędzna chata Huhna. Właściciel jej wchodzi ze swą drogocenną zdobyczą i składa ją na legowisku z łachmanów i suchych liści. Rozpala na kominie ogień. Przerażenie oprzytomniałej Pippy... Dziki wicher halny, który się często w górach budzi przed wschodem słońca, trzęsie całą chatą. Stary mruczy niezrozumiałe zaklęcia. Pippa w najwyższem przerażeniu chce uciekać... Nadaremnie!...

W tem postać jakaś zarysowuje się na tle okna. Słychać pukanie, głos ludzki. Huhn porywa olbrzymią maczugę i wybiega. Po chwili wchodzi Hellriegel... Ciche, drżące dźwięki muzyczne przypominają nam, że jesteśmy w krainie bajki. Hellriegel ogląda się, ze zdumieniem po pustej izbie. Na kominie ogień trzaska. Pomimo tego nie widać nikogo. Za ostatni grosz kupioną w karczmie okruszynę podnosi do ust... Pod wpływem tej muzyki zrywa się Pippa ze swego łoża i tańcząc, jakby we śnie hypnotycznym, zbliża się do grającego. Pippa,... dusza okaryny,... córka zabitego w lesie włocha!... wszystko to mięsza się w umyśle zdumionego fantasty Hellriegela, któremu poeta nadał rysy niemieckiego marzyciela „bez kręgosłupa.“ Upływa spory kawał czasu, zanim Hellriegel zaczyna wierzyć w to, że Pippa jest rzeczywistością... (Widzimy tu zastosowaną technikę fantastycznych utworów Brentana, Grabbego, Tiecka do dzieła symboliczno-realistycznego).

Tymczasem pierwsze brzaski jutrzenki przedarły się przez brudne szyby jedynego okna izdebki Huhna. Stary Huhn stoi na wzgórzu, jak straszny bóg leśny i wita wschodzące słońce. Widać go z okna. Broda i brwi pełne lodu. Z wyciągniętemi ramionami i zawartemi powiekami stoi nieruchomy z twarzą na wschód zwróconą. „Czy słyszysz dźwięk kryształów w konarach świerków górskich, pyta Hellriegel, słuchaj, jak chrzęszczą długie sople lodu...“

Słońce! Rozlega się okrzyk olbrzyma: „Jumalaï!“ Jakby zwiastowanie... „Zdaje mi się, że okrzyk ten ma znaczyć: Radość dla wszystkich!“ mówi Hellriegel...

Z chwilą pojawienia się pierwszych promieni słonecznych rozlega się ponownie muzyka, rośnie, potęguje się w miarę wzrastającej jasności... Hellriegel i Pippa uciekają...

W drugim akcie dokonywa się przejście z rzeczywistości w krainy fantazyi, a mianowicie w chwili, gdy Hellriegel przykłada okarynę do ust i gdy mu się Pippa nagle w chacie Huhna zjawia. Realizm pierwszego aktu, który krwią swoją karmi cały utwór, jest jakby kanwą, na której wyobraźnia poety wyszywa różnego rodzaju wzory — postacie utkane z mgieł przeczuć, marzeń, instynktów i dumań ludzkich.

Akt trzeci. Jesteśmy w przestronnej, jasnej chacie Wanna na szczycie gór. Umeblowanie zamożne, w stylu górskim. Dziwnie w otoczeniu tem wyglądają stare foliały, narzędzia alchemiczne, luneta, preparaty chemiczne, u pułapu zawieszone modele okrętów różnorodnych. Głuchy służący Jonatan zmywa naczynie. Wpada zadyszany, ubielony śniegiem i szronem dyrektor. Podczas gdy Jonatan go ze śniegu otrzepuje, zjawia się Wann i bez szelestu staje za pulpitem, na którym leży otwarta księga... Dyrektor w pierwszej chwili go nie spostrzega.

Stary Wann, „osobistość mityczna," jak go poeta nazwał, niemało kłopotu narobił komentatorom (Maksymilian Harden wpadł aż na nieszczęśliwy pomysł, że to personifikacya Pana Boga). Wann jest 90-cio-letnim starcem z białą brodą, w długim kitlu płóciennym. W postaci jego sprężystość młodości łączy się dziwnie z siłą wieku dojrzałego i powagą starości tak, jakgdyby starość była spotęgowaną młodością.

Na jednym z kielichów ze szkła weneckiego, które służący wnosi na tacy i napełnia winem, czyta dyrektor napis „Montes chrysocreos fecerunt nos dominos."

— „Wyglądasz pan, jak posiadacz arabskiego pałacu wieszczek w Wenecyi, który tutaj udaje takiego, co nawet trzech zliczyć nie potrafi..." mówi dyrektor.

Wann, w którym poeta prawdopodobnie chciał dać personifikacyę sił intelektualnych, rozmyśla, filozofuje, zagłębia się z uśmiechem dobrotliwym, pełnym świadomości w tajemnice bytu... „Se tu serai solo tu serai tutto tuo!", przygląda się dwom bożym krówkom na stole... „Cały świat nasz leży poza obrębem ich zmysłów, pomyśl pan, co leży poza obrębem naszych zmysłów!..."

Z mądrością tą dyrektor, który pragnąłby raczej dowiedzieć się czegoś o zaginionej Pippie, nie wie co począć. Wann przyrzeka wyleczyć go z tej tęsknoty miłosnej. Na zaklęcie starca wpada Pippa: „Ratujcie, ratujcie! Michałek leży w śniegu i nie może iść dalej!" Dyrektor, Wann i Pippa spuszczają się po linie w przepaść, w której leży Hellriegel. Tymczasem wsuwa się cichaczem stary Huhn do izby, rozgląda się po kątach i kryje za

piecem. Po chwili powracają dyrektor, Wann i Pippa. Dyrektor i Wann niosą omdlałego Hellriegela. Pippa nie poznaje dyrektora. „Czy rozumiesz, dyrektorze, jaki to potężny czar tutaj działa?“ powiada Wann. Dyrektor rezygnuje, ucieka... „Otwórz przepaść, kochany Jonatanie. Huha!“

Hellriegel z tymże samym okrzykiem otwiera natychmiast oczy (tajemniczy związek pomiędzy osobami bajki, który poeta bezustannie stara się jaskrawo uwydatnić), zrywa się... „Dalej, Pippa, dalej w drogę! nie mamy czasu do stracenia, każda mila drogi zbliża nas do celu, do pięknego miasta szklanych cudów.“ Z trudem daje się młody śnizłotka namówić, aby chwilę jeszcze wypocząć i posilić się... „Jedz, Michałku, jedz. Samemi błękitami takie chłopisko, jak ty, nie da się wykarmić — mówi Wann... Nie rezonuj!... Na nic się nie zda sarkać na Pana Boga, że oddychać, żuć i łykać musisz... Tem piękniej będziesz potem latał i bujał.“

Podczas gdy Michałek je, zdejmuje Wann zawieszony u pułapu model gondoli weneckiej i pokazuje go Pippie.

— „Czy wiesz, dziecko, co to za potężny sprzęt?“

Pippa namyśla się... „Ach, tak... wiem!... Raz w nocy płynęłam na barce takiej pomiędzy domami...“

— „Tak jest, ta mała łódź stworzyła czarodziejskie miasto pomiędzy dwoma niebami, to miasto, w którem i ty, dziecię moje, przyrosłaś do serca ziemi... Albowiem jesteś z bajki i w krainę bajek znów powracasz!“

Miasto, o którem wspomina Wann, jest miastem tęsknot Hellriegela. Na pytanie tegoż, jak daleko jeszcze do miasta, w którem woda w szklane kwiaty wystrzela, obiecuje mu siwowłosy czarodziej cel jego tęsknot pokazać. „Jeżeli pojedziesz tą łodzią, którą już pierwsi mieszkańcy chat wodnych wdłuż lagunów płynęli i z której, jak z pływającej kadzielnicy, wykwitł dym fantastyczny: — sen piękności, Wenecya... jeżeli pojedziesz tą łodzią i za pośrednictwem cudu, który się stał twoim udziałem, to będziesz mógł odrazu zobaczyć wszystko, za czem spragniona dusza twa tęskni... A ty, Pippo, daj jego żaglom czarodziejski wiatr!...“

Starzec położył palec Pippy na brzegu jednego z kielichów weneckich i mówi zaklęcie, które Pippa, śmiejąc się, powtarza:

Fahre hin, fahre hin,
Kleines Gondelschiffchen!
Aus Winternacht und aus Schnee und Eis

Aus sturmgerüttelter Hütte Kreis
Fahre hin, fahre hin,
Kleines Gondelschiffchen.

(Hej dalejże, dalej! maluchna gondolo! Rzuć noc zimową, śnieg i lód, rzuć chatkę, którą wichry trzęsą. Hej dalejże dalej, maluchna gondolo!).

Opis podróży Hellriegela do miasta „cudów szklanych“ jest poematem. Wann wypytuje w śnie hypnotycznym pogrążonego. Wtem, gdy Hellriegel w swem jasnowidzeniu chce chwycić za kołatkę złotą drzwi pałacowych, na której stoi napis: „Montes chrysocreos fecerunt nos dominos!“, zastępuje mu drogę Huhn. Uśpiony zaczyna jęczyć. Wann budzi go na prośby Pippy. „Dość! wracaj z powrotem do dalekiej chatki, do wygnańców zasypanych śniegiem i wysyp przed nami twój ładunek złoty, gdyż bardzo jesteśmy spragnieni.“ Hellriegel jest niepocieszony, że cudna podróż jego została tak nagle przerwana.

— „Daj mi, starcze, daj Twoją cudną gondolę!“

— „Nie, Michałku, zaczekaj jeszcze trochę — mówi Wann. Jak na teraz zbyt jeszcze jesteś rozgorączkowany. Uspokójcie, proszę, wasze bijące serca i nie bójcie się... Pozwólcie mi przez jedną noc tylko ugościć w swej chatce pełną, młodą nadzieję, a jutro idźcie dalej, z Bogiem...“

Hellriegel i Pippa pozostają na noc w chatce Wanna. W chwili, gdy Wann z gośćmi swymi opuszcza izbę, wyłazi z za pieca Huhn. Powracający Wann spostrzega go... w pierwszej chwili nie wierzy oczom... Po krótkiej, natężonej walce pada Huhn z krzykiem przeraźliwym w objęcia stalowe Wanna.

Akt czwarty. Na ławie w izbie Wanna leży Huhn. Przestraszona Pippa stoi pośrodku. „Nie bój się, niebezpieczeństwo dla ciebie minęło, jeżeli będziesz ostrożną,“ uspakaja Wann. „Moc moja nad nim sięga aż poza granice jego zależności.“

Hellriegel wpada do izby.

Wann, do Pippy, wskazując na Huhna: „Poznajesz go, gościa tego, który tak późno do nas zawitał, aby tutaj oczekiwać Wyższego?“

Wann wysyła Hellriegela po dzban śniegu, którym okładać chce serce jęczącego Huhna. Hellriegel powraca blady, jak chusta, przerażony. Po raz drugi za nic w świecie nie odważy się wyjść tej nocy... Na prośbę Wanna, aby wyszedł i zawołał głośno tego, który przyjść ma, Hellriegel wzdraga się (jest to może najbardziej trudne dla komentatorów miejsce).

Na to Wann: „Boisz się pioruna, który ma oswobodzić! Przygotuj się więc usłyszeć wycie na chwałę Bożą w inny, bardziej wstrząsający sposób, gdyż inaczej niema możności zapobiedz wtargnięciu dzikiej sfory.“ Huhn zaczyna tak strasznie wyć i skowyczeć, że Hellriegel i Pippa zdjęci litością biegną doń.

Wann: „Hola! Nic wam to nie pomoże! Tutaj szaleje zatruty ząb i do białego rozpalony wicher tak długo, jak mi się podoba. Tutaj moce tyfoniczne wyciskają donośny krzyk boleści wściekłego poznania Boga...“

Hellriegel, zamiast zdobyć się na odwagę wyjścia po raz wtóry, bluźni. W końcu sam Wann decyduje się wyjść, aby zawołać tego, który ma przyjść. Przedtem jednakże ostrzega Hellriegela. „Bądź ostrożny i pilnuj mi Pippę, aby nie tańczyła!“

Hellriegelowi przestroga ta wydaje się żartem niesmacznym. Bo jakżeż można, w takiej chwili u łoża umierającego... tańczyć! Wann opuszcza izbę.

Zaraz po wyjściu Wanna zaczyna się Huhn ożywiać, wargi jego poruszają się... „Morderco! Morderco!...“ Pippa kładzie mu rękę na serce, a Hellriegel daje mu pić z kielicha weneckiego. Słyszymy dziwną opowieść Huhna w narzeczu gór szląskich... Ciemną, smutną opowieść rzewną i odurzającą zarazem, jak zapach świeżo skopanej ziemi na wiosnę... „I siedzieliśwa w ciemnościach... Świot całyć wyziembiło. Siedzieliśwa wkoło pieco zimnego... I ludziskać szli ze wszyćkich końców... o, z dalekoć szli... i głodni byli, aby choć kruszynkom świotła na jenzyk dostać... I wstaliśwa i zaczeliśwa miechamy w popiół donć. Aż tu ci naraz malusieńki płomyczek wyskoczył!... Płomyku, płomyczku! A tańcujże! tańcujże! byśwa trocha świotła dostoli... Tudy... siudy... niech ludziska świotła dostanom!...“

Stary Huhn wywiera coraz potężniejszy czar na Pippę i Hellriegela. „Michałku, Michałku! tańcuj ze mną! Michałku, trzymajże mnie mocno!... Ja nie chcę tańczyć! Michałku, Michałku tańcujże ze mną!“ Hellriegel wyciąga swą okarynę. „Jeżeli Cię we wszystkich członkach szarpie, dlaczego nie miałabyś tańczyć? A przytem jeżeli ten biedaczysko tyle wagi do tego przywiązuje... Ja w tem nic złego nie widzę!... To jeszcze nie najgorsza rzecz radować się z tymi, którzy są śmiertelnie smutni!...“

Pippa tańczy, Hellriegel przygrywa na okarynie, a Huhn wybija rytm pięściami na poręczy ławki. Nagle Pippa zatacza się i pada martwa w objęcia Wanna, który niepostrzeżenie ukazał się na progu izby. Huhn mierzy go nienawistnym wzrokiem i, zaciskając pięść, druzgocze kielich wenecki... Montes chryso-

creos fecerunt nos dominos!... Z tryumfalnym okrzykiem „Jumalaï!“ umiera stary „bóg leśny.“ Hellriegel gra dalej. Dla niego nic się nie zmieniło, dla niego Pippa żyje, tańczy — tylko jakaś dziwna tęsknota szarpie mu pierś, taka bolesna i słodka, „jakgdyby musiał być zarazem tutaj i tam daleko, miliony lat dalej...“ Cudne wizye krajobrazów wiosennych, panorama miasta „szklanych cudów“ przesuwają się przed jego zachwyconym wzrokiem, który nigdy już światła dziennego nie zobaczy. Michałek oślepł w chwili śmierci Huhna.

„A ona znów wędruje po świecie, a stary, niezmordowany, dziki olbrzym znów bezustannie za nią...“ powiada Wann, ale Hellriegel go nie rozumie. Morza światła widzi — oceany światła i po nich płynie wraz z Pippą w złotej galerze!

Wann zaślubia go z umarłą Pippą. „Ja, poślubiony cieniowi, zaślubiam cię z cieniem!“

„A więc żegnaj mi... żegnajcie mi!... A nie zapomnij swej okaryny...“

„O, nie! słodkiej, kochanej żoneczki swej nie zapomnę,“ woła Hellriegel.

... — „Śpiewaj i graj... i nie wątp!...“

Hellriegel: Huha! Śpiewam pieśń ślepców.

Wann: Jakto?

Hellriegel: Pieśń o ślepych, którzy nie widzą wielkich, złotych schodów.

Wann: Tem wyżej zajdziesz na tej scala d'oro, scala dei Giganti.

Hellriegel: I pieśń o głuchych śpiewam.

Wann: Którzy nie słyszą prądów wszechświata.

Hellriegel: Tak.

Wann: Dobrze! Ale słuchaj, Michałku, jeżeli pieśń twoja ich nie zmiękczy i jeżeli ci grozić będą nielitościwemi słowy lub kamieniami, co się też zdarza czasami, to opowiedz im o bogactwach twoich... Ty, królewiczu ze swą królewną w podróży po świecie!... Opowiedz im o pałacu waszym śród wód i błagaj, aby was na miłość Boską choć o jeden słup milowy dalej na drodze waszej przeprowadzili.

Hellriegel: (chichocze) A Pippa tańczyć będzie?

Wann: A Pippa tańczy!

Wann prowadzi ku drzwiom ślepego, ale uszczęśliwionego Hellriegela, który przykłada okarynę do ust. Rozlega się nieskończenie tęskna i smętna piosnka. U progu bierze Jonatan ślepego pod ramię. Wann powraca, podnosi przy oddalających się

dźwiękach okaryny małą gondolę ze stołu i mówi ze smutną rezygnacyą w głosie... „Dalejże, dalej — maluchna Gondolo! — kurtyna spada.

W „Pippie“ podobnie jak w „Dzwonie zatopionym“ sięga poeta po symbole dla wyrażenia swoich myśli i uczuć. W „Dzwonie zatopionym“ została upostaciowana tragedya artysty-twórcy, w „Pippie“ — tragedya duszy nowożytnej, w której rozum, serce, wyobraźnia, instynkta walczą o nową harmonię, o nową piękność. W „Pippie“ sięga poeta głębiej, obejmuje szersze widnokręgi, dla tego samego już upostaciowanie jego uczuć napotkało na trudności o wiele większe.

Bądź co bądź w bajce tej zaklętej w obrazy zimowe z Gór Olbrzymich, w złote sny o Wenecyi, drzemią piękności niezwykłe i głębie myśli napełniające widza uczuciem religijnej czci.

*

* *

Drugim znamiennym utworem dramatycznym sezonu tegorocznego jest tragedya Hofmannsthala „Edyp i Sfinks.“

Elektra Hofmannsthala pod względem stylu stoi wyżej, Edyp jest zato utworem głębszym, potężniejszym.

. . . . . .

Błogosławione wybrzeża Hellady, uroczej krainy cudów! Kto raz pił czar tej poezyi powabnej, dla tego Grecya pozostanie na wiek wieków wiosną piękności, — jednym z wiecznych szczytów wielkości ludzkiej. Czerpać z tej skarbnicy piękna tematy, nie jest dowodem słabości, jak fanatycy oryginalności utrzymują. Przeciwnie, tylko mistrze mają do tego prawo, a kto po nie sięga, musi mieć spory zasób odwagi i talentu. Właśnie fakt ten, że dziś coraz częściej i chętniej zwracamy oczy ku białym świątyniom tragedyi greckiej, że mity i wierzenia starej Hellady coraz silniej nas interesują i wzruszają, że w odwieczne tkaniny coraz częściej wplatamy złote i srebrne nitki naszych wierzeń — jest wymownem świadectwem na naszą korzyść. Szczyty bliższe są szczytów, niż doliny!...

W naszych snach o teatrze przyszłości mającą obrazy owych białych, olbrzymich teatrów ludowych, owych igrzysk i świąt na-

rodowych Grecyi, a głos wewnętrzny nam szepce, że i dla nas kwiaty te kiedyś zakwitną, że coraz żywiej krążące soki twórcze stworzą i dla nas cuda nowej wiosny, naszej wiosny, wobec których Beyreuth będzie tylko pierwszym nieśmiałym uśmiechem przebudzenia.

. . . . . .

Mit o Edypie należy do najciekawszych mitów starej Grecyi. Zeus w postaci byka porywa Europę, córkę króla fenickiego Agenora. Syn Agenora, Kadmos, puszcza się za nim w pogoń. Wyrocznia daje mu radę zaprzestania pogoni i udania się do Beocyi, uroczej krainy krów. Tam na wybrzeżu morskiem spotka krowę i w ślad za nią tak długo iść będzie, aż się krowa położy. Na miejscu tem stanie gród. Kadmos spełnia słowa wyroczni i wznosi Teby. W pobliżu miejsca, na którem legła krowa, gnieździ się smok, którego młody bohater zabija. Z posianych zębów smoczych wyrastają rycerze. Rycerze ci pomagają Kadmosowi zbudować Teby.

Za żonę pojmuje Kadmos córkę Aresa i Afrodyty — Harmonię. Harmonia jest dzieckiem grzechu bogów. Kto nie zna owej pysznej, humorystycznej sceny z Homera, w której cały Olimp staje się świadkiem zdrady małżeńskiej Afrodyty? Na łożu, oplecionem misternie siatką żelazną, leżą, jakby w klatce, Ares i Afrodyta, a kulawy Hefestos z giestem zdradzonego, mszczącego się małżonka, ukazuje śmiejącym się bogom winowajców. Pomiędzy darami ślubnemi dla Harmonii znajduje się naszyjnik Hefestosa, na którym wisi, niewidzialne dla oczu ludzkich, nieszczęście.

Nieszczęście prześladuje cały ród Kadmosa. — Tragiczną śmierć Penteusza, wnuka Kadmosa, opisuje w swym znakomitym dramacie „Bachantki“ Eurypides. Dramat ten posiada dla nas podwójną doniosłość. Jako pierścień w łańcuchu przeznaczeń rodu Kadmosa i jako przyczynek do historyi kultu dyonizyjskiego.

Dyonizos, wnuk Kadmosa, syn córki jego Semeli i Zeusa, zjednywa dla nowego kultu ziemi całą zachodnią Azyę i, jako bóg, powraca w swe ojczyste strony. Penteusz nietylko że nie uznaje jego boskiego pochodzenia, ale sprzeciwia się nowemu kultowi. Za karę własna matka wraz z bachantkami w szale dyonizyjskim rozszarpuje go na górze Kitajron w pobliżu Teb, gdzie zazwyczaj, wbrew zakazowi króla, odbywały się orgie bachiczne.

Kadmos zrodził Polidora, Polidor zrodził Labdaka, Labdak zrodził Lajosa, Lajos zrodził Edypa. Historya Lajosa, Jokasty, Edypa i Antygony, zdramatyzowana świetnie przez Sofoklesa (Król

Edyp, Edyp w Kolonos, Antygona), aż nadto dobrze jest znana. Z późniejszych, Józef Péladan, opracował temat ten w nieudolnym dramacie „Oedipe et le Sphinx.“ Takiż tytuł nosi trzyaktowa tragedya Hofmannsthala.

Młody poeta austryacki daje nam tragedyę wizyonera. Edyp jego działa tragizmem człowieka niewinnego, pchanego nieubłaganie przez potęgi stokroć silniejsze w objęcia najstraszniejszych zbrodni. Konsekwencya licznych przewinień przodków, ciężar odwiecznych przekleństw boskich i ludzkich, leży na barkach tego odkupiciela, który widzi i słyszy rzeczy niesłychane, a pomimo tego ślepy jest na wszystko, co się stać musi. Ciężkie zbrodnie są jego przeznaczeniem, spuścizną, której zrzucić z siebie nie może, ale to, j a k przeznaczenie swoje spełnia, jest jego własnym udziałem, j e g o czynem w powikłanych dziejach świata. Edyp spełnia je w czystości ducha. W tem spleceniu przeznaczenia i woli osobistej, rozjaśnionej błyskawicami wizyj, leży wielkość utworu Hofmannsthala.

W „Narodzinach Tragedyi“ pisze Nietzsche o Edypie Sofoklesa: „Edypa Sofoklesa należy pojmować, jako człowieka szlachetnego, którego przeznaczeniem jest błądzić i być nieszczęśliwym, pomimo całej swej mądrości, który jednakże w końcu przez potęgę swego cierpienia wywiera magicznie dobroczynny wpływ na swe otoczenie, sięgający daleko po za granice życia osobistego. Szlachetny człowiek nie popełnia zbrodni, chociażby przez jego czyn wszelkie prawo i wszelki porządek, nawet cały świat moralności, został zniweczony, gdyż właśnie przez czyn jego stworzona zostaje nowa wyższa sfera magiczna działań, które budują nowy świat na rozwalinach starego.“ ... „Edyp morderca własnego ojca, małżonek własnej matki, jest tym, który odgaduje zagadkę Sfinksa...“

Edyp Hofmannsthala różni się w wielu punktach od tego Edypa, którego nam opisuje Nietzsche, wpatrzony w powstające zarysy Niebelungów Bayreuthu.

Przedewszystkiem widzimy w nim wizyonera, postać i losy utkane z mgieł nieuchwytnych przeczuć, sieć mistyczną przeznaczenia, przetykaną srebrnemi nitkami woli.

Hofmannsthal ukazuje nam Edypa w chwili powrotu z Delfos. Bóg przez usta kapłanki doń przemówił, królewskie duchy przodków go otoczyły, wszystkie wątpliwości co do pochodzenia nie królewskiego zostały rozsiane... Młodzieniec, który po pijanemu podczas uczty ośmielił się cisnąć mu w twarz obelgę, że nie jest dzieckiem króla korynckiego, skłamał i zupełnie zasłużenie przy-

płacił zuchwalstwo swe życiem. Obawy i wątpliwości, które zagnały Edypa do Delfos zostały rozwiane, ale to, co bóg mu przez usta kapłanki objawił, straszniejsze jest od wszelkich niepewności—to przepowiednia krwawa, której słowa jak furye prześladują go w snach i na jawie. W snach przyszłość mu się objawiła, a bóg słowem swem ją potwierdził.

„Wszelką rozkosz zabójstwa odpokutowałeś na ojcu, a na matce wszelką rozkosz miłosną... Tak śniłeś i tak się stanie."

Edyp wybiera dobrowolne wygnanie. Ale sługi i towarzysze podróży odszukali go i stary Feniks, opiekun i mentor, błaga, aby powrócił do Koryntu. Edyp zwierza mu się ze wszystkiego.

Kilkakrotnie uderza autor w tym dyalogu pomiędzy Edypem i Feniksem w tony wzruszające, piękne i szczere. Wspaniała jest powieść Edypa o wizyach swych w świątyni delfickiej, wstrząsające słowa pożegnania:

„I powiedz matce i ojcu, że raz w dzień o tej godzinie..."

Szkoda tylko, że miejscami posługuje się poeta bardzo niedbałemi rymami i rytmem, częstokroć sztucznym, na czem pierwszy akt traci ogromnie. Pomimo tego zakończenie aktu jest potężne.

Feniks i sługi oddalili się. Burza nadciąga. Edyp w uczuciu swego osamotnienia pada na ziemię i wzywa ją aby była dlań matką. Nad nim w poszumie wichru głosy przodków. Wtem śród ciemności natyka się na modlącego herold Lajosa i podnosi nań pałkę. Edyp zabija go. W kilka chwil potem pojawia się w wąwozie rydwan króla Lajosa. W świetle błyskawic poznaje król trupa swego sługi i przysięga zemstę mordercy. Edyp przyznaje się do czynu, prosi o przebaczenie i w obronie własnego życia i wolności zabija Lajosa. Sługi uciekają i toną w poblizkim strumieniu. Jakiś dziwny lęk ogarnął mordercę. Głosy tajemnicze szepcą mu, że starzec, który tam leży bez życia, jest jego ojcem. Burza przeleciała i księżyc wyjrzał z poza chmur. Przy bladem świetle jego powraca Edyp do trupa Lajosa i spogląda mu w twarz. Ale ponure rysy twarzy starca nie budzą w nim żadnych wspomnień, żadnych uczuć.

„Obcy człowiek!—Bogowie są dobrzy—dobrzy!"

Charakterystyka bohatera... Poecie wolno według uznania kształtować, podkreślać, retuszować. Niechaj tylko postać, którą stworzył, będzie żyjąca i wiarogodna. Na Edypa-wizyonera zgodzić się można, stara królowa Antyopa, matka Lajosa, ma też pewne prawa na jasnowidzącą, chociażby ze względu na wiek, ślepy wieszcz Tyrezyasz jest ex officio wizyonerem, ale dlaczego także

Kreon, brat królowej Jokasty, jest wizyonerem, pojąć trudno. To bezustanne podkreślanie jednej i tej samej właściwości we wszystkich osobach tragedyi działa nienaturalnie. Pozatem postać Kreona nie udała się wcale poecie. Ambitny Kreon chce zostać królem Teb, skomplikowany aparat szpiegów, agitatorów, zwolenników przygotowuje grunt dla jego planów. W najważniejszej chwili brak mu jednakże energii, wiary w siebie i odwagi. Dlaczego? Poeta nigdzie zadawalniająco tego nie motywuje. Zwierzenia, które Kreon robi swemu panu, brzmią tak nienaturalnie, jak jego sny prorocze. Kreon ma widzenie. Widzi siebie schylonego kornie i rozpościerającego swój płaszcz książęcy przed innym mężczyzną, przypominającym Lajosa, znacznie jednakże młodszym... Widzenie to hamuje jego odwagę... i sprawdza się w ostatniej scenie aktu trzeciego.

Prawdziwemi arcydziełami są sceny pomiędzy Jokastą a Edypem i cały ostatni akt, odgrywający się na wzgórzach, gdzie gnieździ się Sfinks. Edyp zwycięzca, oswobodziciel, na sam widok którego potwór Sfinks rzucił się w przepaść, zstępuje w tryumfalnym pochodzie przy boku Jokasty ku pałacom królewskim Teb, gdzie czekają nań gody weselne i ostatnie słowo przepowiedni ma się wypełnić. Dreszcz przerażenia ogarnia widza na widok tej pary ślubnej — matki i syna, zstępujących z wyżyn zachwytów miłosnych w przepaście oczekującej ich rozpaczy.

Subtelność, z jaką poeta potrafił uwydatnić potęgę przeznaczeń i ślepotę ludzką wobec nich, stanowi główną zaletę jego dzieła, które jednakże, jako całość, robi wrażenie fragmentu. Dla tych, którzy nie znają historyi Edypa, niektóre części tragedyi Hofmannsthala a mianowicie najważniejsze: stosunek Edypa do Lajosa i do Jokasty, stosunek dziecka „nie wiedzącego“ do rodziców, musi być bardzo niejasny.

Z tego punktu widzenia przypuścić należy, że „Edyp i Sfinks“ jest środkowym pierścieniem planowanej trylogii dramatycznej, która w razie wykończenia może być dziełem zasługującem na miejsce obok „Złotego Runa“ Grillparzera w panteonie sztuki dramatycznej.

* * *

Jeszcze jeden utwór tegorocznego sezonu, pochodzący z pracowni prawdziwego artysty—„Der Ruf des Lebens“ (Życie woła) Sznitzlera.

Sztuka Sznitzlera posiada formalnie najmniej styczności z teatrem przyszłości, o którym marzymy. Brak jej stylu, fundamentów, światopoglądu. Utwory jego przypominają raczej arabeski, świetne waryacye na temat błahy. Waryacye te posiadają znacznie wyższą wartość niż ich treść. Sztuka Sznitzlera nie jest sztuką głębi. A jednak, ta różnobarwność, wielorakość, tempo, ciepło, siła pulsowania, ten entuzyazm dzikiej joie de vivre, działa niezwykle pobudzająco, daje pomiędzy liniami, zazwyczaj sztucznie skonstruowanego utworu, o błahem założeniu—prawdy, spostrzeżenia cenne, ekstrakty z życia wielkich miast, subtelność kultury. Czasem powstaje nawet w ten sposób coś w rodzaju światopoglądu, obraz negatywny, jak w „Śmierci“ (Sterben), najlepszym utworze beletrystycznym poety, jak w świetnym „Tańcu“ (Reigen), tym dekameronie nowożytnym, w „Welonie Beatrice,“ w „Samotnej drodze“...

Konstrukcya najnowszej komedyi Sznitzlera „Życie woła“ nie różni się niczem od poprzednich.

Marya, córka byłego rotmistrza wojsk austryackich, który przed laty podał podczas bitwy pod Lindach hasło do ucieczki i tem przyczynił się do hańby swego pułku, kocha młodego oficera tegoż pułku, który staje się, podczas ponownie wybuchającej wojny, pośrednio powodem do powzięcia przez sztab oficerski danego pułku decyzyi okupienia splamionego honoru pułku własnem życiem. Aha, myślimy—symbol!... Ale gdzie tam! To tylko konstrukcya w „Samotnej drodze,“ w „Kobiecie ze sztyletem,“ w „Grüner Kakadu.“ W pierwszych dwóch aktach komedyi „Życie woła,“ dopóki akcya opiera się na tym sztucznym symbolizmie, utwór robi wrażenie silne. Naraz wszystko się kończy, jakby uciął, i trzeci akt, bez żadnego na pozór związku z całością, toczy się zgoła innym torem. Słaby związek wewnętrzny pomiędzy pierwszemi dwoma aktami a trzecim istnieje, dostrzedz go jednakże trudno, gdyż leży nie w akcyi, ale w rozumowaniu. Dla większości widzów pozostaje luka niewypełniona.

Aby módz napawać się czarem poezyi Sznitzlera, trzeba przedewszystkiem zdjąć z nosa wszelkie okulary etyczne. Sznitzler mierzy życie zgoła innemi aparatami. Przedewszystkiem chodzi mu o temperaturę życzeń i pożądań, potem o siłę ich kiełkowania i rozkwitu. Jest to zarazem jego zaletą i wadą. Zaletą o tyle, że daje nam sytuacye i konflikty bez refleksyj etycznych, a więc niezmiernie kolorowe, wadą, że nie posiadając żadnego światopo-

glądu, daje utwory sztucznie skoncentrowane, bez kręgosłupa. Waryacye zamiast symfonij.

„Mnie i pani słońce jeszcze świeci, powiada doktor do Maryi (w „Życie woła“), wskazując na umarłą Katarzynę. Jej już nie... Pozatem nie ma dla mnie nic pewnego na tym świecie!“

Taki mniej więcej jest światopogląd autora. Pewne zaskórne prądy etyczne dadzą się pomimo tego czasami skonstatować.

„I kto wie, powiada tenże doktor do Maryi, czy z czasem, może dopiero po latach, nie zadźwięczy pewnego dnia w duszy pani głos życia, ale o wiele głębiej i czyściej niż wówczas, gdy przeżywałaś rzeczy, które tak straszne i płomienne nazwy noszą, „jak zabójstwo i miłość.“

Marya truje chorego ojca, porzuca narzeczonego, rzuca się w objęcia człowieka, z którym przez jedną noc tylko tańczyła na balu, poświęca wszystko dla jednej jedynej nocy wydartej nieubłaganej śmierci. Młody oficer pułku niebieskich kirasyerów, Maks, dla którego to wszystko czyni, jest, jak już wyżej wspomniałem, jednym z oficerów pułku przeznaczonego na śmierć niechybną.

Życie zawołało, a ona na oślep poszła za jego głosem. I jakież oblicze pokazuje jej to upragnione życie, do którego tęskniła przez tygodnie, miesiące, lata, przy boku nieuleczalnie chorego ojca? Scena pomiędzy pułkownikiem, jego żoną, cudzołożnicą i kochankiem, Maksem, której świadkiem się staje Marya w mieszkaniu Maksa, noc miłosna w objęciach skompromitowanego oficera, który nad ranem odbiera sobie życie, pozostawiając ją na pastwę losu, powrót do domu, gdzie leży otruty ojciec i doktor czeka na nią, aby ją wybawić... Taka jest mniej więcej w ogólnych zarysach treść pierwszych dwóch aktów. Trzeci daje różnego rodzaju wyjaśnienia, opowiadania uzupełniające, refleksye—zamiast akcyi.

Na pierwszym planie w akcie trzecim stoją: Marya i jej narzeczony. Narzeczony wpędził Katarzynę w suchoty, porzucając ją dla Maryi. Marya porzuciła go — z tęsknoty za życiem. Ulubiony paralelizm Sznitzlera. Co prawda doktor powiada (ach, ten doktor!) „Los Katarzyny nie jest pańskiem dziełem. Czyż człowiek może się stać kiedykolwiek przeznaczeniem innego człowieka? Jesteśmy zawsze tylko narzędziami przeznaczenia. Pan byłeś pod ręką — na tem polega wszystko.“

Szkoda, że wszystko to musi być dopiero powiedziane, że nie czytamy tego pomiędzy wierszami, że słowa Maryi... „Jakąż istotą jestem, że znów po takich przygodach wypływam na powierzchnię, jak gdyby to wszystko było tylko snem fantastycznym... że czuję i żyję... i znowu tęsknię za życiem?...“ są tylko słowami.

Ale pomimo tego czar odurzający tej joie de vivre, którą Sznitzler z takiem mistrzowstwem potrafi odtwarzać, działa i w tym ostatnim utworze poety.

*

* *

W przedmowie do swego dzieła krytycznego „Das neue Drama“ (1905 r.) mianuje się Alfred Kerr „kuzynem poetów.“ Nazwa ta jest uzasadniona.

Krytyk daje nam dzieło sztuki — z drugiej ręki. Od wrażliwości jego zależy, czy urok omawianego dzieła sztuki, zdoła się nam udzielić za jego pośrednictwem. Tego nie potrafią ani komentatorzy-pedanci, ani bezmyślni reporterzy, ani „mądrzy,“ wiecznie niezadowoleni korektorzy. Trzeba umieć wejść w duszę poety, powyciągać z niej wszystkie ukryte tkanki, wsłuchiwać się w najtajniejsze pulsowania, odgadywać spójnie, szukać rytmu—słowem poeta powinien być dla krytyka — tematem, tak jak bohater jest tematem dla poety.

Krytyk odrzuca, wybiera, podkreśla, skraca, segreguje, stwarza perspektywy — kształtując jednocześnie. Taka krytyka jest krytyką twórczą! Harfą i pracą zarazem. Harfa i praca — to symbole twórczości krytycznej Kerra! Tradycye Lessinga wysubtelnione w szkole francuskiej. Przytem rysy indywidualne—każda krytyka ma zabarwienie indywidualne, absolutna bezstronność jest równoznaczna z szarzyzną.

Wiedeńczyk, René Schieckele, utalentowany krytyk, nazywa Kerra dziecięcoczułym i cynicznym, wstydliwym i ekscentrycznym, pobłażliwym i jasnym, intelektualistą i marzycielem zarazem. Znamienną cechą krytyki Kerra jest patrzenie na rzeczy... sub specie aeterni.

Styl Kerra niezwykle skoncentrowany (ekstrakt zamiast limonady), połyskujący stalowo, skaczący z wierzchołka na wierzchołek w rytmie wesoło tanecznym, pełnym nieprzymuszonej gracyi (niedźwiedzie nazywają go dlatego linoskokiem), nie dla każdego jest dostępny. Kerr daje nam stylistykę zamiast elementarza. Ludzie, przywykli do elementarzy, będą z oburzeniem wzruszali ramionami. N'importe! — Absurdy estetyczne Tołstoja pozostaną absurdami, pomimo, że autor ich jest wielkim artystą i niezwykłym człowiekiem.

Kerr jest pointylistą. Styl jego służy mu do osiągnięcia niebywałej polifonii. Jego wykrzykniki, porównania, niedomówione zdania, aluzye... więcej mówią niż tasiemcowe okresy kolegów po piórze. Nie o dokładność pedantyczną, albo o przekonanie czytelnika mu chodzi. Zamiast zbytecznego balastu wywodów, daje pobudki, zmusza nas do odczuwania, patrzenia, reagowania... Ukazuje metody zamiast gotowych rezultatów. Krytyka jego jest krytyką twórczą, ponieważ wyswabadza w czytelniku wszystkie instynkty twórcze, pobudza go, zapala, zmusza do samodzielności.

Z tego punktu widzenia powitać ją należy, jako objaw znamienny.

Pomimo tego nie jestem ślepy na jej wady. Przesadny subjektywizm przyczynia się do wysuwania rzeczy osobistych na pierwszy plan, do przestąpienia granicy, poza którą kończy się wszelka krytyka.

Kerra chroni zazwyczaj od tej ostateczności (rzadka w dniach dzisiejszych) właściwość patrzenia na rzeczy... sub specie aeterni.

Dzieło Kerra „Das neue Drama“ zawiera, obok wielu wartościowych wskazówek, dotyczących techniki dramatu realistycznego, ciekawą ocenę sztuki dramatycznej w ciągu ostatniego dwudziestolecia. Są to luźne krytyki najbardziej znanych utworów scenicznych, ugrupowane według autorów. Przed wzrokiem naszym przesuwa się cały szereg sylwetek... Hauptman, Sznitzler, Hofmannsthal, Halbe, Hirschfeld, Schlaf, Wedekind, Wildenbruch, Suderman, Józef Ruederer, Otto Erych Hartleben, Ludwik Thoma, Ludwik Fulda, Maks Dreyer, Ernst Rosmer, L'Arronge, Blumenthal... I cały zastęp cudzoziemców, znanych szerszej publiczności niemieckiej—Maeterlinck, d'Annunzio, Bernard Shaw, Strindberg, Tołstoj, Gorkij, Björnson, Heijermans, Henri Beque, Donnay, Capus... Interesująca jest polemika przeciw Sudermanowi, która swego czasu (w r. 1902) wywołała szaloną burzę w świecie teatralnym berlińskim. Kerr jest jednym z pierwszych, którzy w całej pełni poznali pozę, czczość, teatralizm Sudermana i nazwali je po imieniu. Polemika ta posiada humorystyczne Intermezzo: odpowiedź wierszem niezmiernie ciętym, prawdziwie kerrowskim, na znaną broszurę Sudermana: „Verrohung in der Theaterkritik.“

Wyjątkową czcią i uwielbieniem otacza Kerr Hauptmana. I nie bez słuszności, gdyż pierwiastki artystyczne i duchowe tego poety zasługują na to.

„Nie na próżno kochamy go (Hauptmana) inaczej niż innych poetów, pisze Kerr. On bowiem może wskazać nam drogę powrotną.—Niemcy dali światu nową politykę, nową muzykę, nową fi-

lozofię. Rozpatrując te trzy wartości – politykę Bismarka, muzykę Wagnera i filozofię Nietzschego i szukając cech wspólnych, znajdujemy—bestyę ludzką. Najmniej może w charakterze biednego Nietzschego, za to w teoryach filozoficznych tego chorego na żołądek, który padał z wycieńczenia, stawiając ideał „silnych;“ którego zdrowie podkopały środki przeciw bezsenności, a który głosił ideał taneczny; który, będąc zrozpaczonym rozbitkiem, zwiastował zwycięzką wyższość. Obok niego stoi krwawy „mąż żelazny“... stoi—saski agitator. Wszystkich trzech dzieli przepaść nie tylko od wielkości świata getowskiego Tassa lub Ifigenii, ale od wszelkiej głębszej kultury serca ludzkiego. Hauptman może nam wskazać drogę powrotną! Zdaje mi się, że jest on współobywatelem tych, którzy przyjdą... Po błędach całego stulecia, słyszymy znów po raz pierwszy silne i łagodne zarazem tony—z głębi... Jakby z daleka – stłumione dźwięki molowe—pieśń, która w końcu przyjść musiała: „Seid umschlungen!“

Nie potrzeba we wszystkiem zgadzać się z autorem (postawienie sępa-Bismarka np. obok takich orłów, jak Wagner, Nietzsche działa, jak wada wzroku), myśl przewodnia jego godna jest jednakże uwagi. Że znów pojawiają się głosiciele owej wielkiej, nieśmiertelnej prawdy „Seid umschlungen!“—że Hauptman jest jej prorokiem, a Alfred Kerr jej rycerzem w Niemczech, witamy z radością.

Ponad walką funkcyonalną, ponad „walką o byt“ angielskiego przyrodnika, wznosi czoło jasne bogini postępu, harmonii, ewolucyi—ku szczytom, ku nowym objawieniom...

W niej czerpać będziemy nowe soki życia, a w łonie jej drzemią biało gmachy naszych nadziei!

Jan Kaczkowski.

JAN ZACHARYASIEWICZ

(Wspomnienie pośmiertne).

W Galicyi zmarł ś. p. Jan Zacharyasiewicz.

Należał on do pokolenia, które owocną pracą swoją trwale zapisało się na kartach piśmiennictwa polskiego.

Urodzony w r. 1825, Zacharyasiewicz wcześnie przeszedł twardą szkołę życia, co wyrobiło w nim poważne i trzeźwe zapatrywania na sprawy społeczne. Hołdując zasadom demokratycznym i postępowym, był on ich głosicielem w literaturze. Szlachetna i czysta tendencya stanowi podkład wszystkich jego dzieł, niegdyś bardzo popularnych i rozchwytywanych przez czytającą publiczność, dziś już przykrytych nieco pyłem zapomnienia, nie mniej jednak ciekawych dla badacza rozwoju myśli społecznej polskiej.

Artystą urodzonym Zacharyasiewicz nie był. Działalność jego nie może też być oceniana z punktu widzenia sztuki, zwłaszcza pojmowanej wedle formuł dzisiejszych. Należy ją rozpatrywać tylko i jedynie pod kątem tych prądów, które nurtowały społeczeństwo za jego czasów, a których był on dokładnym wyobrazicielem.

Zacharyasiewicz przeżył dwie burze dziejowe. Jako młodzieniec brał czynny udział w ruchu wolnościowym w r. 1848 i odpokutował to trzyletniem więzieniem. Jako mąż dojrzały patrzał na wypadki r. 63, których rezultatem był ogromny upadek ducha w narodzie i powszechne niemal przygnębienie.

Wtedy to, jako hasło odrodzenia, padły zasady pracy organicznej. Ówczesne *nil desperandum* opierało się na wierze w powolny, ale nieustanny postęp, dokonywujący się w ramach pracy spokojnej, cichej, wytężonej jednak na wszystkich polach i mającej za swój cel ostateczny skupienie i pokrzepienie rozbitych sił narodu. Głośne pobudki do śmielszych czynów umilkły, ideały

romantyzmu uległy ścisłej rewizyi, nie brakło nawet takich, którzy je potępiali bez ogródek. Wzywano natomiast wszystkich do sumiennego wypełniania drobnych obowiązków życiowych, do wzmacniania więzi społecznej, do wyrzekania się uczuć egoistycznych na rzecz zbiorowości. Na gruncie tych haseł stanął także i od tej pory stał wytrwale Zacharyasiewicz.

Manifestem niejako z jego strony w tym kierunku była powieść p. t. *Marcyan Kordysz*, napisana w r. 1865, powieść nawskroś demokratyczna i pokojowa. Jest to hymn pochwalny dla *pracy*, która, zdaniem autora, jedynie doprowadzić może człowieka do zdobycia odpowiedniego stanowiska, jest to protest przeciw *marzeniom*, osłabiającym ducha jednostki i ducha narodu, wezwanie natomiast do trzeźwej oceny położenia i do walki pokojowej, która bez oręża prowadzi do zwycięstw. *Korzyść dla kraju*—oto hasło, które brzmieć powinno na wszystkich ustach i ożywiać serce każdego obywatela, skłaniając go do tego, aby nie pnąc się na stanowiska wyższe, poprzestawał na skromnem kole działalności, byle tylko działalność ta była pożyteczna dla ogółu.

Stojąc zawsze na gruncie narodowym, Zacharyasiewicz pilnie badał wszelkie objawy życia społecznego w kraju i używał ich chętnie za tło do swoich powieści. Tak np. w *Zakrytych kartach* (1874) smagał bezlitośnie niedołęstwo tych rodzin szlacheckich, które nie umiejąc utrzymać w swych rękach ziemi, dopuszczały do jej przejścia w ręce obce. Podobnie w *Złotym interesie* poddał surowej krytyce materyalizm praktyczny i w ostrych słowach napiętnował upadek arystokracyi, sprzedającej swoje nazwiska spekulantom dla osłony ich wątpliwej wartości przedsiębiorstw. W *Wyborze posła* wreszcie dał pełny obraz walki wyborczej, przedstawiając z zupełną bezstronnością starcie się zachowawców z postępowcami na tle wyborów w małem miasteczku galicyjskiem. Powieść ta pod względem społecznym należy do najgłębszych, jakie wyszły z pod pióra Zacharyasiewicza. Chmielowski mówi o niej, że „wypowiedziane tam uwagi, refleksye i zdania odznaczają się wielką trafnością i dowodzą, że autor, zanim je wypowiedział, długo się zastanawiał, nie chcąc ani zachwycać paradoksami, ani też schlebiać poziomemu sposobowi myślenia. Uwagi Zacharyasiewicza nie uszły też i sprawy szersze. Tak np. on pierwszy zwrócił uwagę na niebezpieczeństwo germanizacyi kresów, a jednocześnie w głośnej powieści *Nemezis* (w pierwszem, niecenzuralnem u nas, wydaniu: *Czerwona Czapka*) przedstawił płonność usiłowań germanizatorskich w Galicyi, gdzie silne oddziaływanie kultury polskiej na Niemców, przysłanych i osiedlonych tam dla

zniemczenia kraju, sprawiło, że ich synowie i wnuki szli walczyć razem z Polakami za wolność i ojczyznę. On także w *Swiętym Jurze* dał nam wyborny obraz stosunków polsko-rusińskich w Galicyi i odmalował aspiracye Rusinów.

Na tem jednakże kończy się świetny okres w rozwoju twórczości Zacharyasiewicza. Talent jego zaczyna się wyczerpywać. Zepsuty poczytnością i powodzeniem, napastowany przez dzienniki, które pragnęły mieć jego powieści w odcinkach, autor *Swiętego Jura* zaczyna tworzyć zbyt pospiesznie i niedbale.

Na poprzedniej wyżynie trzymają się jeszcze powieści takie, jak *Po ślubie*, *Mąż upatrzony* i *Wiktorya Regina*, cały szereg jednak następnych nie wytrzymuje już pobłażliwej nawet krytyki i wkracza w dziedzinę t. zw. *literatury na codzień*.

Błahe tematy, rozwlekłe i nużące opowiadania, zbyteczna drobiazgowość w przedstawianiu nic nie znaczących szczegółów, a nadto pewna automaniera — oto cechy powieści takich, jak *Zakazane owoce*, *Tajemnica serca*, *Człowiek bez jutra*. *Dzieje ideału*. *Milion na poddaszu*, *Porwanie Sabina*, *Co ich zbliżyło?* *Widoki familijne* *Posag*, *Opinia parafialna*, *Pomyłka*, *Sumienny konkurent*, *Omanka*, *Kometa* i kilka innych późniejszych.

Nie zdobyły też sobie uznania krytyki powieści historyczne Zacharyasiewicza, jak *Marek Poraj*, *Tajny fundusz*, *Chleb bez soli* i *Noc królewska*.

Stanowią one niewątpliwie pożyteczną i zajmującą lekturę, a tu i owdzie mają ustępy prawdziwie piękne, ale brak im tego, co już w pewnym stopniu miał Kraszewski, a co dopiero naprawdę wniósł do powieści historycznej Sienkiewicz — intuicyi artystycznej w odtworzeniu tła dziejowego epoki, wiernego obrazu czasu i ludzi, głębszego sądu o zjawiskach. U Zacharyasiewicza to wszystko jest panoramiczne, rozproszone, nie trzymane w karbach przez świadomą myśl twórczą.

Nie mniej jednak pisarz, który odszedł od nas, zostawia po sobie niwę, pełną kłosów, bo ziarna, które siał, były zawsze dobre, jako hodowane w duszy obywatelskiej, miłującej ojczyznę i społeczeństwo.

Będąc człowiekiem wykształconym o szerokich, europejskich poglądach, Zacharyasiewicz umiał patrzeć na życie i zdawał sobie jasno sprawę ze wszystkich kwestyj, związanych z bytem i dobrobytem, a co za tem idzie z pomyślnością i szczęściem narodu. Pojmował on ważność rozwoju ekonomicznego, a występując przeciw materyalizmowi, ostrzegał tylko przed jednostronnością, do pracy natomiast wytwórczej, rozumnej, obliczonej na przyszłość i wy-

trwałej, zachęcał zawsze. Rozumiał znaczenie oświaty i zawsze gorliwie za nią przemawiał, widząc jednocześnie w demokratyzacyi społeczeństwa jego odrodzenie. Umiał odczuwać ducha swojego czasu i kroczył zawsze w pierwszych szeregach walczących z ciasnem klasowem zasklepieniem. Wolny od jakiegokolwiek dogmatyzmu, poglądy swoje na świat rozszerzał ciągle i umiejętnie „szedł naprzód z żywymi.“ Temu zawdzięcza, że mimo wieku sędziwego, mimo tego, że w ostatnich latach odzywał się już bardzo rzadko— nie przestał być *współczesnym*, że zdanie jego było zawsze cenione, że otaczała go miłość i uznanie współziomków, którzy cenili w nim nie tylko talent, ale i charakter.

Nawołując do pracy, Zacharyasiewicz sam złożył nie mało jej dowodów. W ocenie jego działalności pisarskiej trudno też nie zwrócić uwagi na wytężenie, z jakiem pracował. Był czas, kiedy powieści jego sypały się jedna po drugiej, a płodność jego była zdumiewająca. Dla pokoleń dzisiejszych, którym już brak tchu na takie wysiłki, będzie to faktem, godnym uwagi, a nad grobem pisarza pochyli się ono ze czcią należną pracy i zasłudze.

Z. D.

PIŚMIENNICTWO.

WACŁAW SOBIESKI. *Trybun ludu szlacheckiego.* Studyum historyczne. 1905.

Owym trybunem szlacheckiego ludu, którego autor obrał za przedmiot swoich studyów, jest Zamoyski Jan, a tytułem, mocą którego zdobył sobie ów przydomek, było przeprowadzenie wolnej elekcyi „viritim.“ Gdy mowa o elekcyi „viritim,“ oświadcza autor, zaraz nasuwają się na myśl dwie postacie — Rej i Zamoyski. Według zwykłego pojmowania rzeczy, mieli to być wybitni reprezentanci dwóch sprzecznych z sobą kierunków. Pierwszy bowiem odznaczył się na sejmie Unii lubelskiej, jako propagator wyboru króla przez reprezentacyę, Zamoyski uznany jest za apostoła zupełnie przeciwnego systemu, dopuszczającego jaknajszersze masy do udziału w głosowaniu. Heidenstein wspomina, że Zamoyski w sprawie elekcyi viritim wystąpił dopiero w czasie konwokacyi warszawskiej w r. 1573. O całej zaś roli jego i działalności w r. 1572 dotąd zupełnie nie mieliśmy żadnej wiadomości. Wybierać króla viritim, to znaczyło wybór przeprowadzić tak, aby każda jednostka głos na swego kandydata mogła oddać. Każdy ma do głosowania prawo równe, głos każdego ma równą wagę, głosuje tu każdy, mąż w męża. Przeciwieństwem takiego rodzaju głosowania jest system głosowania przez reprezentacyę, system, według którego głosuje nie każda jednostka bezpośrednio, ale przedstawiciele pewnych grup.

Co do systemu viritim różniły się też między sobą zapatrywania. Jedni byli zdania, że każda jednostka szlachecka musi się stawić na polu elekcyjnem i pod karą musi wziąć udział w powszechnem głosowaniu, niektóre projekty kazały nawet każdemu szlachcicowi zagrodowemu brać udział w elekcyi, inni proponują, aby tylko połowa szlachty danego województwa podążała na miejsce elekcyi, a druga połowa strzegła granic. Najczęściej wystę-

powało zdanie, że na elekcyę udać się ma, kto chce. Wolna bowiem elekcya polegała na tem, żeby nikogo nie ograniczać, nie pozbawiać prawa głosowania, czyli żeby żaden szlachcic w głosowaniu nie był „upośledzon.“ Przy systemie viritim, zdaniem spółczesnych, głosowano albo w zupełnem pomięszaniu, czyli jak mawiano wówczas „w kupie,“ albo ustawiano szlachtę województwami (per palatinatus) i dopiero w każdem województwie osobno a równocześnie odbywano głosowanie. Sposób głosowania województwami miał za sobą tradycyę. Wszystkie dotychczasowe walne zebrania całej szlachty, poza elekcyami, odbywały się w wojennym ordynku, a więc województwami. Te dwa systemy ciągle walczyły z sobą i gdy jedni rozumieli, że w kupie się prędzej zabieży praktykom, na Batorego elekcyi z takiej kupy wyrośli dwaj królowie „większa tedy fakcya w kupie być może.“

Prawo elekcyi viritim szlachta zdobyła na senacie i to w zasadzie zdobyła je dawno, przed śmiercią Zygmunta Augusta. Modus elegendi regis z r. 1501 postanawia, aby króla wybierał w miejscu zamkniętem sam senat. Podobnież Zygmunt I został wybrany tylko przez optymatów. Pierwsza zmiana w powyższym kierunku zaprowadzoną została dopiero wówczas, gdy Zygmunt I za inicyatywą Bony postanawia za jakąbądź cenę, przeprowadzić za życia swego wybór syna. Ten wyjątek dla królewicza, to przekroczenie wolnej elekcyi musi Zygmunt I okupić wielkiemi ustępstwami i obietnicami na przyszłość. Za ten jeden wyjątek Zygmunt I darował szlachcie wszystkie przyszłe elekcye. Królewicza bowiem obrał królem już nie sam senat, ale cały sejm Piotrkowski (1529), a więc nietylko dostojnicy, ale i posłowie ziemscy. Przeciw obraniu następcy za życia króla protestował sam prymas Łaski wraz ze swojem stronnictwem. Skutkiem wzmagającej się opozycyi Zygmunt I wydał dwa statuty, jeden 1530 r. a drugi w r. 1538. Tymi statutami ustanowił raz na zawsze elekcyę „viritim.“ Podług tych statutów, senat winien był uprzedzić wszystkich o mającej nastąpić elekcyi tak, aby na nią przybył każdy ktoby chciał. Zatem już od roku 1538 datuje się prawo o udziale wszystkich w elekcyi i dawno przed wystąpieniem Zamoyskiego wojna kokosza usunęła możliwość wyboru przez reprezentacyę.

Nie brakło jednak projektów w tym kierunku. Posłowie np. uchwalili w r. 1569, aby króla wybierali senatorzy i posłowie w większej liczbie jak zwykle, bo w poczwórnej, gdy sama szlachta pod komendą zastępców wojewody ma leżeć zbrojnie w polu na granicach państwa i to dotąd, póki się króla nie obierze. Każdy punkt tego programu ma na celu osłabienie przewagi se-

natu na korzyść szlachty. Na elekcyi bowiem rozstrzygać miała większość, a głos senatora zupełnie tyle ważył co i głos posła, zatem liczebną przewagę mieli zupełnie posłowie. Mimo całej niechęci dla tłumów, ten sam projekt był wielkiem ustępstwem izby na rzecz mas, bo według niego poczwórna liczba posłów mogła ze sobą wprowadzić na pola elekcyi znaczne orszaki, któreby wynosiły więcej niż 2000 ludzi. Na projekt powyższy, mający na celu podkopanie powagi magnatów, nie mógł się zgodzić senat. Senatorowie woleli już elekcyę viritim, albowiem mogli na nią wprowadzić tłumy swej służby i zależnej szlachty, mogli wywierać wpływy na szlachtę własnego województwa. Ideałem senatorów był sposób elekcyi praktykowany w Wenecyi, a więc taki, przy którym w ostatniej instancyi decyduje tylko 4 lub 6 dostojników.

Na sejmie w r. 1569 odezwał się jeszcze za systemem reprezentacyjnym głos Reja. Rej ciska się przeciw panom, zwąc ich żubrami, kaczorami, ale w końcu godzi się na to, aby tylko „połowica posłów należała wraz z całym senatem do elekcyi.“ Rejowi, jako protestantowi, nie zależało na dopuszczeniu jaknajwiększej liczby uczestników, owszem, zapewne bał się dopuszczenia wszystkich, bo masa katolicka mogłaby nieszczęśliwie zaciężyć na losach protestantyzmu polskiego. Zapewne na tym samym sejmie, na którym Rej postawił swój projekt, Zamoyski musiał się zająć kwestyą przyszłej elekcyi. Zamoyski, późniejszy nieugięty apostoł głosowania virilnego, był także poprzednio stronnikiem systemu reprezentacyjnego tak samo, jak i Rej. Bierze on żywy udział w konfederacyi Bełzkiej, w której oświadczono wyraźnie radę na system reprezentacyjny w elekcyi. Wprawdzie w akcie konfederacyi użyto zwrotu, że wszyscy mają brać udział w elekcyi, a pod wyrazem: „wszyscy,“ rozumiano wszystkie stany i uważano, że posłowie zupełnie dobrze mogą reprezentować wszystką szlachtę. Również akt konfederacyi zalecał, aby posłowie z dostateczną mocą posłani byli i aby przez nich porządnie, podług praw i wolności król obran, oznajmion i obwołan był. Zgoda Zamoyskiego w Bełzie na system reprezentacyjny tem jaskrawiej się uwydatnia, że tuż, w sąsiedniej ziemi chełmskiej, na 4 dni przed zawiązaniem się konfederacyi bełzkiej, szlachta zawiązała również konfederacyę, ale najwyraźniej w niej zawarowała, że wszystka szlachta musi wyruszać pospolitem ruszeniem na elekcyę, gdyż każdy uchylający się od tego będzie pociągnięty do odpowiedzialności i ukarany. Ziemia chełmska była oddawna przyzwyczajona do szlacheckiego samorządu nieprzyjaznego sena-

torom, a rej w niej prowadził Mikołaj Siennicki. Siennicki jeszcze na sejmie 1558/9 roku był za systemem reprezentacyjnym, ale w r. 1572 opuścił dawny projekt i przerzucił się na stronę elekcyi viritim, gdy dla niej Zamoyski był jeszcze obojętnym.

W Małopolsce działy się współcześnie dziwne rzeczy. Oto sami panowie narzucają szlachcie hasło elekcyi viritim, gdy sama szlachta ociąga się i zupełnie nie jest skłonna do ciężkiego obowiązku pospolitego ruszenia. Piotr Zborowski najpierwszy rzuca przed szlachtę swego województwa hasło elekcyi w uniwersale, który w zbiorach współczesnych nosi tytuł uniwersału najpierwszego. W tym uniwersale Zborowski najwyraźniej akcentuje, że chce głosować z wszystkim gminem i co więcej domaga się, aby do elekcyi stanąć musiał każdy z jego województwa i to pod karą śmierci i utratą majątku. Tylko szlachta zagrodowa, własnoręcznie uprawiająca rolę, może głosować przez posłów. Wreszcie wojewoda zaznacza, że nie większość, ale jednozgodność rozstrzygać będzie na elekcyi. Wszystko to wypowiedział Zborowski w chwili, kiedy Zamoyski godził się jeszcze na system reprezentacyjny. Jeszcze echo uniwersału Zborowskiego nie przeminęło, a już w trzy dni potem kasztelan lubelski Słupecki wydaje uniwersał, który jest wprost powtórzeniem myśli i zwrotów wypowiedzianych przez Zborowskiego. W tym samym kierunku działał Firlej, wojewoda krakowski, który był wodzem protestantów i walczył o pierwszeństwo w czasie bezkrólewia z prymasem. Jego to dziełem był zjazd knyszyński i postanowienie, aby elekcya odbyła się w blizkości dóbr jego koło Lublina, a to w nadziei, że w ten sposób lubelska szlachta protestancka będzie mogła zwyciężyć na przyszłej elekcyi. W uniwersale Firleja niema mowy o przymusowym udziale viritim w elekcyi, bo niechciano pobudzać dalekich Wielkopolan, lub katolickich Mazowszan do walnego przybycia pod Lublin. Autorom uniwersału chodziło przedewszystkiem o to, aby na elekcyi zwyciężyła Małopolska i protestantyzm. Panowie wielkopolscy nie okazywali zachwytów względem systemu viritim, im daleko więcej na rękę był system reprezentacyjny. Ostatecznie więc nie Zamoyski stworzył elekcyę viritim, ale stworzyła ją rywalizacya magnatów protestanckich z duchowieństwem, magnatów małopolskich z wielkopolskimi, Firleja z prymasem, rywalizacya wreszcie różnych części Rplitej, które jedna nad drugą chciały się przesadzić i na elekcyi wystąpić z większą masową potęgą.

W tymże czasie wydobył Zamoyski z dawnych akt konfederacyę ruską, zawiązaną 10 lipca 1436 r. i wystąpił z nią po raz

pierwszy na sejmiki ziemi chełmskiej w Krasnym Stawie. Z powyższej konfederacyi Zamoyski umiał wydedukować zasadę przymusowego udziału wszystkich w elekcyi. Tym aktem podniecał szlachtę, dowodząc, że nie chce żadnej nowości, albowiem jest to zwyczaj już dawno przez przodków uznany. Na podstawie konfederacyi z r. 1436 Zamoyski do tego stopnia chce pchnąć wszystkich na pole elekcyi, że postanawia, aby nawet ten co nie będzie mógł jechać na elekcyę, miał prawo dać innemu szlachcicowi pełnomocnictwo na oddanie za niego głosu na elekcyi. Z tego już widać, że Zamoyski myśli o takim systemie głosowania, gdzie każda jednostka osobno swój głos oddaje, a więc mąż w męża viritim. Każdy szlachcic podług niego powinien mieć prawo do głosu, bo każdy obowiązany jest do służby wojskowej. Właśnie w nagrodę za to, że pierś nadstawia w obronie ojczyzny, ma mieć też i tę wolność wybierania sobie króla. Odtąd Zamoyski jest niezłomnym przeciwnikiem wyboru przez reprezentacyę. System reprezentacyjny wydaje mu się niepewny, bo magnaci zawsze do tego dążą, aby tylko oni sami króla obierali. Prócz tego akcentuje Zamoyski, że szlachta ma głosować w takim porządku, w jakim odbywa służbę wojskową, t. j. w oddzielnych swoich województwach, czyli, jak pisze, per palatinatus. Zamoyski uważa taki system, jako jedyny sposób, aby przy takim mnóstwie ludzi usunąć tumult i zamięszanie. Każdy z góry będzie miał oznaczone miejsce, wszyscy będą ujęci w kadry województw, w których każdy spokojnie głos swój odda. Jedno tylko opuścił Zamoyski z instrukcyi bełzkiej, której niewątpliwie był autorem, a mianowicie, aby głosowanie na elekcyi odbywało się większością $^2/_3$ lub $^3/_4$ głosów. W każdym razie Zamoyski godził się na wybór króla przez większość w razie, gdyby nie można było dojść do jednomyślności.

W chwili, kiedy się zbierała konwokacya w Warszawie, nie można było jeszcze przewidzieć, czy system viritim weźmie górę nad reprezentacyjnym. Przewaga sejmików oświadczyła się za wirilnem głosowaniem, ale były takie sejmiki, jak ruski w Wiśni, które oświadczyły zgodę i na reprezentacyjny system, proponowany w r. 1558. Na konwokacyi wybrano komisyę, mającą obmyśleć sposób obierania króla, do której także powołano Zamoyskiego. Firlej z protestantami przekonał się, że elekcya viritim będzie tylko na rękę partyi katolickiej, a zgubą dla protestantów. Aby więc uchronić się na przyszłej elekcyi od nacisku tłumów mazowieckich, Firlej ze Zborowskim rozpoczęli agitacyę za ograniczeniem mas w elekcyi. Przeciw tego rodzaju zamiarom wystąpił

Zamoyski. Oświadczył on wyraźnie, że w wolnej Rplitej panuje zawsze równość w obec prawa i dla tego, cóż może być w takiej Rplitej stosowniejszego, jak równość wszystkich głosów w czasie głosowania. Boć kiedy każdy szlachcic służy wojskowo ojczyźnie, to słusznie, że ma też i prawo głosować. Kto w wojnie daje życie za ojczyznę, ten niech daje głos i na elekcyi. Na wniosek Ossolińskiego przeważyło zdanie, że głos każdego szlachcica równy jest głosowi każdego senatora, skutkiem czego postanowiono, aby senatorowie w czasie głosowania udali się każdy do swego województwa i tam swe wota wypowiadali, ścierając ze szlachtą swe sentencye. Niektóre jednak pomysły Zamoyskiego w komisyi na konwokacyi upadły. Tak np. nie przyjęto wniosku, aby każdy musiał przybyć na elekcyę pod karą, i głosowanie uczyniono zawisłem od dobrej woli każdego.

Na elekcyi zastosowano się do postanowień konwokacyi i ostatecznie je zatwierdzono. Szlachta zajęła stanowisko wedle oddzielnych województw i każde województwo wybrało po 10 deputatów, aby w ten sposób mógł tu powstać rodzaj izby poselskiej. Z województwa Bełzkiego został wybrany Zamoyski. Obok zatem stojących gromadnie województw i obok senatu powstała reprezentacya szlachty, jej wydział, jej delegacya. W ten sposób przy szopie powstał rodzaj sejmu (senat i izba poselska), gdy znów każde województwo przedstawiało rodzaj sejmiku. Ztąd zgromadzenie pod szopą nazywali współczesni „wielkiem kołem,“ gdy obrady w poszczególnem województwie nazywano „małem kołem.“ Zamoyski zwrócił się przeciw opinii, według której województwa miały stać biernie na uboczu, podczas gdy udział w głosowaniu braliby tylko ich reprezentanci. Nie „izba poselska,“ ani żadna reprezentacya szlachty miała jego zdaniem króla obierać, ale każda jednostka miała dać swój głos, każdy szlachcic, choćby najuboższy, miał przycisnąć swoją pieczęć na liście swego kandydata, stojąc w obrębie swego województwa. Zamoyski stanął tu w zupełnem przeciwieństwie do protestanckich magnatów. Jadąc do nowego króla, Zamoyski opisał elekcyę w mowie do Henryka Walezego, wydrukowanej w Paryżu. Drugi zaś taki hymn pochwalny miał sposobność wypowiedzieć na drugiej elekcyi w r. 1575, gdzie wykazał, że Rplita jest zbudowana lepiej niż rzymska.

Ostatecznie autor oświadcza, że elekcya „viritim,“ nie wystąpiła w naszych dziejach, jako przełom nagły, niespodziewany, ale że była przygotowana dawno, bo jeszcze w r. 1530. Wtedy już postanowiono zasadę, że na elekcyę jechać może każdy, ktoby tylko chciał, zasadę, która odtąd staje się fundamentem „wolnej“

elekcyi. Wszystko więc, co dotyczyło elekcyi „viritim," istniało przed Zamoyskim, ale istniało w teoryi i dopiero Zamoyski zasadę viritim już prawnie uświęconą wprowadził w czyn poraz pierwszy. Wskutek tego w wykonaniu musiał ją rozwinąć i wprowadzić szczegóły, przedtem przez prawo zupełnie nie przewidziane, jak dotyczące pospolitego ruszenia na pole elekcyi, głosowania województwami i t. p. Dzieje rzuciły przekleństwo na Zamoyskiego za wprowadzenie elekcyi viritim, a rzuciły dlatego, że gdy inni magnaci rychło zasadę viritim odstąpili, gdy inni mniej pilnie jej strzegli, to Zamoyski, zapaliwszy się do tej idei całem sercem, wytrwał w jej obronie do końca; teoretyk dał tej idei podkład rozumowy i historyczne wymotywowanie, doprowadził ją aż do krańcowej zasady przymusowego udziału wszystkich w elekcyi i postawił ją, jako naczelny dogmat wszystkich wolności szlacheckich. O ile przedtem unia litewsko-polska polegała na dynastyi Jagiellońskiej, to po jej wygaśnięciu wspierała się właśnie na tej wolności, jaką stanowiła wolna elekcyjność. Elekcya pierwsza miała być próbą ogniową tej unii i to zebranie różnych nacyj pod Warszawą dopiero tę unię stwierdziło. Zamoyski pierwszy zaakcentował i z całym naciskiem, podniósł nierozerwalność Rplitej. Kiedy cały gmach państwa zdawał się rysować i rozpadać w kawały, on pierwszy stanął na gruncie całości i jedności państwa, zawiązując konfederacyę Bełzką.

Przedstawiając trybuna ludu szlacheckiego, autor skreślił dzieje rozwoju projektów elekcyjnych w Polsce, które się skończyły na elekcyi „viritim." Dając nam obraz powstawania i rozwijania się najważniejszej instytucyi prawa państwowego polskiego, autor dopatrzył się wszystkich następstw dodatnich czy ujemnych, jakie elekcya viritim wywarła na ustrój Rzeczypospolitej polskiej. Rozumowanie krytyczne autora jest gruntowne, ścisłe i przekonywające. Opowieść historyczna jasna i poprawna czyni rozprawę autora nie tylko pouczającą, ale i interesującą. Jednem słowem, rozprawa trybunowi ludu szlacheckiego poświęcona, pozostanie cennym przyczynkiem do naszej literatury, poświęconej historyi prawa państwowego Rzeczypospolitej polskiej.

A. R.

L. OSTEN. *Józef Chłopicki.* Luźne wspomnienia towarzyszów broni generała.

W broszurce pod powyższym tytułem, autor zebrał garść luźnych wspomnień dotyczących generała Chłopickiego, a wyszperanych z pamiętników wojskowych, które się ukazały w druku. Chłopicki, jak utrzymywał Miączyński, urodził się żołnierzem, albowiem już w ośmioletnim chłopcu obudził się zapał wojenny, w czasie najazdu wioski, graniczącej z wioską jego ojca, wziął on udział w utarczce i kula drasnęła go lekko powyżej kolana. Skradającego się cichaczem do domu, ojciec przyłapał w sadzie i podejrzywając, że to on mu rwie gruszki, wsypał dziesięć nahajów na poczekaniu. Wkrótce po tej awanturze Chłopicki został oddany do szkoły Bazylianów w Szarogrodzie, na Podolu. Tam czekała go nowa, niefortunna przygoda. Znalazła się bowiem śliczna Zosia, córka ogrodnika klasztornego, do której zaczął się zbliżać młodzieniec. Schadzki ukrywały się dość długo, ale gdy wyszły na jaw, ojciec przełożony wsypał zakochanemu dwadzieścia nahajów. Chłopicki, spodziewając się od ojca drugiej takiej porcyi, drapnął z klasztoru i zaciągnął się do litewskiego pułku piechoty, Ilińskiego, którego oddziały w pobliżu Szarogrodu garnizonowały. Pierwsze cztery lata przepędził w wojsku, jak w czyścu. Kampanię 1792 r. odbył w tak zwanej dywizyi ukraińskiej, pod wodzą ks. Józefa Poniatowskiego, jako chorąży w pułku Ilińskiego. W r. 1794 przedarł się do Warszawy po to jedynie, aby widzieć bitwę Maciejowicką. Później pod Wawrzeckim uczestniczył w obronie Pragi i Warszawy, opuściwszy zdezorganizowane wojska polskie pod Radoszycami.

Na pierwszą odezwę generała Dąbrowskiego, powołującą dawnych wojskowych polskich pod sztandary legionów, podążył Chłopicki do Włoch. We wszystkich działaniach i bitwach, gdzie tylko batalion Chłopickiego użytym został, odznaczył się młody oficer zdolnościami i męstwem. Ciężkie rany, w bitwach pod Trebią poniesione, uchroniły Chłopickiego od niebezpiecznej wyprawy do S-t. Domingo. W r. 1806 Chłopicki z Klickim rozbili pod Strzygoniem 2400 Prusaków, a wkrótce potem udali się ze swemi oddziałami do Westfalii, następnie do Hiszpanii. W Hiszpanii zyskał sobie Chłopicki sławę wojenną. Przebywał on w tym kraju aż do 1812 r. i odznaczył się przy oblężeniu Saragossy, oraz stoczył samodzielnie zwycięzką potyczkę pod Epilą. Chłopicki napisał pamiętniki wojenne, ale później w chwili rozdrażnienia zniszczył je całkowicie. Przyjaciele namówili go, ażeby opisał na nowo potyczkę pod Epilą, Chłopicki uczynił to, a autor w swych luźnych wspomnieniach

ów utwór zamieścił. Nie ma on poważniejszego znaczenia, a przytem język w sprawozdaniu jest fatalny. Zresztą autor w opisie kampanij hiszpańskich posługiwał się przeważnie pamiętnikami Brandta i generała Mrozińskiego, które były drukowane, a więc do legendy o Chłopickim nie dodał od siebie nic nowego.

W r. 1812 dzieli Chłopicki wraz z legią losy wojsk francuskich. Pod wsią Krimskoje, prowadząc osobiście batalion w ogień, został Chłopicki ugodzony kulą w nogę, poczem był przewieziony do Warszawy, a następnie udał się do Drezna. W roku 1813 w Dreznie oczekiwał przeznaczenia swego w armii, gdy spotkał się z pułkownikiem Dezyderym Chłapowskim, który dowiedział się przypadkowo, że Napoleon dla okupienia pokoju gotów jest poświęcić Księstwo Warszawskie. Zniechęcenie, które ogarnęło Chłapowskiego, udzieliło się i Chłopickiemu. Obaj podali się do dymisyi, a Chłopicki oświadczył, że wolałby kamienie tłuc na szosie, niż dalej służyć w podobnych warunkach. Po utworzeniu Królestwa Kongresowego i zorganizowaniu armii polskiej, Aleksander powołał Chłopickiego do służby czynnej i powierzył mu dowództwo pierwszej dywizyi piechoty. Aleksandrowi I polecił Chłopickiego Wellington, który go poznał w Hiszpanii i tam nauczył się cenić jego przymioty wojskowe. Z naczelnym wodzem nie mógł się jednak Chłopicki pogodzić. Podał się wkrótce do dymisyi, a choć dymisyi cesarz przyjąć nie chciał, Chłopicki jej nie cofnął i 18 miesięcy przesiedział w mieszkaniu, aby pokazać, że zdrowie mu nie dopisuje. Gdy nareszcie przyszła dymisya, Chłopicki żył skromnie z pensyi za legię honorową i z dotacyi. Nawykły jednakże do niebezpieczeństw wojny, potrzebował gwałtownych wzruszeń, ztąd też przepędzał dużo czasu na grze w karty i to nieraz dość grubej. Ta namiętność wprowadziła go mimowoli w towarzystwo oficerów rosyjskich, do których większą część dochodów swoich przegrywał. Po za tem bywał codziennym gościem w domu generałowej Wąsowiczowej, gdzie się naówczas opozycya salonów warszawskich zbierała.

Zdaniem autora, Chłopicki w krótkim okresie wojny 1831 r. był w całem tego słowa znaczeniu generałem i dowodził wzorowo, a bitwa pod Grochowem byłaby się walnem zwycięstwem oręża polskiego zakończyła, gdyby nieszczęsny granat nie był go ranił i tem armii doświadczonego wodza pozbawił. Skutkiem otrzymanych pod Grochowem ciężkich ran, Chłopicki kazał się wywieść do Krakowa. Po upadku rewolucyi i zajęciu Krakowa przez wojska rosyjskie, aresztowany był przez generała Rüdigera, ale po wyjściu wojsk rosyjskich z Krakowa, wypuszczono go z aresztu.

Odtąd stale zamieszkał w Krakowie, chociaż rząd rosyjski za pośrednictwem ministra Grabowskiego proponował mu, by wrócił do Królestwa i zamieszkał w Warszawie. Na powyższą propozycyę odpowiedział jednak Chłopicki lakonicznie: Sam nigdy, lecz ze wszystkimi. W Krakowie mieszkał Chłopicki zawsze przy rynku, a w pięknych dniach wiosny i lata zwykł był używać przechadzki. Żaden mieszkaniec Krakowa nie przeszedł koło tego starca, aby mu nie oddał należytego uszanowania już to ukłonem, już to ustąpieniem z drogi. Dowody uszanowania odbierał także Chłopicki i od obcych, a żaden oficer załogi wojskowej nie minął go bez przyłożenia ręki do czaka, żaden generał nie zaniechał być u niego, by poznać bohatera wojsk napoleońskich. Gdy w r. 1851 przybył do Krakowa cesarz Franciszek Józef, Chłopicki wyraził życzenie złożenia mu uszanowania i podziękowania za użyczony przytułek w Krakowie. Monarcha nie tylko przyjął go jak najuprzejmiej, ale stojące warty uczciły wychodzącego generała honorami wojskowemi.

Jako człowiek nie zamknął się Chłopicki w ciasnem kole towarzystwa, odpowiadającego dawnej jego godności, lecz miał przyjaciół we wszystkich stanach; szczególniej zaś lubił otaczać się młodzieżą, którą mu sprowadzał faworyt jego, Maurycy hr. Potocki. W gronie tej młodzieży poważne jego wejrzenie przybierało wyraz łagodności i z młodzieńczym zapałem opowiadał im wybryki swojej młodości. Ludzie zaś starsi i poważniejsi codziennie niemal w domu jego się gromadzący, z rozkoszą wsłuchiwali się w opowiadania generała z lat ubiegłych. Jeden z nieodstępnych generała przyjaciół (Józef hr. Miączyński) utrzymuje, że w opowiadaniach Chłopickiego nie wiedziano co podziwiać, czyli moc myśli, czyli ognistą wyobraźnię. Wypadki 1846 r. w Galicyi przygnębiające na Chłopickim zrobiły wrażenie. Starzec dotąd czerstwy upadać zaczął na zdrowiu i siłach. Umarł d. 29 września 1854 roku.

Luźne wspomnienia autora nie wyczerpały bynajmniej legendy wojskowej o Chłopickim i nie wyzyskały źródeł, które należało sumiennie i krytycznie przejrzeć. Autorowi pozostały nieznane te pamiętniki wojskowe, których po dziś dzień niewydrukowano. Do tych należą wspomnienia Brandta, odnoszące się do r. 1830 i pamiętniki obszerne generała Prądzyńskiego, które niemają nic wspólnego z memoryałem Prądzyńskiego, wydrukowanym w pracy generała Puzyrewskiego. Następnie niektóre szczegóły z życia generała Chłopickiego nie są ścisłe. W bitwie pod Maciejowicami np. Chłopicki nie brał udziału. Znajdował się on

w oddziale Ponińskiego, który przed bitwą Maciejowicką miał się był połączyć z Kościuszką, ale tego nie uczynił. Również nieścisłym jest szczegół, że za czasów Księstwa Warszawskiego, Chłopicki otrzymał krzyż komandorski virtuti militari, który tylko posiadał Dąbrowski i Zajączek. Niewątpliwie przed Chłopickim otrzymał Krzyż komandorski Kniaziewicz, a posiadało go w ogóle 11-u generałów za czasów Księstwa. To wszystko, co autor napisał o talencie strategicznym Chłopickiego i o jego prowadzeniu bitwy pod Grochowem nie wytrzymuje krytyki i dowodzi jedynie, że autor nie uważał za stosowne zapoznać się z dziełami krytycznemi wojskowemi, które się w literaturze rosyjskiej i niemieckiej ukazały. W każdym razie spotykamy się w luźnych wspomnieniach autora z kilkoma interesującemi szczegółami i z pobłażliwym sądem w imię męstwa, które niewątpliwie u Chłopickiego było niezwykłem i w imię krwi przelanej przez niego na licznych pobojowiskach, dla lepszej przyszłości swego kraju.

A. R.

Kronika miesięczna.

Wybory w Warszawie i ich rezultat. — Głos prof. Baudouin'a de Courtenay'a w sprawie szkół wyższych w Król. Polskiem. — „Święto trwogi."

Kronikę niniejszą w znacznej części poświęcić musimy wyborom, jako najwybitniejszemu aktowi naszego życia publicznego w miesiącu ubiegłym.

Dla całości obrazu, który chcemy tutaj nakreślić, należy w kilku chociaż słowach scharakteryzować sytuacyę, jaka panowała od chwili ogłoszenia ordynacyi wyborczej aż do pamiętnego dnia walki wyborczej, rozegranej w sercu kraju—w Warszawie.

Sytuacya ta od samego początku była nie jasna. Za przeprowadzeniem wyborów oświadczyły się odrazu jedynie stronnictwa narodowe. Przeciw wyborom stanęły w zwartej masie partye skrajne, mając po swojej stronie t. zw. Postępową Demokracyę i Żydów. Partye te bojkotowały całą akcyę przedwyborczą i nietylko bojkotowały, ale czynnie nawet przeszkadzały zwolennikom wyborów w ich trudnej pracy obywatelskiej. Bywały wypadki zrywania zebrań przedwyborczych za pomocą gwałtów i siły. Tak np. na zebranie, urządzone przez Spójnię Narodową, wtargnęli socyaliści z bronią w ręku. To samo było na zebraniu, zwołanem przez Demokracyę Narodową na Pradze. Skutek tych gwałtów był jednakże wręcz przeciwny, niż oczekiwano. Żywioły, usposobione narodowo, nietylko, że nie wyrzekły się dalszej pracy, ale prowadziły ją z tem większą energią.

Nagle, z chwilą, kiedy zwycięstwo partyi Konstytucyjno-Demokratycznej w Rosyi stało się głośnem, kiedy zewsząd zaczęły nadchodzić depesze o mandatach, które przedstawiciele tej partyi zdobyli w Cesarstwie, zapatrywanie Postępowej Demokracyi na wybory i na Dumę radykalnej uległy zmianie.

Nowa Gazeta, organ P. D., wystąpiła z odezwą, wzywającą do udziału w wyborach.

Jednocześnie poruszyły się i masy żydowskie, które, korzystając ze swojej liczebności w Warszawie, powzięły śmiałą myśl postawienia własnych kandydatów ze stolicy kraju. W tym względzie znalazły one poparcie w słabej liczebnie partyi Postępowo-Demokratycznej, która zrozumiała bardzo dobrze, że sama nic nie znaczy, w połączeniu jednak z Żydami może osiągnąć pewną przewagę.

W ten sposób został zawarty blok postępowo-żydowski, oparty na zasadach współdziałania.

I trzeba przyznać, że blok ten miał pewne szanse zwycięstwa. Atoli niespodziewanie nastąpił rozłam w łonie partyi Postępowo-Demokratycznej. Pewna część zwolenników jej programu, niezadowolona z bardzo niewyraźnie zaznaczonego stanowiska narodowego tej partyi, wcześniej jeszcze wystąpiła z jej szeregów, a niemal przed samemi wyborami stworzyła nową organizacyę, noszącą miano „Związku Demokratycznego“ i zrywając wszelką solidarność z P. D., wystąpiła z własną listą kandydatów.

Ten rozłam bardzo był na rękę żywiołom narodowym. Niemniej jednak niebezpieczeństwo, grożące ze strony silnej i zwartej masy żydowskiej, która w kilku okręgach Warszawy miała absolutną większość, nie zostało usunięte. Niestety, na kompromisy było już za późno. Żydzi, którym ze względu na ich stosunek procentowy do ogółu mieszkańców Warszawy, należało się 28 krzeseł wyborczych, żądali ich znacznie więcej i otwarcie dążyli do zupełnej przewagi.

Obrona interesów narodowych wymagała tu więc solidarnego skupienia wszystkich sił narodowych i przeciwstawienia ich Żydom. Nie było to jednak do osiągnięcia łatwe ze względu na nieporozumienia, jakie panowały pomiędzy partyami narodowemi. Stronnictwo Demokratyczno-Narodowe, które za bardzo ufało swoim siłom i zmonopolizowało w swych rękach całą akcyę przedwyborczą, popełniło błąd zasadniczy, nie dopuszczając do utworzenia centralnego komitetu wyborczego. W ten sposób zraziło sobie ono *Spójnię* i *Stronnictwo polityki realnej*, które w porozumieniu z sobą wystawiły oddzielną listę kandydatów, pod mianem *listy bezpartyjnej*.

Zważywszy więc, że Polacy w Warszawie mogli głosować na listę Demokratyczno-Narodową, na listę bezpartyjną, a częściowo na listę Związku Demokratycznego, a nawet na listę Postępowej Demokracyi, można było i należało poważnie obawiać się roz-

bicia głosów, zwłaszcza, że nie spodziewano się zbyt żywego udziału w wyborach ze względu na stan wojenny i sterroryzowanie społeczeństwa przez partye skrajne.

W ten sposób niebezpieczeństwo przegranej zarysowywało się aż nadto wyraźnie.

Zgodnie zaznaczyły to wszystkie pisma o zabarwieniu narodowem. Pomijając to, że przeciw taktyce stronnictwa Demokratyczno-Narodowego miały one pewne i daleko nawet idące zastrzeżenia i że w liście tego stronnictwa widziały braki, zaleciły głosować tylko na tę listę, w imię *solidarności narodowej*, tej solidarności, której zawsze nam brakło i która niejednokrotnie była powodem naszych wewnętrznych i zewnętrznych porażek.

I hasło tej solidarności znalazło nadspodziewany oddźwięk. Dzień 25 kwietnia, dzień wyborów w Warszawie, dzięki temu będzie należał do dni zawsze pamiętnych.

Od wczesnego rana miasto miało poważny i skupiony nastrój. Biura wyborcze, rozrzucone po mieście, w liczbie 58, rozpoczęły czynności swoje o godzinie 9-ej, a około południa można już było wnosić o przewadze kandydatów narodowych.

Jakoż obliczony nazajutrz rezultat głosowania wykazał zupełne zwycięstwo idei narodowej.

W dniu 3 maja po uroczystem nabożeństwie, odprawionem w kościele katedralnym św. Jana, wybrano **dwóch posłów m. Warszawy** w osobach pp. **Władysława Tyszkiewicza** i **Franciszka Nowodworskiego**.

Z grona wyborców nadto w ciągu lat pięciu, o ile ordynacya wyborcza, obowiązująca obecnie, nie zostanie zastąpiona przez inną, t. j. o ile powszechne, równe, bezpośrednie i tajne głosowanie nie odniesie zwycięstwa w Dumie—będą wychodzili posłowie w razie, jeżeliby który z wybranych zrzekł się mandatu przed terminem.

I tu tylko leżeć może słaba strona wyniku wyborów. Lista bowiem, której żadnych innych zarzutów postawić nie można, nie zawiera istotnie nadmiaru kandydatów do godności poselskiej. Wszystkie natomiast inne zarzuty, jakie pod adresem wyborów skierowano ze strony Postępowej Demokracyi i Żydów, są bezpodstawne.

Przedewszystkiem bezpodstawny jest zarzut *nadużyć wyborczych*, podniesiony publicznie przez pp. Natansona, Balickiego i Troetzera. Bezpodstawny dla tego, że zgodnie ze świadectwem członków wszystkich komisyj i podkomisyj, oraz zgodnie z tem, co każdy obywatel z własnej mógł wysnuć obserwacyi—nadużyć takich nie było, jeżeli zaś tu i owdzie przed lokalami wyborczemi

odbywała się agitacya, to daleko jej było do tego, co dzieje się w każdym kraju konstytucyjnym w Europie, a nadto—prowadzili ją wszyscy, zwyciężali tylko lepiej zorganizowani i mający większe wpływy na masy. Żydzi w swoich okręgach agitowali równie zaciekle, jak narodowcy w swoich.

Dalej upada również drugi zarzut, postawiony przez t. zw. prasę postępową, ten mianowicie, że wybory dokonane były pod hasłem walki rasowej, pod hasłem antysemityzmu.

Zapewne, stronnictwo rej wiodące w wyborach, przekroczyło nieco miarę w wydanych przez się w ostatniej chwili odezwach, było to jednak tylko roznamiętnienie wyborcze, nie zaś dążenie do rozbudzenia nienawiści rasowej.

Społeczeństwo polskie stoi zresztą bardzo daleko od haseł tej nienawiści i Żydzi, którzy mieszkają na ziemi naszej od lat 800, dobrze o tem wiedzą. Oni sami też popełnili błąd, zapominając o tem, że najprzyjaźniejsze współżycie ich z Polakami nie oznacza i oznaczać nie może zrzeczenia się przez tych ostatnich praw do gospodarowania we własnej ojczyźnie. Hasło separatyzmu wyszło też nie od Polaków, ale od Żydów. Rozrastający się bujnie na naszym gruncie Syonizm pracował nad tem od lat wielu, a dzielnym pomocnikiem w tej pracy był mu napływowy żywioł rosyjsko-żydowski, który nic wspólnego z Polską i z jej tradycyami obywatelskiemi nie miał i nie ma.

Że zaś społeczeństwo polskie ma prawo żądać od Żydów polskich, ażeby ci czuli się Polakami, więc nic dziwnego, że widząc przed sobą zwartą masę, nie mającą w sobie poczucia polskiej ojczyzny i nawet wrogo dla niej usposobioną, nie mogło brać w rachubę tej szczupłej garstki Żydów-Polaków, którzy są dobrymi obywatelami kraju i wystąpiło solidarnie przeciw żydowskiej reprezentacyi Warszawy.

Nie była to jednak walka z Żydami — była to raczej walka z separatyzmem żydowskim, który w Polsce nie powinien istnieć i który, da Bóg, rychło pogrzebany zostanie z chwilą, kiedy życie nasze wejdzie w ramy prawdziwie konstytucyjne, w Polsce bowiem konstytucyjnej nie rasa i wyznanie, ale poczucie obowiązków obywatelskich będzie miarą w ocenie obywatela.

Trzeci wreszcie zarzut, jaki stawiano wyborom, był ten, że postęp walczył tu z obskurantyzmem i wstecznictwem i że to wstecznictwo, uciekając się do całego szeregu „szalbierstw,“ odniosło przypadkowe zwycięstwo.

Zarzut ten jest już nietylko bezpodstawnym, ale wprost wypływa z zawiści partyjnej, która zapełniła jadem i śliną szpalty *Gazety Nowej* i *Dzień Dobry*.

Postępowa Demokracya jest tego mniemania, że posiada monopol na wszelki postęp i że poza jej programem niema zbawienia dla Polski. W jednej z odezw swoich nie zawahała się ona przecież powiedzieć, że jeżeli Warszawy nie będzie reprezentował postępowy demokrata — to *finis Poloniae* nieunikniony!

Z tego rodzaju wybrykami publicystyki partyjnej nie warto nawet polemizować, zbyt bowiem widoczne są źródła takich wycieczek.

Nie mniej stwierdzić należy, że *tego gatunku postęp* odniósł istotnie porażkę i to ciężką w zetknięciu się z zawsze młodą i żywą ideą narodową. Jest to jednak tylko oczywista korzyść...

Postępowa Demokracya, jako organizacya, straciła poprostu racyę bytu i okazała się tem, czem była od samego początku — nie partyą, ale klubem politycznym, lawirującym niezręcznie pomiędzy hasłami skrajnemi a interesami realnemi burżuazyi i pragnącym „zrobić interes“ na rewolucyi.

Upadek tej partyi nie jest jednak bynajmniej połączony z klęską postępu i haseł prawdziwego odrodzenia.

Przeciwnie — postęp istotny zwycięży łatwiej i szybciej bez pomocy P.-D-cyi, postęp, polegający na prawdziwej demokratyzacyi, na równomiernym rozwoju wszystkich sił społecznych, na podniesieniu ekonomicznem kraju, na przeprowadzeniu szeregu reform, niezbędnych do uregulowania stosunków pomiędzy pracą a kapitałem, na liczeniu się ze specyalnemi warunkami, w jakich znajduje się Król. Polskie, na oszczędzaniu jego sił, tak niezbędnych dla pracy wewnętrznej, kulturalnej.

I nie wątpimy ani na chwilę, że rzecznikami tego postępu w Dumie państwowej będą nasi posłowie polscy, mimo, że przeważna ich większość nie trzyma w ręku etykiety postępowo-demokratycznej.

Odkładając do następnego zeszytu omówienie wyborów na prowincyi, tutaj zaznaczamy tylko, że wszędzie odbywają się one wzorowo, a organizacye wyborcze niektórych miast zawstydziły nawet Warszawę. W tym względzie przedewszystkiem na wyróżnienie zasługuje Łódź, która separatystycznemu związkowi żydowskiemu przeciwstawiła silny blok polsko-niemiecki i odniosła kapitalne zwycięstwo, przeprowadzając kandydata narodowego w osobie d-ra Antoniego Rządu.

W chwili kiedy to piszemy, rezultat wyborów w kraju nie jest jeszcze znany, już dziś jednak nie ulega żadnej wątpliwości, że wszędzie zwyciężą kandydaci narodowi.

Niektórym stronnictwom rosyjskim, a nawet samemu przewódcy K. D-tów, p. Rodiczewowi, wydaje się to dziwnem, dowodzi to jednak raz jeszcze tylko tego, jak mało Rosyanie znają nasze stosunki i jak obce są im krzywdy naszego narodu. Czyż bowiem można się dziwić, że w społeczeństwie, którego uczucia narodowe przez długi szereg lat były obrażane na każdym kroku, którego kultura musiała walczyć o każdy swój wyraz zewnętrzny, którego język był wygnany z urzędu i ze szkoły, które nie miało nawet możności wniesienia skargi na liczne nadużycia, popełniane przez samowolną biurokracyę, że w społeczeństwie takiem, powtarzam, głównem i zasadniczem dążeniem jest zdobycie praw narodowych, zapewnienie swobodnego rozwoju kulturze rodzimej, otworzenie bram tego więzienia przymusowego, w jakiem wolny jego duch był zamknięty.

Po uzyskaniu tych praw, po uzyskaniu zupełnej gwarancyi ich nienaruszalności na przyszłość—w Polsce może być mowa dopiero o ideałach, które reprezentuje Konstytucyjna Demokracya i w walce o te ideały pozyska sobie ona niewątpliwie sojuszników w przyszłem Kole polskiem, jeżeli dopomoże Polakom do przeprowadzenia w Dumie ich żądań zasadniczych.

*

* *

W dzienniku rosyjskim *Nasza Ziźń* prof. Baudouin de Courtenay zamieścił obszerny artykuł w sprawie szkół wyższych w Królestwie Polskiem, odpowiadając na pytanie zasadnicze, dla czego Polacy domagają się szkół polskich?

W ciężarach i obowiązkach względem państwa pisze szanowny profesor—biorą udział w odpowiednim stopniu wszystkie bez różnicy narodowości. Ponosząc zaś ciężary, powinny także w odpowiednim stosunku mieć prawa do przywilejów narodowych i kulturalnych. „Prawdziwi Rosyanie“ twierdzą, że szkoły rządowe utrzymywane są z pieniędzy „rosyjskich.“ Tak jest. Te pieniądze rządowe są „rosyjskie,“ ale tylko o tyle, o ile wyraz ten pojmować abstrakcyjnie, ogólnie państwowo, nie nadając mu kolorytu

narodowościowego. Państwo rosyjskie tymczasem, jako składające się z różnych narodów i różnych wyznań, powinno być *pozanarodowościowem* i *pozawyznaniowem*. Nie dość tego. Nawet państwo jednolite powinno być takie właśnie w imię wolności sumienia i sympatyj międzynarodowych. Obowiązkowość państwowa i przymus na pewnych terytoryach możliwe są tylko w sferze stosunków ekonomicznych i ogólno politycznych. A więc utożsamienie pieniędzy rządowych z rosyjskiemi, pojmowanemi w znaczeniu narodowościowem, należy uważać za prowokacyę nierozsądną i niebezpieczną w stosunku do innych narodowości. Polacy stanowią około 10% całej ludności Rosyi. W związku z tem biorą oni udział na równi z innemi narodowościami w ponoszeniu ciężarów państwowych. Wreszcie z powodu swojej kultury i siły wytwórczej dają oni kasie państwowej więcej dochodu od niektórych innych narodowości, a przedewszystkiem więcej niż Wielkorosyanie. Z tych wszystkich względów, już choćby tylko z tego statystycznego punktu widzenia, Polacy mają prawo posiadania przynajmniej jednego uniwersytetu polskiego i innych wyższych szkół narodowych z polskim językiem wykładowym.

I sprawa ta nie utknie z powodu braku sił nauczycielskich— mówi prof. Baudouin — gdyż zarówno w samem państwie rosyjskiem, jak i zagranicą znajdzie się dostateczna liczba uczonych, mogących prowadzić wykłady po polsku. Najważniejszym atoli motywem na korzyść przekształcenia szkół w Królestwie Polskiem na szkoły polskie jest ten, że sama ludność domaga się szkół z językiem wykładowym polskim i dopóty nie nastąpi spokój, dopóki to zupełnie słuszne i zupełnie sprawiedliwe, a tylko przez krótkowidzących szowinistów i gwałcicieli ogólno-państwowych odrzucane żądanie, nie będzie zaspokojone. Walczyć z podobnemi żądaniami—jest to z jednej strony deptać przyznane ogólnie prawo narodowości do t. zw. samodzielności, z drugiej zaś tracić energię państwową i społeczną narodu wielkorosyjskiego na sprawę haniebiącą i szkodliwą i, idąc za wypróbowaną metodą „bonapartystów“ wszystkich krajów i wszystkich czasów, odciągać uwagę narodu od jego własnych niezbędnych potrzeb i koniecznych zadań.“

Profesor Baudouin wywody swoje rozciąga naturalnie nie tylko na uniwersytet, ale i na politechnikę, na instytut w Puławach i na całe wogóle szkolnictwo.

Tymczasem, pomimo, że sprawa jest tak jasna i prosta, ostatecznego jej załatwienia doczekać się nie możemy. Umierająca powoli biurokracya broni się jeszcze zajadle i żadnych ustępstw

nie czyni. Duma jednak państwowa niewątpliwie sprawę szkolną rozwiąże w myśl słusznych żądań narodu polskiego.

*

* *

Dzień 1 maja minął w tym roku w Warszawie spokojnie. Prasa atoli zupełnie słusznie nazwała go nie świętem robotniczem, ale *świętem trwogi*.

Miasto, tak zazwyczaj ożywione, zapadło w jakieś głuche, przygnębiające odrętwienie. Ani śladu nastroju świątecznego, ani śladu tego, że mieszkańcy biorą dobrowolny udział w milczącej demonstracyi socyalistów. Wszędzie znać było przymus i gwałt.

To bierne poddanie się terrorowi wytłómaczyć można jedynie masowym strachem, jaki ogarnął zdenerwowanych tyloma przejściami mieszkańców Warszawy.

Strach taki—znane zjawisko czasów rewolucyjnych—jest rodzajem psychozy zbiorowej, zjawiającej się łatwo z lada jakiego powodu, wybuchającej doraźnie i opanowującej całe tłumy.

Nie można też bynajmniej na podstawie przebiegu święta majowego w Warszawie budować wniosków o sile partyj socyalistycznych. Nie one to bowiem zapanowały nad miastem, ale zapanował lęk, zapanowała obawa przed gwałtami tych, którzy idee swoje przeprowadzają przy pomocy noża i rewolweru.

Zresztą i sami socyaliści nie byli zapewne zadowoleni, gdyż w taki sposób „grobowy“ towarzysze ich za granicą nigdy nie świętują. Przeciwnie — nadają oni wielkim miastom wygląd naprawdę odświętny.

Ale trudno. U nas zawsze musi być inaczej...

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMIJ I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Dn. 12-go maja odbyło się doroczne posiedzenie Akademii Umiejętności w obecności J. E. Juliana Dunajewskiego, jako zastępcy arcyksięcia Ferdynanda, prezesa Akademii Stanisława hr. Tarnowskiego, jeneralnego sekretarza Bolesława Ulanowskiego, licznie zebranych członków Akademii miejscowych i przybyłych ze Lwowa, oraz wypełniającej salę publiczności. Po zagajeniu posiedzenia przez J. E. Dunajewskiego przemówił prezes Akademii *Stanisław hr. Tarnowski*, zdając sprawę z całorocznych czynności Akademii i zakreślając program dalszych jej czynności. Ze względu na doniosłe znaczenie tej mowy podajemy ją tu w całości:

„Dostojne Zgromadzenie! Z tą samą zawsze żywą wdzięcznością widzi Akademia to zajęcie, z jakiem światła publiczność chce wysłuchać jej rocznych sprawozdań, dowiedzieć się o dokonanych i zamierzonych jej pracach. Nie odejdzie stąd, ufamy z wrażeniem, jakoby te prace ustawały i słabły. Owszem, pozwalamy sobie mniemać, może mamy prawo stwierdzać, że ustala się i wzmacnia związek między Akademią a społeczeństwem: że ona dała już dowody i rękojmie swojej stałej i pożytecznej czynności, a nawzajem odbierała i odbiera dowody ufności ze strony społeczeństwa, troskliwości o jej dalsze losy. Z radością i wdzięcznością wspominałem przed rokiem o pomysłach i staraniach zaopatrzenia Akademii w środki, którymi mogłaby rozszerzyć zakres swoich prac i wydawnictw: ten szlachetny popęd trwa, objawia się, a mamy wszelką nadzieję, że w niedalekiej przyszłości wyda już swoje praktyczne skutki.

Akademia odpowiada temu popędowi i zaufaniu tem, że podejmuje i zamierza podjąć coraz nowe prace. Niedawno powzięła śmiały zamiar wydania Encyklopedyi Polskiej,—wykonanie zamiaru już się rozpoczyna. Obecnie stoi przed nami nowe przedsięwzięcie, ważne, a tuszymy, że nie dla samej nauki, ale dla społeczeństwa ważne.

Wiek XIX się skończył, należy do historyi. Dawniejsze pokolenia znały jego historyę z życia, z tradycyi, nie potrzebowały się uczyć o emigracyi i o roku 1831, o kongresie wiedeńskim i o Napoleonie: wiedziały o nich to, co było do wiedzenia koniecznem. Ale u młodszych tej znajomości czasów, ludzi, stosunków już niema: oni nietylko potrzebują się uczyć o wieku XIX, ale często nie znają, nie rozróżniają w nim najistotniejszych pierwiastków, mieszają wypadki i ludzi. A przecież historya tego najbliższego wieku, to źródło, z którego wypływa historya tego poczętego: musi znać tamtę, kto chce w tej nie zabłąkać się na swojej drodze i dojść do jakiejś mety, dojść dobrze, gdzie zamierzył. Akademia postanowiła uczynić zadość tej potrzebie, przygotować co potrzeba, dla przyszłych historyków Polski XIX wieku. Na walnem posiedzeniu 2 listopada 1905 roku, uchwaliła wydawnictwo źródeł do historyi polskiej z ostatniego stulecia. Wybrana w tym celu komisya, pod przewodnictwem profesora Smolki, zajęta jest ułożeniem programu i przygotowaniem wstępnych robót. Ale dzieje Polski porozbiorowych lat są tak zawiłe, tak poplątane, tak trudne do zbadania i przedstawienia. Źródeł i materyałów ogrom, w ogłoszonych aktach urzędowych, w dziennikach, w broszurach, a dopiero w archiwach u różnych państw. Ten ogrom zaś to nie wszystko, to dopiero część świadectw i dokumentów. Wiele ich może kryć, wiele kryje się z pewnością w zbiorach prywatnych, w papierach rodzinnych, w listach, zapiskach...

To co ogłoszono drukiem, co jest w bibliotekach, albo co w rękopismach znajduje się w publicznych zakładach i archiwach, to da się łatwo znaleźć, a przystępnem będzie (z małymi chyba wyjątkami). Ale to co niewiadome, co zostaje w rękach ludzi prywatnych, to o czem nikt nie słyszał i nie domyśla się, że jest — jak trafić do tego? A jednak tych źródeł może być mnóstwo: i mogą być ważne, nauczające, rzucające nieznane światło na stosunki i na ludzi. Żeby do tych źródeł dotrzeć, Akademia ma tylko jeden środek: appel do społeczeństwa polskiego, do każdego domu, rodziny, człowieka.

Niebawem wyjdzie taka odezwa, iżby każdy kto w swoich rodzinnych papierach ma korespondencye, czy dzienniki lub pamiętniki, odnoszące się do wypadków XIX wieku, z jakiegokolwiek jego okresu, żeby zechciał Akademię zawiadomić o papierach, jakie posiada, a następnie w swoim czasie pozwolił je kopiować i zużytkować. Jeżeli ta odezwa odniesie skutek, przedsięwzięcie Akademii może udać się świetnie. Jakie masy rzeczy nowych a ważnych kryją się w papierach rodzinnych, mamy przykład na domowem archiwum książąt Lubeckich. Wychodząca częściami praca prof. Smolki — rzuca wielką masę światła na dzieje Królestwa Kongresowego i powstania roku 1830. Nie w każdym domu, prawda, był minister i człowiek niepospolity, jak Lubecki; ale w niejednym, w wielu mogą się znaleźć ślady i zabytki myśli, zamiarów, stosunków, oświecające choćby jakąś część, jakiś szczegół pewnego okresu czy faktu.

Akademia też ufa, liczy, że jej odezwa spotka się z dobrem przyjęciem. Byłoby ono potrzebne i pożyteczne zawsze; ale w tych czasach, kiedy na wstępie wieku naród wstępuje w jakiś nowy, nieznany, zakryty, ale zwrotny i brzemienny skutkami okres swoich dziejów, kiedy na tej nieznanej drodze muszą

nas czekać nowe trudności, niebezpieczeństwa, nowe okazye do pomyłek i błędów, znajomość Polski w wieku XIX, przypomnienie jej różnych przejść, staje się potrzebą wprost praktyczną, pilną, bo może wpływać na nasze praktyczne, polityczne postępowanie w XX wieku.

Pochlebiamy sobie, że to przedsięwzięcie będzie zrozumianem i popartem, oraz, że wzmocni, utwierdzi tę łączność między Akademią a społeczeństwem, która jest naszem pragnieniem i staraniem.

Rok czterechsetny od urodzenia Mikołaja Reya, upłynął bez zamierzonego na jego cześć zjazdu naukowego. Nie opieszałość, nie niegotowość spowodowała tę zwłokę. Wypadki, stan rzeczy w Królestwie Polskiem, nie pozwalał nam liczyć na uczestnictwo uczonych stamtąd, głównie z Warszawy: a bez nich taki zjazd byłby bardzo niezupełnym, brakłoby najpotrzebniejszych, najuczeńszych badaczy i znawców XVI wieku. Odłożony zjazd odbędzie się w roku bieżącym, w pierwszych dniach lipca. Ale to co Akademia na uczczenie tej rocznicy zrobić i przygotować miała, to było gotowem jeszcze nim się zaczął rok 1905. To naprzód nowe wydanie *Zwierciadła*, wiernie podług wydania z roku 1567, wiernie nawet co do strony zewnętrznej, papieru, druku: niezaprzeczenie chluba naszej dzisiejszej sztuki drukarskiej. To dalej *Modlitewnik dla kobiet* z XVI wieku, pierwszy raz z rękopisu wydany. *Pisma polityczne z czasów pierwszego Bezkrólewia* wydane przez Akademię pracą i staraniem prof. *Czubka*, to kilkadziesiąt (w bardzo znacznej większości) nieznanych, odkrytych broszur, rozpraw, wierszy, rzucających wiele światła na pojęcia, na opinię, na ludzi, na sprawę tych lat. Nie wiążą się one bezpośrednio z Reyem, ale należą do jego świata, do Polski jego czasów, a wydane były z myślą o nim, na uczczenie jego pamięci.

Wreszcie to, czego dotąd było brak, pomimo wielu prac i rozpraw, całkowita, zupełna, obszerna monografia o Reyu. Akademia poczuwała się do obowiązku wywołania takiej—a zadanie to złożyła w ręce najgodniejsze uczonego znawcy literatury polskiej, a wieku XVI w szczególności. Prof. *Brückner* zadania się podjął, a wykonał je z właściwymi sobie przymiotami erudycyi i bystrości, tak, że jego dzieło o Reyu staje w rzędzie najświetniejszych monografij polskich, a jest najlepszem ze wszystkich, jakie mamy o Reyu.

Nie zaniedbała więc Akademia rocznicy starego pisarza: ale kiedy o rocznicach mowa, godzi mi się przypomnieć jedną. Jest właśnie sto lat od urodzenia Józefa Kremera. W Akademii był jednym z pierwszych członków, a przez prace przygotowawcze, jej organizacyi liczyć się może do tych co ją zakładali. W Uniwersytecie był jednym z najpoważniejszych, najgodniejszych, nauki swojej, filozofii, sługą i miłośnikiem gorliwym, a jednym z tych, co ją nietylko uprawiali, ale w naszym kraju posunęli naprzód. Zrośnięty całem życiem z nauką polską, z uniwersytetem, z tem miastem, był w niem jedną z czcigodnych powszechnie miłowanych postaci. Niech ta rocznica jego urodzenia nie przejdzie bez wspomnienia i hołdu.

Stacya naukowa paryska poniosła bolesną stratę: zeszedł ze świata przewodniczący miejscowego komitetu, Teodor Jełowicki: mimo sędziwego wieku życzliwy czynny opiekun tej instytucyi. Słowo wdzięcznej pamięci winna mu jest Akademia.

Jeszcze raz składam gorące podziękowanie wszystkim łaskawie obecnym za ich życzliwość dla Akademii, a sprawę zamierzonego wydawnictwa źródeł do porozbiorowej historyi polskiej, pozwalam sobie polecić najusilniej pamięci i uwadze osób i rodzin."

W dalszym ciągu zdawał sprawę z czynności Akademii jeneralny jej sekretarz prof. *Bolesław Ulanowski*. Z jego przemówienia dowiadujemy się szczegółów o tak ważnej sprawie „Encyklopedyi Polskiej," o której publicznie tylko wspomniał prof. Tarnowski.

Komitet redakcyjny Encyklopedyi polskiej — mówił prelegent — odbył w roku ubiegłym szereg posiedzeń poświęconych ułożeniu programu szczegółowego dla całego dzieła, oraz porozumieniu się z współpracownikami, których zaproszono do napisania artykułów składających Encyklopedyę. Co do pierwszego uchwalono, iż Encyklopedya—mająca objąć całość kultury polskiej w jej historycznym rozwoju, powinna się składać z artykułów systematycznie ugrupowanych tak, aby każdy dział kultury tworzył w opracowaniu samodzielną całość i podzielono przeto cały przedmiot na XIX działów. Następnie zwrócono się do specyalistów bądź to z pomiędzy członków komitetu, bądź to z poza niego, z prośbą o wypracowanie szczegółowych programów dla każdego z tych działów. Na podstawie ich referatów opracował następnie komitet szczegółowy program dla całego dzieła (mającego objąć 500 ark. druku). Rezultatem tych prac komitetu jest „Program" ogłoszony drukiem w październiku ubiegłego roku. Następnie przystąpił komitet do narad nad kwestyą obmyślenia i zaproszenia współpracowników; ilość zaproszonych do encyklopedyi współpracowników obejmuje około 150 autorów. W ciągu najbliższych miesięcy lista współpracowników będzie ostatecznie skompletowaną i jest nadzieja, że z początkiem roku 1908 będzie można przystąpić do wydawnictwa Encyklopedyi.

Po przemówieniu Ulanowskiego prof. *Stanisław Smolka* odczytał pracę swoją p. t. „Młodość Lubeckiego, część większej całości, która ukazać się ma niebawem w postaci większego dzieła, a której fragmenta drukowane były częściowo w „Bibliotece Warszawskiej" a częściowo w „Przeglądzie Historycznym."

W końcu nastąpiło ogłoszenie nowych członków Akademii. Zaszczytne te odznaczenia dostały się w udziale prof. Józefowi Kallenbachowi, który został mianowany członkiem czynnym Akademii i Ignacemu Chrzanowskiemu, który został członkiem korespondentem.

Nagrody z fundacyi Barczewskiego przyznano: 1) za najlepsze dzieło historyczne „Szkice z XI wieku" prof. d-rowi Tadeuszowi Wojciechowskiemu we Lwowie; 2) za najlepsze dzieło malarskie „Cykl 10 studyów krajobrazowych" artyście-malarzowi i poecie Stanisławowi Wyspiańskiemu w Krakowie. 3) Nagrodę 2000 kor. z fundacyi bl. p. Warschauera, przyznano d-rowi Sokołowskiemu z Warszawy za dwutomowe dzieło o chorobach wewnętrznych.

Przy tak pięknych rezultatach naukowych, osiągniętych przez ogniskowanie się sił naukowych, czy to w Akademii krakowskiej, czy to w innych towarzystwach naukowych za granicą—jakże małemi się wydają pierwsze usiłowania nasze w tym kierunku czynione tu w Warszawie. Nowe prawo stowarzyszeń zdawało się usuwać główną zaporę dotychczasową. Rosły nadzieje, że i u nas na gruncie Warszawy wzrosną już jeżeli nie odrazu „Towarzystwa Naukowe“ pierwszego stopnia, jak było przedtem zamierzone, na wzór Akademii, to przynajmniej cały szereg Towarzystw specyalnych poświęconych pewnym gałęziom nauki. I nie możemy stawiać zarzutu braku inicyatywy w tym względzie. Projektów takich stowarzyszeń powstało bardzo wiele. (Pierwsze Towarzystwo Sił Naukowych, Towarzystwo Kursów Naukowych, Tow. Nauk Politycznych, Tow. Miłośników Historyi i t. d.). Opracowano projekta statutów. Podano je do odnośnych władz i oczekiwano tylko upłynięcia określonego przez prawo miesięcznego terminu, aby Towarzystwa te zawiązać. Tymczasem władze miejscowe, innemi sprawami zajęte, nie mają czasu na zaregestrowanie statutów Towarzystw i... załatwienie tych formalności odkłada się z dnia na dzień—w nieskończoność... Bądźmy cierpliwi.

NOWE KSIĄŻKI.

Chwila dzisiejsza odbijać się poczyna w naszej literaturze. Nie mówiąc już o całym potoku artykułów w sprawach bieżących, któremi jesteśmy formalnie zalani, zaczynają się pojawiać większe dzieła poświęcone dzisiejszym przełomowym chwilom. — Do takich należy świeżo wydana przez *Weyssenhoffa* satyra pod tytułem: „*Dni polityczne*. —Narodziny działacza.—Serya I.“ Dni polityczne nie są skończone, więc też satyry p. Józefa Weyssenhoffa wychodzić będą w dalszym ciągu peryodycznie, zdążając za biegiem wypadków — stanowić mają ich kronikę w obrazach i rozmowach. Tylko wątpliwem się zdaje, czy rączе pióro p. Weyssenhoffa nadąży „za biegiem tak szybko idących wypadków.“ Pierwszy tomik urywa się na dacie 15 października 1905. P. Weyssenhoff skreśla więc tylko pierwsze miesiące wypadków politycznych. Są to dni narodzin i pierwszych nieudolnych kroków, jakie pan Apolinary Budzisz stawiać poczyna na gruncie wielkiej polityki. Pan Apolinary, to nasz znajomy z Podfilipskiego, teraz z zagospodarowanego hreczkosieja staje się działaczem politycznym, z którym liczy się już stronnictwo. Satyra wytworna, nie kusząca się o efekt, nie godząca w dane upatrzone osoby, ale bardzo prawdziwa, niejednokrotnie jak aparat migawkowy chwytająca obrazy, odtwarzająca zabawne karykatury życia.

Drugą książką wielce aktualną, a wyszłą także z pod pióra jednego z najbardziej utalentowanych naszych autorów, to „Rewolucya“ *Kaz. Tetmajera*. Tu już w najbardziej jaskrawych kolorach maluje poeta chwile poprzedzające rewolucyę, wprowadza czytelnika do laboratoryum bomb, stawia przed jego oczyma grozę walki na barykadach, upadek ruchu rewolucyjnego, nowe jego narodziny, zwycięstwo, wreszcie śmierć wodza rewolucyi z ręki szaleńca. W pięk-

nie pomyślanem zakończeniu p. t. „Sen“ wyraża przekonanie, że wygłoszone na wstępie przez organizatorów rewolucyi ideały, są ziszczalne tylko w krainie idei.

Książka nosi napis „wydanie drugie,“ pierwsze zostało usunięte z półek księgarskich, z powodu zbyt ostrych wycieczek przeciw kościołowi i zbyt wolnych zwrotów erotycznych. Tak niesie fama... W niniejszem wydaniu wykropkowano rażące ustępy,—w korekcie jednak dają się zauważyć pewne przeoczenia...

— Polskie Muzeum. Malarstwo. Rzeźba. Przemysł Artyst. Wydawcy *Feliks Kopera* i *Julian Pagaczewski*. Rocznik I. Zesz. I. Kraków, 4-to. Pięć kartonów, cztery strony tekstu i objaśnienia do tablic na okładce.

W zeszycie niniejszym słowa wstępnego nie znajdujemy, ale z pomieszczanych tu i owdzie ogłoszeń, dowiadujemy się, że wydawcy mają zamiar opublikowania wszystkich znakomitszych zabytków sztuki i kultury polskiej. W wydawnictwie tem znajdą miejsce „dzieła pierwszorzędnych mistrzów polskich i obcych, którzy w Polsce i dla Polski pracowali, portrety królów, hetmanów i innych dygnitarzy, widoki dawnych miast, mieszkań, aparaty liturgiczne, zbroje, medale, hafty, tkaniny“ i t. d., jednem słowem wydawnictwo obejmie pomniki malarstwa, rzeźby i przemysłu artystycznego. Pierwszym jest obowiązkiem naszego społeczeństwa—pisze odezwa—zapoznać się z temi zabytkami sztuki i kultury, które mu przeszłość pozostawiła. One bowiem nietylko, że wyrabiają poczucie piękna, ale zarazem ilustrują doskonale dzieje naszej cywilizacyi, która się w nich odzwierciedla. Tak więc rozumiejąc potrzebę opublikowania naszych zabytków—wydawcy przystępują do dzieła i pierwszy zeszyt w świat puszczają. Są to zresztą ludzie dobrze już zasłużeni w badaniach nad historyą sztuki, z tem większem więc zaufaniem zeszyt bierzemy do ręki. Dano tu reprodukcye trzech obrazów: Jana z Kulmbachu, rzeźby przedstawiającej głowę Jana Olbrachta (z warsztatu Stwosza) i portretu Jana Ponętowskiego. Są to zabytki znajdujące się w Krakowie. Jako reprodukcye dano cynkotypy odbite na kredowym papierze, jest to reprodukcya nie zbyt trwała, ale jak na teraz przedstawia się pięknie. Treść stanowi artykuł p. Pagaczewskiego o Janie z Kulmbachu—autor streszcza wiadomości biograficzne o tym malarzu i opisuje dokładnie obrazy jego znajdujące się w Krakowie, w szczególności te, których reprodukcye zamieszcza. Po za tem na okładce podane są objaśnienia do każdej z tablic. Tu treść jest jakby zbyt pobieżnie ułożona. Na samym wstępie przy opisie rzeźby, przedstawiającej głowę Jana Olbrachta, dopatrujemy przeoczenia. Data śmierci Stwosza powinna być nie 1430 a 1530. Zapewne, jest to błąd zecerski, ale w wydawnictwie popularyzującem wiedzę, należy błędów takich unikać. Przy tymże opisie domyślnik—rzeźba jest „*niewątpliwie*“ portretem króla „z maski pośmiertnej.“ Przy twierdzeniu „*niewątpliwie*“ pożądane jest udowodnienie tej pewności, a jeżeli to jest niemożebne, to lepiej powiedzieć „prawdopodobnie.“

— Polskie Towarzystwo Nakładowe we Lwowie śród całego szeregu dzieł poświęconych sprawom społecznym i ekonomicznym, wydało następujące dzieła mające dla Królestwa znaczenie aktualności:

Ludwika Kulczyckiego: Autonomia i federalizm w ustroju współczesnych złożonych państw konstytucyjnych. Str. XI + 306. Autor postawił sobie za cel przedstawienie organizacyi współczesnych złożonych państw konstytucyjnych, składających się z części różnorodnych. Punkt ciężkości pracy p. Kulczyckiego tkwi w zbadaniu samorządu prowincyonalnego, autonomii krajów w wymienionych państwach, oraz w przedstawieniu mechanizmu ustroju federalistycznego.

Rozdział pierwszy poświęcony jest teoryi i praktyce samorządu prowincyonalnego w państwach jednolitych. Znajdujemy tu charakterystyki samorządu w Anglii, Francyi, Prusach i niektórych innych państwach. Rozdział drugi omawia unie osobiste i realne w ustroju państw złożonych. Rozdział trzeci analizuje państwa złożone, posiadające instytucye centralne, oraz autonomiczne dla poszczególnych krajów. Państwa te stanowią przejście do typu państw federalistycznych. Autor przedstawia tu ustrój Austryi i Węgier, oraz Kolonij angielskich. Rozdział czwarty poświęcony teoryi i praktyce federalizmu. Omówiona jest zatem organizacya Stanów Zjednoczonych A. P., Szwajcaryi, Niemiec, oraz charakteryzacya republiki południowo-amerykańskiej. W zakończeniu autor uogólnia wnioski zawarte w całem dziele i daje teoryę federalizmu.

Książka zawiera wreszcie nader ważny dla nas i ciekawy dodatek poświęcony Rosyi, w którym p. Kulczycki zastanawia się nad tem, jakie formy konstytucyjno-autonomiczne przyjąć może wkrótce ta ostatnia i jakie z nich byłyby najodpowiedniejsze z punktu widzenia interesów społeczeństwa polskiego.

W. Studnickiego: Wyodrębnienie Galicyi. Str. XII + 101. Treść: Od Wydawców. Przedmowa autora. Zarys historyczny usamodzielnienia Galicyi. Prawno-państwowe postulaty. Sprawy polityczne z wyodrębnieniem związane. Usamodzielnienie Galicyi, jako czynnik polityczny Galicyi współczesnej.

Autor uzasadniając potrzebę usamodzielnienia Galicyi, porusza wiele ważnych i ciekawych zagadnień dotyczących historyi stosunku Galicyi do Austryi oraz jej stanu ekonomicznego, politycznego i kulturalnego w dobie obecnej. W. Studnicki usiłuje wykazać, że dla normalnego rozwoju Galicyi potrzebnem jest nadanie jej całkowitej autonomii. Kładzie szczególny nacisk na podniesienie przemysłu wielkiego w Galicyi.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— Kosmos, zesz. I. Dr. B. Dybowski: Zęby zwierząt ssących. Cz. II. 1: Streszczenie teoryi pączkowania Cope'go—Osborn'a i ogólne nad nią uwagi. 2: Krótki zarys teoryi konkrescencyi (z 1 ryciną);—Prof. M. Łomnicki: Notatka naukowa;—Eugeniusz Romer: Ferdynand Richthofen (wspomnienie pośmiertne);—dr. Korczyński i Opolski: Polemika w sprawie podręcznika chemii nieorganicznej;—Ograniczenie walnego zgromadzenia polskiego Towarzystwa przyrodników im. Kopernika.

— Toż, zesz. II. Dr. Bronisław Sabat: Wpływ promieni Becquerela na opór elektryczny ciał stałych i cieczy;—Jan Lewiński: Przyczynek do geologii Radomia;—dr. B. Dybowski: Zęby zwierząt ssących, cz. III. Próba oceny wartości obu teoryi (pączkowania i konkrescencyi) przy pomocy faktów odontologicznych. Budowa zębów mlecznych, trzonowych cielęcia i dowody, wykazujące niemożność stosowania do części ich składowych terminologii Osborna (13 ryc.);—Sprawozdania z literatury przyrodniczej, przez M. Łomnickiego, E. Romera, S. Pawłowskiego, J. Dziędzielewicza, S. Opolskiego i Br. Duchowicza;—Odezwa w sprawie wydawnictwa „Flory polskiej."

— Krytyka. Marzec. (f.), Kilka listów;—Edward Milewski, z cyklu: Kwitnące ciernie, Do ludu roboczego, Melodya boju, Z czarnej przeszłości, poezye;—Ignacy Radliński: Wolna myśl, ostatni kongres jej wyznawców, rozważania i wspomnienia (c. d.);—Aleksy Tołstoj: Historya Rosyi od Gostomysła, poezye, przeł. Emmy;—Ostap Ortwin: Konstrukcya teatru Wyspiańskiego;—Artur Śliwiński: O społecznych i politycznych poglądach Mickiewicza (c. d.);—Henryk Heine: Z nietłómaczonych poezyj, Pieśni czasu (1839—1846), przełożył z niemieckiego Władysław Nawrocki: Doktryna, Ostrzeżenie, Do politycznego poety, Westchnienie strzeliste, Fragment, Do dawnego Goethejczyka, Tajemnica, Na przyjazd stróża nocnego do Paryża;—J. Baudouin de Courtenay: Ze zjazdu autonomistów czyli przedstawicieli narodowości nie-rosyjskich w Petersburgu (dok.);—Tadeusz M.: Karykatura na Imci Pana Kazimierza Sichulskiego;—Ślaz.: List otwarty do Aleksandra Świętochowskiego;—J. S.: Teatr zagraniczny;—Do psychologii i patologii hr. Wittego;—Przegląd prasy polskiej i obcej;—Sprawozdania naukowe i literackie.

— Miesięcznik pedagogiczny. Luty. W obronie polskiej szkoły ludowej na Śląsku, Język wykładowy szkoły ludowej dla ludności polskiej na Śląsku (c. d.);—Paweł Heczko: Jan Bohucki (wspomnienie pośmiertne);—Wł. Zabawski: Z dziejów Śląska;—Znaczenie suggestyi w wychowaniu i nauczaniu, podług M. Guyau;—Wychowanie i dziedziczność (c. d.);—Klemens Matusiak: Sprawozdanie z posiedzenia Zarządu Głównego „Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego";—Alojzy Milata: Frysztackie kółko pedagogiczne.

— Miesięcznik Towarzystwa Szkoły ludowej. Styczeń. St. Natanson: Jak mają być zestawione sprawozdania T. S. L.?;—Otwarcie „Domu polskiego" w Czerniowcach;—Tematy do pogadanek;—Kronika;—Dział sprawozdawczy;—Wiadomości różne.

— Przegląd prawa i administracyi. Marzec. Dr. Juliusz Makarewicz: Słuszne prawo;—dr. Ernest Till: Z dziedziny materyalnego prawa konkursowego (c. d.);—Adam Krzyżanowski: Związki zawodowe rolników (c. d.);—dr. Stanisław Dniestrzański: O przejęciu długu, trzy odczyty (c. d.);—Praktyka cywilno-sądowa, przez Wincentego Łobosa, T. i Antoniego Dolnickiego;—Praktyka administracyjna, przez dr. Zygmunta Gargasa;—Zapiski literackie, przez D. Tilla, dr. Włodz. Godlewskiego, R...r, Józefa Reinholda i Sł.

— Przegląd powszechny. Marzec. Ankieta Przegl. Powszechnego (o obecnych zadaniach katolicyzmu w Polsce, c. d.): Odpowiedzi ks. dr. Józefa Bilczewskiggo, ks. Stefana Zwierowicza, prof. dr. Kazimierza Morawskiego, prof. dr. Ignacego Łyskowskiego, Kazimierza hr. Rostworowskiego, dr. Maksymiliana Thuliego, dr. Maurycego Straszewskiego, K. hr. Siemieńskiego, dr. Bolesława Wicherkiewicza i Ludomiru Benedyktowicza;—Dr. Władysław Bandurski: Zbędźmy Jadwigę;—Krystyna Saryusz-Zaleska: Z nad morza, Ogród, Echo dnia, W porcie, Dubrownik, Z mogiły, W zatoce, Zatopione miasta, Burze, poezye;—ks. Władysław Szczepański T. J.: W Arabii skalistej, wrażenia z podróży r. 1905;—ks. Stanisław Kobyłecki T. J.: Postulaty psychologii doświadczalnej;—ks. Wiktor Wiecki T. J.: Kilka uwag z powodu walki kościelnej we Francyi, przyczynek do dziejów dzisiejszego protestantyzmu;—ks. F. Hortyński T. J.: Ze świata odkryć i wynalazków. Teorya elektronów a grawitacya. Polonium i rayotelur prof. Marcwalda. Z biologii molów. Sztuczne barwienie motyli;—Leonard Lepszy: Pogadanka artystyczna. Odbudowa Wawelu. Pomniki na Rynku krakowskim. Nowe budowle krakowskie: gmach Izby handlowej, Towarzystwa muzycznego i Akademii handlowej. Wystawa Sztuki. Wystrzyganki w służbie sztuki. Los rzeźbiarzy.

— Przegląd polski. Marzec. Dr. Tadeusz Grabowski: Gabryel d'Annunzio, szkic literacki (c. d.);—dr. Władysław Pilat: Socyologia sztuki;—Zdzisław Jachimecki: Mozart (c. d.);—dr. Wincenty Śmialek: Pod znakiem Syntezy;—Sprawy krajowe XXXVII. Kwestya robotników rolnych przez dr. Józefa Milewskiego;—dr. Zygmunt Stefański: Teatr Krakowski;—Witold Noskowski: Muzyka w Krakowie;—Stanisław Tarnowski: Kardynał Perraud, biskup z Autun (wspomnienie pośmiertne);—Tenże: Piotr Górski (wspomnienie pośmiertne).

— Przewodnik naukowy i literacki. Luty. Podróże królewicza polskiego, późniejszego króla Augusta III. (Niemcy, Francya, Włochy) 1711—1717, z dyaryusza rękopiśmiennego wydał Aleksander Kraushar;—Dr. Karol Mátyás: Oryla Michała Huliniaka, wspomnienia z podróży Wisłą do Gdańska;—Gustaw Manteuffel: Birże litewskie;—Bohdan Barwiński: Zygmunt Kiejstutowicz, książe starodubski;—dr. Tadeusz Troskolański: Andrzej Radwan Zebrzydowski, biskup krakowski († 1560), monografia historyczna, część V;—Pamiętnik Napoleona Sierawskiego, oficera konnego pułku gwardyi za czasów ks. Konstantego;—Kazimierz Pułaski: Z dziejów konfederacyi barskiej, teki Teodora Wessla, podskarbiego w. kor. (1760—1772).

— Rocznik chrześcijańsko-społeczny poświęcony sprawom społecznym i gospodarczym. Rocz. II, od 1 października 1904 do 15 września 1904. Poznań, 1904. Nakład. i druk. księg. św. Wojciecha. 8-o, str. XII i 576.

— Rocznik III od 1 października 1904 do 15 września 1905. Poznań, 1905. Księg. św. Wojciecha. 8-o, str. XVI i 576.

— Szkoła. Marzec. O wolności przekonań; — Garść pomysłów; — F. Holitscher: Międzynarodowy kongres dla szkolnictwa ludowego w Leodyum; — S. Tokarski: Opiekunowie (kartki z pamiętników inspektora szkolnego); — Program zjazdu nauczycieli austryackich w Wiedniu od 7—10 kwietnia 1906 r.; — Paweł Bober: Ada Negri o szkołach gospodarstwa wiejskiego dla dziewcząt; — J. B.: Niepraktyczny okólnik; — Jan Antoni Mikulski: Dzieci a prostytucya (dok.); — Walka o szkołę polską; — Szkoły ludowe w Warszawie.

— Świat słowiański. Luty i Marzec. J. I. Langer: O stronnictwach czeskich; — Tadeusz Nalepiński: Idee narodowe i słowiańskie Dostojewskiego; Al. Lednicki: Grudniowe dni w Moskwie; — Walery Gostomski: Dymitr Mereżkowski i jego trylogia „Chrystus i Antychryst"; — J. Urban: Stanowisko cerkwi i teologii rosyjskiej względem Zachodu; — Tadeusz St. Grabowski: Anton Aškerc (sylwetka jubileuszowa).

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

Cieszkowski August: O drogach ducha. Wyd. 3. Poznań, 1905. 8-o, str. 60.

Lutosławski Wincenty: Logika ogólna, czyli teorya poznania i logika formalna. Londyn, 1906. Nakład. wszechnicy Mickiewicza, G. Gebethner i Sp. w Krakowie. 8-o, str. XXXII i 368.

Morawski Maryan Ks. T. J.: Podstawy etyki i prawa. Zeszyt I, wyd. 2. Nakład. „Przegl. Powszechnego." 8-o, str. 197.

Straszewski Maurycy: Filozofia św. Augustyna na tle epoki. Spółka wyd. polska. Kraków, 1905. 8-o, str. 387.

Zaluski Walenty Ks.: Cudowne obrazy Przenajświętszej Bogarodzicy w dyecezyi płockiej. Kielce, 1905. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie. 8-o, str. 180.

HISTORYA.

Backs B.: Wielka rewolucya francuska. Przełożył Adolf Strzelecki. Warszawa, 1906. Nakład Nowej Spółki Wydawniczej. 8-o, str. 88.

Belfort Bax E.: Historya rewolucyi francuskiej. Przełożył z 3 wyd. angielskiego A. T. Warszawa, 1906. „Bibl. Społ.“ Nr. 7. Skład gł. w księg. Powszechnej. 8-o, str. 213.

F. P.: Krótka historya wielkiej rewolucyi francuskiej. Wyd. 3. Warszawa, nakład. Tow. Wyd. ludowych, G. Centnerszwer i S., H. Altenberg we Lwowie. 8-o, str. 33.

Falkowski Juliusz: Księstwo Warszawskie, obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce. T. I przez... Warszawa, 1906. „Bibl. dzieł wybor.“ Nr. 420. Wyd. Red. „Bibl. dz. w.“ 8-o, str. 160.

Gawroński Rawita Fr.: Straszne dni. kartka z dziejów żydowskich (1648). Odb. z „Słowa Polskiego.“ Lwów, 1906. Nakład. Maniszewskiego i Kędzierskiego. 8-o, str. 16.

Gomulicki Wiktor: Rewolucya 1830 — 1831. W 75-tą rocznicę. Napisał ... Z ilustracyami. Warszawa, 1906. M. Małecki i St. Ręczyński. 8-o, str. 32.

Grabieński Wł.: Dzieje narodu polskiego. Wyd. 2 uzupełnione. Kraków, 1906. Nakład. autora, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. XI i 595.

Prochaska Antoni: Przymierze Władysława Jagiełły z Danią. Odbitka z „Rozpr. wydz. histor.-filozof.“ t. XLVIII. Kraków, 1906. Nakładem Akad. Umiej., Spółka wyd. polska. 8-o, str. 36.

Pułaski Franciszek: Nieznane listy Barbary Radziwiłłówny do Mikołaja Radziwiłła Rudego i Zygmunta Augusta. Warszawa, 1906. 4-to, str. 2+10+2 karty facsimilowane.

Schorr Mojżesz: Państwo i społeczeństwo babilońskie w okresie t. zw. dynastyi Hamurabiego około 2500 — 2000 przed Chrystusem. Lwów, 1906. H. Altenberg. 8-o, str. 104.

Sievers: Drugi rozbiór Polski z pamiętników... Tom I. Warszawa, 1906. „Bibl. dzieł wyb.“ Nr. 423. 8-o, str. 128.

Tenże: Drugi rozbiór Polski. Z pamiętników. Warszawa, 1906. „Bibl. dzieł wyb.“ Nr. 424, 425. 8-o, t. II str. 136, t. III str. 156.

Tatomir L. Prof.: Dzieje Polski i narodu polskiego. Wydanie nowe, przejrzane, poprawione i do ostatnich czasów doprowadzone przez d-ra Ernesta Lanińskiego. Warszawa, 1906. Nakład. M. Arcta. 8-o, str. 372.

HISTORYA LITERATURY.

Belza Władysław: Żydzi w poezyi polskiej. Głosy poetów o żydach zebrał ... Lwów, 1906. Wyd. 2, H. Altenberg. 8-o, str. XII i 104.

Dobrzycki Stanisław: Pieśni Kochanowskiego. Odb. z t. XLIII „Rozpr. wydz. filolog.“ Kraków, 1906. Nakład. Akad. Umiej. Spółka wyd. polska. 8-o, str. 153.

Grabowski Tad. Stan.: Anton Aškerc, poeta słowieński. Szkice i rozprawy z piśmiennictw słowiańskich. Kraków, 1906. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 39 z podob. Aškerca.

Lutosławski W.: Sprawozdanie z wszechnicy Mickiewicza w Londynie za lata 1902—1905, ułożył jej inicyator i kierownik ... Londyn, 1906. Nakład. Wszechnicy, G. Gebethner i Sp. w Krakowie. 8-o, str. 67.

Missona Kazimierz: Dziady, dzieło Adama Mickiewicza w 6 odsł., ułożył ... muzykę podał Jan Głowacki. Kołomyja, 1906. F. West w Brodach. 8-o, str. 79 i nut 4 nl.

Pamięci Mikołaja Reja z Nagłowic 1505—1569. Tow. literackie im. Ad. Mickiewicza R. P. 1905. Lwów, 1906. Księg. polska B. Połonieckiego, E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o, str. 193.

Pisma polityczne z czasów pierwszego bezkrólewia wydał Jan Czubek. Kraków, 1906. Nakład. Akad. Umiejętn. Spółka wydawn. polska. 8-o, str. XXXVIII i 765.

POWIEŚĆ. — POEZYA.

Andrejew Leonidas: Smutna książka. Tłómaczyła z rosyjskiego Idalia Badowska. Warszawa, 1906. J. Fiszer. 8-o, str. 218.

Bolesławita B.: Przed burzą. Sceny z r. 1830. Kraków, 1905. Nakł. Wydaw. „Nowej Reformy,“ G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 256.

Gliński Kazimierz: Gady. Powieść z XIV wieku. Warszawa—Kraków. Nakład. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 423.

Hamsun Knut: Głód. Bibl. powieściowa pod red. J. Stena. Lwów, 1906. Nakład. księg. Narod. 8-o, str. 209.

Jaroszyński T.: Miasto. Powieść. Warszawa, 1906. Nakład. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 357.

Kisielewski Jan Aug.: Panmusaion. Życie dramatu. Miłe słówka. Życie w powieści. Słowa Kornelli. Panmusaion. O sztuce mimicznej. Lwów, 1906. Nakład. Tow. wydawniczego E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o, str. 206 i 2 nl.

Konopnicka Marya: Głosy Ciszy. Warszawa, 1906. Nakład. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 153.

Mickiewicz Adam: Dziady. Część III. Wydane w 50 rocznicę zgonu wieszcza z upoważnienia p. Władysława Mickiewicza. Warszawa, 1905. Wydał W. J. 8-o, str. 118.

Tenże: Pan Tadeusz. Poezye. Nowe wydanie z życiorysem autora skreślonym przez Piotra Chmielowskiego. Tom trzeci. Warszawa, 1897. „Wydanie jubileuszowe. Nakład. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 286.

Morzycka Faustyna: Powrotne fale. Dziewięć strof powieściowych z życia współczesnego. Warszawa—Kraków, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 225.

Sienkiewicz Henryk: On the field of glory, an historical novel of the time of king John Sobieski, translated fromc the polish original by Jeremiah Curtin. Boston Little, Brown and Compagny. 1906. 8-o, str. IX i 334.

Tenże: Bez dogmatu, powieść. T. I—III. Wyd. 4. Warszawa—Kraków, Gebethner i Wolff. 8-o, str. 234 + 262 + 258.

Tenże: Pisma. T. XX. Wyrok Zeusa. Z wrażeń włoskich. Organista z Ponikły. U źródła. Lux in tenebris lucet. Bądź błogosławiona! Pójdźmy za nim! Listy Zoli. Wyd. 4-te. Tamże, 1906. 8-o, str. 249.

Szukiewicz Wojciech: Do młodzieży! W sprawie kooperacyi szkolnej. Skreślił... Warszawa, 1906. Wyd. Tow. Współdz. potrzeb szkolnych. 16-o, str. 30.

Tetmajer-Przerwa Kazimierz: Poezye współczesne. Kraków, 1906. Nakładem D. E. Freidleina. 8-o, str. 28.

Zdziechowski Kazimierz: Przemiany, powieść. T. I i II. Warszawa—Kraków, 1906. Nakład. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 346 + 347.

Zilbersztajn Natan z Wiślicy: Cedry Libanu. Nowelka na tle stosunków społecznych. Warszawa, 1906. Nakład. autora. 8-o, str. 36.

NAUKI PRAWNO-POLITYCZNE I SPOŁECZNE.

Chabielski Ignacy: Ustawy i przepisy o wyborach do Izby Państwowej zebrał i objaśnił... Wydanie drugie poprawione i dopełnione. Warszawa, 1906. Nakład. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 78.

Freeman Edward: Polityka porównawcza, czyli instytucye polityczne Greków, Rzymian i Germanów, z angielskiego opracował W. M. Kozłowski. Podstawy wykształcenia współczesnego. Tom XI. Warszawa, 1905. Nakład. M. Arcta. 8-o, str. 148 + III.

Godlewski Stefan: Reforma konstytucyjna w państwie Rosyjskiem. Słowo wstępne. Przebieg i charakter reformy konstytucyjnej. Wskazówki w przedmiocie wyborów do Dumy Państwowej. Tekst ustaw. I. Ustawy przygotowawcze. II. Prawo konstytucyjne. III. Przepisy tymczasowe. Warszawa, 1906. Nakład. autora. 8-o, str. LVIII + 96.

Kemener St. A.: Zarysy ekonomii społecznej. Wyd. II. Nakład. księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 366.

Kowrow A.: Ustrój państwowy i stronnictwo polityczne w Europie zachodniej. Tom III. Niemcy. Opracował .... Redaktor-wydawca St. Kucharski. Warszawa, 1906. „Bibl. naukowa.“ 8-o, str 155.

Lange Józef: Teksty konstytucyj typowych państw europejskich (prawa zasadnicze Anglii — konstytucye: Austryi, Francyi, Niemiec i Szwajcaryi), opracował... Warszawa, 1905. Redaktor-wydawca St. Kucharski „Bibl. Naukowa." 8-o, str. 97.

Piotrowski Stanisław: Bezrobocie powszechne, studyum. Warszawa, 1906. Nakład. E. Wende i Sp. 8-o, str. 19.

Popiel Jan: O autonomii Królestwa. Nakład. autora. 8-o, str. 31.

Reforma wyborcza w sejmie. Kraków, 1906. Nakład. i druk. „Czasu." Gubrynowicz i Schmidt. 8-o, str. 145.

Studnicki Wład.: Samodzielność Galicyi. Lwów, 1906. Nakład. Związku wydawniczego. 8-o, str. 16.

EKONOMIA. — ROLNICTWO.

Bernstein Edward: Rozwój form życia gospodarczego. Warszawa, 1906. Skład gł. w księg. Powszechnej. 8-o, str. 44.

Bogdanow A.: Zarys nauki ekonomii politycznej. Zeszyt I. Warszawa, 1906. Skład gł. w księg. Powszechnej. 8-o, str. 64.

Tenże: Krótki wykład ekonomii politycznej. Tłómaczenie z 6-go wydania, z oryginału rosyjskiego, tłómaczyła Jadwiga Warska. Warszawa, 1906. Nakład. „Bibl. Naukowej." Wydaw. St. Kucharskiego. 8-o, str. 409.

Godlewski Stefan: Memoryał Tow. rolniczego Kieleckiego o stanie i potrzebach rolnictwa i rolników gubernii Kieleckiej. Opracowany przez ... przy współudziale pp. Zygmunta Glinki, Konrada Kosieradzkiego, Juliusza Zdanowskiego i Fortunata Zdziechowskiego. Odb. z „Bibl. Warsz." (Grudzień, 1905). Warszawa, 1906. Wyd. „Pracy." 8-o, str. 45.

Orzechowski Klusik Tadeusz: System rachunkowości w gospodarstwach związkowych publicznych. Cz. I. Zasady rachunkowości w gospodarstwach państwowych. Lwów, 1906. Nakład. autora, Maniszewski i Kędzierski. 8-o, str. XV i 130.

Targoński Władysław: Zbiór wiadomości dla szacowania szkód, wyrządzanych w zbożach i roślinach uprawnych przez gradobicia i inne wpływy atmosferyczne, a również przez owady i choroby roślin, przeł. z rosyjskiego E. Borakowski. Warszawa, 1905. Skład gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 156 + VI z 9 tablicami.

S Z T U K A.

Bostel Ferdynand: Przyczynek do dziejów restauracyi katedry lwowskiej w XVIII w. Odb. z t. VII Sprawozdań komisyi do badania historyi sztuki w Polsce. Kraków, 1906. Fol., str. 18.

Łopaciński Hieronim: Wiadomości o marmurach w Polsce. Z rękopisów dzieł dawnych i nowszych zebrał... Odb. z t. VII Sprawozdań komisyi do badania sztuki w Polsce. Kraków, 1906. Fol., str. 16.

Pawłowicz E.: Muzeum im. Lubomirskich. Lwów, 1905. 8-o, str 32.

Tenże: Sprawozdania komisyi do badania historyi sztuki w Polsce. T. VII, zesz. 4. Kraków, 1905. Nakład. Akad. Umiej., Spółka wyd. polska. 4-o, str. 480—614 i CCLIII—CDIV z 138 fig. w tekście.

Trzeciński Tad. Ks. Dr.: Ozdoby architektoniczne w gnieźnieńskim kościołku św. Jana. Odb. z „Przeglądu kościelnego.“ Poznań, 1906. 8-o, str. 19 z 9 rycinami.

NAUKI PRZYRODNICZE.

Dziewulski W.: Wiekowe perturbacye Marsa w ruchu Erosa. Odbitka z t. XLV, ser. A. „Rozpr. wydz. mat.-przyr.“ Kraków, 1906. Nakład. Akad. Umiej., Spółka wydaw. polska. 8 o, str. 32.

Hoyer H. Prof.: Wskazówki do ćwiczeń z anatomii zwierząt domowych. Kraków, 1906. 8-o, str. 34 z 8 tabl.

Neumayr Melchior Prof. Dr.: Dzieje ziemi. Z drugiego wydania niemieckiego, opracowanego przez prof. d-ra Wiktora Uhlinga, przełożyli: Jan Zaleski, Zygmunt Weyberg, Stanisław Janiszewski. Tom I. Geologia ogólna, 368 rysunków w tekscie, dwie mapy, 15 tablic, z których 2 kolorow. Wydał Józef Morozewicz. Warszawa, 1906. Z zapomogi kasy im. J. Mianowskiego. Skład gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, form. duży, str. XVI + 763, rb. 4.

Rudzki M. P.: Resultate der meteorologischen, seismologischen und magnetischen Beobachtungen an der k. k. Sternwarte in Krakau. Krakau. Verlag der obengenanten Anstalt, Universitäts Buchdruckerei. 1906. 8-o, k. nl. 7.

Sabat B.: Ueber den Einfflus der Radiumstrahlen auf das Leitvermögen der Elektrolyte. Ext. du Bull. de l'acad. des sciences. Cracovie, impr. de l'univ. 1906. 8-o, str. 62—79.

Siemiradzki Joseph: Monographie paléontologique des couches paléozoiques de la Podolie. Extr. du Bull. de l'acad. des sciences. Cracovie, impr. de l'univ., 1906. 8-o, str. 23—32.

Sprockhoff A.: Ze świata mineralnego. Główniejsze minerały i skały oraz zużytkowanie ich praktyczne. Objaśniono 50 rys., spolszczył Ksawery Sporzyński, kand. nauk przyr. Warszawa, 1906. Nakład. M. Arcta. Książki dla wszystkich Nr. 323. 16-o, str. 159.

PEDAGOGIA. — PODRĘCZNIKI SZKOLNE.

Berger Hugo: Podręcznik języka niemieckiego do nauczania w pierwszych klasach średnich zakładów naukowych. I. Kurs elementarny. Warszawa, 1906. Nakład. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 142.

Berkman Michał: Początki arytmetyki, systematyczny kurs nauk. Były nauczyciel szkoły technicznej dr. ż. Warsz.-Wied. i Warsz.-Byd. w Warszawie, napisał... Wyd. drugie. Warszawa, 1906. Nakład. M. Arcta. 8-o, str. 232.

Bogucka C., Niewiadomska C. i Warnkówna J.: Ćwiczenia stylistyczne we wzorach i tematach. Stopień 1, dla młodszych. Wyd. drugie przejrzane i poprawione. Warszawa, 1906. Nakład. księg. Gebethn. i Wolffa. 8-o, str. 249.

Charvet L. i Pillet. Wykład początkowy rysunków do użytku szkół początkowych (kurs elementarny) przez... (Książka nauczyciela) przetłómaczony z francuskiego. Z zapisu Wład. Pepłowskiego w zawiadywaniu Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia d-ra Józefa Mianowskiego. Warszawa, 1906. Skład gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 244.

Conton Ernest: Szkoły nowego typu, spolszczył i uzupełnił Jan Modzelewski. Odb. z „Przegl. pedagogicznego.“ Warszawa, 1906. 8-o, str. 63.

Dickstein S.: Arytmetyka w zadaniach w trzech częściach. Część III. Stosunki. Proporcyonalność. Kwadraty. Sześciany. Zadania różne. Wydanie drugie, poprawione i rozszerzone. Warszawa, 1906. Nakład. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str, 263.

Grzymałowski Władysław: Dzieje narodu polskiego w krótkim zarysie dla użytku młodzieży. Wydanie trzecie uzupełnione. Warszawa, 1906. Nakład. M. Arcta. 8-o, str. 210.

Mroczek A.: Wypisy francuskie dla początkujących, wyd. drugie ilustr. przez... Warszawa—Łódź, 1906. Nakład. księg. L. Fiszera. 8-o, str. 183.

Müller J. P.: Moja metoda hartowania dzieci i dorosłych. Kwadrans dziennie dla zdrowia! Warszawa, nakład. E. Wendego i Sp., H. Altenberg we Lwowie. 8-o, str. 144, z 41 ilustr i 2 kopiami rzeźb, z portretem autora.

Osterloff Waldemar: Kurs metodyczny nauki języka niemieckiego. Ułożył... Z ilustracyami. Wyd. drugie. Warszawa, 1906. Nakład. księg. L. Fiszera. 8-o, str. 150 + II.

Rudnicka Antonina: Zbiór zadań arytmetycznych z krótkiemi wskazówkami metodycznemi. Rok I. Warszawa, 1906. Nakład. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 65.

Sprawozdanie Tow. „Młodzież polska w Stanisławowie“ za rok administracyjny 1905. Stanisławów, 1906. Nakład. Tow. 8-o, str. 34.

Sempołowska Stefania: Niedola młodzieży w szkole galicyjskiej. (Kilka słów o narodowej szkole w Galicyi). Kraków, 1906. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 58.

Zydler Jan: Geometrya w zakresie szkoły średniej z licznemi rysunkami w tekscie. Część I. Planimetrya. Warszawa, 1906. Nakład. M. Arcta. 8-o, str. 184.

Tenże: Geometrya w zakresie szkoły średniej z 103 rys. w tekscie, napisał nauczyciel matematyki. Cz. II. Stereometrya. Warszawa, 1906. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 87.

Tenże: Geometrya w zakresie szkoły średniej, z licznemi rysunkami w tekscie. Planimetrya i stereometrya. Warszawa, 1906. Nakład. M. Arcta. 8-o, str. 184.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

O KSIĄŻCE i OKOŁO KSIĄŻKI.

GABRIEL SARRAZIN:

O wielkich poetach romantycznych Polski.

I.

Ukazała się w Paryżu książka, która nie może być nam obojętną.

Nie dlatego, że jest dziełem podwakroć uwieńczonego przez Akademię pisarza, i nie dlatego nawet, że mówi o wielkich naszych poetach doby romantycznej, ale dlatego, że z kart jej wieje dla Polski taki duch zapału, jakiego nie mieliśmy przykładu od wielkich dni Mickiewiczowskich w Kollegium Francuskiem.

Istotnie. Gabryel Sarrazin zdaje się pochodzić w prostej linii od tych entuzyastów, którzy spieszyli słuchać Mickiewicza z niedającem się dziś pojąć uniesieniem; od tych, którzy go widywali „nadludzkim niemal“ i do wyżyn prorockiego natchnienia wzniesionym; od tych, którzy „Księgi Narodu“ Ewangelią zwali, a wobec „Ksiąg Pielgrzymstwa“ pytali zdumieni:

— „Co to za mąż, który tak do narodu przemawia?

I co to za naród, do którego tak przemawiać można?“

Otóż dwa te pytania, jakkolwiek w książce, która nas zajmuje, niewypowiedziane, są przecież podstawą jej planu, osią jej ruchu, tchnieniem i zasadą jej treści.

One to brzmią w duszy autora, jak nieustająca pobudka do namiętnych zaciekań się, już to w dziedzinę przyrody ziem Polski i Litwy, już w dziedzinę ich historyi, już w psychikę ludów żywcem pogrzebanych i w grobie żyjących; już wreszcie w nie-

śmiertelną twórczość poetów naszych i w królewską ich nad duszami władzę.

Unoszą się one, pytania te, nad dziełem całem, tworząc jego w najwyższym stopniu zapalną atmosferę; krążą niewidzialnie na kartach jego, są kart tych żarem wewnętrznym i zewnętrznym blaskiem, krwią jego żył, biciem jego pulsów, a usiłowanie rozwiązania pytań tych, stanowi właściwą osnowę książki.

Usiłowaniom tym towarzyszy uczucie jakiegoś pełnego czci zdumienia; akcent jakiegoś zazdrosnego podziwu, o którym szlachetny entuzyasta woła:

— Więc jest jeszcze ziemia, jest naród — w tym wieku zamerykanizowania świata całego, jest taka kraina, gdzie poezya ma ołtarz i tron? Gdzie jest królową i mistrzynią życia? Gdzie jest najważniejszem, prawie jedynem źródłem wychowania narodowego? Gdzie naucza i duszami włada? Gdzie jest religią niemal?

I oto zaraz, od pierwszych kart książki, Sarrazin idzie pielgrzymować do tej ziemi świętej i do tej poezyi.

Do poezyi — przedewszystkiem. Czuje on bowiem, że musi być w niej coś innego jeszcze, niżeli sama rozkosz estetyczna. Instynktowo czuje, że tu żaden współczesny olimpijczyk nie miałby nic do powiedzenia. Że to jest jakaś wielka twierdza Króla-Ducha, jakieś buchające ognisko czucia, jakaś zawrotna wyżyna natchnienia, jakiś zdrój życia samego.

Pielgrzymowanie owo nie idzie mu łatwo. Jest nietylko cudzoziemcem, ale — Francuzem, z samych już właściwości rasowych najmniej może zdolnym do zrozumienia tajemniczych głębin poezyi naszej. I nietylko jest Francuzem, ale nie umie po polsku.

Był wprawdzie w Krakowie i stał pod pomnikiem wieszcza, ten wszakże mówił do niego — kamiennemi słowy.

Wszedł do przysionka świątyni i oblókł szatę katechumena; ale nie przeniknął do Świętego Świętych. Nie został wtajemniczony.

Szuka sobie tedy przewodników i łatwo znajduje. Dodajmy, znajduje szczęśliwie. Prowadzą go nietylko książki, ale i ludzie żywi.

Jakoż widzimy, że przez całe dzieło trzyma się Sarrazin pilnie poły płaszcza to Klaczki, to W. M. Kozlowskiego, to Gasztowta, z którego tłómaczeń obficie korzysta, to — i nadewszystko M. Zdziechowskiego, któremu połę tę porządnie nadszarpuje, no, ale też w nagrodę książkę swą poświęca.

Wprost nie rusza się bez tych przewodników swoich. Cóż? Kraj tak obcy, tak cudzo przemawiający, tak różny, tak nowy! Kraj, który leży całkowicie po za polem wszelkiej możliwości osobistych, bezpośrednich obserwacyj, wrażeń.

To nie to, co przez kanał rzucić myśl i oczy na poetów odrodzenia Anglii, na Byrona, Shelleya, Wordswortha, Coleridge'a i innych, którym Sarrazin dwukrotne wieńce akademickie zawdzięcza.

Ci genialni wyspiarze i bliżsi i znani, i — dodajmy nawiasem — tyle już o nich we Francyi pisano!

Ale Polska? Ale Litwa? Ale wielcy poeci doby romantycznej w Polsce?

Jakże, nie znając ni ziemi, ni języka, ni ludu, poważy się mówić o nich? Co to mówić! Nauczać o nich, interpretować ich ducha, stawić się pośrednikiem między duchem tym, a własnem społeczeństwem swojem?

Jest rzeczą niewątpliwą, że dla wielu pisarzy motywy powyższe byłyby aż nadto wystarczające do porzucenia całego zamiaru. Sarrazin nie zraża się jednak. W stosunku do Paryża, jest ten romansopisarz i esseista, noszący sędziowską togę w Lyonie, południowcem prawie; w stosunku do współczesnej Francyi— idealistą pierwszej marki; w stosunku do przedmiotu — niezrównanym zapaleńcem; w stosunku do sił, jakiemi rozporządza, bezwarunkowym wyznawcą — łaski bożej. Umie sobie przytem powiedzieć: „jakoś to będzie!“ z takim rozmachem i z taką fantazyą, jakby się gdzieś na Mazowszu rodził.

Okoliczności zewnętrzne i postronne wpływy są mu także zachętą i bodźcem. Niewątpliwie, pierwszą pobudką był całkiem osobisty zapał dla Polski i dla jej losów, które zawsze będą miały moc wzruszania silnie czujących serc, porywania szlachetnych umysłów.

— Napisałem tę książkę *ku czci* bohaterskiego a nieszczęsnego narodu — mówi Sarrazin na pierwszej karcie swego dzieła, a oświadczenie to przynosi mu zaszczyt. Czujemy w niem szczerość porywu, czystość pobudki, coś, co ujmuje, rozbraja, coś, co możliwe niedostatki tego aktu czci usuwa na plan dalszy i zgoła je nam zasłania.

Były wszakże i inne motywy, motywy drugorzędne, późniejsze, dotyczące raczej samego wykonania dzieła, aniżeli tego drgnięcia duszy, które je poczęło.

Bo jednak, obejrzawszy się po literaturze francuskiej, spostrzega Sarrazin, że przedmiot, który go natchnął, traktowany był

dotąd fragmentarnie tylko, tylko ułamkowo; że nie stworzono pełnego, skończonego obrazu wielkiej doby romantycznej w Polsce; że zatem przedmiot jest jakgdyby nowy i czeka opracowania.

Utwierdza go w tem Edward Schuré, pisząc 1904:

— Poezya doby romantycznej w Polsce, nie jest znaną Francyi. Wątpię, czy i najlepsi krytycy nasi mają o niej choćby cień pojęcia. Już to wiele, jeżeli znają imię Mickiewicza. Ale z arcydzieł jego, z jego ducha i geniuszu? Nic. Książka więc twoja powinna być syntezą Polski, w jej trzech narodowych *bardach*."

Podkreślam wyraz ten i zaznaczam, że padł tu on po raz pierwszy z ust cudzoziemca w stosunku do poetów naszych.

Synteza! Łatwo powiedzieć, ale niełatwo wykonać.

„Niechże czytelnicy sami osądzą — mówi nieco dalej Sarrazin — czy mi to mogło lekko przyjść? Nie mogło! Bo wszak tu chodziło, ni mniej ni więcej, tylko o połączenie i dziejów Polski i jej literatury, a raczej o stopienie ich w jednem żywem, o ile możności artystycznem dziele. To przecież nie bagatela!"

Naturalnie. To wcale nie bagatela.

Więc jak Alighier ręki swego „Duca" chwyta się Sarrazin przewodników swoich, a jeszcze bokami nasłuchuje co mówi Quinet, co Michelet, co Légér, co Konstanty Gaszyński, co Spasowicz, co Kallenbach, co Tretiak, co — inni i jeszcze inni. Obok zaś przysięgłego tłómacza swego, Wacława Gasztowta, ratuje się księgą arcydzieł poetyckich Mickiewicza, w pięknym przekładzie syna poety podanych.

Gallijski wszakże temperament bardzo mu w tem bruździ. Coś go rwie, coś wyrywa naprzód ze sfery doświadczeń cudzych na swobodę własnej intuicyi. Niezawsze więc, przy nadzwyczajnej żywości, „Ducom" swym, na dłuższej przestrzeni powolnym być zdoła. Niezawsze zdoła porządkiem, kolejno, przechodzić krok za krokiem swą bajeczną drogę.

Nowość, inszość, bohaterskość, tajemniczość, a zwłaszcza fantazya, wytrącają go raz wraz z równowagi.

Tyle zgromadził materyału, anegdotycznego zwłaszcza, tyle się nasłuchał, odczytał taki stos zeszytów „Buletin des Anciens élèves de l'École Polonaise," że chce, pragnie, pożąda korzystać z tego jaknajprędzej i jaknajszerzej.

Jaknajluźniej także. To jego dobre prawo eseisty i romansopisarza.

Trudno mu się opanować, trudno ładu patrzeć. O wszystkiem chciałby mówić naraz. Wszystko na pierwszy plan wysunąć.

Wszystkiem współczesnych zadziwić, tak jak sam się zadziwionym czuje.

Jest w ciągłej gorączce ogarnięcia jednym rzutem oka, owszem: jednem rozwarciem ramion, tak nadzwyczajnego przedmiotu.

Polska, jej wybujałość, jej silny, nieokiełznany indywidualizm, jej rycerskość, jej boje, jej zwycięstwa, jej klęski, jej bohaterowie, jej kobiety, jej kultura, jej przyroda, a nadewszystko ten fanatyzm wolności, który rzuca jej synów pod sztandary wszystkich bitew świata, są mu jakimś olśniewającym Sezamem, jakimś światem tylko co odkrytym. Kto wie, w stosunku do zmurszałej Europy, może tylko co stworzonym.

Epoka romantyczna Polski? Alboż Polska miała kiedykolwiek inną?

Nie jestże to ziemia, i nie jestże to naród, w którym romantyzm zawsze był u siebie? Ale co Europa zachodnia wiedzieć może o tem!

I oto, upojony wtajemniczeniem własnem w te ogromne światy, przebiega od obrazu do obrazu, od ziemi do ludzi, od ludzi do duchów, od duchów do wypadków dziejowych, czyniąc sam sobą, ruchem swojej niecierpliwej myśli, wrażliwością swojej świeżej, prowincyonalnej, że tak powiem, niezmechanizowanej duszy, jakiś zajmujący, ciekawy, sympatyczny widok, który nas niemało pociąga.

Niepodobna mu, a może i nie trzeba wcale, trzymać się jakiejś z góry wykreślonej linii, jakichś wytycznych, oryentacyjnych punktów.

Są? Dobrze. Byle się niemi nie krępować zbytnio. Niema? Jeszcze lepiej. Nie będą zawadzały w drodze.

Bo niezapominajmy, że to jednak nie żaden suchy, zawodowy krytyk. Zawód jego, to ten czarny beret sędziowski, który w Izbie lyońskiego Trybunału przywdziewa. Może być, że pod tym beretem chłodnie mu głowa, że jest sędzią mniej ulegającym chwilowej impresyi. Może. Beret ten wszakże zostaje w wielkiej szafie, stojącej w kącie szatni Izby sądowej, gdy Sarrazin do pracy swej wraca i tu ustają wszelkie jego dobroczynne wpływy.

Palą się tedy słowa, galopują, pędzą, a wdzięk ich żywości, ich kalejdoskopowość, jeśli tak powiedzieć można, polot wyobraźni, wybuchliwy zapał, pewien stopień dobrodusznego przystawania z góry na to, czego rozumieć nie zdoła—oto najprzedniejsza może siła autora.

Z nienasyconym głodem i pióra i serca, rzuca się Sarrazin na swój przedmiot. Na charaktery, na krajobrazy, na zjawiska,

na stosunki życia. Im jaskrawsze, im silniej odskakują od owego zamerykanizowanego świata, na który się skarży, im wiosenniej „awanturą“ pachną, im więcej są anegdotą, tem bardziej przejmuje się niemi, tem większą mają moc wytrącania go z toku materyi, rzucania w dygresye urągające wszelkim karbom ładu, w apostrofy cudownej nieraz naiwności, w które, choć je sam sobie nagania, przy pierwszej okazyi, a nawet i bez niej, ot tak, wprost z przepełnionego serca, popada znowu z nieporównaną bezkłopotliwością.

W miarę wyczerpywania przedmiotu, w miarę ubytku nagromadzonego obficie materyału, idzie to rządniej jakoś. W studyum o Krasińskim, nawet zgoła rządnie, nieco za powolnie nawet.

Ale w pierwszem zapuszczeniu się w krainę romantycznej doby, całe rozdziały, całe szeregi kart harcują, jak wolontarze przed bitwą.

Jeszcze mu do „Farysa“ daleko, kiedy go chwycił i oczarował Emir Rzewuski tak, że go maluje w całej postaci, razem z kochanką, z koniem, z bronią i ze sławą, taki rum czyniąc mu w książce, jakby to miał być jeden z jej trzech bohaterów.

Powróci, będzie musiał oczywiście powrócić do niego, gdy mu zatętni „czarny ów rumak, jak burzliwa chmura.“ I jeszcze raz, kiedy mu błyśnie w natężonem świetle „Dumy“ Słowackiego.

Tymczasem wszakże nie zdoła się wstrzymać aż do owych momentów późniejszych i postawiwszy Emira swego na najpierwszym planie wraz z całą legendą i życia i śmierci, wzroku od niego oderwać nie może.

Ale po Rzewuskim, niebardzo patrząc i miejsca i czasu, pojawia się cały szereg charakterów fantastycznych, egzystencyj ekscentrycznych, losów jakby z bajki wziętych. Pojawia się Iliński, Czajkowski, Bem, pułkownik Kuczyński, Bohun, Chmielnicki.

A tu mu do oczu zalśni Dniepr, zaszumią burzany stepowe.

Step... Step czerwony, siny. Porohy, Zaporożce, dumki, teorbany! Boże, Boże, co za świat! Co za panorama!

Puszcza nozdrza na wiatr, woń burzanów wciąga. Wytęża wzrok za bujnym lotem stepowego orła. Załawia słuchem szumy, strzały, okrzyki, tętenty dalekie... Jak wszystko nowe, jak świeże, jak wolne! Jak niepodobne w niczem do Zachodu!

Beniowski? Żmija? Mazepa? Konfederaci? Bar? Pułaski? Sawa? Postacie nadludzkie, wypadki nadhistoryczne, olbrzymie ogniska płomieniących duchów!

Sarrazin staje przed niemi osłupiały prawie. Gallijska trzeźwość jego, jakaś trzeźwości tej resztka, zaliczyć mu je każe na pierwszy rzut oka pod wielką Cervantesowską chorągiew. Ba! Wszak i sam Sobieski tam patrzy!

Ale wnet podziw i zapał przemaga.

Toć to bohaterowie najczystszej wody! Co, wody? Najczystszej krwi rycerstwo chwalebne! Toć to krucyfery najwznioślejsze, kawalerstwo najżywsze, na wzór Europie całej.

I prawie, że chwyciwszy się za głowę woła:

— Co za ziemia! Co za boje! Co za olbrzymia epopeja wieku!

Zaczem wpatrzony w porywającą a daleką wizyę, cały szczerym ogniem płonie.

Otrząsa się wreszcie z onych snów głębokich, przeciera oczy i pyta:

— Więc to naprawdę było? Więc naprawdę, te postacie, te wypadki przesunęły się przez widnokrąg naszego planety? Czemże więc jest poezya tam, gdzie rzeczywistość jest taka?

A oto mu odpowiedź daje Julian Klaczko w płonącej wnętrznym żarem karcie.

— „Poezya w Polsce dzieli z katolicyzmem władzę nad duszami. Kto wie, przemaga może nad nim. Mocą wypadków stała się poezya nader ważnym, jeżeli nie jedynym, czynnikiem wychowania narodowego młodzieży. Dzieła wyobraźni nie stanowią tu, tak jak na Zachodzie, rozkoszy umysłowej; nie bywają przedmiotem głośnych, wolnością słowa tchnących rozmów. Na obczyźnie przez tułaczy stworzone, przekradane są do Polski tajemnie i pożerane skrycie. Gdzieś nocą zbiera się garść doznanych, wiernych przyjaciół, którzy tajemnicy nie zdradzą. Zaryglowane drzwi, zamknięte okiennice, jeden z zaufanych czatuje zewnątrz, żeby na wszelki wypadek podać sygnał trwogi. Po wielokrotnem takiem gorączkowem, namiętnem czytaniu, karty poematu idą w ogień. Nie potrzebne. Już ich nic z pamięci nie wydrze.

W taki to sposób młodzież Polski zapoznaje się z płomiennem wieszczów swoich słowem. Ze słowem, które samo jedno tylko mówi jej o ojczyźnie, wolności, nadziei, o przyszłości, o cnocie obywatelskiej, o walce.“

Słowa te pisane w 1862 r. jeszcze przed paru laty były prawdą.

Poezya narodowa nie wyszła jeszcze z katakumb; nie przestała być religią i relikwią zarazem.

Biuletyn polski 1904 r. mówi, że na piersiach żołnierzy polskich, na polach Mandżuryi poległych, znajdowano „Księgi Pielgrzymstwa.“

*

* *

Ale już na karty książki upadł głęboki cień litewskich lasów. Już na nie powiał chłodny dech ziem pierwotnych, borowych, szum dębów świętą jemiołą obrosłych, coś zatajonego, coś wróżebnego, coś, co pociąga i przeraża razem. Nowość dziwniejsza tu jeszcze, głębia mniej dostępna, tajemnica więcej niezbadana.

Edmund Chojecki, którego się Sarrazin całą siłą teraz uchwycił, wprowadza go w te litewskie knieje tak zupełnie, jak to czyni piastunka, gdy mówi do dziecka: Dobrze, idź, ja ci pokażę drogę; ale to sobie zapamiętaj, że tam straszy!

Jakoż istotnie w krajobrazie Chojeckiego „straszy.“

Straszą knieje, zamarłe szkielety drzew odwiecznych, stojące bagna porosłe car-zielem, zapadłe miasta, legendy i duchy. Straszy Perkunas, straszą znicze palące się na głazach granitu, korowody kapłanów-wajdelotów, dziewic; straszy ów stos zgotowany śmiertelnym szczątkom bohatera, straszy wąż pełznący do misy Litwina, straszy wszystko — prócz Mildy, na którą Sarrazin zupełnie przystaje, zwłaszcza, gdy go Chojecki upewnia, że miała oczy błękitne, a złociste włosy. Ufny w to bóstwo Sarrazin śmiało drogi szuka.

— Litwa? Ale, nie jestże to coś, jakgdyby Bretania Polski? Wszak Litwę z Polską, jak Bretanię z Francyą, połączył nie miecz, tylko pierścień ślubowanej wiary. Litwa, tak samo jak Bretania ma duszę surową i marzącą. Jedna i druga ma coś jakby celtyckiego w sobie. Coś druidycznego. Takim ziemiom — powiada — łatwo jest rodzić wzniosłość. One są poprostu naturalną glebą, rozsadnikiem bohaterów i poetów.

Duquesclin, Surcouf, Lamennais, Chateaubriand, czy to nie Bretania?

Kościuszko, Mickiewicz, czyliż to nie Litwa?

I oto ukazuje mu się ten „olbrzym litewski“ tak, jak go namalował Renan, olbrzym, pełen żywiołowej mocy ras potężnych, świeżych, nazajutrz po ich zbudzeniu, i wprost już z obrazu tego wyjawia mu się synteza geniuszu Mickiewiczowskiego.

Dąb mu się marzy, dąb rozrosły, wielki, który szczytem nieba sięga, a cieniem korony nakrywa Polskę całą. Cała Polska śpiewa, gdy zaszumi koronna pieśń dębu. Cała Polska drży i wre, gdy w koronie dębu zahuczy wicher burzy. Soki olbrzyma nie po to pędzą do sięgającego niebios wierzchołka, aby się tam rozwiać w przeczystym eterze, jak u Słowackiego, albo u Shelleya; ale, dźwignąwszy się do swych wysokości, gwałtownie zwracają cały pęd do korzeni, iżby zażywić moc swoją samą treścią ziemi rodzicielki, jakąś potężną rzeczywistością, jakąś pierworodną mocą, która sprawia, że pieśń olbrzyma jest wprost tchnieniem życia.

A życie to potrzebowało gwałtownie zasilenia. Płomienisko jego, zalane krwią ludu, ugasa. Już pole Maciejowickie oddało murom więziennym rannego Kościuszkę, już miecz ognisty wykosił Pragę, już pierścień ognia i żelaza opasał Warszawę. Już zginął bohater Woli. Już droga na Ural gęsto była kośćmi siana. Już wypełniło się grzmiące słowo Skargi, jużeśmy poszli „w rozsypkę i w służbę narodów.“ Już padł orzeł trzema kulami przebity.

Ile w tem, że padł, było własnej winy Polaków, Sarrazin mówi niechętnie i jakby z przymusu. Mówi gdzieś w dopisku, zgoła drobniejszym drukiem, żeby jakoś mniej widocznemi były nasze wadliwe prawa, przewaga naszych możnowładców, ograniczenie praw dyssydentów, nasze liberum veto, nasze burzliwe elekcye, a nadewszystko niebaczne otwarcie na ścieżaj Polski obcym wpływom w XVIII w. Ale pomimo drobnego druku nawet, zastawia się autor nazwiskiem Klaczki, którego słowa przytacza i za którym radby pozostał w półcieniu.

Za to kiedy mu o bohaterach naszych mówić przyjdzie — mówi jak poeta. Śmierć Sowińskiego przejmuje go tak, jakby patrzył na nią. Bem, Ostrołęka, Ksenofantowy odwrót Dembińskiego, Cezar i Emilia Platerowie, męstwo, boje, chwała, pobudzają go do słów ognistych, do dziwnej malowniczości pióra.

— Niech więc Polacy nie mylą się ani na chwilę co do uczuć moich — mówi. Wszak cała ta książka jest uczczeniem pełnego chwały zbudzenia się Polski w XIX w., cała dąży do okazania w jakim blasku szlachetnym umiała się Polska podnieść z upadku swojego w wielkim roku rewolucyi.

W samej utracie niezależności politycznej, duch narodu zmartwychwstaje, grób rodzi życie, a pieśń życia tego we wspaniałym hymnie śpiewa jeden z największych geniuszów świata, śpiewa dąb Litwy, śpiewa *bard* narodu.

I oto powracamy do określenia Edwarda Schuré.

Bard, bardyzm, to jakiś wyższy stopień inicyacyi w sprawach natchnienia. Poezya na tej wyżynie przestaje być sztuką, jest bezpośredniem niemal wyjawieniem się ducha narodu. Jest inspiracyą, wizyonerstwem cudownem, proroczem, wszechogarniającem wszystko, co jest, co było, co będzie, inspiracyą sięgającą nieba, a z ziemią ojczystą na śmierć i na życie związaną.

Bardyzm, to kapłaństwo i królewskość pieśni, to właśnie ta moc, co duszami włada. Bardyzm, to twierdza narodowego geniuszu i ducha. To owa pieśń, która ma „skrzydła i miecz archanioła.“ To moment, w którym umiera Gustaw, a rodzi się Konrad. Moment wielkiego „obiit“ wszystkiemu co jest osobistem w pieśniach. To jeszcze moment, w którym umiera poeta, a rodzi się — wieszcz.

— „Przy każdem z twoich studyów — pisze w liście wyżej powołanym Schuré — uderza mnie potęga poetów romantycznych Polski. Wszyscy oni mają w sobie coś nadmiernego, coś wybujałego, coś blizkiego opętania prawie. Wszyscy są prorokami, jasnowidzami, bardami. Pieśni ich unoszą nas w te czasy dalekie, gdy ludzkość była mniej cywilizowaną, ale człowiek dorastał jakiejś wyższej miary.“

— „Właśnie — dodaje Sarrazin, przywiódłszy te słowa — ten to bardyzm patetyczny, wzniosły, porwał mnie i oddał w służbę tej pracy. Poezya bowiem doby romantycznej w Polsce, nosi istotnie to naczelne i najwyższe znamię inspiracyi. Jest ona jakimś niepowstrzymanym wybuchem dzikiej swobody twórczego geniuszu, który obala, niszczy, w proch wymiata wszelkie przepisy i kanony sztuki. Jest wyjawieniem własnej swojej istoty i treści, jest pierworodnym płomieniem duszy, jest — bardyzmem.“

A tak wyraz został przyjęty i ukazuje się odtąd na kartach książki, jako miara i waga wyjawień się ducha poetyckiego, jako kryteryum natchnienia, jako stwierdzenie i próba najwyższych święceń kapłańskich i królewskiego namaszczenia poety.

Do wyrazu tego powraca Sarrazin często. Zależy mu na tem, aby nam dać uczuć całą rozciągłość i głębię zawartej w nim treści. Rozszerza się nad istotą bardyzmu, wnika w nią śmiało i z precyzyą, popiera przykładami, czyni z niej punkt wyjścia dla krytycznej oceny trzech wielkich poetów naszych i przeprowadza swoją teoryę bardyzmu w stosunku do ich twórczości, o ile go stać na wniknięcie w twórczość tę, z niezwykłą konsekwencyą.

Przypatrzmy się tedy bliżej temu światełku wniesionemu w tajemnicze dziedziny natchnienia, w dziedziny magicznego oddziaływania twórczego ducha — na tłumy.

Bard, według Sarrazin'a, to wybraniec i zesłaniec Boga. Nikt nie zbadał, skąd się biorą i jak się układają siły, które go wydały; to pewna, że pojawienie się jego opatrznościowo jakby przypada na jakieś przełomowe epoki czasów i narodów.

Bard jest powołany do spełnienia misyi najwyższej w narodzie. Dar powołania tego okupuje on drogo. Straszliwą jego ceną jest ból za miliony i tragiczne czucie odpowiedzialności za słowa mające moc czynu.

W poczuciu odpowiedzialności tej i majestatu zbiorowego czucia, królewska duma wznosi czoło barda. Królewska i kapłańska razem. Bard bowiem rządzi berłem pieśni i sprawuje ofiarę ducha. Jest szafarzem potęgi natchnionego słowa.

Postać barda otacza magiczny urok, który porywa i przyciąga tłumy. Bard, to nad-człowiek narodu.

Bard jest, bo jest. Rozbłyska olbrzymią błyskawicą ducha przez całą szerokość widnokręgu czasów, a nikt nie pyta skądby szedł, albo dokąd idzie. I nikt nie pyta skąd wziął moce swoje. To pewna, że nie wziął ich „z badań, ani z rozwiązania zadań."

Co? On Bogu samemu odpowie:

„Stamtąd przyszły siły moje,
Skąd do Ciebie przyszły Twoje."

Starożytny bard, nigdy się nie analizował. Owszem. On bywał nieraz obcy sam swemu natchnieniu. Porwany jego wichrem i płomieniem miał coś pytyjskiego w sobie. Z tajemniczych głębin ducha wstępowały na usta słowa twórcze i tworzące. Rzucał on je w tłumy, zapalał dusze, naprężał czucie do potęgi czynu.

Tak to schodziła niegdyś na ludy całe pieśń władcza, górując nad wysokiemi momentami indywidualnego i zbiorowego życia.

Tak śpiewały Rapsody greckie, tak śpiewali Prorocy Syonu. O taką pieśń wołał lud Wenedów, w wyrocznej godzinie śmiertelnego boju.

Ale bard-prorok, bard-wódz, bard-prawodawca dusz, jest oraz kapłanem. On musi mieć wiernych i wyznawców. On musi mieć kościół swój.

Sarrazin przywodzi, że we Francyi, de Vigny ogłosił się takim najwyższym kapłanem poezyi.

Ale było to tylko samozwaństwo, przez małą garstkę wtajemniczonych uznane. Nigdy on nie wszedł na czele tłumów do świątyni ducha, gdzieby kapłaństwo takie mógł sprawować. Nie

był obwołany królem-bardem przez aklamacyę całego ludu Francyi. Nie był wybrany, ani koronowany przez współczesnych.

Ale i Wiktor Hugo także bardem nie był. Wiktor Hugo dopiero w ostatniej epoce swego życia stał się bożyszczem narodu.

Niemniej i Lamartine nie wziął chryzmatu na barda-króla, na barda-kapłana.

Prawda, była taka chwila, że wezbrane fale ludu uciszyły się i cofnęły pod jego gestem i słowem. Też same wszakże fale, bardzo prędko odwróciły się od jego władztwa i bezpowrotnie poniosły się ku innym brzegom i za innym wichrem, zostawiając „Wielkiego Łabędzia“ w melancholii opuszczenia, zapomnienia.

I jeden tylko mąż za dni naszych, już w latach młodości swojej stał się wybrańcem narodu. On jeden wziął namaszczenie najwyższej Inspiracyi. On jeden przez całe życie posiadał w całej pełni królewską i kapłańską władzę nad duszą narodu swojego. On jeden był — bardem.

To Mickiewicz.

*

* *

Tak ujęta postać Mickiewicza okazała się jednak niezmiernie trudną do przedstawienia w szczegółowych rysach. Jej surowa wzniosłość, jej majestat, jej predestynacya sama, nie wytrzymuje, nie znosi poprostu pewnych drobiazgowych dotknięć, pewnych wykończeń, pewnych zaznaczeń. Z ręki cudzoziemca zwłaszcza.

Cudzoziemiec bowiem, i powiedzmy to sobie raz nazawsze, nie może dotrzeć do najgłębszej treści ducha narodu, obcego sobie ducha, który się właśnie w postaci takiej wyjawia. Sarrazin zgromadził skrzętnie i obficie materyał biograficzny do wizerunku Mickiewicza; znać przecież, że go nie przeznał, nie przeczuł, że go nie dobył ze źródeł pierwotnych, ale brał z trzeciej, czwartej i dziesiątej ręki, nie umiejąc rozpoznać właściwej wagi i utrzymać właściwej miary szczegółów.

Wysuwa się tedy nieraz na pierwsze miejsce materyał anegdotyczny, wysuwają się fakty wątpliwej autentyczności, momenty osobiście upodobane przez autora, w którym na zapach wio-

sny, na wzmiankę miłości, na dźwięk kobiecego śmiania, budzi się romansopisarz, a to z ujmą i zasunięciem w cień jakiegoś znamiennego faktu, jakiegoś charakterystycznego rysu.

Darujmy więc autorowi i przesłodzenie tuhanowickiej sielanki, w której zresztą Maryla w fałszywem została postawioną świetle; i te drobiazgi mdłe, bez wyrazu, albo z wyrazem sztucznie im nadanym, jakie z listów Odyńca wyczerpują zazwyczaj biografowie poety, darujmy mu i ową legendę pierścionków, Niemkom dla wróżby w Wejmarze z palców ściąganych, i tę drugą o „Farysie“ recytowanym jakoby przez pozującego Dawidowi d'Angers Mickiewicza, co zresztą już dawno w wątpliwość podanem zostało. Jeżeli dorzucimy do tego anegdotę petersburskiego spotkania z Puszkinem i ową rozmowę „asa“ z „dwójką,“ rozmowę, która podobno wcale nie z Mickiewiczem prowadzoną być miała — to także nie stracimy nic na tem.

Owszem, bądźmy autorowi wdzięczni, że z takim pośpiechem dotyka pierwszej epoki życia poety, niebardzo się zapuszczając w ostępy Litwy, któremi go Chojecki nastraszył. Litwa jest mu bądź co bądź obcą jakoś. Nie czuje się w niej bezpieczny. Duchy i puszcze zarówno trudne tu do przeniknięcia.

Dopiero kiedy aż za Niemen buchnie łuna od złotych orłów Napoleońskich; kiedy od stolicy do stolicy przeleci przez Europę całą piosenka legionów, kiedy zaszumią sztandary nadziei, budzi się w tym Francuzie przyrodzona mu fantazya, budzi się temperament, intuicya, zapał. On to czuje, pojmuje, przenika. Ma nareszcie grunt pod stopami.

Rzeczy, ludzie, wypadki, cała ta fanfara bojowa przesuwają się w piorunowem świetle wielkiej Napoleońskiej wyprawy. Książe Józef, Dąbrowski, generał Kniaziewicz biorą tu swoje pełne chwały miejsce. Wypadki dziejowe, postacie historyczne ogląda Sarrazin pod kątem heroicznej wzniosłości.

Jakaś ogromna, niezmiernie rzadka u cudzoziemca, żywość sympatycznego prądu między piórem jego a budzącą się wiosną obcego mu narodu, nadaje stylowi przyśpieszone tętno.

Obcego? Ależ tam bije teraz samo serce Francyi! Czyż nie tam ciągnie książe Hieronim, Ney, Dumourier, Massena, Davoust? Czyliż nie tam podnoszą się setki rąk i setki głosów z okrzykiem: „Niech żyje Francya!“ Czyż nie tam grzmi Marsylianka, skroś której grenadyery stare wołają: „Vive la Pologne!“ Wszak tutaj zawiązuje się jakieś zaprzysięgłe braterstwo narodów, jakaś wspaniała koalicya duchów!

Polityka czająca się zwykle po kancelaryach, zmawiająca się szeptem przy zamkniętych odrzwiach, rzadko występuje tak w otwarte pole z hymnem wolności na ustach.

Sarrazin nie bada, nie sprawdza, owszem, zgoła nie chce wiedzieć o tem, ile tej czającej się i zmawiającej szeptem polityki, było właśnie w tem wystąpieniu jej w otwarte pole.

Słuchając go, i my zapominamy mimowoli o tem, i jak ówczesnej Polsce, śni nam się przez chwilę bohaterska, zrywająca się ku obronie ludów Francya.

Tłoczymy się, słuchamy, łowimy uchem wstrząsające wieści, podobnie jak niegdyś szlachta słuchała Robaka w Jankielowej karczmie:

— Co?... Dąbrowski?... Do Polski?... Niemen?... Częstochowa?...

— „O roku ów!...“

Sarrazin, przytoczywszy tę cudowną apostrofę w przekładzie, prozą Légéra, nazywa ją żaglem, wzdętym porannym powiewem nadziei.

— Taki był sen—mówi. Wiadomo, jakie było przebudzenie.

*

* *

Zmieszany, trochę bezładny obraz upadku tych nadziei roztacza się teraz pośpiesznie przed nami.

Święte przymierze, Metternich, rządy W. Ks. Konstantego w Warszawie, a Nowosilcowa w Wilnie; Karbonaryzm i Filomaci, zabijanie na gwałt trumny, w której mniemano pogrześć życie i wybuchająca z niej żywym ogniem „Oda;“ cała ta epoka w najwyższym stopniu wrząca, pobudliwa, twórcza, odmalowaną została w pełnych żaru barwach. Dotknięcia pędzla są krótkie, nagłe, urywane, jakby w tej zdyszanej pracy brakło czasu na szersze, bardziej wykończone rysy. Czasem jedno słowo, czasem nazwisko tylko, czasem data, zastępują opis wypadków, charakterów, zdarzeń.

Ma to swój czar niewątpliwy. Jest w tem jak gdyby spisek między autorem a czytelnikiem książki. Udziela kartom całym jakiegoś gorączkowego rytmu. Napomknienia mają tu siłę rzutu całkiem wyjątkową, wprost w ognisko wrażliwości naszej godzą-

cą, i olśniewają wtedy nawet, kiedy podejrzewać można, że autor osłania niemi słabe zawładnięcie przedmiotem, że błyskawicznie paruje lub uprzedza ciosy, jakieby mu krytyka zadać mogła, gdyby się nie tak szybko, nie tak zręcznie wywinął z niebezpiecznej matni pogłębiania barw i tonów w swoim obrazie. Tak jak jest, obraz ten tchnie duchem czasu, który szkicowo przedstawia i sam na karbonaryzm zarywa.

Bo już wschodził rok dwudziesty drugi.

Sarrazin trafia tu na dobre źródła i umiejętnie korzyść z nich wyciąga. Co zastanawia przecież, to, że dawszy tyle miejsca w książce różnym mniej ważnym szczegółom, nie znajduje go na jej kartach dla wielkiego: „Obiit“ z bazyliańskiej celi. Może to nieśmiertelne oznajmienie skonu Gustawa a narodzin Konrada wydało się romansopisarzowi temu, jak gdyby przeniewierstwem miłości dla Maryli, którą po Petrarkowsku pojmuje? Może nie wniknął w ogromną treść tego wielkiego aktu śmierci poety, a narodzin — wieszcza? Może.

Po za tem wszakże wypadki rysują się z dużą ekspresyą i siłą.

Uniwersytet wileński, jego duch, prześladowania, więzienie, sąd, wyrok, tragiczny skok Maryana Piaseckiego, samobójcza śmierć Terajewicza, Pelikan, ohydny Botwinko, krwawy Arakczejew znajdują wyraz ostry i dosadny.

I tu przecież są rzeczy, które autor, w zupełnie naturalnej niemożności zrozumienia pewnych charakterystycznych znamion ducha narodowego, pomija. Takim jest rys owej rzewności, z jaką ostatnia noc na modlitwie w Ostrej Bramie i później, na pieśniach filareckich chórem śpiewanych, młodym więźniom schodzi.

I oto zaśnieżyła się, zalśniła w oku owa kraina „biała, pusta i otwarta,“ na której pierwsze zgłoski zaczynała pisać ręka Dekabrystów.

Szalony żal, że ten Francuz nie zna, nie słyszy muzyki żywej tych pieśni gniewu, smutku, wzgardy i litości, tej wieszczby przyszłego odkupienia „bohaterów niewoli,“ jakie tu poeta wyśpiewał.

Proza, francuska proza przekładu, mimo całej swej wierności, szkieletem jest, w którym kolor życia już nie pała.

Sarrazin jednak, porwany tą śnieżną zawieją, pędzi razem z podmuchem wichru lodowej pustyni. Przeciąga chwilę, „wydłuża ją, rozszerza,“ maluje straszne wyroki w Kronsztadzie, śmierć Sierocińskiego, proskrypcye, deportacye, konfiskaty, Sybir, egzekucye. Maluje krwawą sprawę unitów i niezmierzone orenburskie stepy.

A kiedy się opamiętać zdołał, kiedy wraca z tej Anhellicznej wyprawy, już tam nad Newą, narodził się, bo się narodzić z tego wszystkiego musiał — „Wallenrod.“

Sarrazin nie staje w ocenie Wallenroda po stronie tych, którzy poemat ten nazwali apoteozą zdrady. Nie rozstrzyga, czy Mickiewicz był za zdradą, czy też przeciw zdradzie. Mówi owszem, że i za nią i przeciw niej był—kolejno. I tu zadziwia, że będąc tak blizko właściwego punktu widzenia, nie trafia nań przecież. Bo jeśli poeta był kolejno to za zdradą, to znów przeciw zdradzie, jeśli był razem: „volpe“ i „leone“ rzecz prosta, że znajdował się w duchowej rozterce. Otóż taka rozterka ducha, pobudzonego przez okoliczności zewnętrzne do śmiertelnej nienawiści, której owocem musi być aż zdrada; ducha, który jednak uznaje prawa odwieczne sumieniem ludzkiem rządzące, taka rozterka jest — tragedyą ducha, a dzieło z niej zrodzone, jest — tragedyą zdrady. Tem też jest niewątpliwie „Wallenrod“ w najgłębszem swojem znaczeniu.

Sarrazin wszakże nie dociera do głębokiej istoty tej kwestyi. On Wallenroda zowie pieśnią truwera, który śpiewa i na harfie wtóru sobie szuka, wobec tłumu wzruszonych słuchaczy. Słuchacze drżą pod wrażeniem muzyki i pieśni, a dusze ich zapalają się pomstą i odwetem. Halbanem jest tutaj sam poeta, jest wajdelotą o tragicznych tonach, które się nie rozpływają w powietrzu, ale zapadają głęboko w dusze na posiew przyszłości. Jest — bardem.

Jest bardem nieszczęsnego, lubo koniecznego czynu, tak, jak był bardem zapału, wyrzucając z piersi „Odę do młodości.“

Bo Sarrazin pilnuje się tej linii bardyzmu bardzo ściśle, w ocenie „gestu i słowa“ Mickiewiczowskiego.

Na samem perihelium linii tej stoją, rzecz prosta, „Dziady,“ jako najczystszy, najwznioślejszy wyraz bardyzmu owego. Jakoż arcydzieło to posiada istotnie wszystkie cechy tej nadludzkiej niemal inspiracyi, która nietylko jest jasnowidztwem, ale staje się niemal opętaniem ducha.

Przedmiot? O przedmiot mniejsza.

Przyszła, wybiła godzina wyroczna, kiedy poeta staje się narzędziem sił tajemnych, wyższych. Natchnienie chce, musi wykipieć z duszy.

Przyszła godzina wizyi, prorokowań, wielkich wyjawień się twórczości. Przyszedł moment wichrowego pędu, moment rzucenia się za gwiazd kołowroty.

Ten pęd, jeśli ma sięgnąć „za granice świata,“ musi się począć tuż przy ziemi samej, musi być zasilony jej pierwotną treścią. Płomień uczucia, jeśli ma wznieść się aż do walki z bóstwem, musi tuż przy ziemi rozżarzyć bolesne swoje ognisko.

Ziemia, matka żywych i umarłych, pierwsza tu musi wywrzeć siłę swoją na twórczego ducha. Duch, najwyższy choćby, musi się zrównać, zjednoczyć z tem, co tkwi w tej ziemi wszystkiemi korzeniami życia. Z tem, co najpierwotniejsze, najprostsze, najściślej z ziemią złączone, najbliższe jej sobą. Z wiarą ludu, z pieśnią ludu. On duszę ludu musi przyjąć tak, jak się komunię przyjmuje.

I oto wstają „Dziady,“ widma praojcowe, i rozgrywa się misteryum w zapadłej kaplicy. Poeta, już chwycony jakimś tchem zaświata, sam sobie widmem jest tutaj. Chwila jeszcze, a ziemia odepchnięta będzie jego stopą daleko, jak brzeg uciekający we mgłę, od którego całą siłą wiosła odbija łódka, na bezmiar oceanowy płynąca.

Sarrazin uważa słusznie wielką improwizacyę Konrada za szczyt nowoczesnego bardyzmu.

Nowoczesnego.

Bo, jeżeli starożytny bard nie miał, nie mógł mieć jasnego widzenia każdej fali przepływającego mu przez pierś natchnienia, Mickiewicz, równy starożytnemu bardowi w potędze tego natchnienia, wyższym jest od niego o całą moc wewnętrznego widzenia tych tajemnic, które się w duchu jego pełnią. On nietylko czuje, ale maluje to czucie. Nietylko inspiracyi ulega, ale ją ogarnia i panuje nad nią.

— Jestto chyba — mówi Sarrazin — jedyny znany wypadek w literaturze całego świata, że natchnienie samo się chwyta na gorącym uczynku swojego działania.

I w rzeczy samej; Mickiewicz jest w tej niesłychanej scenie, twórcą, aktorem i widzem zarazem.

Od pierwszych podmuchów nadciągającego wichru natchnienia, od pierwszych błysków zatlonego w piersi płomieniska, aż do piorunowej erupcyi, do wszystko trawiącego, wszystko zmiatającego wybuchu, patrzy niezmrużonem okiem na wzmagającą się burzę, na wznoszące się fale swego ducha.

Najwyższy objektywizm wziął tu pod szkło zjawiska najbezpośredniejszego subjekywizmu. Nigdy jeszcze dusza twórcy tak naga nie ukazała się światu.

Moment, w który uderza pierwsze zaraz słowo, mistrzowsko wybrany. Myśl ulatuje dopiero z duszy, nietknięta jeszcze kształ-

tem ani brzmieniem. Czucie zaczyna dopiero krążyć w swoich niewidzialnych cieśniach. Jakieś tajemnicze odruchy natchnienia, jakieś wpółświadome jego rewelacye, jakaś niewywarta jeszcze na materyę moc ducha—jarzą się, prześwietlają, prężą. Jestto embrion aktu twórczego. Embrion drgający w mózgu i w sercu poety. Coś, jakby przedstworzenny chaos, nad którym nie rozgrzmiało jeszcze wiekuiste: Stań się.

Genialną, prawie że ściśle eksperymentalną metodą bada poeta pierwsze owe drgnienia. Monolog osnuwa się zrazu na czysto intellektualnym pierwiastku. Cały jest obserwacyą, pojmowaniem, cały wniknięciem w istotę natchnienia. Intellekt chodzi tu jakby po zaułkach duszy, ostrem, natężonem światłem, bystry, czujny, niemal chłodny. Przegląda, opatruje swe bronie, swe moce; a pierwszem jego staraniem jest wyosobnić przedmiot obserwacyi, wyłączyć je z pod działania zewnętrznych, przypadkowych wpływów. Czyni to, obwieszcza i uzasadnia razem:

...„Samotność. Cóż po ludziach!...“

Zwolna, majestatycznie, szerokiemi rzutami apostrof, wznosi się orzeł na potężnych skrzydłach. Rozwinął loty, natężył wzrok, sam własnej przygląda się mocy. Wielkie, niewyśpiewane, niezrodzone pieśni, te pieśni, których żaden śmiertelny nigdy nie usłyszy, odrywają się od twórczego ducha. Nazewnątrz niego toczą się, pałają i dźwięczą. Poeta dotyka ich, słucha, patrzy na nie, rządzi niemi. Jego są. On je zrodził, stworzył, te kształty, te blaski, te dźwięki. Stworzył nieśmiertelność.

Probuje potęgi woli. Zatrzymał wzrokiem lecącą chmurę ptastwa. Przykuł oczyma kometę na miejscu.

— Jest więc mocny, silny i rozumny.

Skądże wziął te moce?

I oto odkrywa straszliwe płomienisko czucia. Płomienisko bólu za naród cały. Tu moc jego i potęga najwyższa. Tu ukuje on broń do walki z przedwiecznym Rozumem, któremu zechce wydrzeć władzę nad duszami.

Broń ta będzie wszakże miała nietylko siłę uczucia; ona będzie miała także słabość jego: Zanim Konrad wyzionie ostatnią druzgocącą niebo groźbę, zaklina on ów Rozum najwyższy, Rozum nieśmiertelny, aby jemu, zbrojnemu tylko w czucie za miliony, dał rząd dusz.

— Jakto? Bard błaga o rząd dusz? — mówi Sarrazin. Ale nie jestże to zaprzeczeniem własnej swej potęgi? Alboż on potrzebuje zginać kolano, on, który jest królem i kapłanem duchów?

Nie jestże to sprzeczność i illogizm? I zaraz odpowiada sam sobie: — Bynajmniej! Niema w tem sprzeczności.

Nie zaprzeczył tu Mickiewicz bardyzmowi swemu. Bard, ducha narodu wcielenie, ateuszem być nie może. On, najwyższy na ziemi, może przed Najwyższym na niebie uginać kolano. Zaprzeczyć Boga, byłoby zaprzeczyć samego siebie także, własnej swej potęgi. Potęgi twórczego słowa, które jest ostatnią nadzieją, ostatnią wiarą, ostatniem zaklęciem, z jakiego zrodzić się może czyn twórczy, zbawienie narodu.

Nie umniejszył więc tutaj bard nasz wysokich praw swoich. Nie złożył berła. Nie złożył korony. To zgięcie kolan, ten akt ubłagalny, to odwołanie się do Ojcostwa Boga, to nawet zagrożenie — bo czemże innem była owa groźba? — że go Ojcem zwać przestanie, to wszystko wybuch nadludzkiego bólu, nadludzkiej miłości ojczyzny, lecz nie abdykacya.

To nie Job, który jęczy na barłogu swoim i cały jest jedną skargą bierną, tak jak cały — raną. Ale Job—a o tem zapomnieć nie wolno—za siebie tylko cierpi, nad sobą tylko boleje, własne tylko opłakuje klęski. A i on przecież głos podnosi i złorzeczy urodzeniu swemu. Owszem, obwinia Boga, iż sprawiedliwego opuścił. Tylko, że oskarżenie to nawet pełne jest rezygnacyi. Opuścił, ale jest zawsze tym samym wszechmocnym, miłosiernym Bogiem. Odstąpił sługę swego, lecz się doń nawrócić może, a wtedy nędzarz będzie uzdrowiony a rany jego się zagoją.

Ale posępny entuzyazm monologu wcale coś innego znaczy. On grozi odjęciem—choćby też w jednem tylko ludzkiem sercu—czegoś z samego charakteru Boga. Odjęciem tytułu Ojca. To jest naprawdę zamach rozpaczy na to, co najcudowniejsze, co najświętsze w bóstwie: na jego słodką, opatrzną miłość dla stworzenia. A chociaż ten duch prometejski nie wypowiedział, wypowiedzieć nie zdołał sam, powalony gwałtem swej boleści, czem bez miłości takiej byłby Stwórca, już cała ta sytuacya stwierdza, że Konrad Jobem nie będzie. Że nie zrzeknie się owego rządu dusz, owego szczęścia ojczyzny, o które aż tu błagać przyszedł. Że wyrwie mocom niebieskim coś z potęgi ich wszechmocy, że przecież choć iskrę życia przyniesie narodowi swemu.

Nigdzie też powiedziane nie jest, czy Konrad uznał się, czy nie uznał zwyciężonym w walce. A i tego dopatrzeć się trudno, żeby Bóg, tak powalonego przed sobą odepchnął i wzgardził. Przeciwnie. Anioły swoje posyła do niego, aby go ratowały w tej walce z rozpaczą.

A tak, powstaje ten, co tworzył—nieśmiertelność pieśni, powstaje, czując moc, aby stworzyć—życie.

I takim zobaczymy go teraz. Zobaczymy go, tworzącego pieśń—czynu.

Bo cokolwiek się stało, lub stanie, czy daną mu jest władza nad duszami, czy ją sam pochwyci, jedno przecież osiągnął: wie w czem leży ta władza.

Ujrzał, zrozumiał potęgę uczucia, które podnosi i obala trony. Zobaczył to straszne ognisko, gdzie się hartują nieśmiertelne zbroje. Z niego to jest ta iskra, którą niesie z sobą. Rozpali on ją, rozżarzy tchem własnym w duszy swego ludu. Bohaterów uczucia z nich zrobi. Poświęci ich ogniem, zapłomieni, uczyni z nich stos żywy przed oczyma świata. I to będzie pieśń jego, pieśń-czyn, „pieśń tworzenie."

*

* *

„Pieśnią czynu" zowie Sarrazin wszystko, co teraz Mickiewicz tworzy i co działa. To bowiem, co tworzy i działa, nosi wspólne znamię: jawnie wykonywaną nad duszami władzę.

„Księgi pielgrzymstwa" i „Księgi narodu" są pierwszem i prawie że bezpośredniem po owej walce o rząd dusz, wyjawieniem się królewskiej i kapłańskiej potęgi Mickiewicza — są wydaną przez prawodawcę-barda ustawą życia i opowiedzianą przez kapłana-barda—ewangelią życia.

A tak, wysłuchany, czy nie wysłuchany, sprawował Bard mistyczne rządy nad duszą narodu.

Sarrazin nie bada, czy Mickiewicz był, czy nie był z natury mistykiem. On wie, że każdy bard mistykiem być musi. Choćby nim nawet nie był, siła, jaką wywiera, zawsze ma coś z mistycyzmu w sobie. Mistycyzm ten, po nieśmiertelnej wyprawie poety „za granice świata," potęguje się jeszcze. Przybywa tu jakiś nowy ton, od wszystkich dawniejszych tonów silniejszy i siły swojej świadomy. Znać, że ten duch, ważył się na rzecz wprost nadludzką i że nosi na czole stygmat samowiedzy tego, na co się ważył.

Zewnętrzne okoliczności przyczyniają się także do wyzwolenia tej skupionej energii tego fanatyzmu pieśni—czynu.

Mickiewicz poznaje Towiańskiego. Zchodzi się raczej na drodze swojej z przeczutym, z wywróżonym oddawna już w duchu.

Sarrazin i tu nie dotarł do pierwotnych źródeł. Pism Towiańskiego nie zna. To co opowiada o Towianizmie, wyczerpnięte jest z obszernego i ważnego dzieła Tankreda Canonico. Zresztą załatwia się z tą kwestyą krótko, arbitralnie. Ot tak, jakby ją rozstrzygał z sędziowskiego fotela swego, w todze i w berecie. „Towiański—mówi—a powiadam to raz nazawsze, był świętym.“

Śmiało! A nadewszystko łatwo i wygodnie.

Tylko nie trzeba się tem wcale gorszyć. Francya, to nie Włochy. We Włoszech i dziś towiańczyków pełno, od Turynu po Rzym. I dziś towianizm tam kwitnie. We Francyi, po za emigracyą, kult mistrza Andrzeja nigdy rozpowszechnić się jakoś nie dawał. Garść tych Francuzów, którzy ku niemu pociągnięci byli, trzymała się raczej Mickiewicza w samymże tym kulcie, niźli Towiańskiego. Przystawali na towianizm w Mickiewiczu i z Mickiewiczem. Bezpośrednich wyznawców było zawsze mało. Duch plemienny, duch gallijski, opierał się duchowi słowiańskiemu, instynktowo prawie. Cóż za dziw, że i dzisiejszy Francuz, trudno tę materyę przetrawia? Owszem, że jej wcale przetrawić nie może i woli o mistrzu powiedzieć krótko, węzłowato: Był świętym.

Niekiedy jestto tak dobre, jak dowodzenie najdłuższe, najszersze. Niekiedy — dużo lepsze nawet. W tym wypadku stanowczo okazało się nietylko lepszem, ale — jedynie dobrem. Widząc bowiem, że materya ta traktowana jest trochę poomacku, pilno nam z niej wyjść na jasne pola. Pilno nam tembardziej, że już nas oblatuje płomień tych kart malowanych złotem i czerwienią, na których autor daje obraz wypadków rozwijających się na arenie dziejowej pomiędzy 1820, a 1848 rokiem, obraz godny żeby mu się bliżej przypatrzyć.

To bowiem lat 28, to zrazu podmuchy budzącego się życia, a potem wybuch jakiejś wielkiej wiosny, jakiegoś odrodzenia wszechludów.

Jakaś nieznana moc, jakieś nieznane natchnienie ogarnia Europę całą. Literatura i życie, słowo i czyn—stapiają się w jedno ognisko.

U jasnych warsztatów ducha stoi Byron, stoi Mazzini, stoi Shelley, Kossuth, Garret stoi Sandor Pötöfi. Głowy—i teraz pracują nad wyzwoleniem narodów. Duch rycerstwa zmartwychwstaje, szykuje się wojna święta.

Jacyś bajeczni krzyżowcy idą na krucyatę wolności, równości, braterstwa. Idą wyzwolić nie grób Chrystusowy, ale żywego ducha Chrystusowej prawdy.

Jakiś wulkan grzmi, błyska, stapia myśli, stapia dusze w potok wrzącej lawy.

Ile imion uwieńczonych sławą, tyle piorunów ciśniętych w zmurszały świat stary. Słowo, pieśń, iścić się zaczyna w życiu, jak zaklęta bajka. Poezya przypomina sobie nagle owe czasy, kiedy imię jej znaczyło w mowie Greków — czyn.

Zrzucone są i wymiecione zwiędłe, bezpłodne wawrzyny, których nie rozkwieciło życie. Wczorajsze wieńce sławy i wczorajsze korony, zarówno zdeptane.

Ten nowy stan duszy ma genezę swoją we wszystkiem, co się przed upodleniem ostało. W całym szeregu politycznych i socyalnych wstrząśnień. Imperyalizm Napoleoński nie dotrzymał słowa i zawiódł nadzieje, ale wstrząsnął i obudził ludy. Po jego klęsce nawet została ogromna droga, świetna smuga bohaterstwa, w którą rzuciły się duchy.

Ludy dojrzewają teraz gwałtownie pod krwawym ogniem komety, na europejskiem niebie. Zakwita drzewo życia w cudownem słońcu wzruszeń i wydarzeń.

Odnowa, przemiana jest hasłem puszczającego świeże latorózgi ducha. Lamartine, legitymista, zmienia się w Lamartina-Naczelnika Rządu Tymczasowego. Wiktor Hugo, z piewcy „Chant du Sacre,“—w wyniosłego członka Konstytuanty.

Po ludziach, po ziemiach, po narodach, po wszystkich polach życia chodzi „duch wieczny rewolucyonista.“

Epoka nietylko w najwyższym stopniu poetycka, ale i sama będąca żywą poezyą świata.

Bije się Grecya, a oto jej śpiewa Bajron, Shelley, Delavigne. „Oda do młodości“ wybucha w Wilnie; Noc listopadowa wybucha w Warszawie; grzmi Marsylianka w samem sercu Francyi.

Przemawia Kossuth, a słowa jego stają się jakimś szekspirowskim dramatem, którego krwawą sceną jest pole bitwy, walczących na dwa fronty, przeciw Austryi i przeciw Rosyi—Honwedów.

Natchnione słowo staje się wszędzie ciałem. Jakieś homeryczne boje tworzą żywą epopeję ludów.

Almeida Garret rzuca pióro, broń żołnierską chwyta i niedośpiewaną pieśń swoją kończy wystrzałem do tyrana.

Lamennais, w świętym gniewie, podnosi chorągiew buntu. Jego „Księga ludu,“ jego „Słowa wierzącego“ powiewają, jak sztandar bojowy. Ze wszystkich świątyń, z przed wszystkich ol-

tarzy, wypędzani są kupczący, jak za dni Chrystusa. Carlyle wymiata z kościoła myśli ludzkiej brudne kramarstwo utylitaryzmu.

Apelacye do przyszłości, do sprawiedliwości, mnożą się z dnia na dzień na wokandzie czasu. Katedra Kollegium francuskiego staje się trybuną, a jego audytoryum tworzą w pierwszej linii przedstawiciele pogwałconych, uciśnionych ludów. Łzy i ogień wrą tam w duszach. Ogromne rzuty światła pokazują całą niedolę, całą krzywdę wieków. Rozjaśniają tajemnicze węzły spisków legalnych, zbrodni—uświęconych. Ta uczelnia zamienia się w trybunał sprawiedliwości. Trybunał, przed którym stają na sąd in effigie ci, którzy tworzą prawa. Tam Michelet, mając po prawicy swojej Edgara Quineta, a po lewicy Adama Mickiewicza, powie, będzie mógł powiedzieć: — „Czuję w piersiach nową duszę. Duszę Europy."

Rozrzucą trybunę? Zamkną sale, korytarze, bramy? Odejmą głos mówcom? Rozpędzą słuchaczy?

Zapóźno! Już słowa, które tu padły, weszły w krew i w ciało. Już uczyniły swoje. Już zapomniane nie będą.

Zapóźno! Już płomień ogarnął dach nad starem bezprawiem.

Rozleje się, potoczy wezbrana fala tych szlachetnych, którzy tu biegli, by pałać w ogniach gniewu, we łzach uniesienia. Rozleje się, potoczy po ulicach Paryża i pójdzie święcić w kościele Magdaleny „Święto zbratanych Narodów."

Nawet Niemcy, same nawet Niemcy, wykrzykną przez usta Körnera: — „Rośnij, zakwitaj, germańska wolności, na ziemi użyźnionej trupami naszemi!" — „Ludy są znużone absolutyzmem, zmęczone tyranią" — powie Gentz.—„Coś musi się odmienić, coś stać się. Gniewy świata grzmią we wnętrzu jego. Tylko patrzeć, jak się rozpętają w burzę."

Jakoż godzina ludów istotnie wybija. Coś się staje.

Głuchy grzmot przebiega zachmurzone niebo Europy. Jakaś ogromna fala niepowstrzymanej żądzy wolności bije o tamy, o brzegi, rozwala je, podmywa. Te tamy, te brzegi, o których mówiono: wieczne.

Powstaje Grecya, powstaje Hiszpania, powstają Włochy, Portugalia, Polska. Powstaje Francya i Belgia.

Rewolucya ugaszona w jednym punkcie, wybucha w drugim. Mnożą się jej ogniska, tu, tam i jeszcze tam, i jeszcze. Pożar się wzmaga, zatacza coraz szersze kręgi. Ogromna łuna oświetla ludy i wypadki.

Dla wszystkich dusz, dla wszystkich sił, droga szeroko otwarta. Duchowi rewolucyjnemu tysiąc form nadać można. Można

śpiewać, mówić, pisać, protestować, można oskarżać, pozywać na sąd wieków, wyznawać wiarę swoją z trybun najgłośniejszych w świecie.

Można stawać na barykadach, można bić się, można dla wolności zginąć.

Można biedz od jednej rewolucyi do drugiej. Można żyć i oddychać konspiracyą, buntem.

Można się odwoływać do przyszłych i do współczesnych pokoleń. Można apelować do ludów, do wygnańców, do męczenników, do wyznawców idei.

Można ruszać się z całą swobodą, nie wychodząc ze sfery buntu, który jest ogólną atmosferą życia. Można gardzić tyranią i panowaniem bankierów. Gardzić jawnie, otwarcie. Można wzgardę swą obwieścić w obliczu Europy całej, z której kupczący złotem i krwią ludów, chcą uczynić jeden „kraj legalny,“ zajęty powiększaniem przywilejów i ochroną trzosów.

Widziane są znaki na niebie, na ziemi. Ukazują się rycerze bez trwogi i bez zarzutu. Rycerze dawnego średniowiecznego zaciosu. Santa Rosa, Pułaski, Dembiński, Blanqui, Barrès, Garibaldi, Manin. Postacie epickie, których imiona są poezyą samą. Wcielenia nadzwyczajne duchów, które już dawno wyszły z obiegu europejskiego życia, a oto są przyzwane wołaniem ziem zgwałconych, uciśnionych ludów—wracają.

Szerokie linie panoramy zrewolucyonizowanej Europy zamykają w sobie całą heroiczno-twórczą epokę XIX wieku, może nawet cały heroiczno-twórczy peryod dziejów świata, a promienie tego potężnego koliska zbiegają się w niewielkiej grupie natchnionych przedstawicieli wielkiego ducha epoki.

Są tam czoła wzniosłe, oczy gorejące, postacie wieszczów, proroków, wodzów ludu.

Słowo ich — błysk i grom, hasło i oręż razem. Pieśni ich, to ta „voceratrice“ natchniona, przez którą mówi duch świata.

Na ich zaklęcie ukazują się ludom wizye świetne i wizye tragiczne. Mówią—jak bohaterowie; żyją—jak poeci. Ich geniusz rodzi czyn natchniony, który jest pieśnią ich życia.

Aż przesili się ten ferment wzburzonego świata, a wrząca lawa dusz buchnie wielkim kraterem 48 roku, wielką „Rewolucyą wzgardy dla budżetów.“

*

* *

Taki jest okrąg tej pałającej sfery duchów, której najbardziej rozżarzonym punktem jest duch Mickiewicza. Wyjawi on i obejmie sobą ognisko cudotwórczych potęg, rozgorzałe czucie, które podnosi i obala trony, i na czucie to, na tę broń straszniejszą od wszelakich broni, wyzwie on w bój zaziemskie moce.

Taka jest ta niesłychana atmosfera protestu i rewindykacyi, w której czyn rewolucyjny znajdzie swój najwyższy wyraz w nieśmiertelnym buncie Konrada.

Takie jest to płodne, twórcze, zapalne środowisko, w którem kolejno powstanie Wallenrod, powstaną Dziady, Księgi Narodu i Księgi Pielgrzymstwa polskiego; w którem powstanie Irydion, Nieboska, Niedokończony Poemat i Przedświt. Powstanie Beniowski, Kordyan i Anhelli. Środowisko, w którem Mickiewicz uczyni z wykładów swoich w Kollegium francuskiem wielki spisek braterstwa uciśnionych ludów, a z „Trybuny ludów“ zawezwie na sąd, na roki, wszelką krzywdę świata.

W takiej to burzy, w takiej gwałtownej nawałnicy ścierających się z sobą żywiołów, wieszcz narodu szukał spoczynku, szukał ukojenia i, „zatrzasnąwszy drzwi od hałasów Europy,“ stworzył „Pana Tadeusza.“

„Pan Tadeusz“—kawał ojczyzny wyczarowany z serca poety-tułacza, cudowna księga miłości i tęsknoty za rodzinną ziemią.

„Pan Tadeusz...“ Zdaje się — nic. Jakiś tam Zajazd ostatni na Litwie. Coś, co się dzieje w dalekim zakącie, do którego Europa prawie drogi nie zna, co powstaje w obrębie osobistych doświadczeń i wrażeń, wprost dla oderwania się od wrzawy czasów, dla zagłuszenia huków na paryskim bruku.

Gdy wszakże huki ustały, gdy się rozjaśnił świat dymami walk zasnuty — wyszło z tego arcydzieło, wyszła jedyna epopeja wieku. To, co było przytulone do piersi poety, jak relikwia wzięta z rodzinnego domu, okazało się szerokim obrazem życia narodowego i pierwszorzędnych historycznych zdarzeń. Okazało się, że ta kometa, która stała nad Soplicowskim dworem, zwróciwszy na północ swą ognistą głowę, trzy czwarte Europy miotłą swą nakryła.

Szumią złote orły Napoleońskie, dźwięczy pieśń Legionów, „wpośród pól malowanych pszenicą i żytem,“ oddychają serca nadzieją wolności, a uroczysty akt nadania ziemi chłopom otwiera złotym kluczem nowoczesną epokę stosunków społecznych.

Sarrazin mało ma do powiedzenia o „Panu Tadeuszu,“ a w tem co mówi, trzyma się W. M. Kozłowskiego. Od siebie—jeżeli od sie-

bie—kładzie szczególny akcent na trudności jakie namiętny liryk ma do zwalczenia w dziele skroś epickim i zaznacza tryumf odniesiony przez Mickiewicza.

Przez ten to tryumf, przez to zwycięstwo — powiada — uznać musimy „Pana Tadeusza“ za przyrost geniuszu Mickiewiczowskiego.

Zapewne, że i to także. Ale nie tylko, nie jedynie ważne. Nie najważniejsze bynajmniej! Zresztą—słuchamy jakoś bez wiary wynurzeń autora o Panu Tadeuszu. Gorzej: bez uwagi. Z góry wiemy, że to, co jest tchem żywym, życiem samem dzieła, przy najlepszej nawet woli autora, pozostanie, musi pozostać nieujętem, niepochwytnem zgoła dla Francuza.

Więc to nie jest główna kart tych niemoc. Na to można było z góry być przygotowanym. Niemocą ich jest rozpłynięcie się, rozlanie w jakieś płytkie wody, ich, co miały też swój pęd, swój szum i nie takie ujście mieć mogły! Te obojętne, te zmęczone, anemiczne karty, nie powinny były kończyć studyum tego. „Pan Tadeusz“ nie jest ostatniem dziełem Mickiewicza. Nie tu miejsce jego. Jego miejsce, to samo wrzenie rewolucyjnego ducha, to sam wybuch „hałasów Europy.“ I co właśnie uderza, jako osobna potęga geniuszu poety, że w samem tem wrzeniu i w samym wybuchu umiał pokazać, co nieprzemienne, co wieczne, co wysłoneczni się, wyświęci, po wszelkiej burzy, po wszelkim wybuchu: ducha narodu i oblicze ziemi.

Jeżeli zresztą i byłoby prawdą, że był to akord ostatni nieśmiertelnej lutni, że bard wyśpiewał już pieśń swoją gromową, pieśń-słowo; to pieśń-czyn, grzmiała jeszcze długo i szeroko.

Tutaj to, zamiast rozlewiska tego, tego wsiąknięcia materyi w nic, stanąć były powinny obrazy rozrzucone na wcześniejszych kartach. Tutaj mieć chcemy widzenie rzeczy ostatecznych. Chcemy mieć widzenie pożaru nieugaszonej miłości dla Polski, nieugaszonej żądzy służenia ojczyźnie.

Tu oglądać chcemy tryumfalny, a bolesny, chwały pełen, a tragiczny pochód polskiego Danta przez ulice Rzymu, przez ulice Florencyi. Tu chcemy widzieć zapał szlachetnego ludu, dla świętej chorągwi wolności. Tu chcemy patrzeć na tę niesłychaną krucyatę, której sama nawet klęska — zwycięstwem ducha była. Tu chcemy gorzeć i płakać, i — ufać. A zanim marsz żałobny oznajmi, że potoczył się już fatalny wóz śmierci, unoszący to, co w Nieśmiertelnym do zniszczenia było, tutaj, tu właśnie, na tych ostatnich kartach chcemy słyszeć tę Ewangelię przyszłości, ten

wielki, polityczny symbol polski, który wieszcz ostatnią spuścizną narodowi swojemu przekazał.

Żeśmy tego nie słyszeli, nie widzieli na właściwem miejscu, we właściwym czasie, że ostatni dźwięk studyum tego nie jest tonem najwyższym, najsilniejszym, najbardziej podniosłym—jest to wielką skazą tej książki.

Marya Konopnicka.

NAD GŁĘBIAMI.

X.

Kama jechała sankami na serpentynę razem z miss Terry. Uczuwała coraz większą potrzebę ruchu i rozrywek. Młody organizm pod podnietą górskiego powietrza i wewnętrznego uspokojenia dokazywał cudów. W kilka tygodni po bytności Sobicy w Zakopanem, Kama była już w pełni sił i świeżości.

Sanki sunęły wolno pod górę. Zaspy śniegu leżały przy drodze jak zmarzłe, olbrzymie psy górskie czuwające, żali wicher nie rozpocznie hulać po gościńcu... Oczy Kamy śmiały się do tych cudów przestrzeni i barw, które grały w potokach złotego światła słonecznego niewypowiedzianym bogactwem kontrastów, blasków i cieni.

— Miss Terry—zawołała—zeskoczę ze sanek i ucieknę w góry... hahaha... będziecie mnie napróżno szukali... I assure you my dearest... hop... hop...

Angielka mimowoli chwyciła ją za rękę i przytrzymała:

— D'ont be foolish, d'ont be foolish... — prosiła.

Kama wybuchnęła śmiechem, który poleciał po śnieżystych puchach, jak dźwięk dzwonka radosnego. Objęła ją za szyję, z całej mocy przycisnęła do siebie i nie chciała puścić.

Angielka łapała powietrze ustami.

— Look here miss Terry — mówiła Kama — za dwa miesiące będę miała męża! a wtenczas puszczę cię...

— Take haste my darling—odpowiedziała jej towarzyszka—otherwise you will kill me. Taka Polka — wymyślała — taka mordercielka.

Kama śmiała się na cały głos.

Z góry dochodził dźwięk pospieszny rozpędzonych sanek. Góral zjechał ostrożnie na bok.

Kama zdaleka dojrzała w wielkich saniach kilka osób, otulonych futrami i chustkami. Konie i sanki oblepione były śniegiem.

Dostrzeżono je także. Jakaś postać podniosła się i zaczęła gwałtownie kiwać na nie ręką.

— Kto?— zapytała Kama Angielkę.

— I d'ont know.

Tymczasem sanki minęły je w pędzie szybkim. Woźnica starał się gwałtownie zatrzymać rozbiegane konie.

— Kamo! Kamo! — ktoś na nią wołał po imieniu.

— Pani Stawulska! — krzyknęła Kama i kazała stanąć, widząc, że sanie z jej znajomą wracają do góry.

Obie zeskoczyły na ziemię i ucałowały się serdecznie.

— Jestem od dwóch dni w Zakopanem—mówiła szybko pani Stawulska—miałam dziś do ciebie się wybrać. Ślicznie wyglądasz. A takie głupstwa gadali mi w Warszawie, że jesteś mizerna, jak listek zeszłoroczny. Ślicznie! ślicznie! I cóż nie poznałaś swojej starej nauczycielki.

— Ale poznałam!—odpowiedziała Kama—i cieszę się, że panią spotykam. Dowiem się od pani dużo rzeczy o Warszawie—prawda?

— O tak, dużo. Ale ja nie wprost z Warszawy. Byłam teraz kilka tygodni w Krakowie.

— Tak?

— Nie masz pojęcia, co się tam dzieje—wykrzykiwała dalej pani Stawulska, jakby była w gorączce.— Co za człowiek ten Tarowicz! przyjedzie tu z odczytem. Kraków cały gotuje się od niego! Mówię ci choć jestem stara, biegałam za nim, jak waryatka! Ale to nic! to cud! cud! za trzy dni tu przyjedzie! przywiozłam bilety do rozprzedania.

— O kim pani mówi? nic nie rozumiem! jak go pani nazwała? — pytała Kama zdumiona.

— Nic nie wiesz? a czyż tu u was świat zabity deskami?

— Może i nie, ale ja za to należę obecnie do bardzo zacofanych osób — usprawiedliwiała się Kama z uśmiechem na ustach.

— Słuchaj Kamo—zawołała pani Stawulska—wyryj sobie jego nazwisko w sercu. Ten, o którym mówię, to August Tarowicz.

— Taak? — zapytała mimowoli, pobladłszy silnie.

— Tak — rzekła jej dawna nauczycielka — a jak go poznasz, to będziesz po rękach go całowała, bo ci duszę naciągnie jak strunę! powiadam ci, cuda się dzieją. Ale kupisz bilety na jego odczyt — prawda? Musisz! Rozumiesz?

— Na odczyt? — powtarzała machinalnie Kama.

— Ledwie nakłoniłyśmy go do tego. Nie lubi występować publicznie. Usłyszysz go. Powiadam ci, że jeżeli ten wasz zarozumiały Giewont nie zleci wam na szyję, to ja... to ja cofnęłam się w pojęciu cywilizacyjnem. Ale do widzenia! do widzenia moje drogie dziecko. Przyniosę ci bilety dziś wieczorem. Musisz mi pomagać w rozprzedaży! nie odmówisz mi przecie tego.

Kama zaśmiała się dziwnie.

— Ślicznie wyglądasz—trzepała pani Stawulska—ale do widzenia! będziesz za nim latała, jak ja! jak Bozię kocham! adieu ma chère...

Ucałowała ją, wsiadła żywo do sanek i popędziła w dół ku Jaszczurówce.

Kama stała długo na śniegu. Patrzyła za nią, jak za chmurą, która nagle omgliła jej wzrok, a teraz uciekała od niej gnana wichrem...

— Przyjedzie—szeptała do siebie—on... August...

Obróciła wzrok na białą dolinę, która leżała przed nią cicha i ogromna w oprawie śnieżnych olbrzymów.

— Nie uciekniesz przed nim — szeptał jakiś cień unoszący się dokoła niej — nie masz gdzie... w góry? zimne, lodowate?...

— What do you do?—zawołała zniecierpliwiona miss Terry. Chłodny wiatr dmuchał jej w twarz tak, że posiniała cała.

Kama sennym wzrokiem powiodła po dachach will, które wychylały się z objęć ciemnozielonych świerków — i uśmiechnęła się bezwiednie.

Wróciła do sanek. Angielka nagliła, aby wracali do domu. Kama nie miała nic przeciw temu.

Pęd powietrza bił ją w twarz ostrymi kryształkami lotnego śniegu. Z koni buchała para. Sanki sunęły w dół, jak ptak. Na zakrętach Miss Terry nie mogła powstrzymać się od okrzyku zgrozy. Ze złości szczypała górala, ale ten zajrzawszy w filuterne oczy Kamy, dostrzegł, że panienka, która płaci, niema nic przeciw pohulance.

Podciął konie, które podskoczywszy z miejsca, kopytami wybijały kawały zmarzniętego śniegu i z szalonym pędem poczęły gnać ku Zakopanemu.

Angielka pozieleniała z rozpaczy. W ramię górala wbiła kościste palce i wołała:

— You satan! staj, bo będę bila.

Góral ryknął śmiechem, od którego zadrżały konie i pochyliwszy łby, jęły rwać ku dolinie. Zmarzłe grudy padały w twarz

jadącym. Trzask głuchy kopyt, świst wichru zdzierającego okrycia, jęki Angielki, łomot sań, skrzypiących i warczących, rozśmieszały Kamę. Nie czuła tego, że może ich spotkać nieszczęście. Widziała tylko, że wszystko skacze jej w oczach wykrzywione, karykaturalne.

Na każdy lament i przekleństwo polskie swojej towarzyszki odpowiadała kaskadą głośnego śmiechu. Szum miała w uszach, w oczach czuła marznące łzy, w brodę wbijały się jej szpilki lodowate, ale mimo to nie mogła powstrzymać się od wybuchu dziwnej, złej radości.

— You wretch! — wołała Miss Terry na górala — you lajdak! ja ci zedrę leb! — i biła go w kark pięścią, szarpała na nim kożuch, kopała go nogą.

Kama umierała ze śmiechu. Górala ogarnęła wściekłość. Zaciął zęby i batem począł smagać znarowione konie. W szalonym pędzie minęli sanie, w których siedziała pani Stawulska.

Krzyk podniósł się za nimi.

— Konie ich ponoszą!! trzymaj!! trzymaj!!

Kama ustami łykała zimne, charczące powietrze. Drzazgi zbitego śniegu tłukły ją po twarzy, szczypały i gryzły, aż ból począł ją rwać w policzkach. Widziała przez zmrużone powieki, jak drzewa odsadzały się wciąż w tył niby rażone piorunem, a one leciały w otchłań białą, ścinającą krew w żyłach. W piersiach już tchu jej brakowało. Obu rękami trzymała się siedzenia, aby nie wylecieć.

Widziała przerażone, rozwarte oczy Angielki, która zsunęła się do jej nóg — i spazmatycznie objęła ją za kolana.

Wicher zawył nad uchem Kamy:

— On przyjedzie...

Wybuchnęła śmiechem dzikim, okrutnym. Miss Terry wydała jej się komiczną starą nimfą, która boi się życia i boi się namiętności.

Rozszalałe konie minęły domki na Bystrem, jak rząd jakiś szarych cieni i gnały już na złamanie karku w wąwóz spadzisty, który biegł ku Zakopanemu.

Góral oprzytomniał. Wyprężył ramiona, osadził się na miejscu i ściągać począł rzemienne lejce, co mu sił starczyło.

— Panienko — wyrzucił głos ze zmordowanych płuc — pomagajcie, bo te sobaki...

Kama chwyciła go za ramię i szarpnęła ku sobie.

Już wpadli w szyję wąwozu. Na zakręcie mignęły im w oczach sanki, które pędziły w górę.

— Jezus Marya! - jęknął góral i całym ciężarem ciała i napiętych muskułów w tył się podał, ciągnąc wyprężone, jak struny lejce.

Na dole dostrzeżono ich. Krzyk się podniósł. Ktoś wyskoczył na gościniec.

W tej samej chwili góral padł w tył, jak podcięty kosą, i ze sań wyleciał. Rzemienie pękły, ale równocześnie spłoszone konie, straciwszy nagle podporę wędzideł, na wyciągniętych nogach pośliznęły się i runęły na ziemię.

Sanki stanęły.

— Are we at home? — szepnęła Miss Terry.

— Nie—odpowiedziała Kama—jeszcze nie jesteśmy w domu.

Niebezpieczeństwo minęło. W tej samej chwili spojrzała na Angielkę wystraszoną, spoconą, obraną sianem i słomą i znowu nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

Miss Terry poczęła od tej pory nienawidzieć ją całem sercem.

— A degenerated creature—powtarzała zawsze w myśli, ile razy ujrzała uśmiech na ustach Kamy.

*

* *

W przepełnionej sali Morskiego Oka oczekiwano w naprężeniu na wejście Augusta Tarowicza. Poprzedził go entuzyazm jego zwolenników i zwolenniczek — poprzedziła go zjadliwa krytyka, która odsądziła go od czci i wiary.

Każdy miał jakieś wątpliwości i pytania w duszy.

Jak wygląda człowiek, o którym jedni mówią z zachwytem, a o którym drudzy wyrażają się z najgłębszą pogardą?

Jak wygląda człowiek, który sięgnął do głębin duszy ludzkiej i wyrywa z niej nitka po nitce najukochańsze ideały, aby na ich miejsce postawić nowe bóstwo?

Pogardza tłumem a do tłumu będzie mówił.

Jak będzie mówił?

Kto kogo się ulęknie?

Ale czy kto mu zdoła przeciwstawić siebie?

W wielu z obecnych tłukły się serca w oczekiwaniu na chwilę, w której ten niezwykły człowiek przyjdzie i będzie mówił i obrażał, będzie szarpał sumienia, uczucia, będzie gryzł ironią,

szyderstwem i będzie w nicość obracał wszystko to, co kołata się takie niepowiązane, takie sprzeczne w ich piersiach.

Kama siedziała w jednym z ostatnich rzędów. Była sama. Wszyscy jej znajomi zajęli pierwsze miejsca. Ona jedna znajdowała się daleko w tyle, wśród obcych ludzi.

Tu nikt na nią nie zwracał uwagi. Miss Terry pozostała w domu. Pani Stawulska kręciła się w pobliżu estrady i z kimś gorączkowo rozprawiała.

Kama chciała być niewidzialną dla Augusta. W pierwszej chwili odmówiła nawet kupna biletu na odczyt Tarowicza, ale pokryjomu nabyła miejsce upatrzone w tyle...

Opanował ją niepokój. Zła była sama na siebie... Usiłowała wydrwić swoje obawy.

— A kiedy spotkacie się ze sobą twarz w twarz? — szeptał jej gorący przypływ krwi do głowy — co mu powiesz?

— O co spytasz go?

— Jak spojrzysz?

— Czy podasz mu rękę?

— Udaj, że go nie znasz!

— Hahaha! na afiszu napisano jego nazwisko! hahaha! hahaha!

— Po co tak śmiejesz się sucho? po co tak kurczysz się, jakby on był wrogiem twoim?

— Twój ojciec list do niego pisał, więc...

— Precz! precz! — broniła się w milczeniu przed potokiem rozwydrzonych myśli — wyjdę stąd! ucieknę! gdyby przynajmniej była przy mnie miss Terry!

— Wstań! wstań! idź! — śmiał się wstyd na całe gardło w zaułkach jej duszy—wszyscy palcami będą cię pokazywali! każdy powie drugiemu na ucho: ucieka! wstań! idź!

— Nie, nie — i odruchowo skuliła się na swojem miejscu. Ręką twarz przysłoniła, bojąc się, że może kto ze znajomych dojrzeć ją i domyśleć się wszystkiego.

Pot ją oblał.

Cała sala poruszyła się. Szept przeszedł koło niej, jak syk tysiąca wężów. Ona schyliła jeszcze niżej głowę, czuła, że krew napływa jej coraz straszliwiej do mózgu.

— Czy o mnie mówią? — pytała się przerażona samej siebie—kto im powiedział? czy patrzą na mnie?

Uderzyła ją nagła cisza.

— Co to? — szeptała mimowoli.

Podniosła oczy, spojrzała przed siebie i zbladła jak płótno. Na estradzie stał August.

Ten sam i nie ten sam. Dziwnie podobny i przeraźliwie jakiś inny. Patrzał wszystkim — prosto w oczy — i w jej oczy!

Strach przygniótł jej piersi.

O te ciemne, stalowe oczy! Te same! ale, jak dzisiaj świecą!

O te usta wykrojone ręką artysty, ciemno-purpurowe! jakie dziś bezlitośne!

I podniósł głowę tak, jakby miał z ust wyrzucić słowo: wy proch i kurz...

Miała szum w głowie.

August mówił.

Paniczny lęk usiadł za jej plecami.

— A jeśli tu kto krzyknie: precz z nim!

— A jeśli on zemdleje!

— A jeśli rzucą się na niego ci, którzy go tak nienawidzą!

— Boże! Boże! — szeptała.

Zwolna przestała myśleć i rozumować.

Zasłuchała się cała w jego mowę. Od czasu do czasu dreszcz przebiegał po niej od stóp do głów, trzęsła się, zęby stukały o zęby.

Z jego ust padały słowa proste, jasne, a takie straszne. Nie zdania, nie myśli szły od niego, ale jakieś ognie palące, jak ostrze błyszczące i huk burzy.

Kama, wpatrzona w niego, straciła z oczu wszystkich. Rażące światła lamp buchały na estradę. Widziała każdy jego ruch, każde drgnięcie muskułów na twarzy.

Stał przed nią i mówił o człowieku...

Dusza jej chwiała się jak paproć, rosnąca na wyrębie, w którą wali ulewa i wicher rozpętany i drze jej uliścienie, targa, to rzuca o mokrą ziemię, to wypręża jej ramiona, jakby chciał ją wyrwać z korzeniami i rzucić na zniszczenie w falo zburzonego potoku...

— Nie ten sam! nie ten sam! — jakiś krzyk radosny, gwałtowny rwał się jej przez krtań — inny! jaki on inny!

— Gdzie on? a gdzie ja? — pytała się w momentach, w których mogła odetchnąć swobodniej — pozostałam na ziemi, na tej marnej, bezwstydnej ziemi, a on... olbrzym, wyrósł nademnie, myślą rozdziera zasłony życia, nurza się w tajemnicach bytu, jak w rozkosznej kąpieli. Każde jego słowo natchnione, każda jego idea ma skrzydła orła. On, ten mój dawny, ukochany i taki przepiękny... myślałam, że on: to ciało, zmysły, niskość, pospolitość, a on to nowy duch, to nowa etyka, a on to płomień, który schodzi między nas... Jaka ja mała, jaka ja licha... jak ja się wstydzę jego...

Zatracała świadomość tego gdzie jest i kogo słucha. Każda nowa myśl, którą rzucał August, padała w jej duszę, jak gorejące

światło, wnoszące w nią cud odnowienia. Każdy zwrot pogardliwy, jakim przygniatał nędzotę codziennego życia, pruł w jej sercu krwawe rany prawdy i piekł aż do jęku.

Jaskrawa, nielitościwa analiza współczesnego człowieka, który utworzył nad sobą pancerz żółwia ze swych zmartwiałych ideałów, ze swej hipokryzyi, słabości, przywiązania do wygodnego bytowania, z kołowacizny zmysłów, antagonizmów społecznych i narodowościowych, z podłoty etycznej innej na dziś, innej na jutro, innej dla bliskiego, innej dla obcego, innej dla znienawidzonego, z mizeryi okaleczałego mózgu, i który w tym pancerzu roi sny o swej wielkości i panowaniu nad światem zmysłów i nad światem ducha — ta analiza rzucona przez Augusta w tłum zasłuchany w jego słowa, ubrana w przerażająco jasne metafory, zbrojna w arszenik i sztylet zjadliwej krytyki i potępienia, wpadła w oszołomioną świadomość Kamy, jak huragan.

Jakaś próżnia dotykalna, bolesna rozprężała się w jej duszy—i w tę próżnię leciały okruchy tego wszystkiego, co zdawało jej się być dogmatem konieczności, moralnością obowiązującą, bezwzględnem ukochaniem wpojonem w nią w szkole, w życiu i w salonie—gnały w tę próżnię małe, nizkie instynkty, runęło całe rusztowanie sztucznej wzniosłości, sztucznego rozumowania, a za tem wszystkiem zwalił się w głąb cały chaos logiki, uczciwości, sentymentalizmu i przekonań, jakie zagnieździły się w jej mózgu pod wpływem dziedziczności, społecznego położenia, tradycyi plemiennej, kobiecego egoizmu i religijnych uprzedzeń.

Nie próbowała bronić się. Na jej ustach zjawił się ten sam bolesny uśmiech, który wyrył się na ustach Augusta...

Nicość... nicość...

Ona należała do tych, którzy są cmentarzem.

Powiedział „mortui sunt.“

Kędy iść? za kim? gdzie?

Kim jest nowy człowiek? jak wygląda? czy tak jak August? Czy ma ten sam ogień, który ma August? Czy ma te same błyskawice natchnienia w oczach, które ma August?

Zawisnęła cała na jego ustach całą mocą zniszczonej, zbitej, konającej a proszącej o życie biednej duszy...

— Mów... mów... podnieś... podaj rękę... wskaż drogę...

— Ja proch... ale mówiłeś, że i ty byłeś prochem... może wtenczas... w Blackenbergu... może i później, kiedy... ożeniłeś się...

— Jak więc to stało się, że teraz stoisz przedemną i wbijasz moją psychę na słup graniczny istnienia i nieistnienia?

— Kto cię odnowił? kto ci dał tę moc niszczenia drugich?

Suche jej oczy migotały febrycznym dreszczem.

Mówił:

Zgasła jego ironia, zamarły miażdżące słowa, ucichł krzyk jego protestu. Był inny. W oczach przemieniał się, rósł. Mówił o tem, co być może, co być powinno, co czeka ludzi. Mówił o tem, że cały naród cywilizacyjny, różnorodność dróg, religij, filozoficznych systemów zasklepiających się po okresie żywotności w nędznych formułach, w zbutwiałych literach prawa, znikczemniających człowieka-ducha a wykształcających człowieka-trupa lub człowieka-zwierzę — to forma poczwarcza, z których czysty duch powinien wylecieć na promieniejących skrzydłach.

— Rozbijajcie tę skorupę — wołał — rozbijajcie ją, gdziekolwiekbądź istnieje: w sobie, we własnej waszej duszy, we własnych ukochaniach, w waszej rodzinie, w waszem państwie, w waszych instytucyach, w waszym narodzie—rozbijajcie ją czynem, słowem, myślą, wyjdźcie po za siebie i nadzy przebrnijcie przez te głębie strupieszałej stojącej wody, która ścieka ze wszystkich strumieni kłamstwa, ze wszystkich rzek gwałtów uprawnionych, ze wszystkich kanałów zbrodni i zwyrodnienia, tworząc morze bytowania współczesnej ludzkości—i stańcie na suchym gruncie wolnej wyspy, gdzie duch króluje.

— Obiema rękami chwytajcie się tych olbrzymich w bezkres sięgających skrzydeł tajemnego bytu, który nigdy nie stoi, nigdy nie śpi, nigdy się nie cofa, ale przez wieczność i bezgranice rozbudzonych duchów leci dalej, jak leci przez wieczność i bezgranice wszechświata.

— Każdy z was ma oceany w sobie i wyżyny podniebne. Niechajże żyją te oceany i te wyżyny... Niechaj duch-ogrom, duch-przyroda, duch-Bóg mają lot wolny przez was!

— Czas wytworzyć nowego człowieka...

— Czas przebić czaszkami, mózgiem, krwią własną te sklepienia zmartwiałych form, które ciążą nad nami i pod któremi duch-zdobywca zmienia się w zwierzę-niewolnika.

— Jak z niższych ustrojów wykształcały się wyższe i nadchodził czas porodów, kiedy pękała stara forma i wyłaniał się z niej wyższy twór organiczny, tak niech z rozpękniętej formy przeżytego człowieka wyłoni się człowiek nowy...

— Tamten żył życiem własnem, karmił mózg na własny użytek, zagrabiał chleb na strawę, był płazem, rośliną, trującym lub pożywnym grzybem, pożyteczną owcą lub krwiożerczym lisem, ptakiem żyjącym owocami, lub ptakiem żyjącym na ścierwie, ale ten nowy będzie żył życiem wspólnem z wiecznością i wszechczasem.

— Przeżyty człowiek zostawiał wieczność i wszechczas po za grób, ten nowy człowiek ściągnie życie zagrobowe tu na ziemię.

Kama drżała na całem ciele. Wzruszenie rozpalało jej oczy do bólu, ściskało i wysuszało jej gardło rozpalonym oddechem. Wzrok jej stopił się z postacią Augusta w jedną nierozłączną siłę. Czuła, że jakiś cud dzieje się z nią, że po raz pierwszy w życiu ulatuje duchem nad zawrotne głębie...

— Tego człowieka kochałaś—szeptało w niej rozpłakane serce—usta jego miałaś na swoich ustach, a nie wiedziałaś, kim jest.

— Dlaczego nie przeczułaś tego?—zgrzyt jęknął w jej piersiach?

— Dlaczego twój kaprys rozkrwawił mu duszę?

— Dlaczego nie rzuciłaś mu się do nóg, kiedy od ciebie odchodził pobladły i milczący?

— Dlaczego wolałaś psa gładzić ręką, niż kurz przed nim z drogi ścierać?

— A teraz co?

— A teraz jak padniesz mu do nóg?

— A teraz jak będziesz kurz ścierała przed nim z drogi?

— A teraz czem okupisz twoją nędzę, twoją małość, twoją podłość??

— A teraz co mu powiesz, jeżeli chcesz być tym nowym człowiekiem, o którym on mówi??

— Precz!! precz!! — krzyknęła w milczeniu — nie chcę o tem myśleć!!

— Musisz!! musisz!! — wołało w niej tysiące rozbudzonych cieni — nie wstydź się!! nie wstydź się tego, że byłaś nikczemną, i złą, i pospolitą, ale idź i powiedz mu, że wiesz o tem.

— Za żadne skarby świata — broniła się.

Wszystko zatańczyło jej w głowie. Estrada poczęła się chwiać... głowa Augusta spadała na dół to znowu podskakiwała do góry ze strasznym błyskiem w oczach.

Patrzył na nią! on patrzył! widział ją, do samej głębi, widział ją jak zwijała się w konwulsyach sponiewieranego ducha, widział, jak cofała się do tej zapowietrzonej pieczary egoizmu, brzydoty moralnej i upodlenia, z której wyszła. Musiał to widzieć.

Ona to czuła.

Ukryła głowę w dłoniach i cicho zaczęła łkać. Musiała łkać, inaczej pękłoby jej gardło. Ale resztki świadomości tłukącej się gdzieś nad krawędzią przepaści tłumiły w niej ten płacz, który mógłby zapanować nad całą salą.

— To byłby wstyd!!.. jaki wstyd!! — jęczały w niej nawoływania.

— Łzy!!!... mógłby się kto śmiać!!!

— Łzy!!!??? otóż nie!!!

Nadmiernym wysiłkiem woli zapanowała nad swem wzruszeniem. Zacięła usta, lecz w tej samej chwili zemdlała.

Nie dostrzeżono tego, póki nie osunęła się bezwładnie na ziemię. Najbliżsi skoczyli jej na pomoc. Tłum na sali zakołysał się. August przestał mówić.

— Zemdlała... — szeptano.

— Kto? kto?

Kilku mężczyzn wzięło ją na ręce i wynosiło przez ścisk do bocznego pokoju.

August patrzył na nich. Przez chwilę błysnęła mu jej twarz w oczach. Zbladł, zatrząsł się.

— Kama — zaszczękała myśl w jego głowie.

— Co tu robi? Dlaczego zemdlała?

Chciał biedz ku drzwiom, przez które ją wynoszono, chciał ją ratować.

— Ludzie patrzą—zauważył nagle w duszy—poznają ją i mnie...

— Nigdy!! nie zrobię ani kroku!!

— Dlaczego?

Jakiś szalony śmiech zrywał się w jego piersi, który krzyczał na cały głos:

— Mówisz o nowym człowieku, a gdzie twój czyn?

— Nie taki czyn—bronił się przed sobą samym.

— Właśnie taki — ten sam śmiech chichotał—właśnie ten najmniejszy czyn z najmniejszych, ten najbardziej niespodziewany z niespodziewanych!!

Ostry ból przeszył mu mózg.

Na sali było znowu milczenie.

Mówił dalej, ale z oczu nie schodziła mu blada, jak narcyz, twarz Kamy w potarganym wieńcu włosów, przewieszona przez ramię obcego mężczyzny.

— Więc była i słuchała mnie? — przelatywały myśli przez jego głowę.

— Dlaczego zemdlała??

— Gorąco na sali... prawda...

Widział przed sobą setki ócz, które utkwione w niego świeciły ciemnymi blaskami. Czuł, że go słuchano z natężeniem, że każde jego słowo padało w tłum jak paląca iskra... w milczący, zbity czarny tłum.

Gdybyż z tego tłumu można było płomień dobyć i rzucić na świat—poczęły w nim huczeć żelazne głosy namiętnej żądzy podboju—gdybyż z ich milczenia wybuchł śpiew odrodzonych jestestw

i twoje źrenice ujrzeć mogły zmartwychwstały czyn! Pocóż w przeciwnym razie rzucać przed nich myśli w bólu wyprute z duszy, po co karmić ich tem, co jest twojem najdroższem ukochaniem, po co ich ospałe mózgi rozdrażniać szalonemi słowy, jeżeli ten motłoch ma rozejść się jak robactwo, do swoich nór i grzbiety swoje powycierać o domowe płoty, aby zetrzeć resztę wrażeń, których po drodze nie zdołał wicher rozwiać?? po co?? czyż masz tylko zadawalać oskomę ich języków? i grać im na nerwach rostrojonych podłotą życia, aby mogli potem lepiej trawić?

— Uderz w nich całą potęgą, połam te trzcinowe dusze, które nachylają się do każdego wiatru, aby zostawione sobie, znów prostować się i być dalej trzciną! niech raz stanie się cud! niech raz ludzie staną się duchami, niech rzucą precz po za siebie dnie sponiewieranego życia, niech zapłaczą wielkim głosem i stworzą nowe życie...

— Uderz w nich!...

W tej samej chwili na progu bocznego pokoju ukazała się Kama. Wzrok ich zbiegł się razem i wstrząsnął nimi do głębi. Rozmodlone oczy Kamy mówiły mu: Kocham ciebie bez granic.

August stał się straszny. Halucynacya rzeczy ogromnych, których dokonania łaknął, zatargała jego istotą do najtajniejszych głębin. Przestał panować nad sobą i nad swojemi słowami—przestał liczyć się z czasem, miejscem i ludźmi. Rozpalony mózg stwarzał wizye przeobrażeń, które rzucał na tłum, jak płonące żagwie. Zatracił granicę między tem, co stać się może, a tem, co napięty do ostatnich granic duch ludzki tylko przeczuć zdoła — pomieszał całe światy etyki, wyobrażeń i ideałów, kopał nawet kamienie rozkopanych gruzów, które mogły być jeszcze drogie dla wszystkich innych—wyszydzał to wszystko, czego nie zdołał jeszcze unicestwić... bluzgał obrazą i pogardą.

Pragnął cudu.

Między duchem-człowiekiem a tłumem-masą szalała walka niema. Czuł to. Widział te twarze, jedne zmięte wzruszeniem, drgające nerwowo, inne o rozszerzonych źrenicach i ustach półotwartych, inne skurczone, dzikie, widział te, na których siadała oburzona pogarda, złość, i wyostrzona ironia, widział i te, które zaciskały szczęki i gotowe były wyrzucić z siebie słowo: precz z nim...

Tłum, światło i sala zlały się w jego oczach w jedną błyskającą bryłę, którą porwać chciał i podnieść...

Mijały sekundy straszne, w czasie których rozrywały się wszystkie nitki sympatyi nawiązane między nim a rozdrażnioną

ciżbą ludzi, którzy zaczęli porzucać miejsca i zbijać się koło estrady. Czuł, że traci zwycięstwo. Biały strach przerażenia zaglądnął mu w duszę... oczami przemierzał roznamiętnione twarze słuchaczów...

— Wrogowie lub tchórze—szepnął sam do siebie.

Tłum zakołysał się... Kama przepychała się przez zwarty kłąb ludzi, ku estradzie. W oczach jej świecił ogień bezbrzeżnego ukochania.

August umilkł i patrzał w nią, jak w objawione, tajemne zjawisko.

Stanęła. Nie mogła iść dalej. Podniosła rękę w górę i zawołała całą mocą tchu:

— Mów!!

Głos jej wstrząsnął nim jak prąd elektryczny. Krzyk radości rozpierał mu piersi. Zapomniał o tem, co mu groziło, zapomniał o lęku, który ścisnął mu gardło. Ona była przy nim! Ona wierzyła w niego: cud się stał.

Mówił dalej. Ale teraz słowa jego były zimne, jak lancet wyostrzony — uśmiechnięta ironia padała z jego ust na roznamiętnioną falę ludzką. Szydził coraz straszliwiej... oczami mówił: Gardzę wami bez granic...

— Precz z nim! — ktoś zawołał.

— Wolność słowa! uciszyć się! — odezwały się głosy.

Tłum zakłębił się jeszcze bardziej. Wszyscy wstawali z miejsc i odsuwali krzesła. Kobiety poczęły się cisnąć ku drzwiom.

— Precz z nim! — powtórzyło kilkadziesiąt głosów. Nawoływania i głuchy hałas rósł z każdą chwilą.

August stał bezbronny. Już głosem nie mógł opanować zrywającej się ludzkiej nawałnicy.

— Zejść z estrady! dość już!! nie dopuścić go do słowa!!! precz z nim! — rozlegały się coraz donośniej krzyki.

Bito krzesłami o ziemię. Jedni wołali przez drugich. Ostre roznamiętnione protesty i krzyki przeszły w jeden zmieszany ryk. Burza szalała na sali. Ktoś stanął na krześle i wołał do otaczającej go publiczności, ile sił miał w płucach:

— Obrażono nasze najświętsze uczucia! to anarchia! to bezwstyd! nie potrzeba nam samozwańczych proroków!!

Mówca przygodny, zepchnięty przez falujący tłum, wpadł między innych i znikł.

Kama wbiegła na estradę tylnemi drzwiami. Stanęła obok Augusta i wyciągnęła do niego rękę. Łzy, jak grad, padały jej

z oczu. Nie mogła ani słowa przemówić. On porwał jej dłoń w swoje rozpalone ręce i przycisnął do ust pobladłych.

Ty? W takiej chwili? — szeptał — tu? przy mnie.

— August, August — zdołała wymówić.

Drżała na całem ciele. Słyszała wyjące piekło u ich nóg, widziała ten kłąb czarny, który cisnął się w ich stronę z nienawiścią w oczach. Odchyliła głowę w tył i zmierzyła mrowisko ludzkie wzrokiem wzgardy. Na policzkach jej wykwitły ponsy podniecenia, a złote pukle włosów rozsypały się koło twarzy, jak migocące w słońcu fale. Usta czerwone chwytały gorączkowo powietrze.

— Chodźmy stąd — rzekł August i pociągnął ją za sobą.

Weszli do przyległego pokoju. Kama zamknęła drzwi z pośpiechem i przekręciła klucz w zamku, aby nikt z sali nie wdarł się za nimi. Byli sami.

W jej duszy rozjęczały się wszystkie struny najgłębszych wzruszeń, które spały dotychczas snem martwoty. Czuła w sobie żar, który piekł jej oczy, rozsadzał pierś i na usta wyrzucał słowa bez pamięci, bez związku, grające niesłychaną muzyką rozpętanej miłości, która gotowa była iść przeciw całemu światu.

Porwała go za ręce. Utopiła w nim roziskrzony błękit oczu.

— Daruj mi — szeptała — może źle czynię... może nie powinnam na oczy ci się pokazać... ale dziś gotowam paść ci do nóg... zabrałeś mi duszę... nie odpychaj mnie... nie przestaniesz być wielkim, choć jak cień pójdę za tobą... August... August... po tylu dniach... po tylu nocach... zmysły tracę ze szczęścia.

Na ustach zamierały jej wyrazy słodkie, których siły nie miała wymówić.

August wyczerpany ekstatycznem uniesieniem nie słyszał jej słów, nie rozumiał jej, widział tylko przed sobą tę, która zniknęła już dawno za widnokręgiem jego ducha i która była dla niego uosobieniem największych cierpień, jakie przeżył. I oto ta sama istota patrzyła mu teraz w oczy z uwielbieniem, lot swego uczucia podniosła aż do jego wyżyn, rzuciła wszystko to, co było marnem i pospolitem w jej życiu i obok niego stanęła.

Owładnięty wzruszeniem mówił:

— Czekałem na ciebie długie dni... wierzyłem w to, że kiedyś w życiu spotkamy się i jeszcze raz oczy moje spoczną na tobie. Jesteś. Widzę ciebie. Zrozumiałaś mnie. Niechajby teraz wszyscy odpadli odemnie, a już wiara moja w to, co głoszę, nie zadrży. Swojem zjawieniem się rozdarłaś mi ostatnie zasłony

ciemne, przed któremi duch mój stanął... witam ciebie ze łzami w oczach...

A ona poczęła okrywać jego ręce gorącemi pocałunkami. Cały świat zginął dla niej i przestał istnieć. On stawał się dla niej wszystkiem. W pamięci jej dźwięczało jak dzwon nawoływanie jego:

— Rozbijajcie w sobie skorupę żółwią...

Padła mu w ramiona, ręce zarzuciła mu na szyję i szeptała:

— August, August...

Ujął jej czoło jasne, gładkie jak kryształ w swoje dłonie i złożył na niem pocałunek.

— Godzina ta — mówił — najpiękniejszą jest w mojem życiu.

Ale Kama ustami ust jego szukała namiętnie.

August, August — błagała szeptem — pocałuj mnie... jak swoje dziecko...

Półomdlałemi oczami wieszała się u jego źrenic, spazmatycznym ruchem przycisnęła go do siebie i do warg jego przywarła całą mocą rozwichrzonego uczucia i bujnej płonącej w tętnicach krwi.

On zapatrzony jeszcze duchem w walkę, która poniosła go ponad ostatnie krawędzie świadomości ludzkiej i ona łaknąca go zmysłami ciała, oślepła od blasku jego myśli — oboje zwarli się we wspólnym pocałunku. August widział w niej cudowny kwiat, który trącony jego duchem rozwinął przepych swojej szkarłatnej korony jak róża zbudzona rankiem przez promienie słońca, więc radość przejmowała go do głębi — ona szukała w tej chwili zadosyćuczynienia za przeżytą mękę miłości i pragnęła upojenia.

— Za tobą — mówiła — pójdę na koniec świata... gdzie każesz... nikogo nie znam na świecie prócz ciebie... nie znam żadnego imienia tylko to jedno imię: twoja.

Pieszczotliwie gładziła jego twarz i nienasycona, pocałunkami okrywać poczęła jego włosy, czoło i oczy. Piersiami lgnęła do jego piersi, paliła go oddechem młodym i namiętnym.

Oprzytomniał.

— Kobieta! — krzyknęła w nim krew.

Przemocą porwał ją za ręce i oderwał od siebie.

— Kamo — wyjęknął zduszonym głosem — co czynisz?

Drżał na całem ciele. Dawne wspomnienia przelatywały przez jego duszę, jak wicher czerwony. Zduszony w jego sercu pęd winogradu, który oplatał się koło jej postaci w godzinach uniesień przeżytych przy jej boku i późniejszych męczarni — teraz nagle wiać począł za tym wichrem zielonymi liściami.

Przetarł czoło i spojrzał na nią przerażony.

— To ona — wołały w nim porywy uczucia — ta sama, której złudę po nocach bezsennych pieściłeś, ta sama, którą opłakiwałeś, jak gwiazdę upadłą w morze.

Jął rozumieć wszystko.

Zlękła się jego wzroku. Odczuwała, co działo się w nim w głębi duszy.

— Nie żądam niczego od ciebie — błagała go głosem, którym targała zrozpaczona miłość — nie myśl więc o niczem... o niczem... zaklinam cię. Mnie dość, żem cię spotkała i że mnie nie odpychasz od siebie. Mnie dość, że będę mogła z tobą przestawać, patrzeć w ciebie, słuchać ciebie... To mi wolno. Tego mi nikt zabronić nie może, ani ty, ani cały świat. Nic więcej nad to nie żądam, ale tego już odmówić mi nie możesz! nie możesz!

August słuchał jej słów, przepojonych namiętnością i mocą żywiołową, jak wichru szalejącego, pod którego gorącem tchnieniem wszystko usycha. Bladł coraz bardziej.

— Już raz cię straciłam — mówiła dalej z przerażającemi akcentami trwogi — kiedy rzuciłeś mnie na zawsze i pojąłeś inną za żonę. Chciałam umrzeć. O tak, umrzeć... przecież nie zechcesz, aby to stać się miało po raz wtóry.

August drżał.

Na usta pchały mu się słowa rozgorączkowane, pełne strasznych pytań i odpowiedzi, ale milczał. Przeląkł się tej chwili, którą życie rzuciło mu pod nogi.

Wyciągnął tylko do niej obie ręce. Podała swoje dłonie, z wysiłkiem dusząc w sobie płacz ogromny.

— Nie odpędzisz mnie? — szepnęła.

— Nie pytaj mnie o to więcej — rzekł — jeżeli drogi nasze są wspólne, pójdziemy razem... jeżeli rozchodzą się... każde z nas pójdzie drogą swoją.

Łzy jej gorące padały mu na ręce.

— Tak będzie, jak ty chcesz — odpowiedziała.

Uśmiechnęła się do niego. Struny radości grać w niej poczęły szaloną pieśń o dniach, które ją czekają przy jego boku. Było jej wszystko jedno, jak on to pojmował. Wiedziała to jedno, że będzie z nim razem.

Wyszli na pole.

Nad Zakopanem stała noc chmurna, jedna z tych, kiedy widniej jest od śniegu pod nogami niż w powietrzu. Latarnie świeciły, jak szereg kul promienistych, do których nieprzebity mrok cisnął się, aby ogrzać się choć trochę przy ich cieple. Tumany

lodowych kryształków, jak olbrzymie upiory, z jękiem przelatywały koło drżących świateł i gnały dalej w noc, wlokąc po ziemi połamane skrzydła i zamiatając niemi swój puch własny, szeleszczący, jak suche liście.

Czasem wicher zakręcił słupem śniegu, który rósł w piramidę ciała i wyciągał nad nimi długie, rozwiewne ręce, jak trup zmarzły.

Szli w tym mroku i w tej zawiei niewidzialni dla ludzi, odcięci od nich, wyłączeni z pośród nich.

Nad nimi gnał jęk rozbudzonych ze snu drzew i leciał z przestworzy ciemnych jakiś śmiech okrutny. Może wicher targał silniej pniami drzew i dachami pochylonych domów, może to ptak jaki ogromny wypłoszony z gniazda leciał przez czarny mrok, aby rozbić łeb o płonące szyby — ale Augustowi zdawało się, że słyszy śmiech cyniczny Reli.

Widział jej oczy błyszczące w powietrzu daleko przed sobą. Daremnie chciał wyśmiać swoje obawy. Strach rozdrażnionej wyobraźni wybiegał naprzód i rzucał mu cień jej na drogę.

Stanęli na moście. Pod nimi strumień przelewał swoje falę czarne z bełkotem nieustannym. Z czeluści nocnych w szalonym pędzie szedł ku nim ten żywioł wodny, obluzgując pianą zmarzłą kamienne łożysko i gryząc je wściekłymi zębami.

August patrzył ponuro w ruchomą głębię, błyskającą co chwila płatami zbitych grud śniegu i lodu. Dusza jego pędziła z taką samą mocą przed się w jakieś nowe nieznane krainy i szalała w łożysku życia:

— Dokąd dopłyniesz, dzika falo — szeptał — i co z tobą się stanie? Po nocy dzień przyjdzie i znajdzie cię w cudzych objęciach i już nie rozróżni twych czarnych fal od innych... czy i ze mną tak się stanie?

Kama stanęła blisko niego i pomyślała nagle z obłąkaną radością:

— Tam na dnie można znaleźć spokój. Tam na dnie niema żadnych przeszkód. Splecieni uściskiem popłynąć daleko możemy od ludzi...

— Kamo, Kamo — słyszała głos, idący od czarnej i charczącej fali.

Przerażenie obiegło ją zimnym, wstrząsającym dreszczem od stóp do głów. Biały lęk wionął ku niej wyciągniętymi rękami z mknącej gardzieli wodnej.

Instynktownie oparła się ramieniem o ramię Augusta, przycisnęła się blisko do niego i błagała go naglące:

— Chodźmy stąd, chodźmy stąd. Zimno idzie od rzeki. Drżę cała. Moja willa niedaleko, kilka kroków stąd.

Spojrzał w jej oczy i dostrzegł w nich błysk przerażenia.

— Chodźmy stąd — rzekł niespokojnie.

A jej wystraszona myśl przeleciała przez mózg:

— Czy i do niego głębia wyciągnęła ręce i wołała go po imieniu?

Przyspieszyli kroku. Szli złamani na duszy i zapatrzeni w siebie. Białe widma śniegowe wyrywały się nagle z pod ich nóg i zakręciwszy się pod nimi konwulsyjnemi ruchami fakirów, rozbijały się o domy, o płoty i przydrożne świerki z chichotem konającym.

Stanęli przed bramą willi.

— Dokąd pójdziesz? — rzekła do niego Kama cichym głosem.

— Czekają na mnie u pani Stawulskiej.

— Ta noc będzie dla mnie okropną — szepnęła.

— Dlaczego?

— Bo nas rozdzielać będzie nielitościwie. Lęk mnie zbiera, jak teraz pójdziesz sam... tamtędy... przez most... nie chodź! wróć inną drogą...

— Czego się lękasz? Ta noc ciemna jest jak moje życie, a przecież mnie się nie lękasz?

— August — szepnęła i nagłym ruchem zarzuciła mu ręce na szyję — ciebie nie lękam się! i z tobą iść mogę choćby tam na dno w ten bełkoczący strumień! Z tobą razem nie lękam się!

— Kamo! Kamo!

Przycisnęła go spazmatycznie do siebie.

— Na tę noc jeszcze ten jeden pocałunek — krzyknęła stłumionym głosem i zawiesiła się nagle u jego ust płomieniem swoich warg spragnionych.

Był bezsilny. Ogień jej miłości objął go płomieniami. Wzburzona krew omroczyła mu świadomość. Pamięć wszystkiego zapadła się w płonącą bezdeń. Szukał jej ust, jej oczu i włosów.

— Kamo! Kamo! — szeptał — nie zapomniałem ciebie nigdy! nigdy! w najstraszniejszych chwilach mojego życia widziałem twoje niebieskie oczy i choć przeklinałem je, modliłem się do nich. Przeczuwałem, że spotkamy się w innej, lepszej chwili! w przerażeniu radosnem myślałem czasem, że stać się może to, co stało się teraz.

A ona odpowiedziała mu:

— W taką noc jak dziś chciałam sobie życie odebrać. W taką noc wracasz do mnie! ty mój! ty mój jedyny! na zawsze!!

Słaniała mu się w rękach...

Przycisnęła twarz do jego twarzy.

Czuł, że nagły, krwawy rumieniec oblał jej policzki.

Porwał ją w ramiona, we włosach jej zatopił ręce i głowę jej przycisnął do swojej głowy i ustami zamknął jej usta. Gotów był ją porwać i nieść przez tę noc bez końca na granice świata, gdzie ludzi niema, wichru niema i słońca niema, tylko olbrzymi niebieski księżyc w cud zamienia wszystko...

Wyrwała mu się z rąk. Gwałtownym skokiem znalazła się przy bramie, otworzyła ją... stanęła w progu i krzykiem cichym, który wpadał mu w serce jak lawa paląca, zawołała jeszcze:

— Boję się ciebie... boję się twojej miłości... boję się siebie... idź już... będę śniła o tobie... o mocarzu, co zabiera duszę cudzą... o mocarzu, co ma niewolnicę swoją...

Zatrzasnęła bramę.

Stał długo nieruchomo. W powietrzu czuł ją jeszcze. Płomienie jej pocałunków i uścisków żyły w jego krwi i obezwładniały go swoją mocą.

Wichura uderzyła silniej, niosąc ze sobą coraz straszliwszy śmiech. Upiory śniegowe przypadały z wściekłością do bramy, za którą znikła Kama, jakgdyby chciały wyrwać ją z zawiasów.

Ślizgały się po jej powierzchni, czołgały długiemi szyjami w górę i tłukły zębami o górne szyby.

— Na dno, na dno — leciały głosy jęczące z przestworza — na dno za Kamą! Za pocałunkami, za jej namiętnością w nicość!!! wygrałeś walkę ducha, bo na szyi zawisła ci kobieta! hahaha! pragnąłeś cudu i stał się cud, bo odnalazłeś kochankę! hahaha!! dalej! dalej za nią!! przez bramę przejdź! wysadź okno! jej pokój na dole!! dopełnij cudu!! hahaha!!!

Błędnym wzrokiem spojrzał dokoła.

— Kto woła? — pytał sam siebie.

— Ty sam! ty sam!! — skowyczały cienie, czające się za rowami, za płotami i za pniami świerków.

Bolesny skurcz świadomości ścisnął mu głowę. Jęk wydarł się z jego piersi...

— Napróżno więc wszystko? taki kres mojego dążenia? Tu? na jej progu??

— Da ci rozkosz — wył śmiech dokoła niego — da ci zapomnienie, da ci słodką niemoc!

— Nie porzucisz jej — szeptały w nim nieśmiało zbudzone uczucia — do nóg chciała ci paść... nie przyszła do ciebie po ofiarę... dusza jej padła w proch przed tobą...

Pasował się ze sobą. Gorące jej usta czuł na sobie, ale wystraszona świadomość łamała mu serce.

Z przerażającą jasnością widział siebie idącego ku światłu, które przechodziło w dali w blask oślepiający... zaś u jego nóg wieszał się cień Kamy... pokorny cień, niewolniczy cień, plątał mu się u nóg omdlały z miłości, zasłaniał mu sobą szczeliny czeluści, które czyhały na każdy krok jego... cień bił skrzydłami jak do lotu, ale sił nie miał, i padał na drogę ogromny i bolesny...

— Dokąd z nią dojdę? — powtarzał w myśli, idąc przez tę noc bezgwiezdną, wyjącą i śnieżną.

— Czy przy niej mój kres?

D-r T. Konczyński.

Bekwark lutnista.

Zwiedzającemu olbrzymie galeryc i muzea zapełnione arcydziełami da Vincich, Tizianów, Michał Aniołów, Veronesów przyjdzie zapewne nieraz na myśl zapytanie — jak też w rzeczywistości kwitła w owych złotych czasach odrodzenia sztuka muzyczna, której niewątpliwy udział w ówczesnem życiu znajdujemy przedstawiony na wielu tej właśnie epoki obrazach. A kwitła muzyka istotnie nie mniej świetnie niż inne sztuki—i pozostawiła po sobie dzieła, dorównujące najzupełniej tak głębokością natchnienia i doskonałością wykonania, jak doniosłością wreszcie dla rozwoju sztuki, arcydziełom pędzla renaissansowych malarzy, rzeźbiarzy, architektów i poetów.

Czemuż dla nas wychowywanych do pewnego stopnia dzisiaj jeszcze w wyłącznej kulturze i kulcie dla estetyki czasów odrodzenia, muzyka tej epoki jest najczęściej obcą, jeżeli nie nieznaną zupełnie? Zwłaszcza mam tu na myśli nie tyle uprawianą i dzisiaj, choć najczęściej bez należytego zrozumienia i odczucia, muzykę kościelną Palestrinów i Lassów, ile muzykę świecką, która w bujnem życiu XVI-go wieku niemniej wybitną, jak kościelna, odgrywała rolę. Zdaje mi się, że nie będę dalekim od prawdy, szukając winy nierozumienia dawnej muzyki przedewszystkiem— jak to najczęściej bywa—w jej zupełnej nieznajomości. Madonny Rafaela, wieczerzę Leonarda de Vinci i jego Monę Lizę, czy Tizianowską Venus, zna każdy od dziecka prawie, jeżeli nie z oryginału, to z tysiącznych reprodukcyj,—od dziecka kształcił też na nich swój zmysł estetyczny często tak silnie... że zatracił możność pokochania i rozumienia sztuki współczesnej.

Z muzyką wprost przeciwnie.

Po za mszą „papieża Marcellego“ i kilkoma mottetami Palestryny—po za kilkoma psalmami Gomółki, znanymi nieraz więcej z tytułu niż z treści, cała świecka zwłaszcza literatura muzyczna czasów odrodzenia jest dla nas zupełną: terra incognita. A znaczenie jej dla sztuki muzycznej wogóle, nie jest z pewnością mniejsze niż współczesnych arcydzieł pędzla czy dłuta.

Przywołanie do życia zastygłych w starych drukach i rękopisach melodyj, poznanie ich bliższe i słuchanie nie jest i nie powinno być aktem czczej archeologicznej ciekawości; wszystkie owe Canzony, Ricercata czy Madrygały, sonety Petrarki z muzyką Orlanda Lassa, choćby piosnki naszego Długoraja, są to rzeczy żywe, które mimo zgoła innych od naszych dzisiejszych środków ekspresyj, o ile były prawdziwymi tworami sztuki i talentu, dzisiaj również wrażenie artystyczne sprawiać muszą. Co więcej, mogą nam rodzajem swej piękności, swym nastrojem mówić narówni z dawnymi kronikami o ludziach ówczesnych, mogą ożywiać, ubarwiać do pewnego stopnia jakieś znane z dziejów postacie, przedstawiając pewien wewnętrzny, subtelny obraz wrażliwości ich estetycznej i stopnia muzycznej kultury.

Tą myślą powodowany zapragnąłem wyszukać, poznać i na światło dzienne wyprowadzić, o ile się da najwięcej, utworów przeróżnych polskich lub w Polsce w XVI i XVII wieku przebywających lutnistów, [1]) a przedewszystkiem popularnego muzyka, którego pamięć tak ściśle jest związana ze wspomnieniami czasów ostatniego Jagiellona—lutnisty Bekwarka. I nie tyle nęciło mnie poznanie i zbadanie kolei życia tego, cudzoziemskiego zresztą pochodzenia, artysty, na co nasi dotychczasowi badacze główny kładli nacisk, ile właśnie odszukanie dzieł jego, a w dziełach tych znalezienie piękności, które takie wrażenie robić miały na współczesnych—na smutnym i nieszczęśliwym królu Zygmuncie Auguście, na pieśniarzu z Czarnolasu. Że w Polsce, która pod względem rozkwitu nauk i poezyi stała w XVI wieku narówni z wszystkiemi państwami Europy, kult muzyki rozwiniętym był bardzo wysoko, wiemy głównie z przechowanych do dziś dnia utworów takiego Leopolity, Wacława z Szamotuł, Gomółki, Zieleńskiego... Po za muzyką wokalną i to—jak wymienionych autorów—przewa-

[1]) W kierunku tym, o ile mi wiadomo, pracował u nas dotąd jedynie A. Poliński; utworami wokalnemi, kościelnemi zajmują się już nie od dzisiaj ks. Surzyński, Aleksander Poliński — z młodszych zaś Zdzisław Jachimecki w Wiedniu.

żnie kościelną, muzyka świecka, instrumentalna również ważną odgrywała rolę, a świadczy o tem choćby powszechne zamiłowanie w muzie tak znamienitego artysty jakim był Bekwark, świadczą liczne współczesne kronikarskie wzmianki, oraz wiadomości o różnych zagranicznych i swojskich lutnistach w kunszcie swoim biegłych i zachwyt powszechny budzących. Z zagranicznych, oprócz przysłowiowego „węgrzynka“ Bekwarka, słynęli w XVI i XVII wieku: Krzysztof Claboni, włoch (nadworny lutnista Stefana Batorego), Diomedes Caton,[1]) rodem z Wenecyi, sprowadzony za młodu przez Stanisława Kostkę, następnie muzyk nadworny Zygmunta III-go, Gallot, znany w francuskiej historyi, jako „le vieux Gallot d'Angers,“ lutnista w służbie Władysława IV, zmarły w Wilnie 1647, którego „ballet polonais“ znajduje się w manuskrypcie Millerana,[2]) Kremberg z Warszawy, muzyk nadworny elektora saskiego. Ze swojskich, o których, niestety, wie się dotąd nazbyt mało, najbardziej znanym był Wojciech Długoraj alias Wojtaszek, którego utwory (Fantazye i Vilanelle) znajdują się w Besarda: „Thesaurus harmonicus“ (Kolonia 1603). Długoraj był podobno wychowankiem Samuela Zborowskiego,[3]) którego następnie zdradził przez wydanie Zamoyskiemu kompromitujących listów brata Samuela, Krzysztofa i przyłożył tem rękę do spełnionego w dwa lata później na swym mecenasie wyroku.[4])

Po za granicami kraju wsławił swe imię jako pierwszej wody wirtuoz i kompozytor, niejaki Jakób Polak, który wywędrowawszy za młodu z kraju, większą część swego życia spędził w Paryżu i tam umarł. Wspomina o nim Poliński,[5]) czerpiąc z dzieła „Description de Paris,“ przez Piganiola de la Force; obszerniejsze wiadomości o owym Jakóbie cytuje z dzieła Sauvala[6]) w swych „zapiskach z historyi Lutni we Francyi“ p. M. Brenet:[7])

[1]) Wydał w Krakowie 1606: „Rytmy Stan. Grochowskiego z nótami i tabulaturą na lutnię Diomedesa Catona.“

[2]) Biblioteka konserwatoryum paryskiego. Rękopis opisany przez Weckerlina.

[3]) Z zapisków Żegoty Paulego.

[4]) Patrz artykuł Al. Polińskiego o „Lutniście Bekwarku“ w Echu muz. z r. 1887.

[5]) Tamże.

[6]) Histoire et recherches des antiquités de la ville de Paris, 1724. T. I, str. 322.

[7]) Pseudonim znanej badaczki z dziejów historyi muz. pani Maryi Bobillier.

„Jakób, najznakomitszy swego wieku lutnista, urodził się w Polsce i w młodym wieku przybył do Francyi, gdzie więcej był znanym pod nazwą „Polaka“ (Polonois) niż Jakóba. Jego gra była tak pełna i tak wdzięczna (harmonieux), ton tak silny i tak piękny, że według zdania fachowców, wydobywał z lutni duszę. Miał rękę tak dobrą i zręczną (dosłownie vite—prędką), że grając wcale nie podnosił palców, które wydawały się jak przylepione do lutni. Na wielkiej lutni—mowa tu prawdopodobnie o t. zw. Archi-luth, Arcy-lutni—grał lepiej niż wszyscy współcześni, ale jeszcze co innego było na małej. Przytem powiadają, że nikt chyba tak dobrze nie preludyował. Ta jego reputacya wyrobiła mu godność nadwornego królewskiego lutnisty (joueur de luth de la chambre du roi). Nie troszcząc się wcale o pieniądze, tak ich mało pobierał, że umarł w biedzie, w 60-tym roku życia. Ballard drukował dużo jego dobrych kompozycyj. Muzycy podnoszą przedewszystkiem jego „gaillardy,“ które wówczas były w modzie; z ówczesnych są też jego najlepsze. Utrzymują, że najlepiej grał wtedy, gdy sobie trochę podpił, co mu się zresztą często zdarzało. Nie był żonatym, a umarł na paraliż około roku 1605, w swem mieszkaniu na ulicy Bertin-Poirée.“

Według Piganiol'a de la Force Jakób jest pochowanym w kościele St. Germain l'Auxerroi.

Dotychczas co do kompozytorskiej działalności owego Jakóba nie było żadnych danych, ani p. M. Brenet ani p. Poliński nic z jego utworów znaleźć nie mogli; tymczasem niedawno udało mi się w zbiorze przeróżnych utworów na lutnię wydanych w tabulaturze przez Jerzego Leopolda Fuhrmanna w Norymberdze (1615) (Testudo Gallo-Germanica...) natrafić na „Branle de S. Nicola p. Sig. Jacobum“—oraz na Fantazyę przez Sig. Polonos (prawdopodobnie Polonois); utwory te, w francuskiej tabulaturze, przedrukowane były widocznie w zbiorze Fuhrmanna z wydawnictwa Ballarda, jak się to w owych czasach po wygaśnięciu tak zwanego „przywileju,“ jakiego we Francyi np. udzielał król, na lat 3, 5, 10 (czyli po prostu prawa własności), często zdarzało. Wnosząc z napisów na tych utworach, należy przypuszczać, że Jacobus było właściwie nazwiskiem, a skrócone Sig. prawdopodobnie imieniem Sigismond; w każdym razie należy przypuszczać, że jest tu mowa o tym samym kompozytorze, raz Jacob, a raz Polonos, jak to i Sauval twierdził, nazywanym. Dalsze poszukiwania doprowadzą może do obfitszych rezultatów, których dokładniejszy opis osobnej będzie wymagał pracy, a która może przysporzy nieco wiadomości o naszej dawnej świeckiej kompozycyi i o dawnej

muzyce tanecznej u nas, której nadzwyczaj ciekawą próbkę p. t. „Polon. Volte“ bez nazwiska autora w tym samym zbiorze Fuhrmanna znalazłem. „Volta:“ [1]) był to szybki taniec w rytmie $^3/_4$ (dzikszy od Gaillard'y), w którym tancerz obracał tancerkę; ulubiony zwłaszcza w początku XVII wieku, wkrótce zapomniany; u nas o tańcu „Volta“ nigdzie słychać nie było, ten zaś który znalazłem, posiada tak niezaprzeczony mazurkowy, a raczej nawet oberkowy charakter, jakby go się gdzieś na kujawskiem weselu podsłuchało; a datować on musi z XVI wieku, kiedy się znalazł w zbiorze już z 1615 roku.

Kilka notatek kronikarskich podaje jeszcze szereg muzyków-lutnistów bawiących na dworach wielkich panów i biskupów, o których jednak dotychczas, prócz nazwisk, żadnej dokładniejszej nie posiadamy wiadomości: Wawrzyniec Margoński (u biskupa krak. Krasińskiego), Stanisław Zawołek (u biskupa Myszkowskiego), Marcin Kampanowski (u Bonara, wojewody sandomierskiego), Jan Lelek z Borzęcina (u Dzierzgowskiego), Kos, słynny lutnista Zygmunta III-go, oto nazwiska, które czekają jeszcze, o ile to wogóle możliwem będzie, swego bliższego, artystycznego zakwalifikowania.

Teoretyczne wykształcenie muzyczne miało w owych czasach w Polsce wielkie znaczenie i posiadało poważnych przedstawicieli, a przedewszystkiem ks. Sebastyana z Fulsztyna, prof. uniwersytetu krakowskiego i proboszcza sanockiego, autora dzieła teoretycznego „Opusculum musices 1519 r.,“ profesora Leopolity i Wacława Szamotulskiego. Że jako podręcznik, służący do nauki kompozycyi, musiało być rozpowszechnionem jedno z najlepszych dzieł XVI-go wieku, Ornitoparchusa,[2]) właściwie Andrzeja Vogelsanga: Musicae activae micrologus 1517 r., które aż sześciu wydań w XVI-tym wieku się doczekało—dowiadujemy się ze znalezionej niedawno w „Acta rectoralia“ przez prof. d-ra Stanisława Estreichera notatki protokularnej z r. 1539. Niejaki Wojciech, bakałarz sztuk (arcium baccalarius) z Bochni i Jerzy z Opatowiec, nauczyciele w szkole św. Anny, prawowali się ze swym profesorem, doktorem Marcinem z Krosna, że należnej połowy opłaty, wynoszącej w całości 26 groszy, za naukę muzyki według

---

[1]) Według H. Riemanna.

[2]) Ornitoparchus Andrzej (Vogelsang), urodzony w Memmingen; w 1516 Magister artium w Tübingen; podróżował wiele po Niemczech, Austryi, Węgrzech i Rosyi.

Ornitoparchusa nie uiszczą, ponieważ profesor nie dość ich dokładnie kompozycyi i przykładów nauczył.[1]) Sprawę rozstrzygnięto w ten sposób, że uczniowie mieli jeszcze przez „oktawę,“ to jest przez tydzień, chodzić na naukę do profesora („ut eis necessaria demonstraret et ut ibidem componerent“), poczem w razie nieugodzenia się raz jeszcze zjawić się w sądzie rektorskim.

Mały ten obrazek, świadczący, że „nihil novi sub sole“ jeżeli chodzi o sumienność nauczania, okazuje jednak prawdziwy zapał z jakim do teoretycznej wiedzy się garnięto.

*

* *

Stanowisko jakie zajmowali w ówczesnem „towarzystwie“ muzycy, a zwłaszcza muzycy-wirtuozi, było najróżnorodniejsze; teoretycy i kompozytorowie utworów kościelnych, prawie wyłącznie księża i profesorowie uniwersytetów, mieli przez to samo pewne określone towarzyskie przywileje nie sądzone, oczywiście, różnym nadwornym grajkom i muzykom, pomiędzy którymi nieraz pewno trafiali się zdolni kompozytorowie, a raczej improwizatorowie tańców i piosenek.

Wracając do Bekwarka — nie trzeba sobie wyobrażać, co zresztą w dotychczasowych pracach dostatecznie wyświetlanem było, żeby ów „Węgrzynek,“ jak go nazywają współcześni, był rodzajem jakiegoś muzykusa żyjącego z łaski pańskiej i przygrywającego na lutni podczas biesiady; nie należał on bynajmniej do kategoryi „szpylmanów“ lub „fajfrów,“ o których prawo saskie mówiło: „Spielleut und Gaukler sind nicht Leut wie andere Menschen — denn sie nur ein Schein der Menschheit haben“—których staroniemieckie ustawy nazywały: unehrlich geboren, a którzy w owych czasach byli tak we Włoszech, Niemczech jak i Polsce pozbawieni wszelkich przywilejów. Bekwark był herbowym szlachcicem, o wychowaniu i wykształceniu artystycznem pierwszorzędnem, które czyniły jego pozycyę na dworze, jako Jego Kr. Mości muzyka, zupełnie wyjątkową, pozwalając mu przyjaźnić się za pan brat z najwyższymi dygnitarzami, jak np. z biskupem pięcio-ko-

[1]) „Quia *non perfecte* eos composicionem et exempla docuit.“

ścielnym (Fünfkirchen), posłem cesarza austryackiego Dudyczem i wielu innymi; po za tem zaś, jako kompozytor, zdobył sobie za życia sławę w całej Europie, a utwory jego drukowane były nietylko w Krakowie, lecz i w Lyonie, Paryżu i Antwerpii.

Typy takich lutnistów-magnatów, jakby ich nazwać można, były w owe czasy znanymi na dworach europejskich. Najbardziej głośnym ze swej próżności, bogactw lecz niemniej i talentu, był niejaki Louis Milan, żyjący na dworze Don Hernanda, księcia Kalabryi, wicekróla Walencyi. Lutnista ten na pierwszej stronie tomu swych kompozycyj, wydanego w r. 1535 p. t.: „Il Maestro," umieścił winietę, przedstawiającą Orfeusza grającego na lutni w otoczeniu zwierząt, pod spodem zaś napis:

„Mistrz wszystkich, świata stwórca, wielki Orfeusz, pierwszy wynalazca, dzięki któremu lutnia ukazała się na świecie. Był pierwszym, ale nie był bez następcy."

W pamiętnikach przez siebie wydanych p. t.: „El Cortesano," napisanych na wzór i pod wrażeniem „il Cortigiano" Baltazara Castiglione, opowiada Milan wprost niepodobne czasem do wiary anegdoty o swem pierwszorzędnem, potwierdzonem zresztą przez współczesne źródła, na dworze stanowisku i o swem mistrzostwie w komponowaniu i grze na lutni. [1])

Nie w tym samym stopniu, ale też ze sporą pewnością siebie, odzywa się Bekwark w przedmowie do tomu swych kompozycyj, wydanych w Krakowie, a poświęconych Zygmuntowi Augustowi, przyczem nie mniejszy poeta, jak Andrzej Trzycieski, jeden z panegiryków na cześć jego umieszczonych na wstępie tomu wydanego w Krakowie, rozpoczyna słowami:

„Bakfarce ismarius quem non superaverit Orpheus..."

Oczywiście, sądy współczesne tego rodzaju nie mogą być probierzem ani dowodem bezwarunkowej artystycznej wartości artysty i słusznie pisze w tej sprawie prof. St. Windakiewicz: [2]) „Pobudką i podstawą do tworzenia sobie przesadnych obrazów o tych postaciach (t. j. artystach XVI w.) jest blaga humanistyczna, którą zwykliśmy przyjmować za dobrą monetę. A tymczasem nikt lepiej koloryzować—żeby grzecznie powiedzieć—nie umiał,

[1]) G. Morphy: „Les luthistes espagnols de XVI siècle" (z przedmową F. A. Gevaerta).

[2]) „Czas" 2 felietony p. t.: Bekwark lutnista; styczeń, luty r. 1888.

niż humaniści. Każdy poeta jest u nich Virgiliuszem, muzyk Orfeuszem, mówca Cyceronem, polityk Cezarem, wojownik Aleksandrem. Zapewne, że w porównaniach owych leży troszeczkę prawdy, lecz tylko tyle, ile w dytyrambach dzisiejszych na cześć jakiej okrzyczanej aktorki, które, mimochodem mówiąc, wychodzą najczęściej z pod piór krótkowidzących krytyków. Wiek XVI-ty żył nerwowo, podobnie jak dzisiejszy, miał swoje wielkości, które się cieszyły kilkoletnim rozgłosem, a o których nox alta silet."

Jest w tem zwróceniu uwagi na konieczność powściągliwości sądu wobec renesansowych artystów, dużo racyi co do Bekwarka jednak i jego muzy, mamy tak wielostronne i z najróżnorodniejszych ust płynące pochwały (w pierwszej linii Kochanowski), że trudno nie wierzyć w istotne jego artystyczne znaczenie; pozatem istnieją przecież niezbite dowody jego niepospolitego talentu w jego kompozycyach, o których prof. Windakiewicz (ostatni, który u nas o Bekwarku pisał) wiedział bardzo niedokładnie.

*

* *

Lutnia, na której tak nieporównanym wirtuozem miał być „Węgrzynek," była najbardziej rozpowszechnionym instrumentem owych czasów; odgrywała rolę dzisiejszego fortepianu i nie mniej jak fortepian była na równi przez męzką, jak przez żeńską płeć uprawiana. Bardziej interesującym jednak jest jeszcze ten fakt, że bliższe badania nad techniką polifonicznych utworów na lutnię— wykazują zupełne pokrewieństwo z późniejszą techniką fortepianową takich samych utworów; to też zdaje się, że pokrewieństwo to nasunęło domysł słusznego twierdzenia, iż początków polifonicznego pisania na fortepian—w technice kompozycyj, na lutnię pisanych, szukać należy [1]), a nie w organowej, jak dotąd przeważnie mniemano.

Lutnia należała nie tylko do najbardziej rozpowszechnionych, ale uważaną była jako jeden z najwytworniejszych, arystokraty-

[1]) Zajmuje się tą sprawą specyalnie obecnie prof. Hugo Riemann.

cznych instrumentów, w odróżnieniu od plebejuszowskich: trąb, kornamus, fletów, na których gra „człowiekowi wykształconemu i delikatnych uczuć“ była wzbronioną[1]).

Pomiędzy damami wielkiego świata we Francyi, Niemczech i we Włoszech zwłaszcza, rozpowszechnioną była bardzo gra na lutni; za pierwszorzędną artystkę na tym instrumencie podają przeróżne współczesne źródła Izabellę d'Este, margrabinę Mantuańską (*1474 † 1539), której wspaniale i bogato ozdobioną lutnię, roboty Piotra Dardelli, miał widzieć jeszcze w r. 1807 znany historyk muzyczny Fétis. Nawet Richelieu, w podeszłym już będąc wieku, brał lekcye u starego mistrza na lutni i kompozytora Gaultier'a, chcąc się z swoim kunsztem przed królową popisać. Francuz René François w swych: „Essai des merveilles de nature“ (Rouen 1621) daje opis wrażenia, jakie wywiera piękna gra na lutni: „On fait dire au luth tout ce qu'on veut, et fait-on des auditeurs tout ce qu'on veut...“

I nasza poezya i literatura XVI wieku pełna jest wzmianek i apostrof do lutni, świadczących o wielkiej popularności tego instrumentu również w Polsce.

Pisze o niej Kochanowski:

„Lutnia wódz tańców i pieśni uczonych,
Lutnia ochłoda myśli utrapionych,
Ta serca miękczy swym głosem przyjemnym
Bogom podziemnym.

Wespazyan Kochowski w swoich „Wróżkach“ wspomina, że: „Utracyusze XVI-go w. widzieli pewny środek utrzymania swego, w razie ostatecznego posunięcia się nogi, w grywaniu na lutni.“

O samym instrumencie, tak poważne zajmującym stanowisko, wiemy nie tylko z oryginalnie do dziś dnia przechowanych okazów lutni, z licznych rycin na wydawnictwach kompozycyi oraz z obrazów współczesnych malarzy; zachowało się również dosyć dzieł teoretycznych, objaśniających technikę gry i jej przeróżne efekta od znaków w tambulaturach poczynionych zależne; oczywiście wiele jest jeszcze szczegółów w tym względzie nie wyjaśnionych, lecz ogółem wziąwszy, można twierdzić, że notowane w tabulaturach utwory odtwarzać możemy prawdopodobnie tak, jak skomponowane zostały.

[1]) Rossi: Organo de cantori.

Tabulatury były to umieszczone na 5-ciu lub 6-ciu liniach znaki (cyfry lub liczby), wskazujące mechanicznie położenie mającego być zagranym tonu; nie były to więc nuty, lecz tylko znaki informacyjne, z których dopiero zmyślny wykonawca dokładnej treści muzycznej domyślać się musiał, kombinując właściwe, bo mechanicznie niezupełnie możliwe do wskazania, prowadzenie polifoniczne głosów. Rytm każdego taktu oznaczonym był nad liniami; tonacya utworu wynikała z samej gry, a była zależną od stroju lutni bardzo często przez autora, na początku lub końcu utworu podanego. Najczęstszym strojem był: *g, c, f, a, d, g* lub *a, d, g, h, e, a* (nb. ostatnie *a* odpowiadało położeniem strunie *a* skrzypcowej czyli tonowi t. zw. kamertonu). Dla ścisłości dodać należy, że do oznaczania tonów używano we Włoszech *liczb* na 6 liniach, we Francyi umieszczanych między 5 liniami *liter* alfabetu; stąd nazwy: tabulatura włoska i francuzka; specyalną była jeszcze i najbardziej zawikłaną tabulatura niemiecka. Najdawniejsza lutnia była kształtem zbliżona do naszej gitary i posiadała strun sześć, z tych najniższa basowa była pojedyńcza, pięć wyższych—podwójne, jak na mandolinie; z czasem przybywało coraz więcej strun basowych, umieszczonych powyżej najniższej struny (już Bekwark jednej takiej używał). W początkach XVII wieku bywało ich aż sześć, strojonych dyatonicznie, t. j. jedna od drugiej o ton niżej; strun basowych nie przyciskano już palcami lewej ręki, ponieważ przeciągnięte były po za t. zw. gryfem. Kształt lutni, przypominający gitarę, jaki znajdujemy na rycinach dawniejszych [1]) tabulatur, np. u wspomnianego hiszpańskiego lutnisty Milana (El Maestro 1535), doznał następnie zmian; a mianowicie dolna część z płaskiej przemieniła się w kształt przeciętnego melona (mniej więcej jak dzisiejsze mandoliny), przyczem główka z kołkami, na której trzymały się struny, bywała prawie pod kątem prostym do szyjki wygiętą. Rycina takiej lutni znajduje się ze wszystkiemi szczegółami na pierwszej stronie wspomnianego już zbioru Fuhrmanna (1615); widzieć ją można na obrazie Bonifazia Veronese („Uczta bogacza"), na obrazku Kaspra Netschera w Pinakotece monach. („Słuchanie muzyki") lub w tamże znajdującym się portrecie jakiegoś grajka-lutnisty pędzla Chrystyana Paudissa

[1]) Pierwsza tabulatura drukowana w Wenecyi: Intabulatura de Lauto: Impressum Venetiis Per Octavianum Petrutium datuje z roku 1507; w połowie XVII wieku tak we Francyi, jak w Niemczech nowe tabulatury w druku nie ukazują się już prawie wcale.

(1618—1666) i wielu innych obrazach XVI i XVII wieku. Słynna fabryka lutni, Laux Maler, istniała w początku XVII w. w Bolonii; struny lyońskie miały być najlepsze.

*

* *

Pierwsze wiadomości o Bekwarku u nas ograniczały się do hymnów pochwalnych i licznych we współczesnej mu poezyi apostrof.

Znaną i cytowaną nieraz była fraszka Kochanowskiego, który zresztą sam chętnie „lutni się imał:“

By lutnia mówić umiała,
Takby nam w głos powiedziała:
Wszyscy insi w dudy grajcie,
Mnie Bekwarkowi niechajcie.

„Apostrofa do Bekwarka“ we fraszkach Melchiora Pudłowskiego [1]) czyni alluzyę do niezbyt urodziwego lica lutnisty, czego słuszność można sprawdzić na rycinie, przedstawiającej według wszelkiego prawdopodobieństwa portret Bekwarka, a umieszczonej na drugiej stronie paryskiego dzieł jego wydania. Pudłowski pisze:

Arion i Orfeusz, choć i Dawid trzeci
I czwarty, który niech tu z muzyką wyleci
Bez pochyby te wszystkie zostawisz za sobą,
Chyba by cię z tych który *uprzedził urodą*,
Ale kiedy poczniecie muzyką szermować,
Musi się i Dawidek z swoją harfą schować.

Kilka wiadomości o Bekwarku, również już przez piszących o nim u nas cytowanych, zostawił Falibogowski w dziele swem z r. 1625 p. t. „Discurs marnotrawstwa;“ przytacza on taki szczegół o jego artystycznej naturze:

„Ten miał swój taki obyczaj—nigdy kiedy go proszono, aby swej muzyki wdzięcznością ludzi rozweselił, chętny nie był; mieli jednak nań ten fortel: wziął kto lutnię w rękę, grał co umiał, to owego drażnił; czego on słuchając i zżymając się, jako dobry mu-

[1]) Cytowana przez Polińskiego. „Echo muz.,“ 1887.

zyk, iż nie dość czynił, owemu lutnię wziął z ręki, albo swoją podać kazał, dosyć ludzkiej chęci uczynił."

Pewniejsze nieco wiadomości o król. lutniście i o jego pobycie w Polsce sięgają czasów bardzo niedawnych, bo roku 1881, po ogłoszeniu przez K. Wendę „Rachunków ekonomii królewskiej;" oprócz tych danych służyły za podstawę wiadomości o Bekwarku: napis na nagrobku w kościele św. Wawrzyńca w Padwie, gdzie umarł; wyjątki z „Roczników artystów niemieckich," również w Padwie się znajdujących, oraz z jednego przez Przeździeckiego w „Jagiellonkach" ogłoszonego listu [1]) Bekwarka na wyjezdnem z Polski pisanego.

Ostatnim, który na podstawie padewskich materyałów pisał o B. był prof. Windakiewicz w felietonach „Czasu" w roku 1888; przedtem pisał Świeżawski [2]), Estreicher [3]) i obszernie Poliński w „Echu muzycznem" (1887), który też pierwszy opisał dokładnie boloński egzemplarz krakowskiego dzieł Bekwarka wydania.

Kilka szczegółów znalezionych w papierach, pozostałych po Zegocie Paulim, o których wspominał swego czasu Estreicher w „Tygodniku Illustr." oraz co ważniejsze odnalezienie przez panią M. Bobillier w Vesoul, małej mieścinie departamentu Haute Saône, jedynego, jak się dotąd zdaje, a pierwszego wydania utworów Bekwarka z r. 1552 dały mi możność uzupełnienia, choć częściowego, życiorysu tego artysty.

Walentyn Greff Bekwark urodził się zatem w r. 1507 w Kronsztadzie (węg. Brassó, po łac. Corona) w Siedmiogrodzie. Możliwość dokładnego oznaczenia miasta, w którym na świat przyszedł, zawdzięczamy owej edycyi Lyońskiej z r. 1552, w której jedyny raz nazwał się Bekwark: Transilvanus *Coronensis*.

W pięknem położeniu u stóp Alp Szulerskich położone miasto, liczące dziś przeszło 30,000 mieszkańców (Węgrów, Rumunów i Niemców), stolica komitatu tegoż nazwiska, założone w r. 1211 przez zakon niemiecki, było w owych czasach, t. j. w pierwszej połowie XVI w., ogniskiem Reformacyi w Siedmiogrodzie, której apostołem był proboszcz Kronsztadu: Jan Honter. Nazwisko Gräf lub Greff znane jest dobrze w rocznikach miasta [4]); familie noszą-

[1]) W wspominanym już kilkakrotnie artykule Polińskiego znajduje się facsimile tego listu. Nowe materyały w oryginalnych listach Bekwarka odnalazł i ma niedługo opublikować Zenon Przesmycki (Miriam).

[2]) „Tygodnik Illustrowany" z r. 1882.

[3]) „Tygodnik Illustrowany" z r. 1883.

[4]) Informacyę te zawdzięczam uprzejmości b. archiwaryusza miasta Kronsztadu obecnie radcy miejskiego tamże, p. Fr. Stennera.

ce je istnieją do dziś dnia. Niejaki Fryderyk Gräf jest obecnie wysokim miejskim dygnitarzem, przed laty kilkunastu zmarł zaś jenerał austryacki tegoż nazwiska, również rodem z Kronsztadu.

Pierwsze wzmianki o rodzinie Gräf sięgają w. XV; niejaki Petrus Gräf był bowiem od r. 1429—1447 sędzią miejskim tamże. W r. 1519 umiera długoletni radca miejski, w końcu skarbnik miasta, niejaki Jacobus Greff i ten prawdopodobnie, sądząc z pisowni nazwiska, jest w jakiemś pokrewieństwie z naszym lutnistą, kto wie, czy nie będzie ojcem Walentyna; dowodów na to jednak żadnych, na razie przynajmniej, nie ma. O młodości lutnisty, o kształceniu się jego, nic dotąd nie wiemy; prof. Windakiewicz przypuszcza, że był pewno na dworze którego z biskupów, że na nauce był w Padwie u słynnego mistrza Antoniego Rota († 1549) i że te właśnie wspomnienia młodości tam go zagnały na starość; są to jednak hypotezy niczem nie usprawiedliwione.

Prawdopodobniejszem może być przypuszczenie, że pierwsze swe kroki, jako nadworny muzyk, stawiał na dworze Jana Zapolyi, który po śmierci Ludwika Węgierskiego pod Mohaczem (r. 1529) stał się panem Siedmiogrodu i przez sułtana Solimana w Budapeszcie ukoronowanym królem węgierskim. O stosunkach bowiem B. z elektem partyi narodowej mógłby świadczyć herb lutnisty przez Zapolyę nadany, jak to potwierdza ustęp z wiersza Andrzeja Trzycieskiego, który go w panegiryczny sposób opisuje:

„Te zwierzęta i rybę przydał mu do herbu
Szlachetnych, wielkich Węgier ów potężny władca
Z krwi wilka na Trenczynie, którego koronę
W drogie strojną klejnoty, także widzisz w herbie.
Przydał mu on i jabłko złociste, albowiem
Tem mianem zwą bogate Pannonii kraje.[1])

Późniejsze stosunki z dworem polskim mogły mieć również źródło w protekcyi żony Jana Zapolyi, Izabelli Jagiellonki, jak to i prof. Windakiewicz słusznie zaznacza.

O późniejszych losach Bekwarka mówi nam następnie owa pierwsza edycya dzieł jego, drukowana w Lyonie; w obszernej i czołobitnej dedykacyi, poświęconej kardynałowi i arcybiskupowi lyońskiemu Franciszkowi de Tournon:

[1]) Przekład A. Polińskiego w artykule j. w.

„Has insigne feras, et piscem contulit illi
Regnator magnae nobilis Ungariae
Ille lupi natus Trancini e sanguine, cuius
Ornatum gemmis hic Diadema vides“ etc.

Reverendiss. ac SS. Apost. digniss. Card. Turnovio Archiepiscopo & Comiti Lugdunen. Valentinus Bacfare Transilvanus Coronensis. S.,

wspomina o łaskach, jakie od wielu lat jest winien, o dobrodziejstwach jakie otrzymywał i. t. d. Zdaje się być zatem pewnem, że Bekwark, w czasie ciągle na Węgrzech trwających zamieszek, może przy pomocy któregoś z poselstw francuskich, które interweniowały w sprawie korony węgierskiej na niekorzyść Austryi, dostał się do Francyi na dwór wszechpotężnego w owych właśnie czasach arcybiskupa de Tournon, po r. 1538 ministra królewskiego z władzą prawie nieograniczoną i że stamtąd dopiero do Polski przybył. Data wydania lyońskiego, r. 1552, wskazuje jednak, że ukazało się ono drukiem już wtenczas, kiedy Bekwark od 3 lat był mianowany lutnistą króla polskiego. W r. 1549 bowiem dnia 14 maja staje po raz pierwszy do próbnej produkcyi przed królem Zygmuntem Augustem w Piotrkowie, za co pobiera 7 zł. 6 groszy, poczem dnia 12 czerwca: „Valentinus Bekwark Hungarus Citharedus został w Krakowie przyjęty do służby króla. Zasług wszystkich miał tyle pobierać, co fletniści (fistulatores) królewscy“ [1]).

Niepodobna jednak przypuszczać, aby przygotowanie do druku pierwszego dzieła mogło się odbyć bez osobistego współudziału autora; nie brak zaś faktów dowodzących możliwości, że po zamianowaniu go król. lutnistą, Bekwark dostał pozwolenie opuszczenia Polski na czas dłuższy. „Po dwu owych wzmiankach o Bekwarku, pisze Świeżawski, głucho o nim w rachunkach stołu.“ Nie pozostawiła śladu nawet koronacya Barbary (1550 r.), uroczystość, w czasie której udział znakomitego muzyka, gdyby istotnie miał miejsce, byłby się w rachunkach przynajmniej objawił. Dopiero 15 sierpnia 1551 r. (już po śmierci Barbary) dostaje Bekwark „za lutnię dla króla j. m. flor. 12 i z łaski królewskiej temuż, jadącemu do Krakowa, na wydatki 8 fl.; razem 20 fl.“

O podróży B. za granicę w tym czasie świadczy również, dotąd przez naszych historyków nie publikowany a między 1549–52 r. pisany, list Melanchtona do Cypryana Leovitiusa[2]), który w całości przytoczyć warto:

---

[1]) Świeżawski: „Do życiorysu Bekwarka lutnisty,“ Tyg. Ill., 1882, wyjątek z „Regestra consciptionum.“

[2]) Leovitius Ciprianus: Tabulae directionum et profectionum etc. cum prefatione Phil. Melanthonis. Augustae Vindel. 1552. W zapiskach Żegoty Paulego.

„Doctissime Dom. Cypriane. Non dubito tuam Uranien favere Musicae et eius artis cultoribus. Ideo de hoc Valentino Citharoedo Regis Polonii, qui et vir honestus est et dulcis Musicus, ad te potissimum scripsi. Venit in Germaniam, ut edat in officinis typographicis scripta de sua arte, et pecunia instructus est. Audire autem istic musicos volebat, quos esse excellentes in familiis Fuggerorum intelleximus. His etiam spero voluptati fore huius Valentini in ea arte suavitatem. Quare valde te oro, ut et Dominis Fuggeris, et musicis cum commendes.“

„Najuczeńszy Panie Cypryanie! Nie wątpię, że twoja Urania[1]) sprzyja muzyce i tym, którzy tę sztukę uprawiają. Dlatego o tym Walentynie, lutniście króla polskiego, do Ciebie jaknajrychlej piszę. Przybył do Niemiec, zaopatrzony w pieniądze, dla wydania drukiem pism[2]) z zakresu swej sztuki. Chciałby też usłyszeć tych sławnych muzyków, jakich spodziewam się, że znajdzie w familii Fuggerów. Im zaś mam nadzieję będzie rozkoszą słodycz owego Walentyna w jego sztuce. Dlatego proszę Cię bardzo, abyś go państwu Fuggerom i muzykom polecił.“

Oprócz powyższego znajduje się w zapiskach Żegoty Paulego luźna notatka bez podania źródła—że Bonar dał Bekwarkowi list polecający do Melanchtona; wprawdzie o jakichkolwiek bliższych stosunkach wielkich polskich finansistów XVI wieku — Bonarów z „Węgrzynkiem“ nie wspomina nic autor najdokładniejszej biografii tej, rodziny p. Jan Ptaśnik, nie jest jednak wykluczonem że właśnie jeden z Bonarów (zapewne Jan, t. zw. młodszy) — znający prawdopodobnie jako gorliwy wyznawca Reformacyi, Melanchtona—Bekwarka temuż polecił. Bekwark jechał oczywiście do Lyonu przez Niemcy i tam chciał poczynić pożyteczne i miłe z artystami znajomości oraz być wprowadzonym do domu największego na całą zachodnią Europę potentata finansowego owych czasów, Jakóba Fuggera. Ów „Jacob Fugger der Reiche“ według napisu na portrecie Dürera, znajdującym się w starej Pinakotece monachijskiej, był jak wiadomo i jak z owego listu wnioskować można — wielkim muzyki miłośnikiem i mecenasem. Co do owych dzieł, które według Melanchtona chciał B. wydać „in Germania“ — była to poprostu jedna z często zdarzających się

[1]) Leovitius był astronomem i matematykiem.

[2]) „Scripta de sua arte“ dosłownie: „to co o swej sztuce napisał,“ ale może też znaczyć: to co napisał w zakresie swej sztuki i prawdopodobnie o kompozycyach B.—nie o jakichś teoretycznych pismach była tu mowa.

w tego rodzaju listach niedokładności, nie mająca zresztą żadnego znaczenia; a zresztą kto wie czy już wtenczas nie nosił się B. z myślą o drugiej edycyi swych dzieł w Niemczech. W każdym razie na podstawie powyższych danych można twierdzić, że wkrótce po nominacyi na król. Lutnistę wyruszył Bekwark za granicę i powrócił dopiero w r. 1551.

Kwestyą nie rzucającą na osobę „Węgrzynka“ dość jasnego światła co do jego nie tyle politycznych ile religijnych przekonań, są właśnie te różne w Europie zawiązywane stosunki. Walentyn Greff urodzony w Kronsztadzie – mieście, które właśnie w czasach jego młodości było ogniskiem Reformacyi, uważający się pod koniec życia za Niemca, w służbie u arcybiskupa de Tournon, który w okrutny i bezwzględny sposób tępił Protestantów we Francyi— równocześnie prawie używa opieki i pomocy najgorliwszych zwolenników Reformacyi. Są to kombinacye, które wymagały co najmniej... wielkiego liberalizmu przekonań.

Od r. 1552 wzmianki o Bekwarku w rachunkach królewskich powtarzają się dosyć często. Lutnista staje się ulubieńcem króla Zygmunta Augusta — otrzymuje częste datki pieniężne na instrument, na zakupno strun; z czasem podwyższono mu pensyę na 150 fl. oraz „obdarowano“ dobrami na Litwie. O owych dobrach wspomina Bekwark w liście, już na wyjezdnem z Polski—do biskupa Dudycza pisanym, słusznie jednak zwraca uwagę A. Poliński, że owe „dobra“ ograniczały się prawdopodobnie na posiadaniu domu w Wilnie, który (według Żegoty Paulego) Bekwark kupił w r. 1559 od Baltazara Piotrowicza Sołokowicza; wiadomość ta przemawiałaby za tem, że owe „dobra“ nie były podarunkiem, lecz że zarabiając dobrze, uskładał sobie „Węgrzynek“ dosyć gotówki, aby się stać wileńskim „kamienicznikiem.“ Zażywać też musiał, jako taki, zaufania, skoro w tymże roku 1559 jeden z radców miasta Wilna, Łukasz Markusowicz, czyni go wraz z pokojowym J. K. M. W. Ks. Litewskiego, szlachcicem Mikołajem Jaworem—plenipotentem i mandataryuszem, według formuły prawnej w aktach dawnego miasta Kaźmierza przechowanej [1]).

[1]) Acta Consularia Casimir. VII str. 409. Actum seria sexta ante festum Sancti Adalberti (21 apr. 1559) (archiwum aktów dawnych w Krakowie). „Ad residentium consularem personaliter comparens famatus Lucas Markusowicz Consul. vilnen. Omnibus melioribus modis et iuris forma receptis constituit et solemniter ordinavit in suos veros et legitimos plenipotentes ac Mandatatorios Nobiles: Nicolaum Jawor S. M. R. Magni ducatus Lituaniae aulicum et

W roku 1565-ym wydał Bekwark w Krakowie u Łazarza Andrysowicza, tom pierwszy dzieła p. t. „Valentini Greffi Bakwarci Pannonii, Harmoniarum musicarum in usum testudinis factarum Tomus primus.“ Egzemplarze dzieła tego (jedno z nich opisane przez Polińskiego w „Echu muz.“ 1887) znajdują się w bibliotekach: król. Monachijskiej i bibliotece konserwatoryum w Bolonii. Poświęcone w długiej, czci, wdzięczności, ale i frazesów pełnej przedmowie — J. K. M. Zygmuntowi Augustowi, opatrzone herbem autora oraz ze wspomnianym już panegirycznym opisem tegoż przez Andrzeja Trzycieskiego — zawiera 12 utworów, z tych: 3 oryginalne Fantazye (jedna 3 i dwie 4-o głosowe) oraz dziewięć transkrypcyj z mottetów niderlandzkich kompozytorów.

Fantazye Bekwarka są pisane w formie używanej wówczas powszechnie t. zw. Ricercare, polegających na mniej lub więcej ściśle przeprowadzonej imitacyjnej robocie tematycznej; komponowanie takich utworów na Lutnię było utrudnione techniczną stroną instrumentu, pozwalającą tylko do pewnego stopnia na ścisłość polifoniczną jak np. Fugi kilkogłosowe na same skrzypce; ścisłość tę jednak przy odczytywaniu tabulatur należy zachowywać, uzupełniając o ile możności najracyonalniej cały szkielet polifoniczny dzieła, którego w tabulaturach z powodów mechanicznej natury często oznaczyć nie było podobna.

Fantazye Bekwarka — tak krakowskie jak lyońskiego wydania (o którem później) odznaczają się wzorową robotą kontrapunktyczną, pewnym melancholijnym smętkiem tematów, ale i pewnym brakiem rozmaitości w modulacyach, co wywołuje trochę wrażenie jednostajności harmonicznej; nie są to jednak utwory martwe, które dziś wyłącznie archeologiczną posiadają wartość; oswoiwszy się z ich fakturą, z ich obcym trochę już dla nas językiem, odnaleźć w nich nie trudno dużo uczucia i szczerości natchnienia. Transkrypcye z utworów wokalnych, tak z kościelnych jak świeckich, były nadzwyczaj w modzie w XVI-ym wieku, były one tem co dzisiejsze wyciągi lub układy fortepianowe piosenek, oper, symfonij. Umieszczenie w krakowskiem wydaniu transkrypcyi wyłącznie niderlandzkich autorów (Clemens non Papa, Gom-

---

Valentinum *Bakvarg* (sic) S. M. R. Citharedem conjunctim et divisim ad omnes et singulas causas quas coram quocunque officio et magistratu nec non coram sacra Majestate Regio Dom. nostro clementissimo cum cujuscunque status dignitatis et sexus personis tam in Regno quam extra Regnum Poloniae habet habiturusque est. (następuje formuła prawnicza).

berth, Archadelth, Josquin de Près), wskazywałoby, że w gustach naszej publiczności ówczesnej panowało zamiłowanie do tych specyalnie utworów, z których ośm jest kościelnych, i tylko na zakończenie, jakby alluzya do nastąpić mających czasów kłopotów finansowych u Bekwarka, umieszczona jest transkrypcya piosnki świeckiej Josquina de Près rozpoczynającej się od wiele mówiących słów: „Faute d'argent c'est douleur non pareille...“

*

* *

Jaki był powód, że Bekwark opuścił po 18 latach dwór królewski — leży dotychczas w sferze domysłów. Fakt jest, że w rok po wydaniu owego dzieła, znajduje się w kłopotach pieniężnych, skarży się, że mu żołnierze polscy „dobra“ („mea bona“) na Litwie zrabowali i prosi swego przyjaciela eks-biskupa Dudycza, posła cesarza Maksymiliana, o pożyczkę na drogę, którą miał odbyć przez Poznań i Wrocław do Wiednia, wzywany listami zapraszającemi go na dwór cesarski [1]). Ta nagłość w decyzyi wyjazdu — brak pieniędzy u zawsze (zwłaszcza w ostatnich czasach) hojnie darzonego muzyka [2]), każą się domyślać jakichś kolizyj, czy z królem samym, czy z jego otoczeniem. Skądżeby „milites poloni“ śmieli bezkarnie naruszać „dobra,“ czy jakiekolwiek nieruchomości królewskiego lutnisty? a już w każdym razie—gdyby stosunki z królem nie były uległy zmianie, odszkodowanoby hojnie pokrzywdzonego muzyka, cieszącego się taką ogólną popularnością i uznaniem...?

Tkwi w tej nagłej decyzyi wyjazdu jakaś zagadka, której najprawdopodobniejszym powodem będzie to, że Bekwark znudzi-

[1]) Przeździecki, Jagiellonki polskie; dodatki dział V. List B. do Dudycza (oryginał w archiwach ces. wiedeńskich).

[2]) ... 21 marca 1564 r. z laski królewskiej i na rozkaz specyalny króla J. M. wydano Bakfarkowi sto talarów (każdy po 33 gr.) czyli 110 flor. a 6 maja tegoż roku wyasygnowano mu znowu na sukno i całe ubranie 25 flor. (po 30 gr. floren). W 1565 r. zapłacono za dwa kwartały od 6 listopada 1564 r. „Valentino Bakfark“ 87 flor. 15 gr. zasług, co daje 175 flor. rocznej pensyi i nową wykazuje podwyżkę, w porównaniu z pensyą lat 1558 i 59.“ — Świeżawski. Tyg. Ill. 1883 j. w.

wszy sobie służbę u zchorowanego i zdenerwowanego króla — pociągany świetnością dworu wiedeńskiego, (kto wie, czy nie wpływała też na to postanowienie B. w przymusowej separacyi z mężem od r. 1563 w Radomiu mieszkająca Katarzyna austryacka) — postanowił opuścić dwór swego długoletniego mecenasa — bez oficyalnych pożegnań...

Nim jednak Bekwark dostał się na dwór wiedeński — co nastąpiło dopiero w r. 1570—upłynęło lat trzy, które prawdopodobnie spędził za granicą, może w Antwerpii, gdzie w r. 1569 wyszedł znowu tom jego kompozycyi: V. Gr. Bak. Pannonii Harmoniarum musicarum in usum Testudinis factarum Tomus I. Antverpiae apud Antonium Tylenium Brechtanum, sub Strutione 1569. Ostatnie lata życia sławnego lutnisty po opuszczeniu dworu cesarskiego w Wiedniu — których szczegóły znalazł wspomniany już prof. Windakiewicz w Padwie—nie są dla nas bardzo sympatyczne. Czy to pod wpływem atmostery dworu wiedeńskiego, i w usposobieniu podsycanem niechęcią do Polski i Polaków — Bekwark na starość niemczeje, a raczej w miejsce Węgra, za jakiego uchodził całe życie, podaje się za Niemca (a może też odczuwa istotnie w sobie krew kolonisty saskiego), utrzymuje stosunki wyłącznie z niemieckimi scholarami i roczniki „niemieckiego rodu artystów," za „Germana" czystej krwi go poczytują[1]).

Padwa, do której pod koniec życia zawitał Bekwark, przedstawiała wówczas, jak opisuje prof. Windakiewicz, nader miłe warunki egzystencyi. „Zdarzały się tam wcale często dobre przedstawienia teatru włoskiego, karnawał bywał jednym z najświetniejszych w Europie, komunikacya z Wenecyą bardzo łatwa, cudzoziemców ze wszystkich stron bardzo wielu. A przytem życie było dosyć tanie i dobre."

Wśród tych korzystnych stosunków życie płynąć musiało spokojnie i miło wśród pracy kompozytorskiej, której owoce miały przewyższyć wszystkie dotychczasowe dzieła.

Nie doczekały się one jednak światła dziennego; kronikarz „artystów niemieckiego pochodzenia" notuje:

„Verum videremus et alia his non inferiora vel potius longe majora et elaboratiora nisi ipse paulo ante obitum, cum testamenti formulam confecturus esset, ex sua manu invidiae agitatus stimulo Vulcano tradidisset."

---

[1]) „quod sicut origine Germanus fuit, ita semper se Germanum haberi voulerit" (Annales. nat. germ. jur.). Czas, 1888, Windakiewicz.

„Niedługo przed zgonem po sporządzeniu testamentu, zazdrością powodowany, wszystkie swoje najlepsze i najbardziej opracowane kompozycye własnoręcznie w ogień rzucił.“

Bekwark umarł dnia 22-go sierpnia 1576 r. padłszy ofiarą straszliwej zarazy, która w tym roku zdziesiątkowała ludność Padwy. Tylko dzięki temu, że śmierć jego nastąpiła w samych początkach okropnej klęski, mógł być pochowanym przystojnie.

Oto legenda opisująca poetycznie nagłą śmierć lutnisty, którą za Falibogowskim (w Discursie marnotrawstwa) powtórzył Świeżawski: „Wśród dnia gorącego w południowej dobie w swej komnacie przygrywał na lutni i śpiewał. Nagle głos jego ustał, nie skończył zaczętej pieśni, a lutnia jego, pierwszy raz niesforne wydawszy tony, z martwych rąk wypadła.“ Legenda ta mogła zupełnie odpowiadać rzeczywistości z tą tylko różnicą, że rzecz nie działa się, jak mylnie podaje Falibogowski w Wiedniu, lecz w Padwie.

Tablica grobowa w kościele św. Wawrzyńca, podana już za dawnemi źródłami kronikarskimi u Fetisa, podkreśla znowu niemieckość Bekwarka, któremu „Natio germanica“ jednomyślnie hołd składając, — również za testamentu jego wykonawcę się podaje; a jak cytuje jeszcze prof. Windakiewicz: „Pannonium quidem se vulgo profitentem; at qui semper pro Germano agnosci et haberi impense voluerit... podawał się wprawdzie za Węgra, ale koniecznie za Niemca chciał być przyznanym...

Dziwny rozdźwięk; aucrola sympatyi, podziwu i popularności, głoszona wierszem i prozą przez współczesnych i potomnych, w tradycyi przechowana aż do naszych czasów, opromienia postać wielkiego wprawdzie artysty — ale człowieka, o ile z tych wielu danych sądzić można, wartości nieszczególnej; człowieka, który nietylko przez 18-sto letni pobyt, hołdy doznawane i dobrodziejstwa, do kraju się nie przywiązał, ale prawdopodobnie z całą świadomością dla zyskania sobie sympatyi — Niemcem się czując, za Węgra podawał; na dworze arcybiskupa Lyońskiego pewno za gorliwego uchodził katolika, a równocześnie szukał protekcyi i opieki u Melanchtona...

To też milszym nam będzie ten legendarny Bekwark, Bekwark „zrywający, jak mówi poeta, z swej lutni złotą strunę, zdolną dopiero dźwięk dzwonu na serdeczną nastroić nutę“ [1]) — milszemi będą nam jego utwory, niż sama postać człowieka, w świetle historyi mało sympatyczna.

[1]) Onego czasu król dzwon kazał ulać i wybudował mu wieżę wysoką etc.

O dziełach muzycznych Bekwarka, drukiem wydanych, nikt dotąd u nas bliżej nie wspominał prócz Polińskiego, który zna i opisał egzemplarz krakowskiego wydania w bibliotece konserw. Bolońskiego się znajdujący. Dla nas, a zwłaszcza dla muzyków polskich, mają one to znaczenie, że dają odbicie wysokiej muzycznej kultury w ówczesnej Polsce, i że z pewnością na rozwój muzyki ówczesnej u nas wpływ mieć musiały—nie mówiąc już o tem więcej poufnem zainteresowaniu się niemi ze względu, że one to właśnie koiły żale Zygmunta Augusta po stracie Barbary, one wprowadzały w zachwyt Kochanowskiego i tyle innych znakomitości ducha i rodu.

Kompletny, o ile się zdaje zupełnie, rejestr dzieł Bekwarka drukiem wydanych przedstawia się, jak następuje:

1) Intabulatura Valentini Bacfarc Transilvani Coronensis (Liber primus) Lugduni apud Jacobum Modernum. Cum privilegio ad triennium. Winieta przedstawia lutnistę siedzącego za stołem i grającego na swym instrumencie. Po obu stronach herby; na lewo — arcybiskupa Lyońskiego, na prawo herb: koza i jednoróg z dwóch stron drzewa, na którego szczycie korona z gwiazdą i półksiężycem. Zawartość stanowią: Cztery „Recercate“ oraz 16 transkrypcyj mottetów i świeckich piosenek Gomberta, Pietona, Richafort'a, Crequillona, Jannequin'a, Jacheta z Mantuy, Archadelt'a i Verdeloth'a. Data umieszczona na końcu „przywileju:“ „Faict a Lyon le XVIII de Janvier Mil cinque cens cinquante deux.“ J. Tignac. Dedykowany arcyb. kard. de Tournon. Egzemplarz znajduje się w bibliotece miejskiej w Vesoûl (Haut-Saône) we Francyi.

2) Premier Livre de Tabelature de Luth contenant plusieurs fantasies, motets, chansons françoises et madrigales. Par Vallentin Bacfarc. Adrian le Roy et Robert Ballard 1564 (przywilej na lat. 10, rycina na pierwszej stronie; na drugiej portret uwieńczonego rycerza, będący prawdopodobnie portretem Bekwarka. Jest częściowym przedrukiem wydania lyońskiego i zawiera te same 2 Ricercare, nazwane teraz fantazyami, oraz 8 transkrypcyj z 16 wymienionych w lyońskiej edycyi. (Gombert, Pieton, Arcadet, Roger, Crequillon, Jannequin). Wydania tego istnieją dwa egzemplarze: w bibliotece król. w Bruxelli (bez karty tytułowej) oraz w król. bibliotece monachijskiej.

3) Valentini Greffi Bekfarci Pannonii, Harmoniarum Musicarum in usum Testudinis factarum, Tomus Primus. (Przywilej na lat 12). Na trzeciej stronie herb — następnie długa dedykacya. Dwa egzemplarze: biblioteka konserwat. w Bolonii oraz bibliot. król. w Monachium.

4) Valentini Greffi Bacfarci Pannonii Harmoniarum Musicarum in usum Testudinis factarum, Tomus I, Antverpiae. Apud Antonium Tylenium Brechtanum sub Strutione 1569. Egzemplarz w bibliotece nadw. wiedeńskiej.

Prócz tego częściowe przedruki z dzieł wymienionych znajdują się w następujących wydaniach:

1) Besard: Thesaurus harmonicus Kolonia, (1603).

2) Theatrum musicum longe amplissimum cui (demptis quae vetustate vilnerant) autiorum praestantiss. tum veterum cum recentiorum Carmina selectissima sunt inserata, maiori quam ante hac fide et diligentia in usum publicum declarata. Lovanii 1571.

3) Thesaurus music, continens selectissima Alberti Ripae, *Valentini Bacfarci* et aliorum praestantissimorum carmina, ad usum chelys vel testudinis accomodata. Quibus adjectae sunt ingeniosae quaedam Fantasiae, Passomezi, Alemandes, Galliardae, Bransles atque id genus caetera, recens in lucem edita. Lovanii excudebat Petrus Phalesius 1574. W bibliotece miejskiej w Troyes.

O umieszczonych w Besard'a: Thesaurus dwóch—z lyońskiego czy paryskiego wydania przedrukowanych transkrypcyach piosenek: „Che piu foco“ Arcadelta i „d'Amour me plains“ Rogera—pisał już Poliński w Echu muz. (1887), przypisując ich całkowite autorstwo Bekwarkowi. Błąd ten jednak polegał na zupełnym braku objaśnienia wydawcy, że utwory te są transkrypcyami nie własnych, lecz cudzych piosenek; kompozycye te równie, jak inne podobne, wymagały ogromnej zręczności technicznej w grze na lutni i potwierdzają nieomylnie fakt wielkiej wirtuozyi Bekwarka.

Nie można przesądzać jakie wrażenie na dzisiejszych słuchaczach może z początku wywrzeć ta muzyka, smętna trochę, monotonna zrazu, ale nosząca mimo to piętno oryginalności przez swoje archaiczne zwroty harmoniczne, którą zresztą w fortepianowej transkrypcyi oddać można doskonale. Oczywiście, charakterowi melodyi odpowiadałby lepiej dźwięczny, chociaż nieco matowy, a melancholijny ton lutni,[1]) na której gdzieś w półmroku komnat wawelskich wydzwaniał ją ongi królewski citharedes; poznanie tych dzieł jednak, o których udostępnienie dla ogółu mam zamiar z czasem się postarać, powinno być interesującem nietylko dla fachowo dawnemi kompozycyami zajmujących się muzyków.

Henryk Opieński.

[1]) Od lat kilkunastu probują w Niemczech Sven Scholander, K. Kothe, prof. Borchers i inni wskrzesić lutnię jako instrument koncertowy—na razie jako akompaniament do starych piosenek; wrażenie dźwięku jest bardzo miłe.

Z WALKI

o autonomię galicyjską.

W czerwcu 1859 r. „zwyciężka“ armia austryacka została pokonaną pod Magentą i Solferino. Przez umowę w Villafranca utraciła Austrya Lombardyę.

Bolesna ta nauka, dana niedołężnym rządom biurokratycznym, wyszła państwu na dobre. Zrozumiano, że potęga państwa leży przedewszystkiem w jego sile wewnętrznej, a siły tej w państwie różnonarodowem nie może być tam, gdzie wszystkie ludy, z wyjątkiem jednego, uprzywilejowanego, są niezadowolone, tyranizowane, a więc nie mają interesu w popieraniu państwa, lecz owszem cieszą się z jego klęsk i słabości. W Austryi zresztą nawet naród uprzywilejowany, Niemcy, czuł się niewolnikiem biurokracyi, nie mając praw konstytucyjnych, zabezpieczających swobodę jednostkom, a ogółowi udział w ustawodawstwie i kontroli państwowej.

To też już w manifeście z 15 lipca 1859 r. cesarz Franciszek Józef zapowiedział reformy na polu ustawodawstwa i administracyi. Prezydentem gabinetu był wówczas Rechberg, najważniejszą zaś tekę ministra spraw wewnętrznych piastował hr. Agenor Gołuchowski, świeżo powołany na to stanowisko, b. namiestnik galicyjski.

Już w lipcu i grudniu tegoż roku wydano przepisy, uwzględniające częściowo oba języki krajowe w szkołach i administracyi. W marcu 1860 r. udzielono im również pewnych, choć bardzo określonych, praw w sądownictwie. Wreszcie rozporządzeniem z 4 lipca 1860 r. Gołuchowski nakazał wszystkim władzom galicyjskim, aby

w stosunkach ze stronami posługiwały się ich językiem, zatrzymując wszakże język niemiecki w służbie wewnętrznej władz i urzędów.

Tymczasem w Wiedniu obradowała *wzmocniona* Rada Państwa, do której powołano i kilku Polaków. Na obradach tych 59 głosami przeciw 29 zwyciężyła zasada autonomiczna. Cesarz obiecał „opinię“ tę wziąć pod uwagę i ogłosić „swoje postanowienie.“

Postanowienie to nazywa się w dziejach Austryi *dyplomem październikowym*, lub *dyplomem Gołuchowskiego*.

Dyplom, datowany 20 października 1860 r., postanawiał wykonywanie prawa ustawodawczego przez cesarza przy współudziale sejmów krajowych, a względnie Rady Państwa, do której sejmy mają wysyłać ustanowioną liczbę członków. Pismo odręczne cesarskie z tejże daty polecało Gołuchowskiemu przedstawić projekty statutów krajowych. Tę samą datę nosi wreszcie drugie odręczne pismo do Gołuchowskiego, żądające, aby przedstawił wnioski co do języka wykładowego w uniwersytecie krakowskim i w gimnazyach galicyjskich, godząc interes szkół „z potrzebami ludności.“

Jednocześnie Gołuchowski został ministrem stanu i kierownikiem dwóch ministeryów: spraw wewnętrznych, oraz wyznań i oświaty.

Wkrótce jednak (15 grudnia 1860 r.) w skutek licznych przyczyn, które wymagałyby obszerniejszego wyjaśnienia, Gołuchowski ustąpił, a miejsce jego zajął liberał niemiecki Schmerling, do którego Galicya wysłała tłumną deputacyę z adresem, domagającym się między innemi: praw językowych, powierzenia urzędów krajowcom i jednego sejmu (były wciąż zakusy podziału Galicyi), mającego stanowczy głos „w przedmiotach każdego moralnego i materyalnego interesu mieszkańców.“

Schmerling był „liberałem,“ ale i centralistą. Popierany przez biurokracyę, drżącą o swoje przywileje, starał się spaczyć myśl Gołuchowskiego. Przekonał o tem patent cesarski z d. 26 lutego 1861 r. („Konstytucya Schmerlingowska“), do którego dołączone były: „Ustawa zasadnicza“ i statuty dla krajów koronnych. Sejmom przyznano małe kompentencye, koncentrując całą władzę ustawodawczą w Radzie Państwa, a ordynacya wyborcza galicyjska dążyła do tego, ażeby wytworzyć w sejmie większość rządową, składającą się z Rusinów i chłopów polskich, wśród których stale i systematycznie budzono nienawiść do „surduta i kontusza.“ Rok 1846 był jeszcze w świeżej pamięci.

Konstytucya Schmerlingowska była wprawdzie wolnomyślną, demokratyczną, zabezpieczała prawa ludzkie, ale nie uznawała praw narodowości.

Pierwsze wybory do sejmu galicyjskiego wypadły względnie pomyślnie, dzięki miastom wschodniej Galicyi, które zawiodły Schmerlinga i dzięki temu, że część mandatów (7), z gmin wiejskich zachodniej części kraju, powierzył lud szlachcie i duchowieństwu.

Pierwszy sejm galicyjski obradował od 15 do 26 kwietnia 1861 r. Tych jedenaście dni wystarczyło zaledwie na uchwalenie adresu, na ukonstytuowanie się, na sprawdzenie wyborów i na wybór delegacyi do Rady Państwa. Dyskusya nad tym ostatnim przedmiotem miała charakter zasadniczy. Mniejszość była przeciw wysłaniu delegacyi, aby zamanifestować rozczarowanie, jakie przyniosła konstytucya schmerlingowska, uchwalono jednak wybór prawie jednomyślnie, zastrzegając się, że sejm go dokonywa, „zniewolony orzeczeniem ustawy“ i że sejmujący „jedynie sejmowi przyznają moc stanowienia w sprawach naszych.“

Zauważyć należy, że Rusini, mimo szczerego wyciągnięcia ku nim na sejmie dłoni przez Polaków, zachowywali się wobec nich wrogo, a w parlamencie wiedeńskim, mimo licznych uczynionych im ustępstw i solennego przyrzeczenia, zasiedli osobno, dalej prowadząc swą nieprzyjazną względem nas politykę.

Rada Państwa otworzona została mową tronową. Były w niej piękne słowa o samoistności krajów, o obronie każdej narodowości, ale były to tylko słowa. Wprowadzenie ich w czyn należało do Schmerlinga, który konsekwentnie działał w duchu centralistycznym. Pomogła mu do tego abstynencya Węgrów, Siedmiogrodzian i t. d. Liberalno-centralistyczni Niemcy stanowili większość (przyłączyli się do nich i Rusini), która uchwaliła adres w swym duchu, zgwałciła „zasadę prawną“ Goluchowskiego, uchwalając budżet bez udziału Węgrów, stworzyła szablonową ustawę gminną, nieuwzględniającą odmiennych w każdym kraju stosunków i t. d. Wkrótce rozwiązano kilka sejmów, zaprowadzono w niektórych krajach stan oblężenia, powołano do życia sądy wojskowe. Biurokracya tryumfowała na całej linii, ujarzmiła sądownictwo, wzmocniła swe stanowisko nowelą karną i ustawą prasową, podniosła rewolucyę przeciw konstytucyi. W r. 1862 nie zwołano całkiem sejmu galicyjskiego. Zwołany dopiero w styczniu r. 1863, został wkrótce odroczony, a wreszcie zamknięty, z powodu wypadków w Królestwie Polskiem.

Dzieje Galicyi w r. 1863 i 1864 są epizodem wielkiej tragedyi narodowej. 24 lutego 1864 r. ogłoszono w niej stan oblężenia. Rada Państwa obradowała w Wiedniu bez udziału delegatów galicyjskich. Obrady te jednak nie posuwały na krok sprawy prze-

prowadzenia konstytucyi schmerlingowskiej. Walka z Węgrami przybrała ostre formy—Czesi opuścili Radę Państwa.

Ale bezprawia dochodzące do tego, że Schmerling odbierał mandaty nieposłusznym posłom, zwróciły nareszcie na siebie uwagę korony, która przejrzała, że w państwie konstytucyjnem gwałtem rządzić nie można. Sami centraliści wystąpili do walki ze Schmerlingiem i zaczęli domagać się odpowiedzialności ministrów. Przy rozprawach budżetowych zgotowano mu klęskę, a wpływy Węgrów dokonały reszty. Cesarz przyjął podanie Schmerlinga o dymisyę i 26 lipca 1865 r. stanął nowy gabinet hr. Ryszarda Belcrediego, który został ministrem prezydentem, kierownikiem ministeryum spraw wewnętrznych i policyi.

Nominacya Belcrediego, przeciwnika biurokratycznego centralizmu, była świetnem zwycięstwem idei autonomicznej. A choć Belcredi nie spełnił pokładanych w nim nadziei i uległ, nie bez własnej winy, silniejszym od niego okolicznościom i sprytniejszym mężom stanu, to wszakże od chwili jego nominacyi rozpoczął się dla Galicyi drugi, pomyślniejszy okres walki o autonomię, jako strażnicę praw narodowych.

I.

Belcredi pragnął kroczyć po drodze wskazanej dyplomem październikowym Gołuchowskiego. Rozpoczął od zwołania wszystkich 17 sejmów (18 września), pozostawiając im sporo czasu do obrad nad sprawami krajowemi.

20 września 1865 r. ukazał się manifest cesarski, zapowiadający, że monarsze „dla dobra wiernych poddanych przewodniczyć będzie ta myśl zasadnicza, która znalazła wyraz w dyplomie z dn. 20 października 1860 r.,“ to jest utrzymanie potęgi „za pomocą wspólnego traktowania najwyższych jego zadań“ i zapewnienie jego jedności z „uwzględnieniem różnorodności jego części składowych i historycznego ich rozwoju państwowego.“ Monarcha zapewniał „uroczyście i nieodwołalnie prawo ludów do współdziałania w prawodawstwie i zarządzie finansów przez uchwały legalnych reprezentacyj.“ Przypominał, że formę tego prawa określił patentem z 26 lutego 1861 r. a „ożywienie tej formy, harmonijne ukształtowanie budowy konstytucyjnej, powierzył wszystkim swoim ludom.“ Ludy „okazały w części gotowość, wysyłając przez szereg lat swych reprezentantów“ do stolicy, niespełniony jednak został „nie-

zmienny zamiar“ monarchy, „ażeby interesom całego państwa podać pewną rękojmię konstytucyjnego prawnego ustroju, znajdującego siłę i znaczenie w wolnym udziale wszystkich ludów.“ Wielka część państwa (Węgry) trzymała się zdala od wspólnego legislacyjne godziałania, usprawiedliwiając się „różnicą postanowień swych ustaw zasadniczych.“ Ażeby więc „formie nie poświęcić istoty,“ monarcha pragnie porozumieć się naprzód z reprezentantami wschodnich części państwa (Węgier i Chorwacyi) i przełożyć im do przyjęcia dyplom z d. 20 października 1860 r. i ustawę zasadniczą z 26 lutego 1861 r. Ponieważ zaś jest prawie rzeczą niemożliwą „czynić jedno i to samo postanowienie w jednej części państwa przedmiotem rozpraw, a w innych częściach uważać je za ustawę powszechnie obowiązującą,“ przeto z ubolewaniem zawiesić musi monarcha Radę Państwa, zanim owo porozumienie się nie nastąpi i zanim nie będzie można przedstawić reprezentantom innych Królestw do zatwierdzenia modyfikacyj ustaw zasadniczych, „jakie z owego porozumienia się wyniknąć mogą.“

Manifest kończył się słowy: „Wolna jest droga (*frei ist die Bahn*), która z poszanowaniem prawowitości wiedzie do porozumienia, jeżeli—czego z pełną ufnością oczekuję—duch do poświęceń zdolny i pojednawczy, jeżeli dojrzałe światło przewodniczyć będzie rozwadze moich wiernych ludów, do których z uczuciem pełnem zaufania zwrócone jest niniejsze słowo cesarskie.“

Słowa: „Frei ist die Bahn“ stały się historycznemi.

Zawieszenie czynności Rady Państwa było równoznaczne z zawieszeniem konstytucyi, stąd też spotkało się z gwałtowną opozycyą sejmów niemieckich i utrudniło pozycyę Belcrediego. Krytykowano go silnie i z naszej strony[1]), ale rzecz ta mało nas tutaj obchodzić może. W Galicyi „manifest wrześniowy“ powitano z zapałem *i od niego datuje się zwrot Galicyi ku Koronie, ku szukaniu pojednania z rządem austryackim.*

„Zaczęliśmy się garnąć z ufnością ku Koronie — pisze w rok później Ziemiałkowski w „Przeglądzie Polskim“—skoro ta oświadczyła w r. 1865 chęć wstąpienia na inną drogę—i odtąd kraj monarsze szczerej lojalności niewymuszone daje dowody, chociaż dotychczas tak mało uczyniono dla kraju i nie dano mu zachęty do wytrwałości na tej drodze, choćby usunięciem z posad kilku wychowańców dawnej szkoły, zwolenników bezwzględnej centraliza-

[1]) Zobacz: Abancourt „Era konstytucyjna.“

cyi, a nieprzyjaciół zapowiedzianego przez monarchę zmiany systemu rządowego.“ [1])

Stanisław Tarnowski w tym-samym miesięczniku stwierdzał obudzającą się w Galicyi „niekłamaną życzliwość dla rządu austryackiego“ w roku 1865 i „szczere pragnienie z jej strony przyjaźni i zgody.“ [2])

I pierwsze posiedzenie sejmowe z r. 1865, o którem za chwilę wspomnieć nam przyjdzie, dostarcza dowodów, że manifest wrześniowy powitano z zapałem. Zapał ten zwiększył się skutkiem udzielenia amnestyi przestępcom politycznym, skazanym za udział w organizacyi powstania 1863 r.

Po ogłoszeniu „manifestu wrześniowego,“ Lwów, stolica „czerwonych,“ pierwszy postanowił dać dowód, iż społeczeństwo pragnie porozumienia z rządem i na miejsce siedzącego w więzieniu Ziemiałkowskiego (za r. 1863), wybrał na swojego posła, niedawno jeszcze znienawidzonego Gołuchowskiego, uznając w nim przedstawiciela polityki kompromisowej; tym zaś, który na wybór jego wpłynął, był nie kto inny, tylko głośny dziennikarz i świetny agitator, Jan Dobrzański, „czerwony“ redaktor „czerwonej“ *Gazety Narodowej*.

Wybór Gołuchowskiego miał jeszcze drugie znaczenie: szło o demonstracyę na rzecz dyplomu październikowego, którego autorem był Gołuchowski, a który Belcredi obiecywał przeprowadzić. Więc też demokratyczny Lwów wybrał nie demokratę, Rodakowskiego, człowieka bardzo popularnego dla swych zasad, lecz arystokratę. Charakterystycznem jest, że Żydzi i Rusini, niena-

[1]) „Przegląd Polski“ 1866, zeszyt I, za lipiec.

[2]) Już te dwa współczesne świadectwa, gdyby innych nie było, zupełnie wystarczają do obalenia *ustalonej*, a tendencyjnie rozszerzanej i wmawianej w nas bajeczki, że tak zwani stańczycy popchnęli Galicyę na drogę ugody czy kompromisu, jak się to komu podoba nazywać. O stańczykach nikt wówczas jeszcze nie słyszał, bo dopiero „w roku 1869 zjawiła się owa głośna „Teka Stańczyka,“ która dała nazwę utworzonemu w kilka lat później stronnictwu stańczykowskiemu. Wypływa ono na wierzch dopiero około r. 1872, kiedy cała „ugoda“ dawno już była przeprowadzona, a w sejmie zajmuje stanowisko dopiero w r. 1877. W czasach, tworzących ugodę, o których teraz mówić będziemy, przyszli stańczycy, chodzący jeszcze luzem, niemający żadnego politycznego stanowiska (żaden z nich jeszcze nie był posłem sejmowym), nie złączeni myślą polityczną, nie zawiązani w stronnictwo, należeli do *opozycyi* i przeszkadzali w pracy „ugodowcom galicyjskim.“ Robili to zapewne z przekonania, może pod niejednym względem chcieli lepiej, ale to faktu nie zmienia.

widzący się nawzajem, głosowali przeciw Gołuchowskiemu, ci Rusini, dla których dyplom październikowy również był lepszy niż patent lutowy. Ale ponieważ Polacy chcieli Gołuchowskiego, przeto połączyli się ze sobą najwięksi nieprzyjaciele.

Sejm zebrał się na pierwsze posiedzenie w dniu 23 listopada 1865 r. Otworzył je ks. Leon Sapieha przemówieniem, w którem wspomniał, że „dwa razy rozpoczęte prace sejmowe nie wydały owocu," — należy się spodziewać, że obecny sejm odpowie życzeniom kraju. Monarcha przez udzielenie amnestyi „dał świeży dowód łaski." Krótkie swe przemówienie zakończył książę marszałek trzykrotnym okrzykiem: „Niech żyje konstytucyjny cesarz i król nasz!"

Po Sapieże namiestnik cesarski jen. feldm. baron Franciszek Paumgartten, witając po niemiecku sejmujące stany, przypomniał słowa cesarskie: „*Frei ist die Bahn*" i polecił odczytać odręczne pismo cesarskie, zawiadamiające sejmy o manifeście z dnia 20 września.

Zaraz potem weszła pod obrady sejmowe sprawa adresu do cesarza. Poseł Skrzyński żądał, aby osobna komisya natychmiast go wygotowała i przełożyła na pierwszem posiedzeniu. Motywując tę nagłość, Skrzyński stwierdził „zapał, z jakim przyjęto wiekopomny i wspaniałomyślny akt cesarski" i pragnął, aby adres wyraził „uczucie wdzięczności wielkim wywołane czynem." Wprawdzie Leszek Borkowski sądził, że uchwalenie adresu należy odłożyć do drugiego dnia, aby komisya miała czas się namyśleć, gdyż w akcie politycznym, każdy wyraz ma swe znaczenie, ale Smolka odparł, że tu „nie idzie o akt polityczny, lecz o wyraz wdzięczności." Wszyscy prawie poszli za tem zdaniem,—więc też na końcu posiedzenia komisya stanęła przed sejmem z projektem wysłania dwóch adresów: pierwszego w odpowiedzi na manifest, a drugiego wyrażającego podziękowanie za amnestyę.

Pierwszy z tych adresów zaznaczał, że „mądre zamiary" wypowiedziane przez monarchę w „wiekopomnym dniu 20 października" nie zostały spełnione. Obecnie monarcha manifestem 20 września 1865 r. postanowił usunąć przeszkody tamujące te zamiary. Więc też sejm z wdzięcznością przyjmuje oznajmienie o otwarciu drogi (Frei ist die Bahn) i składa u stóp tronu wynurzenie nadziei, iż „w przyszłych ustanowieniach, o których orzekać mają reprezentacye królestw i krajów, dostąpią, również słusznego uwzględnienia właściwe, na podstawach historycznych i narodowych oparte żywotne naszego kraju potrzeby."

Adres dziękczynny za amnestyę brzmiał dosłownie:

„Najjaśniejszy Panie! Aktem łaski monarszej raczyłeś Wasza Cesarsko-Królewska Apostolska Mość wlać pociechę do wielu serc strapionych. Otwarły się bramy więzień, wstrzymane zostały śledztwa sądowe; nadzieja w nieograniczonej wspaniałomyślności Twego, Najjaśniejszy Panie, najszlachetniejszego serca, napełnia otuchą skutki wyroków sądowych.

„Prawo łaski jest najświetniejszym klejnotem Korony i najszczytniejszą Panujących prerogatywą. Za ten wspaniałomyślny sposób, w jaki Wasza Cesarsko-Królewska Apostolska Mość raczysz wykonywać tę najwyższą prerogatywę, przyjm Najjaśniejszy Panie od zgromadzonego Sejmu Królestwa Galicyi i Lodomeryi wraz z Wielkiem Księstwem Krakowskiem wynurzenie najgłębszej wdzięczności, które ze wzruszonem sercem obok zapewnienia niezłomnej wierności u stopni Najwyższego Tronu składamy.“ [1])

Najwięcej zajmował umysły i największą też dyskusyę wywołał na sejmie projekt rządowy do ustawy gminnej. Sprawa ustawy gminnej była i jest dotychczas niesłychanie ważną, posiada też całą literaturę, ale w zakres niniejszego szkicu nie wchodzi roztrząsanie wewnętrznych spraw galicyjskich, zwłaszcza tak skomplikowanych. Dość więc będzie zaznaczyć, że większość komisyi sejmowej żądała, zgodnie z projektem rządowym, aby każda gromada, każda wieś stanowiła osobną samoistną gminę gromadzką, oddzieloną od gminy dworskiej (obszaru dworskiego) — z dwóch mniejszości zaś pierwsza pragnęła połączenia obu gmin razem, druga zaś przemawiała za gminą zbiorową, składającą się z paru lub kilku gromad (wsi) stosownie do ich ludności (tak jak jest w Królestwie Polskiem). Na czele większości, składającej się z Rusinów, chłopów polskich i mniejszości inteligencyi i szlachty polskiej, stał Gołuchowski, a jeneralnym jej mówcą po zamknięciu dyskusyi był Zyblikiewicz. W obronie wspólności gminnej obszaru dworskiego i gromadzkiego gorąco przemawiał Adam Potocki. „Dwór—mówił—stoi przy kościele i wsi, chcecie rozerwać to, co wieki połączyły? Mamy sami zniszczyć ten stosunek? Nie, nigdy głosu swojego na to nie dam.“ Zwyciężyła większość, zmodyfikowawszy w szczegółach projekt rządowy.

Rusini przypuścili szturm jeneralny do projektu rad powiatowych. Napróżno tłómaczono, że pomiędzy gminą a najwyższemi instytucyami krajowemi (reprezentacyami kraju i rządu), trzeba ustanowić pośredniczące ciała autonomiczne na wyborach oparte;

[1]) Stenograficzne sprawozdanie z posiedzeń sejmu 1865/6.

że tak zresztą jest wszędzie, gdzie istnieje konstytucya, że Węgrzy mają komitaty, Anglia posiada rady hrabskie, w Prusiech są rady powiatowe i obwodowe, w Belgii rady prowincyonalne; napróżno mówiono, że musi ktoś zajmować się szpitalami, domami, przytułkami, drogami, oświatą i t. d. a gminy do zajmowania się tem „są za słabe, sejm zaś jest za daleko.“ Chłop Kowbasiuk oświadczył: „na szczo nam tych tiahariw (ciężarów), tiahary sut' tak wełyki, szczo aż narid gwałtu kryczyt;“ poseł ten groził nawet ruchem ludowym w razie uchwalenia rad powiatowych. Drugi chłop ruski, Koroluk, wystąpił z tem, że naprzód trzeba załatwić sprawę „o lisy i pasowyska“ (zwykła zwrotka), a zresztą rady powiatowe przyniosą „bilsze wydatkiw.“ Demkow wywołał huczną wesołość, dowodząc: „Teper jest wilna konstytucya, a koły bude prymus, to ne bude wilna konstytucya!“ Odpowiadano na to, że koszta będą, ale wolność darmo nie przychodzi (Smarzewski), a Potocki zauważył, że rząd chce oddać radom powiatowym wiele spraw, które sam załatwia, a naszym interesem powinno być zdobywać najszersze pole dla samorządu, który te same sprawy może załatwiać i taniej, i lepiej, i prędzej. Nie można się dziwić, że potrzeby rad powiatowych nie rozumieli może włościanie polscy i ruscy, ale czy można przypuszczać, aby jej nie odczuwali Rusini inteligentni, a przecież, który tylko z nich głos zabierał, każdy walczył przeciw nim do upadłego. Wstyd im było się przyznać, że nie pojmują, iż rady powiatowe stanowią szpik i rdzeń samorządu, że takie instytucye wszędzie istnieją, więc też ks. Naumowicz wykręcał się, że jeszcze czas na to, że co dobre gdzieindziej, to może być złe w Galicyi, że należy wprzód uporządkować gminę; ks. Kaczała w zasadzie nic nie miał przeciw radom powiatowym, ale uważał, że są one nie na czasie; i ks. Pawlikow również ich nie potępiał, ale sądził, że będzie można je później zaprowadzić, „a ne teper zaraz;“ Ławrowski wprost uznawał potrzebę organów pośredniczących i sądził, że sam lud je z czasem zrozumie, uzna ich potrzebę „nieobchodimoju“ [1]), ale znowu ta sama śpiewka: jeszcze za wcześnie. A wszyscy ci posłowie, jako najważniejszy argument przytaczali, że nie można narzucać ludowi instytucyi, której on sam nie chce, od której się broni wszystkiemi siłami. Śmieszny ten argument obrócił w niwecz Smarzewski. „Kiedy ogłoszono konstytucyę i wybory — mówił — to przecież lud także

[1]) Wyrazu tego nikt nie rozumiał, to też w stenograficznem sprawozdaniu sejmowem podano w nawiasie: „niezbędną.“

do nich się nie garnął, opierał się im wszelkiemi siłami. W wielu powiatach naczelnicy posyłali karnych posłańców gminom, aby je zniewolić do wybrania wyborców. Czy p. Ławrowski, gdyby już była wówczas izba sejmowa, głosowałby w niej za tem, aby nie dać konstytucyi, nie dać sejmu, bo lud nie chce wolności... A przecież gdyby nie ta konstytucya, nie ten sejm, nie byłoby tu tych panów i nie wojowaliby dziś przeciw radom powiatowym. Że włościanie są im przeciwni nic dziwnego, bo każdy obawia się tego, czego nie rozumie...“

Ale inteligencya ruska wiedziała, o co jej idzie. Czuła ona dobrze, że rady powiatowe mogą podnieść kraj i lud pod względem kulturalnym i ekonomicznym, ale obawiała się, że lud wymknie się z pod jej władzy wskutek samej styczności ze szlachtą i inteligencyą polską. Dlatego to głosowała przeciw połączeniu obszarów dworskich z gminami gromadzkiemi, dlatego w żaden sposób nie chciała dopuścić do rad powiatowych. Wszak w tych radach „panowie“ zasiadaliby na jednej ławie z włościanami, a więc mogliby wywierać na nich wpływ, mogliby wzbudzić do siebie zaufanie, mogliby prowadzić do zgody stanowej i narodowościowej. A tego prowodyry bali się jak ognia, to było przeciwne ich interesom. Więc nie wytrzymał Adam Potocki, aby tej fałszywej gry nie wykryć i nie rzucić jej w oczy inteligencyi ruskiej. Że chłopi boją się rad powiatowych — mówił — „to jest plonem tego ziarna nieufności, jakie we własnych widokach siały rządy austryackie. Ale są jeszcze inni, co postanowili nie dopuszczać do zgody, do zbliżenia się“ (*brawa*). „Jak wy staniecie—tu zwrócił się wprost do inteligencyi ruskiej—przed własnem sumieniem i przed Bogiem, jeżeli sprzeciwiacie się tam, gdzie idzie o zbliżenie się wszystkich (*huczne oklaski*). Obierajmy drogi, które wiodą do zgody, do sprawiedliwości i do połączenia, ale nie te, które służą tylko podłym nienawiściom...“

To „ziarno nieufności“ wyszło zaraz na jaw w przemówieniu polskiego chłopa Kozła. „My nie chcemy opieki — wołał — nami opiekuje się Najjaśniejszy Pan i teraz nam lepiej, niż kiedy nami panowie się opiekowali...“ [1])

Ostatni przemówił komisarz sądowy Possinger. Przedstawił spokojnie i rzeczowo wszystkie dobre strony projektowanej instytucyi. Rządowi—mówił w końcu—wszystko jedno, czy izba pro-

[1]) Wszystkie cytaty z przemówień podaję ze stenograficznych sprawozdań sejmowych.

jekt odrzuci czy uchwali, ale „bez rad powiatowych życie autonomiczne nie może się tak rozwinąć, jak to rząd w swem przełożeniu zamierza.“ Huczne oklaski na sali i na galeryi były odpowiedzią na oświadczenie Possingera.

Przyszło do głosowania. Rady powiatowe uchwalono 76 głosami przeciw 50 głosom Rusinów i chłopów polskich. Z tych ostatnich dwaj jednak głosowali z większością. Kiedy wywołano nazwisko chłopa Kobylarza, ten na chwilę zamyślił się i rzekł powoli: niech będzie *tak*, co przyjęto hucznemi oklaskami na galeryi. Drugie *tak*, również oklaskiwane, wyszło z ust chłopa Krawczyka.

Namiętną walkę wywołała również dyskusya nad językiem urzędowym. Rusini, którzy na każdem posiedzeniu występowali do boju przeciw uciskowi i „posiahatelstwu“ Polaków, tutaj znaleźli obszerne pole do wymowy i ostrych, gwałtownych wycieczek. Wydział krajowy stawiał wniosek, aby marszałek urzędował po polsku, aby protokuły rozdawano w dwu językach, w których też można stawiać wnioski i interpelacye, uchwały zaś aby zapadały w języku polskim. Polacy mówili, że projekt przyznaje Rusinom za dużo, Rusini zaś dowodzili, że za mało. Olbrzymie rozdrażnienie załagodził Gołuchowski wnioskiem kompromisowym. „Pan Gołuchowski—pisał Tarnowski—wykazał niepraktyczność dwu języków w sposób tak jasny i dobitny, że... Rusini sami zgłosili się do kompromisu. Pochwycił tę gotowość... i zażądał ustępstwa, aby w trzeciem czytaniu każda uchwała była przedstawiona w języku polskim i ruskim...“ Krok ten naraził Gołuchowskiego na zarzuty, bo sądzono, że będzie występował przeciw Rusinom. „Może—pisze Tarnowski—szedł on bezwzględnie i na przebój, ale nadał sprawie obrót pomyślny... To się nazywa łamać świętojurców, a dobrze działać dla Rusinów“ [1]).

Trzecie większe starcie z Rusinami—zaszło przy uchwaleniu prośby do tronu o nadanie Galicyi osobnego kanclerza, „krajowca znającego stosunki krajowi naszemu właściwe, związanego z krajem wspólnością uczuć, życzeń i interesów, któryby w radzie Korony odpowiednie ważności kraju zajmował stanowisko, był tamże przedstawicielem i rzecznikiem jego interesów i potrzeb i miał sobie powierzony naczelny kierunek spraw krajowych.“ Słowa te są wyjęte z adresu do tronu, w którym to adresie sejm motywował potrzebę urzędu kanclerskiego. „Najważniejsze sprawy—czy-

[1]) „Przegląd Polski,“ 1866, zeszyt I.

tamy tam czekają załatwienia. Podźwignienie kraju z obecnego stanu zubożenia; zapobieżenie grożącemu z powodu niestosownego opodatkowania dalszemu wyniszczeniu sił produkcyjnych; zakończenie sporów o grunta i służebnictwa, będących główną przyczyną niesnasek rozstrajających harmonię społeczną; ustalenie spraw własności i zniesienie szkodliwych pęt własność ziemską krępujących; organizacya gmin i urzędów; urządzenie wychowania publicznego na podstawach narodowych i podniesienie oświaty ludu; oto są najważniejsze zadania, które chwila obecna przyszłości przekazuje. Od ustaw stosunkom i potrzebom kraju odpowiednich i od tychże ustaw sumiennego i umiejętnego wykonania, zależy szczęśliwe tych ważnych zadań rozwiązanie.“ Do takiego rozwiązania przyjść można właśnie przez stworzenie urzędu kanclerza. Ztąd też sejm „w głębokiem przekonaniu“ o konieczności „dla dobra kraju“ takiego urzędu, prosi o niego „najpokorniej,“ składając „zapewnienie głębokiej czci i niezłomnej wierności.“

Otóż po wniesieniu projektu owego adresu (27 marca 1866 r.), który miała zawieźć osobna deputacya, Rusini, będąc przeciwni wnioskowi, posunęli się aż do tego, że zagrozili wyjściem gremialnem z sali sejmowej, ponieważ za kanclerzem rodakiem czyli Polakiem, pójdzie namiestnik rodak, starosta rodak, wójt rodak; przeto my kanclerza nie chcemy, „protestujemo protiw uchwałom o kanclerstwie dla Hałyczyny i opustymy salu narady.“ I rzeczywiście salę opuścili. Adres bez nich uchwalono.

Odpowiedź cesarza na ten adres, odczytano na posiedzeniu sejmu z d. 12 kwietnia 1866 r. Cesarz przyjął łaskawie „wyrażoną wierność i przywiązanie“ i obiecał „poddać dojrzałej rozwadze prośbę objętą adresem.“ Potrzeba jednak będzie „przedewszystkiem uwzględnić te wymagania, które wynikają z kwestyi politycznej, dotyczącej ogółu monarchii,“ jej „harmonijnego urządzenia.“ W każdym razie „niech będzie sejm pewnym ojcowskiej przychylności, która towarzyszyć będzie orzeczeniu.“

Kanclerza, nawiasem mówiąc, Galicya się nie doczekała — miał go z czasem zastąpić minister dla Galicyi.

Data odpowiedzi cesarskiej (12 kwietnia 1866 r.) wskazuje, że sejm obradował długo. Zaczęty 23 listopada 1865 r. przeciągnął się do 28 kwietnia 1866 r. Początkowo miał być zamknięty 28 marca, ale go przedłużono jeszcze na miesiąc na prośbę stanów sejmujących. Oponowali temu tylko Wężyk i Wł. Sanguszko; pierwszy chciał po pięciu miesiącach zostawić sejmującym czas „do odświeżenia umysłów,“ drugi sądził, że każdy ma swe interesy, a choć obowiązki publiczne są święte, „niemniej święte“ są

obowiązki domowe. Na głosy te, ciętą odpowiedź dał Zyblikiewicz. „I ja—mówił—mam interesy domowe, ale pierwszy raz zdarzyła się nam szczęśliwa sposobność, że dla interesu kraju możemy poświęcić interes domowy.“ Zirytowany Sanguszko odparł, że mu nie szło o siebie, bo nie ma sam interesów, ale o kolegów-posłów, „a co do poświęcenia, to nikt mi lekcyi dawać nie będzie, bo pewnie nikt więcej odemnie nie poświęcał się dla kraju:..“ [1])

Półroczna blizko sesya sejmowa spotkała się z dość ostrą a mało uzasadnioną krytyką. Jak z początku witano ją radośnie, przywiązując wielkie nadzieje do tego, że pierwszy raz sejm będzie miał dość czasu do pożytecznej pracy dla dobra kraju, tak później żegnano ją obojętnie, dowodząc, że stany sejmujące nie wyzyskały dostatecznie danej im sposobności do gruntownej naprawy stosunków krajowych. Przesada była zarówno w owych nadziejach, jak w rozczarowaniu.

Spokojnie dziś patrząc na rezultat 80 posiedzeń sejmowych, musimy przyznać, że choć sejm r. 1865—1866 nie podjął żadnych wielkich myśli, nie przeprowadził żadnych wielkich projektów, (ogromnie łatwo żądać wielkich rzeczy, a ogromnie trudno przeprowadzić nawet małe), to przecież praca jego była sumienna, ożywiona najlepszą wolą i wielostronna.

Wspomnieliśmy obszerniej o adresach, które bądź co bądź utrwalały stosunek kraju do tronu i wyrażały jego potrzeby, oraz o uchwaleniu ustawy gminnej i rad powiatowych, które równie, jak uchwalone na tym sejmie statuty gminne Lwowa i Krakowa, dawały silną podstawę do autonomicznego urządzenia kraju. Do tego dążyło i sześć ustaw, tyczących się zmian w sejmowej ordynacyi. Tu wreszcie należał i uchwalony projekt ogłaszania ustaw krajowych, uchwał sejmowych i rozporządzeń krajowych w języku polskim, jako autentycznym, a prócz tego w ruskim i niemieckim.

Prócz tego sejm pierwszy raz obradował nad budżetem krajowym i funduszów indemnizacyjnych. Wprawdzie sejm, a względnie Wydział Krajowy, nie wykołatał jeszcze odebrania pod swój

[1]) Władysław Sanguszko (ur. 1803 † 1870) był adjutantem Chłopickiego i Skrzyneckiego. Rząd rosyjski wygnał go z kraju. Była to postać szanowna, ale wyrażenie: „nikt więcej nie poświęcał się nademnie,“ trzeba tłómaczyć rozdrażnieniem. Już brat jego, Roman, też uczestnik powstania 1831 r., potem piechotą pędzony na Sybir do katorgi, następnie oddany do wojska na Kaukazie, dziesięćkroć więcej cierpiał dla kraju. I ten rzeczywiście był jednym z tych, co mieli prawo mówić o wielkiem poświęceniu się.

zarząd wszystkich funduszów i zakładów, ale mogli już sejmujący usunąć wiele niepotrzebnych wydatków, co im pozwoliło na to, że bez podniesienia ciężarów podatkowych, zasilili subwencyami szkoły rolnicze w Dublanach i Czernichowie, zakład ciemnych we Lwowie, teatr krakowski, komitet restauracyi ołtarza Wita Stwosza w kościele N. Panny Maryi w Krakowie i t. d. Zresztą starania o odebranie wszystkich funduszów i zakładów krajowych były na najlepszej drodze, więc też lada chwila Wydział Krajowy miał rozpocząć swą działalność we właściwym zakresie i urządzić się na podstawie tak uchwalonej przez sejm instrukcyi, jak i ustanowionego etatu urzędników i uchwalonych przepisów „ustanowy“ służby krajowej.

Dla zasilenia funduszów krajowych uchwalono podatek od przedsiębiorstw kolejowych. Zapadły uchwały w sprawie katastru (spisu i opisu gruntów dla wymiaru podatków) i podatku konsumcyjnego od mięsa, co dążyło do ochronienia kraju od niestosownych ciężarów. Przygotowano ustawy o patronacie szkolnym, oraz o konkurencyi kościelnej i szkolnej t. j. o przyczynianiu się gmin i obszarów dworskich do utrzymania kościoła i budynków kościelnych i do utrzymania szkół. Jeden tylko głos w całym sejmie chciał zrzucić z obszarów dworskich ciężar utrzymywania szkół motywując, że niesprawiedliwością jest żądanie, aby dwór płacił na szkołę, z której korzysta tylko gmina. „Chwała Bogu, że taki głos był tylko jeden“ — wspomniał, pisząc o sejmie, Tarnowski.

Uchwalono dalej ustawę drogową, opartą na sprawiedliwym rozkładzie ciężarów; zreorganizowano Towarzystwo Kredytowe: ograniczono wolność wekslową dla ratowania ziemi włościańskiej; uchwalono prosić rząd o zniżenie ceny soli dla ludzi i bydła, postanowiono użyć kredytu krajowego dla pomocy ludowi cierpiącemu z powodu nieurodzaju.

Prócz tego załatwiono dziesiątki różnych wniosków postawionych przez posłów i rozlicznych petycyj, nadesłanych przez gminy, korporacye, instytucye.

Jeżeli to wszystko podsumujemy, to nie będziemy podzielać ostrej krytyki, z jaką tu i owdzie występowano, usiłując dowodzić, że sejm zawiódł pokładane w nim nadzieje.

Wiele ustaw, uchwalonych przez sejm, otrzymało wkrótce sankcyę monarszą, a mianowicie ustawy: gminna z uzupełniającą ustawą o obszarach dworskich, ustawa o reprezentacyi powiatowej, o konkurencyi szkolnej i patronacie szkolnym, o konkurencyi kościelnej, o konkurencyi drogowej, o ogłoszeniu ustaw i uchwał

sejmowych i rozporządzeń Wydziału Krajowego. Uzyskał też sankcyę, jeszcze podczas posiedzeń sejmowych, statut m. Krakowa [1]).

„Ugruntowany w ten sposób samorząd miał swoje błędy, nie zdobył się na połączenie gromady wiejskiej i dworu w gminę zbiorową, czego domagała się mniejszość złożona z posłów krakowskich, nie stworzył gminy mogącej sprostać swemu zadaniu, ale ograniczył wszechwładzę biurokracyi i otworzył wszystkim warstwom ludności szerokie pole pracy publicznej i społecznej zgody“ [2]).

Krótkie streszczenie przebiegu posiedzeń, uchwał i rezultatu prac sejmowych należy uzupełnić stwierdzeniem, że według jednomyślnego świadectwa współczesnych, zachowanie się polskich posłów-włościan, było bardzo taktowne. Nie mówili tak, jak Rusini, wciąż o „lisach i pasowyskach.“ Niemiłe echo antagonizmu stanowego, rozbudzonego przez dawne rządy austryackie, które znalazło swój wyraz w odezwaniu się posła Kozła, należało do wyjątkowych. Był więc postęp, widocznie włościanie polscy zaczynali się czuć obywatelami, nie oddzielną warstwą, wrogą innym. Wnioski ich „naturalnie doniosłości bliższej i ciaśniejszej“ były przeważnie słuszne i praktyczne. Nabrali też wprawy w sejmowaniu—rozumieli regulamin obrad i przestrzegali go należycie.

Tymczasem od północy nadchodziła burza. Prusy i Włochy wydały wojnę Austryi. Oznajmił o niej manifest cesarski z 17 czerwca 1866 r. W tydzień później (24 czerwca) arcyksiążę Albrecht pobił Włochów pod Custozzą, ale w dziewięć dni po tem zwycięstwie (3 lipca) armia austryacka pod wodzą Benedeka poniosła klęskę pod Königraetzem (Sadową). Pokój zawarty 29 sierpnia usunął Austryę z rzeszy niemieckiej. Prócz tego cesarz Franciszek Józef ustąpił Wenecyę Napoleonowi III, a ten ją oddał Włochom na otarcie łez tak po klęsce na lądzie pod Custozzą jak i na morzu pod Lissą, gdzie Tegetthoff (20 lipca) rozbił flotę włoską admirała Persano [3]).

---

[1]) Wybory do rady miejskiej krakowskiej odbyły się w sierpniu i natychmiast rada rozpoczęła swe czynności. Prezydentem swoim wybrała znakomitego lekarza, profesora, posła sejmowego d-ra Józefa Dietla.

[2]) Bobrzyński. Z dziejów odrodzenia politycznego Galicyi, str. 14.

[3]) Warto przypomnieć, że Galicya wchodziła wówczas w grę interesów dyplomatycznych. Poseł francuski w Wiedniu, Benedetti, zachęcając Austryę do zawarcia pokoju, miał udzielić wiadomości, że rząd pruski nosił się z zamiarem odstąpienia Galicyi państwu rosyjskiemu, a Czech Napoleonowi. Ile było prawdy w tej wiadomości, brzmiącej dość fantastycznie, sprawdzić tru-

Klęska miała się stać zwycięstwem konstytucyi i autonomii. Grom uderzył w Austryę—straciła prowincyę, musiała się wyrzec przewagi w Niemczech. Jak po Magencie i Solferino okazała się dla niej znowu, ale już gwałtowniejsza, potrzeba szukania oparcia i poparcia u swoich ludów. Następstwem nieszczęśliwej wojny było zupełne przekształcenie się państwa, — ta wojna stworzyła „dualizm," ona doprowadziła do konstytucyi z r. 1867. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Odręczne pismo cesarskie z 13 października składało podziękowanie ludom Austryi za ciężkie ofiary i za „patryotyczny wierny duch ludności," który nawet „wśród najniebezpieczniejszego położenia w znakomity sposób się objawił." Cesarz dziękował Tyrolowi, że cała jego ludność powstała dla odparcia nieprzyjaciela, dziękował Czechom, Morawie, Śląskowi za przyjętą przez nie „postawę," za poświęcenie w pielęgnowaniu rannych i chorych żołnierzy. O Galicyi w piśmie odręcznem nie było wzmianki, choć hr. Kazimierz Starzeński, uniesiony dziwnym, a co najmniej zawczesnym „patryotyzmem" austryackim, sztyftował własnym kosztem oddział krakusów...

Ta wdzięczność cesarza była poniekąd zapowiedzią, że na „otwartej drodze," po przeprowadzeniu zasad dyplomu październikowego, usuniętą zostanie „reszta przeszkód do porozumienia się."

W Galicyi, jeszcze przed odręcznem pismem dziękczynnem cesarskiem, usunięto już jedną z głównych przeszkód, a mianowicie w d. 20 września ustąpił obcokrajowiec namiestnik jen. feld. Paumgartten, a miejsce jego zajął Agenor Gołuchowski. Fakt to pierwszorzędnego znaczenia w dziejach Galicyi i—ugody. Miała ona stać się ciałem—pomost do niej rzucono.

Gołuchowski zgodził się przyjąć powtórnie urząd namiestnika, ale pod następującemi, przełożonemi na piśmie Belcrediemu, warunkami:

1) zniesienie podziału Galicyi (w Krakowie dla zachodniej części kraju, urzędowała osobna komisya namiestnictwa); 2) przeprowadzenie puryfikacyi wśród biurokracyi galicyjskiej, w ten sposób, że Belcredi z góry przyrzecze usunięcie wskazanych urzęd-

dno, ale natomiast jest faktem, że izba handlowa wrocławska, ze względu na korzyści handlowe, wniosła petycyę o przywrócenie rzeczypospolitej Krakowskiej, lub o wcielenie Krakowa do Prus. Junkrzy pruscy również w tym kierunku wywierali presyę na Bismarka. O tym projekcie dzienniki ówczesne szeroko pisały.

ników, a namiestnikowi wolno bez zwracania się do ministra przenosić urzędników z miejsca na miejsce; 3) natychmiastowe oddalenie kilku urzędników, znanych z wrogiego usposobienia względem kraju (Summera, Wolfarta, Henna i t. d.); 4) natychmiastowe zorganizowanie gimnazyów polskich; 5) reorganizacya szkół według potrzeb krajowych i zaprowadzenie katedr polskich na uniwersytecie lwowskim; 6) zaprowadzenie języka polskiego w całej administracyi wewnętrznej kraju; 7) przeprowadzenie nowego katastru; 8) załatwienie spraw serwitutowych; 9) przyjęcie planu postępowania w traktowaniu sprawy rusińskiej; 10) reorganizacya żandarmeryi.

Wszystkie te warunki przyjął Belcredi, żądał jednak, aby język polski w urzędach administracyjnych wprowadzano częściowo, bez hałasu, nie obudzając „pożądliwości“ Czechów i Słoweńców, i ażeby wszystkie akta wysyłane do ministeryów były pisane po niemiecku.

Wiadomość o nominacyi Gołuchowskiego przyjęła Galicya z radością, prawie z entuzyazmem. Poznano się już na nim i wierzono mu Podróż jego po kraju i wjazd do Lwowa były istnym pochodem tryumfalnym. Lwów zajaśniał rzęsistą iluminacyą, a za jego przykładem poszły wszystkie prawie miasta galicyjskie. Olbrzymi korowód z pochodniami otoczył jego pałac przy ulicy Mickiewiczowskiej. Ze wszystkich stron sypały się adresy i dyplomy honorowe; Lwów utworzył stypendyum jego imienia. W tej radości najmniejszy udział stosunkowo brali konserwatyści krakowscy, którzy Gołuchowskiego nie kochali i nawzajem przez niego kochani nie byli.

Mimo to jednak *Czas* nominacyę Gołuchowskiego witał jako krok nie tyle administracyjny, co polityczny, jako dowód, że Galicya rządzona będzie w duchu odpowiednim swoim interesom. Kraków powinien okazać przy powitaniu [1]), że podziela zaufanie całego kraju. Zwracał przy tem *Czas* uwagę, że Gołuchowski właściwie po raz pierwszy będzie dla Krakowa namiestnikiem, bo kiedy za Bacha był Gołuchowski namiestnikiem w Galicyi, w Krakowie istniała inna poniekąd władza (komisya namiestnicza), która choć mu podlegała, ale w znacznej części była niezawisłą, stawała wobec Gołuchowskiego „w charakterze opacznym,“ paraliżowała jego działalność. Również jeden z przyszłych stańczyków, Ko-

[1]) Gołuchowskiego, jadącego do Lwowa, witano na dworcu krakowskim, 20 czerwca.

żmian, nie mógł zaprzeczyć, że nominacya Gołuchowskiego, to „najważniejszy fakt“ chwili, że jest to „koncesya“ dla kraju, że Gołuchowski był „koniecznym, nieuniknionym, powołać go ledwie nie musiano.“ Witał w nowym namiestniku „współrodaka i współobywatela.“ Przyznawał mu niepospolite zdolności, niezmordowaną pracę, żelazną wytrwałość; wspominał, że chociaż pierwszy raz był namiestnikiem, „w czasach wściekłej reakcyi, bezwzględnego despotyzmu i biurokratycznej centralizacyi,“ to mimo ówczesnego systemu „dobre skutki jego rządów, były niezaprzeczone.“ Po wyborze do sejmu w r. 1865 Gołuchowski zajął „przeważne stanowisko wobec wszelkich frakcyj i odcieni sejmowych,“ okazał się „równie patryotycznym posłem, jak zręcznym przywódcą.“ „Wiemy o tem — pisał wreszcie Koźmian — że Gołuchowski, nim był urzędnikiem, namiestnikiem, ministrem, był przedtem Polakiem.“ Swoją drogą ubolewał Koźmian, że stracono miarę w owacyach dla Gołuchowskiego, ironicznie wspominał o „demonstracyach tchnących świeżością uczuć złotego wieku“ [1]).

Te demonstracye gniewały też i Kraszewskiego. Ale pisząc o nich uszczypliwie, zastrzegał się, że nie chce tem ująć nic zasługom Gołuchowskiego. „Nie należy posądzać nas — pisał — o niechęć, albo o złe ocenienie znakomitego męża, dla którego mamy najwyższy szacunek, i to nie od dzisiaj, jak ci, co mu dopiero teraz namyślili się oddać sprawiedliwość“ [2]).

O ile jednak społeczeństwo polskie objawiało, może nawet zbyt entuzyastycznie, swą radość z powrotu do władzy Gołuchowskiego, o tyle w Wiedniu nominacya jego niemało krwi napsuła centralistom, którzy przepowiadali, że z pomocą Rosyi obalą Gołuchowskiego. Mensdorff, minister spraw zagranicznych, stronnik Rosyi, tak był tą nominacyą rozdrażniony, że wkrótce podał się do dymisyi, motywując, że polityka zainaugurowana tą nominacyą, sprzeciwia się jego przekonaniom. Wprawdzie *Debatte*, organ półurzędowy, witała nominacyę Gołuchowskiego wielkim artykułem,

[1]) *Przegląd Polski*, 1866, październik. Jeszcze w r. 1869 drwił sobie Koźmian w tymże *Przeglądzie*, że Galicya w r. 1866 przyjmowała Gołuchowskiego, jakby był Sobieskim lub Kościuszką. Co prawda, Gołuchowski w roku 1869, już nie namiestnik, stracił całkiem łaski w oczach p. Koźmiana, pomimo, że było to właśnie świeżo po największych jego zasługach dla kraju. Ale Gołuchowski był wtedy „solą w oku“ grupy „panów krakowskich“ i przyszłych stańczyków, a to z powodu, że mało sobie z nich robił i bez nich prowadził swoją politykę.

[2]) Rachunki za r. 1866, str. 89,

podnosząc jej doniosłe znaczenie, ale *Neue freie Presse* wściekała się wprost ze złości; nazywała ten fakt „potwornym,“ drwiła sobie z historycznych narodowości. Polemizowała z nią *Presse*, stając w obronie Gołuchowskiego. *Tagesbote*, organ centralistów w Pradze, porównywał Gołuchowskiego z Wielopolskim i zapowiadał, że lada chwila taki sam los go czeka. Galicyę tą nominacyą rozzuchwalono—nie zechce już ona poprzestać na autonomii, ale będzie dążyła do separatyzmu. Szlachetny ten organ pocieszał się tem, że Rosya i Prusy spotkają się na zamku krakowskim w chwili kiedy Gołuchowski będzie chciał godzić Polaków z Rusinami. Wogóle *Tagesbote* uważał, że Austrya wstępuje na niebezpieczną drogę, że marzy o odbudowaniu Polski, o sekundogeniturze austryackiej...

Ale największa burza przeciw Gołuchowskiemu nadeszła ze wschodu. Już w kilka dni po jego nominacyi nadszedł telegram z Petersburga zwiastujący, że nominacya Gołuchowskiego uczyniła tam bardzo złe wrażenie. Mówiono w Wiedniu, że aby zrównoważyć to wrażenie, głównodowodzącym wojsk w Galicyi zostanie Aleksander książę heski, bliski krewny cesarza rosyjskiego[1]). Zaraz potem *Russkij Inwalid*, organ urzędowy, wystąpił z artykułem, w którym w sposób nienawistny traktował nominacyę Gołuchowskiego. Za *Inwalidem* poszła *Correspondance russe*, również organ urzędowy, która podnosiła „nader ważne następstwa“ tej nominacyi, a mianowicie zaprowadzenie języka polskiego jako urzędowego i „przedsięwzięcie środków przeciw duchowieństwu niemieckiemu“ (!). Gołuchowskiego zadaniem będzie (twierdziła *Correspondance*) „przepolszczenie“ ludności ruskiej, a na to Rosya obojętnie patrzeć nie może. Naród „rosyjski“ w Galicyi będzie wydany na łup Polaków, do których „żywi nienawiść“ za ucisk odwieczny. Co za cel oddawać go pod jarzmo polskie? *Correspondance* rozumiałaby, gdyby rząd austryacki dla jedności państwa postanowił ustalić wpływ żywiołu dominującego, gdyby oparł się na Niemcach lub Węgrach, lecz słowiańskiej jej duszy oparcie się na Polakach, było „równie niepojętem, jak niespodziewanem.“

Ale to były dopiero przygrywki do kampanii, która trwała przeszło dwa miesiące. Sam *Inwalid* wydrukował pięć czy sześć artykułów. W jednym z nich dowodził, że „ludność polska w Ga-

[1]) Zabawne jest to, że później zapowiadano tę nominacyę, jako nowe ustępstwo dla Polaków, ponieważ książę heski był krewnym Bosaka-Haukego. Głównodowodzącym został jednak hr. Biquot de Saint-Quentin (nom. 19 list. 1866 r.).

licyi zawsze podstępnie walczyła przeciw rządowi austryackiemu, a teraz ta ludność (o kurza ślepoto!) ma być „pełną nadziei podporą“ Austryi! Lejąc łzy nad położeniem Rosyan (!) w Galicyi, *Inwalid* zapewniał, że Polacy „trudzili się na poprzednich sejmach, aby Rosyanie galicyjscy odrzekli się swej narodowości,“ lecz trud ich był bezowocny—Rosyanie „odrzucili te judaszowe pocałunki.“ Powołując się na świętojurskie *Słowo* (pisane językiem rosyjskim), *Inwalid* wraz z niem przypuszczał, że Niemcy chyba przerazili się tego, iż ludność halicka przyznała się do swej narodowości „rosyjskiej.“ A przecież ta ludność, stwierdzał *Inwalid*, w r. 1848 „w sposób szlachetny wypełniała względem państwa swój obowiązek,“ przecież ona była „główną podporą“ hr. Stadiona przeciw „rewolucyjnym dążnościom Polaków,“ przecież ona zachowała „wierność“ Habsburgom w czasie, gdy Polacy robili powstanie i szli pomagać Węgrom. Nominacya Gołuchowskiego ma cel jasny. Jest to zawistny nieprzyjaciel żywiołu rosyjskiego, który doznawał z jego strony ucisku i prześladowań. Czegóż się więc po nim spodziewać można? W końcu ostrzegał *Inwalid* rząd austryacki, że skoro się Polacy uporają z Rusinami, zwrócą się przeciw Austryi. W innym artykule polemizował *Inwalid* z *Wiener Journal*, który we wstępnym artykule dowodził, że do nominacyi Gołuchowskiego świat przywiązuje wielkie znaczenie, że usprawiedliwioną jest ufność rządu w narodzie polskim, że państwu powinno iść o to, aby nastały „przyjemne stosunki“ między rządzonymi a rządem, że „niema wreszcie lepszego sposobu na spokój Galicyi, jak dbałość o jej szczęście.“ Nie koniec na tem. *Inwalid* z kolei dawał poznać, że może nastąpić „nadwerężenie stosunków,“ a wiedeńska *Zukunft* (nawiasem mówiąc, również organ rosyjski) wzywała wobec tego Austryę, aby cofnęła się z niebezpiecznej drogi. Wreszcie jeszcze parę razy zabierał głos *Inwalid*, dowodząc, że nominacya Gołuchowskiego jest „wyzwaniem rzuconem całemu narodowi rosyjskiemu,“ ba! nawet, że jest to początek dążności oderwania całego księstwa halickiego, całej Rusi, od Rosyi.

To *Inwalid*. W tę samą nutę uderzała ciągle *Correspondance russe*, a wtórowały jej: wspomniana *Zukunft*, *Le Nord* brukselski, *Dziennik Warszawski*, *Moskowskija Wiedomosti*, *Pozor* kronacki, a nawet w korespondencyi z Berlina *Le Monde*, organ katolicki, który jednak wkrótce się pomiarkował i odwołał poglądy swego przygodnego korespondenta [1]). Poszła za nimi i *Norddeutsche allgemei-*

[1]) Ów przygodny korespondent, jakiś katolik rosyjski, chciał poświęcić Polskę dla idei... katolicyzmu w Rosyi, której zaszkodzić mogą rządy Gołu-

ne Zeitung, półurzędowy organ pruski, która z początku zanotowała tylko, że nominacya Gołuchowskiego dowodzi zwycięstwa kierunku autonomicznego, a później z przekąsem twierdziła, iż Gołuchowski uważa Austryę za spadkobierczynię Jagiellonów i zamierza działać w tym kierunku, aby ów spadek odebrała.

Ale to nic jeszcze wobec *Gołosu*, organu rosyjskiego ministeryum oświaty. „Jaśnie wielmożny hrabia Agenor Gołuchowski wraca na godność namiestnika, którą już zajmował“ — temi słowy rozpoczynał się artykuł tego rosyjskiego dziennika. Zrazu nie popularny, stał się on obecnie „naczelnikiem przepadłej sprawy polskiej.“ „Ten magnat polski będzie halicki kraj urządzał w duchu katolicyzmu i polszczyzny.“ Zaprowadzi język polski w szkołach, odda administracyę w ręce Polaków. Ale zawczesny tryumf Polaków, zawcześnie się cieszą, że powstanie na nowo Polska pod berłem Habsburgów. Dalej dowodził *Gołos*, że nominacya Gołuchowskiego, to demonstracya przeciw Rosyi, wskazująca, jak wielką jest siła polskiej intrygi. Po stwierdzeniu tego faktu *Gołos* rozpaczał nad biednymi galicyjskimi „Rosyanami.“ Ale, znów, powtarzał, zawczesny tryumf. „Wymarła narodowość polska nie może odrodzić się“ — całe plemię słowiańskie straciłoby na wskrzeszeniu Polski. Powracając znów do Rosyan galicyjskich, „do okropnego ich ucisku przez tyle wieków,“ wołał w końcu *Gołos*: *Cavant consules!* To jeden artykuł *Gołosu* — w drugim znowu obawiał się on, aby rozpacz nie popchnęła Rusinów do zbrodni stanu, do podniesienia buntu. Więc też wzywał rząd rosyjski, aby zarządził „środki ocalenia Rosyan austryackich od zguby.“ Trzeci artykuł *Gołosu* był jednak najcharakterystyczniejszy, najbardziej zabawny. Galicya, zaręczał, „robiła co mogła, aby zostać rosyjską,“ ale po nominacyi Gołuchowskiego należy zawołać: *finis Galiciae!* „Niema już miejsca dla rosyjskiego imienia i słowa na Czerwonej Rusi, ojczyźnie domu Ruryka.“ *Gołos* tak czarno patrzał, że widział już nawet, jak „za kilka tygodni zamilknie *Słowo* i *Zbornyk naukowyj*.“ Co począć? Rosyjskie ministeryum spraw zagranicznych powinno powiedzieć „stanowcze słowo o rosyjskim narodzie w Austryi.“ Wprawdzie ten naród rosyjski mówi narzeczem, ale sam niedługo uzna, że takie narzecze jest „nieużyteczne i szkodliwe,“ kiedy

chowskiego. Przewidywał straszny ucisk i polonizacyę Rusinów — pisał, że za rządów w Krakowie Gołuchowskiego zorganizowano powstanie w Polsce i niesiono Polakom pomoc (nb. Gołuchowski nie rządził nigdy w Krakowie, a w czasie powstania namiestnikiem był Mensdorff).

istnieje wykształcony, gotowy język rosyjski. Ztąd też *Gołos* oddaje pochwałę lwowskiemu *Słowu*, że pisze w języku rosyjskim, który jest językiem dla wszystkich Słowian, bo nie mają oni innej przyszłości, jak zlać się z narodem rosyjskim. Wprawdzie „narzecza polskie, czeskie, serbskie i t. d. mogą się rozwijać," ale w chwili, kiedy „przychodzi czas na państwo słowiańskie," język rosyjski powinien być dla wszystkich Słowian językiem obowiązkowym.

Jeżeli wogóle nominacya Gołuchowskiego odbiła się silnem echem w całem dziennikarstwie austryackiem i europejskiem (nie wspomnieliśmy o przychylnych tej nominacyi głosach francuskich, angielskich i t. d.), to kampania przeciw niej urządzona przez prasę rosyjską, tak oficyalną, jak i nieoficyalną, oraz przez obcojęzyczne organy rządu rosyjskiego, wychodzące za granicą, nadała jej znaczenie faktu europejskiej doniosłości. Dzienniki wiedeńskie stwierdzały jednomyślnie, że nigdy nie pisano tyle o jakimkolwiek wypadku w polityce wewnętrznej austryackiej, co o nominacyi Gołuchowskiego. Z prasą rosyjską polemizowały: *Patrie, Monde, Opinion nationale, Siècle, Union, Journal des Débats, M. Advertiser* i t. d. *La Patrie* przekonała się z głosów rosyjskich, że Austrya stanowi przednią straż Europy przed Rosyą. *Opinion nationale* twierdziła, że Rosya ogłasza panslawizm już nietylko przeciw Turcyi, ale i Austryi—„niech więc Europa radzi." *Monde* zbijał (po sparzeniu się) wszelkie „urojone pretensye" do Rusinów, wykazywał ich odrębność, pochwalał Austryę za jej sympatye dla Polaków. *Journal des Débats* widział w Gołuchowskim męża, który przywróci dawną unię między Polakami i Rusinami. *Advertiser* wyjaśniał odrębność Rusinów i radził Austryi oprzeć się intrygom rosyjskim. Cała prawie prasa wiedeńska (z wyjątkiem N. Fr. Pressy) ostro a nawet bardzo ostro i to niejednokrotnie odpowiadała pismom rosyjskim, oburzając się, że „uważają one Austryę za wasala." *Wanderer* „gniew Rosyi" uważał za „przestrogę," lecz zapewniał, że Austrya niema się czego wogóle lękać Rosyi, a już co najmniej w sprawie polskiej — gdyż, jeżeliby ją podniosła, to „miałaby niezawodnie całą Europę za sobą." Również silne były odpowiedzi starej *Pressy* i *Debatty*. Ostrzegały one, aby rząd austryacki miał się na baczności przed zamiarami Rosyi — *Presse* nawet oświadczyła, że to mieszanie się w wewnętrzne stosunki obcych państw, dowodzi potrzeby restauracyi Polski, aby raz usunąć tę kość niezgody. Mówiąc o „zachciankach" wszelkiego rodzaju, przypominano, że Bismark w rozmowie z Berendtem w Gdańsku mówił „o pociągnięciu Prus po Warszawę," że chodziły wieści o przymierzu Prus z Rosyą, które pierwszym miało dać Polskę

po Wisłę, a drugiej Galicyę. O tem, że prasa polska tak galicyjska jak poznańska polemizowała z pismami rosyjskiemi, nie potrzeba nawet wspominać. Chyba tyle zaznaczyć należy, że urzędowa *Gazeta lwowska* dała im lekcyę historyi, spokojnie wyjaśniając, że co innego Ruś, co innego Rosya, co innego też Rusini, a co innego Rosyanie [1]).

Tymczasem Gołuchowski udzielał we Lwowie audyencyi Rusinom i tak w rozmowie z nimi, jak i przy innych sposobnościach, zapewniał, że będzie przestrzegał równouprawnienia narodowości i praw służących językowi ruskiemu. Zabawnem jest to, że owemu „wrogowi“ Rusinów zarzucali właśnie Polacy, iż przyczynił się do stworzenia kwestyi ruskiej w Galicyi, nie pojmując, iż przez poparcie szczerych Rusinów i opiekę nad językiem ruskim, Gołuchowski chciał tępić i rzeczywiście tępił panrosyjskie dążności świętojurców. I temu człowiekowi ucisk Rusinów zarzucały pisma rosyjskie, nieuznające ani Rusinów, ani ich „narzecza.“

Kampania przeciw Gołuchowskiemu, powtarzamy, trwała przeszło dwa miesiące. Streściliśmy dotychczas tylko jej pierwszą połowę o drugiej wspomnimy pokrótce. *Inwalid* wciąż polemizował i wytaczał nowe działa. Pomagała mu *Correspondence* ostrzegając, że „koncesye dla Polaków znajdą Rosyę i Prusy gotowemi do współdziałania.“ *Kölnische Zeitung* wspomniała, że Beust (mianowany ministrem spraw zagranicznych 30 października) poświęci Gołuchowskiego Rosyi, co z tryumfem powtórzyły pisma rosyjskie. Mówiono, że ambasador rosyjski w Wiedniu, Stackelberg, czynił rządowi austryackiemu przedstawienie. *Nord. allg. Zeitung* jeszcze 20 listopada pomieściła aż dwa artykuły dowodzące, że stanowisko Gołuchowskiego jest szkodliwe dla Austryi. Przemówił wreszcie *Journal de St.-Petersbourg*, najurzędowszy organ rosyjski. Otrzymał wówczas dymisyę Kaufman, generał-gubernator wileński, a opinia łączyła tę dymisyę z nominacyą Gołuchowskiego. Więc też *Jour. de St.-Pet.* uprzedzał „mylne tłómaczenie, mogące znaleźć podsycenie w podniecaniach prasy zagranicznej a nawet w pewnych czynach spełnionych w bliskości Królestwa Polskiego.“ Tak dyplomatycznie wyrażono swe niezadowolenie. *Journal* zapewniał,

[1]) Warto dodać, że pisma rosyjskie, zaraz po upadku Schmerlinga, a więc na rok przed nominacyą Gołuchowskiego, wystąpiły już przeciw autonomii Galicyi. *Dziennik Warszawski* np. drwił sobie z „autonomicznych zachcianek Galicyi“ i życzenia Polaków przedstawiał jako „rewolucyjne,“ ostrzegając Austryę przed grożącem jej niebezpieczeństwem.

że Rosya nie myśli o żadnej zmianie systemu na Litwie i w Królestwie. Z drugiej strony najurzędowszy organ austryacki *Wiener Abendpost*, zaprzeczał 23 list., aby Rosya czyniła w Wiedniu jakiekolwiek przedstawienia. Cóż dziwnego, że wobec takiego zainteresowania całej Europy, pobyt Gołuchowskiego w Wiedniu w połowie listopada, stał się najważniejszym faktem chwili, że cały Wiedeń miał na niego oczy zwrócone. Nic dziwnego, że *Augsburger Zeitung* zapowiadała na wiosnę powstanie, opisywała „wzburzenie“ Galicyi, w Krakowie widziała „siedlisko nowego ruchu.“ I to wreszcie nic dziwnego, że przez cały grudzień oblatywały całą prasę z najlepszych źródeł wiadomości, że Rosya wzmacnia swe siły w Królestwie, a Austrya na gwałt wysyła wojska do Galicyi i Siedmiogrodu. W bujnej fantazyi publicystów, wojna wisiała na włosku, jako następstwo nominacyi Gołuchowskiego.

Rozpisaliśmy się może ponad miarę o wrażeniu, jakie wywarła nominacya Gołuchowskiego, ale sądzimy, że zyska na tem oświetlenie tego faktu, który w dziejach walki Galicyi o autonomię bodaj czy nie był najwięcej błogim w następstwa [1]).

II.

Tymczasem w Wiedniu gabinet Belcrediego walczył z coraz więcej piętrzącemi się trudnościami.

Przechodziłoby zakres naszej pracy, gdybyśmy chcieli szczegółowo opisywać te trudności. Wspomnimy tylko, że ugoda z Węgrami, dla której zawieszono konstytucyę, nie posuwała się naprzód. Jednocześnie centraliści dążyli wszelkiemi siłami do podkopania Belcrediego. W rocznicę patentu wrześniowego, dzienniki włożyły na prezydenta ministrów całą odpowiedzialość, że rok cały minął a sytuacya się nie wyjaśniła. Nawet autonomiści, którzy z zapałem powitali Belcrediego, zaczęli powiększać zastępy jego przeciwników. Zarzucano mu połowiczność, brak jednolitości

[1]) Fr. Ks. Abancourt (Era konstytucyjna austro-węgierskiej monarchii, Kraków, 1881) wspomina, że sama nominacya Gołuchowskiego z trudem została przeprowadzoną, „mimo intryg, na które składali się Rusini, ambasada rosyjska i niektórzy z *naszych panów* i mimo, że nici tych intryg, zbiegały się i znajdowały poparcie u dworu przez wysokiego dostojnika, dążącego do obalenia samego Belcrediego“ (str. 84). Abancourt był zbliżony do Gołuchowskiego, zapewne więc od niego posiadał tę wiadomość.

działania, mówiono, że zdawał się być zwolennikiem federalizmu, a stanął na progu dualizmu. Sejmy niemieckie lub z większością niemiecką występowały silnie przeciw patentowi wrześniowemu; żądania innych sięgały za daleko. Niemcy urządzali przeciw ministeryum cały szereg demonstracyj, co znowu zmusiło Słowian do zwołania kongresu słowiańskiego. Zamęt był ogólny—niezadowolenie rosło. Niepowodzenia wojenne nie mogły również otoczyć urokiem rządu, choćby, jak w tym wypadku, nie ponosił on żadnej winy. „Ministeryum obecne—pisał Popiel—musi walczyć z dwoma potężnymi przeciwnikami: z ustrojem biurokratycznym i ze stronnictwem rewolucyjnem, którzy ostatecznie są do siebie podobni, bo tak jeden, jako i drugie, stawiają i wkładają na ludność dowolny systemat“ [1]). *Czas* główną winę niepowodzeń Belcrediego przypisywał biurokracyi, „która jest większą przeszkodą, niż sprawa węgierska.“

Co więcej, pod bokiem Belcrediego wyrastał silny rywal, który dążył do zajęcia jego stanowiska. Na horyzoncie austryackim ukazała się gwiazda Beusta, który jeszcze będąc pierwszym ministrem saskim, za wpływem następcy tronu saskiego, zbliżył się do austryackich sfer dworskich i wszedł w porozumienie z Węgrami, a zwłaszcza z Juliuszem Andrassym, upatrzonym już przyszłym prezydentem przyszłego gabinetu węgierskiego. Beust był nieprzyjacielem Prus (Saksonia była sprzymierzeńcem Austryi w nieszczęśliwej wojnie), co również robiło mu dobrą markę na dworze wiedeńskim—pozyskał też jego zaufanie i wzbudzał wiarę, że stanie się dla Austryi tym mężem stanu, który ją wyprowadzi z ciemnego labiryntu na drogę jasną i prostą.

Centraliści spodziewali się, że Beust natychmiast zajmie miejsce Belcrediego, ale na razie nadzieje ich zawiodły. Beust zastąpił tylko Mensdorffa na stanowisku ministra spraw zewnętrznych (30 października). Za przyczyną jego układy z Węgrami, szły coraz pomyślniej. 17 listopada reskrypt cesarski, ogłoszony przy ponownem otwarciu sejmu węgierskiego, przyjął elaborat tegoż sejmu za podstawę do układów.

W takiej chwili przełomowej, zapowiadającej nowy dualistyczny ustrój państwa, został zwołany na dzień 19 listopada sejm galicyjski.

Otworzył go marszałek przemową, w której przedewszystkiem podniósł, że najważniejsze uchwały poprzedniego sejmu uzyskały

[1]) Popiel. List do ks. Jerzego Lubomirskiego.

sankcyę monarszą,—nie została załatwiona jedynie prośba o kanclerza, ponieważ wchodzi ona w zakres ogólnej organizacyi monarchii. Natomiast spełniono ważne życzenie kraju: „namiestnikiem został mąż zasłużony, na tej ziemi wzrosły, rozumiejący nasze potrzeby.“ To też kraj powinien dowieść, „że rząd nie zbłądził, dając mu namiestnika w osobie rodaka; spodziewać się należy, że zbytnią niecierpliwością i przesadnemi żądaniami nie utrudni i tak ciężkiego zadania namiestnikowi.“ Dalej Sapieha wspomniał, że nadchodzi chwila reorganizacyi monarchii. „Dotąd zmuszeni byliśmy słuchać praw pisanych przez obcych dla obcych,“ a wszelkie prawa przez władze czy parlamenty pisane, „jeżeli nie pochodzą z pnia narodowego są uciskiem“ (*oklaski*). Przyszła organizacya państwa oprze się na podstawach narodowych—organizacya kraju wkrótce będzie przeprowadzona na zasadach uchwałami sejmu przyjętych. W końcu wskazał marszałek potrzebę organizacyi sądownictwa na podstawie zupełnego rozdziału władz politycznych i sądowych — i wniósł zwykły trzykrotny okrzyk na cześć cesarza.

Zaraz po marszałku przemówił Gołuchowski. Pierwszy to raz namiestnik cesarski witał sejm mową polską — był to znak widomy, że sejm wstępuje w okres prawidłowej autonomii. Mowa Gołuchowskiego była pełna „serdeczności prawdziwie polskiej,“ jak to przyznawali nawet jego przeciwnicy. Wspomniał naprzód, że już poprzednio przez dziesięć lat pełnił obowiązki namiestnika. Znane mu są trudności tych obowiązków, dlatego wahał się, czy je podjąć na nowo, obliczał się z siłami. Na decyzyę jego wpłynęła zarówno „życzliwość, jakiej doznał w przeszłej sesyi sejmowej od współtowarzyszy, jak objawione z wielu stron żądania, wreszcie zaufanie monarchy.“ Obiecuje działać sprężyście — prosi o radę i pomoc. „Klęski długoletnie powinny nas przekonać, że tylko w trwałem zespoleniu z monarchią austryacką, z którą nas połączyła Opatrzność, znajdzie kraj trwałą pomyślność. To przekonanie rozpowszechniając się i zakorzeniając coraz silniej i szerzej spotęguje wzajemne zaufanie między rządem a krajem i wyda zbawienne owoce.“ Następnie przedstawiwszy manifest cesarski z 13 października, preliminarz budżetu indemnizacyjnego i projekt zmiany dwóch paragrafów ustawy wyborczej—zapewnił Gołuchowski, że to „braterskie powitanie,“ to przyjęcie, jakiego doznał w całym kraju od Wisły do Dniestru, skłoni go do tem gorliwszej pracy i każe mu wobec wybrańców kraju wynurzyć głośno wdzięczność za tę życzliwość i zaufanie, które w chwili skonu, jako „najdroższy skarb“ zostawi swym dzieciom w spuściźnie.

Ze sprawozdania Wydziału Krajowego dowiedział się sejm, iż Wydział odebrał już pod swój zarząd większą część funduszów i zakładów krajowych a mianowicie: a) fundusz krajowy w ścisłem znaczeniu, b) szpitale i zakłady dobroczynne w Krakowie i we Lwowie, c) zakłady poprawcze i krajowy fundusz policyjny, d) fundusz mogiły Kościuszki, e) fundusze stypendyalne, kultury krajowej i indemnizacyjne. Na wniosek Zyblikiewicza wybrano pierwszy raz komisyę sejmową do sprawozdania Wydziału Krajowego, aby sejm mógł ocenić działalność tej instytucyi.

Na pierwszych posiedzeniach po załatwieniu spraw formalnych nastąpiła weryfikacya uzupełniających wyborów na miejsce posłów, którzy zmarli, lub których wybór unieważniono. Wśród nowych posłów zasiedli: popularny adwokat lwowski Rodakowski, znany już nam jako kontrkandydat Gołuchowskiego we Lwowie, wybrany obecnie w Tarnopolu, Euzebiusz Czerkawski prof. filozofii uniwersytetu lwowskiego, jeden z najtęższych polskich pedagogów i najwybitniejszych później członków Koła Polskiego w Wiedniu, wreszcie Józef Majer, prezes Krakowskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, który zresztą zasiadał już raz w sejmie, ale jedynie jako „wirylista“ a mianowicie z urzędu rektora Almae Matris Jagellonicae.

Nastąpiło odczytywanie i uzasadnianie różnych wniosków i petycyj, przerywane interpelacyami, wyborami komisyj i załatwianiem spraw gotowych już do dyskusyi i uchwały. O ważniejszych wspomnimy osobno, zostawiając na razie pierwszeństwo dyskusyi adresowej.

Na znane nam pismo odręczne cesarskie z d. 13 października, składające podziękowanie „ludom“ za ich patryotyzm podczas wojny, postanowił sejm odpowiedzieć adresem do tronu. Wprawdzie na razie po zebraniu do sejmu większość zdawała się być przeciwną adresowi, obawiano się bowiem, czy wobec niepewności położenia (losy ugody z Węgrami nie były jeszcze zdecydowane, wejście Beusta do gabinetu kazało się spodziewać zmian w polityce wewnętrznej) „wypada się wiązać stanowczem orzeczeniem swoich zasad“ [1]). Przeważało zdanie, że lepiej zająć stanowisko wyczekujące. Kiedy jednak inne sejmy pospieszały z adresami, które były jakoby „odprawioną przed tronem dysputą kierunku centralistycznego i autonomicznego,“ uznano, że nie stanąć przy swojej chorągwi, nie podnieść głosu w obronie swojej zasady, nie postarać się o pewien wpływ na umysł monarchy i na decyzyę

[1]) Tarnowski. O adresie sejmu galicyjskiego.

korony, byłoby to opuścić pole walki w chwili dość gorącej, jeżeli nie stanowczej.“

Dla zrozumienia jednak dyskusyi nad adresem, trzeba go przytoczyć w streszczeniu, podając dosłownie główniejsze jego ustępy.

Adres zaznaczał naprzód, że wśród krwawych bojów, niósł i nasz kraj krew synów swoich w ofierze i objawiał gotowość do poświęceń. Zaledwie ucichł szczęk broni, otworzył monarcha manifestem z 20 września na nowo drogę do założenia podwalin nowej budowy konstytucyjnej. Skoro nadejdzie pora, sejm z „ufnością i otuchą“ przystąpi do „zadania przekazanego“ reprezentantom Królestw i krajów w przekonaniu, że „prawa i dziejowe tradycye“ krajów uznane w dyplomie październikowym (1860) „dojdą do pełnego znaczenia“ a orzeczenie ludów, wypowiedziane głosem reprezentantów, ten „skutek otrzyma,“ że niepodobnym się stanie już system centralizacyi, „która paraliżując siły żywotne ludów, podkopywała i wątliła to, co stanowi całego państwa potęgę.“ System ten był przyczyną cierpień naszych i klęsk państwa. „Austrya zaś powinna być silną i potężną—jej całość będzie zabezpieczoną, jej pomyślność i potęga wzmagać się będzie w miarę, jak przez zewnętrzne ukonstytuowanie krajów koronnych rozwijać i wzmagać się będą na dziejowych i narodowych podstawach wszystkie ich moralne i materyalne siły.“ Zadanie jest trudne — ale kraj czeka z nadzieją spełnienia wielkomyślnych zamiarów monarchy. W tej nadziei utwierdza sejm „sankcya udzielona wielu pracom,“ wybór na namiestnika „męża wzrosłego wśród nas i znającego nasze potrzeby i stosunki,“ wreszcie zaufanie „w szczerość zamiarów obecnych doradców korony.“ Sejm wierzy, że „w moc opatrznego przeznaczenia i wiedziona dziejów koniecznością Austrya, aby być i silniej niż kiedy zakwitnąć, będzie w wewnętrznym swym ustroju najmocniejszym wyrazem poszanowania wolności, a na zewnątrz tarczą cywilizacyi, praw narodowości, ludzkości i sprawiedliwości.“ W tem posłannictwie nie zostanie ona odosobnioną — takie posłannictwo było dziełem naszym przez długie wieki. „Bez obawy więc odstępstwa od myśli naszej narodowej, z wiarą w posłannictwo Austryi i z ufnością w stanowczość zmian, które Twoje monarsze słowo, jako niezłomny zamiar wyrzekło, z głębi serc naszych oświadczamy, że *przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy*“ [1]).

[1]) Zwracamy uwagę, że autorstwo tego hasła, tych słów, które stały się historycznemi, przypisywane jest tak zw. staniczykom (czemu oni w skro-

Te ostatnie słowa były przez długie lata i są dziś jeszcze niewyczerpanym tematem do drwin ze strony przeciwników bezwzględnej lojalności. Czy słusznie? — nie sądzimy. Cała treść adresu, cały jego nacisk, położony na zaufaniu „w wielkomyślne zamiary“ monarchy, wskazują chyba jasno, co znaczyły słowa: „przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy.“ A nie mówiono dalej: „i stać zawsze będziemy,“ lecz „stać chcemy,“ to znaczy: od Ciebie N. Panie, od kierunku Twoich rządów zależy, abyśmy zawsze przy Tobie stali; chęci mamy najlepsze, daj nam możliwość ich spełnienia. To nie bezwzględne zaprzedanie się, nie lojalność zawsze i wszędzie na każdy wypadek,—to przeciwnie: wyraźne postawienie warunku. Dziś ci wierzymy — mówiono do monarchy — że uszanujesz nasze prawa, że pozwolisz na rozwój naszej autonomii, że będzie poszanowaną wolność, że Austrya spełni swe posłannictwo, stanie się tarczą cywilizacyi, sprawiedliwości i t. d., a więc „bez obawy odstępstwa od naszej myśli narodowej“ oświadczamy, że „stoimy przy Tobie“ i że „stać chcemy“ wierząc w Twe „niezłomne zamiary.“ Gdzie tu owo służalstwo, które wiecznie zarzucano adresowi, a i dziś zarzucają ludzie, którzy go nigdy nie czytali i ze słów wyrwanych z całości, będącej w ścisłym ze sobą związku, formowali akty oskarżenia? Może się mylimy, ale zdaje nam się, że adres ten, pełen godności i męskiej powagi, odpowiadał zupełnie uczuciom rozumnych i kochających swój kraj obywateli.

Nie tak się przedstawiał projekt drugiego adresu, bo był i drugi, ułożony i wniesiony przez Rusinów. Rozpoczynał się on wzmianką o nieszczęściach, jakie Austryę dotknęły i o „żertwach,“ jakie ludy Austryi poniosły, a za które cesarz podziękował w swym manifeście. „Uszczasływłennyje tymy oteczeskymy czustwamy“ członkowie sejmu składają nawzajem podziękowanie u „stupenej preświtłoho prestoła,“ zaręczając, że wszystkich przejmuje „iskrennijsza predannist i nekołebyma wirnist' k'Waszomu Wełyczestwu i k'bohospasemnoj dynastyi Habsburśkoj.“ Była potem mowa o „rozpłamenennym patryotyzmie,“ o potrzebie gojenia ran, ale według autorów adresu „doteperyszne prawytelstwo daremno trudytsia zahoity ich wedła teperyszuoj systemy.“ Było to więc wyrażenie niezadowolenia z rządów Belcrediego, który łamał prądy centralistyczne i przeprowadzał autonomiczne zasady. Wyraźniej

mności swej nie zaprzeczają), choć „bractwo“ stańczyków, jak już wspomniano, dopiero w kilka lat później się zawiązało, a przyszłych jego założycieli nie łączyła jeszcze żadna myśl polityczna.

o tem jeszcze mówiły słowa, że „nowijszyi sobytyja i preobraženyja w naszym kraju“ (miano na myśli nominacyę Gołuchowskiego) budzą obawę o przyszłość. Pogodzą się ludy—opiewał dalej adres—ale w naszym kraju „hde dwi narodnosty meży soboju borut'sa,“ potrzeba kogoś, coby godził, a więc na gwałt należy zwołać parlament, na podstawie ustaw zasadniczych z 26 lutego 1861 r. (schmerlingowskich, centralistycznych). Ta reprezentacya będzie godziła, ta każdemu prawo wymierzy, ta zapobiegnie „oskorbłenju jednoj narodnosty czeres druhu.“ W końcu adres żądał, aby autonomia była dana „z uwzhladnenjem oboh narodnostej,“ a więc mają być osobne kurye i dwa wydziały krajowe.

Zanim jeszcze ów ruski adres żądający „dla zgody“ podziału kraju, a dla wolności—powrotu do centralizmu schmerlingowskiego, został odczytany i wniesiony przez X. Dobrzańskiego (później nazywał się Dobrianskim), już wygłosili swoje poglądy na sytuacyę dwaj wybitni mówcy, Rodakowski i Leszek Borkowski.

Pierwszy z nich miał mowę polityczną w szerszym stylu. Słusznie zauważono, że gdyby przemawiał nie w skromnej izbie prowincyonalnej, lecz w Paryżu lub Wiedniu, głos jego silnie odbiłby się w opinii europejskiej, a może nawet w opinii rządzących mężów stanu.[1]) Mówca wskazywał na posłannictwo Austryi, na to, że powinna stać się państwem słowiańskiem i walczyć przeciw rywalizującemu z nią mocarstwu siłą moralną wolności; powinna ona szczepom słowiańskim wskazać nowy dla ich rozwoju kierunek, aż przyjdzie czas na walkę materyalną. Rodakowski rozwijał i komentował ze stanowiska historycznego i politycznego dwie główne myśli adresu, t. j. łączność sprawy polskiej z istnieniem i potęgą Austryi, oraz leżącą przed nią konieczność, starcia się z innemi mocarstwami przy oparciu się na wolnych, równouprawnionych narodowościach. Następnie poddał krytyce prąd centralistyczny.

Leszek Borkowski wygłosił mowę nawskroś pesymistyczną. Według niego konstytucye i przeobrażenia polityczne będą ziarnem zmarnowanem tam, gdzie jest w kraju ogólna nędza; nie dość jest przesadzić instytucye europejskie, trzeba mieć do tego grunt przygotowany. A w kraju coraz gorzej, do czego się przyczynia „finansowy potwór należytości pośmiertnych.“ Rząd jest zdzierczy, skarb pusty, sądy karne zapładniają zbrodnie, panuje rozżarzona gorączka komunistyczna, wszędzie zausznictwo, kra-

1) Tarnowski. O adresie sejmu galicyjskiego.

dzież, rozboje, służalstwo. „Na spodzie szorstka ciemnota, z wierzchu wypolerowane zgniłki.“ Austrya niema ani jednego męża stanu, ani jednego wodza—„nic jej nie pomogą odkolbowe karabiny.“ Potrzeba zmian radykalnych. Orzeł dwugłowy austryacki trzyma się dwulicowej polityki: jedną głowę skłania ku Niemcom, a drugą teraz łaskawie patrzy na Słowian. Następnie mówca silnie występował przeciw panowaniu języka niemieckiego, poczem wspomniał, że dawniejsza polityka zrobiła naród małoruski, „utworzyła pośrednią istotę, syrenę, która dziś wabi do siebie Polaków i Rosyan.“ Mówca zadowolony jest jedynie z namiestnika rodaka, bo namiestnik jest nam pożyteczniejszy niż kanclerz, którego przeszły sejm się domagał; „proszono Najjaśniejszego Pana, aby poseł Krzeczunowicz, jak przyjedzie do Wiednia, miał z kim porozmawiać.“ Co do samego adresu, zapomina on o żądaniu przywrócenia praw politycznych osobom amnestyonowanym za udział w wypadkach r. 1863. Wiadomo, że ci, których amnestya dotyczy, a którym praw politycznych nie przywrócono, przekroczyli prawo w okolicznościach nadzwyczajnych; „wtedy kto był poszlakowany, usprawiedliwiał się przed sądem, a kto nie był poszlakowany, ten usprawiedliwiał się wobec własnego sumienia, dlaczego poszlakowany nie jest.“

W tem miejscu X. Dobrzański przeczytał i poparł streszczony powyżej adres świętojurców, żądając przejścia do porządku dziennego nad adresem większości.

Po nim Adam Potocki zaznaczył, że dzisiejszym adresem wstępujemy w szranki przeciw centralizacyi. Mowa Potockiego była odpowiedzią na zarzuty sejmów niemieckich, które stając w obronie systemu schmerlingowskiego dowodziły, że zawieszenie przez Belcrediego konstytucyi lutowej, było powodem klęsk zewnętrznych Austryi i jej wewnętrznych niedomagań. Za klęski wojenne nie może odpowiadać rząd, który w ich przeddzień objął władzę — w administracyi politycznej zaś nic się jeszcze nie zmieniło, wciąż trwają dawne czasy. „System centralistyczny, którego rzeczywistym celem znieść i zrównać wszystko, z czego się składa odrębność i właściwość poszczególnych krajów Austryę składających, a narzucając im język i charakterystykę jednego szczepu, ukuć wszystkie na jedno kopyto, wlać do jednej formy, który w przeprowadzeniu tych celów używa jako broni, wolności politycznej — system ten nie może być ani szczerością, ani prawdą.“ Fałszywe są zarzuty, jakoby przeciwnicy centralizacyi, byli przeciwnikami wolności; „oni są tylko wrogami wolności udanej, kłamstwa wolności.“ Kłamstwem była ta konstytucya, która do-

puszczała, że ministrowie z trybuny głosili przedawnienie praw, że dawali przewagę jednej narodowości nad drugą, że „pewnym narodom odmawiali w ich życiu krajowem owych oznak wewnętrznego życia narodowego, bez których żaden naród obejść się nie może.“ Dzisiejsi doradcy korony okazują zacność charakteru i szczerość zamiarów, więc choć położenie nasze się nie zmieniło, mamy do nich zaufanie.

Z przemówienia następnego mówcy Ludwika Wodzickiego należy przytoczyć ustęp następujący: „Oddajemy się Austryi, ale się jej nie zaprzedajemy; byłoby wielkiem nieszczęściem, gdybyśmy w przyszłości mieli przejść do opozycyi, są jednak położenia, w których, pozostając zawsze wiernymi poddanymi, zrobićbyśmy to musieli. *Żadne naprzykład względy nie zniewoliłyby nas do wzięcia powtórnie udziału w fikcyi politycznej, która się nazywała ciaśniejszą Radą Państwa.*“

Po Wodzickim zabrał głos ks. Naumowicz. Naturalnie żądał przejścia do porządku dziennego nad adresem większości. „Bolszyst'“ Polska jest w sejmie, „bolszyst'“ jest w Wydziale, więc i adres napisany jest ze stanowiska czysto polskiego. A przecież ten uciśniony naród ruski, którego nie chcą dopuścić do głosu, był „wsehda twerdym murom“ państwa austryackiego. Mówca przypominał, że w r. 1848 monarcha, „aż tohdy spokojno usnuł, koły dowidawsia, szczo jeho stereżut ruśki połki.“ Na kartach dziejów galicyjskich świecą „zwezdamy perwoj wełyczyny imena duchownych naczalnikiw: Harasiewiczyw, Lewickich, Snihurskich, Jachimowiczyw,“ jako wzory „twerdoho i niczym nieustraszymoho awstryjskoho patryotizmu.“ Chwalił następnie Naumowicz Schmerlinga, że za niego władał w kraju „jakijś zakon, a nyni władije samowola.“ Jeśliby spełniły się życzenia Polaków, „ne ostałoby nam istynno nyczoho bilsze, jak opustyty ridnyj kraj i z Austryi wywendrowaty“ (głosy: do „Chołma!“ — z lewej: to nasz Paryż— *śmiech, brawo*). Za namiestnika nie mają powodu Rusini dziękować, bo by ubliżyli Mensdorfowi, który pozostawił po sobie świetną pamięć, uzyskał wielką popularność. Rusini w swoim czasie, z powodu jego nominacyi wysyłali „adresy błagodarenja.“

Świetnie odpowiedział Naumowiczowi Krzeczunowicz. Przypomniał między innemi, że przy uchwalaniu ustawy gminnej Polacy razem z chłopami ruskimi głosowali za tem, ażeby wybór wójtów nie ulegał zatwierdzeniu urzędowemu — świętojurcy zaś chcieli tego zatwierdzenia, ażeby wójci byli zależni od rządu. Któż więc przemawiał za waszą wolnością? — pytał wśród oklasków Krzeczunowicz.

Zyblikiewicz wystąpił przeciw adresowi mniejszości, wychodzącemu niby od ruskiego narodu. Ma prawo temu zaprzeczyć, bo i pochodzeniem i obrządkiem do narodu ruskiego należy. „Wszystkie narodowości doświadczywszy dobrodziejstw Reichsrathu odrzucają go, wiedząc, że oznacza on hegemonię Niemców. Tymczasem mniejszość w sejmie woła do monarchy: daj nam Reichsrath, który nie na Polaków tylko, lub na Rusinów, ale na cały nasz kraj tyle a tyle nieszczęść sprowadził.“ Autorowie adresu nanowo naród ruski pod jarzmo poddają, domagając się tej nieszczęsnej konstytucyi. Tkwi w tem wielka nieszczerość, bo wiedzą o tem, że pęta kują swemu narodowi. Naumowicz między innymi twierdził, że niema środka, ażeby adres mniejszości był znany monarsze — ależ ten adres czytany był w południe, a więc teraz wieczorem zna go z telegramów nietylko monarcha, ale cała Austrya, „która dziwi się, że naród ruski sam na siebie domaga się bicza.“ „I ja jestem Rusinem, a za mną pewnie więcej stoi Rusinów niżeli za autorami adresu — jako Rusin też własnem i współwyznawców imieniem wypieram się tego adresu i dlatego jedynie głos zabierałem.“

Przemawiał następnie Grocholski, wykazując fałszywość świętojurców. Przypominał, że na pierwszym sejmie zawarli oni sojusz z Polakami przy wyborach delegacyi do Rady Państwa. Polacy głosowali na tych, których sami Rusini wskazali, a natomiast mieli iść razem w Radzie Państwa, nie wytaczać przed nią sporów narodowościowych. „Ulegliśmy też waszej prośbie i nie pojechaliśmy do Wiednia z powodu waszych świąt, a wy pojechaliście, złamaliście umowę, połączyliście się z centralistami. Gdy was pytano, dlaczego nas niema, jeden z was powiedział, że Polacy muszą mieć powody polityczne, kiedy do Rady Państwa nie przybyli. Później był i taki co mówił w Wiedniu, że Rusinom nie zawadza stan oblężenia (1864)... Historya nas osądzi... Nie podoba wam się sankcya ustaw przez sejm uchwalonych, ale wy je razem z nami robiliście, wy ich chcecie — gdyby nie wy, byłyby one inaczej wypadły.“

Oryginalnem było przemówienie posła Szemelowskiego, który wystąpił jako Rusin i był wśród ludu ruskiego w swojej okolicy bardzo popularny. Naprzód mówił po polsku, zaznaczając, że ogół Rusinów uważa adres ruski za adres pewnej frakcyi. W dalszym ciągu swego przemówienia zwrócił się po rusku do włościan ruskich. „Borba“ — mówił — między Polakami a Rusinami została sztucznie dla interesu wywołaną. „Polaki perszy buły, co pańszczyznu darowały (głosy: cisar darowaw!). Jak choczete, to ne

wirte — a ja wam skazaw, że prawdu wam powim. Otże prawda, że najpersze pany darowały, a w misiać czy dwa, priszow patent od Najjaśnijszoho Pana.“ Mówią tutaj wciąż o prześladowaniu narodu ruskiego. Gdzie są na to jakie fakta? — czyż nie radzimy nad wspólnem dobrem, czyż nie uchwalamy „żeby hromady same radyły, żeby mały lipszi szkoły.“ W naszym adresie niema żadnych podziękowań, bo „szcze nema za szczo...“ „Woźmit to sobi na rozum chłopski...“ Mówca wie, że słowa jego zapewne nie przekonają zbałamuconych, bo „pip swoje, a did'ko swoje.“

Przemówił i komisarz rządowy przeciwko pretensyom Rusinów. „Żądać od ministeryum, aby dla mniejszości w Wysokiej Izbie wyrobiło znaczenie większości, jest to żądać rzeczy niemożliwych. Rząd nie chce stawiać jednej narodowości nad drugą, nie chce też żadnej upośledzać. Gdzie, w czem to upośledzenie?— nikt bezstronny nie dostrzeże jego ani śladu.“

Przemówił jeszcze Kraiński w odpowiedzi Borkowskiemu na żądanie, ażeby do adresu wprowadzić ustęp o przywróceniu praw politycznych amnestyonowanym. Myślała o tem komisya, ale ponieważ jest to już życzenie szczegółowe, więc sprawa będzie osobno traktowaną.

Przystąpiono do głosowania. Za wnioskiem Dobrzańskiego, o przejście do porządku dziennego nad adresem większości, oświadczyło się zaledwie 23 posłów, a więc nie głosowali nawet wszyscy Rusini. Przystąpiono następnie do dyskusyi szczegółowej nad pojedyńczemi ustępami adresu. Rusini chwycili się zabawnej, powszechną wesołość budzącej taktyki. Co który ustęp został przeczytany — X. Kaczała, X. Łoziński lub X. Pawlikow stawiał do niego poprawkę w ten sposób, ażeby ustęp przeczytany wykreślić, a w miejsce jego wstawić ustęp z adresu ruskiego. Była to obstrukcya śmieszna, bo do niczego nie prowadząca. Naturalnie, że wszystkie owe poprawki upadały, a tylko przy sposobności ten lub ów z posłów dawał jeszcze nauczkę Rusinom. Tak np. Zyblikiewicz podniósł, że Rusini chcą udzielić nagany rządowi, za stosowanie polityki lutowej i wykazywał szczegółowo jak ich życzenia są zgodne z tem, co mówili i uchwalali centraliści w sejmie niższo-austryackim. I oni również chcieli powrotu do konstytucyi z 26 lutego, oświadczając wyraźnie, że konstytucya ta dawała w Monarchii przewagę Niemcom i stawiała ich wyżej nad inne narodowości. Adres ostatecznie przyjętym został w dniu 10 grudnia 84 głosami przeciw 40. Wstrzymali się od głosowania: chłop ruski Łobkaluk i Rodakowski.

Grocholski postawił wniosek, aby adres do cesarza zawiozła osobna deputacya. Marszałek wyznaczył do niej arcybiskupa Wierzchlejskiego, Alfreda Potockiego, Ludwika Skrzyńskiego, Dietla, Grocholskiego i Kraińskiego. Wierzchlejski wymówił się niepomyślnym stanem zdrowia. Cesarz, na adres, odczytany przez deputacyę, odpowiedział, iż przyjmuje zapewnienie wierności z tem większem zadowoleniem, że wie, iż ono „jest prawdziwym wyrazem sposobu myślenia ludu, który w trwałym związku z moim domem i mojem państwem z dawien dawna upatrywał ubezpieczenie swoich prawdziwych materyalnych i moralnych interesów, oraz rękojmię swego swobodnego rozwoju.“

Rozpisaliśmy się stosunkowo dość szeroko o dyskusyi nad adresem, ponieważ był on podstawą tego kierunku politycznego jaki przyjęła Galicya, popierając wszystko, co mogło się przyczynić do potęgi państwa austryackiego, z wiarą w posłannictwo Austryi, jako tarczy cywilizacyi na Wschodzie i „bez obawy odstępstwa od myśli narodowej.“

Sejm załatwił jeszcze sporo spraw innych. Uchwalono petycyę o opuszczenie skutków kary skazanym na podstawie wyroków sądów wojennych z 1864; odesłano do Wydziału krajowego wniosek o zniesienie propinacyi i założenie Banku krajowego; uchwalono żądać ulgi podatkowej dla Krakowa i Lwowa, oraz zniesienia przepisów, ograniczających wolność dzielenia i łączenia gruntów; przypomniano Wydziałowi krajowemu, ażeby przyszedł z gotowemi wnioskami co do zastąpienia języka niemieckiego w szkołach, administracyi i sądownictwie, językiem polskim i ruskim i t. d. i t. d. Najważniejsze jednak uchwały zapadły w sprawach szkolnictwa.

Wydział krajowy przyszedł z dwoma projektami: zaprowadzenia Rady szkolnej krajowej i ustalenia języka wykładowego. Pierwszy z tych projektów, będący następstwem wniosku Dietla na sejmie r. 1861, ustanawiał dla wszystkich szkół, z wyjątkiem uniwersytetów i akademij, Radę szkolną, jako najwyższą władzę w sprawie oświaty. Do instytucyi tej miały należeć: a) zarząd administracyjny i umiejętny wszystkich szkół w zakresie dotychczas przyznanym władzom politycznym; b) zatwierdzanie planów naukowych, przez zgromadzenie nauczycielskie układanych; c) administracya wydawnictw szkolnych i zatwierdzanie podręczników; d) coroczne składanie sejmowi sprawozdania o stanie wychowania publicznego; e) przekładanie sejmowi projektów do ustaw i uchwał tyczących się oświaty. W skład Rady szkolnej wchodzić mieli: namiestnik, referent dla spraw administracyjnych, dwóch

inspektorów szkolnych, przez namiestnika mianowanych, dwóch duchownych z nominacyi monarchy, dwóch posłów przez sejm wybranych, dwóch delegatów rad miejskich krakowskiej i lwowskiej, i trzech członków stanu nauczycielskiego na propozycyę Wydziału krajowego zatwierdzanych przez monarchę.

Projekt o języku wykładowym składał się z dwóch punktów. Pierwszy ustanawiał, że językiem wykładowym w szkołach ludowych, będzie język wybrany przez gminę, jeżeli nie postanawia inaczej jaka fundacya prywatna; drugi punkt, prawo wyboru języka w prywatnych szkołach średnich, przyznawał tym, co szkołę utrzymują, a więc korporacyom, instytucyom, gminom lub osobom prywatnym. Oba te projekty zostały przyjęte i przedstawione do sankcyi cesarskiej.

Prócz tego Dietl postawił kilka wniosków w sprawach szkolnych, a mianowicie: a) powiększenia ilości szkół powtarzań, b) założenia seminaryów nauczycielskich, c) powiększenia płac nauczycielom ludowym i przyznania im emerytur, d) wezwania namiestnictwa, aby rząd zorganizował instytut techniczny w Krakowie i ustanowił komisyę egzaminacyjną dla kandydatów na nauczycieli gimnazyalnych. Motywując swoje wnioski, powiedział Dietl między innemi: pieniądze, które wydacie na rzecz oświaty, nie są wydane, tylko pożyczone, bo oświata, to najrzetelniejszy dłużnik; oświata, która rodzi wolność, moralność i zamożność, wynagrodzi z lichwą pieniądz na jej rzecz wypożyczony.“ Wnioski Dietla przekazano Wydziałowi krajowemu.

Interesujące szczegóły wyszły na jaw przy wniosku Rydzowskiego o uzyskanie u rządu potwierdzenia zapisu Pelagii Rusanowskiej, na rzecz domu przytułku dla inwalidów polskich. Rusanowska zapisała na ten cel 180,000 zł. p. prosząc w liście Piotra Moszyńskiego, aby podniósł tę kwotę, złożoną w depozycie sądu krakowskiego; opiekunem fundacyi ustanawiała Napoleona III-go, jako wspaniałego i szlachetnego monarchę katolickiego. Schmerling odmówił wprowadzenia zapisu w życie, a Hein, minister sprawiedliwości, nie uznał za stosowne zawiadomić o fundacyi ukoronowanego jej opiekuna. „Dawne ministeryum — mówił Rydzowski — zmierzając do germanizacyi, obawiało się wszystkiego, co polskie — obawiało się nawet polskiej starości, polskiego kalectwa i polskiej nędzy.“ Sąd krakowski za podmuchem wyższych wpływów uchwalił, aby depozyt przeznaczyć na dom przytułku dla inwalidów austryackich narodowości polskiej. Przeciw temu dowcipnemu załatwieniu kwestyi rekurował Moszyński, a Rydzowski, jako kurator inwalidów, żądał, aby Wydział krajowy

udał się z prośbą w tej sprawie do ministra stanu, a w razie potrzeby, do monarchy.

Jeszcze jedna ze spraw, podniesionych na sejmie, wymaga osobnej wzmianki. Szło o powiększenie liczby posłów sejmowych wybieranych przez miasta. Było ich 23 (właściwie 20, bo trzech wybierały izby handlowe) — projektowano dodać miastom jeszcze posłów 12. Było to żądanie zupełnie uzasadnione, bo znosiło w części niesprawiedliwość schmerlingowskiej ordynacyi wyborczej, która upośledziła miasta, siedliska cywilizacyi, handlu i przemysłu, koncentrujące też w sobie najinteligentniejszą ludność kraju. Zyblikiewicz, popierając wniosek, przytaczał, jakie powody skłoniły Schmerlinga do udzielenia więcej niż połowy mandatów gminom wiejskim i przyłączonym do nich mniejszym miastom. Spodziewał się, że ta kurya, w której utoną mniejsze miasta, nie wybierze posłów niezależnych. Chciał mieć ze sejmu narzędzie, ażeby gospodarować, jak dawniej. Przypuszczał, że i z miast (zwłaszcza we wschodniej Galicyi) kilka mandatów przypadnie kandydatom rządowym. „Wprawdzie nadzieje Schmerlinga zawiodły, bo gdzieniegdzie i włościanie przysłali mężów światłych i niezawistnych, a w miastach ani jednego narzędzia rządowego nie dało się przeprowadzić, ale pomijając już samo upośledzenie miast, trzeba mieć wzgląd na przyszłość, bo niewiadomo jeszcze co jutro przyniesie, jaki kierunek przyszłe rządy przedstawiać będą.“ Mowa Zyblikiewicza poruszała wiele kwestyj, dziś jeszcze żywotnych, jak np. cenzus inteligencyi dla wyborców. Pomijając dalszą nad tym przedmiotem dyskusyę, zaznaczamy tylko, że i tu Rusini wystąpili w opozycyi, a mówiący w ich imieniu X. Pawlikow zdobywał się na taką argumentacyę, że czasami sam nie mógł wstrzymać się od szczerego uśmiechu, na czem go łapał Zyblikiewicz, ku powszechnej sejmujących stanów wesołości.

Świętojurcy wogóle (bo pisząc Rusini, mamy zawsze na myśli świętojurców — chłopi bowiem milczeli i nie byli politycznie wyrobieni) mieli tę jedyną rzeczywiście zasługę, że Izbę w dobry humor wprawiali. Oto np. zgłosiła się znaczna ilość gmin ruskich, która prosiła, aby jej przysłano ustawę gminną w języku polskim, gdyż nie rozumieją tego nowego języka ruskiego, w jakim ustawa została wydrukowaną. Prośbę tę wniesiono na ręce posła Łebkaluka, włościanina, który ją schował głęboko na życzenie świętojurskich prowodyrów. Ale wyszła rzecz na jaw przy sposobności innej prośby tego rodzaju, co dało X. Naumowiczowi powód do rozprawy na temat językowy i alfabetowy. „Nasza azbuka — dowodził — była cywilizowanmoju szcze tohdy koły jesz-

cze ani polskoj, ani nimeckoj cywilizacyi ne buło.“ Wśród hucznej wesołości uzasadniał Naumowicz wyższość azbuki tem, że po polsku trzeba pisać *szcz*, na co w azbuce jest jedna litera.

Sejm został zamknięty 31 grudnia. Marszałek podziękował krótko sejmującym, że dotknęli najważniejszych przedmiotów, że co mogli to zrobili dla uzupełnienia organizacyi kraju, że powiedzieli, co nas boli — dziękował wreszcie za spokojne dyskusye i za zgodnie powzięte uchwały...

. . . . . .

Kazimierz Bartoszewicz.

RUCH UMYSŁOWO-LITERACKI

we Francyi.

Żyjemy obecnie we Francyi pod znakiem plebiscytu, którym posługują się tak chętnie wszelakiego rodzaju politycy, aby zrzucić na barki innych skutki swej nieudolności lub nieumiejętności. Analogiczny objaw widnieje w krytyce literackiej, gdzie urządzanie ankiet stało się od kilku lat prawdziwą manią.

Pragnie ktoś, aby jego imię widniało na okładce nowej książki, niema nic lepszego, jak urządzić ankietę. Rozsyła się tedy kwestyonaryusz do stu kilkudziesięciu osób, zajmujących wybitne stanowisko w literaturze lub polityce; w miarę, jak nadchodzą odpowiedzi, ogłasza się je wszem wobec i każdemu z osobna: w dziennikach, czasopismach i t. d., a potem, zebrane razem, dają tom o 300—400 stronic pod szumnym tytułem „Literatura współczesna."

Zakłada ktoś nowe czasopismo i chce je rozpowszechnić tanim kosztem; nic bardziej pikantnego, jak ankieta o jakiejś kwestyi aktualnej lub drażliwej. Sukces zapewniony. Sądzi ktoś, że dany kierunek współczesnego romansu jest szkodliwy—dlatego że sam pisze w innej manierze — nic pewniejszego, jak uciec się do pytania, co inni o tem myślą, zamiast uzasadnić samemu, dlaczego dany kierunek jest szkodliwy.

Z jednej takiej ankiety dowiadujemy się, że pan Brunetière odpowiada wysłannikowi redakcyjnemu z taką energią w gestach, że nie może sobie zapalić papierosa, bo mu zapałka gaśnie za każdym razem; w innej tenże krytyk daje do zrozumienia, że już wszystko, co wiedział o danym przedmiocie, wyłożył w swych pismach, że niema nic nowego do powiedzenia; w trzeciej takiej

ankiecie czytamy, iż Brunetière żąda bagateli... pięciu lat wypoczynku i rozmysłu, aby módz zadość uczynić żądaniu swego gościa i odpowiedzieć na zadane mu pytania.

Niema co mówić; czytelnicy tych ankiet mogą być zadowoleni i dumni; wiedzą bowiem tyle co uczony redaktor „Revue des Deux Mondes,“ a czasem więcej od niego. Ankiety te istnieją jednak i nieraz są bardzo pożyteczne. Warto więc przypatrzeć im się zblizka.

*

* *

W czasopiśmie zatytułowanem *Les Marges*, Eugène Montfort, autor *Chorych serc* i wielu innych powieści psychologiczno-erotycznych[1]), zaniepokojony zalewem socyalnych romansów, rozesłał kwestyonaryusz z zapytaniem, co krytycy sądzą o literaturze socyalnej. Jako punkt wyjścia służył cytat, wyjęty ze studyów Maupassanta, który brzmi mniej więcej tak: „Celem powieściopisarzy jest analiza i opis ludzkich namiętności, dobrych albo złych. Nie jest zaś ich zadaniem ani moralizować, ani potępiać, ani nauczać. Każda książka o tendencyi (livre à tendance) przestaje być dziełem artysty.“ Czy jesteś Pan tego samego zdania?

Poglądy, jak łatwo domyśleć się można, były podzielone. Jedni, jak naprzykład, Franciszek de Nion, Ludwik Bertrand, Remy de Gourmont oświadczyli się za Maupassantem, drudzy, jak Maeterlink albo Karol-Ludwik Philippe, przeciw niemu, inni wreszcie zgadzali się na romans socyalny, byle był równocześnie dobrym romansem i byle tendencya pisarza nie szkodziła dziełu (Catulle Mendès) i t. d. i t. d.

Rozbierając powyższą ankietę, jeden z najmłodszych krytyków, którym teraz zajmują się w stolicy nadsekwańskiej, Leon Blum zauważył trafnie, że należy przedewszystkiem odróżnić dzieła mające pewną ideę, od utworów tendencyjnych (*œuvre à tendance* i *œuvre à thèse* albo *à prèche*). „Romans, już przez swoją definicyę, wskazuje na to, iż jego składową częścią jest jakaś fikcya, jakaś intryga, jakieś opowiadanie. A opowiadanie to, choć wy-

[1]) Zob. „Bibl. Warsz.“ 1905. T. II. Str. 538.

myślone, powinno wiernie malować charaktery i namiętności ludzkie. Wyobraźnia pisarza stwarza formę, obserwacya zbiera materyały“[1]). Jeżeli pisarz ma z góry nakreśloną ideę, którą chce udowodnić, wówczas nagina ku niej swą myśl i kierunek swej obserwacyi. Materyał uzbierany jest jednostronny i niedostateczny. Pisarz bowiem odrzuca wszystko, co nie zgadza się z jego zamiarem tendencyjnie pojętym i zamyka oczy na objawy bardzo ważne; jednem słowem fałszuje rzeczywistość, byle udowodnić prawdziwość swego twierdzenia. Romans socyalny nie jest jednakże koniecznie romansem tendencyjnym, jak z drugiej strony mogą nim być niezliczone powieści psychologiczne, obyczajowe, światowe, a są nim prawie zawsze romanse historyczne. Te dwa pojęcia nie są zatem równoznaczne.

Romans może nabyć cechy socyalnego dzieła przez wybór przedmiotu i sposób traktowania materyału. Jeżeli wybór przedmiotu był spontaniczny, a opracowanie tegoż wolne od powziętej z góry myśli; jeżeli konkluzya wyłania się z przebiegu zdarzeń jasno i bez naciągania, wówczas romans socyalny nie jest bynajmniej dziełem tendencyjnem. Nazywam więc, powiada Blum w dalszym ciągu swego szkicu, romansem socyalnym nie utwór, pisany w celu przekonywania lub propagandy, ale romans, który maluje społeczeństwo i rozwiązuje pewne problemy społeczne. W interesie naszej literatury, powinniśmy zachęcać młodych pisarzy, pomagać im ze wszystkich sił i życzyć sobie, aby rozwój socyalnego romansu dokonał się jaknajszybciej. Od lat trzydziestu powieść francuska powtarza w kółko mniej więcej te same awantury i intrygi miłosne, te same rozkosze czy wybryki zmysłowe uprzywilejowanych klas; czas, aby stworzono zdrową literaturę dla warstw pracujących, *literaturę socyalną*, czas wreszcie, aby powrócono do tradycyi Balzaka i Zoli, oczywiście do tego, co u nich jest trwałem, do ich bystrej analizy stosunku człowieka do społeczeństwa.

Romans socyalny ma nadto niepomierną zasługę: on pierwszy zwrócił uwagę na pewne strony życia mało zbadane; on wprowadził do literatury czwarty stan: klasę robotniczą, jej dążenia i hasła, jej pojęcia i uczucia; on zajął się również maluczkimi.

Jako przykład w ten sposób pojętego romansu socyalnego przytacza krytyk powieść Frapiego *La Maternelle* lub utwór Gustawa Geffroy *l'Apprentie*. Wybór ten jest trafny. Jeżeli poglądy

[1]) Artykuł w *L'Humanité* (1905) p. t. „Romans socyalny.“

Bluma, co do znaczenia i wartości socyalnego romansu, grzeszą cokolwiek przesadą, to powyższe przykłady dowodzą, iż krytyk nie jest zaślepiony w swych zapatrywaniach i że nie uważa za arcydzieło utworu dlatego jedynie, że utwór ów odpowiada jego hasłom socyalistycznym.

*

* *

Bardziej ogólnikową była ankieta angielsko-francuskiego czasopisma *The Weekly Critical Review*, które cieszy się protekcyą Jego Królewskiej Mości samego Edwarda VII. Kwestyonaryusz wymagał od literatów francuskich zwięzłej odpowiedzi na cztery następujące pytania:

1. Co sądzić należy o współczesnym romansie i jaki jest jego wpływ społeczno-intellektualny?

2. W jakim stosunku pozostaje on do romansu naturalistycznego? Czy jest reakcyą przeciw niemu, czy też jego ciągiem dalszym?

3. Czy swawola obyczajów, upadek moralności, które się opisuje w powieściach, odpowiadają rzeczywistości, czy też są one objawem ukrytej dążności do zrewolucyonizowania obecnych zasad moralnych?

4. Którego z francuskich powieściopisarzy żyjących dany literat ceni najbardziej, oraz czy stawia wyżej od niego jakiegokolwiek pisarza zagranicznego?

Wyż cytowany krytyk daje odpowiedź przeczącą na pierwsze pytanie. Zdaniem jego, romans nie wywiera obecnie żadnego wpływu. Wszystkie wielkie prądy umysłowe od drugiej połowy XIX-go wieku miały swój początek w dziełach historyków, filozofów, socyologów, jednem słowem, uczonych. Romans przyswaja sobie i rozpowszechnia idee wielkich myślicieli. Zola zużytkował teorye Darwina i Taine'a — dodajmy jeszcze Claude Bernarda, — Bourget—pessymizm niemiecki i psycho-fizyologię, bracia Rosny— metafizyczny ewolucyonizm Spencera. Dwudziestu innych pisarzy rozwadnia lub zwalcza obecnie poglądy, tyczące się niemoralności, przepraszam, chciałem powiedzieć moralności... nadczłowieka i t. d. Lecz to wina Nietzschego, jak również nie jest jego winą, że pornografia rozpiera się w dzisiejszej produkcyi powieściopisarskiej.

Rozluźnienie obyczajów, które się opisuje w romansach, bynajmniej nie odpowiada rzeczywistości, ani nie jest objawem ukrytego pragnienia obalenia dotychczasowych zasad moralności[1]).

Nie na wszystkie powyższe zapatrywania można się zgodzić. Jest rzeczą pewną, iż myliłby się grubo, ktoby sądził społeczeństwo francuskie na podstawie powieści Champsaura, Montforta, a nawet Bourgeta lub Prevosta, tak samo jak byłoby niedorzecznością wnioskować z utworów Przybyszewskiego o stanie moralności obyczajów naszego narodu. Nie da się jednak zaprzeczyć, że niemoralny romans wywiera zawsze zgubny wpływ na czytelników, szczególnie na młodzież. Nie mam oczywiście na myśli tych, którzy mają silnie wyrobione zasady, i czas swój poświęcają użytecznej pracy, ci bowiem, nie czytają tego rodzaju elukubracyj. Ogółem jednak wziąwszy, wpływ powieści na umysłowość średniego czytelnika jest znaczny, i od wyboru lektury zależy nieraz jego światopogląd. Jaki jest ideał wielu młodzieńców francuskich i co ich najbardziej zajmuje, o tem możemy się dowiedzieć z dramatu Bataille'a p. t. „Maman Colibri.“ Nie można również zaprzeczyć, że wielu pisarzom współczesnym chodzi właśnie o to, aby w miejsce dotychczasowych zasad moralnych ustawić nowe, bardziej postępowe ich zdaniem i lepiej odpowiadające nowożytnym pojęciom, jak naprzykład: wolną miłość, która usunie obłudę i hypokryzyę dzisiejszych małżeństw, albo apoteozę żony, powracającej do domowego ogniska po kilku latach pobytu z przyjacielem zagranicą i t. p.[2]) Pytanie jednak czy hasła tych apostołów stanowią rzeczywiście postęp, czy też przypadkiem nie prowadzą raczej do dawnej nieokiełzności obyczajów?

Jakkolwiek się rzecz ma, w każdym razie błędnem jest zapatrywanie, iż literatura nie wywiera wpływu; owszem jej wpływ jest większy, aniżeli się przypuszcza na pierwszy rzut oka. Nie tylko wychowanie, edukacya, szkolnictwo, obyczaje i t. d. zmieniają się, ale najgłębsze przewroty społeczne, że wspomnę reformacyę religijną w XVI wieku lub wielkie rewolucye polityczne ostatnich stuleci, są całkowicie zależne od prądu kulturalnego poprzedzającej epoki, zależne: *od dzieł filozofów, myślicieli, pisarzy.* Wyda się może paradoksem, gdy powiem, że bez Roussa i Encyklopedystów nie mielibyśmy wielkiej rewolucyi francuskiej w la-

[1]) „En lisant.“ Paris 1906. (Artykuł p. t. Généralités sur la roman) str. 55 — 63.

[2]) Zob. Bib. Warsz. 1905. T. III. Str. 486.

tach 1789-95, ale może pół wieku później i o innym zupełnie przebiegu. Młoda szkoła socyologów i historyków dzisiejszej doby zdaje się czasem niedoceniać potęgi znaczenia piśmiennictwa oraz jego wpływu na genezę wszystkich prądów społecznych. Według nich stosunek jest odwrotny. Od ludu wychodzą hasła, a pisarze ucieleśniają tylko pragnienia masy. Wystarczy więc, aby warstwa uciskana była liczną i zerwała się do walki z gnębicielem, a tryumf pewny. Ostatnie wypadki zadały kłam temu twierdzeniu. Nędza i rozpacz nie wystarczą, aby wywołać rewolucyę. Tak jak straszliwe położenie ludu francuskiego w XVIII wieku nie wystarczyłoby może do obalenia monarchii, gdyby nie było je poprzedziło systematyczne burzenie dawnych poglądów i uświadomienie wielkiej masy narodu. W tem leży zasługa, ale zarazem niebezpieczeństwo literatury, która jest mieczem obosiecznym; odpowiedzialność pisarza powinna być tem większa, im potężniejsze są jego słowa. Lecz widzę, że oddalam się coraz bardziej od przedmiotu, wróćmy zatem do naszych ankiet, z których jedna szczególnie wywołała wiele wrzawy i słodkawo-kwaśnych komentarzy. Chodziło o wpływ niemiecki nie tylko na Francyę, ale na inne także narody.

*

* *

Po klęskach r. 1870-1, Francya przypisywała tryumf nieprzyjaciół ich wyższości umysłowej. Nauczyciel pruski stał się ideałem i wzorem dla zwyciężonego; zaczęto lekceważyć wszystko co ojczyste i naśladować, często niewolniczo, urządzenia, instytucye, uniwersytety, laboratorya, szkolnictwo niemieckie. Młodzi Francuzi szli gromadnie za Ren, i wpływ niemieckiej kultury zaciężył niebawem na wszystkich polach umysłowości francuskiej. Zdawało się przez chwilę, że Prusom przypadnie rola, jaką odegrała Francya w XVIII-ym wieku. Niedawno temu Wilhelm II, w jednej ze swych licznych mów, obliczonych na effekt, podkreślił zamaszyście „wyższość światową“ germańskiej rasy.

Biorąc ową mowę za punkt wyjścia, znane powszechnie i wielce sympatyczne czasopismo młodej Francyi *Mercure de France* zamieściło sto kilkadziesiąt odpowiedzi, nieraz bardzo powierzchownych, czasem zabawnych, często jednakże wielce po-

uczających, co sądzić należy o tej mniemanej wyższości i o tym wpływie niemieckim. Artykuły zebrane razem i uporządkowane według siedmiu następujących grup: 1) filozofia i literatura, 2) socyologia i ekonomia polityczna, 3) nauki, 4) sztuka wojskowa, 5) sztuki piękne, 6) muzyka, 7) wpływ niemiecki po za Francyą — złożyły się na ciekawą książkę[1]) z której przytoczymy kilka słów.

Wszyscy prawie są zgodni w swych zapatrywaniach, że, o ile przemysł niemiecki rozwija się i robi poważną konkurencyę angielskiemu i francuskiemu, o tyle wpływ intellektualny Niemiec ciągle podupada. Od lat trzydziestu Germania nie wydała ani jednego powieściopisarza, ani jednego dramaturga, ani jednego malarza ni rzeźbiarza, któryby dominował w kulturze europejskiej, podczas gdy produkcya literacka Francyi rozchodzi się, jak dawniej po całej Europie. Z drugiej strony wszyscy prawie korrespondenci *Mercura* jednogłośnie nucili hymn na cześć nauki niemieckiej nie szczędząc pochwał „wrodzonemu poczuciu prawdy“ u Niemców i nieustraszonemu dążeniu ku niej. Otóż zdaje mi się, że co do ostatniego punktu należy zrobić daleko idące zastrzeżenia. Oczywiście nie mam na myśli badań zoologicznych lub fizyko-matematycznych,—te nie nadają się do szowinistycznych spekulacyj: ale historya, ale filozofia, ale folklor, ale literatura porównawcza, czego się tylko tknąć, a wyjdzie na jaw antyhistoryczna metoda traktowania lub zgoła niemaukowy sposób tłómaczenia zjawisk literackich, a mający na celu wykazać odwieczność pragermańskiej kultury.

Jest rzeczą zadziwiającą z jaką powolnością uczeni zagraniczni biją czołem przed nauką niemiecką, a da się to tylko wytłómaczyć tem, że sami za młodu odbyli studya na uniwersytetach niemieckich i przesiąkli nawskroś ich wpływem. Gdy się bliżej przypatrzymy tej mniemanej bezstronności niemieckiej nauki, skonstatujemy nie bez zdziwienia, że wszystko w niej podporządkowane ideom z góry powziętym o wyższości państwa pruskiego lub niemieckiego narodu. Czemże jest np. filozofia Hegla? czem jest Historya Treitschkego? Jak trafnie określił Maurycy Muret „jest to systematyczny i zaślepiony panegiryk monarchii pruskiej. Treitschke przewertował stosy dokumentów, ale *instynktownie* wybrał te, które popierały jego tezę. Uczony historyk postępował zatem z faktami, jak postępuje dziś polemista-dziennikarz[2]).

[1]) Jacques Morland. „Enquête sur l'Influence allemande.“ Paris 1905.

[2]) Wyżej cytowana „Ankieta“ str. 98.

Wyraz *instynktownie* zwraca mimowoli naszą uwagę. Nie wiem, co Muret chciał przezeń wyrazić, ale mimowoli może powiedział głęboką prawdę. Niemiec, mając do wyboru dwie hypotezy, albo dwa sposoby rozwiązania problematu, wybierze zawsze instynktownie ten, który pochlebia jego szowinizmowi narodowemu, ten, który oddaje pierwszeństwo niemieckiej lub germańskiej rasie[1]). W kilku pracach nad literaturą średniowieczną, jak „Partenopeus de Blois," „Rycerz z łabędziem," „Huon de Bordeaux," zmarły niedawno profesor filologii romańskiej na Uniwersytecie krakowskim, M. Kawczyński, wykazywał, z jaką stronniczością uczeni ci traktują zagadnienia folklorystyczne i jak świadomie lub nieświadomie, widzą zawsze wyższość niemieckich utworów tam, gdzie one są zaledwie tłómaczeniami lub przeróbkami francuskich wzorów. Cała epopeja francuska ma pochodzić z germańskiej, choć ta nie istnieje wcale,—ale istnieć mogła, dodają profesorowie pruskich uniwersytetów. Stosy takich bredni nagromadzono i jeżeli chodzi o wpływ, ale wpływ fatalny niemieckiej erudycyi, to on objawia się tutaj, tylko, że nie ma czego zazdrościć naszym sąsiadom. Prędzej czy później krytyka strząśnie to niewygodne jarzmo i odrzuci precz nienaukowość niemieckiej nauki. (Zastrzegam się jeszcze raz, że chodzi tylko o literaturę porównawczą i folklor, a nie o językoznawstwo i inne gałęzie naukowe). Że ten czas nie jest daleki, na to wskazują liczne oznaki. W Paryżu w sferach naukowych, wśród młodych profesorów Sorbony i Collège de France, wieje inny zupełnie prąd. Przytoczę jeden przykład, o którym napomknąłem powyżej. Za przewodem G. Parisa, oraz włoskiego profesora Pio Rajny, wywodzi się francuską epopeję z nieistniejącej germańskiej, którą Frankowie mieli przynieść ze sobą w V i VI wieku do Galli. Ś. p. prof. Kawczyński przed 17 laty napisał cięty artykuł, wykazując nicość tej hypotezy i brak wszelkich podstaw naukowych. Jeszcze przed czterema laty powtórzył przygodnie swój pogląd, streszczając genezę epopei francuskiej w tych słowach. Przewodnią myślą tych utworów jest walka przeciw Saracenom. Zamiast męczenników mamy tedy herosów. Nie życie kontemplacyjne, ale walka za wiarę zdobywa niebo. Tworzy się nowy rodzaj świętych, których du-

[1]) Że znajdują się wyjątki, o tem niema co mówić, dość wspomnieć piękne prace prof. Philippa Bekkera o Wilhelmie d'Orange lub trzytomowe dzieło prof. Creizenacha, o „Dramacie średniowiecznym," odznaczające się prawdziwie naukową bezstronnością.

sze aniołowie zabierają do raju[1]). Pogląd ten był u nas wyśmiany. Jakież było moje zdziwienie gdy, przyjechawszy do Paryża, natrafiłem na wykład jednego z najpoważniejszych uczonych, który niemal w sposób identyczny tłómaczył powstanie epopei francuskiej. To znaczy, że zaczyna panować inny duch na polu filologii francuskiej i objaw ten należy powitać z zadowoleniem. Oczywiście bez erudycyi niemieckiej, nie można kroku zrobić w naukowych badaniach, ale wszystko należy przerobić jeszcze raz a rezultaty są nieraz zdumiewające.

*

* *

Ażeby wyczerpać najważniejsze ankiety ostatnich kilku lat, należałoby omówić jeszcze tę, którą urządził *Gil-Blas*, jeden z najbardziej literackich dzienników paryskich; zwłaszcza, że wyszła niebawem potem w wydaniu książkowem p. t. „Literatura współczesna“[2]). Obfituje w informacye i szczegóły bardzo charakterystyczne, ale brak konkluzyi oraz uporządkowania opinij, daje się odczuć dotkliwie i utrudnia zoryentowanie się w chaosie najróżnorodniejszych poglądów i zdań. Dwaj, niżej wymienieni autorowie, zwracali się do poetów z pytaniem, jaka jest dążność obecnej poezyi, do czego zmierza, i czy przewidują, jaka ona będzie w najbliższej przyszłości? Powieściopisarze mieli odpowiedzieć, czy wierzą w upadek romansu, czy też sądzą przeciwnie, iż tenże przechodzi obecnie jakąś ewolucyę? Od dramaturgów żądali odpowiedzi, jakim będzie teatr przyszłości. Krytykom przypadło w udziale najtrudniejsze może zadanie. „Wśród tylu książek, które nam każdy poranek przynosi, wybieracie kilka, gdyż niepodobieństwem wszystkiego przeczytać. W jaki sposób dokonuje się ten wybór? Jaka jest wasza metoda krytyczna?“ Jak widzimy, pytanie to drażliwej natury, to też wielu krytyków wcale nie od-

[1]) Przytaczam z pamięci. Ustęp odnośny znajduje się w *Part. de Blois.*

[2]) Georges le Cardonnel et Charles Vellay. La littérature contemporaine. Paris 1905 (Société Mercure de France).

powiedziało. Do nich należy Lemaître, Faguet, Doumic, Mariéton i t. d.

Ograniczam się narazie do tych kilku wzmianek, być może, iż powrócę przy innej sposobności do tej ankiety.

*

* *

Wśród powieści francuskich wyróżnić należy kilka wybitnych utworów jak „Le serpent noir“[1]) Adama, „Les Civilisés“ Farrèra, „L'Indocile“ Roda, oraz „Le Fardeau“ braci Rosnych.

Paweł Adam nie zajmował do ostatnich lat pierwszorzędnego stanowiska w gronie romansopisarzy francuskich. U nas, o ile mi się zdaje, jest bardzo mało znany. Dwie tylko jego powieści „Siła“ oraz „Bazyli i Zofia,“ romans z dziejów Byzancyum, doczekały się tłómaczenia w latach 1900-1. We Francyi jednak rozgłos jego utworów rozchodzi się coraz dalej, a minionego roku odniósł znaczny sukces swoim romansem p. t. „Czarny wąż.“

Adam należy do starożytnej rodziny rycerskiej z Artois, w której płynie krew dawnych mieszkańców Serbii. Uchodząc przed Turkami, którzy w r. 1453 zdobyli Konstantynopol, mieszkańcy ci, nazwani Raxi-Hasanami, zawędrowali do południowej Francyi. Przodkowie Adama łączyli się nieraz z tymi przybyszami i wchodzili w związki małżeńskie. Tak przynajmniej opowiada nam biograf Adama, Marcel Batillat. Pierwsze występy naszego powieściopisarza przypadają na lata 1884-9. Był wtedy naturalistą à la Zola, a jeden z jego utworów „La Chair molle“ wywołał skandal, proces sądowy. Powtórzyła się historya „Pani Bovary,“ lecz sędziowie okazali się bardziej surowymi niż ongi dla Flauberta. Tysiąc franków kary i piętnaście dni więzienia, oto co wprowadziło Adama w świat literacki.

Od onej chwili rozpoczyna się okres produkcyi nader obfitej. Rok rocznie pojawia się przynajmniej jedna powieść, czasem dwie. Od kilku lat Adam pracuje nad epoką Napoleońską, którą tak po mistrzowsku u nas odtworzył Żeromski. Powieściopisarz francuski, czerpiąc ze wspomnień i tradycyj rodzinnych — wszyscy przod-

[1]) Le serpent Noir. Paris 1905. (Ollendorf).

[2]) Les Célébrités d'aujourd'hui. Paris 1903. (Sansot) str. 6.

kowie jego brali udział w wojnach wielkiego cesarza, dziad Adama zginął jako kapitan szwadronu huzarów w bitwie pod Wagramem—odmalował w szeregu utworów, nierównej zresztą wartości, z nadzwyczajną plastyką ową jedyną w dziejach nowożytnych, prawdziwie bohaterską epokę. Pisarz to przedewszystkiem oryginalny. Ernest-Charles, surowy w swych sądach, a skąpy w pochwałach, wyraża się bardzo pochlebnie o jego talencie. W naszych czasach, powiada on, kiedy wszyscy romansopisarze tak są podobni do siebie, Paweł Adam stara się nie być podobny do nikogo. Jest oryginalny, ponieważ różni się od wszystkich.

Ostatnią jego powieścią, która wywołała liczne komentarze i recenzye, jest, jak wyżej powiedziałem, „Czarny Wąż.“ Tytuł to symboliczny, wzięty z jednej z parabol Nietzschego. Zarathustra widzi pewnego dnia owczarza, wijącego się od bólu. Z ust zwisa mu czarny wąż. Napróżno przyszły prawodawca nowej etyki stara się wyrwać węża z gardzieli nieszczęśliwego, wąż wnika coraz głębiej i t. d.[1]) Czarnym wężem jest nasze poczucie obowiązku, nasze uszanowanie dla tradycyi, nasza cnota, jednem słowem wszystko, co nam nakłada wędzidła i hamuje nasze instynkta i dzikie popędy. Należy pozbyć się, zdaniem Zarathustry, tych konwencyonałów, zrzucić je precz od siebie, tak jak owczarz, który odgryzł wężowi głowę i wypluł ją daleko. Kto nie może się na to zdobyć, musi sam umrzeć. Bohater Adama znajduje się w tem położeniu i wybiera drogę rezygnacyi. Poświęca swoje zdrowie i szczęście, swą sławę, swą miłość, wszystko, byle nie złamać losu innej istoty i... umiera nieznany. W tem leży cała piękność utworu, który był prawdziwą niespodzianką i w którym talent powieściopisarza ukazał się w nowem świetle.

*

* *

Gdy niniejszy zeszyt Biblioteki Warszawskiej dojdzie rąk czytelników, Francya będzie obchodziła (16 czerwca) trzechsetną rocznicę narodzin swego pierwszego dramaturga. Czem jest Corneille'a „Cyd“ dla dramatu francuskiego, to nie da się powiedzieć

[1]) Also sprach Zarathustra. III. 2.

w kilku słowach. Autor Cyda stwarza, niezależnie od Szekspira, nowożytny dramat psychologiczny, w którym konflikt między obowiązkiem a uczuciem odgrywa naczelną rolę. Bohaterki Corneille'a rozmawiają czasem za wiele, ale nie brak im polotu, tężyzny charakteru i poczucia swej godności. Bohaterowie kroczą na koturnach nakształt herosów Ajschylosa, lecz pod ich pancerzem tętni niespokojne serce nowożytnego człowieka.—W jednym z najbliższych artykułów będę się starał dać sylwetkę tego pisarza oraz określić jego wpływ na teatr polski w 17 i 18-ym wieku.

Dr. Henryk Reinhold.

Zwrot w sztuce stosowanej.

W Nieborowie, wsi oddalonej o kilka godzin drogi od Warszawy, w miejscowości posiadającej już wprawdzie pewne tradycye artystyczne, ale dziś zupełnie zaniedbanej pod tym względem, osiadł artysta-rzeźbiarz, pan Stanisław Jagmin i... robi garnki.

Pan Jagmin jest artystą, jak się to mówi, skończonym, przeszedł bowiem studya w Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, następnie w celu rozszerzenia umiejętności specyalnych bawił lat kilka w Paryżu i innych środowiskach artystycznych Europy; od dłuższego czasu wystawia utwory samodzielne z zakresu „sztuki czystej“ w salonach naszych i zagranicznych, a jednak zamknął się w cichem ustroniu, zdala od gwaru wielkomiejskiego i wytwarza poprostu — garnki.

Co prawda nie wozi on ich na targi do sąsiedniego miasteczka, ani też na większe jarmarki okoliczne, ale sprowadził do Warszawy cały plon pracy swojej i umieścił w jednym z salonów Pałacu Sztuki, a Towarzystwo Zachęty, którego zadaniem jest popieranie sztuki polskiej we wszystkich jej przejawach, przyjmując pod swe skrzydła opiekuńcze te wazy, dzbany, misy i inne wyroby garncarskie, uczyniło słusznie, więcej — spełniło czyn wielkiej doniosłości kulturalnej.

Istotnie, obecna wystawa ceramiczna, jak również urządzane przedtem już w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych i w innych salonach pokazy z zakresu stolarstwa, tkactwa i ślusarstwa, są bardzo znamiennym wypadkiem naszego życia artystycznego. Ruch zapoczątkowany przed pięćdziesięciu laty w Anglii przez artystów tej miary co William Morris, Walter Crane, Burne Jones i inni, popierany teoretycznie przez wymowne pióro namiętnego

propagatora estetycznego Johna Ruskina, odbił się nareszcie i u nas wyraźnem echem w dążeniach do uartystycznienia wytwórczości rzemieślniczej.

W zasadzie chodziło o pewne, że tak powiem, zdemokratyzowanie sztuki, sprowadzenie jej z wyżyn namaszczonego kapłaństwa w sferach arystokratycznego odosobnienia do obywatelskiej służby dla najszerszego ogółu; o zastosowanie wzniosłych natchnień artystycznych do przedmiotów codziennego użytku, o wyzyskanie istotnych zdolności i talentów na wytwarzanie przedmiotów pięknych bez względu na ich przeznaczenie użytecznościowe. Był to ruch w kierunku równouprawnienia tworów ręki i ducha ludzkiego, a zarazem protest przeciw bezmyślnej, bezdusznej i pospolitej produkcyi maszynowej. Z tą myślą przewodnią wymienieni wyżej artyści angielscy, pomimo niezaprzeczonych kwalifikacyj do szczytnego kapłaństwa w sztuce czystej, nie wstydzili się ująć w ręce hebla, dłuta, pilnika, stanąć przy warsztacie tkackim, przy piecu hutniczym, nie wstydzili się talentu swego, smaku, wiedzy i umiejętności zastosować do wyrobienia stołów, stołków, świeczników, dywanów lub witraży, ale też rzeczy te przez nich wykonane nosiły na sobie niezatarte cechy szczerze artystycznego poczęcia, co znowu z drugiej strony nie mogło nie wpłynąć na podniesienie się smaku i upodobań ogółu, który nabywał piękne wyroby artystów. A smak ten upadał i paczył się coraz bardziej pod wpływem łatwej, arogancko bogatej a ohydnej tandety fabrycznej i niewątpliwie najpilniej należało pomyśleć o odrodzeniu go i uzdrowieniu. Odrodzenie to przedstawiało się najprościej w formie powrotu do dawnej produkcyi ręcznej, osobistej, której stare zabytki radują do dziś dnia logiką zdobień i konstrukcyj, tudzież dokładnością wykończenia. Cały więc ten ruch estetyczny jest niejako zwrotem do dawnych, dobrych czasów z przed epoki pary i elektryczności, kiedy rzemieślnikiem kierowały nietylko względy merkantylne, ale także, a może przedewszystkiem ambicya zawodowa.

Ruch ten rozlał się szeroko po świecie i dziś wielu najpoważniejszych artystów podejmuje próby wskrzeszenia zaniedbanych i upośledzonych rękodzieł, a nawet wchodzą one coraz częściej do programów szkół artystycznych. Warszawska szkoła Sztuk Pięknych od początku istnienia swego posiada kilka warsztatów tkackich, na których uczniowie wyrabiają kilimy według wzorów własnego pomysłu, obecnie zaś postawiono piec muflowy do wypalania malowideł majolikowych, co znowu rozszerzy zakres praktycznego wyrobienia zawodowego wychowańców.

Pod wpływem prądów tych p. Jagmin, artysta, który mógłby modelować kompozycye o zajmujących tytułach i wypełniać niemi, niestety, nieodznaczające się zbyt wielkim popytem, rynki sztuki naszej, zakopał się na wsi wśród tyglów i retort i topi w nich glazury przenajróżniejszej barwy i połysku. Glazurą tą polewa garnki najprzeróżniejszych form i rozmiarów i garnki te są źródłem niezaprzeczonej rozkoszy estetycznej dla ludzi zdolnych czuć i rozumieć urok sztuki prawdziwej.

*

* *

Równocześnie z nadzwyczajnym rozwojem techniki w dobie dzisiejszej, kiedy dzień prawie każdy przynosi, jeżeli nie wynalazek całkiem nowej, nieprawdopodobnej zda się maszyny, to przynajmniej ogromnie daleko idące ulepszenie już istniejącej, zanika mnóstwo dawniej znanych sposobów produkcyi — przepada wiele nieocenionych tajemnic zawodowych, zazdrośnie niegdyś strzeżonych w cechach, a przekazywanych z pokolenia na pokolenie jedynie towarzyszom danego fachu. Ustępujące fatalistycznie przed fabryką rękodzielnictwo postradało w wielu razach organiczną spójnię z dziedziczną ciągłością czasów ubiegłych, posiadających w rozwoju urządzeń rzemieślniczych najwspanialsze tradycye. Zwrot do tradycyj tych, w myśl panujących wskazań estetycznych, wywołał potrzebę odnalezienia owych przedziwnych sposobów, którymi starzy majstrowie dochodzili do tak zdumiewających rezultatów pod względem trwałości, dokładności i szlachetności swych wyrobów.

Ludzie obdarzeni szczególniejszą wrażliwością, karmieni do przesytu banalnością współczesnej produkcyi fabrycznej, odczuwając przytem nieukojoną tęsknotę do szczerego piękna, zwrócili się na drogę mozolnych poszukiwań w tym kierunku. Rzecz jest piękna, jeżeli w zupełności odpowiada swemu przeznaczeniu. Dzieło ducha ludzkiego jest wzniosłe, jeżeli powstało z myślą o nieśmiertelności. Nie może być wzniosła pośpiesznie wytworzona tandeta, skazana jutro na śmierć bez sławy. Dzieła dawnych mistrzów odznaczały się przedewszystkiem niepożytą odpornością na niszczycielskie zamachy czasu i to mianowicie, jako najznamienniejsza strona tych sekretów profesyonalnych, stało się przed-

miotem najusilniejszych dociekań dzisiejszych. Ale droga to nie łatwa i jakkolwiek dzielną przewodniczką na niej jest przepotężna, niewyczerpana w swych środkach nauka współczesna, jednakże stąpanie wśród niepewnych, mrocznych, często bez śladu zacierających się w czasie wskazówek, przedstawia niezwalczone trudności.

Istotnie, najsubtelniejsze analizy chemiczne, najskrupulatniejsze badania archeologiczne, mozolne odgrzebywanie starych ksiąg i manuskryptów, nie są w stanie wykryć tych mianowicie składników, które zapewniały naprzykład zdumiewającą, nie znaną dziś zgoła, trwałość farbom, werniksom, podkładom i wogóle całemu tworzywu materyalnemu malarzy średniowiecznych. A właśnie w malarstwie, które jako objaw twórczości duchowej nie uległo wprawdzie przewadze przemysłu fabrycznego, ale dawno już bardzo wyemancypowało się z zależności cechowej, jako rzemiosło, najjaskrawiej zaznacza się owo upośledzenie strony rzemieślniczej, owa tymczasowość i nietrwałość jego istnienia materyalnego. Łatwo to sprawdzić, jeżeli porównamy obrazy dzisiejsze ze starymi tryptykami okresu gotyckiego — okresu, w którym snadź malowano najumiejętniej pod względem technicznym, gdyż malowidła z tych czasów przechowały się najdokładniej. Rzeczywiście, zwiedzając muzea, nie bez żalu zauważyć musimy, że obrazy z przed lat kilkunastu lub kilkudziesięciu są bardziej zrujnowane, zczerniałe, pożółkłe i spękane niż tamte z przed czterech wieków.

Za jedną z przyczyn wyjaśniających powyższe zjawisko, służyć może przykład następujący:

Olej, który stanowi podstawę malarstwa, obecnie zazwyczaj oczyszczany i bielony jest sposobem chemicznym. Niewątpliwie jest to w pewnym stopniu tryumfem postępu technicznego, gdyż proces cały odbywa się w ciągu dni kilku, kiedy dawniej wymagał on roku czasu, albo i więcej. Ale szybkość postępowania chemicznego, szkodzi wartości materyału.

Jakób Blockx, jeden z tych, których troska o zapewnienie większej trwałości, tak bardzo zagrożonym utworom ducha ludzkiego w zakresie malarstwa, popchnęła do specyalnych badań i eksperymentów, autor niezmiernie pożądanej w danej chwili książki p. t.: *Compendium à l'usage des artistes peintres et des amateurs des tableaux*,[1]) twierdzi najkategoryczniej, że „wszelkie doświad-

[1]) Przetłómaczona na język polski przez art. mal. Kazimierza Mordasewicza p. t.: „Poradnik dla artystów malarzy i miłośników obrazów.“ Warszawa, w księgarni J. Fiszera.

czenia, poczynione w celu sztucznego bielenia i utleniania olejów, bez szkody dla ich trwałości, pozostały bezowocne; zaprzestaliśmy więc tych procesów w przeświadczeniu, że dla malarstwa artystycznego bynajmniej się nie nadają. Wyniki badań upewniły nas, że oleje zaprawione gleytyną, lub manganem tracą właściwości tłuszczów, a rozciągnięte na szkle i wystawione na działanie powietrza, tudzież światła, tracą przezroczystość po przeciągu 6 do 8 tygodni — po pół roku zaś rozpadają się najczęściej na pyłek. Przeciwnie, próbki oleju naturalnego po podobnych doświadczeniach zachowywały całkowity swój połysk i elastyczność.

Otóż takich właśnie naturalnych olejów używać musieli Van Eyck'owie i ci wszyscy, którzy rodzaj malarstwa olejnego uprawiać zaczęli w zamierzchłej przeszłości, a których obrazy do dnia dzisiejszego zadziwiają świetnością barw, jakby skamieniałej, jakby zamienionej na emalię farby. Oleje swoje otrzymywali ci niezrównani majstrowie średniowieczni przez wystawienie ich na długie miesiące w spokoju, pod działanie promieni słonecznych. Dłuższe „odstanie się“ pozbawiało je części śluzowatych, zwykłe przemywanie czystą wodą usuwało kwas olejowy i oczyszczało należycie, a wreszcie powietrze, ciepło i światło nadawało dostateczny stopień utlenienia, ażeby następnie mogły normalnie wysychać na obrazach.

Wszystko to jednak wymagało czasu, cierpliwości i staranności, na co nasz wiek gorączkowego pośpiechu w produkcyi maszynowej zdobyć się nie jest w stanie i fabrykuje na poczekaniu oleje „odstałe“ za pomocą kwasów, soli metalicznych tudzież ogrzewań w wysokiej temperaturze, skazując z góry dzieła swoje malarskie na fatalną zagładę, która również odbyć się musi na poczekaniu.

Tak się rzecz ma z innymi materyałami, jakich używa malarz współczesny, tak się też dzieje we wszystkich dziedzinach wytwórczości, gdzie zawrotna szybkość maszyny zastąpiła żmudną, długą, bo uważną i skupioną, pracę rąk ludzkich. Dla tego też nie jest li tylko modnym snobizmem, nieusprawiedliwionem racyonalnie uprzedzeniem, kaprysem wielkopańskim, ani kłamstwem konwencyonalnem owo ubieganie się bardziej wyrobionych estetycznie jednostek o wyroby oryginalne, noszące na sobie piętno inteligentnej pracy ludzkiej. Jak w przytoczonym przykładzie olejów sztucznych i naturalnych, taki sam niewątpliwie stosunek zachodzi między, dajmy na to, koronkami fabrycznemi, a wykonanemi ręcznie, to samo odnosi się do tkanin, haftów, dywanów, do stolarstwa, ślusarstwa, złotnictwa, a więc i do ceramiki, gdzie

artysta w formie utoczonego garnka, w barwie i połysku polewy, w rysunku ozdób, może pozostawić niezatarte ślady swej myśli twórczej — myśli o nieskończoności i uczynić każdy, najdrobniejszy wychodzący z pracowni przedmiot, estetycznie interesującym.

Wobec tego, zdaje się, niepodobna nie zgodzić się z zasadniczą myślą przewodnią Ruskina. Może ów bezwzględny propagator piękna w życiu, przez niepohamowaną furyę reformatorską, we wnioskach swoich ostatecznych poszedł za daleko; może przez zaciekłą nienawiść do brzydoty industryalizmu współczesnego posunął się do absurdu, zaprzeczając racyi bytu najwspanialszym, najpożyteczniejszym wynalazkom technicznym; to pewna jednak, że dążenia angielskiego humanisty do przeciwstawienia ohydnej tandecie fabrycznej, artystycznej pracy ręcznej, przynajmniej z punktu widzenia estetycznego były najzupełniej słuszne, to też idee jego, jak dobre ziarno na żyzną rzucone glebę, wzeszły bujnie i obfite wydały plony. We wszystkich krajach, we wszystkich gałęziach sztuki tak zwanej stosowanej, coraz częściej powstają rękodzielnie, gdzie pracują pierwszorzędni artyści malarze i rzeźbiarze, skąd też wychodzą dzieła istotnie piękne w najistotniejszej swej treści — dzieła o wysokiej wartości estetycznej, mogące odpowiedzieć potrzebom smaku ludzi najwytworniejszych.

Do rzędu rękodzieł odrodzonych pod wpływem sztuki, za dotknięciem się dłoni artystów rzeczywistych, należy również ceramika, a zwłaszcza ten dział jej, gdzie chodzi o stworzenie prześlicznej polewy, znanej w odległej starożytności na Wschodzie, a później stosowanej na Zachodzie w wiekach XV i XVI. Usiłowania w tym kierunku dają rezultaty wprost wspaniałe, a klasyczną krainą ich stała się w ostatnich czasach Francya, gdzie kilku znanych zaszczytnie w dziedzinie sztuki czystej twórców, poświęca swój czas i talent na lepienie garnków glinianych.

I tak np. Arystydes Maillol, jeden z wysoko cenionych, bardzo znamiennie wyróżniających się w ostatnich salonach na Champs de Mars rzeźbiarzy francuskich, osiadł w pewnej wiosce pod Paryżem i wyrabia przesubtelne cacka ze szkliwa przejrzystego; dalej Emil Gallé z Nancy, zasłynął szeroko z wyrobu prześlicznych dzbanów, mis i wazonów polewanych, wreszcie głośna garncarnia Golfe Juan doszła do znakomitych rezultatów w naśladowaniu starożytnej glazury o połysku metalicznym.

W tym kierunku właśnie pracuje nasz artysta w Nieborowie.

*

* *

Jak wiadomo, początki ceramiki giną w praczasach najodleglejszej przeszłości. Prawie wszędzie sztuka lepienia garnków poprzedza epokę historyczną ludzkości i sięga daleko w głąb mglistych wspomnień legendarnych. W Egipcie w najdawniejszych grobowcach spotyka się zabytki, świadczące o znacznem jej wyrobieniu artystycznem. Pod popiołami, od tysięcy lat wygasłych, wulkanów w Grecyi i Italii, pod stosami świętych kamieni celtyckich starej Armoryki, na dawnych cmentarzyskach słowiańskich, w pieczarach Skandynawii, wszędzie występuje ceramika w swych znamiennych, zdecydowanych już formach, pokryta mniej więcej rozwiniętą ornamentyką, która jest niezaprzeczonem świadectwem dążeń zdobniczych, a zatem bezinteresownych potrzeb estetycznych najpierwotniejszego człowieka.

I jest to szczegół niezmiernie charakterystyczny. Istotnie najstarsze, sięgające nawet epok tak zwanych przedhistorycznych, garnki, zwłaszcza urny i łzawice, jakie się do naszych czasów przechowały, noszą na sobie nieodzownie ślady zdobień bodaj zaczątkowych. Zdawałoby się, że gładka a miękka powierzchnia garnka, wychodzącego z nieudolnych rąk pierwotnego artysty, szczególniej podniecała jego pasyę dekoratorską i pchała do prób i poszukiwań kombinacyj zdobniczych. Posługując się niby rylcem, kawałkiem kości renifera, ostrzem odłupanego krzemienia, wreszcie szpilką twardego drzewa, garncarz z odległych tych czasów, rytował na wysychającej glinie swych wyrobów liniami lub kropkami fale, meandry, ślimacznice, ząbki lub gwiazdy. I trzeba przyznać, że rysunki te najczęściej nietylko bywają dosyć urozmaicone i pełne pomysłowości, ale nadto rozłożone są, jako dekoracya, ze smakiem, a nawet znaczną umiejętnością, gdyż podkreślają zasadnicze podziały naczynia i uwypuklają jego formy konstrukcyjne. Inna jeszcze okoliczność zasługuje na uwagę, a mianowicie, że starożytni wyrobom garncarskim przypisywali szczególniejsze właściwości osobnicze, i dekoracye do nich stosowane nie bywały wyłącznie geometryczne, jak przy zdobieniu broni lub innych przedmiotów codziennego użytku. Owszem, już w epokach najbardziej oddalonych starano się nadawać dzbanom kształty ludzkie, i wiele z nich, odkopanych obecnie po tysiącach lat z pod popiołów wulkanicznych, zadziwia dokładnością, z jaką w tak odległej przeszłości naśladowano formy obserwowane w naturze.

Zasługuje to na uwagę tembardziej, że jest poniekąd jednym z pierwszych etapów na drodze, po której z czasem garncarze greccy, przy swojem przedziwnem poczuciu piękna, dojdą nietylko do wytwarzania z gliny prześlicznych postaci, pełnych życia, ru-

chu i wyrazu, jak owe słynne figurynki z Tanagry, ale na bokach jedynej w swym rodzaju wazy i amfory utrwalą bajeczną legendę o stosunkach niebian ze śmiertelnikami na ziemi. Studya nad historyą garncarstwa przedstawiają jeszcze interes i z tego powodu, że baczne zbadanie pewnych prawideł ewolucyjnego rozwoju każdej sztuki, może być wskazówką przy produkcyi dzieł doskonałych w danym zakresie.

A nie trzeba się łudzić. Uformowanie amfory lub wazonu o kształtach doskonałych i umiejętne ich ozdobienie, nie jest zadaniem łatwem, z któremby się nawet szczery artysta nie mógł zmierzyć bez zasługi.

Jakkolwiek oburzy się może niejeden z artystów rzeźbiarzy lub malarzy, jeżelibyśmy chcieli porównywać piękną czarę galijską z jakimś obrazkiem a wytworną amforę grecką z posągiem, nie mniej przecież przyznać trzeba, że wynalezienie doskonałych form w tym zakresie wymaga więcej wysiłku twórczości, niż namalowanie kilku obrazków i wymodelowanie kilku posągów. Zrozumieć to łatwo, jeżeli się weźmie za pewnik, że oprócz niewielkiej ilości form przekazanych nam przez starożytność, a które musimy uznać za doskonałe, nowsze czasy nie przyniosły nic prawie, coby było ze wszech miar zadawalające, jakkolwiek najpierwszorzędniejsi artyści wysilali umysł w tym kierunku.

W Grecyi i Etruryi od najdawniejszych czasów piękne wazony nietylko były wysoko cenione, poszukiwane i uważane za największą ozdobę domową, ale traktowane były z pewną tkliwą serdecznością, kochane niemal, jak członkowie rodziny. Istotnie, istniał tam zwyczaj pewnej personifikacyi umiłowanych wyrobów garncarskich, stąd też pochodzi, że nazwy ich części składowych odpowiadają nazwom organów ciała ludzkiego: głowa, szyja, brzuch, uszy, nogi i t. d.

Grecya i Etrurya przedstawia też peryod tryumfu w historyi rozwoju ceramiki — tryumfu tem pełniejszego, że sztuka ich występuje tam bez pomocy wszelkich względów ubocznych.

Istotnie, ani przez nadzwyczajną doskonałość gliny, ani przez jej kolor i delikatność, przez blask, świetność i bogactwo emalii, jak się to działo współcześnie na wschodzie, ale jedynie przez elegancyę i harmonię form, czystość kształtów, tudzież logikę i przejrzystość zdobnictwa, jedyna ta w swym rodzaju produkcya, stała się słynna po wsze wieki.

Nie bez słuszności dziwić się należy, że w tak bliskiem sąsiedztwie z Azyą, w ustawicznych stosunkach handlowych nietylko z Tyrem i Fenicyą, ale także z Assyryą i Chaldeą, gdzie zdo-

bnictwo ceramiczne poprostu szalało w przepychu błyskotliwości barw, Grecy potrafili się ustrzedz wpływów zaraźliwych wschodu i zachowując w wyrobach swych klasyczną prostotę, pozostali w dziedzinie garncarstwa, tem, czem byli w zakresie sztuk innych— niezrównanymi artystami, pełnymi smaku i miary.

Ale też właściwie istotna piękność zwykłego garnka spoczywa na tych samych podstawach, które rządzą wszystkiemi innemi sztukami plastycznemi. Polega ona zarówno w uformowaniu dzbana lub amfory, jako też w skomponowaniu obrazu czy grupy, na utrzymaniu zasady: jedność w wielości, i że harmonia, która powinna znamionować każde dzieło sztuki niezależnie od jej rodzaju, zawisła jest od czterech warunków zasadniczych: porządku, proporcyi, statyczności i ścisłego zastosowania do przeznaczenia, jakiemu ma służyć.

Nie wdając się w określanie, na czem polegało pojęcie porządku i proporcyi u Greków, przypominam tylko, iż wogóle byli oni niezrównanymi mistrzami pod tym względem. Dlatego to właśnie z marnej gliny, z materyału pospolitego i bez żadnej wartości, na zwykłem kole garncarskiem, potrafili formować naczynia, które bez wszelkich ozdób i ukraszeń, jedynie dla swych kształtów doskonałych, zdobywały ceny niezmiernie wysokie, jako prawdziwe dzieła sztuki.

Ornamentyka ceramiki greckiej równie spokojna i skupiona, ciekawa jest niezmiernie ze względu na treść rysunków, jako przedstawień ikonograficznych. Przeszła ona trzy znamienne okresy w sposobie zdobień malarskich. Nie poruszam jednak tej kwestyi, jako rzeczy zbyt znanej z historyi sztuki.

Legenda przypisuje Grecyi wynalazek koła garncarskiego, a użyć go miał jakoby po raz pierwszy Tales, który żył około 1200 roku przed Chrystusem. Jednakże malowidła w grobowcach egipskich wskazują na znacznie wcześniejsze pochodzenie tego przyrządu. Musiał on również znany być w Grecyi dawniejszej, gdyż Homer już, jak zauważył p. Henry Havard, autor traktatu specyalnego o ceramice, szybkość obrotów koła garncarskiego użył w jednej z pieśni Iliady za porównanie poetyckie.

Pomiędzy wyrobami p. Jagmina nie spotykamy naczyń zupełnie oryginalnie pomyślanych pod względem kształtu, nie wiele też jest przedmiotów o ściśle klasycznych proporcyach greckich amfor i wazonów, natomiast artysta chętnie zwraca się po wzory do zabytków starosłowiańskich i starogalijskich, gdzie wśród okopanych z ziemi czar, mis i dzbanów odnajduje szczęśliwe natchnienie do swoich kreacyj. Po za tem, zgodnie z panującymi dziś

w sztuce stosowanej, prądami, używa często motywów ludowych, a zwłaszcza charakterystycznej zakopiańszczyzny, tudzież modnej secesyi, polegającej w danym razie na swobodnej asymetryi wygięć, zgnieceń i załamań, odciśniętych w symetrycznie toczonych na kole garnkach.

Asymetrya ta, owe dowolne, często bardzo fantastyczne załamania, wytworzone świadomie dotknięciem ręki artysty—artysty obdarzonego poczuciem formy i smakiem wytwornym, nadają każdemu z wystawionych przedmiotów pewną swoistą odrębność, a zatem interes estetyczny, który odnajdujemy w dziełach twórczości indywidualnej.

Ale najciekawszą i najcenniejszą stroną wyrobów garncarskich p, Jagmina, jak to wyżej zaznaczyliśmy, jest ich polewa.

*

* *

Glina najlepiej wypalona pozostaje zawsze krucha i porzysta, więc i garnek gliniany z powodu tej porzystości materyału, który chłonie w siebie płyny, jak bibuła, nie zdatny jest do ich przechowywania. Ażeby temu zapobiedz, pokrywa się zazwyczaj naczynie glazurą, której głównem zadaniem jest uczynić glinę nieprzenikliwą dla tłuszczów i wody. Glazurą nazywa się powszechnie wszelką masę szklistą używaną w garncarstwie w tym celu. Bywa ona przejrzysta, i pokrywając cienką warstwą glinę wypaloną, nie maskuje jej naturalnego koloru, lecz tylko nadaje mu charakterystyczny połysk. W wypadku tym nazywa się ściślej *werniksem* i stosowana jest zazwyczaj jedynie do wyrobów pośledniejszego gatunku.

Werniks taki otrzymuje się przez posypanie wyrobów garncarskich, w stanie jeszcze wilgotnym—gleytą, minią, lub sproszkowanym błyszczem ołowianym, co poddane działaniu ognia wraz z gliną, przeznaczoną do wypalenia, stapia się na masę szklistą, gładką, zwartą i połyskliwą.

Glazura nie przejrzysta, która pokrywa całkowicie glinę najwspanialszemi barwami, nazwana jest *emalią*, powstaje zaś ze stopienia w ogniu najrozmaitszych ciał mineralnych, jak: piasek, kwarc, szpat polny, sól morska, i innych, złączonych z tlenkami metalicznemi.

Nie wchodząc w szczegóły składu chemicznego emalii wszelkiego rodzaju, ani techniki ich przygotowywania, jako sprawy zbyt specyalnej, która najczęściej w ostatecznych swych wynikach, jest osobistą, zdobytą empirycznie własnością każdego artysty, zaznaczam tylko najogólniej że wymaga ona umiejętności, uwagi i starań.

Właśnie przez poszukiwanie takiej polewy wsławił się na świat cały, cytowany, jako przykład wytrwałości w dążeniach do celu—Bernard Palissy, uparty wynalazca we Francyi w XVI wieku.

Ale Palissy wynajdywał z największym mozołem i zaparciem się siebie rzecz, która znana od tysiąca lat na Wschodzie do najwyższej doszła tam perfekcyi, która już w XV wieku we Włoszech, za sprawą słynnego Lucca della Robbia, odrodziła ceramikę łacińską.

Istotnie, po upadku wspaniałego garncarstwa etruskiego, przez przeciąg przeszło sześciu wieków, sztuka ta, jakoby była pogrążona w letargu i dopiero budzi się nagle do życia pełnego świetności, kiedy poznano tajemnice emalii. Przynieść ją mieli ze Wschodu Maurowie, których sztuka zdobnicza wogóle sięgała najwyższych szczytów w wiekach średnich.

Henry Havard, wspomniany już wyżej autor, w ten sposób określa drogi, któremi odbyło się przesiedlenie azyatyckich tradycyj ceramicznych na klasyczną ziemię wszystkich sztuk pięknych.

W Syryi i Chaldei—jak utrzymuje zresztą zgodnie ze wszystkimi historykami sztuki — przechowywała się zawsze umiejętność przygotowywania świetnych glazur garncarskich. Stąd przez Egipt przeszła ona do Tlemcenu, stolicy maurytańskiej z przed pięciuset lat, a dalej, przez Tanger do Hiszpanii. Równocześnie na morzu Śródziemnem ceramika maurytańska rozwija się na wyspie Rodos, tudzież na Majorce i Sycylii, i stąd dopiero przenosi się do Włoch, gdzie, poczynając od roku 1440, Faenza, Pesaro, Urbino, Gubbio i Deruta stają się najważniejszymi centrami tych specyalnych wyrobów ceramicznych, zwanych, jak utrzymują słusznie czy nie słusznie, od miasta Faenza — fajansami.

Według zapewnień autora, zachodzi znaczne podobieństwo między pierwszemi wyrobami z Faenzy, a fajansami z wyspy Rodos, Majorki i Sycylii, jak znowu z drugiej strony między temi ostatniemi a ceramiką perską wszystkich epok.

Lucca della Robbia, rzeźbiarz pierwszorzędny, artysta, który zdobył wybitne miejsce w historyi sztuki włoskiej w XV wieku, zająwszy się z zapałem ceramiką, pchnął ją na nowe tory. Odtąd

rozpoczyna się okres rozwoju wyrobów zwanych fajansami, lub majoliką; zastąpi je później wynalazek porcelany.

Ale zamiłowanie do artystycznych wyrobów z gliny palonej nie ustawało i stare fajansy cieszyły się zawsze szczególniejszem uznaniem amatorów. W ostatnich czasach zwłaszcza, w ogólnym prądzie do wskrzeszenia dawnego rękodzielnictwa, i ten dział znalazł dzielnych pracowników.

W Nieborowie już przed kilkunastu laty ks. Radziwiłł założył pracownię, gdzie wyrabiano majoliki ręcznie malowane. Pracowało tam kilku utalentowanych malarzy, jak np. p. Feliks Szewczyk, ale rękodzielnia ta, pomimo bardzo pięknej swej produkcyi, nie znalazła szczerego poparcia u ogółu i w krótkim czasie upadła. Obecnie p. Jagmin, korzystając z istniejących tam pieców garncarskich, prowadzi dalej dzieło to, choć w nieco odmiennym kierunku, nie chodzi tu już bowiem o dekoracye malowane, ale o wytworzenie polewy, któraby siłą barwy i świetnością połysku sama przez się stanowiła ozdobę wyrabianych garnków. Rzecz cała polega na umiejętnem stopieniu szkliwa i intensywnem zabarwieniu, co wobec tego, że wiele piękniejszych barwników w wysokiej temperaturze pieca garncarskiego utlenia się całkowicie, przedstawia olbrzymie trudności.

Zapewne artysta polski w początkach XX wieku ma sprawę bardziej ułatwioną niż Palissy, ów poprzednik jego w zawodzie z przed wieków; nie potrzebuje prawdopodobnie palić ostatniego stołka, ażeby otrzymać dostatecznie wysoką temperaturę, konieczną do stopienia pewnych materyałów. Nie potrzebuje również, jak tamten, zawzięty, niezrażony niczem wynalazca „błądzić w ciemnościach," gdyż może mieć pod ręką olbrzymią literaturę z tego zakresu i korzystać z rezultatów badań, prowadzonych obecnie pod wszystkiemi stopniami długości i szerokości geograficznej na kuli ziemskiej.

Od lat pięćdziesięciu, dzięki poszukiwaniom malarzy i garncarzy, między którymi wymienić należy Devers'a, Laurin'a, Pinart'a, Bouquet'a, Deck'a, Loebnitz'a i innych, dzięki zwłaszcza nadzwyczajnym postępom chemii, odnaleziono barwniki, pozwalające otrzymywać najsubtelniejsze odcienia przy wysokiej temperaturze, koniecznej do stopienia emalii. Zawodowe tajemnice cechów średniowiecznych przestały być niedostępne, a wszelkie odkrycia, ogłaszane w pismach specyalnych, stają się własnością każdego, kto chce tylko z odkryć tych korzystać.

Nie mniej przecież konieczna tu jeszcze umiejętność i doświadczenie zawodowe, ażeby wskazania teoretyczne praktycznie

urzeczywistnione być mogły. Po za tem nie wyłączone są również zdobycze osobiste, co przy uwadze i intuicyi jest nawet prawie konieczne, zwłaszcza jeżeli przypadek, ten najwierniejszy sprzymierzeniec wynalazców, przychodzi z pomocą.

Pan Jagmin opanował snadź rzemiosło swoje należycie, gdyż doszedł do rezultatów wprost wspaniałych. Emalie jego mienią się przecudnie połyskami metalicznemi i świecą barwami drogich kamieni — opali, ametystów, turkusów, malachitów i onyksów.

Bardzo ciekawa jest również imitacya starej patyny bronzowej, jaką pokrywa nie tylko wyroby garncarskie w ścisłem znaczeniu, ale wogóle wszystkie utwory wypalone w glinie—wszystkie *terra cotty*.

Patyna ta może mieć nadzwyczaj szerokie zastosowanie w sztuce rzeźbiarskiej.

T. Jaroszyński.

ROZMAITOŚCI.

„BRACIA CZARNI."

Kartka z przeszłości Litwy.

Kilku z więźniów. No, Janie, Nowiny!
Jan Sobolewski. Niedobre. Dziś na Sybir ki-
[bitek dwadzieścia wywieźli.
Żegota. Kogo? — naszych?
Jan Sobolewski. Studentów ze Żmudzi.
(*Dziady.* Część III, Akt I).

Gimnazyum sześcioklasowe *kroskie* już od lat kilku przeżywało czwarty okres swego przeszło dwuwiekowego istnienia.

Była to właśnie owa chwila, w której w chwiejnych rządach Aleksandra I-go zaczynał zarysowywać się przemożny wpływ reakcyi. Już i na Litwę, podlegającą pod względem wojskowym zwierzchnictwu w-go księcia Michała Pawłowicza, od pewnego czasu zaczęły zalatywać zwiastuny zmiany dotychczasowej polityki wewnętrznej, która niebawem całkowicie zmienić się tu miała na eksterminacyjną.

Tymczasem okręg naukowy wileński, od r. 1803 kierowany pieczołowitem ramieniem księcia Adama Czartoryskiego, doszedł do apogeum swego rozwoju. Wszechnica wileńska, zapładniając kraj cały, corocznie wychodzącą z jej łoną, młodzieżą, pełną szczytnych ideałów i nieskruszonego zapału, wciskała swe jasne promienie w zajzapadlejsze zakątki Żmujdzi czy Rusi Białej. I nigdy, ani przed, ani też potem, nie miała Litwa tak znacznej liczby szkół i nigdy jeszcze nauka polska i myśl narodowa na

Litwie nie sięgały tak wysoko, jak właśnie w tych smutnych leciech przełomu.

Burza nadciągała. Z dniem każdym ciemniała gęstwa chmur, nad Litwą zawisłych, nim w końcu jednem uderzeniem nowosilcowskiego piorunu zdruzgotane zostały aż do podwalin tradycye szkolnictwa polskiego w prowincyi litewskiej.

Zapoczątkowane w r. 1819 w szkole świsłockiej, pierwsze stowarzyszenia: „moralne“ i naukowe,“ rozwinięte niebawem przez młodzież akademicką w Wilnie w głośne związki „filaretów“ i „filomatów,“ w krótkim czasie rozszerzyły się niemal na wszystkie szkoły średnie, uniwersytetowi wileńskiemu podległe. Z musu — tajne, przybrały one z czasem charakter tajemniczości mistycznej, przemawiającej najgłębiej do młodocianych serc i umysłów; niebyło w nich wszakże nic, coby mogło zagrażać bezpieczeństwu państwa lub społeczeństwa. Przeciwnie, skierowane ku najwznioślejszym ideałom życia, obrały sobie za godło — *cnotę* i *naukę* obok ścisłego pielęgnowania tradycyj narodowych. Niema wątpliwości, że zarówno książe-kurator, jak i rektor wileński, coś niecoś o tych organizacyach wiedzieli i, nieupatrując w nich nic zdrożnego, jeżeli powagą swą ich istnienia nie potwierdzali, to je tolerowali pobłażliwie. Atoli parę wypadków, jakie zaszły w Wilnie w r. 1823, zmusiły zwierzchność szkolną do zwrócenia na te stowarzyszenia uwagi baczniejszej.

W roku tym Michał Plater, uczeń klasy V-ej gimnazyum wileńskiego, upamiętnił w d. 3-go maja, zawsze drogą dla narodu polskiego, rocznicę przez napis na tablicy szkolnej: „Vivat konstytucya 3-go maja!“ w kilka dni takież napisy znaleziono na murach dominikańskich, a w krótkim potem czasie stawił się do policmajstra wileńskiego zapaleniec Józef Masalski, uczeń uniwersytetu, i oświadczył, iż uważa siebie za „liberalistę i przeciwnika monarchii.“ Książe Czartoryski niezwłocznie przedsięwziął ścisłe dochodzenie śledcze, nakazał natychmiastowe rozwiązanie wszystkich kółek tajnych, kilku uczniów skazał na surową karę i rzecz całą uważał za skończoną. Aliści innego zupełnie zdania była władza administracyjna wileńska, która, nienawidząc Czartoryskiego, skorzystała umiejętnie z przychylnej dla siebie okoliczności i przedstawiła wielkiemu księciu sprawę tę w oświetleniu stosownem. Na dobitkę Masalski, wysłany z rozkazu cesarza do szeregów dywizyi jenerała Dauvrez w Białymstoku, potrafił rychło wywołać w niej ruch wojskowo-rewolucyjny. Zastraszony wielki książe wysłał do Wilna senatora Mikołaja Nowosilcowa z rozkazem utworzenia specyalnej komisyi śledczej dla ponownego zbadania

sprawy towarzystw tajnych na Litwie. Komisya rozpoczęła swe czynności w kwietniu 1823 r., do składu jej weszli: Nowosilcow, Wacław Pelikan (profesor, a od października 1824 r. rektor uniw. wil.). Piotr Szłykow (policmajster wileński), Ławrynowicz, Hieronim Botwinko (prokurator gub. wileńskiej) i Leon Bajkow przysłany przez w-go księcia z Warszawy). Książe Czartoryski na długo jeszcze przed otrzymaniem dymisyi oficyalnej (d. 5 kwiet. 1824 r.) został faktycznie usunięty z urzędu kuratora i zastąpiony przez Nowosilcowa tak, jak rektor Twardowski przez członka tejże komisyi — Pelikana.

W doświadczonych rękach komisyi śledczej, wykryte aż do końca 1825 r., osiem kółek uczącej się młodzieży, rozrosły się do rozmiarów potężnego sprzysiężenia, będącego rzekomo zarzewiem, mającego wkrótce nastąpić wybuchu rewolucyjnego.

W liczbie tych kółek ujawniono w gimnazyum kroskiem na Żmudzi istnienie towarzystwa tajnego „*Braci Czarnych*,“ zawiązanego przez ucznia Cypryana Janczewskiego [1]).

Cypryan Janczewski, najstarszy syn Franciszka, sędziego ziemskiego powiatu rosieńskiego, i Ludwiki z Żyłłochów, urodził się w d. 9 (21) grudnia 1805 r. w majętności *Dzierżanach* w tymże powiecie. Początkowo pobierał naukę w szkole powiatowej kowieńskiej, w której gronie nauczycieli był pod tenczas Adam Mickiewicz. Niezwykle zdolny i pilny, posiadał Janczewski nadto talent wierszopisarski i bezimienne utwory jego, przeważnie o charakterze patryotycznym, krążyły gęsto po Kownie w licznych odpisach. Zwłaszcza dowcipna bajka polityczna p. t. „*Wilki i cielęta*“ zwróciła uwagę szerszego ogółu i w tej liczbie policyi, co grozić zaczęło Janczewskiemu znacznem niebezpieczeństwem i zmusiło go do opuszczenia szkoły kowieńskiej. Przeniesiony na początku 1823 r. do gimnazyum w Krożach, Janczewski nie długo tu bawił, gdyż jako założyciel „*Braci Czarnych*, jeszcze tegoż samego roku, razem z kilku innymi kolegami, został aresztowany i do Wilna wywieziony.

Już na miesiąc przed wykryciem istnienia związku „*Braci Czarnych*“ gimnazyum kroskie zapisane zostało przez wileńskie sfery rządzące na listę proskrypcyjną. W połowie października 1823 r. aresztowano i wywieziono do Wilna, do „Bazylianów,“ nauczyciela fizyki szkoły kroskiej „filareta“ *Jana Sobolewskiego*.

---

[1]) *Pogodin A.* „Wilenskij Uczebnyj Okrug 1803—1831.“ Petersburg 1901 r. str. CXXIII—CXXV.

Młodziutki kandydat filozofii Sobolewski, rodem z Królestwa, gdzie rodzice jego w pow. tykocińskim posiadali majętność *Grochy*[1]), był jednym z tych nielicznych wyjątków owoczesnego ciała profesorskiego gimnazyum w Krożach, którzy potrafili zjednać sobie sympatyę uczącej się młodzi i pozostawić po sobie pamięć wdzięczną. Wobec biegunowo różniących się zdań o nim, wypowiadanych przez osoby mu współczesne, trudno jest dziś wydać sąd stanowczy o jego kwalifikacyach nauczycielskich i zasobie wiedzy. Jan Chodźko, ówczesny wizytator szkół gub. wileńskiej, w raporcie urzędowym z r. 1822 wyraża się o Sobolewskim z zachwytem, jako o „najzdolniejszym i najgorliwszym z nauczycieli“ i przedstawia go uniwersytetowi wileńskiemu do „najwyższej nagrody.“ Tymczasem profesor tegoż uniwersytetu Stanisław Jundziłł pisze w swych pamiętnikach o „znanej powszechnie ograniczonej mierności Sobolewskiego,“ którego „cała zasługa na tem, że był filaretem“[2]) Zdaje się atoli, że opinja, wydana przez Jundziłła, grzeszy znaną niechęcią ku „filaretom,“ gdyż na pewne zdolności Sobolewskiego w kierunku naukowym wskazuje otrzymanie przezeń za napisaną pracę 50 rubli nagrody jeszcze wówczas, gdy był uczniem wydziału fizyko-matematycznego seminaryum nauczycielskiego we Wilnie[3]), oraz dobra, jak na owe czasy, jego rozprawa estetyczna p. t. „*O piękności w budowlach*,“ wydrukowana w r. 1823 w „*Dzienniku Wileńskim*.“ Dzięki „Dziadom“ Mickiewicza, nazwisko Sobolewskiego zespoliło się nierozerwalnie ze „studentami ze Żmudzi“ i zdaje się, że sam będąc filaretą i ulubieńcem tych „studentów,“ niemógł on niewiedzieć o istnieniu w Krożach „*Braci Czarnych*,“ a nawet, być może, że jego aresztowanie poniekąd ułatwiło wpadnięcie na ślad tego związku.

Sprawcami bezpośrednimi wykrycia stowarzyszenia „Braci Czarnych“ byli czterej, nieznani nam z nazwisk, uczniowie kroscy, którzy przynieśli do prefekta Dowiatta „pisma buntownicze“[4]).

---

[1]) „Warszawskija Uniwersitetskija Izwiestja“ z r. 1897.

[2]) *Sobarri* (A. H. Kirkor): „*Obrazki litewskie*.“ Poznań 1874 r. str. 83.

[3]) *Bieliński Józef*: „*Uniwersytet Wileński*“ T. I. str. 357.

[4]) *Pogodin A. prof.*: „*Wilenskij Uczebnyj Okrug 1803—1831*,“ str. CXXIII—CXXV. Prof. Pogodin notuje jeszcze inną, mało wiarogodną, wersyę o przyczynie wykrycia związku, mianowicie, że w celu rozpowszechnienia jego na Litwie, członkowie towarzystwa tego przybyli do Wilna i tu zostali przez policyę ujęci. Lelewel zaś twierdzi, że „Braci Czarnych“ zdradziły odezwy, przez nich wydane i do Wilna przysłane (*Nowosilcow w Wilnie*. Warszawa 1831 r. str. 23)—prawdopodobnie jest to źle dosłyszana wiadomość o „pismach buntowniczych,“ które trafiły do rąk Dowiatta.

Ignacy Dowiatt, rodem ze Żmudzi, magister filozofii uniw. wileń. i asesor kolegialny, był od r. 1817 pierwszym przełożonym cywilnym szkoły kroskiej od chwili wyjęcia tej uczelni z pod zwierzchnictwa pedagogicznego księży karmelitów. Człowiek stary, bezduszny formalista, srogi dla młodzieży, a tchórzliwy wobec władzy wyższej i bezwzględnie uległy rządowi—niebył lubiany przez młodzież, ani szanowany przez swych kolegów. Otrzymawszy owe „pisma buntownicze“ (zapewne jakieś wiersze patryotyczne), Dowiatt niezwłocznie zakomunikował o tem administracyi powiatowej i sam osobiście wraz z przysłanym z Rosiejń (Kroże leżą w pow. rosiejńskim), asesorem sądu niższego przeprowadził wstępne badania śledcze, a rzuciwszy trafne podejrzenie na ucznia *Zieleniewicza*, *„Braci Czarnych“* wykrył. [1])

W d. 8 grudnia 1823 r. zjechała do Kroż wileńska komisya śledcza w osobach: *Bajkowa*, *Botwinki* i *Królikowskiego* [2]). Termin przyjazdu jej trzymany był w tajemnicy, wszakże pedelowi uniwersytetu *Sidorowiczowi* udało się dowiedzieć o nim i uprzedzić, przyjaznego sobie, nauczyciela w Krożach, za co, biedaczysko, w d. 10 grudnia aresztowany, skazany został na dwa lata fortecy bobrujskiej [3]).

Dotąd nie są nam znane akta śledcze, dotyczące sprawy kroskiej, to też nic niewiemy ani o samej organizacyi wewnętrznej, ani też o zadaniach, zakreślonych sobie przez członków związku. Podobno był on wzorowanym na stowarzyszeniu, istniejącem już dawniej w szkole kowieńskiej [4]) skąd też Janczewski i przywiózł myśl samą. Niestety, zarówno i wiadomość o towarzystwie kowieńskim dotrwała do czasów naszych pod postacią zaledwie wzmianek ogólnikowych. Bynajmniej nic nam nie wyjaśnia i rzekoma dewiza *„Braci Czarnych*:“ „gdzie wszyscy grzeszą — tam niema winnego“ [5]), o ile nie przyczepioną tu została dowolnie. Lelewel bowiem twierdzi, że powstała ona ze zdania, ustawicznie

[1]) *Pogodin*: Ibidem i list rektora Twardowskiego do ks. Czartoryskiego z Wilna z d. 20 stycznia 1824 r. w *„Roczniku Towarz. Przyjaciół Nauk.“* Poznań t. XXVI str. 404.

[2]) *Pogodin:* Ibidem; *Lelewel: „Nowosilcow w Wilnie w roku szkolnym 1823/24.“* Warszawa 1831 r. str. 23 i list Twardowskiego, wyżej cytowany.

[3]) *Lelewel: „Nowosilcow w Wilnie“* str. 23.

[4]) *Barchatcew S.: „Iz istorii wilenskawo uczebnawo okruga,“* cytowany przez *A** w *„Pamiętnikach Bajkowa“* w *„Przewodniku naukowym i literackim.“* Lwów t. XX (1892 r.) str. 697.

[5]) *„Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce“* Kraków t. VI, str. 221.

przez komisyę Nowosilcowa powtarzanego, w celu łatwiejszego wydobycia zeznań z filaretów [1]).

Znaną jest stronniczość, z jaką Nowosilcow przedstawił całą sprawę związków tajnych szkół litewskich, dla tego też nie należy oceniać wielkości przestępstwa politycznego „*Braci Czarnych*“ z tego, że do sądzenia ich powołany został aż sąd *wojenny*, jak zarówno z ciężkiego wyroku, jaki spadł na nich. Prawdopodobnie pod wiele dającym do myślenia tytułem, kryło się zwykłe kółko młodzieży, spędzającej chwile, wolne od nauki, na czytaniu wierszy „zabronionych,“ lub utworów historycznych.

Niemniej w styczniu roku następnego wielki książe wyznaczył specyalnie dla sprawy kroskiej sąd wojenny, w którego skład weszli: dwaj oficerowie i audytor pod przewodnictwem dowódcy brygady 3-iej jenerała *Rozena*, z Warszawy do Wilna przysłanego. Oprócz tego Nowosilcowowi rozkazano nad sądem rozciągnąć dozór ścisły. Sprowadzono do Wilna do księży Dominikanów uczniów z Kroż, podejrzanych o należenie do związku „*Braci Czarnych*,“ kilka rozmaitych osób z Rosiejń i nauczyciela jęz. niemieckiego szkoły kroskiej *Paszkiewicza*, wmieszanego do tej sprawy „za płoche i nierozsądne gadanie“ [2]), który w toku sprawy „okazał się włóczęgą i niewiadomo jakim sposobem tu się dostał [3]).

W połowie lutego sąd wydał wyrok, który, przez ręce wielkiego księcia, wysłany został do Petersburga na konfirmacyę cesarza. Wieści straszliwe o treści jego miasto obiegały. „Słyszałem — pisze przerażony Twardowski do księcia Czartoryskiego — że dwóch uczniów sądzono na śmierć, dwóch na karę publiczną cielesną, dwóch na cielesną szkolną, a nauczyciela Paszkiewicza na wydalenie z miejsca [4]). Wolno niewierzyć w szlachetne pragnienie Nowosilcowa ulżenia smutnej doli dzieci kroskich, w każdym jednak razie wyrok ostateczny był istotnie inny, niż go fama wileńska urobiła.

Oto treść tego arcyciekawego dokumentu rządów rosyjskich na Litwie w przekładzie dosłownym z oryginału, posiadanego przez p. Stanisława Witkiewicza w Zakopanem i uprzejmie mi przezeń udzielonego.

[1]) *Lelewel*: „*Nowosilcow w Wilnie*,“ str. 22.

[2]) List Twardowskiego do ks. Czartoryskiego z Wilna z d. 20 stycznia 1824 r. w „*Roczn. Towarz. Przyj. Nauk.*“ Poznań XXVI, str. 404.

[3]) List Twardowskiego do ks. Czartoryskiego z Wilna z d. 27 stycz./8 lutego 1824 r. Tamże, str. 407.

[4]) „*Rocznik Towarz. Przyj. Nauk*“ t. XXVI, str. 410.

„Odpis odezwy P. Gubernatora Wojennego Litewskiego do P. Gubernatora Cywilnego z d. 11 marca 1824 roku pod № 905.

Jego Cesarska Wysokość Książe Cesarzewicz przy rozkazie do mnie z d. 28 zeszłego lutego pod № 1268 raczył przesłać, w celu jej wykonania, konfirmacyę Jego Cesarskiej Mości, zapadłą w sprawie wojenno-sądowej, na mocy której, oddani pod sąd za przestępstwa, niżej wymienieni uczniowie szkoły kroskiej, znajdującej się w Gubernii Wileńskiej, Powiecie Rosiejńskim, po pozbawieniu szlachectwa, skazani zostali na wysłanie: *Cypryan Janczewski* i *Feliks Zieleniewicz* w kajdanach do Bobrujska na lat 10 dla używania ich również w kajdanach do ciężkich robót fortecznych, a po skończeniu terminu tego, o ile okażą się jeszcze zdatnymi do służby wojskowej — na linię Orenburską dla odbywania w szeregach garnizonów miejscowych służby bez prawa awansu; *Jan Witkiewicz*, *Aloizy Pieślak*, *Wiktor Iwaszkiewicz* i *Mikołaj Suchocki* w kajdanach podczas podróży na linię Orenburską do szeregów garnizonów miejscowych bez prawa awansu; zaś nauczyciel szkoły kroskiej *Wincenty Paszkiewicz*, przez wzgląd na jego poprzednią służbę nieskazitelną, przez zwierzchność zaświadczoną, do kazamat fortecy Bobrujskiej na dwa lata, poczem go uwolnić. Co się tyczy samego ich wysłania, to konfirmacya nakazuje: ekspedycyę tych przestępców dokonać należy pocztą przez umyślnych żandarmów gubernialnych aż do miejsca przeznaczenia, natomiast koszta na nią łożone, poszukiwać na nich, a w razie ich ubóstwa, na ich rodzicach i krewnych. Nadto tąż samą drogą zwrócić sumę, z kasy komisaryackiej wydatkowaną w tej sprawie na sztafety, posłańców i przejazd urzędników komisyi śledczej, w ilości należnej stosownie do wiadomości zebranych.

Niżej wymienieni przestępcy, po ogłoszeniu im treści konfirmacyi Jego Cesarskiej Mości, zostali wyekspedyowani do miejsc wskazanych, jako to: *Janczewski i Zieleniewicz* w kajdanach do Bobrujska w towarzystwie żandarmów wileńskich, a *Witkiewicz*, *Pieślak*, *Iwaszkiewicz* i *Suchocki* na linię Orenburską — aż do Mińska pod eskortą żandarmów wileńskich, a stamtąd z żandarmami gubernialnymi. Na koszta ich ekspedycyi do Bobrujska i Orenburga oraz na powrót żandarmów wydano z komisyonerstwa komisaryackiego wileńskiego razem 2147 rb. 15 kop. Dla tego też proszę Waszą Ekscelencyę polecić Urzędowi Gubernialnemu wyegzekwować od rodziców lub krewnych wymienionych przestępców, wydane z kasy komisaryackiej na ekspedycyę ich 2147 rb. 15 kop. asygnacyami, jak też i koszta, przez tęż kasę komisaryacką, poniesione na wysyłanie sztafet, posłańców i przejazd urzędników

w wysokości, którą Waszej Ekscelencyi zakomunikuję po otrzymaniu przezemnie wiadomości od dowódcy korpusu litewskiego P. Jenerała-lejtenanta Dauvrez, który otrzymał od Jego Cesarskiej Wysokości w tym względzie rozkazy stosowne.“

W d. 9 marca „*Braci Czarnych*“ wywieziono z Wilna[1]). A w jaki sposób tego dokonano — niech nam raz jeszcze opowie świadek naoczny i ich druh serdeczny i współwięzień, Jan Sobolewski:

Od bram więzienia na plac, jak w wielkie obrzędy,
Wojsko z bronią, z bębnami stało we dwa rzędy;
Wpośrodku nich kibitki. — Patrzę z placu sadzi
Policmajster na konin; — z miny zgadłbyś łatwo,
Że wielki człowiek wielki tryumf poprowadzi, i t. d.

Że w tej wzruszającej opowieści, ujętej przez Mickiewicza w przecudne rymy, niema ani źdźbła przesady poetyckiej, stwierdzają inni dwaj świadkowie: *Twardowski* i *Lelewel*, niezgadzający się ze sobą jedynie w opisie zachowania się, obecnego przy wywożeniu „studentów ze Żmudzi,“ tłumu.

„Czyniono to z taką paradą — pisze Twardowski do Czartoryskiego, — z taką solennością, jakby miano zamiar prowokować młodzież, iżby swoje z tego względu nieukontentowanie okazała. Jenerał Rozen, który w sądzie wojennym prezyduje, poruszony tem, udał się do P. Nowosilcowa, przekładając mu nieprzyzwoitość takiego postępowania. Odpowiedziano mu, że P. Korsakow ma sobie powierzoną exekucyą, a kiedy się udał do P. Korsakowa, ten się złożył na P. Nowosilcowa, jako prowadzącego wszystkie sprawy ze studentami. Policmajster w piśmie urzędowem do komendanta placu, głucho, ale wyraźnie wymienił, iż z rozkazu zwierzchności uczniowie nie wieczorem, ale w dzień o południu mają być wywiezieni. Powózki umyślnie oddalono od odwachu o kroków półtorasta, aby okuci, nie przywykli jeszcze do nowych i nieociąganych kajdan, wlekli się do nich powoli i z trudem. Przechodzili koło licznie zebranego ludu, który płakał rzewnemi łzami, ale oburzenia żadnego nikt nie okazał. Panowało wszędzie głuche milczenie, przerywane płaczem i łkaniem[2]). „Wywiezienie głównego winowajcy *Jańczewskiego* i jego towarzyszów — według Lelewela — odbyło się z niejaką uroczystością. Okuty

[1]) List Twardowskiego do Czartoryskiego z d. 9 marca 1824 r. Tamże str. 427.

[2]) Tamże str. 438

w kajdany i na wóz włożony, był dobrej myśli i pocieszał towarzyszów. Innego był uczucia tłum ludu, na to widowisko zebrany. Szmer oburzenia, zgiełk około mdlejącej kobiety, rumor tłumionego w rozmowach głosu, przerywane były wyższym niewieścich przekleństw głosem.“[1])

W siedem miesięcy potem b. nauczyciel szkoły kroskiej i filaret *Jan Sobolewski*, skazany do „oddalonych od Polski gubernij,“ w d. 24 października 1824 r. na jednej bryczce z Mickiewiczem wyjechał z Wilna do Petersburga, gdzie, jako „mogący — według kwalifikacyi urzędowej — wykładać matematykę w jęz. francuskim i uzdolniony do służby przy korpusie inżynierów dróg i komunikacyi,“[2]) już w grudniu tegoż roku przyjęty został do komunikacyi wodnej,[3]) a w lutym r. 1825, po zdaniu egzaminów, awansował na oficera dyrekcyi jej i „na miejsce“ wysłany został[4]). W r. 1827 „w nagrodę pilności awansował na podporucznika[5]), a w roku następnym bawił w Petersburgu, gdzie się spotkał z Mickiewiczem, który w liście do Tomasza Zana z d. 3 kwietnia 1828 r. o tem wspomina: „Ale najmilsza czekała mnie siurpryza z przybyciem do stolicy Itydatula (?) i *Sobolewskiego;* wiele oni ucierpieli pracując w odległych guberniach i teraz miejsca wygodniejsze i rangę wyższą otrzymują“[6]). Zmarł w Petersburgu.

Nie wystarczała Nowosilcowowi ta surowa i bezprzykładna kara, jaką uczniom kroskim wymierzono; jeszcze wszelkich starań dokładał, by, za przykładem kiejdańskiej i szkołę kroską „jako szkodliwą“ zamknięto. Szczęściem wszystkie jego przedstawienia, w tym sensie czynione, nie uzyskały aprobaty wielkiego księcia, który rozkazał „uważać tę sprawę, jako już po ukaraniu uczniów za zupełnie skończoną“[7]) i gimnazyum kroskie wydało jeszcze parę

---

[1]) „*Nowosilcow w Wilnie*“ str. 24.

[2]) *Tretiak J.*: „*Rok więzienny w życiu Mickiewicza*“ w „*Przewodn. nauk. i literackim*“ Lwów, T. XI (1883) str. 928 i „*Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce,*“ Kraków, T. VI str. 322—323.

[3]) List Mik. Malinowskiego do Lelewela z d. 23 XII 1824 r. w „*Pamiętniku Tow. Literackiego imienia Mickiewicza.*“ Lwów, I, str. 148.

[4]) List ks. Michała Bobrowskiego do Lelewela z d. 28 II 1825 r. Tamże str. 149.

[5]) List Cypr. Daszkiewicza do Lelewela z d. 6 lipca 1827 r. Tamże str. 149.

[6]) *Pisma Ad. Mickiewicza.* Warszawa 1858 r. Przedmowa Wójcickiego, str. XXXI.

[7]) List Twardowskiego do ks. Czartoryskiego z d. 16 (28) kwiet. 1824 r. w „*Roczn. Towarz. Przyj. Nauk w Poznaniu,*“ T. XXVI str. 439 Otton Ślizień

pokoleń dzielnych obywateli kraju. Natomiast, za wstawiennictwem wielkiego księcia do cesarza, czterej uczniowie, którzy pierwsi dostarczyli Dowiattowi „pism buntowniczych“ otrzymali „nagrodę honorową,“ a dyrektor Dowiatt udekorowany został krzyżem św. Włodzimierza klasy 4-ej [1]). *Ignacy Dowiatt* potem jeszcze przeszło dziesięciolecie całe kierował gimnazyum w Krożach, nim wreszcie zakończył swą karyerę urzędniczą dymisyą, otrzymaną wraz z pensyą dożywotnią w kwocie 600 rubli srebrem — w październiku 1836 r.[2]).

Oto i wszystko, co o związku *„Braci Czarnych“* w Krożach powiedzieć możemy. Ze sześciu jego członków zaledwie dwu dalszy bieg życia znamy bliżej, ale, szczęściem wielkiem, najwybitniejszych, bo — *Janczewskiego* i *Witkiewicza*.

W połowie marca 1824 r. za *Cypryanem Janczewskim* zatrzaśnięto ciężkie drzwi twierdzy bobrujskiej. Osiemnastoletni „przed rokiem swawolny i ładny chłopczyk“ pozostawiony został odtąd w wilgotnej klatce kazamaty na pastwę długich beznadziejnych godzin ciszy grobowej, przerywanej jeno brzękiem kajdan, wlekących się u nóg jego. Zapowiedziane w dekrecie „ciężkie roboty forteczne“ pozostały na papierze, czas więc upływał w zupełnej samotności, urozmaicanej codzienną krótką przechadzką po ciasnym podwórcu.

Tak minęły dwa lata, których wystarczyło, by zabić *Feliksa Zielenicwicza* — kolegę i współwięźnia Janczewskiego, — zmarłego na suchoty. W r. 1826 zwiedzał Bobrujsk Cesarz Mikołaj I. Obchodząc cele więzienne, zwrócił swą uwagę na szlachetną postać „przestępcy,“ na którego wyrok sam wydał, a, upodobawszy go sobie i przy usilnych staraniach rodziny, jeszcze w tymże roku, w drodze łaski, przeniósł Janczewskiego do szeregów jednego z pułków, konsystujących w gub. wileńskiej. Tu los mu się uśmie-

---

w swych „Pamiętnikach“ („*Pamiętnik Tow. Liter. im. Mickiewicza*,“ T. II, str. 232) mylnie twierdzi, że sam rektor Twardowski jeździł do Krożu, by szkołę zamknąć i miał tam mowę pożegnalną. Istotnie Twardowski zamknął szkołę w Kiejdanach, o czem sam donosi w liście do ks. Czartoryskiego („*Roczn. Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu*“ T XXVI str. 434).

[1]) List Twardowskiego do Czartoryskiego z d. 9 marca 1824 r. Tamże str. 427.

[2]) Rękopis p. t. „*Opis dzienny*,“ zawierający dyaryusz szkoły kroskiej, własność p. Lubomira Dymszy, str. 139 i 140.

chmął. Oficer *Felicyan Rudzki*[1]), poznawszy Janczewskiego, wyprosił go dla siebie na ordynansa (dieńszczyka) i wkrótce złączyła ich przyjaźń serdeczna, która potem osłodziła naszemu skazańcowi nie jedną ciężką chwilę upokorzenia i smutku. Po latach pięciu Janczewski awansował na oficera i wkrótce służbę wojskową w randze porucznika opuścił na zawsze, poczem powrócił na Żmujdź i tu czas jakiś pomagał w gospodarstwie ojcu, zanim nie przeniósł się chwilowo do ojczystej majętności *Belweder* nad Niemnem.

W r. 1844 pojął za małżonkę Kazimierę Burbiankę i zamieszkał wraz z nią w otrzymanych z jej ręką dobrach *Blinstrubiszki* w pow. rosiejńskim. Odtąd płynąć mu zaczęło życie równo i spokojnie. Cały oddany roli i służbie społeczeństwu swemu, brał w życiu jego udział czynny i owocny, jako członek rozmaitych komitetów obywatelskich, w których liczbie szczególne usługi położył w t. zw. „komitecie inwentarzowym," normującym stosunek pańszczyźniany chłopa do dworu. Lat kilka ostatnich życia swego spędził na piastowaniu, poważnego naówczas, urzędu marszałka szlachty, powołany nań przez współpowietników w d. 18 czerwca 1846 r. Po dwukrotnej chorobie na wiosnę i w jesieni r. 1853, spokojnie zasnął na wieki w d. 19 września tegoż roku w pełni sił żywotnych i intelektualnych, opłakiwany przez wszystkie warstwy społeczeństwa swego, ceniącego nieskazitelność jego charakteru i gotowość każdej chwili do poświęceń. Obok jego trumny w grobach rodzinnych na cmentarzu parafijalnym w *Widuklach*, spoczęła w r. 1890 i jego żona. Więzienie i szynel żołnierski, przymusowo mu narzucony, wywarły niezatarte piętno na jego usposobieniu, ujawniające się w niechętnych o tych czasach wspomnieniach i ciągłej bojaźni ponownego aresztu tak dalece, że w r. 1850 zniszczył wszystkie swe utwory rękopiśmienne i nawet, na wszelki wypadek polecił swą rodzinę opiece brata swego Waleryana. Jedyny dwuwiersz, skreślony ręką Janczewskiego, na codziennej książce do nabożeństwa, stanowi całą po nim spuściznę literacką:

---

[1]) Felicyan Rudzki, nasz rodak, był potem inspektorem leśnym gub. kowieńskiej i zmarł w Petersburgu, jako vice-dyrektor departamentu leśnego, — zaś syn jego — Aleksander, prof. petersburskiej akademii leśnej, zmarł tamże w r. 1901.

„Boże! bądź Bogiem, a gdy będziesz sądził —
Wspomnij żem człowiek, zapomnij, żem błądził [1]).

Nie posiadam materyałów, mogących nam dać obraz całkowity tej niezwykłej postaci, jaką był drugi *Brat Czarny — Witkiewicz;* rozporządzam jedynie luźnemi notatami, zarysowującemi przed nami zaledwie blade jej kontury. Zresztą żywot Witkiewicza, tak dalece osobliwy, a zwłaszcza zagadkowa śmierć jego w chwili, gdy można było spodziewać się po nim jakiegoś czynu wielkiego, domagają się specyalnego opracowania, a co więcej — oświetlenia.

Jan Witkiewicz, syn Wiktora, urodził się we wsi ojczystej *Poszawsze* w pow. szawelskim na Żmujdzi. Po skazaniu go w r. 1824, za należenie do szkolnego związku kroskiego, na służbę w wojsku orenburskiem został szeregowcem batalionu liniowego w *Orsku*, twierdzy granicznej rosyjskiej od Turkiestanu. Razem z Witkiewiczem w wojskach „linii Orenburskiej“ byli też i koledzy jego z Kroż, na odbywanie kary tu przysłani, a także w samym Orenburgu filareci — *Zan* i *Suzin*. Zan w liście do Mickiewicza, w d. 12 grudnia 1828 r. w Orenburgu datowanym, pisze: „Ziomków naszych krożan przedstawiono prośby o przeniesienie do wojsk działających. Jeden z nich stał się ukradkowym ojcem, a *Witkiewicz* dla umiłowania się okazuje niechęć ku odmianie miejsca [2])“ Tu też zastał Witkiewicza *Aleksander Humboldt*, przejeżdżający we wrześniu 1829 r. przez Orsk i Orenburg w kierunku Astrachania podczas swojej wycieczki naukowej po Rosyi Azyatyckiej. Zdziwiony tą wysoką inteligencyą i wykształceniem, jakie się kryły pod szarym płaszczem żołnierza orenburskiego, wspomina Humboldt o Witkiewiczu z niekłamanym zachwytem w swym opisie podróży po Azyi, gdy zaś w listopadzie tegoż roku w przejeździe z powrotem do Paryża bawił w Petersburgu, przedstawiony cesarzowi Mikołajowi, wyraził mu Humbold zdziwienie, jakie go ogarnęło, na widok tak wysoce ucywilizowanego wojska rosyjskiego i prosił o wzgląd łaskawszy dla nieszczęsnych skazańców.

Zdaje się, że cesarz istotnie przesłał jenerał-gubernatorowi orenburskiemu *Bazylemu Perowskiemu* jakieś w tej sprawie roz-

[1]) Wszystkich wiadomości dotyczących życia Cypryana Janczewskiego łaskawie mi dostarczył, za pośrednictwem p. Stanisł. Witkiewicza, syn jego prof. uniw. Jagiell. p. Edward Janczewski, urodzony w Blinstrubiszkach.

[2]) „*Korespondencya Ad. Mickiewicza.*“ Wyd. 2-ie, Paryż 1873 r. T. II, str. 67.

porządzenie, dosyć, że odtąd Polakom udzielono względnej wolności i otaczać zaczęto ich wielką estymą. Zmiany takiej w życiu zesłańców omal nie zniweczyły zupełnie, a co więcej, nie ściągnęły na nich nowego prześladowania okoliczności, jakie w kraju orenburskim zaszły. Wnet po wybuchu powstania r. 1831 w Polsce, na Polaków, znajdujących się na deportacyi, zwracać zaczęto pilną uwagę, pomawiając ich o knucie spisku antyrządowego. Tak też działo się i w Orenburgu, gdzie wkrótce potem rodak *Krzywicki*— figura nikczemna i ogólnie pogardzana — zadenuncyował Witkiewicza, Zana, Suzina i innych o udział w akcyi konspiracyjnej. Perowski przeprowadził ścisłe dochodzenie, które jednak nic zdrożnego nie ujawniwszy, nie pociągnęło dla oskarżonych żadnych złych skutków, o ile nie liczyć krótkotrwałego aresztu[1]). Przeciwnie, nawet wszechwładny Perowski zapłonął do nich sympatyą tak wielką, że w styczniu r. 1855 wyjednał Zanowi i Suzinowi powrót do kraju, a Witkiewicza w tymże roku mianował tłómaczem przy komisyi pogranicznej w Orenburgu.

Niedawny „przestępca polityczny“ swoją głęboką wiedzą zdobywa sobie zaufanie Perowskiego do takiego stopnia, że w krótkim czasie zostaje awansowany na sztab-rotmistrza 1 pułku kozaków orenburskich i adjutanta przy osobie tego wielkorządcy kraju i jednej z najbliższych cesarzowi osobistości. Błyskawicznie posuwając się w górę, Witkiewicz z ramienia rządu rosyjskiego jest obecnym przez cały czas oblegania *Heratu* i działa w zupełnej niezależności od posła rosyjskiego w Persyi *Simonicza*. W końcu Departament do Spraw Azyatyckich przy Ministeryum Spraw Zagranicznych w r. 1837 mianuje go agentem dyplomatycznym w *Kabulu* i tu rozpoczyna się tajemnica dotyczczas oddzielona od nas gęstą zasłoną: Witkiewicz w r. 1839 swem nagłem wystąpieniem zrywa układy, prowadzone przez emira *Mahometa* z sirem Burnesem, również agentem kompanii angielskiej, przez co o włos nie wywołał wojny między Anglią a Rosyą, którą rząd rosyjski zdołał zażegnać jedynie przez znaczne ustępstwa polityczne na rzecz Anglii.

Wezwanego przez departament azyatycki do Petersburga, w dni kilka po przybyciu tam i po gwałtownej rozmowie z ministrem spraw zagranicznych, a nawet, jak mówią, z samym cesarzem — nad ranem d. 9 maja 1839 r. w hotelu „Paryż“ znaleziono za-

[1]) *Patło:* w „*Istriczeskom Wiestnikie*“ Petersburg 1889 r. Zeszyt XII.

strzelonym, a wiernego jego ordynansa kirgiza—Dymitra z rozpłataną czaszką. Na stole leżał dokument tej treści:

„Chociaż nie znam człowieka, któregoby mógł, z jakiegobądź względu, obchodzić los mój, uważam jednak za stosowne wyjaśnić, że pozbawiam się życia dobrowolnie.

„Ponieważ Departament Azyatycki Ministeryum Spraw Zagranicznych jest urzędem zwierzchniczym, od którego w chwili obecnej jestem zależnym, proszę więc Departament powyższy, należną mi od 1-go Orenburskiego pułku kozaków za dwa lata pensyę, podzielić w ten sposób:

„1) Zapłacić kupcowi Lichaczewowi, na Newskim Prospekcie na przeciwko Dworu Gościnnego, za wzięte przezemnie u niego przedmioty oficerskie, razem około 300 rubli asygn. 2) Zapłacić krawcowi Mirkiewiczowi rubli 500 za zamówione u niego odzienie, lecz jeszcze nie odebrane. 3) Znajdującemu się przy mnie służącemu Dymitrowi proszę pozwolić korzystać ze wszystkich rzeczy moich, jakie tylko przy mnie w tej chwili się znajdą.

„Wszystkie dokumenty, dotyczące mojej podróży ostatniej, spaliłem sam i dlatego wszelkie ich poszukiwanie będzie bezowocnem.

„Wszelkie rachunki z właścicielem traktyerni „Paryż“ zakończone zostały do dnia 7-go bieżącego maja, gdyby jednak okazało się jakieś żądanie zapłaty i za dzień 7 maja, to upraszam Departament o zadośćuczynienie go z wymienionych pieniędzy.

8 Maja 1839 o godz. 3 rano“ [1]).

W jakiś czas po śmierci Jana Witkiewicza, brat jego Ignacy otrzymał od *Zegoty Onacewicza* list następujący:

„Wielmożnemu Ignacemu Witkiewiczowi w Poszawszu.

Stary nauczyciel kocha zawsze uczniów, każdy chrześcijanin kocha bliźniego i chciałby widzieć szczęśliwym ród ludzki i z tych pobudek tragiczny zgon Pana Witkiewicza, d. 8 Maja wydarzony, bolesne w moim sercu sprawił uczucie, chociaż niemiałem przyjemności znać go osobiście, lecz on był uczniem mego ucznia Sobolewskiego.... w gazetach zagranicznych były mi przyjemne, bo one dowodziły.... (nieczytelne).“

Tenże *Onacewicz* później w lat kilka przysłał Ignacemu Witkiewiczowi taką charakterystykę Jana Witkiewicza:

---

[1]) Przekład z oryginału rosyjskiego, przysłanego rodzinie Witkiewicza przez Departament Azyatycki.

„Witkiewicz. W młodzieńczym nadzwyczajnych lat wieku rozwinął tęgość duszy, czem by się mógł pochlubić starego Rzymu obywatel. Hartowna dusza przeniosła wszelkich nieszczęść koleje, uzbrojona stałością, jakiej dziś rzadkie ukazują się przykłady. Wśród dzikich i odludnych stepów układa olbrzymie plany, popiera one niezmordowaną czynnością, która jego nieprzyjaciół w zadziwienie wprawiła.

Zawiść wszędzie mu szkodziła, ale jego niesłychane czynności i obrotność umiały tryumfować i właśnie gdy stanął na drodze do świątyni sławy prowadzącej, cios morderczy przecina pasmo niepospolitego życia, radość stąd pochodząca w Kalkucie i Londynie, opłacona serdecznemi łzami nad wczesnym zgonem wielkiej nadziei męża, któremu nawet wielki Humboldt oddał sprawiedliwość.

18 Listopada (18) 44. Żegota.“

Posiadamy jeszcze notatkę biograficzną Witkiewicza, skreśloną ręką *Tomasza Zana:*

Od 1824 — 1836. Do pamiętnika o życiu, byciu Witkiewicza Jana syna Wiktorowego z Poszawsza na Żmudzi, ucznia szkoły w Krożach, w 1823 roku szeregowego w liniowym batalionie w Orsku, tłómacza pogranicznej komisyi w Orenburgu 1835—1836, kozaczego Teplewa pułku kapitana, adjutanta Wojennego Gubernatora i korpusem komenderującego Wasilja Aleksiejewicza Perowskiego, generał adjutanta, obecnego przy zdobywaniu Heratu i działającego przy oblężeniu tego miasta, niezawiśle od posła w Persyi.... Simonicza, agenta od Kabulu, który przeniknął do Dost-Mahometa, panującego tam naówczas i przerwał jego układy z Burnesem, takimże, jak on, agentem od kompanii Angielskiej, zeszłego w Petersburgu 1836 (winno być 39), 8 podobno Maja“[1]).

Choćby z jednej tylko notatki Onacewicza domyślać się wolno, że nie dobrowolnie pozbawił się życia Witkiewicz. Pisma angielskie we wspomnieniach pośmiernych o nim niedwuznacznie napomykają, że zginął on z ręki nasłanych zbirów, co potwierdza też i rozpłatana czaszka wiernego Kirgiza, a i fakt, że rodzina Witkiewicza nie potrafiła zdobyć „własnoręcznego“ jego pisma, rzekomo znalezionego w jego pokoju[2]). Zresztą już sama treść

---

[1]) Niedrukowane dotąd nigdzie, przytoczono rękopisy Onacewicza i Zana, są w posiadaniu p. Stanisł. Witkiewicza, synowca Jana, który mi ich udzielił.

[2]) W rodzinie ś. p. Jana Witkiewicza nikt w jego samobójstwo nie wierzył i nie wierzy.

tego pisma wyraźnie mówi o głównej, być może, przyczynie śmierci Witkiewicza — *dokumentach*, dotyczących podróży ostatniej."

Zagadka rozwiązaną zostanie tylko wtedy, gdy posiądziemy wszystkie tajniki onej bezkrwawej walki, staczanej przez lat szeregi w pierwszej połowie ubiegłego stulecia między mocarstwem Mikołaja I-go a Wielką Brytanią o pierwszeństwo w panowaniu nad ludami, pogranicznego Rosyi, Wschodu.

Michał Brensztejn.

PIŚMIENNICTWO.

JÓZEF BIELIŃSKI. *Żywot ks. Adama Jerzego Czartoryskiego.* 1905.

Autor poprzedził biografię księcia Adama kilkoma uwagami, poświęconemi rodzinie Czartoryskich. Zwłaszcza działalność jej skłoniła go do twierdzenia, że książęta tworzący stronnictwo „familii“ dalecy byli od zamachu stanu, nie chcieli oni nic burzyć, a jako przezorni politycy pragnęli złe naprawić i sądzili, że stwarzając silny rząd, zapewnią krajowi lepszą przyszłość. Nie przewidywali też niebezpieczeństwa, jakie groziło narodowi. W wyborze środków popełniali nieraz błędy, zawiedli się niejednokrotnie w rachubie, ale nie łatwo w historyi napotkać się zdarza tak wytrwałą, cierpliwą i niezłomną działalność, przez pół wieku zdążającą ku jednemu celowi. Spadkobiercą myśli politycznej „familii“ był książe Adam, generał ziem podolskich. Powszechnem było zdanie, że nie dorósł do roli politycznej wyższego stylu. Teoretycznie dobrze obeznany z ideą naprawy Rzeczypospolitej, nie wahał się stanąć w jednym szeregu z nieprzyjaciołmi króla i paraliżować czynności rządu. Łatwo się dawał powodować, nie umiał, czy też nie chciał rozkazywać, aby tą drogą zyskać przewagę nad innymi. Był miłym towarzyszem, dowcipnym i światłym pisarzem, ale rola jego polityczna była przeważnie bierną. O księżnej generałowej autor opowiada, że miała pewne podobieństwo do Maryi Antoniny, pragnąc królować w świecie zabaw, a nie sięgać po wpływ i władzę.

Książe Adam, któremu praca została poświęconą, wychowywał się pod kierunkiem Francuza Boissy, a następnie pułkownika Ciesielskiego. W r. 1782 był pierwszy raz na posiedzeniach sejmu polskiego. Oprócz Ciesielskiego liczni nauczyciele wykładali mu nauki, a i księżna matka brała czynny udział w wychowywa-

niu swych dzieci. W szesnastym roku życia książe Adam został wyprawiony za granicę dla dopełnienia edukacyi. Gdy bawił w Paryżu, otrzymał polecenie od ojca, aby sekretarzył Piatolemu, którego ojciec wezwał do ułożenia programu politycznego, jakiego się miało trzymać stronnictwo polityczne. Spełniwszy w Paryżu zadanie powierzone przez ojca, udał się książe Adam do Pomeranii dla instrukcyi wojennej pod kierunkiem swego szwagra ks. Wirtemberskiego. Z Pomeranii przybył do Puław, stamtąd wyjechał na Podole, a gdy się sejm wielki rozpoczął, nie opuścił żadnej sesyi, chociaż nie był wybrany na posła. Cieszyło go to niezmiernie, gdy sejm zatwierdzał projekta wychodzące z łona patryotów. Wówczas przedstawiało mu się wszystko w kolorach różowych, chociaż oceniając znaczenie i zasługi wielkiego sejmu, dostrzegał zarazem jego wady i błędy.

Na zupełne dokończenie nauk został ks. Adam wysłany do Anglii, gdzie mu polecono przedewszystkiem studyować nauki społeczne. W r. 1787 wyruszył do Anglii wraz z matką i nauczycielami, zaopatrzony w obszerną i szczegółową instrukcyę przez ojca. Powrócił do kraju w r. 1791 i był świadkiem uchwalenia konstytucyi 3 maja. Zdaniem jego, niebezpieczeństwo zagrażające ojczyźnie, usunięte zostało stanowczo dzięki nowej formie rządu. Nie mądrości stanu w tych dniach się uczył, ale przesiąkał nawskroś tem uczuciem miłości kraju, które jakby rdzeń duszy jego w ciągu długiego żywota stanowić miało. W tymże roku uczęszczał ks. Adam dość często w gościnę do hetmanowej Ogińskiej w Siedlcach. Na jej świetnym dworze zakochał się w pannie Niezabitowskiej, ale matrymonialne zamiary nie doszły do skutku. Młody książe Adam postanowił poświęcić się służbie wojskowej i zapisany został jako major w dywizyi, której dowodził generał-porucznik ks. Wirtemberski. Przed rozpoczęciem kampanii r. 1792, gdy ks. Wirtemberski został mianowany naczelnym wodzem wojsk litewskich, ks. Adama mianowano przy nim adjutantem. Nie długo trwała adjutantura ks. Adama, albowiem naczelny wódz zdradziwszy Polaków, był usunięty od dowództwa, a przez wzgląd na pokrewieństwo z królem pruskim, pozwolono mu bez sądu opuścić Polskę. Za potyczkę pod Grannem otrzymał ks. Adam krzyż virtuti militari, a gdy król przystąpił do konfederacyi Targowickiej podał się książe Adam do dymisyi, opuścił kraj i wyjechał do Anglii.

Po ostatnim rozbiorze kraju, generał ziem podolskich nie złożył przysięgi na wierność cesarzowej Katarzynie, skutkiem czego majątki jego leżące w dziale rosyjskim zostały skonfiskowane.

Że zaś na tych dobrach ciężył dwunastomilionowy dług, przeto konfiskata zagrażała zupełną ruiną licznym wierzycielom, którzy Czartoryskim mienie swe powierzyli. W tej krytycznej chwili odbiera ks. generał poufne zawiadomienie, że dobrzeby było wysłać synów do Petersburga na służbę, gdyż bardzo być może, że wówczas cesarzowa skonfiskowane dobra poleci zwrócić Czartoryskiemu. Pośrednikiem między księciem generałem a dworem petersburskim był ks. Repnin. I ten z zadania wywiązał się dobrze. Młodzi książęta po kilku miesiącach pobytu w Petersburgu doczekali się prezentacyi u dworu, zostali życzliwie przez cesarzową przyjęci, która specyalnym ukazem nie powróciła wprawdzie majątku księciu generałowi, ale młodym książętom darowała majątek wynoszący około 42000 dusz świeckich z wyłączeniem jedynie starostw latyczewskiego i krzemienieckiego, darowanych Markowowi. Zaraz potem młodzi książęta przyjęli służbę, ks. Adam w gwardyi konnej, a Konstanty w gwardyi pieszej izmaiłowskiego pułku.

Księciu Adamowi w Petersburgu wydał się najsympatyczniejszym Wielki Książe Aleksander, z którym miewał częste przechadzki po Nowym Prospekcie. Na wiosnę 1795 r. nastąpiło w ogrodzie Tauryckim pewne zbliżenie między dwoma młodzieńcami. W. Książe zapewnił ks. Adama, iż ma dla obu braci rzetelny szacunek i że nie podziela doktryn panujących na dworze. Postawa i wyrazy W. Księcia tchnęły taką prostotą i szczerością, że podbiły na zawsze ks. Adama. Wkrótce po owych rozmowach W. Książe przeniósł się na rezydencyę do Carskiego Sioła, a Czartoryscy, jako urzędnicy dworu, także tam zamieszkać musieli. Na zbliżenie się W. Księcia Aleksandra do Czartoryskich patrzyła Katarzyna przychylnem okiem i to było wystarczającem, aby młodych ludzi pozostawiono w spokoju. W r. 1797 po koronacyi Pawła, Czartoryscy awansowali na generał-majorów i otrzymali trzymiesięczny urlop. Przed rozstaniem się W. Książe zaproponował ks. Adamowi, aby on zredagował memoryał a raczej rodzaj odezwy do narodu, wyrażającej przekonania i dążności W. Księcia w chwili objęcia najwyższej władzy. W. Książe Aleksander był uszczęśliwiony z elaboratu ks. Adama, który odpowiadał najzupełniej jego ówczesnej fantazyi. Zresztą nietylko ks. Adam podzielał przekonania W. Księcia, zbliżyli się do niego jeszcze dwaj inni młodzi Rosyanie Strogonow i Nowosilcow, którzy w danym razie, łącznie z Czartoryskim, mieli być pomocnikami W. Księcia.

Po powrocie z urlopu młodzi Czartoryscy mieli chwile mniej przyjemne do przebycia. Paweł bowiem podejrzewał ich, że byli

liberałami, a nawet skrytymi jakobinami. Zaledwie udało się na czas jakiś udobruchać Pawła, który jednak postanowił oddalić ks. Adama od W. Księcia i w tym celu mianował go marszałkiem dworu W. Księżniczki Heleny. Niespodziewanie odebrał ks. Adam zawiadomienie od Rostopczyna, że Paweł zamianował go ministrem przy królu sardyńskim. Zajęcia służbowe przy sardyńskim dworze nie były uciążliwe dla księcia Adama, ogarnęło go też tam zniechęcenie, a nawet apatya. Z tego przygnębienia wyrwany został listem własnoręcznym cesarza Aleksandra, który go wzywał natychmiast do Petersburga. Ks. Adam zastał Aleksandra przygnębionego śmiercią ojca, przyjął go na pozór przyjaźnie, ale zdawało się ks. Adamowi, że już dostrzegł nieco chłodu i zobojętnienia we wzajemnych stosunkach. Zaraz po wstąpieniu na tron, Aleksander wezwał wszystkich bliższych sobie, którzy wówczas bawili za granicą. Gdy się zgromadzili w Petersburgu, pierwszy Strogonow przedstawił cesarzowi program przyszłych reform państwowych, których uwieńczeniem miała być konstytucya. Z odpowiedzi cesarza można się było przekonać, że jego pojęcia o reformach były nieokreślone, a nawet sceptyczne. Cesarz stworzył przedewszystkiem komitet tajny, rozpatrujący programy reform i do tego komitetu powołał Koczubeja, Czartoryskiego, Nowosilcowa i Strogonowa. Pierwsze posiedzenie tego komitetu odbyło się w czerwcu 1801 r.

W r. 1802 cesarz Aleksander, wynagradzając ks. Adama za bezinteresowną pracę, powierzył mu kierunek wychowania publicznego w polskich prowincyach, wcielonych do Rosyi. Zaczęło się więc dla niego czynne polityczne życie. Przytem Woroncow miał do niego ufność nieograniczoną i żądał, aby był przytomny wszystkim jego konferencyom z ministrami państw obcych. Wkrótce stary kanclerz zapragnął usunąć się od zarządu ministeryum, a cesarz, korzystając z nadarzającej się sposobności, skłonił ks. Adama, aby kierunek ministeryum przyjął. Na tem stanowisku obudził ks. Adam dużo niechęci ku sobie, a nawet cesarzowa matka jawnie ganiła ks. Adamowi przyjęcie stanowiska, które, zdaniem jej, tylko Rosyanin zajmować powinien. Największym przeciwnikiem ks. Adama był Dołgorukij, który mu pewnego razu w obecności cesarza powiedział, że pojmuje położenie rzeczy, jak polski książe, gdy tymczasem on, Dołgorukij, pojmuje je, jako ruski książe. Ks. Adam żywił zamiary niebezpieczne dla Rosyi, pragnął on, aby cesarz ogłosił się królem polskim w Warszawie i tym sposobem aby odebrał Napoleonowi inicyatywę wskrzeszenia Królestwa Polskiego. Projekt ten, któremu sprzyjało wielu

Rosyan, rozbił się w ostatniej chwili, o słabość charakteru Aleksandra. Wtedy to doznał ks. Adam pierwszego poważnego rozczarowania, co do przyjaznych uczuć cesarza.

W r. 1806 ks. Adam został uwolniony ze stanowiska ministra spraw zewnętrznych, pozostając jednak nadal kuratorem okręgu naukowego wileńskiego i członkiem rady państwa. Cesarz nakłaniał go, aby bez urzędowego charakteru pojechał do Warszawy, namawiając ludność tamtejszej prowincyi do oderwania się od Prus. Ks. Adam misyi tej nie przyjął, a następnie w owem sławnem spotkaniu się dwóch cesarzów na promie w Tylży, udziału nie miał. Ale zato w r. 1811, na żądanie cesarza Aleksandra, udał się ks. Adam do Warszawy i starał się namówić ks. Józefa Poniatowskiego do odstąpienia Napoleona i połączenia wojsk polskich z rosyjskiemi w celu zwalczenia Francyi. Misya owa okazała się najzupełniej chybioną. Ks. Józef Poniatowski bowiem okazał się niezdolnym do żadnej zdrady. Zdaniem autora, ks. Adam okazał tę samą stałość w przyjaźni, tę wierność w przyjętych zobowiązaniach, to wytrwanie przez poczucie obowiązku i honoru wobec cesarza Aleksandra, jakiej dowiedli ks. Józef i inni generałowie polscy wobec Napoleona. Pozostawił nam godny naśladowania przykład, na czem zawisła dobrze zrozumiana karność i solidarność wobec narodu. Błędnem bowiem jest to pojęcie, aby obowiązkiem wobec ojczyzny było zadawać kłam swemu przekoniu, zaprzeczać swej przeszłości i iść na oślep tam, gdzie w danej chwili idzie ogół. Ks. Adam właśnie w okresie napoleońskich wojen stanowi wyjątek w dziejach politycznych Polski—patryoty i męża stanu, który nie zapomniał ani na chwilę o łączności z narodem i nie wyrzekł się swojej indywidualności.

Ta wytrwałość ks. Adama—powiada autor na innem miejscu—nie była należycie przez ziomków ocenioną, szczególniej, gdy zbliżył się pamiętny rok 1812. Proklamowano Królestwo Polskie, a na czele rządu (!) stanął książe generał ziem podolskich. Ziomkowie nagabywali ks. Adama, aby szedł śladami swego ojca, swych przyjaciół. Ks. Adam zawsze i wszędzie hołdował zasadzie, iść prawdą, stałością i otwartością swego zdania. Ponieważ był tylko na urlopie i „liczył się na służbie“ w cesarstwie, przeto nic nie przedsiębrał, coby było nielojalnem „odnośnie“ cesarza Aleksandra, dla którego był z wielką przyjaźnią. Ks. Adam podał się do dymisyi, a gdy cesarz nie chciał się rozstać ze swoim przyjacielem, ks. Adam usunął się z kraju, wyjechał do Węgier i Czech i tam przeczekał tę całą burzę, jaka się zwaliła na Rosyę „przez“ najście Francuzów. Kiedy wojska rosyjskie weszły do Francyi,

ks. Adam przybył do głównej kwatery w Chammont i w r. 1814 wręczył cesarzowi memoryał proponujący usunięcie systematu administracyjnego w Księstwie Warszawskiem, następnie skasowanie kodeksu Napoleona i zastąpienie go czasowo dawnemi prawami krajowemi. Przy tej sposobności nie zapomniał książe Adam o oświacie publicznej, finansach, handlu i rolnictwie. Jak dawniej, tak i w owym czasie, Czartoryski był obrońcą dualizmu, to jest połączenia Polski z Rosyą dynastycznego, opierającego się na wzajemnej niezależności. Czartoryski, jak nas autor zapewnia, był przedewszystkiem człowiekiem bardzo rozsądnym i znakomitym politykiem, dlatego umiał się liczyć z ówczesnem położeniem rzeczy i odstąpił z konieczności od swego programu politycznego z r. 1805 spokojnie, bez żadnych illuzyj odrzucił dewizę: wszystko albo nic, a pragnął osiągnąć to, co się okaże możebnem. Celem więc jego było dobić się w Wiedniu niezależności, chociażby małej cząstki dawnej Polski i to zabezpieczyć gwarancyą państw europejskich.

Pierwsze oziębienie stosunków między cesarzem a ks. Adamem nastąpiło wtedy, gdy Zajączek otrzymał nominacyę na namiestnika królewskiego. Pomimo, że się ks. Adam czuł dotknięty tą nominacyą, jednak pierwszy zbliżył się do Zajączka, aby wzbudzić do niego zaufanie opinii. Wkrótce zaś dał ks. Czartoryski wymowne dowody, że ducha partyi nie uznawał, bo w dniu 24 grudnia, po ogłoszeniu ustawy instalacyi nowego rządu i wykonania przez Zajączka przysięgi, zabrał głos ks. Adam i w długiej mowie wysławiał dobrodziejstwa, jakiemi Aleksander otaczał kraj, wykazując ważność i doniosłość ogłoszonej ustawy. Książe Adam mimo chłodu, jaki zapanował między nim a cesarzem, nieopuszczał rąk, lecz w dalszym ciągu prowadził korespondencyę, niepewny jej skutku, lecz w imię obowiązku spełniał go sumiennie. W korespondencyi powyższej broni konstytucyi, nadanej przez Aleksandra, przed antikonstytucyjnemi poglądami tegoż Aleksandra, jakie wyniósł ze zjazdu z Metternichem w Opawie i Weronie. Wreszcie autor nas zapewnia, że rola, jaką ks. Adam odegrał w Wiedniu (podczas kongresu), nie jest dowodem jego nieprzezorności, ale raczej rezultatem głębokiego umysłu politycznego, który przeczuł, że to tylko może być osiągniętem, co proponuje Aleksander.

Ks. Adam, mając lat 46, zaczął się starać o rękę Anny Sapieżanki. O rękę panny czynił wpierw starania generał Pac, a jakkolwiek i matka i panna dały mu odprawę, wyzwał na pojedynek ks. Adama. Pojedynek odbył się w Zegrzu i ks. Adam został raniony. Wypadek ten nie przerwał starań o rękę księżniczki Anny

i w r. 1817 ks. Adam stanął szczęśliwie na ślubnym kobiercu. Ale w r. 1818 generał Pac napisał obrażliwy list do księcia, w którym zarzuca mu złamanie słowa honoru, że nie wejdzie w związki małżeńskie z księżniczką Anną. Ks. Adam wyzwał Paca na pojedynek, a ten wyznaczył Szląsk na miejsce spotkania. Gdy się o tem dowiedział W. Ks. Konstanty, napisał list do króla pruskiego i Pac został osadzony w więzieniu. Czartoryski czynił wszelkie starania, aby go stamtąd uwolnić, a gdy mu się to wreszcie udało, Pac wyjechał do Hanoweru i wyznaczył mu tam spotkanie. Teraz znowu wmięszał się w sprawę cesarz i dał napomnienie Pacowi, że postępowanie jego potępia. Dowiedziawszy się o tem, Czartoryski pisze ostry list do Paca, w którym zarzuca mu brak honoru z powodu tego, że nadał sprawie rozgłos, i proponuje sąd honorowy złożony z trzech osób. Pac odrzucił i tę propozycyę, naznaczając miejsce spotkania w Lipsku. Nareszcie przyszło do spotkania w okolicach Warszawy i ks. Adam został powtórnie ranny.

Gdy wybuchło powstanie listopadowe, ks. Adam obejmuje prezydencyę w rządzie tymczasowym, a następnie w Radzie najwyższej obejmuje wydział spraw zagranicznych. W styczniu powstaje rząd narodowy i prezesem tego rządu zostaje znowu Czartoryski. Aby sprawie nie szkodzić, powiada autor, książe nie cofa się, przyjmuje stanowisko, nieodpowiadające potrzebom chwili, i niezgodne z jego własnem przekonaniem. Ciężka to była ofiara, a przynosiła gorzkie owoce. Po bitwie Grochowskiej książe Adam obiecywał sobie wiele po Skrzyneckim i był zadowolony z tego, że stare safanduły sobie z wojska odchodzą. Po bitwie Ostrołęckiej jednakże, gdy się okazało, że Skrzynecki nie dorósł do stanowiska, jakie mu powierzono, ks. Adam miał zamiar powołać napowrót Chłopickiego i wysłał za nim gońca do Krakowa. Chłopicki odmówił, pozostał więc nadal Skrzynecki, ale dla rządu stał się ciężką zawadą, gdyż na własną rękę rozsyłał pisma polityczne do gabinetów. Na posiedzeniach sejmu nie wahano się księciu zarzucać zdrady, a pod tem imieniem nazywano układy. Skrzynecki, jakkolwiek przyjął podaną sobie rękę do zgody przez ks. Adama, ale z generałami w waśni pozostawał i sprawa powstania przechodziła na tor pieniactw publicznych, izbowych, dziennikarskich, drażliwych i namiętnych.

Książe Adam zawsze wielkim urokiem otaczał wojskowych. Będąc małym chłopcem marzył o wojskowości i o wygranej wielkiej bitwie. Dzięki temu zamiłowaniu, niejednokrotnie był widziany na polu bitwy, a Skrzynecki dowodził, że był lepszym ge-

nerałem od niejednego z tych, co działają na linii. Barzykowski wspomina, iż Prądzyński myślał o tem, aby na miejsce Skrzyneckiego powołać księcia Adama. Podczas sierpniowych zaburzeń w Warszawie ks. Adam otrzymawszy od władz i znajomych ostrzeżenie, że życie jego w niebezpieczeństwie, uległ namowom otaczających go, opuścił niezwłocznie Warszawę i udał się do obozu pod Ołtarzewem. Nowy prezes rządu, Krukowiecki, proponował księciu Adamowi kierunek spraw zagranicznych, ale Czartoryski wymówił się zmęczeniem; wówczas zaproponował mu, by się przyłączył do korpusu Ramoriny, który wychodził na prawy brzeg Wisły. Ta propozycya odpowiadała życzeniu księcia, dlatego bez straty czasu zażądał pozwolenia. Po przybyciu do Ramoriny miał sposobność przekonać się o nieudolności wodza i napisać niezwłocznie list do Krukowieckiego, w którym podaje myśl wysłania do Ramoriny Prądzyńskiego. Krukowiecki wysyła Prądzyńskiego do Ramoriny, a Czartoryskiemu zaleca, aby na wypadek niezgody między generałami zechciał być medyatorem. Scena w Międzyrzeczu została błędnie przez autora opisana, albowiem Ramorino dostał rozkaz śpieszenia na odsiecz Warszawie, Prądzyński naglił, aby nie tracił chwili czasu, a ks. Adam nie zdołał zapobiedz nieposłuszeństwu Ramoriny, które ostatecznie i niepowrotnie całą sprawę zaprzepaściło.

Autor zadowolony jest z polityki ks. Adama, jaką prowadził na emigracyi do r. 1861 i ostatecznie przyszedł do przekonania, że ks. Adam w sferze myśli i w sferze czynów jest harmonijnie skończoną indywidualnością. W końcu nadmienia autor, że miał możność przejrzenia rodzinnego archiwum książąt Czartoryskich, nieprzystępnego, dla ogółu pracowników, i kreśli nam szczegółowo całą działalność piśmienniczą ks. Adama. Co się tyczy archiwum domowego książąt Czartoryskich, to autor mógł je przeglądać, ale nie wyzyskał w najważniejszych kwestyach reform włościańskich w r. 1814. Bogaty materyał, jaki rzeczywiście w owem archiwum się znajduje, ukaże się wkrótce w pracy, jaką prof. Askenazy przygotowuje do druku. Co się tyczy piśmienniczej działalności ks. Adama, to jemu przypisywano wydany pod pseudonimem hrabiego d'Angeberg zbiór traktatów i ważniejszych aktów historycznych, dotyczących Polski.

Jakkolwiek w studyum d-ra Bielińskiego spotykamy dość nowego materyału dziejowego, jednakże materyał to niezupełny i został użyty bez należytego zmysłu krytycznego. Autorowi pozostała przedewszystkiem zupełnie obca cała literatura historyczna

i pamiętnicza niemiecka, że wspomnę tylko sposobem przykładu o dziełach współczesnego Czartoryskiemu księcia Hardenberga. Niewątpliwie do czasów kuratoryi księcia Adama autor wydobył z archiwum wiele ciekawych szczegółów, ale, jak to już wspomniałem, archiwum powyższe z r. 1814 pozostało mu obcem. Następnie materyał źródłowy, czy też naukowy, został spożytkowany jednostronnie. Autor pisał żywot Czartoryskiego w ten sposób, w jaki dawniej pisywano żywoty świętych, t. j. rzucił jakieś niezwykłe blaski na całą działalność jego żywota i starannie usunął cienie, jakie w tej postaci wyraźnie występowały. Autor zapoznał się wprawdzie z literaturą historyczną rosyjską, ale pominął dzieło senatora Rowińskiego p. t.: „Połnyj słowar ruskich grawirowannych portretow.“ Otóż w tem dziele poważnem i mającem dla dziejów rosyjskich niezaprzeczoną wartość, spotykamy w szeregu ministrów spraw zagranicznych tam, gdzie powinien się był znajdować portret ks. Adama, puste miejsce, a pod niem podpis: „Syn Repnina i Izabelli z Flemingów ks. Czartoryskiej.“ Rowiński postanowił ks. Adama za rok 1831 ukarać na wzór Rzeczypospolitej Weneckiej, która zniszczyła portret doży Dandola, ale sposób zemsty powinien był zwrócić uwagę autora, co w tym fakcie tkwiło prawdy. Tak samo pisząc o matce ks. Adama, autor zdaje się niewiedzieć o pamiętnikach księcia de Lauzun, a jednakże owe pamiętniki byłyby go pojaśniły, jak to w rzeczywistości wyglądała owa zachwycająca idylla w rezydencyi Powązkowskiej. Pojmuję to doskonale, że wszyscy ci, co pisali o Puławach, mogli przemilczeć o tych niemiłych okolicznościach, ale historykowi nie wolno nic zatajać, dlatego, że fakt jakiś jest przykrym lub bolesnym. Prawda jest dla niego najpierwszym i najważniejszym obowiązkiem, a to nietylko prawda względem swoich nieprzyjaciół, ale względem własnych postaci historycznych. Wreszcie autor powołuje się na źródła drukowane w sposób niewłaściwy i utrudniający kontrolę. Przytaczając bowiem dzieło historyczne czy pamiętnicze, nie wymienia stronnicy, co jest obowiązkiem uczonego, od którego uchylać się nie powinien. Wreszcie w opowieści historycznej spotykamy pewne niedokładności. Taką niedokładnością jest opis wypadków w Międzyrzecu (1831), a niezupełnie ścisłem jest to, co powtarza autor za ks. Adamem, utrzymującym, że jego ojciec stał na czele konfederacyi w r. 1812. Generał ziem podolskich był jedynie marszałkiem sejmu w tymże roku, ale przodownictwo w konfederacyi należało przypisać wojsku i jego dowódcy, a nie niedołężnemu starcowi, który nie poj-

mował zadania konfederacyi i nie dorósł zupełnie do swego stanowiska.

Autor przedstawia ks. Adama, jako wzór godny naśladowania, jako ideał obywatela, którego pamięci żaden zarzut nie dosięga. Cokolwiek ks. Adam zdziałał w życiu publicznem czy prywatnem, stoi po za wszelką krytyką i może być jedynie przedmiotem podziwu lub zachwytu. Na taki sąd autora zgodzić się nie jestem w możności. Ks. Adam należy niewątpliwie do rzędu ludzi zasłużonych, którym, zwłaszcza w dziedzinie oświaty publicznej, nie można odmówić znacznej publicznej zasługi. Następnie historyk liczyć się będzie zawsze z jego przywiązaniem do sprawy narodowej, w którem wiernie wytrwał do końca życia, pomimo nieprzyjaznej i zmiennej fortuny. Z tem wszystkiem jednak w dziejach polskich XIX stulecia ks. Adam nie będzie należał do posągowych postaci, które stanowić mają wzór w życiu publicznem czy prywatnem. Ks. Adam zawdzięczał co prawda zwrot majątku Cesarzowej Katarzynie, zawdzięczał Aleksandrowi I przyjaźń, wysokie stanowiska w cesarstwie, ale cokolwiekby im zawdzięczał, zawsze tego uczucia nie należało kłaść narówni z przywiązaniem do kraju i w imię jego uwalniać się od najelementarniejszych obowiązków względem swej ojczyzny. Ks. Adam dla motywów prywatnej natury odmawiał służby Księstwu Warszawskiemu, chociaż jego ojciec, niedołężnie wprawdzie, ale mu służył. Ks. Adam posunął się jeszcze dalej na bardzo niefortunnej drodze; w roku bowiem 1811 przyjął misyę namówienia ks. Józefa Poniatowskiego, aby zdradził Napoleona i razem z wojskami rosyjskiemi walczył przeciw niemu. Jeżeli ks. Adam pojmował ową misyę na seryo, to świadczy ona fatalnie o jego charakterze, jeżeli zaś przyjął ją dla ostrzeżenia ks. Poniatowskiego, to świadczy nieszczególnie o jego przyjaźni dla Aleksandra I, względem którego postępował nielojalnie. W każdym razie znajdowanie się jego w kwaterze rosyjskiej w 1813 i 1814 roku w celu zniweczenia Księstwa Warszawskiego nie może być usprawiedliwione tem, że pragnął stworzyć dla polskich dzierżaw lepszą przyszłość pod berłem rosyjskiem. W roku 1805 ks. Adam mógł i powinien się był dokładnie przekonać o tem, że Cesarz Aleksander nie ufa jego planom, jako fantastycznym illuzyom, dla których mógł mieć nieco sympatyi w młodzieńczym wieku. W końcu nie mogę się zgodzić i na to przekonanie autora, że ks. Adam był wiernym Aleksandrowi, jak ks. Józef i inni generałowie polscy byli wiernymi Napoleonowi. Ani ks. Józef, ani generałowie i oficerowie Księstwa Warszawskiego nie byli wiernymi Napoleonowi, ale ojczy-

źnie swej, Księstwu Warszawskiemu i swemu monarsze Fryderykowi Augustowi. Ks. Adam mógł się powołać na to samo, t. j., że Aleksandra uważa za swego monarchę, a Rosyę za swą ojczyznę, ale w takim razie dziwi mnie znowu jego nielojalność, bo Rosyi źle służył w 1812 r., wyjeżdżając za granicę, a Polsce służył patryotycznym pustym frazesem, który nie miał żadnej, praktycznej wartości.

Postępowanie ks. Adama w r. 1830 nie jest i nie będzie mogło być nigdy usprawiedliwionem przez historyka. Mąż, który w 1811 roku stara się księcia Poniatowskiego skłonić do zdrady, w r. 1830, gdy garść podchorążych i akademików podnosi sztandar rewolucyi, nie mając żadnego przekonania, żadnej ufności do podobnego aktu, staje na czele rewolucyjnego rządu i zawsze niedołęstwem swojem gubi sprawę, do której przystąpił. Ks. Adam nie potrafił zapobiedz żadnemu nierozsądnemu krokowi sejmu, nie zdołał wynaleźć odpowiedniego wodza naczelnego, choć tacy byli (najprzód Dwernicki, później Prądzyński), nie powstrzymał haniebnych rozruchów sierpniowych, uciekając sromotnie z Warszawy, i wreszcie w Międzyrzeczu nie potrafił zmusić Ramoriny, aby, wezwany przez Krukowieckiego, spieszył na pomoc Warszawie. Jednem słowem ks. Adam okazał się w r. 1830—31 chwiejnym i szkodliwym od początku do końca, a jego wad nie usiłował obronić jego siostrzeniec Andrzej Zamojski, wysłany przez niego, jako agent dyplomatyczny do Metternicha.

Opisując życie prywatne ks. Adama, autor wystawił w niebardzo pochlebnem świetle charakter generała Paca, jednego z najmężniejszych oficerów polskich, a ks. Adama, jako rycerza bez zarzutu i trwogi. Całe zajście o Sapieżankę i dwa pojedynki wydają się nieco wątpliwemi, zwłaszcza że autor nie wskazuje źródeł, z których czerpie swą opowieść, a źródła znane i drukowane opowiadają zajście nieco inaczej. W Jełowickiego żywotach słynnych polaków z 1831 r. jest opisane całe owo zajście z generałem Pacem, które na niego nie rzuca najmniejszego cienia nielojalności czy niehonorowości. Pac przyjechał do Sapiehów, zastał Czartoryskiego i następnego ranka wszedłszy do jego sypialnego pokoju, wyrzekł: „Zdaje się, że obaj żywimy te same zamiary, najlepiej więc będzie, że obaj je zaniechamy i ztąd wyjedziemy. Daj mi książe słowo, że wyjedziesz, a i ja to samo uczynię.“ Książe dał słowo i Pac odjechał. Niebawem dowiedział się, że ks. Adam się ożenił, przysłał mu więc po pewnym czasie sekundantów, żądających zadośćuczynienia za złamanie słowa. Książe się wymówił, powołując się na to, że właśnie ma nadzieję zo-

stania ojcem. Pac niezwłocznie oświadczył się pannie Małachowskiej i ożeniwszy się z nią, posłał powtórnie sekundantów z oświadczeniem, że obecnie szanse ich są równe, bo i generał ma żonę i spodziewa się zostać ojcem. Pojedynek nastąpił, Czartoryski został ranny. Ale o drugim pojedynku jakoś było głucho i autor nie wskazuje źródeł, zkąd tę całą opowieść zaczerpnął.

A. R.

MICHAŁ BOBRZYŃSKI. *Statut Rady szkolnej krajowej galicyjskiej.* Studyum polityczne.

Autor, objąwszy katedrę prawa politycznego na uniwersytecie w Krakowie, musiał zwrócić uwagę na prawo polityczne Galicyi, która w r. 1861 uzyskała prawodawstwo, ograniczone wprawdzie do pewnego zakresu, ale własne. W ciągu czterdziestu przeszło lat działalności prawodawczej Sejmu, Galicya wyrobiła sobie cały szereg urządzeń politycznych, w wielu względach odrębnych i jej tylko właściwych. Urządzenia te mają już swoją historyę, złożoną z wielu usiłowań i walk, które się stoczyły około ich naprawy i przeistoczenia. Do niedawna historya ta tkwiła w żywej pamięci pokolenia, które patrzyło na zaprowadzenie autonomii galicyjskiej i w rozwinięciu jej gorliwy wzięło udział. Dziś jednak, kiedy pokolenie to zstąpiło do grobu, tradycya pracy publicznej przez nie podjętej, mąci się i ginie coraz więcej z pamięci pokolenia nowego. Trzeba ją odgrzebywać ze źródeł, tak jak każdą wcześniejszą historyę i mozolnem jej zestawieniem odbudowywać dla pamięci i nauki współczesnych. Źródła są nader obfite, ale brak dotkliwy pamiętników, któreby nas wprowadziły za kulisy pracy parlamentarnej, za któremi nie raz zapadała decyzya i któreby odsłoniły istotne motywa wielu walk i przedsięwzięć. Jedną z najcharakterystyczniejszych instytucyj galicyjskich jest urządzenie Rady szkolnej krajowej, oparte na statucie jej z r. 1867. Statut ten uchwalony przez Sejm, ogłoszony, jako postanowienie cesarskie, utrzymał się wobec ustaw państwowych z r. 1868 i 1869, które wyprzedził. Zmieniony został jednak później drogą ustaw i drogą rozporządzeń, które go w pewnych kierunkach ograniczyły, a w drugich rozszerzyły. W życiu politycznem w Sejmie i w Radzie państwa był nieraz przedmiotem walk stronnictw i przedmiotem interpretacyi, która odnosiła się nietylko do jego treści, lecz

także do wyjątkowego stanowiska w prawodawstwie. Najznakomitsi politycy i prawnicy w Sejmie i w Radzie państwa zajmowali się nim i objawiali swoje o nim zdanie, a zdania te zestawione razem tworzą do niego naukowy komentarz, jakiego nie każda inna doczekała się ustawa. Autor też słusznie sądzi, że nie będzie to bezpłodnem przedsięwzięciem, zająć się tym statutem z tym spokojem, jakiego nauka wymaga, a na jaki wpływ trzydziestu pięciu lat od jego ogłoszenia, już pozwala.

Po tym krótkim, ale zaciekawiającym wstępie, autor poświęcił uwagę rysowi historycznemu statutu, zaznaczywszy uprzednio, że przed r. 1866 panował w Austryi nad szkołami w całej pełni system biurokratyczny. Ministerstwo wyznań i oświecenia centralizowało cały zarząd szkół w swojem ręku w r. 1860 i ono samo przestało istnieć i stało się departamentem ministerstwa stanu. Organem ministerstwa stanu w krajach koronnych były namiestnictwa, a władza ich wobec szkół miała kierunek przeważnie polityczny, a w Galicyi zarazem germanizacyjny. Z nastaniem więc ery konstytucyjnej, przeciw tej władzy zwróciły się pierwsze usiłowania kraju na polu wychowania publicznego. Pierwsze Sejmy nie spuściły jej z oka i już w r. 1863 poseł Dietl uczynił wniosek następujący: Poleca się wydziałowi specyalnemu, wyznaczonemu dla załatwienia spraw szkolnych, ażeby wziął pod uwagę obecne urządzenia szkolne krajowe, pod względem administracyjnym, pedagogicznym, dydaktycznym i uczynił jeszcze w tej kadencyi wnioski, jakie uzna za stosowne. Uzasadniając te wnioski, odezwał się Dietl: Zarząd szkół krajowych, podług mego zdania, powinien być powierzony Komisyi edukacyjnej krajowej. Do składu tej Komisyi powinni wchodzić, prócz reprezentantów władzy rządowej, reprezentantów kraju, także i ludzie fachowi, tak, ażeby w tej komisyi wszystkie oddziały oświaty narodowej były przedstawione. W Sejmie więc galicyjskim myśl Rady szkolnej krajowej rzucona była d. 31 stycznia 1863 roku, poczem Sejm został zamkniętym na długo.

Po smutnych wypadkach 1863 r., po uchyleniu stanu oblężenia, zebrał się znowu Sejm w listopadzie 1865 r. Nowy gabinet Belcrediego przystąpił do reformy konstytucyi w kierunku autonomicznym, zawiesił Ustawę konstytucyjną w Radzie państwa, a kładąc całą wagę na sejmy krajów koronnych, zwołał je na długą sesyę. W tych warunkach politycznych zgromadził się Sejm galicyjski w r. 1865, a poseł Adam hr. Potocki wznowił wniosek Dietla z roku 1863, stawiając sprawę wychowania publicznego na czele programu sejmowego i ustanowienie Komisyi edukacyjnej

krajowej. W styczniu 1866 r. poseł Kabat uczynił wniosek zmierzający do usunięcia najdotkliwszych braków w urządzeniu gimnazyów, a między swemi postulatami postawił jako punkt I, aby ustanowiono władzę szkolną krajową, składającą się z ludzi fachowych, niezawisłą od władz krajowych politycznych. W sprawozdaniu Dietla z 1861 r. zwrócono uwagę na to, że wiekowy zarząd szkoły przez biurokracyę stał się zgubnym dla monarchii i dla Galicyi. Kierunek, jaki władze szkołom nadają, zawsze jest jednostronny, bo policyjno-państwowy, a nie umiejętny i narodowy. Wychowanie dzieci jest niezaprzeczonem prawem i obowiązkiem rodziców. Szkoła jest ich zastępczynią. Rządowi tylko nadzór nad nią służyć powinien. Z tych powodów rządy państw oświeconych, niemal bez wyjątku powierzyły zarząd szkół władzom, do których składu reprezentanci rodziców i ludzie fachowi należą. Sejm galicyjski postanowił też przełożyć uniżoną prośbę do Naj. Pana, aby ustanowić kazał władzę edukacyjną dla Galicyi, według załączonego projektu. Projekt ten posłużył Wydziałowi krajowemu za podstawę do opracowania projektu ustawy o krajowej Radzie szkolnej, który został przełożony Sejmowi w listopadzie 1866 r. Komisya sejmowa, rozważająca projekt, przyszła do przekonania, że Rada szkolna winna być podporządkowana ministerstwu, a biskupom przyznała prawo nominowania nauczycieli religii, udział w zatwierdzaniu książek do nauki religii i wogóle moc wydawania ustaw obowiązujących co do nauki religii.

Uchwałę Sejmu namiestnik przedstawił Belcrediemu, ale w jednym punkcie sprzeciwił się projektowi. Przy swej niepospolitej energii i chęci utrzymania w swem ręku pełnej władzy, Gołuchowski nie życzył sobie mieć w Radzie dyrektora, nawet jako stałego zastępcy i wyższego urzędnika, obawiając się, że na tem ucierpieć może bezpośredni i stanowczy wpływ namiestnika na sprawę wychowania publicznego w kraju i dla tego zaproponował w miejsce dyrektora każdoczesnego referenta spraw szkolnych przy namiestnictwie ustanowionego. Posłowie polscy w Radzie państwa nie przeczyli bynajmniej temu, żeby rady szkolne krajowe, a między temi i galicyjska, podlegały ministerstwom, pragnęli tylko, aby to ministerstwo było w ustawie określone ściśle a mianowicie, żeby niem było ministerstwo czy kanclerstwo galicyjskie, o którego utworzenie gorliwie się starali. Ustawa jednak za najwyższy organ państwa w sprawach wychowania publicznego i nauczania uznała ministeryum wyznań i oświecenia. Statut projektowany przez Sejm nie doczekał się pozytywnego uznania w ustawie państwowej i na te centralistyczne zapędy Rady pań-

stwa odpowiedział Sejm galicyjski we wrześniu 1868 r. uchwaleniem rezolucyi, w której domagał się, aby ustanawianie zasad nauczania w szkołach ludowych, gimnazyach i ustawodawstwo o uniwersytetach, zostało wyjęte z zakresu działania Rady państwa, o ile się tyczy Galicyi i przeszło w zakres działania Sejmu. Prócz tego, aby Galicya otrzymała zarząd szkolny odpowiedzialny przed Sejmem w sprawach oświaty, oraz ministra w radzie korony. Uchwały te Sejmu nie otrzymały sankcyi.

Komisya sejmowa z r. 1869 pragnęła zaradzić złemu tkwiącemu w Radzie, zastępując jej statut Radą krajową i uchylając w niej kwestye, do których statut dał powód. Uchwalono teraz, że dyrektor ma reprezentować Radę w Sejmie, niezależnie od namiestnika, być wybieranym przez koronę na lat sześć i to z urny przez Wydział krajowy proponowanego. Dyrektor więc miał zyskać stanowisko ministra, a przytem ograniczano prawo nominacyi monarszej, przysługujące przy nominowaniu ministra. W r. 1870 na czele nowego gabinetu stanął Alfred hr. Potocki, w r. 1871 Hohenwart, a obaj wytężali swe siły, aby możliwemi ustępstwami na rzecz autonomii krajów koronnych, zakończyć konstytucyjne spory i walki. W r. 1870 jednakże Sejm zawiadomiony został, że projektom jego odmówiono sankcyi, a ministerstwo zakomunikowało szczegółowe przyczyny tej odmowy. Kraj przyjął te rozporządzenia bez niechęci, bo one nie przesądzały zasadniczej kwestyi autonomii szkolnej galicyjskiej. Wydział krajowy na Sejmie w r. 1871 i 1872 wniósł projekt do ustaw o radach szkolnych miejscowych i okręgowych, w którym kierownictwo Rady okręgowej oddał staroście; prócz tego sejm uchwalił projekty Rady szkolnej o zakładaniu i utrzymaniu szkół i o stosunkach prawnych nauczycieli. Uchwały Sejmu otrzymały tym razem sankcyę w roku 1873, a więc Rada szkolna dopiero w pięć lat po swojem ustanowieniu uzyskała wszystkie warunki działania na najważniejszem polu szkół ludowych.

Kiedy Sejm galicyjski podejmował walkę o odrębność kraju i uchwalał projekt organizacyi Rady, jako odpowiedzialnego przed Sejmem ministerstwa, Rada, idąc za prądem powszechnym, usiłowania te podjęła na polu administracyjnem; przeprowadziła swój statut w ten sposób, jakby już ta niezależność od ministerstwa się ziściła. Ministerstwo zajęło wręcz odmienne stanowisko, i uważało, że Rada na podstawie jej statutu jest mu podporządkowana. Skutkiem tego Rada była na ministerstwo rozgoryczona a ministerstwo nie miało do Rady zaufania i nie przywróciło go Radzie po r. 1872, kiedy już walka o samodzielność Rady skoń-

czyła się jego zupełnem zwycięstwem. W r. 1875 Izba deputowanych zaatakowała silnie Radę szkolną. Posłowie polscy bronili stanowiska, że statut jest ustawą, bo przyszedł do skutku w chwili, kiedy prawo stanowienia o organizacyi władz służyło monarsze, a uznany został przez ustawy państwowe z r. 1868 i 1869. W październiku 1876 r. monarcha rozporządził, iż na przyszłość mianowanie dyrektorów państwowych szkół średnich w Galicyi podlegać ma decyzyi cesarskiej, a mianowanie nauczycieli przy szkołach należeć ma do ministra wyznań i oświaty.

Po roku 1875 nastały dla Rady szkolnej lata spokoju, ale dla ministerstwa była ona zawsze czynnikiem, który się z kierunkiem władzy nie solidaryzował. Objawem skrzywionego stosunku był fakt, że przewidziany statutem regulamin urządzenia wewnętrznego Rady szkolnej nie mógł przyjść do skutku. Jeszcze w roku 1878 ministerstwo zażądało nowego projektu regulaminu od Rady a Rada nie spieszyła się ze spełnieniem tego żądania. Doszło też do zupełnego rozdźwięku między Radą szkolną a krajem. W ankiecie szkolnej, zwołanej w r. 1881 przez Wydział krajowy, oświadczono też, że jak wszystkie dzieła dorywczych koncesyj, nosi statut Rady szkolnej krajowej na sobie piętno niewykończenia, pobieżności i niejasności, a nawet dwuznaczności, z której niejednokrotnie umiał rząd skorzystać. Na Sejmie r. 1883/4 projekt Wydziału krajowego wymierzony został wprost przeciw Radzie szkolnej i przeciw jej statutowi. Komisya szkolna projektu tego, który byłby stworzył dualizm władz szkolnych i wywołał największy zamęt, nie zaleciła do przyjęcia Sejmowi, ale w historyi ataków, wymierzonych na statut Rady szkolnej krajowej, projekt ten pozostanie jednym z najjaskrawszych faktów. W r. 1884 komisya sejmowa oświadczyła, że Sejm nie może się zrzec prawa zatwierdzania planów szkolnych, ułożonych przez Radę szkolną krajową, minister znów utrzymywał, że wydawanie planów naukowych, należy wyłącznie do niego.

Nareszcie w epoce między 1885 a 1895 rokiem, antagonizm między Radą a Sejmem i ministeryum zaczął słabnąć. Okazało się to przedewszystkiem w doprowadzeniu do skutku regulaminu wewnętrznego Rady, który w r. 1889 uzyskał zatwierdzenie ministra i w obrębie Rady uchylił liczne kwestye i spory. Sankcyonował on i określał podział Rady na sekcyę szkół ludowych, sekcyę szkół średnich, oraz komisyę naukową. Nadto Sejm wezwał rząd, aby przy Radzie szkolnej ustanowiono zastępcę namiestnika; Rada państwa przyjęła wniosek Gautscha bez dyskusyi, a w r. 1890 uzyskał on najwyższą sankcyę. Odtąd też zapanowała harmonia

między Radą szkolną a Sejmem i znikły scysye między Radą a ministerstwem. W drugiej części pracy przedstawił autor ciekawą rzecz, a mianowicie przez jakie fazy odmienne przechodziło zapatrywanie się na formalną stronę statutu, jak dalece w miarę zmieniających się warunków politycznych, uznawano go bądź za ustawę, bądź znów za rozporządzenie. Prócz tego wykazał autor stanowisko Rady szkolnej krajowej, jako władzy wobec ministerstwa oświaty i władz niższych, zakres działania Rady szkolnej krajowej ze względu na rodzaj szkół, szczególne prawa Rady szkolnej w dziedzinie szkół ludowych, szczególne prawa Rady w dziedzinie seminaryów nauczycielskich, szczególne prawa Rady w dziedzinie gimnazyów, szczególne prawa Rady w dziedzinie szkół handlowych i przemysłowych. W końcu przedstawił jeszcze autor stanowisko Rady szkolnej wobec Sejmu i Wydziału krajowego, stanowisko Rady wobec władz wyznaniowych, skład Rady szkolnej krajowej, organizacyę wewnętrzną Rady, etat Rady.

Z uwag końcowych autora podać muszę w streszczeniu jeden ustęp, albo raczej jeden zarzut, uczyniony społeczeństwu polskiemu, który uważam za słuszny i za charakterystyczny. Dziś, powiada autor, roi się od reformatorów szkół na każdem zgromadzeniu politycznem, w każdym numerze dziennika. Początkujący adepci zawodu nauczycielskiego, często przed złożeniem egzaminu nauczycielskiego, gotowi są już reformować nasze szkoły, a przedewszystkiem poczuwają się do obowiązku, aby je ryczałtowo potępić. Ci jednak, którzy potępienia takie ryczałtowe a niesprawiedliwe, wygłaszają i piszą, zapytani, jaki to jest system narodowy przez nich na miejsce istniejącego proponowany, odpowiadają najczęściej coś, o czem zasłyszeli, że jest zaprowadzone w Anglii, Norwegii lub na Węgrzech, nie pytając, czy ku temu istnieją u nas warunki i środki. Inni proponują lekarstwa o skutku więcej niż wątpliwym, jak jednolita szkoła średnia, jednostopniowość nauki a przedewszystkiem usunięcie greki. Na to wszystko autor odpowiada: nie tędy droga! Silić się bez koniecznej potrzeby na odrębność w urządzeniu szkół, dziś kiedy odrębność ta w wielkich, cywilizacyjnych państwach coraz więcej się zaciera, znaczy to: płynąć przeciw wodzie; szukać cech narodowych szkoły, nie w nauczycielu i książce szkolnej, nie w duchu i kierunku nauki i wychowania, lecz w zewnętrznej organizacyi szkół, znaczy to: łudzić innych i samego siebie. System narodowy szkół w Galicyi, nie powstanie też nigdy z podyktowania im jakiegoś oryginalnego, à outrance, z narzucenia jakiegoś koniecznie odrębnego programu. Jeżeli ma być coś wart, to musi się wytworzyć, jako wynik sto-

pniowy rozumnej, na doświadczeniu opartej, usilnej i patryotycznej pracy kilku pokoleń około szkół i oświaty. Urządzenia szkolne galicyjskie, o ile mają być odrębne treścią swoją, powinny sobie zdobyć i wywalczyć uznanie u ministerstwa i w innych krajach koronnych Austryi, nie odgradzać się od niej, lecz przyjmować wszystko, z czego mogą korzystać, co im przyniósł i przynosi bogaty cywilizacyjny dorobek wielkiego państwa, hartować się powinny i rozwijać w szlachetnem i ożywczem współzawodnictwie. Występować na szerszą widownię i na niej rozumem i pracą zdobywać sobie uznanie, to rola nasza w Austryi, ale nie usuwać się z tej widowni i odgraniczać.

Studyum prawno-polityczne prof. Bobrzyńskiego dało w historycznym zarysie obraz działalności instytucyi, która przyczyniła się nie mało do odrodzenia duchowego Galicyi na polu szkolnictwa. W dziele Ulbricha p. t. „Handbuch der oesterreichischen politischen Verwaltung“ spotykamy jedynie główne zarysy organizacyjne, na których wsparły się rady szkolne krain austryackich. Autor zaś dał szczegółową historyę Rady szkolnej galicyjskiej, a przedewszystkiem jej statutu, mającego przeciw sobie z kolei: ministeryum, Radę państwa i Sejm. Prof. Bobrzyński przez szereg lat przewodniczył Radzie szkolnej galicyjskiej i zdobył sobie na tem stanowisku niemałą publiczną zasługę. W pracy jego znać też gruntowną znajomość przedmiotu. Sąd wytrawny i nieuprzedzony, zdobywa nas ścisłą przedmiotowością, a uwagi jego o narodowej szkole posiadają nieprzepartą dowodową siłę. Prof. Bobrzyński zrobił studyum swojem szczęśliwy początek, który pozwala mieć nadzieję, że od uczonych galicyjskich doczekamy się niezadługo podobnych prac o Sejmie galicyjskim i Wydziale krajowym.

A. R.

HENRYK KONIC. *Samorząd gminny w Królestwie Polskiem w porównaniu z innymi krajami europejskimi.* (Wydanie drugie uzupełnione). Warszawa, 1906.

W krótkiej przedmowie autor zaznacza, że dwadzieścia lat temu wyszło pierwsze wydanie niniejszej pracy. W ciągu tego okresu czasu nie ogłoszono nowej ustawy gminnej, lecz bądź co bądź uległa ona nowym zmianom, jeśli nie istotnym, to w każdym razie nie pozbawionym poważnego znaczenia. Między innemi ustawę gminną skodyfikowano w r. 1892 w ogólnym Zbiorze Praw

cesarstwa rosyjskiego, w rozdziale V organizacyi władz gubernialnych Królestwa Polskiego. Kodyfikacyi owej pod niektóremi względami dokonano mylnie. To też należy się krytycznie posiłkować odpowiedniemi artykułami, gdyż spotykamy wśród nich rozporządzenia na drodze prawodawczej, wcale nawet nie ogłoszone. Wszystkie te okoliczności w związku z wyczerpaniem książki, skłoniły autora do podjęcia nowego wydania. Uzupełnił je i przejrzał, a jeśli zasadnicze poglądy na poszczególne przepisy nie uległy sprostowaniu, to w każdym razie doświadczenie, związane z 40-toletniem przeszło istnieniem samorządu, kazało niektóre opinie pogłębić i oprzeć je na spostrzeżeniach ludzi stykających się bezpośrednio z gminą. Autor uwzględnił również rozprawy i broszury, które się o gminie od r. 1889 w naszej literaturze ukazały.

Przedewszystkiem zajął się autor scharakteryzowaniem gminy i gromady w Królestwie Polskiem oraz porównaniem ich z gminami w innych krajach europejskich. Cofnąwszy się do r. 1809, w którym już spotykamy się z gminą, jako z poddziałem powiatu, autor zaznaczył, że ukaz z 1864 r. zaprowadził ważną zmianę w administracyi gminnej, stwarzając gromady wioskowe, których zasadniczą cechą jest organizacya stanowa. Ustrój gromad, zdaniem autora, stanowi organizacyę w zasadzie swej błędną, wywołuje bowiem pewien rozdział między większymi właścicielami a włościanami; brak zaś wykształconego pierwiastku wśród gromad jest powodem, że nie posiada ona żadnej prawie samodzielności i pozbawiona jest tego znaczenia, jakie prawodawca zamierzył jej nadać. Porównywując prawodawstwo gminne Królestwa z austryackiem, autor przyszedł do przekonania, że na innych zupełnie podstawach oparta jest organizacya gminna w Galicyi, gdzie obszar dworski posiada oddzielną i niezależną od gminy organizacyę. Następnie porównywa autor naszą gminę z francuską i rosyjską, dochodząc do ostatecznego wniosku, że rosyjska gmina obejmuje tylko włościan, galicyjska — włościan a także do pewnego stopnia większą własność, lecz nie wyłącza nierolniczych zajęć, francuska — całą obejmuje ludność bez żadnych ograniczeń, wreszcie naszą wcieliła tylko stan rolniczy i małomiasteczkowy, o ile ostatni własność ziemską posiada. Nakoniec zupełnie odrębne stanowisko zajmuje gromada przeniesiona do nas z Cesarstwa, a nie istniejąca w każdym innym kraju w tej formie, jaką tej jednostce nadano w Królestwie.

Następny rozdział poświęcony zebraniom gminnym, już w odmiennym porządku przedstawia pogląd porównawczy. Po szcze-

gółowem i wyczerpującem przedstawieniu attrybucyj zebrań gminnych, autor zwrócił się do prawodawstwa francuskiego, a później do galicyjskiego, i zakończył „wołostią“ cesarstwa rosyjskiego, która jego zdaniem ma charakter stanowy, odmienny zupełnie od gmin w Królestwie. Autor zestawił więc jedynie zebrania nasze gminne z prawodawstwami tych krajów, które znają tylko rady gminne vel municypalne. Zdawałoby się zatem, że europejskie prawodawstwa gminne nie znają zupełnie zebrań gminnych, gdyż inaczej należało nasze zebrania z odpowiedniemi instytucyami w innych krajach porównać. Tymczasem nie tylko Anglia i Szwajcarya posiadają zebrania zbliżone do naszych, ale i w państwie niemieckiem znajdują się kraje, w których nie ma rad gminnych, lecz zebrania podobne do naszych. Porównanie zatem w tym wypadku przedstawia duży interes naukowy z tego powodu, że na zachodzie Europy zebrania gminne stanowią po dziś dzień wyjątek, należy więc zbadać, jakie były lokalne przyczyny, które wpłynęły na ich wytworzenie i w czem są podobne, a w czem różne od naszych.

Zastanawiając się nad charakterem naczelnika gminy w Królestwie, autor dostrzegł, że w wójcie posiada przewagę pierwiastek rządowy nad samorządnym. Wójt, wobec ogromu włożonych nań obowiązków, staje się więcej urzędnikiem, niż wybitnym przedstawicielem gminy. W istocie wójt jest władcą zebrania gminnego, którego głosu winni wszyscy bezwarunkowo słuchać. Może prócz tego każdego karać czy to pieniężnie, czy też więzieniem. Jeśli zważymy, że taką władzę posiadają ludzie niewykształceni, nie umiejący często czytać i pisać, to będziemy to musieli uznać za anomalię. W Galicyi atrybucye wójta są identyczne z czynnościami powierzonemi temuż w Królestwie. W każdym razie jednak przyznać trzeba, że wójt w Galicyi nie jest tak samodzielny, jak w Królestwie. W ustawie galicyjskiej niema tej zależności wszystkich mieszkańców od wójta. Nie ma prawa dokonywać rewizyi, nie może nikogo pozbawiać wolności i wszelkie jego orzeczenie nie jest skutecznem. Następnie porównał autor naszego wójta z merem francuskim (prawo z 1884 r.), w którym przeważa charakter urzędnika państwowego. W końcu zaś przeszedł autor do Cesarstwa rosyjskiego i zastanowił się nad stanowiskiem starszyny wołostnego, które służyło do pewnego stopnia za wzór przy wprowadzeniu w Królestwie nowego ustroju gminnego.

Z kolei rzeczy przedstawił autor rzecz o pełnomocnikach gminnych, powstałych na mocy uchwały Komitetu do spraw Królestwa Polskiego z r. 1879. Pełnomocnicy gminni, jego zdaniem,

należą do bardzo ważnych urzędników gminnych. Stanowisko ich jest nierównie niezależniejsze od wójta. Jako kontrolerzy ostatniego mogą nieobliczone przynieść ogółowi korzyści. Przez należyte sprawdzanie wszystkich pozycyj budżetu gminnego, pełnomocnicy mogą przyczynić się do prawidłowego rozwoju finansów gminnych i właściwego zużytkowania dochodów. W tym zakresie, zdaniem autora, spoczywać winien środek ciężkości całej działalności pełnomocników, która ujawniając się na tem polu, wywierać może wpływ stanowczy na całokształt samorządu gminnego. Pełnomocnicy gminni, w obecnej swej formie, stanowią instytucyę, powstałą u nas dopiero w ostatnich czasach. Poprzednio bowiem nie istnieli wcale, a ustawy gminne z pierwszej połowy bieżącego stulecia całkowicie o nich milczą. Pełnomocników naszych porównywa autor z asesorami austryackimi, którzy są obowiązani w ogólności pomagać wójtowi i stosować się do jego rozporządzeń, spełniając pod jego odpowiedzialnością poruczone sobie czynności. Następnie wspomina autor o pomocnikach mera t. z. adjoints, których liczba nie jest stała, lecz stosuje się do zaludnienia. W końcu autor słusznie zaznacza, że pełnomocników, w tem znaczeniu, jakie my im nadajemy w Królestwie, nigdzie niema. Brak takowej władzy tłómaczy się istnieniem we wszystkich niemal państwach zachodniej Europy rad gminnych, które wykonywują czynności powierzane u nas pełnomocnikom. Lecz to właśnie nadaje szczególniejszą wagę pełnomocnikom gminnym.

Dalej poświęca autor uwagę pisarzom gminnym, którzy podlegają władzy wójtów, a następnie w porządku hierarchicznym naczelników powiatu. Obowiązki pisarza są ściśle kancelaryjne. Winien on prowadzić księgi i w ogóle całą korespondencyę w zarządzie gminnym, pod bezpośrednim dozorem wójta gminy. Prócz tego do pisarza należy pomaganie sołtysom w prowadzeniu korespondencyi i przy układaniu tych uchwał zebrań gromadzkich, które podług prawa powinny być zapisywane. Ustawa nadała pisarzom drugorzędne zupełnie znaczenie, nie zapewniając mu żadnej niezależności czy samodzielności. Tymczasem faktyczny stan rzeczy do innych doprowadził rezultatów. Z powierzchowności sądząc, możnaby wnosić, iż pisarz gminny jest zarządcą gminy. Przyczyna tego objawu polega na małem wykształceniu wójtów, skutkiem którego zmuszeni są ulegać bezpośredniemu wpływowi pisarza, który jest objawem nienormalności stosunków naszych. Ustawa galicyjska omawia prawne obowiązki pisarza daleko zwięźlej i krócej, niż nasza. Ale i w Galicyi, mimo to, że pisarz gminny nie jest członkiem zwierzchności, tylko urzędnikiem, to prze-

cież pisarze wywierają wielki, nawet przeważny wpływ na stosunki gminne, mianowicie na prowadzenie i załatwianie spraw w obrębie gminy. Z tem wszystkiem w $^2/_5$ gmin galicyjskich spotykamy niezdatnych pisarzy, wobec nieukształconego wójta nieumiejącego nawet czytać. Ustawa francuska zna sekretarzy, odpowiadających naszym pisarzom. O przewadze sekretarzy w gminach francuskich nie może być mowy.

Z kolei rzeczy zastanawia się autor nad zebraniami gromadzkiemi, które posiadają charakter stanowy, albowiem w ich skład wchodzą tylko osoby pochodzenia włościańskiego. Aby być członkiem zebrania gromadzkiego, nie potrzeba mieć cenzusu, który jest wymaganym do udziału w zebraniach gminnych. Do zebrań gromadzkich dopuszcza prawo kobiety, które usunęło z zebrań gminnych. Włościanki, będące w posiadaniu osad i prowadzące gospodarstwo na własną rękę, mogą, jeśli zechcą, uczestniczyć w zebraniach gromady na równi z innymi gospodarzami. Jest to, o ile się zdaje, jak autor zaznacza, jedyne prawo publiczne, które służy u nas kobietom. Nawet na zachodzie nie biorą one udziału w samorządzie gminnym. Prawodawca u nas kierował się głównie tem, włączając kobiety do gromady, że takowe mają przedewszystkiem na celu zespolenie włościan dla celów gospodarczych. Zebrania gromadzkie mają również miejsce i w Cesarstwie. Szkoda, że autor nie dał nam bliższych objaśnień, o ile zebrania gromadzkie utrzymały się i rozwinęły u nas w rzeczywistości, w porównaniu z zebraniami gminnemi i jakie wpływy na też zgromadzenia wywarła jednostanowość. Co się tyczy uwagi, że kobieta i w zachodnich państwach Europy nie została dopuszczoną do samorządu, to zdarzają się, co prawda rzadko, fakta sprzeciwiające się powyższemu zdaniu. W Anglii, w radach szkolnych, kobiety mają prawo zasiadać, w Urban-District mogą być nawet przewodniczącemi, jeżeli zostały wybrane, a i w niektórych państwach niemieckich kobiety mają prawo przez pełnomocników, rzadko osobiście, brać udział bądź to w zebraniach, bądź to w radach gminnych. Zebranie gromadzkie wybiera sołtysa, któremu autor poświęcił także szczegółową uwagę. Wobec braku w zachodniej Europie instytucyi podobnej do gromady naszej, autor porównywa naszego sołtysa z urzędującym w Cesarstwie starostą wiejskim, który służył za wzór dla prawodawcy przy wprowadzeniu w naszym kraju instytucyi analogicznej. Stanowisko starosty jest jednak bardziej niezależne w stosunku do władz administracyjnych i jako organ samorządu, starosta ma rozleglejsze daleko atrybucye. Sołtys jest też przeważnie urzędnikiem poli-

cyjnym, starosta zaś, pomimo swego charakteru stanowego, bardziej władzą samorządu.

Z kolei rzeczy przedstawił autor zebrania parafialne i dozory kościelne wyznania rzymsko-katolickiego, następnie dozory bożnicze wyznania mojżeszowego, straż ziemską, t. j. wszelkie władze specyalne w gminie. Osobny rozdział poświęcił autor językowi w gminie naszej, zaznaczywszy z początku, że w r. 1864 na całym obszarze Królestwa nie wielu było włościan, którzyby rozumieli, a tem bardziej umieli czytać i pisać po rosyjsku. Do gmin w Królestwie język rosyjski był też wprowadzany stopniowo. Kwestya języka została dopiero stanowczo zdecydowana w r. 1905 na zasadzie postanowienia Komitetu ministrów, wydanego w wykonaniu ukazu z grudnia 1904 roku. Mocą tego postanowienia rozszerzono użycie języka rosyjskiego w gminach, ale go nie uczyniono wyłącznym. Finansowa organizacya gminy została przez autora wyczerpująco przedstawiona, przyczem porównano naszą organizacyę z galicyjską organizacyą finansową gmin i rozważył autor budżet gminy francuskiej. Po raz też pierwszy wprowadził autor do porównawczego wykładu stosunki angielskie, chociaż gmina angielska nie posiada budżetu we właściwem tego słowa znaczeniu. Osobno zastanowił się autor nad ustrojem finansowym gmin specyalnych w Królestwie Polskiem, gdzie dozory kościelne, istniejące przy kościołach wyznania rzymsko-katolickiego, posiadają pewne fundusze do zaspakajania potrzeb powierzonego sobie zakresu działalności. Dozory bożnicze, zdaniem autora, rzadko przeznaczają swe fundusze na utrzymanie użytecznych instytucyj, przeważnie zaś obracają je na cele, mające bezpośredni związek z ciemnotą i fanatyzmem. Powinnościom gminnym poświęcił autor szczegółowo uwagę i przedstawił je w wyczerpującym historycznym zarysie.

Z kolei autor poświęcił uwagę policyi gminnej, udziałowi gminy w sprawie badania ludności w kraju, policyi lekarskiej, dobroczynności publicznej, szkołom gminnym, kasom zaliczkowo-oszczędnościowym, policyi ogniowej, środkom zapobiegającym pomorowi bydła i innym klęskom w gminie. W każdym z powyższych rozdziałów autor uwzględnił szczegółowo i wyczerpująco historyczny rozwój prawodawstwa gminnego w Królestwie Polskiem, tak, że praca jego w rękach nie tylko urzędników gminnych, ale i obywateli stykających się z życiem gminnem, może się stać podręcznikiem dużej praktycznej pożyteczności. Wykład porównawczy nie zawsze jest równomierny i nie zawsze wyczerpujący. Zwłaszcza pozostawienie na uboczu prawodawstw gminnych państw niemieckich, nie wpływa dodatnio na wnioski porównawcze,

ale mimo to książka Henryka Konica, z powodu wyczerpującego i krytycznego przedstawienia prawodawstwa gminnego w Królestwie Polskiem, zasługuje na pełne uznanie i jako podręcznik może oddać naszemu społeczeństwu duże, praktyczne usługi.

A. R.

NAL i DAMAJANTI. *Baśń staroindyjska z księgi Mahabaraty.* Z sanskrytu przełożył A. Lange. Warszawa, 1906. G. Centnerszwera i S-ka.

Nieoczekiwanem zjawiskiem literackiem w pełnej zamętu chwili bieżącej, jest dokonany przez p. Langego przekład Nala, przekład, oparty na poważnych studyach przedwstępnych i należący bezsprzecznie do szeregu tych prac, które od dość dawnego czasu w piśmiennictwie naszem są rzadkie. Dziwna bowiem rzecz! Przekładów z języków obcych mamy sporo, ale wybór dzieł przekładanych jest zazwyczaj tak nieszczęśliwy, że nieraz największe arcydzieła literatury powszechnej najdłużej muszą czekać na to, aby je ktoś, miłujący sztukę i piśmiennictwo, a dbały o wzbogacenie kultury rodzinnej, językowi polskiemu przyswoił. Zapewne, brak nam tłómaczów, brak nam artystów, którzy posiadaliby nie tylko odwagę do rozpoczęcia przekładu, ale talent i wytrwałość do jego ukończenia i utrzymania na poziomie właściwym. Przekładów zaś, niestety, podejmują się najczęściej ludzie, niewiele z literaturą i sztuką mający wspólnego, a więc miernego gatunku rzemieślnicy, skwapliwie rzucający się „dla zarobku“ na wszystko, co im do rąk wpadnie, nie oryentujący się w tem, czy praca ich przyniesie pożytek, nie umiejący z obcych skarbców wydobywać klejnotów, a przypadkowo chwytający to, co bliżej, co na wierzchu. Ztąd chaos, bezład i w rezultacie—miernota.

Wracam jednak do Nala. Ten najpiękniejszy z epizodów wielkiej epopei indyjskiej, w której rozgrywa się walka na śmierć i życie dwóch rodów Kuru i Pandu, istniał dotychczas w jednym tylko przekładzie polskim A. Leciejewskiego, przekładzie niewątpliwie wzorowym i wartościowym, ale czysto filologicznym, naukowym, a więc odartym poniekąd z tego blasku poezyi, jaka tkwi w rytmicznym oryginale.

Tymczasem piękne i wzruszające dzieje miłości Nala, jego cierpienia, jego szaleństwo, jego szczęśliwe połączenie się z kochanką tkliwą, wierną i pełną poświęcenia—prosiły się o przekład inny, o przekład „odtwórczy.“

Pracy tej dokonał p. Lange, utalentowany poeta i nadto wyborny znawca literatury indyjskiej.

„Uważaliśmy za rzecz właściwą i literaturze powinną — pisze p. Lange w przedmowie — opracować tłómaczenie tego poematu.“

Jakoż zamiar został szczęśliwie wykonany, mimo wielu poważnych trudności; jakie tłómacz na drodze swej napotkać musiał.

I nielada kłopot miał on przedewszystkiem z wyborem formy.

Epos indyjskie ułożone jest w *slokach*, t. j. dwuwierszach o 32 sylabach. Każda *sloka* da się podzielić na dwa wiersze o 16 sylabach, albo nawet na 4 po 8 sylab, jednakże zwykle w edycyach dwa 8-io zgłoskowe wiersze łączą się w jeden 16 zgłoskowy.

Szczególną cechą prozodyi indyjskiej jest, że pierwsza połowa takiej *półsloki* ma rytm zupełnie swobodny i nieokreślony, druga zaś jest jambiczną, przyczem koniec wiersza może mieć charakter daktyliczny.

Jak więc z tego wybrnąć i jaki zastosować wiersz polski?

„Ponieważ język nasz—słusznie zauważa p. Lange—nie zniósłby takiej niesymetryczności i ponieważ w pierwszej połowie zazwyczaj przeważają choreojamby lub peony, przeto postanowiłem oddać całość w jambach, co zdaje mi się najlepiej odpowiadać naturze *slok*ów indyjskich.“

Wybór dobry, bo trzeba się zgodzić z tłómaczem, że ani aleksandryn, ani heksametr nie byłby tu odpowiedni, a 16 zgłoskowy wiersz trocheiczny byłby zbyt monotonny. Również i wiersz 10-cio zgłoskowy, nad którego użyciem p. Lange zastanawiał się poważniej ze względu na to, iż posługiwał się nim i tłómacz czeski, wydaje mi się trafnie odrzuconym. Jedynie chyba 13 zgłoskowy wiersz polskiej epopei (Pana Tadeusza) mógłby w danym wypadku współzawodniczyć z niezwykle misternemi jambami, jakich użył p. Lange, zwalczając pomyślnie wszelkie nastręczające się przy budowie tego wiersza trudności.

Jak dźwięcznie, płynnie, swobodnie rozwija się pod piórem p. Langego pieśń o Nalu, niech zaświadczą przytoczone poniżej urywki.

„Jeziora liczne, fale rzek, szumiące lasy, a gór szczyty
Wóz przelatywał, jako ptak, przelatujący przez błękity...
A gdy tak wichrem pędził wóz, Bhangasuryda naraz czuł,
Zabójca wrogów, że mu płaszcz z ramion na ziemię spada w dół....“

albo:

„O jak ten wozu bystry pęd, napełniający świat turkotem,
Raduje serce me! To Nal, pan ziemi, przybył tutaj lotem!

Jeśli nie ujrzę Nala dziś, jeżeli dzisiaj nie posiędę
Męża nieporównanych cnót, to, klnę się, jutro żyć nie będę!
Jeśli na lubem łonie dziś witezia tego nie usiędę,
Nie ucałuję jego warg: to, klnę się, jutro żyć nie będę...
Jeżeli dzisiaj do mnie Nal nie przyjdzie, jako chmura grzmiący,
To dzisiaj wstąpię w ognia stos, złocistą łuną gorejący,
Jeśli potężny, jako lew, jak pijany siłą słoń,
Nie przyjdzie indra-ludzki ów, to się pogrążę w śmierci toń...

Dzięki tej pięknej formie, cała poezya baśni indyjskiej nietylko w przekładzie polskim nie zaginęła, ale szerokim płynąc strumieniem przez karty książki, unosi z sobą czytelnika w krainę czystych i podniosłych wrażeń estetycznych.

I dziś właśnie, kiedy tych wrażeń mamy tak niewiele, kiedy z jednej strony huczy grzmot rewolucyi, z drugiej zrywa się orkan poziomych namiętności politycznych, dobrze jest wykąpać duszę w takim kryształowym zdroju, odbijającym w sobie to, co wieczne, co nie przemija, co stanowiło przed wiekami i dziś stanowi treść wnętrznej istoty człowieka.

Możemy też i powinniśmy być p. Langemu wdzięczni za jego przekład dokonany z dużym nakładem pracy, a nadewszystko z talentem, którego złożył nowy a niepospolity dowód, przysparzając jednocześnie piśmiennictwu polskiemu dzieło wartościowe, wydane bardzo starannie, opatrzone stylową okładką i również stylowemi a ciekawemi winietami, umiejętnie wykonanemi przez p. J. Bukowskiego.

Z. D.

ALEKSANDER BRÜCKNER. *O literaturze rosyjskiej i naszym do niej stosunku dziś i lat temu trzysta.* Szkic literacki. Warszawa, E. Wende i S-ka. Lwów, H. Altenberg. Wydawnictwo „Wiedza i życie."

Prof. Brückner poruszył w pracy niniejszej temat, oddawna u nas nie poruszany z powodów łatwo zrozumiałych. Polityka rządu rosyjskiego pomiędzy nami a narodem rosyjskim wykopała taką przepaść, że z konieczności przeszkodzić to musiało kulturalnemu obcowaniu Polski z Rosyą. Dawne wpływy literatury polskiej na rosyjską ustały. Dwa społeczeństwa i dwie literatury stanęły przeciw sobie wrogo. Uprzedzenia były z obu stron bardzo wielkie i powoli, stopniowo doprowadziły nas zwłaszcza, Polaków, do zupełnej nieznajomości literatury rosyjskiej, która tymczasem rosła w siłę i w moc i zdobywała sobie Europę.

Ta nieznajomość pozostała w całej swojej sile po dzień dzisiejszy, mimo, że w ostatnich kilku latach sypią się i u nas, jak z rękawa, przekłady Andrejewa i Gorkiego. A pozostała dla tego, że ani Andrejew, ani Gorkij literatury rosyjskiej nie stanowią.

Co do Gorkiego, to prof. Brückner powątpiewa nawet, czy to wogóle jest wielki talent literacki. Zainteresował on nas więcej *etnograficznie* przedstawieniem nieznanych u nas „bosiaków," a jeszcze więcej interesuje nas, jako natura protestu, jako człowiek, który nie zgadza się na żadne kompromisy, lecz zawsze idzie na przebój—prawdziwy rewolucyonista. A i o Andrejewie trudno jeszcze dziś coś orzec. Więc te tłómaczenia Gorkiego i Andrejewa, nie stanowią jeszcze bynajmniej o tem, jakobyśmy się już z literaturą rosyjską zapoznali.

Nie. Jak dawniej, tak i dziś, śmiało powiedzieć można, że jej nie znamy. A przecież nie służyła ona nizko systemowi rządowemu. Przeciwnie, kiedy program rządowy w Rosyi wygnał wszelką myśl swobodną i ludzką, zakneblował usta, zrównał wszystkich przed samowolą — wtedy wszelka myśl szlachetniejsza, niecenzurowana, nie prostytuowana ukryła się w literaturze. I doszło do tego, że nigdy Polak nie pisał takich rzeczy na Rosyę, jak Rosyanie sami. Dość wymienić Hercena, Szczedrina, Czechowa...

Tymczasem ta właśnie skarbnica, w której naród rosyjski składał „myśli swoich przędzę i swych uczuć kwiaty" pozostała dla nas obcą i spotkać można wśród nas ludzi najwykształceńszych, dla których imiona Puszkin, Gogol, Turgeniew i Dostojewski są pustem brzmieniem.

Co najdziwniejsza, nawet wychowańcy *Szkoły rosyjskiej*—literatury rosyjskiej nie poznali, gdyż „program" urywał się na tym właśnie punkcie, od którego się ona rozpoczyna, a karmił młodzież potwornemi baśniami średniowiecznemi, z których się ona słusznie śmiała i naigrawała.

Stwierdzając ten stan rzeczy i zachęcając społeczeństwo polskie do istotnego zaznajomienia się z twórczością literacką *narodu* rosyjskiego, prof. Brückner cofa się w dziedzinę swojej specyalności i daje nam bardzo ciekawy obraz oddziaływania literatury polskiej na rosyjską w wiekach ubiegłych, kiedy transfuzya kultury polskiej na Ruś kijowską, a stamtąd do Wielkorosyi, była na porządku dziennym. Wtedy to wyrosła na Rusi cała nowa literatura, przedewszystkiem teologiczno-polemiczna, która wyłącznie z polskich i łacińskich źródeł czerpała. Później i w Moskwie, gdy się skutków własnego zacofania przestraszono i poznano, że droga absolutnej ignorancyi do niczego nie prowadzi, chwycono

się rady i pomocy kijowian, powoływano ich do Moskwy i oni zaszczepili tam literaturę polsko-ruską. Powstał nawet w drugiej połowie w. XVII szereg pisarzy takich, jak Baranowicz, Galatowski i inni, którzy jedno i to samo dzieło najpierw po polsku pisali, a potem tłómaczyli je na język ruski.

W tłómaczeniach ruskich zachowały się nieraz rzeczy, których już w oryginałach polskich albo wcale nie mamy, albo niezupełne. Np. „Postępek prawa czartowskiego“ z roku 1570, t. j. „Proces szatana z człowiekiem przed trybunałem boskim“ posiadamy w jednym tylko egzemplarzu, któremu brak pierwszych kart, ale te karty możemy dopełnić z ruskich tłómaczeń, których jest wiele. Dalej najlepszy wiersz polski z XV wieku, *Dyalog między śmiercią a mistrzem Polikarpem*, zachował się w jednym odpisie, któremu znowu brak końca. Otóż ten dyalog istnieje przetłómaczony w literaturze rosyjskiej. Są i inne rzeczy, których dotąd w Polsce nie odszukano, a o których tradycya ruska twierdzi, że z polskiego są przełożone.

Nie możemy tu szczegółowo iść trop w trop za prof. Brücknerem i wykazywać wszelkie pomniki wpływu kulturalnego Polski na Ruś i na Moskwę. Dość stwierdzić, że wpływ ten był wszechstronny i daleko sięgający.

Przerywa się on gwałtownie za Piotra Wielkiego, który to formalne wkroczenie literatury i kultury rosyjskiej na tory polskie i polsko łacińskie skręcił i zwrócił na nowe tory zachodnie: niemieckie, holenderskie i francuskie.

Potem nastąpiła wielka luka: wiek XVIII i pierwsza połowa w. XIX-go, chociaż i w niej są jeszcze pewne ślady wpływów polskich.

Tak np. ileż zawdzięcza Rylejew, ów szlachetny przyjaciel Mickiewicza i dekabrysta, „Śpiewom historycznym“ Niemcewicza, które naśladował, a i Puszkin, czyż nie uległ wpływowi Mickiewicza, kiedy się z nim poznał i zbliżył? W naszych zaś czasach przeszli tryumfalnie przez Rosyę—Sienkiewicz i Orzeszkowa.

Ale w dziejach narodów bywa rozmaicie.

Literatura rosyjska, która od XVI wieku aż do Rylejewa i Puszkina wobec polskiej odgrywała rolę bierną, w najnowszej dobie zaczyna wywierać wpływ czynny na piśmiennictwo polskie.

Wpływów tych dopatruje się prof. Brückner przedewszystkiem w twórczości Żeromskiego, o którym mówi bez ogródek, że nawet styl i formę, nie mówiąc już o krańcowości poglądów, zawdzięcza Dostojewskiemu i Tołstojowi.

Podobnie Przybyszewski, choć Wielkopolanin i wedle własnego zapewnienia „Biesów“ Dostojewskiego nie czytał, to jednak w *Dzieciach Szatana*, kreśląc swego nadczłowieka, nowego Piotra Werchoweńskiego i Stawrogina w jednej osobie—musiał znać romans rosyjski, choćby z opowiadań, gdyż i fabuła i szczegóły są nadto zbliżone, aby to miało być skutkiem ślepego trafu.

Realizm, pesymizm, smutek bezbrzeżny u naszych „Schyłkowców“ zaliczają krytycy, może zbyt pochopnie, na karb wpływów literatury rosyjskiej — bądź co bądź jednak lody obojętności pękły i karta się odwraca.

„Dziś – kończy swoje ciekawe studyum szanowny profesor – kiedy nowa Rosya z gruzów się wyłania, kiedy głosy zewsząd jej „zwiastują wolność, jak żórawie wiosnę“ — przeciw zbliżeniu się obu narodów i wzajemnemu poznaniu się, przeszkód stawiać nie wolno.“

Godząc się na to zdanie, musimy jednakże podkreślić, że przeszkód tych nie stawialiśmy nigdy. Budował je system rządowy, równie znienawidzony przez nas, jak i przez Rosyan samych, a upadek tego systemu sam przez się jest mostem pomiędzy nami a Rosyą. Musimy tylko nie czekać, aż most ten będzie naprawdę gotowy. Dowodem zaś naszej „dobrej woli“ jest już praca prof. Brücknera tak wysoce bezstronna i... przebaczająca.

Z. D.

WACŁAW GRUBIŃSKI. *I. Pocałunek. II Na rubieży.* Warszawa, 1906. E. Wende i S-ka.

Niektórzy autorowie, występując po raz pierwszy, jakby z obawy przed publicznością i krytyką, oddają się w opiekę talentom starszym i większym. Ztąd powstają przedmowy.

Tak właśnie, zupełnie zresztą zbytecznie, bo trema pierwszego występu nie była usprawiedliwiona, postąpił sobie p. Grubiński, prosząc St. Przybyszewskiego o „list polecający.“

„List“ ten, jednakowy w obydwu książkach, brzmi, jak następuje:

„Dotychczas nigdy jeszcze żadnej przedmowy do tworu młodego artysty nie pisałem—mówi p. Przybyszewski. Nie myślałem brać odpowiedzialności za rzeczy, któreby zadaniu i celowi wysokiej sztuki nie odpowiadały. Nie chodzi mi o to, czy te parę słów Wacławowi Grubińskiemu na progu Świętego Romowe Twórczości zaszkodzą czy pomogą, ja uważam sobie jedynie za święty

obowiązek zwrócić uwagę społeczeństwa na młodego i rzeczywistego artystę. Nie mam tej próżności, że jestem nieomylny, jednak w tym wypadku *twierdzę z całą pewnością, że imię Wacława Grubińskiego przejdzie chlubnie do literatury polskiej.*"

Trudno powiedzieć więcej, zważywszy, że w dziedzinie twórczości artystycznej nigdy żadnej *pewności* być nie może, bo nikt jeszcze nie zdołał przewidzieć dróg rozwojowych żadnego talentu, który zależy przecież nietylko od mocy samorodnej, jaka w nim tkwi, ale także i od bodźców zewnętrznych, od tego, co przynosi *życie*. Jednym ułatwia ono rozwój, innych spycha w otchłań i wpływami swojemi paczy ich organizacyę duchową, niwecząc jej plony w zarodkach.

Dalecy więc jesteśmy od stawiania jakichkolwiek wróżb, tembardziej, że wystarcza nam p. Grubiński takim, jakim jest, jakim go poznajemy z dwóch pierwszych jego książek.

Są to książki niewątpliwie interesujące i godne baczniejszej uwagi krytyki.

Pierwsza z nich p. t. *Pocałunek* jest zbiorem kilku utworów o charakterze nowelistycznym. Na zbiór ten składają się: *Przeszłość* (ostatni arkusz z pamiętnika); *Pocałunek* albo *Smętna bajka o dniu powszednim* i *Baal*.

Druga książka zawiera dwa fragmenty dramatyczne: *Na rubieży* (w dwóch odsłonach) i *Zacisze* (w jednym akcie).

I w noweli i w dramacie pierwszą rzeczą, która narzuca się uważnemu czytelnikowi jest fakt, że ma on do czynienia z talentem i to talentem poważnym.

P. Grubiński ma wzrok artysty, umie patrzeć na świat, na życie i jego zjawiska i wczuwa się doskonale w duszę człowieka współczesnego. Ta dusza nie jest dla niego księgą, zamkniętą na siedem pieczęci, ale obrazem, którego szczegóły potrafi on uwypuklać i podnosić do znaczenia cech istotnych, zasadniczych.

Język i styl, któremi posługuje się młody autor, są bez zarzutu. Proza jest wykwintna, staranna, miejscami wprost wycyzelowana. Subtelność duża, cieniowanie umiejętne.

Za próbę niechaj służy następujący urywek z *Pocałunku*:

„Dziwi się pani? Chciałem powiedzieć tylko, że w takie mokre dni czasami odmiękają na starych ranach zaschłe bandaże i znów podawnemu ciecze krew, a raczej sączy się tym nieskończonym koralowym sznurem. Bo... może o tem nie wiesz? Ja wiem... ja wiem. Przychodzi do mnie taki smutny dzień i zwolna otwiera mi rany, troskliwie otwiera... a potem w nie ręce kładzie głęboko, jak ów biblijny Tomasz i stare stamtąd wyciąga rupiecie.

A uprzykrzony szperacz ma długie palce i nie pyta nigdy, czy ich dotknięcie boli. A ono boli. A z bólu tego wylata okropny krzyk zapomnianej duszy, jak klangor tułacza-żórawia, któremu się pod żelaznem skrzydłem coraz ogromniej widnokrąg rozszerza bez końca... bez krańca...“

Takim językiem pisany jest cały „Pocałunek,“ ten utwór, utkany z fantazyi, w którym nie ma nic rzeczywistego, oprócz tego jednego krwawego bólu, który sączy się na zranionej duszy „nieskończonym koralowym sznurem.“ Podobne wrażenie wywiera *Przeszłość*. Do innej zgoła kategoryi należy *Baal*, w którym miejsce wizyi zajmuje świat zupełnie realny, gdzie bystra obserwacya walczy o lepsze z wyborną plastyką, a nerw sceniczny ułatwia autorowi prawdziwy dramatyczny układ sytuacyi.

Że nerw ten p. Grubiński posiada, świadczą wymownie obie jego sztuki, które nie są wprawdzie oryginalnie pomyślane i tematy bowiem i opracowanie ich stoją w bardzo blizkim stosunku do *Złotego Runa* i *Śniegu* Przybyszewskiego, ale mają w sobie dość siły i wyrazistości, aby na ich podstawie, odrzucając wpływ postronny, można sobie wyrobić pojęcie o indywidualności twórczej młodego autora. Ma on niewątpliwie poczucie dramatyczne, a chociaż jeszcze nie odnalazł siebie, chociaż całkowicie jest dotąd przejęty modernizmem Przybyszewskiego i należy do jego świty, która niewolniczo naśladuje formę i ducha mistrza, to jednak stać go już na pewne efekty własne. Takim efektem między innemi jest zupełnie niespodziewane zakończenie dramatu „Na rubieży,“ gdzie ślepy fatalizm Przybyszewskiego ustąpił miejsca tryumfującej pieśni życia, pieśni miłości, która zamiast burzyć i rozkładać, zgodnie z teoryą autora „Androgyne,“ buduje i tworzy wbrew tej teoryi. Potęga tej miłości wytrąca broń z ręki niedoszłego samobójcy „w imię honoru,“ a świadomość „obowiązku“ (pojęcie Przybyszewskiemu niemal zupełnie obce) względem kobiety kochanej, ocala mu życie.

Dramat ten ma wysokie napięcie i dobrą scenizacyę.

„Zacisze“ natomiast jest o wiele słabsze. Jest to zupełnie brudna karta wyrwana luzem z księgi powikłań seksualnych, przedstawiona z pewną dozą melodramatyzmu i nie wzruszająca czytelnika w tym stopniu, w jakim od utworu *artystycznego* wymagać tego można i należy.

Nie bacząc jednak na to, pierwszą znajomość z p. Grubińskim uznać musimy za niezwykle zajmującą pod każdym względem.

Z. D.

Kronika miesięczna.

Przejście szpitali pod zarząd miasta. — Na krawędzi ruiny ekonomicznej. — Pomnik Chopina.

Warszawa, miasto wielkie, liczące blizko 800,000 ludności i mające słuszne pretensye do kultury europejskiej, o mało co nie zostało pozbawione... szpitali.

Stało się to w sposób następujący:

Większość szpitali warszawskich powstała jeszcze za czasów polskich z fundacyj prywatnych, które na owe czasy były bardzo szczodre, czego najlepszym dowodem jest fakt, iż szpitale te, korzystając tylko z niewielkich subsydyów skarbowych przetrwały aż do r. 1864, czyniąc zadość potrzebie społecznej i wywiązując się jaknajlepiej ze swych zadań.

Po powstaniu jednak stosunki zmieniły się. Rząd, jak wiadomo, powziął myśl upaństwowienia szpitali, a to w tym celu, ażeby społeczeństwo polskie zupełnie odsunąć od spraw szpitalnych, jak zresztą zwykle, od wszystkiego.

Zgodnie z temi zamiarami władz centralnych, powołano do bytu w r. 1870 specyalną instytucyę biurokratyczną, znaną pod nazwą Rady miejskiej dobroczynności publicznej, i jej powierzono zarząd szpitali. Rzecz naturalna, że zaufanie społeczeństwa do biurokratycznej Rady, nie było wielkie. Jakoż ofiarność publiczna, która do owej pory częstemi zapisami i legatami przyczyniała się do zwiększenia funduszów szpitali miejskich, odwróciła się od nich, kierując się wyłącznie ku szpitalom prywatnym. Jednocześnie władze centralne, dla których wszelkie wydatki, łożone na Królestwo Polskie, były uciążliwe, zaczęły zmniejszać stopniowo dawne subsydya skarbowe, przyznane szpitalom jeszcze przez rząd Ks. Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, składając swoje obowiązki naturalne na barki miasta.

I oto wobec wzrostu ludności w mieście, wobec niedołężnej gospodarki i braku subsydyów rządowych potworzyły się luki,

które zwolna poczęły zagrażać nie już dobremu wyposażeniu, ale wprost istnieniu szpitali.

Jako środek ratunkowy, zastosowano w r. 1864 *podatek szpitalny*, pobierany w wysokości 1 rubla od osoby. Nic to jednak nie pomogło. Przeciwnie, pogorszyło nawet sytuacyę ogólną wobec tego, iż każdy, opłacający podatek, miał prawo do bezpłatnego leczenia się w spitalach. Napływ chorych wskutek tego wzrastał, a miejsc nie było nigdy w odpowiedniej ilości, na co też sarkano powszechnie. Nawet wzniesienie nowego, znacznie większego gmachu dla szpitala Dzieciątka Jezus na folwarku Ś-to Krzyzkim, nic nie pomogło.

Sprawa zaostrzała się z roku na rok i coraz bardziej stawała się palącą. Lekarze nasi zwracali na to uwagę, że przypomnimy szereg artykułów i broszur d-rów Nosocomialisa, Męczkowskiego, Zawadzkiego i Łazarowicza.

Rada miejska dobroczynności publicznej nic jednak nie robiła sobie z tych głosów i brnęła coraz dalej w niedobory. Nie można się też dziwić, że w końcu doszło do skandalu, gdy magistrat odmówił w r. b. wszelkich subsydyów.

Radzie miejskiej pozostawało więc jedno z dwojga, albo zamknąć szpitale, gdyż, jak się okazało, mogą one istnieć do d. 1 czerwca, albo oddać je pod zarząd magistratowi, który poprowadzi je sposobem gospodarczym przy współudziale obywateli miejscowych.

Wybrano — z konieczności — to ostatnie, gdyż nawet Rada miejska dobr. publ. nie mogła zdecydować się na to, aby zamknąć w Warszawie szpitale.

Ale — dla społeczeństwa nie jest to jeszcze rozwiązanie sprawy. Magistrat taki, jaki jest obecnie, nie daje jeszcze rękojmi należytego wywiązania się z ciężkich zadań podźwignięcia szpitalnictwa i postawienia go na tej stopie, na jakiej stać ono powinno. Mogą to uczynić dopiero instytucye samorządne, na które, w każdym razie, jeszcze czas jakiś czekać musimy. I one wszakże będą miały ciężki orzech do zgryzienia i one nieraz będą w kłopocie, obejmą bowiem dziedzictwo bardzo zabagnione.

Dla tego też wydaje nam się rzeczą konieczną zawczasu myśleć o zdobyciu odpowiednich środków, niezbędnych dla należytego prowadzenia szpitali warszawskich.

Jednem ze źródeł takich środków będzie niewątpliwie przywrócenie opartego na zaufaniu stosunku społeczeństwa do zarządu szpitali. Ofiarność publiczna będzie znów pamiętała o tej ważnej potrzebie i zjawią się z pewnością ludzie dobrej woli, którzy nie będą szczędzili swej pomocy szpitalom warszawskim.

Obok tego jednak szpitale te muszą się oprzeć o jakiś trwały zasiłek roczny, dopływający w pewnej określonej normie z kasy miejskiej. I tu nastręcza się konieczność zreformowania obecnie istniejącego podatku w ten sposób, aby on mógł istotnie stanowić poważne źródło dochodu dla szpitali.

W tym względzie zasługuje na bliższą uwagę projekt d-ra Idzikowskiego.

Lekarz ten podkreśla między innemi fakt, że z usług szpitali korzystają u nas nietylko ludzie najubożsi, ale przeciwnie — sfery zamożne, nawet bogate, chętnie szukają tu pomocy, czy to dla zmniejszenia kosztów leczenia, czy też dla zapewnienia sobie pomocy głośniejszych lekarzy, przeważnie chirurgów.

Każdy np. szpital posiada t. zw. pokoiki bardzo skąpo opłacane, które zawsze przepełnione są publicznością niezamożną. W wypadkach zaś nagłych, coraz częściej, zawdzięczając dostępnemu pośrednictwu *Pogotowia*, pierwszy ratunek wszyscy bez wyjątku — i mniej i więcej zabezpieczeni materyalnie — otrzymują nie gdzieindziej, tylko w szpitalach miejskich.

Zresztą i od zasięgania porad ambulatoryjnych w szpitalach publiczność zamożna (jak to stwierdzono niejednokrotnie) bynajmniej nie stroni.

Nie bez słuszności można też powiedzieć, że właśnie ten potęgujący się napływ zamożniejszych chorych do szpitali wywołuje zwiększające się z roku na rok ich przepełnienie.

Podatek rublowy, jednakowy dla wszystkich mieszkańców miasta — mówi dr. Idzikowski — wprowadzono w tych widokach, że ludzie bogatsi rzadko korzystać będą z usług szpitali; tymczasem ci ostatni bynajmniej nie chcą patrzeć na podatek powyższy, jako na zobowiązanie filantropijne, i radzi wyciągnąć z prw nabytych korzyści w bardzo nierównym stopniu, przekraczając te, jakie wyciągają ubodzy.

Wymagania zamożnych niewątpliwie jednak są znacznie większe, zarówno co do komfortu, jak i pielęgnowania, choroby ich są bardziej skomplikowane, odżywianie droższe. Słusznie też opłata szpitalna, pobierana od nich, *jako zabezpieczenie na wypadek choroby* — tak bowiem na podatek szpitalny patrzeć należy — powinna być stosunkowo wyższa.

Podatek postępowy, stanowiący co najmniej 30% mieszkaniowego, projektodawca uznaje za jedynie racyonalny i sprawiedliwy pod tym względem.

Celem takiego podatku będzie nie filantropija, ale równomierne włożenie ciężaru na mniej więcej odpowiedzialne siły płatnicze w zależności od środków każdego.

Podatek ten, zdaniem d-ra Idzikowskiego, powinien być wprowadzony *natychmiast*, zanim jeszcze zdecydowana będzie sprawa przyjęcia szpitali pod zarząd miasta, sprawa samorządu miejskiego i autonomii, taka bowiem dotkliwa potrzeba miasta ani chwili nie może pozostawać bez zaspokojenia. Trudno się z tem niezgodzić.

Zachodzi jednak pytanie, kto będzie tę normę podatku uchwalał obecnie i czy nie spotka się ona później z zarzutami. Godząc się zatem na istotę projektu i uznając całą konieczność wprowadzenia podatku szpitalnego, opartego na nowych zasadach, takich, jak proponuje dr. Idzikowski, lub zbliżonych do nich, pragnęlibyśmy, aby uchwałę ostateczną w tej mierze powzięła dopiero przyszła Rada miejska Warszawy samorządnej.

A co będzie do chwili otrzymania samorządu?

Najodpowiedniejszą, naszem zdaniem, rzeczą byłoby ustanowienie przez magistrat *podatku jednorazowego*, nałożonego na wszystkich bez wyjątku mieszkańców Warszawy w stosunku postępowym do ich zamożności. Podatek taki, ściągnięty jeszcze w r. b., zażegna na razie najpilniejsze potrzeby, a gdyby i w roku przyszłym samorządu nie było, to lepiej jeszcze raz taki podatek zapłacić, niżeli przedwcześnie decydować rzecz w zasadzie, wchodząc w atrybucye instytucyj samorządnych, jedynie do rozstrzygania tych kwestyj powołanych, bo będących wyrazem zbiorowej woli obywateli miasta, gdy dzisiejszy magistrat bynajmniej takim wyrazem „woli“ mieszkańców Warszawy nie jest i być nie może, nawet w wypadku, jeżeli do prowadzenia sprawy szpitalnej powoła wybranych przez siebie doradców z grona obywatelskiego.

Ten magistrat może i powinien jedynie opracować plan gospodarki szpitalnej, który władze samorządne albo przyjmą, albo odrzucą, albo zmienią w niektórych kierunkach wedle własnego uznania. W planie takim może być mowa i o wprowadzeniu podatku, wprowadzać jednak ten podatek *natychmiast*, jak chce dr. Idzikowski, wydaje nam się żądaniem niedość umotywowanem, acz niewątpliwie mającem na celu jedynie dobro miasta.

*

* *

„Koło przemysłowców,“ które już kilkakrotnie zabierało głos w sprawie obecnego położenia ekonomicznego kraju, szarpanego przez ciągłą anarchię, wydało świeżo znamienną odezwę, w której zwraca uwagę ogółu na ruinę, ku jakiej stale popychany jest nasz

przemysł wytwórczy i przetwórczy. To już jest walka nie o prawa polityczne, nie o poprawę bytu robotnika, ale walka z dotychczasowym ustrojem społecznym.

Przy pierwszych jej objawach cele istotne starannie ukrywano pod płaszczem idei wolnościowych, dziś jednak niema już żadnej maski. Ciągle wznawiane i coraz dalej idące żądania robotników szybko przekroczyły miarę słuszności i tego, co warunki naszego przemysłu wytrzymać mogą.

Dla kraju, który musi borykać się z niebezpiecznem współzawodnictwem sąsiadów, tak niepomiernie podniesione koszty produkcyi są wyrokiem prawdziwej klęski. Egzystencya wielu poważnych przedsiębiorstw jest już zagrożona, a do uspokojenia daleko. Strejk wybucha za strejkiem. Nie ma tygodnia, żeby w coraz to innej gałęzi pracy nie powstawały zawichrzenia, zatargi, spory i—zawieszenie produkcyi. A opinia publiczna?

Opinia publiczna, obałamucona na początku, ciągle jeszcze bierze to za walkę o prawa i o polepszenie bytu klasy robotniczej i biernie sympatyzuje z tym ruchem niszczycielskim.

Słabe głosy rozwagi—mówi odezwa Koła przemysłowców — jakie zaczęły się pojawiać, nie przekonały nikogo. Dość przypomnieć te gorące oklaski, jakie towarzyszyły każdemu „zwycięstwu“ strejkujących nad pracodawcą, każdemu „zadośćuczynieniu“ wymaganiom, wymuszonym przez robotników.

Tak ośmielony ruch przekroczył naturalnie granice wszelkiej słuszności, a rozzuchwalony brakiem oporu i bezkarnością, wkroczył na drogę gwałtów i zwykłych zamachów na własność.

Strejki, jako środek do zdobycia lepszych warunków pracy, pojawiały się oddawna i wszędzie. Nigdzie jednak nie przybrały dotychczas tak dzikiego, jak u nas, charakteru. Gdzieindziej, po wzajemnych układach, porobione ustępstwa doprowadzały do ułożenia możliwych dla stron obu warunków, na których podstawie obie strony zawiązywały umowy, szanowane następnie. Praca była też podejmowana potem ze zdwojoną siłą.

U nas jednak stało się inaczej. Każde nowe ustępstwo zachęcało do nowych, coraz mniej uzasadnionych żądań, a zawierane umowy w większości wypadków przez robotników były łamane.

I chociaż przemysł nasz w ustępstwach poszedł dalej, niż warunki wytwórczości pozwalały na to, to jednak nie zapobiegło to ustawicznie wznawianym strejkom. Przeciwnie, strejki te przybrały charakter nienawiści klasowej i walki wyraźnej z własnem społeczeństwem. Podżegani przez anarchiczne agitacye robotnicy, drogą terroru zaczęli wymuszać zaspakajanie najniesłuszniej-

szych pretensyj. Strejkujący zapragnęli wszechwładzy nad warsztatami pracy.

Bez żadnego słusznego powodu, z towarzyszeniem nieraz ohydnych gwałtów, poczęli wyrzucać majstrów, a względem fabrykantów i zwierzchności fabrycznej stosować terror rewolwerowy. Taki sam terror stosują agitatorzy i ich wynajęci poplecznicy względem spokojnych i uczciwych robotników, których większość, jeszcze nie obałamucona, radaby powrócić do normalnej pracy i możności spokojnego zarobkowania.

Ujawnione niedawno przez Związek garbarski fakty potwornego zdziczenia i gwałtów, wskazują dalsze etapy na drodze zniszczenia, do której agitatorzy pchają robotników. Coraz częściej pojawiają się wypadki niszczenia towarów dla uczynienia szkody, jak to było podczas strejku garbarzy, krawców, szewców i t. d.

Agitatorzy obiecują posłusznym sobie, zahypnotyzowanym szaleńcom, iż tą drogą dojdą do własności fabryk i zakładów, nie objaśniając ich, że choćby udało im się drogą pogwałcenia praw własności indywidualnej zdobyć warsztaty, narzędzia produkcyi, to one same przez się do wytworzenia i zbytu nie wystarczą i nikomu środków zarobkowania i życia nie zapewnią.

Już dziś widoczne są zabójcze skutki tych gwałtów dla całego społeczeństwa, które ponosi szkody nieobliczalne tak pod względem materyalnym, jak i moralnym.

Wartość pracy upadła. Zamiast doskonalenia się wytwórczości, skala jej ciągle się obniża, możność dotrzymywania jakichkolwiek terminów nie istnieje, zaufanie klienteli zatraca się, zamówienia już dawniej oddane do wykonania, zostają cofane. Brak roboty coraz powszechniej daje się odczuwać. Przemysł nasz, który przeważnie produkował dla rynków w Cesarstwie, nie może już wytrzymać konkurencyi z przemysłem rosyjskim, w którym ani długość dnia roboczego, ani koszty produkcyi zmianie nie uległy. Niema też mowy o współzawodnictwie skutecznem z zalewającym nas przemysłem krajów ościennych, gdzie również dzień roboczy dotąd nie został skrócony, chociaż i niezależnie od tego wytwórczość jest tam większa wskutek mniejszej bez porównania ilości świąt.

Nic też dziwnego, że w takich warunkach fabryki nasze jedna po drugiej upaść muszą.

Do niedawna mówiono sobie o tem po cichu, jako o czemś, co może nastąpić. Odezwa Koła przemysłowców podaje to już, jako fakty nieuniknione, jako prostą konieczność obecnego stanu rzeczy.

„Fabrykanci — stwierdza ona — doprowadzeni do ostateczności. *Muszą* likwidować, lub, kto może, zamykać swoje zakłady na czas

nieograniczony i — ratując życie, uchodzić z kraju. Coraz liczniejsze rzesze ludzi pozostają wskutek tego bez pracy, z czego korzysta... przemysł niemiecki."

Nie koniec na tem. Agitacya niszczycielska wymierzona jest nietylko przeciw przemysłowi fabrycznemu, ale dotknęła i rzemieślników i rękodzielników, którzy w domach na drobnych warsztatach pracują, i doprowadza do nędzy tysiące ludzi z tej warstwy, w której interesie, jakoby walka się prowadzi.

Krzyczącym dowodem, że agitacya niszcząca przeszła poza granice walki bezpośredniej z kapitałem, są strejki wodociągowe, apteczne i tyle innych, które właśnie dotykają najbiedniejszych i prowadzą do wzburzenia ogólnego całej ludności.

Do tego wzburzenia ciągną podżegacze ruchu, łudząc niezi-szczalnemi utopiami tłumy robotników, którzy sami najdotkliwsze krzywdy ponoszą.

Agitowany od niejakiego czasu strejk nawet szpitalny jest też jaskrawym dowodem krańcowego zdziczenia, propagowanego przez partye wywrotowe, boć ze szpitali korzystają przedewszystkiem ubodzy i, oni straciliby najwięcej na chwilowem choćby zamknięciu szpitali. I to nazywa się walką z kapitałem w „obronie interesów ludu."

Obraz zaiste pełen smutku i zgrozy. Oceniając go, *Koło przemysłowców* zastanawia się nad tem, w jaki sposób robotników uczciwych i uświadomionych, a chcących pracować, ochronić przed gwałtem i terrorem szerzącej się anarchii?

Przemysłowcy, zdaniem Koła — sami sobie zostawieni, nie mając żadnego punktu oparcia, wobec zaniku działania prawa i porządku oraz bezradności władzy, nie mogą zapobiedz ciężkim następstwom i niebezpieczeństwom, grożącym całemu krajowi wobec przedłużania i tolerowania tych gwałtów i bezprawi.

W takiej chwili świadomości znaczenia przemysłu i dalszych jego losów dla całego gospodarstwa krajowego i dla olbrzymich mas robotników i rzemieślników wszelkiego rodzaju, w przeświadczeniu o niebezpieczeństwach, grożących krajowi, Koło przemysłowców uważa za swój obowiązek obywatelski zwrócić uwagę całego społeczeństwa na grozę obecnego położenia i na konieczność współdziałania i faktycznej pomocy ze strony prasy, opinii publicznej, samych robotników i wogóle tych czynników, które w innych krajach nie pozwalają rozrastać się anarchii i gwałtom.

Potrzebna tu jest pomoc i współdziałanie wszystkich. Sami bowiem przemysłowcy nie są w możności zwalczyć tej strasznej a zabójczej zarazy, tego wroga niszczyciela, który kraj cały pę-

dzi do ruiny i niebawem pogrążyć go może w otchłań nędzy i zdziczenia.

Dziwnym zbiegiem okoliczności jednocześnie z tym głosem rozpaczy, jaki wyszedł z grona przedstawicieli kapitału, ciemiężącego pracę, odezwał się głos *Proletaryusza*, organu partyi Proletaryat, który, jak to już kiedyś mieliśmy sposobność zaznaczyć na tem miejscu, ma odwagę piętnować swoich współwyznawców socyalistycznych w imię rozsądku. Ten głos trzeźwy, świadczący o tem, że i wśród socyalistów jest odłam ludzi, umiejących patrzeć głębiej na zjawiska życia społeczno-ekonomicznego, zasługuje na bliższą uwagę, gdyż poniekąd stanowi on dobrze wróżącą zapowiedź przełomu, jaki w obłędnym ruchu anarchicznym powinien nastąpić przez prostą konieczność.

Proletaryusz powstaje ostro przeciw strejkom ciągłym a bezmyślnym.

„Z tego faktu — mówi on — że zadaniem partyj socyalistycznych jest prowadzenie walki celem osiągnięcia jaknajwiększych zdobyczy dla proletaryatu, nie wynika jeszcze, aby partye te w każdej chwili zalecać miały robotnikom stawianie żądań niemożliwych do urzeczywistnienia, albo tolerowały i popierały niedorzeczne niekiedy wymagania mało rozwiniętych robotników, aby wpajały w proletaryat przeświadczenie, że w każdej chwili można wywołać strajk i t. d. Bo przecież osiągnięcie pewnych zdobyczy przez robotników np. ekonomicznych, zależy nietylko od dobrej albo złej woli fabrykantów, lecz także od ogólnych warunków gospodarczych w kraju.

„Robotnicy nie mogą uzyskać takich warunków pracy, przy których wprowadzeniu fabrykanci nie mieliby żadnych prawie dochodów, albo któreby uniemożliwiły im konkurencyę z innemi fabrykami tego rodzaju“ (*Vide* odezwa przemysłowców).

„Liczyć się trzeba z tem, że w dzisiejszym ustroju społecznym, a do socyalistycznego bardzo jeszcze daleko, bankructwa fabrykantów z konieczności wywołują zwiększenie się liczby robotników bez pracy, którzy obniżają poziom płacy. Ciągłe strajki z wygórowanemi żądaniami, ciągłe podwyższanie tych żądań i t. p. wszystko to doprowadzić może do *upadku przemysłu wielkiego w Królestwie Polskiem*, a więc do nędzy mas robotniczych, do cofnięcia się kultury, do reakcyi politycznej na całej linii.“

„Strejki są pożyteczną bronią w ręku proletaryatu, ale trzeba wiedzieć, kiedy się do nich uciekać. Tymczasem Soc. Dem. a po części i Polska Partya Socyalistyczna — nie oryentują się w sytuacyi i zamiast pracować nad ruchem, zamiast wskazać mu

należyte drogi — albo same wywołują niepotrzebne strejki, albo nie chcą im przeciwdziałać nawet w tym wypadku, kiedy nie mają one widoków powodzenia.

„Soc.-Demokracya ma śmieszną teoryę. Oto ponieważ wie ona, że Marx w swej „Walce klasowej we Francyi od r. 1848 — 1850“ powiedział, że rewolucye odbywają się podczas kryzysów, więc sama chce sztucznie zwiększyć kryzys, nie rozumiejąc tego, że zbyt ciężki i długi kryzys zrujnować może ekonomicznie cały kraj.

„Agitatorzy Socyalnej Demokracyi z pustemi głowami, ale z dużą dozą arogancyi, wierzą ślepo w dodatnie skutki, wszelkich strejków i zaburzeń; wszystko, co jest masowe, jest dobre; niema takiego głupstwa, któregoby Soc.-Demokracya nie protegowała, jeżeli ma ono stempel klasowy...“

Do słów tych nic nie potrzeba dodawać, należy tylko wyrazić radość, że pochodzą one z obozu socyalistycznego, który widocznie zaczyna przecierać oczy i dostrzega owoce agitacyi demagogicznej, tak nieoględnie prowadzonej wśród mas od dwóch lat.

Agitacya ta postawiła nas nietylko na krawędzi ruiny ekonomicznej. Wstrząsnęła ona jednocześnie podstawami bytu moralnego społeczeństwa i popchnęła ciemne a dziczejące pod wpływem atmosfery chwili jednostki, w objęcia anarchii.

I oto przeżywamy wypadki, którym podobne zna tylko wielka rewolucya francuska. Wypadkom tym na imię *bandytyzm*.

Na drogach grabią i zabijają podróżnych bezkarnie włóczące się po kraju zbiry, po nocach napadają na dwory wiejskie, a w wielkiem mieście, w Warszawie, po której bez przerwy snują się patrole, na ruchliwych ulicach rabują banki i zabijają ludzi niewinnych.

Ostatni tragiczny przez śmierć kilku ofiar wypadek, jakiego widownią była kasa przemysłowców, powinien do głębi wstrząsnąć opinią publiczną i zjednoczyć do walki z tem szybko rosnącem złem wszystkie siły społeczne, opierające się anarchii.

Bierność nasza i milczące zobojętnienie dłużej trwać nie mogą. Pozostają nam bowiem dzisiaj dwie już tylko alternatywy — albo dać gardła pod nóż bandytów i zgodzić się na to, ażeby dalej gospodarowali wśród nas, albo stanąć do otwartej walki z nimi i, nie oglądając się na zniedołężniałe władze, na opiekę i obronę powołanych do strzeżenia naszego bezpieczeństwa i mienia czynników, samym odpowiednią organizować obronę pod hasłem zachowania bytu społecznego, zagrożonego bardzo poważnie. I tu ręce sobie podać powinny wszystkie partye aż do najskrajniej-

szych—bo fala, która się podnosi może zatopić wszystko i zgasić nawet te słabe płomyki pochodni wolności, która migoce ku nam mdłym jeszcze blaskiem skróś mgły i chmury, zaścielające widnokręg.

*

* *

Komitet budowy pomnika Chopina w Warszawie w świeżo wydanej odezwie wyjaśnia społeczeństwu przyczynę, dla której dotychczas Warszawa nietylko nie otrzymała jeszcze tak upragnionego pomnika, ale—nie wie nawet, kiedy może go otrzymać, żadne bowiem zabiegi dotąd nie zostały poczynione.

Oto przed pięciu laty grono wielbicieli Fryderyka Chopina otrzymało wprawdzie pozwolenie na utworzenie komitetu do zbierania składek na pomnik geniusza muzyki polskiej, pozwolenie to wydano jednak z zastrzeżeniem, ażeby zbieranie składek nie miało charakteru publicznego i ograniczało się względnie agitacyą w kole wielbicieli mistrza.

Ponieważ, co zresztą jest rzeczą zupełnie jasną i z góry dawało się przewidzieć—zbieranie w ten sposób składek było uciążliwe i napływały one w liczbie bardzo ograniczonej, komitet więc zwrócił się w r. 1903 z prośbą do ministeryum spraw wewnętrznych o uprawnienie go do zbierania składek w całem państwie. Ministeryum atoli—co również było do przewidzenia—prośbę tę odrzuciło.

W dwa lata później komitet ponownie wystąpił z prośbą o pozwolenie zbierania składek drogą publikacyi w gazetach miejscowych, lecz i to wystąpienie, pomimo przychylnej opinii ówczesnego generał-gubernatora, Maksimowicza, nie znalazło oddźwięku w ministeryum Bułyginowskiem, tak, że sprawa uległa zwłoce i dopiero w maju r. b. komitet na prośbę swoją otrzymał odpowiedź przychylną, to znaczy uzyskał nareszcie prawo publicznego zbierania składek za pośrednictwem pism polskich.

Tak tedy po latach pięciu od swego utworzenia, dziś dopiero może się komitet zwrócić do społeczeństwa z jawnem wezwaniem o poparcie. A poparcie to jest bardzo potrzebne, cały bowiem fundusz, jaki zdołano dotychczas zebrać z ofiar prywatnych, w gronie wielbicieli Chopina, wynosi zaledwie 10,237 rb.

24 kop., złożone na rachunku bieżącym w Banku handlowym w Warszawie.

Niestety, chwila, w której społeczeństwo spotyka się z tem wezwaniem jest bardzo ciężka i bardzo nieodpowiednia. Jesteśmy wyczerpani materyalnie. Dwa lata rewolucyi osłabiły do tego stopnia zamożność ogólną, że sfery t. zw. średniozamożne, które zawsze najchętniej śpieszą z ofiarami na cele narodowe i kulturalne, muszą kurczyć się coraz bardziej w swoich wydatkach.

Z drugiej jednak strony Chopin jest Chopin'em, a wdzięczność, jaką naród ma dla niego jest tak wielka, że wątpić nie można, iż gdyby nawet chwilowo składki publiczne na pomnik płynęły nieco węższym strumieniem, to jednak z chwilą, kiedy tylko poprawią się nieco stosunki ekonomiczne, ofiarność ogarnie bardzo szerokie koła.

Warszawa doskonale rozumie, że pomnik Chopina mieć musi, i że powinien on być nietylko znakiem widomym jej hołdu i czci dla geniusza, ale powinien być także *dziełem Sztuki*, godnem wielkiego miasta i miasto to upiększającem.

Chcielibyśmy, aby ten pomnik mówił wszystkim o naszej wdzięczności dla Chopina i był świadectwem tego, jak Polska czci swoich wielkich ludzi.

Rzecz naturalna jednak, że na wykonanie takiego właśnie pomnika potrzeba poważnych środków pieniężnych i lepiej jest zaczekać, choćby lat kilka lub nawet kilkanaście, aby tylko budując, budować rzecz odpowiednią, najlepszą, na jaką nas stać będzie.

Dlatego też sądzimy, że nie zrażając się obecnemi warunkami, komitet powinien stale przypominać społeczeństwu o zamierzonym pomniku i korzystać ze wszelkich możliwych środków i sposobów, ułatwiających ciągły wzrost funduszu, a więc koncertów, zabaw, wydawnictw, dobrowolnego opodatkowania fortepianów i t. d.

Jednocześnie pragnęlibyśmy zawczasu wyłączyć tak już skompromitowaną u nas drogę konkursów artystycznych.

Rzeźba polska w ostatnich latach rozwinęła się bardzo. Mamy szereg artystów, którzy dają całkowitą rękojmię dobrego wywiązania się z poruczonego im zadania i wybór wśród nich wcale nie jest trudny, o ile dokonany będzie bez uprzedzeń, bez względów ubocznych, ale na podstawie bezstronnego sądu, wypowiedzianego przez ludzi istotnie znających się na sztuce i miłujących ją głęboko.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Towarzystwo Ludoznawcze we Lwowie. — Pierwszy zeszyt bieżącego rocznika „Ludu“— organu Tow. Ludoznawczego we Lwowie wyszedł pod nową redakcyą Prof. *Józefa Kallenbacha.*

W gorącej odezwie do społeczeństwa znajdujemy słowa, które tu powtórzyć musimy z dwóch względów, ze względu na doniosłość naukową i narodową podjętych przez owo jedyne na ziemiach polskich Towarzystwo ludoznawcze i powtóre z powodu, do którego ze wstydem przyznać się musimy t. j. z powodu zupełnej indyferencyi, z jaką społeczeństwo nasze traktuje sprawy folkloru, to samo społeczeństwo, które wygłasza tyle szumnych frazesów pod adresem ludu i rodzimych pierwiastków kulturalnych.

Oto jak przemawia redakcya „Ludu“ do swoich czytelników:

„Chcielibyśmy około „Ludu“ skupić liczne grono szczerych wielbicieli rodzimej myśli, wszystkich tych, którzy w ludzie polskim widzą rękojmię naszej narodowej odporności i zaranie lepszej doli ojczyzny.— Pora wielka zdać sobie sprawę, co w ludzie naszym jest siłą i tę obrócić na dobro powszechne, polskie. Pora wysłuchać całą pieśń doli i niedoli wieśniaczej i raz przecie wysnuć z niej istotną myśli naszych przędzę, w myśli te wpleść uczuć polskich kwiaty. Pora sięgnąć do najgłębszych pokładów polskiego ludu.“

Dla pracy tej, zanim do syntetycznych naukowych wywodów dojść będziem mogli, potrzeba naprzód zebrać jaknajobfitszy materyał, trzeba wyzyskać obfity pokład wierzeń, obyczajów i sposobu życia ludu naszego na całej przestrzeni ziem polskich. Zwraca się więc Redakcya „Ludu“ do wszystkich tych, którzy są w szczęśliwem położeniu, że tętnu życia ludowego zbliska się przysłuchują, z prośbą najgorętszą, aby przysyłali pod adresem prof. Kallenbacha (Lwów, ul. Ziemiałkowskiego) surowy materyał folklorystyczny.—Oprócz drukowania tych materyałów, Lud pomieszczać będzie opracowania samodzielne, poświęcone samodzielnej syntezie zebranego dotąd przez Lud, Wisłę i wy-

dawnictwa Akademii Krak., materyału. Chodzi nam bowiem — głosi odezwa — o to, aby naród nasz co rychlej zaczerpnął z księgi doświadczeń ludu polskiego, aby społeczeństwo nasze, tak różnemi eksperymentami znękane, oparło się silnie na głębokich podstawach mądrości ludowej odwiecznej i w niej szukało lekarstw na polską biedę. Po za tem miejsce znajdą: Sprawozdania, Kronika, Sprawy Towarzystwa i Bibliografia przedmiotu.

W zeszycie wzmiankowanym (I 1906 r.) w dziale opracowań znajdujemy rozprawki *Bron. Gustawowicza* o góralach podbabiogórskich i *Stan. Czaja*: Zapusty. — W dziale materyałów, *J. Sulisza*: Zapiski etnograficzne z Ropczyc i *Fr. Bujaka*: Dwa świadectwa o zmuszaniu woźnych do zjadania pozwów. — W Krytyce: *M. Treter* ocenił książkę p. Piechockiej o czci N. Maryi Panny, a p. Janik dał przegląd czasopism i artykuł o czarach u starożytnych według Lukiana. — W dziale „Sprawy Towarzystwa“ dowiadujemy się o ostatnich posiedzeniach Towarzystwa Ludoznawczego, z których ostatnie walne, odbyte dn. 1 Marca b. r. w sali Uniwersytetu lwowskiego, było wyjątkowo interesujące.

Po zagajeniu posiedzenia przez prof. Kallenbacha, jako prezesa, Dr. *Gargas* odczytał referat p. n. „Psychiczno-społeczne warunki zrzeszania się Polaków.“ — Trudno o temat barziej ponętny, bardziej aktualny, szczególniej dla nas, mieszkańców Królestwa, gdzie tyle prób zrzeszania, fortunnych i niefortunnych, teraz się odbywa. — Prelegent powoławszy się na zdania ujemne i dodatnie o zmyśle organizacyjnym u Polaków, zaopiniował, iż sądząc na podstawie przeszłości i teraźniejszości możnaby dojść do przekonania, że społeczeństwo polskie nie wykazuje dostatecznego postępu w tym kierunku. Przyczyny tego zjawiska są różnorodne — ale zdolność organizowania się nie jest własnością rasową, lecz rzeczą wychowania. Wychodząc z tego założenia, autor dochodzi do postulatu — wielce dla przyszłości pocieszającego, że społeczeństwo polskie przez odpowiednie wychowanie może zdobyć zdolności organizacyjne.

Po tym odczycie dyskutowano nad nikłym stanem finansów Towarzystwa, które nie pozwalają mu rozwinąć skrzydeł do szerszego lotu. Sejm przyznał subsydyum w ilości 400 kor. (!) Ponawianemi będą starania w tym kierunku do Ministeryum i Rady miasta Lwowa. Tu znowu w sprawozdaniu sekretarza Towarzystwa spotykamy się z nawoływaniami pod adresem społeczeństwa, które taką obojętność dla spraw ludoznawstwa krajowego objawia. Przykro jest czytać te tak słuszne zarzuty. Przykro jest konstatować fakt, że Towarzystwo Ludoznawcze lwowskie tak anemiczny pod względem finansowym prowadzi żywot, śród wielomilionowego, kulturalnego społeczeństwa, gdy znacznie szybciej rozwijają się takież instytucye śród Kroatów, Słoweńców, a nawet Słowaków.

Fr. P.

— Towarzystwo Historyczne we Lwowie wydało dołączone do ostatniego zeszytu „Kwartalnika“ sprawozdanie z czynności swoich w ciągu 1905 roku. Głównym objawem prac towarzystwa na zewnątrz, jest wydawanie jedynego w Galicyi czasopisma historycznego. W roku sprawozdawczym „Kwartalnik“ zawiera 45 arkuszy druku, 6 rozpraw, 5 miscellaneów, 51 recenzyj i spra-

wozdań, bibliografię historyi powszechnej i historyi polskiej oraz kronikę.— Towarzystwo historyczne liczyło w roku 1905 ogółem członków 264, ubyło w tym roku 13 (z tych 1 zmarł) przybyło 11, liczba prenumeratorów „Kwartalnika“ wynosiła 194, odbiorców pisma tego (nie licząc egzemplarzy bezpłatnych i posyłanych na wymianę) było razem 458.

Zebrań miesięcznych odbyło się trzy, na których odczytali:

Prof. Dr. Bronisław Dembiński „Prusy, Rossya a Polska w przededniu i na początku Wielkiego Sejmu, (dn. 27 lutego 1905).

Dr. Tadeusz Rutkowski „Z dziejów austro-polskiej polityki 1778—1789. Zamiana Galicyi. Sprawa hr. Juliusza, (dn. 1 kwietnia 1905).

Dr. Mojżesz Schorr „Państwo i społeczeństwo babilońskie w okresie t. zw. dynastyi Hamurabiego około r. 2500 do 2000 przed Chr. (dn. 24 czerwca 1905). Praca ta w całości ukazała się w zeszycie III i IV Kwartalnika.

Z dołączonego do Sprawozdania wyliczenia kasowego dowiadujemy się, że Towarzystwo Historyczne we Lwowie korzysta z dwóch subwencyj: ministeryum wyznań i oświecenia 1200 kor. i Sejmu Krajowego 1400 kor. Fundusz żelazny z końcem 1905 r. wynosił 700 kor. a zapasowy 1194,01.

Dn. 6 kwietnia b. r. odbyło się walne zgromadzenie tegoż Towarzystwa. Po zagajeniu posiedzenia przez zastępcę przewodniczącego prof. *Kubalę* wygłosił prof. *Oswald Balzer* wykład p. t. „Królestwo wielkopolskie czy polskie w latach 1295—1370.“ Wykład ten stanowi część większej rozprawy poświęconej krytycznej ocenie dzieła Kutrzeby o historyi ustroju Polski, opublikowanej następnie w Kwartalniku. Zasłużony badacz naszych dziejów i prawa polskiego, w rozprawie niniejszej staje się rzecznikiem uniwersalności Królestwa Polskiego w oznaczonej dobie i przeczy wywodom Kutrzeby o zrośnięciu się dzielnic polskich dopiero po śmierci Kazimierza Wielkiego.

Po odczytaniu tego referatu i po przyjęciu sprawozdania za r. 1905 przystąpiono do wyboru wydziału na rok 1906. Prezesem Towarzystwa wybrany został: Tadeusz Wojciechowski, wiceprezesem Ludwik Kubala, skarbnikiem Wilhelm Rolny. Członkami wydziału: Wilhelm Bruchnalski, Aleksander Czołowski, Bronisław Dembiński, ks. Jan Fijałek, Ludwik Finkel, Aleksander Hirschberg, Władysław Loziński, Stanisław Zakrzewski. Redaktorem Kwartalnika został Aleksander Semkowicz. Członkami Komitetu Redakcyjnego: Władysław Abraham, Szymon Askenazy, Eugeniusz Barwiński, Ferdynand Bostel, Jan Friedberg, Bronisław Gubrynowicz, Karol Hadaczek, Alfred Halban, Henryk Sawczyński, Aloizy Winiarz.

Po uczczeniu pamięci niedawno zmarłego prof. Pilata przez powstanie, Walne Zgromadzenie na wniosek przewodniczącego uczyniony od imienia wydziału, mianowało członkiem honorowym Towarzystwa dr. Wojciecha Kętrzyńskiego.

NOWE KSIĄŻKI.

Jan Czubek. Pisma polityczne z czasów pierwszego bezkrólewia. Nakład Akademii Umiejętności 1906. 8-o, str. XXXVII+2+765.

Literatura polityczna, jak dotąd była u nas w zaniedbaniu. Wydawnictwem pism politycznych zajmowano się tylko przygodnie,—zawsze dając pierwszeństwo—aktom historycznym. A jednak polemiczne rozprawki, pisma polityczne tak licznie rozsiewane po kraju, szczególnie w przełomowych chwilach naszych dziejów, stanowią pierwszorzędny materyał, nie tylko dla należytego odtworzenia sobie tła dziejowego, nietylko dla pogłębienia wiadomości z zakresu literatury, ale wogóle dla historyi naszej i obyczajowości kultury. Mamy właśnie przed sobą piękne wydawnictwo, służyć mogące za wzór dla tego rodzaju publikacyj. Obejmuje ono niewielki stosunkowo okres czasu, bo trzy lata pierwszego bezkrólewia 1572—1575, ale cóż za bogactwo historycznego i literackiego tutaj materyału. W tak małym okresie czasu, jakżeż bujny uwydatnia się rozkwit literatury politycznej! Co prawda, na rozwój jej wpływały z jednej strony wolność słowa, z drugiej nowa tak pogmatwana konstelacya polityczna, pobudzająca każdy wyższy umysł i każde goretsze serce do wypowiedzenia się. Dla dania wzoru tego rodzaju wydawnictw, epoka więc wybrana przez wydawców: prof. Ulanowskiego, jako inicyatora, a prof. Czubka jako sumiennego wykonawcę—jest bardzo odpowiednia. Zawdzięczając tej trafności wyboru, otrzymujemy w tem wydawnictwie świetny przyczynek do dziejów schyłku XVI w., a także namacalny, że tak powiemy, dowód konieczności systematycznych wydawnictw z zakresu naszej literatury politycznej. Przyjrzyjmy się więc układzie wydawnictwa.

Chcąc uprzystępnić badaczom całą ile możności literaturę polityczną pierwszego bezkrólewia (aż do obioru Stefana Batorego)—wydawcy postanowili pomieścić wcale nieogłoszone dotąd pisma, a po bibliotekach całej niemal Europy rozrzucone, druki współczesne, stanowiące rzadkości bibliograficzne, zgoła niedostępne dla szerszego koła pracowników i wreszcie wydane dotąd bez uwzględnienia dzisiejszych wymagań nauki, pisma. W ten sposób wydawnictwo obejmuje całość znanych dotąd i niezaginionych utworów treści politycznej i polemicznej. Ominięto tylko utwory panegiryczne, gdyż treścią swoją znacznie odbiegają one od pism ściśle politycznych, nie dążą do zmian i nie starają się wprowadzić w czyn nowych myśli, są więc pozbawione głównej cechy literatury politycznej—krytycyzmu. Natomiast włączono do wydawnictwa utwory poetyczne, wiersze ulotne—licznie rozsiewane po śmierci Zygmunta Augusta, a mające charakter polemiczny. Bogatego materyału dostarczyło wydawcom aż 13 bibliotek: w Dzikowie, Gnieznie, Krakowie, Lwowie, Medyolanie, Paryżu, Petersburgu, Suchej, Warszawie i Wiedniu. Powstały stąd zbiór obejmuje numerów wierszowanych 17, prozaicznych 67, razem 84, z których 74 drukowano z rękopisów, a 62 po raz pierwszy. Królowski zaiste plon! Jedną z głównych trudności wydawniczych było określenie autorstwa w pismach najczęściej bezimiennie ogłaszanych. Tu erudycya prof. Czubka była nicią Aryadny w labiryncie domysłów i niepewności. W dość obszernym ustępie swojej przedmowy uzasadnia szanowny autor swoje opinie w tym względzie. Nie zagłębiając się w szczegóły tych odkryć pierwszorzędnego znaczenia dla historyi literatury—pominąć nie możemy nad podziw bogatego plonu z zapomnianej i niedocenianej dostatecznie niwy literackiej Solikowskiego. W wydawnictwie niniejszem znajduje się 19 utworów tego pisarza, które

albo z zupełną pewnością, albo z wielkiem prawdopodobieństwem jemu przypisać należy. „Solikowskiego znaliśmy dotąd, jako gładkiego wierszopisa i retora łacińskiego, oraz historyka średnich zdolności; obecnie wyłania się z tych licznych, acz drobnych utworów politycznych, nowa postać niepospolitego działacza i świetnego stylisty. Powtarzamy, nie jest to jedyny, ale jeden z rezultatów, które każą zwrócić uwagę na wydawnictwo niniejsze, jako na pierwszorzędne źródło do dziejów naszej literatury i samorodnej myśli politycznej.

Po niezupełnie dla nas zrozumiałym rozdziale całego materyału na dwa główne działy: wierszy i prozy — (co w przedmowie nie jest uzasadnionem, i nie zbyt trafnem nam się wydaje) wydawca w układzie kierował się chronologią, a głównie treścią broszury, czemu zawdzięczając zgrupowane obok siebie zostały broszury dotyczące danej sprawy. Naprzód idą rozprawy traktujące o naprawie Rzeczypospolitej w ogólności, po nich idą broszury przygodne, traktujące o sposobie wybierania króla, następnie pisma dotyczące upatrzonych kandydatów. W części czwartej opis przyjazdu królewskiego i nadzieje łączące się z objęciem rządów. Następnie konfederacya Warszawska—wreszcie ucieczka króla. Zakończa tom staranny wykaz miejsc, rzeczy i osób, oraz Słowniczek wyrazów przestarzałych lub dziś w innem znaczeniu używanych. Dodawać nie trzeba, że wszelkie waryanty i właściwości językowe zostały uwzględnione, wszystkie nawet t. z. „szykany wydawnicze.“ Idąc tylko za uzasadnionem przez prof. Brücknera zdaniem, wyzbyto się pisowni dawnej, utrudniającej czytanie—a zbytecznej.

Kończąc te sprawozdawcze uwagi zaznaczyć musimy, że dzieło niniejsze, owoc sprzężenia dwóch sił niepomiernych: lotnej inicyatywy prof. Ulanowskiego i benedyktyńskiej zaiste pracowitości prof. Czubka—nie tylko przodować będzie w szeregu wywołanych lub zastosowanych do zjazdu Rejowskiego publikacyj naukowych — ale wogóle w całej naszej źródłowej literaturze historycznej zajmie zaszczytne i godne siebie stanowisko.

Fr. P.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— Przegląd Historyczny. Zeszyt II-gi, (za Marzec i Kwiecień) roku bieżącego uległ pewnemu opóźnieniu z dobrze znanych ogółowi „powodów od Redakcyi niezależnych.“ Redakcya odpłacając się czytelnikom za opóźnienie, daje w zeszycie niniejszym treść niezwykle interesującą. Układ artykułów, jak zawsze chronologiczny. Na pierwszem miejscu spotykamy barwnie skreślone roztrząsanie *Ludwika Gumplowicza*: „Z okazyi szkiców Wojciechowskiego.“ Autor po zestawieniu stuletnich sporów w sprawie św Stanisława—(męczeństwo czy zdrada?) rozpatruje głównie stanowisko, jakie w tej spornej kwestyi zajął Wojciechowski, wykazuje przenikliwość jego spostrzeżeń, ścisłość badań i znakomitą interpretacyę nierozumianego dotąd Galla, co wprowadza badacza z pola domysłów na drogę pewników historycznych. Artykuł pisany barwnie i treściwie, nawet dla ludzi nie obznajomionych z tą zawiłą zagadką średniowiecza polskiego, ma urok niezwykły i czyta się z nieustającem zaintere-

sowaniem. — Należy się dalej spodziewać osobistych spostrzeżeń autora. Na drugiem miejscu spotykamy się z dalszym ciągiem rozprawy *Stanisława Kutrzeby*: „Skład Sejmu Polskiego“ 1493 — 1793. Po omówieniu w części pierwszej (zeszyt poprzedni Przegl. Hist.) składu senatu przechodzi tu autor, do skreślenia historyi izby poselskiej, a w szczególności rozpatruje na podstawie skąpych w tym względzie źródeł, ilość posłów zasiadających w izbie. Jestto sprawa niełatwa i dotąd nieopracowana. Dopiero na podstawie żmudnych dociekań, opartych przeważnie na materyałach zaczerpniętych z aktów skarbu, wykazuje autor postępowe powiększenie się ilości posłów od 40 na początku XVI wieku do 177 w końcu istnienia Rzptej. — Na zakończenie daje wzmiankę o posłach z miast.

Młody historyk p. *Tadeusz Smoleński* rozpoczyna studyum p. t. „Wczesna młodość Stanisława Orzechowskiego;“ za nić przewodnią biorąc autobiografię Orzechowskiego autor w swojej pracy kładzie główny nacisk na otoczenie, wśród którego wzrastał Orzechowski i na wpływy jakie nań działały w zaraniu życia. Opowiadanie jest barwne, zajmujące, ale przeciążone zbytecznemi niejednokrotnie cytatami. To też z większą przyjemnością po tym artykule spotykamy się z rozpoczętą jeszcze na początku r. b. rozprawą *Stanisława Smolki* z życia Lubeckiego p. t. „W drodze do Petersburga“ Z przepięknie prowadzonego toku opowiadania, z podanych w tekście listów W ks. Konstantego, dowiadujemy się nieznanych szczegółów o spotkaniu Lubeckiego i Jezierskiego jadących w 1830 r. w misyi dyplomatycznej do Petersburga — we Włodawie. Szczegóły te, różniące się wielce od podanych przez Barzykowskiego, w zgoła innem świetle stawiają rokowania Lubeckiego, który zmusił niejako W. Księcia do dania mu listu, pochwalającego misyę Petersburską.

„Przegląd historyczny“ w zastępstwie recenzyj, daje czytelnikom swoim sprawozdania ogólne z ruchu dziejopisarskiego. W bieżącym zeszycie dwa takie artykuły pomieszcza. Pierwszy to „Przegląd historyografii Rosyjskiej,“ pióra doskonałgo jej znawcy p. *Witolda Nowodworskiego* zamieszkałego w Petersburgu. W pracy tej streszcza on ruch dziejopisarski Rosyjski za lata 1901—1904 i daje obraz dzisiejszych prądów historyozoficznych rosyjskich; streszcza próby syntezy historycznej Milukowa, Kluczewskiego, Płatonowa, Pawłowa i Rożkowa. W dalszym ciągu da zapewne obraz badań źródeł historycznych i opracowań monograficznych, które stanowią główny zrąb produkcyi nauki historycznej rosyjskiej, a o których we wstępie tylko nadmienia. Na drugiem miejscu *Gustaw Manteuffel* zakończa swoje krytyczne opracowanie źródeł do historyi Inflant zatytułowane „Z inflanckiej literatury historycznej.“ —Przegląd ten opracowany sumiennie, będzie znakomitą przewodnią nicią dla każdego, kto zechce wejść do labiryntu dziejów inflanckich.

Na trzeciem miejscu w dziale „Sprawozdań“ znajdujemy ważny dla dziejów kościoła ewangielickiego w ziemi Sanockiej przyczynek p. t. „Pięć pokoleń ewangielickich rodu z Drohojowa Drohojowskich“ Jest to notatka krytyczna i uzupełnienie znanego powszechnie dzieła „Kronika Drohojowskich,“ którą zawdzięczamy niestrudzonemu badaczowi protestantyzmu w Polsce, *H. Merczyngowi*.

W końcu zeszytu pomieszczono zakończenie pracy *dr. Gedroycia* o przyczynie zgonu Stefana Batorego, gdzie jaskrawo występują na jaw spory dr. Simoniusza i Bućelli.

— Ekonomista. Zeszyt I. Z. Grotowski:—Rozwój instytucyj dobroczynnych w Warszawie; — Al. K. Szczepański: Pomoc prawodawcza jej zadania, główne postacie i znaczenie;—dr. Z. Daszyńska-Golińska: Przemysłowe zużytkowanie alkoholu, jako środek zwalczania alkoholizmu;—J. Arnold: Klęska posuchy w Galicyi w roku 1904;—W. Piechowski: Wisła, jako droga komunikacyjna i handlowa;—W. Grabski: Reforma w stosunkach służbowo-robotniczych rolnych;—A. Sudrewicz: Kronika Galicyjska;— K. Kasparski: Kronika ekonomiczna;—Ruch cen i kursów;—Rozbiory i sprawozdania.

— Homiletyka i przewodnik społeczny. Marzec. Kogo szukacie, głos przestrogi do Mankietników, Masoni nam nieprzyjaciele (c. d.); — Ekonomia społeczna;—Pragnienie chrześcijanina;—Kazanie na Poniedziałek Wielki, O zmroku w sercach ludzkich; — Kazania na uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego; — Kazania na niedziele; — Przemówienie przygodne; — Czytanie na miesiąc Maj.

— Miesięcznik Towarzystwa Szkoły ludowej. Kwiecień. Dar narodowy 3 maja, przez St. Nowickiego; Szkolnictwo ludowe w Galicyi, przez H. Wierzbę; Czytanki polskie w naszych szkołach ludowych, przez Maryę Bandrowską; Macierz szkolna cieszyńska;—Tematy do pogadanek;—O konstytucyi 3 maja, przez d-ra M. Janellego.

— Muzeum. Marzec. Nasza szkoła średnia, krytyka jej podstaw i konieczność reformy;—dr. Kulczyński Leon: Praktyczny kurs kształcenia nauczycieli szkół średnich (dok.);—Veritas: Z Warszawy.

— Toż. Kwiecień. O przepełnieniu naszych gimnazyów;—Henryk Kopia: Stanowisko prawne zastępców nauczycieli; — dr. Antoni Łomnicki: Wstępne lekcye trygonometryi; — Józef Flach: Szkolnictwo niemieckie w literaturze pięknej.

— Nowe Tory. Marzec. A. Szycówna: Szkoła początkowa w Europie Zachodniej i Galicyi;—L., Religia w szkole;—Z. Wichrzycki: Wrogowie dzieci;—W. Jezierski: Drażliwe kwestye w nauczaniu szkolnem;—J. Mortkowiczowa: Ruch reformatorski w spółczesnej pedagogice niemieckiej; — A. Sujkowski: Z powodu wykładu geografii;—H. Wilman-Grakowska: Kartka z pedagogigi;—A. S. Wiadomości o ruchu pedagogicznym za granicą.

— Poradnik językowy. Kwiecień. Roman Zawiliński: O wyróżnianiu części mowy; — Roztrząsania: morga=przedgrobie?;—Adam Braun: Z powodu wyrazu torpeda po polsku; — Baumistrz — po polsku; — Adam Braun: Ziomek a zionka; — Tenże: Pincetto — po polsku, Taschengeld, Hochsommer po polsku;—dr. St. Kozak: Funkcyonaryusz=służebnik;—Henryk Lichtenbaum: Poste restante=do rąk własnych;—Tenże: Zapoznać = verkennen;—Wyrazy obce V. Wyjaśnienia.

— Przegląd filozoficzny. Zt. II i III. Dr. J. Łukasiewicz: Analiza i konstrukcya pojęcia przyczyny;—dr. Wł. M. Kozłowski: Przyczynowość, jako

podstawowe pojęcie przyrodoznawstwa;—St. Kobyłecki: O przyczynowości, jako powszechnem prawie doświadczalnem;—St. Robiński: O przyczynowości.

— Przegląd hygieniczny. Kwiecień. Dr. Kazimierz Panek i F. Szperling: O biologicznym sposobie oczyszczania wód ściekowych ze szczególnem uwzględnieniem urządzenia w Sanatoryum piersiowo chorych w Zakopanem (c. d.);—dr. A. Gizelt: Zaopatrywanie miast w mleko (c. d.);— dr. E. Krzyżanowski: Instrukcya dla lekarzy miejskich w Buczaczu, w sprawie nadzorowania szkół ludowych; — Sprawy Towarzystwa hygienicznego, walne zgromadzenie dnia 11 marca 1906 r. Sprawy Towarzystwa: Ochrona młodzieży.

— Przegląd powszechny. Kwiecień. Ankieta Przeglądu Powszechnego" (o obecnych zadaniach katolicyzmu w Polsce, c. d.);—Odpowiedzi ks. A. Woronieckiego, prof. dr. J. Brzezińskiego, prof. Adama Miodońskiego, prof. dr. A. Kaliny, prof. dr. Józefa Kallenbacha, ks. Józefa Londzina, Jacka Malczewskiego, Henryka Sienkiewicza, Juliana Klaczki, Władysława Żeleńskiego, T. J. Wybickiego, Jana Mańkowskiego, A. Szyszkiewicza, W. Woysyma Antoniewicza, dr. Feliksa Konecznego, ks. Leona Pastora i Komitetu wykonawczego Polskiego centrum ludowego;—ks. Stanisława Spisa, (c. d.);—Ignotus. Z listopadowych rozmyślań i doświadczeń II. Co robić?— ks. Wiktor Wiecki T. J. Między Słowianami. Z podróży po Bułgaryi (dok.);—ks. Stanisław Kobyłecki T. J.: Warszawska filozofia nowokrytyczna;—ks. Józef Pawelski T. J.: Sprawa Maryawitów; — Akcya katolicka w kraju;—ks J. Urban T. J.: Z życia masonii.

— Przegląd prawa i administracyi. Kwiecień. Dr. Rafał Taubenschlag: Doniosłość prawna klauzuli καθάπερ ἐκ δίκης w kontraktach greckich epoki ptolomejskiej. Studyum z historyi recepcyi prawa greckiego w Europie;— dr. Ernst Till: Z dziedziny materyalnego prawa konkursowego (c. d.); — Adam Krzyżanowski: Związki zawodowe rolników (dok.);—Józef Bilhn: Zmiana skargi w postępowaniu cywilnem;—dr. Julian Makarewicz: Słuszne prawo (c. d.).

— Przewodnik Naukowy i literacki. Kwiecień. Podróże królewicza polskiego, późniejszego króla Augusta III (Niemcy—Francya—Włochy) 1711—1717, z dyaryusza rękopiśmiennego wydał Aleksander Kraushar (c. d.); —dr. Maryan Guyski: Wzajemne stosunki Polski, Litwy i Saksonii w latach 1399—1404, studyum historyczne (c. d.); dr. Tadeusz Troskolański: Andrzej Zebrzydowski biskup krakowski († 1560), monografia historyczna część V (c. d.); — Pamiętnik Napoleona Sierawskiego, oficera konnego pułku gwardyi za czasów wielkiego księcia Konstantego (c. d.); — Kazimierz Pułaski: Z dziejów konfederacyi barskiej, teki Teodora Wessla, podskarbiego wielkiego koronnego (1769—1772).

— Szkoła. Kwiecień. Franciszek Swistak: Dwa światy;—J. A. Bayger: Wspomnienia z wycieczki do Krakowa i Wieliczki;—Jan Magiera: Przed zjazdem wiedeńskim; — F. H.: Nauka puericultury w szkołach paryskich; — dr. B. Dybowski: Przyczynek do oceny stosunków naszych;—dr S. S.: Teatr ludowy we Francyi;—K. L.: Walka z chorobami płciowemi;—A. Wroński: Sprawy Towarzystwa pedagogicznego;—N. R.: Mały fejleton;—Zagadki astronomiczne;—

Edward Pawłowski: Nasze seminarya nauczycielskie;—Jent: Harda dusza;—Stanisław Tokarski: Opiekunowie, kartka z pamiętnika inspektora szkolnego (c. d.); N. R.: Doświadczenia prof. Olszewskiego;—Wojciech Mączka: Czy potrzeba dzielić wakacye?—F. H.: Wieś i szkoła wiejska—jako siedliska oświaty;—K. Króliński: Pieśń uwięziona;—Średniowieczne czasy w naszem szkolnictwie;—Marya B.: Konferencye okręgowe a wystawy szkolne;—F. Hollitcher: Rozwój stanu nauczycielskiego w Bułgaryi.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

Bougaud Ks. Biskup: Chrystyanizm i czasy obecne. Tłómaczenie z francuskiego J. Bitnerowej. I. Wiara i niewiara. Warszawa, 1906. Wyd. księg. nakł. M. Szczepkowskiego. 8-o duża, str. XLII+308.

Brzozowski St.: Wstęp do filozofii nr. 3. Kraków, 1906. Nakład D. E Friedleina, E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o, str. 100.

Haeckel Ernest: Monizm, jako węzeł między religią a wiedzą (Credo przyrodnika) przełożył Maks Rosenfeld. Kraków, 1906. Nakład i druk drukarni Narodowej. 8-o, str. 67.

Hettiger i Hake: Zarys apologetyki. Według... Opracował Ks. Apolinary Kwieciński. Część I. Warszawa, 1906. Skł. gł. w księgarni E. Wende i Sp. 8-o, str. 61.

Kozłowski W. M.: Wykłady o filozofii współczesnej. Lwów, 1906. Nakład Księg. Polskiej, E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o, str. 358.

Ochorowicz Julian Dr.: Metoda w etyce. Przez... Rozprawa nagrodzona na konkursie „Przeglądu filozoficznego.“ Zeszyt I. Warszawa, 1906. Skł. gł. w księg. Fiszera.: 8-o, str. 101.

HISTORYA.

Belfort Bax E.: Historya Komuny Paryskiej (1870—1871 r.) przełożył A. T. Warszawa, 1906. Skład gł. w Księg. Powszechnej „Bibl. Społ.“ Nr. 8. 8-o, str. 70.

Bolesławita B.: Emisaryusz, wspomnienie z r. 1838. Kraków, 1906. Nakł. wydawn. „Nowej Reformy“, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 211.

Graetz H. Prof. Dr.: Historya żydów (mniejsza). Przez... Z niemieckiego przełożył St. Szenhak. Tom I. Od początków narodu żydowskiego do powtórnego zburzenia Jerozolimy za cesarza Wespazyana. Część III. Warszawa, 1906. Skł. gł. w księg. G. Centnerszwera i Sp. 8-o, str. od 581—810+II.

Gumplowicz Maksymilian: Borys Kolomanowic. Królewicz węgierski. Z teki pozgonnej... Odb. z „Przegl. Hist.“ Warszawa, 1906. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o duże, str. 19.

Korzon Tadeusz: Kościuszko, biografia. Z dokumentów wysnuta przez... Wyd. drugie. Kraków, 1906. Nakł. Muzeum Narodowego w Rapperswilu. Warszawa, Gebethner i Wolff. 8-o, str. 691+IV.

Soplica Tadeusz. Wojna polsko-rosyjska 1792 r. T. I. Kampania koronna. Kraków, 1906. Nakład księgarni D. E. Friedleina. 8-o, str. 2 nl. 451, 4 nl. z licznymi planami.

HISTORYA LITERATURY I SZKÓŁ.

Bieliński Józef: Pierwsza akademia lekarska w Warszawie. Zarys historyczny. Odb. z „Nowin lekarskich.“ Poznań, 1906. Skł gł. w księgarni E. Wende i Sp. 8-o duża, str. 33.

Doleżan Wiktor: Henryk Sienkiewicz, „Quo vadis“, opracował... Biblioteka krytyczna arcydzieł literatury polskiej nr. 4. Tarnów, 1906. Nakład Z. Jelenia. 8-o, str. 50.

Mickiewicz Adam: Sonety i inne wiersze z czasów odeskich. Objaśnił Henryk Galle. Arcydzieła poezyi polskiej w rozbiorach, streszczeniach i wyjątkach. Warszawa, 1905. Nakł. M. Arcta. Książka dla wszystkich Nr. 316. 8-o, str. 16. Kop. 20.

Ujejski Józef: Pojęcia Reja dotyczące Polaka i Polski. Odb. z „Pamiętnika literackiego.“ Lwów, 1906. Nakład Tow. liter. im. A. Mickiewicza 8-o, str. 60.

P R A W O.

Dąbkowski Przemysław Dr.: Litkup w dodatku: O przysiędze i klątwie, studyum z prawa polskiego. Archiwum naukowe, dział I, t. III, zesz. 2. Lwów, 1906. Nakł. Tow. dla popierania nauki polskiej. Spółka wyd. w Krakowie, E. Wendego i Sp. w Warszawie. 8-o, str. 69.

Dubieński Aleksander: Głowszczyzna w statucie litewskim trzecim. Studya nad historyą prawa polskiego. T. II, zesz. 3. Lwów, 1906. E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o, str. 78.

EKONOMIA POLITYCZNA. — ROLNICTWO.

Bogdanow A.: Zarys nauki ekonomii politycznej. Z upoważnienia autora przełożył z 6 wyd. oryginału ros. J. Wł. Dawid. Warszawa, 1906. Nakł. Wincentego Raabego. Skł. gł. w Księg. Powszechnej. 8-o duża , str. 286.

Chełchowski Stanisław: Rolnictwo w organizacyi samorządu. Przez... Odczyt wygłoszony w Sekcyi Rolnej. 15 czerwca 1905. Warszawa, 1906. Skł. gł. w księg. J. Fiszera. 8-o, str. 78.

Górski Stefan. Sprawa robotnicza. Warszawa, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 31:

Hempel Antoni: Nasze wzorowe gospodarstwa włościańskie. Część druga. Dla użytku gospodarzy rolnych, podał... Warszawa, 1906. Nakł. Kasy dr. Józefa Mianowskiego. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 63.

Kowalewski Maksym Prof.: Kwestya robotnicza we Francyi w przededniu Rewolucyi. Warszawa, 1906. Nakł. Księg. Popularnej. 8-o, str. 51.

Sprawozdanie IV Wydz. Tow. dla popierania polskiej nauki rolnictwa za rok 1905. Kraków, 1906. Nakł. Tow. 8-o, str. 17.

NAUKI PRZYRODNICZE. — MEDYCYNA.

Atlas Geologiczny Galicyi: Zeszyt XVII, karta: Skole (X, 8), tudzież: tekst do zeszytu XVII, opracował dr. Rudolf Zuber. Wyd. Komisyi fizyograficznej Akad. Umiej. Kraków, 1905. Spółka wyd. polska. Folio i 8, mapa 1 (skala 1 : 75,000), str. 27 z 3 tabl.

Friedberg Wilhelm: Das miocäne Bekken von Rzeszów. II Teil. Extr. du Bull. de l'acad. des sciences. Cracovie, impr. de l'univ., 1906. 8-o, str. 102—109.

Hancock Irving H.: Japoński system trenowania ciała czyli system ćwiczeń, dyetetyki i ogólny sposób życia, który uczynił lud Mikada najzdrowszym, najmocniejszym i najszczęśliwszym na ziemi. Z angielskiego oryginału spolszczył Wojciech Szukiewicz. Warszawa, 1906. Książka dla wszystkich Nr. 330. Nakł. M. Arcta. 16-o, str. 176.

Kozłowski Wł. M.: Historya naturalna. Zoologia, Botanika. Mineralogia, Geologia, według Bergiego, Lakowitza i innych, napisał... Wyd. II poprawione. Warszawa, 1906. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 367. Z 17 tabl. kolorowanemi, zawierającemi 700 okazów, oraz z 631 rysunkami w tekście.

Langie Adam Dr.: Hygiena a nasze społeczeństwo. Odb. z „Przegl. lek." Kraków, 1906. 8-o, str. 4.

Sprawozdanie V wydziału Tow. samopomocy lekarzy za rok 1905. Kraków, 1906. 8-o, str. 16.

— krakowskiej kolonii leczniczej dla dzieci skrofulicznych pod św. Józefem w Rabce za rok. Kraków, 1906. Nakł. Tow. opieki szpitalnej. 8-o, str. 15 i 2 tablice.

Stahr E. Dr.: O zmianach krwi u chorych leczonych sposobem Biera. Odb. z „Przegl. lekar“ Kraków, 1906. 8-o, str. 12 i tab. 2.

Steinhaus J.: Histologia patologiczna. Cz. II. Histologia patologiczna ogólna z 25 tablicami światłodrukowemi. Z udziałem kasy pomocy im. Mianowskiego. Warszawa, 1906. Skł. gł. w księg. E. Wendego i Sp. 8-o, duża, str. od 49 do 194.

NAUKI PRAWNO-POLITYCZNE.

B. A. J.: Powszechne głosowanie, bezpośrednie prawodawstwo ludowe. Kraków, 1905. Nakł. druk. Narodowej, H. Altenberg we Lwowie. 16-o, str. 16.

Nowgorodcew L.: Państwo niemieckie i jego życie polityczne. Lwów, Polskie Tow. Nakładowe, księg. B. Połonieckiego, E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o większa, str. nl. 2, 222.

Raleigh Tomasz: Elementarne zasady polityki. Przetłómaczył z angielskiego z upoważnienia autora dr. J. Polak. Warszawa, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 160.

Rostworowski Michel M.: Les budgets du royaume de Pologne au point de vue administratif, 1816—1830. Extr. du Bull. de l'acad. des sciences. Cracovie, impr. de l'univ., 1906. 8-o, str. 19—20.

Szarlowski Alojzy: Od absolutyzmu do konstytucyi w Rosyi (1548—1905). Kraków, 1906. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 128.

PEDAGOGIA I KSIĄŻKI SZKOLNE.

Barewicz Witold Dr.: O wychowaniu estetycznem. Odb. z Muzeum. Lwów, 1906. Księg. Polska. 8-o, str. 31.

Bohuszewicz J. St.: Zbiór zadań arytmetycznych dla szkół średnich męskich i żeńskich, podług M. A. Baranieckiego, S. Dicksteina, I. Wereszczagina i innych. Zebrał i ułożył... Część II i III. Warszawa, 1906. Nakł. Księg. K. Idzikowskiego. 8-o, str. 332+IX+13.

German L. i Petelenz K. Ćwiczenia niemieckie dla klasy pierwszej szkół średnich z częścią gramatyczną i słownikiem. Wyd. 6. Lwów, 1906. Nadł. J. Jakubowskiego. 8-o, str. nl. 2, 56 i słownika str. 84.

Jankowski Stanisław nauczyciel: Zbiór zadań arytmetycznych. Część II, ułożył... Liczby do 1000. Początki ułamków. Warszawa, 1906. Skł. gł. S. Fabijańskiego. 8-o, str. 63.

Kraskowska Marya. Współdziałanie rodziny w kształceniu i wychowaniu młodzieży szkolnej. Przedruk z „Mies. Pedag.“ Cieszyn, 1905. Nakł. red. Miesięcznika, księg. „Stella.“ 8-o, str. 16.

Męczkowska Teodora. Szkoły mięszane (Koedukacya). Książka dla wszystkich Nr. 320. Warszawa, 1906. Nakł. Arcta. 16-o, str. 78.

Nałkowska Anna: Geografia szkolna (elementarna). Według Kirchhoffa, Langenbecka, Nałkowskiego, Pahtego, Richtera, Schradera, Supana i innych. Napisała ... Cz. I. Wiadomości ogólne. Warszawa, 1906. Nakład M. Arcta. 8-o, str. 173.

Spalding G.: O wychowaniu i jego stosunku do innych spraw życia (Education and other things). Z angielskiego przełożyła S. T. P. Lwów. Nakład Spółki wydawniczej, 1906. 8-o, str. 188.

Winogrodzki Alfred Dr.: Wychowanie fizyczne młodzieży szkolnej, uwagi nad stosunkiem obecnego wychowania umysłowego i fizycznego w naszych szkołach średnich. Sambor, 1906. Nakł. autora. 8-o, str. 60.

POWIEŚĆ. — POEZYA.

Andrejew Leonidas: Smutna książka. Tłómaczyła z rosyjskiego Idalia Badowska. Warszawa, 1906. Skł. gł. w ks. Fiszera. 8-o, str. 217.

Böhme Małgorzata: Pamiętnik uwiedzionej. Z papierów po zmarłej opracowała i wydała... Przekład z niemieckiego. Warszawa, 1905. Skład gł. w księg. Fiszera. 8-o, str. 244.

Czechow Antoni: Opowiadania. Tłómaczył T. K. Z przedmową Zdzisława Dębickiego. Wyd. trzecie. Warszawa, 1906. „Bibl. Dzieł Wyb." 8-o, t. I str. 151, t. II str. 156.

Gadomski Jan: Larik. Tragedya w pięciu aktach. Z motywów dziejowych. Wyd. trzecie. Warszawa, 1905. „Bibl. dz. wyb." Nr. 428. 8-o, str. 144.

Gliński Kazimierz: Gady. Powieść z XIV w. Warszawa, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 422.

Gorkij, Andrejew i Korolenko: Godziny więzienne, zakazane utwory... Przełożył Józef Mondschein. Warszawa—Lwów, 1906. Książnica polska, Tom 2: 8-o mała, str. 131.

Kasprowicz Jan: O bohaterskim koniu i walącym domu, prozą napisał... Lwów, 1906. Nakład. H. Altenberga. E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o, str. 166 i 2 nl.

Or-Ot.: Jam jest z wami po wszystkie dni. Chrześcijańskie życie człowieka w obrazach i pieśni. Ozdobione 16-ma rycinami. Zebrał i opracował.... zt. I. Warszawa, 1906. Własność i nakład księg. H. Riegla. Folio, str. 16.

Podhorska Jadwiga: Poezye I. Kraków, 1906. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 152 i 3 nl.

Reymont Władysław St.: Spotkanie, szkice i obrazki. — Spotkanie. — Cień. — Oko w oko. — Franek. — Suka. — Szczęśliwi. — Śmierć. — Zawierucha. — Tomek Baran. — Z wrażeń włoskich. Wyd. drugie. Warszawa, 1906. Nakład. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 331.

Schiller Jan Krzysztof Fryderyk: Dymitr (Demetrius). Fragment dramatu, znaleziony po smierci poety pomiędzy jego pracami. W setną rocznicę śmierci autora przetłumaczył z oryginału Eligjusz Wiktor Szrajber. Warszawa, 1906. Skł. gł. w księg. Gebethn. i Wolffa. 4-o, str. 88.

Słowacki Juliusz: Kordyan. Część pierwsza trylogii. Spisek koronacyjny. Książnica Polska. Tom I. 8-o mała, str. 143.

Tetmajer-Przerwa Kazimierz: Rewolucya. Kraków, 1906. Nakładem księg. D. E. Freidleina. 8-o, str. 212.

Wagner Ryszard: Parsifal, przełożył Leon Popławski z rozbiorem tematycznym i objaśnieniami tłumacza. Lwów, 1906. Nakł. Księg. Polskiej B. Połonieckiego, E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o, str. 96.

Zdziechowski Kazimierz: Przemiany, powieść I.II. Warszawa, 1906. Nakł. księg. Gebethn. i Wolffa. 8-o, t. I str. 346, II 347.

PUBLICYSTYKA.

Bebel August: Kobieta w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, streścił Z. S. S. Warszawa, 1906. Nakł. Nowej Spółki wyd. 8-o, str. 51.

Jakie są u nas stronnictwa i czego chcą: II Wyd. Warszawa, 1906. Związek Tow. Samop. Społecznej. Koło Oświaty Ludowej. Skł. gł. w Księg. Naukowej. 8-o mała, str. 30.

Michałowski Józef Jakób: Sprawy terminatorów w rękodziele (stosunki krakowskie). Kraków, 1906. G. Gebethn. i Sp. 8-o, str. 25.

Moszyński Jerzy: Zadanie polityczne i społeczne stronnictwa konstytucyjno-katolickiego. G. Gebeshner i Sp. 8-o, str. 25.

Odezwa polskiego stronnictwa demokratycznego w sprawie reformy ordynacyi wyborczej, uchwalona na walnem zgromadzeniu Tow. dnia 30 grudnia 1905 r. Kraków, 1906. Nakł. Tow. demokratycznego. Fol. str. 1.

Wysłouch Antoni Marya O.: W sprawie wiecu księży w Warszawie z d. 12 grudnia 1905 r. Warszawa, 1906. Nakład. księg. M. Szczepkowskiego. 8-o mała, str. 22.

Związki katolickie w Niemczech: Z myśli społecznych III. Warszawa, 1906. Nakł. księg. M. Szczepkowskiego, Spółka wyd. polska. 8-o, str. II i 52.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

№ 4.



PRACA

Dodatek poświęcony artykułom w sprawach administracyjnych, ekonomicznych, prawnych i społecznych, oraz materyałom spraw tych dotyczącym.

Treść: Duchowieństwo Rzymsko-Katolickie przez A. P. — Od redakcyi „Pracy."

Duchowieństwo Rzymsko-Katolickie.

II. W guberniach Zachodnich.

Gdy chodzi o liczbę ludności katolickiej w Państwie, to po Królestwie Polskiem idą t. zw. Gubernie Zachodnie, czyli gub.: Wileńska, Grodzieńska, Kowieńska, Mińska, Mohilewska, Witebska, Kijowska, Podolska i Wołyńska. Pierwsze trzy stanowią generał-gubernatorstwo Wileńskie, następne trzy, wyjęte z pod władzy generał-gubernatorów, zależą wprost od władzy Ministra Spraw Wewnętrznych, wreszcie trzy ostatnie stanowią generał-gubernatorstwo Kijowskie. Na te same trzy grupy rozpada się liczba mieszkańców wyznających religię katolicką. W pierwszych trzech guberniach katolików jest więcej niż w trzech następnych, zaś w trzech ostatnich, mniej niż w trzech poprzednich. Zobaczmy teraz, jak były i są zaspokojone potrzeby religijne ludności katolickiej w tych guberniach. Materyał, jakim rozporządzamy [1]), nie

[1]) Encyklopedya Kościelna; Encyklopedya Powszechna; Słownik Geograficzny; Zbiór Praw Cesarstwa T. XI cz. I, wyd. r. 1896; Pełny Zbiór Praw; budżet Ministeryum Spraw Wewnętrznych na r. 1905 i Anneksy do budżetu dotyczące wydatków na utrzymanie Duchowieństwa Katolickiego w Państwie.

jest należycie wyczerpujący, ale w każdym razie możemy na nim oprzeć charakterystykę ogólną.

Rok 1387, rok chrztu Litwy, jest zarazem rokiem założenia biskupstwa Wileńskiego przez króla Władysława Jagiełłę. Biskupstwo to zatwierdził Papież Urban VI w roku 1388. Pierwotnie obejmowało ono całą Litwę, lecz z biegiem czasu, po chrzcie Żmujdzi, który nastąpił w latach 1413 - 1417, powstało biskupstwo Żmujdzkie i podzieliło się władzą z biskupstwem Wileńskiem. Biskupstwo Żmujdzkie założone było w Miednikach lub Worniach i dla tego spotyka się je początkowo pod nazwą Miednickiego lub Worniańskiego. W dzisiejszych guberniach białoruskich i t. zw. południowo-zachodnich, widzimy w tym samym i późniejszym okresie czasu następujące biskupstwa: Kamienieckie na Podolu, założone w r. 1375; Kijowskie—w r. 1321; Łuckie — w r. 1375; Smoleńskie— w r. 1611 przez Zygmunta III po zdobyciu Smoleńska i Wendeńskie, założone w Inflantach w r. 1582 przez Stefana Batorego.

Biskupstwa te powstawały i upadały stosownie do wypadków i zmian politycznych, jakim z biegiem czasu podległo Wielkie Księstwo Litewskie. Biskupstwo Kijowskie upadło na mocy traktatu grzymułtowskiego (r. 1686) i przeniesione zostało do Żytomierza. Wendeńskie – upadło jednocześnie z odpadnięciem od Polski Wendenu na mocy traktatu Oliwskiego. Natomiast powstawały inne biskupstwa, które jednak nie doczekały się errekcyi kanonicznej. Zmiany te tak są ściśle związane z dalszemi losami Polski i Litwy, że nie możemy mówić o pierwszych z pominięciem głównych dat, w których zmienił się całkowicie byt polityczny Księstwa Litewskiego. Zaraz po pierwszym rozbiorze Polski występuje na plan pierwszy sprawa t. zw. biskupstwa Białoruskiego, które dotąd kanonicznie nie istniało, bowiem Białoruś podlegała władzy biskupa Wileńskiego. Cesarzowa Katarzyna II, przez Ukaz wydany 14 grudnia r. 1772, utworzyła biskupstwo Białoruskie, które objęło Inflanty, oraz województwa: Połockie, Witebskie, Mścisławskie i Mińskie. W ten sposób uszczuplone zostały granice duchownej juryzdykcyi biskupa Wileńskiego, oraz dyecezyj Inflanckiej i Smoleńskiej.

Był to pierwszy krok ówczesnego rządu rosyjskiego, zmierzający ku zaspokojeniu potrzeb religijnych ludności katolickiej, której liczba urosła znacznie po pierwszym rozbiorze Polski. Dawniej bowiem w Państwie Rosyjskiem istniały tylko kościoły i kaplice dla katolików-cudzoziemców, ich kosztem wzniesione a obsługiwane przez duchownych, przysyłanych przez Propagandę. Istnienie tych kościołów i kaplic oparte było na zapewnionej przez

Piotra W. i Cesarzową Annę Iwanownę (1735 r.) swobodzie wyznania dla katolików, a następnie na zatwierdzonym przez Cesarzową Katarzynę II-gą, 12 (23) lutego r. 1769, regulaminie dla kościoła katolickiego w Petersburgu. [1])

Zwiększenie liczby katolików w Państwie i już nie w charakterze cudzoziemców, lecz poddanych, osiadłych na obszarze zajętym przez Rosyę po r. 1772, wymagało nowych zarządzeń, których początkiem było stworzenie biskupstwa Białoruskiego. Dużo z tem było kłopotów. Układy ze stolicą Apostolską szły opornie. Nie zgadzała się ona długo na nominacyę biskupa Siestrzeńcewicza na dyecezyę Białoruską, pomimo, że nominacya ta nastąpiła przez Ukaz Cesarzowej, wydany 12 (23) maja r. 1774, i że na podstawie układów przeprowadzonych z nuncyuszami w Warszawie, powierzono Siestrzeńcewiczowi zarząd kościołami w całem Cesarstwie, co dotąd należało do atrybucyi Kongregacyi Propagandy. Bardzo pouczającym jest przebieg układów prowadzonych w tej sprawie. Biskup Siestrzeńcewicz naraził sobie stolicę Apostolską najprzód przez utrzymanie Jezuitów, których kasacyi, za zgodą Cesarzowej Katarzyny, nie ogłosił, a następnie przez wyraźną niesubordynacyę, okazaną względem Rzymu. Korespondencya, wymieniona pomiędzy Papieżem a Cesarzową, nie pogorszyła warunków, w jakich Siestrzeńcewicz, z woli Katarzyny II-ej, rządził nową dyecezyą. Nie Petersburg uległ żądaniom Rzymu, lecz przeciwnie, stolica Apostolska uległa i Siestrzeńcewicz za zgodą Piusa VI został uznany za Arcybiskupa, zaś kościół Mohilewski za metropolitalny. 18 stycznia r. 1784 nastąpiło uroczyste włożenie palliusza w kościele Św. Katarzyny w Petersburgu, a niebawem konsekracya Benisławskiego na biskupa, z powierzeniem mu godności suffragana. W ten sposób powstała istniejąca dotąd archidyecezya Mohilewska, o której będzie jeszcze mowa w rozdziale następnym. Tu wskazaliśmy punkty główne walki, jaka się toczyła na tym gruncie pomiędzy Dworem Petersburskim a Papieskim, zaś po szczegóły bliższe odsyłamy czytelnika do „Encyklopedyi Kościelnej“ w której narodziny archidyecezyi Mohilewskiej i główna treść korespondencyi i układów w tej sprawie, oraz źródła do niej zostały przedstawione możliwie wyczerpująco.

Dalsze zarządzenia zapadły po nowych rozbiorach Polski. W ziemiach, które po r. 1792 i 1795 dostały się pod berło rosyjskie, przez Ukaz wydany 16 (27) września r. 1795, utworzone zo-

[1]) Encyklopedya kościelna T. XIV, str. 531 i następne.

stały nowe biskupstwa: Inflanckie zamiast Wileńskiego; Pińskie zamiast Łuckiego i Kijowskiego; Latyczowskie zamiast Kamienieckiego i tylko Żmujdzkie zmianie nie uległo. Wszelako podział powyższy trwał bardzo krótko. Niespełna we trzy lata Cesarz Paweł wydał Ukaz, datowany 28 kwietnia (8 maja) r. 1798, a przepisujący nowy podział dyecezyj katolickich.

Archidyecezya Mohilewska pozostała w dawnych granicach, powstały zaś i przywrócone zostały następujące biskupstwa: Wileńskie dla Litwy i Kurlandyi; Mińskie dla gubernii Mińskiej; Żmujdzkie dla dawnego Księstwa Żmujdzkiego; Łuckie dla gubernii Wołyńskiej i Kamienieckie dla gub. Podolskiej. Każdej z tych dyecezyj dano biskupa sufragana, zaś archidyecezyi Mohilewskiej trzech sufraganów, rezydujących: w Połocku, Kijowie i w Mohilewie. Co do juryzdykcyi archidyecezyi Mohilewskiej, to rozciąga się ona na „gubernie białoruskie (Mohilewską i Witebską) i na wszystkie kościoły, które w innych guberniach przed r. 1793 istniały.“

Taka organizacya kościoła katolickiego musiała oczywiście pozyskać sankcyę Papieską i o nią też udał się do Rzymu Cesarz Paweł I. Delegatem Papieża do urządzenia wszystkiego w Petersburgu był nuncyusz warszawski Litta, wyznaczony już uprzednio do asystowania na koronacyi Cesarza Rosyjskiego. Rezultatem układów było sankcyonowanie ostateczne przez Piusa VI w bulli *Maximis undique pressi doloribus* (15 listopada r. 1798) organizacyi dokonanej przez legata Littę, a organizacya rzeczona ustaliła: arcybiskupstwo Mohilewskie w dawnych granicach i powiększone o terytorya odłączone od dyecezyi Kijowskiej i Wileńskiej i biskupstwa: Wileńskie, Żmujdzkie, Łuckie czyli Łucko-Żytomierskie, Kamienieckie [1]) i Mińskie. Prawa metropolitalne nad temi dyecezyami otrzymał arcybiskup Mohilewski, pod którego władzę podpadły w ten sposób dyecezye: żmujdzka, wileńska i łucka, które dotąd zależały od Gniezna, i kamieniecka, zależna dotąd od metropolii Lwowskiej. Erekcya kanoniczna wszystkich tych dyecezyj nastąpiła w końcu lipca r. 1798, a Mińskiej, nowopowstałej, 29 lipca (6 sierpnia) r. 1798. Nazajutrz kanonika wileńskiego i infułata ołyckiego, Dederkę, powołano na stanowisko

[1]) Biskupi kamienieccy posiadali na własność miasto Szarogród na Podolu, ale w r. 1583 Marcin Białobrzeski wszedł w układy z Janem Zamoyskim i zamienił to miasto na Pragę pod Warszawą, która aż do r. 1794 należała do biskupów kamienieckich.

biskupa mińskiego, a statuta kapituły zatwierdzono 31-go lipca (11 sierpnia) r. 1798.

W tych granicach archidyecezya Mohilewska utrzymała się nie długo, bowiem nowe zmiany polityczne uszczuplały lub zwiększały jej terytoryum. W r. 1807 przybył obwód Białostocki, odebrany od Prus wskutek traktatu, zawartego w tym roku z Napoleonem I-ym; w r. 1809 przybył obwód Tarnopolski, który następnie, po traktacie r. 1815, wrócił do Austryi; wreszcie przybyła część Besarabii, zdobyta przez Rosyę w r. 1812. Ponieważ wszystkie te zmiany nie miały sankcyi kanonicznej, przeto musiała nastąpić nowa regulacya granic archidyecezyi Mohilewskiej a dokonał tego delegat stolicy Apostolskiej ks. Hołowiński z mocy bulli *Universalis Ecclesiae*, datowanej 3 lipca r. 1848. Obwód białostocki wcielono do dyecezyi wileńskiej; Besarabię — do Kamienieckiej; Kijów — do Łucko-Żytomierskiej a w Saratowie utworzono nową dyecezyę, która nosiła najprzód nazwę Chersońskiej, a następnie Tyraspolskiej. Pod władzę tej dyecezyi poddano: gubernie t. zw. noworosyjskie oraz kraj Kaukazki i Zakaukazki.

Zaznaczywszy pokrótce zmiany, jakie zaszły w granicach archidyecezyi Mohilewskiej, wracamy do dyecezyj powstałych w t. zw. guberniach Zachodnich.

Zaczniemy od dyecezyi Mińskiej. Stolicą jej zostało miasto Mińsk, w którym dawny kościół po-jezuicki odbudowano i obrócono na katedrę. Dyecezya, której władza rozciągała się na obszar przedstawiający 78,000 wiorst kw. powierzchni, liczyła: 93 parafie, 48 kościołów filialnych i 174 kaplice. Dyecezya ta przetrwała do r. 1869 w którym, przez Ukaz wydany 15 lipca, została zniesiona jako dyecezya odrębna, i przyłączona do dyecezyi Wileńskiej. Seminaryum duchowne przeniesiono z Mińska do Wilna, a z biegiem czasu podzielono dawną dyecezyę mińską na dwa wizytatorstwa: mińskie i słuckie. Pierwsze objął ksiądz Ferdynand Sęczykowski, zaś drugie ksiądz Józef Jurgiewicz. Obaj ci duchowni wsławili się w gubernii Mińskiej działalnością nader zgubną tak pod względem moralnym, jak i narodowym. Do kościoła katolickiego zaczęli wprowadzać język rosyjski w nabożeństwie dodatkowem. Sęczykowski, jak to widzimy z Tablicy IX, zajmuje obecnie posadę w obwodzie Akmolińskim. Co do Jurgiewicza, to w osamotnieniu dokonał, albo dokonywa żywota w Klecku, miasteczku położonem w pow. Słuckim. Nie brak też i innych duchownych, którzy wzorem dwu z wymienionych wyżej, przynosili działalnością swoją istną hańbę stanowi duchownemu katolickiemu. Dzisiaj stosunki są już całkiem odmienne i niemasz

już księży zasługujących na takie napiętnowanie, jak to, o którem była mowa.

Kościoły dawnej dyecezyi Mińskiej, przyłączone początkowo do dyecezyi Wileńskiej, odpadły od niej na skutek układów, przeprowadzonych pomiędzy rządem Rosyjskim a Papieskim i na żądanie papieża Leona XIII oddane zostały pod juryzdykcyę duchowną archidyecezyi Mohilewskiej [1]).

Drugiem biskupstwem, które na równi z Mińskiem i w tym samym czasie uległo zwinięciu, jest kamienieckie, istniejące od r. 1375. Biskupstwo to zniesiono w r. 1866 [2]), katedra zeszła do rzędu kościołów parafialnych, a kościoły tej dyecezyi oddano pod władzę dyecezyi Łucko-Żytomierskiej, zaś biskupowi Fijałkowskiemu udzielono dymisyi.

Obecnie w guberniach t. zw. Zachodnich pozostały trzy dyecezye: Wileńska, obejmująca gubernie Wileńską i Grodzieńską; Telszewska (rezydencya w Kownie), obejmująca gubernie Kowieńską i Kurlandzką i Łucko-Żytomierska — obejmująca gubernie: Wołyńską, Podolską i Kijowską. Pozostałe trzy gubernie: Mińska, Witebska i Mohilewska, zależą wprost od władzy archidyecezyi mohilewskiej.

Tak zorganizowane dyecezye rządziły się i rządzą nietylko przepisami kanonicznemi, lecz całym szeregiem przepisów i urządzeń, wydanych przez władze państwowe i mających charakter zarządzeń administracyjnych. Przepisy te regulują stosunki wewnętrzne duchowieństwa do władz państwowych; zakreślają granice władzy biskupów w sferze nominowania duchownych i obsadzania wakujących probostw i dekanatów; przepisują podział parafij na klasy i wyznaczają wysokość pensyj, pobieranych przez osoby duchowne. Do praw podstawowych należał konkordat zawarty ze stolicą Apostolską 3 sierpnia r. 1847, który to konkordat przepisuje w 31 artykułach rozgraniczenie biskupstw, prawa biskupów, reguluje stosunki kanoniczne i religijne wiernych, oraz upoważnia katolików do restaurowania kościołów bez odwoływania się do jakichkolwiek władz. Te 31 artykułów konkordatu zostały zawarte w „Zbiorze Praw Cesarstwa“ (Swod Zakonow T. XI, cz. I) [3]). Konkordat ów obowiązywał do r. 1866. Wypadki, jakie

[1]) Ukaz 16 kwietnia r. 1883, Pełny Zbiór Praw № 1515.

[2]) Ukaz 5 czerwca r. 1866, Pełny Zbiór Praw T. XLI, № 43365.

[3]) Ostatnie wydanie r. 1896.

w r. 1863 zaszły w kraju, wywołały represyę, która tak w Królestwie, jak i w guberniach zwanych Zachodniemi, ujawniła się w formach jaknajbardziej nieprzychylnych dla ludności katolickiej. Nie tylko prawa cywilne tej ludności uległy ograniczeniu, nie tylko pozbawiono ją praw, przysługujących każdemu obywatelowi państwa, lecz gwałcono swobodę sumienia i wyznania, zamykano kościoły, nie pozwalano na odbudowę lub reparacyę świątyń tego wymagających, wreszcie starano się różnemi sposobami o rozszerzanie wpływu kościoła prawosławnego i zjednywanie dlań prozelitów pośród miejscowej ludności katolickiej.

Oprócz przeróżnych zarządzeń lokalnych, wymierzonych przez ówczesnego generał-gubernatora wileńskiego hr. Murawjewa przeciw katolikom i Polakom, wielkorządca ów nakłaniał do zerwania stosunków ze stolicą Apostolską, stosunków, opartych, jak to widzimy wyżej, na konkordacie r. 1847. Zabiegi te odniosły skutek i 22 listopada (3 grudnia) r. 1866 [1]) ogłoszony został Ukaz o zerwaniu stosunków z Rzymem.

„Wobec zerwania wszelkich stosunków z Dworem Rzymskim — mówi Ukaz — zawarte z tym Dworem 22 lipca (3 sierpnia) r. 1847 warunki i uzupełniające porozumienia co do zarządu sprawami wyznania katolickiego w granicach Państwa Rosyjskiego, straciły wszelką moc obowiązującą i nie mogą już służyć za podstawę do zarządzania temi sprawami. Sprawy więc te winny być odtąd zarządzane przez władze istniejące w tym celu w Państwie, na podstawie zasadniczych praw Cesarstwa i Królestwa.

Taki stan rzeczy trwał aż do roku 1883, w którym, za panowania Cesarza Aleksandra III, ogłoszone zostało *modus vivendi*, regulujące stosunki z Rzymem. Obsadzono katedry biskupie i w ten sposób uczyniono w pewnej mierze zadość duchowo-religijnym potrzebom ludności. Zmiany te ujawniają się same przez się w dalszym ciągu przy pobieżnem chociażby wyświetleniu warunków bytu i działalności duchowieństwa katolickiego w guberniach Zachodnich.

Zaczniemy znowu od duchowieństwa zakonnego, gdyż t. zw. „urządzenie“ tego duchowieństwa poprzedziło „urządzenie“ duchowieństwa świeckiego.

---

[1]) 2-gi Pełny Zbiór Praw T. XLI № 43870.

A. Duchowieństwo zakonne.

Pierwszem zarządzeniem, dotyczącem tego duchowieństwa, był, podpisany przez Cesarza Pawła, 3 listopada r. 1798, „Reglament dla kościołów i klasztorów katolickich w Imperyum Rosyjskiem.“ Dotyczył on głównie duchowieństwa zakonnego, ale nie trwał długo i zastąpiony został przez inny, wydany 11 grudnia r. 1800, który władzę nad zakonami, oddaną w r. 1798 w ręce biskupów, przywraca przełożonym klasztorów. Biskup Siestrzeńcewicz opracował nowy regulamin dla klasztorów, ale za wpływem duchowieństwa nie był on wprowadzony w życie i dopiero Ukaz Cesarza Aleksandra I, wydany 13 listopada 1801 r., regulował ponownie stosunek duchowieństwa zakonnego do zwierzchności dyecezyalnej. W Ukazie tym wskazano zakres praw biskupa, który nie mógł mięszać się do zarządu klasztorem, ani do elekcyj klasztornych, co zależało od przełożonego, ale miał prawo wizytować klasztory swej dyecezyi i „dawać przepisy w tem wszystkiem, co się odnosi do nauk klasztornych.“ W razie śmierci prowincyała, Zakon sam przedstawiał swego kandydata najprzód do Collegium, następnie do zarządu obcych wyznań (1810), potem do ministeryum spraw duchownych (1817), a wreszcie znowu do zarządu obcych wyznań (1823) a to w zależności od reform i reorganizacyj, jakim podlegały różne organy ówczesnych zarządów centralnych. Wszystkie te Ukazy i zmiany wpływające w mniejszym lub większym stopniu na wewnętrzne życie klasztorne i regulujące sprawy nowicyatu, nie zmniejszały wszakże liczby klasztorów. Nastąpiło to dopiero w r. 1832 przez Ukaz wydany 10 lipca st. st. [1]) Ukaz, wychodząc z zasady, że mnogość klasztorów katolickich jest niepotrzebna, nie zgadza się na istnienie takich klasztorów „w których, wbrew przepisom kanonicznym i bulli papieża Benedykta XIV r. 1744, jest mniej niż ośm osób zakonnych.“ Ukaz powołuje się na to, że po pierwszym rozbiorze Polski, w reskrypcie Najwyższym 14 listopada 1783 r., podnoszono już sprawę mnogości klasztorów i że jest mowa o niej w reskrypcie wydanym 3 września roku 1795 do generał-gubernatora kraju Zachodniego, Tutolmina. W tych przepisach znajdujemy wskazówki, że w ziemiach zabranych od Polski było przeszło 300 klasztorów, co, przy ludności stano-

[1]) Pełny Zbiór Praw r. 1832 № 5506.

więcej 2,500,000 głów, daje 1 klasztor na 8,500 mieszkańców, gdy jedna pustelnia prawosławna przypada na 100,000 mieszkańców. Konkluzya ostateczna Ukazu jest następująca: „klasztory katolickie, w których jest mniej niż ośm osób zakonnych, znieść; majątki zniesionych klasztorów wziąć na skarb; zabudowania użyć na potrzeby użyteczności publicznej, a kościoły klasztorne uznać za parafialne w stosunku 1 kościół na 100 dworów.“

Ile klasztorów zniesiono wówczas, nie wiemy, bowiem materyał, jakim rozporządzamy, nie daje nam tych danych, natomiast znajdujemy parę cyfr dotyczących majątku klasztornego, który, wedle brzmienia Ukazu r. 1832, ma stanowić „kapitał pomocniczy“ potrzebny: do zaspokojenia zobowiązań klasztorów zwiniętych; do utrzymania duchownych w parafiach, powstałych po zwiniętych klasztorach; do pomnożenia liczby i zwiększenia uposażenia istniejących seminaryów, przygotowujących duchownych świeckich, wreszcie do urządzenia ochron i przytułków dla przestarzałych sług ołtarza.

Majątek klasztorny składał się z folwarków, pól ornych, łąk, lasów, wsi z ich mieszkańcami i kapitałów, pochodzących głównie z legatów lub zapisów testamentowych. Podług oszacowania przytoczonego w „Zbiorze praw“ wypada, że w r. 1832 majątek klasztorny reprezentował sumę następującą: a) kapitały zabezpieczone na majątkach ofiarodawców na rzecz duchowieństwa zakonnego: czerwonych złotych 48,487, talarów 63,125 i rubli srebrnych 2,173,490 kop. 79; b) dziesięciny lub annuaty w zbożu stanowiły 3,450 czetwerti i w pieniądzach 8,636 rubli srebrem; c) włościanie poddani na prawie dziedzicznem 29,242 *dusz* (głów) płci męzkiej. Dochód roczny z tych wszystkich źródeł stanowił 340,908 rub. srebrem, co, rozmnożone przez 20, czyli w stosunku 5% rocznie, reprezentuje kapitał 6,818,160 rubli srebrem.

Z majątku tego część przypadająca na klasztory zniesione stanowiła a) włościan 13,098 *dusz* (głów) męzkich; b) czerwonych złotych 7,278, talarów 2600 i rub. srebrem 1,166,765 k. 63. Cały ten majątek przelany został do t. zw. kapitału pomocniczego o którym, jako służącym na ogólne potrzeby religijne ludności katolickiej, powiemy później. Obecnie wracając do klasztorów, dodamy jeszcze, że ilość ich zmniejszała się z rokiem każdym, zaś głównie po wypadkach r. 1863 — w epoce największej represyi stosowanej przez władze rządowe i po zerwaniu, opartych na konkordacie r. 1847., stosunków ze stolicą Apostolską. Dzisiaj klasztory, których, jak to wykazuje Tablica X, t. zw. Gubernie Zachodnie posiadają 9, nie kosztują więcej nad 51,867 rub. rocznie, co sta-

nowi nader mały odsetek od kapitału, jaki reprezentował majątek zabrany przy zwijaniu klasztorów. Klasztory zależą zupełnie od władzy arcybiskupa luh biskupa dyecezyalnego i podlegają wizytacyom nietylko biskupa, lecz i wizytatorów, wprowadzonych od r. 1842 z liczby księży świeckich, a będących członkami konsystorza dyecezyalnego. Skodyfikowane przepisy, dotyczące klasztorów, zawarte są w T. XI Cz. I Zbioru Praw Cesarstwa (wydanie roku 1896) art. 82 — 95 i 125 — 127.

B. Duchowieństwo świeckie.

Pierwszem zarządzeniem rządu rosyjskiego, dotyczącem świeckiego duchowieństwa katolickiego był Ukaz wydany 14 grudnia 1772 r., tworzący dyecezyę białoruską, o której mówiliśmy wyżej i która objęła ziemie zabrane od Księstwa Litewskiego po pierwszym rozbiorze Polski. Ziemie te obejmowały województwa: Inflanckie, Witebskie i Mścisławskie, oraz części województw: Połockiego i Mińskiego. Na stolicę biskupią przeznaczono Mohilew nad Dnieprem i biskupowi Siestrzeńcewiczowi przeznaczono 10,000 rb. tytułem pensyi rocznej.

Taki stan rzeczy trwał do r. 1783 i, jak to już zaznaczyliśmy wyżej, wywoływał niezadowolenie Rzymu, który wszakże uległ wymaganiom rządu petersburskiego, i aprobując granice dyecezyi, podniósł ją do godności archidyecezyi, a biskup Siestrzeńcewicz otrzymał paliusz arcybiskupi, który mu włożono w styczniu r. 1784 w kościele św. Katarzyny w Petersburgu. Pensya arcybiskupa została bez zmiany, zaś na utrzymanie kapituły wybrano ośm bogatszych probostw (kościół św. Stanisława w Mohilewie, Ossun, Lucyna, Dynaburg, Newel, Marienhaus, Mścisław i Siebierz) i połowę dochodów zabierano na kapitułę dyecezyalną. Gdy który z proboszczów nie zgadzał się na uszczuplenie dochodów z probostwa, mianowano go członkiem kapituły z prawem zatrzymania probostwa. Oczywiście dotyczyło to jedynie tych proboszczów, którzy siedzieli na wymienionych probostwach w czasie organizacyi kapituły mohilewskiej, późniejsi bowiem mianowani już byli na probostwa z warunkiem oddawania połowy dochodów na potrzeby kapituły. Nowopowstała archidyecezya sufraganii nie miała, ale w układzie z Rzymem zastrzeżonem zostało, iż stolica Apostolska ma prawo w granicach archidyecezyi tworzyć nowe biskupstwa w miarę potrzeby. Że nowe biskupstwa powstały,

w miarę jak nowe terytorya przechodziły pod władzę berła rosyjskiego, o tem mówiliśmy już na początku i wymieniliśmy daty główne oraz granice nowych dyecezyj. Tu więc nie potrzebujemy ich powtarzać i przypominamy jedynie, że arcybiskup Mohilewski otrzymał godność metropolity wszystkich kościołów rzymsko-katolickich w Rosyi, a władza jego metropolitalna rozciągała się i na kościoły należące do dyecezyj powstałych w t. tw. Guberniach Zachodnich.

Stopniowo ukazywały się coraz to nowe zarządzenia prawodawcze, dotyczące duchowieństwa katolickiego i ludności katolickiej. 18 września n. st. r. 1773 pomiędzy rządem rosyjskim a polskim stanął traktat zapewniający swobodę wyznania katolikom, zamieszkującym terytoryum przeszłe do Rosyi wskutek pierwszego rozbioru r. 1772, a szereg ukazów następnych [1]) zamyka „urządzenie dla rzymsko-katolickiego duchowieństwa“ wydane za panowania Cesarza Aleksandra I-go, 13 listopada r. 1801. To „urządzenie“ zmieniło dotychczasową organizacyę władz centralnych. Zniosło urząd centralny, zwany „Justic-Collegium,“ utworzony przez Cesarzową Katarzynę II-gą i powiększony przez Cesarza Pawła (r. 1797) o nowy „departament rzymsko-katolicki Justic-Collegium“ a natomiast, do spraw wyznania katolickiego, zorganizowało „Collegium duchowne rzymsko-katolickie“ (Tablica V), które podług art. I-go Ukazu „jest głównym duchownym konsystorzem do spraw katolickich.“ Collegium przyjmowało skargi na biskupów i apelacye od wyroków konsystorskich; przestrzegało wykonywania ustaw państwa w sferze wyznania katolickiego, a w sprawach małżeńskich przyjmowało wyroki pierwszej instancyi i przekazywało je drugiemu konsystorzowi do osądzenia. Gdy wyroki obu konsystorzy były zgodne, to wyrok ulegał wykonaniu, zaś w razie przeciwnym, gdy strony nie chciały poprzestać na wyroku drugim, Collegium samo nowy a ostateczny wyrok ferowało. Collegium otrzymywało informacye od biskupów o śmierci prowincyonałów zakonnych, o nadużyciach w klasztorach, o stanie kościołów, o majątkach i kapitałach i t. d. Wyroki swoje Collegium opierało na prawie kanonicznem, przestrzegając przytem regulaminów i ukazów monarszych (art. 8).

W Collegium prezyduje arcybiskup mohilewski a każda z sześciu dyecezyj posyła jednego kanonika lub prałata na assesora. Atrybucye tego Collegium wywoływały spory. Biskup Żmujdzki

[1]) Ukazy 12 maja r. 1774, 17 stycznia r. 1782 i 16 września r. 1795.

Giedrojć złożył Cesarzowi Aleksandrowi I (1804) projekt zmian i wskazał, że i regulamin Collegium powinien być zatwierdzony przez stolicę Apostolską, i osoba przewodniczącego w Collegium. Rozpoczęte na tym gruncie układy z Rzymem utrudnił Siestrzeńcewicz, który wyjednał nawet, że pewne atrybucye Collegium przyznano jemu, np. przedstawianie kandydatów na katedry biskupie i zatwierdzanie regensa seminaryum Wileńskiego oraz prowincyałów zakonnych. Atoli prawa te metropolity utrzymały się nie długo i bez względu na czynione zabiegi, żeby powrócić do stanu, jaki stwarzał dla Collegium Ukaz 13 listopada r. 1801, do tego nie przyszło. Przeciwnie prawa Collegium uległy uszczupleniu z chwilą utworzenia w r. 1810 „głównego zarządu do spraw duchownych obcych wyznań,“ któremu to zarządowi oddano główne funkcye i atrybucye przysługujące Collegium. Rok 1827 przyniósł nową zmianę, ale bardziej formalistyczną, niż istotną. Oto stworzono w tym roku „ministeryum do spraw duchownych i oświaty publicznej,“ w którem specyalny wydział przeznaczono do spraw katolickich. Trzy sekcye tego wydziału zarządzają sprawami poszczególnemi i obejmują wszystko, co dotyczy nie tylko personelu duchowieństwa, lecz i stosunków gospodarczych dyecezyj i parafij, oraz majątku i kapitałów duchowieństwa katolickiego.

Collegium zeszło do rzędu instytucyj podwładnych pod względem spraw rządowych władzy ministeryum, z którem znosi się bezpośrednio i któremu przedstawia wszystkie sprawy, mające przejść do senatu lub innych władz centralnych. Gdyby Minister nie zgadzał się z opinią Collegium, zawiadamia je o tem i swój wniosek komunikuje, ale nawet utrzymanie się Collegium przy opinii pierwotnej nie zapewnia skutku pomyślnego, bowiem musi ono ostatecznie, i już bez ponownej krytyki, decyzyę Ministra nie tylko uznać, lecz i wykonać. W rzeczach sądowych Collegium komunikowało się bezpośrednio z senatem i ministrem sprawiedliwości. Wreszcie minister wyznań otrzymuje od prokuratora Collegium referaty co do spraw osądzonych i odpowiada za nieregularne lub opieszałe czynności w tym kierunku.

Takie atrybucye Collegium przetrwały do r. 1867 w którym, jak to już zaznaczyliśmy wyżej, nastąpiło zerwanie stosuków z Rzymem i uznanie konkordatu r. 1847 za nieobowiązujący [1]). Dotąd, jak widzieliśmy, władza Collegium dotyczyła wyłącznie dyecezyj, istniejących w t. zw. Guberniach Zachodnich, ale od r. 1867 pod-

[1]) Ukaz 22 listopada r. 1866. II Pełny Zbiór Praw T. XLI № 43879.

dano władzy Collegium i dyecezye Królestwa Polskiego. Przez Ukaz Cesarski, datowany 10 (22) maja r. 1867, nakazano Collegium rozpoznawać wszelkie prośby, zanoszone przez biskupów i wiernych do stolicy Apostolskiej i opiniować, czy interwencya Rzymu jest w danych wypadkach potrzebna, czy nie, zaś reskrypty Papieskie przedstawiać do Ministra spraw wewnętrznych. Zarządzenie to wywołało energiczny protest stolicy Apostolskiej, która dotąd ignorowała wogóle istnienie Collegium Petersburskiego.

Na razie protest stolicy Apostolskiej (17 października r. 1867) pozostał bez echa, zaś przeciw zależności dyecezyj Królestwa od Collegium, wystąpili z protestem biskupi dyecezyalni i nie zgodzili się na posłanie delegatów do Collegium, w charakterze assessorów. Wszakże protest skutku pomyślnego nie osiągnął. Biskupi Płocki i Augustowski zostali wywiezieni, a w r. 1869 wszystkie dyecezye Królestwa posłały do Collegium swoich przedstawicieli. W r. 1868 (17 lipca) pozwolono dyecezyom Królestwa posyłać do Collegium kapłanów nie należących do kapituły, w razie, gdyby wśród kanoników katedralnych nie było znających język rosyjski.

Odtąd Collegium, w którem po dawnemu prezyduje Metropolita Mohilewski, składa się z 12 assessorów, jako delegatów dyecezyj Królestwa,[1]) Gubernij Zachodnich[2]) i Cesarstwa (Tyraspolska). Ale i w tej organizacyi Collegium Petersburskie nie miało sankcyi Stolicy Apostolskiej, czego rząd petersburski stale się domagał. Toczyły się układy, które doprowadziły do tego, że rząd pozbawił Collegium znaczenia trybunału duchownego i zwierzchniej władzy nad duchowieństwem i ograniczył Collegium do roli biura pośredniczącego w stosunkach pomiędzy ministeryum a zarządami dyecezyalnemi i wyłącznie pod względem spraw administracyjnych.

W takich warunkach Stolica Apostolska pozwoliła biskupom posyłać nadal swoich delegatów do Collegium Petersburskiego, o czem kardynał Sekretarz Stanu zakomunikował okólnikiem datowanym 2 marca roku 1875, który to okólnik został przez władze państwowe przesłany do wiadomości Zwierzchnikom dyecezyalnym.

Co do konsystorzów dyecezyalnych to tylko tyle nadmienić należy, że organizowały się stopniowo na podstawie ukazów

[1]) Archidyecezyi Warszawskiej, dyecezyi Kujawsko-Kaliskiej, Sandomierskiej, Kieleckiej, Augustowskiej, Płockiej, Lubelskiej.

[2]) Dyecezye: Wileńska, Telszewska, Łucko-Żytomirska i Mohilewska.

r. 1795 i 1798 z mocy których powstały nowe dyecezye. Pierwiastkowo apelacye od sądów konsystorskich zanoszono do Senatu (1782), następnie Cesarz Paweł przeniósł apelacyę do Justic-Collegium (1798), a wreszcie (r. 1800) polecono ze skargą iść do biskupa i tylko w razie gdyby strona czuła się pokrzywdzoną, mogła iść do Justic-Collegium. W roku 1801 powstało Collegium do którego zanoszono apelacyę od wyroku konsystorza i stan taki trwał do czasu aż układy z Rzymem doprowadziły (r. 1857) do decyzyi ostatecznej. Postanowiono, że biskup dyecezyalny, każdy w swojej dyecezyi, stanowi pierwszą instancyę w sprawach małżeńskich i innych duchownych, a drugą arcybiskup, zaś do spraw z jego dyecezyi, wybrany będzie przez papieża jeden z biskupów. Apelacya idzie do Rzymu, jedynie w wypadku, gdyby wyroki obu instancyj były różne. W razie zgodności wyroków, stają się one prawomocne.

Etaty konsystorzów i skład ich osobisty wskazuje Tablica IV.

Pierwsze zakłady naukowe kształcące duchownych, powstały w Guberniach Zachodnich jeszcze za rządów Rzeczpospolitej polskiej. Pierwsze seminaryum było założone w Krasławiu, dla dyecezyi Inflanckiej i utrzymywało się z zapisów prywatnych (Platerów, kanoników Krzyżanowskiego i Akielewicza i biskupa Hilzena). Drugie seminaryum powstało w Białymstoku na pięciu kleryków i utrzymywało się z procentu od sumy 3,270 rub. Trzecie w Zwinogródku (gub. Kijowska) na 6 kleryków z procentów od 15,000 rub. zapisanych w roku 1803 przez starościnę Sołtykową. (Seminaryum to otwarto w r. 1820 i zwinięto przed rokiem 1842). Czwarte w Mohilewie, otwarte w r. 1788 na 20 kleryków. Wszystkie te cztery seminarya oddane były pod zarząd zgromadzenia księży misyonarzy, a regulamin nauk przepisany był przez Siestrzeńcewicza. Z biegiem czasu, uwzględniając okoliczności, że arcybiskup Mohilewski będzie musiał siedzieć w Petersburgu dla przewodniczenia w Collegium duchownem i nie będzie miał dozoru nad seminaryami, zakłady te przeniesiono do Mińska[1]) pod dozór stale przebywającego tam biskupa. W ten sposób w Mińsku kształcili się duchowni dla całej archidyecezyi Mohilewskiej. Uposażenie seminaryum Mińskiego stanowiło wówczas: na utrzymanie 40 alumnów dla Mohilewa i 15 dla Mińska po 4,125 rubli rocznie i na utrzymanie rektora, profesorów, służby i t. d. 8,650 rub. ro-

[1]) Zarządzenie Ministra 3 listopada 1843 roku № 3335. Encyklopedya kościelna Tom XIV.

cznie. Seminaryum to istniało w Mińsku do roku 1869, czyli do chwili zwinięcia dyecezyi Mińskiej i zastąpione zostało przez seminaryum otwarte w 10 lat później, bo w r. 1879, na 40 alumnów, w Petersburgu. W miarę powstawania nowych dyecezyj, powstawały i nowe seminarya, których liczbę i etat podajemy w Tablicy № VII.

Zaznaczyć tu uważamy za właściwe, że niezależnie od wskazanych wyżej seminaryów, skoncentrowanych w r. 1843 w Mińsku, założoną była w roku 1803 dla całej archidyecezyi Mohilewskiej w Wilnie, wyższa szkoła duchowna, która istniała przy uniwersytecie wileńskim i nosiła nazwę „Seminaryum głównego.“ Na utrzymanie tego seminaryum Cesarz Aleksander I przeznaczył 150,000 rub. z funduszów klasztorów, a rozkładu tej sumy pomiędzy klasztorami dokonywało Collegium petersburskie. Klerycy mieli całe utrzymanie bezpłatnie, a korzystali z przywilejów przysługujących słuchaczom wyższych zakładów naukowych. Art. 12 ukazu organizacyjnego orzekał, że w lat 10 od założenia seminaryum głównego, żaden duchowny nie może być posunięty na biskupa, prałata, kanonika, assesora Collegium, nie może być obrany na przełożonego klasztoru, nie może być plebanem, kaznodzieją ani nauczycielem w szkole świeckiej, o ile nie ukończył nauk w seminaryum głównem lub przynajmniej nie złożył stosownych egzaminów w uniwersytecie wileńskim.

Losy tego uniwersyteta podzieliło i seminaryum, bo po zniesieniu uniwersytetu wileńskiego w r. 1833 zniesiono i seminaryum główne. Zastąpiono je wprawdzie przez Akademię duchowną rzymsko-katolicką, której nawet nadano nieco rozleglejsze prawa, ale byt jej był nie długi, bo zaledwie do r. 1842. Przeniesiono ją następnie do Petersburga gdzie istnieje dotąd pod władzą arcybiskupa Mohilewskiego. Pod jego też władzę dostała się i Akademia duchowna istniejąca w Warszawie i zwinięta w roku 1867. Obecnie oprócz seminaryów dyecezyalnych istnieje w całem Państwie tylko jeden wyższy zakład naukowy dla duchowieństwa katolickiego, mianowicie „Cesarska rzymsko-katolicka Akademia w Petersburgu,“ której etat szczegółowy zawarliśmy w Tabl. VI.

Pozostała jeszcze do wyświetlenia sprawa t. z. „urządzenia“ duchowieństwa świeckiego. Pierwsza jego organizacya rozpoczyna się od wyznaczenia wyższej pensyi arcybiskupowi i biskupom dyecezyalnym. Siestrzeńcewicz, przy powołaniu na biskupa białoruskiego (ukaz 14 grudnia r. 1772) otrzymał tytułem uposażenia dobra duchowne, zasekwestrowane biskupom pozostałym w Polsce

po pierwszym rozbiorze a więc: inflanckiemu, wileńskiemu i smoleńskiemu. Wszakże dobra te były w znacznej części rozdane generałom rosyjskim, z którymi Siestrzeńcewicz rozpoczął układy, a uzyskawszy kilka tysięcy dukatów, zrzekł się na rzecz skarbu pretensyj do dóbr duchownych. Wówczas to wyznaczono mu pensyę w wysokości 10,000 rub. i pensya ta, z dodaniem wynagrodzenia za prezydowanie w Collegium rzymsko-katolickiem w Petersburgu w sumie 1,714 rub., utrzymała się do r. 1842. „Encyklopedya kościelna“ powołując się i w tym razie, jak i w wielu innych, na dzieło Szantyra,[1]) oblicza, że arcybiskup, podług wykazu ministeryum spraw wewnętrznych na r. 1842, pobierał pensyi arcybiskupiej 6,300 r., jako metropolita 2,857 r. i jako prezydujący w Collegium 1,714 rub., ogółem 11,685 rub. Biskup wileński otrzymał w r. 1795—4,000 rub., Latyczowski — 3,000 rub., a następnie, jako biskup Kamieniecki (1798)—6,000 rub. i biskup Miński—6,000 rub. Co do biskupów Łuckiego i Żmujdzkiego, to mieli oni część dóbr z dawnego uposażenia Rzeczpospolitej. Biskupom suffraganom przyznano po 1,200 r. Majątek duchowieństwa składał się z dóbr ziemskich i kapitałów pochodzących z legatów, a nietykalność majątku duchowieństwa zapewniana była w traktatach zawartych z Polską we wrześniu roku 1773 (art. 8) i 13 lipca r. 1793 (art. 8) oraz w Ukazie Cesarza Aleksandra I, wydanym 27 października r. 1807. Widzieliśmy już w rozdziale o duchowieństwie zakonnem, że bez względu na gwarancye powyższe, znaczna część majątku klasztornego została w roku 1832 zabrana na skarb i przelana do „kapitału pomocniczego,“ o którym powiemy niżej. Taki sam los spotkał majątek duchowieństwa świeckiego na skutek Ukazu wydanego przez Cesarza Mikołaja I-go, 25 grudnia 1841 (5 stycznia roku 1842).

„Wszystkie dobra nieruchome, zaludnione poddanymi, do nich przywiązanymi, a należące do duchowieństwa obcych wyznań w Guberniach Zachodnich, przechodzą pod zarząd Ministra dóbr narodowych, z wyjątkiem dóbr nie należących do wyższej hierarchii duchownej, albo tych, co nie należąc do kapitałów fundacyjnych, są w posiadaniu duchowieństwa parafialnego.“ Na skutek tego Ukazu, wzamian za majątki zabrane wyższej hierachii duchownej, wyznaczono jej stałe etatowe pensye, a to zgodnie z przewidzia-

---

1) Zbiór wiadomości o kościele i religii katolickiej w Cesarstwie Rosyjskiem. Poznań 1843 roku.

nym w ukazie 17 lipca roku 1842 [1]) podziałem biskupstw, katedr i klasztorów na trzy klasy. Do pierwszej należy arcybiskup Mohilewski z pensyą osobistą 6,610 rub. i na katedrę 5390 r., w klasie II-ej biskupi: wileński i żmujdzki po 5,475 r. biskupowi i po 4525 rub. na katedry, a w klasie III-ej biskupi: Łucki, Kamieniecki i Miński — pensye po 4,480 r. i na katedrę 4,200 r. Biskupi koadjutorzy i sufragani mieli pobierać po 2,000 rub., a prałaci infułaci po rub. 574. Co do konsystorzów, to podzielono je na klasy według liczby ludności: I klasa — więcej niż 700,000 wiernych (konsystorz wileński) etat 5,300 rubli; II-ga klasa — od 400,000 do 700,000 głów wiernych (mohilewski i żmujdzki) po 4,800 rub. i klasa III-cia do 400,000 wiernych (łucki, kamieniecki i miński) po 2,500 rub. rocznie.

Nadto biskupom pozostawiono część gruntu, bezpośrednio otaczającą domy kościelne, a Arcybiskupowi Metropolicie zostawiono folwark w powiecie Dynaburskim na letnie mieszkanie.

Jakim zmianom uległy te etaty ustalone w r. 1842, przekonać się można z łatwością przez porównanie cyfr wyżej przytoczonych z tem, co się wydatkuje obecnie, a co na podstawie budżetu ministeryum spraw wewnętrznych na rok 1905, zostało zawarte w załączonych tablicach № II, III i IV. Porównanie, o którem mowa, ujawni różnice zaszłe w liczbie dyecezyj, a tem samem w liczbie kapituł i konsystorzów i że wydatki obecne, bez względu na pewne zmiany w kredytach, i bez względu na powiększenie się liczby ludności katolickiej, nie są większe niż były w roku 1842, a to dla tego, że ówczesna liczba dyecezyj, kapituł i konsystorzów, przewyższała dzisiejszą.

Za takiem „urządzeniem“ wyższego kleru katolickiego, poszło niebawem „urządzenie“ duchowieństwa parafialnego. Z mocy Ukazu wydanego 15 grudnia r. 1843, [2]) duchowieństwu tej kategoryi wyznaczono pensye ze skarbu, wzamian za zabrany majątek. Ukaz powyższy podzielił parafie na pięć klas, stosownie do zajmowanego obszaru i liczby wiernych i w każdej klasie wyznaczył proboszczowi pensyę etatową w wysokości: 600, 500, 400, 275 i 230 rub., zaś liczba parafij w każdej z ówczesnych dyecezyj, przedstawia się wyraźnie w poniższej tabelce:

[1]) Ukaz ten zapadły na skutek raportu Ministra Spraw Wewnętrznych, wydrukowany został w Pełnym Zbiorze praw za r. 1890 pod pozycyą 15863A.

[2]) Pełny zbiór praw za rok 1843 № 17407.

	Parafie: — klasy:					
	I	II	III	IV	V	Ogółem
W dyecezyi Wileńskiej	5	7	51	98	128	289
„ Mohilewskiej . . .	3	5	39	75	101	223
„ Telszewskiej	2	3	19	33	46	103
„ Łucko-Żytomierskiej	1	4	19	33	46	103
„ Kamienieckiej . . .	1	4	18	33	46	102
„ Mińskiej	1	4	16	29	39	89
Ogółem . .	13	27	162	301	406	909

Obecnie, jak widzimy z Tablicy VIII, liczba parafij w dyecezyach teraz istniejących przedstawia się jak następuje:

	Parafie: — klasy:					
	I	II	III	IV	V	Ogółem
W dyecezyi Wileńskiej	6	8	50	72	79	215
„ Mohilewskiej . . .	3	7	32	43	54	139
„ Telszewskiej . . .	2	12	32	62	87	195
„ Łucko-Żytomierskiej	4	16	44	62	94	220
Ogółem . .	15	43	158	239	314	769

Niezależnie od pensyi wyznaczonej proboszczom w etacie wskazanym wyżej, nadano każdemu z nich po 33 diesiatiny gruntu ornego i łąk, tam zaś gdzie grunt nie był wcale nadany lub w mniejszej ilości, wypłaca się ze skarbu specyalny zasiłek wskazany szczegółowo w Tablicy VIII, w dziale „różne wydatki," a to na podstawie danych zaczerpniętych z budżetu na rok 1905.

Dziekanom, ani wikaryuszom pensyi żadnej etat nie wyznaczył, ale pierwsi potrącają na rzecz swoją 5% od pensyi proboszczowskiej, zaś stosunki materyalne wikaryuszów uregulował arcybiskup Fijałkowski w r. 1872. Zarządził więc, żeby proboszcz płacił wikaryuszowi 40 rb. rocznie i oddawał $^1/_3$ część dochodów parafialnych, a nadto, żeby zapewnił wikaryuszowi stół i opał. Jakiej sumy sięgał szacunek majątku zabranego od wyższego kleru i kleru parafialnego w latach 1842 i 1843, o tem w Ukazach wydanych w tych latach niema wzmianki. Możemy tylko poinformować czytelników, że majątki i kapitały zabrane klasztorom w r. 1832 i następnych, oraz duchowieństwu świeckiemu w latach 1842 i 1843 przelane zostały do skarbu i użyte na stworzenie specyalnego „kapitału pomocniczego" którego początek sięga rządów arcybiskupa Siestrzeńcewicza. On zarządził, że z przewyżki dochodów 6-iu dyecezyj Kraju Zachodniego będzie się odkładało ro-

cznie, począwszy od r. 1823, po 5575 rub. na tak zwany „kapitał pomocniczy,“ który przeznaczono: na czynienie zadość zobowiązaniom funduszowym klasztorów zwiniętych; na koszta utrzymania kapłanów w kościołach poklasztornych; na pomnożenie zasobów seminaryów duchownych i na przytułki i ochrony dla przestarzałych kapłanów. W r. 1829, z mocy wydanego w kwietniu reskryptu Cesarza Mikołaja I-go, przelano ze skarbu dla pomnożenia „kapitału pomocniczego“ 100,000 rb. tak, że w r. 1832 suma ogólna tego kapitału równała się 350,000 rub. asygnacyjnych, zaś po dodaniu kapitałów zabranych po klasztorach zniesionych w r. 1832, „kapitał pomocniczy“ urósł do poważnej sumy 4,850,000 rubli. Wszystkie te dane cyfrowe znajdujemy w Ukazie wydanym 10 lipca r. 1832 [1]), który to Ukaz orzekając o zniesieniu części klasztorów, oblicza, że dochód roczny z majątku wszystkich istniejących wówczas klasztorów wynosił 340,908 rub., co po skapitalizowaniu w stosunku 5%, daje, jak to obliczaliśmy w rozdziale o duchowieństwie zakonnem, kapitał równy 6,818,160 rubli. Chcąc teraz poznać szacunek ogólny zabranego na skarb majątku poduchownego, trzebaby do sumy powyższej dodać szacunek majątku duchowieństwa świeckiego, zabranego w latach 1842 i 1843. Cyfr tych wszakże nigdzie nie mogliśmy znaleźć i tylko z Tablicy XI widzimy, że cały dochód wykazany pod literą A. pochodzi właśnie z procentów od „kapitału pomocniczego“ przeznaczonych na różne potrzeby duchowieństwa katolickiego i jego instytucye. Wskazana w Tablicy XI suma 76,759 rb. zapisaną została na dochód skarbu, wzamian za pozycye wydatkowe wykazane w budżecie na r. 1905, zaś wydatki ogólne w wysokości 563,792 rb. obliczono w tym samym budżecie, jako koszta ponoszone przez skarb „wzamian za zabrane w Guberniach Zachodnich majątki i kapitały duchowieństwa katolickiego.“ Już sama suma tych wydatków, niemal zdwojona w porównaniu z sumą dochodu wykazanego w r. 1832 (340,908 rb.), przekonywa, jak znacznym był szacunek dóbr poduchownych zabranych na skarb w latach 1842 i 1843. Rachunki „kapitału pomocniczego“ prowadzi Collegium duchowne w Petersburgu, ale ich nie podaje do wiadomości publicznej, a atrybucye Collegium, co do administrowania kapitałem, wskazują art. 128—132 T. XI Zbioru Praw Cesarstwa Część I wydanie r. 1896. W tym samym tomie tego zbioru mieszczą się skodyfikowane przepisy i prawa, dotyczące zarządu sprawami ludności katolickiej w dyecezyach Kraju Zachodniego (art. 18—127).

[1]) Pełny Zbiór Praw r. 1832. № 5506.

Co do ilości katolików zamieszkałych w tych guberniach, to daty, jakie posiadamy, są dosyć odległe, bo sięgają r. 1892 i za dokładność ich ręczyć nie możemy. Daty te mówią, że w guberniach: Wileńskiej, Grodzieńskiej i Kowieńskiej liczba katolików sięgała 2,215,257 głów; w guber.: Mińskiej, Mohilewskiej i Witebskiej — 606,940 głów, a w gub.: Kijowskiej, Podolskiej i Wołyńskiej — 384,000 głów. W pierwszej grupie gubernij kościołów i kaplic miało być w r. 1892 — 1082; w drugiej grupie — 520 a w trzeciej — 350. Powtarzamy, że za dokładność tych cyfr odpowiedzialności nie bierzemy. Natomiast, jako zupełnie pewne, bo oparte na rubrycelli dyecezyi Wileńskiej na rok 1905, przytaczamy, że w dyecezyi tej (gubernie Wileńska i Grodzieńska) było w roku zeszłym 1,388,038 katolików; kościołów: parafialnych — 237, nieparafialnych — 10, filialnych — 39 a kaplic oddzielnych — 177.

Co zaś do gubernii Mińskiej, to w roku 1903 przy ludności ogólnej, równającej się 2,480,671 głów, ludność katolicka stanowiła 250,227 głów. [1]) Z braku danych statystycznych nie możemy przejść do porównań i określenia stosunku głów ludności katolickiej do liczby parafij i kościołów. Że ten stosunek nie jest wystarczający dla potrzeb religijnych ludności, to żadnej wątpliwości nie ulega, zwłaszcza gdy uprzytomnimy sobie epokę represyi wywieranej nie tylko na ludność katolicką, lecz i na zewnętrzne przejawy kultu. Kościoły zamykano, nowych wznosić nie było wolno, bo pozwoleń na budowę niepodobna było uzyskać. Odnawianie kościołów było albo zgoła niemożebne, albo połączone z nadzwyczajnemi trudnościami, zaś swoboda wyznania, krępowana na każdym kroku, wszelkie procesye po za obrębem kościoła zabronione; kazania z ambony musiały być zastąpione przez nauki od ołtarza, a nadto katolicy patrzeć musieli na to, jak pod wpływem represyi demoralizowało się duchowieństwo i demoralizacyę wnosiło do kościoła, do stosunków z wiernymi i do stosunków z władzami. Ludność musiała się powstrzymywać od uczęszczania do kościołów i od stosunków z duchownymi, unikano posług duchownych, oddawanych przez większość duchownych miejscowych i szukano ich po za granicami dyecezyj własnych, lub udawano się o pozwolenie specyalne do Arcybiskupa Mohilewskiego, rezydującego w Petersburgu. Nieznaczny wpływ na taki stan rzeczy wywarło *„modus vivendi“* zawarte z Rzymem w roku 1883, czyli w 17 lat po zerwaniu stosunków opartych na kon-

[1]) „Obzor Minskoj gubernii za 1903 god.“

kordacie r. 1847. Zbyt silne były tradycye represyi, zbyt zakorzeniona nieufność i zła wiara, żeby władze dały od razu folgę w sferze zarządzeń represyjnych. Dopiero Ukaz datowany 17 (30) kwietnia r. 1905 a zwany „tolerancyjnym“ niewątpliwie należyte zmiany przyniesie. Ogłoszona z wysokości Tronu swoboda wyznania i sumienia, wpłynie na zaspokojenie potrzeb duchownych ludności katolickiej Gubernij zwanych Zachodnimi. Kościoły będą się wznosiły, a służba Boża i zewnętrzne przejawy kultu religijnego nie mogą już podlegać zakazom władz miejscowych, bowiem dozwolone zostały przez Najwyżej zatwierdzoną 26 grudnia 1905 roku (8 stycznia 1906 r.) uchwałę Rady Państwa. [1]) Niewątpliwie też przyszły autor historyi kościoła katolickiego w Gub. Zachodnich będzie miał do zaznaczenia pomyślny rozwój stosunków religijnych w kraju, który doznał tylu w tym kierunku udręczeń.

III. Gubernie Wewnętrzne Cesarstwa, Syberya i Kaukaz.

Wspominaliśmy już uprzednio, że kościoły i kaplice katolickie jakie powstały w Guberniach Wewnętrznych Państwa (w Petersburgu, Moskwie, Chersoniu i t. d.) wzniesione były głównie przez cudzoziemców i obsługiwane przez zakonników, nadsyłanych przez Kongregacyę Propagandy. Istnienie tych kościołów i kaplic oparte było na zapewnionej przez Piotra W. i Cesarzową Annę (1735 r.) swobodzie wyznania dla katolików. Hierarchia duchowna katolicka zaczęła się tworzyć dopiero za panowania Cesarzowej Katarzyny II-ej, która najprzód wydała regulamin dla istniejącego w Petersburgu kościoła katolickiego,[2]) a następnie zajęła się organizacyą kościoła w ziemiach zabranych od Polski po roku 1772. Tu nie potrzebujemy wracać do szczegółów podanych już w rozdziale poprzednim, a dotyczących utworzenia dyecezyi białoruskiej, a następnie archidyecezyi Mohilewskiej. Nadmienimy więc tylko, że arcybiskup Mohilewski jest zarazem metropolitą wszystkich kościołów w Rosyi i że po wszystkich zmianach jakim ulegało terytoryum archidyecezyi Mohilewskiej, obejmuje ona gub. Mohilewską, jak równie całą Rosyę wewnętrzną z Finlandyą i Syberyą,

[1]) „Prawitielstwiennyj Wiestnik“ № 42 z 1906 r.

[2]) Ukaz 12 (23) lutego 1769 roku.

oraz wszystkie posiadłości rosyjskie, nie podpadające pod władzę innych dyecezyj, tak dobrze w Królestwie Polskiem, jak i w Guberniach Zachodnich. Obok archidyecezyi Mohilewskiej obejmującej sobą tak znaczny obszar państwa Rosyjskiego, powstała w r. 1852 dyecezya Tyraspolska, którą uprzednio nazywano Chersońską. Biskup dyecezyalny wraz z kapitułą i konsystorzem mieszka w Saratowie, a władza dyecezyi rozciąga się na dzisiejsze gubernie; Chersońską, Jekaterynosławską, Taurydzką, Saratowską, Astrachańską, Besarabską, oraz kraj kaukazki. Pod władzę biskupa Tyraspolskiego oddani zostali, zależni uprzednio od Arcybiskupa Mohilewskiego, Ormianie katolicy, zamieszkali na Kaukazie. Zarząd sprawami Ormian-katolików znajduje się w Tyflisie i składa się z prezesa i członków wybranych i nominowanych przez biskupa Tyraspolskiego, z liczby duchownych Ormian-katolików. Dalsze szczegóły, dotyczące zarządzenia temi sprawami, znajdzie czytelnik w Tomie XI Zbioru Praw Cesarstwa. (Część I wyd. r. 1896, art. 238—251).

O Collegium duchownem rzymsko-katolickiem w Petersburgu, o organizacyi konsystorzów i seminaryów oraz Akademii duchownej, mówiliśmy w rozdziale poprzednim. Jakkolwiek instytucye te istnieją po za granicami gubernij zachodnich, to jednak tak są z niemi związane przez historyczne pochodzenie i organizacyę niemal jednostajną, że niepodobna było wyodrębnić ich z rozdziału poświęconego guberniom zachodnim.

Co się tycze „urządzenia“ duchowieństwa świeckiego w wewnętrznych guberniach Cesarstwa i w posiadłościach azyatyckich, to jest ono o tyle tylko odmienne od organizacyi ustalonej w guberniach zachodnich, że ukaz r. 1843, przyjmujący utrzymanie duchowieństwa na koszt skarbu, wzamian za zabrane majątki i kapitały, nie dotyczy duchowieństwa świeckiego z gubernij Cesarstwa. Tam obowiązuje regulamin r. 1769. Dochodami parafialnemi zarządzają *syndycy* wybrani przez parafian i oni utrzymują kościół i plebanię w należytym porządku. Pensya płaci się proboszczowi z majątku parafialnego lub ze składek i tylko w wyjątkowych wypadkach skarb pokrywa koszta utrzymania proboszcza, zwanego w języku urzędowym, kuratem. Widzimy to dokładnie z Tablicy № IX, w której wskazane zostały wydatki skarbu na utrzymanie proboszczów i kapłanów w różnych miejscowościach Cesarstwa. Wysokość pensyj, płaconych duchownym, jest jaknajbardziej niejednostajna. Widzimy w etacie i 57 rb. rocznie, i 400, i 500, i 600 rb. Zależy to od rozległości i zaludnienia parafii, i stanowi albo całkowitą pensyę kapłana, albo tylko dopłatę, jaką ponosi

skarb tytułem dodatku do pensyi płaconej z majątku czy dochodów parafii. Zależy także i od czasu, w którym kościół został założony albo od daty zatwierdzenia etatów.—Daty te są w wielu wypadkach bardzo odległe. Dla przykładu możemy przytoczyć, że większość nizkich etatów, jak: 86 rb., 43 rb., 57 rb. i t. p. zatwierdzona została w początkach stulecia minionego (1801, 1811, 1812, 1814) a wyższe już nieco pensye datują się z lat od 1830 do 1866 i 1880 włącznie.

W zakończeniu dodamy jeszcze, że katedra arcybiskupia mohilewska z biegiem czasu przeniesioną została do Petersburga. Stało się to w r. 1873 i odtąd arcybiskup metropolita mieszka stale w stolicy Państwa. Zmiana ta nastąpiła za arcybiskupstwa ks. Antoniego Fijałkowskiego, ale już i przed nim niektórzy arcybiskupi mohilewscy stale nad Newą przemieszkiwali. Usprawiedliwiano to potrzebą zamieszkiwania w centrum władz państwowych, koniecznością łatwego i szybkiego porozumiewania się z temi władzami, wreszcie tem, że arcybiskup mohilewski jest zarazem przewodniczącym w Collegium duchownem, które rezyduje w Petersburgu i odbywa posiedzenia 2—3 razy na tydzień.

Zamykając na tem materyały, dotyczące duchowieństwa katolickiego w Państwie, dodamy małe zestawienie.

Z tablic № I dodanych do № 3 „Pracy“ (zeszyt za marzec) oraz dołączonych do dzisiejszego zeszytu widzimy, że ogólny wydatek skarbu na duchowieństwo rzymsko-katolickie równa się cyfrze 1,554,063 rb. 41 kop. (Królestwo 844,534 rb. 20 kop., gub. Zachodnie 328,073 rb. 45 kop., gub. Cesarstwa nadbałtyckie, syberyjskie, Kaukaz — 381,455 rb. 76 kop.). Tablice: № VIII (zeszyt marcowy) i № XI do dzisiejszego zeszytu dołączona — wykazują, że sumy wpisane do budżetu na dochód skarbu z majątku poduchownego stanowią zaledwie 90,297 rb. (Królestwo 7,799 rb. 20 kop., gub. Zachodnie 5,738 rb. 60 kop. i gub. Cesarstwa 76,759 rb. 34 kop.). Z zestawienia tych dwu cyfr wypadałoby, że skarb dopłaca corocznie aż 1,463,766 rb. (1,554,063—90,297). Wniosek taki byłby zgoła błędnym. W rozdziale omawiającym stosunki Królestwa (zeszyt za marzec) wykazaliśmy, że dopłata ze skarbu na utrzymanie duchowieństwa katolickiego, jeśli w ogóle ma miejsce, to jest chyba minimalną. To samo da się powiedzieć o wydatkach na utrzymanie tegoż duchowieństwa w guberniach zachodnich. Jakkolwiek szacunek ogólny majątku i kapitałów zabranych duchowieństwu świeckiemu i zakonnemu, nie dał się ustalić dla braku stosownych wskazówek w materyałach urzędowych, to jednak nawet z budżetu ministeryum spraw wewnętrznych na rok 1905

(§ 32 p. 2*a*) widzimy, że z ogólnej sumy wydatków przewidzianych na utrzymanie duchowieństwa katolickiego w guberniach Zachodnich i Cesarstwa w cyfrze 632,486 rub. na wydatki z ogólnych funduszów skarbowych przypada zaledwie 2,464 rub. 53 kop. Pozostałe 630,022 rub. wypłacane są wprawdzie ze skarbu, ale „w zamian za zabrane w guberniach Zachodnich majątki i kapitały duchowieństwa rzymsko-katolickiego.“ Widzimy więc z tego, że jeśli skarb wydatkuje część jakąś z funduszów ogólnych, to cząstka ta jest tak mała, że nie może wcale służyć za materyał do wniosku, że duchowieństwo katolickie kosztuje skarb Państwa. Nic ono nie kosztuje, bo to co pobiera ze skarbu pokrywa się dochodami z majątku i kapitałów zabranych duchowieństwu przy jego „urządzaniu.“

A. P.

TABLICA I.

Wykaz wydatków ogólnych z funduszów skarbu na utrzymanie Duchowieństwa Rzymsko-Katolickiego w guberniach wewnętrznych Cesarstwa i t. zw. Zachodnich w r. 1905.

№ porządkowy	NAZWA GUBERNII	Suma wydatków w każdej gubernii RUBLE	K.	Ogólna suma wydatków RUBLE	K.
	A. Gubernie i obwody Cesarstwa.				
1	Gubernia Archangielska	350	—		
2	„ Besarabska	457	—		
3	„ Jenisejska	1400	—		
4	„ Irkucka	1900	—		
5	„ Pskowska	207	—		
6	„ Riazańska	300	—		
7	„ St.-Petersburska . . .	330968	64		
8	„ Saratowska.	26739	—		
9	„ Stawropolska	85	50		
10	„ Taurydzka	129	—		
11	„ Tobolska.	1100	—		
12	„ Tomska	1358	—		
13	„ Ufańska	788	—		
14	„ Charkowska	215	—		
15	„ Chersońska.	751	50		
16	„ Czernihowska. . . .	1000	—		
17	Obwód Akmoliński	800	—		
18	„ Amurski.	475	—		
19	„ Wojska Dońskiego. . .	306	—		
20	„ Zabajkalski	680	—		
21	„ Primorski	600	—		
22	„ Terski	321	50		
23	„ Zakaukazki	2231	—		
24	Miasto Odessa	1543	50	374705	64
	B. Gubernie zwane Zachodniemi.				
1	Wileńska	70507	10		
2	Witebska	25085	—		
3	Wołyńska	49719	94		
4	Grodzieńska	30734	47		
5	Kijowska	20332	—		
6	Kowieńska	87879	51		
7	Mińska	11251	68		
8	Mohilewska	7752	—		
9	Podolska	24811	75	328073	45
	C. Gubernie zwane Nadbałtyckiemi.				
1	Kurlandzka	5950	12		
2	Liflandzka.	400	—		
3	Estlandzka.	400	—	6750	12
	Ogółem. . .	—	—	709529	21

TABLICA II.

Etat Arcybiskupów, biskupów dyecezyalnych i suffraganów oraz utrzymanie pałaców arcybiskupich i biskupich w guberniach wewnętrznych Cesarstwa i t. zw. Zachodnich w r. 1905.

№ porządkowy	NAZWA ARCHIDYECEZYJ I DYECEZYJ	Pensya	Utrzymanie pałacu kapelana, służby, opał, światło i t. p.	Ogółem
		RUBLE		
	A. W guberniach Cesarstwa.			
1	Arcybiskup Mohilewski	6000	610	6610
	Dodatkowo	—	1675	1675
2	Biskup dyecezyalny Tyraspolski w Saratowie	4000	480	4480
3	Biskupi suffragani:			
	Mohilewski (2 × 2000). . . .	4000	—	4000
	Tyraspolski	2000	—	2000
4	Kacelarya przyboczna Metropolity kościołów Rzymsko-Katolickich w St.-Petersburgu:			
	Referent świecki.	—	—	900
	Sekretarz duchowny	—	—	800
	Kancelista starszy 300 r., młodszy 200 rb.	—	—	500
	Materyały piśmienne	—	—	200
	Ogółem w Cesarstwie .	—	—	21165
	B. W guberniach t. z. Zachodnich.			
1	Biskupi dyecezyalni:			
	Wileński.	5000	475	5475
	Dodatkowo	—	1764	1764
	Łucko-Żytomierski	4000	480	4480
	Dodatkowo	—	1980	1980
	Telszewski (Kowno)	5000	475	5475
	Dodatkowo	—	2548	2548
2	Biskupi sufragani:			
	Łucko-Żytomierski	2000	—	2000
	Telszewski	2000	—	2000
3	Suma ryczałtowa do dyspozycyi Ministra Spraw Wewnętrznych na utrzymanie biskupów sufraganów w guberniach Zachodnich . . .	—	—	12000
	Ogółem w gub. Zachodnich .	—	—	37722

TABLICA III.

Koszt utrzymania Kapituł Rzymsko-Katolickich w guberniach wewnętrznych Cesarstwa i t. zw. Zachodnich w r. 1905.

№ porządk.	NAZWA KAPITUŁ	Liczba osób	Pensya etatowa jednego	Ogółem
			RUBLE	
	A. W guberniach Cesarstwa.			
	I. Kapituła metropolitalna.			
I	W St.-Petersburgu			
	a) Kapituła wielka:			
	Przełożony (Prepositus)	1	600	600
	Dziekan	1	550	550
	Archidyakon	1	500	500
	Kustosz	1	500	500
	Kantor	1	500	500
	Scholastyk	1	500	500
	b) Kapituła mała:			
	Kaznodzieja	1	450	450
	Podkustosz	1	450	450
	Senior	1	450	450
	Wikaryusze katedralni	3	400	1200
	Organistą, stroiciel organów, chór, służba katedralna, utrzym. zakrystyi i katedry	—	—	4000
		12	—	9700
	II. Kapituła dyecezyalna.			
II	Tyraspolska (w Saratowie)			
	a) Kapituła wielka:			
	Archiwista i prałat po rb. 200	1	400	400
	Teolog	1	200	200
	Penitencyaryusz	1	200	200
	Przełożony (Prepositus)	1	250	250
	Kanonik katedralny	1	200	200
	b) Kapituła mała:			
	Mansyonarz	1	150	150
	„	2	125	250
	Wikaryusze katedralni	3	110	330
	Utrzymanie organisty, chóru, służby katedralnej oraz katedry i zakrystyi. .	—	—	2140
		11	—	4120
	Ogółem w guberniach Cesarstwa .	—	—	13820

№ porządkowy	NAZWA KAPITUŁ	Liczba osób	Pensya etatowa jednego	Ogółem
			RUBLE	
	B. W guberniach t. zw. Zachodnich.			
	Kapituły dyecezyalne.			
I	Wileńska			
	a) Kapituła wielka:			
	Przełożony (prepositus) Dziekan Kanonicy katedralni 2 Archidyakon Penitencyaryusz Kustosz	Podług etatu Najwyżej zatwierdzonego 17 lipca 1842 r. Kapituła wielka i mała	2	2405	4810
	Scholastyk Kantor	Utrzymanie organisty, chóru, służby katedralnej oraz katedry i zakrystyi . .			
	b) Kapituła mała:				
	Senior Podkustosz Wikaryusze katedralni 4		2	2120	4240
II	Telszewska (w Kownie)				
III	Łucko-Żytomierska (w Żytomierzu)				
	a) Kapituła wielka:				
	Archiwista i prałat		1	400	400
	Teolog		1	200	200
	Penitencyaryusz		1	200	200
	Przełożony (prepositus)		1	250	250
	Kanonik katedralny		1	200	200
	b) Kapituła mała:				
	Mansyonarz		1	150	150
	„		2	125	250
	Wikaryusze katedralni		3	110	330
	Utrzymanie organisty, chóru, służby katedralnej oraz katedry i zakrystyi .		—	—	2140
			11	—	4120
	Ogółem w gub. t. zw. Zachodnich .		—	—	13170

TABLICA IV.

Etat konsystorzów Rzymsko-Katolickich w gubern. wewnętrznych Cesarstwa i t. zw. Zachodnich w r. 1905.

№ porządkowy	NAZWA URZĘDU	Mohilewski archidyecezyal w St.-Petersb.			Tyraspolski w Saratowie III rzędu			Wileński I rzędu			Telszewski II rzędu			Łucko-Żytomierski III rzędu		
		Liczba osób	Etat	Ogółem	Liczba osób	Etat	Ogółem	Liczba osób	Etat	Ogółem	Liczba osób	Etat	Ogółem	Liczba osób	Etat	Ogółem
1	Officyał	1	500	500	1	200	200	1	250	250	1	250	250	1	250	250
2	Wice-officyał	1	450	450	—	—	—	1	225	225	1	225	225	—	—	—
3	Członek konsystorza	3	400	1200	3	150	450	3	200	600	3	200	600	3	200	600
4	Sekretarz konsystorza	1	882	882	1	400	400	1	550	550	1	550	550	1	450	450
5	„ arcybiskupa	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	1	230	230
6	„ biskupa	—	—	—	—	—	—	1	250	250	—	—	—	—	—	—
7	Referent arcybiskupa i biskupa dyecezyalnego	1	250	250	1	180	180	—	—	—	1	250	250	—	—	—
8	Referenci	4	490	1960	2	180	360	4	250	1000	3	250	750	2	230	460
9	Archiwista	1	441	441	1	130	130	1	200	200	1	200	200	1	230	230
10	Dziennikarz	1	441	441				1	200	200	1	200	200			
11	Kanceliści	—	—	—	—	—	—	—	—	1575	—	—	—	—	—	—
12	Kanceliści młodsi	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	3	150	450
13	„ starsi	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	6	120	720
14	Stróże	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	2	48	96
15	Materyały piśmienne i wydatki gospodarcze	—	—	—	—	—	—	—	—	450	—	—	—	—	—	384
16	Kanceliści, materyały piśmienne, opał, światło, najem stróżów i in. wydatki gospodarcze	—	—	2000	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
17	Skarbnik (koszta przejazdów)	—	—	180	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
18	Dodatkowo suma ryczałtowa	—	—	600	—	—	780	—	—	—	—	—	—	—	—	—
	Ogółem	13	—	8904	9	—	2500	13	—	5300	12	—	4800	20	—	3870
							11404						13970			

TABLICA V.

Etat Rzymsko-Katolickiego Collegium w Petersburgu w roku 1905.

№ porządkowy	NAZWA URZĘDU	Wysokość pensyi etatowej RUBLE
1	Przewodniczący	2000
2	Pierwszy członek Collegium	1500
3	Drugi „ „	1200
4	Prokurator	2000
5	Sekretarz	1700
6	Pomocnik sekretarza	1200
7	Buchalter	1500
8	Pomocnik buchaltera	900
9	Archiwista i Dziennikarz	1000
10	Kanceliści i materyały piśmienne	4000
11	Czterem członkom Collegium po rb. 1000 .	4000
12	Budowniczy	500
13	Dozorca gmachów	900
14	Lekarz	600
	Ogółem . . .	28000

TABLICA VI.

Etat Cesarskiej Rzymsko-Katolickiej Akademii Duchownej w Petersburgu w r. 1905.

№ porządkowy	NAZWA URZĘDU	Wysokość pensyi etatowej RUBLE
	a) Osoby należące do stanu duchownego.	
1	Rektor	1500
2	Inspektor	1000
3	Profesorowie: Pisma Świętego	1000
4	„ Teologii dogmatycznej	1000
5	„ Filozofii moralnej	1000
6	„ Homiletyki i Patrystyki	1000
7	„ Teologii moralnej	700
8	„ Historyi kościoła i Prawa kanoniczn.	1000
9	„ Archeologii biblijnej	400
10	„ Teologii pasterskiej	300
11	„ Obrządków kościelnych i śpiewu	400
12	Pomocnik Inspektora	500
13	Bibliotekarz	200
14	Ojciec duchowny (spowiednik)	400
15	Gospodarz (ekonom)	500
16	Członek zarządu	160
		11600
	b) Profesorowie świeccy i inni urzędnicy.	
17	Profesor literatury rosyjskiej	1000
18	„ „ łacińskiej i języka greckiego.	1000
19	„ historyi powszechnej	1000
20	Nauczyciel języka rosyjskiego	600
21	Lektor języka hebrajskiego	500
22	„ „ niemieckiego	500
23	„ „ francuskiego	500
24	Korrepetytor do języków niemieckiego i francuskiego	400
25	Członek zarządu	160
26	Lekarz	600
27	Sekretarz	600
28	Referent	400
29	Pomocnik gospodarza (ekonoma)	350
30	Kancelista	249
		7859
31	Utrzymanie 40 wychowańców po 142 rb.	5680
32	Nauka śpiewu	142
33	Kompletowanie biblioteki	285
34	Wydatki kancelaryjne	171
35	Woźni, opał, światło i utrzymanie gmachu akademii	4961
36	Meble, bielizna stołowa, sprzęty kuchenne i t. p.	428
37	Koszta odsyłania wychowańców z akademii i profesor hygieny	383
38	Na powiększenie etatu akademii suma ryczałtowa	14031
39	Dodatkowo na koszta utrzymania w akademii wychowańców z Królestwa Polskiego ryczałtowo	6500
		32581
	Ogółem	51500

TABLICA VII.

Seminarya duchowne Rzymsko-Katolickie w guberniach Wewnętrznych i t. zw. Zachodnich w r. 1905.

№ porządkowy	NAZWA URZĘDU	St.-Petersburskie metropolitalne		
		Liczba osób	Etat	Ogółem
1	Rektor (mieszkanie w naturze)	1	700	700
2	Inspektor (mieszkanie w naturze)	1	500	500
3	Nauczyciele przedmiotów: teologicznych, kościelnych, filozoficznych i pomocniczych	8	400	3200
4	Nauczyciele języków: łacińskiego i greckiego	2	825	1650
5	Nauczyciele języka rosyjskiego i literatury oraz języków francuskiego i niemieckiego.	2	600	1200
6	Nauczyciele historyi Rosyi w związku z powszechną	1	450	450
7	Nauczyciel prawoznawstwa	1	150	150
8	Ojciec duchowny (spowiednik)	1	200	200
9	Bibliotekarz	1	120	120
10	Intendent (ekonom)	1	400	400
11	Sekretarz	1	600	600
		—	—	9170
	Wydatki gospodarcze i inne.			
1	Utrzymanie alumnów	40	120	4800
2	Ubranie alumnów, bielizna, obówie i t. p.	40	80	3200
3	Doktór, apteka i t. d.	—	—	450
4	Materyały piśmienne	—	—	200
5	Służba, opał, światło i utrzymanie gmachu	—	—	2650
6	Kościół, biblioteka i pomoc naukowa . .	—	—	530
		—	—	11830
	Ogółem . . .	—	—	21000

№ porządkowy	NAZWA URZĘDU	Tyraspolskie dyecezyalne			Wileńskie dyecezyalne			Łucko-Żytomier. dyecez.			Telszewskie dyecezyalne		
		Liczba osób	Etat	Ogółem	Liczba osób	Etat	Ogółem	Liczba osób	Etat	Ogółem	Liczba osób	Etat	Ogółem
1	Rektor seminaryum . .	1	1155	1155	1	500	500	1	450	450	1	450	450
2	Inspektor	1	1125	1125	1	300	300	1	275	275	1	275	275
	Nauczyciele.												
3	Literatury rosyjskiej . .	—	—	—	1	300	300	1	250	250	1	250	250
4	Historyi ojczystej i powszechnej	—	—	—	1	300	300	1	250	250	1	250	250
6	Teologii moralnej . . .	—	—	—	1	200	200	1	175	175	1	175	175
5	Dogmatyki	—	—	—	1	200	200	1	175	175	1	175	175
7	Pisma Świętego	—	—	—	1	200	200	1	175	175	1	175	175
8	Języka łacińskiego . . .	—	—	—	1	200	200	1	175	175	1	175	175
9	Historyi kościoła . . .	—	—	—	1	175	175	1	150	150	1	150	150
10	Homiletyki	—	—	—	1	150	150	1	125	125	1	125	125
11	Obrządków kościelnych i śpiewu	—	—	—	1	100	100	1	100	100	1	100	100
12	Ksiądz nauczyciel . . .	1	680	680	—	—	—	—	—	—	—	—	—
13	Nauczyciele świeccy . .	1 1 1 1	200 300 220 240	200 300 220 240	—	—	—	—	—	—	—	—	—
	Wydatki gospodarskie.												
14	Intendent (ekonom) . .	1	175	175	1	200	200	1	175	175	1	175	175
15	Sekretarz	1	175	175	1	200	200	1	175	175	1	175	175
16	Utrzymanie alumnów *) i seminaryum, licząc po 416 rb. 66⅔ k. miesięcznie . . .	—	—	—	—	—	5000	—	—	—	—	—	—
17	Utrzymanie alumnów, pozostających na koszcie skarbu	—	—	1350	—	—	—	—	—	2700	—	—	3000
18	Materyały piśmienne i wydatki gospodarcze	—	—	2000	—	—	142	—	—	500	—	—	1000
19	Dodatkowo na powiększenie funduszów seminaryum.	—	—	5005	—	—	600	—	—	700	—	—	850
20	Na pomoc naukową . .	—	—	100	—	—	—	—	—	—	—	—	—
21	Na najem mieszkania na czas letni	—	—	200	—	—	—	—	—	—	—	—	—
22	Na wydatki nadzwyczajne.	—	—	200	—	—	—	—	—	—	—	—	—
	Ogółem . .	9	—	13125	13	—	8767	13	—	6550	13	—	7500

22.817 rb.

*) W r. 1905 było alumnów 122.

TABLICA VIII.

Koszt utrzymania świeckiego duchowieństwa Rzymsko-Katolickiego w t. zw. guberniach Zachodnich w r. 1905.

№ porządkowy	NAZWA DYECEZYI	Proboszczowie w parafiach																				Ogółem
		klasy I				klasy II				klasy III				klasy IV				klasy V				
		Liczba osób	Wysokość pensyi etat.		Ogółem	Liczba osób	Wysokość pensyi etat.		Ogółem	Liczba osób	Wysokość pensyi etat.		Ogółem	Liczba osób	Wysokość pensyi etat.		Ogółem	Liczba osób	Wysokość pensyi etat.		Ogółem	
			R.	K.	R. K.		R.	K.	R. K.		R.	K.	R. K.		R.	K.	R. K.		R.	K.	R. K.	R. K.
	I. Wileńska.	3	600	—	1800 —	6	500	—	3000 —	27	400	—	10800 —	44	275	—	12100 —	38	230	—	8740 —	
			1 532	53	532 53						1 388	20	388 20	1	75	—	75 —		1 225	50	225 50	
1	Gubernia Wileńska (dekanatów 13).		1 430	—	430 —						1 382	—	382 —	2	267	14	534 28		2 177	15	354 30	
											1 117	15	117 15	2	267	15	534 30		1 177	14	177 14	
											1 330	—	330 —	1	266	60	266 60					
		5	—	—	2762 53	6	—	—	3000 —	31	—	—	12017 35	50	—	—	13510 18	42	—	—	9496 94	40787 —
2	Gubernia Grodzieńska (dekanatów 9).	1	435	—	435 —	2	500	—	1000 —	14	400	—	5600 —	20	275	—	5500 —	34	230	—	7820 —	
											1 308	—	308 —	1	259	85	259 85	2	228	50	457 —	
											1 397	65	397 65	1	240	50	240 50	1	170	50	170 50	
											1 298	83	298 83									
											1 250	—	250 —									
											1 117	14	117 14									
		1	—	—	435 —	2	—	—	1000 —	19	—	—	6971 62	22	—	—	6000 35	37	—	—	8447 56	22854 47
	Ogółem parafij w dyec. Wileń.	6	—	—	— —	8	—	—	— —	50	—	—	— —	72	—	—	— —	79	—	—	— —	
	II. Mohilewska.	1	600	—	600 —	3	500	—	1500 —	4	400	—	1600 —	9	275	—	2475 —	8	230	—	1840 —	
						1	487	08	487 08	1	385	—	385 —	1	215	—	215 —	3	177	15	531 45	
1	Gubernia Mińska (dekanatów 9).										1 140	—	140 —					1	136	43	136 43	
																		3	91	43	274 29	
																		1	82	43	82 43	
		1	—	—	600 —	4	—	—	1987 08	6	—	—	2125 —	10	—	—	2690 —	16	—	—	2864 60	10266 68

2	*Gubernia Witebska (dekanatów 10).*	—	—	—	—	1	500	—	500 —	16	400	—	6400 —	29	275	—	7975 —	33	230	—	7590 —	22465 —
3	Gubernia Mohilewska (dekanatów 7).	1	600	—	600 —	2	500	—	1000 —	10	400	—	4000 —	4	275	—	1100 —	4	230	—	920 —	7752 —
																		1	132	—	132 —	
	Ogól. parafij w dyec. Mohilew.	3	—	—	— —	7	—	—	— —	32	—	—	— —	43	—	—	— —	54	—	—	— —	
	III. Łucko-Żytomierska.																					
1	Gub. Kijowska (dekanat. 6).	1	600	—	600 —	3	500	—	1500 —	9	400	—	3600 —	17	275	—	4675 —	21	230	—	4830 —	15205 —
2	Gubernia Wołyńska (dekanatów 11).	1	600	—	600 —	5	500	—	2500 —	12	400	—	4800 —	16	275	—	4400 —	25	230	—	5750 —	
						3	400	—	1200 —	1	275	—	275 —	2	267	14	534 28	3	177	14	531 42	
						1	410	—	410 —	1	267	13	267 13	1	259	42	259 42	1	177	—	177 —	
										1	202	85	202 85	1	77	85	77 85	2	155	—	310 —	
										2	117	14	234 28	1	70	—	70 —	1	35	01	35 01	
																		2	32	85	65 70	
		1	—	—	600 —	9	—	—	4110 —	17	—	—	5779 26	21	—	—	5341 55	34	—	—	6869 13	22699 94
3	Gubernia Podolska (dekanatów 10).	2	600	—	1200 —	4	500	—	2000 —	12	400	—	4800 —	14	275	—	3850 —	15	230	—	3450 —	
										1	395	—	395 —	1	267	50	267 50	2	227	—	454 —	
										1	264	28	264 28	4	267	14	1068 56	1	213	06	213 06	
										1	117	14	117 14	1	264	14	264 14	1	223	—	223 —	
										1	113	14	113 14	1	260	—	260 —	1	220	—	220 —	
										1	111	14	111 14	1	256	—	256 —	2	215	—	430 —	
										1	108	57	108 57	1	258	14	258 14	1	222	14	222 14	
														1	530	—	530 —	1	210	80	210 80	
																		1	209	70	209 75	
																		1	205	—	205 —	
																		1	204	80	204 80	
																		1	204	—	204 —	
																		1	219	—	219 15	
																		1	194	—	194 —	
																		1	176	—	176 —	
																		1	170	—	170 —	
																		1	155	—	155 —	
																		1	127	14	127 14	
																		1	180	50	180 50	
																		1	112	36	112 36	
																		1	197	52	197 52	
																		2	200	—	200 —	
		2	—	—	1200 —	4	—	—	2000 —	18	—	—	5909 27	24	—	—	6754 34	39	—	—	8177 42	24041 83
	Og. parafij w dyec. Łuc.-Żytom.	4	—	—	—	16	—	—	—	44	—	—	—	62	—	—	—	94	—	—	—	

№ porządkowy	NAZWA DYECEZYI	Proboszczowie w parafiach																						Ogółem	
		klasy I				klasy II				klasy III				klasy IV				klasy V							
		Liczba osób	Wysokość pensyi etat.		Ogółem		Liczba osób	Wysokość pensyi etat.		Ogółem		Liczba osób	Wysokość pensyi etat.		Ogółem		Liczba osób	Wysokość pensyi etat.		Ogółem		Liczba osób	Wysokość pensyi etat.		Ogółem			
			R.	K.	R.	K.		R.	K.	R.	K.		R.	K.	R.	K.		R.	K.	R.	K.		R.	K.	R.	K.	R.	K.
	IV. Telszewska.																										
1	Gubernia Kowieńska (dekanatów 17).	1	600	—	600	—	10	500	—	5000	—	27	400	—	10800	—	56	275	—	15400	—	67	230	—	15410	—		
		1	514	29	514	29						1	346	60	346	60	1	275	20	275	20	5	177	14	885	70		
												1	221	60	221	60	1	267	14	267	14	1	177	58	177	58		
												1	397	60	397	60						1	266	05	266	05		
																						1	227	60	227	60		
																						1	177	15	177	15		
																						1	360	—	360	-		
		2	—	—	1114	29	10	—	—	5000	—	30	—	—	11765	80	58	—	—	15942	34	77	—	—	17504	08	51326	51
2	Gubernia Kurlandzka (dekanatów 2).	—	—	—	—	—	1	500	—	500	—	2	400	—	800	—	4	275	—	1100	—	8	230	—	1840	—		
							1	375	—	375	—											1	205	—	205	—		
																						1	218	—	218	—		
		—	—	—	—	—	2	—	—	875	—	2	—	—	800	—	4	—	—	1100	—	10	—	—	2263	—	5038	—
	Ogółem parafij w dyecezyi Telszewskiej	2	—	—	—	—	12	—	—	—	—	32	—	—	—	—	62	—	—	—	—	87	—	—	—	—		

№ porządkowy	Różne wydatki	Ogółem RUB.	K.
1	Utrzymanie niemieckiego kaznodziei w Wilnie	90	—
2	Zasiłek roczny Prałatowi Domańskiemu	200	—
3	„ „ księdzu Pacynko (emerytura)	600	—
4	Zasiłek kościołom wzamian za grunta zabrane lub za grunta nie nadane:		
	a) w Kiewlanach	400	—
	b) w Wasiliszkach	17	10
	c) w Jewewach (pow. Trocki)	275	—
	d) w Strujnocach	200	—
5	Pensya dodatkowa Kanonikowi Znieczrodzkiemu } gub. Wołyńska	400	—
6	„ dożywotnia Prałatowi Kruszyńskiemu. . } gub. Wołyńska	1000	—
7	Farze w Grodnie za lokale zajęte w gmachu po-jezuickim	150	—
8	Zasiłki kościołom w Mikołajewie (51 rb.), Mohilewie (59 rb.) i Międzybożu (17 rb.) (gub. Podolska) wzamian za grunta	127	—
9	Suma ryczałtowa na zasiłki księżom, których działalność zjednała dla siebie uznanie Kijowskiego generał-gubernatora	5000	—
10	Zasiłki kościołom w Mitawie (397 rb. 80 k.), w Holdingenie (186 rb.) i w Libawie (328 r. 32 k.) w gub. Kurlandzkiej, wzamian za t. zw. deputat drzewa	912	12
11	Zasiłek kościołowi w Starczycach (gub. Mińska) wzamian za nienadane grunta	200	—
12	„ roczny księdzu Franciszkowi Jaszczołtowi	125	—
13	„ „ „ Teofilowi Wojczyńskiemu	360	—
14	„ „ „ Janowi Jurgiewiczowi (emerytura)	300	—
15	Pensya dodatkowa Prałatowi Pogorzelskiemu . . } gub. Podolska	200	—
16	Zasiłki kościołom wzamian za grunta nienadane: } gub. Podolska		
	a) w Tarnorudzie . . . . . } gub. Podolska	199	43
	b) w Czerniowcach . . . . . } gub. Podolska	450	—
	Ogółem różne wydatki . . .	11205	65
	Ogół wydatków w czterech dyecezyach w t. zw. guberniach Zachodnich .	233642	08

TABLICA IX.

Koszt utrzymania świeckiego duchowieństwa Rzymsko-Katolick. w guberniach i obwodach Cesarstwa i Syberyi w r. 1905.

№ porządk.	NAZWA GUBERNII I WYSZCZEGÓLNIENIE WYDATKU	Po szczególe RUB.	K.	Ogółem RUB.	K.
	I. Gubernie.				
	Gubernia Archangielska				
1	Utrzyman. kaplicy w Archangielsku i proboszcza	275	—		
2	Koszta wyjazdów proboszcza z posługą duchown.	75	—	350	—
	Gubernia Bessarabska				
1	Pensya dziekana w Kiszyniewie	170	—		
2	„ księdza w kościele w Bielcach. . . .	57	—		
3	Utrzymanie kościoła w Izmaile	230	—	457	—
	Gubernia Charkowska				
1	Utrzymanie księdza i służby kościelnej w Charkowie	215	—	215	—
	Gubernia Chersońska				
1	Pensya proboszcza w Chersoniu	85	75		
2	„ dożywotnia wikaryuszowi Mirosławowi Zacharczyk	180	—		
3	„ proboszcza w Mikołajewie	85	75		
4	Zasiłek proboszczowi Nikodemowi Czerniachowiczowi na czas pozostawania w Mikołajewie	400	—	751	50
	Gubernia Czernihowska				
1	Zasiłek roczny proboszczowi w Nieżynie księdzu Kolendo	400	—		
2	Zasiłek dożywotni b. czeskiemu księdzu Janowi Sasko	600	—	1000	—
	Gubernia Estlandzka				
1	Pensya proboszcza w Rewlu	400	—	400	—
	Gubernia Irkucka				
1	Pensya duchowieństwa katolickiego w Irkucku.	900	—		
2	„ wikaryusza kościoła w Irkucku . . .	400	—		
3	Proboszczowi na koszta wyjazdów	600	—	1900	—

№ porządk.	NAZWA GUBERNII I WYSZCZEGÓLNIENIE WYDATKU	Po szczególe RUB.	K.	Ogółem RUB.	K.
	Gubernia Jenisejska				
1	Pensya proboszcza w Krasnojarsku 600 rb. i koszty wyjazdów 500 rb.	1100	—		
3	Pensya wikaryusza w Krasnojarsku	300	—	1400	—
	Gubernia Liflandzka				
1	Proboszczowi kościoła w Jurjewie (dawn. Dorpat)	400	—	400	—
	Gubernia Pskowska				
1	Pensya proboszcza w Pskowie	57	—		
2	„ kapelana kaplicy w Wielkich Łukach	150	—	207	—
	Gubernia Riazańska				
1	Pensya kapelana kaplicy w Riazaniu	300	—	300	—
	Gubernia St.-Petersburska				
1	Utrzymanie kościoła Św. Jana Jerozolimskiego (Maltański)	2701	20		
2	Utrzymanie dochowieństwa i służby kościelnej	498	60		
3	Najem mieszk. dla dwu abbatów (proboszczów)	875	70		
4	„ „ „ kapelana	171	60		
5	„ „ „ trzech księży	843	50		
6	Utrzymanie kościoła w Kukuciszkach	225	50		
7	„ plebanii kościoła w Mejszagole	34	—		
8	Pensya księdza w ochronie „Dobrego Pasterza“	150	—		
9	Utrzymanie kościoła w Carskiem Siole	428	85		
10	„ „ „ Jamburgu	300	—		
11	„ „ „ Kronsztadzie	28	55	6239	50
	Gubernia Saratowska				
1	Przełożonemu nad kościołami Saratowskiemi	114	—		
2	Pensya dożywotnia prałatowi Baczewskiemu	400	—	514	—
	Gubernia Stawropolska				
1	Pensya proboszcza w Stawropolu	85	50	85	50
	Gubernia Taurydzka				
1	Utrzymanie kościoła parafialn. w Symferopolu	86	—		
2	Utrzym. kośc. ormiańsko-katol. w Karasubazarze	43	—	129	—

№ porządk.	NAZWA GUBERNII I WYSZCZEGÓLNIENIE WYDATKU	Po szczególe RUB.	K.	Ogółem RUB.	K.
	Gubernia Tobolska				
1	Pensya proboszcza w Tobolsku	500	—		
2	Koszta wyjazdów z pociechą duchowną do wygnańców politycznych	300	—		
3	Pensya wikaryusza w Tobolsku	300	—	1100	—
	Gubernia Tomska				
1	Proboszczowi kościoła w Tomsku.	758	—		
2	Pomocnikowi proboszcza (nazwa urzędowa) . .	300	—		
3	Koszta wyjazdów z pociechą duchowną do wygnańców politycznych	300	—	1358	—
	Gubernia Tyfliska				
1	Wizytator kościołów Rzymsko-Katolickich na Kaukazie i w Kraju Zakaukaskim (pensya 1300 rb., koszta wyjazdów 200 rb.) . . .	1500	—		
2	Duchownym parafialnym po 120 rb. w mieście Gori (Gruzya, obecnie gub. Tyfliska) i w mieście Kutaisie (dawniej Imeretya)	240	—		
3	Duchowieństwu kościoła w Kutaisie za grunta zabrane we wsi Gieguły	191	—		
4	Kościołowi w Achałcychu zasiłek na utrzymanie	300	—	2231	—
	Gubernia Ufańska				
1	Proboszczowi kościoła w Złatouście (pensya 505 rb. 50 kop., na mieszkanie 90 rb. i na służącego 25 rb.)	620	50		
2	Pomocnikowi księdza (nazwa urzędowa) . . .	85	80		
3	Stróżowi	48	—		
4	Opał mieszkania pomocnika 8 r. 80 k., kościoła 22 rb. i naprawy w kościele 2 r. 90 k. . .	33	70	788	—
	II. Obwody.				
	Obwód Akmoliński				
1	Księdzu Ferdynandowi Sęczykowskiemu . . .	500	—		
2	Proboszczowi w Omsku	300	—	800	—
	Obwód Amurski				
1	Proboszczowi miejscow. na koszta wyjazdów .	475	—	475	—

№ porządk.	NAZWA GUBERNII I WYSZCZEGÓLNIENIE WYDATKU	Po szczególe RUB.	K.	Ogółem RUB.	K.
	Obwód Primorski				
1	Duchownemu katolick. w Kraju Primorskim. .	600	—	600	—
	Obwód Terski				
1	Proboszczowi w Mozdowie	85	75		
2	Wikaryuszowi w Mozdowie	85	75		
3	Proboszczowi w Piatigorsku	150	—	321	50
	Obwód Wojska Dońskiego				
1	Utrzymanie kościoła w Taganrogu	306	—	306	—
	Obwód Zabajkalski				
1	Proboszczowi w Nerczyńsku 229 r. 17 k. i dodatkowo 180 rb.	409	17		
2	Zakrystyanowi.	42	25		
3	Na potrzeby kościoła	28	58		
4	Koszta wyjazdów 100 r. i na mieszkanie 100 r.	200	—	680	—
	III. Zarządy miejskie (Gradonaczalstwa).				
	w Odesie				
1	Pensya proboszcza w Odesie	400	—		
2	„ wikaryuszy 4 × 285 r. 87½ k.	1143	50	1543	50
	Różne wydatki.				
1	Wzamian za annuaty kościołowi w Libawie, zgodnie z aktem fundacyi książąt kurlandzkich Karola i Piotra, 13 marca 1762 roku i 21 stycznia 1772 roku.	400	—		
2	Kościołowi w Kobryniu podług przywilejów Królów Polskich i z mocy Ukazu Najwyższego wydanego 17 stycznia 1796 r. . . .	45	—		
3	Na różne etatowe i nadetatowe wydatki i potrzeby duchowieństwa katolickiego suma ryczałtowa	99207	22	99652	22
	Ogółem .	—	—	124203	72

TABLICA X.

Koszt utrzymania klasztorów męskich i żeńskich i wizytatorów klasztorów w t. zw. guberniach Zachodnich w r. 1905.

№ porządkowy	NAZWA DYECEZYI I KLASZTORU	Suma ogólna Ruble
	A. Klasztory męskie.	
1	Dyecezya Mohilewska:	
	Dominikanie w Agłonie klasztor II klasy gub. Witebska	2220
	Zasiłek temuż klasztorowi wzamian za służbę udzielaną dawniej z liczby włościan b. rządowych	400
2	Dyecezya Wileńska:	
	Bernardyni w Zasławiu klasztor II klasy (gub. Grodzieńska)	2220
	Franciszkanie w Grodnie klasztor II klasy	2220
	Zasiłek wzamian za służbę udzielaną dawniej z liczby włościan b. rządowych	576
3	Dyecezya Telszewska:	
	Bernardyni w Kretyndze klasztor I klasy	3185
		10821
	B. Klasztory żeńskie.	
1	Dyecezya Wileńska:	
	Benedyktynki w Wilnie klasztor III klasy	1455
	Zasiłek wzamian za służbę i t. d. . . .	252
	Brygidki w Grodnie, klasztor I klasy . .	2765
	Zasiłek wzamian za służbę i t. d. . . .	504
	Bernardynki w Słonimie klasztor III klasy	1455
	Zasiłek wzamian za służbę i t. d. . . .	210
2	Dyecezya Telszewska:	
	Benedyktynki w Kownie klasztor I klasy	2765
	Zasiłek wzamian za służbę i t. d. . . .	700
	Katarzynki w Krokowie klasztor II klasy	2155
	Zasiłek wzamian za służbę i t. d. . . .	500
		12761
	C. Dyecezyalni wizytatorowie klasztorów.	
1	W Archidyecezyi Mohilewskiej	400
2	W dyecezyi Wileńskiej	400
3	„ Łucko-Żytomierskiej	400
4	„ Telszewskiej	400
		1600
1	Suma ryczałtowa oddana do dyspozycyi Ministra Spraw Wewnętrznych na zasiłki dla nadetatowych zakonników i zakonnic . . .	26685
	Ogółem . . .	51867

TABLICA XI.

Dochody skarbu państwa, pokrywające część wydatków na Duchowieństwo Rzymsko-Katolickie w wewnętrznych guberniach Cesarstwa i t. zw. Zachodnich w r. 1905.

№ porządkowy	ŹRÓDŁA DOCHODÓW	Suma roczna RUBLE	K.
	A. W guberniach Cesarstwa		
1	Z należącego do Duchowieństwa katolickiego kapitału zwanego „pomocniczym“		
	a na utrzymanie Wice-Dyrektora Departamentu Obcych Wyznań	2800	—
	b na utrzymanie urzędnika i kancelisty do rachuby długów duchowieństwa katolickiego	1980	—
	c na utrzymanie osób przyjętych do Departamentu Obcych Wyznań i przygotowujących się do zajęcia posad etatowych	3500	—
	d na utrzymanie w Rzymie agenta do spraw duchownych 1500 rb. metalicznych czyli .	2250	—
	e na pokrycie części kosztów utrzymania:		
	1) Cesarskiej Akademii Duchownej Rzymsko-Katolickiej w St.-Petersburgu . .	19845	—
	2) Kancelaryi przybocznej Metropolity. .	1494	34
	3) Mohilewskiej Archikatedry i kapituły .	4310	—
	4) Seminaryum metropolital. w St.-Petersb.	14000	—
	5) Mohilewskiego konsystorza i kapituły .	3580	—
	6) Rzymsko-Katolickiego Collegium Duchownego w Petersburgu	23000	—
	Ogółem w Cesarstwie . . .	76759	34
	B. W t. zw. guberniach Zachodnich.		
1	Z dzierżawy domu po-klasztornego w Berdyczowie (gub. Kijowska)	3689	60
2	Z dzierżawy domu po-trynitarskiego w Kamieńcu Podolskim (gub. Podolska)	300	—
3	Procenty od kapitału 6000 rb., legowanego w r. 1797 przez ks. Dziurdziewicza na utrzymanie w Bujwidzach (gub. Wileńska), przy kościele katolickim, domu dla 4 sióstr Miłosierdzia i szpitala dla biednych	1749	—
	(W r. 1905 kapitał ten wynosił 53862 rb. Od roku 1893 procenty nie wydatkują się, zgodnie z intencyą legataryusza z powodu spalenia się szpitala. Od owego roku procenty dopisują się do kapitału).		
	Ogółem w t. zw. guberniach Zachodnich	5738	60

Od redakcyi „PRACY.“

Prosimy czytelników o nadsyłanie nam wszelkich materyałów, informacyj i notatek dotyczących spraw administracyjnych, ekonomicznych i społecznych. Na nadesłane nam pytania z zakresu spraw powyższych, postaramy się udzielać stosownych odpowiedzi lub informacyj.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

Warszawa. Druk A. Ginsa.

№ 5.



PRACA

Dodatek poświęcony artykułom w sprawach administracyjnych, ekonomicznych, prawnych i społecznych, oraz materyałom spraw tych dotyczącym.

Treść: Wybory w Warszawie w świetle cyfr, przez Ig. Chabielskiego. — Od redakcyi „Pracy.“

Wybory w Warszawie

w świetle cyfr.

Stajemy wobec sprawy u nas zupełnie nowej. Aczkolwiek bowiem w historycznym rozwoju dziejowym byliśmy jednym z pierwszych narodów w Europie, sprawujących rządy konstytucyjne, niemniej wprowadzenie w życie ustaw wyborczych w chwili obecnej, po przerwanym ciągu istniejących tradycyj, wprowadza nas w świat nowy, dotychczas leżący odłogiem.

Spodziewane zmiany w ustroju Królestwa Polskiego przy przejściowej ich obecnej formie, wymagają całokształtu danych ścisłych, dotyczących ludności i różnych przejawów życia publicznego.

Zupełny prawie brak statystyki wykraczającej po za granice ruchu ludności i ruchu handlowo-przemysłowego; bezkrytyczne sporządzanie wykazów urzędowych, wreszcie nagląca sprawa rzeczowego poparcia cyframi obrony praw naszych i interesów w Izbie Państwowej, były najważniejszą przyczyną podjęcia pracy związanej z dokonanemi wyborami w Warszawie.

Pierwsza praca, poświęcona statystyce wyborczej, nie rości pretensyi do nieomylności. Praktyka niedalekiej przyszłości wyniki jej może zachwiać a nawet zniweczyć, ale raz zacząć trzeba, a obronę dla pierwszej próby widzimy w zupełnym braku podstaw naukowych dla statystyki wyborczej i, co więcej, w braku wyczerpujących i odpowiednio opracowanych danych statystycznych.

Pracę naszą składają działy następujące.

A. Ludność Warszawy.
B. Technika prac przedwyborczych.
C. Lista prawyborców m. Warszawy.
D. Prawybory w Warszawie.
E. Koszta wyborów.

A. Ludność Warszawy.

Statystyczne dane co do ludności Warszawy układamy na zasadzie wykazów urzędowych, sporządzanych co roku przez biura cyrkułowe. Z rzędu statystyk urzędowych, jest to jedyna, którą możemy się posługiwać, bowiem uważamy ją za dokładniejszą niż inne.

Za punkt wyjścia do podziału ludności przyjęto w tej statystyce stany („sosłowia“) i wyznania; w przeprowadzeniu logicznem pierwszego pojęcia przez statystykę urzędową panuje jeszcze zamęt i nieścisłość.

W pierwszym rzędzie wynika to z odrębności pojęć zasadniczych u nas i w Rosyi.

W Rosyi istnieje właściwie pięć stanów: duchowieństwo, szlachta, mieszczanie, kupcy i włościanie. Biurokratyzm dodał do tych kategoryj specyalną kastę urzędniczą: szlachtę osobistą[1]) (licznyj dworianin) i obywateli osobistych (licznyj graždanin). Podział taki u nas nie istnieje ani w tradycyach, ani w życiu narodu.

Anomalja ta przeszczepiona na grunt polski, z drugiej zaś strony konieczność choćby względnego przystosowania się do warunków miejscowych, wprowadziła do stanu mieszczańskiego handlujących („torgowcew“) i rzemieślników. Zamęt zwiększa bardziej jeszcze wprowadzenie rubryki wojskowych dymisyonowanych i ich rodzin (?) bez odpowiedniej rubryki dotyczącej dymisyonowanych urzędników cywilnych i ich rodzin.

[1]) T. j. nie dziedziczną.

Już z tego pobieżnego zestawienia widzimy, że rubryki powyżej przytoczone są zupełnie nie współmierne co do pojęć, jakie mają wyobrażać, i nie posiadają cech wyłączności. Np. rzemieślnik może być zarazem mieszczaninem lub szlachcicem, hadlujący obywatelem osobistym i t. d.

Zmuszeni do posiłkowania się takim materyałem, zachowujemy ten oryginalny podział, niechcąc przez samowolne łączenie rubryk wprowadzać jeszcze większego zamieszania.

Nieco lepiej ma się sprawa podziału na wyznania, choć i w tym wypadku popełniono kardynalny błąd łącząc dwa wyznania ewangielicko-augsburskie i ewangielicko-reformowane w jedną całość, pod nazwą „protestantów.“ Rubryka unitów również nie jest przeprowadzona.

Tablice tutaj dołączone dają pojęcie o ludności Warszawy. W układzie całości utrzymany został podział na cyrkuły.

Ponieważ obręb cyrkułu policyjnego jest przyjęty, jako okręg wyborczy, przeto podajemy specyalną tablicę wskazującą granice każdego cyrkułu. Tablica ta ułożoną została w ten sposób, że wychodząc z danego punktu i wymieniwszy kolejno ulice, stanowiące granice cyrkułu, powracamy do punktu z któregośmy wyszli. Tablica ta w zestawieniu z tablicą ludności, według wyznania, da możność dokładnego oryentowania się w dzielnicach Warszawy o przeważającem zaludnieniu obcoplemiennem i wyjaśni wyniki głosowania wyborczego w pewnych okręgach.

Tablica I.

Granice cyrkułów w Warszawie.

Tablica II.

Ludność według stanów.

Tablica III.

Ludność według wyznań.

Tablica IV.

Ludność żydowska.

Tablica V.

Ludność wyznania prawosławnego.

TABLICA I.

Podział Warszawy na Cyrkuły Policyjne (Okręgi wyborcze) i ich granice:

I. Zamkowy.	Brzegiem Wisły od ul. Boleść do Leszczyńskiej, Leszczyńska, Obożna, Krak.-Przedmieś., Królewska, Saski Ogród, Żabia, Pl. Bankowy, Senatorska, Pl. Teatralny, Senatorska, Miodowa do Kapitulnej, Kapitulna, Podwale, Mostowa i Boleść do Wisły.
II. Soborny.	Boleść, Mostowa, Podwale, Kapitulna, Miodowa, Senatorska, Pl. Teatralny, Senatorska, Pl. Bankowy, Rymarska, Przejazd, Sto-Jerska, Nowowiniarska, Bonifraterska, Szymanowska, linia kolei Obwodowej do 2 mostu na Wiśle.
III. Mostowski.	Przejazd, Leszno, Solna, Ogrodowa, Pl. Wolski, Okopowa, Pawia, Dzika, Nowolipie do Przejazd.
IV. Bielański.	Cytadela, Rogatki Marymonckie, Zaokopowa, Błońska, Dzika, Nowolipki, Sto-Jerska, Nowowiniarska, Bonifraterska, Szymanowska, linia kolei Obwodowej.
V. Powązkowski.	Linia kolei Obwodowej, Zaokopowa, Błońska, Dzika, Pawia, Okopowa, Powązkowska, linia kolei Obwodowej.
VI. Towarowy.	Grzybowska od Ciepłej, Nowo-Grzybowska, Karolkowa do linii kolei Wiedeńskiej, Rog. Jerozolimskie, Grójecka, Aleja Raszyńska, Koszykowa, Żelazna, Twarda do Ciepłej, Ciepła do Grzybowskiej.
VII. Wolski.	Rymarska, Żabia, Graniczna, Grzybowska, Nowo-Grzybowska, Karolkowa, Wolska, Młynarska, Cmentarz Kalwiński, Nowo-Żytnia, Zaokopowa, Pl. Wolski, Ogrodowa, Solna, Leszno, Rymarska.
VIII. Jerozolimski.	Marszałkowska od Królewskiej do Chmielnej, Chmielna, Żelazna, Twarda, Ciepła, Grzybowska, Królewska do Marszałkowskiej.
IX. Łazienkowski.	Aleje Jerozolimskie od Wisły do Kruczej, Krucza, Mokotowska, Marszałkowska, Langnerowska, Parkowa, Al. Belwederska, Górna, Wiejska, Górna, Agrykola Górna, Huzarska, Czerniakowska, brzeg Wisły do Al. Jerozolimskiej.
X. Nowoświecki.	Od Wisły Leszczyńska, Obożna, Krak.-Przedmieście, Królewska, Marszałkowska, Al. Jerozolimskie do Wisły, brzegiem Wisły do Leszczyńskiej.
XI. Mokotowski.	Marszałkowska od Bagateli, Mokotowska, Krucza, Al. Jerozolimskie, Marszałkowska Chmielna, Żelazna, Koszykowa, Raszyńska, Nowo-Wiejska, Polna do Bagateli, Marszałkowska.
XII. Praski.	Całe przedmieście Praga.

TABLICA II.

Ludność miasta Warszawy według stanów i pochodzenia w roku 1905.

Cyrkuł	Ludność	1. Szlachta dziedzicz. i osobista		2. Duchowieństwo świeckie i zakonne		3. Obywatele honorowi dziedzicz. i osobiści		4. Kupcy i handlujący	
		Męż.	Kob.	Męż.	Kob.	Męż.	Kob.	Męż.	Kob.
I.	Stałych. . .	543	579	39	13	29	27	1269	1149
	Niestałych. .	629	630	130	23	73	83	916	858
II.	Stałych. . .	315	369	9	13	41	40	1248	915
	Niestałych. .	330	352	23	8	36	47	991	807
III.	Stałych. . .	263	323	9	—	7	1	1685	1664
	Niestałych. .	270	286	15	—	22	31	2261	2497
IV.	Stałych. . .	190	208	—	—	1	—	3002	3376
	Niestałych. .	64	83	—	—	2	—	2995	2426
V.	Stałych. . .	40	38	2	—	1	1	2624	2172
	Niestałych. .	50	39	1	—	4	4	3140	2578
VI.	Stałych. . .	269	300	—	2	18	12	1457	1384
	Niestałych. .	355	356	1	16	62	69	1711	1648
VII.	Stałych. . .	540	576	2	—	14	24	3918	3096
	Niestałych. .	550	570	11	—	102	103	2270	2252
VIII.	Stałych. . .	540	285	4	—	16	—	2906	3330
	Niestałych. .	784	331	5	—	42	—	3036	2242
IX.	Stałych. . .	1172	1372	2	—	118	54	691	510
	Niestałych. .	2318	2491	29	—	184	147	784	581
X.	Stałych. . .	1471	1318	2	13	38	30	914	584
	Niestałych. .	1000	1192	11	44	79	104	516	564
XI.	Stałych. . .	2530	3170	20	38	202	250	764	638
	Niestałych. .	4169	4916	23	30	293	338	1498	1687
XII.	Stałych. . .	332	316	4	—	165	173	1481	1130
	Niestałych. .	697	650	13	7	138	93	1728	1453
	Ogółem . .	19421	20756	355	207	1687	1631	43805	39541
	Stałych. . .	8205	8860	93	79	648	612	21959	19948
	Niestałych .	11216	11896	262	128	1039	1019	21846	19593

Cyrkuł	Ludność	5. Mieszczanie		6. Rzemieślnicy		7. Włościanie		8. Dymisyon. wojskowi i ich rodziny		9. Obcy poddani		Ogółem	w Cyrkule
		Męż.	Kob.	Męż.	Kob.	Męż.	Kob.	Męż.	Kob.	Męż.	Kob.		
I.	Stałych. . .	6017	7195	3196	2542	522	708	474	372	—	—	24764	
	Niestałych. .	4980	5446	3417	3255	3982	4888	755	755	679	847	32346	57110
II.	Stałych. . .	4156	5610	1705	1202	nie wy	kazano	279	312	—	—	16214	
	Niestałych. .	6159	7318	2749	1607	„	„	567	417	212	236	21859	38073
III.	Stałych. . .	7919	8360	4004	4349	„	„	426	443	—	—	29453	
	Niestałych. .	13680	14453	6428	6507	„	„	949	970	638	704	49711	79164
IV.	Stałych. . .	1897	2145	6857	8564	„	„	737	724	—	—	27701	
	Niestałych. .	2607	1344	7117	8897	1138	1387	391	405	24	37	28917	56618
V.	Stałych. . .	6343	6958	4369	3639	„	„	748	715	—	—	27650	
	Niestałych. .	3118	3399	7351	5734	5076	6219	927	1001	192	171	39004	66654
VI.	Stałych. . .	6330	7753	2936	2369	„	„	542	474	—	—	23846	
	Niestałych. .	4831	6948	4969	3996	6911	7141	1049	871	279	259	41472	65318
VII.	Stałych. . .	8960	10754	2990	2964	„	„	990	880	—	—	35704	
	Niestałych. .	8880	8250	4606	4008	„	„	1306	1456	717	831	35916	71620
VIII.	Stałych. . .	8048	8760	2462	2417	„	„	280	118	—	—	29166	
	Niestałych. .	4920	7214	2010	1718	1270	2753	541	693	268	326	28153	57319
IX.	Stałych. . .	7011	11343	2022	262	„	„	721	801	—	—	26079	
	Niestałych. .	5201	8001	3300	748	5503	6164	3245	2151	457	621	41925	68004
X.	Stałych. . .	4383	6191	1538	976	„	„	169	149	—	—	17776	
	Niestałych. .	8919	10245	1856	1653	1343	1543	342	565	597	1182	31760	49536
XI.	Stałych. . .	5297	7215	1511	2016	„	„	393	418	—	—	23468	
	Niestałych. .	8550	13020	2840	2306	300	500	1265	1088	634	1024	45481	68949
XII.	Stałych. . .	6659	8253	1649	1138	„	„	659	668	—	—	22827	
	Niestałych. .	5687	6409	3562	2701	8574	9564	1739	1748	406	352	45521	68148
	Ogółem . .	150552	182584	85444	75568	34619	40957	19494	18194	5103	6590	746513	746513
	Stałych. . .	73020	90537	32239	32438	522	798	6418	6074	—	—	304448	746513
	Niestałych .	75532	92047	53205	43130	34097	40157	13076	12120	5103	6590	442065	

TABLICA III.

Ludność Warszawy w końcu roku 1905 **według wyznań.**

Cyrkuł	Ludność	Rzymsko-katolickie		Mojżeszowe		Prawosławne	
		Męż.	Kob.	Męż.	Kob.	Męż.	Kob.
I.	Stała. . . .	8722	9431	2791	2756	366	263
	Niestała . .	12435	13239	1936	2485	879	764
II.	Stała. . . .	3579	4140	3903	4053	135	123
	Niestała . .	6494	6650	3369	3326	1009	614
III.	Stała. . . .	6164	6700	7765	8084	104	103
	Niestała . .	12403	13484	10982	11030	478	432
IV.	Stała. . . .	639	1064	11966	13863	41	57
	Niestała . .	1908	2017	11898	11995	502	527
V.	Stała. . . .	3495	3449	9682	9904	76	35
	Niestała . .	5207	5491	13716	12592	1056	389
VI.	Stała. . . .	7416	8096	3710	3781	179	151
	Niestała . .	15864	16618	3451	4148	502	176
VII.	Stała. . . .	8936	9801	7830	8063	125	114
	Niestała . .	10123	11861	6291	4023	774	722
VIII.	Stała. . . .	5995	6640	7117	7146	548	658
	Niestała . .	7180	6307	4396	7776	594	761
XI.	Stała. . . .	8300	9550	2068	3204	477	571
	Niestała . .	15067	13487	1511	2372	3111	3525
X.	Stała. . . .	6546	7317	1201	1210	205	171
	Niestała . .	12542	15065	905	931	743	565
XI.	Stała. . . .	8453	10520	1530	1535	231	309
	Niestała . .	15072	21137	1229	1414	2617	2767
XII.	Stała. . . .	6529	7009	3754	3985	459	449
	Niestała . .	13987	14398	5008	5364	3001	2668
	Ogółem . .	203056	223471	128009	135040	18212	16914

Protestanckie		Ormiano-Greg.		Mahometańskie		Sekciarze		Ogółem		Ogółem mężczyzn i kobiet	W Cyrkule
Męż.	Kob.	Męż.	Kob.	Męż.	Kob.	Męż.	Kob.	Męż.	Kob.		
206	224	2	—	2	1	—	—	12089	12675	24764	
273	275	14	9	24	13	—	—	15561	16785	32346	57110
132	142	—	—	—	—	4	3	7753	8461	16214	
149	165	24	15	14	6	8	16	11067	10792	21859	38073
257	246	—	—	—	—	23	7	14313	15140	29453	
384	468	2	5	—	—	14	29	24263	25448	49711	79164
9	11	—	—	—	—	49	47	12704	15042	27746	
15	33	—	—	11	2	4	5	14338	14579	28917	56663
247	337	—	—	—	2	—	1	13500	13728	27228	
479	541	—	—	3	2	—	4	20461	19019	39480	66708
241	259	5	4	1	3	—	—	11552	12294	23846	
334	342	8	10	9	10	—	—	20168	21304	41472	65318
512	304	1	1	—	—	—	—	17404	18283	35687	
1233	852	3	2	—	—	—	—	18424	17460	35884	71571
591	466	5	—	—	—	—	—	14256	14910	29166	
694	427	12	6	—	—	—	—	12876	15277	28153	57319
892	1017	—	—	—	—	—	—	11737	14342	26079	
1322	1511	10	9	—	—	—	—	21021	20904	41925	68004
549	561	10	—	4	2	—	—	8515	9261	17776	
457	531	3	2	13	3	—	—	14663	17097	31760	49536
344	404	39	46	2	5	—	—	10599	12819	23418	
444	648	60	75	12	—	6	—	19440	26041	45481	68899
187	220	8	2	—	—	12	13	10949	11678	22627	
452	497	20	19	58	12	18	19	22544	22977	45521	68148
10403	10481	226	205	153	61	138	144	360144	386333	746513	746513

Ze względu na ważne znaczenie stosunku ludności obcoplemiennej ludności żydowskiej i rosyjskiej, do ludności polskiej, przyłączamy dwie tablice z wykazem zamieszkałej w Warszawie.

TABLICA IV.

Ludność żydowska w Warszawie w końcu roku 1905.

Cyrkuł	Ludność	ŻYDÓW		Ogółem w cyrkule		Razem Żydów	Ludności ogólnej w cyrkule	W stosunku do ogółu ludności % Żydów
		Męż.	Kob.	Męż.	Kob.			
IV.	Stała. . .	11966	13863					
	Niestała. .	11898	11995	23864	25858	49722	56663	87.7%
V.	Stała. . .	9682	9904					
	Niestała. .	13716	12592	23398	22496	45894	66708	68.7%
III.	Stała. . .	7765	8084					
	Niestała. .	10982	11030	18747	19114	37861	79174	47.6%
VIII.	Stała. . .	7117	7146					
	Niestała. .	4396	7776	11513	14922	26435	57319	46.1%
II.	Stała. . .	3903	4053					
	Niestała. .	3369	3326	7272	7379	14671	38073	38.4%
VII.	Stała. . .	7830	8063					
	Niestała. .	6291	4023	14121	12086	26207	71573	36.5%
XII.	Stała. . .	3754	3985					
	Niestała. .	5008	5364	8762	9349	18111	68148	28.0%
VI.	Stała. . .	3710	3781					
	Niestała. .	3451	4148	7161	7929	15090	65318	23.1%
I.	Stała. . .	2791	2756					
	Niestała. .	1936	2485	4747	5241	9968	57110	17.4%
IX.	Stała. . .	2068	3204					
	Niestała. .	1511	2372	3579	5576	9155	68004	13.4%
X.	Stała. . .	1201	1210					
	Niestała. .	905	931	2106	2141	4247	49536	8.5%
XI.	Stała. . .	1530	1535					
	Niestała. .	1229	1414	2759	2949	5708	68899	8.2%
	Ogółem . .	128009	135040	128009	135040	263049	746613	35.5%
	Stałej . . .	63317	67584	63317	67584	130901	304448	
	Niestałej . .	64692	67456	64692	67456	132148	442065	

Z Tablicy niniejszej wnioskujemy, że większość ludności żydowskiej stanowi element napływowy, uwarunkowany poczęści znanem prawem o ograniczeniach miejsca osiedlenia Żydów w Rosyi.

TABLICA V.

Ludność wyznania prawosławnego w Warszawie w końcu 1905 r.

Cyrkuł, Ludność		Prawosławnych		Ogółem w cyrkule		Razem prawosław.	Ludności ogólnej w cyrkule	W stosunku do ogółu ludności % prawosław.
		Męż.	Kob.	Męż.	Kob.			
IX.	Stała. . .	477	571					
	Niestała. .	3111	3525	3588	4096	7684	68004	11.2%
XII.	Stała. . .	459	449					
	Niestała. .	3001	2668	3460	3117	6577	68148	9.6%
XI.	Stała. . .	231	309					
	Niestała. .	2617	2767	2848	3076	5924	68899	8.5%
II.	Stała. . .	135	123					
	Niestała. .	1009	614	1144	737	1881	38073	4.9%
VIII.	Stała. . .	548	658					
	Niestała. .	594	761	1142	1419	2561	57319	4.4%
I.	Stała. . .	366	263					
	Niestała. .	879	764	1245	1027	2272	57110	3.9%
X.	Stała. . .	205	171					
	Niestała. .	743	565	948	736	1684	49536	3.4%
VII.	Stała. . .	125	114					
	Niestała. .	774	722	899	836	1735	71571	2.4%
V.	Stała. . .	76	35					
	Niestała. .	1056	389	1132	424	1556	66708	2.3%
IV.	Stała. . .	41	57					
	Niestała. .	502	527	543	584	1127	56663	1.9%
VI.	Stała. . .	179	151					
	Niestała. .	502	176	681	327	1008	65318	1.5%
III.	Stała. . .	104	103					
	Niestała. .	478	432	582	535	1217	79164	1.5%
	Ogółem . .	18212	16914	18212	16914	35126	746513	4.7%

Z ludności prawosławnej niewielka część, około 20%, mieszka stale w Warszawie; z ogólnej liczby 18212 mężczyzn i 16914 kobiet, tylko 2946 mężczyzn i 3004 kobiet należy do ludności stale w Warszawie osiedlonej, reszta, to jest 15266 mężczyzn i 13910 kobiet, stanowi ludność napływową, czasowo zamieszkałą za dowodami wydanemi przez władze Cesarstwa.

Przewaga liczby mężczyzn nad kobietami jest również nienormalnym stosunkiem liczebnym płci, ponieważ w Warszawie ludność płci żeńskiej przewyższa stale ludność męzką; objaw ten należy przypisać temu, że większość ludności rosyjskiej składają przyjezdni urzędnicy rosyanie.

B. Technika pracy biur przedwyborczych.

I. Wskazówki ogólne.

Wybory i związana z nimi sprawa wygotowania list prawyborców, była dla wszystkich nowością. Wszelkie instrukcye i teorytycznie obmyślane wskazania, wobec niczem niezastąpionej praktyki i całego szeregu wysuwanych przez nią zagadnień, okazały się albo niedostatecznemi lub zgoła nie licującemi z najszybszą techniką, obliczoną na najmniejsze koszta przy osiągnięciu maximum wydajności pracy.

Nie wdając się w ocenę trafności środków stosowanych przez biura przedwyborcze, przedstawimy jedynie obraz przebiegu techniki prac wyborczych w przeciągu około 3 miesięcy w biurach okręgowych i Biurze Centralnym przedwyborczym.

Ordynacye wyborcze rozczłonkowały całą pracę na dwie główne części: wygotowanie list pierwotnych (według ordynacyi Bułygina wydanej 6 (19) sierpnia 1905 r.) i dodatkowych (według uzupełniającej ordynacyi, wydanej 11 (24) grudnia 1905 r.).

*

* *

Pierwsza ordynacya, powołująca wyłącznie klasy zamożne ludności, zasadzała się na cenzusie podatkowym. Dane co do wszystkich kategoryj prawyborców: właścicieli nieruchomości, kupców, przemysłowców i płatników podatku mieszkaniowego, biuro magistratu mogło zaczerpnąć bezpośrednio ze źródła t. j. z urzędowych wykazów odnośnych instytucyj, ściągających podatki.

Przy wygotowaniu list wydział Magistratu posługiwał się:

1) co do właścicieli nieruchomości: wykazami płatniczemi Wydziału Kasowego Magistratu. Przed rozpoczęciem prac wykazy te przesłano do wydziału hipotecznego przy Sądzie Okręgowym w celu poczynienia zmian, które zaszły od czasu sporządzenia wykazów pierwotnych.
2) co do kupców i przemysłowców Oddział patentowy Wydziału Kasowego Magistratu przesłał do biura swoje wykazy. Jak wiadomo zaproszono na zasadzie ordynacyi kupców dwóch

pierwszych gildyj i opłacających podatek przemysłowy pięciu pierwszych kategoryj.

3) Płatników podatku osobistego przemysłowego, zarządzających, członków zarządów, dyrektorów i t. d. towarzystw akcyjnych wniesiono na listę na zasadzie wykazów Izby Skarbowej; zamieszczono na liście Bułygina opłacających podatek 1-ej kategoryi.

4) Płatników podatku mieszkaniowego, płacących komornego więcej niż 1000 rb., umieszczono również na zasadzie wykazów alfabetycznych Izby Skarbowej przesłanych do biur w Magistracie.

Na każdą osobę sporządzono kartki specyalnie drukowane, z szematem zawierającym następujące rubryki: a) imię, nazwisko, imię ojca, b) pięć kategoryj cenzusów, c) miejsce zamieszkania, d) oznaczenie, czy nie ma przeszkód do zamieszczenia danej osoby na liście prawyborców, e) jeżeli przeszkody istnieją, należy wykazać na zasadzie jakiego mianowicie punktu Ustawy wyborczej dana osoba pozbawiona jest głosu.

Na odwrotnej stronie wydrukowano wyciąg z Ustawy, zawierający wyszczególnienie kategoryi osób pozbawianych prawa udziału w głosowaniu.

Szematy rosyjskie kartek, wielkości ćwiartki arkusza, po zapełnieniu pierwszych trzech rubryk (a, b, c) przesyłano do policyi, która, przez swych urzędników, wypełniała dwie pozostałe rubryki. Jedynym zatem sprawdzianem urzędowym były informacye policyi[1]).

Po otrzymaniu kartek z policyi, biuro, po uprzedniem sprawdzeniu ich z wykazami na zasadzie których były napisane, sporządziło drugie egzemplarze kartek, z wyłączeniem osób nie mających prawa udziału według orzeczenia policyi i z kartek tych po rozsegregowaniu na okręgi i ułożeniu porządkiem alfabetycznym sporządziło listę pisaną, która następnie oddaną została do druku. Ogólna lista prawyborców wykazuje 105,169 osób mających prawo czynne. Liczbę prawyborców podług okręgów wykazuje Tablica № VI.

Praca nad sporządzeniem list uzupełniających według ordynacyi dodatkowej z 11 (24) grudnia, z natury swej była bardziej skomplikowaną. Wpłynęły na to dwie kardynalne przyczyny 1) wzrost liczb prawyborców; 2) konieczność bezpośrednich

[1]) Wzór kartki tej w przekładzie z języka urzędowego podajemy na str. 15.

deklaracyj osobistych tej kategoryi prawyborców nie opłacających podatku mieszkaniowego.

Wzrost liczby prawyborców był następujący: Lista Bułygina zawierała około 8.000 nazwisk, lista zaś dodatkowa przeszło 100.000 (dokładne liczby podamy we właściwym miejscu). Warszawę w celu sporządzenia list dodatkowych podzielono na 12 okręgów, według podziału na cyrkuły policyjne.

Praca biur okręgowych, złożonych z 10 urzędników, polegała początkowo na przyjmowaniu osobistych deklaracyj 5-ej kategoryi prawyborców pod dozorem i kontrolą bezpośrednią członków komisyi magistrackiej, złożonej z zaproszonych obywateli.

Wymagano świadectwa rządcy domu o czasie zamieszkania i okazania dowodu legitymacyjnego, pozostawiając sprawdzenie osobistości w drodze urzędowej.

Rządca każdego domu, według przesłanego szematu, sporządzał listy lokatorów nie opłacających podatku mieszkaniowego. Listy te następnie sprawdzane były przez cyrkuły i zaświadczane. O ile dana osoba nie mogła być zamieszczona na liście z przyczyn przez prawo przewidzianych, czyniono o tem odpowiednią adnotacyę we właściwej rubryce.

Jak listy te zostały wypełnione przez rządców domów i czy odrazu swemu zadaniu odpowiedziały, wymownie pouczy zestawienie dwóch kolejno sporządzonych list prawyborców 5-ej kuryi w Okręgu X (Tablica VII). Błędy i różnice są tak rażące, że nie widzimy potrzeby bliżej je omawiać. Na dobre lub złe wypełnienie tych list złożyło się wiele różnorodnych czynników. Nie wdając się zatem w ich ocenę, wskażemy jedynie zasadniczy błąd stosowania tego systemu.

Ponieważ każdy prawyborca musiał być sprawdzony przez policyę, należało, chcąc uniknąć niedokładności i co ważniejsza stratę czasu [1]), zamiast posyłania kartek *sporządzić listy wszystkich mieszkańców w każdym domu i po zaświadczeniu i sprawdzeniu ich przez policyę, przesłać je do biur okręgowych.* Zmiana ta przedłużyłaby o tydzień może sporządzenie list, natomiast komisye okręgowe bezpośrednio po uporządkowaniu materyałów nadesłanych przez Magistrackie Biuro Centralne, mogłyby sprawdzać kwalifikacye każdego prawyborcy na miejscu, nie posyłając nawet do policyi.

---

[1]) W niektórych okręgach policya zalegała ze sprawdzaniem kart do ostatniego terminu, co uniemożliwiło normalną pracę biur okręgowych.

Wzór kartki kandydata na prawyborcę

(w przekładzie z języka urzędowego).

№ porządkowy . . . . . № cyrkułu policyjnego . . . . . .

Nazwisko . . . . . .

Imię . . . . . .

Imię ojca . . . . . .

Podstawa zamieszczenia na liście prawyborców

1) nieruchomość № $\frac{\text{hipoteczny}}{\text{policyjny}}$ przy ul. . . . . .

2) przedsiębiorstwo handlowe w domu № . . . . przy ul. . . . . .

„ przemysłowe w domu № . . . . przy ul. . . . . .

3) podatek osobisty—przemysł. w domu № . . . . przy ul. . . . . .

4) podatek mieszkaniowy w domu № . . . . przy ul. . . . . .

5) mieszkanie własne w domu № . . . . przy ul. . . . . .

6) pensya lub emerytura w instytucyi rządowej . . . . . .

Miejsce zamieszkania: ulica . . . . . № . . . . .

Cyrkuł policyjny . . . . . .

Rodzaj zajęcia . . . . . .

Czy niema przeszkód do udziału w wyborach? . . . . . .

Jeżeli są, to jakie mianowicie? . . . . . .

(art. . . . . punkt . . . . przepisów, wydrukowanych na odwrotnej stronie).

Wyciąg z Ustawy wyborczej do Izby Państwowej

art. 6.

art. 7.

art. 8.

TABLICA VI.

Ogólna lista prawyborców.

Cyrkuł	I	. . . . .	7075 osób
„	II	. . . . .	4948 „
„	III	. . . . .	13104 „
„	IV	. . . . .	7937 „
„	V	. . . . .	9330 „
„	VI	. . . . .	8922 „
„	VII	. . . . .	8936 „
„	VIII	. . . . .	7315 „
„	XI	. . . . .	7984 „
„	X	. . . . .	6679 „
„	IX	. . . . .	9216 „
„	XII	. . . . .	13723 „
		Ogółem . . .	105169 osób

Liczba prawyborców podana, sporządzona została według listy Polskiej, różniącej się nieco (104840) od listy rosyjskiej, która, jako sporządzona w języku urzędowym, ma charakter urzędowy. W dalszym ciągu posiłkujemy się liczbą 104840.

Podział nazwisk prawyborców według liter (str. następna) uwzględniamy dlatego, że przyjęty został, jako zasada, do podziału Okręgów na 57 podkomisyj.

Podział prawyborców podług pierwszej litery nazwiska.

Okręg	A.	B.	C.	D.	E.	F.	G.	H.	I.	J.	K.	L.	Ł.	M.	N.	O.	P.	R.	S.	T.	U.	V.	W.	Z.	Ż.
I	110	497	250	279	58	171	515	112	34	219	966	241	80	500	186	162	479	371	887	180	31	7	463	214	63
II	93	357	167	160	47	181	381	116	37	138	562	211	53	349	121	90	317	273	579	133	21	—	352	174	36
III	286	978	465	411	140	481	958	481	78	362	1557	554	113	899	273	215	755	807	1444	337	59	—	880	505	66
IV	242	635	247	165	147	487	742	272	39	145	835	364	37	493	154	117	366	598	808	234	10	—	478	289	33
V	244	737	368	281	147	508	835	187	54	222	1020	389	58	492	178	167	447	633	1052	221	36	—	616	396	42
VI	156	644	373	319	79	239	621	136	35	300	1204	276	119	625	172	198	559	468	1083	190	47	—	683	303	93
VII	175	728	359	290	89	342	704	248	47	239	1063	358	76	572	204	177	516	512	1024	223	30	—	594	313	53
VIII	130	543	238	224	104	332	597	236	47	189	823	352	57	448	177	144	410	473	825	196	37	—	477	225	31
IX	136	576	295	301	54	182	565	134	46	267	1104	246	105	608	147	195	539	406	961	201	36	2	544	265	69
X	106	512	268	257	55	151	410	137	30	238	889	218	87	541	140	142	434	354	824	160	27	2	393	233	71
XI	125	681	383	409	72	184	595	153	56	321	1181	302	106	665	245	213	612	422	1126	277	49	3	608	341	87
XII	253	924	596	537	109	443	926	252	77	451	1754	443	166	873	324	300	886	757	1675	344	70	—	913	536	114
	2056	7812	4009	3633	1101	3701	7849	2464	580	3091	12958	3954	1057	7065	2321	2120	6320	6074	12288	2696	453	14	7001	3794	758

TABLICA VII.

Sporządzone przez rządców domów X okręgu wykazy mieszkańców nieopłacających podatku mieszkaniowego (5-ta kategorya).

Ogólna liczba list	ULICA	Liczba nadesłanych list		Liczba mieszkańców		Przeciętna liczba	
		Pierwsze listy	Drugie listy	Pierwsze listy	Drugie listy	Pierwsze listy	Drugie listy
25	Aleksandrya . .	16	17	108	182	6.75	* 10.69
6	Bodnena. . . .	—	3	—	12	—	4.00
10	Berga.	3	5	7	15	2.33	5.00
11	Bracka	7	7	51	72	7.26	* 10.28
40	Chmielna . . .	25	30	115	199	4.60	6.63
7	Cicha	4	4	37	* 56	9.25	* 14.00
4	Czerwonego Krz.	1	1	5	6	5.00	6.00
18	Dobra.	10	12	69	* 144	6.90	* 12.00
15	Drewniana. . .	5	5	57	64	11.40	* 12.80
15	Erywańska. . .	9	13	38	79	4.22	6.07
20	Foksal	8	* 15 (!)	41	59	5.12	3.93
11	Hortensya . . .	4	7	39	72	9.75	* 10.28
16	Jasna	7	* 13 (!)	15	41	2.14	3.15
44	Jerozolimska . .	19	22	* 161	219	8.47	9.95
7	Krak.-Przedm. .	6	6	69	77	11.50	* 12.83
21	Królewska . . .	15	18	78	118	5.33	6.55
8	Leszczyńska . .	4	6	33	79	8.25	* 13.16
26	Marszałkowska .	18	23	74	124	4.33	5.39
10	Moniuszki . . .	2	5	3	12	1.50	2.40
18	Mazowiecka . .	11	16	39	62	3.55	3.87
58	Nowy Świat . .	41	53	* 234	422	5.70	7.96
7	Nowo-Sienna . .	—	* 2	—	4	—	2.00
16	Ordynacka . . .	7	12	36	68	5.14	5.66
6	Oboźna	3	3	18	33	6.00	* 11.00
14	Okólnik	—	3	—	7	—	2.33
4	Przeskok . . .	—	2	—	6	—	3.00
4	Rysia	—	—	—	—	—	—
27	Smolna	9	* 17 (!)	45	117	5.00	6.88
36	Sołec	26	29	* 350	* 686	* 13.46	* 23.65
41	Sto-Krzyzka . .	16	24	59	101	3.68	4.20
13	Szczygla. . . .	7	8	52	87	7.43	* 10.88
13	Szkolna	3	* 7 (!)	15	42	5.00	6.00
14	Szpitalna . . .	6	8	17	47	2.83	7.62
50	Tamka	28	32	* 262	487	9.36	* 15.21
19	Topiel	10	10	* 96	* 176	9.60	* 17.60
17	Warecka. . . .	9	10	* 66	* 48	7.33	4.80
8	Warecki Pl. . .	—	5	—	71	—	* 14.20
26	Widok	16	22	66	143	4.12	6.50
23	Włodzimierska .	14	* 20 (!)	71	127	5.07	6.35
18	Wróbla	9	10	56	82	6.22	8.20
6	Wysoka	2	3	14	19	7.00	6.33
16	Zajęcza	8	9	* 80	* 171	10.00	* 19.00
15	Zgoda.	5	8	28	40	5.60	5.00
11	Złota	5	5	30	53	6.00	10.60
792		398	530 w tem list. domów 530	2530	4729	6.35	8.92

Mówiąc o przesyłaniu kart do policyi, należy wskazać na konieczność prowadzenia ścisłej kontroli, wysyłanych i przyjmowanych kart. Wprawdzie powoduje to pewien zachód, lecz fatyga pewnie się opłaci, ponieważ przy braku kontroli lub niedbałym jej pełnieniu, wiele kartek może zaginąć i w następstwie wywołać liczne reklamacye.

Przesłane kartki następnie były sprawdzane przez obywateli. Tu wskazane byłoby przykładanie na każdej kartce pieczątki z napisem: „sprawdzone.“

Jak wiadomo, Magistrat przesyłał biurom okręgowym kartki prawyborcze według cenzusów. Połączenie w jeden alfabet ogólny dla całego okręgu, najłatwiej uskutecznić i bez uprzedniego formowania list każdej kategoryi, łącząc kartki węglug liter w miarę napływu materyału. Zastosowanie segregatorów jest bardzo praktyczne.

Układanie listy urzędowej dla każdego okręgu bez uprzedniego porównania list wszystkich okręgów, jest bezcelowe. Sprawdzenie i zestawienie list wszystkich okręgów jest konieczne z tego powodu, że wiele osób posiada cenzusy w różnych okręgach.

Ustalono słusznie zasadę *przynależności do cenzusu mieszkaniowego* t. j. że o ile dana osoba posiadająca parę cenzusów nie poczyni odnośnych starań w celu przeniesienia jej do okręgu innego, z urzędu zamieszczona jest tam, gdzie stale mieszka.

Po sformowaniu listy kompletnej należało ją w myśl brzmienia prawa, które wymaga jaknajwiększej jawności, ogłosić lub wystawić na widok publiczny. Drugi system ze względu na liczbę nazwisk chybia celu, pozostaje zatem wydrukowanie lub odbicie listy.

Listę prawyborców m. Warszawy odbito w stu egzemplarzach (50 polskich i 50 rosyjskich) na szapirografach ręcznie. Pomysł ten ma swoje dobre strony, lecz ma i złe. Wprawdzie dobrze przepisany i sprawdzony egzemplarz wyklucza przy odbijaniu wszelkie pomyłki, niemniej przeto koszta odbicia 100 egzemplarzy są wyższe niż koszta wydrukowania 2000 egzemplarzy tych samych list.

O wyższości takiego załatwienia sprawy zbytecznem byłoby się rozpisywać. Chodzi natomiast o stronę techniczną pracy t. j. o czas potrzebny na składanie listy, druk i o koszta.

Koszta odbicia na szapirografach przedstawiają się w sposób następujący:

60 szapirografów	rb.	1500
Komplet taśm	„	425
Papier na listy rubrykowe	„	300
Wynagrodzenie 60 pracowników przez 10 dni po 2 rb. dziennie za przepisywanie listy .	„	1200
Wynagrodzenie 60 odbijaczy list	„	1200
ogółem	rb.	4825

Natomiast zgodnie z ofertą Tow. Akcyjnego drukarskiego „Wiek“ (biorę ofertę *najdroższą* z liczby podanych) wydrukowanie i zbroszurowanie listy złożonej ze 120.000 nazwisk, z prawem wyłącznej własności Magistratu, mogło być wykonane za 4000 rb. w ciągu dwóch tygodni.

Po ogłoszeniu list, legitymacyi prawyborcom nie rozsyłano do domów, tylko zastosowano system *zgłoszeniowy*. Motywem tego systemu były obawy przez działalnością partyj wrogo usposobionych względem wyborów. System ten stosowany *wyjątkowo i w wyjątkowych warunkach*, nie może mieć, sądzimy, zastosowania przy wyborach następnych. Rozsyłanie legitymacyj winno być uskutecznione przez pocztę w formie posyłki rekomendowanej z pokwitowaniem odbiorcy. Do legitymacyi należy dołączyć dwie czyste karty dla zapełnienia ich nazwiskami wyborców lub posłów.

Przechodząc do prac związanych z dokonaniem prawyborów w Warszawie, winniśmy podnieść wzorowy porządek, jaki panował przy głosowaniu. W niektórych tylko podkomisyach zauważyliśmy ścisk i zamęt spowodowany wyłącznie ciasnotą lokalu, jak np. przy ul. Złotej № 51. Wskazanem byłoby zatem, żeby na przyszłe wybory przeznaczano wyłącznie *lokale parterowe* najobszerniejsze i złożone z wielu pokojów. Z gmachów rządowych najlepiej zadaniu temu odpowiadają zakłady naukowe i lokale instytucyj społecznych, nigdy zaś mieszkania prywatne.

Kończąc dział techniki wyborczej, pozwalamy sobie zająć uwagę czytelnika szczegółowym opisem wyniku badań, dotyczących specyalnie okręgu X, co do którego mamy w ręku bardziej szczegółowe dane.

II. X Okręg wyborczy.

Ordynacya grudniowa, powołując do współudziału w wyborach liczne warstwy ludności, wytworzyła zarazem specyalne dane, któremi się posługując, możemy rzucić pewne światło na przebieg pracy, potrzebnej na sporządzenie list prawyborców i dać pewne

wskazania do osobistości, zgłaszających się z deklaracyami. Zastrzegamy się, że obrawszy za przedmiot badań zaledwie 12 część miasta i ograniczając się cyframi niewielkiemi, wywodów tych bynajmniej nie uogólniamy; że jednak Okręg X składa się z różnorodnych, pod względem pochodzenia, stanu majątkowego i wykształcenia, warstw ludności, sądzimy, że dane te nie są pozbawione wartości.

Rzuciwszy okiem na plan Warszawy, przekonamy się, że X Okręg wyborczy, obejmujący obwód X cyrkułu policyjnego, przedstawia się jako nieprawidłowy czworobok. Najdłuższy prosty bok stanowią Aleje Jerozolimskie, które prawą stronę ograniczają ciągnąc się od Marszałkowskiej do Wisły. Wybrzeżem rzeki linia graniczna zdąża do Leszczyńskiej, ztąd biegnie krzywo przez Leszczyńską i Oboźną, wznosi się do Krakowskiego, po drodze Krakowskiem-Przedmieściem dochodzi do Królewskiej. W dalszym ciągu granica biegnie Królewską do Marszałkowskiej. Prosta linia prawej strony Marszałkowskiej zamyka czworobok przy przecięciu z Alejami Jerozolimskiemi.

Okręg X dzieli na dwie prawie równe połowy linia Nowy-Świat—Krakowskie. Podział ten jest tem znamienniejszym, że rozgranicza mieszkańców na dwie różne części pod względem zamożności. Strona nad Wisłą zamieszkała jest przeważnie przez ludność bardzo biedną i skupioną znacznie więcej w mieszkaniach, co udowodnia statystyka 5-ej kategoryi prawyborców [1]).

Ludność X Okręgu wyborczego pod względem pochodzenia i wyznania przedstawia podług danych urzędowych następująca tablica. Zaznaczamy, że dane te przytaczamy tylko dla dania pojęcia o ogólnej liczbie mieszkańców, ponieważ w dalszym ciągu, zajmując się wyłącznie prawyborcami, musimy z ogólnej sumy wyłączyć mieszkańców, nie mających prawa do udziału w wyborach, t. j. kobiety i mężczyzn mających mniej niż 25 lat.

[1]) 5-tą kuryę stanowią mieszkańcy miasta nie płacący podatku mieszkaniowego, którzy wynajmują mieszkania w cenie mniej niż 225 rb. Patrz tablica VII-a, str. 18.

Ludność w X Cyrkule m. Warszawy według stanów (w r. 1904).

	Mężczyzn	Kobiet	Ogółem
Mieszczanie	11898	15737	27635
Rzemieślnicy, wyrobnicy i robotnicy	3069	2638	5707
Włościanie	1841	1474	3315
Handlujący	1366	1536	2902
Kupcy	722	702	1424
Szlachta dziedziczna	2746	3469	6215
„ osobista	450	605	1055
Obcy poddani	801	1054	1855
Obywatele honorowi i dziedz.	103	118	221
„ osobiści	93	118	211
Duchowieństwo.	24	86	110
Ogółem . .	23825	28326	52161

Z tablicy powyższej widzimy, że najliczniejszą klasą ludności są mieszczanie stanowiący przeszło połowę (27,635) ogólnej liczby ludności. Za mieszczanami następują klasy ludności przeważnie pracującej fizycznie: rzemieślnicy, wyrobnicy i robotnicy (5,707), włościanie (3,315), handlujący (2,902), w ogólnej liczbie 11,924, co stanowi 22,8%.

Miejsce trzecie zajmuje szlachta dziedziczna i osobista, rekrutująca się z osób, zajmujących posady rządowe i ich rodzin w liczbie 7,270, około 13% ogólnej liczby mieszkańców. Na zasadzie danych, zaczerpniętych z wykazów Inspekcyi fabrycznej, w liczbie mieszkańców X Okręgu znajduje się 543 robotników. Liczba ta jednak nie zupełnie ścisła, ponieważ obejmuje tylko pracowników fabryk, zatrudniających więcej niż 50 robotników. Zresztą sprawie ilości robotników i głosowaniu na pełnomocników poświęcimy osobny rozdział.

Druga przytoczona na str. nast. tablica wyznań nie potrzebuje żadnych wyjaśnień, ponieważ mówi sama za siebie. Tablicę tę zestawiamy równie, jak poprzednią, w porządku zmniejszających się liczb. I w tej tablicy urzędowej niema ścisłego przeprowadzenia podziału ludności, ponieważ wyznania Ewangielicko-Reformowane i Ewangielicko-Augsburskie objęte są jedną liczbą.

Ludność X Cyrkułu m. Warszawy według wyznań (w r. 1904).

WYZNANIE	Mężczyzn	Kobiet	Ogółem
Rzymsko-Katolickie	19071	22991	42062
Mojżeszowe	2669	2984	5653
Protestanckie (Ewangel.-Reformowane i Ewang.-Augsburskie)	1038	1226	2264
Prawosławne	1021	1006	2072
Mahometańskie	22	10	32
Sekciarze	8	7	15
Ormiano-Gregoryanie	6	2	8
Ogółem . .	23835	28326	52161

Z ogólnej liczby ludności jak zaznaczyliśmy wyłączamy kobiety i mężczyzn do lat 25. Pozostała liczba będzie wyrażała ogólną liczbę mężczyzn powyżej lat 25, którzy mogą stawać do głosowania, o ile rozumie się mają cenzus wyborczy, oznaczony w punkcie I Ustawy Grudniowej.

Podług danych Centralnego Biura Statystycznego liczba mężczyzn do lat 25 w Okręgu X, w roku 1897 wynosiła 11,752 osób na ogólną liczbę 21,823. Porównywując te dane i układając je w proporcyę, możemy wyliczyć liczbę mężczyzn powyżej lat 25, w roku 1904.

Mężczyzn ogółem w roku 1897 . . 21,823
Mężczyzn do lat 25 11,752
Mężczyzn powyżej lat 25 10,071

Mężczyzn ogółem w roku 1905 23,835, znaczy, że:

$$21823 : 10071 = 23835 : X$$

gdzie niewiadoma X po rozwiązaniu równania da nam liczbę pożądaną. Do wyliczań tego rodzaju zmusza nas brak danych urzędowych.

$$X = \frac{10071 \times 23835}{21823} = 10999 \left(\frac{11108}{21823}\right)$$

Ogólna zatem liczba mężczyzn, jeśli tak można się wyrazić, w wieku wyborczym wynosi 11,000.

Jak widzimy, liczba ta stanowi prawie połowę ogólnej liczby mężczyzn, ale wynik ten przyjąć można jedynie jako względną zasadę, bowiem wymaga potwierdzenia w dalszej praktyce wyborczej.

Bezpośrednie badanie obliczeń statystycznych i wyprowadzanie stąd wniosków było dostępne tylko dla jednej 5-ej kuryi prawyborców, ponieważ większość tej kuryi, zniewolona przez prawo do osobistego składania deklaracyi, zgłaszała się osobiście do biur wyborczych.

Nad garstką tych prawyborców X okręgu przeprowadziliśmy kontrolę i z wynikami jej zaznajomimy czytelnika.

Ogółem złożono deklaracyj o chęci uczestniczenia w wyborach 2,120.

Liczba wzrostu podawanych deklaracyj w miarę przybliżania się terminu ostatecznego, przedstawia się w sposób następujący:

Dzień stycznia	11—14	15	16	17	18	19	20
Liczba	11	43	278	567	543	563	112

Z liczby 2,120 mieszkańców, którzy podali deklaracye, piśmiennych było 1,725, niepiśmiennych 395, co stanowi 22½%.

Ponieważ przy podawaniu deklaracyj wymagalnem było wskazanie lat składającego deklaracye, mogliśmy określić dokładnie w jakim wieku ludzie najchętniej śpieszą do wyborów.

Okazuje się, że z liczby 2,120 najwięcej złożyło deklaracyj mężczyzn mających od 35 — 40 lat. Zestawienie lat przedstawia poniższa tabelka:

Lata	25—30	30—35	35—40	40—45	45—50	50—55	55—60
Liczba	224	328	366	318	264	143	123

Lata	60—65	65—70	70—75	75—80
Liczba	83	48	40	5

Z liczby 2,120 nie oznaczono wieku tylko dla 178 mężczyzn.

Już na początku akcyi wyborczej partye polityczne rozwinęły agitacye. Owocem bezpośrednim tych agitacyj było podawanie deklaracyj pewnych określonych typów. Mając możność sprawdzenia, z jakiego źródła blankiety deklaracyi pochodzą, obliczyliśmy dokładnie liczbę każdego typu deklaracyi. Z ogólnej liczby 2,120 podano

deklaracyj drukowanych w „Gońcu“	327
„ „ przez stronnictwo D. N.	536
„ „ przez „Słowo“	296
„ na blankietach urzędowych z biura wyborczego	961
Ogółem . . .	2120

Na tych danych kończymy badanie bezpośrednie danych, dotyczących deklaracyi.

Wyprowadzanie podobnych danych dla całej Warszawy mogłoby wiele pomódz sprawie wyświetlenia wielu ciekawych szczegółów, jednak wobec zupełnego braku odpowiednich badań, od początku i systematycznie prowadzonych we wszystkich okręgach, jest to obecnie niemożliwe.

Opisując szczegóły, jeszcze raz winniśmy zaznaczyć, że nie przywiązujemy do nich ogólniejszego znaczenia. Przytoczyliśmy je tylko w celu wskazania, jakie wnioski można było wyprowadzić, gdyby materyał bezpośrednio zbierany był w biurach wyborczych.

C. Prawyborcy w Warszawie.

Zgodnie z brzmieniem Ustawy wyborczej, Warszawa została podzielona na Okręgi wyborcze. Każdy taki Okręg obejmuje obszar cyrkułu policyjnego w Warszawie. Zatem mieliśmy 12 okręgów wyborczych (patrz Tablica granic cyrkułów str. 5).

Najbardziej i zasadniczo krępującem swobodę głosowania było prawo, że *prawyborca może głosować tylko w swoim okręgu i na wyborcę zamieszkałego w tym samym, co on, okręgu wyborczym.*

Ustawa, przewiduje że na 25,000 mieszkańców winien być obrany 1 wyborca.

Podział liczby wyborców na cyrkuły poszczególne dokonany został na zasadzie wyliczenia następującego, opartego na **urzędowym** spisie ludności Warszawy w końcu roku 1904, różniącym się nieco od obliczeń dla roku 1905, któremi posługujemy się we wszystkich innych tablicach.

Cyrkuł.	Ludność.	Liczba wyborców ścisła.	Liczba ogólna wyborców.
I	61040	6.36	6
II	38841	4.05	4
III	80215	8.36	8
IV	59938	6.14	6
V	65308	6.80	7
VI	64869	6.76	7
VII	76700	7.99	8
VIII	66860	6.96	7
IX	67465	7,03	7
X	52161	5.43	6
XI	67537	7.04	7
XII	66963	6.98	7
	767897		80

Na tę liczbę wyborców głosować mieli prawo prawyborcy, którzy, z mocy ustawy zasadniczej, wydanej 6 (19) sierpnia 1905 roku i ustawy noszącej datę 1 (24) grudnia 1906 roku, zostali zamieszczeni na liście prawyborców miasta Warszawy.

Liczba prawyborców w dwunastu Okręgach wyborczych przedstawia się, jak następuje:

Cyrkuł.	Ludność.	Mężczyzn ogółem.	Prawyborców.
I	57110	27650	7050
II	38073	18820	4948
III	79164	38576	13040
IV	56663	27142	7937
V	66708	34061	9331
VI	65318	31720	8927
VII	71571	35828	8921
VIII	57319	27132	7268
IX	68004	32758	7890
X	49536	23170	6628
XI	68899	30039	9161
XII	68148	33493	13703
Ogółem	746503	360144	104804 [1])

Ogólna zatem liczba prawyborców stanowi 29.1 % liczby mężczyzn; ponieważ jednak z ogólnej liczby mężczyzn (360,144) odchodzi około 50% na dzieci płci męzkiej i mężczyzn w wieku mniej niż 25 lat, przeto liczba mężczyzn w wieku wyborczym w Warszawie wynosi około 180000. Pozbawiono zatem prawa głosu około 74000 prawyborców co stanowi 41% mężczyzn w wieku wyborczym.

Prawyborcy ci w warunkach normalnych odebraliby drogą przesyłki pocztowej swoje legitymacye. W Warszawie, z powodu obawy przed wrogiem działaniem partyj bojkutujących wybory, zastosowano system zgłoszeniowy, co spowodowało zmniejszenie się liczby głosujących, zaopatrzonych w legitymacye.

Dopiero jawne przystąpienie do wyboru Związku Demokratycznego i za nim Związku Postępowo-Demokratycznego z jednej strony, z drugiej zaś agitacya szeroka wśród ludności żydowskiej, pobudziły do wzmożonej działalności wszystkie partye, zwłaszcza narodową demokracyę, która w ciągu ostatnich dwóch dni przed terminem prawyborów (25 kwietnia), rozwinęła nader energiczną agitacyę. Dzięki temu do głosowania przystąpił stosunkowo duży procent prawyborców. Liczebnie stosunek ten przedstawia się jak następuje:

Okręg.	Prawyborców ogółem.	Głosowało.	Unieważniono głosów.	% głosujących.
I	7050	5480	6	77.7%
II	4948	3874	28	78.2%
III	13040	7699	48	59.0%

[1]) Według listy urzędowej rosyjskiej.

Okręg.	Prawyborców ogółem.	Głosowało.	Unieważniono głosów.	% głosujących.
IV	7937	5048	63	63.6%
V	9331	5996	46	64.2%
VI	8927	4270	28	47.6%
VII	8921	6051	12	67.8%
VIII	7268	5897	15	81.2%
IX	7890	4496	16	56.9%
X	6628	4773	7	72.0%
XI	9161	6271	16	68.4%
XII	13703	7436	16	54.2%
Ogółem	104804	67291	301	64.2%

Z przytoczonego szeregu liczb łatwo wywnioskować, że najwięcej przystąpiło do głosowania w tak zwanych „zagrożonych“ okręgach t. j. tam gdzie lista postępowej demokracyi lub lista żydowska, a szczególniej ostatnia, miała szanse powodzenia. W okręgu VIII głosowało 81%; w II 78%. Przecięciowo w Warszawie przystąpiło do głosowania 64.2% co stanowi normalną odsetkę.

Kartek najwięcej unieważniono w okręgach o przeważającej ludności żydowskiej w IV, III i V, naogół jednak procent kart unieważnionych wynosi 0,4%.

Prawyborcy głosowali przeważnie na ułożone i ogłoszone w drodze odezw lub w pismach listy kandydatów. Głosów rozstrzelonych oddano niewiele. Charakterystyczną cechą głosowania jest, że kandydaci danej partji otrzymują zawsze tę samą ilość głosów z niewielkim wahaniem.

Z listami kandydatów wystąpiły następujące stronnictwa i związki polityczne.

1. Narodowa-Demokracya (N. D.)
2. Związek Postępowo-Demokratyczny (P. D.)
3. Związek Demokratyczny (Z. D.)
4. Związek Żydowski.
5. Związek „prawdziwych rosyan.“
6. Kandydaci listy bezpartyjnej ogłoszonej w „Kuryerze Polskim“

Ponieważ nader ważną sprawą jest zoryentowanie się należyte w wyniku prawyborów w Warszawie, przytaczamy kolejno nazwiska osób, które w swym okręgu wyborczym otrzymały głosy. Osoby znajdujące się na listach stronnictw grupujemy razem, w końcu zaś przytaczamy głosy rostrzelone. Dla skrócenia listy stronnictw ogólnie znanych, oznaczamy je literami początkowemi.

Okręg I.

Prawyborców 7050. Głosujących 5480. Unieważniono 6 gł.

N. D.

(wybrani)

1. Nowodworski Franciszek, adwokat . . gł. 4362
2. Jentys Tadeusz, dyrektor Hotelu . . . „ 4353
3. Kijeński Stanisław, adwokat . . . . . „ 4344
4. Makowski Edmund, kupiec . . . . . „ 4336
5. Gralewski Jan, ksiądz „ 4329
6. Kłyszewski Marceli, szewc . . . . . „ 4328

Ogółem gł. 26052

Przeciętnie po 4342 gł.

Z kolei P. D.

1. Cieślicki Józef, krawiec gł. 878
2. D-r Goldflam Samuel, lekarz . . . . . „ 866
3. John Aleksander, adwokat przysięgły. . . . „ 889
4. Natanson Józef, przemysłowiec . . . . . „ 879
5. Ryl Aleksan., wł. apteki „ 852
6. Trojanowski Jan, malarz „ 881

Ogółem gł. 5245

Przeciętnie po 874 gł.

„Prawdziwi Rosyanie"

1. Moleznanow K. I., referent kancel. gen. gub. gł. 199
2. Posadskij-Duchowskoi, duchowny . . . . . „ 199
3. Bogucki Mitrofan, naczelnik telegrafu . . „ 198
4. Minorski Aleksander, radca zarządu guber. „ 198
5. Kraszenińnikow Ilja, prezes dep. Izby Sąd. „ 198
6. Kupfer Aleksander, referent kanc. gen. gub. „ 197

Ogółem gł. 1189

Przeciętnie po 198 gł.

Związek Demokratyczny.

1. Dunin Karol, magister prawa cywilnego. . . gł. 54
2. Kramsztyk Feliks, adwokat przysięgły. . . . „ 23
3. Poznański Maksymiljan adwokat przysięgły. . gł. 40
4. Wojtkiewicz Oskar, handlowiec . . . . . „ 26
5. Wróbel Józef, kupiec . „ 26
6. Tykociner Zygmunt, adwokat przysięgły . . „ 21

Ogółem gł. 190

Przeciętnie po 31.7 gł.

Lista bezpartyjna ogłoszona w „Kuryrze Polskiem." *)

1. Leon Babiński, lekarz . gł. 27
2. Ks. Z. Chełmicki, kan. „ 26
3. Prof. T. Korzon, histor. „ 38
4. Franciszek Nowodwoski, adw. przys., patrz l. N. D.
5. Tad. Jentys, dyrektor, patrz listę N. D.
6. Władysław Walewski, majster szewcki . . . „ 23

Ogółem gł. 114

Przeciętnie po 28.5 gł.

Pozatem otrzymali głosów:

Tyszkiewicz Władysław 2 gł.
Benzef Józef, adwokat 1 gł.
Bukowiecki Stanisław, adwokat 1 gł.
Czajka Józef 1 głos.
Dmochowski Zdzisław 1 gł.
Głowacki Aleksander 1 gł.
Goldflam Wolf 1 gł.
Jaczewskij Al., dyr. kanc. gen g. 1 gł.
Kallistow Paweł, protojerej 1 gł.
Kempner Stanisław 1 gł.
Landau Szymon 1 gł.
Libicki Stanisław 1 gł.
Meyerson Samuel 1 gł.
Muratow 1 gł.
Patek Stanisław 1 gł.
Pruszyński Konrad 1 gł.
Służewski 1 gł.
Smoleński Władysław 1 gł.
Suchciński Wł. 1 gł.
Świętochowski Al. 1 gł.
Wereszczagin Jurij 1 gł.

*) Liczby głosów kandydatów N. D. podajemy we właściwem miejscu wyżej.

Okręg II.

Prawyborców 4948. Głosowało 3874. Unieważniono gł. 28.

N. D.

(wybrani)

1. Stanisław Bukowiecki gł. 2117
2. Józef Czajkowski . . „ 2103
3. Julian Benzef'. . . . „ 2096
4. Dyonizy Zaborski . . „ 2105

Ogółem gł. 8411

Przeciętnie po 2102.7 gł.

P. D.

1. Borkowski Marek, rej. gł. 1547
2. Jasinowski Izydor, adwokat przysięgły . „ 1539
3. Kirszrot Jakób, adwokat przysięgły . . . „ 1541
4. Lemański Wincenty, adwokat przysięgły „ 1554

Ogółem gł. 6171

Przeciętnie po 1542.7 gł.

„Prawdziwi Rosyanie"

1. Kallistow P., protojer. gł. 142
2. Posnikow Mikołaj . . „ 139
3. Kowszykow Kuźma . . „ 138
4. Sonin Wiktoryn . . . „ 136

Ogółem gł. 555

Przeciętnie po 138.8 gł.

Związek Demokratyczny.

1. Chrzanowski I., literat . gł. 54
2. Feist Al., przemysłowiec „ 25
3. Ślaski Wł., urzędnik . . „ 27
4. Żabiński Józef, rejent . „ 29

Ogółem gł. 135

Przeciętnie po 43.7 gł.

Pozatem otrzymali głosów:
Kamiński Józef 7 gł.
Kowalski Tytus 4 gł.
Kirsenow Aleksander 3 gł.
Sewastjanow Iwan 3 gł.
Czebyszew Mikołaj 3 gł.
Teodorowicz Terencyusz 2 gł.
Bar Roman 1 gł.
Bełza Stanisław 1 gł.
Domański Wincenty 1 gł
Gładilin Eustachy 1 gł.
Gralewski Jan 1 gł.
Jasiński Leon 1 gł.
Kallistow Piotr 1 gł.
Kokoszkiewicz Władysław 1 gł.
Lichtenbaum Józef 1 gł.
Nowiński Władysław 1 gł.
Rademanow Aleksander 1 gł.
Radwański Piotr 1 gł.
Ryttel Władysław 1 gł,
Szczegłow Wasyli 1 gł.
Timanowski Andrzej 1 gł.
Wegmejster Joel 1 gł.
Weydel Emil 1 gł.
Wichrowski Juljan 1 gł.

Okręg III.

Prawyborców 13040. Głosowało 7699. Unieważniono 48.

N. D.

(wybrani)

1 J. Bichniewicz, inżynier gł. 3852
2. Kazimierz Borawski, majster szczotkarski . „ 3847
3. Ks. Fran. Gąsiorowski „ 3848
4. Henryk Imbs, robotnik „ 3863
5. Feliks Ochinowski, adwokat przysięgły . . „ 3863
6 Jan Serkowski (junior), przemysłowiec . . . „ 3861
7. St. Tymiński, szewc. . „ 3845
8. Konrad Wernik, inż. . „ 3863

Ogółem gł. 30842

Przeciętnie po 3855.2 gł.

W dalszym ciągu otrzymali głosy:

Kandydaci Żydów.

1. Zamenhoff Lejzor . . gł. 3719
2. Welt Henryk . . . . „ 3712
3. Frumkin Zygmunt . . „ 3706
4. Mański Gabryel . . . „ 3706
5. Dawidson Noech . . „ 3699
6. Prager Jakób . . . . „ 3699
7. Zyskind Bialer . . . „ 3698
8. Frenkiel Ajzyk . . . „ 3694

Ogółem gł. 29633

Przeciętnie po 3704.1 gł.

„Prawdziwi Rosyanie“

1. Bauer Aleksander . . . gł. 63
2. Kaczenow Sergjusz . . „ 64
3. Tyszczenko Dymitr . . „ 63
4. Ditterichs Mikołaj . . . „ 63
5. Zinin Jan . . . . . „ 63
6. Mastericyn Mikołaj . . gł. 63
7. Merkuszew Mikołaj . . „ 42
8. Ruszczuk Włodzimierz . „ 62

Ogółem gł. 483

Przeciętnie po 60.3 gł.

Związek Demokratyczny.

1. Baumritter Fiszel, lekarz gł. 30
2. Börger Stanisław, przemysłowiec . . . . . „ 30
3. Datyner Abram, kupiec . „ 27
4. Finkelkraut Berek, lek. . „ 27
5. Ewest Aleksander, przemysłowiec . . . . . „ 34
6. Hildt Karol, fabrykant . „ 25
7. Gąsiorowski Władysław, przemysłowiec . . . „ 34
8. Uzdański Wolf, kupiec . „ 49

Ogółem gł. 216

Przeciętnie po 27.0 gł.

W dalszym ciągu głosy otrzymali:

Uzdański Lejb 17 gł.
Frenkel I. 12 gł.
Jeleń Fryderyk 1 gł.
Ziemiński Marcin 1 gł.
Zamenhoff Ludwik 1 gł.
Rajsewasser St. 1 gł.
Weseliński Adolf 1 gł.
Szychorski Adam 1 gł.
Gordiejew Piotr 1 gł.
Prywes Abram 1 gł.
Bromberg Moszek 1 gł.
Bergson Michał 1 gł.
Sender Morgenstern 1 gł.
Wegmeister Joel 1 gł.

Okręg IV.

Prawyborców 7937. Głosowało 5048. Unieważniono 63.

N. D.

Kandydatów w okręgu tym nie postawiła.

P. D.

Kandydatów nie postawiła.

Związek Demokratyczny.

1.	Łagodziński Emil, właściciel domu	gł. 92
2.	Polakiewicz Henryk, przemysłowiec. . . .	„ 38
3.	Szlenvoigt Henryk, fabrykant	„ 5
4.	Targoński Józef, właściciel domu	„ 90
5.	Trokenheim Aron - Fajwel, kupiec	„ 7
6.	Wertenstein Kiwa, lek.	„ 24

Ogółem gł. 256

Przeciętnie po 44 gł.

Lista Żydowska.

(Wybrani).

1.	Gelblum Salomon . .	gł. 4879
2.	Golsobel Julian . . .	„ 4873
3.	Lewite Józef	„ 4888
4.	Mergenstern Sender .	„ 4878
5.	Rundstein Mejer. . .	„ 4879
6	Zolberg Izaak. . .	„ 4874

Ogółem gł. 29271

Przeciętnie po 4878.5 gł.

„Prawdziwi Rosyanie“

1.	Bondarenko Włodzim. .	gł. 37
2.	Kaczałkin Dawid . . .	„ 38
3.	Francew Aleksander . .	„ 38
4.	Pokrowskij Mikołaj . .	„ 38
5.	Dawidenko Wiktor . .	„ 40
6.	Podwerbny Konstanty .	„ 36

Ogółem gł. 227

Przeciętnie po 37.8 gł.

Oprócz tych głosów otrzymali:

Konitz Teodor 32 gł.
Goldstein St. 31 gł.
Kiefer Antoni 25 gł.
Łypaczewski Eugeniusz 25 gł.
Rymuziński St. 25 gł.
Szczygielski Ludwik 22 gł.
Piński Józef 15 gł.
Węgrowski Kazimierz 14 gł.
Feinkind Zygmunt 10 gł.
Łyczewski Kajetan 8 gł.
Oziegowski Józef 7 gł.
Kopczyński Aleksander 6 gł.
Sidorow Grzegorz 3 gł.
Świeca Jakób 3 gł.
Świeciński Ludwik 2 gł.
Rosenberg Józef 2 gł.
Szydłowski Aureli 2 gł.
Wańczuk Józef 2 gł.
Weinstein Grzegorz 2 gł.
Prywes Izaak 2 gł.
Poznański Herman 2 gł.
Łyczewski Eugeniusz 2 gł.
Klein Pinkus 2 gł.
Kosiński Stanisław 2 gł.
Kamiński Leon 2 gł.
Jabłoński Karol 2 gł.
Dzierzbicki Stanisław 2 gł.
Cukier Henryk 2 gł.
Bielski Paweł 1 gł.
Bondarenko Konstanty 1 gł.
Chęciński Władysław 1 gł.
Chełmicki Ludomir 1 gł.
Cwibel Jojne 1 gł.
Elblinger Icek 1 gł.
Eisenberg Zesek 1 gł.
Gelblum Abram 1 gł.
Jagodziński 1 gł.
Kleimann Abram 1 gł.
Lindennot Szmul 1 gł.
Majewski St. 1 gł.
Osiński Władysław 1 gł.
Przyłuski Henryk 1 gł.
Redel 1 gł.
Szlenfocht 1 ul.
Wasilewski Józef 1 gł.
Zolberg Szaja 1 gł.

Okręg V.

Prawyborców 9331. Głosowało 5996. Unieważniono gł. 46.

Lista Żydowska.

(Wybrani).

1. Wolanowski Izrael . . gł. 5249
2. Wegmeister Joel. . . „ 5225
3. Friede Jakób . . . . „ 5218
4. Krause Chaim. . . . „ 5222
5. Rothlevi Hersz . . . „ 5195
6. Berman Symcha . . . „ 5171
7. Bromberg Nosek. . . „ 5172

Ogółem gł. 36452

Przeciętnie po 5207.4 gł.

N. D.

1. Stefan Chomiszewski, adwokat przysięgły . gł. 668
2. Adolf Imroth, starszy cechu garbarzy . . . „ 694
3. Roman Lubowiecki, starszy cechu kamieniarzy. . . . . „ 687
4. Stanisław Pfeiffer, przemysłowiec . . . . . „ 741
5. Biernacki Karol . . . „ 703
6. Żółtowski Władysław . „ 639
7. Józef Wasilewski, czeladnik garbarski . . „ 659

Ogółem gł. 4791

Przeciętnie po 684.4 gł.

Związek Demokratyczny.

1. Chwajgbaum Samuel, dyrektor warszt. rzemieśl. gł. 20
2. Gajkowski Władysław, urzędnik . . . . . „ 12
3. Gundelach Teodor, przemysłowiec . . . . . „ 48
4. Herszfinkel Chaskiel, właściciel domu. . . . . „ 11
5. Jeromin Wilhelm, sędzia handlowy. . . . . „ 19
6. Pyrowicz Lud., rzeźbiarz. gł. 13
7. Wolanowski Izrael Hersz, przemysłowiec. Patrz listę żydowską

Ogółem gł. 123

Przeciętnie po 17.5 gł.

„Prawdziwi Rosyanie“

nie postawili kandydatów.

Z kolei głosy otrzymali:
Peretz Adolf 44 gł.
Rudnicki Jan 38 gł.
Przyszychowski Felicyan 36 gł.
Wąsowicz Ludwik 27 gł.
Lewicki Michał 13 gł.
Hernfinkel Chaskiel 11 gł.
Muraszkin Jan 10 gł.
Jurin Aleksy 6 gł.
Małachowski Włodzimierz 7 gł.
Rygorowicz Józef 6 gł.
Dechnik Włodzimierz 6 gł.
Kalinnik Sylwester 4 gł.
Akiofiew Aleksander 4 gł.
Bernstein Eliasz 4 gł.
Bromberg Moszek 3 gł.
Wolanowski Jerzy 3 gł.
Hoser Piotr 2 gł.
Prochow Ilja 2 gł.
Imroth Józef 1 gł.
Bluman Judka 1 gł.
Nowodworski Franciszek 1 gł.
Cederbaum Henryk 1 gł.
Szyller Adolf 1 gł.
Ks. Gralewski Jan 1 gł.
Luxemburg Aleksander 1 gł.
Ettinger, adwokat 1 gł.
Balbinder Henryk 1 gł.
Aronowicz Josek 1 gł.
Bryntow Bazyli 1 gł.
Daniłow Siemion 1 gł.
Sorokoumow Iwan 1 gł.
Esz Antoni 1 gł.
Folek Aleksander 1 gł.
Szwedowicz Adam 1 gł.

Okręg VI.

Prawyborców 8927. Głosowało 4270. Unieważniono 28 gł.

N. D.

(wybrani).

1. Maurycy Borman, mż. gł. 2805
2. Władysław Czosnowski, majster mularski . . „ 2805
3. Feliks Nowicki, starszy cechu fortepian. „ 2808
4. Adolf Prostke, urzędnik kol. Warsz.-Wied. „ 2798
5. Ksawery Służewski, prof. 7-kl. szk. handl. „ 2797
6. Adam Szychowski, rob. „ 2783
7. Adalbert Weseliński, robotnik . . . . . „ 2795

Ogółem gł. 19589

Przeciętnie po 2798.5 gł.

P. D.

1. Adamiecki Stefan, inż gł. 1364
2. Eiger Juliusz, inżynier „ 1366
3. Jabłoński Stanisław, urzędnik . . . . . „ 1368
4. Jeziorowski Franciszek, maszynista kolejowy „ 1359
5. Osiecki Stanisł., buch. „ 1363
6. Szczerbiński Walenty, ins. T. U. . . . . „ 1368
7. Tomczak Stan., robot. „ 1367

Ogółem gł. 9655

Przeciętnie po 1365 gł.

Z. D.

1. Bortnowski Gustaw, handlowiec . . . . gł. 11
2. Gerlach Maksym, fabrykant . . . . . „ 15
3. Machlejd Artur, inż . „ 11
4. Otocki Piotr, urzędnik kolejowy . . . . . „ 10
5. Polak Józef, prezes Towarzystwa Hyg. . gł. 11
6. Ulrych Gust., ogrod. . „ 17
7. Werner T., technik. . „ 23

Ogółem gł. 98

Przeciętnie po 14 gł.

„Prawdziwi Rosyanie“

1. Korczyński Michał . . gł. 56
2. Lewickij Grigorij . . . „ 56
3. Ostromyślenski Włodz. . „ 56
4. Baranow Siemion . . . „ 55
5. Pigalski Iwan. . . . . „ 56
6. Poczynin Aleksander . . „ 56
7. Kiszałow Jakób . . . . „ 56

Ogółem gł. 391

Przeciętnie po 55.8 gł.

Z kolei otrzymali głosów:

Lewandowski Franciszek 10 gł.
Oryng Arnold 6 gł.
Piechowski Ignacy 6 gł.
Gagatnicki Kazimierz 3 gł.
Otocki Piotr 3 gł.
Adamczyk Stefan 1 gł.
Białowiejski Maks 1 gł
Jezioruński Franciszek 1 gł.
Kobyłecki Leon 1 gł.
Kurtz Stanisław 1 gł.
Machlejd Julian 1 gł.
Macierakowski Antoni 1 gł.
Majewski Stanisław 1 gł.
Peszkiewicz I. 1 gł.
Rakowski Antoni 1 gł.
Rakowski Józef 1 gł.
Rożnowski 1 gł.
Robczyński Eugeniusz 1 gł.
Szmejko 1 gł.
Winiarski Józef 1 gł.
Zaborski Józef 1 gł.
Zydler Jan 1 gł.
Żychowski Ksawery 1 gł.

Okręg VII.

Prawyborców 8921. Głosowało 6051. Unieważniono 12.

N. D.

(Wybrani).

1.	Aleksander Makowiecki, prezes Towarzystwa Kredytowego m. Warszawy . . .	gł.	3606
2.	Antoni Manduk, aptek.	„	3613
3.	Jan Muszyński, stolarz	„	3577
4.	Zygmunt Niedziałkowski, kupiec	„	3589
5.	Konstanty Siarkiewicz, star cechu ślusarzy .	„	3596
6.	Dr. Bron. Szymański .	„	3603
7.	Teofil Talikowski, majster szewcki. . . .	„	3578
8.	Fran. Zieliński, tokarz	„	3591

Ogółem gł. 28753

Przeciętnie po 3594.1 gł.

P. D.

1.	Cohn Filip, kand. praw	gł.	2295
2.	Kalicki Władysław, farmaceuta	„	2710
3.	Kernbaum Józef, przemysłowiec	„	2294
4.	Lenc K., adw. przys.	„	2309
5.	Lichtenbaum J. Leon, adwokat przysięgły	„	2293
6	Potworowski Gustaw, inżynier	„	2315
7.	Szelemetko Józef, urzędnik praw	„	2306
8.	Teichert G., aptekarz	„	2312

Ogółem gł 18434

Przeciętnie po 2304.2 gł.

Związek Demokratyczny.

1.	Biskupski W., adw. przys.	gł.	33
2.	Cederbaum Hen. - Stan., adwokat przysięgły. .	„	23
3.	Czyński Franc. - Józef, aptekarz	„	25
4.	Geisler Edward, przemysłowiec	„	53
5.	Likiert Natan, adwokat przysięgły	„	22
6.	Neugebauer Ed., chemik	„	36
7.	Rejman Maksym, malarz dekorator	gł.	24
8.	Troetzer Józef, przemys.	„	44

Ogółem gł. 260

Przeciętnie po 32.5 gł.

„Prawdziwi Rosyanie“

1.	Jarosz Piotr	gł.	92
2.	Naranowicz Mitrofan .	„	93
3.	Timofiejew Michał. . .	„	96
4.	Rogulin Bazyli	„	95
5	Sarando Anastazy . . .	„	97
6.	Wawryniewicz Iwan . .	„	94
7.	Tiepłow Mikołaj . . .	„	64
8.	Kuźniecow Aleksander .	„	93

Ogółem gł. 754

Przeciętnie po 94.2 gł.

Następnie otrzymali głosów:

Henneberg Wilhelm 5 gł.
Czagorin Aleksy 3 gł.
Andruczenko Mikołaj 1 gł
Bergson Michał 1 gł
Bardzki Antoni 1 gł.
Bielewicz Kazimierz 1 gł
Perterpanow Bilima 1 gł,
Gwietkowski Jerzy 1 gł.
Dickstein Samuel 1 gł.
Głowacki Aleksander 1 gł.
Gąsiorowski Józef 1 gł.
Imbs Henryk 1 gł.
Jasieński Izydor 1 gł.
Karmański Jan 1 gł.
Leszczyński Stanisław 1 gł.
Lapczyński Mikołaj 1 gł.
Lemański Wincenty 1 gł.
Ludwicki Władysław 1 gł.
Michler Karol 1 gł.
Mordwiłow Aleksander 1 gł.
Mantowski Kazimierz 1 gł.
Nowodworski Franciszek 1 gł.
Pietrzak Marceli 1 gł.
Pietruszewski Dymitr 1 gł.
Bogucki Michał 1 gł.
Smoleński Władysław 1 gł.
Starczewski Jan 1 gł.
Strzembosz Tadeusz 1 gł.
Swiętochowski Aleksander 1 gł.
Skrinnikow Aleksander 1 gł.
Szczerbak Aleksander 1 gł.
Truskolaski Władysław 1 gł.
Wojciczkowski Julian 1 gł.
Zieliński Witold 1 gł.

Okręg VIII.

Prawyborców 7268. Głosowało 5896. Unieważniono 15.

Wybrani z listy żydowskiej.

1. Bergson Michał . . . gł. 3112
2. Bychowski Bernard . „ 3130
3. Dickstein Samuel . . „ 3146
4. Farbstein Chaskiel . . „ 3099
5. Lauterbach Jan . . . „ 3111
6. Lurie Samuel . . . . „ 3117
7. Prywes Abram . . . „ 3115

Ogółem gł. 21830

Przeciętnie po 3117.1 gł.

N. D.

1. Maksymiljan Białowiejski, profesor . . . . gł. 2602
2. Stanisław Kurtz, lekarz „ 2599
3. Antoni Macierakowski, adwokat przysięgły . „ 2580
4. Stanisław Majewski, inżynier. . . . . „ 2597
5. Ignacy Paszkiewicz, robotnik. . . . . „ 2579
6. Józef Zaborski, inż. . „ 2600
7. Jan Zydler, dyrektor szkoły Stow. Tech. „ 2588

Ogółem gł. 18145

Przeciętnie po 2592.40 gł.

P. D.

Kandydatów nie postawiła.

Z. D.

1. Białobrzeski Aleksander, lekarz . . . . . gł. 84
2. Morozowicz Aleksander, przemysłowiec. . . . „ 79
3. Natanson Antoni, lekarz „ 72
4. Oderfeld Hipolit, lekarz „ 63
5. Pilecki Antoni, literat . „ 90
6. Sandecki Franciszek, urzędnik kolejowy . . „ 70
7. Srebrny S., nauczyciel . „ 84

Ogółem gł. 542

Przeciętnie po 77.4 gł.

„Prawdziwi Rosyanie“

1. Trofimowicz Włodz. cenz. gł. 70
2. Bewad Aleksander . . . „ 75
3. Kocowski Wasili. . . . „ 74
4. Martjanow Joachim . . „ 75
5. Nieczajew Aleksy . . . „ 73
6. Francew Włodzimierz . „ 74
7. Odincew Mikołaj. . . . „ 73

Ogółem gł. 514

Przeciętnie po 73.4 gł.

Następnie otrzymali głosy:

Kosiński Juljan 5 gł.
Suligowski Adolf 3 gł.
Frąckiewicz Władysław 2 gł.
Godlewski Stefan 2 gł.
Bożym Adam 1 gł.
Broniewski Kazimierz 1 gł.
Chodyniecki Paweł 1 gł.
Cicchomski Andrzej 1 gł.
Czacki Feliks 1 gł.
Jagielski Józef 1 gł.
Jeziorański Józef 1 gł.
Klicki Władysław 1 gł.
Klimpel Leopold 1 gł.
Knappe Wilhelm 1 gł.
Mocanke Bolesław 1 gł.
Matuszewski Teofil 1 gł.
Neifeld Abram 1 gł.
Ojrzanowski Kazimierz 1 gł.
Pahl Adolf 1 gł.
Sadkowski Aleksander 1 gł.
Załęski Adolf 1 gł.

Okręg IX.

Prawyborców 7890. Głosowało 4496. Unieważniono 16.

N. D.

(wybrani)

1. Paweł Bielski, robotnik fabryczny . . . . . gł. 3289
2. Jan Gacki, robotnik fabryczny . . . . . „ 3267
3. Władysław Jabłonowski, literat . . . . . „ 3309
4. Lucyan Kobyłecki, wiceprezes Tow. Wiośl. . „ 3287
5. Stanisław Libicki, wiceprezes Kasy lit. . . „ 3322
6. Henryk Sienkiewicz . „ 3443
7. Stanisław Wierzbicki, wice-dyrektor fabryki Rudzki . . . . . „ 3294

Ogółem gł. 23211
Przeciętnie po 3315.8 gł.

P. D.

1. Czerwiński Konstanty, kupiec . . . . . gł. 632
2. Jaroszyński Władysław, urzęd. banku . . . „ 670
3. Kalinowski Wacław, urzęd. Tow. Ubezp. . „ 670
4. Mayzner Izydor, kupiec „ 662
5. Nałanson Kazim., kupiec „ 669
6. Szymański Tomasz, urz. mag. . . . . „ 657
7. Weissblat Adolf, inżynier „ 652

Ogółem gł. 4612
Przeciętnie po 658.8 gł.

Z. D.

1. Fiszer Jan, księgarz . . gł. 39
2. Głowacki Aleks. (Bolesław Prus) literat . . „ 239
3. Gostyński Stan., inżynier „ 35
4. Heilpern Jakób, redaktor „Przegl. Technicz.“ . „ 45
5. Laurysiewicz Stefan, handlowiec . . . . . „ 50
6. Prażmowski Zdzisław, handlowiec . . . . . „ 32
7. Strzembosz Tadeusz, adw. przys. . . . . „ 70

Ogółem gł. 510
Przeciętnie po 72.8 gł.

Lista bezpartyjna „Kuryera Polskiego.“

1. Henryk Sienkiewicz, literat patrz listę N. D.
2. Aleksander Głowacki (Bolesław Prus) literat patrz listę Z. D.
3. Konrad Prószyński (Promyk) red. „Gaz. Swiąt.“ gł. 150
4. Prof. Włodzimierz Spasowicz, adw. i publicysta „ 131
5. Prof. Zdzisław Dmochowski, lekarz . . . . . „ 130
6. Władysław Kisłański, inż. „ 127
7. Ludomir Grendyszyński, publicysta . . . . . „ 113

Ogółem gł. 651
Przeciętnie 130.2 gł.

„Prawdziwi Rosyanie.“

1. Proskurjakow Aleksand. gł. 312
2. Michajłow Aleksander . „ 319
3. Filewicz Iwan . . . . „ 3 8
4. Agapiejew Piotr . . . „ 309
5. Szelechow Mikołaj . . „ 315
6. Uszyński Mikołaj . . . „ 320
7. Seliwestrow Iwan . . . „ 315

Ogółem gł. 2208
Przeciętnie 315.3 gł.

Następnie otrzymali głosy:

Amalicki Włodz. 4 gł.
Bniecki Jan 2 gł.
Banich Teodor 2 gł.
Petz Konstanty 2 gł.
Troicki Piotr 2 gł.
Budny Kazimierz 1 gł.
Bezobrazow M. 1 gł.
Dawidson 1 gł.
Grigoriew Aleksy 1 gł.
Gawryłow Fl. 1 gł.
Hartman Wł. 1 gł.
Chraszczew Grzegorz 1 gł.
Kiedraliwański Piotr 1 gł.
Kaszlewski Konstanty 1 gł.
Kudrewiecki Bazyli 1 gł.
Kuzniecow Michał 1 gł.
Krywoszejew Matwiej 1 gł.
Lewis Hubert 1 gł.
Marconi Henryk 1 gł.
Mitrofanow Paweł 1 gł.
Nikolski Wł. 1 gł.
Nieznamow Emilian 1 gł.
Podgórny Konst. 1 gł.
Wan der Rop Teodor 1 gł.
Sawicki Wojciech 1 gł.
Szlenkier Józef 1 gł.
Starosiwilski Jan 1 gł.
Władimirow Teodor 1 gł.
Woronoj Grzegorz 1 gł.
Wikulicz Mikołaj 1 gł.

Okręg X.

Prawyborców 6628. Głosowało 4773. Unieważniono gł. 7.

N. D.

(wybrani)

1. Władysław Tyszkiewicz, prezes oddziału Tow. popierania przemysłu i handlu gł. 3890
2. Stefan Bystydzieński, inżynier . . . . . „ 3852
3. Józef Czajka, robotnik fabryczny . . „ 3856
4. Stefan Dziewulski, adwokat przysięgły, red. „Ekonomisty“ . „ 3875
5. Bronisław Michalski, starszy cechu rękawiczników . . . . „ 3851
6. Michał Siemiradzki, adwokat przysięgły. „ 3883

Ogółem gł. 23207

Przeciętnie po 3867.8 gł.

P. D.

1. Kempner Stanisław, redaktor. . . . . gł. 523
2. Landau Szymon, rejent „ 523
3. Leszczyński Stanisław, adwokat przysięgły . „ 590
4. Sikorski Stanisław przemysłowiec . . . . . „ 150
5. Życki Kazimierz, właściciel zakł. kefir. . . „ 521
6. Łypacewicz Wacław. . „ 523

Ogółem gł. 2830

Przeciętnie po 471.6 gł.

Z. D.

1. Konic Henryk, redaktor „Gazety Sądowej“ gł. 164
2. Kowalski Mieczysław, chemik . . . . . „ 37
3. Lebkowski Maksym, inżynier. . . . . „ 53
4. Patek Stanisław, adwokat przysięgły . . . „ 88
5. Sygietyński Antoni, literat . . . . . „ 55
6. Wagner Ferd. adwokat przysięgły . . . . . „ 35

Ogółem gł. 432

Przeciętnie po 72 gł.

Lista „Kuryera Polskiego.“

1. Prof. Ignacy Baranowski, lekarz . . . . . gł. 113
2. Jan Gadomski, redaktor „Gazety Polskiej“ . . „ 130
3. Henryk Konic, redaktor „Gazety Sąd.“ patrz lista Z. D.
4. Juljusz Machlejd, pastor „ 156
5. Karol Rychliński, lekarz „ 112
6. Adam Zakrzewski, publicysta . . . . . „ 105

Ogółem gł. 616

Przeciętnie po 125.2 gł.

„Prawdziwi Rosyanie“

1. Bołotnikow Piotr. . . gł. 167
2. Dawydow Dymitr. . . „ 166
3. Łubencow Aleksander . „ 167
4. Arseniew Mikołaj. . . „ 167
5. Szumilin Dymitr . . . „ 169
6. Wechterstein Edward . „ 166

Ogółem gł. 1002

Przeciętnie po 167 gł.

Następnie otrzymali głosy:

Benni Karol 10 gł.
Winer 6 gł.
Natanson Stanisław 6 gł.
Askenazy Szymon 4 gł.
Krasiński Adam 4 gł.
Wasiljew Mikołaj 2 gł.
Baliński Ignacy 1 gł.
Barylski Henryk 1 gł.
Eiger Juljusz 1 gł.
Górski Michał 1 gł.
Higier Chaim 1 gł.
Jasiński Kazimierz 1 gł.
Kernbaum Józef 1 gł.
Kirszrot Jakób 1 gł.
Kronenberg Leopold 1 gł.
Leśkiewicz Kazimierz 1 gł.
Lutosławski Marjan 1 gł.
Łuszczewski Jan 1 gł.
Meyet Leopold 1 gł.
Mirosławski Zygmunt 1 gł.
Modin Bazyli 1 gł.
Natanson Kazimierz 1 gł.
Nisenson Teodor 1 gł.
Pfeifer Stan. 1 gł.
Poznański Maks 1 gł.
Radziszewski Henryk 1 gł.
Rottermund Stefan 1 gł.
Sękowski Konst. 1 gł.
Swieżawski Ernest 1 gł.
Syzniewski Konst. 1 gł.
Szyszło Wincenty 1 gł.

Okręg XI.

Prawyborców 9161. Głosowało 6271. Unieważniono gł

N. D.

(wybrani)

1.	Edward Czajkowski, adw. przys., czł. Kom. Nadz. T. K. M., wiceprezes Tow. Dobr. .	gł.	4815
2.	Dr. Bolesław Jakimiak	„	4798
3.	Wiktor Krypski, adwokat przysięgły . . .	„	4797
4.	Antoni Kuszelewski, inżynier, profesor .	„	4769
5.	Konstanty Paprocki, urzędn. Banku Hand.	„	4763
6.	Jan Piechotka, robot.	„	4763
7.	Juljan Adolf Święcicki, prezes Kasy literac.	„	3864

Ogółem gł. 32569

Przeciętnie po 4652.7 gł.

P. D.

1.	Balicki Tadeusz, inżynier	gł.	799
2.	Demby Stefan, urzędnik kolejowy.	„	765
3.	Drzewiecki Piotr, inż.	„	947
4.	Przeworski Dawid, wł. domu	„	538
5.	Świętochowski Aleksander, literat	„	694
6.	Wierzchleyski Aloizy, urz. kolej.	„	569
7.	Winnicki Jakób, urzędn. kolejowy.	„	571

Ogółem gł. 4883

Przeciętnie po 697.5 gł.

Z. D.

1.	Budkiewicz Józef, inż.	gł.	100
2.	Kraushar Daniel, kupiec	„	22
3.	Lutostański Jan, inż.	„	35
4.	Rudnicki Józef, technik	„	24
5.	Smoleński Wład., literat	„	250
6.	Wiśniewski Wład., inż.	„	21

Ogółem gł. 452

Przeciętnie po 64.5 gł.

Lista „Kuryera Polskiego."

1.	Władysław Holewiński, profesor.	gł.	128
2.	Józef Brzeziński, mecen.	„	157
3.	Ignacy Baliński, literat	„	92
4.	Karol Czajkowski, inż.	„	94
5.	Piotr Drzewiecki, inżynier, patrz lista P. D.		
6.	Ks. Józef Gąsowski, prefekt	„	88
7.	Władysław Smoleński, historyk, patrz lista Związek Demokrat.		

Ogółem gł. 562

Przeciętnie po 112.4 gł.

„Prawdziwi Rosyanie"

1.	Szyngarew Wasili. . .	gł.	404
2.	Ziłow Mikołaj	„	406
3.	Naranowicz Mikołaj . .	„	498
4.	Płotnikow Georgij . .	„	309
5.	Iwanowski Włodzimierz	„	496
6.	Kasmin Aleksander . .	„	506
7.	Kojałowicz Aleksander.	„	497

Ogółem gl. 3116

Przeciętnie po 445.1 gł.

Następnie otrzymali głosy:
Gubiennikow Mikołaj 2 gł.
Banige Ewgenij 1 gł.
Chitrow Aleksander 1 gł.
Hoser Piotr 1 gł.
Jesimow Iwan 1 gł.
Poletajew Piotr 1 gł.
Studnicki Gizbert 1 gł.
Bogusławski Aleksander 1 gł.
Bujnicki Józef 1 gł.
Czajkowski Jan 1 gł.
Dynga Hipolit 1 gł.
Grygorjew Włodzim. 1 gł.
Hraszczenko Mikołaj 1 gł.
Jakowski Marjan 1 gł.
Koch Mikołaj 1 gł.
Kwiatkowski Grzegorz 1 gł.
Nienarokomow Mikołaj 1 gł.
Nikitin Piotr 1 gł.
Niemander Ewgenij 1 gł.
Papieski Leon 1 gł.
Pilecki Antoni 1 gł.
Prus Bolesław 1 gł.
Wierzbowski Teodor 1 gł.
Dziewulski Stefan 1 gł.
Grygorjew Grygor 1 gł.
Jabłonowski Wład. 1 gł.
Jackowski Aleksander 1 gł.
Karaczarow Władimir 1 gł.
Kostyr Władimir 1 gł.
Lenc Iwan 1 gł
Jewdokimow Mikołaj 1 gł.
Kurlen Efim. 1 gł.
Migalew Iwan 1 gł.
Holewiński Stefan 1 gł.
Jeziorański Jan 1 gł.
Karpiński Eugenjusz 1 gł.
Kojałowicz Andrzej 1 gł.
Kopczyński Jan 1 gł.
Kozlow Aleksander 1 gł.
Lubomirski Stefan 1 gł.
Rogoziński Józef 1 gł.
Szaniawski Artur 1 gł.
Czerwiński Konstanty 1 gł.
Lipiński Józef 1 gł.
Uzarowicz Tomasz 1 gł.
Statnicki Bogumił 1 gł.
Studnicki Władysław 1 gł.

Okręg XII.

Prawyborców 13703. Głosowało 7436. Unieważniono gł. 16.

N. D.

(wybrani)

1. Ignacy Ciszkiewicz, inżynier . . . . . gł. 4272
2. Stanisław Falkowski, inżynier. . . . . „ 4165
3. Roman Niewiadomski, inżynier. . . . . „ 4255
4. Wincenty Olszewski, robotnik . . . . . „ 4266
5. Franciszek Sawicki, robotnik . . . . . „ 4263
6. Leopold Uliasz, robotnik . . . . . „ 4270
7. Dr. Kazimierz Zieliński, lekarz. . . . . „ 4269

Ogółem gł. 29760

Przeciętnie po 4251.4 gł.

P. D.

Kandydatów nie postawiła.

Z. D.

1. Antecki Stanisław, lekarz gł. 40
2. Datyner Wolf, kupiec, patrz lista żydowska.
3. Chęciński Miecz, monter. „ 23
4. Hummel Bogumił, inżynier . . . . . „ 43
5. Gromadzki Jan, lekarz . „ 40
6. Krauf Ludwik, inżynier. „ 33
7. Manitius Lud., inżynier . „ 41

Ogółem gł. 220

Przeciętnie po 36.6 gł.

Lista 1. zw kartelowa

(żydowska)

1. Kryże Władysław . . gł 2453
2. Datyner Wolf. . . . „ 2426
3. Kenigsgelb Moszek. . „ 2982
4. Ryba Manas. . . . . „ 2382
5. Brandhändler Nuszyn . „ 2382
6. Gutsztein Mordka . . „ 2376
7. Abba Emanuel. . . . „ 2388

Ogółem gł. 16789

Przeciętnie po 2398.4 gł.

„Prawdziwi Rosyanie."

1. Szwaczko Ilia . . . . gł. 683
2. Isajew Wasyli . . . . „ 688
3. Flegontow Mikołaj . . „ 676
4. Kowalnicki protojerej . „ 661
5. Żukow Sergiusz . . . „ 640
6. Rozmaiński Teodor, duchowny . . . . . „ 675
7. Guszczyn Sabin . . . „ 677

Ogółem gł. 4760

Przeciętnie po 671.1 gł.

Następnie otrzymali głosy:

Piaszczyński Henryk 27 gł.
Ungar Ludwik 21 gł.
Dudrewicz Ignacy Duchan 18 gł.
Różycki Julian 18 gł.
Daab Leopold 16 gł.
Juszczyk Józef 9 gł.
Kubaczenko Mikołaj 9 gł.
Hess Antoni 8 gł.
Szczerbakow Aleksy 7 gł.
Warlamow Mikołaj 6 gł.
Modzelewski Jan 6 gł.
Krzyżanowski Michał 5 gł.
Kasperowicz Mateusz 5 gł.
Lisiejew Iwan 3 gł.
Szulgin Dmitry 3 gł.
Chartynow Grzegorz 3 gł.
Boudar Michał 3 gł.
Zydkow Mateusz 2 gł.
Rozdzewicz Stefan 2 gł.
Ostaszewski Kazimierz 2 gł.
Romanow Włodz. 2 gł.
Wasiliew Dyonizy 1 gł.
Kubarko Józef 1 gł.
Labęcki Wł. 1 gł.
Szymański Konst. 1 gł.
Szymański St. 1 gł.
Eppenblat Lewek 1 gł.
Gronostajski Józef 1 gł.
Sawicki St. 1 gł.
Afanasiew Iwan 1 gł.
Koczerin Teodor 1 gł.
Erlich Majer 1 gł.
Winkler Chana 1 gł.
Bujwołow Paweł 1 gł.
Gozdiejew Paweł 1 gł.
Jarocki Leontyn 1 gł.
Kaliski Sergiusz 1 gł.
Katelnikow Pantaleon 1 gł.
Kostomarow Atanazy 1 gł.
Mojsiejew Iwan 1 gł.
Pajęcki Mikołaj 1 gł.
Stankiewicz Fr. 1 gł.
Włoszczenko St. 1 gł.
Konstantinow Al. 1 gł.
Poguniec Onisim 1 gł.
Kraut Ludwik 1 gł.
Różycki Wł. 1 gł.

Wynik prawyborów.

Tablica poniżej przytoczona wymaga pewnych wyjaśnień.

Ponieważ z sześciu występujących do współzawodnictwa partyj tylko Związek Demokratyczny (Z. D.) dał kompletną listę kandydatów w 12 Okręgach, inne zaś partye w pewnych Okręgach kandydatów nie postawiły, przeto brak listy danej partyi oznaczamy kreską. Zestawiając listy partyj okazuje się, że:

Z. D. postawił kandydatów . . . . . w 12 Okręgach
N. D. „ „ . . . . . w 11 „
Prawdziwi Rosyanie . . . . . w 11 „
P. D. . . . . w 8 „
Żydzi. . . . . w 4 „
Bezpartyjni (lista „Kuryera Polskiego“). . . . w 4 „

Nadmieniamy również, że w okręgach, w których P. D. kandydatów swych nie postawiła, na mocy umowy z Żydami uznawała listę żydowską, Żydzi zaś głosowali w 8-iu Okręgach na całkowitą listę P. D. Oddzielić głosów Żydów od głosów partyi P. D. z braku danych dotyczących składu partyi P. D.—nie sposób. Możnaby wprawdzie ubocznie, porównywując ludność żydowską każdego okręgu z ogólną liczbą głosów P. D., wyprowadzić pewne wnioski, ale formułować ich nie będziemy, ponieważ nie opierają się na ścisłych danych i jako takie nie mogą znaleźć miejsca w pracy niniejszej.

Obliczając stosunek procentowy głosów każdej partyi porównujemy go z ogólną liczbą głosujących. Przeciętną ilość głosów dla każdego stronnictwa wyprowadzamy przez podział ogólnej liczby głosów na ilość okręgów w których stronnictwo stawiało swe kandydatury.

Charakterystycznym objawem jest, że przeciętna ilość głosów w jednym okręgu nie idzie w parze ze stosunkiem procentowym, jak to wskazuje poniższe zestawienie:

Ogółem głosowało	N. D.	Żydzi	P. D.	Prawdziwi Rosyanie	Kuryer Polski	Z. D.	Rostrzelonych głosów
67291	36057 czyli 53.5%	15600 czyli 24.6%	11618 czyli 17.2%	2256 czyli 3.3%	395 czyli 0.6%	525 czyli 0.7%	840 czyli 1.2%
Przeciętnie w Okręgu							
5608	3278	3900(?)	1452	205	99	44	70

Żydzi aczkolwiek głosowali tylko w czterech Okręgach, wykazali największą solidarność dając przecięciowo po 3900 głosów.

Rozstrzelone głosy stanowią zaledwie 1.2%.

Poniższą tablicą zamykamy statystykę prawyborów.

Wynik prawyborów według przeciętnej liczby głosów oddanych na kandydatów list partyjnych:

Okręg wyborczy	Prawyborców	Głosujących	D. N. Demokraci narodowi	Żydzi	P. D. Postępowi Demokraci	Prawdziwi Rosyanie	Z. D. Związek Demok.	Kuryer Polski
I	7050	5480	4342	—	874	198	24	28
II	4948	3874	2103	—	1543	139	44	—
III	13040	7699	3856	—	3704	60	27	—
IV	7937	5048	—	4878	—	38	44	—
V	9331	5996	684	5207	—	—	17	—
VI	8927	4270	2798	—	1365	56	14	—
VII	8921	6051	3594	—	2304	94	32	—
VIII	7268	5896	2592	3117	—	73	77	—
IX	7890	4496	3316	—	659	315	73	130
X	6628	4773	3868	—	472	167	72	125
XI	9161	6271	4653	—	697	445	64	112
XII	13703	7436	4251	2398	—	671	37	—
12	104804	67291	36057	15600	11618	2256	525	395

*

* *

Wybory posłów dały wynik z góry przewidywany. Z ogólnej liczby 83 wyborców (80 z miast i 3 wyborców robotników) przybyło 80.

Przy głosowaniu kartkami jeden wyborca od głosowania się usunął. Otrzymali głosów: Franciszek Nowodworski 59, Hr. Władysław Tyszkiewicz 58, Samuel Dickstein 19, Stanisław Libicki 4, Henryk Sienkiewicz 1.

Przez balotowanie gałkami na posłów obrano Franciszka Nowodworskiego (57 białych gałek na 22 czarnych) i Władysława Hr. Tyszkiewicza (60 białych gałek i 19 czarnych) Trzeci balotowany kandydat Samuel Dickstein otrzymał 19 białych i 60 czarnych gałek.

Wybory robotników.

Grudniowa ordynacya wyborcza powołując do głosowania, w porównaniu z Bułyginowską, licznych prawyborców, uwzględniła również specyalne przedstawicielstwo robotników.

Robotnicy pracujący w fabrykach, w liczbie więcej niż 50, otrzymali prawo *trzystopniowego* głosowania. O ile każdy robotnik, jako mieszkaniec miasta, był prawyborcą, jako robotnik był tylko praprawyborcą.

Nie zastanawiając się nad doniosłością takich ograniczeń prawa do wyrażania swej woli, co nie odpowiada najbardziej elementarnym wymaganiom przedstawicielstwa, przechodzimy do określenia liczby robotników w Warszawie i gub. Warszawskiej.

Wszyscy robotnicy mieli wybrać 7 wyborców (3 z Warszawy i 4 z gub. Warszawskiej), którzy wchodzą na równi z wyborcami miejskimi do zjazdu wyborczego gubernialnego lub zebrania wyborczego miejskiego. Na 104 wyborców z gubernii, 4 mandaty posiadają wyborcy robotników, w zebraniu zaś miejskim na 83 mandaty—3.

Wybory na przedstawicieli odbyły się na zasadach następujących. Każda fabryka dająca pracę 50—1999 robotnikom obiera jednego przedstawiciela. Poczynając od 2000 robotników fabryka wybiera jednego przedstawiciela na pełny tysiąc robotników. Głosować mają robotnicy bez różnicy wieku.

Zasada takiego przedstawicielstwa w środowiskach wielkiego przemysłu fabrycznego dąży do ograniczenia liczby przedstawicieli. Warszawa, jako miasto w którym wielki przemysł fabryczny nie jest rozwinięty, na ordynacyi tej wyszłaby stosunkowo lepiej, niż Łódź lub Sosnowiec, gdzie stosunek ten wypadnie znacznie gorzej.

Zaznaczyć musimy, że przedstawiając liczbę robotników uwzględniliśmy jedynie robotników fabryk, znajdujących się pod dozorem inspekcyi fabrycznej. Po za niemi stoi cała masa warsztatów drobnych rzemieślniczych. Według danych udzielonych przez Komitet statystyczny Królestwa Polskiego, liczba rzemieślników wynosiła w roku 1904, 18,439 głów, ogół zaś robotników fabrycznych 32,282, co stanowi razem przeszło 50,000, czyli 6% ludności.

Twierdzenie to postaramy się udowodnić liczbami. Przedtem jednak musimy określić ogólną liczbę robotników w gubernii i Warszawie, oddzielając fabryki, które miały prawo wyborcze przedstawicieli od fabryk pozbawionych tego prawa.

Przy statystyce tej posiłkujemy się danemi udzielonemi przez kancelaryę inspektora fabrycznego miasta i gubernii Warszawskiej.

Ponieważ rok operacyjny w przemyśle zamyka się w lipcu, przeto z konieczności zmuszeni jesteśmy posiłkować się danemi z okresów dawniejszych, uzupełniając je podług danych, jakie posiadamy z zaczerpniętych wykazów późniejszych.

Wykaz robotników fabrycznych w gub. Warszawskiej w końcu roku 1903 i 1904 (razem z Warszawą).

W końcu roku	Od lat 12—15		Od lat 15—17		Dorosł. od l. 17		Ogółem	
	MĘŻ.	KOB.	MĘŻ.	KOB.	MĘŻ.	KOB.	MĘŻ.	KOB.
1903	157	236	4517	3707	44298	16697	48972	20640
W końcu roku 1904	188	180	4445	3307	43584	15821	48217	19308

Z tablicy tej widzimy, że ilość robotników fabrycznych w końcu roku 1904 zmniejszyła się o (69612 — 67525) 2087.

Fabryk w roku 1903 ogółem było 854, w końcu roku 1904 748 czyli o 106 mniej.

W liczbie 748 fabryk, w 226 pracowało mniej niż 50 robotników, w 289 mniej niż 20 robotników. Liczba robotników pracujących w tych fabrykach wynosiła 11486; zatem w 233 większych fabrykach pracowało ogółem 56039 robotników, że przeciętnie czyli w fabryce pracowało po 240 robotników.

Tyle o liczbach ogólnych.

Specyalnie w celu dokonania wyborów przedstawicieli robotników inspekcya fabryczna sporządziła wykazy fabryk za rok ubiegły. Posiłkując się temi danemi otrzymujemy co następuje:

W końcu roku 1905 w Warszawie było fabryk 479. Liczba robotników pracujących wynosiła 35351. Z 479 fabryk jedna zatrudnia przeszło 1000 robotników (Lilpop, Rau) 8 więcej niż 500, 109 od 50—500 a w pozostałych 367 fabrykach pracuje mniej niż 50 robotników w każdej. Warszawskie fabryki miały zatem wybrać 118 przedstawicieli.

W gub. Warszawskiej fabryk w końcu roku 1905 było 86 i 5 warsztatów kolejowych. Ogólna summa pracowników wynosiła 22937. Z tej liczby 3688 przypada na zakłady Żyrardowskie i 2588 na warsztaty kolejowe. Ponieważ zakłady Żyrardowskie obierać miały 3 przedstawicieli gub. Warszawskiej, liczba przedstawicieli o 2 mandaty przewyższa liczbę fabryk.

Sumując zatem liczbę pracowników fabrycznych praprawyborców z całej gubernii otrzymamy:

Warszawa . .	fabryk 118	robotników 20037	—	3 wyborców
Gubernia . .	„ 91	„ 22937	—	4 „
		Razem 42974	—	7 wyborców

czyli że na 6139 robotników przypada 1 wyborca.

Przeciętną liczbę robotników, którzy mieli prawo wybierać swego przedstawiciela otrzymamy przez podzielenie ogólnej liczby praprawyborców przez liczbę fabryk.

W Warszawie 1 przedstawiciel prawyborca wypada na 169 robotników. W gubernii Warszawskiej 1 przedstawiciel (prawyborca) na 252 robotników.

Stosunek ten w środowiskach wielkiego przemysłu, gdzie ilość wielkich fabryk stanowi przeważną część zakładów, znacznie się zwiększa.

Koszta sporządzenia list prawyborców i dokonania wyborów.

A. Koszta sporządzenia pierwotnej listy prawyborców (według ordynacyi Bułygina).

Wynagrodzenie urzędników Wydziału Patentowego	rb.	390 k.	—
„ „ Hipoteki miejskiej . .	„	500 „	—
„ „ Izby Skarbowej . . .	„	280 „	—
Pensye urzędników biura wyborczego w Magistracie	„	1472 „	—
Papier, druki, materyały piśm. i drobne wydatki .	„	1606 „	73
Razem	rb.	4248 k.	73

B. Koszta sporządzenia listy dodatkowej prawyborców (według ordynacyi grudniowej) i dokonania prawyborów.

Pensya urzędników Centralnego Biura Wyborczego przy Magistracie[1])	rb.	19227 k.	—
Pensya urzędników 12 biur wyborczych Okręgowych	„	14398 „	—
Wynajęcie lokali na biura Okręgowe.	„	1928 „	—

[1]) Dla ścisłości należy zaznaczyć, że do tej sumy włączona została pensya 150 urzędników biur okręgowych, którzy sporządzali przez dwa tygodnie listę w Magistracie.

Urządzenie biur okręgowych, pensye woźnych i drobne wydatki	rb.	3988	k. 30
Materyały piśmienne, druki, litografia	„	2432	„ 80
Drukarnia Generał Gubernatora.	„	2383	„ 25
Zakup. 60 szapirografów	„	1500	„ —
„ 100 taśm do szapirografów	„	850	„ —
Maszyna do pisania	„	300	„ —
Ogłoszenia i plakaty na słupach	„	593	„ —
Ogłoszenia w pismach	„	685	„ 97
	Razem	48286	k. 32

Koszta przytoczone wymagają pewnych wyjaśnień.

Wynagrodzenie urzędników wydziałów Magistratu i Izby Skarbowej spowodowane były pracą dodatkową około sporządzenia wykazów mieszkańców opłacających podatki (patrz rozdział „Technika prac przedwyborczych“).

Urzędnicy powołani przez magistrat pobierali po 2 i 3 rb. dziennie.

Urzędnicy biur okręgowych 8-iu po 2 rb. dwóch starszych po 3 rb.

Lokale biur okręgowych częściowo mieściły się w gmachach rządowych (w 4 okręgach), częściowo zostały wynajęte.

Koszta ogólne wyborów wynoszą:

Lista pierwotna	rb.	4248	k. 73
„ dodatkowa	„	48286	„ 32
	Razem rb.	52535	k. 05

Do sumy tej, którą zamykamy w dniu 5 maja przybędą jeszcze następujące wydatki:

Pensya i gratyfikacya urzędników Biura Centralnego rb. 500 (?)

Wynagrodzenie i gratyfikacye dodatkowe urzędników:

Biura adresowego, biur okręgowych, woźnych, wreszcie napływające dodatkowe rachunki. . . „ 5500

Zastrzegając się zatem co do dwóch ostatnich pozycyj postawionych warunkowo, wnioskujemy, że wybory kosztowały Warszawę około 60.000 rb.

Ignacy Chabielski.

Od redakcyi „PRACY.“

Prosimy czytelników o nadsyłanie nam wszelkich materyałów, informacyj i notatek dotyczących spraw administracyjnych, ekonomicznych i społecznych. Na nadesłane nam pytania z zakresu spraw powyższych, postaramy się udzielać stosownych odpowiedzi lub informacyj.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

Warszawa Druk A. Ginna.

№ 6.



PRACA

Dodatek poświęcony artykułom w sprawach administracyjnych, ekonomicznych, prawnych i społecznych, oraz materyałom spraw tych dotyczącym.

Treść: Gospodarka Finansowa Miasta Warszawy.—przez Stefana Gorskiego.

Gospodarka Finansowa

MIASTA WARSZAWY.

W szeregu rozpraw, poświęconych ekonomicznym badaniom kraju naszego, *Praca* umieściła w sierpniu roku ubiegłego studyum p. B. Boufałła, omawiające gospodarkę finansową miast prowincyonalnych w Królestwie Polskiem. Jednocześnie redakcya *Pracy* obiecała omówić oddzielnie gospodarkę Warszawy. Spełniając obecnie powierzony mi obowiązek podania czytelnikom ekonomicznego obrazu zarządu stolicy, uważałem za wskazane poprzedzić rys czasów ostatnich *historyą* gospodarki miasta Warszawy. Ponieważ praca niniejsza o *gospodarce finansowej* Warszawy nie ma na celu zastąpienia sobą monografji, obejmującej całokształt stanu dawnego i obecnego naszego miasta, przeto po wiadomości, nie wiążące się z niniejszym tematem, lecz odnoszące się do poszczególnych zagadnień ekonomicznych Warszawy, odsyłamy czytelników do opracowań specyalnych, istniejących już w naszej literaturze.

I.

Historya zarządu m. Warszawy.

A. Okres Państwa Polskiego.

Starym był ustrój samorządny miast polskich. Początkiem sięgał lat niemal równie odległych, jak odwiecznem jest prawodawstwo nasze. Od połowy XIII stulecia osady i miasta w Polsce, cieszyły się niezależnością gospodarczą. Urząd miejski w Warszawie, oparty na prawie chełmińskiem, miał nadany sobie reskrypt przez Księcia Janusza Starszego w r. 1413. Autonomiczna władza obieralna kierowała gospodarką z większą niezależnością, niż to później przestrzegały ustawy, ogłoszone w ciągu stulecia ubiegłego.

Radę miasta Warszawy stanowił prezydent (burmistrz), obierany co rok z grona sześciu rajców. Dalszy skład zarządu stanowiło: dwunastu ławników i dwudziestu mężów gminnych (*viginti viri*). Prócz tego istniał przy magistracie urząd wójta do sądzenia spraw cywilnych. Pełny skład rady szeregował się z wybieranych z pośród obywateli miejskich—rajców, z pośród gminiaków—ławników, z pośród bractw i cechów—mężów gminnych. Zarząd miejski w Polsce był więc wszechstanowy i rozporządzał autonomicznie wszelkiemi sprawami gospodarki miejskiej.

Od początku gospodarka ta dawała jaknajlepsze rezultaty. Od najdawniejszych lat Warszawa posiadała szpital miejski, łaźnię publiczną (1376 r.) ratusz, szkołę parafialną. W roku 1568 rozpoczęto budowę mostu stałego na Wiśle i w tym to czasie lustracya królewska stwierdza w Warszawie 629 domów, a w liczbę tej już 488 budowli murowanych. Kościołów 10, szpitali 5, szkół parafialnych 2. W mieście — pisze F. M. Sobieszczański [1]) — nie było śladu gorszących spraw i nadzwyczajnych nieporządku wypadków, a ponieważ ustawy przeciw temu nie było i powody zapewne nie istniały. Przy rządach samodzielnych Warszawy, kulturę i dobrobyt miasta potwierdza zresztą i Paprocki. „Warszawa — pisze słynny heraldyk [2])—w Mazowszu miasto najporządniejsze, w żywność wszelaką obfite, w którem kupców, mieszczan bogatych jest wiele, a do tego porządnych.“

[1]) F. M. Sobieszczński „Rys historyczno-statystyczny wzrostu i stanu m. Warszawy od najdawniejszych czasów aż do 1847 roku.“ Warszawa. 1848. Str. 33.

[2]) Paprocki „Herby Rycerstwa“ str. 713.

W r. 1754—57 Warszawa pozyskuje dwa nowe szpitale, prezydent miasta Jan Dulfus zaopatruje mieszkańców w pompy publiczne, ulice oświetla latarniami i do pilnowania mienia magistrackiego wyznacza stróże nocne.

W roku 1771 całą Warszawę otoczono rowem i wałami. Ulice otrzymały nazwy umieszczone na tablicach narożnych. Ośm szpitali dostateczne były dla pomieszczenia cierpiących. Szkół publicznych i szkółek liczono pięć. Ratuszów murowanych dwa. Placów na targowiska 17 i dwa rynki, studni miejskich 16, domów miejskich cztery.[1]) W trzynaście lat potem poraz pierwszy ponumerowano w Warszawie wszystkie posesye. Stolica posiadała ówcześnie około 80 tys. mieszkańców.

Dość ubogo przedstawiał się natomiast stan finansowy miasta. Podatek opłacany skarbowi przez miasto wynosił aż 3 miljony złp., ztąd niedobory w kasie sięgały niekiedy rozmiarów rozległych, doprowadzając aż do ogłoszenia bankructwa miejskiej komisyi brukowej. Wyznaczony w r. 1784 podatek łokciowy (gruntowy) zdołał wreszcie doprowadzić budżet do pełnej równowagi, wykazując w nowej rubryce 846.707 złp. dochodu.

Zewnętrzny wygląd Warszawy i stan jej urządzeń społecznych zazwyczaj bywał odbiciem ogolnej sytuacyi krajowej. Świetność, lub czasowy upadek Warszawy, wiązał się bezpośrednio z panowaniem tego lub innego króla. Inaczej być nie mogło. Do rozkwitu miasta potrzeba nietylko dobrej, planowej gospodarki, ale spokoju w kraju i dobrobytu obywateli. To też podróżnicy cudzoziemcy najsprzeczniejsze częstokroć, w różnych czasach, o stanie Warszawy dawali w druku opisy. Czytamy tam nieraz, że „miasto źle brukowane i brudne, ulice nieoświetlone, na Wiśle brak mostu, tylko nędzny przewóz, który komunikacyę utrudnia“ i t. d. Ale zdawano też i relacye nader dla gospodarki Warszawy pochlebne. W końcu XVIII w. Niemiec Sirissa pisał o stolicy naszej, że „znajduje się w Warszawie wiele niebrukowanych ulic, ale to tylko na przedmieściach, co prawie we wszystkich miastach niemieckich zdarza się. Zresztą inne ulice są szerokie, proste i piękne, po których dniem i nocą spokojnie chodzić można, a kłótni i hałasów po nich nigdy nie słychać.“

Dzięki uchwałom Sejmu Czteroletniego w położeniu miast wogóle, a przedewszystkiem Warszawy, zaszły zmiany ku lepszemu przez nadanie miastom urządzeń jednolitych i zniesienie dawnych jurydyk, oraz przez nadanie mieszczaństwu praw politycznych

[1]) *Encyklopedya powszechna* Orgelbranda (stara). Tom 26, str. 425.

i przypuszczenie reprezentacyi miejskiej do udziału w Sejmie. Pierwszą ustawę miejską ustanowił Sejm Czteroletni w konstytucyi wydanej 30 kwietnia 1791 roku, pod tytułem: „Urządzenie wewnętrzne miast wolnych Rzeczypospolitej w Koronie i Wielkiem Ks. Litewskim.“ Lubo wykonanie uchwał Sejmu powstrzymane zostało przez następne wypadki dziejowe, zasady jednak położone przezeń względem urządzeń miast i stanu miejskiego, pozostały w ogólnych zarysach nietknięte, w dziejach zaś uwieczniły jedną więcej roztropność polityczną w kierunku zabiegów o dobro ojczyste.

B. Za rządów pruskich.

Upadek Państwa Polskiego i zaprowadzenie rządów pruskich w Warszawie, zrazu nie pozbawił stolicy odwiecznego samorządu grodzkiego. Magistrat funkcyonował nadal podług zasad, objętych ustawą r. 1791, a godności obu prezydentów Warszawy pełnili Polacy: Andrzej Rafałowicz i Józef Łukasiewicz.

W tym czasie przywrócono wiele rozsądnych, a niekiedy zaniedbanych, obwieszczeń magistrackich. Wcielono w życie dawne przepisy: o urządzeniach rzeźników i piekarzy, oświetlenia ulic, wyznaczania straży nocnej, robienia meldunków i spisu ludności.[1]) Dalej, rozporządzeniem wydanem 13 lutego 1795 roku zabroniono grzebania zmarłych po kościołach. Żebraków z ulic usunięto, opiekując się ich losem. Dla baczenia nad dobrocią bruków ustanowiono specyalną „deputacyę,“ aby „miasto Warszawa co do ochędostwa, ozdoby, tudzież wygody, a tem samem zdrowia i życia mieszkańców, rządowej doznało opieki.“

Wraz z ogłoszeniem Warszawy głównem miastem kamery Prus Południowych, w zarządzie stolicy zachodzić poczęły znaczne zmiany.

Urzędnicy koronni zastępują dawną radę miejską obieralną. W roku 1796 magistrat Warszawy otrzymuje trzech „Stadtrathów,“ którym przewodzi prezydent, będący jednocześnie naczelnikiem policyi, a zamiast dawnej ławy, czyli sądu przysięgłych, ustanawia się „der Justitz Magistrat der Königlichen Haupt- und Residenz Stadt Warschau.“ [1])

Głównem zadaniem władz pruskich było eksploatowanie kraju, dbano też więcej o urządzenia skarbowe, niż o organizacyę wewnętrzną, ale nie da się zaprzeczyć, że urzędnicy niemieccy za-

[1]) *Encyklopedya powszechna* (stara) Tom. 26, str. 427.

biegali o ład w mieście, często może bardziej policyjny, niż kulturalny, ale bądź co bądź istniał pewien rygor w odbywaniu w Warszawie targów w oznaczonych dniach i godzinach, w przestrzeganiu taksy ogłoszonej na mięso i pieczywo i t. p. Prócz tego ustanowiono policyę lekarską[2]) i szczepienie ospy (1800 r.) Były to zarządzenia administracyjne niewątpliwie racyonalne. Wreszcie do reform prawnych zaliczyć wypada ustanowienie hypoteki, lombardu i towarzystwa akcyjnego od pożarów.[3])

Ogólnie, Warszawa nie rozwijała się jednak. Liczba mieszkańców malała:

w roku 1787 wynosiła 89,448 głów.
„ 1799 „ 64,829 „

Nowych domów nie budowano, a ślady zabytków architektonicznych niszczono. Handel upadał i ograniczał się jedynie do zaspakajania potrzeb miejscowych.

C. Księstwo Warszawskie.

Ustawa konstytucyjna Księstwa Warszawskiego wydana 22 lipca r. 1807 *warowała* podwładnym grodom *samorząd miejski*, lubo odmienny nieco od praw pamiętnego dnia 3 maja (1791 r). W miastach, gdzie ludność przewyższała 50,000 mieszkańców, a więc i w Warszawie, rada municypalna składała się z 30 członków[4]) mianowanych przez króla z podwójnej listy kandydatów, podanych od zgromadzeń gminnych. Rady te odnawiały się w połowie co dwa lata[5]). Burmistrzów mianuje król bez poprzedniego sobie przedstawienia.

Na rady municypalne i prezydentów wkładane były te same obowiązki, jakie Zarządom miejskim zakreślił Sejm Czteroletni z wyłączeniem policyi, która miała oddzielnego prefekta, oraz sądownictwa, które przelano na sędziów pokoju. Rada municypalna — w myśl dekretu roku 1809 — układa etat dochodów i wydatków miasta, projektuje podatki miejskie, sprawdza rachunki prezydenta z użycia funduszów miejskich, dopełnia rozkładu podatków, uchwala potrzebne roboty ku utrzymaniu własności miej-

[1]) Władysław Korotyński „Dawne Rady Miejskie i Powiatowe.“ Warszawa 1906., str. 5.

[2]) *Gazeta Warszawska* 1796 №№ 11, 21, 23.

[3]) *Gazeta Warszawska* 1804 r. № 93.

[4]) Ustawa konstytucyjna Ks. Warszawskiego art. 67.

[5]) Ustawa konstytucyjna Ks. Warszaw. art. 68.

skiej, zaprowadzenia i utrzymania dróg, ulic, bruków, ogrodzeń, mostów, studni, brzegów nadrzecznych, porządków ogniowych, *szkół publicznych*, i t. d.

Do pomocy prezydenta dodawano nadto 5 ławników, mianowanych przez ministra spraw wewnętrznych.

W okresie rządów Ks. Warszawskiego, a wraz z nim nowych urządzeń gospodarki miejskiej, Warszawa rozwijała się powoli. Wpływały na to decydująco głównie warunki polityczne, a ruchy wojsk francuskich eksploatowały stolicę nader dotkliwie. Domów w tym czasie nie budowano prawie wcale, sporządzone spisy wykazywały niemal jedne i te same dane. Podług obliczeń dokonanych w roku 1807 Warszawa wraz z Pragą posiadały: ulic 234; domów zamieszkałych 3388, placów i domów pustych 424.

Kościołów ówcześnie liczono 39, szpitali—6.[1]) Dokładniejsze dane z lat następnych wykazują nadto teatrów 3 i ogrodów publicznych 3.

Podnieść wypada nie małe zabiegi rady municypalnej Warszawy zarówno w kierunku podniesienia szkolnictwa miejskiego, jak i poważnych nakładów gospodarczych. W tym czasie przyprzystąpiono do budowy drugiego mostu na Wiśle, który w ciągu roku 1807 został na palach urządzony, ale niestety w roku następnym uległ zniesieniu przez wylew wód i kry lodowe. Reparacya i budowa nowego mostu w latach 1806 i 1807 dokonane były drogą rekwizycyi wojskowej, przeważnie kosztem miasta.[2])

„Podług świadectw krajowych i zagranicznych współczesnych pisarzy—notuje F. M. Sobieszczański[3]) — ogólne wtedy zubożenie kraju i powszechny niedostatek Warszawie dojmował. Pomimo to atoli, lubo na ciężkie czasy narzekano, w parę lat pokoju wartość domów i komornego podniosła się i chęć do zabaw obudziła się.“ Liczba domów opuszczonych w Warszawie maleć zaczęła i zamieszkałych kamienic poczet w roku 1812 wzrósł do 3,807. Wzrastała również w stolicy ludność stale zamieszkała:

w roku	1806	było	64,411 głów
„	1810	„	77,727 „
„	1813	„	78,767 „

[1]) „Taryffa, czyli spis wszystkich pałaców, domów, kościołów, szpitalów oraz też posessorów m. Warszawy, dla wygody publicznej wydana.“ Warszawa 1807.

[2]) Adolf Suligowski „Warszawa i jej przedsiębiorstwa miejskie.“ Warszawa 1903, str. 82.

[3]) „Rys historyczno-statystyczny Warszawy,“ str. 213.

Urządzenie i ustalenie hipoteki według praw francuskich, a dalej ulepszenie w Warszawie ubezpieczeń od ognia, nie mało się przyczyniło, do powolnego, acz stałego powrotu do normalniejszych warunków dobrobytu obywateli stolicy Księstwa.

D. Królestwo Kongresowe.

Wraz z powstaniem Królestwa Kongresowego nowe nadano kształty zarządowi gospodarczemu miasta Warszawy. W zasadach Rządu tymczasowego, przez Aleksandra I ustanowionego, zastrzegano, że miasta będą rządzone przez swoich własnych urzędników. „Cokolwiek ustawy dotąd egzystujące nadają miastu praw, wolności, przywilejów — głosi art. 34 „Zasad“ [1]) — wszystko to w zupełności zachowane będzie.“ A dalej dodaje tenże paragraf: „podnieść miasta i urządzić ich pomyślność jest naszą wyraźną chęcią i będzie przedmiotem usiłowań rządu naszego.“

Ogłoszona w r. 1815 Konstytucya Królestwa Polskiego nie potwierdziła wszakże praw miejskich a „wolności i przywileje“ nie „w zupełności zachowane“ zostały. Artykuł 84-ty Ustawy konstytucyjnej głosił, że „w miastach będą urzędy municypalne, w każdej zaś gminie będzie wójt, dla wykonania rozkazów rządowych, jako ostatnie ogniwo administracyi krajowej.“ [2])

W rozumieniu rzeczonego artykułu prawodawca pozostawił jednak pewną dowolność, raczej niejasność i brak bliższych szczegółów. We dwa miesiące, w dniu 10 lutego 1816 r. namiestnik Kr. Polskiego, Józef Zajączek, uzupełnia ów paragraf zarządzeniem, aby odtąd: „Urząd municypalny miasta stołecznego Warszawy składał się z prezydenta, czterech radnych z głosem stanowczym i czterech ławników z głosem doradczym. Urząd municypalny zostaje pod bezpośredniem Komisyi rządowej spraw wewnętrznych i policyi zarządzeniem. Prezydent i radni mianowani będą przez króla na przedstawienie Komisyi rządowej spraw wewnętrznych i policyi, ławnicy zaś przez Komisyę na przedstawienie prezydenta.“ [1])

Wbrew zapowiadanym obietnicom samorząd miejski w Królestwie Kongresowem nie był zaprowadzony. Dzięki wszakże

[1]) J. Bojasiński „Rządy Tymczasowe w Kr. Polskiem.“ Monografje w zakresie dziejów nowożytnych. Wydawca Szymon Askenazy. Warszawa—Kraków 1902 r., str. 178 i nast.

[2]) Dziennik Praw Królestwa Polskiego. Tom I str. 50.

nadzwyczajnym zabiegom rządu krajowego Warszawie samej wyjątkowo krzywda w gospodarce i wzroście się nie stała. Godność prezydenta dostała się w ręce Karola Ferdynanda Wojdy.

Urząd municypalny podzielono na 4 wydziały: a) policyi, b) administracyi, wewnętrznej instytutów i rzeczy prawnych, c) skarbowy i kas miejskich, d) wojskowy.

Pod urzędem municypalnym, i pod szczególnym dozorem wydziałów właściwych pozostawiono: 1) deputacyę kwaterniczą, 2) szpitale, więzienia, domy należące do miasta i instytutów od niego zawisłych, 3) urząd budowniczy, 4) sprawy stowarzyszenia ogniowego, ile te dotyczą miasta Warszawy, 5) dyrekcyę lombardu, 6) fizykat miasta (urząd lekarski), 7) plenipotenta miasta (radca prawny), 8 urzędy cyrkułowe, 9) urząd miar i wag, 10) urząd taksowy i tandetowy, 11) posługę ogniową, 12) ekspedycye rogatkowe.

Pod kierownictwem prezydenta Wojdy wydziały miejskie funkcyonowały sprawnie. „Od roku 1815 Warszawa rozpoczęła nową epokę wzrostu i pomyślności swojej.[2]) Władze i podatki oraz dochody miasta urządzono. Zasługują tu na wspomnienie niemałe zasługi b. prezydenta, na którego wniosek wyznaczono sumy ze skarbu i kapitałów miasta, z których nowobudującym domy wydawano pożyczki, z obowiązkiem spłacenia takowych z procentem po pewnym lat upływie. Powierzchowność miasta do niepoznania zmieniać się poczęła. Skasowano dawne ratusze. Główny ze Starego miasta do zakupionego na ten cel pałacu Jabłonowskich, przy ul. Senatorskiej przeniesiono, przez co rynek tameczny odsłonięto. Ogrody Saski i Krasiński, znacznie rozszerzone i z niekształtnych budowli oczyszczone wspaniałemi kratami żelaznemi obwiedzione zostały. Szpecące budowle Pociejowa zniesiono. Ulice wysadzono drzewami. Targowiska miejskie wybrukowano. Chodniki zaprowadzono.“

Przy sprężystości zarządu miejskiego wzrastały również dochody Warszawy. Już w roku 1818 wynosiły one 700,000 złp. Wydzielane zaś pożyczki budowlane zachęcały wielce do wznoszenia nowych domów. Od r. 1817 do 1823 czyli w ciągu siedmiu lat powstało:

nowych domów . . . . 200 odnowiono 769

W okresie pięciolecia 1823—1828 r. ruch budowlany wzrasta jeszcze silniej. W tym czasie wymurowano:

[1]) Dziennik Praw Królestwa Polskiego. Tom I, str. 158.

[2]) Encyklopedya Powszechna (stara). Tom 26, str. 428.

nowych domów	218	z gruntu odrestaurowano .	59
gmachów fabrycznych . .	27	oficyn i przebudowań front.	211

W roku 1829 powstaje 83 nowych domów.

Wobec rozwoju miasta i wzrostu w Warszawie handlu i przemysłu, pomnaża się też znacznie ludność:

w r. 1816	wynosi	81,020	głów	w r. 1825 wynosi	126,433 głów
„ 1820	„	100,338	„	„ 1827 „	131,465 „
„ 1823	„	117,284	„	„ 1830 „	139,654 „

Podług wykazu F. M. Sobieszczańskiego,[1]) Warszawa w roku 1825 wraz z Pragą obejmowała z górą 156 włók, na przestrzeni których liczono:

ulic	214	pałaców	112
dymów	13,250	gmachów publicznych	61
domów murowanych . . .	1,402	fabryk i rękodzielni .	5,818
drewianych	1,730		

Suma asekuracyjna wynosiła ówcześnie w Towarzystwie Ogniowem ogółem 54,512,528 złp.

Dbając o ekonomiczny wzrost Warszawy, nie zapomniano jednocześnie i o szerzeniu oświaty, i uobywatelnianiu mas. Ustawa roku 1817 zaprowadzała specyalne szkoły rzemieślniczo-niedzielne, a to w celu podniesienia kunsztów rękodzielniczych, zaś prawa r. 1819 ustanawiają uczelnie elementarne dla chrześcijan i żydów, w zamiarze *bezpłatnego* ułatwiania nauki wśród najuboższych. W roku 1826 Warszawa posiada:

Uniwersytet (z 600 studentami)	1	Szkoły elementarne i niedziel-	
Szkoły wojewódzkie	3	no-rzemieślnicze .	64
Szkoła leśna	1	„ cyrkułowe (męzkie)	5
„ politechniczna	1	„ „ (żeńskie)	5
Szkoły wydziałowe	2	Szkół żeńskich	16
		„ mniejszych . . .	6

Ogółem nauczycieli 324, młodzieży szkolnej płci męzkiej, 5,265, płci żeńskiej—2,125.

Według raportów Rady stanu o położeniu kraju, w następnych latach liczba uczniów nieco się zmniejsza i w r. 1828 wynosi:

w 10	szkołach	cyrkułowych	miejskich	732	uczniów.
„ 72	„	„	prywatnych	879	„
„ (?)	„	„	niedzielno-rzemieśln. .	853	„
„ 4	„	„	żydowskich	298	„
„ 1	„	„	dla rolników	71	„

[1]) „Rys historyczno-statystyczny Warszawy," str. 250.

W roku 1830 było w Warszawie razem 139 zakładów szkolnych z ogólną liczbą uczniów 6,933.[1])

E. Era Paskiewicza.

Wkrótce po wojnie polsko-rosyjskiej r. 1831 rząd ówczesny wznowił na krótko radę municypalną w Warszawie. Urządzona na wzór istniejącej za Księstwa Warszawskiego, miała się składać z 32 radców obieralnych.[2]) Ogłoszony w roku 1832 statut organiczny w art. 41 zapewniał, że „zarząd miast poruczа się zwierzchności, przez zgromadzenie miejskie obranej.“ (Dzien. Praw. XIV, str. 221). Artykuł ten wszakże, jak i wiele innych, nie doczekał się urzeczywistnienia. W dniu 11 listopada 1842 ukazem cesarskim, nazwę rady municypalnej przemieniono na „magistrat“ (Dzien. Praw. XXX, str. 281).

Wraz ze skasowaniem rad miejskich społeczeństwo utraciło wszelki wpływ na kierownictwo sprawami gospodarki Warszawy. System biurokratyczny święcił swoje tryumfy. Długi miasta wzrastają odtąd z dużą szybkością. W okresie lat 1829—1845 Warszawa zaciąga sześć pożyczek na sumę ogólną 5,550,589 rb. 48½ kop. Pieniądze te obracane były nietylko na potrzeby miejskie, jak urządzenie zjazdu do Wisły, budowę bulwaru i Teatru Wielkiego, ale w równej mierze na cytadelę, będącą jak wiadomo w zawiadywaniu ministra wojny. W roku 1832 dochody miejskie na jednego mieszkańca stanowiły 3 rb. 20 kop. w r. 1847 sięgały już—5 rb. 20 kop.

Budżet miejski w wydatkach nie odpowiadał kulturalnym potrzebom Warszawy. W roku 1847 największą pozycyę obejmowała spłata długów (259,765 rb.); z kolei szło utrzymanie policyi (188,364 rb.); administracya wynosiła — 73,394 rb.; natomiast na szkoły i szpitale wydatkowano zaledwie 28,447 rb. W rubryce „do dyspozycyi władz wyższych“ widzimy poważną sumę 57,220 rb.

Zanotować również wypada, że na zasadzie rządowego rozkazu, noszącego datę 24 października 1839 r., wiceprezydent m. Warszawy przemianowany został na oberpolicmajstra i czynności policyjne zupełnie wyłączono z pod władzy Magistratu.

Wcześniej jeszcze, bo przez rozporządzenie wydane 24 listopada r. 1834 szkoły elementarne wydzielono z pod dozoru Urzędu

[1]) „Rocznik Instytutów religijnych i edukacyjnych w Kr. Polskiem.“ Warszawa 1830.

[2]) Władysław Korotyński: „Dawne Rady Miejskie i Powiatowe“ Warszawa 1906. str. 14.

miejskiego i oddano pod całkowitą opiekę inspektorów obwodowych i dyrektora gimnazyum Warszawskiego, a następnie Okręgu Naukowego. Ustawę szkół i regulaminy upodobniono całkowicie z ustawami uczelni istniejących w głębi Rosyi (1840).

Nie da się powiedzieć, aby zarządzenia oficyalne w sprawie szkolnictwa warszawskiego przyczyniły w czemśkolwiek do rozwoju oświaty i pedagogiki krajowej. „Nowa ustawa szkolna r. 1840 — pisze A. Suligowski [1]) — przyrzekła pomoc ze skarbu na szkoły elementarne do wysokości $^1/_3$ wydatków, w praktyce przecież, gdy chodziło o dostarczenie tej pomocy, napotykano na poważne trudności i zdobywano skutek z wielkim wysiłkiem, tak, że faktycznie pomocy tej prawie nie było. Szkolnictwo początkowe zamiast rozwijać się dalej, raczej zaczęło się w tej epoce chylić stopniowo do upadku, że zaś tak być musiało, wystarczy powołać się na świadectwo jak najbardziej kompetentne, zamieszczone w memoryale hr. Milutyna.“

Istotnie, statystyka w roku 1847 wykazuje w Warszawie razem 116 zakładów naukowych i 9,656 uczących się, czyli w porównaniu z rokiem $18^{29}/_{30}$ *mniej uczelni o 23*, wprawdzie więcej za to uczniów o 2,723, ale ludności.

w $18^{29}/_{30}$ r. było 133.654
„ 1847 „ „ 166.997

Tendencye zniżkowe zdradzał również i rozrost miasta Warszawy. Zaludnienie jej w 1856 r. zmniejsza się do 156.072 głów.

Nie podniosła się też w tym czasie liczba szpitali w Warszawie (liczono ich 8), zaś organizacya ich często wiele pozostawiała do życzenia, mimo wyjątkowo gorliwych zabiegów istniejącej „służby zdrowia.“ „Najważniejszym brakiem — utrzymuje Dr. W. Męczkowski [2])—było usunięcie miast ze sfery wpływów (społeczeństwa) na szpitale. Od najdawniejszych, czasów aż do r. 1832 miasta brały czynny udział w życiu szpitali, w opiece nad chorymi ubogimi i t. p. Magistraty stale i zawsze sprawowały zarząd szpitali. Rok 1832 usunął miasta od tego obowiązku, a stan taki trwa do dnia dzisiejszego. Ustawa r. 1832 oparła byt szpitali przeważnie na ofiarności publicznej, na własnych funduszach szpitali, wreszcie na zasiłkach ze skarbu i żadnego stałego źródła dochodów dla szpitali nie obmyślono.“

Słabo rozwijał się też w tym czasie w Warszawie ruch budowlany. W roku 1847 stolica liczyła zaledwie 3,053 domy, czyli

[1]) „Miasto analfabetów.“ Wydanie drugie Kraków 1905. str. 7—8.

[2]) „Stan i potrzeby szpitali Królestwa Polskiego.“ Warszawa 1905. Wydawnictwo „Pracy“ № 3, str. 7.

ogółem mniej, niż za rządów Ks. Warszawskiego, kiedy budowli zamieszkałych wykazywano ówcześnie 3,388. Tak więc gospodarka biurokratyczna miejska za dyktatury ks. Paskiewicza mściła się na Warszawie. Z lepszych zapoczątkowań wymienić jedynie możemy zaprojektowane w r. 1850 a w pięć lat ukończone urządzenie wodociągów. Dzieło to okazało się z biegiem czasu nie przydatnem, i w roku 1882 wypadło przystąpić do zbudowania w Warszawie nowych wodociągów, według planu inż. W. Lindleya.

F. Reformy Wielopolskiego

Po zgonie Mikołaja I (1855 r.) i ks. Paskiewicza (1856 r.) w Królestwie Polskiem zachodzą nieznaczne zmiany, nietyle narazie realne, ile psychologiczne, ale zarówno w Rosyi, jak i u nas w kraju, odczuwać zaczęto powiewy liberalizmu.

W zarządzie Warszawy reformy ustawodawcze zachodzą w roku 1861.

Z inicyatywy doradczej Aleksandra hr. Wielopolskiego podjęto próbę przekształceń zasadniczych w organizacyi Królestwa w duchu autonomicznym pierwotnych intencyj Statutu Organicznego, wydanego w r. 1832. Reskryptem Cesarskim 5 czerwca 1861 ustanowione zostają Rady Miejskie z grona obywateli obieralne.[1]) Członków Rady Miejskiej w Warszawie miało zasiadać 24. Ustawa przewiduje nadto takąż liczbę zastępców. Mandaty wyznaczane są 6-letnie z odnawianiem corocznie jednej szóstej części. Posiedzenia odbywają się pod przewodnictwem prezydenta, lub jego zastępcy. Narady miały być przy drzwiach zamkniętych, oprócz jednego posiedzenia publicznego corocznie, na którem magistrat miał zdawać sprawę z zarządu miastem.

Funkcye zarządu miejskiego dzielą się pomiędzy: Radę i Magistrat. W Warszawie Magistrat składa się z prezydenta i trzech radnych. Prezydenta m. Warszawy, na przedstawienie Rady administracyjnej Królestwa mianuje monarcha. Radnych, na przedstawienie właściwych rad miejskich zatwierdza w Warszawie rada administracyjna.[2])

Do Rady Miejskiej miał należeć: zarząd gospodarczy miasta, ułożenie budżetu dochodów i wydatków, użycie środków do zewnętrznego urządzenia miasta, dozór nad miejskiemi instytucyami publicznemi, zarządzanie własnością miejską i t. d.

[1]) Dziennik praw. Tow 58, str. 328.

[2]) Władysław Korotyński „Dawne Rady Miejskie i Powiatowe," str. 17.

Czynne prawo wyborcze do Rady otrzymali mężczyźni 25 lat liczący, którzy umieją czytać i pisać po polsku, posiadają nieruchomość lub wykażą przynajmniej 180 rb. rocznego dochodu. Kandydat na radnego winien mieć lat 30 skończonych i opłacać 15 rb. podatku, jeśli jest właścicielem nieruchomości i 45 rb., jeśli jest dzierżawcą. Prócz tego radnymi mogli być: uczeni, artyści, literaci, kupcy gildyjni, rzemieślnicy i t. d. W Warszawie podług obliczeń Wł. Korotyńskiego—skorzystało w r. 1862 z czynnego prawa wyborczego niemal $^5/_6$ ogółu wyborców. Radni miejscy, powołani z tytułu zasług naukowych lub zawodowych, stanowili przeszło 29% ogółu członków rady miejskiej.

Uroczystość otwarcia Rady Miejskiej w Warszawie odbyła się pod prezydencyą Kazimierza Wojdy w dniu 30 maja 1862 roku.[1]) Rozsądnie zapoczątkowana akcya Rady, do której składu wchodzili wybitni obywatele miasta, jak dr. Tytus Chałubiński, Kazimierz Kaszewski, Leopold Kronenberg, Andrzej hr. Zamoyski i t. d., nie wydała jednak większych rezultatów, a to z racyi nadciągającej burzy politycznej — powstania 1863 r.

Podobnie, jak samorząd, zawiodła i akcya na polu szkolnictwa warszawskiego. Ustawa przywróciła dozory szkolne z obywateli miejscowych nad szkołami elementarnemi, oddając je pod opiekę rady miejskiej, „nadto — pisze A. Suligowski.[2]) — w Warszawie na mocy oddzielnego postanowienia rady administracyjnej w dniu 13 marca 1863 r. ustanowiono specyalne dozory szkolne, złożone z duchownego, dwóch obywateli i dwóch profesorów, lub nauczycieli. Postanowienia te przecież skutku nie odniosły, zwłaszcza, że rady powiatowe i miejska w Warszawie, wnet w roku 1863 zamknięte zostały.“

Praca podjęta dla grodu o 230,255 mieszkańcach, sparaliżowaną została, lubo zapowiadała się owocnie dla kraju. Zaraz na pierwszych posiedzeniach Rady Miejskiej proponowano etat szkolny w Warszawie podnieść do 19,500 rb. czyli więcej o 9,365 rb; niż w roku 1861.[3]) Projektowano dalej podjąć wiele dzieł pierwszorzędnego dla stolicy znaczenia. Zamiary te rozwiały jednak wypadki dziejowe.

Odtąd zapanował we wszystkich miastach Królestwa Polskiego system rządów biurokratyczno-administracyjnych, dla kraju naszego jak najzgubniejszych. Biurokratyzm tryumfował! Tryumfuje też aż po dzień dzisiejszy.

---

[1]) *Kuryer Warszawski.* 1862 № 122.

[2]) A. Suligowski „Miasto analfabetów,“ str. 8.

[3]) Księga protokółów posiedzeń Rady m. Warszawy.

G. Kasacya samorządu miejskiego.

Od roku 1863 miastem zarządza magistrat złożony z urzędników koronnych. Zrazu, ustawodawczo nie zmieniano przepisów o istnieniu obieralnych rad miejskich, ale wyborów więcej nie wyznaczano. Ustrój biurokratyczny administracyi krajowej nie dążył bynajmniej do przywrócenia samorządu Warszawy.

Wskrzeszony system gospodarki urzędniczej, z porządku rzeczy wywierał w stolicy wpływ najfatalniejszy. Lekceważenie potrzeb mieszkańców odczuwano na wielu polach, ale najdotkliwiej zmiany zaznaczyły się w szkolnictwie warszawskiem. Brak przedstawicielstwa obywatelskiego do potrzeb miasta sprawiał, że zarówno naczelnicy dyrekcyi naukowej, a następnie inspektorowie szkół w Warszawie, zaniechali jakiegokolwiek komunikowania się z mieszkańcami w sprawie szkół początkowych, ktore odtąd zostawały po za obrębem jakiejkolwiek opieki i kontroli ze strony obywatelstwa.

Liczba uczelni elementarnych miejskich nie podnosi się też w tym czasie. Statystyka wykazuje ich w roku 1865 zaledwie 31 o 1,653 uczniach, a szkół niedzielnych było 29 z 2,635 wychowańców:

Obowiązki oświatowe w Warszawie przechodzą odtąd całkowicie niemal na barki samegoż społeczeństwa, jego zabiegów, sprężystości i samopomocy. Poczet zakładów naukowych *prywatnych* wzrasta z niepomierną szybkością. W tym czasie liczono:

zakładów wyższych	3
„ żeńskich	25
„ „ niższych	3
„ elementarnych męzkich	18
„ „ żeńskich.	64

Razem — podług wykazów *Słownika Geograficznego* [1]) — było w Warszawie zakładów prywatnych 111, a w nich uczących się 5.295.

Równie niepochlebnie o stanie gospodarki miejskiej świadczy ówczesny inwentarz Warszawy. W roku 1865 było:

Ulic brukowanych . .	181	Domów murowanych . .	2,297
„ niebrukowanych . .	47	„ drewnianych . .	1,145

Mieszkańców liczono 235,811 a liczba szpitali nie przekraczała starej normy 8. Nie było zresztą czasu na zajmowanie się powiększaniem ich liczby. Władze zajęte były w tym czasie całkiem czem innem. Teraz suszono sobie tylko głowy, aby „kontrola władz stawała się stopniowo coraz ściślejszą. W r. 1865 Rada

[1]) *Słownik Geograficzny*. Tom 26, str. 435.

Główna Opiekuńcza (nad szpitalami), z polecenia Kom. Rząd. Spr. Wewn., nakazuje, aby Rady Op. Szczegółowe zawiadamiały o swych posiedzeniach naczelnika żandarmeryi, który musi być obecnym na posiedzeniu Rady. Tegoż roku nakazano, aby Rady prowadziły korespondencyę w języku rosyjskim. Również wyższe względy państwowe nakazywały częstokroć postępować wbrew wyraźnym przepisom i uchwałom. Tak np. w r. 1862 postanowiono, że posady ordynatorów mają być obsadzane drogą konkursu. Tymczasem wbrew tej decyzyi, z mocy rozporządzenia Rady Administracyjnej wydanego 12 stycznia 1866 roku, mianowano w Warszawie pięciu nowych ordynatorów bez konkursu.“ [1])

Podobneż contre-ewolucye przechodziły wszystkie inne działy gospodarki miejskiej, zarówno w Warszawie, jak zresztą w kraju całym.

Takim był zarząd biurokratyczny, wprowadzony bez względu na to, że prawa o Radach miejskich jeszcze nie były cofnięte. Tempo „systemu“ przyspiesza się bardziej jeszcze po wydaniu szeregu nowych ustaw i wzmocnieniu tendencyj rodzących się w umysłach politycznych „prawdziwych rosyan.“

II.

Okres najnowszy.

A. Prawodawstwo magistrackie.

Ukaz cesarski, ogłoszony w dniu 22 grudnia 1866 roku i dodatkowe prawa, w roku 1868 ostatecznie znoszą nieistniejące rady miejskie,[2]) uchwały zaś Komitetu do spraw Królestwa Polskiego, 22 lipca 1870 r. zatwierdzone, ustanawiają przepisy dla urzędniczych władz miejskich w kraju naszym.[3])

Magistrat miasta Warszawy poddano w porządku ogólnym władzy Ministeryum Spraw Wewnętrznych, w miejscowym zaś — głównemu naczelnikowi kraju. Z pod zarządu magistratu wyjęto i oddano innym władzom wiele gałęzi miejskiej administracyi lokalnej. Wydzielono więc:

1) Urząd lekarski i całą część medyczną oddano pod bezpośredni zarząd oberpolicmajstra, gdzie też zjednoczono wszelkie sprawy dotyczące policyi lekarskiej.

[1]) Dr. W Męczkowski „Stan i potrzeby szpitali,“ str. 10—11. „Praca“ № 3 str. 7).

[2]) *Dziennik Praw* Tom 68, str. 26 i nast.

[3]) *Dziennik Praw.* Tom 70, str. 262.

2) Nadzór nad wykonaniem przepisów budowlanych, na zasadzie ustawy budowlanej[1]) oddano również policyi.

3) Przekazano także policyi czynności dotyczące aktów stanu cywilnego wyznań nie chrześcijańskich, publikacye rozporządzeń rządowych, ogłaszanie decyzyi władz sądowych i administracyjnych, przyjęcie przez cudzoziemców poddaństwa rosyjskiego i t. d.

Areszt dłużników cywilnych poddano władzy rządu gubernialnego na zasadzie przepisów ogólnych o więzieniach. Czynności, dotyczące rad familijnych oddano sędziom pokoju.

W zamian istniejących niegdyś komisarzy Administracyjnych ustanowiono oddzielną służbę do nadzoru nad handlem pod nazwą dozorców handlowych i starostów targowych, oraz do wykonania rozporządzeń gospodarczych trzech komisarzy kasy miejskiej.

Urządzono przy magistracie wydział budowlany pod zarządem starszego inżyniera miasta na prawach radcy magistratu do spraw budowlanych, inżynierskich i wodociągowych.

Ustanowiono oddzielny komitet pod prezydencyą osoby wybranej przez głównego naczelnika kraju do rozpatrzenia budżetu miejskiego, składający się z przedstawicieli władz miejscowych i czterech obywateli miasta.

Prawa magistratu co do umorzenia zaległości miejskich, nabycia gruntów na rzecz miasta, sprzedaży majątku miejskiego, zawarcia kontraktów na sumy oznaczone, zarządzenia robót publicznych w mieście, prowadzenia licytacyj i t. d. ograniczono do rozmiarów, jakie przysługują w ogólności gubernialnym władzom rządowym. W razach zaś przechodzących owe normy, zatwierdzenie uczyniono zależnem od warszawskiego generał-gubernatora, lub też ministra spraw wewnętrznych.

Przepisy o tych atrybucyach magistratu, zawarte w §§ 5, 6, 7, 8 i 9 powyższej uchwały Rady Państwa, nader ograniczające władzę zarządu miejskiego, stanowią główny hamulec w skuteczności i prędkiem załatwianiu wszelkich potrzeb i pragnień miasta.

Pozostawiono przy magistracie: lombard warszawski, Urzędy Zgromadzeń kupiectwa i rzemieślników, dozór żydowski oraz dozór kościelny i cmentarny.

Postanowiono nareszcie, iż niezależnie od nadzoru nad sprawami budowlanemi, zleconego zarządowi policyi, oraz czynności włożonych na nowy wydział budowlany przy magistracie, wszelkie prośby osób prywatnych co do zamierzonego przez nich wznoszenia nowych budynków i ich reparacyi, mają być nadal rozstrzy-

[1]) *Zbiór Praw.* Tom II.

gane przez rząd gubernialny. W ten sposób nadzór nad wznoszeniem nowych budowli rozpadł się na trzy władze, co się też odbiło w skutkach swych w sposób bardzo dotkliwy.

B. Niedomagania budżetowe.

System administracyjny zarządzania gospodarką Warszawy doprowadzał budżety miejskie do niepraktykowanych nigdzie w Europie zachodniej anomalii. W roku 1874 w rubryce wydatków spotykamy między innemi cyfry:

utrzymanie policyi	509.173 rb.
szkoły miejskie	33.662 „
zarząd miejski.	158.138 „
zasiłek tow. dobroczyn.	43.169 „
skarbowi na utrzymanie dywizyonu żandarmów	74.838 „
straż ogniowa	144.066 „
do rozporządzenia naczelnika kraju i prezydenta	14.089 „

Pozycye nadzwyczaj znamienne, mówią same za siebie i nie potrzebują komentarzy. Warto natomiast nadmienić, że kiedy Warszawa w roku 1874 wydatkowała na potrzeby szkolnictwa śmieszną sumę 33.662 rb., tegoż roku na cele szkolne Lipsk przeznaczył —1.509.912 franków, Stuttgart— 423.100 fr., Monachium— 705.028 fr., Frankfurt n/M.— 1.076.460 fr., Wrocław – 1.961.719 fr., Genewa - 862.539 fr., Florencya —786.153 franków.

Przy obciążaniu funduszów miejskich nadmiernemi wydatkami: na policyę, zarząd miejski i straż ogniową, nie dziw, że szkolnictwo schodziło na plan ostatni i nie zaspakajało w minimalnej nawet części potrzeb ogółu ludności. Warszawa liczy w tym czasie 285.823 mieszkańców, poczet szkół wynosi jednak zaledwie 172, a w nich 20.771 uczniów. Przewaga tych uczelni nie wypada wcale na koszt miasta: utrzymuje je społeczeństwo własnemi siłami.

W roku 1874 prywatnych szkół w Warszawie było razem 126, z czego wypadało:

uczelni dla chłopców . .	32,	w nich uczniów	3.600
„ „ dziewcząt . .	89	„ „ uczenic	4.600
„ mieszanych . . .	5	„ „ dzieci	1.234

W obec braku należnej liczby ognisk szerzenia oświaty, umoralniania mas i powszechnego szczepienia kultury, przestępstwa mnożą się w Warszawie z niepomierną szybkością. W ciągu r. 1874 popełniono 5.045 nadużyć, za które sądy skazały 6.183 osoby. Połowę tej cyfry stanowi wykroczenie przeciw prawu własności (50%), po czem idzie nastawanie na życie, zdrowie i honor osób

prywatnych (37%). Włóczęgów przytrzymano 3.968, w areszcie policyjnym przebywało 13.266 osób.

Jednocześnie z niebywałą szybkością wzmaga się w Warszawie rozwój prostytucyi. Pod dozorem policyi znajdowało się 1.600 upadłych kobiet, nie licząc zastępów całych półświatka. Do tego „mnóstwo tajnych gniazd rozpusty, których, jak pisze Encyklopedya[1]) — coraz więcej wykrywała policya. W ciągu też lat ostatnich śmiertelność ciągle się wzmagała, a liczba urodzeń stosunkowo malała."

Mimo znacznego rozwoju przemysłu w Warszawie, i ożywienia miasta przez budowę nowych linij kolejowych, wiążących stolicę z Europą zachodnią i wschodnią wzrost grodu nie odbywał się w pożądanych rozmiarach. W roku 1874 w Warszawie domy parterowe (2/5) murowane stanowią 16% ogólnej ilości domów frontowych; jednopiętrowe 1/5, a dwupiętrowe 1/4 część ogólnej ilości. Trzypiętrowe nie sięgają 1/13 części (80%), zaś czteropiętrowych istniało tylko 27 w całem mieście. Ciasne podwórza zatruwały powietrze, a brak ścieków wpływał na zakażanie wody studziennej.

W roku 1875 urząd prezydenta miasta dostał się w ręce gen. Sokratesa Starynkiewicza, Rosyanina, ale dla Warszawy usposobionego nader życzliwie. Starynkiewicz, mimo trudnych warunków ogólnych i nieprzychylności władz centralnych dla Królestwa, położył dla Warszawy niemałe zasługi. Przy nim wzrasta ład w mieście, dzięki jego staraniom zarząd przeprowadza kanalizacyę i wodociągi, ulice zyskują wygodniejsze bruki, ale finanse, budżet Warszawy, zawsze daleko odbiega od pragnień ekonomistów polskich. „Wiemy pisze spółcześnie p. A. P.[2])—iż obecny przedstawiciel zarządu Warszawy ożywiony jest najlepszemi chęciami, niemniej jednak dobrze jest poznać stronę finansową gospodarstwa, a przekonają cyfry, że względnie do wysokości opodatkowania mieszkańców i nieruchomości, porządek, ład i udogodnienia życia w mieście, mogłyby być w Warszawie na wyższym szczeblu rozwoju."

W budżecie ułożonym na rok 1881 utrzymanie policyi wraz z zasiłkiem opłacanym skarbowi na wynagrodzenie żandarmów, pochłania 365.539 rb., czyli 22,65% ogólnej sumy dochodów miejskich Dalej do wydatków obowiązujących Warszawę, a nie spotykanych w budżetach innych miast Europy, należy zaliczyć 56.542 rb., stanowiące koszt utrzymania sądu zjazdowego i sędziów po-

[1]) *Encyklopedya Powszechna* S. Orgelbranda (mała) Tom XII Warszawa 1876.

[2]) Budżet miasta Warszawy na rok 1881. Przez A. P. *Atenaeum* 1881. Tom IV.

koju i 1.500 rb., przeznaczane corocznie z funduszów miejskich, jako zasiłek skarbowi na utrzymanie filij pocztowych.

Wogóle „na dochodach miasta – dodaje p. A. P.[1]) – ciążą wydatki obowiązkowe, od których Warszawa uwolnić się nie ma możności. Do rzędu tych należy np. czynsz wieczysty pp. Kanoniczkom w sumie 7.950 rb. rocznie, za plac zajęty pod budowę teatrów. Właściwie czynsz ten jest zasiłkiem opłacanym przez miasto teatrowi, temu samemu, który przed 50 laty kosztował miasto 750 tys. rb. i zwolniony został od wszelkich z nim rachunków. Następnie opłata 2.655 rb. rocznie pod nazwą kampetencyi, która obecnie prawie w całości przeszła na dochód skarbu, a stanowi spłatę wartości placów, przeszłych na rzecz miasta od parafii Ś-go Andrzeja.“

Do anomalji budżetowych należy dalej prawie 30 tys. wypłacanych corocznie z funduszów kwaterunkowych na pokrycie rzekomych „długów.“ W istocie, Warszawa płaci skarbowi 16,198 rb. rocznie na pokrycie 269.968 rb. zapłaconych przezeń długów, zahipotekowanych na skonfiskowanych domach Andrzeja hr. Zamoyskiego; 12,175 rb. rocznie do czasu spłaty 487 tys. rb. pokrytych ze skarbu jako wartość domu № 413, nabytego od spadkobierców Skwarcowa. Niemniej dziwnie brzmi w pozycyi wydatków suma 1.625 r. na zwrot kosztów poniesionych przez skarb na budowę „punktu zbornego“ na Pradze. Nadto spotykamy takie wydatki, jak:

najem domów dla wojskowych . . . . . 15.164 rb.
służba kwaterunkowa . . . . . 6.850 „
zasiłek skarbowi . . . . . 600 „
najem lokali dla urzędów i urzędników sądowych . . 25.500 rb.

W zamian, w celu nieobciążania już nadmiernie budżetu miejskiego, na utrzymanie szkół wydatkowano zaledwie 48.565 rb. czyli 3% ogólnej sumy rozchodów. I nic dziwnego, że kiedy po szeregu lat w ten sposób prowadzonej gospodarki w roku 1882 pod kierunkiem prof. Załęskiego zarządzono w Warszawie spis jednodniowy, w smutnych nad wyraz cyfrach uwydatniły się rezultaty rządów administracyjnych w stolicy.[2]) Warszawa ówczesna przy ludności, wynoszącej 387.395 mieszkańców posiadała 211.863 osoby, które nie kształciły się w żadnej szkole (55% ludności). Nie umiejących ani czytać, ani pisać, czyli kompletnych analfabetów było 189.239 osób (48% ludności).

„Przykry ten stan rzeczy — pisze A. Suligowski[3]) — nie wywołał w danej chwili reakcyi. Bez możności samodzielnego dzia-

[1]) Ibidem.
[2]) „Rezultaty spisu jednodniowego z roku 1882.“ Warszawa 1883.
[3]) „Miasto analfabetów“ str. 12—13.

łania społeczeństwo nie przedsięwzięło nic celem usunięcia złego, magistrat miejski, jako organ administracyjny, bez inicyatywy władzy naukowej również nic zdziałać nie był władny, zaś okrąg naukowy pozostawił sprawę na łasce Opatrzności. Szkół początkowych brakowało i nie przybywało, lub prawie nie przybywało, pomimo wzmagającego się rozwoju miasta. Jedynie tylko miejscowe towarzystwo dobroczynności, przychodząc w pomoc ubóstwu zaczęło przyjmować do swoich ochron dzieci starsze po nad lat 7, ucząc je tam czytania i pisania."

Warszawa tonęła w analfabetyzmie, a administracyjnie skrępowany magistrat stawał bezradny, mimo nawet objawianych nie jednokrotnie tendencyj, bardziej kulturalnych. Okręg naukowy warszawski nie sprzyjał rozwojowi oświaty w kraju, i nie poczuwał się do najmniejszych obowiązków rozszerzania ram szkolnictwa, lubo, jako organ oficyalny, winien był widzieć, że Warszawie należy się cośkolwiek, już choćby z racyi tak szczodrze opłacanych przez miasto podatków rządowych. Wywzajemniając się za płynące dla skarbu korzyści, instytucya koronna mogła już choćby tylko nie przeszkadzać, jeżeli nie niosła sama pomocy, w powstaniu nowych uczelni w Warszawie. Prąd polityki górował jednak ponad wszelką słuszność i—wdzięczność dla miasta.

A stolica nasza tymczasem podatkami rządowemi co raz bardziej była krępowaną. Mimo różnic zachodzących między Warszawą, Petersburgiem a Moskwą, tak pod względem rozmiarów grodów, jak ilości kamienic i mieszkańców, miasto nasze płaciło skarbowi 1½ raza tyle, co Petersburg, i prawie 3 razy tyle, co Moskwa. Opłacano bowiem na potrzeby skarbu podymnego i kwaterunkowego 711.272 rb., kiedy Petersburg podatku głównego i dodatkowego opłacał—581.383 rb., a Moskwa zaledwie—290.640 rb.

W równie niekorzystnem świetle, jak polityka szkolna w Warszawie, przedstawiał się stan szpitalnictwa miejscowego, gdzie pod wpływem różnorodnych „tendencyj" wyłaniał się zamach za zamachem na jaki taki przed tem stan szpitali, tak hojnie niegdyś obdarzanych pomocą i opieką społeczeństwa.

Jedyny jaśniejszy promień rzucony do gospodarczości m. Warszawy, to podjęcie wielkich robót publicznych, złączonych z urządzeniem kanalizacyi i wodociągów. Pozwolenie w Petersburgu prezydent Starynkiewicz otrzymał jednak zaledwie po wielu trudnych staraniach i przezwyciężeniu tysiącznych opozycyj, jawnie stawianych przez administracyę, przeciw skanalizowaniu Warszawy i zaopatrzeniu ją w wodociągi.

Na potrzeby tych robót, po trudnych zabiegach, pozwolono Warszawie po raz pierwszy w r. 1884 wypuścić obligacye do wysokości 1.350 tys. rb. W r. 1885 uzyskano zezwolenie na wypuszczenie 2-ej seryi obligacyi na 1.500 tys. rb; w r. 1887 na trzecią seryę do wysokości 3.300 tys. rb., w r. 1891 na 4-tą seryę w ilości 4.400 tys. rubli., w 1896 na 5-tą seryę w wysokości 6.600 tys. rb.

Do kierowania robotami przy kanalizacyi i wodociągach— w drodze ustępstwa – zezwolono powołać specyalny komitet obywatelski z dość szerokiem pełnomocnictwem. Jedynie gorliwym zabiegom tego przedstawicielstwa mamy do zawdzięczenia, że bieg tak ważnych dla miasta robót, przyjął charakter dość dla Warszawy pomyślny.

Również jedynie zasługą społeczeństwa było nadanie miastu wyglądu bardziej estetycznego, troska o plantacye i wysadzanie drzewami. Niezwykle energiczną w tym kierunku pieczę stale wykazywał komitet plantacyjny, powołany z grona obywateli Warszawy. Jako organ w zasadzie jedynie doradczy, komitet nie miał większej władzy samodzielnej, nie mniej zdziałał nieraz więcej, niż to miał zakreślone i więcej nawet niż starczyły mu na to fundusze budżetowe.

Owocność prac obywatelskich w zarządzie miejskim, nie przekonywała jednak władz centralnych o potrzebie nadania Warszawie autonomii. Za samorządem przemawiali nawet naczelnicy kraju: hr. Berg i gen. Albedyński. Opinie te nie spotykały się jednak z aprobatą w Petersburgu.

C. Dochody miejskie i opodatkowanie ludności.

Prawidłowe wyzyskiwanie źródeł dochodów jest równie ważnem zadaniem zarządu miasta, jak rozporządzanie pieniędzmi, płynącemi do kasy magistratu. W układaniu budżetów miasta Warszawy, niestety, nie spotykamy nadmiaru troski o prawidłowy rozwój dochodów kasy miejskiej. Niektóre źródła wyzyskiwane są nieprawidłowo, inne całkowicie zapomniane, cały zaś ciężar utrzymania machiny miejskiej z zadziwiającą zawziętością spada wciąż na właścicieli realności, z pominięciem osób nieposiadających domów, a korzystających z dogodności, jakie miasto zapewnia.

Podatki pobierano podług przestarzałych zasad wprowadzonych w latach 1870—71. Ustalone normy przyjęte przed laty 30-tu, przeżywały się i należało wprowadzać normalniejszy system

opodatkowania na rzecz miasta. Ale biurokratyzm magistracki zawsze brał górę nad wszelkiemi wskazówkami ekonomistów polskich, wypowiadających się w publikacyach krajowych. Zakłady przemysłowe nie opłacały na rzecz miasta nawet ½ % od sumy produkcyi. To samo domy bankierskie i kantory wekslu. Nie składają one do kasy miejskiej nic więcej, nad odsetki od ceny świadectw gildyjnych i przemysłowych, w które muszą być zaopatrzone.

Według klasyfikacyi dochodów zwyczajnych, dokonanej przez warszawskie „Słowo“ z preliminarza budżetowego na rok 1897, ustosunkowanie wpływów kasy przedstawia się w odsetkach wprost monstrualnie:

dochód z majątku miejskiego	11½%
podatki bezpośrednie z nieruchomości	31 %
„ „ od przemysłowców	9½ %
opłaty pośrednie	3¾%
podatki zbytkowe	1 %
dochody pomocnicze za wodę i kanały	24¼%
„ rozmaite i przypadkowe	13 %
	100

Dochody z majątku miejskiego wydać się muszą nadzwyczaj skromnemi, ale mała pozycya da się łatwo uzasadnić, jeżeli zanotujemy, że wysokość dzierżawy miejsc targowych za Żelazną Bramą, na Starem Mieście i na placu Witkowskiego, wynosiła zaledwie 70 tys. rubli.

Podatki „od przemysłowców“ wynoszą wprawdzie procentowo 9½%, ale pod rubrykę „przemysłową,“ nieudolnie zestawiany budżet podciąga opłaty nic z przemysłem nie mające wspólnego, w rodzaju taksy za świadectwa, wydane przez sąd zjazdowy na pełnomocników sądowych i t. p.

W systemie opodatkowania mieszkańców Warszawy przeważają podatki bezpośrednie. Obywatele miejscy i przedsiębiorcy przemysłowi (w tem przewoźnicy, dorożkarze, szynkarze) składali 40½% ogółu dochodów kasy miejskiej, ponieważ jednak opłata za wodę i kanały w sumie 24½% spada głównie na właścicieli domów i lokatorów, przeto magistrat z wszelkich innych źródeł pozyskuje ledwie 35% ogółu wpływów zwyczajnych.

To, zasadnicze ustosunkowanie się rubryk dochodowych miasta Warszawy, niewiele zmienia się w ciągu ostatnich lat gospodarki magistrackiej. Tablica następująca zestawiona na podstawie wykonania budżetów, wykazuje szczegółowo dochody osiągnięte w okresie 1891—1903 r.

Dochody zwyczajne.

Lata	Majątek miasta i pozycyje czynszowe, procenty od kapitałów	Woda i Kanały	Rzeź bydła i targowisko	Podatki miejskie z nieruchom.	Opłaty od przemysłowców	Tramwaje	Opłaty pośrednie	Dochody pomocnicze	Różne	Ogół dochodów zwyczajnych	Zwrotne	Nadzwyczajne	Ogół
			R		U		B		L	E			
1891	193.127	392.082	149.059	1.005.392	299.287	33.657	619.421	116.755	207.650	3.016.459	106.620	584.439	3.707.519
1892	274.212	471.926	168.703	1.170.308	303.446	35,972	678.033	117.615	806.526	4.026.741	82.576	952.468	5.061.785
1893	207.212	615.289	175.222	1.233.860	328.291	39.984	685.288	117.511	136.223	3.539.316	142.024	1.084.209	4.765.549
1894	184.186	764.340	174.177	1.259.922	372.433	43.092	730.324	219.313	117,907	3.865.423	125.876	1.383.642	5.374.941
1895	277.435	706.699	188.866	1.254.470	374.264	—	703.324	269.104	122.314	3.896.473	312.548	1.465.033	5 674.054
1896	218.322	860.073	200.784	1.296.158	376.473	44.664	813.637	270.632	120.893	4.201.637	293.994	674.307	5.169.938
1897	293.474	971.248	212.461	1.632.413	370.507	45.457	785.247	120.108	112.735	4.543.593	320.830	1.579.548	6.443.970
1898	273.991	1.065.350	233.594	1.696.897	382.145	51.967	980.730	112.735	119.225	4.916.334	790.297	1.680.880	7 387.510
1899	299.165	1.085.673	259.054	1.783.204	214.507	492.536	1.240.614	281.084	105.765	5.761.602	896.184	232.755	6.890.542
1900	288.187	1.120.148	262.746	1.849.951	219.073	357,799	845.240	281.528	124.666	5.349.339	387.187	1.798.825	7.535.351
1901	340.673	1.164.166	225.503 63.227 (świnie).	1.962.083	215.394	352.500	676.997	281.528	136.976	5.419.048	422.453	235.036	6.076.537
1902	429.130	1.286.909	206.540 33.475	2.129.141	211.832	352.500	696.401	281.707	114.534	5.742.170	580.139	334.824	6.657.134
1903	470.448	1.373.759	220.500 33.860	2.203.735	215.322	300.000	692.522	281.794	129.469	5.887.480	637.562	188	6 525.230
—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	60.165.615	—	—	—

Zestawiając pozycye niektórych dochodów Warszawy i miast zagranicznych, a nawet polskich, ale zakordonowych, dochodzimy do wniosków nader niekorzystnych dla opinii magistratu warszawskiego. Z przedsiębiorstw swoich miasto nasze czerpało zyski w sposób jaknajbardziej nieudolny. Dochód z rzeźni i targowisk wynosił najmniej 149.059 rb. (w r. 1891) i najwyżej 288.730 rb. (w r. 1901), w Berlinie tymczasem rzeźnie wraz z targiem bydlęcym dały w r. 1898/9 — 3.774.010 marek dochodu, we Lwowie w r. 1901—266.877 koron, w Petersburgu w r. 1901 — 953.769 rb. dochodu bruto.[1]) Opłata natomiast pobierana w Warszawie za wodę stanowczo jest zbyt wysoką i z optymizmem w tym względzie p. A. Suligowskiego pogodzić się nie sposób. Wodociągi warszawskie pobierają po 1.10 rb. za tysiąc wiader, tymczasem w Lipsku płaci się 95 kop., w Berlinie—90 kop., w Wrocławiu—81 kop., Dreznie — 65 kop., Hamburgu — 48 kop. Monachium — 26 kop.[2]) Różnice olbrzymie, a dodać wypada, że im tańsza woda, tem większa jej konsumcya, większa hygiena—w Lipsku zużywają na głowę rocznie 1.900 wiader, w Dreznie—2,900 w Monachium—5.000 wiader!

Dochody z tramwajów, od chwili ich wykupienia przez miasto, wykazują stale zmniejszające się wpływy, mimo wzrostu Warszawy i zwiększania się ludności. Nowych linij wbrew nawoływaniom niemal, że nie przybywa Warszawie.

Miasto, nie zyskując należytych wygód w stosunku do swego wzrostu, podnosi jednocześnie dochody wciąż tylko kosztem mieszkańców, nie zaś swojej przedsiębiorczości gospodarczej. Podług wyliczeń „Słowa,“[3]) „gdy dochody kasy miejskiej ciążyły w r. 1881 w wysokości 3 rb. 53 kop. na głowę ludności, to do uposażenia kasy w sumę dochodów, przewidzianą w budżecie na rok 1899, potrzeba, żeby każdy z mieszkańców złożył rb. 7 kop 54. Wszakże w tej cyfrze nie mieści się podatek szpitalny i opłata na utrzymanie zakładów dobroczynnych, zostających pod zarządem głównej rady opiekuńczej.“ Tak więc ciężary spadały na ludność w sposób bardzo znaczny. Dochodów zaś, oprócz podatków, magistrat nie umiał zyskiwać dla siebie w sposób należyty. Niezaradność ta zarządu mści się na mieszkańcach Warszawy.

(D. c. n).

Stefan Gorski.

[1]) A. Suligowski „Warszawa i jej przedsiębiorstwa miejskie,“ str. 68.

[2]) I. H. Ozierow „Bolszyje goroda, ich zadaczi i sredstwa uprawlenja“ Moskwa 1906 str. 84.

[3]) Tom XVIII, roku 1899, nr. 259.

Biblioteka Śląska

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

z roku 1906.

FILOZOFIA.

Str.

TRAGEDYA MYŚLICIELA (dok.), — przez *Walerego Gostomskiego* . . . 139

HISTORYA.

DWIE ROZMOWY W BELWEDERZE, — przez prof. *S. Askenazego* . . . 5

ALEKSANDER I i PIERWSZY SEJM KRÓLESTWA KONGRESOWEGO, — przez *A. Rembowskiego* 273

Z ŻYCIA MINISTRA LUBECKIEGO, — przez *Stanisława Smolkę* 307

Z WALKI O AUTONOMIĘ GALICYJSKĄ, — przez *K. Bartoszewicza* . . 486

SZKICE POLITYCZNE.

KONSTYTUCYA ROSYJSKA, — przez *Wł. Studnickiego* 54

LITERATURA.

NAD GŁĘBIAMI, powieść, — przez *d-ra T. Konczyńskiego* . . . 20, 250 i 444

WIZYE MALARSKIE (poezye), — przez *Jana Przysieckiego* 303

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

Str.

HENRYK HEINE, — przez *Ardensa* 88
MIĘDZY STARYM A NOWYM KURSEM, — przez *W. Bogusławskiego* . . 111
MICKIEWICZ I DOMEJKO, — przez prof. *Józefa Tretiaka* 209
INGRES I MANET, — przez *Jana Topassa* 338
RUCH LITERACKI W NIEMCZECH, — przez *Jana Kaczkowskiego* . . . 356
JAN ZACHARYASIEWICZ, — przez *Z. D.* 377
O KSIĄŻCE I OKOŁO KSIĄŻKI, — przez *M. Konopnicką* 417
BEKWARK LUTNISTA, — przez *H. Opieńskiego* 464
RUCH LITERACKI WE FRANCYI, — przez *H. Reinholda* 524
ZWROT W SZTUCE STOSOWANEJ, — przez *T. Jaroszyńskiego* 536

ROZMAITOŚCI.

„BRACIA CZARNI," — przez *Michała Brensztejna* 549

KRYTYKA.

Z dziejów odrodzenia politycznego Galicyi 1859—1873, przez Michała Bobrzyńskiego, Władysława Leopolda Jaworskiego i Józefa Milewskiego, 1905, — przez *A. R.* 170

Piotr Górski: Z naszego sejmowania. 1) Potrzeba zmian i reform. 2) Materyały. Kraków, 1905, — przez *A. R.* 170

Wacław Sobieski: Trybun ludu szlacheckiego. Studyum historyczne. 1905, — przez *A. R.* 381

L. Osten: Józef Chłopicki. Luźne wspomnienia towarzyszów broni generała, — przez *A. R.* 388

Józef Bieliński: Żywot ks. Adama Jerzego Czartoryskiego. 1905, — przez *A. R.* 565

Michał Bobrzyński: Statut Rady szkolnej krajowej galicyjskiej. Studyum polityczne, — przez *A. R.* 576

Henryk Konic: Samorząd gminny w Królestwie Polskiem w porównaniu z innymi krajami europejskimi, — przez *A. R.* . . . 582

Nal i Damajanti: Baśń staroindyjska z ksiąg Mahabaraty. Z sanskrytu przełożył A. Lange, — przez *Z. D.* 588

Aleksander Brückner: O literaturze rosyjskiej i naszym do niej stosunku dziś i lat temu trzysta. Szkic literacki, — przez *Z. D.* 590

Wacław Grubiński: I. Pocałunek. II. Na rubieży, — przez *Z. D.* . . . 593

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Str.

KWIECIEŃ:

Bandytyzm i zdziczenie moralne. — Co mówi Ochorowicz w pracy, nagrodzonej na konkursie „Przeglądu filozoficznego?“ — List otwarty Sienkiewicza do Polaków w Ameryce i sprawa szkolnictwa ludowego u nas. — Pierwsze pismo codzienne dla ludu. — Wspomnienie pozgonne: ś. p. Józef Czekalski 183

MAJ:

Wybory w Warszawie i ich rezultat.—Głos prof. Baudouin'a de Courtenay'a w sprawie szkół wyższych w Król. Polskiem.— „Święto trwogi.“ 392

CZERWIEC:

Przejście szpitali pod zarząd miasta. — Na krawędzi ruiny ekonomicznej. — Pomnik Chopina 596

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

KWIECIEŃ 196
MAJ 400
CZERWIEC 607

DODATEK „PRACA.“

PRZY ZESZYCIE KWIETNIOWYM (№ 4): Duchowieństwo Rzymsko-Katolickie (dok.), — przez *A. P.* 1

PRZY ZESZYCIE MAJOWYM (№ 5): Wybory w Warszawie w świetle cyfr, — przez *Ignacego Chabielskiego* 1

PRZY ZESZYCIE CZERWCOWYM (№ 6): Gospodarka finansowa miasta Warszawy, — przez *Stefana Gorskiego* 1